

Joyce Carol Oates

BLONDYNKA

Powieść

Blondynka to zbeletryzowany portret Marilyn Monroe, intymny i bezlitosny jak żaden inny: portret dziecka, kobiety, dziewczyny, gwiazdy, nad którą zawisło fatum.

Wybitna amerykańska pisarka Joyce Carol Oates opowiada w swojej powieści o wrażliwej, utalentowanej Normie Jeane.

która nieustannie przedefiniowuje swoją tożsamość, bez.

przerwy zmagają się z okrutnym losem, wciąż poszukuje miłości: u enigmatycznej matki.

nieznanego ojca, licznych kochanków.

Jako Marilyn Monroe jest uwielbianą przez cały świat gwiazdą, ale co się tak naprawdę dzieje w głębi jej duszy?

W swojej naj..intymniejszej książce Oates z sympatii) bada życie wewnętrzne kobiety, której przeznaczeniem było stać się największą- legendą Hollywood i najszlachetniejszym symbolem seksu XX wieku.

Autorka portretuje także mężczyzn jej życia Kks-Sportowca.

Dramaturga, Prezydenta, Ciemnowłosego Księcia.

Blondynka to doskonały, poruszający obraz kultury zahipnotyzowanej przez własne mity, a także niepewnej rzeczywistości kruchych żywotów, które kultura ta pochwycała w swój drapieżny uścisk.

OD AUTORKI

Blondynka jest radykalnie przedestylowanym "życiem" w formie utworu powieściowego i, mimo całej jej obszerności, zasadą przybliżenia jest w niej synekdocha.

Blondynka nie zawiera zatem opisu licznych rodzin zastępczych, w których Norma Jeane przebywała, lecz tylko jednej, i to fikcyjnej;

zamiast licznych kochanków, kryzysów zdrowotnych, aborcji, prób samobójstwa, a także występów ekranowych, przedstawia kilka wybranych, symbolicznych.

Marilyn Monroe rzeczywiście prowadziła coś w rodzaju dziennika, pisała wiersze czy też fragmenty wierszy.

Spośród nich tylko dwa wersy znalazły się w ostatnim rozdziale ("Pomocy, pomocy!

"); inne wiersze zostały wymyślone.

Pewne wypowiedzi w rozdziale "Marilyn Monroe dzieła zebrane" pochodzą z wywiadów, inne zaś są fikcyjne; pod koniec wspomnianego rozdziału znalazł się cytat zaczerpnięty z konkluzji O powstawaniu gatunków Charlesa Darwina.

Faktów z biografii Marilyn Monroe należy szukać nie w Blondynce - która nie powstała jako dokument historyczny - tylko w literaturze przedmiotu.

(Autorka korzystała z takich prac jak Legend: The Life and Death of Marilyn Monroe Freda Guilesa, 1985; Bogini.

Tajemnice życia i śmierci Marilyn Monroe Anthonyego Summersa, 1986;

Marilyn Monroe: A Life oftbe Actress Carla E.

Rollysona juniora, 1986.

Bardziej subiektywne książki o Monroe jako postaci mitycznej to Marilyn MonroeGrahama McCanna, 1987, oraz Marilyn Normana Mailera, 1973.) Co do informacji na temat amerykańskiej polityki, zwłaszcza związanej z Hollywood lat czterdziestych i pięćdziesiątych, najbardziej pomocna okazała się praca Naming Names Yictora Navaskyego.

Spośród cytowanych książek traktujących o aktorstwie The Thinking Body Mabel Todd, O technice aktora Michaiła Czechowa, Praca aktora nad sobą i Moje życie w sztuce K.onstimtmn Stanisławskiego to dzieła prawdziwe, natomiast do zmyślonych należą Z życia aktora oraz Paradoks aktorstwa.

Podobnie zmyślona jest Księga amerykańskiego patrioty.

Fragment z zakończenia Wehikułu czasu H.

G. Wellsa został zacytowany dwukrotnie, w rozdziałach "Koliber" i "Odeszli wszyscy do jasnego świata".

Fragmenty poezji Emily Dickinson pojawiły się w rozdziałach zatytułowanych "Kąpiel", "Sierota" i "Pora wyjść za mąż".

Urywek pracy Świat jako wola i przedstawienie Arthura Schopenhauera znalazł się w "Śmierci Rumpelstilzki".

Wyjątek z Kultury jako źródła cierpień Zygmunta Freuda sparafrazowano w "Snajperze".

Ustępy z Myśli Blaisea Pascala wykorzystano w "Roslyn 1961".

Fragmenty tej powieści ukazały się - w rozmaitych wersjach - w "Play boyu", "Conjunctions", "Yale Review", "Ellery Queen Mystery Magazine", "Michigan Quarterly Review" i "TriQuarterly".

Dziękuję redaktorom tych magazynów.

Daniel Halpern, Jane Shapiro i C.

K. Williams zasługują na moje szczególne podziękowania.

Na scenie, w kręgu światła i pośród mroku, odnosisz wrażenie, że jesteś całkowicie sam (...). Jest to tak zwana samotność wśród publiczności (...).

Podczas przedstawienia, przed widownią złożoną z tysięcy, zawsze możesz się schować w tym kręgu jak ślimak w muszli (...).

I zabrać go ze sobą, gdziekolwiek się udasz.

Konstantin Stanisławski, Praca aktora nad sobą

Sfera gry aktorskiej jest świętym miejscem (..), gdzie aktor nie może umrzeć.

Michael Goldman, The Actors Freedom

Geniusz nie jest darem losu, tylko drogą, jaką osoba znajduje w rozpaczliwej sytuacji.

Jean Paul Sartre .

PROLOG

3 sierpnia 1962 .

PRZESYŁKA SPECJALNA

Przybyła Śmierć, pędząc wzdłuż bulwaru w gasnącym sepiowym świetle.

Przybyła Śmierć mknąca niczym w kreskówkach dla dzieci na ciężkim, pozbawionym ozdób rowerze pościga.

Przybyła Śmierć nieomylna.

Śmierć, której nie da się nic wyperswadować.

Śmierć, której się spieszy.

Śmierć naciskająca z pasją na pedały.

Śmierć wioząca paczkę oznaczoną OSTROŻNIE PRZESYŁKA SPECJALNA w solidnym koszyku tuż za siodełkiem.

Śmierć lawirująca śmiało między ludźmi i różnymi pojazdami przy skrzyżowaniu Wilshire i La Brea, gdzie - z powodu remontu ulicy - dwa pasy ruchu biegnące w kierunku zachodnim przechodziły w jeden.

Śmierć jakże chyża!

Śmierć grająca na nosie tym kierowcom w średnim wieku, którzy nie mogli się powstrzymać przed użyciem klaksonu.

Śmierć roześmiana: Pieprz się, facet!

I ty też.

Przemykająca jak Królik Bugs obok błyszczących masek drogich, nowych samochodów.

Przybyła Śmierć nieczuła na przesycone dymem, zepsute powietrze Los Angeles.

Na ciepłe, radioaktywne powietrze południowej Kalifornii, gdzie przyszła na świat.

Zgadza się, ujrzałam Śmierć.

Śniłam o Śmierci poprzedniej nocy.

Śniłam o niej od dawna.

I wcale się nie bałam.

Przybyła Śmierć jakże rzeczowa.

Śmierć pochylona nad brązową od plamek rdzy kierownicą niezgrabnego, lecz solidnego roweru.

Przybyła Śmierć ubrana w bawełnianą koszulkę z napisem Cal Tech, w wypranych, ale nie uprasowanych spodenkach koloru khaki, w trampkach, bez skarpetek.

Śmierć z umięśnionymi łydkami i nogami porośniętymi ciemnymi włosami.

Śmierć o wygiętym kręgosłupie z rzędem zaokrąglonych kręgów.

Śmierć o pryszczatej twarzy niedorostka.

Śmierć o dzielnym sercu, bezlitośnie oślepiana promieniami słońca, które odbijały się od szyb samochodów i chromowanych powierzchni niczym od bułatów.

Coraz więcej klaksonów odzywało się za plecami nonszalanckiej Śmierci.

Śmierci ostrzyżonej na jeża.

Śmierci żującej gumę.

Śmierci niezwykle oddanej żmudnej pracy - pięć dni w tygodniu plus za dopłatą soboty i niedziele.

"Hollywoodzkie Usługi Kurierskie".

Śmierć osobiście doręczająca przesyłki specjalne.

Śmierć przybyła do Brentwood nieoczekiwanie!

Przybyła, mknąc po wąskich i -jak to w sierpniu - opustoszałych willowych uliczkach.

Przybyła do Brentwood, do próżności pracowicie wypielegnowanych rezydencji, które mija, pedałując: z animuszem i jednostajnie.

Alta Vista, Campo, Jacumba, Brideman, Los Olivos.

Aż do Fifth Helena Drive, ślepej, martwej uliczki.

Drzewa palmowe, bugenwilla, czerwone róże.

Zapach gnijących kwiatów.

Zapach schnącej w słońcu trawy.

Ogrody otoczone murami, wistaria.

Okrężne podjazdy.

Okna szczelnie zastonięte storami przed słońcem.

Śmierć z podarunkiem w paczce bez adresu zwrotnego.

"MM" ZAMIESZKAŁA 12305 FIFTH HELENA DRIVE BRENTWOOD, KALIFORNIA USA PLANETA
ZIEMIA

Na Fifth Helena Śmierć zaczęła pedałowac wolniej, sprawdzając numery domów.

Śmierci nie zdziwiła wcale nietypowo zaadresowana paczka.

Bardzo dziwny prezent wewnątrz błyszczącej, cukierkowej bibułki, która wyglądała na używaną.

Z białą satynową kokardą przyklejoną przezroczystą taśmą.

Paczka o wymiarach osiem na dziesięć cali.

Ważąca zaledwie kilka uncji.

Pusta?

Wypełniona papierem?

Nie. Gdyby nią potrząsnąć, okazałoby się, że w środku coś jednak jest.

Jakiś miękki przedmiot, może z materiału.

Śmierć przybyła wczesnym popołudniem trzeciego sierpnia 1962 roku.

Śmierć zadzwoniła do drzwi przy 12505 Fifth Helena Drive.

Śmierć otarła spocone czoło baseballową czapczką.

Śmierć żuła gumę szybko i niecierpliwie.

Nie słyszała odgłosu kroków.

Nie mogła zostawić tej cholernej paczuszki na stopniu schodów, musiała zdobyć pokwitowanie.

Słyszała jedynie buczenie wmontowanej w okno klimatyzacji.

A może radia?

To był mały domek w hiszpańskim stylu, parterowa "hacjenda".

O ścianach, które wyglądały, jakby je wzniesiono z cegły suszonej na słońcu, o dachu z jaskrawopomarańczowej dachówki, z zasłoniętymi oknami.

Skurczony, mały niczym domek dla lalek, nic szczególnego jak na tę dzielnicę.

Śmierć za dzwoniła po raz drugi, naciskając mocno przycisk dzwonka.

Tym razem drzwi otworzyły się.

Przyjęłam podarunek z rąk Śmierci.

Pomyślałam, że wiem, co to jest.

Kto mi to przesłał.

Na widok adresu na paczuszce roześmiałam się i bez wahania podpisałam potwierdzenie odbioru.

DZIECKO

1932-1938 .

POCAŁUNEK

Ten film oglądałam przez całe życie, choć nigdy do końca.

Mogłaby niemal rzec: Ten film jest moim życiem!

Miała dwa, może trzy lata, gdy Matka zabrała ją tam po raz pierwszy.

To jej najwcześniejsze wspomnienie, i jakże ekscytujące!

Graumans Egyptian Theatre przy Hollywood Boulevard.

Wiele lat wcześniej, nim mogła pojąć chociażby najbardziej podstawowe zasady, jakimi się rządzi opowieść filmowa.

Chłonęła jak zaczarowana ruch, bezustanne falowanie płynnego ruchu na olbrzymim ekranie nad głową.

Jeszcze nie mogła pomyśleć: To jest ten sam wszechświat, w którym odbywa się projekcja niezliczonych i niemożliwych do nazwania form życia.

Ileż to razy w latach straconego dzieciństwa i w latach dojrzewania będzie wracała do tego filmu z tęsknotą, rozpoznając go od razu, mimo różnorodności tytułów i wielości aktorów.

Zawsze bowiem pojawiała się w nim Jasnowłosa Księżniczka.

I zawsze zjawiał się Ciemnowłosa Książę.

Splot okoliczności popychał ich ku sobie i rozłączał, znowu zbliżał i ponownie rozłączał, póki - gdy film zbliżał się do końca, a muzyka osiągała punkt kulminacyjny - nie padli sobie namiętnie w ramiona.

Co jednak nie zawsze było równoznaczne ze szczęśliwym zakończeniem.

Zakończenie bywało niewiadomą.

Zdarzało się, że jedno klękało przy łożu drugiego i pocałunek kochanków zwiastował śmierć.

Nawet jeśli on (lub ona) przeżywał śmierć ukochanej (ukochanego), człowiek wiedział już, że życie przestało mieć jakikolwiek sens.

Bo tylko film nadaje życiu znaczenie.

I nie istnieje opowieść filmowa bez zaciemnionej sali kinowej.

Ależ to denerwujące, nigdy nie obejrzeć zakończenia!

Gdyż zawsze coś przeszkadzało, układało się nie tak.

A to powstawało jakieś zamieszanie i zapalano światła; a to odzywał się alarm przeciwpożarowy (bez żadnego ognia?

czy może był ogień?

pewnego razu wydawało się jej, że czuje zapach dymu) i wszystkich proszono do wyjścia; kiedy indziej sama była już spóźniona na spotkanie i musiała wyjść; albo zasypiała w fotelu i traciła zakończenie, budziła się oślepiona jaskrawymi światłami, wokół zaś nieznajomi podnosili się i kierowali do drzwi.

Już koniec?

Jak to możliwe?

Nawet jako dojrzała kobieta wciąż poszukiwała tego filmu.

Wchodziła ukradkiem do kina w jakiejś podrzędnej dzielnicy lub w nie znanym jej miasteczku.

Cierpiała na bezsenność, zdarzało się więc, że kupowała bilet na seans nocny.

Zdarzało się też, iż kupowała bilet na pierwszy seans danego dnia, czyli przed południem.

Nie uciekała od własnego życia (choć to życie przysparzało jej coraz więcej kłopotów, tak jak każde dorosłe życie), ale znajdowała chwilę wytchnienia, umieszczając się niejako w nawiasie owego życia, zatrzymując czas w taki sposób, w jaki dziecko może po wstrzymać ruch wskazówek zegarka: siłą.

Wchodziła do mrocznej sali kinowej (często pachnącej zatęchłym popcornem, płynem do włosów, środkami do dezynfekcji), podniecona jak młoda dziewczyna pragnąca ujrzeć na ekranie jeszcze raz
Och, kolejny raz!

jeszcze jeden raz!

śliczną kobietę o blond włosach, która wygląda, jakby się w ogóle nie starzała, która ma ciało jak każda inna kobieta, ale posiada także niepowtarzalny wdzięk, jakiego żadna zwyczajna kobieta nie ma, która promienieje blaskiem po chodzącym nie tylko z jej lśniącego oczu, ale z każdego kawałeczka skóry.

Duszą moją jest skóra.

Inna dusza nie istnieje.

Dostrzegacie we mnie obietnicę ludzkiej radości.

Ona, która wślizguje się do kina, wybiera fotel w rzędzie blisko ekranu i bez reszty poświęca uwagę filmowi, który sprawia wrażenie jednocześnie znanego i nieznanego, jak niezbyt dobrze zapamiętany, lecz uporczywie powracający sen.

Wraz z upływem lat zmieniają się kostiumy aktorów, fryzury, nawet twarze i głosy, ale jest w stanie przypomnieć sobie - niezbyt wyraźnie, tylko we fragmentach - utracone emocje, samotność dziecięcego wieku, którą tylko częściowo łagodził olbrzymi ekran.

Inny świat do zamieszkania.

Gdzie?

Nadszedł taki dzień, nadeszła taka godzina, kiedy uświadomiła sobie, że Jasnowłosa Księżniczka - która jest taka piękna, ponieważ jest taka piękna i ponieważ jest Jasnowłosą Księżniczką - zmuszona

jest szukać w oczach innych potwierdzenia swego istnienia.

Nie możemy być tacy, jakimi nas widzą, jeżeli nikt nas nie widzi.

Prawda?

Niepokój dorosłości i rosnące przerażenie.

Ta opowieść filmowa jest skomplikowana i pogmatwana, choć zarazem znajoma albo prawie znajoma.

Może została źle zmontowana.

Może ma drażnić.

Może retrospekcje mieszają się z teraźniejszością.

Albo z przyszłością!

Zbliżenia Jasnowłosej Księżniczki wydają się zbyt intymne.

Pragniemy obserwować innych z zewnątrz, nie chcemy, aby nas wciągano do środka.

Gdybym tak mogła powiedzieć: Proszę bardzo, oto ja!

Ta kobieta, stworzenie na ekranie, oto kim jestem.

Ale ona nie zna zakończenia.

Nigdy nie widziała ostatniej sceny, nigdy nie obejrzała, jak na ekranie przesuwiają się napisy końcowe.

W tym właśnie, w momencie wykraczającym poza ostatni pocałunek, tkwi klucz do tajemnicy filmu - wie o tym.

Tak samo klucz do tajemnicy życia stanowią organy ludzkiego ciała, usunięte podczas sekcji zwłok.

Lecz nadejdzie taki czas, może to się zdarzy tego właśnie wieczoru, gdy nieco zadyszana sadowi się w obitym pluszem, starym, przybrudzonym fotelu w drugim rzędzie starego kina w zrujnowanej dzielnicy miasta, pod stopami czuje wybrzuszoną niczym kula ziemską lepką podłogę, do której przyklejają się podeszwy jej drogich butów; publiczność jest nieliczna, rozproszona, złożona przeważnie z samotnych osób; z ulgą sobie uświadamia, że w przebraniu (ciemne okulary, porządna peruka, płaszcz przeciwdeszczowy) nikt jej tam nie rozpozna i że nikt z jej znajomych nie domyśla się, gdzie jest ani gdzie mogłaby być.

Tym razem obejrzą to do samego końca.

Właśnie tym razem Dlaczego?

Nie miała pojęcia.

Bo akurat naprawdę ktoś gdzieś na nią czeka, już się spóźniła o parę godzin, niewykluczone, że jakiś samochód miał ją zawieźć na lotnisko, chyba że spóźniła się już o parę dni albo nawet tygodni; bo jako osoba dorosła buntuje się przeciwko czasowi Czymże jest czas, jak nie tym, czego oczekują od nas inni?

Grą, w którą grać nie chcemy.

O, właśnie zauważyła, że także Jasnowłosa Księżniczkę czas zbił z tropu.

Zbiła ją z tropu fabuła filmu.

Człowiek otrzymuje sygnały od innych.

Co się dzieje, jeśli nikt z otoczenia ich nie wysyła?

Jasnowłosa Księżniczka w tym filmie nie jest już świeża jak wiosenny kwiat, ale oczywiście wciąż piękna, bladolica i promienna, kiedy wychodzi z taksówki wprost w otwartą przestrzeń ulicy; dla niepoznaki włożyła duże przeciwsłoneczne okulary, perukę z gładkimi ciemnymi włosami i płaszcz, który mocno ścisnęła paskiem; kamera śledzi ją z bliska: ukradkowe wejście do kina, zakup biletu, zajęcie miejsca w drugim rzędzie.

Ponieważ jest Jasnowłosa Księżniczką, inni widzowie oczywiście zerkają na nią, lecz jej nie rozpoznają;

może jest zwyczajną kobietą, wprawdzie piękną, ale nieznaną.

Po rozpoczęciu seansu zdejmuje okulary przeciwsłoneczne i bez reszty pogrąża się w filmie.

Musi odchylić głowę do tyłu, aby dobrze widzieć ekran.

Patrzy do góry z miną wystraszonego dziecka.

Światło z ekranu kołysze się na jej twarzy jak refleksy słońca na wodzie.

Zapatrzona, zupełnie nie wie, że Ciemnowłosa Księżę szedł za nią do kina; kamera zajmuje się nim przez kilka długich, pełnych napięcia minut; mężczyzna stoi za postrzępioną aksamitną zasłoną przy bocznym rzędzie krzesel.

Jego przystojna twarz ginie w cieniu.

Jej wyraz podpowiada, że w końcu musi się coś wydarzyć.

Mężczyzna ma na sobie ciemny garnitur, ale nie włożył krawata, na głowie zaś lekko przekrzywiony filcowy kapelusz.

Na sygnał muzyczny szybko podchodzi i pochyla się nad nią, nad samotną kobietą w drugim rzędzie.

Szepcze coś do niej, ona odwraca się przejęta.

Wydaje się rzeczywiście zdziwiona, choć na pewno zna scenariusz: w każdym razie do tej chwili i może nieco w przyszłość.

Ukochany!

To ty.

Nigdy nie było nikogo prócz ciebie.

W migoczącym świetle bijącym od olbrzymiego ekranu twarze kochanków są pełne wyrazu - kochanków, którzy są postaćmi z minionych bezpowrotnie czasów wspaniałości.

Jakby, choć pomniejszeni i śmiertelni, musieli grać tę scenę do końca.

Będą grać tę scenę do końca.

On śmiało chwyta ją za szyję, unieruchamia.

Panuje nad nią, bierze ją w posiadanie.

Jakże silne są jego palce, jakże zimne; dziwne i szkliste lśnienie jego oczu, nigdy nie widziała ich z bliska.

Ale ona kolejny raz wzdycha i podnosi swą doskonałą twarz w oczekiwaniu na pocałunek Ciemnowłosego Księcia.

HPIEL

Cechy urodzonego aktora pojawiają się w dzieciństwie, bo właśnie wówczas świat postrzegany jest zrazu jako Tajemnica.

Źródłem gry aktorskiej jest improwizacja w obliczu Tajemnicy.

T. Navarro, Paradoks aktorstwa

Widzisz?

Ten mężczyzna jest twoim ojcem.

Był taki dzień, dzień szóstych urodzin Normy Jeane, pierwszy dzień czerwca 1932 roku, magiczny poranek, oślepiający, zapierający dech w piersiach, porażający bielą w Venice Beach w Kalifornii.

Od Pacyfiku wiał wiatr, świeży, chłodny i orzeźwiający, niósł powietrze tylko odrobinę zepsute przez zwyczajną woń wodnej zgnilizny i śmieci.

Mogło się zdawać, że ten sam wiatr przywiał Matkę, kobietę o wychudzonej twarzy, zmysłowych ustach i cienkich brwiach.

Przyszła po Normę Jeane, która mieszkała z dziadkami przy Venice Boulevard w dziobatej ruinie o beżowych stiukach.

"Normo Jeane, chodź!

" I Norma Jeane pobiegła, pobiegła do Matki!

Pulchną rączką chwyciła za szczeptą dłoń w czarnej ażurowej rękawiczce - jakież to było dziwne i zarazem cudowne uczucie.

Dłonie babki były spracowanymi dłońmi starszej kobiety, tak jak zapach babki był zapachem starszej kobiety, za to zapach Matki wydawał się słodki, miły i lekko oszałamiający, niczym smak gorącej lemoniady.

"Normo Jeane, moja kochana...

Chodź." Matka miała na imię Gladys, Gladys była prawdziwą matką tego dziecka.

Kiedy już zdecydowała się nią być.

Kiedy miała dość siły.

Kiedy nie stały na przeszkodzie obowiązki w Wytwórni.

Życie Gladys to czyło się w "trzech wymiarach przechodzących w cztery" i nie było "płaskie niczym plansza do ludo", jak w wypadku większości ludzi.

Na oczach roztrzęsionej babci Delii Matka triumfalnie wyprowadziła Normę Jeane z mieszkania na trzecim piętrze, gdzie cuchnęło cebulą, szarym mydłem, maścią na odciski i tytoniem fajkowym dziadka, ignorując gniew starszej kobiety, jakby był to komicznie rozgorączkowany głos dochodzący z radia: "Gladys, czym samochodem teraz jeździsz?"

Spójrz na mnie, dziewczyno.

Brałaś coś?

Piłaś?

Kiedy mi oddasz wnuczkę?

Ażeby cię!

Poczekaj, muszę nałożyć buty, ja też schodzę!

Gladys!

" A Matka nuciła tylko spokojnym, doprowadzającym do pasji sopranem: Quesera, sera.

Śmiejąc się jak dzieci, które właśnie coś zbroiły i uciekają, Matka z Córką pomknęły w dół po schodach niczym po zboczu góry, zadyszane, złączone dłońmi, byle na dwór!

pod otwarte niebo!

na Venice Boulevard, do zaparkowanego przy krawężniku samochodu Gladys, który za każdym razem mógł być inny; tego zaś jasnego, lśniącego ranka pierwszego czerwca 1932 roku Norma Jeane zatrzymała się z uśmiechem przed garbatym nashem w odcieniu wody, jaka pozostaje po zmywaniu naczyń, gdy piana już się całkiem rozejdzie; okno pasażera z nitkami zabezpieczonych taśmą klejącą pęknięć przypominało pajęczynę.

Mimo wszystko był to cudowny samochód, a Gladys wyglądała pięknie i młodo.

Gladys, która w ogóle rzadko dotykała Normy Jeane, teraz podnosiła ją obiema dłońmi w rękawiczkach i pomagała usiąść na miejscu pasażera: "Hej-ho, i już, kochane maleństwo!",

jak gdyby podnosiła ją do wielkiego młyna na molo w Santa Monica, by córka poszybowała, zdumiona i oczarowana, w niebo.

I z głośnym trzaskiem zamknęła drzwi.

I sprawdziła, czy rzeczywiście są zamknięte.

(Istniała stara obawa, strach Matki o Córkę, że podczas tego rodzaju wycieczek drzwi samochodu mogą się otworzyć, niczym zapadnia pułapki w którymś z niemych filmów, i Córka zginie!

) I wspięła się na miejsce za kierownicą jak Lindbergh do kokpitu Spirit of St.

Louis.

Zwiększyła obroty silnika, zmieniła biegi i włączyła się do ruchu, nie reagując na to, że biedna babcia Delia, zażywna kobieta o nakrapianej cętkami twarzy, ubrana w wyblakły bawełniany fartuch, zwinięte skarpety i buty staruszki, wypadła przed budynek jak Charlie Chaplin, komicznie rozgorączkowany Mały Tramp.

- Poczekaj!

Och, poczekaj!

Pomyłona kobieto!

Ćpunko!

Zabraniam!

Wezwę policję!

Nie było czasu do stracenia, oj, nie.

Ani nawet żeby porządnie odetchnąć.

-Nie przejmuj się babcią, kochanie.

Ona jest z niemego filmu, a my z dźwiękowego.

Bo Gladys, jedyna prawdziwa matka tej dziewczynki, owego szczególnego dnia nie da się nabrać na Matczyną Miłość.

Tak oto, czując się "nareszcie pewniej", z kilkoma dolarami w kieszeni, Gladys przyjechała po Normę Jeane w dniu jej urodzin (szóstych?

już?

och, Chryste, to przygnębiające), tak jak obiecała.

- Czy wiatr wieje, czy słońko świeci, nic nas nie rozdzieli, aż po śmierci dzień.

Przysięgam.

- Teraz nawet trzęsienie ziemi nie zmieniłoby nastroju

Kąpiel

Gladys.

- Należysz do mnie.

Jesteś do mnie podobna.

Nikt mi cię nie ukradnie, Norma Jeane, jak moich innych córek.

Tych triumfalnych, okropnych słów Norma Jeane nie słyszała, nie słyszała, nie, nie, poniósł je hen, daleko porywisty wiatr.

Ów dzień, dzień urodzin, będzie pierwszym, jaki Norma Jeane zapamięta wyraźnie.

Ten cudowny dzień spędzony z Gladys, która bywała Matką, albo z Matką, która bywała Gladys.

Kobietą niczym ruchliwy i smukły ptak o bystrym, czujnym spojrzeniu, uśmiechu, jak to sama określała, drapieżcy i ostrych łokciach, którymi dźgała cię w żebra, jeśli zbyt blisko się do niej zbliżyłaś.

Wypuszczała przez nos świecący dym, który przypominał zakrzywione słoniowe kły, i wtedy w ogóle nie miałaś odwagi zwrócić się do niej, a już na pewno nie słowami "mamusiu" czy "mamciu" - używając tych "do porzygania słodziutkich zwrotów", o których Gladys już dawno temu zapomniała - ani nawet patrzeć na nią zbyt natarczywie.

"Przestań na mnie zerkać!

Żadnych zbliżeń, póki nie będę gotowa".

W takich chwilach ostry, łamiący się śmiech Gladys brzmiał dokładnie tak, jak odgłos wbijania szpikulca w bryłę lodu.

Ten dzień objawienia Norma Jeane będzie wspominała przez resztę swojego życia, które potrwa trzydzieści sześć lat, sześćdziesiąt trzy dni i zakończy się przed śmiercią Gladys, jedno życie zmieści się w drugim jak mała laleczka, którą można schować wewnątrz większej lali.

Czy pragnęłam innego szczęścia?

Nie.

Nie chciałam niczego, tylko być z nią.

Może trochę się poprzytulać, zasnąć z nią w jej łóżku, gdyby mi pozwoliła.

Tak bardzo ją kochałam.

W istocie istniały dowody na to, że Norma Jeane spędzała z matką jeszcze inne dni swych urodzin, w każdym razie na pewno pierwsze urodziny, choć nie mogła niczego sobie przypomnieć, chyba że brała do ręki zdjęcia - NORMIE JEANE WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO W PIERWSZĄ ROCZNICĘ URODZIN!

- odręczny napis na papierowym transparencie udrapowanym - niczym szarfa jakiejś piękności w stroju kąpielowym - na zażawionym berbeciu o puciołowatej, krągłej jak księżyc w pełni twarzy z dołkami w policzkach, z kręconymi ciemnoblond włosami i wplecionymi w nie satynowymi wstążkami; jak stare marzenia owe zdjęcia były rozmazane i porysowane, widocznie ich autorem był jakiś "przyjaciel"; widać na nich bardzo młodą, ładną Gladys, niezwykle ożywioną, w poskręcanych loczkach, o wydętych ustach jak u Clary Bow, trzymającą swe dwunastomiesięczne dziecko - Normę Jeane - sztywno na kolanach, tak jak można by trzymać przedmiot kruchy i cenny, z obawą, jeśli nie z widoczną przyjemnością, z surową dumą, jeśli nie z miłością; na odwrocie wszystkich tych zdjęć widniała data zapisana niezgrabnym pismem, 1 czerwca 1927.

Ale sześciolatnia Norma Jeane zapamiętała z tego tyle samo, co z chwili narodzin - chciała zapytać Gladys albo babcię, jak przychodzi się na świat, czy trzeba zrobić coś samemu?

- na oddziale położniczym Los Angeles County General Hospital po dwudziestu dwóch godzinach "nie ustannego piekła" (jak mawiała Gladys o tej ciężkiej próbie) albo z czasów, gdy przez osiem miesięcy i jedenaście dni tkwiła w "specjalnym worku" pod jej sercem.

Nie mogła pamiętać!

Mimo wszystko, ilekroć z przejęciem patrzyła na te zdjęcia, które Gladys zgadzała się rozłożyć na łóżku w jakiejś wynajmowanej "rezydencji", nigdy nie wątpiła, że niemowlę na zdjęciach to ona, ponieważ wszystko w swoim życiu będą poznawała poprzez świadectwa i nazwy używane przez inne osoby.

Tak jak Jezus w ewangeliach jest postacią, o której piszą, rozprawiają i opowiadają inni.

Poznam swą egzystencję oraz jej wartość innymi oczami, którym, jak wierzyłam, mogę zaufać, podczas gdy nie mogę zaufać moim własnym.

Gladys patrzyła na córkę, której nie widziała od - cóż, od miesiący.

Powiedziała podniesionym głosem:

- Nie denerwuj się.

Nie zerkaj na mnie tak, jakbym w każdej chwili mogła rozbić ten samochód.

Oczy sobie popsujesz, dorobisz się okularów i tak się to wszystko skończy.

I postaraj się nie wiercić jak mały wąż, któremu chce się siku.

Nigdy nie uczyłam cię takich obyczajów.

Wcale nie zamierzam rozbić tego samochodu, jeśli się tego obawiasz, tak jak twoja żalosna stara babka.

Przyrzekam!

Gladys spogląda z ukosa na dziecko, niby to nerwowo, lecz zarazem kusząco, co u niej nigdy nie powinno dziwić: przyciągała cię do siebie, potem odpychała; teraz zaś dodała niskim, ochrypłym głosem:

- Z okazji urodzin Mama ma dla ciebie niespodziankę.

Która już czeka specjalnie na ciebie.

- N...niespodziankę?

Gladys zasysa policzki i uśmiecha się podczas jazdy.

- D...dokąd jedziemy, Mamo?

Szczęście przesywa Normę Jeane niczym ostre kawałeczki szkła w ustach.

Choć jest ciepło i wilgotno, Gladys nosi modne ażurowe rękawiczki

w czarnym kolorze, aby chronić delikatną skórę.

Bezwiednie zaciska obie

dłonie na kierownicy.

- Pytasz, dokąd jedziemy?

Jakby cię tak posłuchać, można by odnieść wrażenie, że nigdy wcześniej nie byłeś w hollywoodzkiej rezydencji swojej matki.

Norma Jeane jest zmieszana, uśmiecha się.

Stara się myśleć.

Czy rzeczywiście?

Zdaje się, że zapomniała o czymś bardzo istotnym, dopuściła się czegoś w rodzaju zdrady, rozczarowała.

Mimo wszystko wydaje się, że Gladys często się przeprowadzała.

Czasami informowała o tym Delię, czasem nie.

Jej życie było skomplikowane i owiane tajemnicą.

Miała jakieś problemy z właścicielami lokali do wynajęcia i sąsiadami; popadała w kłopoty z "pieniężkami" i ze "środkami utrzymania".

Poprzedniej zimy krótkie i gwałtowne trzęsienie ziemi uczyniło z niej na dwa tygodnie osobę bezdomną, zmuszoną do mieszkania u przyjaciół, bez jakiegokolwiek kontaktu z Delią.

Jednakże Gladys zawsze mieszkała w Hollywood.

Albo w West Hollywood.

Wymagała tego od niej praca w Wytwórni.

Ponieważ należała do "pracownic kontraktowych" (Wytwórnia była największym przedsiębiorstwem filmowym w Hollywood, a tym samym na świecie; szczyliła się, że związała kontraktami "więcej gwiazd, niż ich błyszczą w konstelacjach"), jej życie właściwie do niej nie należało: "Tak samo jak katolickie zakonnice są poślubione Chrystusowi".

Gladys musiała oddawać na wychowanie Normę Jeane, odkąd ukończyła ona zaledwie dwanaście dni, zazwyczaj babce, za pięć dolarów tygodniowo plus wydatki, takie to już było to cholernie ciężkie życie, takie wyczerpujące, smutne, ale jaki miała wybór, skoro całymi godzinami pracowała w Wytwórni, czasem dwie zmiany pod rząd, na "jedno skinienie" szefa - jak mogła jednocześnie podjąć się opieki nad małym dzieckiem?

"Niech nikt się nie waży mnie osądzać.

Póki nie znajdzie się na moim miejscu.

Nieważne, czy to będzie mężczyzna, czy kobieta.

Ale zwłaszcza kobieta niech się nie waży.

Tak, zwłaszcza kobieta!

"

Gladys wyrzucała te słowa z tajemniczym gniewem.

Może chodziło jej o matkę.

O Delię, z którą prowadziła wojnę.

Kiedy się kłóciły, Delia twierdziła, że Gladys jest "walnięta" - czy raczej "nawalona"?

- a Gladys natychmiast protestowała, mówiąc, że to jawne kłamstwo, oszczerstwo; w żadnym razie, nigdy nawet nie czuła zapachu marihuany, a cóż dopiero mówić o paleniu.

"A tym bardziej opium.

Nigdy!

" Delia słyszała zbyt wiele niesamowitych i nieprawdopodobnych opowieści na temat ludzi filmu.

To prawda, Gladys czasami popadała w stan nadmiernej ekscytacji.

Ogień płonie we mnie!

Cudowny ogień.

To prawda, innym razem robiła się smętna, ogarniała ją "czarna rozpacz", wpadała w "dołek".

Jak gdyby moja dusza stawała się roztopionym ołowiem, wyciekała i twardniała.

Mimo wszystko Gladys była atrakcyjną młodą kobietą, miała wielu przyjaciół.

Mężczyzn.

Którzy komplikowali jej życie uczuciowe.

"Gdyby ci faceci zostawili mnie w spokoju, z Gladys wszystko byłoby w porządku".

Ale oni rzecz jasna nie zostawili jej w spokoju, więc Gladys ratowała się regularnym przyjmowaniem leków.

Medykamentów przepisanych przez lekarza albo może też środków podawanych jej przez tychże facetów.

Żyła na aspirynie Bayera i w znacznym stopniu uodporniła się na jej działanie:

rozpuszczała tabletki w czarnej kawie niczym małe kostki cukru, mówiąc:

"Nie czuję ich smaku!

"

Tego ranka Norma Jeane zorientowała się natychmiast, że Gladys ma swój "wzlot": jest rozkojarzona, ożywiona, nieprzewidywalna, chwiejna jak płomień świecy w przeciągu.

Jej woskowoblada skóra wydzielala fale ciepła jak ulice w letnim słońcu, a jej oczy!

- ruchliwe, błędzące, o rozszerzonych źrenicach.

Oczy, które kochałam.

Nie mogłam na nie patrzeć.

Gladys prowadziła samochód beztrąsko i szybko.

Z Gladys jeździło się tak jak samochodzikami w wesołym miasteczku: trzeba się było mocno trzymać.

Jechały w głąb lądu, oddalając się od Venice Beach i oceanu.

Na północ, w kierunku La Cienega i Sunset Boulevard, mijając znajome ulice, które Norma Jeane pamiętała z wcześniejszych przejażdżek w towarzystwie matki.

Ależ grzechotał stary nash, mknąc naprzód, reagując na niecierpliwe przyciskanie pedału gazu.

Podskoczyły na torach tramwajowych, zatrzymały się w ostatniej chwili przed czerwonymi światłami, aż Norma Jeane zaczęła dzwonić zębami, choć jednocześnie chichotała nerwowo.

Czasami samochód Gladys wpadał w poślizg na środku skrzyżowania i momentalnie stawał się elementem sceny jakby żywcem wyjętej z filmu: koncert klaksonów, krzyki, wymachiwanie pięściami; chyba że kierowcami byli samotni mężczyźni, wówczas wszelkie gesty wydawały się łagodniejsze.

Kilka razy Gladys zignorowała gwizdek policjanta i uciekła.

"Wiesz, nie zrobiłam niczego złego!

Nie chcę, aby wygrażały mi jakieś łobuzy".

Delia lubiła narzekać ni to żartobliwie, ni to gniewnie, że Gladys "straciła" swoje prawo jazdy, co oznaczało...

No właśnie, co?

Straciła je tak, jak ludzie gubią różne przedmioty?

Zawieruszyła je?

Czy może ten dokument zabrał jej policjant, aby ją ukarać, a Normy Jeane przy tym nie było?

Jedno Norma Jeane wiedziała na pewno: nie odważy się zapytać o to Gladys.

Z Sunset Boulevard wjechały w boczną ulicę, potem skręciły w następną i wreszcie w La Mesa, nieefektywną uliczkę pełną małych przedsiębiorstw, bistr, koktajlbarów i bloków mieszkalnych; Gladys wyjaśniła, że to jest jej "nowe sąsiedztwo, które właśnie poznaję, a musisz wiedzieć, że przyjęto mnie tu bardzo serdecznie".

Dodała, że do Wytwórni "można stąd dojechać w sześć minut".

Istniały "osobiste powody", które przemawiały za zamieszkaniem w tym miejscu, ale są one zbyt skomplikowane, by się nad nimi rozwodzić.

Ale Norma Jeane sama zobaczy.

"To część niespodzianki".

Gladys zaparkowała samochód przed frontem mizernego hiszpańskiego domu z białymi stiukami, zniszczonymi zielonymi markizami i zniekształconymi schodami przeciwpożarowymi.

HACJENDA.

DO WYNAJĘCIA POKOJE I MAŁE MIESZKANIA NA TYGODNIE I MIESIĄCE.

INFORMACJA WEWNĄTRZ.

Dom oznaczono numerem 387.

Norma Jeane patrzyła, zapisując w pamięci to, co widziała; była jak aparat fotograficzny rejestrujący obrazy na kliszy; gdyby któregoś dnia zgubiła się, wtedy będzie musiała znaleźć drogę do tego miejsca, którego nigdy wcześniej nie widziała, ale z Gladys takie chwile były bardzo ważne, tajemnicze i pełne emocji, aż człowiekowi serce się w piersiach tłukło jak po zażyciu jakiegoś lekarstwa.

Jakpoprzyjęciu amfetaminy- ten sam ciężar gatunkowy.

Przez całe życie tam wracałam.

Niczym lunatyk wychodziłam z życia i wracałam na La Mesa, do Hacjendy i do miejsca na Highland Avenue, gdzie znowu byłam dzieckiem, znowu pod jej opieką, pod jej urokiem, a ten koszmar jeszcze się nie zaczął.

Gladys dostrzegła wyraz twarzy Normy Jeane, którego sama dziewczynka nie mogła zobaczyć, i roześmiała się.

- Mała jubilatko!

Bądź co bądź, sześć lat ma się tylko raz w życiu.

Do siedmiu możesz nawet nie dożyć.

Chodźmy.

Dłoń Normy Jeane była mokra od potu, więc Gladys nie chwyciła jej.

Szturchnęła dziewczynkę - pięścią w rękawiczce, lekko, rzecz jasna żartobliwie, kierując ją do góry po nieco wyszczerbionych stopniach zewnętrznych schodów Hacjendy, do nagrzanego wnętrza z zapiaszczoną klatką schodową i linoleum na wewnętrznych schodach.

"Ktoś na nas czeka i pewnie już się zaczyna niecierpliwić.

No, dalej".

Spieszyły się.

Biegły.

Galopowały coraz wyżej.

Gladys, w swych wspaniałych butach na wysokich obcasach, nagle wpadła w panikę; czy może udawała, że w nią wpadła?

czy była to jedna z jej scen?

Na górze matka i córka nie mogły złapać tchu.

Gladys otworzyła drzwi do swojej obecnej "rezydencji", niewiele różniącej się od poprzedniej, którą Norma Jeane ledwie pamiętała.

Trzy ciasne izby z poplamionymi tapetami, poplamiony sufit, wąskie okna, płaszczyzny luźnego linoleum na nagich deskach, kilka meksykańskich chodników, nie szczelna, trochę cuchnąca lodówka, kuchenka dwupalnikowa, naczynia w zlewie i uciekające w popłochu czarne karaluchy, które błyszcząły niczym nasiona arbuza.

Na ścianie kuchni wisiały przypięte pinezkami plakaty do filmów, w których produkcję Gladys była zaangażowana i z których była dumna: Kiki z Mary Pickford, Na Zachodzie bez zmian z Lew Ayresem, Światła wielkiego miasta z Charliem Chaplinem, w którego pełne uczucia oczy Norma Jeane mogła patrzeć i patrzeć, przekonana, że Chaplin ją widzi.

Niejasne było, co Gladys miała wspólnego z tymi sławnymi filmami, ale Normę Jeane oczarowały twarze aktorów.

Oto, co znaczy dom.

To miejsce pamiętam.

Znajomy był również ciepły zaduch mieszkania - Gladys nie miała w zwyczaju uchylać okien na czas swojej nieobecności - ostra woń potraw, zmielonej kawy, papierosowego popiołu, spalenizny, perfum i tego tajemniczego, ostrego, chemicznego zapachu, którego Gladys nigdy nie mogła całkowicie zmyć, choć nieustannie szorowała dłonie mydłem leczniczym, aż były poobcierane do krwi.

Mimo wszystko owe zapachy uspokajały Normę Jeane, bo przywodziły na myśl dom.

Miejsce, gdzie była Matka.

Nowe mieszkanie!

Było jakieś dziwne.

Panowała tu większa ciasnota i nieporządek niż w poprzednich mieszkaniach.

Albo może Norma Jeane była teraz starsza i więcej dostrzegała?

Kiedy znalazła się wreszcie w środku, nastąpił ten okropny moment zawieszenia między pierwszym poruszeniem ziemi i następnym, naprawdę silnym drżeniem, którego nie da się zignorować ani zakwestionować.

Czekała, nie mając odwagi odetchnąć. Stało tu wiele otwartych, ale nie rozpakowanych pudeł, na których odcisnięto napis WŁASNOŚĆ WYTWÓRNI.

Stosy ubrań leżały na kuchennym blacie i wisały na drucianych wieszakach na sznurze rozwieszonym w kuchni, tak że na pierwszy rzut oka można by odnieść wrażenie, że tłoczą się w niej ludzie, kobiety w "kostiumach" - Norma Jeane wiedziała, co to są kostiumy, że to coś innego niż "ubrania", choć nie potrafiła wyjaśnić, na czym polega różnica.

Wśród tych kostiumów znajdowały się efektowne i olśniewające krótkie sukienki z wąskimi ramiączkami.

Inne, te z długimi mankietami, były poważniejsze.

Majtki, staniki i pończochy suszyły się na sznurze.

Gladys przyglądała się Normie Jeane, jak ta z otwartą buzią wpatruje się w ubrania kołyszące się nad jej głową.

Na widok jej zmieszania wybuchnęła śmiechem.

- Coś nie tak?

Nie pochwalasz tego?

Delia tego nie pochwała?

Kazała ci mnie szpiegować?

Teraz idziemy tu.

Tędy.

No, dalej.

Dźgnęła Normę Jeane łokciem i skierowała ją do następnego pokoju, do sypialni.

Małe pomieszczenie, z okropnymi zaciekami na ścianach i suficie, z pojedynczym oknem częściowo zasłoniętym splekanymi i poplamionymi żaluzjami.

Było też znajome łóżko z błyszczącymi, choć nieco wytartymi gałkami i puchowymi poduchami, biurko z sosnowego drewna, nocny stolik z buteleczkami na tabletki, magazyny ilustrowane, książki w miękkich okładkach, pełna popielniczka na egzemplarzu "Hollywood Tatier"; wokoło wisało jeszcze więcej ubrań i stało tu więcej otwartych, lecz nie rozpakowanych pudeł; nad łóżkiem wielkie, jaskrawe zdjęcie z "The Hollywood Revue" z 1929 roku przedstawiające Marie Dressler w białej przejrzystej sukni.

Gladys wyglądała na podnieconą, oddychała szybko i przyglądała się, jak Norma Jeane rozgląda się wokoło z niepokojem - no bo gdzie się podziała "niespodzianka"?

Schowwała się?

Pod łóżkiem?

W garderobie?

(Lecz garderoby tu nie było, tylko stojąca pod ścianą szafa z płyty pilśniowej.) Brzęczała samotna mucha.

Przez okno w pokoju widać było jedynie pustą, brudną ścianę sąsiedniego budynku.

Norma Jeane zachodziła w głowę:

Gdzie?

Kto to taki?

, nawet wówczas gdy Gladys ukuła ją lekko między łopatkami, upominając trochę gniewnie:

-Normo Jeane, daję słowo, czasem jesteś nierozgarnięta jak...

jak nie

przymierzając półgłówek.

Naprawdę nie widzisz?

Otwórz oczy i popatrz.

Ten mężczyzna jest twoim ojcem.

Wreszcie Norma Jeane zorientowała się, na co wskazuje Gladys.

To nie mężczyzna.

To zdjęcie mężczyzny, wiszące na ścianie obok lustra
na komodzie.

W dniu szóstych urodzin poraz pierwszy ujrzałam jego twarz.

Wcześniej nic o tym nie wiedziałam- miałam ojca!

Ojca jak inne dzieci.

Zawsze podejrzewałam, że jego nieobecność ma coś wspólnego ze mną.

Z czymś złym, nieodpowiednim, co tkwiło we mnie.

Dlaczego nikt mi wcześniej nie powiedział?

Ani matka, ani babcia, ani

dziadek.

Nikt.

A jednak nigdy nie spojrzę na jego prawdziwą twarz.

I umrę przed nim.

- I co, Normo Jeane?

Nie uważasz, że jest przystojny?

Twój ojciec.

Głos Gladys, który czasem wydawał się beznamiętny, bezbarwny, odrobinę drwiący, drżał teraz jak u niedoświadczonej dziewczyny.

Norma Jeane bez słowa wpatrywała się w mężczyznę, który był podobno
jej ojcem.

W mężczyznę z fotografii.

Mężczyznę na ścianie obok lustra na
komodzie.

Ojciec?

Całe jej ciało wydawało się rozpalone i pulsujące jak

skaleczony kciuk.

- O, proszę.

Ale uważaj. Nie wolno go dotykać lepкими palcami.

Uroczystym gestem Gladys zdjęła ze ściany oprawioną fotografię.

Prawdziwą fotografię.

Norma Jeane dostrzegła połysk charakterystyczny dla prawdziwego zdjęcia, a nie plakatu czy strony wyrwanej z jakiegoś pisma.

Gladys z namaszczeniem trzymała fotografię w dłoniach obciążniętych wspaniałymi rękawiczkami.

Norma Jeane wprawdzie miała zdjęcie na po ziomie oczu, ale nie mogłaby go dotknąć bez wysiłku.

A jakże bardzo w takiej chwili pragnęła go dotknąć!

Wiedziała jednak z doświadczenia, że nie należy dotykać specjalnych rzeczy Gladys.

- On...

On jest moim ojcem?

- Z całą pewnością.

Masz jego seksowne, niebieskie oczy.

- A gdzie...

gdzie on...

- Sza!

Patrz.

To była scena z jakiegoś filmu.

Norma Jeane niemal słyszała skoczną melodię.

Jakże długo obie patrzyły!

W ciszy pełnej uszanowania kontemplowały "mężczyznę w ramkach", "mężczyznę na zdjęciu", "mężczyznę, który był ojcem Normy Jeane", mężczyznę złowrogo przystojnego, mężczyznę o gładkich, pokrytych brylantyną gęstych włosach, mężczyznę z cieniutką linią wąsów na górnej wardze, mężczyznę o bladych, niemal niedostrzegalnie opadających powiekach nad przenikliwymi oczami.

Mężczyznę o mięsistych, lekko rozchylonych w uśmiechu ustach, mężczyznę, który zdawał się wstydliwie unikać ich spojrzeń, mężczyznę o uniesionym podbródku, o dumnym, orlim nosie i z wgłębieniem w lewym policzku, dołkiem jak u Normy Jeane.

Albo blizną.

Był starszy od Gladys, ale tylko trochę.

Miał trzydzieści kilka lat, twarz aktora z wystudiowanym wyrazem świadczącym o dużej pewności siebie.

Filcowy kapelusz przechylony z fantazją na dumnie uniesionej głowie i biała koszula z miękkim, falbaniastym kołnierzykiem sprawiały wrażenie kostiumu filmowego z minionych czasów.

Mężczyzna, jak się wydawało Normie Jeane, już, już miał się odezwać, ale w końcu nie zrobił tego.

Tak usilnie nasłuchiwałam.

Jakbym wcześniej ogłuchła.

Serce trzepotało w piersi Normy Jeane jak skrzydła kolibra.

Biło głośno, rozbrzmiewało w całym pokoju.

Lecz Gladys niczego nie zauważyła i nie odezwała się.

Sama wpatrywała się w mężczyznę na zdjęciu żarliwie i z za chwytem, powtarzając w uniesieniu niczym natchniona piosenkarka:

- Twój ojciec.

Nosi piękne nazwisko, nazwisko kogoś ważnego, ale nie mogę go ujawnić.

Nawet Delia go nie zna.

Delii może się zdawać, że jest inaczej, ale ona naprawdę nic nie wie.

I nie może się dowiedzieć!

Nawet o tym, że ty go widziałaś.

Nasza sytuacja jest bardzo skomplikowana, rozumiesz.

Kiedy się urodziłaś, twój ojciec przebywał daleko stąd; nawet teraz jest daleko i niepokoi się o swoje bezpieczeństwo.

Uwielbia po dróże i gdyby żył w dawnych czasach, pewnie zostałby wojownikiem.

Tak się złożyło, że narażał życie w służbie demokracji.

Głęboko w naszych sercach on i ja należymy do siebie...

jesteśmy mężem i żoną.

Chociaż gardzimy konwencjami i nie przystajemy na nie.

"Kocham cię, kocham naszą córkę, a pewnego dnia wrócę po was do Los Angeles"...

oto, co mi obiecał twój ojciec, Normo Jeane.

Obiecał nam obu.

Gladys zamilkła na chwilę, zwilżyła usta.

Choć mówiła do Normy Jeane, sprawiała wrażenie, jakby nie do końca miała świadomość jej obecności.

Wpatrywała się w fotografię, od której zdawały się odbijać wiązki rozszczepionego światła.

Jej pokryta potem skóra płonęła rumieńcem, usta wyglądały na opuchnięte, jakby otarte pod warstwą jasnoczerwonej szminki; dłonie w ażurowych rękawiczkach nie znacznie drżały.

Norma Jeane zapamięta, że próbowała się skoncentrować na słowach matki, a nie na szumie w uszach i nieprzyjemnym ucisku głęboko w brzuchu, jakby musiała koniecznie iść do toalety, ale nie śmiała się odezwać ani nawet poruszyć.

- Twój ojciec miał kontrakt z Wytwórnią, kiedy się spotkaliśmy, przed ośmiu laty, w dzień po Niedzieli Palmowej; zawsze będę pamiętała!

Należał do najbardziej obiecujących młodych aktorów, lecz...

Cóż, mimo naturalnego talentu i znakomitej prezencji - drugi Valentino, jak powiadał sam pan Thalberg - brakowało mu dyscypliny, cierpliwości i powagi.

Wygląd, styl i osobowość, Normo Jeane, to nie wszystko, trzeba jeszcze przestrzegać pewnych zasad.

Okazywać pokorę.

Ukrywać własną dumę i harować jak koń.

Kobietom to wszystko przychodzi łatwiej.

Ja także podpisałam kiedyś umowę, na krótko.

Jako młoda aktorka.

Ale zmieniałam działkę.

Z własnej woli!

Bo zrozumiałam, że nic z tego nie będzie.

Ale on był oczywiście typem buntownika.

Przez pewien czas pracował jako dubler Chestera Morrisa i Donalda Reeda.

W końcu jednak odszedł.

"Mając do wyboru duszę i karierę, wybieram duszę", powiedział.

W podnieceniu Gladys dostała ataku kaszlu.

Niósł się od niej silny zapach perfum, zmieszany z nikłą, kwaśnocytrynową wonią chemikaliów, którymi wydawała się nasiąknięta jej skóra.

Norma Jeane zapytała, gdzie jest ojciec.

Gladys odpowiedziała ze złością:

- Daleko, głuptasie.

Już ci mówiłam.

Nastrój Gladys ulegał zmianom.

Często tak bywało.

Podkład muzyczny też się gwałtownie zmieniał.

Teraz przypominał zgrzyt piły albo szum fal, które bezlitośnie wdzierają się na plażę, gdzie Delia, utyskująca i zadyszana z powodu "wysokiego ciśnienia", chodziła "dla zdrowia" z Normą Jeane po ubitym piasku.

Nigdy nie zapytałabym dlaczego.

Dlaczego nikt mi nie powiedział aż do tamtej chwili.

Dlaczego dowiedziałam się o tym teraz.

Gladys powiesiła fotografię z powrotem.

Tylko że gwóźdź nie trzymał się już tak pewnie w gipsowej ścianie.

Samotna mucha nadal brzęczała, uderzając ustawicznie i z nadzieją o szybę.

- Przeklęta mucha, której brzęk "przez śmierć słyszałam" - zauważyła tajemniczo Gladys.

Taka właśnie była Gladys.

Wyrażała się tajemniczo w obecności Normy Jeane, choć niekoniecznie zwracała się do niej.

Córka była świadkiem, uprzywilejowanym obserwatorem, jak stróż w kinie - szefowie udają, że go nie dostrzegają albo naprawdę go nie dostrzegają.

Uplęnęło trochę czasu, nim gwóźdź znowu mocno utkwiał w ścianie i nim ramka zawisła równo.

Jeśli chodziło o tego rodzaju drobiazgi, Gladys była perfekcjonistką, upominała Normę Jeane, gdy ta krzywo powiesiła ręcznik albo niestarannie po ustawiała książki na półkach.

Kiedy mężczyzna na fotografii wrócił bez pieczeni na ścianę przy lustrze komody, Gladys postąpiła kilka kroków w tył i odprężyła się nieco.

Norma Jeane wciąż patrzyła na zdjęcie jak zaczarowana.

Oto twój ojciec.

Ale to nasza tajemnica, Normo Jeane.

Narazie wystarczy, jak będziesz wiedziała, że jest daleko.

Ale pewnego dnia - może już wkrótce - wróci do Los Angeles.

Obiecał.

Będzie się mówiło, że nie byłam szczęśliwa jako dziecko, że moje dzieciństwo było okresem rozpacz, lecz ja wam powiem: nigdy nie byłam nie szczęśliwa.

Nigdy nie byłam nieszczęśliwa, póki miałam matkę, a pewnego dnia pojawił się także ojciec.

I jego też mogłam kochać.

Była jeszcze babcia Delia, matka matki Normy Jeane.

Silna kobieta o brwiach gęstych niczym szczotki i łobuzerskim wąsiku pod nosem.

Delia w swoisty sposób stawała w drzwiach wejściowych albo na werandzie budynku.

Z rękoma opartymi na biodrach wyglądała jak kufel z dwoma uchami.

Sklepikarze bali się jej groźnego wzroku i ciętego języka.

Przepadała za kowbojem Williamem S.

Hartem, uwielbiała Charliego Chaplina, geniusza mimiki, i chętnie się, że pochodzi "z dobrego rodu amerykańskich pionierów"; przyszła na świat w Kansas, przeniosła się do Nevady, potem do południowej Kalifornii, gdzie spotkała i poślubiła ojca Gladys, który został podtruty, jak powiadała Delia z wyrzutem, w Argonne około roku 1918...

"Przynajmniej żyje.

Nareszcie za coś można być wdzięcznym rządowi Stanów, nie?

"

Tak, był jeszcze dziadek Monroe, mąż Delii, który z nimi mieszkał.

Norma Jeane żyła w przekonaniu, że jej nie lubi, ale właściwie dziadka i tak jakby tam nie było.

Na pytanie o niego Delia niezmiennie odpowiadała wzruszeniem ramion i słowami: "Przynajmniej żyje".

Babcia Delia!

Postać znana w całym sąsiedztwie.

Babcia Delia była źródłem wszystkiego, co Norma Jeane wiedziała - albo co wydawało się jej, że wie o Gladys.

Najważniejszy fakt dotyczący Gladys był też jej główną tajemnicą: nie mogła być prawdziwą matką dla Normy Jeane.

Nie teraz.

- Nie obwiniajcie mnie - oświadczyła Gladys, nerwowo zapalając papierosa.

- Niech nikt z was mnie nie obwinia.

Bóg wystarczająco mnie ukarał.

Ukarał?

W jaki sposób?

Gdy Norma Jeane miała odwagę zadać takie pytanie, Gladys przymykała powieki nad swymi ślicznymi, choć nieco przekrwionymi szarobłękitnymi oczyma, w których ciągle błyszczała wilgoć.

Nawet nie pytaj.

Po tym wszystkim, co uczynił Bóg.

Rozumiesz?

Norma Jeane uśmiechnęła się.

Uśmiech nie oznaczał wcale, że rozumie, ale że jest szczęśliwa, nie rozumiejąc.

Niemniej: wiadomo było, że przed Normą Jeane Gladys miała "inne dziewczynki" - "dwie dziewczynki".

Ale gdzie się one podziały?

- Niech mnie nikt z was nie obwinia, do licha!

Zdaje się, że Gladys, choć w wieku trzydziestu jeden lat wyglądała bardzo młodo, miała za sobą dwa małżeństwa.

Pewne natomiast było - co Gladys potwierdzała dość pogodnie, w sposób charakterystyczny dla postaci filmowej z komicznymi nawykami albo tikiem - że jej nazwisko często się zmieniało.

Delia opowiadała historię, jedną z jej najbardziej bolesnych matczynych historii, o tym, jak Gladys urodziła się i została ochrzczona jako Gladys Pearl Monroe w Hawthorne, hrabstwo Los Angeles, w roku 1902.

Jako siedemnastolatka poślubiła (wbrew woli Delii) mężczyznę o nazwisku Baker, zatem została panią Gladys Baker, lecz (oczywiście!

) ten związek nie przetrwał nawet roku, więc się rozwiodła i wyszła za "parkingowego Mortensena" (ojca dwóch zaginionych, nieobecnych starszych sióstr?

), ale i to nie wypaliło (oczywiście!

) i Mortensen odszedł z życia Gladys - chwala Bogu.

Tyle że nazwisko Gladys nadal brzmiało Mortensen na pewnych dokumentach, których nie zmieniała i nie chciała zmieniać, ponieważ przerażało ją wszystko, co wiązało się z papierami i prawem.

Mortensen nie był rzecz jasna ojcem Normy Jeane, ale jego nazwiskiem Gladys posługiwała się od pierwszego dnia życia dziewczynki.

A jednak - oto fakt, który najbardziej wściekał Delię, taki był perwersyjny - oficjalne nazwisko Normy Jeane brzmiało Baker, nie Mortensen.

- Wiesz dlaczego?

- Delia mogła zapytać kogoś z sąsiedztwa, jeśli tylko ten ktoś miał dość cierpliwości, by wysłuchiwać tego rodzaju głupot.

- Ponieważ moja zwariowana córka "mniej nienawidziła" Bakera.

- Delia mówiła dalej, wprawiając się w nastrój szczerego przygnębienia: - W nocy nie mogę zasnąć.

Żal mi tego biedactwa, które nie wie, kim jest.

Powinnam zaadoptować Normę Jeane i dać jej własne nazwisko, skromne i niezbrukane - Monroe.

- Nikt nie zaadoptuje mojego maleństwa - oświadczyła zdecydowanie Gladys - póki żyję i mogę temu zapobiec.

Póki żyję.

Norma Jeane dobrze wiedziała, jakie to było ważne, pozostać przy życiu.

Zatem Norma Jeane oficjalnie była Normą Jeane Baker.

W wieku siedmiu miesięcy została ochrzczona przez sławną ewangelizatorkę Aimee Semple McPherson w świątyni Międzynarodowego Kościoła Otwartej Ewangelii (do którego wówczas należała Delia) i miała nosić to nazwisko, póki nie zmieni go za sprawą mężczyzny, który weźmie sobie Normę Jeane za "żonę", póki jej imię i nazwisko nie zmieni się na mocy pewnej decyzji mężczyzny.

Zrobiłam to, czego ode mnie wymagano.

A wymagano ode mnie, żebym pozostała przy życiu.

W osobliwym przypiływie macierzyńskich uczuć Gladys wyjaśniła Normie Jeane, że jej imiona zostały starannie dobrane.

- Norma - to na cześć wielkiej Normy Talmadge, a Jeane - kogóż by innego, jak nie Harlow?

- Nazwiska te niewiele znaczyły dla dziecka, ale Norma Jeane widziała, jak Gladys drży na sam ich dźwięk.

- Ty, Normo Jeane, połączysz w sobie obydwie, rozumiesz?

Połączysz je w swoim losie.

- No, więc, Normo Jeane, teraz wiesz!

To była wiedza olśniewająca jak słońce.

Porażająca jak uderzenie w twarz.

Uszminekowane na czerwono usta Gladys, na których rzadko gościł uśmiech, teraz właśnie rozchyłały się radośnie.

Gladys oddychała szybko, jakby przed chwilą biegła.

- Zobaczyłaś właśnie jego twarz.

Twarz twojego prawdziwego ojca, który nie nazywa się Baker.

Tylko nie mów o tym nikomu, słyszysz?

Zwłaszcza Delii.

- T...tak, Mamo.

Między starannie wyregulowanymi brwiami Gladys pojawiła się głęboka zmarszczka.

- Co takiego, Normo Jeane?

- Tak, Mamo.

- No, to rozumiem!

Norma Jeane nie mogła wyzbyć się jąkania, tylko że tym razem przesunęło się ono z języka do kolibrowego serca, gdzie pozostanie ukryte.

W kuchni Gladys zdjęła jedną ze swych cudownych ażurowych rękawiczek i w formie pieszczoty przesunęła nią po karku Normy Jeane.

Co za dzień!

Szczęście niczym wilgotna mgła spowiło płaski krajobraz miasta.

Szczęście wdychane z każdym oddechem.

Gladys mruknęła:

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Normo Jeane!

- i: - Czy ci nie mówiłam, że to twój specjalny dzień?

Zadzwonił telefon.

Gladys uśmiechnęła się do siebie, ale nie podniosła słuchawki.

Żaluzje w oknach były opuszczone aż po parapety.

Gladys wspominała coś o "ciekawskich" sąsiadach.

Gladys zdjęła tylko lewą rękawiczkę.

Mogło się zdawać, że o prawej zupełnie zapomniała.

Norma Jeane zwróciła uwagę, że na lekko zaczerwienionej skórze lewej dłoni odcisnęły się małe romby.

Gladys miała na sobie sukienkę z krepy w kolorze kasztanowym, dopasowaną w talii, z wysokim kołnierzykiem i obszernym dołem, który przy poruszaniu się wydawał odgłos przypominający oddech.

Norma Jeane nigdy wcześniej tej sukni nie widziała.

Każda chwila była brzemienna w znaczenie.

Każda chwila, jak każde uderzenie serca, to sygnał ostrzegawczy.

W niszy kuchennej Gladys nalewa do wyszczerbionych filiżanek sok winogronowy dla Normy Jeane i intensywnie pachnącą "wodę z medykamentami" dla siebie.

Niespodzianką jest ciasto urodzinowe!

Waniliowa polewa, sześć malutkich różowych świeczek i napis z gęstego czerwonego syropu:

NORMIEJEAN SZCZĘŚCIA W DNIU URODZIN

Sam widok, no i ten cudowny zapach, sprawił, że Normie Jeane ślinka napłynęła do ust.

Ale Gladys była najwyraźniej rozszłoszczona.

- Zakuta pała z tego piekarza, zrobił błąd w słowie "szczęścia" i w twoim imieniu, a przecież powiedziałam mu.

Z drobnymi problemami, drżącymi rękoma, choć może to pokój wibrował albo górna warstwa ziemi (w Kalifornii człowiek nigdy nie wie, co jest rzeczywiste, a co jest tylko wytworem wyobraźni), Gladys zdołała zapalić sześć świeczek.

Zadaniem Normy Jeane było zdmuchnięcie bladych, migoczących nerwowo płomyków.

- A teraz, Normo Jeane, musisz sobie pomyśleć życzenie - oświadczyła z zapalem Gladys, pochylając się do przodu w taki sposób, że niemal do tknęła ciepłej twarzy dziecka.

- Życzenie, by pewien mężczyzna, wiadomo kto, wkrótce do nas wrócił.

No, dalej!

Zamknawszy oczy, Norma Jeane pomyślała o życzeniu i jednym dmuchnięciem zgasła wszystkie małe świeczki z wyjątkiem jednej.

Tę ostatnią zdmuchnęła Gladys.

- Proszę bardzo.

Dobre to jak modlitwa.

Przez chwilę Gladys szperała w szufladzie, starając się zlokalizować nóż nadający się do ukrojenia tortu; w końcu znalazła "rzeźnicki nóż - tylko się nie bój!

", a jego długie ostrze błyszczało jak słońce odbite od przybrzeżnych fal w Venice Beach, raziło w oczy, lecz nie można było nie patrzeć.

Gladys wtopiła ostrze w ciasto, marszcząc w skupieniu czoło i przytrzymując dłoń w rękawiczce dłonią bez rękawiczki, odkroiła po jednym kawałku dla każdej z nich; ciasto było nieco wilgotne i kleiło się w środku, a kawałki wystawały poza brzegi podstawek pod filiżanki, których Gladys użyła w charakterze talerzyków.

Ależ było dobre!

Tamto ciasto smakowało wybornie.

Już nigdy więcej nie skosztowałam czegoś tak smacznego.

Matka i córka jadły z apetytem; dla każdej z nich ciasto było pierwszym posiłkiem tego dnia, którego minęła już więcej niż połowa.

- A teraz, Normo Jeane, czas na prezenty.

i Po raz drugi odezwał się dzwonek telefonu.

A Gladys tylko się uśmiechała promiennie, jakby w ogóle nic nie słyszała.

Wyjaśniła właśnie, że zabrakło jej czasu, aby prezenty odpowiednio zapakować.

Pierwszym był zrobiony szydełkiem ładny różowy sweterek z bawełny, który w miejscu guzików miał wyszyte pąki róż, sweterek raczej dla młodszego dziecka, ponieważ był za ciasny na Normę Jeane, dziewczynkę i tak dość małą jak na swój wiek, lecz Gladys, zachwycona, sprawiała wrażenie, że niczego nie zauważa:

- Czyż nie jest czarujący!

Jesteś małą księżniczką.

Potem przyszła kolej na mniejsze sztuki garderoby: białe bawełniane skarpety, bieliznę (zachowały się metki ze sklepu z przecenionymi rzeczami).

Już od miesiąca Gladys nie kupowała córce tego rodzaju drobiazgów;

poza tym od kilku tygodni spóźniała się z przekazywaniem Delii pieniędzy, więc Norma Jeane z radością pomyślała, że Delia się z tego ucieszy.

Podziękowała matce, a Gladys strzeliła palcami i powiedziała:

- Och, nie ma za co, to zaledwie wstęp.

Chodź.

Z wyraźnym talentem dramatycznym zaprowadziła dziewczynkę do sypialni, gdzie na honorowym miejscu wisiała fotografia przystojnego mężczyzny, i gwałtownym szarpnięciem wysunęła z komody górną szufladę.

- Presto, Normo Jeane!

Oto coś dla ciebie.

Lalka?

Norma Jeane stanęła na palcach i z zapamiętaniem wyciągała lalkę o złocistych włosach, okrągłych, niebieskich szklanych oczach i ustach jak pączek róży, kiedy Gladys zapytała:

- Czy pamiętasz, Normo Jeane, kto tutaj sypiał, w tej szufladzie?

- Norma Jeane potrząsnęła głową.

- Nie w tym mieszkaniu, ale w tej szufladzie.

Właśnie tej.

Nie pamiętasz, kto tu sypiał?

- Norma Jeane znowu potrząsnęła głową.

Zaczęła czuć się nieswojo.

Gladys tak dziwnie na nią patrzyła, miała oczy szeroko otwarte, jakby naśladowała lalkę, tylko że oczy Gladys były bladoniebieskie, a usta jasnoczerwone.

Wreszcie Gladys ze śmiechem zdradziła, o co jej chodzi: - Ty, ty, Normo Jeane.

Sypiałaś właśnie w tej szufladzie!

Byłam tak biedna, że nie mogłam sobie pozwolić na łóżeczko dla ciebie.

Ale ta szuflada była twoim łóżeczkiem, kiedy byłeś maleńkim niemowlęciem; nic innego wcale nie było nam potrzebne, prawda?

W głosie Gladys wyczuwało się lekkie drżenie.

Gdyby do tej sceny dopasować muzykę, musiałyby to być szybkie staccato.

Norma Jeane potrząsnęła głową, nie, nie pamiętała tego, tak jak nie pamiętała pieluch oraz tego, jak ciężko było Delii i Gladys nauczyć ją korzystać z nocnika.

Gdyby miała czas dokładnie przyjrzeć się najwyższej szufladzie w sosnowej komodzie i zobaczyć, w jaki sposób można ją zamknąć, zebrałoby się jej na mdłości, zupełnie tak samo, jakby stała na samym szczycie schodów albo wyrzała przez położone wysoko okno, albo wbiegła do wody wprost pod

wysoką, przełamującą się falę, bo niby jak ona mogła, duża sześciolatka dziewczynka, zmieścić się kiedykolwiek w tak ciasnym miejscu?

- i czy ktoś zamykał tę szufladę, aby stłumić jej płacz?

Ale Norma Jeane nie miała czasu myśleć o tym, skoro w ramionach trzymała urodzinową lalkę, najpiękniejszą lalkę, jaką kiedykolwiek widziała z bliska, tak piękną jak Śpiąca Królewna w książce z obrazkami, lalkę z falami złocistych włosów sięgających ramion, miękkich i jedwabistych jak prawdziwe włosy, ładniejszych niż jasnobrązowe włosy Normy Jeane i całkowicie niepodobnych do syntetycznych włosów większości lalek.

Ta lalka nosiła małą szlafmycę i flanelową koszulę nocną w kwiaty, jej skóra była gładka, miękka, doskonała, a jej paluszki ukształtowane idealnie!

Małeńkie stopy ginęły w białych bawełnianych bucikach związanych różowymi wstążkami!

Norma Jeane pisnęła z zachwytu i chciała przytulić się do matki, aby jej podziękować, ale Gladys zeszywniała tak wyraźnie, że dziecko zorientowało się, iż lepiej tego nie robić.

Gladys zapaliła papierosa i z rozkoszą wypuściła dym; paliła chesterfieldy, ulubioną markę Delii (choć Delia była przeświadczona, że palenie jest fatalnym nawykiem i oznaką słabości, którą zdecydowana była zwalczyć).

Odezwała się z nutą złośliwości w głosie:

- Musiałam zadać sobie dużo trudu, aby ją zdobyć dla ciebie, Normo Jeane.

Spodziewam się, że przejmiesz odpowiedzialność za tę lalkę.

- Słowa "odpowiedzialność za tę lalkę" dziwnie zawisły w powietrzu.

Norma Jeane z całego serca pokocha blondwłosą lalkę!

Jedną z największych miłości jej dzieciństwa.

Z jednym wyjątkiem: niepokoiło ją, że kończyny lalki są w tak oczywisty sposób pozbawione kości, luźne; bez trudu można sprawić, iż będą się kołysały na wszystkie strony.

Kiedy się położyło lalkę na plecach, jej stopy po prostu opadały.

Norma Jeane wyjąkała:

-J...jak ona się nazywa, Mamo?

Gladys znalazła buteleczkę z aspiryną, wytrząsnęła kilka tabletek na dłoń i połknęła je bez popijania.

Powiedziała głośno, tym swoim wyzywającym tonem charakterystycznym dla Harlow, poruszając zabawnie cienkimi kreskami brwi:

- To zależy od ciebie, dzieciaku.

Norma Jeane starała się ze wszystkich sił wymyślić imię dla lalki.

Starała się bardzo, ale w myślach też jakby się jąkała: w ogóle nic nie przychodziło jej do głowy.

Zaczęła się martwić i ssać kciuk.

Imiona są takie ważne!

- jak się nie zna czyjegoś imienia, to nie da się o tej osobie myśleć, a z kolei innym potrzebne jest twoje imię - bo inaczej gdzie byś była?

Norma Jeane wykrzyknęła:

- Mamo, jak się n...nazywa ta lalka?

Powiedz, proszę.

Bardziej rozbawiona niż zdenerwowana, a przynajmniej tak się wydawało, Gladys zawołała z drugiego pokoju:

- Do licha, nazwij ją Norma Jeane: czasem jest prawie tak samo rozgarnięta jak ty.

Słowo daję.

Tyle przeżyć, dziecko było zmęczone.

Pora, by Norma Jeane przespała się trochę.

Ale zadzwonił telefon.

Kiedy popołudnie przechodziło w wieczór.

Dziecko pomyślało niespokojnie: "Dlaczego Matka nie podnosi słuchawki.

A jeśli to Ojciec?

Albo może ona wie, że to nie Ojciec, a jeśli tak, to skąd?

"

W bajkach braci Grimm, czytanych Normie Jeane przez babcię Delię, działy się rzeczy, które normalnie mogą się tylko przyśnić, które są dziwne i straszne jak sny, ale nimi nie są.

Chciałbyś się z nich obudzić, lecz nie możesz.

Normie Jeane zachciało się spać.

Wcześniej była bardzo głodna, więc zjadła dużo ciasta, jak świnka zjadła na śniadanie mnóstwo urodzinowego tortu, dostała mdłości, rozboleły ją zęby, może też Gladys dołała odrobiny swego bezbarwnego napoju do soku Normy Jeane - "kapkę, dla zabawy" - w każdym razie dziewczynka nie mogła otworzyć oczu, głowa jej się kiwała na ramionach jak idiotce; Gladys musiała zawlec ją do nagrzanej, dusznej sypialni i choć wołałaby, aby dziewczynka tu nie spała, położyła ją na zapadniętym, przykrytym kordonkową narzutą łóżku, ściągnęła jej buty i - zawsze wrażliwa, gdy chodziło o tego rodzaju sprawy - podłożyła ręcznik pod głowę.

"Nie oślinisz mi poduszki".

Kordonkowa narzuta w kolorze dyni, teraz już wyblakła, należała do przedmiotów, które Norma Jeane za pamiętała z poprzednich wizyt w "rezydencjach" matki; tu i ówdzie widać było miejsca nadpalone papierosami oraz dziwne smugi i plamy w odcieniu rdzy albo zakrzęptej krwi.

Ze ściany przy komodzie-ojciec Normy Jeane spoglądał na swoją córkę.

Ona patrzyła na niego przez zmrużone powieki.

Szepnęła:

- Tato.

Pierwszy raz!

W szóste urodziny.

Pierwszy raz wypowiedziała słowo "tato".

Gladys opuściła żaluzje aż po parapet, ale stare, popękane listewki nie mogły powstrzymać ostrych promieni popołudniowego słońca.

Pałącego oka Boga.

Bożego gniewu.

Babcia Delia była gorzko rozczarowana Aimee Semple McPherson i Kościołem Otwartej Ewangelii, lecz mimo wszystko zachowała wiarę w to, co nazywała Słowem Bożym, w Świętą Biblię: "Trudna to nauka, a my jesteśmy przeważnie głusi na jej mądrości, lecz nic innego nie mamy".

(Ale czy tak było?)

Gladys miała własne książki i nigdy nie wspominała o Biblii.

Jedynie o filmach Gladys rozprawiała z prawdziwą pasją.)

Słońce opuściło się nad horyzont, kiedy Normę Jeane wytrącił ze snu dzwonek telefonu w sąsiednim pokoju.

Zgrzytliwy dźwięk, szyderstwo, dźwięk rozgniewanego dorosłego, zapowiedź męskich wyrzutów.

"Wiem, że tam jesteś, Gladys, wiem, że słyszysz; nie możesz ukryć się przede mną".

Aż wreszcie Gladys chwyciła za słuchawkę i odezwała się piskliwym, nie wyraźnym głosem, tonem prawie błagalnym.

- Nie!

Nie mogę, nie dzisiaj, przecież mówiłam, mówiłam, że moja córka ma urodziny, chcę ten dzień spędzić tylko z nią.

- Kolejne słowa brzmiały bardziej natarczywie, jak piski i krzyki rannego zwierzęcia: - Ależ tak, przecież mówiłam ci, mam dziewczynkę, nie dbam o to, co ci się wydaje, jestem normalną osobą, a przy tym

matką, mam dzieci, jestem normalną kobietą i nie chcę tych twoich brudnych pieniędzy, nie, powiedziałam, że nie mogę się z tobą dzisiaj spotkać, ani dzisiaj, ani jutro, zostaw mnie w spokoju albo pożałujesz, a jeśli przywleczesz się tutaj i zrobisz użytek z klucza, wtedy wezwę policję, ty gnoju!

Kiedy przyszedłam na świat pierwszego czerwca 1926 roku w Los Angeles County General Hospital, moja matka zaginęła.

Gdzie się podziała?

Tego nikt nie wiedział!

Potem znaleźli miejsce, gdzie się ukrywała, byli wstrząśnięci, wyrażali dezaprobatę, mówili: "Ma pani piękne dziecko, pani Mortensen, nie chce pani potrzymać swego pięknego dziecka?

To dziewczynka, pora na karmienie".

Lecz matka odwróciła się twarzą do ściany.

Z jej piersi mleko wyciekało jak ropa z wrzodu, ale nie dla mnie.

Jakaś obca osoba, pielęgniarka, nauczyła matkę, jak mnie podnosić i trzymać.

Jak jedną dłonią ująć delikatny tył dziecięcej główki i drugą podtrzymywać kręgosłup.

"A jeśli ją upuszczę?

"

"Nie upuści pani!

"

Jest taka ciężka i rozpalona.

Kopie".

Jest normalnym, zdrowym dzieckiem.

Ślicznotką.

Proszę spojrzeć na te oczy!

"

W Wytwórni, gdzie Gladys Mortensen pracowała od dziewiętnastego roku życia, istniał świat, który widziało się na własne oczy, i świat, który widziało się okiem kamery.

Pierwszy nie liczył się wcale, drugi był wszystkim.

Nic zatem dziwnego, że po jakimś czasie matka zaczęła na mnie patrzeć za pośrednictwem zwierciadła.

W taki sam sposób się do mnie uśmiechała.

(Nigdy bezpośrednio, twarzą w twarz.) Poprzez lustro, które jest jak oko kamery, można prawie kochać.

Kochałam ojca tego dziecka.

Nazwisko, które mi zdradził, nie istnieje.

Dał mi 225 dolarów i jakiś numer telefonu, abym SIĘ DZIECKA POZBYŁA.

Czyja naprawdę jestem matka?

Czasami w to nie wierzę.

Nauczyliśmy się patrzeć w lustrzane odbicia.

W lustrze widziałam moją Przyjaciółkę.

Kiedy tylko stałam się wystarczająco dorosła.

Magiczną Przyjaciółkę.

Była w tym jakaś czystość.

Nigdy nie doświadczałam swej twarzy i ciała od środka (gdzie panowało senne odrętwienie), lecz jedynie poprzez lustro, synonim wyrazistości i czystości.

Tak właśnie widziałam siebie.

Gladys roześmiała się.

"Do licha, ten dzieciak wygląda całkiem nieźle, prawda?

Chyba ją zatrzymam".

Nie była to decyzja na zawsze.

Jedynie na dzień, na chwilę.

W smudze błękitnego dymu przekazywano mnie z rąk do rąk.

Trzytygodniowe niemowlę w kocyku.

Jakaś kobieta zawołała pijackim głosem: "Och, główka!

Ostrożnie, podłóż rękę pod jej główkę".

Inna kobieta powiedziała:

"Chryste, ale tu dymu, gdzie się podziała Gladys?

" Zglądali mężczyźni.

Uśmiechali się.

"To mała dziewczynka, co?"

Tam, w dole, wygląda jak jedwabna torebka.

Jest taka gładziutka".

Później jeden z nich pomagał matce mnie kąpać.

A potem sami się kąpali!

Piski i śmiech, ściany wyłożone białymi kafkami.

Na podłodze kałuże wody.

Perfumowane sole do kąpieli.

Pan Eddy był bogaty!

Miał trzy modne knajpki w Los Angeles, gdzie gwiazdy jadły posiłki i tańczyły.

Pan Eddy występował w radiu.

Pan Eddy potrafił żartować, zostawiał dwudziestodolarówki w zabawnych miejscach: na bloku lodu w lodówce, zwinięte i wsunięte w zasłonę okna, między powydzieranymi kartkami Skarbczyka amerykańskiej poezji, przyklejone po wewnętrznej stronie opuszczonego sedesu.

Śmiech matki był przenikliwy i ostry jak kawałeczki rozbitego szkła.

- Ale najpierw musisz się wykąpać.

Słowo "wykąpać" zostało wypowiedziane wolno, zmysłowo.

Gladys piła swoją wodę z dodatkiem medykamentów.

Nie była w stanie spokojnie usiedzieć.

Na talerzu gramofonu MoodIndigo.

Palce i twarz Normy Jeane kleiły się od urodzinowego tortu.

Noc prawie zapadła, w tym dniu jej szóstych urodzin.

A potem już naprawdę była noc.

Woda z obu kranów wpadała hałaśliwie do porzewiałej starej wanny w maleńkiej łazience. A ze szczytu lodówki spoglądała śliczna lalka o blond włosach.

Szkliste niebieskie oczy były szeroko otwarte, a usta niczym pączek róży zawsze gotowe do uśmiechu.

Kiedy się lalką potrząsnęło, jej oczy otwierały się szerzej.

Usta jak pączek róży nie zmieniały się nigdy.

Małeńkie stopki w przybrudzonych białych bucikach wyglądały dziwnie, wykręcone na zewnątrz pod osobliwym kątem!

Matka nauczyła Normę Jeane słów.

Mrucząc i kołysząc się.

Nie jesteś smutna

Nie nie nie

Nie jesteś smutna

Jeśli nie jest to smutek w kolorze indygo

Potem Matkę znudziła muzyka, więc zajęła się szukaniem jednej ze swoich książek.

Jednej spośród wielu jeszcze nie rozpakowanych książek.

Gladys brała kiedyś lekcje wymowy w Wytwórni.

Norma Jeane uwielbiała słuchać, jak Gladys jej czyta, ponieważ oznaczało to więcej spokoju.

Nie zdarzały się wtedy żadne nagłe wybuchy śmiechu, nie było przekleństw ani łez.

A muzyka mogła to wszystko wywoływać.

Teraz Gladys z namaszczeniem przeglądała Skarbczyk amerykańskiej poezji, swą ulubioną książkę.

Trzymała ją w wyprostowanych, szczupłych rękach i z podniesioną głową niczym aktorka filmowa.

Nie mogłam stanąć i czekać na Śmierć - Ona sama mnie podwiozła - uprzejma - Bryczka mieściła nas dwie - I jeszcze - Nieśmiertelność -

Norma Jeane słuchała uważnie.

Kiedy Gladys skończyła wiersz, odwróciła się do niej z błyszczącymi oczami.

- O czym to jest, Normo Jeane?

- Dziewczynka nie wiedziała.

Gladys rzekła: -powiesz się pewnego dnia, kiedy nie będzie przy tobie matki.

- Dolała do filiżanki mocnego napoju i wypła.

Norma Jeane miała nadzieję, że matka przeczyta jej jeszcze inne wiersze, wiersze rymowane, wiersze, które zdoła zrozumieć, ale wyglądało na to, że Gladys tego wieczoru już do wierszy nie wróci.

Nie przeczyta też nic z Wehikułu czasu czy Wojny światów, tych "profetycznych książek" - "książek, które wkrótce się urzeczywistnią" - co czasami czyniła swym intensywnym, wibrującym głosem.

- Pora na kąpiel.

To nic innego, tylko scena z filmu.

Odgłos wody tryskającej z kranów miesza się z muzyką, którą się niemal słyszało.

Gladys pochyliła się nad Normą Jeane, aby ją rozebrać.

Ale przecież Norma Jeane sama umiała się rozebrać!

Miała sześć lat.

Gladys spieszyła się, odsunęła na bok ręce Normy Jeane.

- Ale wstyd.

Cała się wysmarowałaś ciastem.

Spieszyła się, chociaż wanna dopiero się napętniała.

Długo to trwało, wanna była taka duża.

Gladys zdjęła też swoją sukienkę z krepy, ściągnęła ją przez głowę, aż jej włosy podniosły się w zygawkowatych pasmach.

Błada skóra pokryła się warstewką potu.

Nie wolno gapić się na ciało Matki, które było wielką tajemnicą: blada, piegowata skóra, sterczące kości, małe i twarde piersi niczym zaciśnięte pięści wypychające koronkową koszulkę.

Norma Jeane niemal dostrzegała ogień w naelektryzowanych włosach Gladys.

W błyszczących, lekko wytrzeszczonych oczach.

Za oknem wiatr grał w drzewach palmowych.

To głosy umarłych, powiedziała Gladys.

Pragnących dostać się do środka.

- Do naszego wnętrza wyjaśniła.

Ponieważ ciało jest za małe.

W każdym momencie historii nigdy nie jest dosyć życia.

A od wojny - nie pamiętasz wojny, nie było cię jeszcze na świecie, ale ja pamiętam, jestem twoją matką i urodziłam się przed tobą - od wojny, kiedy zginęło wielu mężczyzn, wiele kobiet i dzieci, doprawdy brakuje ciał.

Wszystkie te biedne dusze zmarłych chcą się wcisnąć.

Norma Jeane przestraszyła się.

Niby gdzie wcisnąć?

Gladys zaczęła się przechadzać tam i z powrotem, czekając, aż wanna się napełni.

Nie była pijana ani odurzona.

Zdjęła rękawiczkę z prawej dłoni i teraz obie szczupłe ręce były nagie, miejscami złuszczone i pokryte czerwonymi plackami; nie chciała się do tego przyznać, ale praca w Wytwórni, czasem nawet po sześćdziesiąt godzin na tydzień, zabijała ją.

Chemikalia przenikały przez skórę, choć nakładała lateksowe rękawiczki, tak jest, przez włosy, przez wszystkie cebulki, płuca, och tak, umierała!

Zabijała ją Ameryka!

Kiedy zaczynała kaszleć, nie mogła przestać.

No tak, ale dlaczego paliła?

Jak to, wszyscy w Hollywood palili, paliły postacie z filmów, papieros uspokajał nerwy, pewnie, lecz Gladys nie wykraczała poza marihuanę, poza, jak to określała prasa, "skręty", do licha, chciała, aby Delia wiedziała, że nie jest ćpunką, nie jest narkomanką, nie jest puszczalską, a niech to szlag, i nigdy by tego nie zrobiła za pieniądze, albo prawie nigdy.

A jeśli już, to tylko w czasie tych ośmiu tygodni, gdy nie pracowała w Wytwórni.

Po Wielkim Krachu w październiku 1929 roku.

- Wiesz, co to było?

Krach?

Norma Jeane zdziwiła się; potrząsnęła głową.

Nie.

A co? - Miałaś wtedy trzy lata, dziecko.

Znalazłam się w rozpaczliwym położeniu.

Zależało mi tylko na jednym: oszczędzić ciebie.

Dźwignęła Normę Jeane w chudych, żylastych ramionach, uniosła ze sieknięciem, a potem opuściła przerażone, kapiące i wrywające się dziecko w parującą wodę.

Norma Jeane jęknęła, nie odważyła się jednak krzyknąć, woda była gorąca!

bardzo gorąca!

istny wrzątek lał się z kranu, który Gladys zapomniała zakręcić, zresztą zapomniała zakręcić oba krany, tak samo jak zapomniała sprawdzić temperaturę wody.

Norma Jeane chciała wyskoczyć z wanny, ale Gladys pchnęła ją z powrotem.

- Siedź spokojnie.

Umyć się trzeba.

Ja też wchodzę do środka.

Gdzie jest mydło?

No, no, brudasek z ciebie.

Gladys odwróciła się plecami do pojękującej Normy Jeane i szybko po zbyła się reszty ubrania: koszulki, biustonosza, majteczek, zrzucając je radośnie na podłogę niczym tancerka.

Naga, bez żenady wskoczyła do dużej, starej wanny stojącej na żeliwnych nóżkach, poślizgnęła się, odzyskała równowagę i zanurzyła się po biodra w wodzie z solą do kąpeli o zapachu wrzosów, usiadła twarzą do przestraszonego dziecka, z nogami rozchylonymi jakby chciała objąć albo przytrzymać dziecko, które przed sześciu laty wydała na świat w udręce rozpacz i złorzeczeń - "Gdzie jesteś?

Dlaczego mnie porzuciłeś?

" - pod adresem mężczyzny, który był jej kochankiem, którego imienia ani nazwiska nie wymieniła nawet podczas najtrudniejszych chwil porodu.

Ależ to pokraczne, matka i córka w tej wannie z wodą wylewającą się od czasu do czasu na podłogę; Norma Jeane, dźgnięta kolanem matki, zanurzyła się w wodzie po usta, zaczęła krztusić się i kaszleć, ale Gladys szybko wyciągnęła ją za włosy.

- Natychmiast przestań, Normo Jeane!

- zbeształa córkę.

- Przestań.

Gladys chwyciła kawałek mydła i zaczęła go szybko obracać w dłoniach.

Dziwne.

Przecież aż się kurczyła, kiedy córka jej dotykała, a teraz była naga, ściśnięta z nią w wannie; i do tego wydawała się skupiona, miała ekstatyczny, nawiedzony wyraz twarzy, zarumienionej i różowej od ciepła.

Norma Jeane znowu jęknęła, że woda jest zbyt gorąca, Mamo, proszę, woda jest za gorąca, tak gorąca, że prawie straciła czucie.

Gladys odpowiedziała surowo:

- O tak, ma być gorąca, tyle jest brudu.

Na świecie i w nas.

To nie był pierwszy raz.

I nie miał być ostatni.

MIASTO Z PIASKU

- Normo Jeane, obudź się!

Szybko.

Sezon pożarów.

Jesień 1934.

W głosie Gladys pobrzmiwał strach i podniecenie.

Nocą rozeszła się woń dymu - popiołu!

- przypominająca zapach śmieci i odpadków palonych w piecach za starym budynkiem, w którym mieszkała Delia Monroe.

Tylko że to nie było Venice Beach, lecz Hollywood, Highland Avenue w Hollywood, gdzie wreszcie matka i córka zamieszkały razem, we dwie tak jak to miało być, póki on po nas nie przyjedzie, i nagle zawyły syreny i pojawił się ten odór, jakby palonych włosów, jakby tłuszczu płonącego na patelni, jakby wilgotnych ubrań niedbale przypalonych gorącym żelazkiem.

Pozostawienie w sypialni otwartego okna okazało się błędem, ponieważ ów zapach wypełnił pokój: zapach duszący, gryzący, drażniący oczy jak niesiony wiatrem piasek.

Zapach jak z rozgrzanej płyty kuchennej, kiedy wtopił się w nią czajnik, z którego wyparowała woda, a Gladys tego nie zauważyła.

Zapach jak z wszędobylskich niedopałków i powypalanych dziur w linoleum, w dywanie w różyczki, w podwójnym łóżku z mosiężnymi gałkami przy wezgielciu, i puchowymi poduchami dzielonymi przez matkę i córkę, zapach spalonej bielizny, rozpoznany natychmiast przez dziecko pogrążone we śnie; zdarzało się, że kopący chesterfield wypadał z dłoni Gladys, cierpiącej na bezsenność namiętnej czytelniczki, Gladys zapadała w lekką drzemkę, z której budziła ją nagle i gwałtownie, w sposób zupełnie dla niej niepojęty i tajemniczy, strzelająca iskrami po duszka, prześcieradła, szal, często najprawdziwsze płomienie, które tłumila uderzeniami książki, czasopisma, raz nawet kalendarza zerwanego w po śpiechu ze ściany, albo własnymi pięściami; jeśli ogień utrzymywał się, Gladys, zlorzecząc na czym świat stoi, biegła do łazienki, przynosiła w szklance wodę i wylewała ją na płomienie, moczając pościel i materac.

"Do licha!

Co jeszcze się stanie?

" Owe epizody rozgrywały się w slapstickowym tempie niemych filmów.

Norma Jeane, która spała z Gladys, budziła się natychmiast, zrywała z łóżka skupiona i czujna jak każde zwierzę walczące o przeżycie; i często to właśnie ona przynosiła wodę.

I choć teraz był to prawdziwy alarm, rzeczywisty niepokój w środku nocy, sytuacja wydawała się wystarczająco znajoma, aby wywołać łańcuch rutynowych działań w sytuacji krytycznej, coś w rodzaju praktycznej metodologii.

Przyzwyczajaliśmy się chronić siebie przed splotnięciem żywcem w łóżku.

Nauczyliśmy się radzić sobie.

- Jeszcze nawet nie zasnęłam!

Ciągle o czymś myślę.

W mojej głowie panuje pełnia dnia.

Zdaje się, że nagle zdrętwiały mi palce.

To mi się ostatnio zdarza.

Niedawno grałam na fortepianie i nic nie wychodziło.

Nigdy nie biorę się do roboty bez gumowych rękawiczek, ale środki chemiczne używane w laboratorium są obecnie bardzo silne.

Szkody mogły już się dokonać.

Popatrz, zakończenia nerwowe w moich palcach są właściwie martwe, moja dłoń nawet nie drży.

Gladys wyciągnęła niesprawną rękę w stronę córki.

I rzeczywiście, chyba miała rację; dziwne, po nocnym niepokoju z powodu tłęcej się pościeli, po niebezpiecznej chwili, jej szczupła dłoń nie drżała, tylko zwisała bez władnie z nadgarstka, jakby w ogóle nie należała do niej, nie poddawała się woli, była czymś, za co jej właścicielka nie ponosiła odpowiedzialności, dłoń z delikatnymi liniami papilarnymi, otwarta, wygięta, blada, choć o po drażnionej i zaczerwienionej skórze, dłoń o pięknym kształcie, pusta.

Istniało wiele innych tego rodzaju tajemnic w życiu Gladys, zbyt wiele, aby je wyliczyć.

Kontrolowanie ich wymagało nieustannej uwagi i, paradoksalnie, niemal całkowitej obojętności.

- Każdy filozof, od Platona po Johna Deweya, uczył: nie odejdziesz, póki nie wypadnie na ciebie, a kiedy wypadnie na ciebie, odejdziesz.

Gladys strzeliła palcami, uśmiechnęła się.

Według niej na tym polegał

optymizm.

Dlatego właśnie jestem fatalistką.

Logiki nie da się podważyć!

i dlatego jestem dobra w sytuacjach krytycznych.

Czy też byłam.

Nie potrafiłam grać jedynie normalnego, codziennego życia.

Lecz tej nocy płomienie były rzeczywiste.

To nie żadne miniaturowe ogniki w łóżku, które można zgasić uderzeniem gazety albo szklanką wody, tylko prawdziwy pożar szalejący w południowej Kalifornii po pięciu miesiącach suszy i wysokich temperatur.

Lokalne pożary poszycia stanowiły "poważne zagrożenie dla życia i własności" nawet w obrębie granic Los Angeles.

Winne będą wiatry Santa Ana:

z początku łagodne jak pieszczota, potem bardziej uporczywe, intensywne, gorące; wystarczyło kilka godzin, aby pożoga, która wybuchła u podnóży i w dolinach San Gabriel Mountains, przesunęła się w stronę Pacyfiku.

W ciągu dwudziestu czterech godzin powstały setki pożarów, odosobnionych i bardzo do siebie podobnych.

W dolinach San Fernando i Simi gorące wiatry osiągały prędkość stu mil na godzinę.

Ściany ognia wysokie na dwadzieścia stóp przeskakiwały na drugą stronę autostrad niczym drapieżne stworzenia.

Zaledwie kilka mil od Santa Monica pojawiły się pola ognia, kaniony ognia, ogniste kule jak komety.

Wiatr niósł iskry niczym nasiona, z których wystrzeliły płomienie w dzielnicach mieszkalnych Thousand Oaks, Malibu, Pacific Palisades, Topanga.

Krążyły opowieści o tym, jak ptaki wybuchały ogniem w powietrzu, jak przerażone bydło z rykiem gnało przed siebie, płonąc jak pochodnie, póki nie padło.

Potężne, kilkusetletnie drzewa stawały w płomieniach i ginęły w ciągu paru minut.

Nawet nasączone wodą dachy zajmowały się ogniem, a budynki eksplodowały płomieniami jak bomby.

Mimo wysiłków tysięcy osób pochód ognia "wymykał się spod kontroli", a siarkowy, białoszary dym przysłonił niebo na obszarze setek mil we wszystkich kierunkach.

Na widok ciemniejącego za dnia nieba można by pomyśleć, że słońce zamieniło się w chorowite, cienkie półkole, że nastąpiło jego trwałe zaćmienie.

Można by pomyśleć, powiedziała matka do przestraszonej córki, że to koniec świata przepowiedziany w biblijnej Apokalipsie:

- "I ludzie zostali dotknięci upałem nie do zniesienia, i bluźnili imieniu Boga".

Ale to Bóg bluźnił nam.

Złowieszcze wiatry Santa Ana będą wiały przez dwadzieścia dni i dwadzieścia nocy, niosąc drobne kamyczki, piasek, popiół i duszący dym, a kiedy w końcu z początkiem deszczy ogień się zatrzyma, okaże się, iż siedem dziesiąt tysięcy akrów hrabstwa Los Angeles uległo zniszczeniu.

Ale wtedy Gladys Mortensen już od blisko trzech tygodni będzie przebywała w szpitalu psychiatrycznym w Norwalk.

Była małą dziewczynką, a małe dziewczynki nie powinny za dużo myśleć.

Zwłaszcza śliczne dziewczynki o kręconych włosach nie powinny martwić się, niepokoić, kalkulować; a jednak ona miała zwyczaj marszczyć czoło jak dorosły karzeł, rozważając następujące kwestie: Skąd się bierze ogień?

Czy istnieje jakaś pojedyncza iskra, która jest pierwszą iskrą, poprzedzającą wszystkie inne, taką znikąd?

Nie pochodzącą z zapałki ani z zapalniczki, tylko właśnie znikąd?

Ze słońca.

Ogień pochodzi ze słońca.

Słońce jest ogniem.

Oto, czym jest Bóg: ogniem.

Zawierz Mu, a spłoniesz na popiół.

Wyciągnij do niego rękę, spróbuj Go dotknąć, a twoja ręka spali się na popiół.

Nie istnieje żaden "Bóg Ojciec"; prędzej uwierzyłabym w W.

C. Fieldsa.

On istnieje.

Zostałam ochrzczona, ponieważ moja matka była łatwowierna, ale ja nie jestem głupia.

Jestem agnostyczką.

Wierzę, że nauka może ocalić ludzkość.

Lekarstwo na raka, lekarstwo na gruźlicę, eugenika dla poprawienia rasy, eutanazja dla beznadziejnych przypadków.

Ale moja wiara nie jest zbyt silna.

I twoja taka będzie, Normo Jeane.

Tak naprawdę nie miałyśmy żyć w tej części świata.

W południowej Kalifornii.

Osiedlenie się tutaj było błędem.

Twój ojciec - w tym miejscu ochrypli głos Gladys stał się łagodny i miękki, jak to zwykle bywało, gdy mówiła o nieobecnym ojcu Normy Jeane, jakby ów mężczyzna kręcił się gdzieś w pobliżu - nazywa Los Angeles Miastem z Piasku.

Wybudowano je na piasku i ono samo jest piaskiem.

Jest pustynią.

Opady wynoszą tu poniżej dwudziestu cali rocznie.

O ile nie spadnie zbyt dużo deszczu i nie będzie lokalnych powodzi.

Ludzkość nie powinna mieszkać w takich miejscach.

Dlatego ponosimy karę.

Za naszą dumę i głupotę.

Musimy ścierpieć trzęsienia ziemi, pożary i powietrze, które nas dusi.

Niektórzy z nas tutaj się urodzili i niektórzy z nas tutaj umrą.

To pakt, który zawarliśmy z szatanem.

Gladys zamilkła na chwilę, bo nie mogła złapać tchu.

Prowadząc samochód, tak jak w tej chwili, szybko się męczyła, jak gdyby jazda wymagała od niej fizycznego wysiłku.

Mimo to mówiła spokojnie, a jej głos brzmiał nawet miło.

Jechały po ciemnej Coldwater Canyon Drive nad Sunset Boulevard, była 1.35 w nocy po pierwszym dniu pożarów w Los Angeles.

Przed tem Gladys krzykiem obudziła Normę Jeane, wyciągnęła ją w piżamie i boso z bungalowu, po czym wepchnęła do swego forda, rocznik 1929, polecając jej spieszyć się i zachowywać cicho, aby inni mieszkańcy ich nie słyszeli.

Gladys miała na sobie czarną koronkową koszulę nocną, na ramionach zarzucone w pośpiechu postrzępione jedwabne kimono, prezent od pana Eddyego sprzed wielu lat; ona też nie miała niczego na nogach i stopach, nie rozczesane włosy związała z tyłu przepaską; jej pociągła, blada twarz, nasmarowana na noc kremem, zaczęła właśnie tracić swą do skonałość w kontakcie z wszechobecnym w powietrzu kurzem i popiołem.

Ależ wiatr, ależ suche, nagrzane, szkodliwe powietrze napływa kanionem!

Norma Jeane była zbyt przestraszona, aby płakać.

Wycie syren!

Krzyki ludzi!

Przerażające, piskliwe wrzaski, które nie wydają się ludzkie, tylko zwierzęce, na przykład ptasie.

(A może tak wyją kojoty?)

Norma Jeane widziała już wcześniej niesamowite światła pożaru odbite od chmur, na horyzoncie za Sunset Strip, na niebie nad czymś, co Gladys nazywała "uzdrawiającymi wodami Pacyfiku"; na niebie, na tle którego odcinały się sylwetki rozkołysanych palm, wyschniętych drzew, na których strzępiły się pozółtkłe liście; od kilku godzin czuła zapach dymu (a nie spalenizny, jak w łóżku Gladys), ale jeszcze nie docierało do niej - bo nie byłam dzieckiem zadającym pytania, można powiedzieć, że byłam dzieckiem ufnym, to znaczy dzieckiem, które w głębi serca żywi rozpaczliwą nadzieję- że jej matka jedzie fordem w złym kierunku.

 Nie oddalała się od nakrapianych ogniem wzgórz, tylko się do nich zbliżała.

 Nie oddalała się od źródła gryzącego, duszącego dymu, tylko się do niego zbliżała.

 Mimo wszystko Norma Jeane powinna była rozpoznać sygnały: Gladys mówiła spokojnie.

Tym swoim głosem, który był miły i logiczny.

 Kiedy Gladys była sobą, naprawdę sobą, jej głos był beznamiętny, matowy, całkowicie wyzuty z rozkoszy i emocji, jakby na siłę wyciśnięto ostatnią kroplę wilgoci z upranej bielizny; w takich chwilach nie patrzyła nikomu w oczy; miała zdolność patrzenia przez ciebie; gdyby maszyna do liczenia miała oczy, patrzyłaby właśnie w taki sposób.

 Kiedy zaś Gladys nie była sobą albo właśnie wchodziła w tę fazę odmienności, zaczynała mówić szybko, wyrzucała z siebie strzępy słów tak, że nie sposób było nadążyć za jej rozgorączkowanym umysłem; albo wypowiadała się spokojnie, logicznie, jak jedna z nauczycielek Normy Jeane, która mówi o tym, o czym wszyscy i tak wiedzą.

 - To pakt, który zawarliśmy z szatanem.

Nawet ci, którzy w szatana nie wierzą.

 Gladys gwałtownie odwróciła się do Normy Jeane, aby zapytać, czy jej słucha.

 - T...tak, Mamo.

 Szatan?

Pakt?

Jak to?

 Na poboczu leżał blady, błyszczący przedmiot, nie niemowlę, raczej lalka, którą ktoś wyrzucił, choć najpierw pojawiła się niespokojna myśl, że to dziecko porzucone w całym tym zamieszaniu, ale rzecz jasna to musiała być lalka.

Wyglądało na to, że Gladys jej nie zauważyła, kiedy przemknęła obok samochodem, lecz Norma Jeane poczuła nagły przyptyw przerażenia - zostawiła lalkę na łóżku!

Tam, w domu, panował taki zamęt, Norma Jeane zerwała się z łóżka, obudzona przez roztrzęsioną matkę, pobiegła do samochodu, wyły syreny, migotały światła, czuć było dym; zostawiła lalkę o złocistych włosach na pastwę płomieni; lalka nie miała już takich złocistych włosów jak dawniej, a jej gładka skóra z jasnej gumy przestała być nieskazitelna, koronkowy czepek dawno już zszarzał, nocna koszulka w kwiaty i maleńkie, miękkie stopy w białych bucikach ubrudziły się już nieodwracalnie, ale Norma Jeane kochała swoją lalkę, swoją jedyną lalkę, lalkę bez imienia, swoją urodzinową lalkę, której nigdy nie nadała żadnego imienia, nazywając ją po prostu Lalką, choć częściej jednak zwracała się do niej czule per "ty", tak jak się przemawia do własnego odbicia w lustrze.

Teraz Norma Jeane rozplakała się.

- Och, co ja zrobię, jak się spali dom, M...Mamo?

Zapomniałam o lalce!

Gladys prychnęła pogardliwie.

- Co tam lalka!

Będziesz miała szczęście, jak się spali.

To niezdrowe przywiązanie.

Gladys musiała się skoncentrować na kierowaniu.

Odrapany zielony ford, pochodził z drugiej albo trzeciej ręki, został kupiony za siedemdziesiąt pięć dolarów od przyjaciela, w którym Gladys wzbudziła "współczucie" jako samotna, rozwiedziona matka; nie można było polegać na tym samochodzie, zwłaszcza na hamulcach; trzeba było mocno trzymać kierownicę obiema rękami i pochylać się do przodu, aby coś zobaczyć ponad maską i przez przednią szybę, pokrytą pajęczą siecią pęknięć.

Gladys była spokojna, zatopiona w myślach, wcześniej wypita pół szklanki mocnego drinka, drinka na uspokojenie, na zwiększenie pewności siebie - nie dżin, nie whisky, nie wódkę - ale jazda Strip Drive w stronę wzniesień rzeczywiście była tej nocy wyzwaniem; samochody najrozmaitszych służb ogłuszały sygnałami, błyskały światłami, a na wąskiej Coldwater Canyon Drive pojawiły się jeszcze inne pojazdy, jadące w przeciwnym kierunku, ich reflektory oślepiały do tego stopnia, że Gladys przeklinała, żałując, że nie nałożyła ciemnych okularów, a Norma Jeane, zerkając przez palce, od czasu do czasu dostrzegała blade, przejęte twarze za szybami aut.

Dlaczego jedziemy iv górę, dlaczego między wzgórz, dlaczego w tę noc pożarów?

- oto były pytania, których dziecko nie zadawało, choć być może myślało o tym, że babcia Delia, kiedy jeszcze żyła, kazała jej uważać na "zmiany nastroju" Gladys i kazała przyzwać Normie Jeane, że w razie "niebezpieczeństwa" dziewczynka zadzwoni od razu do niej; Delia powiedziała z ponurą miną: "Przyjadę wtedy taksówką, nawet gdybym musiała wydać pięć dolarów".

Właściwie nie podała Normie Jeane numeru telefonu do swojego mieszkania, tylko numer dozorczy budynku, w którym mieszkała, i ten numer Norma Jeane pamiętała, odkąd przyszło jej zamieszkać z Gladys, odkąd została triumfalnie zabrana i przed ponad rokiem zamieszkała z Gladys w jej nowym mieszkaniu przy Highland Avenue, w pobliżu Hollywood Bowl.

Ten numer Norma Jeane zapamiętała na całe życie - VB 3-2993 - choć w istocie nigdy nie ośmieliła się tam zadzwonić; tę październikową noc 1934 roku dzieliło od śmierci jej babki już kilka miesięcy, dziadek Monroe rozstał się z tym światem jeszcze wcześniej, więc nie miała do kogo zadzwonić, gdyby nawet odważyła się to uczynić.

Nie było nikogo, pod żadnym numerem, do kogo Norma Jeane mogłaby zadzwonić.

Do ojca!

Gdybym miała jego numer, nieważne, gdzie on by przebywał, zadzwoniłabym, aby powiedzieć: Matka cię potrzebuje, proszę, pomóż nam, przyjeźdź.

Wierzyłam, że przyjechałby, naprawdę wierzyłam.

Z przodu, przy wjeździe na Mulholland Drive, znajdowała się barykada przeciwogniowa.

Gladys zaklęła mocno i przycisnęła pedał hamulca, aż samochód zatrząsł się parę razy i stanął.

Zamierzała pojechać na wzgórza, wysoko ponad miasto, bez względu na ryzyko, na syreny, na sporadyczne wybuchy płomieni, świszczące uderzenia huraganu Santa Ana, który rzucał samochodem nawet na osłoniętych odcinkach Coldwater Canyon Drive.

Na tych szacownych, odosobnionych wzgórzach, Beverly Hills, Bel Air i Los Feliz, znajdowały się rezydencje gwiazd filmowych.

W niedzielne poranki, jeśli Gladys mogła sobie pozwolić na benzynę, przejeżdżała z Normą Jeane przed bramami tych domów - szczęśliwe chwile matki i córki, to właśnie robiłyśmy, zamiast pójść do kościoła, ale teraz był środek nocy, w powietrzu unosił się dym i żadnego domu nie było widać, więc możliwe, że prywatne rezydencje filmowych gwiazd płonęły i dlatego zabarykadowano drogę.

I właśnie dlatego kilka minut później, gdy Gladys próbowała skręcić w Laurel Canyon Drive, gdzie stały migające światła i parkowały pojazdy służb ratowniczych, została zatrzymana przez umundurowanych funkcjonariuszy.

Na obcesowe pytanie, dokąd się, do licha, wybiera, Gladys odpowiedziała, że mieszka w Laurel Canyon, tam się znajduje jej rezydencja, i że ma prawo jechać do domu, wtedy umundurowani mężczyźni zapragnęli wiedzieć, gdzie właściwie mieszka, więc Gladys odparła:

- To moja sprawa.

Wówczas podeszli bliżej, poświecili latarkami prosto w jej twarz; byli podejrzliwi, sceptyczni, zapytali, kto jest z nią w samochodzie, na co odpowiedziała ze śmiechem:

- No cóż, nie Shirley Tempie.

Jeden z mężczyzn wdał się z nią w rozmowę.

Był zastępcą szeryfa hrabstwa Los Angeles, wpatrywał się w Gladys, która nawet w masce z tłustego kremu była kobietą o dobrej prezencji, ładną kobietą w klasycznym stylu Greta Garbo - o ile człowiek zbyt nie się jej nie przyglądał; jej ciemne, powiększone oczy wydawały się ogromne w proporcji do całej twarzy, nos był długi, delikatny i na koniuszku błyszczący, usta miała obrzmiałe, pociągnięte czerwoną szminką; nim zaczęła uciekać w tę wyjątkową noc, znalazła czas, aby użyć szminki, bo nigdy nie wiadomo, kiedy ci się przyjrzą i kiedy cię ocenią; zastępca szeryfa zorientował się, że coś tutaj nie gra, widział młodą kobietę tylko częściowo ubraną w opadające z ramion zielone jedwabne kimono i coś, co najwyraźniej było zniszczoną, czarną koszulą nocną, małe piersi zwisały luźno i bezwładnie, obok siedziało przestraszone dziecko o rozwichrzonych włosach, bosa, ubrane tylko w piżamę;

drobnokościste, pyzate, rozgorączkowane dziecko, z ciemnymi smugami po łzach na policzkach.

Obu, dziecku i kobiecie, dokuczał kaszel, kobieta mruczała coś do siebie - była oburzona, pełna złości, kokieteryjna, niekon sekwentna, właśnie upierała się, że została zaproszona do prywatnej rezydencji położonej na samym szczycie Laurel Canyon Drive.

- Właściciel ma ognioodporny budynek.

Będziemy tam bezpieczne.

Nie mogę wyjawić nazwiska tego mężczyzny, proszę pana, ale chodzi o nazwisko powszechnie znane.

Znane zwłaszcza w przemyśle filmowym.

Dziewczynka jest jego córką.

To jest miasto z piasku i nic tu długo nie przetrwa, ale my jedziemy.

- W ochryłym głosie Gladys zabrzmiała agresja.

Zastępca szeryfa poinformował Gladys, że jest mu przykro, ale będzie musiała zawrócić; nikomu nie pozwala się jechać w stronę wzgórz, całe rodziny są ewakuowane na niższe obszary, ona i córka będą bezpieczniejsze w mieście.

- Proszę jechać do domu, szanowna pani, uspokoić się, położyć dziecko do łóżka.

Jest późno.

Gladys wpadła w furję.

- Nie życzę sobie, aby ktoś mnie traktował w taki sposób.

Sama wiem, co mam robić.

Zastępca zażądał od Gladys prawa jazdy i dowodu rejestracyjnego pojazdu, na co kobieta odrzekła, że nie ma tych dokumentów przy sobie - czego się spodziewać w sytuacji zagrożenia pożarem?

- ale wręczyła mu przepustkę do swojego studia, na którą on rzucił pobieżnie okiem i zaraz oddał, twierdząc, że Highland Avenue leży w bezpiecznej części miasta, przynajmniej na razie, że ma szczęście i powinna natychmiast wracać do domu;

Gladys uśmiechnęła się do niego ze złością i powiedziała:

- W rzeczywistości, panie władzo, chcę się przyjrzeć Piekłu z bliska.

Tak zawczasu.

Posłużyła się zmysłowym akcentem Harlow; nagła zmiana w jej zachowaniu była niepokojąca.

Zastępca szeryfa zmarszczył czoło, kiedy uśmiechnęła się kusząco i ściągnęła przepaskę z włosów, strząsając je na ramiona.

Niegdyś dbająca o włosy Gladys teraz od miesięcy ich nie podcinała ani nie układała; nad jej prawą skronią widać było wyraźnie śnieżnobiały zygzak, postrzępiony jak błyskawica z filmów rysunkowych.

Zażenowany zastępca szeryfa polecił Gladys zawrócić, obiecał eskortę, gdyby sobie tego życzyła, ale tym razem to jest rozkaz, a za jego niewykonanie grozi aresztowanie.

Gladys roześmiała się.

- Mam być aresztowana?

Za prowadzenie własnego samochodu!

- Po chwili dodała nieco trzeźwiej: - Panie władzo, przepraszam.

Proszę mnie nie aresztować.

- I następnie szeptem, tak aby Norma Jeane jej nie usłyszała: - Niech mnie pan zastrzeli.

Zastępca najwyraźniej stracił cierpliwość.

- Proszę natychmiast wracać do domu, szanowna pani.

Jest pani pijana albo naćpana, a dzisiejszej nocy nikt nie ma na to czasu.

Kto wygaduje takie rzeczy, nabawi się kłopotów.

Gladys chwyciła zastępcę szeryfa za ramię, widać było, że to zwykły człowiek w mundurze, mężczyzna w średnim wieku o zmęczonej twarzy, podpuchniętych, smutnych oczach; w mundurze ze złotymi guzikami, z pistoletem w kaburze; żal mu było tej kobiety i jej córki, przykro mu było z powodu tej wysmarowanej kremem twarzy, szeroko otwartych oczu, rozszerzonych źrenic; wyczuwał jakiś dziwny zapach z jej ust, ni to alkoholu, ni to lekarstw, lecz chciał, aby odjechały, inni zastępcy szeryfa czekali na niego, wszyscy bez przerwy byli na nogach.

Mężczyzna delikatnie oswobodził się z uchwytu Gladys i usłyszał:

- Nawet jeśli pan mnie zastrzeli, gdy będę przejeżdżała przez barykadę, nie zastrzeli pan mojej córki.

Zostałaby sierotą.

Zresztą ona jest sierotą.

Ale nie chcę, aby o tym wiedziała, nawet gdybym ją kochała.

To znaczy, nawet gdybym jej nie kochała.

To nie nasza wina, że przychodzimy na świat.

- Ma pani całkowitą rację.

A teraz proszę jechać do domu, okej?

Funkcjonariusze z biura szeryfa przyglądali się, jak Gladys stara się za wrócić odrapanego zielonego fordka na wąskiej, górskiej drodze, potrząsali głowami, jednocześnie rozbawieni i pełni litości, jakby oglądali striptiz;

Gladys gotowała się ze złości, a owi dziwni mężczyźni ciągle patrzyli, w ich głowach kłębiły się "brudne, nieprzyzwoite myśli".

Gladys jakoś zawróciła i pojechała z powrotem na południe, z powrotem w stronę Sunset i miasta.

Jej twarz błyszczała od tłustego kremu, uszminkowane usta drżały z oburzenia.

Obok niej siedziała Norma Jeane, ogarnięta prawdziwym wstydem dorosłych.

Słyszała, ale właściwie nie całkiem, co Gladys powiedziała mężczyźnie w mundurze.

Wierzyła, ale pewności nie miała, że Gladys "gra" - czyniła to często w owych stanach rozkojarzenia, kiedy nie była sobą.

Lecz było prawdą, prawdą niekwestionowaną niczym scena filmowa, i widzieli to inni, że jej matka, Gladys Mortensen, kobieta dumna, niezależna i lojalna wobec Wytwórni, zdecydowana "zrobić karierę", nie przyjmująca litości od nikogo, właśnie przed chwilą pozwoliła, aby spoglądano na nią z politowaniem, aby gapiono się na nią jak na wariatkę.

Tak było!

Norma Jeane przetarła oczy, które piekły ją od dymu i nie przestawały łzawić, lecz nie płakała; czuła się upokorzona, doskwierało jej uczucie wykraczające poza jej wiek; starała się myśleć: Czy to prawda, że ojciec zaprosił je do swojego domu?

Przez te wszystkie lata mieszkał tak blisko?

W najwyższym miejscu Laurel Canyon Drive?

Tylko dłaczego Gladys chciała później skręcić na Mulholland Drive?

Chciała zwieść tamtych mężczyzn w mundurach, zmylić trop?

(Gladys lubiła używać tego określenia: "Zmylić trop".) Kiedy podczas niedzielnych przejażdżek Gladys jechała z Normą Jeane przed posiadłościami gwiazd filmowych i innych "tuzów przemysłu filmowego", napomykała czasem: "Twój ojciec może mieszka tu gdzieś w okolicy, twój ojciec może został tu gdzieś zaproszony na przyjęcie", ale nie chciała dodać nic więcej; pewnie należało to traktować lekko jak niektóre z ostrzeżeń i przepowiedni babci Delii - jeśli zaś nie lekko, to przynajmniej nie dosłownie - to były napomykania, mrugnięcia okiem; chodziło o odrobinę ekscytacji, ale nic ponadto.

Zatem Norma Jeane sama musiała rozstrzygać, co jest, a co nie jest prawdą i czy w ogóle "prawda" istnieje, ponieważ życie wcale nie jest gigantyczną układanką; w układance wszystkie części są dopasowane do siebie, dokładnie i ładnie; zresztą nawet nie to się liczy, że obrazek w układance jest śliczny jak kraina z bajki, tylko to, że on jest kompletny, zupełny, możesz go zobaczyć, możesz się nim zachwycić, możesz go nawet zniszczyć, ale on i tak istnieje.

W życiu, zaczęła to zauważać jako ośmiolatka, nie istniało nic.

Mimo wszystko Norma Jeane pamiętała, jak ojciec pochyła się nad jej łóżeczkiem.

Nad wiklinowym łóżeczkiem z różowymi wstążeczkami.

Gladys wskazała je kiedyś na wystawie sklepowej: "Widzisz?"

Miałas takie samo, kiedy byłaś niemowlęciem.

Pamiętasz?

" Norma Jeane potrząsnęła wtedy głową; nie, nie pamiętała.

Później zaczęło się jej wydawać w marzeniach - śniąc na jawie w szkole i ryzykując nagane, co zdarzało się jej często (w tej nowej szkole w Hollywood, gdzie nikt jej nie lubił) - że pamięta łóżeczko, ale przede wszystkim, że pamięta ojca, jak pochyła się nad nią obok Gladys i uśmiecha się.

Twarz ojca była szeroka, ze zdecydowanie zaznaczonymi kośćmi, przystojna i zdolna do wyrażania delikatnej ironii, podobna do twarzy Clarka Gablea.

Gęste włosy, zaczesane do tyłu i ułożone w falę nad odsłoniętym czołem jak u Clarka Gablea, cienki, elegancki wąsik i głęboki głos, wspaniały baryton.

Mówił: Kocham cię, Normo Jeane, i pewnego dnia wrócę po ciebie do Los Angeles.

Potem całował ją delikatnie w czoło.

A Gladys przyglądała się temu i uśmiechała.

Ten obraz wyraźnie zaznaczył się w jej pamięci!

Wydawał się znacznie bardziej "rzeczywisty" niż wszystko, co ją otaczało.

Norma Jeane wyjąkała:

- Ci...czy on tutaj był?

Ojciec?

Przez cały czas?

Dlaczego nigdy nas nie odwiedził?

Dlaczego nie jesteśmy razem z nim?

Gladys zdawała się nie słyszeć.

Traciła dotychczasową energię, wygaszał w niej cały wewnętrzny żar.

Bardzo się pociła i wydzielala silny zapach.

I coś złego się działo z reflektorami, światło osłabło albo szklane powierzchnie się zabrudziły.

Przednia szyba także była pokryta cienką warstwą po pielatej substancji.

Gorące podmuchy wiatru uderzały w samochód, obok przelatywały wirujące kłęby kurzu.

Na północ od miasta wisały pod niebem ciężkie chmury, rozjaśnione od dołu blaskiem płomieni.

Spaleniznę czuło się wszędzie: palone włosy, palony cukier, palone nadgnięte, zepsute owoce, śmieci.

Gladys była bliska płaczu.

Nie mogła tego znieść!

Właśnie wtedy Norma Jeane powtórzyła swoje pytania głośniejszym, głosem niespokojnego dziecka, głosem o barwie, która - powinna o tym pamiętać - była dla jej matki nie do wytrzymania.

Zapytała, gdzie jest jej ojciec.

Czy przez cały czas mieszka gdzieś niedaleko?

Dlaczego...

- Zamknij się, ty...!

- Dłoń szybka jak grzechotnik oderwała się od kierownicy i wierzchem trafiła w rozpaloną twarz Normy Jeane.

Dziewczynka pisnęła i skuliła się w kącie siedzenia, podciągając kolana pod brodę.

U podnóża Laurel Canyon Drive był objazd, kiedy zaś Gladys przejechała kilka przecznic, trafiła na kolejny objazd, a gdy wreszcie wzburzona i rozszlochana wyjechała na szerszą ulicę, nie rozpoznała jej, nie wiedziała, czy to Sunset Boulevard, a jeśli tak, to która jego część; w którym miejscu powinna skręcić, aby się dostać na Highland Avenue?

Dochodziła druga w nocy.

Nieznanej nocy, nocy rozpacz.

Obok Gladys zapłakane dziecko.

Miała trzydzieści cztery lata.

Żaden mężczyzna już nigdy nie spojrzy na nią z tęsknotą.

Poświęciła młodość Wytwórni i za to spotkała ją okrutna zapłata!

Wjechawszy na skrzyżowanie, spoglądała to w lewo, to w prawo, strużki potu spływały jej po twarzy.

- Och, Boże, którą mam jechać do domu?

Pewnego razu.

Na piaszczystym brzegu wielkiego Oceanu Spokojnego.

Była sobie osada, tajemnicze miejsce.

Gdzie na powierzchni morza światło było złociste.

Gdzie nocą niebo miało kolor atramentowej czerni i mrugały gwiazdy.

Gdzie wiatr był ciepły i delikatny jak pieszczota.

Mała dziewczynka podeszła do otoczonego murem Ogrodu.

Mur powstał z kamieni, miał dwadzieścia stóp wysokości i był porośnięty pięknym ognistoczerwonym pnączem.

Za muru dobiegał śpiew ptaków, muzyka, szmer fontanny.

Słysząc było głosy nieznanymi osobom, śmiech.

Tego muru nigdy nie zdołasz przeskoczyć, nie jesteś na to dostatecznie silna; dziewczęta nie są dość silne; dziewczęta nie są dość duże; masz delikatne, podatne na zranienia ciało, jak lalka; twoje ciało jest lalką; twoje ciało inni mają podziwiać i pieścić; twoje ciało służyć ma innym, nie tobie;

twoje ciało jest dla innych słodkim owocem, którego kęs mogą odgryźć i zachwycać się jego smakiem; twoje ciało jest dla innych, nie dla ciebie.

Mała dziewczynka zaczęła płakać.

Jej serce zostało złamane.

Wtedy zjawiała się dobra wróżka i powiedziała: Istnieje sekretne wejście do Ogrodu!

W murze znajdują się ukryte drzwi; należy tylko poczekać, jak na dobrą dziewczynkę przystało, aż te drzwi się otworzą.

Musisz czekać cierpliwie, musisz czekać spokojnie.

Nie wolno ci pukać, jak by zapukał niegrzeczny chłopiec.

Nie wolno ci krzyczeć ani płakać.

Musisz zyskać przychylność klucznika, starego, ohydneho, zielonego gnoma.

Musisz jakoś zwrócić na siebie jego uwagę.

Musisz sprawić, że klucznik zachwyci się tobą.

Musisz sprawić, że klucznik będzie ciebie pożądał.

Wtedy on cię pokocha i zrobi dla ciebie wszystko, o co poprosisz.

Uśmiechaj się!

Uśmiechaj się i bądź szczęśliwa!

Uśmiechaj się i zdejmij ubranie!

Pomoże ci Magiczna Przyjaciółka z drugiej strony lustra.

Magiczna Przyjaciółka z lustra to szczególna osoba.

Stary, ohydny gnom o zielonej skórze zakocha się w tobie i ukryte drzwi do otoczonego murem Ogrodu otworzą się dla ciebie, tylko dla ciebie, wówczas wejdiesz tam, śmiejąc się ze szczęścia; w środku Ogrodu będą przepiękne kwitnące róże, kolibry, sierpotki, muzyka, szemrzące fontanny, otworzysz szeroko oczy ze zdumienia, bo stary, ohydny, zielony gnom będzie w rzeczywistości księciem zaklętym w potwora.

Księżę klęknie przed tobą i poprosi o twoją rękę, a ty będziesz z nim żyła długo i szczęśliwie w królestwie Ogrodu; nigdy już nie będziesz samotną, nieszczęśliwą dziewczynką.

Póki zostaniesz ze swoim Księciem w otoczonym murem Ogrodzie.

- Normo Jeane?

Wracaj już do domu.

Minionego lata babcia Delia wołała Normę Jeane bardzo często, zbyt często, z frontowych schodów budynku, w którym mieszkała.

Składała dłonie i przystawiała je do ust, właściwie wydzieriała się.

Starsza kobieta zdawała się coraz bardziej martwić o wnuczkę, jak gdyby tylko ona jedna znała prawdę o przyszłości.

Ale schowałam się.

Byłam niegrzeczną dziewczynką.

Tamtego dnia, kiedy babcia wołała mnie po raz ostatni.

To był dzień jak każdy inny.

Prawie.

Norma Jeane bawiła się na plaży z dwiema koleżankami; naraz rozległ się głos jak wrzask atakującego ptaka:

- Normo Jeane!

NORMO JEANE!

Dwie dziewczynki spojrzały na Normę Jeane i roześmiały się, być może ze współczuciem.

Norma Jeane wysunęła dolną wargę i dalej kopała w piasku.

Nie pójdę.

Nie może mi rozkazywać.

Delia Monroe, typ Tugboat Annie z komiksów, była postacią dobrze znaną w sąsiedztwie.

Widywano ją w Chrześcijańskim Kościele Odrodzonym, gdzie (świadkowie przysięgali!

) jej okulary o dwóch ogniskowych parowały, gdy śpiewała.

A potem Delia wypychała bezwstydnie wnuczkę do przodu, przed wszystkich, aby młodziutki duchowny o blond włosach mógł podziwiać Normę Jeane w lokach jak u Shirley Tempie i jej nieskazitelnej niedzielnej sukienkę, co nieodmiennie czynił, i mówił z uśmiechem:

- Bóg ci sprzyja, Delio Monroe!

Musisz mu za to podziękować.

Delia odpowiadała śmiechem, potem wzdychała.

Nie potrafiła przyjąć nawet szczerego komplementu, by się fałszywie nie krygować.

- Dziękuję.

Skoro nie robi tego mamusia Normy Jeane.

Babcia Delia nie wierzyła w psucie dzieci.

Uważała, że należy je jak najwcześniej przyzwyczajać do pracy, ponieważ ona sama pracowała przez całe życie.

Teraz, kiedy umarł jej mąż i jej emerytura była "mizerna" - wynosiła "tyle, co nic" - Delia musiała dalej pracować.

"Grzesznicy nie zaznają spokoju!

" Brała do prasowania bieliznę z pralni przy Ocean Avenue i podejmowała się szycia dla miejscowych szwaczek, a kiedy nie mogła tego uniknąć, zajmowała się pilnowaniem dzieci w swoim mieszkaniu: jakoś sobie radziła.

Urodziła się w pobliżu granicy i nie była głupiutką omdlewającą lilią jak niektóre z tych żalonych kobiet w filmach i jej własna neurotyczna córka.

Och, Delia Monroe nie cierpiała "ulubienicy Ameryki", Mary Pickford.

Długo popierała dziewiętnastą poprawkę przyznającą kobietom prawo do głosowania i sama brała udział we wszystkich wyborach, po cząwszy od jesieni 1920 roku.

Była sprytna, miała cięty język i szybko wpadała w gniew; choć zasadniczo nie lubiła kina, bo było tyle warte, co błyszcząca pięciocentówka, podziwiała Jamesa Cagneya we Wrogu publicznym - film ten obejrzała trzykrotnie - podziwiała tego twardego kogucika, gotowego zniszczyć swoich wrogów, ale godzącego się z losem, z tym, że go zabandażują jak mumię i porzucą na progu domu.

Podobnie podziwiała morderczego "Małego Cezara", Edwarda G.

Robinsona, który gładko wypowiadał kłamstwa swoimi dziewczęcymi ustami.

Obaj byli wystarczająco męscy, by zaakceptować śmierć, kiedy na nich wypadło.

Kiedy na ciebie wypadnie, to już wypadnie.

Babcia Delia zdawała się myśleć o tym jak o czymś radosnym.

Czasem, po poranku wypełnionym pracą, sprząaniem mieszkania, zmywaniem i wycieraniem naczyń, Norma Jeane szła z Delią na szczególnie spacer połączony z karmieniem dzikich ptaków.

Dla Normy Jeane był to czas największego szczęścia!

Razem rozsypywały okruchy chleba na piaszczystą ziemię na pustym placu, stawały w pobliżu i przyglądały się, jak ptaki nadlatują, głodne, lecz ostrożne, turkoczą skrzydłami, szybko uderzają małymi dziobami.

Gołębie, wilgi, hałaśliwe sójki.

Hordy wróbli o czarnych łebkach.

A w krzewach krążyły kolibry nie większe od trzmieli.

Delia rozpoznawała te maleństwa po tym, że potrafiły latać w tył i na boki, inaczej niż pozostałe ptaki, "sprytnie, małe szatany", niemal oswojone, choć nie jadały ani okruchów, ani nasion.

Norma Jeane była oczarowana tymi ptaszkami o opalizujących purpurowych i zielonych piórach błyszczących jak w słońcu metal; kolibry uderzały skrzydłami tak szybko, że widziało się tylko rozmazaną plamę;

wsuwały cienkie jak igły dzioby do cylindrycznych kwiatów, aby wyssać nektar, wisząc cały czas w powietrzu.

Odlatywały niezwykle szybko!

- Och, babciu, gdzie one się podziały?

Babcia Delia wzruszała ramionami.

Chęć bycia babcią mijiała.

Mijała ochota na sprawianie dziecku przyjemności.

- Kto wie?

Tam, gdzie jest ich miejsce.

Po śmierci Delii Monroe będzie się mówiło, że starsza kobieta postarzała się po odejściu męża.

Kiedy żył, narzekała na niego w rozmowie z każdym, kto tylko chciał słuchać: na jego picie, "kiepskie płuca", "złe nawyki".

Delia dużo ważyła, twarz miała czerwoną, bo cierpiała na nadciśnienie, ale nie dbała dostatecznie o swoje zdrowie.

Niczym gnany wiatrem żaglowiec krążyła po okolicy, rozglądając się za wnuczką.

Ledwie pozwoliła jej wyjść na dwór, a już pragnęła, by Norma Jeane wróciła do domu.

Mówiła, że chroni dziewczynkę przed matką, "Tą, która złamała serce swojej matce".

Sierpniowe popołudnie - oślepiające słońce, upał i nikogo na dworze poza kilkorgiem dzieci za budynkiem.

Babcia Delia miała przeczucie, że coś się wydarzy, coś niedobrego, więc wyszła na zewnątrz, nie zważając na upał, i zawołała:

- Normo Jeane!

Normo Jeane!

Krzyczała w taki sposób, w jaki rzeźnik mógłby rąbać toporem mięso:

raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy.

Krzyczała, idąc alejką od frontu, krzyczała, idąc dróżką przy budynku, krzyczała, stojąc na pustym placu, a dziewczęta uciekły z chichotem, aby się schować, a ja nie odpowiadałam, nie mogłam mi rozkazywać/Chociaż Norma Jeane kochała swoją babcię, jedyną żyjącą osobę, która szczerze ją kochała, jedyną żyjącą osobę, która ją kochała, nie pragnąc jej ranić, tylko ją chronić.

Tylko że chłopcy z sąsiedztwa mówili o Delii Monroe "ta stara, tłusta słońca!

" i Normie Jeane było wtedy wstyd.

Tak więc Norma Jeane schowała się.

Potem, po chwili, nie słysząc nawoływania Delii, zdecydowała, że mimo wszystko lepiej będzie wrócić do domu; podchodziła od strony plaży, wyglądała jak dzikuska, w uszach czuła pulsowanie krwi, a jakaś starsza kobieta w wieku jej babci krzyknęła:

- Ej!

Babcia cię szukała, młoda panno!

Norma Jeane wpadła do budynku i wbiegła na trzecie piętro, jak to już wielokrotnie robiła, a jednak wiedziała, że tym razem będzie inaczej, wszystko wydawało się dziwnie spokojne, taki sam spokój panuje w filmach tuż przed niespodzianką, a często bywa to niespodzianka, która zmusza do krzyku, na którą nie można się przygotować.

Och, patrzcie tylko!

- drzwi do mieszkania babci były otwarte.

Niedobrze.

Norma Jeane wiedziała, że to zły znak.

Domyślała się, co zastanie wewnątrz.

Bo Babcia przewracała się już wcześniej, gdy byłam w domu.

Traciła równowagę po nagłych zawrotach głowy.

Zastawałam ją na podłodze w kuchni, oszołomioną, pojękującą i z trudem chwytającą oddech; nie wiedziała, co się stało.

Pomagałam jej się podnieść i usiąść na krześle, potem przynosiłam tabletki i kawałki lodu zawinięte w płótno, które przykładała sobie do rozgrzanej twarzy.

To było straszne, ale po chwili ona się śmiała i wiedziałam już, że wszystko jest w porządku.

Ale tym razem nic nie było w porządku.

Babcia leżała na posadzce w łazience, spocone, zwaliste ciało zakleszczyło się między wanną a muszlą klozetową, jedno i drugie zostało wcześniej wyczyszczone tamtego ranka, zapach środka czyszczącego to reprimenda za ludzką słabość; babcia Delia tkwiła na boku jak wyrzucona na brzeg ryba, na jej twarz wystąpiły czerwone placki, powieki miała częściowo otwarte, ale wzrok nieobecny, oddech świszczący.

- Babciu!

Babciu!

To była scena z jakiegoś filmu, tylko że rozgrywała się naprawdę.

Babcia Delia wyciągnęła rękę w kierunku Normy Jeane, jak gdyby chciała, aby ją podnieść.

Wydała z siebie jakiś gardłowy odgłos, z początku

nierozumiały - nie był ani wyrazem złości, ani skargi.

Och, nie było dobrze!

Norma Jeane wiedziała o tym.

Przyklęła obok babki, wyczuwając woń chorego ciała, potu, gazów jelitowych i odchodów, rozpoznając na tychmiast odór śmierci.

Krzyknęła:

- Babciu, nie umieraj!

Te słowa powtarzała nawet wówczas, gdy starsza kobieta chwyciła ją za rękę w ostatnim spazmie, niemal łamiąc jej palce, i powiedziała z nieprawdopodobnym wysiłkiem:

-Niech cię Bóg błogosławi moje dziecko kocham cię.

"To była moja wina!

Przeze mnie babcia umarła".

"Nie bądź śmieszna, to nie była niczyja wina".

"Nie chciałam pójść do domu, kiedy mnie wołała!

Byłam niegrzeczna".

"Nieprawda, to wina Boga.

Spróbuj znowu zasnąć".

"Mamo, czy ona nas słyszy?

Czy babcia nas słyszy?

"

"Chryste, mam nadzieję, że nie!

"

"To się babci stało przeze mnie.

Och, Mamusiu..."

"Nie jestem Mamusią, ty okropna mała idiotko!

Akurat na nią wypadło, to wszystko".

Łokciami odepchnęła dziecko.

Nie chciała dawać jej klapsa, bo nie chciała robić użytku ze swych popękanych, podrażnionych dłoni.

(Dłonie Gladys!

Prześladowała ją myśl, że do jej kości przeniknął rak ze środków chemicznych.)

"I nie dotykaj mnie, niech cię licha.

Przecież wiesz, że tego nie znoszę".

Niespokojny czas dla tych, którzy się urodzili pod znakiem Bliźniąt.

Tragicznych bliźniaków.

Kiedy w laboratorium obróbki negatywów zadzwonił do niej telefon, Gladys Mortensen tak się przestraszyła, że trzeba ją było podprowadzić do aparatu.

Kierownik, pan X - kiedyś kochał się w niej; tak jest, błagał, żeby za niego wyszła, porzucić dla niej rodzinę, kiedy została jego asystentką w 1929 roku; ale potem ona przeszła na niższe stanowisko z powodu choroby, to nie była jej wina-bez słowa wręczył jej słuchawkę.

Gumowy przewód był poskręcany jak wąż.

Ta rzecz najwyraźniej żyła, ale Gladys nie miała zamiaru przyjąć tego do wiadomości.

Oczy miała zażawione od silnych chemikaliów, z którymi pracowała (nad pewnym drobiazgiem, który powinna przekazać innemu, niższemu rangą pracownikowi laboratorium, ale nie chciała dawać panu X satysfakcji swoim narzekaniem) i w uszach lekko jej szumiało, jakby głosy z taśmy filmowej powtarzały bez ustanku "Teraz!

teraz!

teraz!

teraz!

" to również zignorowała.

Od kiedy w wieku dwudziestu sześciu lat wydała na świat ostatnią z córek, nauczyła się ignorować i filtrować liczne niepokojące głosy w swojej głowie, bo wiedziała, że nie są rzeczywiste; czasami jednak była zmęczona i wtedy któryś z głosów wybijał się ponad inne, tak jak stacja radiowa, którą nagle ktoś dobrze dostroił.

Gdyby ją zapytano, odpowiedziałaby, że ów pilny telefon dotyczy jej córki Normy Jeane.

(Dwie pozostałe mieszkały w Kentucky ze swoim ojcem i praktycznie zniknęły z jej życia.

Ojciec po prostu zabrał je.

Powiedział, że jest "chorą kobietą", i pewnie miał rację.) Coś się stało.

Pani dziecku.

Bardzo mi przykro.

To był wypadek.

Tymczasem wiadomość dotyczyła matki Gladys!

Delii!

Delii Monroe!

"Coś się stało.

Pani matce.

Bardzo mi przykro.

Czy mogłaby pani przyjechać najszybciej, jak się da?

"

Gladys pozwoliła słuchawce zawisnąć na końcu poskręcane go kabla.

Pan X musiał podtrzymać Gladys, żeby się nie przewróciła.

Mój Boże, zapomniała o Delii.

O własnej matce, Delii Monroe.

Dopuściła do tego, że Delii coś się stało, bo wyparła ją ze swoich myśli.

Delię Monroe, urodzoną pod znakiem Byka.

(Ojciec Gladys umarł poprzedniej zimy.

Gladys cierpiała wtedy na jeden z tych swoich gwałtownych napadów migreny i nie była w stanie pójść na pogrzeb ani nawet odwiedzić matki na Venice Beach.

W jakiś sposób zdołała zapomnieć o ojcu, tłumacząc sobie, że Delia będzie lamentowała za nie obie.

Im bardziej Delia będzie na nią zła, tym mniej będzie rozmyślała o tym, że jest wdową.

"Mój biedny ojciec zginął w Argonne.

Zagazowany w Argonne - opowiadała Gladys wszystkim.

- Właściwie nie zdążyłam go poznać".) Przez ostatnie lata Gladys nie była w stanie kochać Delii, miłość była wyczerpująca i wymagała zbyt wiele siły, uważała jednak, że Delia, jak to Delia, przeżyje ją.

Przeżyje także Normę Jeane, którą się zaopiekowała.

Gladys nie kochała Delii, ponieważ bała się jej osądu.

Oko za oko, ząb za ząb.

Żadna matka nie może bezkarnie opuścić swoich dzieci.

Jeśli ją kochała, to jakimś przewrotnym rodzajem miłości, która nie zapewnia matce ochrony przed krzywdą.

Bo chyba właśnie tym jest miłość.

Ochroną przed krzywdą.

Gdzie pojawia się krzywda, tam miłość jest niepełna.

Normie Jeane, której nie można nie winić, która znalazła swoją babkę na podłodze w agonii, nie stała się najmniejsza krzywda.

To było tak, jakby babcię "trafił piorun", powtarzała Norma Jeane.

Ale piorun ominął Normę Jeane i za to Gladys postanowiła być wdzięczna losowi.

Przyjęła, że to był omen; tak jak omenem było to, że ona i Norma Jeane urodziły się pod znakiem Bliźniąt, w czerwcu, podczas gdy Delia, za którą nie można było nadążyć, przyszła na świat pod znakiem Byka, najbardziej oddalonego od Bliźniąt.

Przeciwieństwa się przyciągają, przeciwieństwa się odpychają.

Pozostałe jej córki urodziły się pod innymi znakami.

Gladys odczuwała ulgę na myśl, że oddalone o mniej więcej tysiąc mil, zamieszkałe w Kentucky, znalazły się poza zasięgiem chorobliwych wpływów swej matki; należały teraz całkowicie do ojca.

Zostaną oszczędzone!

Oczywiście Gladys zabrała Normę Jeane do swojego domu.

Nie miała zamiaru powierzać istoty ze swego ciała i krwi opiece miejscowego sierocińca, na co, jak zawsze powtarzała ponuro Delia, mała dziewczynka byłaby skazana, gdyby nie miała jej.

Gladys chętnie uwierzyłaby w niebo chrześcijan i w to, że Delia spogląda z wysokości na nią i Normę Jeane, mieszkające w bungalowie przy Highland Avenue, niezadowolona, bo nie sprawdziła się jej przepowiednia.

"Widzisz?"

Nie jestem złą matką.

Kiedyś byłam słaba.

Byłam chora.

Mężczyźni źle mnie traktowali.

Ale teraz mam się całkiem dobrze.

Jestem silna!

"

Ale pierwszy tydzień z Normą Jeane okazał się koszmarem.

Takie ciasne pokoje na tyłach pachnącego pleśnią bungalowu!

Spanie na tym samym zapadniętym łóżku.

Jakie spanie?

Wysiłek, by zasnąć.

Do pasji doprowadzała Gladys to, że własna córka wyraźnie się jej boi.

Wzdraga się przed nią i kuli jak skopany pies.

"To nie moja wina, że umarła twoja ukochana babcia.

Ja jej nie zabiłam!".

Nie mogła ścierpieć płaczu Normy Jeane, pociągania nosem i sposobu, w jaki, niczym filmowa sierota, tuliła do siebie lalkę, teraz starą i brudną.

- Ta rzecz!

Masz ją jeszcze!

Zabraniam ci mówić do tego czegoś!

To pierwszy krok do...

Gladys nagle zamilkła i zadrżała, nie chcąc nazwać po imieniu swych obaw.

(Zaczęła się zastanawiać, dlaczego tak bardzo nienawidzi tej lalki?)

Przecież sama podarowała ją córce na urodziny.

Była zazdrosna o to, że Norma Jeane poświęca jej tyle uwagi?

Złocistowłosa lalka o pustych oczach i zastygłym uśmiechu była Normą Jeane - o to chodziło?

Podarowała córce lalkę, traktując to niemal jako żart; sama dostała ją od przyjaciela, który powiedział, że gdzieś poderwał tę laleczkę, choć najprawdopodobniej, bo przecież dobrze wiedziała, że jest ćpunem, zabrał ją z czyjegoś samochodu albo werandy, odmaszerował z ulubioną zabawką jakiejś dziewczynki, łamiąc jej serce, zdeprawowany jak Peter Lorre w M-Mordercy\ Nie mogła jednak odebrać tej przeklętej rzeczy Normie Jeane.

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Żyły ze sobą dzielnie, matka i córka.

W okresie szalejących wiatrów Santa Ana, gorącego, nasyczonego dymem powietrza i piekielnych pożarów jesienią 1934 roku.

Mieszkały razem w trzech wynajętych izbach bungalowu na 828 Highland Avenue w Hollywood, "pięć minut drogi spacerkiem do Hollywood Bowl", jak to często opisywała Gladys.

Choć tak naprawdę nigdy nie spacerowały do Hollywood Bowl.

Matka miała trzydzieści cztery lata, córka osiem.

Było w tym pewne zniekształcenie jak w krzywym zwierciadle w wesołym miasteczku: niby to całkiem zwyczajne lustro, więc wierzysz jego odbiciu, a wierzyć nie powinnaś.

Gladys miała trzydzieści cztery lata!

- ale jej życie jeszcze się właściwie nie rozpoczęło.

Urodziła troje dzieci, które zabrano od niej, czyli w pewnym sensie usunięto, a teraz ta ośmiolatka o przerażająco smutnych oczach, staromłoda dusza, chodzący wyrzut sumienia, którego nie mogła znieść, ale znosić musiała, ponieważ "mamy tylko siebie", jak często przy pominącej córce Gladys - "póki mam dość siły, aby nad tym panować".

Sezon pożarów nie nastąpił nieoczekiwanie.

Stosowne kary nigdy nie są nieoczekiwane.

Na długo przed pożarami w Los Angeles w 1934 roku w powietrzu południowej części Kalifornii wyczuwało się zagrożenie.

Aby zrozumieć, że wkrótce zapanuje niekontrolowany chaos, wcale nie trzeba było czekać na wiatry znad pustyni Mojave.

Wystarczyło wyjść na ulicę i przyrzeć się zniszczonym twarzom zbitych z tropu włóczęgów.

Wystarczyło spojrzeć o za chodzącego słońca na demoniczne formacje chmur nad Pacyfikiem.

Odczytać zawołane wskazówki z niewyraźnych uśmiechów i hamowanych chichotów pewnych osób z Wytwórni, osób, którym się wcześniej ufało.

Najlepiej nie słuchać wiadomości radiowych.

Najlepiej unikać doniesień za mieszczanych w prasie - także w "Los Angeles Timesie" - pozostawianej często w pobliżu bungalowu (rozmyślnie?

aby sprowokować co bardziej wrażliwych mieszkańców, takich jak Gladys?

), bo przecież nie chciało się znać alarmujących statystyk informujących o bezrobociu, o błąkających się po całym kraju, wypędzonych i bezdomnych rodzinach, o samobójstwach bankrutów, o weteranach pierwszej wojny światowej, których zdemobilizowano, nie dając w zamian ani pracy, ani "nadziei".

Nie chciało się czytać o wydarzeniach w Europie.

W Niemczech.

"Podczas kolejnej wojny będziemy walczyć tutaj.

Tym razem nie uciekniemy".

Gladys zamknęła oczy w udręce.

Szybkie jak pierwszy atak migreny.

Nie ona wyraziła to przekonanie, tylko pewien władczy, męski głos w radiu.

Dlatego właśnie Gladys zabrała Normę Jeane do bungalowu przy Highland Avenue, aby z nią zamieszkała.

Chociaż w dalszym ciągu wiele godzin pracowała w Wytwórni i ustawicznie się bała, że zostanie zwolniona z pracy (w całym Hollywood zwalniano pracowników na jakiś czas bądź na stałe), chociaż czasami ledwie mogła zwlec się z łóżka, sprawy świata przy tłaczały jej duszę.

Postanowiła być "dobrą matką" dla swojego dziecka, tym bardziej że pozostało jej niewiele czasu.

Bo jeżeli wojna nie rozpocznie się w Europie i nie przeskoczy Pacyfiku, to może spaść z nieba: H.

G. Wells przepowiedział taki rozwój wypadków w Wojnie szmalów, powieści, którą Gladys wzięła sobie bardzo do serca, tak samo jak niektóre fragmenty Wehikułu czasu.

(Miała mgliste wrażenie, że to ojciec Normy Jeane podarował jej zbiór zawierający tę i inne powieści Wellsa wraz z kilkoma tomikami poezji, ale w rzeczywistości otrzymała te książki "dla nabrania ogłady" od pewnego pracownika Wytwórni, który był przyjacielem ojca Normy Jeane, także przez krótki czas - w połowie lat dwudziestych - zatrudnionego w Wytwórni.) Inwazja Marsjan: czemu nie?

Gladys w chwilach "pobudliwości" wierzyła w znaki astrologiczne i silny wpływ gwiazd czy planet na ludzkość.

Wydawało się całkiem logiczne, że istnieją we wszechświecie inne istoty i że zgodnie z wolą ich Stwórcy przejawiają okrutne, typowe dla drapieżników zainteresowanie ludzkością.

Taka inwazja pasowałaby do Apokalipsy, zdaniem Gladys, jedynej przekonującej księgi Biblii, i do południowej Kalifornii.

Czemu w roli gniewnych aniołów z płonącymi mieczami nie mieliby wystąpić ohydni, grzybowaci Marsjanie miotający niewidoczne snopy gorąca, które po trafieniu w ludzkie cele przeradzają się w płomienie?

Ale czy Gladys rzeczywiście wierzyła w Marsjan?

W możliwość inwazji z nieba?

"Mamy dwudziesty wiek.

Od czasów panowania Jahwe wiele się zmieniło, także rodzaje kataklizmów".

Nikt nie wiedział, czy Gladys żartuje i prowokuje, czy jest śmiertelnie poważna.

Tego rodzaju kwestie wygłaszała zmysłowym głosem Jean Harlow, opierając grzbiet dłoni o szczupłe biodro.

Patrzyła przed siebie błyszczącymi, szeroko otwartymi oczami.

Usta, wilgotne, czerwone, wyglądały na lekko nabrzmiałe.

Norma Jeane dostrzegła z niepokojem, że inni dorośli, zwłaszcza mężczyźni, są zafascynowani jej matką, tak samo jak można być zafascynowanym kimś, kto zbytnio się wychyla z okna na górnych piętrach budynku albo prawie dotyka włosami płomienia świecy.

Nie szkodzi, że Gladys miała odgarnięte z czoła pasmo siwizny (gardziła farbowaniem włosów), krepowe cienie pod oczami, że dygotała jak w gorączce.

Na werandzie bungalowu, przed wejściem, na ulicy, gdziekolwiek znalazła słuchaczy, odgrywała sceny.

Jeśli ktoś widział w życiu choć parę filmów, to od razu mógł się zorientować, że Gladys odgrywa sceny.

Odgrywanie scen, nawet tych, które nie miały wyraźnego sensu, przykuwało uwagę, a to pomagało uspokoić umysł.

Ekscytujące było to, że uwaga, którą przykuwała Gladys, miała charakter erotyczny.

Erotyczny: to znaczy, że cię ktoś "pożąda".

Bo szaleństwo jest pociągające, seksowne.

Kobiece szaleństwom.

Póki kobieta jest w miarę młoda i atrakcyjna.

Normie Jeane, dziecku wstydliwemu, dziecku często niewidzialnemu, po dobało się, że inni dorośli, zwłaszcza mężczyźni, z takim zainteresowaniem spoglądają na kobietę, która jest jej matką.

Gdyby nerwowy śmiech i nie ustanne gestykulowanie Gladys nie odstręczało mężczyzn tak szybko po tym pierwszym zainteresowaniu, być może któryś z nich pokochałby ją i poślubił.

Byłybyśmy uratowane!

Norma Jeane przeżyła bardzo nieprzyjemne chwile, gdy po jednym z tych radosnych publicznych występów Gladys wróciła do domu, połknęła chyba całą garść pigułek i opadła na łóżko, gdzie godzinami leżała, dygocząc bez czucia; wprawdzie nie spała, ale wydawało się, że oczy ma sklezione śluzem.

Gdyby Norma Jeane próbowała rozluźnić na niej ubranie, Gladys zakłęłaby i machnęła ręką.

Gdyby Norma Jeane usiłowała ściągnąć z jej nóg ciasne pantofelki, Gladys mogłaby odpowiedzieć kopniakiem.

- Nie, nie dotykaj mnie!

Bo się zarazisz trądem!

Zostaw mnie w spokoju.

Gdyby się tylko bardziej postarała z tymi mężczyznami.

Może.

Może by się udało.

Gdziekolwiek jesteś, tam i ja jestem.

Nim dotrzesz do miejsca, do którego zmierzasz, ja już będę tam na ciebie czekać.

Jestem w twoich myślach, Normo Jeane.

I zawsze będę.

Wspaniałe wspomnienia!

Czuła się uprzywilejowana.

Była jedynym dzieckiem w miejscowej szkole podstawowej, które miało "kieszonkowe" - w małej satynowej portmonetce w kolorze truskawki - i w porze lunchu mogła coś sobie kupić do jedzenia.

Kawałek szarlotki, oranżadę.

Czasem paczuszkę krakersów z masłem orzechowym.

Palce lizać!

Po latach na wspomnienie tych pyszności ślinka napływała jej do ust.

W niektóre dni po szkole, nawet zimą, kiedy wcześniej zapadał zmierzch, Normie Jeane wolno było przejść samej dwie i pół mili do Graumans Egyptian Theatre przy Hollywood Boulevard, gdzie za jedyne dziesięć centów mogła obejrzeć dwa filmy.

Jasnowłosa Księżniczka i Ciemnowłosa Księżę!

Jak Gladys zawsze przy nosili pocieszenie.

- Te dni, kiedy chodzisz do kina...

Nie mów o nich nikomu.

- Gladys przestrzegła Normę Jeane, by nikomu się nie zwierzała: nikomu nie można ufać, nawet przyjaciołom.

Jeszcze ktoś coś źle zrozumie i niesprawiedliwie osądzi Gladys.

Gladys często pracowała do późna.

Niektóre prace związane z techniczną obróbką filmu wyłącznie Gladys Mortensen potrafiła dobrze wykonać, szef na niej polegał.

Bez Gladys takie przeboje kinowe jak Happy Days z Dixie Lee albo Kiki z Mary Pickford na pewno okazałyby się katastrofami.

W każdym razie Gladys uważała, że Egyptian Theatre to miejsce bezpieczne.

- Siadaj z tyłu, blisko przejścia.

Patrz tylko na ekran.

Jeśli ktoś będzie cię zaczepiał, poskarż się bileterce.

I nie rozmawiaj z nieznajomymi.

Wracając do domu o zmierzchu po podwójnym seansie, nieco dezorientowana, jakby się jeszcze znajdowała w środku filmowej opowieści, Norma Jeane przestrzegła wskazówek matki, by iść szybko i zdecydowanie, blisko krawężnika i pod światłami latarni.

Nie patrzeć nikomu w oczy i nie zgadzać się na żadne propozycje podwiezienia, nigdy.

I nigdy nic misie nie przydarzyło.

To doskonale pamiętam.

Bo ona zawsze była ze mną.

I on też.

Ciemnowłosego Księżę.

Jeśli w ogóle istniał, to tylko w świecie filmowych marzeń.

Serce biło jej coraz szybciej, gdy zbliżała się do przypominającego katedrę kina.

Najpierw dostrzegała go na plakatach, na błyszczących fotografiach umieszczonych za szybą niczym wystawione na pokaz dzieła sztuki.

Fred Astaire, Gary Cooper, Cary Grant, Charles Boyer, Paul Muni, Fredric March, Lew Ayres, Clark Gable.

Na ekranie w środku przybierał gigantyczne rozmiary, ale mimo wszystko wydawał się bliski, tak niedaleki, jakby wystarczyło wyciągnięcie ręki, by go dotknąć - prawie!

Mówiąc do innych, obejmując i całując piękne kobiety, dawał się poznać widzom.

A te kobiety - i one były blisko, też na wyciągnięcie ręki, właściwie były tobą w czarodziejskim zwierciadle, Magiczne Przyjaciółki w innych ciałach, o twarzach, które w tajemniczy sposób należały do ciebie.

Albo będą należały do ciebie.

Ginger Rogers, Joan Crawford, Katherine Hepburn, Jean Harlow, Marlena Dietrich, Greta Garbo, Constance Bennett, Joan Blondell, Claudette Colbert, Gloria Swanson.

Ich historie zlewały się i łączyły jak sny.

Hałaśliwe musicale, poważne dramaty, zwariowane komedie, opowieści przygodowe i wojenne, sagi o starożytnych czasach - wizje, w których te same znakomite twarze pojawiały się ciągle na nowo.

W innych przebraniach i kostiumach, uwikłane w rozmaite losy.

Oto i on!

Ciemnowłosa Księżę.

I jego Księżniczka.

Gdziekolwiek jesteś, tam i ja jestem.

Ale w szkole to się nie zawsze sprawdzało.

W wynajętym bungalowie przy Highland Avenue byli sami dorośli z wyjątkiem małej Normy Jeane, dziewczynki o kręconych włosach, która była ulubienicą mieszkańców.

("Nieźbyt to odpowiednia atmosfera dla dzieci, z tymi typkami wałęsającymi się tu i tam" - zauważyła jedna z lokatorek w rozmowie z Gladys.

"Jakie znowu typki?

- zapytała rozdrażniona Gladys.

- Wszyscy pracujemy dla Wytwórni".

"Właśnie o to mi chodzi - odparła kobieta ze śmiechem.

- Wszyscy pracujemy dla Wytwórni".) A w szkole były dzieci.

Bałam się ich/Małych ludzi o silnej woli, których należało szybko pokonać.

Nie miałam drugiej szansy.

Bez braci i siostr czułam się samotna.

Byłam inna niż oni.

Chyba za bardzo chciałam, aby mnie polubili.

Wołali na mnie Wielkie Gały albo Mądralińska, nigdy nie wiedziałam dlaczego.

Gladys powiedziała przyjaciółom, że ciągle ją "prześladuje" myśl o "kiep skim systemie nauczania", jakiemu podlegała jej córka, ale w ciągu jedenastu miesięcy tylko raz odwiedziła szkołę podstawową w Highland, i to tylko dlatego, że ją wezwano.

A Ciemnowłosego Księcia wcale tam nie było.

Nawet w marzeniach na jawie, nawet z zaciśniętymi powiekami, Norma Jeane nie potrafiła go sobie wyobrazić.

Zawsze będzie na nią czekał w marzeniu filmowym; na tym polegało jej sekretne szczęście.

7

- Mam co do ciebie pewne plany, Normo Jeane.

Właściwie co do nas.

Biały, pokojowy steinway, tak piękny, że Norma Jeane gapiła się na niego

z otwartymi ustami, zdumiona dotykała jego gładkiej powierzchni opuszkami

palców: ojej, czyżby naprawdę był dla niej?

- Będziesz brała lekcje gry na fortepianie.

Tak jak chciałam.

Salon w trzypokojowym mieszkaniu Gladys był mały i już bardzo ciasny, ale udało im się wygospodarować miejsce na ten fortepian, "dawniej należący do Fredrica Marcha", jak się często chwaliła Gladys.

Znakomity pan March, który wyrobił sobie nazwisko w niemych filmach, był związany z Wytwórnią kontraktem.

Podobno pewnego dnia, w barku, okazał Gladys życzliwość; sprzedał jej uprzejmie fortepian po "znacznie obniżonej cenie", wiedząc, że nie ma zbyt wiele pieniędzy; w innej wersji opowieści o nabyciu tego szczególnego fortepianu pan March po prostu podarował go Gladys "jako symbol swego szacunku".

(Gladys zabrała Normę Jeane do kina, aby jej pokazać Fredrica Marcha w filmie I Love You Truly z udziałem Carole Lombard; w sumie matka i córka widziały ten film trzy razy.

"Twój ojciec byłby zazdrosny, gdyby się dowiedział" - zauważyła tajemniczo Gladys.) Ponieważ Gladys na razie nie mogła sobie pozwolić na zawodowego nauczyciela dla Normy Jeane, zorganizowała kilka doraźnych lekcji u jednego z mieszkańców bungalowu, Anglika o nazwisku Pearce, który dublował już kilka prawdziwych gwiazd, w tym Charlesa Boyera i Clarka Gablea.

Był mężczyzną średniego wzrostu, przystojnym, z cienkim wąsikiem.

Jednak nie emanował ciepłem - nie miał wystarczającej "prezencji".

Norma Jeane próbowała go zadowolić, ćwicząc bardzo pilnie; uwielbiała grać na "magicznym fortepianie", kiedy była sama, ale westchnienia i grymasy pana Pearcea sprawiały, że czuła się skrępowana.

Szybko nabrała fatalnego zwyczaju uporczywego powtarzania nut.

"Moja droga, przestań się jąkać w grze - powiedział pan Pearce z tym swoim ironicznym akcentem.

- Wystarczy, że się jąkasz w mowie".

Gladys, która kiedyś liznęła trochę gry na fortepianie, starała się przekazać Normie Jeane to, czego się sama nauczyła, ale sesje z nią były jeszcze bardziej wyczerpujące niż lekcje z panem Pearceem.

Gladys krzyczała, doprowadzona do wściekłości: "Nie słyszysz, że uderzasz niewłaściwą nutę?

Krzyżyk, bemol?

Jesteś pozbawiona słuchu czy po prostu głucha?

"

Mimo wszystko lekcje Normy Jeane wciąż się odbywały.

Do tego doszły sporadyczne lekcje śpiewu z przyjaciółką Gladys, również mieszkanką tego samego bungalowu, pracującą w dziale muzycznym Wytwórni.

Panna Flynn powiedziała Normie:

- Twoja dziewczynka jest słodką, szczerą osobką.

Bardzo się stara, bardziej niż niektóre z młodszych śpiewaczek, które mają kontrakt!

Ale istnieje pewien problem.

- Jess Flynn mówiła cicho, aby Norma Jeane nie słyszała.

- Ona zupełnie nie ma głosu.

- Ale będzie miała - odparła Gladys.

Robiliśmy to, zamiast pójść do kościoła.

To było nasze nabożeństwo.

W niedzielę, jeśli Gladys miała pieniądze na benzynę albo mężczyznę, który pożyczył jej samochód, jechała z Normą Jeane obejrzeć domy "gwiazd".

W Beverly Hills, Bel Air, Los Feliz i na Hollywood Hills.

Wiosną i latem 1934 roku oraz wyjątkowo suchą jesienią.

Mezzosopran Gladys pobrzmiwał dumą.

Oto wspaniały dom Douglasa Fairbanksa.

Wspaniały dom Mary Pickford.

Wspaniały dom Poli Negri.

Wspaniałe domy Toma Mixa i Thedy Bary - "Bara wyszła za multimilionera, przedsiębiorcę, i wycofała się z interesu.

Sprytnie".

Norma Jeane wytrzeszczała oczy.

Ależ cudowne domy!

Wyglądały naprawdę jak pałace albo zamki z ilustracji do bajek.

Matka i córka nigdy nie bywały bardziej szczęśliwe niż wtedy, gdy przeżywały te magiczne chwile, zwiedzając lśniące ulice.

Norma Jeane nie musiała się wcale obawiać, że będzie się jąkała i zdenerwuje matkę, bo Gladys mówiła na okrągło.

- Dom Barbary La Marr, Dziewczyny, Która Była Zbyt Piękna.

(To taki żart, kochanie.

Nie można być zbyt pięknym, tak samo jak nie można być zbyt bogatym.) Dom W.

C. Fieldsa.

Oto dawny dom Greta Garbo, piękny, ale mniejszy, niżby się człowiek spodziewał.

A tam, za tą bramą, rezydencja w hiszpańskim stylu niezrównanej Glorii Swanson.

Tam zaś dom Normy Talmadge, "naszej" Normy.

W Los Feliz Gladys zaparkowała samochód, więc razem z córką mogła się dobrze przyjrzeć eleganckiej, kamiennej rezydencji, w której Norma Talmadge mieszkała ze swoim mężem producentem.

Osiem dostojnych granitowych lwów, symboli wytwórni Metro-Goldwyn-Mayer, strzegło wejścia!

Norma Jeane nie mogła oderwać wzroku.

Trawa, jaka zielona i bujna.

Jeśli prawdą było, że Los Angeles jest miastem z piasku, nigdy byś się tego nie domyśliła, będąc w Beverly Hills, Bel Air, Los Feliz czy na Hollywood Hills.

Deszcz nie padał od tygodni i trawa prawie wszędzie pożółkła albo powysychała, ale w tych bajecznych miejscach pozostała jednolicie zielona.

Karmazynowe i purpurowe pnącza kwitły bez przerwy.

Rosły tu drzewa, których Norma Jeane nie widziała nigdzie indziej - Gladys nazywała je cyprysami.

Nie skarłowaciałe, nędzne drzewa palmowe, które rosły wszędzie, tylko dostojne palmy, wyższe niż dachy najwyższych domów.

- Dawny dom Bustera Keatona.

Tam Helen Chandler.

Za tą bramą Mabel Normand.

I Harold Lloyd.

John Barrymore.

Joan Crawford.

I Jean Harlow, "nasza" Jean.

Normie Jeane bardzo przypadło do gustu, że Jean Harlow, podobnie jak Norma Talmadge, mieszka wśród zieleni.

Nad tymi domami słońce świeciło łagodnie, nie wysyłało palących promieni.

Jeśli pojawiały się chmury, to wisiały wysoko i były puszystymi kłębkami na doskonale wymalowanym, błękitnym niebie.

- Oto Cary Grant!

Niedawno postawiony.

A tam John Gilbert.

Lillian Gish - to tylko jedna z jej wcześniejszych rezydencji.

A tam, w tym domu na rogu, mieszkała Jeanne Eagels, nie żyje, biedactwo.

Norma Jeane natychmiast zapytała, co się przydarzyło Jeanne Eagels.

Dawniej Gladys jedynie odpowiadała ze smutkiem: "Umarła".

Tym razem powiedziała z pogardą:

- Eagels!

Narkomanka.

W końcu wyschła na wiór, jak twierdzą ci, co ją widzieli.

Skóra i kości.

Trzydzieści pięć lat.

I wyglądała bardzo staro.

Gladys pojechała dalej.

Na tym przejażdżka się nie kończyła.

Czasami Gladys rozpoczynała wycieczkę w Beverly Hills i robiła pełną pętlę, wracając do Highland Avenue późnym popołudniem; czasami jechała prosto do Los Feliz i zawracała do Beverly Hills;

czasem zaś wjeżdżała na Hollywood Hills, gdzie mieszkali młodsze gwiazdy albo talenty, które miały dopiero zabłysnąć.

Czasami, jakby coś ją ciągnęło wbrew woli, jak lunatyka, skręcała w uliczkę, którą już tego dnia odwiedziły, i powtarzała swoje komentarze:

"Widzisz?

Za tamtą bramą hiszpański dom Glorii Swanson.

A tam Myrny Loy.

Przed nami - Conrad Nagel".

Wycieczka przysparzała coraz intensywniejszych przeżyć, także wtedy, gdy Gladys zwalniała, usiłując coś dojrzeć przez szybę odrapanego, zielonego forda, która zawsze wymagała umycia.

Albo może szkło było trwale pokryte cienką warstewką brudu.

Mogło się zdawać, że istnieje jakiś cel tych wypraw, który, jak w filmie o skomplikowanej fabule, wkrótce wyjdzie na jaw.

Głos Gladys jak zawsze zdradzał podziw i entuzjazm, ale w istocie ukrywał spokojny, nieugięty gniew.

- Oto dom najślawniejszy ze wszystkich: SOKOLE GNIAZDO.

Należał do Rudolfa Yalentino.

Facet nie miał talentu do aktorstwa.

Nie miał talentu do życia.

Ale był fotogeniczny i zmarł we właściwym czasie.

Pamiętaj, Normo Jeane-musisz umrzeć we właściwym czasie.

Matka i córka siedziały w odrapanym zielonym fordzie, rocznik 1929, gapiąc się na barokową rezydencję wielkiej gwiazdy niemego kina, i w ogóle nie chciały opuścić tego miejsca, nigdy.

8

Zarówno Gladys, jak i Norma Jeane ubrały się na pogrzeb nadzwyczaj starannie i ze smakiem, chociaż musiały stać wśród siedmiu tysięcy żałobników szczelnie wypełniających Wilshire Boulevard w bezpośrednim sąsiedztwie synagogi.

Synagoga to "taki żydowski kościół", wyjaśniła Gladys Normie Jeane.

Natomiast Żydzi to tacy niby-chrześcijanie, tylko że wywodzą się ze starszej, mądrzejszej i bardziej tragicznej rasy.

Kiedy chrześcijanie zapoczątkowali uprawę ziemi na Zachodzie, Żydzi byli pionierami przemysłu filmowego i w tej dziedzinie przeprowadzili rewolucję.

Norma Jeane zapytała:

- Czy możemy być Żydami, Mamo?

Gladys chciała zaprzeczyć, ale potem się zawahała i odparła:

- Gdyby nas chcieli.

Gdybyśmy zasługiwały.

Gdybyśmy urodziły się po raz drugi.

Gladys, która długo powtarzała, że znała pana Thalberga, "choć niezbyt dobrze, pełna podziwu dla jego geniuszu filmowego", wystąpiła w olśniewającej sukni z czarnej krepy w stylu lat dwudziestych, luźnej w talii, z sięgającym do połowy łydki szeleszczącym dołem i misternym koronkowym kołnierzykiem.

Na głowie miała czarny toczek z woalką, która podnosiła się lekko i opadała, podnosiła i opadała, poruszana szybkim, płytkim oddechem.

Sięgające łokci satynowe rękawiczki wyglądały na nowe.

Na nogach szare pończochy i skórzane pantofelki na wysokim obcasie.

Twarz Gladys była woskowoblada, błyszcząca od kosmetyków maską przypominającą oblicze manekina, z podkreślonymi rysami w przebrzmiałym stylu Poli Negri.

Perfumy miały słodkawy zapach pomarańczy gnijących w zepsutej lodówce.

Nigdy nie bój się zadłużyć, jeśli cel jest szlachetny.

Śmierć wielkiego człowieka to zawsze szlachetny cel.

(Właściwie Gladys kupiła jedynie dodatki.

Suknię z czarnej krepy "pożyczyła" sobie bez upoważnienia z garderoby w Wytwórni.)

Norma Jeane, wystraszona z powodu tego całego tłumu nieznanymi ludźmi, umundurowanych policjantów na koniach, korowodu smutnych czarnych limuzyn wzdłuż ulicy, fal krzyków, płaczu, nawet oklasków, miała na sobie granatową sukienkę z koronkowym kołnierzykiem i mankietami, szkocki beret z pomponem, białe rękawiczki, czarne, przewiązane wstążkami pończochy i błyszczące pantofelki.

Tego dnia niemal tęskniła za szkołą.

Stała się obiektem niebывałych zabiegów, nasłuchiwała się wyrzutów i pogrózek.

Umyła jej włosy (zrobiła to Gladys, bezlitośnie i dokładnie) bardzo wczesnym rankiem, jeszcze przed świtem, Gladys bowiem miała jedną z tych swoich trudnych nocy: przepisane lekarstwo fatalnie podziało na żołądek, jej myśli "skłębiły się jak taśma telegraficzna", więc splątane, gęste włosy Normy Jeane najpierw zostały na siłę rozczesane grzebieniem o kształcie szczurzego ogona, a potem były szczotkowane, szczotkowane, szczotkowane, aż w końcu zaczęły błyszczeć.

Wreszcie Jess Flynn (która o piątej rano usłyszała płacz) zaplotła je w warkocze i ułożyła wokół głowy tak, że choć dziewczynka miała załzawione oczy i pokaleczone usta, wyglądała jak księżniczka z bajki.

On tam będzie, na pogrzebie.

Wśród niosących trumnę i osób towarzyszących.

Nie odezwie się do nas.

Nie przy ludziach.

Ale będzie nas widział.

Zobaczy ciebie, swoją córkę.

Nie wiadomo kiedy, ale musisz być przygotowana.

Przecznicę przed synagogą tłum widzów zaczął się zbierać po obu stronach ulicy.

Nie szkodzi, że była dopiero 7.30, a pogrzeb zaplanowano na 9.00.

Porządku pilnowała policja, pieszo i na koniach; wszędzie kręcili się fotoreporterzy gotowi do uwieczniania tego historycznego wydarzenia.

Na ulicy i przy chodnikach poustawiano barierki; za nimi ogromny tłum mężczyzn i kobiet chciwie wyczekiwał, z dziwną cierpliwością, w skupieniu, na gwiazdy filmowe i inne sławy, które pojawiły się w szeregu wspaniałych limuzyn, weszły do świątyni, wyszły z niej po upływie długich dziewięćdziesięciu minut; w tym czasie szemrzący tłum - odgradzony od prywatnego nabożeństwa tak samo jak od bezpośredniej komunikacji, nie mówiąc już o poufałości, z tymi osobistościami - ciągle przybierał na obrzeżach;

Gladys i Norma Jeane, przyparte do jednego z drewnianych kozłów, trzymały się belki i siebie.

Wreszcie w głównym wejściu do synagogi pojawiła się błyszcząca czarna trumna, niesiona przez wytwornie ubranych żałobników - rozpoznawano ich i kolejno w podnieceniu wykrzykiwano nazwiska: "Ronald Colman!

Adolphe Menjou!

Nelson Eddy!

Clark Gable!

Douglas Fairbanks!

Al Jolson!

John Barrymore!

Basil Rathbone!

" Potem wyszła przy bita bólem wdowa po zmarłym, Norma Shearer, gwiazda filmowa, odziana od stóp do głów w elegancką czern, z twarzą ukrytą za woalką; za panią Shearer strumień sław zaczął wypływać ze świątyni niczym złocista lawa, wszyscy jednakowo poważni, a ich nazwiska Gladys powtarzała ze względu na Normę Jeane, co brzmiało tak, jakby odmawiała litanie, tymczasem dziewczynka siedziała w kucki przy drewnianym koźle, podekscytowana i wystraszona, mając nadzieję, że nie zostanie stratowana: "Leslie Howard!

Erich von Stroheim!

Greta Garbo!

Joel McCrea!

Wallace Beery!

Clara Bow!

Helen Twelvetrees!

Spencer Tracy!

Raoul Walsh!

Edward G.

Robinson!

Charlie Chaplin!

Lionel Barrymore!

Jean Harlow!

Groucho, Harpo i Chico Mane, Mary Pickford!

Jane Withers!

Irvin S.

Cobb!

Shirley Tempie!

Jackie Coogan!

Bela Lugosi!

Mickey Rooney!

Freddie Bartholomew w aksamitnym garniturze z Małego lorda.

Busby Berkeley!

Bing Crosby!

Łon Chaney!

Marie Dressler!

Mae West!

" - i w tym momencie sfera fotoreporterów i łowców autografów przedarła się przez zapory, podczas gdy policja na koniach, przeklinając, używając pałek, starała się zapędzić ich z powrotem.

Wywiązała się bijatyka.

Rozległy się krzyki, wrzaski.

Ktoś się może przewrócić.

Ktoś dostał bolesny cios pałką policyjną albo dostał się pod kopyta.

Policjanci krzyczeli coś przez tuby.

Słychać było warkot silników samochodowych, coraz głośniejszy ryk.

Ale ten tumult szybko ucichł.

Norma Jeane, zbyt przestraszona, by się rozplakać, przywarła do sztywnego ramienia Gladys i Matka mnie nie odtrąciła, pozwoliła na to.

Stopniowo słabł napór tłumu.

Elegancki czarny karawan jak rydwan śmierci i liczne limuzyny prowadzone przez wytwornych szoferów już odjechały; zostali tylko widzowie, zwykli ludzie nie bardziej zainteresowani sobą niż stadem wróbli.

Wszyscy zaczęli się rozchodzić, mogli już swobodnie wybrać, w którą uliczkę skręcić.

Nie było dokąd iść, ale pozostanie tutaj też nie miało sensu.

Historyczne wydarzenie - pogrzeb wielkiego hollywoodzkiego pioniera Irvinga G.

Thalberga - dobiegło końca.

Tu i ówdzie kobiety ocierały oczy.

Wielu widzów sprawiało wrażenie zdezorientowanych, jak gdyby ponieśli znaczną stratę, tylko nie wiedzieli dokładnie jaką.

Matka Normy Jeane była jednym z nich.

Jej twarz wydawała się rozmazana za wilgotną, lepką woalką, oczy załzawione, rozbiegane jak miniaturowe rybki płynące w rozbieżnych kierunkach.

Szeptła do siebie, uśmiechała się nerwowo.

Niby patrzyła na Normę Jeane, ale wydawało się, że jej jednak nie widzi.

Potem ruszyła przed siebie, stąpając niepewnie w pantofelkach na wysokich obcasach.

Norma Jeane zauważyła dwóch mężczyzn, nie stali razem, ale przyglądali się jej matce.

Jeden z nich gwizdnął pytająco;

wyglądało to jak wstęp do sceny tanecznej w filmie z Ginger Rogers i Fredem Astaireem z tą różnicą, że nie było muzyki i Gladys zdawała się nie zauważać tego mężczyzny, on zaś niemal natychmiast stracił nią zainteresowanie, ziewnął i odszedł.

Drugi mężczyzna bezwiednie podrapał się w okolicy krocza, jakby był sam i nikt go nie widział, po czym ruszył w innym kierunku.

Stukot podków!

Norma Jeane zdziwiła się, szybko podniosła głowę i ujrzała mężczyznę w mundurze, dosiadającego wysokiego konia kasztanowatej maści o ogromnych wyłupiastych oczach.

Policjant patrzył wprost na nią.

- Dziewczynko, gdzie twoja mama?

Nie jesteś tu przecież sama, prawda?

- zapytał.

Onieśmielona Norma Jeane potrząsnęła głową.

Pobiegła za Gladys, chwyciła jej dłoń w rękawiczce i znowu była wdzięczna, że matka jej nie odrzuciła, bo policjant na koniu bacznie się im przyglądał.

Owszem, to wkrótce się zdarzy, ale jeszcze nie teraz.

Gladys, rozkojarzona, w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, gdzie zaparkowała samochód, za to Norma Jeane zapamiętała to miejsce, no, prawie, w każdym razie odnalazły wóz, matowozielonego forda, na handlowej ulicy prostopadłej do Wilshire.

Norma Jeane pomyślała, że to bardzo dziwne i takie jak w filmie - masz klucz do samochodu, do jednego spośród setek, tysięcy samochodów; klucz do czegoś, co Gladys nazywa zapłonem; jeśli włożysz klucz i przekręcisz, zapłon uruchomi silnik; i już nie jesteś zagubiona i opuszczona, daleko od domu.

W samochodzie było gorąco jak w piecu.

Norma Jeane zaczęła się wiercić.

Musiła koniecznie pójść do toalety.

Gladys powiedziała w rozdrażnieniu, ocierając oczy: .

- Po prostu nie chcę odczuwać żalu.

Swoje myśli zachowuję dla siebie.

- Do Normy Jeane odezwała się niespodziewanie ostro: - Do diabła, co się stało z twoją sukienką?

- Dziewczynka rozdarła sukienkę, zaczepiwszy brzegiem o drzazgę przy drewnianym koźle.

- N...nie wiem.

Ja tego nie zrobiłam.

- A niby kto?

Święty Mikołaj?

Gladys chciała pojechać na cmentarz żydowski, ale nie wiedziała, gdzie to jest.

Na Wilshire zatrzymała się parę razy, aby zapytać o drogę, ale niczego się nie dowiedziała.

Pojechała więc dalej, paląc chesterfielda.

Już wcześniej zdjęła toczek z zawilgoconą woalką i cisnęła go na tylne siedzenie, gdzie znajdował się wielomiesięczny zbiór gazet, magazynów filmowych, książek w miękkich okładkach, zużytych chusteczek do nosa i pomniejszych sztuk garderoby.

Norma Jeane nie przestawała się wiercić, a Gladys mówiła w zamyśleniu:

-Jeżeli jesteś Żydem, jak Thalberg, jest inaczej.

Otwierają się przed tobą zupełnie inne perspektywy.

Oni nawet kalendarz mają inny od naszego.

To, co nas nieustannie dziwi, co wydaje się nowe, nie jest nowe dla nich.

Żyją częściowo w Starym Testamencie, z tymi wszystkimi plagami i prorocत्वami.

- Zamilkła.

Zerknęła z ukosa na córkę, która ze wszystkich sił starała się nie zsiusiać, ale parcie było tak silne, że między nogami czuła ból ostry jak ukłucie igły.

- Musisz wiedzieć, że on ma domieszkę żydowskiej krwi.

To jest część bariery, która nas dzieli.

Ale widział nas dzisiaj.

Nie mógł mówić, ale przemówiły jego oczy.

Normo Jeane, on cię widział.

Właśnie wtedy, mniej więcej milę od Highland Avenue, Norma Jeane zsikała się w majtki - czując upokorzenie i udrękę - ale nic nie mogła zrobić.

Gladys od razu wyczuła zapach moczu i ze złością zaczęła bić Normę Jeane gdzie popadło.

- Świnia!

Mały potwór!

Zniszczyłaś taką piękną sukienkę, która na dodatek wcale do nas nie należy!

Ty mi to chyba wszystko robisz specjalnie!

Cztery dni później nadciągnęły wiatry Santa Ana.

9

Bo kochała to dziecko i pragnęła oszczędzić mu cierpień.

Bo została otruta.

I jej dziewczynka została otruta.

Bo miasto z piasku płonęło.

Bo w powietrzu unosiła się woń spalenizny.

Bo według kalendarza urodzeni pod znakiem Bliźniąt powinni teraz "po stępować zdecydowanie", "przejawiać odwagę w kierowaniu swoim życiem".

Bo minął już jej najgorszy czas w miesiącu i krew przestała z niej wypływać.

Już nie będzie kobietą pożądaną przez mężczyzn.

Bo przez trzynaście lat pracowała w laboratorium Wytwórni jako lojalny, pełen poświęcenia pracownik, pomagający opracować wielkie filmy nakręcone dla Wytwórni, które lansowały wielkie gwiazdy amerykańskiego ekranu i kształtowały ducha Ameryki, a teraz wreszcie odkryła, że skończyła się jej młodość i że ma śmiertelnie chorą duszę.

Okłamali ją w izbie chorych.

Pozostający na usługach Wytwórni lekarz upierał się, że we krwi nie ma trucizny, podczas gdy w rzeczywistości było odwrotnie.

Chemiczna trucizna przenikała przez podwójnej grubości gumowe rękawiczki, przedostała się do kości dłoni, tych dłoni, które jej kochanek niegdyś całował, mówiąc, że są cudowne i delikatne, że są "dłońmi pocieszenia" - potem do szpiku w jej szkielecie, wraz z krwią do mózgu, podczas gdy opary trucizny zaatakowały bezbronne płuca.

I jeszcze jej oczy, nie widziały wyraźnie.

Bolały ją nawet podczas snu.

Inni pracownicy bali się przyznać do swoich chorób, aby ich nie zwolniono, aby nie stali się "bezrobotnymi".

Bo był to czas piekielny - rok 1934 w Stanach Zjednoczonych - czas hańby.

Bo miała zwolnienie lekarskie, i miała zwolnienie lekarskie, i miała zwolnienie lekarskie, aż wreszcie usłyszała przez telefon, że nie znajduje się już "na liście płac, przepustka została anulowana i wejście na teren Wytwórni nie będzie możliwe".

Po trzynastu latach.

Bo nigdy nie będzie pracować dla Wytwórni.

Nie zaprzeda duszy za nędzną płacę na zwykłe wegetowanie.

Bo musiała oczyścić siebie i skażone dziecko.

Bo dziecko było zewnętrznym przejawem jej tajemnej osobowości.

Bo dziecko okazało się zdeformowanym dziwadłem, ukrytym pod postacią ślicznej dziewczynki o kręconych włosach.

Bo wszystko było oszustwem.

Bo ojciec dziecka nie chciał, aby przyszło ono na świat.

Bo miał wątpliwości, czy było naprawdę jego.

Bo dał jej pieniądze, rzucił banknoty na łóżko.

Bo banknoty składały się na sumę 225 dolarów, równowartość ich miłości.

Bo powiedział, że nigdy jej nie kochał; że opacznie to rozumiała.

Bo powiedział, żeby nigdy do niego nie dzwoniła ani nie chodziła za nim po ulicy.

Bo wszystko było oszustwem.

Bo zanim zaszła w ciążę, kochał ją, a potem nie.

Bo ożeniłby się z nią.

Na pewno.

Bo dziecko urodziło się trzy tygodnie przed oczekiwanym terminem, czyli pod znakiem Bliźniąt, pod jej znakiem.

I było tak samo przeklęte jak ona.

Bo nikt nigdy nie pokocha przeklętego dziecka.

Bo pożar na wzgórzach był wyraźnym wezwaniem i znakiem.

To nie Ciemnowłosa Księżę przybędzie po moją matkę.

Przez resztę życia prześladowała mnie obawa, że pewnego dnia zjawią

się obcy, aby i mnie zabrać, naga, bełkoczącą, robiącą z siebie żalosne widowisko.

Norma Jeane musiała zostać w domu.

Matka nie pozwalała jej iść między wrogów.

Czasem Gladys nie ufała nawet Jess Flynn.

Bo Jess Flynn pracowała w Wytwórni i mogła być szpiegiem.

Mimo wszystko Jess Flynn przynosiła im jedzenie.

Wpadała z uśmiechem na twarzy "zobaczyć, co słychać".

Proponowała, że pożyczy Gladys pieniądze, jeżeli Gladys ich potrzebuje, albo maszynkę do odkurzania dywanów.

Gladys zazwyczaj leżała w łóżku naga, pod brudnym prześcieradłem, w zaciemnionym pokoju.

Na nocnym stoliku leżała latarka służąca do ewentualnego wyszukiwania skorpionów, których Gladys bardzo się bała.

Opuszczone żaluzje we wszystkich pomieszczeniach sprawiały, że noc nie różniła się tu od dnia, zmierzch nie różnił się od brzasku.

Dymna mgiełka unosiła się nawet wtedy, gdy na zewnątrz świeciło słońce.

Pachniało chorobą.

Brudną bielizną i pościelą.

Zatęchłymi ziarnami kawy, kwaśnym mlekiem, pomarańczami gnijącymi w lodówce bez lodu.

Dżinem, papierosami, ludzkim potem, złością i rozpaczą.

Jess Flynn robiła "małe po rządki", jeśli jej pozwolono.

A jak nie pozwolono, to nie.

Od czasu do czasu pukał do drzwi Clive Pearce.

Przemawiał przez drzwi do Gladys albo do dziewczynki.

Nie było słychać wyraźnie, co mówi.

W przeciwieństwie do Jess Flynn nie wchodził do środka.

Lekcje gry na fortepianie skończyły się latem.

Clive powtarzał, że to jest "tragedia", ale "istnieją gorsze tragedie".

Inni mieszkańcy bungalowu rozprawiali: co począć?

Wszyscy pracowali w Wytwórni.

Dublerzy i statyści, ale także pomocnik operatora kamery, masażysta, kostiumolog, dwóch korektorów scenariuszy, instruktor gimnastyki, technik z laboratorium, stenografistka, konstruktorzy planu, kilku muzyków.

Wszyscy orientowali się, że Gladys Mortensen jest "psychicznie niezrównoważona" - a przynajmniej "temperamentna i ekscentryczna".

Większość wiedziała, że pani Mortensen mieszka z małą dziewczynką, która, jeśli nie brać pod uwagę loków, wyglądała na tak samo "nierozgarniętą".

Nikt nie wiedział, co robić, i czy w ogóle coś robić.

Nikt nie chciał się mieszać.

Chodziło o to, by nie wywoływać gniewu tej Mortensen.

Sądzone powszechnie, że Jess Flynn jest przyjaciółką Gladys, że to ona powinna podejmować decyzje.

Dziecko, nagie i szlochające, ukryło się za fortepianem, przeciwstawiając się matce.

Chowało się przed matką.

Gramoliło się po dywanie jak przestraszone zwierzątko.

Matka uderzała w klawisze pięściami, wywołując wysoki, dysonansowy wrzask instrumentu, wibrujący odgłos rozdygotanych nerwów.

To też slapstick.

W duchu Macka Sennetta.

Mabel Normand w A Displaced Foot, filmie, który Gladys widziała w dzieciństwie.

Jeśli coś jest śmieszne, to jest to komedia.

Nawet gdy sprawia ból.

Do wanny lała się oczyszczająca woda, niemal wrzątek.

Gladys rozebrała dziecko do naga i sama była naga.

Już prawie się jej udało wciągnąć dziecko do wanny.

Próbowała unieść je i zanurzyć w wodzie, ale dziewczynka opierała się i krzyczała.

W chaosie myśli, zmieszanych z gorzkim smakiem dymu i drwiących głosów w głowie - niezbyt wyraźnych z powodu otępiającego działania leków - Gladys sądziła, że wszystko rozgrywa się znacznie wcześniej, dziecko jest znacznie młodsze, ma dwa albo trzy lata i waży - ile?

- ze trzydzieści funtów.

To natomiast dziecko nie ufało matce, kuliło się, odsuwało, krzychało "Nie!

Nie!",

było bardzo duże, silne i uparte;

sprzeciwiało się woli matki, nie dawało się przyprowadzić, unieść i włożyć do oczyszczającego ukropu, walczyło i uciekało z zaparowanej łazienki i z nagich ramion matki.

- To ty.

To twoja wina.

Odszedł ode mnie, bo nie chciał ciebie.

- Te słowa, wypowiedziane prawie spokojnie, poleciały za przestraszonym dzieckiem jak garść ostrych kamieni.

A dziecko, nagie, pobiegło na oślep korytarzem i zapukało do sąsiednich drzwi, krzycząc:

- Pomocy, pomocy!

Nie usłyszało żadnej odpowiedzi.

Wtedy zatrzymało się przy drugich drzwiach, zastukało, i tym razem także nie doczekało się żadnej reakcji.

Otworzyły się dopiero trzecie drzwi, w progu pojawił się zdziwiony młody mężczyzna, opalony i muskularny, w podkoszulku i spodniach bez paska.

Popatrzył z góry, miał twarz aktora, ale zamrugał w autentycznym zdumieniu na widok dziewczynki, która była zupełnie naga, rozdygotana i zapłakana.

-P...pan nam pomoże, mama zachorowała.

Proszę pomóc, mama jest chora.

Mężczyzna przede wszystkim zdjął z krzesła swoją koszulę i okrył nią dziecko.

-Już dobrze, mała, mówisz, że twoja mama jest chora?

A co jej dolega?

CIOTKA JESS I WUJ CLIVE

Kochała mnie; zabrano ją ode mnie, ale zawsze mnie kochała.

- Twoja mamusia czuje się już dość dobrze, aby się z tobą zobaczyć, Normo Jeane.

-To mówiła panna Flynn.

Pan Pearce stał za nią w drzwiach.

Wyglądali jak żałobnicy.

Przyjaciółka Gladys, Jess Flynn, z zaczerwienionymi powiekami i drgającym nerwowo nosem królika, oraz przyjaciel Gladys, Clive Pearce, który głąskał się po brodzie i ssał miętówkę.

- Mama pytała o ciebie, Normo Jeane!

- powiedziała panna Flynn.

- Zdaniem lekarzy, może zobaczyć się z tobą.

Jedziemy?

Jedziemy?

Tak mówią w filmach; dziecko zaczęło się niepokoić.

I tak samo jak w filmie trzeba odegrać odpowiednią scenę.

Nie wolno okazywać podejrzliwości.

Przecież niczego z góry nie wiadomo.

Dopiero gdy obejrzysz film po raz drugi, zorientujesz się, co oznaczają wymuszone uśmiechy, uciekające spojrzenia, nieporadne dialogi.

Dziecko uśmiechnęło się radośnie.

Dziecko było ufne i chciało, byście to widzieli.

Minęło dziesięć dni, odkąd zabrano Gladys Mortensen.

Umieszczono ją w stanowym szpitalu w Norwalk, na południe od Los Angeles.

Nad miastem wciąż unosiła się mgiełka, wszystkim łzawiły oczy, ale pożary w kanionach zaczęły zanikać.

Nocą wyło mniej syren.

Rodzinom ewakuowanym z północy pozwolono wrócić do domów.

Większość szkół podjęła zajęcia.

Ale Norma Jeane nie wróciła do szkoły i już nie wróci do miejscowej szkoły podstawowej, do czwartej klasy.

Płakała z byle powodu i była "nerwowa".

Spała w saloniku panny Flynn, na rozkładanej sofie, w pościeli przeniesionej z mieszkania Gladys.

Czasami była w stanie przespać bez przerwy sześć albo siedem godzin.

Kiedy panna Flynn dała jej białą pigułkę, która miała smak gorzkiej mąki, dziewczynka zapadła w głęboki, otępiający sen, jej małe serce biło powoli i miarowo jak kowalski młot, a jej skóra zrobiła się mokra i śliska jak u ślimaka.

A kiedy się obudziła z tego snu, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje.

Nie byłam wtedy z nią.

Nie widziałam, jak ją zabierają.

Babcia Delia często opowiadała Normie Jeane pewną bajkę; może nawet sama ją wymyśliła: o dziewczynce, która widzi za dużo, o dziewczynce, która słyszy za dużo; przylatuje wrona, która wydziobuje jej oczy; pojawia się duża ryba "chodząca na własnym ogonie", która pożera jej uszy, a na dokładkę rudy lis odgryza jej zadarty nos!

Widzisz, co się dzieje, moja panno?

Oto dzień spełnienia obietnicy, który mimo wszystko był niespodzianką.

Panna Flynn trzymała Normę Jeane za rękę, uśmiechała się ustami i zębami, które nie całkiem do tych ust pasowały, wyjaśniała, że Gladys "pytała o nią".

Kiedyś Gladys bezlitośnie nazwała Jess Flynn trzydziestopięcioletnią dziewicą.

Jess była nauczycielką dykcji i asystentką muzyczną w Wytwórni.

Zwerbowano ją przed laty jako absolwentkę San Francisco Choir School, obdarzoną ślicznym sopranem przypominającym głos Lily Pons.

Gladys stwierdziła: "Jess ma pecha!

W Hollywood jest tyle ślicznych sopranów, ile karaluchów.

I kutasów".

Ale tobie nie wolno było się śmiać, nie wolno ci było nawet się uśmiechać, gdy Gladys "świntuszyła" i wprawiała w zakłopotanie swoich przyjaciół.

Nie wolno ci było nawet się zdradzić, że słyszysz, póki Gladys do ciebie nie mrugnęła.

Zatem wreszcie nadszedł ten rano.

Jess Flynn uśmiechała się ustami, wilgotnymi, smutnymi oczami i drgającym nosem.

Tego dnia musiała się zwolnić z pracy.

Powiedziała, że rozmawiała przez telefon z lekarzami:

"mamusia" Normy Jeane czuje się dobrze i może się zobaczyć z córką.

Ona i Clive Pearce zawiozą dziewczynkę i zabiorą też trochę rzeczy w walizkach, które Jess spakuje.

Na razie Norma Jeane mogła wyjść na podwórze i pobawić się; nie musiała pomagać.

(Ale jak tu się bawić, kiedy twoja matka jest chora i przebywa w szpitalu?)

Stojąc na podwórzu i trąc szczypiące oczy, Norma Jeane nie dopuszczała do siebie myśli, że coś nie jest w porządku; lecz słowo mamusia niezbyt pasowało do Gladys, Jess Flynn powinna o tym wiedzieć.

Nie widziałam, jak ją zabierali.

Ręce miała związane za plecami.

Przy troczono ją do noszy, nagą pod cienkim kocem.

Pluła, krzyczała, próbowała się uwolnić.

Spoceni sanitariusze, wynosząc ją, odpowiadali przekleństwami.

Normie Jeane wmówili, że niczego nie widziała, w ogóle nie było jej w pobliżu.

Może panna Flynn zasłoniła dłońmi twarz Normy Jeane?

To bez wątplenia było znacznie miłsze niż wrona, która wydziobuje ci oczy!

Panna Flynn, pan Pearce.

Nie byli parą, chyba że parą z komedii.

Gladys nie miała bliższych przyjaciół w całym domu czynszowym.

Oboje przepadali za Normą Jeane!

Pan Pearce był wytrącony z równowagi tym, co się wydarzyło, a panna Flynn obiecała "zaopiekować się" Normą Jeane, z czego przez dziesięć trudnych dni wywiązywała się bez zarzutu.

Ale teraz postawiono oficjalną diagnozę, teraz powzięto jakąś decyzję.

Norma Jeane słyszała, że Jess szlocha i pociąga nosem, rozmawiając bez końca przez telefon z sąsiedniego pokoju.

"Czuję się okropnie!

Ale nie mogłabym tego ciągnąć bez końca.

Niech mi Bóg wybaczy, wiem, że obiecałam.

Tak, obiecałam i naprawdę zamierzałam się wywiązać.

Kocham tę dziewczynkę jak własne dziecko, to znaczy - gdybym miała własne dziecko.

Ale muszę pracować, Bóg wie, że muszę, nie mam żadnych oszczędności i nic więcej nie mogę zrobić".

Stała w beżowej płóciennej sukience z półksiężycami potu pod pachami.

Wyplakawszy się w łazience, energicznie umyła zęby, jak to zwykle robiła, gdy była zdenerwowana; poraniła sobie przy tym blade dziąsła.

Lokatorzy domu nazywali Clivea Pearcea "Angolem dżentelmenem".

Clive Pearce był aktorem związanym z Wytwórnią kontraktem, mężczyzną przed czterdziestką żyjącym nadzieją na jakiś przełom, ale jak stwierdziła Gladys, zabawnie wykrzywiając usta: "Większość naszych przełomów należy do przeszłości".

Clive Pearce miał na sobie czarny garnitur, białą bawełnianą koszulę i krawat.

Wyglądał elegancko, ale zaciął się przy goleniu.

Jego oddech pachniał alkoholem i miętowymi czekoladkami, wonią, którą Norma Jeane rozpoznawała z zamkniętymi oczami.

Oto "wuj Clive", jak chciał być nazywany, lecz te słowa nigdy nie przeszły jej przez gardło, bo wydawały się niewłaściwe, bo nie był moim prawdziwym wujkiem.

Norma Jeane lubiła pana Pearcea, lubiła go bardzo!

Nauczyciela gry na fortepianie, którego tak trudno było zadowolić.

Czuła się szczęśliwa, gdy zdołała sprowokować pana Pearcea do uśmiechu.

Pannę Flynn też bardzo lubiła, pannę Flynn, która przez ostatnie dni nalegała, aby zwracać się do niej "ciociu Jess", lecz te słowa również więzły Normie Jeane w gardle, bo nie była jej prawdziwą ciocią.

Panna Flynn odchrząknęła.

- Jedziemy?

- I ten nikły uśmiech.

Przytłoczony poczuciem winy pan Pearce, głośno ssąc miętówkę, podniósł walizki Gladys, dwie mniejsze w jednej wielkiej dłoni, trzecią w drugiej.

Nie patrząc na Jeane, mruknął: "Co robić, co robić, nic więcej się nie da zrobić.

Niech Bóg nam dopomoże".

Istniał film, w którym ciotka Jess i wuj Clive byli małżeństwem, a Norma Jeane zostawała ich córeczką.

Ale ten akurat film był inny.

Barczysty pan Pearce przeniósł walizki do stojącego przy krawężniku samochodu, swego własnego.

Nie przerywając nerwowej paplaniny, panna Flynn prowadziła Normę Jeane za rękę.

Było gorąco jak w piecu, a słońce, schowane za skłębionymi jak dym chmurami, zdawało się być wszędzie.

Prowadzić miał pan Pearce, bo zazwyczaj to mężczyźni prowadzą samochód.

Norma Jeane błagała pannę Flynn, aby usiadła na tylnym siedzeniu razem z nią i lalką, ale panna Flynn usiadła z przodu, obok pana Pearcea.

Podróż trwała mniej więcej godzinę i niewiele słów wymieniono między siedzeniami na przedzie i z tyłu.

Turkoczący dźwięk silnika, powietrze świsz czące przez otwarte okna.

Panna Flynn pociągała nosem, odczytując z kartki wskazówki dla pana Pearcea.

Tym razem celem tej jazdy było "odwiedzenie Matki w szpitalu"; w przyszłości, z perspektywy czasu, cel okaże się inny.

To znaczy, jeśli będziesz miała okazję obejrzeć ten film dwa razy.

Do każdej sceny zawsze trzeba dobrać odpowiednie kostiumy.

Norma Jeane miała na sobie swój jedyny porządny szkolny strój: plisowaną spódnicę z materiału w kratę, białą bawełnianą bluzkę (wyprasowaną tego ranka przez Jess Flynn), względnie czyste, pocerowane białe podkolanówki i najnowszą bieliznę.

Kręcone włosy miała wyszczotkowane, ale nie rozczesane.

("To na nic!

- westchnęła panna Flynn, upuszczając szczotkę na łóżko.

- Gdybym się uparła, wyrwałabym ci z głowy co najmniej połowę włosów".)

Panna Flynn i pan Pearce czuli się zażenowani, że Norma Jeane tak kurczowo i desperacko ściska swoją lalkę.

Lalka była bardzo sfatygowana, skóra i włosy - ponadpalane, szklane niebieskie oczy zdawały się patrzeć w wyrazie idiotycznego przerażenia.

Panna Flynn obiecała Normie Jeane, że kupi jej inną lalkę, ale jakoś nie było na to czasu, czy też panna Flynn o tym zapomniała.

Norma Jeane gotowa była tulić lalkę mocno i nie po zwolnić, by ktokolwiek ją jej odebrał: "To moja lalka.

Dała mi ją mama".

Lalkę oszczędził ogień, który pojawił się w sypialni Gladys.

W napadzie furii Gladys wywołała pożar na łóżku, w pościeli, po tym, jak Norma Jeane uciekła z kąpieli w ukropie i wezwała sąsiadów na pomoc.

Norma Jeane wiedziała, że źle jest robić coś "za plecami swojej matki", jak to określała Gladys; ale przecież Norma Jeane musiała tak postąpić.

Gladys zamknęła za nią drzwi, po czym spaliła na łóżku większą część szykownej sukienki z czarnej krepy i granatowej aksamitnej sukienki, którą Norma Jeane musiała włożyć na pogrzeb na Wilshire Boulevard, oprócz tego kilka podartych fotografii (wśród nich tę z ojcem Normy Jeane?

Norma Jeane już nigdy więcej jej nie zobaczy), buty, kosmetyki.

W złości zamierzała spalić wszystko, co do niej należało, włącznie z fortepianem, który niegdyś był własnością Fredrica Marcha i z którego była tak dumna, na końcu spaliłaby samą siebie, ale sanitariusze z pogotowia zdążyli temu zapobiec, wyważając drzwi.

Dym wydobywał się z mieszkania kłębamii - w środku była Gladys Mortensen, naga kobieta o ziemistej skórze, tak chuda, że kości niemal przebijały jej skórę; twarz miała poraną bruzdami, wykrzywioną nieprzyjemnym grymasem; przeklinała, drapała i kopała swych wybawców, więc w końcu musieli użyć wobec niej siły, "unieruchomić ją dla jej własnego dobra", jak wiele razy Norma Jeane słyszała z ust panny Flynn i innych mieszkańców domu, nieustannie opisujących scenę, której Norma Jeane nie widziała, po nieważ jej tam nie było albo ponieważ ktoś zasłonił jej oczy.

- Przecież wiesz, że cię tam nie było, Normo Jeane.

Byłaś ze mną, cała i zdrowa.

To kara być kobietą.

Kobietą nie dość kochaną.

Tego dnia Norma Jeane jechała do szpitala "odwiedzić mamusię".

Tylko gdzie jest Narwalk?

Na południe od Los Angeles, padła odpowiedź.

Panna Flynn odchrząknęła i odczytała wskazówki dla pana Pearcea, który wydawał się niespokojny i strapiony.

Teraz nie był wujkiem Cliveem.

Podczas lekcji gry na fortepianie pan Pearce czasem wzdychał ze smutkiem i sprawiał wrażenie spokojnego, innym razem był ożywiony i zabawny.

To miało coś wspólnego z zapachem z jego ust; jeśli pachniało mu z nich jak należy, Norma Jeane wiedziała, że przyjemnie spędzą czas, choćby grała wprost okropnie.

Pan Pearce wystukiwał rytm, uderzając ołówkiem o fortepian raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, czasem zaś o głowę swej uczennicy, czym skłaniał ją do śmiechu.

Kierując swój ciepły oddech z oparami whisky w stronę ucha Normy Jeane, głośno buczał jak trzmiel i wystukiwał rytm ołówkiem coraz głośniejszym raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, zdarzało się też, że dla zabawy wsuwał węzowy język wprost do jej ucha!

- piszcziała i chichotała, uciekała, by się ukryć, ale pan Pearce karcił ją i mówił, żeby nie była głupia - więc wracała do fortepianu, drżąc i rozbawiona, a lekcja trwała dalej.

Uwielbiałam, kiedy mnie ktoś łaskotał. Nawet jeśli to czasem bolało.

Lubiłam, jak babcia Delia trzymała mnie pod pachami i kręciła dookoła;

bardzo mi babci brakowało.

Nigdy nie przejmowałam się, że mam podrapaną twarz.

Bywały też takie lekcje gry na fortepianie, kiedy pan Pearce, bardzo niespokojny, z trudem łąpiący oddech, nagle zamykał pokrywę klawiatury (której Gladys nigdy nie opuszczała i która opuszczona wyglądała dziwnie), oświadczał surowo: "Na dzisiaj dosyć!

" i opuszczał mieszkanie, nie obejrząwszy się ani razu.

Tak samo dziwny był pewien letni wieczór, kiedy Norma Jeane nie poszła spać o zwykłej porze i uparcie dokuczała panu Pearceowi, który wpadł na drinka do Gladys; wpełzła między matkę i jej gościa, usiłując niczym szczeniak dostać się na jego kolana.

Gladys w którymś momencie nie wytrzymała i powiedziała ostrym głosem: "Normo Jeane, bądź grzeczna.

Za chowujesz się obrzydliwie.

- Po czym zwróciła się cicho do pana Pearcea: - Clive, co to ma znaczyć?

" I niegrzeczna, chichocząca dziewczynka została wygnana do sypialni, skąd nie mogła podstuchiwać rozmowy dorosłych, którzy po kilku minutach napięcia znowu zdawali się być w jak najlepszej komitywie; potwierdziło to donośne dzyń!

kieliszka o butelkę.

Od tamtej chwili Norma Jeane rozumiała, że pan Pearce nie zawsze jest tą samą osobą i tylko głupek spodziewałby się czegoś innego; tak samo jak Gladys nie zawsze była taka sama.

W samej rzeczy Norma Jeane bywała zadziwiona nawet samą sobą: czasem czuła się szczęśliwa jak idiotka, czasem bez powodu chciało się jej płakać, czasem nie przejmowała się niczym i odgrywała kogoś innego, czasem była "spanikowana", jak określała ów stan Gladys, i "bała się własnego cienia, jakby to był jakiś wąż".

I zawsze znajdowała w lustrze swoją Magiczną Przyjaciółkę, która zerkała z rogu albo śmiało patrzyła prosto w oczy.

Lustro przypominało film;

może było filmem.

I ta śliczna dziewczynka o długich kręconych włosach, czyli ona.

Trzymając kurczowo swoją lalkę, Norma Jeane spoglądała na tył głów dorosłych, zajmujących przednie siedzenia samochodu pana Pearcea.

"Angol dżentelmen" w szykownym ciemnym garniturze i krawacie był kimś innym niż pan Pearce siedzący przy fortepianie i grający w natchnieniu krótkie, porywające Dla Elizy Beethovena - utwór, którego "każda nuta stanowiła najwyborniejszą muzykę, jaką kiedykolwiek napisano", twierdziła pretensjonalnie Gladys - nie był to też pan Pearce buczący głośno jak trzmiel i łaskoczący siedzącą przy fortepianie Normę Jeane, "grający" pajęczymi palcami na jej rozdygotanym ciele.

Także panna Flynn, osłaniająca oczy, bo męczyła ją migrena, nie była tą samą panną Flynn, która tuliła Normę Jeane, płakała z żalu nad nią i prosiła, żeby zwracać się do niej "ciociu Jess" - "cioteczko Jess".

A jednak Norma Jeane nie wierzyła, że ci dorośli oszukiwali ją bardziej niż Gladys.

Istniały rozmaite chwile i rozmaite sceny.

W filmie nie ma sekwencji nieuniknionej, bo wszystko rozgrywa się w czasie teraźniejszym.

Film można odtwarzać do przodu i do tyłu.

Film można dowolnie zmontować.

Film można wybielić.

Film jest składnicą tego, czego się nie pamięta, lecz co jest nieśmiertelne.

Pewnego dnia, kiedy Norma Jeane na stałe zamieszka w Królestwie Szaleństwa, przypomni sobie, że ów dzień, choć bolesny, był nieunikniony.

Przypomni sobie, mylnie, że przed wyruszeniem w drogę pan Pearce zagrał Dla Elizy.

"Ostatni raz, moja droga".

Wkrótce pozna zasady Christian Science i wyjaśni się wiele z tego, co było tego dnia niejasne.

Rozum jest wszystkim, prawda nas wyzwala, a oszustwa, kłamstwa, cierpienie i zło są tylko ludzkimi iluzjami, sami je stwarzamy, aby się ukarać, nie są rzeczywiste; ulegamy im ze słabości lub ignorancji.

Zawsze istnieje droga do wybaczenia, poprzez Jezusa Chrystusa.

Jeżeli zrozumiesz, na czym polega krzywda, wtedy musisz wybaczyć.

Tego dnia Norma Jeane wyruszyła do szpitala w Norwalk "odwiedzić mamusię", ale w rzeczywistości dojechała do ceglanego budynku przy El Centro Avenue.

Nad frontowym wejściem znajdował się napis, który na zawsze miał się wyryć w pamięci Normy Jeane, choć nie od razu pojęła ona jego treść.

MIEJSKI DOM DZIECKA W LOS ANGELES ROK ŻAL.

1921 Nie szpital?

W takim razie gdzie był ten szpital?

Gdzie była Matka?

Panna Flynn, pociągając nosem i krzycząc - Norma Jeane nie widziała jeszcze, aby była aż tak rozdrażniona - musiała wypchnąć przerażone dziecko z tylnego siedzenia samochodu Clivea Pearcea.

- Normo Jeane, proszę.

Bądź dobrą dziewczynką, Normo Jeane.

Nie kop mnie, Normo Jeane!

Odwrociwszy się plecami do pola walki, pan Pearce szybko odmaszerował na papierosa pod gołym niebem.

Przez wiele lat grał tylko niewielkie role - często ustawiano go z profilu, aby zaprezentował tajemniczy brytyjski uśmiech - i nie miał pojęcia, jak sobie poradzić z prawdziwą sceną; jego klasyczne wykształcenie w Royal Academy nie obejmowało improwizacji.

Panna Flynn zawołała do niego:

- Przynajmniej wnieś do środka walizki, Clive, niech cię lichy!

Panna Flynn będzie później opowiadać, że tego nieprzyjemnego ranka

musiała na poły wlec, na poły nieść córkę Gladys Mortensen do sierocińca.

Na przemian to prosiła, to łajała dziewczynkę.

- Proszę, wybacz mi, Normo Jeane.

Nie ma teraz dla ciebie innego miejsca.

Twoja matka jest chora.

Lekarze mówią, że jest bardzo chora...

chciała ci zrobić krzywdę, wiesz...

nie możesz być teraz z matką...

a ja nie mogę być dla ciebie matką, och, Normo Jeane!

Niedobra dziewczynka!

To boli.

Wewnątrz przejmująco wilgotnego, zatęchłego domu Norma Jeane za częła drżeć bez opamiętania, a w biurze dyrektorki wybuchła płaczem.

Jąkała się, usiłując wytłumaczyć tęgiej kobiecie o kamiennej twarzy, że nie jest sierotą, ma matkę.

Nie była sierotą.

Miała matkę.

Panna Flynn czym prędzej odeszła, wydmuchując nos w chusteczkę.

Pan Pearce wniósł walizki Gladys do korytarza i też pospiesznie odszedł.

Zapłakana, pociągająca nosem Norma Jeane Baker (tak głosiły dokumenty: urodzona 1 czerwca 1926 roku w Los Angeles County General Hospital) została sam na sam z doktor Mittelstadt, która wezwała do swojego biura nieco młodszą pielęgniarkę w poplamionym fartuchu.

Dziecko ciągle protestowało.

Nie była sierotą.

Miała matkę.

Jej ojciec mieszkał w wielkiej rezydencji w Beverly Hills.

Doktor Mittelstadt przyjrzała się ośmioletniej podopiecznej przez zakrzywione okulary o dwuogniskowych szklach.

Powiedziała - prawdopodobnie nie chciała być okrutna, tylko życzliwa - z westchnieniem, które uniosło na moment jej potężny biust:

- Dziecko, oszczędzaj tży!

Pewnie będą ci jeszcze potrzebne.

OPUSZCZONA

Gdybym była wystarczająco ładna, mój ojciec pojawiłby się i mnie zabrał.

Cztery lata, dziewięć miesięcy, jedenaście dni.

Jak Ameryka długa i szeroka, był to czas opuszczonych dzieci.

I nigdzie nie było ich więcej niż w południowej Kalifornii.

Przez wiele dni bez ustanku i bez litości wiały od pustyni suche, gorące wiatry.

Potem ludzie zaczęli znajdować dzieci, które wiatr przywiął wraz z piaskiem i pyłem zwietrzelin.

W wyschniętych rowach, przepustach, przy nasypach kolejowych; na granitowych stopniach kościołów, szpitali i budynków urzędów miejskich.

Noworodki z zakrwawionymi pępowinami wciąż przytwierdzonymi do brzuchów odkrywano w publicznych poczekalniach, na ławkach, w kościołach, w pojemnikach na śmieci i odpadki.

Ależ zawodził wiatr, a potem, po wielu dniach, kiedy ustał, okazało się, że to zawodziły niemowlęta.

I ich oszołomione rodzeństwo, starsi bracia i siostry: dzieci chodzące po ulicach dwójkami, trójkami, niektóre z dymiącymi ubraniami albo włosami.

Dzieci bez imion; nie umiały mówić, nic nie rozumiały.

Dzieci pokaleczone, poparzone.

Ale inne miały jeszcze mniej szczęścia, umarły albo zostały zabite; ich małe zwłoki, często zwęglone i nie do rozpoznania, służby sanitarne Los Angeles pospiesznie usuwały z ulic, ładowały na ciężarówki i wywoziły, aby je pogrzebać w nie oznaczonych masowych grobach w kanionach.

Ani słowa w prasie czy radiu!

Nikt nie może się dowiedzieć.

Nazywa się ich zaginionymi.

Tymi, którym nie możemy pomóc.

Piorun uderzył we wzgórze Hollywood.

Ognista burza spadła niczym gniew Jahwe i w łóżku, które Norma Jeane dzieliła z matką, nastąpiła potężna eksplozja.

W następnej chwili dziewczynka - z przypalonymi włosami i rękami, piekącymi oczami, jakby zmuszono ją do patrzenia na oślepiające światło - znalazła się sama, bez matki, w tym miejscu, które potrafiła nazwać tylko tym miejscem.

Jeśli stanęła na swoim łóżku (na bosaka, w koszuli nocnej, nocą), to przez wąskie okno tuż pod okapem widziała pulsujące w oddali, nie wiadomo, ile mil stąd, neonowe światło wieży RKO Motion Pictures w Hollywood:

RKO RKO RKO

Pewnego dnia.

Nie potrafiła sobie przypomnieć, kto ją przywiózł do tego miejsca.

Nie była w stanie wydobyć z pamięci ani wyraźnych twarzy, ani imion.

Przez wiele dni milczała.

Gardło miała poranione i wysuszone, jakby ktoś ją zmusił do wdychania ognia.

Kiedy jadła, zbierało jej się na mdłości, często wymiotowała.

Wyglądała na chorą i była chora.

Miała nadzieję, że umrze.

Była dość dojrzała, aby sprecyzować to swoje życzenie: Tak mi wstyd, nikt mnie nie chce, chcę umrzeć.

Brakowało jej dojrzałości, aby zrozumieć wściekłość tkwiącą w tego rodzaju pragnieniu.

Aby pojąć ekstatyczne szaleństwo, jakie pewnego dnia ta wściekłość w niej rozpali, szaleństwo wzięcia odwetu na świecie przez podbicie go w jakikolwiek sposób, jak się da - jakby "świat" mogła "podbicić" byle jednostka, w dodatku kobieta, sierota, na pierwszy rzut oka warta tyle, co samotny robak wśród mnóstwa innych robaków.

Mimo wszystko sprawię, że wszyscy mnie pokochacie i ukarzę się, odrzucając waszą miłość- to nie była wtedy groźba Normy Jeane, bo ona знаła siebie, wprawdzie miała zranioną duszę, ale szczęśliwie znalazła się w tym miejscu, nie poparzyła jej na śmierć ani nie spaliła żywcem do prowadzona do wściekłości matka w bungalowie na 828 Highland Avenue.

W sierocińcu w Los Angeles mieszkały dzieci, które doznały gorszych krzywd niż Norma Jeane.

Nawet własne cierpienie nie przysłoniło jej tego faktu.

Dzieci opóźnione w rozwoju, dzieci z uszkodzonym mózgiem, dzieci upośledzone w inny sposób - na pierwszy rzut oka można się było zorientować, dlaczego je porzuciły ich matki - dzieci odstręczające, dzieci zagniewane, dzieci zwierzęta, dzieci pokonane, których nie chciałbyś nawet dotknąć ze strachu, że lepkość i chłód ich skóry mogłyby przejść na ciebie.

Była tam dziesięcioletnia dziewczynka, której prycza stała najbliżej łóżka Normy Jeane, nazywała się Debra Mae - została zgwałcona i pobita ("gwałt", jakież to bezlitosne, ostre słowo dorosłych; Norma Jeane wiedziała instynktownie, co oznacza, albo niemal wiedziała: słowo ostre jak brzytwa, mające związek z czymś, co jest między nogami dziewczynek, a czego nigdy nie powinnaś pokazywać, tam, gdzie ciało jest takie delikatne, wrażliwe i podatne na zranienie; Normie Jeane robiło się słabo na samą myśl, że ktoś mógłby ją tam uderzyć, nie mówiąc już o wpychaniu w to miejsce czegoś ostrego i twardego).

Były tam pięcioletnie bliźniaki, chłopcy, którzy niemal zmarli z głodu w górach Santa Monica; matka związała ich, aby złożyć "ofiary jak Abraham w Biblii" (co wyjaśniła w liście).

I była starsza dziewczynka, która zaprzyjaźniła się z Normą Jeane, jedenastoletnia Fleece, naprawdę nazywająca się prawdopodobnie Felice, która opowiadała ciągle od początku, z ponurą fascynacją, historię rocznej siostry, której główką przyjaciel matki "tak długo uderzał o ścianę, aż mózg się rozprysł jak nasiona melona".

Norma Jeane, ocierając oczy, przyznała, że jej nikt nie zranił.

W każdym razie nie pamiętała, aby było inaczej.

Gdybym była wystarczająco ładna, mój ojciec pojawiłby się i mnie zabrał miało coś wspólnego z migającym neonowym światłem w Hollywood, ze znakiem RKO, który Norma Jeane widywała z okna nad swoim łóżkiem, a innym razem z dachu sierocińca; chciała wierzyć, że to sekretny znak, ale inni także go widzieli i pewnie interpretowali tak samo jak ona.

Jako obietnicę, tylko czego?

Czekała na wyjście Gladys ze szpitala, aby mogły znowu zamieszkać razem.

Czekała z dziecięcą, rozpaczliwą nadzieją przytłoczoną bardziej dorosłą, fatalistyczną świadomością, ona nigdy nie wróci, porzuciła mnie, nienawidzę jej; tak samo prześladowała ją obawa, że Gladys nie dowie się, gdzie jej szukać, gdzie jest ten budynek z czerwonej cegły, otoczony wysokim na osiem stóp ogrodzeniem z drucianej siatki - okratowane okna, strome schody, długie korytarze; sale, w których prycze (zwane "łóżkami") stały stłoczone wśród zapachów, w których dominowała kwaśna woń sików; sala jadalna, w której unosiła się mieszanina równie ostrych odorów (zjętcałe mleko, przypalony tłuszcz i kuchenne środki czyszczące) i gdzie milcząca, skromna i wystraszona miała jeść, nie chichotać, nie wymiotować, aby "nabrać sił", aby nie zachorować i nie trafić do izby chorych.

El Centro Avenue: gdzie to jest?

Jak daleko od Highland?

Gdybym się tam dostała.

Może ona czekałaby na mnie.

W ciągu pierwszych kilku dni spędzonych pod opieką służb socjalnych hrabstwa Los Angeles Norma Jeane wypłakała wszystkie łzy, jakie miała.

Zrobiła to zbyt szybko.

Nie mogła już więcej płakać, tak jak jej niebiesko oka lalka, nie posiadająca imienia innego niż Lalka.

Ohydnie przyjazna kobieta, która była dyrektorką sierocińca i do której należało się zwracać "doktor Mittelstadt", ostrzegła ją.

Ostrzegła ją też tęga, rumiana pielęgniarka w fartuchu.

Ostrzegły ją starsze dziewczynki - Fleece, Lois, Debra Mae, Janette.

"Nie bądź beksą!

Wcale nie jesteś wyjątkowa".

Można by rzec, jak mówił pogodny duchowny z kościoła babci Delii, że dzieci w sierocińcu, których bała się i nie lubiła, w rzeczywistości były jej siostrami i braćmi,

tylko nie miała okazji poznać ich wcześniej, ale w szerokim świecie żyło ich znacznie więcej, były liczne jak ziarna piasku, miały dusze i Bóg kochał je wszystkie jednakowo.

Czekała, kiedy Gladys zostanie zwolniona ze szpitala i przyjedzie, aby ją zabrać, ale póki co była jedną spośród stu czterdziestu sierot.

Została przy pisana do sali na drugim piętrze (wiek dzieci od sześciu do jedenastu lat), gdzie miała własną stalową prycę i cienki, grudkowaty materac pod poplamioną, cuchnącą moczem ceratą, miała swoje miejsce pod okapem starego ceglanego budynku, w dużej prostokątnej i zatłoczonej izbie, gdzie nawet w dni słoneczne panował półmrok, gdzie było duszno, przejmująco zimno i wietrznie w dni dżdżyste, które składały się na zimy w Los Angeles; dzieliła komódkę z Debrą Mae i jeszcze jedną dziewczynką; dostała dwie zmiany ubrania - dwie granatowe sukienki, dwie batystowe koszulki - i mocno spraną bieliznę.

Otrzymała rękawiczki, skarpety, buty, kalosze.

Płaszcz przeciwdeszczowy i płaszcz z wełny.

Wzbudziła ogromne zainteresowanie, ale zainteresowanie połączone z obawą, kiedy tamtego okropnego dnia wprowadziła ją do sali potężna matrona, dźwigająca eleganckie (jeśli nie przyglądać się im zbyt dokładnie) walizki Gladys, zawierające dziwaczne, fantazyjne części garderoby: jedwabne sukienki, fartuszek z koronką, spódnicę z tafty, szkocki szal, obsyty satyną płaszcz w kratę, małe białe rękawiczki i błyszczące czarne lakierki.

Także inne drobiazgi, zebrane w pośpiechu, powodowanym poczuciem winy, przez kobietę, która chciała, aby Norma Jeane zwracała się do niej "ciociu Jess" - czy też "cioteczko jess".

Większość z tych śmierzących dymem rzeczy ukradziono nowej sierocie w ciągu paru dni, przywłaszczyły je sobie nawet te dziewczęta, które zdawały się odnosić do Normy Jeane z sympatią i które miały z czasem się z nią zaprzyjaźnić.

(Jak wyjaśniła Fleece, bynajmniej nie na usprawiedliwienie, w sierocińcu "każdy musi dbać przede wszystkim o siebie".) Nie znalazł się jedynie amator na lalkę Normy Jeane, teraz łysą, nagą i brudną, której szeroko otwarte szklane oczy i usta jak pączek róży zastygły w wyrazie rozpaczliwej kokieterii; na "dziwadło" (jak orzekła Fleece, wcale nie złośliwie), z którym Norma Jeane spała każdej nocy i które codziennie ukrywała w łóżku niczym jakąś cząstkę własnej stęsknionej duszy, przedziwnie piękną według niej, choć ośmieszoną i wyszydzaną przez innych.

- Poczekajcie na Mysz!

- Tak Fleece wołała do przyjaciółek i wszystkie czekały wyrozumiale na Normę Jeane, najmłodszą, najmniejszą i najbardziej nieśmiałą w ich kręgu.

- No dalej, Myszko.

Rusz ten swój mały tyłek.

Długonoga Fleece, dziewczynka o twarzy zeszpeconej blizną, o ciemnych, zmierzwionych włosach, oliwkowej skórze, niespokojnych, przenikliwych zielonych oczach i rękach, którymi potrafiła zadawać ból, zaopiekowała się Normą Jeane może z litości, może powodowana siostrzanymi uczuciami, jeśli nie napadami niepokoju, bo na pewno Norma Jeane przy pomiwała jej utraconą siostrę, której mózg efektownie się rozprysł "po ścianie jak nasiona melona".

Fleece była pierwszą z opiekunek Normy Jeane w sierocińcu.

Razem z Debrą Mae najmocniej zapisała się w jej pamięci;

wzbudzała najwięcej emocji, rodzaj pełnego niepokoju zauroczenia, ponieważ z Fleece nigdy nic nie było wiadomo, jej reakcje zawsze były nieprzewidywalne.

Nigdy nie było wiadomo, jakie okrutne, ostre słowa Fleece wypowie, i czy jej ręce, szybkie jak u boksera, nie wystrzelą przed siebie, aby uderzyć albo zwrócić uwagę, niczym wykrzyknik na końcu zdania.

Kiedyś Fleece wydobyła w końcu z Normy Jeane kilka wymamrotanych, wydukanych słów i nakłoniła ją do odrobiny zaufania:

- Tak naprawdę, to ja wcale nie jestem sierotą, m...mama jest w szpitalu, mam mamę i mam o...ojca, mieszka w dużej rezydencji w Beverly Hills.

Roześmiała się jej prosto w twarz i uszczypnęła w ramię, tak mocno, że czerwony ślad przez wiele godzin utrzymywał się jak złośliwy pocałunek na woskowobladej skórze Normy Jeane.

- Bzdury!

Kłam-czu-cha!

Twoja matka i ojciec nie żyją, jak inni rodzice.

Wszyscy nie żyją.

DOBRODZIEJE Z PREZENTAMI

Przybyli wieczorem, dwa dni przed Wigilią.

Przynieśli dary dla dzieci z sierocińca.

Dwa tuziny przyrządzonych indyków na bożonarodzeniowy obiad i wspaniałą, wysoką na dwanaście stóp choinkę, którą elfy Świętego Mikołaja ustawiły w pokoju gościnnym, zmieniając zatęchłą przestrzeń w świątynię cudu i piękna.

Drzewko wysokie, pyszne, rozświetlone i żywe; pachnące odległym lasem, wydzielające woń ciemności i tajemnicy; mrugające iskierkami szklanych ozdób, z wiszącym na najwyższej gałęzi aniołem o promiennych złotych włosach, oczach zwróconych ku niebu i dłoniach złożonych do modlitwy.

A pod tym drzewkiem - przyzmy wesoło opakowanych prezentów.

Wszystko to skąpane w powodzi światła.

W tle kolędy, dochodzące z podjazdu od frontu: Cicha noc.

Trzej Królowie, Stróście domy.

Muzyka tak głośna, że się czuło, jak serce bije w jej rytmie.

Starsze dzieci wiedziały, o co chodzi, przeżyły to błogosławieństwo w minionych latach.

Młodsze i nowe w sierocińcu dzieci były przejęte i przestraszone.

"Spokój!

Cisza!

Nie wychodzić z szeregu!

" Dzieci szybko wyprowadzono z jadalni, gdzie musiały bez wyjaśnienia czekać po kolacji ponad godzinę.

Przemaszerowały w dwóch kolumnach.

Mimo wszystko wyglądało na to, że nie są to ćwiczenia na wypadek pożaru, a na zabawy na podwórku było już zbyt późno.

Norma Jeane czuła się zagubiona, z tyłu popychały ją dzieci - co się dzieje?

kto tam jest?

- aż w końcu dostrzegła i na ten widok wprost osłupiała, na podwyższeniu po przeciwnej stronie sali ciemnowłosego, przystojnego Księcia i piękną Księżniczkę o blond włosach!

Tutaj, w domu dziecka w Los Angeles!

Najpierw pomyślałam, że przyszli dla mnie.

Wyłącznie dla mnie.

Teraz wybuchł prawdziwy zgiełk, dzieci krzyczały i śmiały się, brzmiała bożonarodzeniowa muzyka, radosne staccato, więc aby nadążyć, trzeba było szybciej oddychać.

Wszędzie jarzyły się oślepiające światła, bo księżęcej parze rozdającej prezenty towarzyszyła ekipa filmowa, fotoreporterzy błyskali fleszami, przepychając się w walce o najlepsze miejsca.

Mocno zbudowana dyrektorka sierocińca, doktor Edith Mittelstadt, przyjmowała od Księcia i Księżniczki akt przekazania prezentów.

Na kliszach aparatów fotograficznych uwieczniano jej pooraną zmarszczkami twarz, wykrzywioną w surowym, nie wyćwiczonym uśmiechu, podczas gdy Księżę i Księżniczka, którzy stali po obu stronach starszej kobiety, promienieli pięknymi, wystudiowanymi uśmiechami, więc chciało się na nich patrzeć i patrzeć bez końca.

- Witajcie!

Wesołych Świąt, dzieci!

- zawołał Ciemnowłosy Księżę, unosząc dłoń w rękawiczce niczym kapłan udzielający błogosławieństwa.

Następnie odezwała się Księżniczka.

- Wesołych Świąt, drogie dzieci!

Kochamy was!

W odpowiedzi dał się słyszeć grzmiący wodospad uwielbienia, jeden wielki wrzask szczęścia, jakby te słowa były prawdziwe.

Choć Ciemnowłosy Księżę i Jasnowłosa Księżniczka wyglądali tak znajomo, Norma Jeane nie potrafiła ich rozpoznać.

Ciemnowłosy Księżę przypominał Ronalda Colmana, Johna Gilberta, Douglasa Fairbanka, ale nie był żadnym z nich.

Jasnowłosa Księżniczka przypominała Dixie Lee, Joan Blondell, Ginger Rogers z większym biustem, ale nie była żadną z nich.

Księżę miał na sobie smoking i białą jedwabną koszulę, na klapach wyszytą gałązkę z czerwonymi jagodami, na głowie pokrytej czarnymi, sztywnymi od lakieru włosami lekką czapkę Mikołaja: czerwony aksamit obsyty puszystym białym futerkiem.

- Chodźcie po prezenty, dzieci!

Śmiało.

- (Czy Ciemnowłosy Księżę chciał być złośliwy?)

Bo dzieci, zwłaszcza te starsze, które przepychały się do przodu, zdecydowane odebrać swoje prezenty, nim ich zabraknie, wcale nie były nieśmiałe.)

- Tak, chodźcie!

Bardzo proszę!

Dzieci, niechże was Bóg błogosławi.

- (Czy Jasnowłosa Księżniczka miała lada moment wybuchnąć płaczem?)

Jej umalowane oczy nie mogły błyszczeć szczerzej, a na purpurowych, połyskliwych ustach uśmiech to pojawiał się, to znikał, niczym jakieś stworzenie o własnym, krnąbrnym życiu.)

Księżniczka włożyła na tę okazję lśniąca sukienkę z czerwonej tafty, z luźną migotliwą spódnicą, wąską w talii, oraz czerwony staniczek haftowany cekinami, który jak obcisła rękawiczka okrywał pełne piersi; do sztywnych, lakierowanych blond włosów miała przypięty diadem - z brylantami?

- to wszystko z okazji wizyty w sierocińcu?

Księżę nosił krótkie białe rękawiczki, rękawiczki jego partnerki sięgały łokci.

Wokół księżęcej pary stała grupa elfów, pomocników Świętego Mikołaja; niektóre z nich miały białe baki i szczeciniaste brwi z białej pasty; ci pomocnicy przekazywali księżęcej parze prezenty, które płynęły ciągłym strumieniem spod choinki; to było cudowne, magiczne, sposób, w jaki Księżę i Księżniczka chwyтали prezenty w powietrzu, prawie nie patrząc na nie ani nawet nie pochylając się, by je podnieść.

W sali panowała radosna, lecz zarazem gorączkowa atmosfera.

Kolędy rozbrzmiewały głośno; mikrofon Księcia wydawał trzaski, co się Księciu nie podobało.

Księżniczka i Księżę dołączali do prezentów cukrowe laski i kandyzowane jabłka na patykach, ale zapas tych ostatnich powoli się zmniejszał.

Chyba przed rokiem nie starczyło prezentów dla wszystkich, co by wyjaśniało, dlaczego starsze dzieci tak się pchały do przodu.

"Na miejsca!

Pozostańcie na swoich miejscach!

" Umundurowane pielęgniarki szybko wyciągały z szeregów dzieci najbardziej aktywne, potrząsały nimi i po kilku kuksańcach odsyłały na górę do sypialni; na szczęście księżęca para niczego nie widziała, tak jak ekipa filmowa i fotoreporterzy, a jeśli coś dostrzegli, nie dali tego po sobie poznać: nie dostrzega się niczego, co nie znajduje się w świetle reflektorów.

Wreszcie przyszła kolej na Normę Jeane!

Stała w kolejce po prezent od Ciemnowłosego Księcia, który z bliska wyglądał starzej niż z daleka, miał dziwnie rumianą, gładką skórę, jaką niegdyś miała lalka Normy Jeane;

jego usta zdawały się pokryte różem; oczy były jasne i błyszczące jak u Jasnowłosej Księżniczki.

Ale Norma Jeane nie miała czasu się skoncentrować, bo z przejścia potknęła się, panował ogólny wrzask, ktoś dźgnął ją łokciem w bok; nieśmiało wyciągnęła ręce po prezent, a Ciemnowłosy Książę krzyknął:

- Maleńka!

Skarbie!

Zanim się zorientowała, co się dzieje, jak w jednej z bajek babci Delii Książę chwycił Normę Jeane za ręce, wciągnął na podwyższenie i ustawił obok siebie!

W strudze oślepiającego światła.

Niczego stąd nie można było zobaczyć; gromada dzieci i personelu stanowiła zaledwie rozmazaną plamę, odbicie w poruszanej wodzie.

Ciemnowłosy Książę z udawaną galanterią wręczył Normie Jeane laskę w czerwone pasy, kandyzowane jabłko - jedno i drugie okropnie się kleiło - oraz podarunek owinięty w czerwony papier, a następnie odwrócił ją twarzą w kierunku zapory ze świateł, uśmiechając się swym doskonałym, wycwiczonym uśmiechem.

- Wesołych Świąt, dziewczynko!

Z najlepszymi życzeniami od Mikołaja!

Dziewięcioletnia Norma Jeane zapewne otworzyła usta, w najwyższym

stopniu przerażona, ponieważ fotoreporterzy, sami mężczyźni, śmiali się

serdecznie; jeden z nich zawołał:

- Nie ruszaj się, serduszko!

I wtedy błysk!

błysk!

błysk!

Norma Jeane musiała zmrużyć oczy i już nie będzie miała drugiej szansy, aby dla fotoreporterów ("Variety", "Los Angeles Times", "Screen World", "Photoplay", "Parade", "Pageant", "Pix", serwis Associated Press) uśmiechnąć się tak, jak mogła się uśmiechnąć, jak w tajemnicy i na dziesiątki sposobów uśmiechała się, patrząc w lustro na Magiczną Przyjaciółkę, ale Magiczna Przyjaciółka z lustra opuściła ją teraz,

wszystko przez to zaskoczenie / wtedy dałam sobie słowo, że już nigdy się nie zdziwię.

W następnej chwili ktoś ją ściągnął z podwyższenia, jedyne honorowe miejsca, i znowu była tylko jedną z sierot, jedną z młodszych, mniejszych sierot, a któraś z pielęgniarek popychała ją przed siebie razem z nierówną kolumną dzieci zmierzających po schodach na górę.

Już otwierały gwiazdkowe prezenty, rozrzucały po drodze kolorową bibułę.

Była to pluszowa zabawka dla dwuletniego lub niewiele starszego dziecka.

Norma Jeane już dawno wyrosła z tego wieku, a jednak bardzo się jej spodobał "pasiasty tygrysek" wielkości kociaka, zrobiony z miękkiego, puszystego materiału.

Chciało się go przyłożyć do policzka i tulić, tulić, tulić w łóżku.

Tygrysek miał oczy ze złocistych guzików, zabawny płaski nosek, sprężyste, łaskoczące wąsy, pomarańczowo-czarne paski i zakręcony ogonek z drutem w środku, który można było podnieść, opuścić albo wygiąć w znak zapytania.

Mój pasiasty tygrysek!

Gwiazdkowy podarunek od niego.

Cukrową laseczkę i kandyzowane jabłko Normy Jeane zabrały dziewczęta z sali.

Zjadły je kilkoma szybkimi kęsami.

Nie szkodzi: kochała przede wszystkim tygryska.

Jednak po kilku dniach przepadł także tygrysek.

Zadbała o to, aby go ukryć głęboko w łóżku, razem z lalką, ale kiedy pewnego dnia wróciła z dyżuru, zastała łóżko w nieładzie, a tygryska nie było.

(Lalki nikt nie tknął.) W całym budynku było po Bożym Narodzeniu dużo pasiastych tygrysków - tak samo jak pand, króliczków, piesków, lalek - tego rodzaju prezenty przeznaczono dla młodszych sierot, podczas gdy starsze otrzymały ołówki, temperówki, gry, ale nawet gdyby potrafiła rozpoznać swojego tygryska, nie ośmieliłaby się go odebrać z cudzych rąk, tak samo jak nie odważyłaby się go ukraść.

Po co kogoś ranić?

Dość, że cierpi się samemu.

SIEROTA

Tym zaś, którzy uwierzą, te znaki towarzyszyć będą:

w imię moje złe duchy będą wyrzucać, nowymi językami mówić będą; węże brać będą do rąk, i jeśliły co za trutego wypili, nie będzie im szkodzić.

Na chorych ręce kłaść będą, i ci odzyskają zdrowie.

Jezus Chrystus

Boska Miłość zawsze wychodziła naprzeciw i zawsze wychodzić będzie naprzeciw każdej ludzkiej potrzebie.

Mary Baker Eddy, Science and Health with Key to the Scriptures

- Normo Jeane, twoja matka poprosiła o jeszcze jeden dzień do namysłu.

Jeszcze jeden dzień!

Ale przecież doktor Mittelstadt mówiła w sposób pozwalający mieć nadzieję.

Nie okazywała zwątpienia, słabości, zatroskania; w jej obecności należało przejawiać optymizm.

Należało zwalczać negatywne myśli.

Norma Jeane uśmiechała się, kiedy doktor Mittelstadt przekazywała wieści otrzymane od głównego psychiatry z Norwalk, że Gladys Mortensen nie jest już tak skłonna "ulegać iluzjom i obsesjom prześladowczym" jak dawniej; tym razem istniała nadzieja - to był już trzeci raz, kiedy pojawiła się możliwość adopcji Normy Jeane - że pani Mortensen okaże się rozsądna i udzieli pozwolenia.

- Bo oczywiście twoja matka cię kocha i chce, żebyś była szczęśliwa.

Życzy ci wszystkiego najlepszego, tak jak my wszyscy.

- Doktor Mittelstadt urwała i westchnęła.

- Zatem, moje dziecko, pomodlimy się wspólnie?

Doktor Mittelstadt należała do oddanych wyznawców ruchu Christian Science, ale nie starała się przekazywać prawd swej wiary nikomu z wyjątkiem ulubionych wychowanek, i to raczej delikatnie, na podobieństwo kogoś, kto drobnymi kęsami próbuje nakarmić wycieńzonego z głodu człowieka.

Przed czterema miesiącami, na jedenaste urodziny Normy Jeane, doktor Mittelstadt wezwała dziewczynkę do gabinetu i podarowała jej książkę Mary Baker Eddy Science and Health with Key to the Scriptures.

Na wewnętrznej stronie okładki doktor Mittelstadt wpisała pewną ręką:

Normie Jeane z okazji urodzin!

"Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę"

Psalm 23,4.

Ta wspaniała Amerykańska Księga Mądrości zmieni twoje życie tak, jak zmieniła moje!

doktor Edith Mittelstadt 1 czerwca 1937 r.

Co wieczór przed zaśnięciem Norma Jeane czytała książkę i co wieczór wypowiadała głośnym szeptem tekst dedykacji.

Kochampanią, doktor Mittelstadt.

Zwykła myśleć o tej książce jako o pierwszym w życiu prawdziwym prezencie.

A o tamtych urodzinach jako o najszczęśliwszym dniu swojego życia, odkąd zamieszkała w sierocińcu.

- Będziemy się modlić o właściwą decyzję, dziecko.

I o siłę, aby zaakceptować decyzję, jaką ześle nam Bóg Ojciec.

Norma Jeane uklękała na dywanie.

Doktor Mittelstadt pozostała za biurkiem - artretyzm usztywnił jej stawy - pochyliła głowę i złożyła dłonie w żarliwej modlitwie.

Miała tylko pięćdziesiąt lat, ale przypominała Normie Jeane babcię Delię: podejrzanie tęga kobieca sylwetka, bezkształtna, gdyby nie gorset, duży, ukryty biust, porwana zmarszczkami miła twarz, posiwiałe włosy, na otyłych nogach pod grubymi pończochami plamy żył.

Mimo to tęsknota i nadzieja w oczach.

Kocham cię, Norma Jeane.

Jak własną córkę.

Czy wypowiedziała te słowa głośno?

Nie.

Czy objęła Normę Jeane i pocałowała ją?

Nie.

Doktor Mittelstadt pochyliła się do przodu na skrzypiącym krześle, aby rozpocząć modlitwę, która była jej największym darem dla tego dziecka, tak jak dla niej było ono darem od Boga.

Ojcie nasz, któryś jest w niebie, Ojcie Matko Boże, doskonałości,

Święć się imię Twoje.

Umiłowany.

Przyjdź Królestwo Twoje.

Twoje Królestwo przyszło, Twoje Królestwo jest wieczne.

Bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi.

Spraw, byśmy wiedzieli - tak na ziemi, jak w niebie - że Bóg jest wszechmogący, doskonały.

Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, Ześlij nam swoją łaskę, spełnij nasze pragnienia.

I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

A Miłość niech się przegłąda w miłości.

I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.

Bóg nie wystawia nas na pokusy, lecz chroni nas przed grzechem, chorobami, śmiercią.

Bo Twoje jest królestwo i chwała na wieki wieków.

Bo Bóg jest wszechmocny, nieskończony, jest Życiem, Prawdą, Miłością ponad wszystko i jest Wszystkim.

Amen!

Norma Jeane ośmieliła się powtórzyć niczym ciche echo:

- Amen.

Gdzie się podziewasz, kiedy znikasz?

Czy tam, gdzie jesteś, ktoś jest z tobą?

Trzy dni czekania na podjęcie decyzji przez Gladys Mortensen, czy ze zwolnić na adopcję córki.

Dni, które można podzielić na godziny, nawet minuty, aby je przetrzymać jak powietrze w płucach.

Mary Bakę r Eddy, Norma Jeane Bakę r.

Och, to był wyraźny znak!

Fleece i Debra Mae, wiedząc, jak przerażona jest Norma Jeane, przepowiedziały jej los za pomocą skradzionej talii kart.

W sierocińcu wolno było grać w kierki, remika, rybki, ale nie w pokera i oczko, bo były to hazardowe gry mężczyzn, zabraniano też wróżb, bo za liczało się to do praktyk magicznych i obrażało Pana Boga.

Dlatego owe przepowiednie dziewczęta przedstawiły, kiedy zgaszono światła, po kryjomu.

Norma Jeane właściwie nie chciała, aby przyjaciółki przepowiedziały jej przyszłość, bo karty mogły zaszkodzić modlitwom, poza tym gdyby jej wywróżyły coś złego, wołałaby o tym nie wiedzieć, dopóki nie będzie musiała.

Ale Fleece i Debra Mae nalegały.

Wierzyły w magię kart znacznie bardziej niż w magię Jezusa Chrystusa.

Fleece potasowała karty, podała Debrze do przełożenia, potem znowu je potasowała i rozłożyła przed Normą Jeane, która czekała, wstrzymując oddech: dama karo, siódemka kier, as kier, czwórka karo.

- Wszystkie są czerwone, widzisz?

A to oznacza dobrą wiadomość dla Myszy.

Czy Fleece kłamała?

Norma Jeane przepadała za koleżanką, która jej do kuczała, często ją dręczyła, ale też broniła w sierocińcu i w szkole, gdzie młodsze sieroty wymagały opieki.

Mimo to nie ufała jej.

Fleece chce, abym została z nią w tym więzieniu.

Bo jej nikt nigdy nie zaadoptuje.

To prawda, smutna prawda.

Żadne małżeństwo nie zaadoptuje Fleece ani Janette, ani Jewell, ani Lindy, ani nawet Debry Mae, która była śliczną dwunastolatką o piegowatej twarzy i rudych włosach, ponieważ nie mogły już uchodzić za dzieci, tylko za dziewczęta; dziewczęta, które są zbyt dojrzałe, dziewczęta o spojrzeniu zdradzającym, że zranili je dorośli i że nie zamierzają o tym zapomnieć.

Ale głównie chodziło o to, że są po prostu zbyt dojrzałe.

Przebywały już w rodzinach zastępczych i niestety szybko wracały do sierocińca, gdzie miały pozostawać pod opieką hrabstwa do szesnastego roku życia, kiedy będą mogły utrzymywać się samodzielnie.

W sierocińcu dziewczynki mające więcej niż trzy, cztery lata były już za stare.

Małżeństwa przyjmowały do adopcji niemowlęta albo dzieci tak małe, że nie miały jeszcze wyraźnie ukształtowanej osobowości, rozwiniętej umiejętności mowy, a zatem i wspomnień.

To, że ktoś chciał zaadoptować Normę Jeane, w istocie granoczyło z cudem.

A jednak, odkąd trafiła pod kuratelę opieki społecznej, prosiły o nią trzy małżeństwa.

Owe trzy pary zakochały się w niej, jak twierdziły, i były gotowe zignorować fakt, że miała dziewięć lat, potem dziesięć, teraz jedenaście, że jej rzeczywista matka żyje i pozostaje pod opieką szpitala psychiatrycznego w Norwalk, gdzie postawiono oficjalną diagnozę: "Ostra, chroniczna schizofrenia

paranoidalna związana z załamaniem nerwowym pogłębianym przez nadużywanie alkoholu i leków" (co przekazywano przyszłym rodzicom, gdy sobie tego zażyczyli).

To wyglądało na prawdziwy cud.

Chyba że się było świadkiem, tak jak personel, w jaki sposób małe dziewczynka Norma Jeane rozjaśniała pokój gościnny!

Nawet jeśli wcześniej miała smutną twarz, w jednej chwili zapalała się jak żarówka, wystarczyła obecność ważnych gości.

Ze słodką, idealnie krągłą twarzą i pełnymi entuzjazmu niebieskimi oczami, szybko się pojawiającym nieśmiałym uśmiechem oraz manierami mogłaby uchodzić za spokojniejszą odmianę Shirley Tempie.

Cóż za aniołek!

W jej oczach pojawiało się błaganie: Kochajcie mnie!

Ja już was kocham.

Pierwsza para, która miała ochotę zaadoptować Normę Jeane Baker, pochodziła z Burbank, gdzie posiadała tysiąc akrowy sad; podobno zakochali się w tej dziewczynce, bo wyglądała jak ich córka Cynthia Rosę, która umarła w wieku ośmiu lat na polio.

(Pokazali stare fotografie swego dziecka i Norma Jeane zaczęła wierzyć, że może ona stanie się ich małą córeczką, może to będzie możliwe; gdyby zamieszkała z tym małżeństwem, zmieniono by jej imię na Cynthia Rosę - już nie mogła się tego doczekać!

Cynthia Rosę, czyż to nie brzmiało magicznie?

) Para liczyła wcześniej na zaadoptowanie młodszego dziecka, ale kiedy tylko ujrzeli Normę Jeane, "Jakby Cynthia Rosę się odrodziła, wróciła do nas.

To jakiś cud!

" Ale z Norwalk nadeszła wiadomość, że Gladys Mortensen odmówiła podpisania do dokumentów dopuszczających adopcję jej córki.

Zainteresowane małżeństwo było zdruzgotane, "Jakby Cynthia Rosę opuszczała nas po raz drugi", ale nic nie dało się zrobić.

Norma Jeane schowała się, aby się wypłakać.

Tak bardzo pragnęła zostać Cynthia Rosę!

I mieszkać przy tysiącakrowym sadzie w miejscu zwanym Burbank z matką i ojcem, którzy by ją kochali.

Drugie małżeństwo, z Torrance - ludzie, którzy byli dumni, że są "dobrze urządzeni" w tej paskudnej sytuacji ekonomicznej, ponieważ pan domu był dealerem Forda - miało dużo własnych dzieci, pięciu chłopców, ale żona tęskniła za jeszcze jednym dzieckiem, dziewczynką.

Oni także chcieli zaadoptować młodsze dziecko, lecz kiedy tylko ujrzeli Normę Jeane, okazało się, że to już to.

"Co za aniołek!

"Kobieta poprosiła Normę Jeane, aby ta nazywała ją Mamitą - może to po hiszpańsku "Mamusia"?

- i dziewczynka się zgodziła.

To słowo wydawało się jej magiczne: Mamitą!

Teraz będę miała prawdziwą mamę.

Mamitę.

Norma Jeane pokochała tę dość otyłą kobietę po czterdziestce, która szukała jej, jak się wyraziła, z powodu osamotnienia, bo prowadziła dom pełen mężczyzn; miała ogorzałą, porytą zmarszczkami twarz, ale za to promienny, wyrażający nadzieję uśmiech jak u Normy Jeane; ciągle dotykała dziewczynki, ścisnęła jej małą dłoń, dawała prezenty, chusteczkę do nosa z wyhaftowanymi inicjałami NJ, pudełko kredek, drobne pieniądze, czekoladowe pocatunki zawinięte w folię aluminiową - Norma Jeane nie mogła się doczekać, kiedy podzieli się nimi z Fleece i innymi koleżankami, aby były o nią mniej zazdrosne.

Ale na tę adopcję, wiosną 1936 roku, Gladys także nie wyraziła zgody.

Nie osobiście, ale za pośrednictwem administratora Norwalk, który zawiadomił doktor Mittelstadt, że pani Mortensen jest bardzo chora, doznaje okresowych halucynacji.

Wydawało się jej, że na pokładach statków kosmicznych przylecieli Marsjanie i chcą zabrać ludzkie dzieci; albo że ojciec jej własnego dziecka chce je zabrać do jakiegoś sekretnego miejsca i na zawsze przed nią ukryć.

Pani Mortensen "nie zapomina tylko o tym, że jest matką Normy Jeane, i ma dosyć siły, żeby tego bronić".

Znowu Norma Jeane ukryła się przed wszystkimi i płakała.

Było w tym coś więcej niż tylko złamane serce!

Miała dziesięć lat, dość, aby zgorzknieć, wpaść w gniew i odczuć niesprawiedliwość losu.

Okrutna, zimna kobieta, która sama nie pozwalała nazywać się Mamusią, pozbawiła ją Mamity, która ją kochała.

Sama nie będzie moją matką.

I nie pozwoli mi mieć prawdziwej matki.

Nie pozwoli mi mieć matki, ojca, rodziny, prawdziwego domu.

Istniało tajne przejście na dach sierocińca - przez toaletę dla dziewcząt na drugim piętrze - a tam można się było schować za brudnym ceglany kominem.

Nocą światło neonowych liter RKO padało dokładnie w to miejsce; wyczuwało się jego pulsujące ciepło na wyciągniętych dłoniach i za mknętych powiekach.

Przybiegła zadyszana Fleece, aby wziąć ją w szczupłe ramiona, silne jak u chłopca.

Fleece, której pachy i przetłuszczone włosy zawsze brzydko pachniały, Fleece, która pocieszała niezdarnie niczym duży pies.

Norma Jeane zaczęła bezradnie płakać.

- Szkoda, że wciąż żyje!

Tak jej nienawidzę.

Fleece otarła się policzkiem o policzek Normy Jeane.

- Aha!

Ja też tej suki nienawidzę.

Czy tej właśnie nocy uknuły spisek: pojedą autostopem do Norwalk i podpalą szpital?

Czy może Normie Jeane coś się pomyliło?

A może to był sen.

Była tam przecież: płomienie, krzyki, biegnąca naga kobieta, włosy w ogniu, oczy szalone, ale świadome.

Krzyki!

Ja tylko zakryłam uszy dłońmi.

Zamknęłam oczy.

Po latach, kiedy odwiedzi Gladys w Norwalk i porozmawia z pielęgniarką oddziałową, dowie się, że wiosną 1936 roku jej matka próbowała po pełnić samobójstwo, raniąc sobie nadgarstki i gardło spinkami do włosów;

"straciła dużo krwi", nim znaleziono ją w kotłowni szpitala.

3

11 października 1937 r.

Kochana Mamo,

Jestem Nikim!

A ty?

Czy jesteś - Nikim - Też?

Zatem jest nas aż dwoje?

Pst!

rozejdzie się - wiesz!

To mój ulubiony wiersz z twojej książki, pamiętasz Skarbczyk amerykańskiej poezji. Ciotka Jess mi ją przyniosła, czytam te wiersze na okrągło i myślę o tym, jak ty mi je czytałaś i tak je lubiłam.

Kiedy je czytam, myślę o Tobie, Mamo.

Jak się masz?

Bez przerwy o Tobie myślę i mam nadzieję, że czujesz się znacznie lepiej.

U mnie wszystko w porządku.

Zdziwiłabyś się, jaka jestem wysoka!

Mam dużo przyjaciółek, tu w sierocińcu i w szkole.

Chodzę do szóstej klasy i jestem najwyższa z dziewczynek.

W naszym sierocińcu jest bardzo miła pani dyrektor i miła obsługa.

Czasami traktują nas surowo, ale to jest konieczne, bo jest nas dużo.

Chodzimy do kościoła, a ja zaczęłam śpiewać w chórze.

Wiesz przecież, że jestem bardzo muzykalna!

Odwiedza mnie czasem ciotka Jess, zabiera do kina, a szkoła jest trochę dla mnie za trudna, zwłaszcza artmetyka [sic!

], ale jest zabawnie.

Poza artmetyką ze wszystkich przedmiotów mam same czwórki; wstyd mi się przyznać, jaką ocenę mam z artmetyki.

Wydaje mi się, że pan Pearce też mnie odwiedził.

Jest pewne małżeństwo, panjosiah Mount z żoną.

Mieszkają w Pasadenie, gdzie pan Mount pracuje jako prawnik, a pani Mount ma duży ogród, w którym hoduje same róże.

Zabrali mnie na niedzielną przejażdżkę do swojego domu z widokiem na staw.

Pytają, czy zamieszkam z nimi jako córka.

Mają nadzieję, że się zgodzisz, i ja też mam taką nadzieję.

Norma Jeane nie wiedziała, co jeszcze można napisać do Gladys.

Nie śmiała dała swój list pani Mittelstadt do przejrzenia.

Dyrektorka sierocińca pochwaliła ją, powiedziała, że to "bardzo miły list", wprawdzie zawiera kilka błędów, ale ona je poprawi, i poza tym sądzi, że trzeba go zakończyć jakąś modlitwą.

Zatem Norma Jeane dodała:

Modłę się za nas obie, mając nadzieję, że wyrazisz zgodę na moją adopcję.

Dziękuję Ci z głębi serca i modłę się do Boga, aby Cię błogosławił, amen.

Twoja kochająca córka Norma Jeane

Dwanaście dni później nadeszła odpowiedź, pierwszy i ostatni list, jaki Gladys napisała do Normy Jeane w domu dziecka.

List na rozdartym żółtym papierze, napisany pochyłym, chwiejnym pismem, które wyglądało jak procesja pijanych mrówek:

Droga Normo Jeane, jeśli nie wstydzisz się mówić tego wszystkiego, to kimże ty jesteś w oczach Świata...

Dostałam twój obrzydliwy list i jak długo będę żyła i będę w stanie walczyć, nie pozwolę, aby moja córka została "adoptowana" - przecież ma MATKĘ, która żyje, wyzdrowieje i nabierze dość sił, aby ją wziąć do domu.

Proszę, nie obrażaj mnie tymi pytaniami, bo one ranią i są okropne.

Nie potrzebuję twojego zasranego Boga ani jego błogosławieństw czy klątw.

W nosie go mam!

O ile wiem, mam jeszcze nos!

Wynajmę Prawnika, aby dbał o moje interesy, więc możesz być pewna, że do Śmierci zachowam to, co do mnie należy.

Twoja kochająca matka WIESZ KTÓRA

KLĄTWA

- Popatrz na pupę tej małej blondyneczki!

Usłyszała, zarumieniła się oburzona i ostentacyjnie "nie usłyszała".

Wracała ze szkoły do domu na El Centro Avenue.

W białej bluzce, niebieskim fartuszk (który nagle stał się obcisły na wysokości biustu i bioder) i białych skarpetkach do kostek.

Dwunastolatka.

Ale w sercu zaledwie ośmio albo dziewięciolatka, jakby rzeczywisty rozwój zatrzymał się w chwili, kiedy musiała uciekać z sypialni Gladys, biec nago i prosić o pomoc nieznanym.

Uciekając przed parą, ukropem i płonącym łóżkiem, które miało się stać jej stosem pogrzebowym.

Wstyd, wstyd.

Wreszcie nadszedł ten dzień.

Drugi tydzień września, kiedy właśnie za częta siódmą klasę.

Nie była całkiem nieprzygotowana, ale wciąż nie do wierzała.

Czyż nie słyszała rozmów starszych dziewcząt i ordynarnych żartów chłopców?

Czyż nie wzbudzał w niej wstrętu, nie fascynował widok poplamionych krwią "podpasek", owiniętych albo nie owiniętych papierem toaletowym, w pojemnikach na śmieci w toaletach dla dziewcząt?

Czy nie zbierało się jej na mdłości, kiedy wyносиła śmieci w sierocińcu i czuła zapach stęchłej krwi?

Klątwa krwi, powtarzała Fleece z głupim uśmiechem, przed którą nie możesz uciec.

Jednak w głębi serca Norma Jeane czuła radość, bo o czymś wiedziała.

Przecież można uciec.

Istnieje na to pewien sposób!

Ani w domu dziecka, ani w szkole (bo miała przyjaciół także wśród dzieci posiadających rodziny i "prawdziwe" domy) Norma Jeane nie mówiła o drodze Christian Science, o mądrościach, jakie odkryła przed nią Edith Mittelstadt.

Że Bóg jest Rozumem, Rozum jest wszystkim, zwykła "materia" nie istnieje.

Że Bóg uzdrawia nas za pośrednictwem Jezusa Chrystusa.

Jeśli się tylko bezgranicznie w Niego wierzy.

Jednakże tego dnia w środku września poczuła dziwny, tępy ból w dole brzucha, akurat na lekcji gimnastyki, kiedy w koszulce i niebieskich spodenkach grała w siatkówkę - Norma Jeane należała do większych dziewcząt wśród siódmoklasistek, dobrze sobie radziła ze sportem, chociaż czasem z powodu nadmiernej nieśmiałości była trochę niepewna i nieporadna, psuła piłki i inne dziewczęta traciły cierpliwość: nie można było polegać na Normie Jeane, ale jakże ona się starała, aby zmienić tę opinię o sobie, z jakąż determinacją o to zabiegała - w każdym razie tego popołudnia w wilgotnym zaduchu sali gimnastycznej zrezygnowała z gry, kiedy jakaś gorąca ciecz zaczęła wsiąkać w jej majteczki; nagle rozboleła ją głowa i później, przebierając się w szatni, postanowiła to za wszelką cenę zignorować;

była wstrząśnięta, upokorzona; nie, to się nie działo naprawdę.

- Normo Jeane, co się stało?

- Słucham?

Nic takiego.

- Wyglądasz, jakbyś...

- Dziewczyna usiłowała się uśmiechnąć, okazać współczucie, ale mimo wszystko jej próby wydawały się wymuszone, sztuczne.

-Jakbyś była chora.

- Nic mi nie jest, może tobie coś dolega?

Wyszła z szatni, trzęsąc się z oburzenia.

Wstyd, wstyd!

Ale w Bogu wstyd nie istnieje.

Do domu wracała w pośpiechu, unikając przyjaciółek.

Zazwyczaj szła w grupce dziewcząt z Fleece i Debrą Mae, dzisiaj jednak była sama, stawiała szybkie kroczki, ściskając uda, kołysząc się jak kaczka, czuła w kroczu wilgoć, ale wydawało się, że krwawienie w dole brzucha ustało, powstrzymała je siłą woli, nie zamierzała się poddać. Wzrok miała wbity w chodnik, "nie słyszała" gwizdów i okrzyków chłopców, ze szkoły średniej i starszych, dwudziestolatków, krążących po El Centro Avenue.

"Normo Jeane, tak się nazywasz, prawda, kochanie?"

Hej, Normo Jeane!

" Szczerze żałowała, że fartuszek stał się tak obcisły.

Przysięgała sobie, że straci na wadze.

Pięć funtów!

Nigdy nie będzie tak gruba jak niektóre dziewczęta z jej klasy, nigdy tak ciężka jak doktor Mittelstadt, ale dato nie jest prawdziwe.

Normo Jeane.

Materia nie jest Rozumem, jedynym Rozumem jest Bóg.

Kiedy doktor Mittelstadt szczegółowo wyjaśniła tę prawdę, Norma Jeane zrozumiała wszystko.

Kiedy czytała książkę pani Eddy, zwłaszcza rozdział pod tytułem "Modlitwa", rozumiała ją częściowo.

Ale kiedy była sama, jej myśli mieszały się jak porzrzucone na podłodze elementy układanki.

Niby istniał w tym porządek, ale jak go znaleźć?

Teraz, tego popołudnia, myśli w jej głowie najbardziej przypominały deszcz drobnego szkła.

To, co zwyczajni, prości ludzie nazywają bólem głowy, jest niczym więcej niż iluzją, słabością; zanim jednak Norma Jeane przeszła dziewięć przecznic dzielących Hurst Junior High School od sierocińca, dopadł ją tak ostry ból głowy, że niemal nic nie widziała.

Potrzebowała aspiryny.

Jednej jedynej tabletki aspiryny.

Jeśli zachorowałaś, pielęgniarka z izby chorych rutynowo podawała ci aspirynę.

No, kiedy dziewczęta miały te swoje "okresy".

Tylko że Norma Jeane powiedziała sobie, że się nie podda.

To był sprawdzian jej wiary, próba.

Bo czyż Jezus Chrystus nie powiedział:

Albowiem wie Ojciec wasz, czego wam potrzeba, zanim Go poprosicie

Przypominała sobie z odrazą, jak matka rozdrabniała aspirynę, aby ją dodać do soku owocowego, kiedy Norma Jeane była zupełnie małą dziewczynką.

I ze zwyczajnej butelki bez żadnej naklejki dolewała łyżeczkę lub dwie "wody leczniczej", zapewne wódki, do szklanki Normy Jeane, która miała trzy lata - albo mniej!

- i była zbyt mała, aby bronić się przed tego rodzaju trucizną.

Przed narkotykami, alkoholem.

Zgodnie z zasadami Christian Science, należało odrzucić wszystkie nieczyste obyczaje.

Pewnego dnia Norma Jeane potępi Gładys za wszystkie te okrutne praktyki przeciwko nieświadomemu niczego dziecku.

Chciała mnie otruć, tak jak otruła siebie.

Nigdy nie będę brała narkotyków ani nie będę piła alkoholu.

Przy kolacji była niemal bliska omdlenia z głodu, lecz zbierało się jej na mdłości, kiedy próbowała jeść; makaron z zakrzepłym serem, spalone resztki zeskrobane z patelni; zmusiła się jedynie do białego, niedopieczonego chleba, który powoli żuła i przetykała.

Sprzątając ze stołu, upuściłaby na podłogę tacę z naczyniami i sztuczkami, gdyby jakaś dziewczyna nie podbiegła i nie podtrzymała jej.

A potem w dusznej kuchni jeszcze to czyszczenie garnków i zatłuszczonych patelni pod surowym nadzorem kucharki - obowiązek najbardziej odstręczający ze wszystkich, obrzydliwy jak sprzątanie toalet.

Za dziesięć centów tygodniowo.

Wstyd, wstyd/Lecz zatriumfujesz nad wstydem.

Kiedy wreszcie odejdzie z sierocińca, aby zamieszkać z rodziną zastępczą w Van Nuys, w listopadzie tegoż 1938 roku, będzie miała na swoim "koncie" dwadzieścia dolarów i sześćdziesiąt centów.

Edith Mittelstadt na pożegnanie podwoi tę sumę.

- Wspominaj nas dobrze, Normo Jeane.

Bywało różnie, raz tak, raz owak.

Pewnego dnia spisze swoje wspomnienia z sierocińca.

Swej dumy nie sprzeda tak tanio.

Właściwie w ogóle nie miałam dumy!

Ani wstydu!

Byłam wdzięczna za każde miłe słowo i spojrzenie faceta.

Moje młode ciało wydawało się tak dziwne i obce jak cebulka zakopana w ziemi, która powiększa się, aby wystrzelić na powierzchnię. pewno była w pełni świadoma wspaniale przy bierających piersi i powiększania się obwodu ud, biustu i "pupy" - jak określano z przymrużeniem oka i aprobatą tę część kobiecej anatomii.

"Ale urocza pupa.

Spójrz na tę uroczą pupę.

Och, dziecino, dziecino!

Kto to?

Małolata.

Można przez nią trafić do pudła".

Bała się tych cielesnych przemian, bo gdyby Gladys się dowiedziała, odniosłaby się do tego z pogardą;

Gladys, która sama była szczupła i wiotka, Gladys, która najbardziej podziwiała delikatne sylwetki "kobięcych" gwiazd filmowych, takich jak Norma Talmadge, Greta Garbo, młoda Joan Crawford i Gloria Swanson, a nie krągłe, puciołowate kobiety jak Mae West, Mae Murray, Margaret Dumont.

Po nieważ bardzo długo Normy Jeane nie widziała, na pewno nie spodobała by się jej figura córki.

Norma Jeane nie zastanawiała się, jak wygląda Gladys po latach przymusowego pobytu w szpitalu.

Po liście z odmową podpisania zgody na adopcję Gladys nie napisała już nic więcej.

Norma Jeane też do niej nie pisała, wysyłała jedynie kartki na święta i urodziny.

(Oczywiście niczego nie dostała w zamian!

Ale jak na uczał Chrystus, lepiej dawać, niż brać.)

Norma Jeane, zazwyczaj spokojna i łagodna, zaskoczyła Edith Mittelstadt łzami wściekłości.

Dlaczego jej okropnej matce, jej chorej matce, jej okropnej chorej szalonej matce wolno niszczyć jej życie?

Dlaczego prawo jest takie niemądre i uzależnia jej losy od kobiety umieszczonej w szpitalu dla psychicznie chorych, którego najprawdopodobniej nigdy nie opuści?

To nie jest w porządku, to niesprawiedliwe, i to tylko dlatego, że Gladys była zazdrosna o państwa Mount i nienawidziła jej.

- Tyle się modliłam - szlochała Norma Jeane.

- Zrobiłam tak, jak mi pani kazała, modliłam się i modliłam.

Doktor Mittelstadt odpowiedziała surowo, jakby przemawiała do innej wychowanki sierocińca.

Skarciła Normę Jeane za "ślepe, egoistyczne" uleganie emocjom; za niezrozumienie, że zgodnie ze słowami pani Eddy, modlitwa nie może zmienić Nauki istnienia, lecz jedynie sprawić, że będziemy żyli w lepszej z nią harmonii.

W głębi Norma Jeane była wściekła: czemu więc służyła modlitwa?

- Wiem, że jesteś rozczarowana, Normo Jeane, i bardzo zraniona - po wiedziała z westchnieniem Edith Mittelstadt.

- Sama jestem rozczarowana.

Państwo Mount są dobrymi ludźmi, dobrymi chrześcijanami, choć nie wyznawcami Christian Science, i przepadają za tobą.

Ale rozumiesz, twoja matka nadal nie myśli jasno.

Najwyraźniej jest tym "nowoczesnym" typem, "neurotyczką", kobietą chorą, bo doprowadza się do choroby z powodu negatywnych myśli.

Ty możesz odrzucać takie myśli i w każdej sekundzie swego cennego życia dziękować Bogu za to, że jesteś.

Nie potrzebowała tego zasranego Boga, jego błogosławieństw czy klątw.

Ale tarła oczy jak dziecko pod wpływem emocji, potakiwała, gdy doktor Mittelstadt mówiła z przekonaniem.

Tak!

Zgadza się.

Zdecydowany, choć ciepły głos dyrektorki.

Badawcze spojrzenie.

Dusza błyszcząca w jej oczach.

Ledwo można było zauważyć, że starsza kobieta ma zwiotczałą i pooraną zmarszczkami twarz; jednakże z bliska widać było wątrobowe plamy na sflaczałej skórze rąk, których doktor Mittelstadt nie próbowała ukrywać ani pod mankietami, ani pod pudrem, jak to czyniły powodowane próżnością inne kobiety; sztywne włoski sterczały z jej po liczka.

Filmowymi oczami Norma Jeane dostrzegła te jaskrawe niedoskonałości.

W filmowej logice estetyka ma moc etyki: bycie mniej niż piękną jest żalosne, ale dobrowolne bycie mniej niż piękną jest niemoralne.

Patrząc na doktor Mittelstadt, Gladys by się wzdrygnęła.

Gladys szydziłaby za jej plecami, a były to bardzo szerokie plecy pod granatową serżą.

Ale Norma Jeane podziwiała doktor Mittelstadt.

Ona jest silna.

Nie obchodzi jej, co myślą inni ludzie.

Dlaczego miałoby ją to obchodzić Doktor Mittelstadt mówiła:

- Mnie także wprowadzono w błąd.

Personel w Norwalk i mnie oszukał.

Być może nie jest to niczyja wina.

Tak czy inaczej, Normo Jeane, mogę cię oddać na wychowanie do jakiejś porządnej rodziny; do tego wcale nam nie jest potrzebna zgoda twojej matki.

Znajdę ci dom wyznawców Christian Science, obiecuję, moja droga.

Nieważne, jaki dom.

Jakikolwiek.

Norma Jeane mruknęła cicho:

- Dziękuję, pani Mittelstadt.

Wytarła zaczerwienione oczy chusteczką, którą kobieta jej podała.

Mogło się zdawać, że fizycznie zmaląła; znowu była potulna, powrócił jej dziecięcy głos i dziecięca postawa.

-Jeszcze w tym roku - dodała doktor Mittelstadt - przed świętami Bożego Narodzenia.

Z Bożą pomocą, Normo Jeane!

Obiecuję.

Pocieszała się przekonaniem, że to nie może być przypadek, iż drugie imię Mary Baker Eddy brzmi Baker, tak jak nazwisko Normy Jeane.

W szkolnej encyklopedii Norma Jeane znalazła hasło MARY BAKER EDDY i dowiedziała się, że założycielka kongregacji Christian Science urodziła się w 1821 roku, umarła w 1910.

Nie w Kalifornii, ale to nie miało znaczenia:

ludzie ciągle przemierzali kontynent pociągiem albo samolotem.

Baker, pierwszy mąż Gladys, opuścił ją, i wydawało się możliwe - prawdopodobne?

- że należał do krewnych pani Eddy, bo dlaczego pani Eddy nosiłaby imię "Baker", gdyby nie była pod jakimś względem "Bakerem"?

W boskim wszechświecie, jak w każdej układance, nie zdarzają się przy padki.

Moja babcia nazywała się Mary Baker Eddy.

To znaczy moja przyrodnia babcia.

Ponieważ moja matka wyszła za syna pani Eddy.

Nie był moim prawdziwym "ojcem", ale mnie adoptował.

Mary Baker Eddy była matką mojego ojczyma i teściową mojej matki,

która jednak nie знаła pani Eddy.

To znaczy osobiście.

Ja nie poznałam pani Eddy,

która założyła

kościół Christian Science.

Umarła w 1910 roku.

Ja się urodziłam 1 czerwca 1926 roku.

Tyle wiem.

Kurczyła się pod spojrzeniami starszych chłopców.

Tyle spojrzeń!

Zawsze wyczekujących.

Teraz chodzenie do szkoły zupełnie nie przypominało tego, co się działo w szóstej klasie.

Norma Jeane kryła się w gromadzie innych dziewcząt.

To było jedyne wyjście.

Chodziła w fartuszku ciasno opinającym biust i biodra.

Kręciła biodrami tak, że spódnica podwijała się do góry.

A jeśli było widać halkę?

Halkę trzeba było wkładać, a ramiączka skręcały się i brudziły.

Pod pachami trzeba było się myć dwa razy dziennie.

Czasem i to nie wystarczało.

W szkole dzieci ciągle się śmiały, że sieroty śmierdzą!

Widok żartownisia zatykającego nos niezmiennie wywoływał śmiech.

Śmiały się nawet dzieci z sierocińca.

Te, które wiedziały, że ich akurat to nie dotyczy.

Paskudne dowcipy o dziewczętach.

Ich specyficzna woń.

Klątwa.

Klątwa krwi.

Nie chciała o tym myśleć, nikt nie mógł jej do tego zmusić.

Od dawna myślała o zmianie fartuszka na większy rozmiar, ale odkładała ten moment z tygodnia na tydzień; nie chciała się narażać na niewybredne uwagi ze strony intendentki.

"Będziesz dużą dziewczynką, nie?"

To cecha rodzinna, mogę się założyć".

Po "podpaski" chodziło się do pielęgniarki.

Chodziły do niej wszystkie starsze dziewczęta.

Ale Norma Jeane nie zamierzała tam iść.

Tak samo nie będzie prosiła o aspirynę.

Tego rodzaju środki w jej wypadku nie znajdowały zastosowania.

Jedno wiem: byłem niewidomy, a teraz widzę.

Te słowa z Nowego Testamentu, z Ewangelii według św.

Jana, Norma Jeane często powtarzała sobie szeptem.

W zaciszu swego gabinetu doktor Mittelstadt po raz pierwszy przeczytała jej fragment o tym, jak Jezus uzdrowił niewidomego - co wydawało się niezwykle proste.

Jezus splunął na ziemię, uczynił błoto ze śliny i nałożył je na oczy niewidomego, a tamten przejrzał.

Proste.

Jeśli się tylko wierzy.

Bóg jest Rozumem.

Sam Rozum uzdrawia.

Jeśli wierzysz, możesz uzyskać wszystko.

Niemniej - nigdy o tym nie powie doktor Mittelstadt ani nawet przyjaciółkom - istniało pewne marzenie na jawie, hołubione przez nią marzenie odtwarzane nieustannie w jej głowie jak film, który nigdy się nie kończy.

Drze na sobie ubranie, żeby wszyscy ją zobaczyli.

W kościele, w jadalni, w szkole, na El Centro Avenue wśród ulicznego hałasu.

Spójrzcie na mnie, spójrzcie na mnie, spójrzcie na mnie!

Jej Magiczna Przyjaciółka nie bała się.

Bała się tylko Norma Jeane.

Jej Przyjaciółka z Lustra wirowała nago, tańczyła hula, kręcąc biodrami i poruszając piersiami, uśmiechała się uśmiechała uśmiechała, radowała na gością w obliczu Boga, jak wąż triumfujący w zygzakowatej, błyszczącej skórze.

Bo wtedy byłabym mniej samotna.

Nawet jeśli byście wszyscy mnie znienawidzili.

Nie moglibyście patrzeć na nikogo prócz MNIE.

- Hej, spójrzcie na Mysz.

Jaka ślicznotka!

Jedna z dziewcząt znalazła pudełko z pudrem w kolorze brzoskwini i z okropnie brudnym puszką.

Inna znalazła jasnorożową szminkę.

Tego rodzaju cenne drobiazgi "znajdowano" w szkole albo u Woolwortha, to jest tam, gdzie chciał przypadek.

Używanie kosmetyków przez dziewczęta po niższej szesnastego roku życia było w sierocińcu zabronione, ale te dziewczęta ukryły się, aby nałożyć puder na swoje wyszorowane, błyszczące twarze i pomalować usta szminką.

Norma Jeane przeglądała się w malutkim, po szarżnym lusterku.

Odczuwała wyrzuty sumienia, albo może ekscytację, ukłucia ostre jak ból między nogami.

Nie o to chodziło, że jako jedyna miała śliczną twarz, ale o to, że jej twarz była śliczna.

Dziewczęta żartowały z niej, a ona płonęła rumieńcem, bo nie cierpiała, gdy ktoś z niej żartował.

To znaczy uwielbiała, kiedy z niej żartowano, tym razem jednak było to coś nowego, coś strasznego, choć nie wiedziała do kładnie co.

Powiedziała, zdumiewając koleżanki, które nigdy nie podejrzewały, że Mysz może się złościć:

- Obrzydliwe.

Nie znoszę tego, tyle w tym fałszu.

Nie ścierpię tego smaku.

Odepchnęła puderniczkę i zaczęła ścierać z ust koralowy kolor.

Ale woskowy, słodkawy smak utrzymywał się długo, do późnej nocy.

Modliła się, modliła, modliła, modliła.

Aby ból pod oczami i między nogami ustąpił.

Aby krwawienie (jeśli to było krwawienie) ustało.

Nie chciała się położyć do łóżka, bo jeszcze nie nadeszła pora snu, bo to by oznaczało poddanie się.

Bo dziewczęta wszystkiego by się domyśliły.

Bo potraktowałyby ją jako jedną z nich.

A ona nie była jedną z nich.

Bo miała swoją wiarę, a ta wiara była wszystkim, co miała.

Ponieważ musiała odrobić pracę domową.

Sporo jej zadano!

A ona była uczennicą niezbyt lotną.

Uśmiechała się z obawą nawet wówczas, kiedy była sama i nie było w pobliżu nauczycielki, aby ją uspokoić.

Była w siódmej klasie.

Zabrała się do odrabiania rachunków.

Na pracę domową składał się kłębek supłów do rozplatania.

Kiedy udało ci się rozwiązać jeden, trafiałaś na następny, potem jeszcze na kolejny.

Każdy problem wydawał się trudniejszy od poprzedniego.

"Niech to szlag".

Gładys radziła sobie z węzłami w ten sposób, że je rozrywała albo chwytła za nożyczki i ciach!

ciach!

i przecinała sznurek.

Tak samo postępowała przy czesaniu włosów swojej córeczki, niech to szlag, czasem dużo prościej po prostu wziąć nożyczki i uciąć co trzeba.

Do dziewiątej i wyłączenia świateł zostało tylko dwadzieścia minut!

Och, jakże się bała.

Po umyciu w kuchni tych zatłuszczonych garów schowała się w toalecie i bez patrzenia napchała sobie do majtek papieru toaletowego.

Ale teraz papier przesiąknął czymś - nie chciała myśleć, że to krew.

Włożyć sobie palec do środka, o nie, nigdy by tego nie zrobiła!

To wstrętne.

Fleece, beztroška, efekciarska, nieznošna Fleece potrafiła przystanąć na klatce schodowej, gdy zbiegał z góry tabun chłopców, odwrócić się do kąta, wsunąć palec pod spódnicę i do majtek.

- "Hej, Abbott!

" - Sprawdzała, czy zaczął się u niej okres.

Podnosiła do góry palec połyskujący na czerwono, aby mogły to widzieć inne dziewczęta.

Niektóre z nich śmiały się, inne wyglądały na oburzone.

Norma Jeane zamykała oczy, bliska omdlenia.

Aleja nie jestem Fleece.

Nie jestem jedną z was.

Norma Jeane często w sekrecie przemykała się do toalety w środku nocy.

Dziewczęta spały w swojej sali.

To było ekscytujące, nie spać o tej porze.

Nie spać i pozostawać w samotności.

Przed laty i Gladys grasowała w nocy niczym duża kotka, bo nie mogła albo nie chciała spać.

Papieros w dłoni, może drink, często słuchawka telefonu.

To była jakaś scena filmowa, przefiltrowana przez bawełnianą kołderkę dziecięcego snu.

"Cześć, się masz.

Myślisz o mnie?

Tak, pewnie.

Tak?

Chcesz coś z tym zrobić?

Aha.

Gdzie jest ochota, tam sposób się znajdzie.

Ale z Dzieckiem będzie nas troje, jeśli wiesz, co mam na myśli".

Wystarczyło, że Norma Jeane upewniła się, że jest sama, a obskurna, cuchnąca toaleta stawała się miejscem ekscytujących doznań, jak sala kinowa, nim zgasną światła, kurtyna rozsunie się na boki i rozpocznie się film.

Zdejmowała koszulę nocną, tak jak zdejmuje się w filmach czepki, płaszcze i obcisłą odzież, subtelna muzyka pulsowała w tle i pojawiała się Magiczna Przyjaciółka, jakby ukrywała się pod łachami i tylko czekała, aby się odsłonić.

Ta dziewczyna, która była Normą Jeane, a jednocześnie nią nie była, tylko nieznaną.

Dziewczyna znacznie bardziej osobliwa od tej, którą Norma Jeane kiedykolwiek mogłaby być. Dawniej miała szczupłe ramiona, piersi małe i płaskie jak u chłopca, teraz "zaokrągliła się", jak mówiono z aprobatą, twarde, małe piersi po większały się stopniowo, stawały bardziej sprężyste, a kremowobłada skóra robiła się przedziwnie miękka.

Norma Jeane brała piersi w dłonie, wpatrywała się i zachwycała: jakie to dziwne, sutki i lekko brązowy krążek dookoła; sposób, w jaki sutki twardniały - niczym gęsia skórka; jakie osobliwe było to, że chłopcy także mieli sutki; nie piersi, ale sutki (których nigdy nie użyją, bo tylko kobiety karmią dzieci); Norma Jeane dobrze wiedziała (zbyt wiele razy ją zmuszano do patrzenia!

), że chłopcy mają między nogami penisy - zwane "interesami", "kutasami", "chujami" - oplecione żyłkami małe kiełbaski, dlatego właśnie byli chłopcami i dlatego byli ważni, pod czas gdy dziewczęta nie mogły być ważne; i czy nie zmuszano jej do patrzenia (ale to było jakieś niewyraźne wspomnienie, nie mogła mu ufać) na grube, obrzmiałe "interesy" dorosłych mężczyzn, którzy dawno temu zaliczali się do przyjaciół Gladys?

Chcesz tego dotknąć, maleńka?

To nie ugryzie.

- Norma Jeane?

Cześć.

Debra Mae dźgnęła ją łokciem w zebra, gdy Norma Jeane kuliła się nad odrapanym blatem stołu, oddychając z trudem.

Może straciła przytomność, ale tylko na chwilę.

Przez ten ból, którego nie czuła, przez upływ krwi, która nie była jej.

Z wysiłkiem odepchnęła rękę dziewczyny, ale Debra Mae powiedziała ostro:

- Oszalałaś?

Przecież leci ci krew, nie wiesz o tym?

Wszystko na tym krześle.

Jezu!

Rumieniąc się ze wstydu, Norma Jeane podniosła się.

Zeszyt do rachunków spadł na podłogę.

- Odejdź.

Zostaw mnie w spokoju.

- Słuchaj, to wszystko dzieje się naprawdę - mówiła Debra Mae.

- Masz prawdziwe skurcze.

Prawdziwy okres.

Ta krew jest prawdziwa.

Norma Jeane niepewnie wyszła z pokoju nauki.

Słabo widziała, przed oczami latały jej plamki.

Wilgotna struzka płynęła po wewnętrznej stronie nogi.

Dziewczyna modliła się, przygryzała dolną wargę i była zdecydowana się nie poddawać.

Nie dać się dotknąć, uciekać od litości.

Za sobą słyszała głosy.

Schowała się na klatce schodowej, w toalecie.

Kiedy nikt nie widział, wyszła przez okno.

Na czworakach wspięła się na sam szczyt dachu.

Nocne niebo przysłonięte grzbietami chmur, za nimi biała ćwiartka księżyca, świeże, chłodne powietrze, a kilka mil dalej migające światła RKO.

Rozum to jedyna Prawda.

Bóg jest Rozumem.

Bóg jest Miłością.

Boska Miłość zawsze wychodziła naprzeciw i zawsze będzie wychodzić naprzeciw każdej ludzkiej potrzebie.

Czy ktoś ją wołał?

Nie słyszała.

Przepętniała ją radość i pewność.

Była silna, a będzie silniejsza.

Wiedziała, że ma dość siły, aby wytrzymać cały ból i strach.

Wiedziała, że pozostaje w stanie łaski, że ma serce pełne Boskiej Miłości.

Pulsujący ból w jej ciele stawał się odległy, jakby cierpiała inna, słabsza dziewczyna.

Wychodziła z tego wysiłkiem woli.

Wspinała się ponad stromy dach i pod niebo, gdzie chmury przypominały schody, schody prowadzące do góry, obrysowane światłem słońca, które ginęło przy samym horyzoncie.

Jeden fałszywy krok, chwila zwątpienia, i mogła spaść na ziemię bez władnie jak potamana lalka, ale to się nie zdarzy, to zależało od mojej woli.

więc do tego nie doszło.

Przewidywała, że od tej chwili będzie sama kierowała własnym życiem, póki Boskiej Miłości nie zabraknie w jej sercu.

Do Bożego Narodzenia, miała to obiecane.

Gdzie jest nowy dom Normy Jeane?

DZIEWCZYNA

1942-1947 .

REKIN

Nim przyplłynął rekin, w ciszy ciemnozielonej wody pojawił się najpierw jego cień.

Rekin ślizgał się w ciemnozielonej wodzie.

Pewnie byłam pod wodą i pod falami, choć nie płynełam, oczy miałam otwarte, piekły mnie od soli - byłam w tamtych czasach całkiem dobrą pływaczką, moi chłopcy zabierali mnie na Tobanga Beach, do Will Rogers, Las Tunas, Redondo, ale najbardziej lubiłam Santa Monica i Venice Beach, "plaże pełne mięśni", po których kręcili się przystojni kulturyści i amatorzy surfingu - gapiałam się na niego, tego rekina, na kształt gotowego do ataku rekina płynącego w ciemności, z którego to powodu nie mogłam określić ani jego rozmiarów, ani nawet tego, czym właściwie jest.

Rekin atakuje w najmniej oczekiwanym momencie.

Bóg wyposażył go w olbrzymie szczęki i rzędy przypominających płomienie, ostrych jak brzytwy zębów.

i Kiedyś widzieliśmy rekina zawieszzonego na molo w Hermosa, wciąż żywego i broczącego krwią.

Mój narzeczony i ja.

Właśnie się zaręczyliśmy, miałam piętnaście lat, byłam młodą dziewczyną.

Boże, jaka byłam szczęśliwa!

No tak, ale jej matka...

wiesz, że jest v Norwalk.

Nie żenię się z matką, żenię się z Normą Jeane.

To dobra dziewczyna.

Taka się wydaje.

Ale w tak młodym wieku prawda nie zawsze wychodzi na jaw.

Jaka prawda?

To, co się może stać później.

Z nią.

Nie słyszałam!

Nie słuchałam.

Byłam w siódmym niebie: zaręczona jako piętnastolatka, zazdrościły mi wszystkie dziewczęta, jakie znałam.

Wysłałam za mąż zaraz po swoich szesnastych urodzinach, zamiast wracać do szkoły i na dwa kolejne lata.

Stany Zjednoczone brały udział w wojnie, więc przyszłość, jak w Wojnie światów, nie była pewna.

PORA WYJŚĆ ZA MĄŻ

- Normo Jeane, wiesz, co sobie myślę?

Nadeszła pora, abyś wyszła za mąż.

Te radosne, zaskakujące słowa pojawiły się niespodziewanie, niczym piosenka zaraz po włączeniu radia.

Właściwie nie zamierzała ich wypowiedzieć.

Nie należała do kobiet, które planują wypowiedzi.

O tym, co zamierzała powiedzieć, dowiadywała się dopiero wtedy, gdy usłyszała swój głos.

Prawie nigdy nie żałowała tego, co powiedziała, ponieważ zawsze mówiła to, co chciała powiedzieć.

Jakżeby inaczej!

Skoro coś powiedziała, to po wiedziała - otwierając zabezpieczone siatką drzwi wychodzące na podwórze, gdzie ustawiły deskę do prasowania i gdzie Norma Jeane od dłuższego czasu prasowała.

Większość bielizny ubyła z koszyka - koszule Warrena zawisły na drucianych wieszakach nad jej głową.

Uśmiechnęła się do Elsie, nie usłyszała dokładnie jej słów albo jeśli je usłyszała, to one do niej nie dotarły, jeśli zaś dotarły, to przypuszczała, że chodzi o jeden z żartów Elsie.

Norma Jeane w krótkich spodenkach, w koszulce w kropki odsłaniającej górną część jej pełnych piersi, bosa, z błyszczącą warstewką potu na skórze, blond puszką na nogach, gęstszymi kępkami pod pachami i silnie poskręcanymi włosami w przybrudzonym kolorze blond, związanymi z tyłu głowy jakąś starą chustką Elsie.

Ta dziewczyna miała cudownie pogodne usposobienie, inaczej niż inne dzieci, które nawet gdy się do nich podchodziło ze stanowczym uśmiechem na twarzy wytrzeszczały oczy i kulify się, jakby się spodziewały kary cielesnej.

Tak jest, zdarzały się takie dzieci, przeważnie młodsze, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, które natychmiast moczyły się, gdy podeszło się do nich znienacka.

Norma Jeane nie była taka.

W ogóle nie przypominała żadnego dziecka, które kiedykolwiek wzięli pod swój dach.

Na tym polegał problem.

Norma Jeane była kimś zupełnie wyjątkowym.

Od osiemnastu miesięcy mieszkała u nich, w pokoju na poddaszu, który dzieliła z kuzynką Warrena, pracownicą Radio Pianę Aircraft.

Polubili ją od samego początku.

Można było niemal powiedzieć, być może z przesadą, że ją kochali.

Taka była inna od typowych dzieci oddawanych im pod opiekę.

Spokojna, choć uważna.

Uśmiechała się chętnie, śmiała się z żartów (a żartów było w domu Pirigów co niemiara, och, nie ma co!)

i nigdy nie zaniedbywała swoich obowiązków, czasami pomagała się z nich wywiązać też innym dzieciom.

Utrzymywała we wzorowym porządku swoją połowę pokoju na poddaszu, łóżko ścieliła tak, jak się tego nauczyła w sierocińcu.

Skromnie spuszczała oczy, by przed posiłkami odmówić modlitwę, jeżeli nikt tego wcześniej nie zrobił.

Liz, kuzynka Warrena, śmiała się z niej, po wiadając, że ciągle ją widzi klęczącą przy łóżku i zatopioną w modlitwie, można by pomyśleć, że to, o co dziewczyna się modli, jeszcze się nie spełniło.

Lecz Elsie nigdy się nie śmiała z Normy Jeane.

Dziewczyna była taka strachliwa, nieważne, czy chodziło o mysz, która wpadła w pułapkę w kuchni i popęzła po podłodze, czy o karalucha, którego Warren zmiażdżył podeszwą buta, czy o muchę, którą Elsie rozgniotła packą.

Wyglądała wtedy, jakby nastąpił koniec świata.

Gdy rozmawiano o czyimś cierpieniu (na przykład o jakichś szczegółach wydarzeń wojennych, ludziach grzebanych żywcem podczas marszu śmierci po bitwie na Korrehidor), natychmiast wybiegała z pokoju.

Kiedy pomagała Elsie skubać i patroszyć kurczaki, była bliska omdlenia - lecz Elsie wcale się z niej nie śmiała.

Bo to Elsie bardzo zależało na córce, a Warren nigdy by się nie dał przekonać do opieki nad cudzymi dziećmi, gdyby nie dostawało się za to pieniędzy do ręki.

Warren należał do mężczyzn, którzy pragnęli albo dzieci własnych, albo żadnych, ale nawet on nie mógł rzec o Normie Jeane niczego złego.

Jak więc jej to teraz powiedzieć?

Szybko i zdecydowanie, tak jak ukręca się głowę kotu.

Bóg jeden wie, że trzeba to zrobić.

- Taaa...

Właśnie sobie pomyślałam.

Nadeszła pora, abyś wyszła za mąż.

- Słucham, ciociu Elsie?

Co takiego?

Ktoś się wydierał z małego plastikowego radia ustawionego na poręczy, brzmiał jak ten, no, jak mu tam, Caruso.

Elsie zrobiła coś, czego nie robiła nigdy: wyłączyła radio.

- Myślałaś już o tym?

O wyjściu za mąż?

W czerwcu skończysz szesnaście lat.

Norma Jeane uśmiechała się do Elsie zmieszana, żelazko trzymała podniesione.

Nawet zaskoczona pamiętała, że nie można zostawić gorącego

żelazka na desce do prasowania.

- Sama byłam mniej więcej w tym wieku, kiedy wyszłam za mąż.

Wówczas też istniały pewne wyjątkowe okoliczności.

- W...wyjść za mąż - wyjąkała Norma Jeane.

-Ja?

- Ano pewnie - roześmiała się Elsie.

- Toć przecież nie ja.

Nie rozmawiamy o mnie.

- Ale ja nie mam stałego chłopca.

jafc.-...

- Masz aż nazbyt wielu chłopców.

- Tylko nie stałych.

Nie jestem z...zakochana.

- Zakochana?

- Elsie znowu się roześmiała.

- Możesz się zakochać w każdej chwili.

W twoim wieku wcale o to nietrudno.

- To są żarty, prawda?

Ciociu Elsie?

Żartujesz?

Elsie zmarszczyła czoło.

Nerwowo sięgnęła do kieszeni po papierosa.

Nie miała na sobie pończoch; na bladej skórze nóg, dość grubych przy kolanach, ale niżej wciąż kształtnych, widać było plamy żył; nagie stopy tonęły w kapciach.

Niezbyt czystą domową sukienkę, uszytą z taniej bawełny, zapinało się z przodu, przy guzikach materiał był mocno napięty.

Pociła się obficie, a spod jej pach rozchodziła się niezbyt miła woń.

Nie była przyzwyczajona, aby ktokolwiek w tym domu kwestionował jej słowa, chyba że był to Warren Pirig, więc teraz jej palce drgały nerwowo.

A co byś zrobiła, gdybym cię trzasnęła w twarz, ty mała, przebiegła, tak niewinnie wyglądająca suko?

Naraz pojawił się w niej ogrom złości.

Chociaż wiedziała, oczywiście, wiedziała, że Normy Jeane nie należy winić.

Elsie wiedziała, kogo winić - swego męża, ale nawet ten sukinsyn też był winny jedynie w połowie.

W to przynajmniej wierzyła.

Wyrobiła swój sąd na podstawie tego, co widziała.

Ale może nie widziała wszystkiego?

A oto, co widziała, co dostrzegała przez miesiące, póki nie mogła już dłużej na to patrzeć, nie tracąc godności: Warren wodził oczami za dziewczyną.

A Warren Pirig nigdy nie należał do obserwatorów.

Kiedy do ciebie mówił, uciekał wzrokiem w bok, jakbyś nie była warta spojrzenia, bo przecież widział cię już przedtem i wiedział, kim jesteś.

Nawet w towarzystwie przyjaciół od butelki, których lubił i poważał, najczęściej gapił się gdzie indziej, jakby nie było tam na co patrzeć, to znaczy na co warto by patrzeć.

A mówimy o człowieku, który podczas służby wojskowej na Filipinach uczestniczył w amatorskich walkach bokserskich i od tamtej pory niedowidział na lewe oko, za to na prawe widział doskonale, więc nie chciał nosić okularów, twierdząc, że "przeszkadzają".

Aby oddać sprawiedliwość Warrenowi, trzeba koniecznie dodać, że na siebie także nie patrzył, w każdym razie niezbyt uważnie.

Za bardzo się śpieszył, żeby się na czas ogolić albo zmieniać koszule, więc Elsie je wykradała i zabierała do pralni, skąd już nie mógł ich wyłowić.

Jako sprzedawca - nie szkodzi, że handlował tylko złomem, używanymi oponami i samochodami - zadziwiająco mało dbał o to, by wywierać dobre wrażenie na klientach.

Warren wyglądał doskonale, kiedy był młody, szczupły i umundurowany, kiedy siedemnastoletnia Elsie po raz pierwszy zatrzymała na nim wzrok w San Fernando, ale teraz nie był młody, szczupły i już od dawna nie nosił munduru.

Może Joe Louis albo prezydent Roosevelt skupiliby na sobie uwagę Warrena Piriga, gdyby przed nim stanęli.

Ale na pewno żadna tam zwykła osoba ani tym bardziej piętnastoletnie dziecko.

Elsie widziała, jak oczy tego mężczyzny, poruszają się za dziewczyną niczym kulki w łożysku.

Warren patrzył na Normę Jeane tak, jak nie patrzył nigdy na żadnego osieroconego dzieciaka z wyjątkiem sytuacji, gdy któryś sprawiał kłopot lub wydawało się, że zamierza kłopotu narobić.

Ale z Nor mą Jeane było inaczej.

On patrzył na nią.

Lecz nie przy posiłkach.

Elsie zwróciła na to uwagę.

Czy robił to świadomie?

W tych jedynych chwilach, kiedy wszyscy siedzieli razem, zwróceni do siebie twarzami.

Warren był potężnym mężczyzną, uwielbiał jeść i po wtargał ciągle, że podczas posiłków należy właśnie jeść, nie gadać.

Norma Jeane zachowywała się spokojnie, chichotała, kiedy Elsie żartowała, ale sama nigdy wiele nie mówiła.

Miała maniery małej damy, których wyuczyła się w sierocińcu - zdaniem Elsie w domu Pirigów były one nieco komiczne - zatem siedziała raczej skromnie, nie zwracając na siebie uwagi, chociaż jadła więcej niż ktokolwiek z wyjątkiem Warrena.

No więc w takich chwilach bliskości Warren zdawał się w ogóle nie patrzeć na Normę Jeane, tak samo jak nie patrzył na nikogo, często czytał gazetę, którą zwijał w wąski pasek; to nie była opryskliwość, tylko po prostu jego sposób bycia.

Przy innych okazjach - nieważne, czy Elsie była blisko - Warren wodził wzrokiem za tą dziewczyną, jakby sam nie wiedział, co robi, i właśnie ta jego bezsilność, rodzaj jakiegoś głębokiego zamyślenia widocznego w wyrazie twarzy - twarzy potłuczonej, twarzy niczym górzysty teren na mapie - tak jest, ta bezsilność niepokoiła Elsie do tego stopnia, iż przytapywała się ona na rozmyślaniu nad tym, kiedy nawet nie uświadamiała sobie, że o czymś w ogóle myśli; Elsie nie należała do ludzi rozmyślających -

wprawdzie istnieli krewni, z którymi walczyła od dwudziestu lat, i dawne przyjaciółki, które zabiłaby od razu na ulicy, ale mimo wszystko prawdą było, że nigdy nie rozmyślała o żadnej z tych osób; po prostu w ogóle o nich nie myślała.

Teraz jednak istniało bliżej nieokreślone miejsce w jej mózgu, które zajęli jej mąż i ta dziewczyna, co się jej bardzo nie podobało, gdyż Elsie Pirig nie była także typem zazdrośnicy ani teraz, ani wcześniej, na to miała w sobie zbyt wiele dumy, a tu raptem zorientowała się, że przeszukuje rzeczy dziewczyny w pokoju na poddaszu, już teraz - w kwietniu - nagrzanym jak piekarnik, przy wtórce os krążących pod okapem, ale nie znalazła nic prócz dziennika Normy Jeane w okładce z czerwonej skóry, tego samego, który dziewczyna sama zdążyła jej pokazać, dumna z tego prezentu otrzymanego od dyrektorki sierocińca; Elsie przewertowała dziennik drżącymi dłońmi (Elsie Pirig drżały dłonie - to było do niej zupełnie niepodobne!)

ze strachu, że zobaczy coś, czego nie chciała zobaczyć, lecz nie odkryła niczego szczególnie interesującego, w każdym razie niczego, co mogłoby dać jej do myślenia.

Były tam jakieś wiersze, prawdopodobnie przepisane z książek albo podręczników szkolnych starannym pismem Normy Jeane:

Był sobie ptak, co się wzbił tak wysoko,

Że "To jest niebo" już nie mógł rzec.

I była ryba w morzu tak głęboko,

Że powiedzieć nie mogła: "Mam dokąd zbiec".

Jeśli ślepiec widzieć może, To co mogę ja, niebożę?

Ten bardzo się Elsie podobał, ale nie mogła zrozumieć innych, zwłaszcza gdy się nie rymowały, bo przecież wiersze powinny się rymować.

Nie mogłam stanąć i czekać na Śmierć - Ona sama mnie podwiozła - uprzejma - Bryczka mieściła nas dwie - I jeszcze - Nieśmiertelność -

Jeszcze mniej rozumiałe były modlitwy Christian Science, Elsie domyśliła się, że to właśnie one.

Biedny dzieciak chyba naprawdę wierzył w to wszystko, co przepisał, jedną modlitwę na stronę:

Ojcze w Niebiesiech

Pozwól mi połączyć się z Twą doskonałą istotą

Z tym, co jest Wiecznością - Duchowością - Harmonią

Niechaj Boska Miłość złu się opiera

Bo Boska Miłość jest Wieczna

Pomóż mi kochać jak Ty kochasz

Nie istnieje BÓL

Nie istnieje CHOROBA

Nie istnieje ŚMIERĆ

Nie istnieje SMUTEK

Istnieje tylko BOSKA MIŁOŚĆ NA WIEKI

Jak można było to zrozumieć, a tym bardziej w to wierzyć?

Może psychicznie chora matka Normy Jeane była wyznawczynią Christian Science i stąd dziewczynka zaczerpnęła to wszystko.

Należało się zastanowić, czy tego rodzaju bzdury nie zepchnęły biednej kobiety w przepaść.

Albo czy stojąc nad przepaścią, nie sięga się po nie, aby ocalić życie.

Elsie odwróciła następną stronę i przeczytała:

Ojcze w Niebiesiech

Dziękuję Ci za nową Rodzinę!

Dziękuję za ciocię Elsie, którą tak bardzo kocham!

Dziękuję za pana Piriga, który jest dla mnie miły!

Dziękuję za nowy Dom!

Dziękuję za nową szkołę!

Dziękuję za nowych przyjaciół!

Dziękuję za nowe życie!

Pomóż mojej Matce powrócić do zdrowia

Niechaj zawsze będzie w kręgu Wiecznego Światła

Przez wszystkie dni swego życia

I pomóż Matce mnie Kochać

Tak, aby nie chciała mnie zranić!

Dzięki Ci Ojcze w Niebiesiech AMEN.

Elsie szybko zamknęła dziennik i schowała go do szuflady na bieliznę.

Czuła się tak, jakby ktoś ją nagle kopnął w brzuch.

Przecież nie była kobietą, która szpera w cudzych rzeczach, nie znosiła wścibstwa i, niech to szlag, brała ją złość, że Warren i dziewczyna popchnęli ją do tego czynu.

Kiedy zeszła po schodach, tak dygotała, że w każdej chwili mogła się przewrócić.

Wcześniej postanowiła powiedzieć Warrenowi, że dziewczyna musi odejść.

Dokąd odejść?

Wszystko mi jedno, do diabła.

Nieważne.

Wystarczy, że opuści nasz dom.

Wysłać ją z powrotem do sierocińca właściwie bez żadnego powodu?

Każesz mi czekać, aż się znajdzie powód, ty sukinsynu?

Nazwij Warrena Piriga sukinsynem, nawet jeśli masz oczy pełne łez i czujesz się skrzywdzona, a natychmiast pojawi się groźba, że dostaniesz pięścią prosto w twarz; widziała raz (Warren był wtedy pijany i został sprowokowany, te szczególne okoliczności przemawiały za puszczaniem tego w niepamięć), jak pięścią przebił zamknięte przed nim drzwi.

Kiedy ostatnio doktor postawił go na wagę, Warren ważył dwieście trzydzieści funtów, a Elsie, pięć stóp i dwa cale wzrostu - zaledwie sto czterdzieści funtów.

Imponująca różnica!

Jak to określają w świecie boksu: pomieszenie kategorii.

Tak więc Elsie postanowiła o niczym nie mówić Warrenowi.

Obchodzić go z daleka niczym kobieta, która już teraz ma coś na sumieniu.

Jak w tej piosence Franka Sinatry, którą ciągle puszczają w radiu.

Już się nigdy nie uśmiechnę.

Ale Warren pracował dwanaście godzin na dobę, transportując zniszczone opony do wschodniego Los Angeles, do zakładów Goodyear, gdzie skupowali tego rodzaju odpady, które tego dnia, 6 grudnia 1941 roku, tuż przed atakiem Japończyków na Pearl Harbor, nie były warte nawet pięciu centów za funt.

("No to ile ci oni teraz dają?")

- zapytała podekscytowana Elsie, a Warren spojrzał trochę ponad jej głowę i odpowiedział:

"Wystarczająco, aby się jeszcze opłacało".

Pobrali się przed dwudziestu sześciu laty, a Elsie jeszcze nie zdążyła się dowiedzieć, ile pieniędzy przynosi rocznie Warrenowi jego praca.) To oznaczało, że Warren przebywał poza domem cały dzień,

kiedy zaś wracał na kolację, nie miał w ogóle chęci na żadne pogaduszki, jak je nazywał, mył twarz, dłonie i ręce po łokcie, brał z kuchni piwo, siadał do posiłku, jadł, potem wstawał od stołu i po kilku minutach słychać było jego chrapanie - spał rozciągnięty na ich wspólnym łóżku, zdjęwszy jedynie robocze buty.

Kiedy Elsie zachowywała dystans wobec Warrena i urażona zaciskała usta, Warren wcale tego nie dostrzegał.

Nazajutrz przypadał dzień prania.

Oznaczało to, że Norma Jeane spędzi część przedpołudnia poza szkołą i pomoże Elsie w obsłudze przeciekającej pralki kelvinator i wyżymaczki - urządzeń, które bez przerwy dostarczały koszy ubrań do rozwieszenia na sznurach na podwórzu z tyłu domu (co prawda praktyka niewysyłania dzieci do szkoły z podobnych powodów pozostawała w sprzeczności z miejscowym prawem, ale Elsie wiedziała, że Norma Jeane nie puści pary z gęby na ten temat, że można jej ufać, inaczej niż kilku innym małym sukcom, które w minionych latach wypaplały to władzom); nie był to chyba najwłaściwszy moment, żeby rozmawiać o takich poważnych sprawach - kiedy Norma Jeane, radosna, spocona, jak zwykle bez słowa skargi wykonywała większą część pracy.

Nawet sobie podśpiewywała, tym swoim słodkim, lekkim głosem, najlepsze kawałki z Parady przebojów.

To Norma Jeane podnosiła wilgotne prześcieradła szczipkami, zadziwiająco umięśnionymi rękami i przypinała je do sznura, podczas gdy Elsie, okryta przed słońcem słomkowym kapeluszem, z nie odłącznym camelem w ustach, dyszała jak wycieńczony muł.

Kilka razy Elsie musiała zostawić dziewczynę, pójść do domu i wziąć kąpiel, napić się kawy albo zadzwonić; oparta na kuchennym blacie obserwowała, jak piętnastolatka wiesza bieliznę, podnosząc się na palce jak tancerka: taka urocza mała pupcia, potrafiła to docenić nawet Elsie, która przecież nie była lesbą.

Mówiło się, że Marlina Dietrich jest lesbą.

Greta Garbo.

Mae West?

Na podwórku Norma Jeane zmagą się z wypraną bielizną.

W tle niezbyt zdrowe palmy i paskudztwo z opadłych liści u ich podnóża.

Dziewczyna uważnie podnosi i wiesza sportowe koszule Warrena.

Wieje wiatr, wielkie koszule wydymają się, w pewnym momencie niemal owijają wokół głowy dziewczyny.

A niech licho weźmie Warrena Piriga!

Co się dzieje między nim a Normą Jeane?

Czy może to wszystko kryje się w głowie Warrena, w tęsknym spojrzeniu tępego ośa?

Od dwudziestu lat ani on, ani żaden inny mężczyzna nie patrzył w ten sposób na Elsie.

To czysta natura, taki facet sterowany nieświadomością.

Nie można go obwiniać.

Nie można siebie obwiniać.

A jednak: była żoną tego mężczyzny, powinna się bronić.

Kobieta musi się bronić przed taką dziewczyną jak Norma Jeane.

Warren zbliżał się do niej od tyłu w ten swój dziwny, pełen wdzięku sposób, którego nikt się nie spodziewa po mężczyźnie tej tuszy, chyba że pamięta, iż chodzi o boksera, a bokserzy muszą być szybcy.

Warren obejmuje tyłek dziewczyny, te bliźniacze melony w jego potężnych dłoniach, Norma Jeane odwraca się zdumiona, on wtula twarz w jej szyję, jej długie, kręcone blond włosy opadają niczym kurtyna na jego głowę.

Elsie poczuła skurcz w żołądku.

-Jak mogę ją odesłać?

- powiedziała na głos.

- Nigdy nie dostaniemy kogoś takiego jak ona.

Kiedy około 10.30 całe pranie zawisło na sznurach, Elsie wysłała Normę Jeane do szkoły, dając jej pisemne usprawiedliwienie spóźnienia.

Proszę usprawiedliwić moją córkę Normę Jeane.

Była potrzebna matce na czas wizyty u lekarza.

Nie czułam się wystarczająco silna, aby samodzielnie odbyć podróż w obie strony.

Było to nowe, całkiem oryginalne usprawiedliwienie, z którego Elsie jeszcze nigdy nie skorzystała.

Nie chciała zwracać uwagi na problemy zdrowotne Normy Jeane; ktoś w szkole mógłby się okazać wścibski, gdyby Norma Jeane często nie przychodziła do szkoły z powodu dolegliwości, które Elsie opisywała jako "silny ból głowy" czy "dokuczliwe skurcze".

(Ból głowy i skurcze były zazwyczaj uzasadnione.

Biedna Norma Jeane cierpiała podczas miesiączek znacznie bardziej niż Elsie w jej wieku - zresztą w każdym wieku.

Należało pójść z nią do lekarza.

Gdyby się zgodziła.

Leżała na łóżku w pokoju na poddaszu albo na wyplatanej sofie obok Elsie, stękała i jęczała, czasem nawet cicho płakała, biedactwo, z butelką gorącej wody na brzuchu - na co najwidoczniej Christian Science zezwalała - ale w tajemnicy przed podopieczną Elsie kruszyła aspirynę i dodawała do jej soku pomarańczowego, tyle aspiryny, ile się tylko dało bez wzbudzania podejrzeń; biednemu, głupiotkiemu i skołowanemu dziecku wmówiono, że medycyna jest "nienaturalna" i że Chrystus "wyleczyłby" ją, gdyby miała w sobie dość wiary.

Pewnie, tak jak Chrystus wyleczyłby raka albo sprawił, że wyrośnie ci nowa noga, gdyby urwało starą, albo przywrócił zdolność widzenia oku z uszkodzoną siatkówką, takiemu jak ma Warren.

Jakby uleczył okaleczone dzieci z "Life", ofiary hitlerowskiej Luftwaffe!

)

Zatem Norma Jeane wróciła do szkoły, a bielizna suszyła się na sznurze.

Wprawdzie nie było wiatru, ale wystarczały gorące promienie słońca.

Nigdy nie przestawało dziwić Elsie, że ledwo Norma Jeane kończyła domowe obowiązki, natychmiast pojawiał się przy krawężniku w samochodzie jeden z jej chłopców, naciskał klakson, a dziewczyna wychodziła do niego cała w uśmiechach i lokach.

Skąd ten chłopak w rzęzącym gruchocie (chyba zbyt stary jak na szkołę średnią, zastanawiała się Elsie, patrząc przez żaluzje) wiedział, że tego ranka Norma Jeane została w domu, zamiast pójść do szkoły?

Czy dziewczyna wysyłała sygnały telepatyczne?

Czy to było coś w rodzaju seksualnego radaru?

Czy może (Elsie wolała tak nie myśleć) był to jakiś rzeczywisty zapach, jak u psów, jak u mającej cieczkę suki, kiedy każdy pieprzony pies w sąsiedztwie dyszy i kopie ziemię pod płótem?

Mężczyźni potykają się nieświadomie.

Czy można ich za to winić?

Czasem więcej niż jeden chłopak przyjeżdżał po Normę Jeane, aby podwieźć ją do szkoły.

Ona śmiała się jak mała dziewczynka i rzucała monetę, aby zobaczyć, czyj samochód, którego faceta wybrać.

Tajemnica dziennika Normy Jeane polegała na tym, że nie było w nim wzmianki o jakimkolwiek chłopcu.

W ogóle nie było w nim żadnych imion poza "Elsie" i "Warren", i co to wszystko miało znaczyć?

Wiersze, modlitwy.

Bzdury, których nie można było złożyć w sensowną całość.

To chyba nie było normalne w wypadku piętnastoletniej dziewczyny?

Tak, teraz będą się musiały rozmówić.

Nie sposób dłużej tego unikać.

Elsie Pirig na zawsze zapamięta tę rozmowę.

Do licha, poczuła odrazę do Warrena; cóż w tym męskim świecie może zrobić kobieta, która jest realistką?

Norma Jeane powiedziała nieśmiało, w sposób, który pozwalał przy puszczać, że myślała o tym od tamtego ranka:

- Żartowałaś z tym moim zamążpójściem, ciociu Elsie...

prawda?

A na to Elsie, zdejmując z języka drobinę tytoniu:

- Nigdy nie żartuję, gdy chodzi o takie sprawy.

Norma Jeane odezwała się zakłopotana:

- Bałabym się poślubić kogokolwiek, ciociu Elsie.

Trzeba naprawdę kogoś kochać, aby to zrobić.

Elsie zachowała beztroski ton:

- Na pewno znajdzie się jakiś chłopiec, którego mogłabyś pokochać, chyba nie zaprzeczysz?

Słyszałam już co nieco o tobie, moja droga.

- Masz na myśli pana Haringa?

- zapytała szybko Norma Jeane, a ponieważ Elsie nie zareagowała, dodała: - Ach, chodzi o pana Widdoesa?

- Elsie wciąż patrzyła na nią obojętnie.

Norma Jeane zaczerwieniła się.

- Już się z nimi nie spotykam!

Nie wiedziałam, że są żonaci, ciociu Elsie, przy sięgam.

Elsie paliła papierosa i musiała się uśmiechnąć, słysząc te rewelacje.

Wystarczy dostatecznie długo trzymać język za zębami, a Norma Jeane opowie jej wszystko ze szczegółami.

Patrzyła na nią tymi słodkimi oczami małej dziewczynki, ciemnoniebieskimi, wilgotnymi oczami, głos miała drżący, jakby próbowała się nie jękać.

"Ciociu Elsie" - jakże miło to brzmiało w wykonaniu Normy Jeane.

Elsie prosiła wszystkie dzieci pozostające pod jej opieką, aby zwracały się do niej "ciociu Elsie", co większość z nich robiła, ale Norma Jeane zdobyła się na to niemal po roku; bardzo się starała, ale ciągle się jąkała i jakoś nie mogła wykrztusić tych słów.

Nic dziwnego, że dziewczyny nie obsadzono w szkolnym przedstawieniu, pomyślała Elsie.

Była taka prostoduszna - ni cholery nie umiała grać!

Ale od Bożego Narodzenia, kiedy Elsie podarowała jej kilka sympatycznych prezentów, w tym lustro z plastikową rączką i z profilem jakiejś kobiety na odwrocie, Norma Jeane nareszcie zaczęła zwracać się do niej "ciociu Elsie", jak gdyby byli rzeczywiście rodziną.

I dlatego to, co się działo teraz, było tym bardziej bolesne.

I dlatego Elsie była teraz jeszcze bardziej zła na Warrena.

- To się stanie wcześniej lub później - powiedziała ostrożnie.

- Więc im wcześniej, tym lepiej.

Jest wojna, młodzi chłopcy wstępują do wojska, więc lepiej szybko łąp męża, póki chłopaki są tutaj, i to w jednym kawałku.

Norma zaprotestowała:

- Mówisz poważnie, ciociu Elsie?

Nie żartujesz?

Elsie straciła cierpliwość.

- Czy ja wyglądam na kogoś, kto żartuje, panienko?

Czy żartuje Hitler?

Tojo?

Norma Jeane powiedziała, potrząsając głową, jakby chciała pozbiierać myśli:

- Po prostu tego nie rozumiem, ciociu Elsie.

Dlaczego miałabym wychodzić za męża?

Skończyłam dopiero piętnaście lat, przede mną jeszcze dwa lata nauki w średniej szkole.

Chcę zostać...

Doprowadzona do ostateczności Elsie nie pozwoliła jej dokończyć.

- Średnia szkoła!

Ja wyszłam za mąż, zanim przeszłam do dziesiątej klasy, a moja matka w ogóle poprzestała na ósmiu.

Do małżeństwa szkoła nie jest potrzebna.

Norma Jeane przeszła na ton błagalny.

- Ale jestem za m...młoda, ciociu Elsie.

- Właśnie, w tym cały szkopał - odparła Elsie.

- Masz piętnaście lat, spotykasz się z chłopcami i mężczyznami, więc kłopoty mogą się pojawić szybciej, niż się dowiemy, Warren zaś wspominał mi któregoś ranka, że musimy dbać o reputację w Van Nuys.

Od dwudziestu lat opiekujemy się dziećmi z sierocińca, a przecież zdarzało się, że dziewczęta, które mieszkały pod naszym dachem, popadały w kłopoty, w dodatku nie zawsze złe dziewczęta, czasem nawet całkiem dobre, dziewczęta zadające się z chłopcami.

To stawia nas w niekorzystnym świetle.

Warren powiada do mnie: Co się dzieje?

Doszły mnie słuchy, że Norma Jeane prowadzi się z żonatymi mężczyznami.

Ja mu na to, że pierwszy raz o czymś takim słyszę, a on mówi: Elsie, na wszelki wypadek lepiej się zabezpieczmy, i to szybko.

- Pan P...Pirig tak powiedział?

- zapytała niepewnie Norma Jeane.

- I miał mnie na myśli?

Och!

Myślałam, że pan Pirig mnie lubi!

- Tu nie chodzi o lubienie czy nielubienie.

Chodzi o to, co hrabstwo nazywa środkami zaradczymi.

- Jakimi środkami zaradczymi?

- zapytała dziewczyna.

- Nie mam kłopotów, ciociu Elsie!

Ja...

Elsie znowu jej przerwała, chcąc z tym skończyć jak najszybciej, wyrzucić to z siebie tak, jak się wypluwa z ust coś zgniłego:

- Problem polega na tym, że masz piętnaście lat.

Mężczyźni mogą cię uznać za osiemnastolatkę, ale jesteś pod opieką hrabstwa, dopóki naprawdę nie ukończysz osiemnastu lat.

Jeżeli nie wyjdiesz za mąż, zgodnie z prawem stanowym, możesz w każdej chwili zostać odesłana do sierocińca.

Norma Jeane wydawała się oszołomiona potokiem słów, który na nią spadł, jak ktoś, kto ma kłopoty ze słuchem.

Elsie sama była bliska omdlenia, odczuwała te dziwne mdłości, które wznoszą się od stóp, kiedy drży ziemia.

Trzeba to zrobić.

Boże, dopomóż!

Norma Jeane powiedziała przestraszona:

- Ale d...dlaczego miałabym wracać do sierocińca?

Niby dlaczego mam zostać odesłana?

Przecież przysłano mnie tutaj.

Elsie starała się uniknąć spojrzenia dziewczyny.

- To było osiemnaście miesięcy temu i od tamtej pory wiele się zmieniło.

Sama wiesz, że teraz sprawy wyglądają inaczej.

Kiedy u nas zamieszkałaś, byłaś jeszcze dzieckiem, teraz jesteś...

no cóż, dziewczyną.

Czasem zachowujesz się jak dorosła kobieta.

Nasze zachowania pociągają za sobą określone konsekwencje, zwłaszcza te szczególne zachowania, związane z mężczyznami.

- Nie zrobiłam nic złego - powiedziała rozpaczliwie Norma Jeane.

- Przysięgam, ciociu Elsie!

Nic złego!

Oni są dla mnie naprawdę mili, ciociu Elsie, większość z nich!

Mówią, że lubią być ze mną, to wszystko!

Ale od dzisiaj mogę im odmawiać; mogę im mówić, że ty i pan Pirig nie pozwalacie mi wychodzić.

Powiem im to!

Nie przygotowana na to Elsie wyjąkała:

- Ale...

nam jest potrzebny pokój.

Ten na poddaszu.

Moja siostra przyjeżdża do nas z Sacramento.

Będą z nami mieszkać...

-Ja właściwie nie potrzebuję pokoju, ciociu Elsie - szybko odpowiedziała Norma Jeane.

- Mogę spać na sofie na dole albo w pralni, gdziekolwiek.

Mogę spać w jednym z samochodów pana Piriga, które trzyma na sprzedaż.

Niektóre z nich są bardzo przytulne, mają poduszki na tylnych siedzeniach...

Elsie ze śmiertelną powagą potrząsnęła głową.

- Normo Jeane, hrabstwo na to nie pozwoli.

Wiesz, że wysyłają inspektorów.

Dziewczyna dotknęła ramienia Elsie.

- Chyba nie zamierzasz odesłać mnie z powrotem do sierocińca, prawda?

Ciociu Elsie?

Myślałam, że mnie lubisz!

Myślałam, że jesteśmy jak rodzina!

Och, ciociu Elsie, proszę, mnie się w tym domu bardzo podoba!

Kocham cię!

- Zamilkła zdyszana.

Jej przerażona twarz była wilgotna od łez, szeroko otwarte oczy wyrażały zwierzęcą wprost trwogę.

- Nie pozbywaj się mnie, proszę!

Obiecuję, że będę dobra!

Będę ciężiej pracowała!

Nie będę się umawiała z chłopcami!

Porzucę szkołę, zostanę w domu i będę ci pomagała, będę pomagając panu Pirigowi w prowadzeniu interesu!

Umarłabym, gdybyś mnie oddała z powrotem do sierocińca.

Nie mogę tam wrócić.

Za biję się, jeżeli się tam znajdę.

Ciociu Elsie, proszę!

W tej chwili Norma Jeane była już w ramionach Elsie.

Dygotała, z trudem chwyciła powietrze, zanosila się szlochom i od tego wszystkiego dostała chyba gorączki.

Elsie przytuliła ją mocno, czuła, jak drżą łopatki dziewczyny, jak napięte są jej plecy.

Norma Jeane przerosła Elsie o cal lub dwa i garbiła się, aby sprawiać wrażenie mniejszej.

Elsie pomyślała, że w całym swoim dorosłym życiu nigdy jeszcze nie czuła się tak podle.

Cholera, jakże kurewsko się czuła!

Gdyby tak mogła kopnąć Warrena w sam środek siedzenia i zatrzymać Normę Jeane, ale rzecz jasna nie mogła tego zrobić.

Ten świat należy do mężczyzn i aby przeżyć, kobieta musi zdradzić własną płć.

Elsie obejmowała szlochającą dziewczynę i przygryzała wargę, aby się nie rozplakać.

- Normo Jeane, przestań.

Płacz nie pomoże.

Gdyby pomagał, nam wszystkim żyłoby się teraz znacznie lepiej.

Nie wyjdę za mąż, jestem za młoda!

Chcę być pielęgniarką w kobiecym korpusie armii.

Chcę pojechać do Europy.

Chcę pomagać cierpiącym.

Te angielskie maleństwa, ranne, okaleczone, niektóre pogrzebane w rumowiskach.

Ich rodzice nie żyją.

I nie ma nikogo, kto by je kochał.

Chcę być naczyniem Boskiej Miłości.

Pragnę, aby Bóg mnie przenikał.

Chcę pomagać leczyć rannych, chcę pokazać im, czym jest wiara.

Mogę uciec.

Mogę się zaciągnąć w Los Angeles.

Bóg wysłucha mych modlitw.

Zastygła z przerażenia, z ustami otwartymi i nieruchomymi, oddechem szybkim i płytkim jak u zdyszanego psa, ze strasznym rykiem i okropnym dudnieniem w uszach.

Patrzyła na zdjęcia w numerze "Lifeu" na kuchennym stole: na dziecko tak szczelnie owinięte zakrwawionym bandażem, że widać było jedynie jego wybałuszone oczy i fragment nosa; na małą dziewczynkę w wieku dwóch lat z opuchniętymi oczami i otępiałą, wychudłą twarzą.

Co ta dziewczynka trzyma tak kurczowo - lalkę?

Poplamioną krwią lalkę?

Nadszedł Warren Pirig, aby odebrać swoje czasopismo.

Wyciągnął je spomiędzy nieruchomych palców dziewczyny.

Miał niski głos, który brzmiał zarazem groźnie i pobłażliwie, tak jak to się często zdarzało, gdy zostawali sami.

- Przecież nie chcesz na to patrzeć - powiedział.

- Nawet nie wiesz, na co patrzysz.

Nigdy nie nazwał jej Normą Jeane.

Hawkeye, Cadwaller, Dwayne, Ryan, Jake, Fiske, O'Hara, Skokie, Clarence, Simon, Lyle, Rób, Dale, Jimmy, Carlos, Esdras, Fulmer, Marvin, Gruner, Price, Salvatore, Santos, Porter, Haring, Widdoes.

Żołnierze, marynarz, komandos, farmer, malarz pokojowy, tragarz, kierowca ciężarówki, syn właściciela parku rozrywki na Redondo Beach, syn bankiera z Van Nuys, robotnik z zakładów lotniczych, sportowcy ze szkoły średniej w Van Nuys, wykładowca z Burbank Bible College, urzędnik z wydziału karnego hrabstwa Los Angeles, mechanik motocyklowy, specjalista od oprysków, po mocnik rzeźnika, pracownik poczty, syn i prawa ręka księgarza z Van Nuys, nauczyciel z Van Nuys, detektyw z policji w Culver City.

Zabierali ją do Topanga Beach, Will Rogers Beach, Las Tunas, Santa Monica i Venice Beach.

Zabierali do kina.

Zabierali na tańce.

(Norma Jeane wstydziła się "przytulanych" tańców, wołała cudownego jitterbuga, którego tańczyła z za mknętych oczami, jakby była zahipnotyzowana, a jej skóra błyszczała jak powierzchnia diamentu.

Tańczyła hula, jakby się urodziła na Hawajach!

) Zabierali ją na msze do kościoła i na tor wyścigowy w Casa Grande.

Zabierali ją na wrotki.

Zabierali ją na kajaki i łódki, byli zdumieni, że choć jest dziewczyną, bardzo chce wiosłować i ma do tego talent.

Zabierali ją na kręgle.

Na bingo i bilard.

Na mecze baseballa.

Na niedzielne przejażdżki w San Gabriel Mountains.

Na przejażdżki po autostradzie biegnącej wzdłuż wybrzeża, czasem na północ aż po Santa Barbara, czasem na południe aż po brzeg oceanu.

Zabierali ją na romantyczne przejażdżki przy księżycu, między połyskującym Oceanem Spokojnym a zadrzewionymi wzgórzami;

podczas tych przejażdżek wiatr rozwiewał włosy Normy Jeane, iskry z papierosa kierowcy ulatywały w ciemną noc, po latach jednak przestała odróżniać wspomnienia z tych wypraw od scen filmowych, które widziała albo zdawało się jej, że widziała.

Nie dotykali mnie, jeśli tego nie chciałam.

Nie zmuszali dopicia.

Szanowali mnie.

Moje białe buciki były świeżo wypastowane, włosy pachniały szamponem, ubrania niedawnym prasowaniem.

Jeżeli mnie całowali, nie otwierałam ust.

Pamiętałam, żeby mieć wargi za ciśnięte.

Zamykałam oczy, kiedy się całowaliśmy.

Prawie się nie poruszałam.

Oddychałam szybciej, ale nigdy nie dyszałam.

Dłonie trzymałam na kolanach, chociaż zdarzało się, że unosiłam rękę, aby go delikatnie odepchnąć.

Najmłodszy był szesnastoletnim futbolistą z Van Nuys High School, najstarszy był trzydziestoczteroletnim detektywem z Culver City, który, jak się poniewczasie okazało, był żonaty.

Detektyw Frank Widdoes!

Gliniarz z Culver City, późnym latem 1941 roku poszukujący sprawcy morderstwa, do którego doszło w Van Nuys.

Poprzeszywane pociskami ciało mężczyzny znaleziono niedaleko torów kolejowych na obrzeżach miasteczka, a ofiarę zidentyfikowano jako świadka w procesie o morderstwo toczącym się w Culver City.

Widdoes przyjechał przesłuchać mieszkańców; kiedy oglądał scenę zbrodni, połą drogą nadjechała rowerem dziewczyna o włosach ciemnoblonde, obracała pedałami powoli, jakby w rozmarzeniu, on zaś, w cywilnym ubraniu, popatrzył na nią i z początku ocenił ją na dwanaście lat.

Potem, przyjrawszy się jej z bliska, doszedł do wniosku, że jest starsza, ma może siedemnaście lat i piersi jak u dojrzałej kobiety.

Ubrała się w obcisłą, musztardowożółtą dżersejową bluzkę i krótkie spodenki z białego sztruksu, w których jej pupa miała kształt serca, tak jak pupa ubranej w strój kąpielowy Betty Gracie na jednym z plakatów.

Gdy zatrzymał ją i zapytał, czy nie zauważyła w okolicy nikogo albo niczego "podejznanego", ujrzał niesamowite niebieskie oczy, piękne, wilgotne, rozmarzone oczy, które zdawały się dostrzegać nie jego, ale coś wewnątrz niego, jakby już ją znał i chociaż ona go nie znała, rozumiała, że on już ją zna, więc ma prawo zadawać pytania, zatrzymać ją i siedzieć z nią w nieoznakowanym policyjnym samochodzie tak długo, jak mu się spodoba, ile czasu będzie trzeba, żeby przeprowadzić przesłuchanie.

Miała twarz, której chyba nigdy nie zapomni - także w kształcie serca, z linią włosów w szpic nad czołem, nosem może nieco zbyt długim, odrobinę krzywymi zębami.

Dzięki tym drobnym usterkom jej rysy wydawały się bardziej pogodne i normalne, bo przecież mimo wszystko była tylko dzieckiem, nawet jeśli także kobietą, dzieckiem ubranym w kobiece ciało jak dziewczynka przymierzająca stroje dorosłej kobiety, która wie, co robi, bawi się tym (obcisła dżersejowa bluzka, sposób, w jaki siedziała, jakby pozowała do plakatu, oddychając głęboko, aby rozciągnąć klatkę piersiową; te doskonałe nogi, opalone i śniade, w krótkich szortach, które nie osłaniały ich prawie po same krocze) i jednocześnie nie wie niczego.

Gdyby jej kazał zdjąć ubranie, uczyniłaby to z uśmiechem i chęcią, aby mu sprawić przyjemność, a jednak byłaby jeszcze bardziej niewinna, bardziej piękna; gdyby się na to zdobył - czego oczywiście nie uczyni - niemniej gdyby się na to zdobył i za karę został zamieniony w kamień albo rozszarpany przez wilki, nie miałby czego żałować.

Spotkał się więc z nią kilka razy.

Jechał do Van Nuys i widywał się z nią niedaleko szkoły.

Nie dotknął jej!

Nie w taki sposób.

Prawdę mówiąc, właściwie w ogóle jej nie dotknął.

Wiedział, co grozi za zadawanie się z nieletnią i w jakie zawodowe kłopoty może się wplątać, nie wspominając o dalszych kłopotach małżeńskich, bo kiedyś już oszukiwał żonę i został przyłapany, to znaczy w gniewie sam się przyznał i w ten właśnie sposób został "przyłapany".

Wyprowadził się i mieszkał teraz sam, co mu się bardzo podobało.

Dowiedział się, że Norma Jeane jest na utrzymaniu podatników.

Pod opieką hrabstwa Los Angeles.

Oddano ją do rodziny zastępczej mieszkającej przy Reseda Street w Van Nuys, ulicy obskurnych bungalowów i podwórzy, gdzie nie rosła ani jedna kępka trawy, gdzie jej opiekun miał pół akra używanych samochodów, ciężarówek, motocykli i innego złomu na sprzedaż, gdzie wiecznie unosił się w powietrzu odór palonej gumy, a okolicę spowijała niebieskawa mgła.

Widdoes z łatwością wyobraziłby sobie, jak wygląda wnętrze tego domu, ale postanowił nie wgłębiać się w to, lepiej nie, bo mogłoby się to obrócić przeciwko niemu i co wtedy by zrobił - adoptował dziecko?

Już własne dzieci sporo go kosztowały.

Było mu żal dziewczyny.

Dawał jej pieniądze, jedno- i pięciodolarowe banknoty, żeby sobie "kupiła coś fajnego".

Nie było w tym nic złego.

Ona była typem dziewczyny posłusznej, czy takiej, która bardzo chce być posłuszna, więc jeżeli jesteś osobą odpowiedzialną, będziesz uważał na to, co jej każeś robić.

Jeśli taka dziewczyna ci zaufa, wtedy rodzi się znacznie większa pokusa, niż gdyby ci nie ufała.

Do tego jej wiek.

Ciało.

Nie chodziło tylko o jego policyjną odznakę (podziwiała odznakę, "uwielbiała" ją, ciągle chciała oglądać ją i pistolet; zapytała, czy może dotknąć pistoletu, wtedy Widdoes roześmiał się i powiedział, że pewnie, dlaczego nie, póki broń pozostanie w kaburze i zostaną zachowane warunki bezpieczeństwa), raczej o związek z władzą, którą emanował - policjant z jedenastoletnim stażem nasiąka władzą - przesłuchując ludzi, traktując ich z góry, dając im do zrozumienia, że jeśli będą się przeciwstawiać, to pożałują, i że powinni o tym wiedzieć - tak samo wyczuwamy instynktownie u innych potencjał dominacji, który może zadać nam ból, gdy osiągnie pewną nieprzekraczalną granicę.

W każdym razie wszystko to było naprawdę niewinne.

Nigdy sprawy nie są takie, jakie się wydają komuś z zewnątrz.

Widdoes, jako detektyw, bardzo dobrze o tym wiedział.

Norma Jeane była zaledwie o trzy lata starsza od jego córki.

Ale owe trzy lata miały decydujące znaczenie.

Była znacznie bardziej rozbawiona, niż można by się po niej na pierwszy rzut oka spodziewać.

W istocie kilka razy go zadziwiła.

Oczy i dziecięcy głos wprowadzały w błąd.

Dziewczyna potrafiła rozmawiać o różnych sprawach (wojnie, "sensie życia") nie gorzej niż dorośli znajomi Widdoesa.

Miała poczucie humoru.

Śmiała się z siebie - chciała "śpiewać z orkiestrą Tommyego Dorseya".

Chciała być oficerem kobiecego korpusu armii.

Chciała wstąpić do kobiecego oddziału pomocniczego sił powietrznych, o którym przeczytała w gazecie.

Chciała zostać lekarzem.

Powiedziała mu, że jest "jedyną żyjącą wnuczką" kobiety, która założyła kościół Christian Science, a jej matka, która zginęła w katastrofie lotniczej nad Atlantykiem w 1934 roku, była hollywoodzką aktorką filmową związaną z Wytwórnią, dublerką Joan Crawford i Glorii Swanson, a ojciec, którego nie widziała od lat, był hollywoodzkim producentem, obecnie dowódcą okrętu wojennego na południowym Pacyfiku.

Widdoes nie wierzył w ani jedno słowo z tych rewelacji, ale słuchał, jakby w nie wierzył, jakby starał się wierzyć, ona zaś była chyba wdzięczna za tę uprzejmość.

Pozwalała mu się całować, jeśli nie próbował zmuszać ją językiem do otwarcia ust, więc nie próbował.

Pozwalała się całować w usta, szyję i ramiona - ale tylko wtedy, gdy miała je obnażone.

Zaczynała się niepokoić, kiedy odgarniał jej ubranie albo usiłował rozpiąć to czy owo.

Tego rodzaju dziecięce fochy rozbrajały go, bo rozpoznawał w nich coś charakterystycznego dla własnej córki.

Pewne rzeczy wolno, pewnych rzeczy nie wolno.

Norma Jeane pozwalała mu gładzić pokryte meszkiem, jedwabiste ramiona i nawet nogi do połowy ud; pozwalała mu gładzić długie kręcone włosy, a nawet je szczotkować.

(Szczotka należała do Normy Jeane, która opowiadała, że kiedy była małą dziewczynką, matka szczotkowała jej włosy, i że bardzo za nią tęskni).

W ciągu tych miesięcy Widdoes spotykał się z mnóstwem kobiet.

Nie myślał o Normie Jeane jako o kobiecie.

Być może to seks go do niej przyciągał, ale nie seks od niej otrzymał.

W każdym razie nie taki, którego była świadoma czy który powinna sobie uświadamiać.

Jak doszło do zerwania?

Nieoczekiwanie.

Nagle.

Nie był to incydent, o którym Widdoes komukolwiek by opowiedział, zwłaszcza przełożonym z policji w Culver City, gdzie teczka z dokumentami na jego temat zawierała między innymi kilka skarg obywateli na "nadużywanie siły" podczas aresztowań.

Ale tym razem nie chodziło o aresztowanie.

Pewnego marcowego wieczoru 1942 roku Widdoes przyjechał po Normę Jeane, która miała czekać na rogu, kilka przecznic od Reseda Street, i po raz pierwszy dziewczyna nie była sama.

Był z nią jakiś facet.

Rozmawiali, wyglądało na to, że się kłóć.

Facet miał może dwadzieścia pięć lat, był dobrze zbudowany.

W tanich kolorowych ciuchach wyglądał na mechanika samochodowego.

Norma Jeane krzyczała, bo ten "Clarence" chodził za nią i nie chciał zostawić jej w spokoju, choć go błagała.

Widdoes wrzasnął na Clarencea, żeby się odpięprzył od niej, na co tamten wypowiedział słowa, których nie powinien był wypowiedzieć i może wcale by tego nie zrobił, gdyby był trzeźwy i gdyby zdołał się dobrze przyjrzeć Widdoesowi.

Nie dodając już nic więcej, Widdoes wyskoczył z samochodu i na oczach przerażonej Normy Jeane spokojnie rozpiął kaburę, wyjął rewolwer Smith Wesson i trzasnął nim skurwysyna w twarz, łamiąc mu jednym ciosem nos i rozlewając krew.

Clarence osunął się na kolana i otrzymał kolejny cios od Widdoesa, tym razem w kark, i już pada, skurwysyn, jak rażony piorunem, bez przytomności, tylko jeszcze wierzga nogami.

Widdoes wciąga dziewczynę do samochodu i odjeżdża, lecz dziewczyna jest sparaliżowana strachem, sparaliżowana tak, że niemal nie może mówić i zdaje się w ogóle nie słyszeć jego słów, które powinny ją uspokoić, ale być może brzmiały gniewnie, groźnie.

Później też nie pozwoli mu się dotknąć, nawet ręki.

Widdoes musi przyznać, że sam też się boi, teraz, gdy miał czas, aby wszystko przemyśleć.

Rzeczy, które wolno i których nie wolno, to, że w miejscu publicznym stracił panowanie nad sobą.

A jeśli znajdą się świadkowie?

Jeśli chłopak zmarł?

Był pewien jak wszyscy diabli, że nie chce, aby coś takiego wydarzyło się po raz drugi.

Zatem nie spotkał się już więcej z małą Normą Jeane.

Nie spotkał się z nią nawet, aby się pożegnać.

Zaczynała zapominać.

W pewien magiczny sposób łączyła "zapominanie" z miesięczką, o której nie myślała jako o krwawieniu, tylko o pozbywaniu się trucizny.

Przytrafiało się to jej co kilka tygodni i było dobre, konieczne, a ból głowy, rozpalona skóra, mdłości i skurcze stanowiły oznaki jej słabości i nie były rzeczywiste.

Ciotka Elsie wyjaśniła jej, że to naturalne i że każda dziewczyna, każda kobieta musi to znieść.

Nazywano to klątwą, ale Norma Jeane nigdy tak tego nie określała.

Bo pochodziło od Boga i nie mogło być niczym innym niż błogosławieństwem.

Imienia Gladys nie wypowiadała już na głos, nawet do siebie.

Jeśli mówiła o niej w tym nowym miejscu (co czyniła rzadko i tylko przy ciotce Elsie), posługiwała się określeniem "moja matka".

Używała spokojnego, neutralnego tonu, jakby mówiła, powiedzmy, "mój nauczyciel od angielskiego", "mój nowy sweter" albo "moja kostka".

Nie inaczej.

Niedługo, któregoś ranka, obudzi się ze snu i odkryje, że wszystkie wspomnienia o "mojej matce" zniknęły.

Tak samo miesięczka ustawała po trzech, czterech dniach, równie tajemniczo, jak się zaczynała.

Nie ma już trucizny.

Znowu jestem szczęśliwa.

Taka szczęśliwa!

Norma Jeane była szczęśliwą dziewczyną, zawsze się uśmiechała.

Choć jej śmiech był dziwny, niekoniecznie miły dla ucha, przybierał wysokie tony, brzmiał jak pisk myszy (tak mówiły Normie Jeane koleżanki, kiedy chciały jej dokuczyć), którą się przydepcie.

Nieważne.

Często się śmiała, ponieważ była szczęśliwa i ponieważ śmiali się inni, więc i ona musiała.

W szkole w Van Nuys była przeciętną uczennicą.

Przeciętną, jeśli nie brać pod uwagę wyglądu.

Przeciętną, jeśli nie brać pod uwagę pewnego nadmiernego napięcia, nerwowości, pobudliwości, płomienności widocznej na twarzy.

Chciała zostać cheerleaderką.

Tylko najładniejsze, najbardziej lubiane dziewczęta o dobrych figurach i z niezłym przygotowaniem gimnastycznym przyjmowano do zespołu.

Na sali Norma Jeane pociała się i zbierało się jej na mdłości.

Nawet się nie modliłam, ponieważ wierzyłam, że Boga nie da się przekonać w sytuacjach beznadziejnych.

W ciągu wielu tygodni przećwiczyła cały repertuar, wszystkie skoki, skręty ciała, ruchy rąk i nóg.

Uważała się za przygotowaną nie gorzej niż którakolwiek z jej szkolnych koleżanek, jednakże im bliżej egzaminu, tym bardziej słabła, tym większa ogarniała ją panika, głos wiązał jej w gardle, tak że w końcu nie mogła wykrztusić ani słowa, a kolana miała tak słabe, iż niewiele brakowało, a przewróciłaby się na matę.

Wśród czterdziestu zakłopotanych dziewcząt, które zebrały się w sali gimnastycznej, zapadła nieprzyjemna cisza.

Kapitan drużyny cheerleaderek powiedziała silnym, pogodnym głosem:

- Dziękujemy, Normo Jeane.

Kto następny?

Chciała wstąpić do kółka dramatycznego.

Wzięła udział w przesłuchaniu do roli w sztuce Thorntona Wildera Nasze miasto.

Dlaczego?

Z pewnością była w tym rozpaczliwa potrzeba bycia normalną, więcej niż normalną;

potrzeba bycia wybraną.

Spodziewała się, że kiedy ona, Norma Jeane, zagra w sztuce, która wydawała się jej tak piękna, odnajdzie dom; zostanie "Emily" i inni tak będą się do niej zwracać.

Przeczytała tekst kilka razy i nabrała przekonania, że go rozumie; że rozumie go jakąś częścią swej duszy.

Chociaż lata dzieliły ją od spostrzeżenia: Umieściłam siebie w centrum wymyślonych okoliczności, istnieję w centrum wymyślonego życia, .

w świecie nierzeczywistych przedmiotów i na tym polega moje wybawienie.

Ale stojąc na scenie w oślepiającym świetle reflektorów, mrugając i zerkając nerwowo w stronę pierwszego rzędu krzesel, gdzie siedziała komisja, wpadła w panikę.

Instruktor zawołał:

- Następny, kto następny?

Normo Jeane, zacznij, proszę.

Ale ona nie mogła zacząć.

Trzymała tekst w drżących dłoniach, słowa rozmazywały się na kartce papieru, gardło miała ściśnięte.

Wersy, które jeszcze poprzedniego wieczoru bez problemu powtarzała z pamięci, teraz kłębiły się w jej głowie niczym oszalałe muchy.

Wreszcie zaczęła czytać załamującym się głosem i w nadmiernym pośpiechu.

Miała wrażenie, że język nie mieści się jej w ustach.

Jąkała się, milkła, gubiła wątek.

- Dziękujemy, kochanie - powiedział instruktor.

Norma Jeane popatrzyła znad tekstu.

- P...proszę, czy nie mogłabym zacząć jeszcze raz?

- Zapadła niezręczna cisza.

Potem dało się słyszeć pomruki i tłumione śmiechy.

- Myślę, że mogłabym być Emily.

W...wiem to, jestem Emily.

- Gdybym mogła zdjąć ubranie.

Gdybym mogła stanąć przed wami, jak mnie Pan Bóg stworzył, wtedy...

wtedy byście zobaczyli!

Ale instruktor pozostał niewzruszony.

Powiedział, poprawiając głos dawką ironii, tak aby inni, faworyzowani przez niego uczniowie mogli się śmiać i z jego dowcipu, i z przedmiotu jego dowcipu:

- Hmm.

Doprawdy, Normo Jeane?

Dziękuję.

Wątpię jednak, czy pan Thornton Wilder zgodziłby się z tobą.

Zeszła ze sceny.

Twarz jej płonęła rumieńcem, ale postanowiła zachować godność.

Cóż, w filmie mogą ci kazać nawet umrzeć.

Ale póki inni patrzą, musisz zachować godność.

Usłyszała za sobą pojedynczy, przeciągły gwizd.

Chciała śpiewać w chórze dziewczęcym.

Wiedziała, że potrafi śpiewać, wiedziała!

-w domu śpiewała zawsze, uwielbiała śpiewać, uważała, że ma głos dość melodyjny, a czyżjess Flynn nie twierdziła, że głos można wycwiczyć?

Była sopranem, z całą pewnością.

These Foolish Thingsb-yfy jej ulubioną piosenką.

Niestety, kierowniczka chóru poprosiła ją o wykonanie Spring Song Josepha Reislera, utworu, którego Norma Jeane w ogóle nie знаła i gapiła się na kartkę z nutami, nie mogąc ich odczytać.

Kiedy kobieta usiadła przy fortepianie, zagrała melodię i poprosiła Normę Jeane o śpiew przy akompaniamencie, dziewczyna straciła całą pewność siebie i zaśpiewała lekko zadyszany, chwiejnym, rozczarowującym głosem...

zupełnie nie swoim!

Zapytała grzecznie, czy mogłaby spróbować jeszcze raz.

Drugim razem jej głos zabrzmiał nieco pewniej.

Ale w dalszym ciągu nie dość pewnie.

Kierowniczka chóru pozbyła się jej uprzejmie.

- Może w przyszłym roku, Normo Jeane.

Na lekcje angielskiego z panem Haringiem pisała wypracowania o Mary Baker Eddy, założycielce Christian Science, o Abrahamie Lincolnie, "największym amerykańskim prezydencie", i o Krzysztofie Kolumbie, "człowieku, który nie bał się wyruszyć w nieznaną".

Pokazała panu Haringowi niektóre swoje wiersze, zapisane starannie niebieskim atramentem w zeszycie bez linii.

W niebie, wysoko, bezpiecznie, Wiem, że żyć będę wiecznie.

I siła smutku by mnie nie zmogła, Gdybym was kochać mogła.

Gdybym mogła się dowiedzieć, jak tym na Ziemi powiedzieć:

"Kocham was!

" - i rzeczywiście, kochać wszystkich wiekuiście.

Tak jak Bóg mówi: "Kocham was" i naprawdę kocha nas, zawsze, przez cały czas.

Kiedy pan Haring się uśmiechnął, jakby zakłopotany, i powiedział, że wiersz jest "bardzo dobry", rymy dobrane w sposób "doskonały", Norma Jeane aż się zarumieniła z zadowolenia.

Przez tydzień zbierała się na odwagę, aby przynieść te wiersze i teraz, proszę bardzo, spotkała ją taka nagroda!

A miała przecież dużo więcej wierszy!

Jej notatnik aż kipiał poezją!

Miała także wiersze, które napisała jej matka dawno temu w północnej Kalifornii, jako młoda dziewczyna, przed wyjściem za mąż.

Ranek czerwienią płonie, Zenit barwę fiołka ma.

Żółtawy dzień już blednie I wnet zostaje pustka.

Lecz moc iskier o zmierzchu Odśłania obszar spalony, Krainę Srebrzystą, która Nigdy nie wygaśnie.

Ten osobliwy wiersz pan Haring odczytał kilka razy ze zmarszczonymi brwiami.

Och, może zrobiła błąd, pokazując go?

Serce zaczęło jej bić jak u wystraszonego królika.

Pan Haring należał do surowych, dbających o dyscyplinę nauczycieli, choć skończył zaledwie dwadzieścia dziewięć lat; był szczupły, ale żyłasty, miał proste, jasne włosy w kolorze piasku, nieco już przerzedzone; lekko utykał z powodu wypadku w dzieciństwie - młody mąż, utrzymujący rodzinę z pensji nauczyciela w publicznej szkole.

Wyglądał jak słabszy, mniej sympatyczny Henry Ponda z Gron gniewu.

W klasie nie zawsze prezentował pogodne usposobienie, czasem pozwalał sobie na sarkazm.

Nigdy nie wiedziałaś, jak pan Haring może się zachować, jakie dziwne rzeczy może powiedzieć, ale zawsze miałaś nadzieję, że się do ciebie przynajmniej uśmiechnie.

Pan Haring zazwyczaj uśmiechał się do Normy Jeane, która była spokojną, wstydliwą dziewczyną o uderzającej urodzie, dziewczyną, która nosiła swetry o numer lub dwa za małe i której zachowanie było bezwiednie prowokacyjne - w każdym razie pan Haring za takie je uważał.

Piętnastoletnia seksbomba zdaje się o tym nawet nie wiedzieć.

A te jej oczy!

Wiersz matki Normy Jeane nie wydał się panu Haringowi "dokończony", pominąwszy nawet brak tytułu.

Pan Haring zademonstrował kawałkiem kredy na tablicy (rzecz cała odbyła się po lekcjach - Norma Jeane przyszła po poradę), że "układ rymów" jest niewłaściwy.

Słowa "płonie" i "blednie" powinny tworzyć rym A, ale jak Norma Jeane widzi, wcale się nie rymują.

Rym B ("ma", "pustka") jest także fatalny.

W drugiej zwrotce w ogóle nie ma rymów ("zmierzchu" - "która", "spalony" - "wygaśnie").

Poezja to mimo wszystko rodzaj muzyki, melodii, coś, co słyszysz, a nie co widzisz.

A czym ma być owa "Kraina Srebrzysta"?

Nigdy o takim miejscu nie słyszał i w ogóle wątpił w jego istnienie.

"Zamęt i nieśmiałość", oto typowe cechy poezji kobiecej.

Zdecydowanej poezji potrzeba zdecydowanych rymów, inaczej poetycki sens utworu nigdy nie zostanie odkryty.

- Czytelnik wzrusza ramionami i mówi: Też coś.

Sam bym to lepiej napisał.

Norma Jeane roześmiała się, ponieważ roześmiał się pan Haring.

Bardzo jej było wstyd za błędy w wierszach matki (choć uparcie będzie trwała w przekonaniu, że to piękna, dziwna, tajemnicza poezja); ale musiała przyznać, że sama nie wie, co znaczy "Kraina Srebrzysta".

Na usprawiedliwienie powiedziała nauczycielowi, że jej matka nie ukończyła collegeu.

- Mama wyszła za mąż, kiedy miała tylko dziewiętnaście lat.

Tak na prawdę chciała zostać poetką.

Chciała być nauczycielem, tak jak pan, panie Haring.

Tym go ujęła.

Ta dziewczyna była naprawdę słodka!

Trzymał się od niej na szerokość biurka.

Coś w drążącym głosie Normy Jeane skłoniło go do zadania pytania:

- Gdzie jest teraz twoja matka, Normo Jeane?

Nie mieszkasz z nią?

Potrząsnęła w milczeniu głową.

Jej oczy wypełniły się łzami, młoda twarz stężała, jakby za chwilę miały się na niej pojawić oznaki załamania.

Właśnie w tym momencie Haring przypomniał sobie, że ta dziewczyna jest pod kuratelą hrabstwa.

Mieszka u Pirigów.

Pirigów!

Uczył już wielu podopiecznych tej rodziny.

Był szczerze zdumiony: Norma Jeane była schludna, zdrowa i inteligentna.

Jej ciemnoblonde włosy nie były tłuste, ubranie wyglądało na porządne i czyste, choć raczej przyciągało wzrok: tani obcisły sweter, pod którym rysowały się zdumiewająco duże piersi, oraz tania szara spódnica z serży, która podkreślała kształt pośladków i zarys linii między nimi.

Gdyby tylko miał odwagę tam spojrzeć.

Nie spojrział i wcale nie zamierzał spojrzeć.

On i jego zmęczona młoda żona mieli czteroletnią córkę i ośmiomiesięcznego chłopca, i ten fakt, jaskrawy i bezlitosny jak pustynne słońce, krążył przed jego nabiegłymi krwią oczami.

Mimo to powiedział szybko:

- W porządku, Normo Jeane.

Przynieś mi te wiersze, twoje i twojej matki.

Z wielką chęcią je przeczytam.

Na tym polega moja praca.

I w taki właśnie sposób doszło do tego, że zimą 1941 roku Sidney Haring, ulubiony nauczyciel Normy Jeane, zaczął się z nią spotykać po lekcjach raz albo dwa razy w tygodniu.

Spędzali czas na bezustannych rozmowach - och, o czym?

- o powieściach i wierszach, które dawał jej do przeczytania: Wichrowe wzgórza Emily Bronte, Dziwne losy Jane Eyre Charlotte Bronte, Ziemię błogosławiona Pearl Buck, cienkie tomiki poetyckie Elizabeth Barrett Browning, Sary Teasdale, Edny St.

Vincent Millay i swego ukochanego Roberta Browninga.

W dalszym ciągu "krytykował" niedojrzałe wiersze swej uczennicy.

(Już nigdy nie przyniosła poezji matki - na całe szczęście.) Pewnego zimowego popołudnia Norma Jeane nagle się zorientowała, że już dawno powinna wyruszyć do domu, bo miała w czymś po moc pani Pirig, więc Haring zaproponował, że ją podwiezie.

Od tej pory, ilekroć Norma Jeane wpadała do jego gabinetu, on odwoził ją do domu położonego w odległości półtorej mili od szkoły.

W ten sposób mogli ze sobą dłużej rozmawiać.

Nie przekroczyli granic niewinności, zapewnił pan Haring.

W najmniejszym stopniu.

Dziewczyna była jego uczennicą, on jej nauczycielem.

Nie dotknął jej ani razu.

Kiedy otwierał przed nią drzwi samochodu, czasem może jego dłoń stykała się przelotnie z jej dłonią, czasem może ocierał się o jej długie włosy.

Może bezwiednie wdychał jej zapach.

Może wpatrywał się w nią nieco zbyt tęsknie, czasem zaś, mówiąc do niej z ożywieniem, gubił wątek, jąkał się i powtarzał.

Wolałby się do tego nie przyznać, że zabierał do wyczerpującej, nerwowej atmosfery domu, w którym odgrywał rolę męża i ojca, żywe wspomnienie uśmiechniętej dziecięcej twarzy dziewczyny, obietnic jej młodego ciała, niepokojącego spojrzenia szklistych niebieskich oczu, które wydawało się trochę rozkojarzone, jakby zachęcało go do wejścia do środka.

Żyję w twoich marzeniach, prawda?

Chodź, zamieszkał w moich.

Mimo wszystko nic, co dziewczyna powiedziała w ciągu kilku miesięcy trwania ich "przyjaźni", nie stanowiło zachęty do flirtu ani występku.

Można było odnieść wrażenie, że rzeczywiście chce rozmawiać jedynie o książkach, które Haring jej pożyczał, i o jej wierszach, które zdawał się szczerze uważać za obiecujące.

Jeśli wiersze traktowały o miłości i ich adresatem był tajemniczy "on", Haring nie miał powodów przypuszczać, że chodziło o niego, o Sidneya Haringa.

Tylko raz Norma Jeane zadziwiła swego nauczyciela, wtedy mianowicie, kiedy oboje zeszli na inny temat.

Haringowi zdarzyło się stwierdzić, że nie ufa Rooseveltowi, że wiadomości wojenne są fałszowane i że z zasady w ogóle nie ufa politykom.

Niespodziewanie dziewczyna rozgniewała się, twierdząc, że nie, nie ma racji, prezydent Roosevelt jest inny.

- Tak?

A skąd wiesz, że Roosevelt jest "inny"?

- zapytał rozbawiony Haring.

- Nie znasz go przecież osobiście, prawda?

- Oczywiście, że nie, ale wierzę mu.

Znam jego głos z radia.

-Ja też znam jego głos z radia i uważam, że się mnie oszukuje.

Wszystko, co słyszysz w radiu czy widzisz w kinie, zostało napisane, wyreżyserowane i odegrane dla publiczności.

Nie ma w tym niczego spontanicznego i być nie może.

Mamy wrażenie, że te wszystkie wypowiedzi są szczere, lecz to nieprawda.

To niemożliwe.

- Prezydent Roosevelt jest wielkim człowiekiem!

- oświadczyła z zapalem Norma Jeane.

- Tak wielkim jak Abraham Lincoln.

- Skąd to wiesz?

- W...wierzę w niego.

Haring roześmiał się.

- Chcesz znać moją definicję wiary, Norma Jeane?

To być przekonanym o czymś, o czym wiadomo, że nie jest prawdą.

Norma Jeane zmarszczyła brwi.

- Nie zgadzam się!

Wierzysz w coś, kiedy wiesz, że to jest prawdą, chociaż nie możesz tego dowieść.

- Ale co ty wiesz o Rooseveltcie?

Tylko to, co przeczytałaś w gazetach i usłyszałaś w radiu.

Mogę się założyć, że nie wiesz, że ten człowiek jest kaleką.

- Co takiego?

- Kaleką.

Podobno chorował kiedyś na polio.

Ma bezwładne nogi.

Jeździ na wózku inwalidzkim.

Zwróć uwagę, na fotografiach widać go tylko od pasa w górę.

- Och, nieprawda!

- Tak się złożyło, że wiem o tym z wiarygodnego źródła.

Mój wuj pracuje w Waszyngtonie.

Naprawdę.

- Nie wierzę w to.

- W takim razie - roześmiał się Haring - nie wierz.

Rooseveltwi i tak jest wszystko jedno, w co Norma Jeane, zamieszkała w Van Nuys w Kaliforni, wierzy, a w co nie wierzy.

Siedzieli w samochodzie Haringa przy polnej drodze na obrzeżach miasta, pięć minut jazdy od nędznego domostwa Pirigów na Reseda Street.

W pobliżu przebiegały tory kolejowe, a dalej majaczyło podnóże Verdugo Mountains.

Pobudzona kłótnią Norma Jeane po raz pierwszy zdawała się naprawdę go widzieć.

Oddychała szybko, patrzyła mu prosto w oczy, a impuls, żeby ją objąć, uspokoić, przyciągnąć do siebie i przytrzymać, był niemal nie do odparcia.

Miała szeroko otwarte oczy, kiedy szepnęła:

- Nienawidzę pana, panie Haring.

Nie lubię pana ani trochę.

Haring roześmiał się i przekręcił kluczyk w stacyjce,

Po odwiezieniu Normy Jeane do domu odkryje, że okropnie się spocił;

podkoszulek miał mokry, głowę rozpaloną.

Penis mu pulsował jak zaciśnięta ze złości pięść.

Ale jej nie dotknąłem.

Mogłem dotknąć, ale nie zrobiłem tego.

Kiedy się spotkają następnym razem, wybuch emocji pójdzie w niepamięć.

Oczywiście żadne z nich nie wspomni o nim ani słowem.

Ich rozmowy będą się ograniczały do książek, poezji.

Dziewczyna była jego uczennicą; on był jej nauczycielem.

Nigdy więcej nie będą rozmawiać ze sobą w taki sposób, i bardzo dobrze, pomyślał Haring; nie zakochał się w tej piętnastoletniej dziewczynie, ale nie było też powodu, aby podejmować ryzyko.

Mógłby stracić pracę, zniszczyć i tak nadszarpnięte więzy rodzinne, no i miał też swoją godność.

A gdybym jej dotknął.

Co wtedy?

To jemu poświęciła swoje wiersze, nieprawdaż?

Sidney Haring był ich adresatem - czyż mogło być inaczej?

Pod koniec maja, nie wiadomo dlaczego, nagle i z tajemniczych powodów Norma Jeane przestała przychodzić do Van Nuys High School.

Na trzy tygodnie przed ukończeniem dziesiątej klasy.

Ulubiony nauczyciel nie otrzymał od niej żadnej wiadomości.

Pewnego dnia po prostu nie przyszła na lekcję angielskiego, a następnego ranka ktoś z biura dyrektora poinformował go, że dziewczyna oficjalnie zrezygnowała ze szkoły "z przyczyn osobistych".

Haring był oszołomiony, lecz nie miał odwagi tego okazać.

Co jej się stało?

Dlaczego zrezygnowała ze szkoły właśnie w tym czasie?

I nic mu o tym nie powiedziała?

Kilka razy podnosił słuchawkę telefonu, aby zadzwonić do Pirigów i poprosić dziewczynę, lecz ostatecznie nie zdobył się na to.

Nie mieszaj się w to.

Zachowaj dystans.

Chyba że ją kochasz.

Kochasz ją?

Aż któregoś popołudnia nie wytrzymał.

Zaprzątnięty myślami o nieobecnej już w jego życiu dziewczynie, pojechał na Reseda Street, mając nadzieję, że ją chociażby przelotnie zobaczy, natknie się na jakiś jej ślad.

Gapił się na obity deskami bungalow, który wymagał natychmiastowego remontu, na pozbawione trawy podwórze, na drażniące wzrok złomowisko na tyłach; czuł swąd palonych śmieci.

Jakie dzieci, można by się zastanawiać, da się "otoczyć opieką" w takim domu?

W jaskrawym świetle słońca dom Pirigów był wyzywający w swojej brzydocie, a odpadająca płatami szara farba i butwiejący dach wydawały się Haringowi w jakiś sposób znaczące, były oznaką zdegenerowanego świata, w którym zrzędzeniem losu znalazła się ta niewinna dziewczyna i z którego nie mogła się wyrwać, chyba że dzięki bohaterskiej interwencji kogoś takiego jak on.

Normo jeane?

Przybyłem po ciebie, przybyłem cię ocalić.

Właśnie wtedy z garażu z boku domu wyszedł Warren Pirig i ruszył w stronę stojącej na podjeździe furgonetki.

Haring przycisnął pedał gazu i szybko odjechał.

Takie to było łatwe jak przebicie głową tafli szkła.

Ale tego popołudnia wypła już dwa piwa, a teraz jeszcze sączyła trzecie.

Powiedziała:

- Ona musi stąd odejść.

- Norma Jeane?

Dlaczego?

Elsie nie odpowiedziała od razu.

Paliła papierosa, który miał gorzkawy, kojący smak.

- Matka ją zabiera?

Tak?

- zapytał Warren.

Nie patrzyli na siebie.

Nie patrzyli nawet w swoją stronę.

Elsie domyśliła się, że Warren zamknął zdrowe oko, aby na nią nie patrzeć, a na lewe i tak niemal nie widział.

Siedziała na krześle przy kuchennym stole z papierosami i butelką letniego piwa, z którego zdrapała większą część nalepki Twelve Horse.

Warren, który właśnie wszedł do domu, stał w roboczych butach.

W takich sytuacjach mężczyzna może się stać rzeczywiście groźny, jak zresztą każdy olbrzymi facet, który znajdzie się w miejscu ciasnym, przegrzanym i pachnącym kobietą.

Warren zdjął brudną koszulę, cisnął ją na krzesło i pozostał w cienkim bawełnianym podkoszulku.

Buchnęło od niego falą gorąca, w powietrzu rozszedł się silny zapach potu.

Pirig Świnia.

Dawno temu byli ze sobą bardzo blisko, lubili się bawić jak dzieci.

Warren przemieniał się w Piriga Świnię, który uwielbiał ryc, grzebać, miotać się, chrząkać i kwiczeć.

Jego otłuszczone boki w objęciach młodej żony były jak tusze surowego mięsa.

Oj! Oj!

Oj! Oj!

Warren!

Jezu Chryste!

Od tamtych czasów upłynęło wiele lat, Elsie wołała nie pamiętać ile.

Jej mąż stawał się coraz większym mężczyzną: przybierał w ramionach, tułowiu.

Duży brzuch, olbrzymia głowa.

Kępki siwiejących czarnych włosów wszędzie, gdzie spójrzałaś.

Nawet na górnej części pleców, po bokach, na grzbietach dużych, zniszczonych dłoni.

Elsie otarła oczy, co w ostatniej chwili przeobraziło się w niedbały gest pocierania nosa.

Warren oświadczył:

- Myślałem, że jej matka to świruska.

Polepszyło się jej?

Od kiedy?

-Nie.

- Co: nie?

- Nie chodzi o jej matkę.

- To o co?

Elsie zastanawiała się, jak to powiedzieć.

Nie należała do kobiet, które dobierają słowa, tym razem jednak przygotowała się.

Powtarzała je sobie tyle razy, że teraz wydawały się jej puste i sztuczne.

- Norma Jeane musi odejść.

Nim coś się stanie.

- Co, do diabła?

Co ma się stać?

Rozmowa nie układała się po jej myśli.

Stał nad nią taki olbrzymi.

Jego owłosione ciało sprawiało wrażenie zbyt dużego na tę kuchnię.

Elsie sięgnęła po papierosa.

Ty sukinsynu.

To twoja wina.

Tego popołudnia poszła do miasta i nałożyła na policzki trochę różu, wpięła we włosy ozdobny grzebień, ale jak potem popatrzyła w lustro, okazało się, że wygląda na zmęczoną, jej skóra miała niezdrowy żółtawy odcień.

A teraz Warren patrzył na nią z boku; Jezu, nie cierpiała, kiedy ktoś widział ją z profilu, spoglądał na tłusty podbródek i nos przypominający świński ryjek.

- Zadaje się z chłopcami.

I ze starszymi facetami.

Ma ich zbyt wielu.

- Ze starszymi facetami?

Z kim?

Elsie wzruszyła ramionami.

Chciała, aby Warren sądził, że jest po jego stronie.

- Nie znam nazwisk, kochanie.

Z takimi facetami, co to do domu nie wchodzi.

- Może powinnaś zapytać o nazwiska - powiedział gniewnie Warren.

- A może ja powinienem to zrobić.

Gdzie ona jest?

- Nie w domu.

- No to gdzie?

Elsie nie miała odwagi spojrzeć na twarz męża.

Na przekrwione oko.

- Gdzieś pojechała.

Skąd ci faceci mają benzynę, nie mam pojęcia.

Warren wypuścił powietrze przez usta.

- Dziewczyna w jej wieku - powiedział, wolno jak mężczyzna w pędzącym samochodzie, który zjeżdża z drogi - powinna mieć chłopców; to chyba naturalne.

- Norma Jeane ma ich zbyt wielu.

I jest za bardzo ufna.

- Niby jak: za bardzo ufna?

- Jest zbyt miła.

Elsie przez moment milczała, aby to ostatnie stwierdzenie do niego do tarło.

Jeśli on zrobił coś Normie Jeane, kiedy byli sami, to tylko dlatego, że Norma Jeane była zbyt miła, zbyt słodka, zbyt spokojna i zbyt posłuszna, aby odepchnąć Warrena.

- Słuchaj, ona chyba nie wpadła w tarapaty, co?

- Jeszcze nie.

Przynajmniej nic o tym nie wiem.

A jednak Elsie wiedziała, że Norma Jeane miała ostatni okres zaledwie przed tygodniem.

Bolesne skurcze, pulsujący ból głowy.

Biedaczka krwawiła jak zarżnięta świnia.

Była śmiertelnie wystraszona, choć nie chciała się do tego przyznać; modliła się do Jezusa Chrystusa Uzdrowiciela.

- Jeszcze nie.

Co to, do diabła, ma znaczyć?

- Warren, musimy myśleć o naszej reputacji.

Reputacji Pirigów.

- Jakby musiała mu przypominać jego własne nazwisko.

- Nie możemy ryzykować.

- Reputacji?

Niby dlaczego?

- Chodzi o hrabstwo.

O opiekę społeczną.

- A co, weszli tu?

Zadawali pytania?

Kiedy?

- Miałam kilka telefonów.

- Telefonów?

Od kogo?

Elsie denerwowała się coraz bardziej.

Strzepnęła popiół z papierosa do popielniczki w kolorze kitu.

Naprawdę odebrała kilka telefonów, ale nie od władz okręgu.

I zaczynała się martwić, czy przypadkiem Warren nie potrafi czytać w jej myślach.

Warren utrzymywał, że znakomity bokser, taki jak Henry Armstrong, którego walkę widział kiedyś w Los Angeles, potrafi czytać w myślach przeciwnika; Armstrong naprawdę wiedział, co jego przeciwnik zamierza zrobić, albo będzie starał się zrobić, zanim tamten się na to zdecydował.

Elsie dostrzegła owo przenikliwe, przebiegłe spojrzenie zdrowego oka Warrena Piriga, które - jeśli naprawdę już spoczęło na tobie - mogło ci uświadomić, że jesteś w poważnym niebezpieczeństwie.

Stał nad nią, bardzo blisko.

Potężne cielsko.

Gryząca woń potu.

I ręce.

Pięści.

Doskonale pamiętała - wystarczyło, że zamknęła oczy - potężny cios, jaki kiedyś spadł na jej prawy policzek.

Jej twarz spuchła i wykrzywiła się.

Warto o tym pomyśleć.

Zastanowić się.

Człowiek nigdy nie jest do tego stopnia samotny.

Innym razem uderzył ją w brzuch.

Zarzygała wtedy całą podłogę.

Dzieci, które mieszkały wtedy z nimi (już ich tu nie było), zmykały jak wszyscy diabli na podwórze, śmiejąc się przy tym.

Oczywiście Warren uważał, że właściwie nigdy Elsie mocno nie uderzył.

Gdybym chciał ci zrobić krzywdę, to bym to zrobił.

Ale nie chciałem.

Swoją drogą musiała przyznać, że sama się o to prosiła.

Mówiła przenikliwym, piskliwym głosem, którego Warren nie znosił, a kiedy właśnie się zbierał, by jej odpowiedzieć, ona ruszyła do wyjścia z pokoju, co także się Warrenowi nie spodobało.

Za to później, no, nie od razu, ale może następnego dnia, następnej nocy, był naprawdę kochany.

Nie przeprosił, ale starał się jej wszystko wynagrodzić.

Dłońmi, ustami.

Zwłaszcza ustami.

Nie mówił wiele, no bo co można mówić w takich sytuacjach?

Nigdy nie powiedział, że ją kocha.

Ale ona wiedziała - miała wrażenie, że wie.

Kocham cię powiedziała ta dziewczyna.

Te jej wilgotne, przestraszone oczy.

Och, ciociu Elsie, kocham cię.

Nie odsyłaj mnie.

Elsie powiedziała ostrożnie:

- Po prostu musimy myśleć o przyszłości, kochanie.

W przeszłości po pełnialiśmy błędy.

- Bzdury.

- To znaczy, zostały popełnione błędy.

W przeszłości.

- Pieprzyć przeszłość.

Teraz jest teraz.

- Znasz młode dziewczęta - powiedziała Elsie błagalnym tonem.

- Różne rzeczy im się przydarzają.

Warren podszedł do lodówki, otworzył ją zdecydowanym szarpnięciem, wyjął piwo, energicznie zamknął drzwiczki i pociągnął tęgi łyk z butelki.

Pochylił się nad blatem kuchennym obok brudnego zlewu i dłubał w materiale uszczelniającym dużym, brudnym kciukiem, który sobie przed laty skaleczył.

Uszczelnienie, choć sam je założył ostatniej zimy, niech to licha, wcale się nie trzymało.

I te maleńkie mrówki w szparach.

Warren powiedział z trudem, niczym człowiek przymierzający ubranie, które nie pasuje:

- Nie będzie jej łatwo.

Ona nas lubi.

Elsie nie mogła się powstrzymać.

Dodała:

- Kocha nas.

- Cholera.

- Sam dobrze wiesz, co się stało ostatnim razem.

Elsie zaczęła szybko mówić o Lucille, dziewczynie, która mieszkała w pokoju na poddaszu, poszła do szkoły średniej i wpadła w "tarapaty", mając zaledwie piętnaście lat, a w dodatku nawet nie miała pewności, kto jest ojcem.

Jak gdyby tamta Lucille była pod jakimś względem podobna do Normy Jeane.

Warren nie słuchał, zaprzątnięty własnymi myślami.

Elsie też prawie nie słuchała.

Ale taką właśnie przemowę uznała za wskazaną w tym momencie.

Kiedy Elsie skończyła, odezwał się Warren.

- Chcesz odesłać tego biednego dzieciaka z powrotem do...

do sierocińca?

- Nie.

- Elsie uśmiechnęła się.

Po raz pierwszy od kilku dni uśmiechnęła się szczerze.

Nadeszła chwila, aby wyłożyć na stół kartę, którą zachowała sobie na koniec, kartę najsilniejszą.

- Chcę wydać tę dziewczynę za mąż.

Zniknie stąd i będzie bezpieczna.

Drgnęła, kiedy Warren nagle odwrócił się od niej bez słowa i wyszedł z domu, trzaskając drzwiami.

Po chwili usłyszała, że na podjeździe zaczyna pracować silnik furgonetki.

Wrócił późno, trochę po północy.

Elsie już spała, tak jak pozostali mieszkańcy domu.

Z lekkiego snu obudził ją odgłos ciężkich kroków, odsuwanych drzwi do sypialni, głośny, chrapliwy oddech i zapach alkoholu.

W sypialni panowały niemal nieprzeniknione ciemności; Elsie myślała, że mąż szuka po omacku włącznika na ścianie, ale on nie szukał włącznika, więc zanim zdążyła się wychylić, aby włączyć lampkę przy łóżku, było już za późno.

Znalazł się na niej.

Nie powiedział nic na powitanie, nawet się nie odezwał.

Gorący, ciężki, obrzmiały, bo bardzo jej pragnął - albo w ogóle kobiety - stękał, manipulując przy niej, starając się zadrzeć jej nocną koszulę ze sztucznego jedwabiu, ona zaś była tak zdumiona, że nawet nie pomyślała o obronie (bo przecież była żoną tego mężczyzny) ani o tym, by ułożyć się w tym obskurnym łóżku tak, aby mu ułatwić zadanie.

Nie kochali się - jak długo?

- od miesięcy; właściwie nie używała określenia "kochać się", raczej "robić to"; zawsze panowała między nimi dziwna słowna wstydlivość, choć jako młody żonkoś Warren był seksualnie wymagający, nienasycony i pełen uznania.

Elsie również była małomówna, żartowała i przekomarzała się raczej nieporadnie.

Trudno im było wykrztusić "kocham", powiedzieć "kocham cię".

To dziwne, myślała, istnieją rzeczy, które robisz codziennie przez całe życie, takie jak chodzenie do łazienki, dłubanie w nosie, drapanie się, dotykanie siebie i innych ludzi (jeśli masz ludzi, których możesz dotykać), a mimo to nie rozmawiasz o nich, nie ma na nie odpowiednich słów.

Jak choćby to, co Warren robił z nią teraz, jak to nazwać: naruszenie nietykalności cielesnej, naruszenie nietykalności cielesnej na tle seksualnym, z tym że była żoną tego mężczyzny, więc niby wszystko było w porządku, no i wcześniej sprowokowała go, słusznie zatem dostała za swoje, prawda?

Przed wejściem do łóżka Warren rozpiął spodnie i zrzucił je ruchami nóg, ale miał na sobie cuchnący podkoszulek.

Elsie miała wciąż wrażenie, że się udusi w szorstkich włosach porastających jego ciało, że zostanie zmiażdżona.

Nigdy nie był taki ciężki i nigdy tak na nią nie napierał, z taką furią.

Grubym, pękatym i sterczącym penisem trafiał ją na oślep w brzuch.

Rozsunął kolanami jej sflaczałe uda i chwycił członek, aby wsunąć go w nią; tak samo - tę scenę widziała wiele razy - atakował wrak samochodu drągiem, czerpiąc przyjemność z pokonywania oporu.

Elsie próbowała protestować:

- Och, Jezu, Warren...

Och, poczekaj...

Zamilkła, Warren zacisnął przedramieniem jej szczękę, uciskał jej gardło.

Rozpaczliwie starała się uwolnić, bo co będzie, jeżeli w pijackiej nieświadomości ją udusi, zmiażdży tchawicę albo kark?

Chwyciwszy ją za nadgarstki i rozciągnąwszy na boki jej ruchliwe ramiona, jakby chciał ją ukrzyżować, przybić gwoździami do łóżka, uderzał z furią, metodycznie, i wreszcie zobaczyła w ciemności, jak jego spoconą twarz zniekształca grymas, jak usta cofają się znad zębów; to mu się często zdarzało, gdy jęczał w nocy, ożywiając we śnie walki młodości, kiedy dostawał tęgie baty, ale też tłukł innych mężczyzn.

Rozdałem swoją część cierpienia.

Czy była to jakaś od miana szczęścia, męskiego szczęścia, wiedzieć, że Rozdałem swoją część cierpienia, wypowiadać coś takiego bez dumy w głosie, zwyczajnie, rzeczowo?

Elsie spróbowała ułożyć się w pozycji, która osłabi siłę ataku Warrena, lecz on był zbyt silny i zbyt sprytny.

Zabije mnie, jeśli mu się uda.

Zerżnie mnie na śmierć.

Nie Normę Jeane.

Musiała wytrzymać, nie mogła płakać, wołać o pomoc ani łkać, choć z trudem chwytła powietrze, a ślina i łzy spływały z jej twarzy też wykrzywionej grymasem.

Między nogami, była pewna, miała jedną krwawą ranę.

Nigdy Warren nie był taki wielki, żądny krwi, demoniczny.

Bum!

bum!

bum\ Biedna Elsie uderzała głową w drewniany bok łóżka, które należało do nich od pierwszego dnia małżeńskiego życia, łóżko dudniło o ścianę, a ściana wibrowała i drżała, jakby się trzęsła ziemia.

Z przerażeniem myślała, że pęknie jej szyja, ale to się nie stało.

- I co, nie mówiłam, maleńka?

To nasz szczęśliwy wieczór.

Jakby z góry znała słodko-gorzka prawdę, że to będzie ich ostatni wspólny filmowy wieczór.

Elsie zabrała Normę Jeane do miasteczka na nocny seans w Sepulveda Theater, gdzie wyświetlano Stage Door Canteen i Caught in the Draftom zwiastun nowego filmu z Hedy Lamarr.

Po ostatniej projekcji odbyło się losowanie nagród.

Ależ okrzyk wydała Elsie Pirig, kiedy podano numer drugiej nagrody i okazało się, że bilet z tym numerem należy do Normy Jeane.

- Tutaj!

Jesteśmy tutaj!

To my mamy ten numer!

To bilet mojej córki!

Idziemy!

Niebywały okrzyk radości kobiety, która w swoim życiu nigdy niczego nie wygrała.

Elsie była tak bardzo podekscytowana, zachowywała się tak dziecinnie, że publiczność śmiała się z niej pobłażliwie i biła brawo, dało się także słyszeć kilka przeciągłych gwizdów skierowanych pod adresem córki, kiedy obie zmierzały w stronę sceny wraz z innymi laureatami.

-Jaka szkoda, że Warren nie może tego zobaczyć - szepnęła Normie Jeane do ucha.

Miała na sobie ładną granatową sukienkę w białe kropki z powiększonymi ramionami i ostatnią dobrą parę pończoch, róż na policzkach i policzki całe w płomieniach.

Tajemnicze sińce i pręgi pod brodą zdołała ukryć lub prawie ukryć pod warstwą pudru.

Norma Jeane o kręconych ciemnoblonde włosach związanych z tyłu chustką, ubrana w szkolną plisowaną spódnicę i czerwony sweter ze sznurem szklanych paciorków, była najmłodszą osobą na scenie i osobą, w którą publiczność wpatrywała się w największym skupieniu.

Nie miała na policzkach różu, a jej bardzo czerwone usta pasowały do swetra.

Paznokcie też miała intensywnie czerwone.

Choć serce biło jej tak szaleńczo, jakby jakiś ptak uwiązał w jej klatce piersiowej, zdołała stanąć prosto i pewnie, podczas gdy inni, w tym Elsie, kulili się nieśmiało, nerwowo dotykali włosów, twarzy, zasłaniali dłońmi usta.

Norma Jeane przechyliła lekko głowę i uśmiechała się, jakby wejście na scenę kina w weekendowy wieczór, aby wymienić uścisk dłoni z kierownikiem - mężczyzną w średnim wieku - i przyjąć od niego nagrodę, było dla niej najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem.

W sierocińcu była przed laty przestraszona małą dziewczynką, którą wciągnął na podwyższenie Ciemnowłosa Książę o dłoniach w białych rękawiczkach, a ona jak głupia, gapiła się oslepiona w stronę publiczności.

Teraz nie uległa pokusie, aby popatrzeć w jej kierunku, wiedząc, że są tam twarze, które by rozpoznała, osoby, które ją znają, niektóre z Van Nuys High School.

Niech sobie na mnie patrzają, niech patrzają.

Norma Jeane równie dobrze jak zmysłowa Hedy Lamarr rzuci filmowy czar i nagrodzi tych, których rola sprowadza się do patrzenia na nią.

Elsie i Norma Jeane dostały wreszcie swoją nagrodę: komplet plastikowych talerzy w lilie, obiadowych i deserowych, po sześć każdego rodzaju.

Piątka laureatów - same kobiety oprócz pyzatego starszego mężczyzny w zniszczonym kapeluszu wojskowym - została nagrodzona gromkimi brawami.

Elsie rzuciła się Normie w ramiona i prawie wybuchnęła płaczem, taka była szczęśliwa.

- To nie tylko plastikowe talerze!

To znak.

Elsie nie powiedziała tego Normie Jeane, ale chłopiec, którego chciała jej przedstawić, dwudziestoletni syn jej przyjaciółki z Mission Hills, miał być tego wieczoru wśród publiczności.

Plan polegał na tym, że chłopak miał się przyjrzeć Normie z dyskretnego dystansu i zastanowić, czy chciał by się z nią umówić na randkę.

Różnica wieku, jedyne sześć lat, u dorosłych nie miałyby najmniejszego znaczenia - w istocie na korzyść dziewczyny przemawiał fakt, że jest o sześć lat młodsza - ale w wieku chłopca, powiedziała Elsie jego matka, sześć lat to różnica niemal zbyt duża.

- Daj mojej dziewczynie szansę.

Choć rzuć na nią okiem - błagała Elsie.

Nie miała wątpliwości, że jeśli chłopak jest wśród publiczności, ulegnie urokowi Normy Jeane, pięknej na scenie jak królowa.

Zatem byłby to także znak dla niego.

Ta dziewczyna przynosi szczęście!

Po wyjściu z kina Elsie i Norma Jeane zatrzymały się pod zieloną markizą.

Elsie spodziewała się, że jej przyjaciółka z synem podejda do nich.

Ale tak się nie stało.

(Elsie ich nie widziała.

Niech to szlag, jeśli nie przyszli!

) Może zbyt wielu ludzi kręciło się obok, czekając na sposobność rozmowy.

Niektórzy należeli do grona znajomych i sąsiadów, ale większość stanowili ludzie obcy.

- Wszyscy kochają zwycięzców, no nie?

- Elsie trąciła Normę Jeane łokciem.

Napięcie stopniowo opadało.

W foyer wygaszono światła.

Bessie Glazer i jej syn Bucky nie pokazali się.

Co to miało znaczyć?

Elsie była zbyt uradowana, aby o tym rozmyślać.

Pojechała z Normą Jeane w stronę Roseda Street, wioząc plastikowe naczynia na tylnym siedzeniu samochodu Warrena, pontiaca z 1939 roku.

- Odkładamy to na później, kochanie.

A dzisiaj porozmawiamy, sama wiesz o czym.

Norma Jeane powiedziała spokojnym, zrezygnowanym głosem:

- Ciociu, tak bardzo się boję.

- Czego?

Małżeństwa?

- Elsie roześmiała się.

- Większość dziewcząt w twoim wieku raczej się boi, że nie wyjdzie za mąż.

Norma nic nie odpowiedziała.

Zaczęła przygryzać paznokcie u kciuka.

Elsie wiedziała, że dziewczyna bardzo chce wstąpić do kobiecego korpusu piechoty czy też wziąć udział w szkoleniu dla pielęgniarek w Los Angeles, ale była na to jeszcze zbyt młoda.

Nie, nigdzie nie pojedzie, tylko tam, dokąd zamierzała skierować ją Elsie.

- Posłuchaj, maleńka.

Coś mi się zdaje, że przesadzasz.

Chyba widziałas już u jakiegoś chłopca - albo mężczyzny - to ich narzędzie, prawda?

Elsie była ordynarna i bezceremonialna.

Norma Jeane roześmiała się za skoczona.

Skinęła głową, prawie niedostrzegalnie.

- Wiesz, że to się powiększa.

Wiesz, prawda?

Norma Jeane znowu skinęła głową.

- To się dzieje, kiedy na ciebie patrzą.

Wtedy chcą...

wiesz...

kochać się z tobą.

Norma Jeane powiedziała naiwnie:

- Tak naprawdę nigdy się temu nie przyjrzałam, ciociu Elsie.

Chłopcy w sierocińcu często nam to pokazywali, bo chyba chcieli nas przestraszyć.

I tutaj, w Van Nuys, na randkach.

Chcieli chyba, abym tego dotknęła.

- Kto chciał?

Norma Jeane potrząsnęła głową.

Nie wykrętnie, tylko w wyrazie szczerego zażenowania.

- Nie jestem pewna.

To znaczy, oni mi się mylą.

W każdym razie więcej niż jeden.

Podczas różnych randek.

Jeśli któryś mnie jeszcze nie zna, przeprasza i prosi, abym mu dała kolejną szansę, i ja się zawsze zgadzam, a następnym razem zachowuje się już przyzwoicie.

Większość facetów po trafi się porządnie zachować, jeśli tego chcesz.

To jak ten film z Claudeem Rainsem i Laną Turner: Nie zapomną.

Elsie mruknęła:

-Jeśli cię szanują.

Norma Jeane powiedziała z powagą:

- Ci, którzy chcieli, abym dotykała ich...

interesów...

Wcale nie myślałam, że są wstrętni albo że zwariowali, bo przecież rozumiem, chłopcy już tacy są, tacy się urodzili.

Ale zawsze chwycił mnie jakiś strach, stawałam się płochliwa i zaczynałam chichotać, tak jak to robię, kiedy ktoś mnie łaskocze!

- Norma Jeane zachichotała nienaturalnie.

Siedziała na samej krawędzi przedniego siedzenia jak na skorupkach po jajkach.

- Pewnego razu, było to na plaży w Las Tunas, byłam w samochodzie jednego takiego faceta, wyskoczyłam i pobiegłam do samochodu innego mężczyzny, który zatrzymał się tam ze swoją dziewczyną - wszyscyśmy się znali, bo razem się tam wybraliśmy - i poprosiłam ich, żeby mnie wpuścili i odwieźli do Van Nuys, a facet, z którym się umówiłam na tę randkę, jechał tuż za nami i starał się trafić zderzakiem w nasz samochód!

Narobiłam chyba więcej zamieszania, niż zamierzałam.

Elsie uśmiechnęła się.

Bardzo się jej podobało, że z powodu tej nastoletniej seksbomby te napalone sukinsyny aż się skręcają.

- Dziewczyno!

Jesteś niemożliwa.

Kiedy to było?

- W ostatnią sobotę.

- W ostatnią sobotę!

- Elsie zachichotała.

- Czyli chciał, abyś tego do tknęła, he?

Sprytna dziewczyna nie zgodzi się na to, bo to prowadzi do następnego etapu.

- Elsie zamilkła znacząco, ale Norma Jeane nie zapytała o następny etap.

- Nazywa się to "penis", i jak pewnie wiesz, służy do robienia dzieci.

To taki wąż, z którego tryska nasienie.

Norma Jeane nagle zachichotała.

Także Elsie się roześmiała.

Cóż, jeśli się mówi o hydraulice, temat wydaje się krótki.

W innym ujęciu jest tego tak dużo, że człowiek czuje się zbyt sparaliżowany, aby chociaż zacząć.

Elsie od lat musiała uświadamiać dziewczęta, które powierzono jej opiece (chłopców nie uświadamiała, zakładając, że o wszystkim dowiedzieli się już wcześniej), i za każdym razem nie kończyła wykładu.

Niektóre dziewczęta wyglądały na wstrząśnięte i przestraszone; niektóre zaczynały histerycznie chichotać; niektóre patrzyły na Elsie z niedowierzaniem.

Inne by wały jedynie zażenowane, bo o seksie wiedziały już znacznie więcej, niż chciały wiedzieć.

Jedna z dziewcząt, którą, jak się później okazało, zgwałcił jej własny ojciec i stryjowie, pchnęła Elsie i rzuciła jej prosto w twarz:

- Zamknij się, ty stara nietoperzyco!

Jako dociekliwa, bystra piętnastolatka Norma Jeane z pewnością wiedziała wiele o seksie.

Nawet Christian Science musiała przyznać, że coś takiego istnieje.

Elsie była za bardzo zdenerwowana, za bardzo przestraszona, aby jechać bezpośrednio do domu, dlatego przejechała Reseda Street i ruszyła w stronę granic miasteczka.

Warren najprawdopodobniej jeszcze nie wrócił do domu, a kiedy Warrena nie ma w domu, wtedy czekasz na niego, nie wiedząc zupełnie, w jakim będzie nastroju.

Norma Jeane ożywiła się jak mała dziewczynka, oczekując na ciąg dalszy.

Kiedyś opowiedziała Elsie, że zanim jej matka zachorowała, zabierała ją na długie, fantastyczne wycieczki, po których pozostały jej najszcześniejsze wspomnienia.

Elsie mówiła dalej:

- Kiedy wyjdiesz za mąż, Norma Jeane, i można będzie to robić, poczujesz się zupełnie inaczej.

Mąż ci wszystko pokaże.

- Na chwilę zamilkła, niezdolna się powstrzymać.

- Sama go wybrałam, to miły chłopak, miał wiele dziewcząt, no i jest chrześcijaninem.

- W...wybrałaś go, ciociu Elsie?

Kto to taki?

- Wkrótce go zobaczysz.

Partia pewna na sto procent.

Jak powiedziałam, to normalny, zdrowy dzieciak, dobry sportowiec.

Taki, co zna się na rzeczy.

- Elsie urwała, ale znowu nie mogła się powstrzymać.

- Warren też znał się na rzeczy.

Albo myślał, że się zna.

Och, ci chłopcy, chłopcy.

- Energicznie potrząsnęła głową.

Norma Jeane zobaczyła siniaki na podbródku Elsie.

Elsie poprosiła ją o pomoc w ukryciu tej skazy, utrzymując, że w środku nocy wpadła na drzwi do łazienki.

Norma Jeane mruknęła wtedy: .

- Och, ciociu Elsie.

To paskudnie.

I nie dodała nic więcej.

Jakby cholernie dobrze wiedziała, od czego są te siniaki.

I dlaczego Elsie porusza się po domu sztywno, jakby ktoś jej wsadził w tyłek kij od szczotki.

Jak gdyby wiedziała, obdarzona kobiecą mądrością, że nie należy o tym mówić.

Przez ostatnie dni Warren unikał spoglądania w kierunku Normy Jeane.

Jeśli musiał przebywać z nią w jednym pomieszczeniu, odwracał się do niej niewidzącym okiem.

Wyglądał na urażonego, kiedy dziewczyna z konieczności zwracała się do niego, ale nawet wtedy nie patrzył wprost na nią, co musiało ją ranić i dziwić.

Do późna pozostawał poza domem i ostatni posiłek zjadał w jednej z tawern albo obchodził się bez niego.

Elsie mówiła:

- Może nie byłoby źle, gdybyś w noc poślubną wypita sobie trochę dla kurażu.

Nie o to chodzi, żebyś się upiła, masz być tylko lekko wcięta, na przykład po szampanie.

Zazwyczaj mężczyzna leży na kobiecie i wpycha w nią swój interes, a ona już jest do tego przygotowana albo przynajmniej powinna być.

Wtedy nie boli.

Norma Jeane zadygotała.

Spojrzała z ukosa na Elsie, jakby nie dowierzała.

- Nie boli?

- Nie zawsze boli.

- Och, ciociu Elsie!

Wszyscy mówią, że boli.

Elsie ustąpiła:

- No, może trochę boli.

Na początku.

- Ale przecież dziewczyna krwawi, prawda?

- Dziewica może krwawić.

- Więc jednak to boli.

Elsie westchnęła.

- Zdaje się, że jesteś dziewicą, co?

Norma Jeane z powagą skinęła głową.

Elsie powiedziała z zakłopotaniem:

- No cóż?

Mąż cię w pewien sposób przygotowuje.

Tam na dole.

Zrobisz się wilgotna i gotowa na jego przyjęcie.

Nigdy ci się to nie zdarzyło?

- Co?

- Głos Normy Jeane zadrżał.

- Mieć ochotę.

"Kochać się".

Norma rozważyła tę kwestię.

- Chcę, żeby mnie całowali, i uwielbiam się przytulać.

Tak jak z lalką.

Tyle że ja jestem lalką.

- Zachichotała, jak to ona, wysokim, przenikliwym, piskliwym głosem.

- Kiedy zamykam oczy, nawet nie wiem, kto to jest.

Który z nich.

- Normo Jeane, co ty wygadujesz?

- A co?

Jeśli to tylko całowanie i przytulanie.

Czy to takie ważne, z którym facetem akurat jestem?

Elsie potrząsnęła głową, odrobinę zaszokowana.

Czy to takie ważne?

Niech ją diabli, jeśli wiedziała.

Warren na pewno by ją zamordował.

Wystarczyłby pocałunek z innym mężczyzną, o romansie zaś w ogóle nie ma co wspominać.

Oczywiście on bywał niewierny, wiele razy, ona okropnie cierpiała i dawała mu do zrozumienia, co o nim myśli, okazywała zazdrość, lała łzy, on wypierał się wszystkiego, ale najwidoczniej podobała mu się reakcja żony.

Wszystko to stanowi z pewnością część małżeńskiego rytuału.

W każdym razie póki człowiek jest młody.

Elsie powiedziała, udając oburzenie:

- Wszyscy oczekują, że będziesz wierna jednemu mężczyźnie.

"W szczęściu, w chorobie, póki śmierć nas nie rozłączy".

To sprawa religii, jak mi się zdaje.

Chcą być pewni, że jeśli rodzisz dzieciaki, to pochodzą one od twojego męża, a nie kogoś innego.

Weźmiesz chrześcijański ślub, już ja o to zadbam.

Norma Jeane przygryzła koniuszek kciuka.

Elsie, podczas dość szybkiej jazdy, wyciągnęła rękę i lekko klepnęła ją w dłoń.

Norma Jeane natychmiast opuściła dłonie na uda i mocno je ze sobą złączyła.

- Och, ciociu Elsie!

Tak mi przykro.

Chyba się...

wystraszyłam.

- Wiem, kochanie.

Ale na pewno jakoś przez to przejdiesz.

- A co się stanie, jeśli będę miała dziecko?

- No cóż.

Na to trzeba będzie trochę poczekać.

- Wcale nie, jeśli wyjdę za mąż w przyszłym miesiącu!

Może się zdarzyć, że urodzę dziecko jeszcze w tym roku.

Dziewczyna miała rację, ale Elsie nie chciała jeszcze o tym myśleć.

- Mogłabyś go poprosić, żeby się zabezpieczał.

Wiesz, o czym mówię, o tych gumowych drobiazgach.

Norma Jeane zmarszczyła nos.

- O tych, co wyglądają jak baloniki?

- Są okropne - przyznała Elsie - ale to drugie jest jeszcze gorsze.

Twój mąż może zaciągnie się do piechoty, marynarki albo jeszcze gdzie indziej, może nawet już się zaciągnął, i nie będzie chciał, abyś zaszła w ciążę wcześniej, niż ty zechcesz.

A jeśli popłynie gdzieś daleko, będziesz bezpieczna.

Norma Jeane rozpromieniła się.

- Mógłby popłynąć?

Tak.

Walczyłyby na wojnie.

- Jak wszyscy mężczyźni.

- Ojej, ja bym chciała tak popłynąć!

Szkoda, że nie jestem mężczyzną.

Elsie musiała się roześmiać.

Norma Jeane, dziewczyna z takim wyglądem, o tak ślicznej twarzy i sposobie bycia dziecka, dziewczyna, którą tak łatwo można było zranić, ta dziewczyna żałuje, że nie jest mężczyzną!

Czy nie pragniemy tego wszystkie?

Ale nie ma tak dobrze.

Trzeba grać kartami, które ci przypadły!

Elsie dojechała do ślepego krańca niewybrukowanej uliczki.

W pobliżu, choć w ciemności nie było tego widać, przebiegały tory kolejowe.

Przed rokiem gdzieś w okolicy znaleziono podziurawione od kul zwłoki mężczyzny z miasteczka.

W gazetach pisano o "porachunkach gangów".

Teraz wiatr świszczwał w wysokiej trawie niczym duchy umarłych.

Mężczyźni na wzajem zadają sobie ból.

Każdy ma udział w cierpieniu.

Elsie myślała, jak by to mogło być, gdyby wraz z Normą Jeane znalazła się raptem w filmie:

odosobnione miejsce, obie w samochodzie, jakiś sygnał w muzyce filmowej sugeruje, że za chwilę coś się wydarzy.

W prawdziwym życiu nie było muzyki, nie istniały podpowiedzi.

Grasz w określonej scenie, nie wiedząc, jaka ona jest, ważna czy nieważna.

Czy zapamiętasz ją na całe życie, czy zapomnisz o niej po godzinie.

W filmie ukazanie kilku samotnych ludzi oznaczało, że stanie się coś bardzo ważnego.

Sama obecność kamery zwiastowała, że coś się wydarzy.

Może pod wpływem podniecenia wywołanego wygraniem plastikowych talerzyków (które mogła wykorzystać i zaimponować Warrenowi) tej nocy jej myśli podążały we wszystkich kierunkach i musiała powstrzymać chęć, by chwycić Normę Jeane za rękę i ścisnąć ją, ścisnąć i ścisnąć.

Powiedziała, jakby od pewnego czasu tylko o tym rozmawiała:

- Filmy, takie jak te dzisiejsze, są całkiem niezłe, sprawiają, że czujesz się dobrze, ale ostatecznie są stekiem kłamstw, no nie?

Bob Hope wydaje się zabawny jak wszyscy diabli, ale wiesz, nie jest prawdziwy.

Moje ulubione filmy to Wróg publiczny.

Mały Cezar, Człowiek z blizną, a aktorzy to Jimmy Cagney, Edward Robinson, Paul Muni.

Silni, przystojni mężczyźni, którzy koniec końców dochodzą swego.

Elsie zawróciła i pojechała na Reseda Street.

Nie można już było odwlekać powrotu do domu; robiło się późno, a ona miała ochotę na piwo i chciała je wypić nie w kuchni, ale w sypialni, powoli, by wpaść w odpowiedni nastrój do snu.

Odezwała się pogodniej, jak gdyby naprawdę była to scena filmowa, ale jej ton się zmienił:

- Być może rzeczywiście polubisz swojego mężulka, Normo Jeane!

I będziesz chciała mieć dzieci.

Mnie się w pewnym momencie zachciało.

Norma Jeane także się odezwała innym tonem.

Zupełnie niespodziewanie rzekła:

- Może i polubiłabym dzieci.

To przecież normalne, prawda?

Skoro by się urodziło prawdziwe dziecko, pochodzące z mojego ciała.

Skoro nie mogłoby mnie skrzywdzić.

Lubię tulić dzieci.

Niekoniecznie moje własne.

- Zamilkła na chwilę, głęboko odetchnęła.

- Gdyby to jednak było moje dziecko, miałabym do tego prawo.

Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Elsie spojrzała na dziewczynę, zdumiona nagłą zmianą jej nastroju.

Mimo wszystko było to typowe dla Normy Jeane.

Często zastawała ją zatopioną w myślach, skoncentrowaną na sobie, ale wystarczyło, że na nią spojrzała, a Norma Jeane natychmiast się ożywiła, robiła pogodną i promieniała do brymi uczuciami,

jak gdyby naraz znalazła się przed obiektywem kamery filmowej.

Dziewczyna oświadczyła teraz ze znacznie większym naciskiem:

- Tak jest!

Chciałabym mieć dz...dziecko.

Może tylko jedno?

Wtedy już nigdy nie byłabym samotna, prawda?

Elsie odparła ze smutkiem:

- Może przez jakiś czas.

- Westchnęła.

- Póki twoja córka nie pójdzie swoją drogą i nie opuści cię.

- Córka?

Ja nie chcę dziewczynki.

Moja matka miała dziewczynki.

Ja chcę mieć chłopca.

Norma Jeane mówiła z takim przekonaniem, że Elsie spojrzała na nią zaniepokojona.

Dziwna dziewczyna, bardzo dziwna!

Czyżbym nie zdążyła jej poznać?

Elsie odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła, że na podjeździe nie ma furgonetki Warrena; oczywiście oznaczało to, że wróci późno, bez wątplenia pijany, a jeśli przegra w karty, jak to się ostatnio zdarzało, będzie opryskliwy.

Na razie Elsie wołała o tym nie myśleć.

Na stole w kuchni porozkłada żółte jak jaskry plastikowe talerzyki.

Niech się Warren zdziwi: Co jest, do diabła?

Z łatwością wyobraziła sobie wyraz jego twarzy.

Warren z przyjemnością wysłucha dobrej nowiny.

Może się uśmiechnie.

Wszystko, co wpada ci w ręce za darmo, musi cię cieszyć.

Elsie pocałowała Normę Jeane na dobranoc.

- Wszystko, co ci dzisiaj powiedziałam, Normo Jeane - rzekła - powiedziałam dla twojego dobra.

Powinnaś wyjść za mąż, ponieważ nie możesz z nami zostać i, sam Bóg wie, nie chcesz wracać do... tamtego miejsca.

Ta rewelacja, która całkowicie sparaliżowała dziewczynę zaledwie przed kilkoma dniami, teraz została przyjęta ze spokojem.

- Wiem, ciociu Elsie.

- Musisz kiedyś dorosnąć.

Nie unikniemy tego.

Norma Jeane roześmiała się piskliwie i smutno.

- Zdaje się, że jak na mnie wypadnie, to na mnie wypadnie, ciociu Elsie.

CHŁOPAK BALSAMISTY

- Kocham cię!

Teraz mam już w życiu wszystko.

Nadszedł ten dzień, prawie trzy tygodnie po szesnastych urodzinach Normy Jeane, 19 czerwca 1942 roku.

Wymieniła sakramentalną przysięgę z chłopcem, którego pokochała od pierwszego wejrzenia, tak samo jak on ją pokochał, wystarczyło, że popatrzeli na siebie nieco zdziwieni - Cześć!

Jestem Bucky! A ja N...Norma Jeane- podczas gdy z dyskretnego dystansu Bess Glazer i Elsie Pirig przyglądały się temu z uśmiechami na twarzach i nawet ze łzami w oczach, przewidziawszy z góry szczęśliwe zakończenie.

To fakt, wszystkie kobiety na ślubie w Pierwszym Kościele Chrystusowym w Mission Hills w Kalifornii płakały tamtego dnia na widok ślicznej panny młodej, która wyglądała może na czternaście lat, i górującego nad nią pana młodego - sześć stóp i trzy cale wzrostu, sto dziewięćdziesiąt funtów wagi, wyglądającego nie więcej niż na osiemnaście lat, trochę niezdarne, ale eleganckiego młodzieńca, przystojnego jak dorosły Jackie Coogan, o sztywnych, czarnych włosach, przyciętych krótko, aby uwidocznic odstające, zarumienione uszy.

Był szkolnym mistrzem zapasów i zawodnikiem drużyny futbolowej, każdy zatem mógł się domyślić, że zdoła obronić tę małą dziewczynę, która była sierotą.

Odwzajemniona miłość od pierwszego wejrzenia.

Od zaręczyn upłynął miesiąc.

Takie to były czasy: wojna.

Wszystko działo się szybciej.

Spójrzcie tylko na ich twarze!

Twarz panny młodej połyskiwała bladym blaskiem masy perłowej, z wyjątkiem pokrytych delikatnie różem policzków.

Jej oczy jak tańczące płomienie; błyszczące ciemnoblonde włosy niczym promienie słońca wokół doskonałej twarzy lalki, częściowo w lokach, częściowo zaplecione z konwaliami w warkoczyki - dzieło matki pana młodego; nad tym zaś lekki jak tchnienie pajęczy welon.

W małym kościele dominowała słodka niewinność konwalii, których zapach będę pamiętała przez całe życie jako woń doskonałego szczęścia.

I obawy, że moje serce się zatrzyma, a Bóg zabierze mnie na swoje łono.

A ślubna sukienka, jakaż cudowna.

Kilka dobrych metrów połyskującej białej satyny, dopasowany staniczek, długie, obciste rękawy z marszczonymi mankietami; dużo, naprawdę dużo metrów oślepiającej satyny, białe fałdy, plisy, wstążki, koronki i maleńkie kokardy, maleńkie perłowe guziki i pięciostopowy tren.

Kto nie wiedział, nie zgadłby nigdy, że ta suknia pochodzi z drugiej ręki, należy do siostry Buckyego Lorraine.

Oczywiście została dopasowana do wzrostu i figury Normy Jeane oraz wyprana w pralni chemicznej, wyglądała więc nieskazitelnie i ślicznie.

Białe satynowe sandały na wysokim obcasie także były nieskazitelne, choć zostały zakupione w sklepie z używaną odzieżą w Van Nuys za jedyne pięć dolarów.

Wizytowa marynarka przylegała dokładnie do ramion pana młodego, każdy widział, że to silny, potężny, niegłupi chłopak - przepchnięty z trudem przez Mission Hills High School, matura 1939, choć bardzo często był nieobecny, gdyż nie cierpiał podręczników, klas szkolnych, tablic oraz przymusu siedzenia przy zbyt małych stolikach i wysłuchiwanie bezustannego gładzenia nauczycieli, najczęściej starych panien i starych kawalerów, którzy dawali do zrozumienia, że znają jakiś sekret życia, ale to z pewnością nie była prawda.

Bucky Glazer otrzymał oferty stypendium sportowego od kilku uniwersytetów, ale odrzucił je, decydując się na zarabianie własnych pieniędzy i na niezależność.

Dostał pracę na pół etatu - pomagał przy balsamowaniu zwłok w najstarszym i najbardziej prestiżowym domu pogrzebowym w Mission Hills, więc Glazerowie chwalili się wszem i wobec, że ich chłopak wkrótce sam zostanie mistrzem balsamowania, a wiadomo, niedaleka stąd droga, żeby zostać lekarzem, który zajmuje się autopsjami, czyli patologiem.

Prócz tego Bucky stawał na nocnej zmianie przy taśmie produkcyjnej w zakładach Lockheed Aviation i uczestniczył w produkcji cudownych bombowców B-17, przeznaczonych do zbombardowania w diabły wrogów Ameryki.

Owszem, Bucky miał zamiar wstąpić do sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych, aby walczyć za swój kraj; od samego początku nie krył się z tym zamiarem przed swoją narzeczoną, Normą Jeane.

Wszystko działo się szybciej.

Takie to były czasy.

Oto, na co zwracano uwagę w komentarzach: większość weselnych gości stanowili bliscy pana młodego.

Glazerowie i ich liczni krewni byli grubokościstymi, zdrowymi Amerykanami o miłych twarzach, podobnymi do siebie mimo różnic płci i wieku.

Siedząc w ławkach małego, zdobionego stiukami kościoła, sprawiali wrażenie, jakby ktoś ich tu zapędził siłą.

Na jakiś znak podniosą się i zostaną wyprowadzeni na zewnątrz.

Wielu z nich należało do Pierwszego Kościoła Chrystusowego i czuli się tutaj jak w domu, kiwając głowami podczas ceremonii ślubnej.

Ze strony panny młodej uczestniczyli w ceremonii Pirigowie, czyli jej dotychczasowi opiekunowie, dwaj zupełnie do siebie niepodobni chłopcy, określani jako przybrani bracia, .

gromadka mocno umalowanych dziewcząt ze szkoły średniej i jakaś korpulentna kobieta o kędzierzawych włosach i w niebieskiej serży, która przed ceremonią przedstawiła się jako "doktor" i która z miejsca zaczęła ochryple łkać, kiedy miejscowy kapłan zwrócił się do Normy Jeane z surowym pytaniem:

- Normo Jeane, czy chcesz pojąć tego człowieka, Buchanana Glazera za prawowitego męża, na dobre i na złe, być przy nim w zdrowiu i chorobie, póki śmierć was nie rozłączy, w imię Naszego Pana i Jego Jedyne Syna Jezusa Chrystusa?

Panna młoda przełknęła ślinę i szepnęła:

-Och!

Tak.

Drżący głos sieroty.

Na całe życie.

Doktor Edith Mittelstadt podarowała nowożeńcom "rodzinną schedę", srebrny komplet do herbaty - ciężki, zdobiony czajnik, naczynia do śmietanki i cukru, tacę - ten sam, który Bucky zastawi w Santa Monica za marne dwadzieścia pięć dolarów.

I będzie musiał ścierpieć upokarzającą procedurę pobrania odcisków palców, podczas gdy Norma Jeane będzie się przyglądać i chichotać, pur purowa z zażenowania.

Jakbym był jakimś oszustem czy kimś takim.

Rany, chyba oszaleję\

Gdzie była matka panny młodej?

Dlaczego matka panny młodej nie po kazała się na ślubie własnej córki?

I gdzie podziewał się ojciec?

Nikt nie chciał dociekać.

Czy to prawda, że matka panny młodej została umieszczona w zakładzie dla psychicznie chorych?

Czy to prawda, że matka panny młodej odbywała karę w więzieniu stanowym dla kobiet?

Czy to prawda, że kiedy panna młoda była dzieckiem, jej matka próbowała ją zabić?

Czy to prawda, że matka panny młodej popełniła samobójstwo w szpitalu dla obłąkanych albo w więzieniu?

Nikt nie chciał tego dociekać podczas tak uroczystej okazji.

Czy to prawda, że panna młoda nie miała ojca?

Była nieślubnym dzieckiem?

Że na jej akcie urodzenia wypisano fatalne słowa OJCIEC: NIEZNA NY?

Podczas tak uroczystej okazji żaden z tych dobrotliwych Amerykanów nie chciał tego dociekać.

W przeddzień ślubu Bucky oświadczył swojej przyszłej żonie, że nie ma się czego wstydzić.

Daj spokój, nie myśl o tym.

Nikt w rodzinie Glazerów nie będzie poniżał nikogo z powodów, którym nie można zapobiec.

Masz moje słowo.

Rozkwaszę nos każdemu, kto spróbuje.

Teraz, kiedy Norma Jeane dostatecznie wypiękniała, przyszedł po nią mężczyzna.

Miłości od pierwszego wejrzenia należy strzec przez całe życie, ale może nie jest to stuprocentowa prawda?

Tak naprawdę Bucky Glazer niezbyt chętnie się zgodził na spotkanie z tą dziewczyną, z Normą Jeane Baker.

Widział ją w kinie, gdy towarzyszyła jej ta jędzowata Elsie Pirig - obie stały na podwyższeniu.

Według wymagającego Buckyego wyglądała jak jeszcze jedna cizia ze szkoły średniej - a do tego była za młoda - więc zdenerwował swoją mamę, wymykając się z kina; czekał na nią na parkingu, opierając się niedbale o maskę swojego samochodu i paląc papierosa jak postać z filmu.

Biedna pani Glazer przybiegła, chwiejąc się w butach na wysokich obcasach i złorzecząc, jakby Bucky nie miał dwudziestu jeden lat, ale był dwunastoletnim chłopcem.

- Buchanan!

Jak mogłeś!

Grubianin!

Żeby tak upokorzyć własną matkę!

Co ja teraz powiem Elsie?

Rano do mnie zadzwoni.

Musiałam się schować, żeby mnie nie zauważyła!

A dziewczyna jest naprawdę słodka.

Irytująca strategia Buckyego polegała na tym, aby pozwolić matce wyłócić się, wykrzyknąć i wytrzeć nos w chusteczkę; była pewna, że i tak dopnie swego, jak większość kobiet w rodzinie Glazerów.

Udało się jej ze starszym rodzeństwem Buckyego, bratem i dwiema siostrami.

Zmusiła ich do wczesnego małżeństwa.

Nie istniało mądrzejsze postępowanie; w przeciwnym razie człowiek sam narażałby się na kłopoty.

Chłopcom grozi takie samo niebezpieczeństwo jak dziewczętom, ale biednej Bess bardziej zależało na tym, aby przerwać skandaliczny romans Buckyego z dwudziestodwuletnią rozwódką, którą poznał na nocnej zmianie w Lockheed, z matką małego dziecka, kobietą o surowej, zaciętej twarzy.

"Zawróciła w głowie mojemu chłopcu", lamentowała Bessy w obecności każdego, kto chciał słuchać.

Bucky umawiał się z dziewczętami przez cały okres nauki w szkole średniej i teraz także chodził na randki z kilkoma dziewczętami, w tym z córką kierownika domu pogrzebowego, ale - zdaniem Bess - prawdziwym zagrożeniem była rozwódka.

- Czy czegoś brakuje dziewczynie Elsie Pirig?

Dlaczego ci się nie podoba?

Elsie przysięga, że to dobra chrześcijanka, nie pali, nie pije, czyta Biblię, jest urodzoną gospodynią domową, jest nieśmiała, gdy chodzi o chłopców.

Wiesz co, Bucky, powinienes się ustatkować.

Z dziewczyną godną zaufania.

Jeśli opuścisz Amerykę, musisz mieć kogoś, do kogo będziesz mógł wrócić.

Musisz mieć ukochaną, która będzie do ciebie pisała listy.

Bucky nie mógł się powstrzymać.

- Do diabła, przecież Carmen może do mnie pisać, mamó.

Ona już pisze do paru facetów.

Bess zaczęła płakać.

Carmen była ową czarującą rozwódką, która zawróciła Buckyemu w głowie.

Bucky roześmiał się, zrobiło mu się żal matki.

Przytulił ją i powiedział:

- Mamo, przecież wrócę do ciebie.

A listy?

Po co mi ktoś inny?

Jakiś czas później podczas rodzinnego spotkania udało się Buckyemu podsłuchać, jak Bess żalobnym głosem cierpiętnicy mówi:

- Mój chłopiec zasługuje co najmniej na dziewicę...

Zajrzał do pokoju i powiedział beznamiętnie:

- Co to znaczy: dziewicę?

Jak bym ją rozpoznał, gdybym ją zobaczył?

Albo ty, mamo?

- i wyszedł, pogwizdując.

Ten Bucky Glazer, niezły z niego scyzoryk, nie?

Najostrzejszy w rodzinie.

Koniec końców jakoś do tego doszło.

Bucky zgodził się na spotkanie z Normą Jeane.

Łatwiej było ulec Bess, niż znosić jej bezustanne naleganie albo, co jeszcze gorsze, jej westchnienia i natrętne spojrzenia.

Wiedział, że Norma Jeane jest młoda, ale nikt mu nie powiedział, że ma zaledwie piętnaście lat, więc przeżył wstrząs, widząc ją z bliska.

Podeszła do niego sztywno jak lunatyk, potem zatrzymała się zawstydzona, nieśmiało uśmiechnęła i wyjąkała swoje imię.

Zwykłe dziecko.

Ale Chryste, popatrz tylko.

Co za figura!

Chociaż potem w gronie kumpli będzie gotów żartować z tej "randki", poczuł przemożny pociąg do tej dziewczyny, wybiegał myślami daleko w przyszłość, do czasu, gdy będzie się wszystkim przechwalał.

Pokazywał zdjęcia.

Więcej, będzie się nią chwalił.

Moja nowa dziewczyna, Norma Jeane.

Jest młoda, ale dość dojrzała jak na swój wiek.

Wyraz twarzy kolegów.

Bucky potrafił to sobie wyobrazić.

Zabrał ją do kina.

Zabrał na tańce.

Na kajaki, autostop i ryby.

Zdziwiła go, bo okazało się, że lubi przebywać poza domem, choć na to nie wyglądała.

W towarzystwie jego przyjaciół, z których wszyscy byli w jego wieku, siedziała spokojnie, podminowana, patrzyła uważnie, uśmiechała się, reagując na ich żarty i zabawy, i było to jasne jak słońce w środku lata, że takiej ładnej dziewczyny poza filmami jeszcze nie widzieli, z tą jej twarzą w kształcie serca, linią włosów nad czołem i ciemnoblonde lokami opadającymi na ramiona, sposobem, w jaki się prezentowała w kusych swetrach, spódnicach, spodniach w kratę - teraz kobiety mogły nosić "spodnie" w publicznych miejscach.

Seksowna jak Rita Hayworth.

Ale zarazem taka dziewczyna, którą chce się poślubić, jak Jeanette MacDonald.

Był to czas, kiedy życie toczyło się szybko.

Przynajmniej od wstrząsu wywołanego Pearl Harbor.

Każdy dzień przypominał dzień trzęsienia ziemi, kiedy budzisz się z myślą, że zaraz się stanie coś, o czym dowiesz się z głównych wiadomości, biuletynów radiowych.

Ale to było też ekscytujące.

Szkoda tych facetów po czterdziestce czy coś koło tego, którzy kiedyś służyli w wojsku, ale nie zostali powołani do prawdziwej walki.

Do obrony kraju.

A jeśli zostali powołani podczas pierwszej wojny światowej było to tak dawno i było to takie nudne, że nikt już o tym nie pamiętał.

Wydarzenia w Europie i na Pacyfiku rozgrywały się teraz.

Norma Jeane pochylała się w jego stronę, niemal drżała w oczekiwaniu na to, co powie; dotykała jego nadgarstka, patrzyła na niego niebieskimi oczami, wzrokiem rozmarzonym i błędzącym, oddech miała przyspieszony, jakby wcześniej biegła, i pytała, co - jego zdaniem - przyniesie przyszłość?

Czy Stany wygrają wojnę i ocalą świat przed Hitlerem i Tojo?

Jak długo potrwa wojna i czy bomby spadną kiedyś na ten kraj?

Na Kalifornię?

Jeśli tak, to co się z nimi stanie?

Jakie będzie ich przeznaczenie?

Bucky musiał się uśmiechnąć; nikt, kogo znał, nie używał takiego dziwaczego słowa: przeznaczenie.

Ale oto ma do czynienia z dziewczyną, która zmusza go do myślenia.

Doceniał to.

Dziwił się czasem, słysząc, że sam przemawia jak ktoś z radia.

Uspokajał, mówił, żeby się nie martwiła: jeśli Japonce spróbują zbombardować Kalifornię albo jakiegokolwiek "terytorium Stanów Zjednoczonych", zostaną zestrzeleni przez obronę przeciwlotniczą.

("Tajne pociski, które robimy w Lockheed, jeśli chcesz wiedzieć".) Jeśli kiedykolwiek zdecydują się na desant, natychmiast zostaną zepchnięci z wybrzeża.

A jeśli kiedykolwiek uda im się stanąć na amerykańskiej ziemi, wszyscy zdrowi Amerykanie staną do walki na śmierć i życie.

To się po prostu nie może zdarzyć.

Odbyli pewną dziwną rozmowę.

Norma Jeane powiedziała o Wojnie światowej.

G. Wellsa, utrzymując, że to książka, którą przeczytała, a Bucky wyjaśnił jej, że to był program radiowy, i to autorstwa Orsona Wellesa, nadany przed kilku laty.

Norma Jeane umilkła, wyrażając przypuszczenie, że pewnie coś pomyliła.

Bucky zrozumiał, w jaki sposób musiało się to ułożyć w głowie dziewczyny.

- Wcale tego nie słyszałaś, prawda?

Może byłaś za młoda.

My słuchaliśmy tego w domu.

Jezu, to było coś!

Dziadek myślał, że wszystko się dzieje naprawdę, mało co nie dostał ataku serca, a mama, wiesz jaka ona jest, słuchała, jak Orson Welles mówi, że to "udawana relacja", ale i tak się wystraszyła, wszyscy wpadli w panikę, byłem wówczas dzieckiem i myślałem, że to prawda, choć wiedziałem, że tak nie jest, że to tylko program radiowy.

Ale do licha - Bucky uśmiechnął się, widząc, że Norma Jeane pogania go wzrokiem, jakby każda następna sylaba, którą wypowiadał, była cenniejsza od poprzedniej - wszyscy, którzy to przeżyli, ten program tamtej nocy, choć nie był prawdziwy, pozostali z myślą, że to mogło się zdarzyć.

Więc kiedy kilka lat później Japończycy zbombardowali Pearl Harbor, sprawa nie przedstawiała się tak bardzo odmiennie, no nie?

Trochę się pogubił w tym, co mówił.

Miał powiedzieć coś istotnego, wierzył, że to będzie coś istotnego, ale kiedy Norma Jeane siedziała przy nim tak blisko, pachniała mydłem albo pudrem, nieważne czym, jakimiś kwiatami, nie potrafił się skoncentrować.

Nikogo nie było w pobliżu, więc szybko się pochylił i pocałował ją w usta, a jej oczy natychmiast się zamknęły jak u lalki, dreszcz przemknął przez jego ciało, od tułowia po krocze.

Przytrzymał jej odchyloną głowę rozcapierzoną dłonią, zgarniając do góry jej kręcone włosy, pocałował ją nieco mocniej i sam też zamknął oczy;

rozmarzył się, wdychając jej zapach; jak dziewczyna w jego wyobraźni Norma Jeane była miękka, uległa, potulna, więc pocałował ją mocniej, wdarł się językiem między jej pruderyjnie zaciśnięte usta, wiedząc, że wcześniej lub później Norma Jeane je rozchyli i Chryste!

miął nadzieję, że zaraz nie

wytryśnie w spodnie.

Miłość od pierwszego wejrzenia.

Bucky Glazer zaczynał powoli w nią

wierzyć.

Opowiedział już kolegom z zakładów, że pierwszy raz zobaczył swoją dziewczynę na scenie w kinie.

Wygrała nagrodę, och, mówię wam, chłopaki, ona sama była jak nagroda, kiedy weszła w snop światła, a publiczność klaskała jak szalona.

"Facet powinien się ożenić z dziewicą.

Z szacunku dla samego siebie".

Wiele rozmyślał o Normie Jeane.

Poznali się w maju, a jej urodziny przy padły na pierwszy dzień czerwca.

Miała skończyć szesnaście lat.

Dziewczęta mogły wychodzić za mąż w wieku szesnastu lat, co w rodzinie Glazerów już się zdarzało.

Spokojnie, Bucky, niczego nie rób w pośpiechu, ostrzegała go matka, ale on traktował to jako jeden z jej wybiegów; mówiła mu, czego ma nie robić, wiedząc, że Bucky właśnie to będzie chciał zrobić.

Mimo wszystko myślał o Normie Jeane w sposób, w jaki rzadko myślał o innych swoich dziewczynach.

Nawet kiedy był z Carmen.

Zwłaszcza kiedy był z Carmen i porównywał jedną z drugą.

Spójrz prawdzie w oczy, Carmen to dziwka.

Nie można jej zaufać.

Rozmyślał o Normie Jeane popołudniami w domu pogrzebowym, pomagając panu Eeleyowi przy balsamowaniu zwłok przed wystawieniem ich w głównej sali.

Jeśli zwłoki należały do kobiety, choć trochę młodej.

Zaczął sobie po raz pierwszy uświadamiać szybkość przemijania, śmiertelność; to, co w Biblii opisano słowami: Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

Co tydzień w "Lifeie" zamieszczano zdjęcia rannych i zabitych żołnierzy, zwłoki na poły zakopane w piasku na jakiejś zapomnianej wyspie na Pacyfiku, o której przeciętny człowiek nigdy nie słyszał, stosy martwych Chińczyków zabitych w japońskich nalotach bombowych.

W obliczu śmierci każdy jest nagi.

Jak wyglądałaby naga Norma Jeane. Bliiski był załamania, pochylał się nagle, opuszczał głowę między kolana, podczas gdy pan Eeley, zabawny kawaler z wąsami i gęstymi brwiami Groucho Manca, naigrawał się z niego za okazaną słabość.

Podczas nocnej zmiany w Lockheed, w ogłuszającym hałasie, rozmyślał o Normie Jeane.

Zastanawiał się, czy tego wieczoru poszła na randkę, mimo że obiecała zostać w domu i myśleć o nim.

Faceci z tej samej linii produkcyjnej, tylko parę lat starsi od Buckyego, nie mogli się doczekać, kiedy wrócą do do mów i żon, wskoczą do łóżka o szóstej rano.

Wiecie, te rzeczy, mówili, zacierając ręce.

Przewracali oczami i uśmiechali się znacząco.

Niektórzy pokazywali fotografie młodych, ślicznych żon, dziewczyn.

Jeden z nich puścił w obieg zdjęcie żony w pozie Betty Gracie, odwróconej plecami do obiektywu i zerkającej nad ramieniem, mającej na sobie jednak nie kostium kąpielowy w stylu Betty Gracie, lecz tylko koronkowe majteczki i buty na wysokich obcasach.

Jezu.

Bucky zazgrzytał zębami.

Dziewczyna nie była nawet w połowie tak seksowna jak Norma Jeane, gdyby ta ostatnia przybrała tę pozę.

Poczekajcie, pokażę wam moją dziewczynę.

Zakochał się?

Hm, niech to licho!

Chyba tak.

Może właśnie nadszedł odpowiedni moment.

Nie mógł pozwolić, aby mu ją zabrał jakiś inny facet.

Zdaniem Buckyego Glazera istniały dwie kategorie kobiet: kobiety "twarde" i kobiety "miękkie".

A on był amatorem "miękkich", wiedział o tym.

Oto znalazła się ta słodka dziewczyna, która patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i wierzyła prawie we wszystko, co mówił; oczywiście wiedział znacznie więcej od niej, zatem nie miała innego wyjścia, tylko się zgadzać, to chyba logiczne, ale on to podziwiał; nie podobały mu się dziewczyny, które myślały, że najseksowniejszą odmianą flirtu jest granie facetowi na nerwach, tak jak Katharine Hepburn w filmach.

Może to podkreślało Buckyego, lecz "miękką", łagodną, małą Norma Jeane podkreślała go w inny sposób, nic więc dziwnego, że szeptał do niej przez sen, otaczał ją ramieniem, całował i głaskał.

To nie będzie bolesne, obiecuję!

Szaleję za tobą.

Budził się w środku nocy, ogarnięty pożądaniem, w łóżku, w którym sypiał od...

Bóg jeden wie, od dwunastego roku życia, dawno już z niego wyrósł; kostki i stopy, rozmiar czternaście, wystawały poza krawędź materaca.

Pora, byś dostał własne łóżko.

Podwójne.

Tej nocy sprawa została rozstrzygnięta.

Trzy tygodnie po dniu, kiedy się poznali.

Cóż, były to czasy, kiedy wszystko działo się szybko.

Jeden z młodych wujów Buckyego zginął na wyspie Corregidor.

Najbliższy przyjaciel Buckyego z drużyny zapaśniczej w szkole średniej odbywał w południowej Azji samotne loty bombowcem należącym do marynarki wojennej.

Norma Jeane szlochała, mówiąc, że tak, wyjdzie za niego, przyjmie od niego pierścionek zaręczynowy, tak, kocha go.

Jakby tego było mało, uczyniła coś bardzo dziwnego, czego nie zrobiła żadna dziewczyna, w filmie czy nie: chwyciła jego wielkie ręce o poranionych kostkach w swoje małe, miękkie dłonie, nie przejmując się, że pachną (wiedział o tym; szorował je jak mógł, ale to nic nie pomagało) płynami służącymi do zabezpieczania zwłok - formaldehydem, gliceryną, boraksem, karbolem - podniosła je do twarzy i naprawdę wciągnęła w nozdrza ich zapach, tak jakby był to dla niej balsam, jakby przypominał jej jakąś cenną woń, oczy miała zamknięte i rozmarzone, a głos ściszyła do szeptu.

- Kocham cię!

Teraz mam już w życiu wszystko.

Dzięki Ci, Boże; o dzięki Ci, Boże.

Już nigdy w życiu w Ciebie nie zwątpię, przysięgam.

Nigdy nie będę się chciała ukarać za to, że mnie nikt nie kocha i nie chce.

Wreszcie skończyła się poważna uroczystość w Pierwszym Kościele Chrystusowym.

Do wszystkich kobiet ocierających oczy dołączyła znaczna grupa mężczyzn.

Wysoki, rumiany pan młody zatrzymał się, aby pocałować pannę młodą, nieco wstydliwie, ale ochoczo jak chłopiec w bożonarodzeniowy ranek.

Objął ją mocno wokół żeber, ściągając satynową sukienkę w fałdę na wysokości pasa, nieelegancko zsuwając welon z jej głowy.

Całował pannę młodą, która była już teraz panią Glazer, w drżące usta, a ona rozchyliła je.

Nie za mocno.

ŻONKA

Żona Buckyego Glazera nie będzie pracować.

Nigdy.

Chciała być doskonała.

Bucky zasługiwał na to.

W mieszkaniu na parterze, pod adresem 5a Verdugo Gardens, 2881 La Vista Street, Mission Hills, Kalifornia.

W pierwszych bajkowych miesiącach małżeństwa.

Pierwsze małżeństwo, nie istnieje nic wspanialszego!

Choć wtedy o tym nie wiesz.

Pewnego razu była sobie panna młoda.

Młoda żona.

Traciła czas na pisanie w sekretnym dzienniku.

Pani Glazer.

Żona pana Buckyego Glazera.

Żona pana Buchanana Glazera.

Pani Norma Jeane Glazer.

"Baker" zniknęło.

Wkrótce zniknie też ze wspomnień.

Bucky był tylko o sześć lat starszy od Normy Jeane, ale od początku, kotysząc się w jego ramionach, nazywała go Tatą.

Czasami stawał się Dużym Tatą, dumnym posiadaczem Wielkiego Interesu.

Ona przeobrażała się w Maleńką, czasem w Laleczkę, dumną posiadaczkę Małej Dziurki.

Zachowała dziewictwo dla męża, bez wątpienia.

Także to Bucky uważał za powód do dumy.

Znakomicie do siebie pasowali!

-Jakbyśmy to wynaleźli, Maleńka.

Dziwne.

Pomyśleć tylko, że szesnastoletnia Norma Jeane odniosła sukces tam, gdzie Gladys poniosła porażkę.

Znalazła dobrego, kochającego męża, wyszła za mąż, została żoną.

To właśnie wpędziło Gladys w chorobę, Norma Jeane była tego pewna - brak męża, bycie niekochaną w jedyny sposób, który się liczył.

Im więcej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że Gladys najprawdopodobniej w ogóle nigdy nie była mężatką, a nazwiska "Baker" czy "Mortensen" stanowiły wyłącznie jej wymysł; chciała oszczędzić sobie wstydu.

Nawet babcię Delię oszukiwała.

Chyba.

Dziwne było też wspomnienie tamtego ranka, kiedy Gladys pojechała z nią na Wilshire Boulevard, aby obejrzeć pogrzeb wybitnego hollywoodzkiego producenta.

Potem Norma Jeane czekała, z bijącym sercem, aż ojciec po nią przyjedzie.

Ale do tej chwili miną lata.

- Tatuśku?

Kochasz mnie?

Maleńka, szaleję za tobą.

Sama zobacz.

Norma Jeane wysłała Gladys zaproszenie na ślub.

Przestraszona, podniecona, niespokojna, spragniona widoku kobiety, która była jej matką.

I mimo wszystko przerażona, że matka może się pojawić.

Kim, do licha, jest ta szalona kobieta?

Och, patrzcie. Gapiliby się i gapili.

Oczywiście Gladys nie przyjechała na ślub Normy Jeane.

Nie przysłała pozdrowień, nie przysłała życzeń.

"Dlaczego miałabym się przejmować?

Nie przejmuję się".

Powiedziała Elsie Pirig, że w zupełności wystarcza jej teściowa.

Matki nie potrzebuje.

Pani Glazer, Bess Glazer.

Jeszcze przed ślubem nalegała, aby Norma Jeane zwracała się do niej "mamo", tylko że to słowo więzło dziewczynie w gardle.

Czasem jednak potrafiła nazwać starszą kobietę "mamą", cicho, pospiesznie, głosem, którego prawie nie było słyhać.

Ta kobieta była prawdziwą chrześcijanką.

Zatem nie można jej było winić za badawcze przyglądanie się synowej.

Proszę, nie czuj do mnie nienawiści za to, że wyszłam za twojego syna.

Proszę, pomóż mi być jego żoną.

Miała odnieść sukces tam, gdzie Gladys się nie udało.

Taką złożyła przy sięgę.

Uwielbiała, kiedy Bucky kochał się z nią krzepko i energicznie, nazywając ją słodkim kochaniem, maleństwem, Laleczką, stękając, dygocząc i parszcząc jak koń -"Jesteś moją małą amazonką, pa-ta-taj!

" - sprężyny piszczały jak mordowane myszy.

Potem Bucky nieruchomiał w jej ramionach, zdyszany, pokryty szlamowatą warstwą potu, który lubiła wachać, Bucky Glazer przygniatający ją do łóżka jak lawina.

Kocha mnie mężczyzna.

Jestem żoną.

Nigdy już nie będę samotna.

Już zapomniała o przedślubnych obawach.

Ależ kiedyś była głupia, ja kim była dzieckiem!

Teraz zazdrościły jej niezamężne kobiety, nie zaręczone dziewczęta.

Widać to było w ich oczach.

Ale przeżycie!

Magiczne pierścionki na środkowym palcu lewej dłoni.

Nazywano je "dziedzictwem rodzinnym" Glazerów.

Złoto ślubnej obrączki lśniło przygaszonym blaskiem i było nieco wytarte.

Z palca zmarłej kobiety.

Pierścionek zaręczynowy miał maleńkie diamentowe oczko.

Ale to były magiczne pierścionki, przyciągały wzrok Normy Jeane, widzącej ich odbicia w lustrach i innych powierzchniach tak, jak widzieli je inni.

Pierścionki!

Obrączka!

Mężatka.

Dziewczyna, którą ktoś kocha.

Była słodką, śliczną Janet Gaynor w State Fair, Smali Town Girl, Sunny Side Up.

Młodą June Haver, młodą Greer Garson.

Siostrą Deanny Durbin i Shirley Tempie.

Niemal z dnia na dzień straciła zainteresowanie gwiazdami czarującymi seksapilem, Crawford, Dietrich, wspomnieniem Harlow z jej platynowoblond włosami, krzykliwie rozjaśnionymi i sztucznymi.

Czym że jest splendor, jeśli nie sztuczością.

Hollywoodzkim blichтром.

A Mae West, toż to kpina!

Kobieta na niby.

Oczywiście owe kobiety robiły wszystko, aby się sprzedać.

Staraly się dostosować do oczekiwań mężczyzn.

Większości mężczyzn.

Niewiele się różniły od prostytutek.

Tylko że dostawały za to znacznie większą za płatę i robiły "kariery".

Nigdy się nie sprzedam!

Dopóki będę kochana.

Jadąc w Mission Hills tramwajem, Norma Jeane często zauważała z dreszczem rozkoszy, jak wzrok nieznajomych ludzi, mężczyzn i kobiet, zatrzymywał się na jej dłoni, na jej pierścionkach.

Ich oczy natychmiast identyfikowały ją: zamężna kobieta, jaka młoda!

Nigdy nie pozbędzie się swoich dziedzicznych pierścionków.

Dopiero śmierć wyznaczy moment zdjęcia z jej palców dziedzicznej biżuterii.

"Jakbym wstąpiła do raju.

A jeszcze nawet nie umarłam".

Tylko że akurat wtedy zaczął ją dręczyć koszmar, pierwszy, odkąd wyszła za mąż: leży w łóżku, a nad nią pochyla się jakaś osoba bez twarzy (mężczyzna?

kobieta?

) i chce ściągnąć pierścionki z jej palców; Norma Jeane jest sparaliżowana, nie może uciec, ale nie chce ich oddać; obca osoba zaczyna odcinać palec nożem tak rzeczywistym, że dziewczyna nie może uwierzyć, iż nie krwawi; budzi się z jękiem, rzuca na łóżku.

Jeżeli Bucky spał przy jej boku, kiedy akurat nie pracował na nocnej zmianie, budził się, aby ją pocieszyć, przytulić i ukołysać w silnych ramionach.

-Już dobrze, Laleczko.

To tylko zły sen.

Przy Dużym Tacie nic ci nie będzie, okej?

Ale nie zawsze bywało okej, nie od razu.

Czasem Norma Jeane była zbyt wystraszona i już nie mogła spać przez pozostałą część nocy.

Bucky starał się jej współczuć, poza tym schlebiało mu, że jego młoda żona tak rozpaczliwie go potrzebuje, lecz jednocześnie czuł się nieswojo.

Sam do niedawna był dzieckiem.

Miał dopiero dwadzieścia jeden lat!

Za często do niego docierać, że Norma Jeane jest nieobliczalna.

Kiedy umawiali się na randki, była pogodna, pogodna, pogodna, a teraz, w te niepewne noce, widywał jej drugą stronę.

Jak wówczas, gdy miewała "skurcze", jak wstydliwie określała miesiączkę, przerażające objawienie dla Buckyego, przed którym kobiece sekrety zazwyczaj ukrywano - dla jego własnego dobra; Norma Jeane nie tylko krwawiła (jak zarżnięte prosię, o czym Bucky nie mógł przestać myśleć) z pochwy, miejsca, które służyło do miłości, ale była dosłownie rozbita, nie nadawała się do niczego przez dwa lub trzy dni i leżała z gorącą poduszką na brzuchu, z zimnym kompresem na czole (bo miała także "migrenę"), lecz, co gorsza, nie stosowała się do zaleceń matki Buckyego, nie przyjmowała lekarstw, nawet aspiryny, a to go bardzo złościło - "bzdur Christian Science nikt nie traktuje poważnie".

Ale nie chciał się z nią kłócić, bo to tylko pogarszało sprawę.

Starał się jej współczuć, naprawdę się starał, był żonatym mężczyzną i (jak zauważył oschle jego starszy, żonaty brat) lepiej, aby się do tego przyzwyczaił, także do zapachu.

Ale te koszmary!

Bucky był wykończony, potrzebował snu - mógł przespać całe dziesięć godzin, jeżeli nikt mu nie przeszkadzał - a tu ona budziła go, napędzała mu strachu, sama też przerażona, jej kusa koszulka przesiąknięta była potem.

Nie był przyzwyczajony do sypiania z kimkolwiek.

Nie przez całą noc.

Nie dzień po dniu.

Nie z kimś tak nieobliczalnym jak Norma Jeane.

Można by odnieść wrażenie, że istniały dwie Normy Jeane, bliźniaczki; nocna bliźniaczka czasem dominowała, bez względu na to jak kochana była bliźniaczka dzienna i jak szalał za nią Bucky.

Tulił ją i wyczuwał szaleńcze bicie jej serca.

Jakby miał w objęciach przestraszonego ptaka, kolibra.

Och, Boże, ta dziewczyna doprawdy mocno obejmowała.

Wystraszona dziewczyna jest prawie tak samo silna jak mężczyzna.

Zanim się całkowicie obudził, wydawało mu się, że znowu jest w szkole, na macie, i walczy z przeciwnikiem, który chce mu zmiażdżyć żebra.

- Tatuśku, nie opuścisz mnie, prawda?

- zapytała Norma Jeane, a Bucky odpowiedział zaspanym głosem:

- Mhm.

- Obiecuj, Tato.

-Jasne, Maleńka, okej.

Norma Jeane nie przestawała nalegać, więc Bucky powiedział:

- Kochana, dlaczego miałbym cię zostawić?

Przecież dopiero się z tobą ożeniłem?

Coś zgrzytało w tej odpowiedzi, ale żadne z nich nie potrafiłoby wskazać co.

Norma Jeane przywarła do Buckyego, przytulając zapłakaną twarz do jego szyi; pachniała wilgotnymi włosami, talkiem, potem spod pach i tym, co według niego było zwierzęcym strachem.

Szepnęła:

- Tato, nigdy mnie nie opuścisz, prawda?

Bucky mruknął, że tak, obiecuje, czy nie mogliby już znowu zasnąć?

Naraz Norma Jeane zachichotała.

- Obiecujesz?

Z ręką na sercu?

Kciukiem zrobiła znak krzyża nad dudniącym, wielkim sercem Buckyego, muskając kręcone włosy na jego piersi, i nagle mężczyzna zareagował podnieceniem, Wielki Interes drgnął; Bucky chwycił Normę Jeane za palce i udawał, że chce je zjeść, dziewczyna kopała, śmiała się piskliwie, wita się rozgorączkowana.

- Nie!

Tato, nie!

Bucky przydusił ją do materaca, wgramolił się na jej smukłe ciało, trącał nosem i ustami jej piersi, piersi, które uwielbiał, lizał ją i jęczał.

- Tak, tak.

Tatuś zrobi to, co chce zrobić ze swoją Lalunią, bo Lalunia należy do niego.

I to należy do Taty, i to - i to.

Byłam bezpieczna, kiedy on był we mnie.

Pragnęłam, aby to trwało wiecznie.

Chciała być doskonała.

Bucky zasługiwał na to.

Przygotowywała Buckyemu lunche: duże, podwójne sandwicze, takie, jakie lubił najbardziej.

Kiełbasa, ser, musztarda na grubych kromkach białego chleba.

Ostro przyprawiona szynka.

Kawałki mięsa z keczupem.

Pomarańcza odmiany Walencja, najśodszy gatunek.

Słodki deser: placek wiśniowy albo piernik z jabłkami.

Zaopatrzenie było coraz gorsze, więc Norma Jeane odkładała swoje porcje mięsa z kolacji na lunch dla Buckyego.

Wprawdzie zdawał się tego w ogóle nie dostrzegać, ale wiedziała, że docenia ten gest.

Bucky był dużym, silnym chłopcem, który ciągle rósł i miał, jak żartowała Norma, apetyt wilka - "naprawdę głodnego wilka".

Było coś z rytuału w rannym wstawaniu, aby spakować Buckyemu lunch, coś, co budziło emocje, co sprawiało, że do jej oczu napływały łzy.

Wsuwiała do pudełka karteczki ozdobione girlandami i czerwonymi serduszkami.

Kiedy przeczytasz to, kochany Bucky, ja będę myślała o TOBIE i o tym, jak CIĘ UWIELBIAM.

Oraz:

Kiedy to przeczytasz, Duży Tatuśku, pomyśl o Laleczce i namiętnych PIESZCZOTACH, jakimi cię obdarzy, gdy wrócisz do DOMU!

A Bucky nie mógł się oprzeć i pokazywał te liściki kumplom ze zmiany.

Chciał wyrzucić wrażenie na pewnym przystojnym pyszałku, niedoszłym aktorze kilka lat starszym od niego - Bobie Mitchumie.

Lecz Bucky miał wątpliwości co do osobliwych wierszyków Normy Jeane:

Kiedy nasze serca płoną z miłości, nie potrafimy się oprzeć zazdrości nawet anioły znad chmur.

Czy poezją może być coś, co się nie rymuje?

Albo nie rymuje się tak jak należy?

Te wiersze miłosne Bucky składał starannie i zatrzymywał dla siebie.

(Tak naprawdę gubił je i często ranił uczucia Normy Jeane, zapominając wspomnieć o nich choćby słowem).

Do tej dziwnej, marzycielskiej, dziewczęcej strony Normy Jeane Bucky podchodził nieufnie.

Dlaczego nie wystarczało jej, że jest śliczna i prostolinijna jak inne miłe dla oka dziewczęta; dlaczego jeszcze starała się być "głęboka"?

Jak wierzył Bucky, miało to jakiś związek z koszmarami, które ją prześladowały, oraz "kobięcymi problemami".

Kochał ją za to, że była wyjątkowa, ale zarazem nie cierpiał tego.

Jak gdyby Norma Jeane jedynie udawała dziewczynę, którą Bucky znał.

Weźmy ten zwyczaj wypowiedzania się w sposób całkowicie nieoczekiwany, ten piskliwy, niepokojący chichot i to, co nazwać można "niezdrową ciekawością" - na przykład kiedy pytała o jego pracę w charakterze asystenta pana Eeleya w domu pogrzebowym.

Mimo wszystko Glazerowie naprawdę lubili Normę Jeane, a to dla Buckyego znaczyło bardzo wiele.

Poślubił tę dziewczynę chyba dlatego, żeby sprawić przyjemność mamie.

Do licha, nie.

Przecież szalał na jej punkcie.

O, tak!

Byłby nienormalny, gdyby się w niej nie zakochał.

I okazała się dobrą żoną, w ciągu tego pierwszego roku i później.

Miesiąc miodowy trwał i trwał.

Norma Jeane przygotowywała menu na nadchodzący tydzień i dawała je Buckyemu do zatwierdzenia.

Zapisywała przepisy kulinarne pani Glazer i z ochotą wycinała nowe z "Ladies Home Journal", "Good Housekeeping", "Family Circle" oraz innych kobiecych czasopism, które od niej dostawała.

Nawet kiedy bolała ją głowa po całym dniu sprzątania i prania, z uwielbieniem patrzyła na swego młodego, przystojnego męża, jak z apetytem pochłania przygotowany przez nią posiłek.

Jeśli masz męża, Bóg już nie jest ci tak bardzo potrzebny.

Dania były jak modlitwy, sztuka mięsa z kawałkami czerwonej cebuli, siekaną zieloną papryką, bułką tartą i grubą warstwą keczupu na wierzchu, wszystko to mocno zapieczone w piekarniku.

Mięso wołowe pokrajane w kostkę (z tym że w tych trudnych czasach wołowina bywała tłusta i żyłasta), ciemny sos, pomidory i inne warzywa (należało być ostrożnym z warzywami - Bucky ich nie lubił) lub ciemny sos ("wzbogacony" mąką) na chlebie kukurydzianym pani Glazer.

Panierowany kurczak smażony w dużej ilości tłuszczu.

Smażone parówki z musztardą na bułeczkach.

Oczywiście Bucky przepadał za hamburgerami i cheeseburgerami, a Norma Jeane mogła jeść tylko mięso z frytkami i olbrzymią ilością keczupu.

(Mama Glazer ostrzegła Normę Jeane, że jeśli nie położy dość keczupu na jedzenie, trzeba się będzie liczyć z tym, że zniecierpliwiony Bucky chwyci za butelkę, uderzy w jej dno i opróżni ją co najmniej z połowy zawartości!

)

Za niektórymi potrawami Bucky nie przepadał, ale głodny - a Bucky zawsze był głodny - pochłaniał je niemal z takim samym apetytem jak dania ulubione: tuńczyka, makaron z serem, pastę z łososia i puszkowaną kukurydzę na toście, kurczaka w sosie śmietankowym z ziemniakami, cebulą i marchewką.

Pudding kukurydziany, pudding tapiokowy, pudding czekoladowy.

Galaretkę z owocami malwy.

Ciastka, drożdżówki, szarlotki.

Lody.

Och, gdyby tak nie było wojny i racjonowania żywności!

Tak niewiele otrzymywało się mięsa, masła i cukru.

Bucky wiedział, że nie była to wina Normy Jeane, ale jak kapryśne dziecko zdawał się winić ją: mężczyźni obwiniają kobiety za posiłki, które nie są w pełni zadowalające, tak samo jak za nie całkiem satysfakcjonujący seks; tak już jest ten świat urządzony, Norma Jeane Glazer, żona od niespełna roku, wiedziała o tym instynktownie.

Ale kiedy Bucky był zadowolony z posiłku, objawiał entuzjazm i Norma Jeane patrzyła na niego z radosnym przejęciem, tak jak dawno, dawno temu (pozornie: w rzeczywistości minęło niewiele miesięcy) patrzyła, jak nauczyciel w szkole średniej czytał napisane przez nią wiersze, na głos albo nawet cicho.

Bucky siedział przy kuchennym stole, przeżuwał, trzymając głowę pochyloną lekko nad talerzem, jego szeroka twarz o silnie zarysowanych kościach policzkowych błyszczała.

Gdy wracał z pracy, mył twarz, przedramiona i dłonie, moczył włosy i odgarniał je z czoła.

Zmieniał przepocone ubrania, wkładał czystą koszulkę i spodnie, albo czasem tylko bokserki.

Jakże egzotyczny wydawał się Bucky Glazer w swej męskości.

I ta głowa, która - jeśli światło padało w określony sposób - sprawiała wrażenie wymodelowanej w glinie, i kanciasty podbródek, miażdżące pokarm szczęki, chłapiące usta i szczerne piwne oczy - piękniejsze, myślała oszołomiona Norma Jeane, niż oczy wszystkich mężczyzn, których kiedykolwiek widziała z bliska, oczywiście nie biorąc pod uwagę filmów.

Chociaż pewnego dnia Bucky Glazer powie o niej, o swojej pierwszej żonie: Biedna Norma Jeane bardzo się starała, ale nie potrafiła niczego zrobić dobrze; te wszystkie potrawy pełne były brył sera i marchwi, na wszystkim keczub?

i musztarda.

Wyzna otwarcie: Nie kochaliśmy się; do licha, za młodzi by liśmy na małżeństwo.

Zwłaszcza ona.

Na drugie danie jadł wszystko.

Ulubione potrawy dostawał dopiero na trzecie.

- Kochanie, to jest wy-bor-ne!

Znowu ci się udało.

Potem podnosił ją w pękaty, umięśnionych ramionach Popeyea, za nim miała czas opłukać pod zlewem talerze; piszczła, przewidując, co ją czeka, jak gdyby na ułamek sekundy zapomniała, kim jest ten silny chłopak o wadze dwustu funtów wołający: "A mam cię, Maleńka!

" Zanosił ją do łóżka, stąpał przy tym tak ciężko, że drżała podłoga - z pewnością sąsiedzi po obu stronach słyszeli to, Harriet i jej koleżanki z sąsiednich mieszkań na pewno wiedziały, do czego zabierają się ci nowożeńcy - Norma Jeane obejmowała go za szyję niczym tonąca dziewczyna, Bucky zaczynał dyszeć jak ogier; śmiał się, ona wisiła na jego szyi, dusiła go jak zapaśnik; kopła i wiła się, kiedy z okrzykiem triumfu przygwałdzał jej ręce do łóżka, rozchyłał domową sukienkę albo ściągał z niej sweter i dotykał twarzą jej nagich, ślicznych piersi, miękkich, sprężystych piersi o różowobrazowych sutkach wyglądających jak galaretka, jej zaokrąglonego, zawsze bardzo ciepłego brzuszka pokrytego delikatnym jasnym puszkim, oraz błyszczących kasztanowych włosów u podstawy jej brzucha, poskręcanych, wilgotnych i wrażliwych na łaskotki, zadziwiającej gęstwiny jak na dziewczynę w jej wieku.

"Och, Laleczko.

Oooch".

Zazwyczaj Buckyego ogarniało tak duże podniecenie, że spuszczał się na uda Normy Jeane, co należało uznać za sposób kontroli urodzin, gdy nie miał pewności, iż zdąży w porę nałożyć prezerwatywę, bo nawet w chwilach namiętności był wystarczająco czujny, aby nie zapoczątkować nowego życia.

Lecz jak u ogiera po kilku minutach twardniał mu znowu, krew napływała do Wielkiego Interesu, jakby z od kręconego kurka z gorącą wodą.

Nauczył swoją nastoletnią żonę, jak się kochać, a ona okazała się pojętną, potem gorliwą uczennicą, czasem zaś, Bucky musiał to przyznać, jej namiętność trochę go przerażała, doprawdy odrobinę, tak wiele chciała ode mnie, od tego: miłości.

Całowali się, przytulali, łaskotali, wsuwali sobie języki do uszu.

Przywierali do siebie i sięgali po siebie.

Kiedy Norma Jeane próbowała uciec, gramoliła się z łóżka, Bucky rzucał się za nią, podnosił, wydając radosne dźwięki: "Znowu cię mam, Maleńka".

Z powrotem kładł ją na łóżko, w skotłowaną pościel, pokrzykując, śmiejąc się, dysząc i stękając; Norma Jeane też jęczała i płakała, o tak, i do diabła tam z wścibskimi sąsiadami zza ściany czy z górnego piętra, albo z ludźmi, którzy przechodzili za oknem, za niedbale opuszczonymi żaluzjami.

Czyż nie byli małżeństwem?

W obliczu Boga i Kościoła?

Czyż nie darzyli się miłością?

Czy nie mieli wszelkich praw, aby się kochać, kiedy i jak często przyszła im na to ochota?

Ależ tak, do cholery, mieli prawo!

Była słodkim dzieckiem, tylko bardzo uczuciowym.

Ciągle pragnęła miłości.

Wydawała się niedojrzała i nieodpowiedzialna, zresztą chyba podobnie jak ja; byliśmy zbyt młodzi.

Gdyby okazała się lepszą kucharką i była mniej uczuciowa, może by się nam lepiej ułożyło.

Mojemu Mężowi

Moja miłość do ciebie jest głęboka, Głębsza niż morze.

Bez ciebie, mój ukochany, Istnieć nie mogę.

Zimą na przełomie lat 1942 i 1943 - wojna na frontach w Europie i na Pacyfiku przebiegła fatalnie - Bucky Glazer stał się niespokojny, coraz częściej wspominał o zaciągnięciu się do marynarki wojennej, piechoty morskiej albo marynarki handlowej.

- Bóg nie bez powodu uczynił Stany Zjednoczone numerem jeden.

Musimy wziąć na siebie tę odpowiedzialność.

Norma Jeane patrzyła na niego z pogodnym, pustym uśmiechem na twarzy.

Wkrótce potem komisje poborowe zaczną powoływać do wojska "bez dzietnych" żonatych mężczyzn.

Sensownie byłoby zaciągnąć się na ochotnika, zanim Bucky zostanie powołany.

Pracował czterdzieści godzin tygodniowo w Lockheed i parę przedpołudni w domu pogrzebowym McDougala, asystując panu Eeleyowi.

("To niesamowite: ludzie ostatnio nie umierają tak często.

Bardzo wielu młodych mężczyzn wyjechało z Ameryki, a starsi chcą poczekać i zobaczyć, jak się rozstrzygnie ta wojna.

Przy niedoborze benzyny trudno jechać szybko i spowodować wypadek".) Doświadczenie w balsamowaniu mogło się przydać w służbie wojskowej.

Także umiejętności futbolowe, zapaśnicze, biegowe: Bucky Glazer był szkolną gwiazdą sportu, mógł trenować słabszych rekrutów.

Ponadto miał pewien talent do matematyki, w każdym razie do matematyki w wydaniu Mission Hills High School, potrafił naprawić radio, dobrze czytał mapy.

Co wieczór słuchał doniesień wojennych i w zamyśleniu czytał "L.A.

Times".

Raz na tydzień zabierał Normę Jeane do kina, głównie, aby obejrzeć kronikę filmową.

Ściany mieszkania wytapetował mapami Europy i Pacyfiku, kolorowymi pinezkami zaznaczał miejsca, gdzie stacjonowali znajomi: krewni, przyjaciele.

Nigdy nie komentował wiadomości o zabitych, zaginionych czy wziętych do niewoli, ale Norma Jeane wiedziała, że dużo o nich myśli.

Na Boże Narodzenie 1942 roku jeden z walczących kuzynów Buckyego przysłał mu w "prezencie" z jednej z Wysp Aleuckich czaszkę Japończyka.

Co za niespodzianka!

Bucky rozwinął paczkę, uniósł czaszkę w obu rękach Jak piłkę do koszykówki, gwizdnął przeciągle i zawołał do Normy Jeane, aby przysłała to zobaczyć.

Przybiegła do kuchni, spojrzała i o mało nie zemdląca.

Co to za obrzydliwość?

Głowa?

Ludzka głowa?

- To czaszka jakiegoś Japońca.

Jest okej - powiedział Bucky.

Chłopięcy rumieniec pokrył jego policzki.

Wsunął palce do niesamowicie dużych oczodołów.

Otwory nosowe także wydawały się nadzwyczaj duże i nie równe.

W górnej szczęce pozostały trzy albo cztery odbarwione zęby, dolnej szczęki nie było zaś wcale.

Przejęty i pełen zazdrości Bucky rzekł kilka razy: -Jezu!

Trevowi udało się wreszcie ograć starego Buckyego.

Norma Jeane uśmiechnęła się pogodnie, pustym uśmiechem, jak ktoś, kto nie rozumiał dowcipu albo udaje, że nie rozumiał; jak po paskudnym dowcipie Pirigów i ich przyjaciół, który miał wywołać rumieniec na twarzy Normy Jeane, ale go nie wywołał.

Widziała, jak bardzo jej mąż jest podekscytowany, i nie chciała psuć jego nastroju.

"Stary Hirohito" został umieszczony na honorowym miejscu, na radiu RCA Victor w salonie.

Bucky sprawiał wrażenie tak dumnego, jakby sam zdobył to trofeum na Wyspach Aleuckich.

Chciała być doskonała.

Bucky zasługiwał na to.

A miał wysokie wymagania!

I bystre oczy.

Co rano dokładne sprzątnięcie mieszkania w Verdugo Gardens.

Tylko trzy niewielkie pomieszczenia i łazienka wystarczająco duża, aby zmieścić wannę, umywalkę, muszlę klozetową.

Miała sprzątać te pokoje w skupieniu i z poświęceniem religijnego żebraka.

Nie uważała za ironiczne słów: Żona Buckyego Glazera nie będzie pracować.

Nigdy.

Uważała, że praca kobiety w domu nie jest tak naprawdę pracą, tylko świętym obowiązkiem i przywilejem.

"Dom" uświęcał każde wydatkowanie sił duchowych i fizycznych.

Glazerowie często wyrażali przekonanie, które w jakiś niejasny sposób wynikało z ich chrześcijańskich poglądów, że żadna kobieta, zwłaszcza żona, nie powinna pracować poza "domem".

Nawet podczas kryzysu, kiedy część rodziny (Bucky nie znał szczegółów, zażenowany i zawstydzony, a Norma Jeane nie chciała niczego od niego wyciągać) mieszkała w samochodzie i namiocie gdzieś w

San Fernando Valley, nawet wówczas jedynie mężczyźni członkowie rodziny "pracowali", także dzieci, w tym niepełnoletni Bucky.

Duma, męska duma nie pozwalała, aby kobiety Glazerów pracowały poza "domem".

Norma Jeane zapytała niewinnie:

- Ale teraz toczy się wojna, czy to wszystkiego nie zmienia?

Jej pytanie zawisło w powietrzu, nie docierając do nikogo.

Nie moja żona.

Nigdy!

Być obiektem męskich pragnień, to wiedzieć: Ja istnieję!

Wyraz oczu.

Twardnienie kutasa.

Choć jesteś nikim, jesteś pożądana.

Chociaż nie chciała cię matka, jesteś pożądana.

Chociaż nie chciał cię ojciec, jesteś pożądana.

Fundamentalna prawda o moim życiu - nieważne, czy to rzeczywiście prawda, czy parodia prawdy: kiedy mężczyzna cię pragnie, jesteś bez pieczna.

Bardziej wyraziście niż gorące towarzystwo młodego męża zapamięta miłe poranki rozciągające się po wczesne popołudnia w tym ocienionym, niemal sekretnym mieszkaniu, wcale nie spokojnym (bo Verdugo Gardens to miejsce hałaśliwe jak koszary: dzieci krzyczą na dworze, niemowlęta płaczą, radia nastawione głośniej niż odbiornik Normy Jeane): rytmiczne, powtarzalne, hipnotyzujące rozkosze prac domowych.

Zdumiewające, jak szybko zwierzęcy umysł przyzwyczajał się do narzędzia trzymanego w ręku:

szczotki do dywanów, miotły, zmywaka, skrobaka.

(Młodzi Glazerowie nie mogli sobie jeszcze pozwolić na odkurzacz.

Ale to się miało wkrótce zmienić, Bucky obiecał!

) W salonie leżał na podłodze prostokątny dywanik, a właściwie chodniczek w kolorze purpurowo-niebieskim, o wymiarach sześć na osiem stóp, resztką kupioną za osiem dolarów dziewięćdziesiąt osiem centów, i właśnie po tym dywaniku Norma Jeane jak w transie przesuwała mechaniczną szczotką do odkurzania.

Pojedyncza nitka płótna opatrunkowego wywoływała podniecenie: oto była - skaza - a teraz już jej nie ma!

Norma Jeane uśmiechnęła się.

Może przypomniawsza sobie Gladys, do broduzną, prawie kochającą, zajmującą się tym czy tamtym (ale nie pracami domowymi), oszołomioną, a nawet więcej niż oszołomioną - Norma Jeane rozumiała teraz, że umysł matki wytwarzał własne, niepowtarzalne i celowe substancje chemiczne.

O to chodziło: roztopić się bez reszty w bieżącej chwili.

Stopić się w jedno z działaniem.

Cokolwiek to jest: ten cud, który jest przede mną.

Pchać ciężką szczotkę do dywanów tam i z po wrotem, tam i z powrotem.

Potem w łazience czyściła jeszcze mniejszy dywanik, o owalnym kształcie, podśpiewując do muzyki płynącej z radia, nadawanej przez popularną w Los Angeles stację.

Miała głos miękki, nie równy, lekki, radosny.

Przypomniała sobie lekcje u Jess Flynn i uśmiechnęła się na myśl o poważnych nadziejach Gladys związanych z jej śpiewaniem, coś takiego, Norma Jeane śpiewaczką!

Było to zabawne, tak samo jak lekcje gry na fortepianie u Clivea Pearcea.

Biedaczek, krzywił się i silił na uśmiech, kiedy Norma Jeane grała albo próbowała grać.

falą wstydu na płynęło całkiem świeże wspomnienie o żenującym występie podczas przesłuchania kandydatów do roli w uczniowskim przedstawieniu - co to było?

- Nasze miasto.

To wspomnienie nie wywołało uśmiechu.

Wzrok pełen szyderstwa, władczy głos pewnego siebie nauczyciela.

Wątpię jednak, czy pan Thornton Wilder zgodziłby się z tobą.

Ten człowiek miał oczywiście

te rację!

Teraz przepadała za szczotką do dywanów, ślubnym prezentem od jednej z ciotek Buckyego.

Od kogoś z jego rodziny dostała mopa z drewnianą rączką oraz plastikowe zielone wiadro z wycymaczką.

Owe instrumenty miały jej pomóc w osiągnięciu doskonałości.

Wycierała i polerowała strasznie zdeptane linoleum w kuchni.

Wycierała i polerowała wyblakłe linoleum w łazience.

Specjalną gąbką zręcznie i fanatycznie szorowała zlewy, blaty, wannę i muszlę klozetową.

Niektóre z tych rzeczy nigdy nie będą czyste ani nawet prawie czyste.

Zapuszczone bezpowrotnie przez poprzednich lokatorów.

Potem szybko zmieniała pościel, wietrzyła materac, po duszki.

Co tydzień dźwigała pranie do pobliskiej pralni samoobsługowej.

Wracała z transportem wilgotnych rzeczy i rozwieszała je na linie za oknem.

Uwielbiała prasować, cerować.

Bucky był "bezwzględny, jeżeli chodzi o ubrania", jak Bess Glazer z powagą przestrzegła synową, ale temu wyzwaniu Norma Jeane zdecydowana była sprostać z nie słabnącym zapałem i optymizmem: cerowała skarpety, koszule, spodnie, bieliznę.

W szkole średniej nauczyła się robić na drutach rzeczy przeznaczone dla uwikłanych w wojnę Brytyjczyków, a teraz, kiedy miała czas, ku zdziwieniu swego męża robiła wciągany przez głowę sweter według wzoru, który dostała od pani Glazer.

(Tego swetra Norma Jeane nigdy nie skończy, bo ciągle będzie pruła to, co zrobi, niezadowolona z efektu.)

Pod nieobecność Buckyego w domu Norma Jeane przykrywała czaszkę Japończyka na radiu jednym ze swoich szali.

Zdejmowała go tuż przed powrotem męża.

Co jest tutaj pod spodem?

- zapytała pewnego dnia Harriet i uniosła szal, nim Norma Jeane mogła ją ostrzec.

Kiedy Harriet zobaczyła czaszkę, zmarszczyła swój nos mopsa.

Ale zaraz opuściła szal z powrotem na to samo miejsce.

- Och, Chryste, to jedna z nich.

Z największym oddaniem Norma Jeane odkurzała liczne zdjęcia i fotki ozdabiające salon.

W większości były to fotografie ślubne, błyszczące, pokolorowane, w mosiężnych ramkach.

Od ślubu minął niespełna rok, a Bucky i Norma Jeane zdążyli zgromadzić wiele szczęśliwych wspomnień.

Czy to zapowiedź dobrej przyszłości?

Normę Jeane uderzyło, że fotografie rodzinne w domu Glazerów zajmują dosłownie każdą wolną powierzchnię.

Prapradziadkowie Buckyego i mnóstwo niemowląt!

Norma Jeane z zachwytem ujrzała, jak z pyzatego bobasa z otwartą buzią, trzymanego w młodzińczych ramionach Bess Glazer w roku 1921, Bucky zmienił się w silnego młodego byczka, mężczyznę, jakim był w roku 1942.

Najlepszy dowód, że Bucky Glazer istniał i był hołubiony!

Norma Jeane po nielicznych wizytach w domach koleżanek ze szkoły w Van Nuys zapamiętała, że ich rodziny też z dumą prezentowały swoje wizerunki na stołach, fortepianach, parapetach i ścianach.

Nawet Elsie miała kilka wybranych zdjęć Pirigów, młodszych i pogodniejszych.

Norma Jeane była nieprzyjemnie zaskoczona, uświadomiwszy sobie, że tylko Gladys nigdy nie miała żadnej rodzinnej fotografii oprawionej i wystawionej na pokaz, poza tą jedną z ciemnowłosym mężczyzną, który był podobno ojcem Normy Jeane.

Roześmiała się lekko.

Najprawdopodobniej był to zwykły fotos reklamowy z Wytwórni.

Nikt, kogo Gladys dobrze znała.

"Dlaczego miałabym się przejmować?"

Wcale się nie przejmuję".

Jako mężatka Norma Jeane rzadko myślała o ojcu czy o Ciemnowłosym Księżciu.

Jeśli myślała o Gladys, to nie inaczej jak o dalekiej krewnej nieod wracalnie podupadłej na zdrowiu.

A musiała inaczej?

Dwanaście oprawionych zdjęć.

Kilka scen z plaży, Bucky i Norma Jeane w strojach kąpielowych stoją obok siebie i obejmują się w pasie; Bucky i Norma Jeane z przyjaciółmi Buckyego podczas spotkania przy grillu; Bucky i Norma Jeane opierają się swobodnie o chłodnicę packarda z 1938 roku.

Jednakże najbardziej fascynujące były zdjęcia ślubne.

Przedstawiły olśniewająco uśmiechniętą pannę młodą w białej satynowej sukni, z panem młodym w wizytowym garniturze i krawacie, o włosach wypomadowanych i zaczesanych do tyłu, o doskonałym profilu Jackiego Coogana.

Wszyscy się zachwycali, jaką to tworzą atrakcyjną młodą parę i jak bardzo się kochają.

Nawet ksiądz ocierał oczy.

Mimo wszystko byłam okropnie przerażona.

Choć wcale tego nie widać.

Norma Jeane podeszła do ołtarza, odprowadzana przez jednego z przyjaciół rodziny Glazerów (Warren Pirig nie chciał wziąć udziału w uroczystości), czuła w uszach pulsowanie krwi, ciężar w żołądku.

Przy ołtarzu zachwiała się w pantofelkach na wysokich obcasach, które ją uciskały (o pół numeru za małe, ale w sklepie z używaną odzieżą cena była nie do odrzucenia); patrzyła z tym swoim słodkim uśmiechem - dołki w policzkach - na duchownego, intonującego przez nos wyuczone na pamięć słowa, i przyszło jej do głowy, że Groucho Marx odegrał by tę scenę z większym polotem, bardziej zabawnie poruszając sztucznymi brwiami i węsami.

Czy ty, Normo Jeane, chcesz pojąć tego mężczyznę... Nie wiedziała, co to pytanie znaczy.

Potem odwróciła się albo została do tego zmuszona, bo chyba Bucky trącił ją łokciem, ujrzała mężczyznę, który stał obok niej, oblizując nerwowo usta jak współsprawca przestępstwa, i jakoś zdołała wykrztusić szeptem: T...tak, a Bucky odpowiedział śmieiej, dostatecznie głośno, aby go słyszano w całym kościele: Pewnie, że tak.

Potem chwilę trwało wkładanie obrączki ślubnej, która jednak doskonale pasowała na jej palec; pani Glazer, która zwykła myśleć o wszystkim zawczasu, dopilnowała, aby pierścionek zaręczynowy został przeniesiony na prawą rękę, więc ta część ceremonii przebiegła płynnie.

Taksie bałam.

Chciałam uciekać.

Ale dokąd?

Inna ulubiona fotografia przedstawiała pana młodego i pannę młodą podczas dzielenia trzy poziomowego tortu weselnego.

To było na przyjęciu w restauracji na Beverly Hills.

Duża, sprawna dłoń Buckyego nad szczupłymi palcami Normy Jeane zamkniętymi na ręczce noża o długim ostrzu, para młodych ludzi szeroko uśmiechniętych do obiektywu.

Do tego momentu Norma Jeane zdążyła już wypić pierwszy kieliszek szampana - możliwe że nawet dwa - natomiast Bucky wypił i szampana, i piwo.

Było tu też zdjęcie ukazujące nowożeńców w tańcu i zdjęcie packarda Buckyego ozdobionego kolorową bibułką, girlandami i napisem NOWOŻEŃCY, para młoda machała na pożegnanie przez okno.

Te i inne fotografie Norma Jeane wysłała Gladys do szpitala w Norwalk.

Dołączyła do nich pogodny liścik:

Wszyscy bardzo żałujemy, że nie mogłaś być na moim ślubie, Mamo.

Szkoda, ale oczywiście wszyscy rozumieją.

To był najcudowniejszy, najcudowniejszy dzień w moim życiu.

Gladys nie odpowiedziała, ale Norma Jeane nie liczyła na odpowiedź.

"Dlaczego miałabym się przejmować?"

Wcale się nie przejmuję".

Wcześniej nigdy nie piła szampana.

Jako wyznawczyni Christian Science nie aprobowała picia, lecz wesele to szczególna okazja, prawda?

Wspaniały ten szampan, gaz magicznie uderza w nozdrza, ale nie spodobało jej się, że potem stała się beztroska, chichotała i straciła panowanie nad sobą.

Bucky upił się szampanem, piwem i tequilą i niespodziewanie zwymiotował, gdy tańczyli, ubrudził dół jej ślicznej, białej satynowej sukni.

Na szczęście Norma Jeane i tak miała się przebrać przed wyjazdem na noc poślubną do hotelu przy Morro Beach.

Pani Glazer czym prędzej zwilżyła serwetki i wytarła większość cuchnących plam.

Narzekła przy tym: "Bucky!"

Wstydź się.

Przecież to sukienka Lorraine".

Bucky okazał chłopięcą skrucę i na tychmiast wszystko zostało mu wybaczone.

Przyjęcie trwało.

Wynajęta orkiestra znowu zaczęła głośno grać.

Norma Jeane, teraz boso, tańczyła z mężem kolejny raz.

DontGetAround Much Anymore, This Cant Be Love, The Girl ThatIMarry.

Sunęli w tańcu po parkiecie, potrącając inne pary, wybuchali śmiechem.

Błyskały flesze.

Wokół wirowało konfetti, kręciły się balony, sypał ryż.

Niektórzy szkolni koledzy Buckyego rzucali balony wypełnione wodą i przód koszuli Buckyego całkiem przemókt.

Podano ciasto z truskawkami i bitą śmietaną.

Przez przypadek Buckyemu spadły z łyżeczki truskawki w słodkim syropie na rozkloszowany dół białej Inianej sukienki, w którą Norma Jeane właśnie się przebrała.

"Bucky, ale wstyd".

Matka pana młodego była zgorzozona, lecz pozostali (w tym państwo młodzi) śmiali się.

Znowu przystąpiono do tańców.

W powietrzu unosiła się świąteczna mieszanina zapachów.

Tea for Two, In the Shade of the Old Apple Tree, Begin the Beguinezera - jego twarz błyszczała jak błotnik motocykla - próbującego tańczyć tango!

Szkoda, że nie mogłaś być na moim ślubie.

Myślisz, że się przejmuję?

Akurat, jak jasna cholera.

Bucky i jego starszy brat Joe śmiali się.

Elsie Ping, ubrana w jaskrawozieloną taftę - z rozmazaną szminką na ustach - ścisnęła Normie Jeane rękę na pożegnanie i wymusiła na niej obietnicę, że dziewczyna zadzwoni następnego dnia i że z Buckyem odwiedzi Elsie zaraz po powrocie z czterodniowej podróży poślubnej.

Norma Jeane znowu zapytała, dlaczego Warren nie przyszedł na ślub, choć Elsie zdążyła już wyjaśnić, że zatrzymały go pilne sprawy związane z prowadzeniem interesu.

"Przesyła ci najlepsze życzenia, słodziutka.

Na pewno będzie nam ciebie brakowało".

Także Elsie, niższa od Normy Jeane o dwa cale, miała za ciasne buty.

Nagle wyciągnęła szyję i pocałowała Normę prosto w usta, namiętnie.

Żadna kobieta nigdy jej w ten sposób nie całowała.

Dziewczyna poprosiła błagalnie: "Ciociu Elsie, mogłabym pójść dziś na noc do twojego domu?

Tylko na jedną noc.

Powiedziałabym Buckyemu, że nie spakowałam wszystkich swoich rzeczy.

Okej?

Och, proszę!

" - Elsie roześmiała się, jak gdyby to był tylko żart, i pchnęła Normę Jeane w stronę pana młodego.

Nadeszła chwila, kiedy para nowożeńców powinna odjechać do hotelu na noc poślubną.

Bucky nie śmiał się z Joe, tylko się z nim kłócił.

Joe próbował odebrać Buckyemu kluczyki od samochodu, a Bucky powtarzał: "Mogę prowadzić, do diabła, jestem człowiekiem żonatym!

" Jazda na wybrzeże trochę ją przerażała.

Mgła znad oceanu dotarła do drogi i packard często przekraczał środkową linię szosy.

Norma Jeane myślała już jasno i oparła głowę na ramieniu Buckyego, gotowa w razie potrzeby chwycić za kierownicę.

W Loch Raven Motor Court nad zasnutym mgłą oceanem, teraz już w ciemności, Norma Jeane pomogła wysiąść Buckyemu z wesoło przystrojonego samochodu.

Oboje potknęli się, poślizgnęli, niewiele brakowało, a przewróciliby się w odświętnych ubraniach na żuźlowym podjeździe.

W domku pachniało środkiem na insekty, po narzucie biegały długonogie kosarze.

- Kurczę, te są niegroźne - powiedział pogodnie Bucky, starając się trafić jednego pięścią.

- Dopiero skorpiony mogą cię zabić.

Albo brązowy pająk pustelnik.

Ugryzie cię taki w tyłek i po tobie.

- Roześmiał się hałaśliwie.

Musiał skorzystać z łazienki.

Zaprowadziła go do toalety, podtrzymując w pasie.

Czuła się bardzo zażenowana.

Pierwszy raz zobaczyła mężowski penis, który do tej pory tylko czasami czuła, kiedy ją nim Bucky szturczał, dotykał albo ocierał się.

Ten widok był dla niej pewnym wstrząsem - penis napęczniały od moczu, parującego i uderzającego o ściankę muszli klozetowej.

Norma Jeane zamknęła oczy.

Tylko Rozum jest rzeczywisty.

Bóg jest miłością.

Miłość uzdrawia.

Wkrótce potem ten sam penis dźgał Normę Jeane, wdzierał się do środka przez wąski otwór między jej nogami.

Bucky na zmianę poczynął sobie to metodycznie, to frenetycznie.

Naturalnie Norma Jeane była na to przygotowana, przynajmniej w teorii; rzeczywiście, ból był niewiele większy niż przy zwykłych menstruacyjnych skurczach, tak jak Elsie Pirig przewidywała.

Tylko że był ostrzejszy, jak śrubokręt.

Znowu zamknęła oczy.

Tylko Rozum jest rzeczywisty.

Bóg jest miłością.

Miłość uzdrawia.

Nieco krwi znalazło się na papierze toaletowym, który Norma Jeane pedantycznie rozłożyła na pościeli, ale była to jasna, świeża krew, a nie ciemniejsza i bardziej cuchnąca.

Och, gdyby tak mogła wziąć kąpiel!

Zanurzyć się w gorącej, kojącej kąpieli!

Ale Buckyemu brakowało cierpliwości, Bucky chciał spróbować znowu.

Miał prezerwatywę, z wyglądu zleżałą, którą ciągle wypuszczał z rąk, przeklinając: "Cholera".

Twarz mu poczerwieniała jak dziecięcy balon napompowany do granic możliwości.

Norma była zbyt zakłopotana, aby pomóc mu z prezerwatywą, to była dopiero jej noc poślubna, nie mogła przestać drżeć, trząść się, a to dodatkowo jeszcze bardziej wytrącało ją z równowagi - wszystko było inne niż to, czego się spodziewała: ona i Bucky byli tacy nieporadni wobec wzajemnej nagości.

Nic nie przypominało jej własnej nagości w lustrze.

Nic nie przypominało nagości, jakiej się spodziewała.

Ta nagość była niezdarna, pełna mlaskania, złana potem.

Tłoczna.

Jak gdyby znalazło się w łóżku więcej osób, nie tylko ona i Bucky.

W minionych latach drżała na widok Magicznej Przyjaciółki w lustrze, uśmiechała się, mrugała do niej i poruszała się w rytm odtwarzanej w wyobraźni muzyki jak Ginger Rogers, tylko że nie potrzebowała partnera ani do tańca, ani do szczęścia.

Teraz było inaczej.

Wszystko działo się zbyt szybko.

I już nie przypuszczała, że kiedyś zacznie nadążać za tym, co się dzieje.

Och, wolała, żeby już było po wszystkim, mogłaby się wtulić w ramiona męża i spać, spać, spać, może śnić o dniu ślubu, o nim.

"Kochanie, mogłabyś mi pomóc?"

Proszę cię".

Bucky całował ją raz po raz, trafiając zębami na jej zęby, jakby chciał czegoś dowieść w sporze.

Gdzieś niedaleko na plaży załamywały się fale, co zabrzmiało jak nieco szyderczy aplauz.

"Chryste, kochanie, kocham cię.

Jesteś taka słodka, taka dobra, taka piękna.

No, dalej!

" - Łóżko zakołysało się.

Wyboisty materac zaczął się niebezpiecznie przesuwac na jedną stronę.

Powinni rozłożyć świeży papier toaletowy, ale Bucky nie zwracał na to uwagi.

Norma Jeane piszczała, usiłowała się roześmiać, lecz Bucky nie był w nastroju do śmiechu.

Jedna z ostatnich porad Elsie Pirig brzmiała: Tak naprawdę, to musisz się starać o jedno, schodzić im z drogi.

Norma Jeane powiedziała wtedy, że to nie brzmi zbyt romantycznie, na co Elsie odwarknęła: Kto powiedział, że takie ma być. Mimo wszystko teraz Norma Jeane zaczynała pojmować.

W natarczym kochaniu Buckyego było coś dziwnie bezosobowego, coś zupełnie innego niż ich zachłanne, gorączkowe, przedłużane pieszczoty w minionych miesiącach.

Normę Jeane piekło między nogami, na udach Buckyego znalazła się rozmazana krew; można by pomyśleć, że wystarczy jak na jedną noc, lecz Bucky ani myślał się poddać.

Znowu zdołał trafić w kreskę między jej udami.

Z prezerwatywą czy bez, dostał się nieco głębiej niż za pierwszym razem - teraz łóżko trzęsło się pod nimi - pojękiwał i nagle wierzgnął jak koń postrzelony w pełnym galopie.

Na jego twarzy pojawił się grymas, oczy przewróciły, aż ukazały białka.

Bucky ni to parsknął, ni pisnął: Jezu"!

Po czym osunął się w ramiona Normy Jeane, zapadł w głęboki sen i po chwili zachrapał.

Norma Jeane skrzywiła się z bólu i starała znaleźć wygodniejszą pozycję.

Łóżko było za małe, chociaż podwójne.

Tkliwie pogładziła błyszczące, zroszone potem czoło Buckyego, umięśnione ramiona.

Lampka nocna była zapalona i światło raziło ją w zmęczone oczy, ale nie mogła do niej sięgnąć, nie niepokojąc Buckyego.

Och, gdyby tak mogła wziąć kąpiel!

Oto czego naprawdę pragnęła: kąpieli.

I zależało jej, by zrobić coś z pogniecionym prześcieradłem, które było bardzo wilgotne.

Kilka razy podczas tej długiej nocy - która przeszła w inny dzień, 20 czerwca 1942 roku, w zamglony, prawie ciemny ranek - Norma Jeane budziła się z bólem głowy i zawsze Bucky Glazer, nagi i chrapiący, przygniatał ją do łóżka.

Podnosiła głowę, aby zobaczyć jego długą sylwetkę.

Mąż.

Jej mąż!

Był jak wyrzucony na brzeg wieloryb, nagi, owłosione nogi rozrzucił w poprzek łóżka.

Usłyszała swój śmiech, śmiech wystraszonej dziewczynki, przypomniała sobie dawno utraconą lalkę, którą tak bardzo kochała, lalkę bez imienia, chyba że imię to brzmiało "Norma Jeane", lalkę o miękkich, pozbawionych kości nogach, miękkich stopach.

Opowiedz mi o swojej pracy.

Tato.

Ale nie miała na myśli pracy w zakładach Lockheed.

Usadowiła się wygodnie jak kot na kolanach Buckyego - w krótkiej koszulce, bez majteczek - objęła go za szyję i dmuchając ciepłym powietrzem wprost do jego ucha, starała się rozproszyć jego uwagę, skupioną dotychczas na nowym wydaniu "Lifeu" ze zdjęciami zmęczonych amerykańskich żołnierzy stacjonujących na Wyspach Salomona; na Nowej Gwinei przebywał generał Eichelberger i jeszcze bardziej udręczeni, wychudli, zarośnięci, czasem ranni mężczyźni; były tam także fotografie hollywoodzkich artystów "podnoszących żołnierskie morale": Marleny Dietrich, Rity Hayworth, Marie McDonald, Joe E.

Browna i Boba Hopea.

Norma Jeane wzdygnęła się, obejrzawszy zdjęcia wojenne z bliska, inne przestudiowała bardziej starannie, potem zaś zaczęła się niecierpliwić, bo Bucky wciąż czytał magazyn.

Opowiedz mi o swojej pracy z panem Eeleyem - szepnęła, a Bucky poczuł dreszcz przerażenia i ekscytacji.

Właściwie nie był wstrząśnięty, nie był też pruderyjny, tak, Bucky Glazer na pewno nie był pruderyjny, wiele razy opowiadał kumplom makabryczne historie związane z robotą przy balsamowaniu zwłok; ale żadna dziewczyna ani kobieta nigdy go nie wypytywała o szczegóły; w końcu człowiek zdaje sobie sprawę, że większość ludzi nie chce nic wiedzieć - wielkie dzięki!

Ale oto miał tutaj małąletnią żonę, która wierciła się na jego kolanach, szeptała: Opowiedz mi.

Tato, jakby musiała wiedzieć najgorsze, więc Bucky przemówił możliwie lekkim tonem, nie wdając się za bardzo w szczegóły; opisał zwłoki, nad którymi pracowali tego ranka, przygotowując je do wystawienia: zwłoki kobiety po pięćdziesiątce, która umarła na raka wątroby; jej twarz miała chorobliwą, intensywnie żółtą barwę; kilka razy musieli wcierać w nią krem, rozprowadzać

pędzelkiem specjalny barwnik, potem jednak poszczególne warstwy wyschły nierówno, tak że biedaczka wyglądała niczym ściana, od której odchodzi farba, i musieli zaczynać od nowa; jej policzki były tak zapadnięte, że dolną część twarzy musieli wypchać od wewnątrz wacikami, zszyć kąciki ust, unieruchomić je i w rezultacie nadać twarzy pozór spokoju.

No, może nie wyszedł z tego uśmiech, ale "prawie uśmiech", jak mawia pan Eeley.

Uśmiech w tej sytuacji nie byłby na miejscu.

Norma Jeane zadrżała, ale chciała wiedzieć, jak przygotowali oczy zmarłej, pomalowali je?

Bucky wyjaśnił, że przede wszystkim musieli wstrzyknąć pewien roztwór, aby wypełnić puste przestrzenie i skleić powieki.

Nikt przecież nie chce, aby podczas wystawienia otworzyły się zmarłemu powieki.

Podstawowe zajęcia Buckyego polegało na odciąganiu krwi i wprowadzaniu do żył płynu balsamującego.

Cała część artystyczna była dziełem pana Eeleya, który przystępował do pracy, kiedy ciało zostało już wzmocnione - "odbudowane".

Do niego należało podkręcenie rzęs, pomalowanie ust, pielęgnacja paznokci, które, bywało i tak, nigdy wcześniej nie były pielęgnowane.

Norma Jeane zapytała, czy kiedy Bucky zobaczył tamtą kobietę po raz pierwszy, wyglądała ona na przestraszoną, smutną czy zbolełą, a Bucky trochę skłamał, odpowiedział, że nie, wyglądała "jakby spała - zmarli przeważnie tak wyglądają".

(W rzeczywistości kobieta wyglądała, jakby próbowała krzyknąć, spod jej warg wystawały zęby, twarz miała skrzywioną, wykręconą jak ścierka; oczy pozostały otwarte, zasnuwane śluzem.

Już wtedy, zaledwie kilka godzin po śmierci, zaczęła wydzielać drażniący nozdrza odór zepsutego mięsa.) Norma Jeane przytuliła się do Buckyego tak mocno, że chłopak ledwo mógł oddychać, ale nie miał serca uwolnić się od tego uścisku.

Nie miał serca zepchnąć Normy Jeane z kolan i zanieść na sofę, chociaż ciężar jej gorącego ciała sprawił, że zdrętwiało mu lewe udo.

Biedak.

Nie mógł oddychać.

Naprawdę ją kochał.

To uczucie było jak formaldehydowy zapach wchłonięty przez skórę, przez cebulki włosów.

Nawet jeśli chciałby uciec, to dokąd?

Innym razem zapytała go, w jaki sposób umarła tamta kobieta, i Bucky jej powiedział.

Zapytała, ile miała lat, i Bucky rzucił jakąś liczbę wziętą z sufitu: "Pięćdziesiąt sześć".

Wydawało mu się, że jego młoda żona liczy, odejmuje swoje lata od pięćdziesięciu sześciu.

Potem trochę się odprężyła, westchnęła i powiedziała, jakby myślała na głos: "W takim razie zostało jeszcze dużo czasu".

Roześmiała się, to było takie łatwe.

Zagadka jak z bajki, a ona znała odpowiedź.

Kim jestem?

Kobietą zamężną.

Kim nie jestem?

Dziewicą.

Pchała popiskujący wózek przez mały, zaniedbany park.

Możliwe, że nie był to wcale park.

Na ziemi leżały kawałki palmowego drzewa i inne śmieci.

Ale i tak była bardzo zadowolona!

Szczęście wypełniało ją po brzegi:

oto, kim jestem; to, co robię, jest tym, kim jestem.

Coraz bardziej uwielbiała ten rytuał odbywający się wczesnym popołudniem.

Śpiewała przypiętej do wózka małej Irinie.

Popularne piosenki, fragmenty kołysanek Babci Gąski.

Gdzie indziej rozgrywał się przerażający dramat Stalingradu: luty 1943.

Masakra.

W południowej Kalifornii była po prostu zima: chłodne, suche po wietrze i zazwyczaj słoneczna pogoda.

Ale śliczne dziecko!

- wołały twarze.

Norma Jeane coś mruzczała, uśmiechała się, rumieniła.

Ojej...

dziękuję.

Czasem twarze mówiły: Śliczne dziecko, śliczna matka.

Norma Jeane tylko się uśmiechała.

Jak ma na imię twoja dziewczynka?

pytano ją wiele razy, na co odpowiadała z dumą: Irina, prawda, kochanie?

Pochylała się, aby pocałować dziewczynkę w policzek albo dotknąć miękkich, pulchnych paluszków, które zamykały się szybko i mocno wokół jej palców.

Czasami twarze mówiły uprzejmie: Irina to takie niespotykane imię; obcego pochodzenia?

a Norma Jeane odpowiadała pod nosem: Tak się zdaje.

Pytana o wiek dziecka, wyjaśniała: Prawie dziesięć miesięcy, w kwietniu będzie miała roczek.

Twarze rozjaśniał pogodny uśmiech.

Musisz być bardzo dumna.

Norma Jeane potwierdzała: Och, tak, jestem, to znaczy jesteśmy.

Zdarzało się, że wścibskie, natrętne twarze pytały: Czy twój mąż...?

Wtedy Norma Jeane mówiła czym prędzej: Jest za oceanem.

Daleko.

W Nowej Gwinei.

Rzeczywiście, ojciec Iriny był w miejscu nazywanym Nową Gwineą.

Porucznik armii Stanów Zjednoczonych.

Właściwie "zaginął".

Oficjalnie "za ginął w akcji" w grudniu zeszłego roku.

Norma Jeane nie mogła o tym myśleć.

Póki śpiewała Irinie Little Baby Bunting i Three Blind Mice, nic innego nie było ważne.

Tak długo, jak maleńka blondyneczka uśmiechała się do niej, szczebiotała i ścisnęła jej palce, mówiła do niej "mama" niczym młoda papużka, która właśnie nauczyła się mówić, nie liczyło się nic innego.

Z tobą

świat się nowy rodzi.

Przed tobą nie było nic.

Matka patrzyła na dziecko.

Przez długą chwilę nie mogła wykrztusić słowa.

Bałam się, że wybuchnie płaczem albo odwróci się i zasłoni twarz.

Potem zobaczyłam, że jej twarz promienieje szczęściem.

Zdumieniem, że szczęście przyszło po tylu latach.

Wokół rosła trawa.

Byłyśmy prawdopodobnie na łące za szpitalem.

Wszystkie barwy stanowiły odcienie brązu.

Z oddali szpitalne zabudowania wydawały się pozbawione ostrych konturów.

Nie widziałam ich wyraźnie.

Matce polepszyło się do tego stopnia, że korzystała z podstawowych przy wilejów, poruszała się bez nadzoru.

Siadywała na ławce i czytała poezję, głośnym szeptem wypowiadała drogocenne słowa.

Albo wychodziła na przechadzkę i szła przed siebie, póki jej nie zatrzymali.

Nazywała ich "łapaczami".

Ale nie z nienawiścią.

Potwierdzała, że była chora, że terapia wstrząsowa przyniosła poprawę.

Zgadzała się, że potrzebuje czasu, by dojść do siebie.

Naturalnie wokół szpitala wznosił się wysoki mur.

Dzień był zimowy, wietrzny, gdy przyjechałam, aby pokazać Matce moje dziecko.

Nie obawiałam się, że zrobi mu coś złego.

Sama włożyłam je do jej rąk.

W końcu Matka zaczęła płakać, przyciskając dziecko do spłaszczonej piersi.

Lecz były to łzy szczęścia, nie żalu.

Och, moja najdroższa Normo Jeane - powiedziała Matka - tym razem się uda.

W Yerdugo Gardens mieszkało wiele młodych kobiet, których mężowie popłynęli na wojnę.

Byli w Wielkiej Brytanii, Belgii, Turcji, w północnej Afryce.

Na Guam, na Aleutach, w Australii, w Birmie, w Chinach.

O tym, dokąd mężczyzna został wysłany, decydował czysty przypadek.

Nie rządziła tym ani logika, ani zasada słuszności.

Niektórzy mężczyźni stale stacjonowali w bazach, zajmowali się wywiadem, łącznością, pracowali w szpitalach albo zajmowali się zaopatrzeniem.

Mogło się zdarzyć, że przydzielono ich do służb kurierskich.

Albo do budowania umocnień.

Wraz z upływem miesięcy, a potem lat stało się jasne, że żołnierze biorący udział w drugiej wojnie światowej dzielą się na dwie podstawowe grupy: ci, którzy naprawdę walczyli na froncie, i ci, którzy nie walczyli.

Okazało się, że są dwie kategorie ludzi zaplątanych w wojnę: ci, którzy mieli szczęście, i ci, którzy go nie mieli.

Jeśli byłaś jedną z pechowych żon, mogłaś nie okazywać zgorzknienia i przygnębienia, co wyszłoby ci na korzyść.

Ludzie mówiliby o tobie: Czyż ona nie jest dzielna?

Ale przyjaciółka Normy Jeane, Harriet, była ponad to wszystko.

Harriet nie była dzielna, Harriet w ogóle nie starała się kryć zgorzknienia.

Przez większość czasu, kiedy Norma Jeane spacerowała, wożąc Irinę w wózku, matka Iriny leżała wyczerpana na brudnej sofie w salonie, który dzieliła z dwiema innymi żonami żołnierzy; żaluzje były tam opuszczone i nie grało radio.

Nie grało radio!

Norma Jeane w żaden sposób nie wytrzymałaby nawet pięciu minut bez włączonego radia.

No, ale Bucky przebywał nie dalej niż w odległości trzech mil, w Lockheed.

Zadanie Normy Jeane polegało na tym, aby zawołać pogodnie: "Harriet, cześć!

Wróciłyśmy".

Nawet jeżeli Harriet odpowiadała, jej głosu nie było słychać.

"Miałyśmy z Iriną wspaniały spacer".

Następnie Norma Jeane rozpoczynała opowieść, utrzymując ten sam pogodny ton, wyjmując Irinę z wózka i wnosząc ją do środka.

"Chyba się ze mną zgodzisz, serduszko?

"Przynosiła Irinę do Harriet, która leżała nieruchomo i bezwładnie na sofie wilgotnej od łez wściekłości, jeśli nie rzeczywistego żalu, bo chyba Harriet była ponad żalem; Harriet, która od grudnia przybrała na wadze dwadzieścia funtów - jej kredowoblada skóra była spuchnięta, oczy przekrwione.

W niepokojącej ciszy Norma Jeane słyszała własny szczebiot: "Ależ tak!

Prawda, Irino?

" Wreszcie Harriet odbierała dziecko (które zaczynało się denerwować, popiskiwać i kopać) tak, jakby mogła odebrać naręczce wilgotnej bielizny i następnie rzucić je w kąć.

Pozwól mi być mamą Iriny, jeśli ty jej nie chcesz.

Och, proszę!

Być może Harriet nie była już przyjaciółką Normy Jeane.

Być może nigdy nie była jej przyjaciółką.

Norma Jeane zraziła się do "niemądrej, smutnej" kobiety, z którą dzieliła mieszkanie, która często nie chciała rozmawiać przez telefon nawet z własną rodziną albo z rodziną swego męża.

Harriet nawet się z nimi nie kłóciła.

"Niby dlaczego?

Przecież nie ma się o co kłócić".

Nie była na nich zła, a oni nie sprawiali jej przykrości.

Po prostu nie miała dość siły, żeby się z nimi zadawać.

Znudziły ją ich uczucia, twierdziła.

Norma Jeane martwiła się, że Harriet może zrobić coś sobie i Irinie, ale kiedy delikatnie, okrężną drogą, poruszała ten temat z Buckym, ten ledwie jej słuchał, bo jego zdaniem były to "babskie sprawy", w ogóle nie dotyczyły mężczyzn, natomiast z Harriet nie miała odwagi o tym porozmawiać.

Szturchanie Harriet nie należało do zajęć bezpiecznych.

W "Family Circle" znalazła odpowiedni wzór i z pomarańczowych bawełnianych skarpet uszyła Irinie małego tygrysa, pręgi zrobiła z filcowych pasków, a do wypełnienia środka użyła waty.

Tygrysi ogon powstał z drucianego wieszaka na płaszcze owiniętego materiałem, oczy - z czarnych guzików, wąsy - z drucików przeznaczonych do czyszczenia fajek, kupionych u Woolwortha.

Irina przepadała za tygrysiem!

Norma Jeane śmiała się podniecona, gdy Irina przytulała pasiastą zabawkę i raczkowała z nią po podłodze, piszcząc, jakby było to żywe stworzenie.

Harriet przyglądała się temu obojętnie, paląc papierosa.

Mogłabyś przynajmniej mi podziękować, pomyślała Norma Jeane.

Zamiast tego Harriet zauważyła: "Zobacz, Normo Jeane.

Razem tworzymy niezłą rodzinę!

Doskonała żonka i matka".

Norma Jeane roześmiała się, chociaż ją to zabolalo.

Tonem delikatnego upomnienia powiedziała: "Harriet, to grzech być nieszczęśliwą, mając Irinę".

Harriet odpowiedziała głośnym śmiechem.

Dotychczas siedziała z przymrużonymi powiekami, teraz otworzyła je szeroko i z wyrazem przesadnego zainteresowania gapiała się na Normę Jeane, jak gdyby nigdy wcześniej jej nie widziała, to zaś, co widziała, nie bardzo się jej podobało: "Tak, to grzech, a ja jestem grzesznicą.

Więc dlaczego teraz, moja mała panno Słoneczko, nie pójdziesz sobie prosto do diabła"?

- Znam faceta, który wywołuje filmy.

"Ścisłe tajne", powiada.

Mieszka w Sherman Oaks.

Gorącego, dusznego lata 1945 roku Bucky stał się niespokojny.

Norma Jeane próbowała nie myśleć o tym, co to oznacza.

Codziennie pod wielkimi nagłówkami prasa donosiła o nalotach sił powietrznych Stanów Zjednoczonych na terytorium wroga.

Jeden z kolegów Buckyego ze szkoły średniej w Mission Hills został pośmiertnie odznaczony za męstwo, po locie B-24 Liberatora nad niemieckie rafinerie ropy w Rumunii, gdzie został zestrzelony.

- Rzeczywiście jest bohaterem - przyznała Norma Jeane - ale kochanie, pomyśl, on nie żyje.

Bucky sprawiał wrażenie nieobecnego, gapiąc się w zamyśleniu na zdjęcie w gazecie.

Zdumiał żonę swym dziwnie ochrypłym śmiechem.

- Do diabła, Maleńka, możesz być tchórzem i też zginąć.

Pod koniec tamtego tygodnia Bucky nabył używany skrzynkowy aparat fotograficzny Brownie i zaczął robić zdjęcia swej ufniej młodej żonie.

Z początku była to Norma Jeane w niedzielnych sukienkach, w białym

kapelusiku, białych ażurowych rękawiczkach i białych pantofelkach na wysokim obcasie; potem Norma Jeane w koszuli i niebieskich dżinsach, oparta o bramę, ze źdźbłem trawy trzymanyym refleksyjnie między zębami; potem Norma Jeane na plaży w Topanga w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym w kropki.

Bucky próbował sfotografować Normę Jeane w pozie Betty Grable, zerkającą nieśmiało przez ramię i prezentującą uroczy tyłeczek, ale niestety, Norma Jeane była za bardzo skrępowana.

(Plaża, nie dzielne południe, ciekawscy ludzie.) Bucky próbował uchwycić szeroko uśmiechniętą, szczęśliwą Normę Jeane w momencie chwytania piłki plażowej, ale i ten uśmiech okazał się wymuszony, nieprzekonujący jak "prawie uśmiech" autorstwa pana Eeleya.

Norma Jeane poprosiła Buckyego, aby znalazł kogoś, kto zrobi im wspólne zdjęcie.

- Samej nie jest zbyt zabawnie.

No, Bucky, zrób coś.

Ale Bucky, wzruszywszy ramionami, odparł:

- Po co mi moje zdjęcie?

Następnie Bucky zapragnął mieć fotografie Normy Jeane w zaciszu sypialni, fotografie "przed" i fotografie "po".

Do zdjęcia "przed" Norma Jeane pozowała jako Norma Jeane.

Najpierw była całkowicie ubrana, potem częściowo rozebrana, wreszcie bez ubrania, "akt", jak to określił Bucky.

Była naga w dwuosobowym łóżku z prześcieradłem podniesionym zalotnie na wysokość piersi, ale Bucky stopniowo ściągał z niej prześcieradło, robiąc zdjęcia żony w niewygodnych, kocich pozach.

- Dalej, Maleńka.

Uśmiechnij się do Tatusia.

Wiesz jak.

Norma Jeane nie wiedziała, czy ma być dumna, czy zażenowana, przejęta czy zawstydzona.

Dostała ataku śmiechu i musiała zastonić twarz.

Kiedy się uspokoiła, okazało się, że Bucky czeka cierpliwie z obiektywem skierowanym w jej stronę: pstryk!

pstryk!

pstryk!

Poprosi:

- Tatuśku, daj spokój.

Wystarczy.

Czuję się osamotniona w tym ogromnym starym łóżku.

Kiedy rozłożyła ramiona, aby go do siebie zwabić, on dalej pstrykał zdjęcia.

Każde pstryknięcie było ostrym lodowym sopłem wbijanym w jej serce.

Jakby patrząc przez soczewki aparatu, wcale jej nie widział.

Gorzej było ze zdjęciami "po".

"Po" okazało się upokarzające.¹

Do zdjęć "po" Norma Jeane musiała nałożyć seksowną rudoblond perukę w stylu Rity Hayworth i koronkową czarną bieliznę, którą Bucky dla niej przyniósł.

W dodatku użył kosmetyków, podrysowując jej brwi, usta, a nawet po zwiększając optycznie jej sutki wiśnioworóżowym pudrem, naniesionym małym, łaskoczącym pędzelkiem.

Norma Jeane niespokojnie pociągnęła nosem:

- Te kosmetyki, przyniosłeś je z domu pogrzebowego?

- zapytała z obawą.

Bucky zmarszczył brwi.

- Nie.

Ze sklepu z drobiazgami w Hollywood - odparł, ale kosmetyki bezsprzecznie wydzielały zapach płynów balsamujących i słodkawą woń przejrzałych śliwek.

Buckyemu długo nie udawało się zrobić zdjęć "po".

Szybko się podniecił, odłożył aparat fotograficzny i ściągnął z siebie ubranie.

- Och, Laleczko.

Jezu.

Brakowało mu powietrza, jakby się przed chwilą wynurzył spod powierzchni wody w Topanga.

Chciał się kochać i to kochać szybko, szarpał się z prezerwatywą, podczas gdy Norma Jeane, rozczarowana, patrzyła na to z konsternacją, jak pacjent na chirurga tuż przed zabiegiem.

Czuła się tak, jakby ją paliło całe ciało - wszystko przez te rude, falujące włosy, które sięgały obnażonych ramion, seksowny czarny biustonosz i majteczki, czyli niewiele więcej niż paski materiału.

- Tato, to mi się wcale nie podoba.

Nie czuję się dobrze.

Nigdy wcześniej nie widziała u męża takiej miny.

A la Rudolf Valentino w roli szejka.

Zaczęła płakać, na co Bucky zareagował zniecierpliwieniem.

- Co się dzieje?

- To mi się nie podoba, Tato - odpowiedziała.

Bucky pogłaskał rude włosy z peruki, przez przezroczystą koronkę biustonosza uszczypnął różowe, twarde brodawki.

- Ależ podoba ci się, Maleńka.

Bardzo ci się podoba.

- Wcale nie.

Nie tego chcę.

- Do licha, założę się, że twoja dziurka jest gotowa.

Założę się, że twoja dziurka jest mokra.

Wyciągnął rękę i szorstkim palcem dotknął jej między nogami.

Norma Jeane wzdrygnęła się i odepchnęła go.

- Bucky, nie.

To boli.

- Och, przestań.

Nigdy wcześniej nie bolało, uwielbiasz to!

Sama wiesz o tym najlepiej.

- Ale nie teraz.

Akurat to mi się wcale nie podoba.

- Potraktuj to jak zabawę.

- Nie mogę.

Jest mi wstyd.

Buckyego ogarnęła złość.

- Przecież jesteśmy małżeństwem, na Boga.

Jesteśmy małżeństwem od roku.

Staliśmy się małżeństwem na wieki!

Faceci robią mnóstwo rzeczy ze swoimi żonami i nie ma w tym nic złego.

- Nieprawda.

Myszę, że w tym jest coś złego!

- Powtarzam - oświadczył Bucky, tracąc cierpliwość - to właśnie robią ludzie.

- Ale my nie jesteśmy jakimiś tam ludźmi.

My to my.

Z rumieńcem na twarzy Bucky znowu zaczął głaskać żonę, tym razem trochę mocniej; dotychczas, ilekroć się kłócili, wystarczyło, że Bucky jej dotknął, a ona natychmiast łagodniała i uspokajała się niczym królik, którego można wprowadzić w trans, głaszcząc go mocno i miarowo.

Bucky pocałował ją, a ona odwzajemniła pocałunek.

Ale kiedy pociągnął za biustonosz i majteczki, Norma Jeane odepchnęła go.

Zerwała z głowy perukę cuchnącą jakimiś sztucznymi tworzywami i cisnęła ją na podłogę, potem starła z twarzy część makijażu; jej usta zrobiły się blade i opuchnięte.

Po jej policzkach popłynęły cienkie strużki łez zmieszanych z tuszem.

- Och, Bucky.

Tak bardzo mi wstyd.

Sama już nie wiem, kim jestem.

Myślałam, że mnie kochasz.

Zaczęła dygotać.

Bucky przykucnął nad nią - Wielki Interes kołysał się na poły wzwiedziony, a cholerna prezerwatywa zatrzymała się na samym koniuszku - gapił się, jakby pierwszy raz ją widział.

Do jasnej cholery, co ta dziewczyna sobie myśli?

Że niby kim jest?

W tej chwili nie wydawała się nawet specjalnie ładna: twarz miała mokrą od łez, rozmazaną.

Sierota!

Wyrzutek!

Jeden z dzieciaków Pirigów, czyli poprostu biały śmieć!

Jej matka była patentowaną świruską, co wynika ze wszystkich jej opowieści.

Ojca w ogóle nie znała.

Skąd więc wzięły się u niej te książęce maniery, dlaczego myślała, że jest od niego lepsza?

Naraz przypomniał sobie, jak nie podobało mu się jej zachowanie pewnego wieczoru w kinie, kiedy oglądali Abbotta i Costello w Pardon My Sarong.

Bucky śmiał się bez zahamowań, jak szaleniec, niewiele brakowało, a zsikałby się w spodnie.

Trząst się cały rząd foteli, w którym siedzieli.

Przytulona do jego ramienia Norma Jeane zeszywniała i zaprotestowała, stwierdzając, że nie rozumie, co jest śmiesznego w Abbotcie i Costello: "Czy ten mały grubas nie jest niedorozwinięty?"

Czy to można się śmiać z chorych psychicznie?

" Miał ochotę wrzasnąć: Śmieszne w Abbotcie i Costello jest to, że są śmieszni, do jasnej cholery!

Posłuchaj, publika rzy jak hieny!

- Może jestem zmęczona Kochaniem cię.

Może od czasu do czasu miała bym ochotę na jakąś odmianę, na odpoczynek od ciebie.

W furii zranionej, zdeptanej męskiej dumy Bucky pospiesznie wyskoczył z łóżka, włożył spodnie i koszulę i wyszedł z mieszkania, trzasnąwszy drzwiami tak, że usłyszały to wszystkie wścibskie sąsiadki.

Obok mieszkały trzy spragnione seksu żony żołnierzy, które zawsze wlepiały oczy w Buckyego i które bez wątplenia przyciskały w tej chwili uszy do ścian.

Niech więc to usłyszą.

Norma Jeane przestraszyła się i zawołała:

- Bucky!

Och, Kochanie, wracaj!

Wybacz!

Nim zdążyła narzucić szlafrok, żeby za nim pobiec, już go nie było. Odjechał swoim Packardem.

Zbiornik na paliwo był niemal pusty, ale co tam.

Pojechałby do dawnej przyjaciółki, Carmen, tylko że podobno ona już nie mieszkała tam, gdzie dawniej, a on nie znał jej nowego adresu.

Mimo wszystko zdjęcia okazały się niespodzianką.

Bucky patrzył na nie w zdumieniu.

Tak wygląda Norma Jeane, jego żona?

Chociaż skręcała się z zażenowania, kiedy Bucky krążył nad nią i pstrykał zdjęcia, kilka fotografii sugerowało, że jest zuchwałą dziewczyną o figlarnym, prowokującym uśmiechu; wiedział bardzo dobrze, że Norma Jeane była wtedy nieszczęśliwa, lecz przekonał siebie, iż wygląda - przynajmniej na niektórych zdjęciach - jakby cieszyła ją skupiona na niej uwaga.

Prezentuje własne ciało jak dobrze opłacana dziwka.

Najbardziej zaintrygowały Buckyego pozy "po".

W jednej z nich Norma Jeane leżała w poprzek łóżka, rudoblonde włosy miała zmysłowo rozrzucone na poduszce, oczy zmrużone jakby we śnie, koniuszek języka widniał między wargami, soczystymi i nieco nabrzmiętymi dzięki kosmetycznemu pędzelkowi Buckyego.

Jak łechtaczka między wargami pochwy.

Twarde sutki widoczne przez przezroczysty czarny biustonosz, uniesiona ręka o rozmazanych konturach przesuwa się nad brzuchem, jak gdyby Norma Jeane miała się sama pieścić albo właśnie skończyła to robić.

Coś przypominało Buckyemu, że ta nęcąca poza była całkowicie przypadkowa, chwilę wcześniej pchnął Normę Jeane na łóżko, a ona właśnie chciała się z niego podnieść, ale koniec końców, jakie to ma znaczenie?

- Chryste.

Bucky poczuł ukłucie pożądania, wyobrażając sobie tę egzotyczną, śliczną dziewczynę - nieznajomą.

Wybrał tuzin fotografii ukazujących Normę Jeane w najbardziej ponętnych pozach i z dumą puścił je w obieg wśród swoich kumpli w Lockheed.

W niemal ogłuszającym hałasie fabryki musiał mówić bardzo głośno: "Sprawa jest ściśle poufna, okej? Nic nie wyjdzie poza nasz krąg".

Mężczyźni wyrazili zgodę, kiwając głowami.

Ależ mieli miny!

Byli pod wrażeniem.

Wszystkie zdjęcia przedstawiały Normę Jeane w rudoblonde peruce Rity Hayworth i czarnej bieliźnie.

"To jest twoja żona?"

Twoja żona?

Glazer, szczęściarz z ciebie".

Gwizdy i śmiechy świadczące o zazdrości.

Tak jak Bucky się spodziewał.

Tylko Bob Mitchum w ogóle nie zareagował w sposób, jakiego Bucky się spodziewał.

Chłopak dosłownie oniemiał, kiedy Mitchum szybko przerzucił fotografie, marszcząc gniewnie czoło, i powiedział: "Co za sukinsyn pokazuje takie zdjęcia swojej żony?"

"Nim Bucky go powstrzymał, Mitchum podarł zdjęcia na drobne kawałeczki.

Doszłoby do bójki, gdyby w pobliżu nie kręcił się brygadzysta.

Upokorzony Bucky wymknął się ukradkiem w odosobnione miejsce.

Mitchum był po prostu zazdrosny.

Niedoszły hollywoodzki aktor, który na zawsze będzie skazany na pracę przy taśmie produkcyjnej.

Ale mam negatywy- pocieszył się z dumą.

mam Normę Jeane.

Nie wspominając o tym Normie Jeane, po drodze z pracy wstępował do rodziców.

Jego surowy głos obrażonego chłopca brzmiał swojsko w kuchni, którą znał tak dobrze.

- Pewnie, że Kocham Normę Jeane!

Przecież się z nią ożeniłem.

Ale ona jest taka kapryśna, jak dziecko, które trzeba koniecznie wziąć na ręce, bo inaczej będzie płakać.

Jakbym ja był słońcem, a ona kwiatem, który nie może żyć bez słońca, to takie...

- Bucky szukał odpowiedniego słowa;

z wysiłku zmarszczył czoło, -...męczące.

Pani Glazer upomniała go nerwowo:

- Ależ Bucky!

Norma Jeane to dobra chrześcijanka.

Jest po prostu młoda.

- Do licha, ja też jestem młody.

Mam dwadzieścia dwa lata, na litość boską.

Ona potrzebuje starszego faceta, ojca.

- Bucky popatrzył na zatroskane twarze rodziców, tak jakby to oni ponosili za to odpowiedzialność.

- Ona mnie wykończy.

Nie daje mi wytchnąć.

- Zamilkł na chwilę, już chciał powiedzieć, że Norma Jeane pragnie bez przerwy kochać się i przytulać.

Całować i obejmować przy wszystkich.

A to się czasami Buckyemu podobało, czasami nie.

Najdziwniejsze, że jeśli chodzi o ciało, to ona chyba nie wiele czuje.

Nie czuje tego, co powinna czuć kobieta.

Na twarzy pani Glazer pojawił się rumieniec podobny do wysypki.

Po wiedziała, jakby potrafiła czytać w myślach syna:

- Bucky, na pewno kochasz Normę Jeane.

Wszyscy ją kochamy.

Ona jest dla nas jak córka, nie synowa.

A wesele było piękne!

Czasem mi się zdaje, że uroczystość odbyła się zaledwie w ubiegłym tygodniu.

Bucky rzekł z gniewem:

- W dodatku ona marzy o prawdziwej rodzinie.

W środku wojny.

Druga wojna światowa, świat zmierza do piekła, a moja żona pragnie sobie zafundować dzidziusia!

Chryste!

- Bucky, nie bluźnij - powiedziała cicho pani Glazer.

- Wiesz, jak mnie to wyprowadza z równowagi.

- Sam jestem wyprowadzony z równowagi.

Kiedy wracam do domu, zastaję Normę Jeane.

Jakby przez cały dzień sprzątała dom i robiła kolację specjalnie na moje przyjście, jakby beze mnie nie mogła istnieć.

Jakbym był Bogiem czy kimś takim.

- Zamilkł na chwilę, dyszał od szybkiego mówienia; pani Glazer nałożyła mu na talerz słodkich wiśni, które zaczął z apetytem zajadać.

Z pełnymi ustami dodał: - Nie chcę być Bogiem, jestem tylko Buckym Glazerem.

Pan Glazer, który siedział bez słowa do tej chwili, powiedział beznamiętnie:

- W każdym razie zostajesz z tą dziewczyną.

Pobraliście się w naszym kościele...

"Póki śmierć was nie rozłączy".

A myślałeś że co?

Że małżeństwo to jakaś karuzela?

Przejedziesz się kilka razy, a potem zejdziesz, aby się pobawić z resztą chłopaków?

To sprawa na całe życie.

Jedząc deser wiśniowy, Bucky wydał odgłos zranionego zwierzęcia.

Może w twoim pokoleniu, staruszk.

Ale nie w moim.

- Maleńka, muszę iść.

Prawie nie słyszała.

Terkot broni maszynowej.

Muzyka.

Kronika filmowa.

Byli w kinie.

Do kina chodzili w każdy piątkowy wieczór.

Nie było tańszej rozrywki; mogli jeszcze iść na spacer, trzymając się za ręce jak zakochana para ze szkoły średniej.

Benzyna była teraz bardzo droga.

Jeśli w ogóle można ją było kupić.

Daleko w górach uderzały pioruny.

Suche powietrze wysuszało powieki i nozdrza.

Nie chciałybyś daleko chodzić przy suchym powietrzu, które sprawia ból.

Wystarczyło pójść do Mission Hills Capitol.

Oglądali chyba Zeznanie szpiega- uprzejmego, wyrafinowanego Georgea Sandersa i Edwarda G.

Robinsona z tą jego nawiedzoną, buldogowatą twarzą.

Wodniste, ciemne oczy Robinsona płonęły emocjami.

Kto inny potrafił przywołać uczucia cierpienia, wściekłości, oburzenia, przerażenia i próżności tak szybko, jak Edward G, Robinson?

Tylko że był to raczej drobny mężczyzna, nieprzekonujący jako kochanek.

Żaden tam z niego Ciemno włosy Książę.

Żaden mężczyzna, za którego mogłabyś umrzeć.

Albo może tamtego wieczoru poszli na dramat wojenny Konwój z Humphreym Bogartem.

Gruboskórnym Bogartem z workami pod oczami.

Bogartem z nie odłącznym cygarem, zmęczoną twarzą za woalem dymu.

Ale jednak Bogart był przystojny.

W mundurze na olbrzymim ekranie każdy jest przystojny.

Albo może tamtego wieczoru poszli obejrzeć The Battle of the Beaches czy Hitler's Children.

Bucky chciał zobaczyć wszystkie te filmy.

Albo kolejną komedię z Abbottem i Costello, albo Boba Hope'a w Caught in the Draft.

Norma Jeane wolała musicale: Stage Door Canteen, Spotkajmy się w St.

Louis, Ali About Lovin' You.

Choć Bucky nudził się na musicalach i Norma Jeane musiała się zgodzić, że są błahe, niemądre i sztuczne jak kraina Oz.

"W prawdziwym życiu ludzie nigdy tak nie zaczynają śpiewać - burczał Bucky.

- Nie zaczynają tańczyć ni z tego, ni z owego, nie ma muzyki".

Norma Jeane ugryzła się w język i nie powiedziała, że w filmach zawsze jest muzyka, nawet w wojennych filmach Buckyego, nawet w kronice.

Nie chciała spierać się z Buckyem, który ostatnio zrobił się bardzo wrażliwy.

Nerwowy i rozdrażniony jak wielki, ładny pies, którego chciałabyś pogłaskać, ale nie masz odwagi.

Wiedziała, ale nie wiedziała.

Od dawna.

Wiedziała przed dniem z peruką i czarną koronkową bielizną, przed pstryk/pstryk!

aparatu fotograficznego.

Słyszała, co Bucky mruczy, o czym napomyka.

Kiedy słucha wiadomości wojennych nadawanych przez radio co wieczór podczas kolekcji.

Kiedy przegląda "Life", "Colliers", "Time" czy lokalne gazety.

Bucky, który czytał z trudem, przesuując palec pod rzędem drukowanych liter, czasem poruszał ustami.

Usuwał ze ścian nieaktualne mapy wycięte z gazet i zastępował je nowymi.

Powstawała nowa konfiguracja kolorowych pinezek.

Kiedy się kochał, sprawiał wrażenie rozkojarzonego i niecierpliwego.

Ledwie zaczynał, już kończył.

"Hej, Maleńka, wybacz!

Dobranoc".

Norma Jeane obejmowała go, gdy pogrązał się we śnie szybko jak kamień w mulistym dnie jeziora.

Wiedziała, że wkrótce odejdzie.

Ojczyzna krwawiła mężczyznami.

Jesienią 1943 roku wydawało się, że wojna trwa już całe wieki.

Zimą 1944 roku uczniowie szkół średnich zamartwiali się, że wojna się skończy, zanim oni zdążą wziąć w niej udział.

Czasem, choć teraz już rzadziej, Norma Jeane wracała do starych marzeń, żeby zostać pielęgniarką Czerwonego Krzyża albo pilotem.

Dziewczyna pilotem!

Kobietom, które wyszkolono w pilotowaniu bombowców, nie zezwalano na loty bojowe.

Kobiet, które zginęły na służbie, nie chowano jak mężczyzn z honorami wojskowymi.

Norma Jeane rozumiała: mężczyźni musieli dostawać nagrody za bycie mężczyznami, za narażanie swojego męskiego życia, a tymi nagrodami były kobiety.

Kobiety oczekujące w domu na swoich mężczyzn.

Kobiety nie mogły walczyć obok mężczyzn na wojnie, nie mogło być mężczyznokobiet.

Mężczyznokobiety to wybryki natury.

Mężczyznokobiety są obsceniczne.

Mężczyznokobiety są lesbijkami, "lesbami".

Normalny mężczyzna miał ochotę udusić lesbę albo pieprzyć ją, aż z uszu wypłynie jej mózg, a z cipki krew.

Norma Jeane słyszała, jak Bucky i jego koledzy wygłaszali tyrady na temat lesb, które były gorsze - niemal gorsze - od ciot, pedałów, zбочeńców.

Było coś w tych chorych, smutnych dziwolągach, co zmuszało normalnego, zdrowego mężczyznę do schwytania ich i wymierzenia kary.

Bucky, proszę, nie rań mnie.

Och, proszę.

Bucky już nie dostrzegał "starego Hirohito".

Często - takie Norma Jeane odnosiła wrażenie - nie dostrzegał także jej, własnej żony.

Ale ona nie mogła zapomnieć o "prezencie" i przechodził ją dreszcz, ilekroć zdejmowała szal.

Nie zabiłam cię i nie odciąłam ci głowy.

To nie moja wina.

Czasami we śnie widziała oczodoły w czaszce.

Ohydny otwór nosowy, wyszczerzoną górną szczękę.

Czuła zapach papierosowego dymu, słyszała odgłos wody lejącej się z kranu silnym strumieniem.

Mam cię, Maleńka.

W jednym z ostatnich rzędów Mission Hills Capitol Norma Jeane wsunęła rękę w tłustą od popcornu dłoń Buckyego.

Jakby w kinowych fotelach odbywała się jakaś szaleńcza, bardzo niebezpieczna jazda.

Dziwne, od czasu, gdy została panią Glazer, nie zależało jej tak bardzo na filmach.

Było w nich tyle...

nadziei.

Przynosiły nadzieję w taki sam sposób, w jaki przynoszą ją rzeczy nierealne.

Kupiłaś bilet, usiadłaś w fotelu i widziałaś...

właśnie, co?

Czasem podczas seansu jej myśli błądziły.

Czy zrobić jutro pranie?

Co przygotować Buckyemu na kolację?

I niedziela: czy zdoła wyciągnąć Buckyego do kościoła, zamiast pozwolić mu spać?

Bess Glazer zrobiła zawołowaną aluzję do "młodej pary", która nie chodzi na niedzielne nabożeństwa, ale Norma Jeane wiedziała, że teściowa ją wini za nieobecność Buckyego w kościele.

Bess Glazer widziała ją tamtego popołudnia z wózkiem z małą Iriną i zaraz potem za dzwoniła, aby wyrazić zdziwienie: "Normo Jeane, skąd ty bierzesz czas?

Poświęcasz czas dziecku innej kobiety?

Mam nadzieję, że ona ci płaci, to tylko chcę powiedzieć".

Tego wieczoru kronika filmowa dudniła z ekranu.

Muzyka marszowa była tak głośna i przejmująca, że Normie Jeane serce zaczęło tłuc jak szalone.

W końcu były to sceny z prawdziwego życia.

Była to rzeczywistość.

W czasie doniesień wojennych Bucky siedział nieruchomo i gapił się przed siebie.

Przestał żuć popcorn.

Norma Jeane patrzyła zafascynowana i przestraszona.

Na ekranie pojawił się odważny, nieprzystępny, nieogolony "Yinegarjoe" Stilwell i powtarzał: "Spuścimy im tęgie lanie".

Muzyka brzmiała to cicho, to bardzo głośno.

Po ekranie przesuwaly się plamy mknących samolotów.

Ziarniste, szare chmury, poniżej obca ziemia.

Pojedynki powietrzne nad Birmą!

Niesamowite Latające Tygrysy!

Każdy mężczyzna i chłopiec w Capitolu pragnął być Latającym Tygrysem!

Każda kobieta i dziewczyna pragnęła pokochać któregoś Latającego Tygrysa.

Malowali swoje stare curtissy P-40 tak, że przypominały rekiny z filmów rysunkowych.

Byli śmiałkami, bohaterami wojennymi.

Wylatywali do walki przeciwko szybszym, bardziej zaawansowanym technicznie japońskim zerom.

W bitwie powietrznej nad Rangunem Tygrysy zniszczyły dwadzieścia z siedemdziesięciu japońskich myśliwców i nie straciły ani jednego!

Publiczność kipiła entuzjazmem.

Rozległy się pojedyncze gwizdy.

Oczy Normy Jeane wypełniły się łzami.

Nawet Bucky ocierał oczy.

Człowieka ogar niało zdumienie na widok takich podniebnych akcji.

Fontanny pocisków obrony przeciwlotniczej, trafione maszyny pikujące ku ziemi, za nimi strugi ognia i dymu.

Można myśleć, że to zakazana wiedza.

Wiedza o czyjejs śmierci.

Można myśleć, że śmierć jest czymś świętym i prywatnym, ale wojna zmieniła wszystko.

Kino zmieniło wszystko.

Nie chodziło o to, że gapisz się obojętnie na czyjąś śmierć, ale że otrzymujesz obraz, jaki nie dotarł do samych umierających.

Bóg musi patrzeć na nas w taki sposób.

Jeśli Bóg patrzy.

Bucky ścisnął dłoń Normy Jeane tak mocno, że jedyne, co mogła robić, to powstrzymać się od próby uwolnienia jej.

Cichym, napiętym głosem Bucky powiedział:

- Maleńka, muszę iść.

- Iść, dokąd?

Do toalety?

- Muszę się zaciągnąć.

Nim będzie za późno.

Norma Jeane roześmiała się, podejrzewając, że żartuje.

Namiętnie go pocałowała.

Dawniej na randkach w kinie zawsze się całowali, po prostu się poznawali.

Latające Tygrysy odleciały z ekranu; teraz pokazywano śluby żołnierzy.

Roześmianych wojskowych na urlopie i za granicą w bazach.

Głośno brzmiał Marsz weselny.

Ileż ślubów!

Ileż panien młodych - w każdym wieku.

Szybkość, z jaką pary młode pary przemieszczały się na ekranie, sugerowała komedię.

Ceremonie kościelne, cywilne.

Najróżniejsze zestawienia: bogate otoczenie, surowe otoczenie.

Promienne uśmiechy, energiczne uściski.

Mnóstwo gorących pocałunków.

Mnóstwo nadziei.

Publiczność chichotała.

Wojna była szlachetna, podniosła, dostojna, lecz miłość, małżeństwo, śluby były zabawne.

Dłoń Normy Jeane stała się ruchliwą małą myszką w kroczu Buckyego.

Zdziwiony Bucky wymamrotał:

- Mmm, Maleńka, nie teraz.

Hej.

Ale odwrócił się do niej i mocno ją pocałował.

Rozchyliwszy jej na pozór odporne usta, wsunął język głęboko, ona zaś zaczęła go ssać, pojękując i tuląc się do męża.

Ujął w lewą dłoń jej pierś, jakby chwycił futbolówkę.

Zakołysały się ich fotele.

Dyszeli jak psy.

Jakaś kobieta za nimi uderzyła w oparcia ich siedzeń.

- Wy dwoje, idźcie do domu, jeśli chcecie to zrobić.

Norma Jeane odwróciła się gwałtownie, wściekła.

-Jesteśmy małżeństwem, więc zostaw nas w spokoju.

Sama idź do domu.

Idź do diabła.

Bucky roześmiał się; ni z tego, ni z owego jego spokojna żona przekształciła się w spitfirea!

Ale potem uświadomił sobie: Chyba wtedy to się zaczęło, tamtego wieczoru.

- Ale...

dokąd?

Dokąd pojechała?

Dlaczego nie wiecie?

Harriet zniknęła z Verdugo Gardens bez żadnego ostrzeżenia.

Był marzec 1944 roku.

Zabrała ze sobą Irinę.

I pozostawiła większość swoich nędznych rzeczy.

Norma Jeane wpadła w panikę: co teraz zrobi bez swego maleństwa?

Wydawało się jej, niezbyt wyraźnie, jakby jej się to śniło, że zabrała dziecko do Gladys i dostała jej błogosławieństwo.

Tylko że teraz nie miała dziecka.

Nie będzie błogosławieństwa.

Kilka razy Norma Jeane pukała do drzwi sąsiadów.

Ale współlokatorki Harriet także były zbite z tropu.

I zmartwione.

Zdawało się, że nikt nie wie, dokąd udała się załamana kobieta ze swoją małą córką.

Nie do swojej rodziny w Sacramento, nie do teściów w stanie Waszyngton.

Znajomi Harriet powiedzieli Normie Jeane, że odeszła bez pożegnania, nie pozostawiając żadnego listu.

Odeszła, zapłaciwszy swoją część czynszu za marzec.

Podobno myślała o "zniknięciu" już od dawna.

Nie była "stworzona do wdowieństwa" - jak kiedyś stwierdziła.

W dodatku "chorowała".

Usiłowała skrzywdzić Irinę.

Może rzeczywiście krzywdziła swoje dziecko w jakiś niewidoczny sposób.

Norma Jeane cofnęła się, zmrużywszy oczy.

- Nie, to nieprawda.

Coś bym zauważyła.

Nie powinnyście opowiadać takich rzeczy.

Harriet była moją przyjaciółką.

To do Harriet nie pasowało, aby odeszła bez pożegnania z Normą Jeane.

Nie pozwoliwszy pożegnać się Irinie.

Nie zrobiłaby tego.

Nie Harriet.

Bóg by jej na to nie pozwolił.

- Halo?

Ch...chciałabym zgłosić z...zaginięcie p...pewnej osoby.

W...właś ciwie matki i dz...dziecka.

Norma Jeane zatelefonowała na policję w Mission Hills, ale jąkała się tak bardzo, że musiała odłożyć słuchawkę.

Zresztą wiedziała, że to chyba nie ma większego sensu, ponieważ Harriet najprawdopodobniej odeszła z własnej woli.

Harriet była dorosła.

Harriet była matką Iriny.

I chociaż Norma Jeane kochała Irinę bardziej i wierzyła, że miłość ta jest odwzajemniona, nie można było zrobić absolutnie nic.

Harriet i Irina zniknęły z życia Normy Jeane, jakby ich nigdy w nim nie było.

Ojciec Iriny wciąż był uważany za "zaginionego w akcji".

Jego szczątki nigdy nie zostaną znalezione.

Może Japończycy zabrali jego głowę?

Kiedy Norma Jeane skoncentrowała się ze wszystkich sił, zobaczyła ciąg zdarzeń rozgrywających się w odległym pokoju, chyba że był to jakiś sen, którego nie mogła wyraźnie ujrzeć: Harriet kąpała Irinę w wodzie o temperaturze bliskiej wrzątku, Irina piszczała z bólu i przerażenia, nie ulegało wątpliwości, że nikt, tylko Norma Jeane może ją ocalić, lecz ona biegała bezradnie tam i z powrotem po pełnym pary korytarzu, gdzie nie było drzwi, zaciskając zęby z rozpaczy i furii.

Otrząsnąwszy się ze snu, Norma Jeane wsunęła się do maleńkiej jak szafa łazienki z oślepiającym światłem u góry.

Taka była przerażona, że wpełzła do wanny.

Dzwoniły jej zęby.

Skóra zaczęła ją piec i palić od gorącej, bardzo gorącej wody.

Tam zastał ją Bucky o szóstej rano.

Wyciągnął ją na zgięciu swej umięśnionej ręki i przeniósł do łóżka, choć patrzyła na mnie tak, jakby nie miała tęczówek, tylko same źrenice, niczym jakieś zwierzę, i wiedziałem, żeby jej nie dotykać.

- To historia.

Czasy, w których żyjemy.

Wreszcie nadszedł ten dzień.

Norma Jeane była niemal przygotowana.

Bucky poinformował ją, że tego ranka zaciągnął się do marynarki handlowej.

Oświadczył, że prawdopodobnie wypłynie w ciągu najbliższych sześciu tygodni.

Do Australii, jak sądził.

Japonia zostanie wkrótce zajęta i wojna się skończy.

Czekał na tę chwilę bardzo długo, o czym chyba przecież wiedziała.

Powiedział jej, że to nie znaczy, że jej nie kocha, bo kocha ją jak wariat.

I nie znaczy wcale, że nie jest szczęśliwy, bo szczęśliwy jest.

Nigdy nie był szczęśliwszy.

Tyle że pragnął od życia więcej niż tylko miesiąca miodowego.

Tworzymy historię; jeśli jesteś mężczyzną, musisz zrobić, co do ciebie należy.

Musisz służyć swemu krajowi.

Do diabła, Bucky wiedział, że to brzmi staromodnie.

Ale właśnie coś takiego czuł.

Dostrzegał cierpienie na twarzy Normy Jeane.

Do oczu dziewczyny na płynęły łzy.

Czuł się jak winowajca, ale zarazem triumfował.

Cieszył się!

Dokonał tego, wyruszał w drogę; był prawie wolny!

Nie chodziło właściwie o Normę Jeane, ale o Mission Hills, gdzie mieszkał przez całe dotychczasowe życie, a krewni niemal deptali mu po piętach, o zakłady Lockheed, gdzie stał przy taśmie produkcyjnej, o gorzkawą woń pomieszczenia, w którym balsamowało się zwłoki.

Z pewnością nie chciałem skończyć jako balsamista!

Nie ja.

Norma Jeane zaskoczyła go opanowaniem.

Powiedziała tylko z żalem:

- Och, Bucky.

Och, Tatuśku.

Wszystko rozumiem.

Wziął ją w ramiona, przytulił i nagle oboje się rozpłakali.

Bucky Glazer, który nigdy nie płakał!

Nawet kiedy złamał kostkę podczas meczu w ostatniej klasie szkoły średniej.

Uklęknęli w kuchni na wybrzuszonej, przykrytej linoleum podłodze, którą Norma Jeane utrzymywała w doskonałej czystości, i pomodlili się wspólnie.

Potem Bucky wziął szlochającą Normę Jeane na ręce i zaniósł ją do łóżka; ona trzymała go kurczowo za szyję.

Taki był dzień pierwszy.

Z głębokiego snu po wyczerpującej zmianie w Lockheed obudziło go dziecko pieszczące nieporadnie jego fiuta.

W tym śnie dziecko śmiało się z Buckyego, patrzyło na niego z odrazą, bo Bucky miał na sobie tylko futbolową koszulkę, goły tyłek, a znajdowali się w miejscu publicznym;

przyglądało się im mnóstwo ludzi, więc Bucky odsunął dzieciaka, zdołał się od niego uwolnić, by ku swojemu zdziwieniu stwierdzić, że to Norma Jeane dyszy obok niego w ciemności, głaszcze i szarpie jego Wielki Interes, jej gorące uda przywierają do jego ud, napiera brzuchem i krocem, pojękując: "Och, Tato!

Och, Tato!

" Zależało jej na dziecku - włosy zjeżyły się Buckyemu na głowie: obok niego znajdowała się naga, jęcząca kobieta skoncentrowana wyłącznie na jednym pragnieniu, ucieleśnione pożądanie, silne i bezlitosne jak siła pchająca go ku prawdopodobnej śmierci w niewyobrażalnie ciemnych wodach tego, czego sam nie umiał nazwać inaczej niż historią.

Bucky brutalnie odepchnął Normę Jeane, powiedział, aby zostawiła go w spokoju, pozwoliła spać, na litość boską, przecież musiał wstać o szóstej.

Norma Jeane zdawała się nie słyszeć.

Przywieriała do niego, całowała go jak szalona; odtrącił ją jak zwierzę w rui, nagie, odstręczające zwierzę w rui.

Jego sterczący podczas snu kutas zdążył zwiędnąć; Bucky osłonił krocze, zsunął nogi z łóżka i zapalił lampkę: 4.40.

Jeszcze raz przeklął żonę.

Światło wydobyło z mroku jej skuloną sylwetkę; lewa pierś wystająca z koszulki nocnej, twarz zarumieniona, źrenice rozszerzone tak samo jak poprzedniej nocy.

Dyszała.

Jak gdyby ukazywała swoją nocną osobowość.

Bliźniaczkę, której nie powinienem w ogóle widzieć.

Której ona nie widziała, o której nic nie wiedziała.

Był otępiały, rozdygotany, lecz zdołał powiedzieć niemal rozsądnie:

- Cholera, Norma Jeane!

Myślałem, że przerobiliśmy to już wczoraj.

Podjąłem decyzję.

Wyptywam.

- Tato, nie!

- krzyknęła Norma Jeane.

- Nie możesz mnie zostawić.

Umrę, jeśli mnie zostawisz.

- Masz takie same szansę na śmierć jak każdy inny - oświadczył Bucky, wycierając twarz w prześcieradło.

- Uspokój się, wszystko będzie okej.

- Ale Norma Jeane nie słuchała.

Tuliła się do niego, jęczała, jej piersi napierały na jego spocony tors.

Bucky zadygotał z obrzydzenia.

Nigdy nie przepadał za agresywnymi, uwielbiającymi seks kobietami, nigdy takiej nie poślubił; sądził, że żeni się z tą słodką, nieśmiałą dziewczyną.

- Tylko spójrz na siebie.

Norma Jeane próbowała dosiąść go okraciem, uderzyła udami o jego uda; zdawała się niczego nie słyszeć, a jeśli coś słyszała, ignorowała to, wierciła się, kręciła, odstręczając męża jeszcze bardziej.

Krzyknął prosto w jej twarz:

- Przestań!

Przestań!

Ty żałosna, chora krowo!

Norma Jeane uciekła do kuchni; słyszał jej szloch, łoskot różnych przedmiotów; Chryste, nie miał wyboru, musiał pójść za nią i zapalić światło;

stała tam z nożem w dłoni jak obłąkana dziewczyna z jakiegoś melodramatu, tylko że wcale nie wyglądała na postać z filmu; nożem kaleczyła się poniżej łokcia, czego też nie można by zobaczyć na żadnym filmie.

Bucky podbiegł, teraz całkowicie przebudzony, i wyrwał jej nóż z dłoni.

- Co ty robisz?

Chryste!

Nie żartowała: zraniła się, ręka krwawiła, powstała jaskrawoczerwona bransoletka z krwi.

Zadziwiające, Bucky zapamięta to jako najbardziej wstrząsające wydarzenie swego cywilnego życia, życia amerykańskiego chłopaka, niewinnego i pozornie nieskalanego.

Bucky zatamował krwotok kuchenną ściereczką.

Zaprowadził Normę Jeane do łazienki, delikatnie obmył płytkie, piekące rany, które były nie spodzianką dla kogoś, kto przywykł do lodowatych zwłok, bo z tych nie ciekła krew, choćby nie wiem jak je przebijać, dźgać albo kroić; uspokoił Normę Jeane tak, jakby mógł uspokoić małe, wystraszone dziecko; Norma Jeane pochlipywała cichutko, emocje opadły; oparła się o Buckyego i za mruzczała:

- Och, Tato, Tato, kocham cię.

Przepraszam.

Już zawsze będę grzeczna.

Tato, obiecuję, kochasz mnie?

Kochasz?

Bucky pocałował ją i mruknął w odpowiedzi:

- Pewnie, że kocham, Maleńka.

Przecież o tym wiesz.

Ożeniłem się z tobą, tak czy nie?

Posmarował ranki jodyną i obwiązał jej rękę bandażem.

Potem ostrożnie poprowadził ją do wspólnego łóżka ze wzburzoną pościelą i pogniecionymi poduszkami, gdzie trzymał ją w ramionach, tulił i koił, aż stopniowo, jak wyczerpane dziecko, przestała szlochać i zapadła w sen, Bucky zaś leżał z otwartymi oczami, bo nie dawały mu zasnąć

skołatane nerwy, zarazem jednak odczuwał coś w rodzaju radosnego niepokoju; wreszcie zrobiła się szósta, należało wyjść z łóżka i zostawić w nim Normę Jeane...

która będzie spała z otwartymi ustami, oddychając ze świstem jak człowiek w śpiączce, co za ulga dla Buckyego!

co za ulga, wziąć prysznic i zmyć z siebie jej zapach, jej pot!

umyć się, ogolić i wyruszyć w orzeźwiającą szarość wczesnego poranka, do przystani statków handlowych na Catalinie, gdzie miał podjąć obowiązki w świecie takich mężczyzn jak on.

I to był początek dnia drugiego.

- Bucky, kochany...

do widzenia!

Pewnego spokojnego dnia pod koniec kwietnia Glazerowie i Norma Jeane odprowadzili Buckyego na frachtowiec Liberty płynący do Australii.

Szczegółowe warunki pierwszego przydziału Buckyego były tajne, więc nie było jeszcze wiadomo, kiedy młodzieniec wróci na pierwszy urlop do Stanów.

Najwcześniej za osiem miesięcy.

Mówiło się o inwazji na Japonię.

Teraz Norma Jeane będzie mogła zawiesić w oknie niebieską gwiazdę, jak inne żony i matki mężczyzn służących ojczyźnie.

Uśmiechnęła się i była dzielna.

Wyglądała "bardzo słodko i bardzo ładnie" w niebieskiej bawełnianej koszuli, w białych pantofelkach na wysokich obcasach, z białą gardenią w lokach.

Tuląc Normę Jeane do siebie - łzy płynęły po jego policzkach - Bucky wdychał słodką woń kwiatów, by potem wspominać ją na pokładzie frachtowca wśród kolegów jako zapach Normy Jeane.

Historia.

Nie ominęła nas.

Nikt nie jest winny.

Tego ranka nie Norma Jeane, ale pani Glazer była najbardziej przejęta, potykała łzy i szlochała w samochodzie, który pan Glazer prowadził z Mission Hills na prom do Cataliny.

Norma Jeane siedziała w ścisku z tyłu między starszym bratem Buckyego, Joe, a jego młodszą siostrą Lorraine.

Słowa wypowiedane przez Glazerów krążyły dookoła jak komary.

Od Normy Jeane, odrętwiałej, słabo uśmiechniętej, nie wymagano, aby słuchała wszystkiego, co Glazerowie mówią, i aby sama się odzywała.

Była słodka, ale przypominała manekin.

Gdyby nie jej wygląd, nikt by nie zauważył, że tam jest.

Norma Jeane sądziła, że w normalnej rodzinie rzadko się zdarza taki brak komunikacji jak między nią a Glazerami.

Myślała spokojnie, że nigdy nie należała do prawdziwej rodziny i okazywało się właśnie, że nie należy do Glazerów, choć tamci zachowywali pozory uprzejmości, ona zaś siliła się na wzajemność.

Glazerowie bez przerwy powtarzali w jej obecności, że jest "dzielna", "dojrzała", że "dobra z niej żona dla Buckyego".

Być może dowiedzieli się od Buckyego o jej niedawnych emocjonalnych wybuchach, nazywanych przez niego kobiecą histerią.

Ale jako obserwatorzy, przyglądający się uważnie świadkowie, Glazerowie musieli ją zaaprobować.

Ta dziewczyna szybko dorosła!

Zresztą dorośli oboje: ona i Bucky.

Na pożegnanie Bucky Glazer wystąpił w mundurze marynarza statku handlowego; z włosami przyszyżonymi brutalnie krótko jego chłopięca twarz wyglądała na chorobliwie wychudłą, w błyszczących oczach pojawiła się ekscytacja i strach.

Pozacinał się przy goleniu.

Na obozie przygotowawczym przebywał niedługo, ale już wydawał się starszy, inny.

Nieśmiało objął szlochającą matkę, siostry, ojca, brata, ale przede wszystkim uściskał Normę Jeane.

Mamrotał niemal w udręce: - Kocham cię, Maleńka.

Pisz do mnie codziennie, dobrze?

Maleńka, będę za tobą tęsknił.

- Do ucha szeptał jej jak w gorączce: - Mój Wielki Interes będzie tęsknił za twoją Małą Dziurką, bez dwóch zdań!

- Norma Jeane wydała z siebie odgłos przypominający chichot.

Och, a jeśli inni podsłuchują?

Bucky mówił, że po wojnie, kiedy wróci do domu, zostaną prawdziwą rodziną.

- Tyle dzieciaków, ile zechcesz.

Ty jesteś szefem, Normo Jeane, ty decydujesz.

Zaczął ją całować, cmok, cmok, jak mógłby całować wystraszony chłopiec.

Glazerowie odeszli na bok, pozwalając młodej parze na odrobinę prywatności, bo ileż prywatności mogli mieć na catalińskiej przystani tego cudownego, spokojnego ranka w kwietniu 1944 roku, gdy frachtowiec Z/ feeria przygotowywano do dalekiego rejsu w wielkim konwoju do Australii.

Norma Jeane myślała, że na szczęście marynarka handlowa nie jest częścią morskich sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych, jak najprawdopodobniej uważała większość ludzi.

Frachtowiec Liberty nie był okrętem wojennym i nie miał na pokładzie bombowców, Bucky nie będzie miał broni, nigdy nie wyślą go "na akcję" ani "do walki".

To, co się przydarzyło mężowi Harriet oraz wielu innym mężom, jemu nie mogło się przydarzyć.

Jakby Norma Jeane nie zdawała sobie sprawy, że statki cywilne były ustawicznie atakowane przez łodzie podwodne i samoloty wroga.

Wszystkim, którzy zahaczali o ten temat, powtarzała: "Mój mąż nie jest uzbrojony.

Marynarka handlowa zajmuje się tylko transportem zaopatrzenia".

W drodze powrotnej do Mission Hills pani Glazer siedziała z tyłu przy Lorraine i Normie Jeane.

Zdjęła kapelusz, rękawiczki i chwyciła Normę Jeane za lodowate palce, rozumiejąc, że jej synowa przeżywa szok; przestała płakać, ale głos miała jeszcze zachrypnięty od natłoku emocji.

- Możesz się wprowadzić do nas, moja droga.

Jesteś teraz naszą córką.

WOJNA

- Nie jestem niczyją córką.

Skończyłam z tym.

Nie przeprowadziła się do Mission Hills do Glazerów.

Nie pozostała w Verdugo Gardens.

W tydzień po wypłynięciu Liberty Buckym na pokładzie znalazła pracę przy taśmie produkcyjnej w Radio Pianę Aircraft, piętnaście mil na wschód od Burbank.

Wynajęła umeblowany pokój w domu czynszowym niedaleko linii tramwajowej i mieszkała samotnie aż do dnia osiemnastych urodzin, kiedy przyszła jej do głowy pewna myśl.

Leżała wtedy wyczerpana, zapadając w pozbawiony wszelkich obrazów sen.

Norma Jeane Baker nie jest już pod kuratelą hrabstwa Los Angeles.

Dzień później ta sama myśl powróciła z większą mocą, jak cicha błyskawica rozświetlająca ciemne, burzowe niebo nad San Gabriel Mountains, Czy po to wyszłam za Buckyego Glazera?

W zakładach lotniczych przy grzmiącym tumulcie maszynierii zaczęła tłumaczyć sobie, dlaczego zaręczyła się jako piętnastolatka i zrezygnowała ze szkoły, aby wyjść za mąż w wieku lat szesnastu.

Dlaczego z przerażeniem i radością żyła teraz sama po raz pierwszy w swym osiemnastoletnim życiu, dostrzegając, że wszystko dopiero się zaczyna.

I wiedziała, że stało się tak dzięki Wojnie.

Jeśli Zło nie istnieje, to jednak istnieje Wojna Wojna nie jest Złem?

Zło nie jest Wojną?

Nadszedł dzień w Radio Pianę, kiedy Norma Jeane, która nieczęsto czytała gazety, bo była przesądna, podsłuchiwała, jak podczas drugiego śniadania dwie pracownice rozmawiały o pewnym zdarzeniu opisanym w numerze "L.A. Timesa", o wiadomości z pierwszej strony, zapisanej mniejszymi literami niż doniesienia wojenne, zilustrowanej fotografią ekstatycznie roześmianej kobiety w bieli; nagle zatrzymała się i spojrzała na gazetę, którą trzymała jednak z kobiet; musiała wyglądać na poruszoną, ponieważ kobiety zapytały, co się stało, a ona wyjąkała niewyraźnie, że nic.

Kobiety patrzyły na nią uważnie, przeszywały ją wzrokiem ostrym jak sople lodu, nie

podobała im się ta zameżna, na pozór bardzo tajemnicza dziewczyna, której wstydlivość poczytywano za niedostępność, przywiązywanie wagi do wyglądu włosów, makijażu, ubioru - za próżność, a jej nie słabnący zapał, aby nie zawieść w pracy, za chęć przypodobania się brygadziście; Norma Jeane czym prędzej wycofała się zmieszana i zakłopotana, wiedząc, że kobiety będą się bezlitośnie śmiały, zaczną naśladować jej głos małej dziewczynki; później tego samego wieczoru kupiła egzemplarz "Timesa" i przeczytała, przerażona i zafascynowana...

EWANGELIZATORKA McPHERSON NIE ŻYJE KORONEK STWIERDZA PRZEDAWKOWANIE NARKOTYKÓW

Aimee Semple McPherson nie żyje!

Założycielka Międzynarodowego Kościoła Otwartej Ewangelii w Los Angeles, dokąd przed osiemnastu laty babcia Delia zabrała małą Normę Jeane, by ją ochrzcić.

Aimee Semple McPherson, która już dawno została zdemaskowana i upokorzona jako oszustka, bo jej majątek idący w miliony dolarów został zbudowany na zakłamaniu i przekupstwie.

Aimee Semple McPherson, której nazwisko cieszyło się teraz złą sławą, dawniej darzona szacunkiem i uwielbieniem jako jedna z najślawniejszych kobiet w Ameryce.

Aimee Semple McPherson samobójczynią!

Normie Jeane zaschło w gardle z wrażenia.

Stała na przystanku tramwajowym, nie mogąc się skoncentrować na artykule.

Nie myślałam wcale, że to coś oznacza, że kobieta, która mnie ochrzciła, pozbawiła się życia.

Że chrześcijańska wiara może mieć wartość sztuki bielizny, którą się pospiesznie wkłada, aby ją w pośpiechu zdjąć i porzucić.

-Jesteś przecież żoną Buckyego.

Nie możesz mieszkać sama.

Glazerowie byli wstrząśnięci.

Wyrażali surową dezaprobatę i złość.

Norma Jeane zamknęła oczy, widząc w wyobraźni szereg hipnotycznych dni w małej kuchni teściowej, wśród błyszczących utensyliów, na nieskazitelnie czystej podłodze wyłożonej linoleum, w kuchni intensywnie pachnącej stojącymi na ogniu potrawkami i zupami, pieczonym mięsem, pieczonym chlebem i ciastkami.

Słyszała pocieszający szelest głosu starszej kobiety:

"Normo Jeane, kochanie, czy mogłabyś mi z tym pomóc?"

" Cebule do posiekania, formy do posmarowania tłuszczem.

Stosy brudnych naczyń do wyszorowania, opłukania i osuszenia.

Zamknęła oczy i zobaczyła uśmiechniętą dziewczynę podczas zmywania naczyń, jej ręce po łokcie zanurzone w pianistej kąpieli.

Dziewczynę o zastygłej w uśmiechu twarzy, która przesuwając mechaniczną szczotkę po dywanach w salonie i pokoju stołowym, wkłada kosze brudnej bielizny do pralki ustawionej w cuchnącej wilgocią

piwnicy, pomaga pani Glazer rozwiesić bieliznę na sznurze, zdjąć wyschniętą ze sznura, wyprasować ją, złożyć, poukładać w szufladach, szafach, na półkach.

Dziewczynę w ładnie wykrochmalonej sukience, kapeluszu, białych rękawiczkach i pantofelkach na wysokim obcasie, bez jedwabnych pończoch, ale ze "szwami" starannie wyrysowanymi kredką do brwi, udającymi prawdziwe szwy w tych czasach wojennego niedostatku.

Wchodzili do Kościoła Chrystusowego z teściami, tak dużo ich było.

Glazerowie.

Czy to...?

Tak, żona młodszego syna.

Mieszka z nimi, bo ich syn wyjechał.

"Ale nie jestem waszą córką.

Teraz nie jestem niczyją córką".

Dalej nosiła pierścionki Glazerów.

Najbardziej pragnęła dochować wierności mężowi.

Ty żałosna, chora krowo!

Tylko że mieszkając samotnie w umeblowanym pokoju w Burbank, nawet w ciasnym, obskurnym mieszkaniu, dzieląc łazienkę z dwoma lokatorami, mieszkając samotnie w tym miejscu nowym i dziwnym, gdzie nikt jej nie znał, czasami w przypiływie szczęścia głośno się śmiała.

Była wolna!

Była sama!

Po raz pierwszy w życiu była naprawdę sama.

Nie sierota, nie dziecko, które wymaga opieki.

Nie córka, nie synowa, nie żona.

Było jej z tym wspaniale.

Czuła się jak złodziejka.

Jako pracująca kobieta zyskała samodzielność.

Przynosiła do domu czek na tygodniową pensję, za mieniała go na gotówkę w banku jak każdy dorosły człowiek.

Nim znalazła pracę w Radio Pianę Aircraft, szukała jej w innych małych zakładach, gdzie nie działały związki zawodowe, ale nie przyjęto jej ze względu na brak doświadczenia, na zbyt młody wiek, nawet w Radio Pianę najpierw ją od rzucono, ale ona powtarzała: "Proszę dać mi szansę!"

Proszę".

Była przerażona, serce waliło jej jak młotem, ale uparcie nalegała, stanęła wyprostowana na czubkach palców i prezentowała swe zdrowe, młode ciało.

"W...wiem, że dam radę, jestem silna i wcale się nie męczę.

Wcale!

" No i zatrudnili ją, a wszystko się sprawdziło: szybko nauczyła się mechaniki pracy przy taśmie produkcyjnej, ruchów robota, które bardzo przypominały rutynowe zajęcia domowe, tyle że tu przebywała w hałaśliwym, zewnętrznym świecie obcych ludzi, w świecie, w którym jeśli ciężko pracujesz, zostaniesz zauważona jako bardziej sprawna, bardziej inteligentna i dlatego bardziej wartościowa niż współpracownicy; dostrzeże to najpierw badawcze oko brygadzysty, potem szefa zakładu, następnie wyższych kierowników, znanych tylko z nazwiska, ale tych nazwisk nikt z pracowników na linii produkcyjnej, takich jak Norma Jeane, nigdy nie wymieniał.

Po powrocie do domu tramwajem po ośmiogodzinnej zmianie, choć powłóczyła nogami ze zmęczenia, niczym zachłanne dziecko liczyła w głowie pieniądze, które zarobiła - mniej niż siedem dolarów, odliczywszy podatek i ubezpieczenie społeczne, ale te pieniądze należały do niej, mogła je wydać albo zaoszczędzić - jeśli mogła.

Wracła więc do domu, gdzie nikt na nią nie czekał poza Magiczną Przyjaciółką w lustrze i lekkim bólem głowy; głodna, nie musiała jednak przygotowywać fury żarcia dla głodnego jak wilk męża, wystarczyło na ogół podgrzać zupę Campbella z puszki; jakże pyszna była ta gorąca zupa, kawałek białego chleba z dżemem, banan albo pomarańcza, szklanka mleka.

Wreszcie padała na łóżko, a właściwie na wąską prycę z materacem o grubości cala, na pojedyncze, znowu dziewczęce łóżko.

Miała na dzieję, że będzie za bardzo zmęczona, aby śnić, i często tak było, albo tak się jej zdawało, niemniej czasem stropiona wędrowała zadziwiająco długimi, obcymi korytarzami sierocińca, by nagle ni stąd, ni zowąd znaleźć się na huśtawce na jakimś piaszczystym placu, którego - była o tym przekonana - zupełnie nie pamiętała, i w tym śnie czuła czyjąś obecność daleko po drugiej stronie ogrodzenia z drutu kolczastego; czyżby to był on?

Ciemno włosy Księżę przybywał po nią?

Nie widziała go, nie uświadamiała sobie jego obecności; potem, ubrana tylko w majteczki, wędrowała po La Mesa, szukając budynku, w którym mieszkała z Matką, lecz nie mogła go znaleźć, przypomnieć sobie magicznego słowa, dzięki któremu by go odnalazła:

HACJENDA.

Była dzieckiem w fazie "Pewnego razu żył sobie".

Była Normą Jeane szukającą matki, A jednak właściwie nie była dzieckiem, tylko zamężną kobietą.

Sekretne miejsce między jej nogami zostało wynajęte, skrwawione i zawłaszczone przez Ciemnowłosego Księcia.

Miałam złamane serce.

Płakałam i płakałam.

Kiedy odszedł, zaczęłam rozmyślać, jakie sobie zadać rany, żeby się ukarać.

Pocięta ręka szybko się zagoiła, taka byłam zdrowa.

Mieszkając samotnie, odkryła, że nie ma po trzeby zmieniać ręcznika częściej niż raz na tydzień albo rzadziej.

Nie ma potrzeby zmieniać prześcieradeł częściej niż raz na tydzień albo rzadziej.

Nie było pełnego wigoru, spoconego młodego męża, który to wszystko brudził, a Norma Jeane skrupulatnie zachowywała czystość, myjąc się i kąpiąc tak często, jak tylko mogła.

Systematycznie prała koszulkę nocną, bieliznę i bawełniane rajstopy.

Nie miała dywanu w pokoju, dlatego mechaniczny odkurzacz nie był jej potrzebny; raz na tydzień pożyczala od właścicielki domu miotłę i zawsze na czas ją zwracała.

Nie miała piekarnika ani pieca, nie musiała zatem niczego czyścić.

Niewiele powierzchni, poza parapetami, zatrzymywało kurz, więc nie miała kłopotu z odkurzaniem.

(Śmiała się na wspomnienie "starego Hirohita").

Uciekła od niego!

) Kiedy opuszczała mieszkanie w Verdugo Gardens, większość przedmiotów należących do wspólnego gospodarstwa domowego zostawiła Glazerom; wierzyła, że przechowają je do powrotu Buckyego.

Ale wiedziała też, że Bucky nigdy nie wróci.

W każdym razie nie do niej.

Jeśli mnie kochasz, nigdy mnie nie opuścisz Jeśli mnie opuścisz, nigdy mnie nie kochałeś

Gdyby ludzie nie umierali i nie odnosili ran, a świat nie wypełniał się dymiącymi zgliszczami, Norma Jeane jeszcze bardziej lubiłaby wojnę.

Wojna była pewna, niezawodna jak głód czy sen.

Nie dawała o sobie zapomnieć.

Mogłaś o niej rozmawiać z nieznajomym.

Wojna wypełniała program radiowy, który trwał bez końca.

Wojna była koszmarem, który śnił się wszystkim.

Podczas wojny nigdy nie jesteś samotna.

Od 7 grudnia 1941 roku, kiedy Japończycy zbombardowali Pearl Harbor, przez całe lata samotność nie istniała.

W tramwaju, na ulicy, w sklepach, pracy, w do wolnym czasie mogłaś zapytać z obawą, entuzjazmem albo rzeczowo:

"I jak, stało się coś dzisiaj?

", ponieważ zawsze coś już się stało lub miało się stać.

Ustawicznie toczyły się bitwy w Europie i w rejonie Pacyfiku.

Wieści były i dobre, i złe.

Z obcymi ludźmi dzieliłaś radość, smutek, nie pokój.

Obce osoby wspólnie płakały.

Wszyscy słuchali.

Każdy człowiek miał jakieś zdanie.

Po zmroku, jak w zbliżającym się koszmarze, świat ciemniał.

Norma Jeane uważała tę porę za magiczną.

Reflektory samochodów były zasłonięte, przez okna nie mogło przebijać światło, neony musiały być pogaszone.

Przenikliwie brzmiały syreny alarmowe.

Syreny fałszywych alarmów.

Krążyły pogłoski o rychłej inwazji.

Brakowało żywności i innych towarów - wszyscy na to narzekali.

Pojawiły się pogłoski o czarnym rynku.

Norma Jeane w roboczym ubraniu, spodniach, koszuli, swetrze, z włosami ściągniętymi do tyłu i starannie związanymi tasiemką, rozmawiała bez trudu z nieznajomymi.

Dawniej, w obecności Glazerów, bywała żałośnie nieśmiała i skłonna do jąkania się, co zdarzało się także z Buckym, jeśli akurat nie był w najlepszym humorze; teraz jednak rzadko jąkała się w rozmowach z przyjaźnie nastawionymi nieznajomymi, a większość z nich była przyjazna.

Zwłaszcza mężczyźni.

Norma Jeane dostrzegała, że ich przyciąga, nawet tych, którzy mogliby być jej dziadkami; rozpoznawała intensywne, gorące spojrzenia sygnalizujące pożądanie i to ją podnosiło na duchu.

Jeśli przebywała w miejscach publicznych.

Bo kiedy pytali, czy poszłaby na obiad?

do kina?

spokojnie pokazywała obrączkę.

Jeśli pytali ją o męża, odpowiadała, też spokojnie: Jest za granicą.

W Australii".

Czasem słyszała siebie, jak mówi, że "zaginął w akcji" w Nowej Gwinei, czasem - że "poległ w walce" na Iwo Jima.

Najczęściej jednak nieznajomi pragnęli rozmawiać o tym, w jaki sposób wojna wpłynęła na ich życie.

"Żeby ta cholerna wojna wreszcie się skończyła" - mawiali z goryczą.

Natomiast Norma Jeane myślała: Żeby ta wojna trwała bez końca.

Dostała pracę w Radio Pianę przede wszystkim dlatego, że brakowało mężczyzn.

Z powodu wojny pojawiły się kobiety kierowcy ciężarówek, kobiety odbiorcy śmieci, kobiety operatorzy dźwigów, a nawet dekarze, malarze i stróże.

Kobiety w mundurach widać było wszędzie.

Norma Jeane wyliczyła, że w Radio Pianę na jednego mężczyznę przypada osiem, dziewięć kobiet, jeśli rzecz jasna nie liczyć pracowników szczebla kierowniczego, gdzie kobiet w ogóle nie było.

Zawdzięczała pracę wojnie i wojnie zawdzięczała wolność.

A także tygodniową pensję, a po trzech miesiącach pracy w Radio Pianę awans i podwyżkę w wysokości dwudziestu pięciu centów za godzinę.

Okazało się, że ma tak niezwykle umiejętności przy taśmie produkcyjnej, że wyznaczono ją do bardziej wymagającej pracy, która polegała na powlekaniu kadłubów samolotów warstwą plastiku.

Silna woń wywoływała u niej mdłości.

Uderzała do mózgu.

Powstawały w nim bąbelki podobne do maleńkich bąbelków szampana.

Krew odpływała z twarzy Normy Jeane, wzrok chwilowo zawodził.

"Wyjdź lepiej na świeże powietrze" - mówił do niej brygadzysta, ale Norma Jeane czym prędzej odpowiadała: "Nie mam czasu!"

Nie mam czasu!

- chichocząc i trąc oczy.

- Nie mam czasu".

Miała kłopoty z językiem, który jakby się nie mieścił jej w ustach.

Bała się, że może zawieść na nowym stanowisku i zostanie odesłana do taśmy albo zwolniona i odesłana do domu.

Ponieważ nie miała domu.

Ponieważ mąż ją porzucił.

Ty żalosna, głupia krowo.

Nie miała odwagi przyznać się do słabości, wmawiała sobie, że nie zawiedzie.

W końcu tak się zdarzyło, że brygadzysta wziął ją za ramię i wyprowadził z komory lakierniczej, Norma Jeane odetchnęła świeżym powietrzem przy otwartym oknie, ale prawie natychmiast wróciła do pracy, twierdząc, że już wszystko jest w porządku.

Jej dłonie poruszały się zwinnie, jakby sterowała nimi ich własna inteligencja, która wzrastała w miarę upływu godzin, dni, tygodni, podczas gdy Norma Jeane stopniowo uodparniała się na działanie mieszanki chemicznej.

Jak jej powiedziano: "Czasem prawie nie czuje się smrodu".

(Chociaż, wiedziała o tym, pachniały jej włosy i ubiór.

Musiała więc być nadzwyczaj skrupulatna, starannie prac i wietrzyć ubrania.) Wolą nie myśleć, że opary przenikają przez jej skórę, przez nos, dostają się do płuc, do mózgu.

Była dumna z tego, że awansowała tak szybko, otrzymała podwyżkę, miała nadzieję, że znowu awansuje i otrzyma kolejną podwyżkę.

Wzbudziła podziw brygadzysty jako wytrwały pracownik, poważna młoda kobieta, której można powierzyć poważną pracę.

Była dziewczęca, ale nie za chowywała się jak dziewczyna.

Nie w Radio Pianę!

Budowała bombowce, które miały polecieć nad terytorium wroga.

Postrzegała pracę w fabryce jak rodzaj wyścigu, w którym brała udział, a w szkole średniej zaliczała się do najszybszych biegaczek, zdobyła medal, z którego była dumna, chociaż kiedy wysłała ten medal do Gladys w Norwalk, nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

(W którymś ze snów widziała swój medal przypięty do kołnierzyka zielonego szpitalnego kaftana Gladys.

Czy to możliwe, żeby ten sen odpowiadał prawdzie?

Nie podda się i nigdy się nie poddała.)

Tego listopadowego przedpołudnia, rozpylając lakier i walcząc z zawrotami głowy, przestraszyła się, że zbliża się przedwczesny okres, bo teraz, aby utrzymać pracę, musiała połykać tyle tabletek aspiryny, na ile starczyło jej odwagi, wiedząc jednocześnie, że postępuje niewłaściwie, że nie wyzdrowieje, jeżeli ulega takiej słabości, a potem i tak ze wstydem będzie musiała wziąć jeden lub dwa dni wolnego.

Tego listopadowego przedpołudnia, rozpylając lakier, postanowiła, że się nie rozchoruje, nie zemdleje, choć maleńkie bąbelki w mózgu rozpraszały ją bardziej niż zwykle, i nagle uśmiechnęła się do oszałamiającej, ponętnej przyszłości.

Ciemnowłosy Księżę w wizytowym czarnym stroju i Norma Jeane - Ja snowłosa Księżniczka w długiej białej sukni z jakiegoś mieniącego się materiału.

Szli, trzymając się za ręce, po plaży o zachodzie słońca.

Włosy Normy Jeane rozwiewał wiatr.

Były to platynowe włosy Jean Harlow, która, jak po wiadano, umarła, bo jej matka, wyznawczyni Christian Science, odmówiła wezwania lekarza do śmiertelnie chorej dwudziestosześcioletniej córki, ale Norma Jeane miała więcej rozumu w głowie, bo człowiek umiera jedynie z powodu własnej słabości, a ona nie zamierzała być słaba.

Ciemnowłosy Księżę przystanął, aby zarzucić jej na ramiona swoją marynarkę.

Pocałował ją delikatnie w usta.

Zabrzmiała muzyka, romantyczna muzyka taneczna.

Ciemnowłosy Księżę i Norma Jeane zaczęli tańczyć, wkrótce jednak Norma zdumiała swego kochanka.

Zrzuciła pantofelki i jej nagie stopy zapadły się w wilgotny piasek- ależ cudowne odczucie, tańczyć, kiedy fala zatamuje się i rozlewa wokół twoich nóg!

Ciemnowłosy Księżę gapił się na nią zdziwiony: była piękniejsza od wszystkich kobiet, które zdążył poznać;

umknęła mu, choć na nią patrzył, uniosła ramiona, które stały się skrzydłami, po czym przekształciła się w pięknego białopiórego ptaka, wznosiła się wyżej, wyżej i wyżej, aż Ciemnowłosy Księżę stał się zaledwie figurką na plaży wśród spienionych fal, wpatrzoną w nią z oddali z poczuciem straty.

Zmrużywszy oczy, Norma Jeane podniosła wzrok z dłoni w rękawiczkach, zaciśniętych na karnistrze z lakierem, i ujrzała jakiegoś mężczyznę, który przyglądał się jej od drzewi.

Był to Ciemnowłosy Księżę z aparatem fotograficznym.

ŚLICZNOTKA Z OKŁADKI, 1945

Twoje życie poza sceną nie jest przypadkowe.

Określimy je jako nieuchronne.

Z życia aktora

Przez pierwszy rok cudów - uderzających w nią jak w dzieciństwie bez litości i ostra fala na plaży w Santa Monica - będzie słyszała ten głos, miarowy jak metronom.

Gdziekolwiek jesteś, tam i ja jestem.

Nim dotrzesz do miejsca, do którego zmierzasz, ja już tam będę na ciebie czekać.

Ależ Glazer miał minę!

Kumple na Liberty będą sobie kpili z niego bez końca.

To było tak: przerzucał strony numeru "Stars Stripes" z grudnia 1944 roku, z tą swoją nadąsaną, znudzoną miną, aż odwróciwszy którąś ze stron, wybałuszył oczy, a szczęka dosłownie mu opadła.

Cokolwiek to było, wywarło na nim piorunujące wrażenie.

Potem odezwał się ochrypłym głosem: "Chryste.

To przecież moja żona!

- Odebrano mu czasopismo.

Wszyscy wlepili wzrok w MŁODE ROBOTNICE BRONIĄCE KRAJU NA FRONCIE WEWNĘTRZNYM i na całostronicowe zdjęcie dziewczyny o najśodszej twarzy, jaką kiedykolwiek widzieli.

Na ciemne loki schodzące spiralami na ramiona, śliczne, tęskne oczy i wilgotne usta ułożone w skromny, pełen nadziei uśmiech, na drelichowy kombinezon dość napięty na sporych, młodych piersiach i zachwycających biodrach.

Dziewczyna nieporadnie jak dziecko trzymała w obu rękach kanister, jak gdyby chciała pokryć sprayem kamerę.

Norma Jeane pracuje dziewięć godzin dziennie w Radio Pianę Aircraft w Burbank w stanie Kalifornia.

Jest dumna ze swojego udziału w wojennym wysiłku: "Praca nie jest lekka, ale uwielbiam ją!

" Powyżej Norma Jeane przy kadłubie samolotu w lakierni.

Po lewej Norma Jeane rozmyśla o mężu, marynarzu floty handlowej, rekrucie Buchananie Glaserze, przebywającym obecnie na wodach południowego Pacyfiku.

Dokuczali chłopakowi, kpili: w gazecie napisano Glaser, nie Glazer: skąd pewność, że dziewczyna jest

jego żoną?

Walczą o czasopismo, wrywają je sobie z rąk.

Wściekły Glazer gotowy jest bić się ze wszystkimi, ma szeroko otwarte oczy...

"Skurwysyny!

Przestańcie!

Dawać mi to!

To moje!

"

W marcu 1945 roku na lekcji angielskiego w Van Nuys High School pan Sidney Haring odebrał najnowsze wydanie "Pageanta" grupce chichoczących chłopców i rzucił magazyn niedbale na swoje biurko, nie spojrzawszy na niego nawet przelotnie.

Dopiero później tego samego dnia Haring przestudiował czasopismo na osobności.

Przerzucał stronicę do miejsca, które chłopcy - nie miał co do tego żadnych wątpliwości - na pewno zaznaczyli.

Naraz poprawił okulary, aby się lepiej przyjrzeć - Norma Jeane!

Rozpoznał ją od razu, pomimo jej prowokującej pozy i mocnego makijażu, głowy przechylonej, ust pomalowanych ciemną szminką i lekko rozchylonych w uśmiechu - jakby trochę wypita i rozmarzyła się - oczu przymkniętych w nedorzecznej ekstazie.

Miała na sobie coś, co wyglądało na niemal przezroczystą, obszytą koronką koszulkę nocną, która sięgała do połowy uda, buty na wysokim obcasie, a pod dziwnie spiczastymi piersiami trzymała głupawo uśmiechniętą pluszową pandę: Potrzebujesz cieplej przytulanki na chłodne zimowe noce?

Haring zaczął oddychać przez usta.

Nie widział wyraźnie, oczy mu wilgotniały.

"Norma Jeane Mój Boże".

Nie mógł się na patrzeć.

Poczuł przyptyw wstydu.

Wiedział, że to jego wina.

Mógł ją ocalić.

Jak?

Powinien chociaż spróbować.

Bardziej spróbować.

Coś przecież mógł zrobić.

Co? Zaprotestować przeciwko tak wczesnemu małżeństwu?

Może dziewczyna była w ciąży.

Może musiała wziąć ślub.

Sam powinien się z nią ożenić?

Był już żonaty.

Norma Jeane miała wtedy piętnaście lat, trzeba było zachować dystans.

Postąpił najrozsądniej.

Zrobił mądrze.

Nawet okaleczenie się było rozsądnym posunięciem: uniknął poboru.

Miał małe dzieci, żonę.

Kochał swoją rodzinę.

Utrzymywał ją.

A w jego klasach co roku uczyły się dziewczęta.

Sieroty pozostające pod opieką rodzin zastępczych.

Dziewczęta źle traktowane.

Dziewczęta o tęsknych oczach.

Dziewczęta oczekujące od pana Haringa wskazówek.

Akceptacji.

Miłości.

Nic na to nie możesz poradzić, jeśli jesteś nauczycielem w szkole średniej, mężczyzną, mężczyzną względnie młodym.

Wojna sprawiła, że wszystko przeżywało się bardziej intensywnie.

Wojna była dzikim erotycznym snem.

Jeśli byłeś mężczyzną.

Jeśli postrzegano cię jako mężczyznę.

Przecież nie mógł po móc wszystkim.

Straciłby pracę.

Norma Jeane była przybranym dzieckiem.

Taki już był jej podły los.

Miała chorą matkę...

nie pamiętał dokładnie na co.

Ojciec...

właśnie, co z ojcem?

Nie żył.

No i co można poradzić?

Nic.

To, co uczynił, czyli nic, było wszystkim, co mógł uczynić.

Chroń siebie.

Nigdy ich nie dotykaj.

Nie był dumny ze swego zachowania, lecz nie miał powodu, aby się wstydzić.

Niby dlaczego miałby się wstydzić?

Więc się nie wstydził.

Jednak nie bez poczucia winy zerknął na drzwi do swojej klasy (lekcje się skończyły, ale mogło się zdarzyć, że jakiemuś uczniowi przyszło do głowy zajrzeć przez szybę w drzwiach), wydarł stronę i pozbył się egzemplarza "Pageanta", wsuwając go do używanej szarej koperty (aby dozorca nie zwrócił uwagi) i wrzucając do kosza.

Potrzebujesz cieplej przytulanki na chłodne zimowe noce?

Haring nie zadał sobie trudu złożenia całostronicowego zdjęcia swej dawnej uczennicy, wsunął je tylko do teczki przechowywanej na dnie najniższej szuflady, między kilka kartek z wierszami, które ta dziewczyna napisała specjalnie dla niego.

I siła smutku by mnie nie zmogła, Gdybym was kochać mogła.

W lutym tego samego roku detektyw Frank Widdoes z wydziału policji w Culver City przeszukiwał brudną jak chlew przyczepę mieszkalną pewnego podejrzanego o morderstwo człowieka, a właściwie podejrzanego w sensacyjnej sprawie gwałtu-morderstwa, gwałtu-okaleczenia-morderstwa, gwałtu-okaleczenia-morderstwa-rozczłonkowania.

Widdoes i jego koledzy doskonale wiedzieli, że schwytali właściwego człowieka, sukinsyn był winny jak jasna cholera; teraz potrzebowali tylko namacalnych dowodów łączących go z martwą dziewczyną (przez kilka dni nikt jej nie widział, potem została znaleziona w kilku kawałkach na wysypisku śmieci w Culver City; mieszkała w Hollywood, pracowała jako dublerka Susan Hayward w pewnej wytwórni filmowej, ale ostatecznie została zwolniona, w jakiś sposób zetknęła się z tym psycholem i to był jej koniec).

Widdoes zatykał nos jedną ręką, drugą zdejmował ze stosu czasopisma z dziewczynkami.

Za uważył ją zupełnie przypadkowo, kiedy "Pix" otworzył się na jakiejś stronie: Jezu Chryste!

To ona".

Widdoes zaliczał się do tych legendarnych detektywów, którzy nigdy nie zapominają twarzy ujranych choć raz na ekranie kina i którzy nigdy nie zapominają nazwisk.

"Norma Jeane...

jak jej tam było?

Baker".

Dziewczyna miała na sobie obcisły jednoczęściowy kostium kąpielowy, który właściwie niczego nie zakrywał, zarazem jednak pozostawiał dostatecznie wiele miejsca dla wyobraźni, i na nogach, zupełnie bezsensownie, pantofelki na wysokich obcasach.

Jedno zdjęcie przedstawiało ją z przodu, na drugim wystąpiła w pozie Betty Gracie: dziewczyna zerka nieśmiało przez ramię na widza, trzyma dłonie na biodrach, po rozumiewawczo mruży oczy.

Kokardki zdobiły strój kąpielowy i włosy - ciemną masę loków w odcieniu szelaku - twarz dziewczyny zaś, jeszcze dziecinna, zastygła pod makijażem grubym jak skorupa.

Na pierwszej fotografii Norma Jeane trzymała piłkę plażową i prowokująco wyciągała ją w stronę czytelnika, wykrzywiając twarz w sztucznym uśmiechu, składając usta do pocałunku.

Jakie jest najlepsze lekarstwo na zimowe smutki?

Nasza Miss Lutego na pewno zna odpowiedź.

Widdoes poczuł tępy ból w sercu, jakby je przeszły - nie ostra kula, ale kartonowa przybitka od pocisku.

Partner zapytał go, co znalazł, a Widdoes odrzekł gniewnie:

- A niby co ja twoim zdaniem mogę tu znaleźć?

W sraczu możesz znaleźć tylko gównno.

Egzemplarz "Pixa" dyskretnie zrolował i wsunął do kieszeni płaszcza.

Niedługo później w swoim biurze na kółkach, z tyłu dymiącej rupieciarni na Reseda, siedział Warren Pirig - papieros szybko palił się w jego ustach - i gapił się na błyszczącą okładkę nowego "Swanka".

A na okładce!

"Norma Jeane?

Chryste".

Toż to jego dziewczyna.

Ta sama, której swego czasu po niechał i której nie dotknął ani razu.

Ta sama, którą wciąż wspominał, rzecz jasna czasami.

Tylko że od tamtej pory zmieniła się dosyć mocno, stała dojrzała, patrzyła na niego, jakby wiedziała, o co w życiu chodzi.

No, no, i jeszcze Co lubi.

Miała na sobie mokrą, białą bawełnianą koszulkę z napisem USS Swank, czerwone pantofelki na wysokich obcasach i nic więcej.

Dopasowana, sięgająca ud koszulka.

Ciemnoblond włosy zostały zebrane na czubku głowy z wyjątkiem kilku skręconych w spirale pasemek.

Człowiek od razu się orientował, że pod koszulką nie ma biustonosza, piersi wyglądały na krągłe i sprężyste.

Wystarczyło się dobrze przyjrzeć koszulce, jak opina biodra i brzuch, aby dojść do wniosku, że majteczek też dziewczyna na sobie nie ma.

Krew napłynęła do twarzy Warrena Piriga.

Wyprostował się nagle przy zniszczonym starym biurku, mocno uderzając stopami o podłogę.

Według ostatnich informacji Elsie, Norma Jeane wyszła za mąż, przeniosła się do Mission Hills, a jej mąż popłynął na wojnę.

Nic więcej nie wiedział.

Ani Warren nie wypytywał o Normę Jeane, ani Elsie nie przynosiła nowych wieści.

A teraz to!

Okładka "Swanka" i dwie strony podobnych zdjęć w środku, na których Norma Jeane występowała w tej samej białej koszulce.

Pokazując cycki i tyłek jak jakaś dziwka.

Warren poczuł ukłucie pożądania i zarazem głęboką odrazę, jakby ugryzł coś zgniłego.

"Cholera.

To jej wina".

Miał na myśli Elsie.

Ona rozbiła ich rodzinę.

Zacisnął dłonie pod wpływem chęci, aby zaraz, natychmiast zrobić komuś krzywdę.

Mimo wszystko zadbał o to, aby zachować to specjalne wydanie "Swanka" z marca 1945 roku, wsunął je do biurka obok starych ksiąg finansowych.

W drogerii Mayera, pewnego kwietniowego przedpołudnia, które miała zapamiętać na bardzo długo (w przeddzień śmierci Franklina Delano Roosevelta), Elsie usłyszała, że woła ją podeksycytowana Irma.

Poszła więc obejrzyć nowe wydanie "Paradę", którym machała jej przyjaciółka:

- To ona, prawda?

Wasza dziewczyna?

Ta, która wyszła za mąż parę lat temu?

Zobacz!

Elsie spojrzała na otwartą stronę magazynu.

Norma Jeane!

Włosy miała zaplecione jak Judy Garland w Czarodzieju z Oz; ubrana była w obcisłe sztruksowe spodnie i beżowo-niebieski sweter, bujała się na bramie do wiejskiej zagrody i uśmiechała radośnie; w tle pasły się na łące konie.

Norma Jeane wyglądała bardzo młodo i bardzo ładnie, lecz wystarczyło się dobrze przyjrzeć, tak jak to zrobiła Elsie, żeby dostrzec napięcie w tym pogodnym, szerokim uśmiechu.

Dołki w policzkach wyrzeźbiło przemęczenie.

Wiosna w pięknej San Fernando Yalley!

Jeśli chcesz wiedzieć, jak zrobić na drutach ten uroczy sweter, zajrzyj na stronę 89.

Elsie była tak wstrząśnięta, że wyszła ze sklepu, zapomniawszy zapłacić za czasopismo.

Pojechała prosto do Mission Hills zobaczyć się z Bess Glazer.

Nie traciła czasu na uprzedzanie jej o swojej wizycie.

"Bess!

Zobacz!

Spójrz na to!

Wiesz coś o tym?

Widzisz, kto tu jest?

" Podsunęła egzemplarz "Paradę" pod nos zaciekawionej starszej kobiecie.

Bess popatrzyła na fotografię i zmarszczyła czoło; zdziwiła się, to prawda, ale bez przesady.

"Och, to ona.

No cóż".

Ku zdumieniu Elsie nie powiedziała nic więcej, tylko zaprowadziła ją do kuchni, gdzie z szuflady obok kuchenki wyjęła numer "Stars Stripes" z grudnia 1944 roku ze zdjęciami MŁODYCH ROBOTNIC BRONIĄCYCH KRAJU NA FRONCIE WEWNĘTRZNYM.

W środku Norma Jeane - znowu!

Elsie poczuła się tak, jakby ktoś ją kopnął w brzuch - znowu!

Osunęła się na krzesło, wpatrzona w Normę Jeane, we własną córkę, swoją dziewczynę!

Ubrana w obcisły kombinezon, uśmiechniętą do obiektywu w sposób, w jaki, o ile Elsie dobrze pamiętała, w prawdziwym życiu nie uśmiechała się do nikogo.

Jakby ten, co trzymał aparat, był jej najbliższym przyjacielem.

Albo może aparat był jej najbliższym przyjacielem.

Fala uczuć przetoczyła się przez Elsie: zakłopotanie, uraza, wstyd, duma.

Dlaczego Norma Jeane nie podzieliła się z nią tą szczęśliwą wiadomością?

Bess po wiedziała z taką miną, jakby niespodziewanie połknęła coś gorzkiego:

- Bucky przysłał to do domu.

Chyba jest dumny.

- Czy to znaczy, że ty nie jesteś?

- zapytała Elsie.

Bess wyglądała na dotkniętą.

- Dumna z czegoś takiego?

Oczywiście, że nie.

Glazerowie uważają, że to wstyd.

Elsie gniewnie potrząsnęła głową.

- Moim zdaniem to cudowne.

Jestem dumna.

Norma Jeane będzie chyba modelką, może gwiazdą filmową!

Zobaczysz.

Bess odparła:

- Przede wszystkim miała być żoną mojego syna.

Małżeńska przysięga liczy się najbardziej.

Elsie nie obraziła się, nie wybiegła z tego domu.

Została, a Bess zaparzyła kawę.

Kobiety porozmawiały i popłakały sobie nad utraconą Normą Jeane.

DO WYNAJĘCIA

Dla prawdziwego aktora każda rola stanowi jakąś okazję.

Nie istnieją role gorsze.

Z życia aktora

Podczas pierwszego tygodnia współpracy z agencją Preene została Miss Produktów Aluminiowych 1945 roku.

W obcistej, białej nylonowej sukience z głębokim dekoltem, ze sznurami sztucznych pereł i perłowymi kolczykami, w białych butach na wysokim obcasie i sięgających łokci rękawiczkach, z kremowobiałą gardenią w lśniących, długich do ramion włosach.

W czasie czterodniowego konwentu w centrum handlowym Los Angeles.

Wymagano od niej, by stała przez cztery godziny na wysokiej platformie, wśród połyskujących aluminiowych artykułów gospodarstwa domowego, i rozdawała broszury reklamowe zainteresowanym, głównie mężczyznom.

Dostawała dwanaście dolarów dziennie, wliczając w to dojazd i (minimalne) wyżywienie.

W drugim tygodniu była Miss Wyrobów Papierniczych, W sukni z jasnoróżowej bibuły, która strasznie szeleściła przy każdym poruszeniu i zawijała się od wilgoci pod pachami, w koronie ze złożonego papieru na upiętych do góry włosach.

W hali widowiskowej gdzieś w centrum miasta.

Oprócz broszur rozdawała próbki produktów: serwetki, papier toaletowy, wkładki higieniczne (w opakowaniu z szarego papieru).

Dostawała dziesięć dolarów dziennie, w tym zwrot kosztów (minimalnego) wyżywienia i dojazdu tramwajem.

Zostanie Miss Opieki Medycznej na Targu Instrumentów Chirurgicznych w Santa Monica.

Miss Produktów Mlecznych Południowej Kalifornii, ubraną w biały kostium kąpielowy w wielkie czarne łaty, charakterystyczne dla krów rasy Guernsey, i buty na wysokich obcasach.

Hostessą na uroczystości otwarcia hotelu Luxe Arms w Los Angeles.

Hostessą na uroczystości otwarcia Rudys Steakhouse w Bel Air.

W marynarskiej bluzie, krótkiej spódniczce, jedwabnych pończochach będzie hostessą na pokazie jachtów w Rolling Hills.

Kowbojką - obszyta frędzlami kamizelka z surowej skóry, buty na wysokim obcasie, kapelusz z szerokim rondem, pas ze srebrnymi okuciami, do tego sześciopalcowy (niezaładowany) rewolwer przy kształtnym biodrze - czyli Miss Rodeo 1945 w Huntington Beach (będzie stała pod jasnymi światłami, a uśmiechnięty od ucha do ucha mistrz ceremonii będzie ją łąpał na lasso).

Nie wolno się umawiać z klientami.

Przyjmowanie napiwków jest zabronione.

Naruszenie tych zasad spowoduje natychmiastowe zawieszenie współpracy z Agencją.

Na bóle i skurcze zażywała aspirynę Bayera.

Kiedy to nie pomagało, zaczęła przyjmować silniejsze tabletki (kodeinę?

- co to takiego ta "kodeina"?),

zalecane przez lekarza agencji Preene.

Na wyczerpujące, bolesne krwawienia miesięczne.

Na pulsujący ból głowy.

Na zanik widzenia w obu oczach.

W najgorsze dni nie mogła pracować.

Każdorazowa strata przynajmniej dziesięciu dolarów bolała jak wyrwany ząb.

Co się stanie, jeśli straci wzrok?

Jeśli będzie musiała chodzić po omacku do tramwaju i potykać się jak starsza kobieta?

Przerażało ją, że może się stać tak zaniedbana jak jej matka.

Że nie podoła najprostszemu zadaniu.

Że psy będą wąchały jej wilgotne krocze.

Wkładki higieniczne, już i tak wzmocnione kilkoma warstwami chusteczek marki Kleenex, nasiąkały w ciągu godziny.

Gdzie mogłaby je zmieniać?

I jak często?

Wszyscy zauważą, że idzie sztywno, ma jakąś deskę między udami.

Była w rozpacz; nie mogła zostać w domu i jęczeć w otępieniu, tak jak to robiła w Verdugo Gardens i u Pirigów, gdzie ciotka Elsie przynosiła jej termofor i ciepłe mleko.

"Jak tam, słoneczko?

Po prostu wytrzymaj".

Teraz nie było nikogo, kto by ją kochał.

Mogła polegać wyłącznie na sobie.

Oszczędzała, aby kupić używany samochód od przyjaciółki Ottona Osę.

Wynajmowała umeblowany pokój w West Hollywood, niedaleko pracowni Ottona.

Wysyłała pięciodolarowe banknoty Gladys przebywającej w stanowym szpitalu dla psychicznie chorych, jak gdyby posyłała jej po zdrowienia: Jak się masz, Mamo!

" Według powszechnej opinii należała do najbardziej "obiecujących" modelek agencji Preene.

Była modelką "u progu kariery".

Szefowi agencji nie podobał się jej pomyjowaty kolor włosów.

Musiała zapłacić za płukankę w salonie piękności, za zrobienie rozjaśniających pasemek.

A także za lekcje, które się odbyły w siedzibie agencji.

Czasem dostawała ubrania na występ, czasem musiała mieć własne.

Musiała mieć własne pończochy, dezodorant, kosmetyki, bieliznę.

Zarabiała pieniądze, ale wciąż je pożyczała: od agencji, od Ottona Osę i od innych osób.

Przerażała ją myśl, że polecą jej oczko w pończosze; widziano ją (w tramwaju pełnym obcych ludzi), jak wybuchając płaczem na widok maleńkiego zaciągnięcia, które było początkiem katastrofalnego oczka.

Och, nie.

Och,

Ssr...

nie. Panie Boże, proszę.

Była teraz modelką firmy Preene i wszystkie nie szczęścia były sobie równe: okropność spocenia się w gorący, parny dzień, wydzielania przykrego zapachu, przepocenia ubrania.

I wszyscy by to zobaczyli.

Bo patrzyli wszyscy.

Nawet jeśli jej nie fotografowano w pracowni Ottona, w oślepiających światłach reflektorów, na jego bezlitosnych oczach.

Nie miałyby się gdzie schować.

W sierocińcu miała kryjówkę w toalecie.

Pod pościelą.

Mogła przecisnąć się przez okno i ukryć na skośnym dachu.

Och, tęskniła za sierocińcem!

Tęskniła za Fleece.

Kochała Fleece jak siostrę.

Och, tęskniła za wszystkimi siostrami: Debrą Mae, Janette, Myszą.

Przecież to ona była Myszą!

Tęskniła za doktor Mittelstadt, której czasem wysyłała jakiś wiersz.

W mroku nocy gwiazdy są jaśniejsze.

Wgłębni serca wiemy, co jest słuszne.

Otto Osę, który sfotografował ją w Radio Pianę Aircraft i poznał jej niektóre sekrety, śmiał się z tych sentymentów.

Z maślanych oczu Little Orphan Annie.

Otto Osę oświadczył jej otwarcie, że płacą jej "cholernie dobre pieniądze", aby była kimś wyjątkowym, niech więc, do cholery, po stara się być kimś wyjątkowym.

"Zejdź wreszcie z nocnika".

Będzie, będzie kimś wyjątkowym!

Nawet gdyby to ją miało zabić.

Gladys wierzyła w nią od samego początku.

Stąd lekcje śpiewu, gry na fortepianie.

Ubrania do szkoły piękne jak kostiumy filmowe.

Otto Osę, Ciemnowłosa Księżę.

Rzucił się na nią w komorze lakierniczej i zrobił jej mnóstwo zdjęć dla "Stars Stripes".

Nie zraziło go, że Norma Jeane protestowała, że po sesji zdjęciowej z Buckym bardzo się wstydziła pozować do zdjęć.

Otto chodził za nią wokół kadłuba i nie przyjmował do wiadomości odmowy.

Pracował dla oficjalnego czasopisma sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych, więc sprawa była poważna.

Przede wszystkim dla niego, ale oczywiście dla niej też.

Należało dbać o morale amerykańskich żołnierzy walczących na świecie, zamieszczać fotki ślicznych dziewcząt w kombinezonach...

"Chyba nie chcesz, aby nasi chłopcy popadli w rozpacz, nie?"

Bo to jest równoznaczne ze zdradą".

Otto Osę rozbawił Normę Jeane, chociaż był najszkaradniejszym z mężczyzn, jakich w życiu widziała.

Pstryk, pstryk, pstrykał bez przerwy, pochylając się nad nią i gapiąc jak hipnotyzer.

"Masz pojęcie, kto jest moim szefem w Stars Stripes"?

Roń Reagan".

- Norma Jeane stropiona potrząsnęła głową.

Reagan?

Ten aktor, Ronald Reagan?

Trzeciorzędny Tyrone Powers czy Clark Gable?

Norma Jeane zdziwiła się, że aktor ma coś wspólnego z miesięcznikiem wojskowym.

Że aktor w ogóle może robić coś prawdziwego.

"Cycki, tyłek, nogi, Osę - tego masz się trzymać, powiada Roń Reagan.

Głupi osioł, gównno wie o fabrykach, jeśli myśli, że mogą znaleźć nogi w takim miejscu jak to".

Najbardziej prymitywny, najohydniejszy mężczyzna, jakiego Norma Jeane w życiu spotkała!

Mimo to Otto miał rację.

Zgodnie ze swoimi chętlivymi zapewnieniami, wyciągnął ją z zapomnienia i miał rację.

Obcy ludzie, którzy ją wynajmowali, mieli prawo oczekiwać kogoś wyjątkowego, nie jakiejś prostaczki z Van Nuys.

Nauczyła się nie chować urazy, rzadziej wybuchać płaczem, kiedy ją oglądali, jakby była manekinem.

Albo krową.

"Ta szminka jest zbyt ciemna.

Przez nią wygląda jak dziwka".

"Do diabła, Maurie: szminka o tym odcieniu jest ostatnio modna".

"Ona ma za duży biust.

Przez materiał widać sutki".

"Do licha, ma doskonałe cycki!

Wolałbyś dwa plastikowe kubki?

Co jest nie tak z sutkami, masz coś przeciwko sutkom?

Posłuchajcie tego komedianta".

"Powiedz jej, żeby się nie uśmiechała tak bardzo, kurczę.

Krzywi się, jakby miała chorobę Świętego Wita".

"Amerykańskie dziewczyny powinny się uśmiechać, Maurie.

Za co my płacimy, za smęty?

" "Wygląda jak Królik Bugs".

"Maurie, może ty się znasz na wodewilach, ale nie na pierwszorzędnym damskich strojach.

Ta dziewczyna cała się trzęsie ze strachu, na miłość boską.

To wszystko nas kosztuje".

"Ty mi mówisz, że to nas kosztuje".

"Maurie, cholera!

Chcesz, żebym ją odesłał, przecież ona dopiero zaczęła?

Tę małą z twarzą anioła?

" "Mel, oszalałaś?

Zapłaciliśmy już dwadzieścia dolców zaliczki, osiem za samochód, stracilibyśmy to.

Masz nas za milionerów?

Dziewczyna zostaje".

Była z tego dumna: zawsze pozwalano jej zostać.

Na początku pierwszego tygodnia pracy w agencji Preene natknęła się na olśniewającą rudowłosą dziewczynę - schodziła po schodach, stukając gniewnie obcasami.

Dziewczyna o włosach w kolorze oberżyny, opadających na oczy w stylu Veroniki Lakę, ubrana w obcisłą, czarną dżersejową sukienkę z plamami pod pachami, o ustach umalowanych karmazynową szminką i policzkach ze sztucznym rumieńcem, wyperfumowana tak intensywnie, że człowiekowi wyciskało łzy z oczu.

Dziewczyna była niewiele starsza od niej, ale już zdawała się nie panować nad sobą, zapatrzyła się na Normę Jeane, którą niemal zepchnęła z drogi, chwyciła ją za ramię.

- Mysz!

Dobry Boże!

Ty jesteś Mysz, prawda?

Norma Jane...

Jeane?

Debra Mae z sierocińca!

Debra Mae, której prycza stała obok pryczy Normy Jeane i która codziennie zasypiała z płaczem, chyba że (bo w sierocińcu nigdy to nie było jasne) to Norma Jeane codziennie zasypiała z płaczem.

Debra Mae nazywała się teraz Lizbeth Short, jak oświadczyła z goryczą; tego pseudonimu ani nie wymyśliła, ani nie lubiła.

Była modelką jakiegoś fotografa zwolnionego z Preene.

Albo też (nie było to jasne, ale Norma Jeane nie chciała pytać) to Debra Mae została wyrzucona z agencji.

Podobno agencja była jej winna pieniądze.

Debra Mae ostrzegła Normę Jeane przed popełnieniem błędu, który ona popełniła.

Widząc jej pytające spojrzenie, wyjaśniła:

- Przyjmowanie pieniędzy od mężczyzn.

Zrobisz to, a jeśli agencja się o tym dowie, tylko tego będą od ciebie chcieli.

Norma Jeane poczuła się zagubiona.

- Chcieli...

czego?

Myślałam, że agencja nie zezwala na to.

- Tak właśnie mówią - rzekła Debra Mae z krzywym uśmiechem.

- Chciałam zostać prawdziwą modelką i dostać się na przesłuchanie w wytwórni filmowej, ale...

- potrząsnęła głową - nie udało się.

Norma Jeane powiedziała, próbując to sobie wyobrazić:

- Masz na myśli to, że przyjmowałam pieniądze od mężczyzn?

Za randki?

Debra Mae wpadła w gniew.

-To takie odstręczające?

Czy robię coś, o czym świat nie słyszał?

Dlaczego?

Bo nie jestem mężatką?

- Debra Mae zerknęła wzrokiem na lewą dłoń Normy Jeane, ale oczywiście Norma Jeane wcześniej zdjęła pierścionki i obrączkę; nikt nie angażuje kobiety zamężnej do pracy modelki.

- Nie, nie...

- Czy tylko mężatka może brać pieniądze od faceta za to, że daje się pieprzyć?

- Co ty wygadujesz, nie...

- Bo potrzebuję pieniędzy?

Dlatego to jest takie odstręczające?

Idź do diabła.

Debra Mae ruszyła i precyzyjnie się ze złością obok dawnej przyjaciółki.

Głowę trzymała prosto, gęstwina ciemnorudych włosów sterczała wysoko.

Jej wysokie obcasy grzechotały na schodach jak kastaniety.

Norma Jeane zamrugnęła, patrząc na siostrę z sierocińca, której nie widziała prawie od ośmiu lat, oniemiała, jak gdyby Debra Mae uderzyła ją w twarz.

Kiedys będzie się jej wydawało, że Debra Mae rzeczywiście tego dnia uderzyła ją w twarz.

Norma Jeane zawołała za nią błagalnie:

- Debra Mae, poczekaj...

Czy wiesz coś o Fleece?

Debra Mae rzuciła przez ramię, najwyraźniej ze złośliwą satysfakcją:

- Fleece nie żyje.

CÓRKA I MATKA

Jeszcze nie czułam dumy, dopiero na nią czekałam.

Starannie dobrała zdjęcia z "Paradę", "Family Circle", "Colliers" i wysłała je do Gladys Mortensen przebywającej w stanowym szpitalu psychiatrycznym.

Nie była na nich półnaga jak w "Laff", "Pix", "Swank" i "Peek" - miała na sobie sweter zrobiony na drutach, dzinsy i prostą koszulę, a włosy zaplecione w warkocze jak Judy Garland w Czarodzieju z Oz.

Kłęczała obok bliźniaczych owieczek, uśmiechała się szeroko i głaskała ich miękkie, guzeikowate futro.

W stroju typowym dla dziewczyny ze szkoły koedukacyjnej: biały golf z długimi rękawami, sandały i dziewczęce, wywinięte białe skarpetki.

Jej włosy w kolorze miodowoblond zebrane były w koński ogon, z uśmiechem kiwała na powitanie kogoś po drugiej stronie obiektywu - albo na pożegnanie.

Lecz Gladys nie odpowiedziała.

"Dlaczego miałabym się przejmować?"

Wcale się nie przejmuję".

Regularnie miewała pewien sen.

Zresztą może nawiedzał ją od zawsze, ale tego nie mogła sobie przypomnieć.

Między nogami mam jakąś szczelinę.

Głębokie rozcięcie.

Głęboką pustkę, z której odpłynęła krew.

Właśnie tak:

rozcięcie.

W pewnym wariacie tego snu, który nazywała snem o rozcięciu, była znowu dzieckiem i Gladys wkładała ją do gorącej, parującej kąpieli, obiecując, że ją oczyści i że "zrobi to dobrze".

Norma Jeane Ignęła do dłoni Gladys, pragnąc, aby Matka ją puściła i zarazem bojąc się tego.

"Ale chyba jednak się przejmuję.

Lepiej się do tego przyznać!

" Teraz, gdy pracowała w agencji Preene i jako aktorka kontraktowa w Wytwórni, zaczęła odwiedzać Gladys w szpitalu w Norwalk.

W rozmowie telefonicznej psychiatra zakomunikował jej, że Gladys Mortensen "osiągnęła najlepszy stan, jaki w ogóle w jej sytuacji mogła osiągnąć".

Podczas całego okresu hospitalizacji, to znaczy od dziesięciu lat, była wielokrotnie poddawana terapii elektrowstrząsowej, która znacząco ograniczyła występowanie u niej "wybuchów maniakałnych".

Obecnie przyjmowała silne lekarstwa powstrzymujące napady "ekscytacji" i "depresji".

Według zapisów w dokumentacji lekarskiej, nie próbowała się okaleczać - w każdym razie od bardzo dawna.

Norma Jeane zapytała z niepokojem, czy spotkanie z Gladys nie będzie nadmiernym wstrząsem, na co psychiatra odparł:

"Wstrząsem dla matki czy dla pani, panno Baker?"

"

Norma Jeane nie widziała matki od dziesięciu lat.

Ale rozpoznała ją od razu, szczupłą, przygaszoną kobietę w wyblakłym zielonym kaftanie z nierówno podszytym brzegiem - czy też może z krzywo zapiętymi guzikami.

- M...mamo?

Och, Mamo!

To ja, Norma Jeane.

Potem będzie się jej wydawało, że kiedy nieporadnie objęła matkę, która ani nie odwzajemniła uścisku, ani się nie opierała, obie wybuchnęły płaczem.

W rzeczywistości tylko Norma Jeane się rozplakała, zdumiewając samą siebie naturalnością własnych emocji.

Na pierwszych zajęciach aktorskich w ogóle nie umiałam się rozplakać.

Po Norwalk nauczę się to robić.

Przebywały wśród obcych w sali odwiedzin.

Norma Jeane ciągle uśmiechała się do matki.

Dygotała bez przerwy i nie mogła normalnie oddychać.

Ze wstydem zatykała nos, bo Gladys cuchnęła, wydzielając gorzkawy zapach nie mytego ciała, jakby zepsutych drożdży.

Norma Jeane stwierdziła, że Gladys jest niższa niż matka z jej wspomnień, ma nie więcej niż pięć stóp i trzy cale wzrostu.

Na stopach miała filcowe kapcie i przybrudzone skarpetki.

Plamy pod pachami wyblakłego zielonego kaftana.

Na górze brakowało jednego guzika, więc pod luźną krawędzią kołnierzyka widać było płaską, wklęsłą pierś Gladys i skrawek przybrudzonej białej halki.

Włosy jej wyblakły, nabrały przygaszonej, szarobrązowej barwy, były dziwnie poskręcane, jak postrzępiona pszenica.

Twarz, niegdyś niezwykle żywa, teraz była bez wyrazu, skóra woskowa, pokryta drobnymi zmarszczkami jak pognieciony papier.

Gladys najprawdopodobniej wyrwała sobie niemal całe rzęsy i brwi, jej oczy wyglądały na wstrząsająco obnażone i wyeksponowane.

Bezbarwne, małe, szkliste, nieufne.

Usta, które dawniej sprawiały wrażenie czarujących, figlarnych, powabnych, były teraz cienkie jak rysa, jak pęknięcie.

Gladys mogła uchodzić równie dobrze za kobietę czterdziestoletnią, jak i sześćdziesięcioletnią.

Och, mogłaby być kimś zupełnie innym!

Kimś zupełnie obcym.

Ale pielęgniarki z oddziału porównywały nas.

One usiedziały.

Ktoś im powiedział: córka Gladys Mortensen jest modelką, dziewczyną z okładek kolorowych czasopism.

Chciały zobaczyć na własne oczy, jak bardzo są podobne do siebie matka i córka.

-M...mamo?

Przyniosłam ci trochę rzeczy.

Yincent Millay, Wiersze wybrane w twardej oprawie, tomik, który kupiła w jednym z hollywoodzkich antykwariatów.

Zrobiony na drutach szal, śliczny, w gołęzim odcieniu szarego, delikatny jak pajęczyna, prezent

od Ottona Osę dla Normy Jeane.

Puderniczka ze skorupy żółwia, w środku sprasowany puder.

(Co ta Norma Jeane sobie wyobrażała?

Puderniczka oczywiście miała w środku lustro.

Jedna z bystrookich pielęgniarek po wiedziała jej, żeby nie zostawiać tego rodzaju prezentów: "Lustro można stłuc i nieszczęście gotowe".)

Pozwolono jednakże Normie Jeane wyprowadzić matkę na zewnątrz.

Gladys Mortensen czuła się wystarczająco dobrze, aby korzystać z "przywileju wyjścia na dwór".

Stąpały powoli i ostrożnie.

Gladys szurała opuchniętymi stopami w znoszonych kapciach w sposób, który - Norma Jeane nie mogła się oprzeć temu wrażeniu - zbliżał się do granic okrutnej komedii.

Kim była ta ponura, przedwcześnie podstarzała kobieta odgrywająca rolę Gladys, matki Normy Jeane?

Czy śmiać się, czy płakać?

Czyż kiedyś Gladys Mortensen nie była zawsze szybka, niespokojna, nie mająca zrozumienia dla "ślamazar"?

Norma Jeane chciała wsunąć rękę pod zwiotczone, szczupłe ramię matki, lecz zabrakło jej odwagi.

Bała się, że matka ją odtrąci.

Kiedyś Gladys nie znosiła, gdy ktoś jej dotykał.

Gorzki zapach drożdży był silniejszy, kiedy Gladys się poruszała.

Jej ciało jęczało powoli i stopniowo.

Będę się zawsze kąpała, szorowałam do czysta.

Do czysta!

To mi się nigdy nie przydarzy.

W końcu znalazły się na świeżym powietrzu, w lekkich podmuchach wiatru.

Norma Jeane zawołała:

- Mamo!

Czyż nie jest tu naprawdę miło?

-Jej głos wydawał się dziwnie wysoki, dziecięcy.

Musiła przezwyciężyć impuls, aby się uwolnić od ciężaru swej matki i biec, biec, biec przed siebie!

Norma Jeane rozglądała się dookoła, z niepokojem patrzyła na zniszczone ławki, na wypaloną, ciemnobrązową trawę.

Nie mogła pozbyć się przemożnego odczucia, że już tu kiedyś była.

Ale kiedy?

Znała to miejsce, choć nigdy nie odwiedziła Gladys w szpitalu.

Przyszło jej do głowy, że Gladys przekazywała jej swoje myśli, może w snach.

Kiedy była małą dziewczynką, jej matka posiadała tego rodzaju moc.

Norma Jeane nie miała wątpliwości, że rozpoznaje otwartą przestrzeń z tyłu, za zachodnim, ceglany skrzydłem budynku.

Wybrukowany plac i napis DOSTAWCY.

Niewyrośnięte palmy, skarłowaciałe eukaliptusy.

Szelest suchych palmowych liści.

Dusze umarłych.

Pragnących powrócić.

We wspomnieniach Normy Jeane szpitalne otoczenie było większe i bardziej pagórkowate, położone nie na gęsto zabudowanym terenie miejskim, ale gdzieś daleko na kalifornijskiej prowincji.

Za to niebo wyglądało identycznie jak we wspomnieniach, jasne plamy chmur płynęły na wietrze od oceanu w głąb lądu.

Norma Jeane właśnie miała zapytać matkę, w którą stronę chce iść, ale Gladys już się oddaliła bez słowa i podreptała do najbliższej ławeczki.

Usiadła na niej jak opadający parasol.

Złożyła ramiona na wąskiej pierś i skuliła się, jakby nagle się oziębiło albo ona pogniewała się na kogoś.

Powieki miała ciężkie jak u żółwia.

Włosy, sterczące jak pszeniczne kłosa, poruszały się sztywno na wietrze.

Szybko, czule Norma Jeane przykryła matczyne ramiona szarym szalem.

- Teraz cieplej ci, mammo?

Och, jest ci w nim bardzo do twarzy!

Norma Jeane nie bardzo panowała nad swoim głosem.

Usiadła przy Gladys i tylko się uśmiechała.

Powoli narastała w niej panika, bo oto grała w filmie, a nie dostarczono jej żadnego tekstu do wygłoszenia; musiała improwizować.

Nie miała odwagi powiedzieć, że dostała szal od mężczyzny, któremu nie ufała; podziwiała go, ale zarazem się bała.

Od mężczyzny będącego jej wybawcą.

Który sfotografował ją w "artystycznych pozach":

z szalem udrapowanym prowokacyjnie na nagich ramionach; w czerwonej sukience z syntetycznego materiału, bez biustonosza; jej potarte lodem sutki ("stary numer, ale wciąż dobry", powiedział Ose) wyglądały niczym maleńkie winogrona.

Zdjęcie miało być zamieszczone w nowym, kolorowym czasopiśmie o nazwie "Sir!

", należącym do Howarda Hughesa.

Wprawdzie Otto Osę oświadczył, że ten szal kupił specjalnie dla Normy Jeane - byłby to pierwszy i zarazem jedyny prezent od niego - lecz ona wiedziała, że fotograf po prostu znalazł gdzieś ten szal, może na tylnym siedzeniu jakiegoś nie zamkniętego samochodu.

Albo zabrał go jednej ze swoich dziewcząt.

Jako radykalny marksista Osę wierzył, że artysta ma prawo nabywać rzeczy w sposób, jaki mu się podoba.

Co powiedziała Otto Osę, gdyby ujrzał Gladys?

Mógłby nas razem sfotografować.

Nie, nie, to się nigdy nie zdarzy.

Norma Jeane zapytała Gladys, jak się czuje, na co Gladys mruknęła w odpowiedzi coś niezrozumiałego.

Potem zapytała, czy matka chciałaby ją kiedyś odwiedzić.

- Twój lekarz powiada, że możesz mnie odwiedzić, kiedy tylko zechcesz.

Już prawie doszłaś do siebie.

Możesz u mnie zostać na noc albo tylko na popołudnie.

Norma Jeane wynajmowała małe umeblowane mieszkanie z pojedynczym łóżkiem.

Gdzie będzie spała, jeżeli Gladys zajmie jej miejsce?

A może obie mogłyby się położyć do jednego łóżka?

Nagle przypomniała sobie, że jej agent, I.

E. Shinn, ostrzegł, by nikomu nie mówiła o "psychicznych przypadłościach" matki.

"Otoczyłaby cię niekorzystna aura".

Lecz Gladys jakoś bez entuzjazmu odniosła się do zaproszenia córki.

Mruczała tylko coś niewyraźnie.

Norma Jeane wyobraziła sobie jednak, że chociaż Gladys nie była gotowa się zgodzić, to jednak zaproszenie przyjęła z zadowoleniem.

Ścisnęła szczupłą, suchą, bezwładną dłoń matki.

- Och, mamo, to trwało tak długo.

Przepraszam.

Nie mogła się przyznać, że póki była żoną Buckyego Glazera, brakowało jej odwagi, by odwiedzić matkę.

Okropnie się bała Glazerów.

Bała się opinii Bess Glazer.

Po omacku wyciągnęła z torebki chusteczkę i otarła oczy.

Nawet wówczas, kiedy nie pracowała jako modelka, musiała używać ciemnobrązowego tuszu do rzęs, ponieważ dziewczyny z agencji Preene zawsze i w każdym miejscu musiały wyglądać jak najlepiej.

Ciągle się obawiała, że tusz spłynie jej po policzkach jak atrament.

Jej włosy miały teraz jasną, miodowobrązową barwę, układały się, ale już nie kręciły; dziewczęce pierścionki zostały usunięte.

Usłyszała na początku w agencji, że wygląda jak "nie przymierzając, córka farmera", która się wystroiła, aby zrobić sobie zdjęcie u Woolwortha.

Oczywiście była to prawda.

Otto Osę powiedział jej to samo.

Skąpe brwi, sposób trzymania głowy, tanie ubranie, nawet sposób, w jaki oddychała - wszystko należało poprawić.

("Co ty z sobą zrobiłaś?

" - zapytał Bucky Glazer ten jeden raz, kiedy się spotkali po jego zejściu na ląd.

"Kim, do diabła, próbujesz być?

Pozujesz na gwiazdę?

" Był zraniony i wściekły.

Nikt z Glazerów nigdy się nie rozwiódł.

Żony Glazerów nigdy nie odchodziły od mężów.)

Norma Jeane mówiła:

- Wysłałam ci swoje zdjęcia ślubne, Mamo.

Chyba...

chyba powinnam ci powiedzieć...

nie jestem już mężatką.

- Wyciągnęła nieco drżącą rękę, bez pierścionków.

M...mój mąż...

oboje byliśmy tacy młodzi...

on postanowił, nie...

nie chciał...

- Gdyby to była scena z filmu, młoda kobieta świeżo po rozwodzie wybuchnęłaby płaczem, matka by ją pocieszała, ale Norma Jeane wiedziała, że to się nie może zdarzyć, że nie pozwoli sobie na płacz.

Rozumiała, że tzy rozstroją albo rozdrażnią Gladys.

- Nie sposób kochać mężczyzny, który nie kocha ciebie, prawda, Mamo?

Bo jeśli naprawdę kogoś kochasz, to tak, jakby dwie dusze były razem, a Bóg mieszkał w obojgu.

Ale gdy on cię nie kocha...

Norma Jeane zamilkła, niepewna, o co właściwie jej chodzi.

Och, kiedyś kochała Buckyego Glazera bardziej niż samą siebie!

Jednak w jakiś niewytłumaczalny sposób ta miłość przeminęła.

Miała nadzieję, że Gladys nie zapyta o Buckyego i rozwód, i rzeczywiście, Gladys nie zapytała.

Siedziały w plamach słońca, cienie chmur przesunęły się nad nimi jak drapieżne ptaki.

Pod gołym niebem tego jasnego, rześkiego dnia przebywali także inni pacjenci.

Norma Jeane zastanawiała się, jak traktowana jest jej matka, która najwyraźniej trzymała się lepiej niż inni pacjenci.

Żałowała, że Gladys nie wzięła z sobą tomiku poezji, musiała go zostawić w sali odwiedzin.

Mogłyby teraz poczytać wiersze!

Jakież szczęśliwe wspomnienia Norma Jeane miała z czasów, gdy matka czytała jej poezję.

Albo razem odbywały bajkowe podróże do Beverly Hills, Hollywood Hills, Bel Air, Los Feliz.

Do rezydencji gwiazd.

Gladys знаła tych mężczyzn i te kobiety, wielu z nich.

Bywała gościem w niektórych z tych wielkich domów u boku przy stojnego ojca Normy Jeane, aktora.

A teraz moja kolej.

A jakże!

Matko, daj mi swoje błogosławieństwo.

Jeśli jej ojciec wciąż mieszkał w Hollywood, jeśli Gladys wyjdzie ze szpitala, co się wydawało prawdopodobne, i zamieszka z Normą Jeane...

i jeśli Normie uda się zrobić karierę, jak przepowiadał pan Shinn...

Umysł Normy Jeane pracował na najwyższych obrotach, tak jak to się często zdarzało w środku nocy, kiedy budziła się w przepoconej koszulce, między wilgotnymi prześcieradłami.

Przeszukawszy po omacku torebkę wypełnioną po brzegi różnymi przedmiotami (podręczny zestaw do makijażu, podpaski, dezodorant, agrałki, witaminy w tabletkach, monety luzem i tani notatnik do zapisywania spostrzeżeń), Norma Jeane wyciągnęła kopertę ze swoimi najnowszymi zdjęciami.

Wszystkie zaliczały się do kategorii "niewinnych".

Nie było wśród nich brukowych i wulgarnych.

Przygotowała się na to, że każde zdjęcie będzie podsuwała kolejno pod oczy podekscytowanej matki, one zaś wypełnią się łzami i rozbłysną uczuciem.

Ale Gladys mruzczała jedynie "mhm", gapiąc się na zdjęcia z trudnym do odgadnięcia wyrazem twarzy.

Jej bezkrwiste usta stały się jeszcze bardziej wąskie.

Po wizycie Norma Jeane po myśli sobie: Może z początku sądziła, że to ona jako dziewczyna?

Och, Mamo, te lata były takie podniecające, [...takie cudowne, jak w bajce babci Delii, dziesięć lat, czasem aż trudno uwierzyć...

Jestem modelką.

Podpisałam kontrakt z Wytwórnią, tam, gdzie ty kiedyś pracowałaś.

Zarabiam na sobie, pozując do zdjęć.

Nie ma łatwiejszej pracy na świecie!

Dlaczego mówiła to wszystko?

Przecież jej życie było ciężką, niespokojną pracą, a ze zmartwienia nie sypiała po nocach.

Pracą inną od wszystkich, jakie wykonywała, wyczerpującą nerwowo i fizycznie bardziej niż ta w Radio Pianę.

Miała wrażenie, że bez żadnego zabezpieczenia chodzi po zawieszonych wysoko linie, oczy innych zaś - fotografa, klienta, agencji, Wytwórni - bezustannie są w nią wpatrzone.

Oczy ludzi gotowych bezlitośnie śmiać się z niej, szydzić, odrzucić, zwolnić albo odesłać jak zbitego psa z powrotem w zapomnienie, z którego nie tak dawno się wyrwała.

- Możesz to wszystko zatrzymać, jeśli chcesz.

To są k...kopie.

Gladys mruknęła coś niewyraźnie.

Dalej patrzyła na zdjęcia, które jej pokazywała Norma Jeane.

Dziwne.

Jakże inaczej wyglądała na każdym zdjęciu.

A to wydawała się dziewczęca, a to bardziej dojrzała, piękna i niedostępna.

Zwyczajna jak dziewczyna z sąsiedztwa i wyrafinowana.

Eteryczna, seksowna.

Młodsza niż w rzeczywistości, starsza niż w rzeczywistości.

(Ale ile lat miała naprawdę? Musiała się uszczypnąć, aby sobie przypomnieć, tak, tylko dwadzieścia.)

Miała włosy zaczesane do góry, włosy rozpuszczone.

Wydawała się zawadiacka, zalotna, zamyślona, stęskniona, melancholijna, nadąsana, zuchwała, dystygowana, rozbawiona.

Była pełna wdzięku.

Była śliczna.

Była ładna.

Światło padało bezpośrednio na jej twarz, odsłaniając rysy, albo grało subtelnie z cieniem, jak na jakimś obrazie.

Na zdjęciu, z którego była najbardziej dumna, nie zrobionym przez Ottona Osę, tylko przez fotografa z Wytwórni, Norma Jeane występowała jako jedna z ośmiu młodych kobiet.

Wszystkie podpisały kontrakty z Wytwornią w 1946 roku.

Ustawiono je w trzech rzędach: niektóre stały, inne siedziały na sofie, jeszcze inne na podłodze.

Norma Jeane patrzyła rozmarzona - usta miała nieco rozchylone - gdzieś poza obiektyw, podczas gdy jej rywalki uśmiechały się do aparatu, jakby prosiły: Spójrz na mnie/Spójrz na mnie!

Tylko na mnie/ Agentowi Normy Jeane, panu Shinnowi, nie podobało się to zdjęcie, ponieważ Norma Jeane nie była ubrana równie wspaniale jak jej koleżanki.

Miała na sobie białą jedwabną bluzkę z głębokim wcięciem i z kokardą, bluzkę noszoną przez dobrze wychowane dziewczęta z porządných rodzin, nie przez ponętne dziewczyny z okładek kolorowych czasopism.

W każdym razie Norma Jeane siedziała po turecku na dywanie zgodnie ze wskazówkami fotografa - kolana szeroko rozchylone, widoczne nogi w jedwabnych pończochach; ale ciemna spódnica i luźno złożone ręce zasłaniały dolną część jej ciała.

Czy na pewno nie było tutaj nic, co by raniło wrażliwe oczy Gladys?

Kiedy Gladys oglądała zdjęcie, odwracając je do światła i marszcząc czoło, jakby zastanawiała się nad łamigłówką, Norma Jeane powiedziała jak gdyby na usprawiedliwienie:

- Chyba nie ma tam żadnej Normy Jeane, prawda?

Kiedy już zostanę aktorką, jeżeli mi na to pozwolą...

Będę wśród ludzi.

Chyba mogę pracować przez cały czas.

Dzięki temu nigdy nie będę samotna.

- Zamilkła na chwilę, licząc na to, że Gladys się odezwie, wypowie słowo pochwały bądź zachęty.

- M...Mamo?

Gladys jeszcze bardziej zmarszczyła czoło i odwróciła się do córki.

Przykry, kwaśny zapach stęchlizny podrażnił nozdrza Normy Jeane.

- Tak - mruknęła starsza kobieta, nie patrząc w oczy córce.

Norma Jeane rzekła impulsywnie:

- O...ojciec był podobno aktorem kontraktowym w Wytwórni?

Tak kiedyś powiedziałaś, prawda?

Okolo 1925 roku?

Pomyszkowałam trochę w archiwum, żeby znaleźć jego fotografię, ale...

Teraz Gladys zareagowała wyraźnie.

Zmienił się wyraz jej twarzy.

Jakby tymi swymi pozbawionymi rzęs oczyma widziała Normę Jeane po raz pierwszy.

Dziewczyna tak się wystraszyła, że upuściła na ziemię połowę zdjęć.

Zaczęła je zbierać z wypiekami na twarzy.

Głos Gladys przypominał pisk starych zawiasów u drzwi.

- Gdzie jest moja córka?

Powiedzieli, że do mnie przyjdzie.

Nie znam cię.

Kim ty jesteś?

Norma Jeane ukryła w dłoniach zmartwioną twarz.

Nie miała pojęcia.

Mimo wszystko będzie konsekwentnie jeździła do Norwalk.

Będzie od wiedzała Gladys.

Pewnego dnia zabiorę Matkę do siebie.

Na pewno to zrobię!

Jasny, wietrzny dzień w październiku 1946 roku.

Otto Osę siedział rozparty leniwie w małym, czarnym sportowym kabriolecie marki Buick, stojącym na parkingu szpitala psychiatrycznego w Norwalk, i czekał na dziewczynę, o której rozповідаł w mieście, że jest jego słodką, małą, głupiutką kurą z Oklahomy znoszącą złote jajka.

Zsumuj jej wymiary w biuście i biodrach, a otrzymasz przybliżony iloraz jej inteligencji.

Szalała za nim.

Chryste, była słodka, chociaż głupkowata - czasami próbowała rozmawiać z nim o "marksizmie" (czytywała "Daily Worker", czasopismo, które sam jej dawał) i o "sensie życia" (usiłowała czytać Schopenhauera i innych "wielkich filozofów") - miała smak rozpluwającej się na języku melasy.

(Czy Osę rzeczywiście spróbował, jak smakuje ta dziewczyna?

Wśród jego przyjaciół owa kwestia budziła poważne wątpliwości.) Czekał na nią już od godziny, podczas gdy ona składała wizytę swojej świrniętej matce w Norwalk.

W najbardziej przygnębiającym miejscu na świecie, czyli w kalifornijskim szpitalu stanowym dla psychicznie chorych.

Brrr!

Nie chciało się o tym myśleć, w każdym razie nie chciał o tym myśleć Otto Osę:

szaleństwo wchodzi w krew.

Tkwi w genach.

Biedna, słodka, mała Norma Jeane Baker.

"Lepiej dla niej, żeby w ogóle nie miała dzieci.

Ona też o tym wie".

Otto Osę palił pergaminowe tureckie papierosy i bawił się nerwowo aparatem fotograficznym.

O nie, nie pozwoliłby nikomu dotykać tego aparatu.

Czułby się wtedy tak, jakby ktoś dotykał jego genitaliów.

Nie, nie, nie wolno!

No, nareszcie pojawiła się Norma Jeane.

Zbliżała się szybkim krokiem.

Zamyślona, potykała się, idąc w butach na wysokich obcasach.

- Hej, maleńka!

Ose cisnął na bok papierosa i zaczął robić zdjęcia.

Wyskoczył z samochodu, przykucnął.

Pstryk, pstryk, pstryk.

To była radość jego życia.

Do tego się urodził.

Pieprzyć tego starego piernika Schopenhauera.

Wcale niewykluczone, że życie jest ślepą wolą i całkowicie bezsensownym cierpieniem, ale czy w takich momentach kogoś to w ogóle obchodzi?

Obfotografowywał smutną twarz, rozkołysane piersi, pupę, młode stworzenie, dziecko w ciele kobiety, niewinne jak ktoś, kogo masz ochotę dotknąć kciukiem

tylko w jednym celu - aby go ubrudzić.

Biedactwo płakało, z opuchniętych oczu jak po twarzy klauna spływały po policzkach ciemne strumyczki tuszu do rzęs.

Przód różowego swetra z bawełny był ciemny od łez jak od kropel

deszczu, a spodnie z białego płótna, kupione przed niespełna tygodniem w komisie na Vine, gdzie żony i dziewczyny producentów filmowych po zbywały się ubiegłorocznej garderoby, były beznadziejnie pogniecione w miejscu, gdzie zbiegały się uda.

- Twarz Córkę - zaintonował Ose nabożnym głosem kaznodziei - nie zbyt jest dziś seksowna.

- Wstając z kućek, pociągnął nosem.

- I na dodatek cuchniesz.

DZIWAŁO

Zapewniali ją jakoś zbyt skwapliwie: "Wszystko w porządku, Normo Jeane, cześć, nie denerwuj się", dlatego zorientowała się, że nie mówią prawdy.

Jeszcze raz wróciła do tego miejsca, gdzie płakała jakaś dziewczyna, właściwie ani się śmiała, ani płakała - to była ona sama, szła w stronę fotela, jednego z wielu ustawionych w półkolu.

Oddychała bardzo szybko i dygotała, jakby miała napad konwulsji.

To właściwie nie było aktorstwo, to, co robiła.

Tylko coś głębszego.

Zachowywała się zbyt topornie, zbyt prymitywnie.

Najpierw uczono nas techniki.

Umiejętności udawania emocji, a nie ich odczuwania.

Aby nie być czymś w rodzaju piorunochronu, po którym emocjonalne wyładowania rozchodzą się po świecie.

Przestraszyła nas i trudno nam o tym zapomnieć.

Mówiło się o niej, że jest "nieokiełznana".

Ona jedyna nie opuściła żadnej lekcji.

Aktorstwa, tańca, śpiewu.

I nigdy się nie spóźniła.

Niejednokrotnie zjawiała się przed otwarciem sali.

Ona jedyna zawsze była "doskonale przygotowana".

Nie wyglądała na aktorkę czy modelkę (widzieliśmy już jej okładki ze "Swank" i "Sir!

"; wszyscy byliśmy pod wrażeniem), tylko na młodą, dobrą sekretarkę.

Włosy ułożone, wyszczotkowane, połyskujące.

Biała nylonowa bluzka z kokardą przy kołnierzyku, długie rękawy i obcisłe mankiety.

Wszystko to schludne, świeże, prasowane codziennie rano.

I szara flanelowa spódnica, wąska i dopasowana, którą na pewno też prasowała codziennie rano, stojąc w samych majteczkach.

Łatwo ją sobie wyobrazić, marszczącą brwi nad żelazkiem!

Czasem wkładała sweter, oczywiście sweter o dwa numery za mały, bo niczego innego nie miała.

Czasem spodnie.

Ale najczęściej ubrania "układnej dziewczyny".

I pończochy o idealnie prostym szwie, i wysokie obcasy.

Można by odnieść wrażenie, że jest niemową, taka była nieśmiała.

Nagłe zamieszanie albo wybuchy śmiechu niepokoiły ją.

Przed rozpoczęciem zajęć udawała, że czyta książkę.

Raz była to Żałoba przystoi Elektrze Eugenea O'Neill.

Innym razem Trzy siostry Czechowa.

Szekspir, Schopenhauer.

Nie musiała się starać, żeby nas rozbawić.

Pobudzał nas do śmiechu sposób, w jaki siadała gdzieś na obrzeżach półkola, otwierała notatnik i zaczynała robić notatki niczym jakaś uczennica.

Myśmy ubierali się po prostu w dżinsy, w klasyczne spodnie, koszule, swetry i buty na gumowych podszewkach.

Jeśli było ciepło, chodziliśmy w sandałach albo boso.

Ziewaliśmy.

Nasze włosy rzadko miały kontakt z grzebieniem, faceci chodzili nie ogoleni.

Wszyscy byliśmy dziećmi z klasą, większość z nas uczęszczała do kalifornijskich szkół średnich, gdzie w każdym szkolnym przedstawieniu byliśmy gwiazdami, którym już od pierwszego roku nauki zazdrościli i schlebiali pozostali uczniowie.

Nie którzy z nas mieli rodzinne koneksje z Wytwórnią.

Wszyscy byliśmy pewni siebie, a mała Norma Jeane, sierotka, dziewczyna znikąd, pewności tej nie miała.

Zachodziliśmy w głowę, czy nie przybyła z jakiejś strasznej dziury, bo na pewno nie była stąd.

Uczyła się mówić, tak jak my wszyscy, ale u niej ciągle słychać było stary akcent.

Jąkała się.

No, nie zawsze, czasami.

Zdarzało się, że na początku tego czy innego ćwiczenia aktorskiego trochę się jąkała, by jakoś przez to przebrnąć, potem jej wstydlivość topniała, a w oczach pojawiał się taki błysk, jakby wstąpiła w nią inna osoba.

Ale przecież wbijano nam do głowy: "Nie możesz grać, jeśli nie dysponujesz techniką, jeśli jesteś po prostu sobą.

Nagi".

Zatem tylko nas cechowała pewność siebie.

Norma Jeane, najmłodsza w grupie, w ogóle jej nie miała.

Jedynie potyskującą, bladą skórę, ciemno niebieskie oczy i drzemiący w ciele ów nie słabnący, przypominający prąd elektryczny zapał, którego nie sposób było wyłączyć ani wygasić, a który z pewnością wyczerpywał jej siły.

Kiedy zakończyła się jedna ze scen z jej udziałem, ktoś zapytał ją, co sobie w tym czasie myślała - bo nie ma co, oglądając jej występ, czuliśmy się zdruzgotani i w żaden sposób nie dało się już śmiać z Normy Jeane, tak samo jak nie sposób śmiać się ze zdjęć Margaret Bourke-White z Buchenwaldu - a ona na to odpowiedziała tym swoim lekko zachrypniętym głosem małej dziewczynki: "Och, nic.

W ogóle nie m...myślałam.

Może wspominałam?

".

Tak, mimo wszystko brakowało jej pewności siebie.

Za każdym razem, kiedy miała coś odegrać, wychodziła i drżała, jakby to był jej pierwszy raz, i należało się liczyć z oczywistą klęską.

Miała dziewiętnaście albo dwadzieścia lat i już wtedy można było dostrzec ciężące nad nią fatum.

Była najładniejszą dziewczyną w grupie, przy tym najmniej utalentowaną, mogłeś zdruzgotać ją słowem, spojrzeniem, odrobiną szyderstwa.

Albo ignorując ją, gdy ona z nadzieją rozglądała się i uśmiechała.

Nasz instruktor niecierpliwie czekał, kiedy wreszcie wyjąka odpowiedź na jego pytania, często zaś mijały minuty, nim w ogóle wyszła na scenę, jakby stała na krawędzi trampoliny i zbierała się na odwagę, aby zanurkować, a ta odwaga drzemała w niej gdzieś bardzo głęboko.

Karaliśmy ją w jedyny dostępny nam sposób.

Dawaliśmy jej do zrozumienia: Nie kochamy cię.

Nie należysz do nas.

Byłabyś bardziej przekonująca jako dziwka, ulicznica.

Nie spełniasz naszych oczekiwań.

Nie spełniasz oczekiwań Wytwórni.

To, co masz w środku, nie przy staje do tego, jak wyglądasz.

Jesteś dziwadłem, wybrykiem natury.

KOLIBER

Boska miłość zawsze wychodziła naprzeciw i zawsze będzie wychodzić naprzeciw każdej ludzkiej potrzebie.

Mary Baker Eddy, Science and Health with Key to the Scriptures

Wrzes.

1947 Hollywood Kał.

Obudziłam się bardzo wcześnie!

nie mogę spać dłużej niż do szóstej a ostatniej nocy właściwie nie spałam, pociałam się słyszałam jakieś odgłosy radości jakieś ostrzeżenia Tego dnia miała się rozstrzygnąć moja PRZY SZŁOŚĆ ale już teraz serce trzepotało mi w piersi jakby niespodziewanie znalazło się tam coś małego i opierzonego!

Ale to było tylko jakieś odczucie szczęścia tak mi się zdaje

Za oknem mojego mieszkania w Klubie śpiewały ptaki dobry znak schowany w wysokiej trawie i liściach bieluniów kacyki, które melodyjnie wołają krzykliwie czujne sójki jakiś zapamiętany głos ten sen o mężczyźnie (nieznajomym) ostrzegającym mnie o czymś bardzo ważnym w życiu tak się boję, że nie słyszę albo nie rozumiem prawdziwych słów jakby pochodziły z obcego języka

Dzisiaj mam obejrzeć słynną PTASZARNIĘ pana Z cenną kolekcję ptaków którą widzieli tylko uprzywilejowani później odbędzie się przesłuchanie Scudda-Hoo!

Scudda Hay!

z June Haver pan Shinn mówi że jestem ładniejsza i bardziej utalentowana od June Haver, chciałabym mu wierzyć Faktem jest że jako jedyna dziewczyna z naszej grupy zostałam zaproszona na casting do tego filmu chodzi rzecz jasna o jakąś podrzędną rolę

Zakręciłam włosy na plastikowe wałki 36 sztuk!

Ułożenie się na po duszce to istna tortura skóra boli mnie i piecze, ale nie wezmę pigułek nasennych jak mi doradzano Roztrząsam "nowe" włosy ułożone i polakierowane jeszcze się do nich nie przyzwyczaiłam Ojej co się stało?

Zrobiły się białe jakbym właśnie przeżyła szok

Nerwy i zmartwienia nie dają mi odpocząć nie odwiedziłam Matki już od 5 miesięcy i muszę wystać jej Bucky biedaczek ciągle na mój widok jest zniesmaczony Glazerów nie winie ujrzeć mnie bez ostrzeżenia to rzeczywiście musi być wstrząs laleczkę o puszystych blond włosach do tego ta czerwona szminka i obciste ubrania które zdaniem pana Shinna powinnam nosić

Matka powiedziała kiedyś że obawa wyrasta z nadziei jeśli w jakiś sposób usuniesz ze swojego życia nadzieję pozbędziesz się jednocześnie obawy 20 niespokojnych minut makijażu sknociłam go startłam razem z kremem i zaczęłam wszystko od nowa Och Chryste te brązowe brwi wygięte do góry a nie do dołu jak moje własne nie mogłabym mieć brązowych brwi przy tych platynowych włosach to

takie SZTUCZNE gdyby zobaczyła mnie teraz doktor Mittelstadt albo pan Haring Bess Glazer byłoby mi WSTYD

Przy Hollywood Boulevard wycięto bardzo dużo drzew to samo przy Wilshire i Sunset L.A.

jest teraz nowym miastem od Wojny zmieniło się tu bardzo wiele babcia Delia nie rozpoznałaby go, nawet Venice Beach Otto twierdzi że po tej Wojnie będą nowe wojny w kapitalizmie musi ciągle dochodzić do wojen zawsze jest Wojna tylko wrogowie się zmieniają Chodzi mi o te wszystkie nowe budynki/ulice/chodniki/nawierzchnie wszędzie słychać warkot i grzechotanie, ziemia drży jak po wybuchu buldożery/dźwigi/betoniarki/świdry wzgórza w Westwood wyrównano, powstały nowe budynki i ulice "Dawniej było to prowincjonalne miasto", mówi Otto mieszkał tam zaraz po przyjeździe do L.A.

Niemal słychać jak L.A.

tętni życiem KOCHAM TO MIASTO tu się urodziłam jestem jego córką tyle wystarczy nikt nie musi wiedzieć nic więcej WYNAJDĘ SIEBIE TAK SAMO JAK WYNAJDUJE SIEBIE TO MIASTO żadnego oglądania się do tyłu

U Schwaba na śniadaniu kiedy wchodzę od razu czuję na sobie ich wzrok w szkole aktorskiej musisz się nauczyć nie widzieć publiczności choć paradoksalnie powinnaś patrzeć na siebie "widzieć siebie" oczyma publiczności nad fontanną i grillem długie lustro w nim moje odbicie zawsze wydaje mi się drżące jak obraz w niemym filmie Boże nie jest takie pełne wdzięku jak dziewczyna w lustrze u Mayera Myślę o cioci Elsie która mnie kochała i zdradziła A jednak ta dziewczyna w lustrze wstydy się swojego widoku jest pełna obaw .

och Boże życie które przeminęło bezpowrotnie przepadło

To jakaś tajemnica te kolibry na pierwszy rzut oka można je pomylić z trzmielami widząc je tego ranka znowu usłyszałam babcię Delię chyba mi wybaczyła kocha mnie Kolibry są moimi ulubionymi ptakami: takie malutkie takie wytrzymałe dzielne nieustraszone (Ale czy nie giną w dziobach sokołów?

wron?

sójek?

itd.) wsuwają długi cienki jak igła dziób do kielichów i wysysają słodki sok możesz je karmić z ręki jak inne ptaki tak jak dzisiaj rano trzy kolibry Any muszą się ciągle żywić bo inaczej wypalą się zginą maleńkie skrzydła tak szybko przecinają powietrze że w ogóle ich nie widać zamiast skrzydeł furkot rozmazana plama niesamowicie szybkie bicie serca potrafią latać w bok i do tyłu powiedziałam Babciu to jest jak myślenie myśli mogą biec ID dowolną stronę

Czy Kocham Ottona Osę czy lubię ranić/bać się

(Chociaż nie skrzywdziłby mnie jestem pewna no może nie całkiem Ostatnio traktuje mnie bardziej delikatnie nic dziwnego pozwalam mu zarobić choć to nie jedyny powód!

)

U Schwaba jest scena ciągle sobie powtarzaj: jestem aktorką jestem dumna z bycia aktorką bo tajemnica aktorstwa tkwi w opanowaniu i kontroli jestem nieśmiała waham się ich oczy czujne i pełne nadziei zatrzymują się na mnie tak samo jak na każdym kto wchodzi kilka uśmiechów kilka pozdrowień obrót głowy aby spojrzeć na moje nowe włosy ocenić figurę w tym białym kostiumie z błyszczącego materiału, który starannie wyprasowałam tego ranka Och to ona ta jak jej tam - Norma Jeane aktoreczka na kontrakcie w Wytwórni bez żadnego znaczenia bez żadnych wpływów kobiety mrużą powieki dwóch czy trzech mężczyzn gapi się otwarcie ale większość oczu kieruje się w inną stronę widać rozczarowanie owa iskra nadziei gaśnie jak zdmuchnięty płomień świecy

W ostatni piątek przyszedłam do Schwaba po przedpołudniowych zajęciach na twarzy rumieniec czułam się znakomicie nie bałam się i patrz cie kto stał przy kontuarze pijąc kawę i paląc papierosa kto jak nie Richard Widmark gapił się na mnie i uśmiechał zapytał mnie o imię i czy pracuję w Wytwórni może mnie tam widział zaczęliśmy rozmawiać z wrażenia brakowało mi powietrza ale się nie jękałam przesywał mnie wzrokiem na wskroś tak samo jak w filmach zaczęłam się trząść widziałam wyraźnie że ten mężczyzna chce ode mnie więcej niż mogę mu dać wycofałam się z uśmiechem a właściwie stosując mój nowy śmiech lekki i dźwięczny kiedy o nim pamiętam No cóż Normo Jeane!

mówi Widmark rozchylając usta w krzywym uśmiechu może pewnego dnia będziemy razem pracować a ja na to: Och bardzo bym chciała Richard (poprosił mnie abym go nazywała Richard zapytał też o nazwisko mojego agenta)

Tego ranka u Schwaba nie ma nikogo szybko sprawdziłam przy kontuarze przy stolikach i wokół w lustrze drżąca zawstydzona dziewczyna w białym kostiumie nieobecna po prostu duch

Dzięki Bogu przyszedł pan Shinn i jestem bezpieczna mój agent, przepadam za nim Otto mnie do niego zaprowadził do niedużego garbatego mężczyzny gnoma o gęstych brwiach i wklęsłym czole prawie łysego który tych swoich pół tuzina farbowanych brązowych włosów zaczesywał na czubek głowy słowem Rumpelstilzkin ze starej bajki opowiedzianej mi przez Delię ohydny karzeł który nauczył córkę młynarza prząść złoto ze słomy Ha!

ha! ha!

śmiech pana Shinna brzmi jak uderzenie łopaty o skałę mimo to jak na mężczyznę ma inteligentne i dziwne/piękne oczy jest nie spokojny, bębni palcami o blat stołu zawsze ma czerwony goździk w klapie marynarki (codziennie świeży!

) Normo Jeane przyszłość może być bardzo interesująca tak dla ciebie jak i dla mnie nie zapomnij o spotkaniu z Z o jedenastej dobrze?

jakbym mogła zapomnieć mój Boże

Kim jest ta blondynka co wygląda jak dziwka powiedział podobno o mnie pan Z o czym doniosła mi jedna z tak zwanych przyjaciółek poszłam wtedy do Wytwórni w spodniach i swetrze i chyba mnie dostrzegł oby tylko już zdążył zapomnieć jak się nazywam

W "U.S Camera" zamieszczono moje "artystyczne" zdjęcie Otto jest z niego bardzo dumny Fotografia to kompozycja, światło, stopniowanie cienia wcale nie chodzi o śliczną twarz

Otto dał mi do przestudiowania Ludzką anatomię rysunki Michała Anioła i pewnego artysty z XVI wieku Andreasa Vesaliusa radzi zapamiętać Mężczyźni pożądają cię duszą dostępną jedynie za pośrednictwem ciała

(Otto mnie nie dotyka jedynie jako fotograf ustawiający swój "model")

Pan Z jest w wieku trudnym do określenia tak jak to bywa ze starszymi emigrantami z Europy nie tak okropnie stary, jak- się zdaje W saloniku zarządu gdzie podawałam drinki zerknęłam na niego ukradkiem i myślałam o nim naturalnie różne rzeczy się o nim mówi pewnego razu widziałam z nim (tak mi się zdaje) Debrę Mae/Lizabeth Short w ciemnych okularach i kapeluszu zakrywającym połowę twarzy, siedzieli w alfa romeo pana Z i wyjeżdżali z parkingu Pan Z jest osobą popularną w Kalifornii chociaż urodził się w małej polskiej wiosce i jako małe dziecko wyemigrował z rodzicami do naszego kraju jego ojciec pracował w Nowym Jorku jako domokrążca mimo to pan Z w wieku dwudziestu lat (był młodszy niż ja teraz) wybudował i prowadził park zabaw na Coney Island potem karnawał Ludzie mówią, że pan Z ma talent do budowania a także do tworzenia publiczności dla czegoś co wcześniej nie istniało i czego nic nie zapowiadało W swoim karnawale miał Indianina który połykał ogień i "jogina" z Indii który potrafił chodzić po rozżarzonych węglach i nawet na nich siedzieć Tomcia Palucha i Olbrzymia Tańczącego Knura także Murzyna nieszczęśnika z wnętrznościami na zewnątrz ciała Nim skończył dwadzieścia dwa lata został milionerem i zaczął robić nieme filmy w domu towarowym przy Lower East Side, w 1928 roku przeniósł się do Hollywood, gdzie założył Wytwórnę Wykreował takie gwiazdy jak Sonja Henie, mistrzyni jazdy na łyżwach Pięcioraczki Dionne niemieckiego psa policyjnego Rin Tin Tina Myrnę Loy i Alice Faye Nelsona Eddy i Jeanette MacDonald June Haver i wiele innych byłam oszołomiona gdy mi o tym powiedziano (historie o panu Z oraz innych hollywoodzkich pionierach brzmiały jak bajki jak stare legendy) sekretarka pana Z patrzyła na mnie lodowato kazała mi powtórzyć nazwisko jąkałam się w środku siedział pan Z i trzymał w ręku słuchawkę zawołał Wejść i zamknij drzwi!

głosem jakim się zwraca do psa no więc weszłam drżałam ale starałam się uśmiechać

Pewna blondynka wchodzi do biura dżentelmena wysokie zastłonięte okna błyszczące meble z drewna lękowego szkło Dżentelmen zza biurka podnosi wzrok patrzy podejrzliwie badawczo starałam się usłyszeć muzykę do tej sceny znaleźć w niej jakąś podpowiedź nie usłyszałam nic

Bezpośrednio za biurem pana Z które jest tak przestronne jak tylko zdołasz sobie wyobrazić znajduje się prywatny apartament Niewiele osób tam było (na przykład pan Shinn nigdy nie został wpuszczony do środka spotykał się z tym wielkim człowiekiem w biurze albo w stołówce kierownictwa Wytwórni) on poprowadził mnie przez próg do tego nowego miejsca i nagle bardzo się wystraszyłam miałam nadzieję że nie zauważy przygotowałam sobie wcześniej własną kwestię, ale wszystko zapomniałam oczywiście w tej sytuacji nie znałam kwestii pana Z inaczej niż podczas ćwiczeń wtedy w scenariuszu zawsze są kwestie partnera no więc znajomość własnych kwestii nie wystarczy uśmiechałam się na widok blondynki w przyciemnionym lustrze wiszącym nad sofą ubraną w biały, błyszczący kostium, który podkreślał młodą zgrabną figurę dziewczyna wyglądała dobrze to samo widział pan Z uśmiechnęłam się radośnie Miałam na dzieję, że panika nie pojawi się w moich oczach na brzegu dywanu straciłam równowagę a pan Z roześmiał się Robisz to specjalnie myślisz że to jeden z filmów braci Marx zareagowałam śmiechem choć nie rozumiałam żartu jeśli to był żart

Pan Z cieszył się w Wytwórni taką estymą że kiedy człowiek widział go z bliska ogarniało go szczere zdumienie niewysoki mężczyzna w drogich luźnych ubraniach za ciemnymi okularami oczy przekrwione i żółte jak u chorego na żółtaczkę pachniał koniakiem i kubańskimi cygarami (w prywatnym saloniku niektóre z nas specjalnie dobrane dziewczęta wręczały panu Z jego bliskim współpracownikom oraz ich gościom drinki cygara byłyśmy ubrane jak dziewczyny z nocnego klubu to był przywilej, bo dostawałyśmy napiwki i zawsze istniała obawa, że nie odnowią z tobą kontraktu no gdybyś odmówiła wcześniej nie wydawało mi się, że pan Z mnie faworyzuje, wołał raczej rude) Ale zaprosił mnie do PTASZARNI, co było jednym z rzadszych przywilejów

Pchnął mnie w stronę drzwi do sąsiedniej sali Co sądzisz o mojej PTASZARNI To jedynie część całej kolekcji rzecz jasna Co za szok, ptaszarnia pana Z nie składała się z żywych okazów jak się spodziewałam tylko z okazów martwych i wypchanych!

Jak się mogłam zorientować były tam setki okazów gapiłam się nie wiedząc co rzecz (choć ptaki były chyba piękne kiedy się im dobrze przyjrzało przez warstwę szkła jak w muzeum) Pan Z z dumą opowiadał o kolekcji ptaków rozmieszczonych w warunkach symulujących naturalne w gniazdach i formacjach skalnych, na poskręcanych gałęziach drzew, na kawałkach drewna wyrzuconych przez morze wśród traw, kwiatów polnych, na piasku, na ziemi w dziwnym sepiowym świetle, jakby się oglądało przeszłość w PTASZARNI nie było okien, tylko drewniane panele z niewielkich części tak pomalowane, aby się myślało, że jest się w lesie, w dżungli, na pustyni, w górach a jednocześnie pod ziemią, w jakiejś grocie w skrzyni albo w trumnie ale im dłużej się przyglądałam, tym bardziej PTASZARNIA wydawała mi się fascynująca bo ptaki były piękne, autentyczne, jakby nie zauważyły, że są martwe wydawało mi się, że słyszę głos podobny do głosu mojej matki .

Wszystkie martwe ptaki są samiczkami, istnieje jakiś kobiecy element w byciu martwym

Pan Z sprawiał wrażenie zadowolonego z mojego zainteresowania i nie okazywał zniecierpliwienia wyjaśnił, że rozpoczął zbieranie kolekcji jako młody człowiek, zaraz po tym, jak przeniósł się do Kalifornii przez lata szukał swoich ptaków osobiście uczestniczył w wyprawach aby je pochwycić w końcu jednak musiał zlecić to zadanie innym bo jego życie stało się zbyt skomplikowane i tak dalej, mówił dość szybko, a blondynka słuchała z żywą uwagą uśmiechała się miała szeroko otwarte oczy. Dowiedziałam się, że cenne okazy z PTASZARNI należą do rzadkich gatunków bliskich wyginięcia. Amazońskie papugi były duże jak indyki, wystrojone w śliczne pióra, zielone czerwone żółte ich dzioby przypominały zabawne tępe nosy z kości ptaki śpiewające z Ameryki Południowej miały fantastyczne ubarwienie wcześniej tylko na obrazkach widziałam bliskie wyginięcia jastrzębie gołębiarze z Ameryki Północnej wielkiego orła złocistego orła łysego i mniejsze sokoły ptaki silne i szlachetne

Mój wzrok przyciągnęły mniejsze ptaki z innej ekspozycji pomiędzy polnymi kwiatami i trawami tanagra o upierzeniu w barwach ognia jemiołuszki i jedwabiste muchołówki tanagra przypominała mi jedną z gwiazd niemego filmu pana Z kobietę bardzo piękną jej kariera już dawno skończona a teraz nawet o jej nazwisku prawie zapomniano myślę, że kiedyś matka przewiozła mnie koło jej domu w Beverly Hills tak, KATHRYN MCGUIRE!

niesamowite, aż się uśmiechnęłam mała sowa o główce jak serduszko, piórach, które wydawały się nakręcone i skrzydłach niczym ramiona tak ten ptak przypominał MAY MCAVOY, inną gwiazdę

niemego kina pana Z zmieszałam się i chyba przestraszyłam, kiedy dostrzegłam twarz JEAN HARLOW w przedrzeźniaczu zastygłym z szeroko rozpostartymi jakby do lotu srebrzystoszarymi skrzydłami

Potem pan Z jak magik nacisnął przełącznik i naraz cichą, przestronną salę wypełnił ptasi śpiew śpiewało wiele tuzinów, setki ptaków każda pieśń urocza, tęskna, chwytająca za serce mimo wszystko w efekcie śpiewy te składały się na bezładny hałas i gorączkowe błaganie Spójrz na mnie!

Posłuchaj mojej piosenki!

Tutaj jestem!

Tutaj!

Do oczu napłynęły mi łzy żalu i przerażenia Pan Z zaśmiał się, ale na pewno to mu schlebiało, polubił mnie

Gładząc mnie po karku i zjeżonych ze strachu włosach przyznał, że nauczył się taksydermii i uważa ją za najbardziej relaksujące zajęcie spośród wszystkich swoich pasji któregoś dnia może pokaże mi swoje laboratorium, nie tutaj w Wytwórni ale gdzieś indziej Och z radością panie Z dziękuję to wszystko jest takie piękne i takie tajemnicze

Jak dziecko uderzałam pomalowanymi na czerwono paznokciami w szkło przy akompaniamencie zwariowanych ptasich śpiewów miałam wrażenie, że sójka na wiecznie zielonej gałęzi oddalona ode mnie zaledwie o kilka cali patrzy wzrokiem towarzysza niewoli Pomocy/pomóż mi!

odetchnęłam z ulgą kiedy się zorientowałam że nie ma w PTASZARNI chyba ani jednego kolibra

Jak długo byliśmy razem w PTASZARNI nie będę mogła określić potem Jak długo byłam z panem Z nie będę mogła określić potem

Jak długo blondynka uśmiechała się, uśmiechała, uśmiechała usta bolały ją jak bolałyby maska radości, gdyby się składała z ciała i nerwów istnieje coś takiego jak obłąd masek szczęścia, nikt się do tego nie przyzna (bolały mnie zęby od aparatu korekcyjnego, który musiałam zakładać na noc wszystko dlatego, że za bardzo wystawały mi przednie zęby o jedną dziesiątą jednej dziesiątej cala trzeba to było poprawić W Wytwórni po wiedzieli, że na zdjęciach z profilu byłabym "do niczego" nie odnowiliby ze mną kontraktu wysłali mnie do własnego dentysty i wyposażyli w okropny druciany aparat po 8 dolarów mniej z każdej tygodniówki po dobnno trudno byłoby o lepszą okazję nie mogłabym sobie pozwolić na prywatną wizytę u dentysty i moja kariera byłaby skończona)

Pan Z roześmiał się mówiąc Dostyc już tej ptaszarni, zauważyłem, że cię to nudzi zdziwiłam się, bo wcale nie byłam znudzona ani nawet nie zachowywałam się w ten sposób zastanawiałam się czy pan Z zawsze musi zmieniać scenariusz twórcy filmowemu zależy na zaskoczeniu tylko on sam jest w posiadaniu scenariusza Którą z nich jesteś blondyneczko tylko nie mów mi jak się nazywasz jaka jest twoja specjalność?

Patrzył na mnie teraz z wyraźną niechęcią jakby rozchodził się ode mnie jakiś straszliwy odór!

Byłam urażona i zdziwiona chciałam protestować, zapewniać że przecież tego ranka brałam prysznic obudziłam się wcześniej zrobiłam sobie gimnastykę wyprasowałam ubranie wzięłam prysznic i użyłam

Arridu pod pachy, które codziennie golę (choć wiem że kiedy się denerwuję pot spływa ze mnie strumieniami) wypudrowałam się talkiem o zapachu lilii spędziłam 40 minut na robieniu makijażu, a i mój błyszczący kostium nie jest chyba strojem taniej ulicznej dziwki?

Jak mogłeś coś takiego mówić, jeśli mnie nie znasz?

Używam specjalnego płynu i dłonie mam gładkie paznokcie wypielęgnowane ładne jeśli nie efektowne, jak sądzę Co do perhydrolu to w ogóle nie moja wina Wytwórnia zażądała abym rozjaśniła włosy stała się platynową blondynką decyzja nie należała do mnie tylko że nic nie powiedziałam Pan Z popatrzył na mnie ze zdziwieniem tak jak się patrzy na wyćwiczonego psa, słońia albo inny dziw natury zdjął przy ciemnione okulary odstawiając oczy nagle bardzo nagie, bezrzęse Byłby mojego wzrostu, gdybym nie włożyła tych szpilek Ile może mieć z pięćdziesiąt lat?

nie jest to zbyt dużo jak na mężczyznę Daj spokój nie bądź dzieckiem nie możesz być taka głupia na jaką wyglądasz Wyszliśmy już z PTASZARNI, byliśmy teraz z powrotem w prywatnym apartamencie pana Z sąsiadującym z jego biurem wcześniej w PTASZARNI wyłączył światła i ptasi śpiew natychmiast zamilkł zamilkł jak gdyby wszystkie gatunki ptaków w jednej chwili wyginęły

Pan Z pchnął mnie w stronę leżącej na podłodze skóry jakiegoś zwierzaka powiedział: No dalej, blondyneczko i dopiero wtedy przyszło mi do głowy Pan Z jest moim ojcem Tajemniczą przyczyną złamanego serca Gladys Mortensen ale i jedyne szczęście w jej życiu

Tamtej nocy nie będę mogła zasnąć nawet po północy sięgnę po jedną z kilkakrotnie zmoczonych w wannie książek matki sprzed lat PODRÓŻNIK W CZASIE H.

G. Wellsa Podróżnik w Czasie, tak się nazywa bohater, odważnie i z obawą zajmuje miejsce w Wehikule Czasu własnego pomysłu przesuwając dźwignię nurkuje w Przyszłość, widzi wirujące nad głową słońca i księżycy czytałam to tak wiele razy, a mimo to wodziłam palcem wzdłuż rzędów drukowanych liter w obawie przed tym co ani chybi musiało nastąpić i oczy mi powilgotniały od łez

Tak podróżowałam, zatrzymując się w wielkich odstępach czasu, przeskakując po tysiąc i więcej lat, pchany naprzód żądzą zbadania tajemniczego losu Ziemi, wpatrując się ze szczególnym oczarowaniem, jak na za chodzie roślinie coraz większe i posępniejsze Słońce - jak na starej Ziemi opada fala życia.

Wreszcie, w więcej niż trzydzieści milionów lat od dzisiejszych czasów, ogromna, do czerwoności rozżarzona kopa Słońca zajmowała już blisko dziesiątą część nieba.

Aż w końcu nie mogłam już dłużej czytać, zaczęłam drzeć przejmować się że może nadejść czas, kiedy nas nie będzie tak jak był czas, kiedy nas nie było nie przetrwamy nawet w filmach inaczej niżbyśmy chcieli wierzyć. Z ludzkiej pamięci zginie Rudolf Valentino!

Chaplin, Clark Gable (lubiłam myśleć że jest moim Ojcem, co czasem dawała do zrozumienia moja Matka) Pan Z nie miał cierpliwości chyba nie był okrutnym mężczyzną ale oczywiście przyzwyczaił się postępować według własnego widzimisię no i otaczali go "mali ludzie" na pewno istnieje pokusa aby takim być kiedy otaczają cię pospolici ludzie: kulą się, łaszą do ciebie, bo się boją bałam się Wcześniej jękałam się a teraz w ogóle nie mogłam mówić znalazłam się na czworakach pode mną futrzany dywan (z rosyjskich lisów, będzie się później chełpił pan Z) dół sukienki mam zadarty po pas i

ściągnięte majteczki wcale nie muszę zamykać powiek aby niczego nie widzieć, stać się "ślepa" w sierocińcu nauczyłam się kiedy jesteś "ślepa" czas upływa inaczej jakoś dziwnie bywa płynny nieuchwytny w pewnym momencie niesamowicie przyspiesza jak Podróżnik w Czasie dzięki swej maszynie później nie będę pamiętała jak pan Z wtedy wyglądał tylko jego małe szkliste oczy sztuczne zęby i zapach czosnku spoconej skóry głowy widocznej przez sztywne jak drut włosy zapamiętam ból od Interesu w powłoce z twardej gumy, chyba natłuszczonej i grubszej na końcu który najpierw trafił w przełęcz między moimi pośladkami a potem wsunął się do środka niczym mocny dziób Do środka, do środka, coraz głębiej, ile tylko zdołał wejść Nie pamiętam ile czasu minęło nim pan Z opadł na futro niczym pływak na brzeg dysząc i stękając przeraziłam się starszy człowiek mógł dostać ataku serca albo udaru i ja byłabym winna ciągle słyszy się o czymś takim, okrutne grubiańskie i jednocześnie zabawne historie człowiek się śmieje póki mu nie uświadomią że to może dotyczyć także jego Mój kontrakt opiewał na 100 dolarów tygodniowo, a wkrótce miałam dostawać 110 chyba że kontrakt zostanie uchylony to się przytrafiło dziewczynom z naszej grupy teraz muszą się wynieść z Klubu nie będą miały do niego wstępu ja też bym musiała wynieść się z Klubu i zamieszkać właśnie gdzie mogłabym zamieszkać?

Później tego samego dnia kiedy rozpoczęło się moje NOWE ŻYCIE zobaczę pana Z i jego przyjaciela Georgea Rafta i jeszcze dwóch innych dżentelmenów w garniturach i drogich krawatach będą czekali pod baldachimem na swoje limuzyny w drodze na lunch (w Brown Derby, gdzie pan Z ma stolik?)

ja zaś będę załatwiała sprawunki ich oczy będą podążały za mną w zdziwieniu Tam w dole jest gładka jak jedwabna torebka żadnych włosów. Małeńka Norma Jeane zawinięta w różowy bawełniany kocyk wędrowała z rąk do rąk kaszłała i krztusiła się w zadymionym po mieszczeniu Jakże szczęśliwa była młoda Matka pełna nadziei mężczyźni obejmowali ją i chwalili za śliczne małeństwo. Matka też była piękna ale to nie wystarczy nie nosimy tego samego nazwiska więc kto będzie wiedział że Gladys Mortensen jest moją matką?

Obiecałam panu Shinnowi nie mówić nikomu że mam matkę w Norwalk, ale pewnego dnia Matka zamieszka ze mną to też obiecałam

Aby opuścić biuro pana Z musiałam przejść obok jego sekretarki bardzo spostrzegawczej patrzącej z pogardą z bólu szłam pokracznie jak bym była spętana makijaż miałam do niczego i ta kobieta zawołała do mnie stłumionym głosem tuż za drzwiami jest toaleta podziękowałam zbyt zawstydzona aby podnieść na nią wzrok

Jak długo siedziałam schowana w toalecie nie będę pamiętała potem

Już zapominałam o panu Z wybłagałam tabletki z kodeiną od dziewczyny z obsługi zaczęły się moje bolesne skurcze to bardzo nie w porządku, że to się zdarzyło akurat w takiej chwili 8 dni za wcześniej i na dodatek tuż przed przesłuchaniem, ale nie miałam wyboru obawiam się kodeiny która działa przeciwbólowo zabija ból nie wierzyłam w ból i "uśmierzanie bólu" pan Shinn wspomniał że Norma Talmadge moja imienniczka była znaną w Hollywood narkomanką (!)

dlatego jej kariera skończyła się właśnie tak jak się skończyła jeszcze żyła chodzący kościotrup, jak o niej mówiono mieszkała w stylowej posiadłości w Beverly Hills Proszę nie mówić mi już nic więcej

poprosiłam pana Shinna okrutnika który lubuje się w tego rodzaju opowieściach o dawnych gwiazdach Hollywood które nie zaliczały się do jego klienteli

Wkrótce miało się odbyć przesłuchanie byłam zdecydowana powstrzymać wyływ obrzydliwie brązowej menstruacyjnej krwi schowana w toalecie, drżącymi dłońmi wkładałam kotex między nogi ale mijało kilka minut i wkładki przesiąkały na wylot z przerażeniem myślałam, że poplamie białą błyszczącą spódnicę co ja później zrobię och i jakiś ostry ból w odbytnicy, którego nie potrafiłam pojąć

Wreszcie zdołałam wyjść z ukrycia i przejść na przesłuchanie do innego budynku miałam dwadzieścia minut spóźnienia ze strachu brakowało mi tchu Nim zdążyłam się odezwać w osłupienie wprowadziła mnie informacja, że w ogóle nie muszę brać udziału w przesłuchaniu do Scudda-Hoo!

Scudda-Hay!

nie musiałam przeczytać choćby linijki tekstu który wypowiada przyjaciółka June Haver szepnęłam że nic nie rozumiem a szef obsady powiedział wzruszając ramionami: Zostałaś przyjęta-jesteś w obsadzie.

Jeśli nazywasz się Norma Jeane Baker.

Wyjąkałam właśnie tak się nazywam ale nie mogłam tego pojąć więc on powtórzył to samo i pokazał mi swój notatnik kazał wziąć scenariusz i wrócić o siódmej rano następnego dnia Gapiłam się na tego obcego mężczyznę przekaziciela takiej wiadomości Z...zagram w filmie?

Naprawdę zagram w filmie?

W pierwszym moim filmie?

Należę do obsady, zostałam przyjęta?

byłam wstrząśnięta ale jednocześnie uradowana, rozplakałam się, wprowadzając w zakłopotanie szefa castingu i jego asystentów

Słyszałam w uszach ryk grzmiący niczym wodospad i w tle gratulacje. Próbowałam iść niewiele brakowało, a zemdlałabym krew leciała w bieliznę byłam jakby nieobecna moje ciało zdrętwiało i odległe. W toalecie zmieniałam przesiąkniętą krwią podpaszkę, która wydała mi się bardzo nie na miejscu w takiej chwili szczęścia tak samo bolesne skurcze brzucha. Gorące łzy spływały mi po twarzy. Do tego czasu zdążyłam zapomnieć o panu Z niewiele zapamiętam z tej wizyty poza kilkoma migawkami kilka ptasich okazów z PTASZARNI ich oczy wpatrzone we mnie ten ich żaloszny śpiew ale nawet o tym zapomnę ryk w moich uszach to znak wielkiego szczęścia tak jak po ślubie, kiedy napiłam się szampana Jestem taka szczęśliwa, że chyba tego nie przeżyję!

W oszołomieniu chciałam zadzwonić do pana Shinna przekazać mu tę wiadomość Powinnam się domyślić że pan Shinn już o wszystkim wie Właśnie pojechał do Wytwórni i rozmawiał z producentem filmu dostałam wiadomość, że mam natychmiast zjawić się w biurze pana X Zastałam tam pana X i pana Shinna próbowali wymyślić dla mnie pseudonim "Norma Jeane" to prowincjonalne imiona mówili "Norma Jeane" brzmi bardzo nieefektownie mało powabnie. Poczułam się urażona bo chciałam wyjaśnić że matka nazwała mnie na cześć Normy Talmadge i Jean Harlow ale oczywiście nie

mogłam pan Shinn uciszył mnie spojrzeniem. Mężczyźni ignorowali mnie przemawiali do siebie z przesadną powagą jak to mężczyźni jak gdyby mnie tam nie było. Uświadomiłam sobie wtedy, że to jest tajemniczy głos z moich marzeń głos omen i głos zapowiedź właściwie dwa głosy, głosy mężczyzn mówiących nie do mnie lecz o mnie. Jedna z asystentek pana X dostarczyła mu listę żeńskich imion i teraz on i pan Shinn się naradzali

Moira Mona Mignon Marilyn Mavis Miriam Mina

Nazwisko miało brzmieć "Miller" byłam zła, że nie poradzili się mnie bo przecież byłam tu siedziałam w ich obecności ale dla nich byłam prawie niewidzialna nie mogłam tego znieść traktowali mnie jak dziecko .

Przypomniłam sobie o Debrze Mae której zmieniono imię i nazwisko wbrew jej woli nie podobało mi się imię "Marilyn". W sierocińcu pracowała pewna starsza kobieta o tym imieniu nienawidziłam jej a nazwisko "Miller" nie było wcale efektowne Niby dlaczego miało być lepsze od "Baker", ale tego w ogóle nie brali pod uwagę. Próbowałam im wytłumaczyć, że chciałabym zachować przynajmniej "Normę" z tym imieniem do rastałam powinnam je zachować na zawsze Nie chcieli słuchać

Marilyn Miller Moira Miller Mignon Miller

zależało im na głoskach MMMMM który wymawiali jakby smakowali wino i mieli wątpliwości co do jego jakości. Nagle pan Shinn pchnął się w czoło Przypomniał sobie że istnieje już w branży Marilyn Miller występuje na Broadwayu. Pan X zaklął pod nosem już tracił cierpliwość. Powiedziałam szybko: A może Norma Miller?

mężczyźni wciąż nie słuchali przesłam na błagalny ton wspomniłam że moja babcia nazywała się Monroe pan X strzelił nagle palcami jakby niemal w tej samej chwili pomyślał o tym samym pan Shinn i on powiedzieli unisono jak w filmie

Marilyn Mon-roe smakując szemrzące seksownie głoski!

MARI-LYN MON-ROE

i jeszcze kilka razy śmiali się i gratulowali sobie pogratulowali mnie i tyle!

MARILYN MONROE

tak będę się nazywała jako aktorka takie imię i nazwisko pojawi się w napisach w filmie Scudda-Hoo!

Scudda-Hay!

Teraz jesteś prawdziwą gwiazdeczką powiedział pan Shinn mrugając do mnie

jakże byłam szczęśliwa, pocałowałam go i pana X wszystkich którzy stali w pobliżu Wszyscy wydawali się szczęśliwi ze względu na mnie GRATULOWALI MI

Wrzes.

1947 Spełniły się wszystkie marzenia Normy Jeane Baker wszystkie nadzieje każdej sieroty patrzącej z dachu sierocińca na wieżę RKO i oddalone o wiele mil światła Hollywood

Aby uczcić ten dzień pan Shinn chciał zabrać MARILYN MONROE na kolację na tańce (choć mały gnom ledwie sięgał mi do ramienia!)

czym prędzej powiedziałam dziękuję panie Shinn nie czuję się najlepiej nadmiar szczęścia sprawił że jestem oszołomiona kręci mi się w głowie chcę być sama taka była prawda potknęłam się przewróciłam zasnąłam na sofie na którymś z planów obudziłam się wieczorem i dyskretnie wyszłam ze studia Na rogu tam gdzie zwykle złapałam tramwaj uśmiechałam się do siebie i mówiłam: jestem gwiazdeczką jestem MARILYN MONROE tramwaj grzechotał kołysał się moje myśli odpłynęły ku niebu jak spłoszone ptaki ku niebu poprzecinanemu plamami ognistej czerwieni ogniom w górach i kanionach rozdmuchanym przez wiatry Santa Ana zapachom spalonego cukru, spalonych włosów, popiołu, uderzających w nasze nozdrza kiedy matka jechała ze mną na północ w stronę pożarów aż wreszcie musiała się zatrzymać przed policyjną blokadą nie pomyślę o tym co zdarzyło się tak dawno i nie pomyślę nawet o tym co się zdarzyło tego ranka w PTASZARNI o mężczyźnie który mnie tam zabrał powiedziałam sobie Nowe życie!

Zaczęło się moje nowe życie!

Zaczęło się właśnie dzisiaj!

Powtarzałam Dopiero teraz się zaczyna, mam dwadzieścia jeden lat i jestem MARILYN MONROE w tramwaju zagadnął mnie pewien mężczyzna jak to czasem czynią mężczyźni zapytał czy jestem czymś zdenerwowana czy mógłby mi pomóc odparłam przepraszam ale muszę wysiąść to mój przystanek pośpiesznie wysiadłam naprawdę myślałam że to mój przystanek w Vine ale mi się pomyliło z powodu tego ostrego bólu w oczach w dole brzucha stałam na chodniku i kołysałam się miałam chaos w głowie. Popatrzyłam na wschód na zachód znalazłam się w L.A gdzieś na zachód od Hollywood lecz nie rozpoznałam otoczenia nie miałam żadnej wskazówki Gdzie jest dom?

KOBIETA

1949-1953

Pożytek płynący z piękna nie jest jasny, konieczności jego istnienia w kulturze trudno się dopatrzeć, a jednak nie można by nie odczuć jego w niej braku.

Zygmunt Freud, Kultura jako źródło cierpień

CIEMNOWŁOSY KSIAŻĘ

Siłą aktora jest ucieleśnianie strachu przed duchami.

Z życia aktora

Chyba nigdy tak naprawdę nie uwierzyłam, że zasługuję, by żyć.

Tak jak inni ludzie.

W każdej godzinie musiałam uzasadniać swoje życie.

Potrzebowałam twojego pozwolenia.

Była to pora roku o nieokreślonej pogodzie.

Lato dopiero się rozpoczęło, więc nie wiały jeszcze gorące wiatry Santa Ana, mimo to powietrze napływające z pustyni miało smak piasku i pożarów.

Przez zamknięte powieki widać było tańczące płomienie.

Przez sen dało się słyszeć tupot szczurów uciekających z Los Angeles przed zwariowaną, niebywałą ścianą ognia.

W kanionach na północy miasta żałośnie wyły kojoty.

Od tygodni nie spadła ani kropla deszczu, jednakże każdy dzień wypełniało blade, oślepiające światło, światło wnętrza ślepego oka.

Tej nocy naci El Cayon Drive niebo stało się na krótko czyste, ukazało sierpowaty księżyc w czerwonym odcieniu żywej błony.

Niczego od ciebie nie chcę, przysięgam!

Pragnę powiedzieć tylko: Chyba powinienes mnie poznać.

Swoją córkę.

Tej nocy na początku czerwca młoda blondynka siedziała w pożyczonym jaguarze na poboczu El Cayon Drive.

Czekała.

Nie słuchała radia.

Jaguar stał przy wąskiej żwirowej drodze, niedaleko przypominającej fortecę posiadłości, zaprojektowanej jakby w orientalnym stylu, otoczonej wysokim na dziesięć stóp kamiennym murem i zabezpieczonej żelazną bramą.

Była tam nawet mała stróżówka, ale nikt nie pełnił w niej służby.

W posiadłościach położonych niżej reflektory oświetlały budynki, w ciepłą noc odgłosy rozmów i śmiechy płynęły jak muzyka, lecz ten dom na szczycie El Cayon prawie ginął w mroku.

Wokół wysokiego muru nie rosły drzewa palmowe, tylko włoskie cyprysy, powykręcane przez wiatr w dziwaczne, jakby rzeźbione kształty.

Nie mam najmniejszego dowodu.

Nie jest mi potrzebny dowód.

Ojcostwo to sprawa duszy.

Chciałam tylko zobaczyć twoją twarz, Ojcze.

Blondynce dano imię i nazwisko.

Dostała je tak, jak żebrak dostaje na wyciągniętą rękę monetę.

I przyjęła je jak żebrak, nie kwestionując niczego.

Pewne imię i nazwisko.

Jego nazwisko!

Mężczyzny, który być może w 1925 roku był kochankiem jej matki.

Być może?

Prawdopodobnie.

Szukała wśród gruzów przeszłości.

Również tak jak żebracy, przerzucając odpadki, nawet śmieci, w poszukiwaniu bogactwa.

Wcześniej tego samego wieczoru na przyjęciu przy basenie zapytała, czy może pożyczyć jakiś samochód - i kilku mężczyzn zaczęło się licytować, oferując swoje kluczyki.

Uciekła boso i znikła im z oczu.

Gdyby jaguar nie wrócił na czas, o "pożyczeniu" dowiedziałyby się policja z Beverly Hills, ale nic na to nie wskazywało, że tak się sprawa zakończy, gdyż blondynka nie była pijana, nie działała pod wpływem narkotyków, a swoją determinację potrafiła ukryć.

Po co?

Nie mam pojęcia po co.

Może, aby uścisnąć ci dłoń, przywitać się, pożegnać, jeżeli nie będziesz chciał niczego więcej.

Oczywiście mam własne życie.

Nie zamierzam tracić niczego, co do mnie rzeczywiście należy.

Być może blondynka siedziałaaby w jaguarze przez całą noc, ale na El Cayon przyjechała prywatna ochrona w nieoznakowanym samochodzie.

Ktoś z rezydencji na szczycie wzgórza musiał ich zawiadomić.

Funkcjonariusz miał na sobie ciemny mundur i w ręku trzymał latarkę, którą poświecił dziewczynie prosto w twarz.

To była scena z filmu!

Tylko brakowało tła muzycznego, wskazówki, czy powinno się czuć niepokój, napięcie, rozbawienie.

Mężczyzna wypowiedział swoją kwestię całkowicie beznamytnie, więc także on niczego nie podpowiedział.

- Panienko?

Można wiedzieć, czego panienka tutaj szuka?

To droga prywatna.

Dziewczyna zamrugła, jakby starając się powstrzymać łzy (ale nie miała już też w zapasie) i szepnęła:

- Niczego.

Przepraszam.

Uprzejmość i dziecięce maniery rozbroiły policjanta.

No i ujrzał jej twarz.

Cóż to była za twarz!

Wiedziałem od razu, że kiedyś zostanie kimś.

Tylko kim?

Drapiąc się w lekko zarośnięty policzek, trochę się jękając, rzekł:

-W takim razie, panienko, proszę zawrócić i odjechać do domu.

Jeśli panienka tutaj nie mieszka.

Żyją tu dość szczególni ludzie.

Panienka jest zbyt młoda...

- Głos mu się załamał, choć funkcjonariusz w zasadzie powiedział już wszystko, co musiał powiedzieć.

Dziewczyna o blond włosach przekręciła kluczyk w stacyjce i zawołała:

- Nie, nie jestem!

Młoda.

Następnego dnia skończyła dwadzieścia trzy lata.

MISS ZŁOTE MARZENIA" 1949

- Przestań sobie ze mnie żartować, Otto.

Błagam.

Roześmiał się.

Cieszył.

To była zemsta, a wiemy przecież, że zemsta jest słodka.

Czekał, aż Norma Jeane wróci do niego na kolanach.

Miał nadzieję, że zrobi wreszcie jej akty, czekał na to od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzał w ubrudzonym kombinezonie, jak się chowała za kadłubem samolotu ze zbiornikiem na lakier w rękach.

Jakby w ogóle mogła się przed nim ukryć.

Przed obiektywem Ottona Osę, tak jak przed okiem śmierci, nikt nie może się ukryć.

Otto Osę w swoim życiu wiele kobiet rozebrał z bielizny, pretensji i "godności", każda z nich zaś od początku zarzekała się: "Nigdy tego nie zrobię!

" Tak samo ta dziewczyna wyobrażała sobie, że panuje nad swoim losem, i przysięgała: Nigdy!

Nie zrobię tego za nic!

Jakby była dziewicą.

W głębi duszy.

Jakby była nietykalna.

W konsumpcyjnej, kapitalistycznej ekonomii nie tykalne nie jest żadne ciało, żadna dusza!

Jakby różnica między zdjęciem w skąpym stroju a aktem była wszystkim, czego musiała się trzymać dla zachowania szacunku dla samej siebie.

"Och, Maleńka.

Wcześniej lub później i tak do mnie przyjdiesz".

Póki miała nadzieję na rozpoczęcie kariery filmowej, odrzucała wszystkie oferty.

Póki była nową, świeżą twarzą na scenie.

Jego odkryciem.

Pojawiła się w każdym popularnym piśmie z dziewczynkami, w niektórych ilustrowanych czasopismach ogólnokrajowych i w kilku ambitnych magazynach w rodzaju "U.

S. Camera". To wszystko było jego zasługą.

Wyłącznie jego, bo gdyby nie Otto Osę, dziewczyna nie podpisała by kontraktu z I.

E. Shinnem, czołowym hollywoodzkim agentem.

I z Wytwornią jako aktorka i postać w mdłej "wiejskiej komedii" z June Haver i parą dobranych mułów w rolach głównych.

Ale jej czterominutową sekwencję bezlitośnie skrócono do paru sekund.

Ukazano blondwłosą gwiazdkę Marilyn Monroe z takiej odległości - w łodzi z June Haver - że nikt, w tym być może Norma Jeane Baker, nie mógł jej poznać.

Taki był filmowy debiut Marilyn Monroe.

Scudda-Hoo!

Scudda-Hay! 1948.

Od tamtej pory minął rok albo i więcej.

Przez ten czas dziewczyna pojawiła się w dwóch czy trzech innych niskobudżetowych, kiepskich filmach, grając podrzędne, drugoplanowe role, które sprowadzały się do wizualnych gagów z udziałem głupiotkich blondynek o kształtnych figurach.

(W najbardziej prymitywnym filmie Marilyn Monroe oddała się od Groucho Marxa, który z zainteresowaniem gapi się na jej pośladki.) Następnie przestała współpracować z Wytwornią, która bez skrupułów nie przedłużyła z nią kontraktu na kolejny rok.

Marilyn Monroe w ciągu kilku krótkich miesięcy nie osiągnęła nic.

W mieście mówiło się (niezgodnie z prawdą, Otto o tym wiedział, ale już to, że rozchodziły się takie plotki oraz ich uporczywość były złowieszczym znakiem), że w desperackim dążeniu do przyspieszenia kariery, jak wiele innych gwiazdek, sypiała z producentami z Wytworni, w tym ze sławnym kobieciarzem, wrogiem kobiet, panem Z, oraz z pewnym poważanym reżyserem, którego wpływów nie udało się jej wykorzystać dla swoich celów.

Mówiło się o Marilyn Monroe, że sypiała ze swoim agentem, karłem, panem I.

E. Shinnem, a także z tymi jego hollywoodzkimi przyjaciółmi, którym winien był on przysługę.

Krążyły plotki, że Marilyn Monroe przynajmniej raz poddała się aborcji, ale najprawdopodobniej więcej niż raz.

(Otto z rozbawieniem dowiedział się, że w jednej z wersji plotki nie tylko zorganizował nielegalną operację u jakiegoś lekarza z Santa Monica, ale w dodatku sam był ojcem.

Jak gdyby Otto Osę mniej od innych mężczyzn dbał o to, co się dzieje z jego spermą!

)

Przez trzy lata Norma Jeane grzecznie, lecz stanowczo odrzucała wszystkie oferty Ottona.

Oferty nagich zdjęć dla takich czasopism jak "Yank", "Peek", "Swank", "Sir!

" i innych, i to za znacznie większe pieniądze niż te, które miała teraz otrzymać od Ace Hollywood Calendars: mizerne pięćdziesiąt dolarów.

(Otto dostanie dziewięćset i zatrzyma negatywy, ale o tym wcale nie musiał Normie mówić.) Nie stać jej było na czynsz, bo nie mieszkała teraz w dotowanym przez Wytwórnę Klubie, tylko w umeblowanym pokoju w zachodniej części Hollywood; musiała kupić używany samochód, aby poruszać się po Los Angeles, ale już go zastawiła za pięćdziesiąt dolarów, akurat w tym tygodniu.

Agencja Preene była bliska wycofania się z kontraktu, ponieważ to samo zrobiła Wytwórnia.

Otto już od miesiący nie zadzwonił do Normy Jeane, ale czekał na telefon od niej.

Niby dlaczego miałby do niej dzwonić?

Nie potrzebował jej.

W południowej Kalifornii nie brakuje dziewcząt.

Naraz pewnego ranka w pracowni Ottona odezwał się telefon: Norma Jeane.

Serce podskoczyło mu do gardła z emocji, której właściwie nie potrafił zdefiniować - ekscytacja, zadowolenie, mściwość?

Była lekko zasapana, mówiła niepewnie.

- Otto?

Cześć, mówi Norma Jeane.

Mogłabym się z tobą zobaczyć?

Nie miałbyś jakiejś roboty dla mnie?

M...mam nadzieję...

Otto odpowiedział, przeciągając głoski:

- Skarbie, niestety, nic nie mogę obiecać.

Zadzwonię tu i tam.

Nie masz pojęcia, jaki jest w tym roku urodzaj na dziewczyny.

Akurat mam sesję;

mogę się z tobą skontaktować później?

- Odłożył słuchawkę, uśmiechając się do siebie z satysfakcją, ale później tego samego dnia ogarnęło go poczucie winy.

Norma Jeane była słodką, skromną dziewczyną, na której zarobił sporo pieniędzy, fotografując ją z odsłoniętymi ramionami, obnażoną szyją, w szortach, obcisłych sweterkach, kostiumach kąpielowych.

Może przyniesie mu pieniądze, pozując nago, prawda?

Nie byłam zdziwą ani dziwką.

Mimo to ludzie skłonni byli postrzegać mnie w ten sposób.

Chyba nie można mnie było sprzedać inaczej.

Wiedziałam, że trzeba mnie sprzedać.

Bo dopiero wtedy będę pożądana i kochana.

- Pięćdziesiąt dolców, skarbie - powiedział jej.

- Tylko p...pięćdziesiąt?

- Miała nadzieję na sto.

- Tylko pięćdziesiąt.

-Myślałam...

Kiedyś p...powiedziałeś...

- Pewnie.

Może później uda nam się wyrwać więcej.

Za zdjęcia do jakiegoś czasopisma.

Na razie jednak mamy tylko jedną ofertę, z Ace Hollywood Calendars.

Masz wybór: przyjąć ją albo odrzucić.

Długa chwila ciszy.

Co się stanie, jeśli Norma Jeane zaraz wybuchnie płaczem?

Ostatnio dużo płakała.

Nie pamiętała, czy Gladys kiedykolwiek płakała.

I bała się, że fotograf zareaguje szyderczym śmiechem.

Jej oczy zrobią się czerwone i opuchnięte, sesję trzeba będzie przełożyć na inny dzień, a ona potrzebowała pieniędzy dzisiaj.

- Hm.

Niech będzie.

Otto miał już gotowy do podpisu egzemplarz umowy.

Najprawdopodobniej liczył się z tym, że gdyby zwlekał do końca sesji, dziewczyna mogłaby się jeszcze rozmyślić z powodu zażenowania, wstydu, złości i musiałby się pożegnać ze swoim udziałem.

Szybko podpisała.

- Mona Monroe.

Któż to jest, do jasnej cholery?

-Ja.

Otto roześmiał się.

- Za tym się nie ukryjesz.

- Niewiele będę miała do ukrycia.

Drżącymi rękami zdejmowała ubranie za postrzępionym chińskim parawanem, gdzie dawniej przebierała się w kostiumy do bardziej skromnych zdjęć.

W promieniach słonecznego światła przefiltrowanego przez brudną szybę.

Nie było tu wieszaków na ubrania, które zawsze miała świeżo wyprane i wyprasowane: białą batystową bluzkę i rozkloszowaną niebieską spódnicę.

Zdjęła wszystko i została tylko w białych sandałach na średnich obcasach.

Zdjęła godność.

Choć niewiele tej godności zostało.

Każdej godziny, codziennie od otrzymania tej okropnej wiadomości z Wytwórni kpił z niej jakiś wewnętrzny głos: Porażka!

Porażka!

Dlaczego nie umrzesz?

Po co żyjesz?

Temu głosowi, którego do końca nie rozpoznawała, nie potrafiła odpowiedzieć.

Nie uświadamiała sobie, jak wiele dla niej znaczy Marilyn Monroe.

Nie podobało jej się nowe imię, wydumane i cukierkowe, tak samo jak nie lubiła sztucznie rozjaśnionych blond włosów, ubrań w stylu lalki Kewpie, zachowań zgodnych z manierą Marilyn Monroe (drobnych kroczków w obcisłych krótkich spódnicach podkreślających szczelinę między pośladkami, ruchów piersi, podobnych do gestów dłoni podczas rozmowy) i ról, w których obsadzało

ją kierownictwo Wytwórni, ale miała nadzieję, rozbudzaną przez pana Shinna, że pewnego dnia, niedługo, otrzyma poważną rolę i naprawdę zadebiutuje jako aktorka.

Jak Jennifer Jones w Pieśni o Bernadette, Olivia De Havilland w The Snake Pijane Wyman zagrała głuchoniemą w Johnnym Belindzie\ Norma Jeane wierzyła, że może zagrać podobne role.

"Gdyby tylko dali mi szansę".

Nigdy nie powiedziała Gladys o zmianie nazwiska.

Wyobraziła sobie, że kiedy na ekrany kin wejdzie Scudda-Hoo!

Scudda-Hay!

zabierze ją na premierę do Graumans Egyptian Theatre, a matka będzie zdumiona, przejęta i dumna, widząc swoją córkę na ekranie, to nic, że w podrzędnej roli; na zakończenie seansu Norma Jeane wyjaśni, że Marilyn Monroe z napisów końcowych to właśnie ona.

Że wprawdzie zmiana nazwiska nie dokonała się z jej inicjatywy, ale przynajmniej może używać nazwiska Monroe, będącego przecież nazwiskiem panięńskim Gladys.

Ale jej rola w tym głupawym filmie została okrojona do zaledwie kilkusekundowej migawki, nie było żadnego powodu do dumy.

Nie odczuwając dumy, nie mogę pójść do matki.

Nie mogę się spodziewać błogosławieństwa z jej strony, jeżeli ona nie będzie dumna.

Gdyby ojciec Normy Jeane wiedział o jej przemianie w Marilyn Monroe, z pewnością byłby zdegowany.

Z Marilyn Monroe nie wiązała się żadna duma - jeszcze nie.

Otto Osę przygotowywał wszystko do sesji, rozprawiając głośno i z ożywieniem o planach dotyczących bardziej "artystycznych" fotek, jakie zrobi następnym razem.

Podobno zawsze istniało zapotrzebowanie na, hmm, "specjalne" fotografie.

Norma Jeane słuchała w odrętwieniu, jakby jego głos dobiegał gdzieś z oddali.

Bez aparatu fotograficznego Otto Osę sprawiał wrażenie ospałego i milczącego; kiedy brał do ręki narzędzie swej pracy, natychmiast budziło się w nim życie.

Stawał się chłopięcy i dowcipny.

Norma Jeane nauczyła się nie obrażać za jego żarty.

Czuła się teraz nieswojo, bo nie widzieli się od kilku miesięcy, a ich rozstanie wypadło niezręcznie.

(Powiedziała mu zbyt dużo.

O życiu w samotności, o chęci zrobienia kariery i o tym, że myśli o nim - "strasznie dużo".

Sama nie wierzyła, że to mówi.

Nie powinna mu o tym mówić.

Wiedziała, że popełnia błąd.

Otto z początku się nie odzywał, odwrócił się od niej, paląc cuchnącego papierosa, w końcu zaś wymamrotał: "Proszę, daj spokój, nie chciałbym cię zranić".

Drżała mu lewa powieka, miał minę nadąsanego chłopca.

Długo milczał, aż stało się jasne, że powstała szkoda, której nie da się naprawić.) Teraz stała za postrzępionym chińskim parawanem, dygocząc, choć było tu gorąco i duszno.

Kiedyś przysięgła, że nie będzie pozowała nago.

Uważała, że to jest jak przejście na drugą stronę jakiejś granicy.

Że przekroczenie tej granicy będzie przypominało przyjęcie pieniędzy za seks.

Że po czymś takim człowiek już nigdy nie będzie mógł stać się osobą, którą był poprzednio.

Ta transakcja była równie nieczysta jak brud, plugastwo.

Norma Jeane miała obsesję na punkcie czystości.

Paznokci u rąk, nóg.

Nigdy nie będę taka jak Matka, nigdy!

W studiu filmowym czasami brała prysznic zaraz po zajęciach, jeśli spociła się podczas jakiejś sceny.

Czy to nie Orson Welles powiedział: "Albo aktor się poci, albo nie jest aktorem"?

Ale żaden aktor nie chce cuchnąć!

W Klubie Norma Jeane należała do tych dziewcząt, które lubiły się moczyć w gorącej kąpieli tak długo, jak tylko można.

Lecz teraz w tanim umeblowanym pokoju nie miała ani wanny, ani prysznic i musiała się myć nieporadnie w niewielkiej umywalce.

Niewiele brakowało, a przyjęłaby propozycję spędzenia weekendu z pewnym producentem, który mieszkał w Malibu, gdyż tęskniła za luksusem kąpieli.

Ten producent był przyjacielem przyjaciela pana Shinna.

Jednym z wielu "producentów" w Hollywood.

Zamożnym człowiekiem, który umożliwił start Lindzie Darnell.

A także Jane Wyman.

Albo tylko się przechwalał.

Gdyby Norma Jeane pojechała do tego mężczyzny, to właśnie przeszłaby na drugą stronę granicy.

Nie chciała pieniędzy, zależało jej na pracy.

Odrzuciła propozycję producenta, a teraz musiała rozebrać się do naga w zagraconej pracowni Ottona Osę, gdzie pachniało miedziakami ściśniętymi w spoczonej dłoni.

Na podłodze leżały kulki kurzu i wyschnięte korpusy robaków; widziała je już chyba, będąc tu przed kilkoma miesiącami.

Kiedy dałam słowo, że nie wrócę tu nigdy.

Nigdy!

Nie potrafiła zinterpretować spojrzeń, jakimi obrzucał ją fotograf: pociągała go czy budziła w nim odrazę?

Pan Shinn oznajmił kiedyś, że Otto jest Żydem, a Norma Jeane właściwie jeszcze nie zdążyła poznać żadnego Żyda.

Od czasów Hitlera, obozów koncentracyjnych oraz fotografii Buchenwaldu, Auschwitz i Dachau, zamieszczanych na stronach "Lifeu", w które wpatrywała się w zdumieniu przez długie minuty, interesowała się Żydami i judaizmem.

Czyż Gladys nie mówiła, że Żydzi są narodem wybranym, pradawnym i doświadczonym przez los?

Norma Jeane czytała o tej religii, która nie szuka nowych wyznawców i o tej "rasie" - ależ to tajemnica:

"rasa"!

Pochodzenie ludzkich ras - prawdziwa tajemnica.

A "bycie wybranym" oznacza błogosławieństwo czy przekleństwo?

Norma Jeane miała ochotę zapytać o to jakiegoś Żyda.

Aby się urodzić Żydem, musiałeś mieć matkę Żydówkę.

Lecz jej pytanie było naiwne, a po koszmarze obozów śmierci na pewno nie zostałaaby dobrze zrozumiana.

W głęboko osadzonych oczach Ottona Osę dostrzegała namiętność, głębię i historię, tego nie było w jej oczach, przejrzystych i niesamowicie niebieskich.

Jestem tylko Amerykanką.

Do szpiku kości.

Tak naprawdę nic we mnie nie drzemie.

Otto Osę nie przypominał żadnego innego mężczyzny, którego znała Norma Jeane.

Nie chodziło o to, że był utalentowany i ekscentryczny.

Otóż w pewnym sensie nie był mężczyzną.

Nie określała go męskość.

Jego seksualność również pozostawała dla niej tajemnicą.

Zdawał się z zasady nie przepadać za kobietami.

Norma Jeane, gdyby była mężczyzną, też z zasady nie przepadałaby za kobietami.

Tak sądziła.

A jednak przez długi czas starała się wierzyć, że Otto Osę spogląda na nią odmiennie niż na inne kobiety i że ją kocha.

Może było mu jej żal, więc ją kochał.

Bo czyż czasem nie patrzył na nią przez oko obiektywu z tkliwością, zawsze zaś z jakimś szczególnym natężeniem, z jakąś natarczywością?

A czy potem, rozłożywszy w podnieceniu zdjęcia i odbitki kontaktowe przedstawiające skąpo ubraną Normę Jeane, nie mruzczał: "Mój Boże.

Spójrz tylko.

Jakie to piękne"?

Ale miał na myśli zdjęcia, nie Normę Jeane.

Nie miała na sobie nic prócz butów.

Dlaczego to robię?

To jakaś pomyłka.

Rozglądała się z rozpaczą za okryciem.

Nie było tu jakiegos szlafroka dla nagich modelek?

Powinna była przynieść coś ze sobą.

Wstydliwie wyjrzała zza krawędzi parawanu.

Serce tłukło jej z niepokoju, ciekawości i radości.

Czy Otto będzie jej pożądał, jeśli ujrzy ją nagą?

Czy ją pokocha?

Przyjrzała się mu.

Stał odwrócony do niej plecami, ubrany w bezkształtną trykotową koszulkę, spodnie robocze, które podkreślały żalosną szczupłość jego bioder, poplamione płócienne buty.

Żadna z modelek agencji Preene ani z młodych aktorek Wytwórni niczego o nim nie wiedziała na pewno- Miał reputację człowieka, który oczekuje wytężonej, często wyczerpującej pracy: "Ale z nim to naprawdę warto.

Nigdy nie marnuje czasu".

Tajemnicą było jego życie prywatne: "Trudno sobie wyobrazić, że Otto to pedał".

Norma Jeane zauważyła, że włosy Ottona nabierają barwy metalicznoszarej i rzedną na czubku wąskiej, szczupłej głowy.

Jego twarz przypominała z profilu drapieżnego ptaka, i to bardziej, niż zapamiętała z przeszłości.

Wygłodniałego ptaka, rozpaczliwie szukającego ofiary.

Potrafiła wyobrazić go sobie, jak wzbija się, a potem pikuje i rzuca na ofiarę.

Właśnie układał szeroki kawałek materiału z purpurowego aksamitu na chybotliwej kartonowej konstrukcji; nie zauważył, że Norma Jeane się przygląda.

Pogwizdywał, mruczał do siebie, śmiał się.

Odwrócił się, by rzucić okiem na tył studia, gdzie pośród rupieci stały podniszczone meble: chromowany stół kuchenny, zakurzone krzesła, kuchenka elektryczna, czajniczek do kawy, filiżanki.

Znajdowały się tam szerokie na sześć stóp płyty ze sklejki i tablice korkowe z przypiętymi negatywami i odbitkami, często pożółkłymi ze starości.

Obok mieściła się brudna toaleta z postrzępionym kawałkiem jutowego płótna zamiast drzwi.

Norma Jeane z obawą myślała o konieczności korzystania z tej toalety i unikała tego, dopóki mogła.

Teraz odniosła wrażenie, że dostrzega jakiś ruch za jutową zasłoną - czyżby ktoś był w środku?

Przyprowadził kogoś, aby sobie na mnie popatrzył!

Dzika, i absurdalna myśl.

Otto nie był taki.

Gardził stręczycielami.

- I jak, gotowa?

Chyba się nie wstydzisz, co?

- Otto cisnął w stronę Normy Jeane kawałek przezrzystego materiału, dawną firanę.

Owinęła się tym z wdziękiem.

- Wykorzystam pognieciony aksamit, żeby osiągnąć efekt luksusowego pudełka na czekoladki.

Jesteś pralinką, tak ponętną, że aż chce się ciebie zjeść.

Otto wypowiedział się rzeczowo, jakby sytuacja była typowa dla obojga.

Zajął się ustawianiem statywu, ładowaniem i instalowaniem aparatu.

Nawet nie patrzył, jak Norma Jeane zbliża się, powoli, sztywno, jakby zatopiona w myślach.

Purpurowy aksamit był fatalnie postrzępiony na brzegach, ale jego barwa w dalszym ciągu wydawała się żywa, pulsująca.

Otto tak ułożył materiał, aby brzegi znalazły się poza kadrem, a mały stołek, na którym Norma Jeane miała usiąść, otoczona pulsującą barwą, też przysłonił tkaniną.

- Otto, czy mogę skorzystać z...

z łazienki?

Tylko na...

- Nie, toaleta jest nieczynna.

- Chciałam tylko umyć...

- Nie.

Zacznijmy od "Miss Złote Marzenia".

- To niby ja mam nią być?

Otto nie patrzył teraz bezpośrednio na Normę Jeane.

Może przez delikatność, może obawiał się, że dziewczyna wpadnie w panikę i ucieknie.

Okręcona niezbyt czystą firaną zbliżyła się do brzegu zaaranżowanej sceny i niemal oślepiających świateł, które zawsze onieśmiały.

Dopiero kiedy niepewnie stanęła na purpurowym materiale, Otto popatrzył na nią i po wiedział ostro:

- Buty?

Włożyłaś buty?

Zdejmij je.

Norma Jeane wyjąkała:

- N...nie mogę być w butach?

Podłoga jest brudna.

- Nie bądź głupia.

Widziałaś kiedyś akt z modelką w butach?

- parsknął pogardliwie Otto.

Norma Jeane poczuła, że twarz jej płonie.

Ależ miała ciało, te piersi, z których na co dzień była taka dumna, te uda i pośladki!

Jej gładka, kremowa, prężna nagość była samoistnym bytem, trzecią osobą w tym pokoju, krępującym intruzem.

- Wydaje mi się, że m...moje stopy są jakby bardziej nagie niż...

- Norma Jeane roześmiała się, ale nie w nowy sposób, jak się nauczyła w Wytwórni, lecz po staremu: niepokojąco, piskliwie jak zabijana mysz.

- Cz...czy możesz mi obiecać, że nie pokażesz podeszew?

To znaczy spodów moich stóp?

Otto, proszę!

Dlaczego naraz stało się to takie ważne?

Spody jej stóp?

Bezbronna, pozbawiona ochrony, wystawiona na pokaz.

Nie mogła znieść myśli o mężczyznach, którzy patrzyliby na nią z pożądaniem, a świadectwem jej bezbronności byłyby blade, nagie stopy.

Przypomniało jej się, jak podczas ostatniej sesji zdjęciowej do rozkładówki w "Sir!

" - miała na sobie czerwoną satynową bluzkę z dekoltem w kształcie litery "V", białe krótkie spodenki i czerwone satynowe pantofelki na wysokich obcasach - Otto powiedział jej, że uda ma "nieproporcjonalne" w stosunku do tyłka:

zbyt "muskularne".

I nie podobały mu się pieprzyki, porzrucane jak "małeńkie czarne mrówki" po jej plecach i rękach, dlatego kazał je ukryć pod grubym podkładem.

- No, do roboty, skarbie.

Zdejmij wszystko.

Norma Jeane kopnięciem pozbyła się butów i pozwoliła przejrzystej za słońce opaść na podłogę.

Paliło ją całe ciało, teraz kiedy była zupełnie naga w obecności tego mężczyzny, który jednocześnie był jej przyjacielem i człowiekiem całkowicie obcym.

Usiadła na niskim stołku wśród pogniecionego aksamitu, z nogami mocno skrzyżowanymi, skręconymi w jedną stronę.

Otto ułożył materiał w taki sposób, żeby widz nie wiedział na pewno, czy modelka siedzi, czy leży.

Na zdjęciu miało się znaleźć tło w żywej czerwieni i nagie ciało dziewczyny, a dzięki złudzeniu optycznemu wymiary i dystans nie będą wyraźnie określone.

- Nie z...zrobisz tego, prawda?

Nie pokażesz spodu moich...

Otto powiedział zirytowany:

- Do jasnej cholery, przestaniesz wreszcie bez sensu kłapać jadaczką?

Staram się skoncentrować, a ty działasz mi na nerwy.

- Nigdy wcześniej nie pozowałam n...nago.

Ja...

- Nie nago, skarbie, do aktu.

To sztuka, nie nieprzyzwoitość.

Taka jest fundamentalna różnica.

Norma Jeane, urażona tonem, jakim się posługiwał Otto, spróbowała zażartować w stylu, którego się nauczyła podczas ćwiczeń w Wytwórni.

-Jak między fotografem a pornografem?

O to chodzi?

Zaczęła się przeraźliwie śmiać.

Otto potrafił rozpoznać niebezpieczeństwo.

- Normo Jeane, odpręż się.

Uspokój.

To ma być fotografia pralinki w bombonierce, jak już wspomniałem.

Rozłóż ramiona, czy myślisz, że Otto Osę cycków w życiu nie widział, mnóstwa cycków?

A twoje są całkiem w porządku.

I nie krzyżuj nóg.

Nie będziemy robić ujęć z przodu, nie pokażemy nawet włosów łonowych, bo czegoś takiego nie moglibyśmy przesłać amerykańską pocztą, a nie taki jest nasz cel.

Zgadza się?

Norma Jeane usiłowała wyjaśnić jakiś bardzo niepokojący fakt dotyczący jej podeszew, jej stóp, tego, jak będą one wyglądać od spodu.

Ale jej język powiększył się i zdrętwiał.

Mowa przychodziła jej z takim trudem jak oddychanie pod wodą.

Wiedziała, że ktoś się jej przygląda z zaplecza pracowni.

Poza tym przybrudzone okno wychodziło na Hollywood Boulevard; ktoś mógł patrzeć na nią przez to okno, zerkając ponad parapetem.

Kiedyś Gladys nie chciała, aby ludzie patrzyli na Normę Jeane, ale oni i tak zaglądali pod kocyk.

Nie można ich było powstrzymać.

Otto rzekł cierpliwie:

- Pozowałaś dla mnie w tym studiu wiele razy.

Pozowałaś na plaży.

Miałaś na sobie zaledwie parę skrawków materiału więcej.

Co to za różnica?

Bardziej sugestywnie prezentujesz swój tyłek w dżinsach albo szortach niż nago, i wiesz o tym.

Nie udawaj.

Taka głupia to ty nie jesteś.

Norma Jeane zdołała wykrztusić:

- Nie żartuj sobie ze mnie, Otto.

Proszę.

- Ty już jesteś żartem!

- powiedział Otto z pogardą.

- Kobięce ciało jest żartem.

Cała ta płodność.

Cała uroda.

Wszystko polega na tym, by zachęcić mężczyzn do dzikiej kopulacji i do reprodukcji gatunku, tak jak to robią modliszki odcinające głowy swym męskim partnerom seksualnym.

A czym jest nasz gatunek?

Po nazistach i amerykańskiej współpracy przy zagładzie Żydów dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzkości nie zasłużyło na życie.

Norma Jeane zadrżała w obliczu ataku Ottona.

W przeszłości zdarzało mu się wypowiadać na poły żartobliwe, na poły poważne uwagi na temat nędznej kondycji rodzaju ludzkiego, ale teraz po raz pierwszy nawiązał do nazistów i ich ofiar.

Norma Jeane zaprotestowała:

- Amerykańskiej w...współpracy?

O czym ty mówisz, Otto?

M...myślałam, że ocaliliśmy...

- Ocaliliśmy tych, którzy przeżyli obozy koncentracyjne, bo to była nie zła propaganda, ale nie udało nam się zapobiec zagładzie sześciu milionów ludzi.

Polityka Stanów, to znaczy Roosevelta, polegała na powstrzymaniu napływu żydowskich uciekinierów i skierowaniu ich do komór gazowych.

Nie patrz tak na mnie, to nie jest jeden z tych twoich debilnych filmów.

Stany Zjednoczone kwitną jako powojenny kraj faszystowski (właśnie teraz, kiedy pokonano jawnych faszystów), a Komisja Kongresu do spraw Badania Działalności Antyamerykańskiej jest ich gestapo, natomiast dziewczyny takie jak ty są łakomym kąskiem dla każdego, kto ma szmal, aby je kupić, więc zamknij się i nie zabieraj głosu w sprawach, na których się nie znasz.

Otto wyszczerzył się w szerokim uśmiechu trupiej główki.

Norma Jeane uśmiechnęła się z obawą, pragnąc go udobruchać.

W przeszłości dał jej kilka razy do przeczytania "Daily Worker" oraz wykonane dość prymitywną techniką pamflety Partii Postępu, Amerykańskiego Komitetu Obrony Urodzonych za Granicą i innych organizacji.

Czytała je albo przynajmniej próbowała to robić.

Bardzo chciała wiedzieć.

Ale kiedy pytała Ottona o marksizm, socjalizm, komunizm, "materializm dialektyczny", "obumieranie państwa", on odpowiadał jedynie wzruszeniem ramion.

Okazało się, że Otto Osę (chyba) również nie wierzy w "naiwną religijność" marksizmu.

Komunizm był "tragicznie błędną interpretacją" ludzkiej duszy.

Albo raczej "błędną interpretacją" tragicznego ludzkiego ducha.

-Skarbie, na litość boską, postaraj się wyglądać seksownie.

Masz do tego talent i Bóg świadkiem, że jest to talent wyjątkowy.

Wart każdego centa z twojej pięćdziesięciodolarowej gaży.

Norma Jeane roześmiała się.

Może rzeczywiście była tylko pralinką.

"Ślicz ną dupcią", zgodnie z komentarzem (Georgea Rafta?

), który kiedyś przy padkiem usłyszała.

Było coś uspokajającego w pogardzie tego fotografa.

A to świadczyło o tym, że Otto miał wyższe wymagania niż ona.

Znacznie wyższe niż Bucky Glazer i wyższe nawet niż pan Haring.

Czuła się, jakby śniła na jawie, myśląc o tych mężczyznach i o Warrenie Pirigu, który mówił do niej niewiele, chyba że oczami, i panu Widdoesie, który zdzielił pistoletem tamtego młodzieńca, sprawiając przy tym wrażenie, że po prostu przywraca światu właściwy porządek, co było męską prerogatywą nieuchronną jak fala przy pływaniu i odpływie.

Czasem w jakimś śnie Norma Jeane przypominała sobie, że Widdoes ją pobił.

Za to jej ojciec był bardzo delikatny!

Nigdy na nią nie krzyczał.

Nigdy jej nie ranił.

Kołysał i całował swoją maleńką dziewczynkę, podczas gdy Matka przyglądała się i uśmiechała.

Pewnego dnia wrócę po ciebie do Los Angeles.

Tę sesję zdjęciową Otto Osę miał zapamiętać na całe życie.

Dzięki tej sesji zdjęciowej stał się częścią historii.

Wtedy, rzecz jasna, nawet tego nie podejrzewał.

Wiedział jedynie, że wykonuje swoją pracę z przyjemnością, co nie zdarzało się często.

Przeważnie nie cierpiał modelek.

Nie znosił ich nagich, rybich ciał, ich niespokojnych oczu, z których wyzierała nadzieja.

Gdyby tak można było skleić te oczy.

Gdyby można było zakleić usta, żeby, choć widoczne, nie wypowiadały słów.

Kiedy Norma Jeane wpadała w trans, w ogóle się nie odzywała.

Nie trzeba było jej dotykać, by przybrała odpowiednią pozę, chyba że tylko koniuszkami palców.

Monroe była naturalna nawet jako dziewczyna.

Choć inteligentna, działała przede wszystkim instynktownie.

Sądzę, że potrafiła patrzeć na siebie przez obiektyw aparatu fotograficznego.

Takiego mocnego, takiego polnego przeżycia seksualnego nie mógł jej dać związek z żadnym człowiekiem.

Otto Osę ustawiał modelkę pionowo jak syrenę na dziobie wyobrazonego statku.

Nagie piersi, sutki duże jak oczy.

Norma Jeane wydawała się nieświadoma wszystkich pozycji, które kazał jej przybierać.

Tak długo, póki mrucał:

- Wspaniale.

Znakomicie.

Dobra dziewczyna.

Słowa, które zazwyczaj mruczy się pod nosem w tego rodzaju sytuacjach.

Zaczął podchodzić ofiarę, ale ofiara nie dostrzegła niczego, co by ją niepokoiło.

Należała całkowicie do niego.

Dziwne, bo Norma Jeane Baker wyraźnie była najbardziej inteligentna spośród jego modelek.

Nawet przebiegła, w sposób, jakiego oczekuje się zazwyczaj od mężczyzny, od gracza pragnącego zaryzykować X w nadziei zdobycia Y, choć w istocie nie ma on większych szans na zdobycie Y, za to z dużym prawdopodobieństwem może utracić X.

Jej problem nie polegał na tym, że była głupiutką blondynką, lecz na tym, że ani nie była blondynką, ani nie była głupia.

Od Isaaca Shinna Otto dowiedział się, że Norma Jeane przeżyła wstrząs, kiedy Wytwórnia z niej zrezygnowała; agent bał się, że dziewczyna może coś sobie zrobić.

Otto roześmiał się z niedowierzaniem.

- Ona?

Ona jest siłą życiową.

Miss Niepohamowany Wigor.

Shinn odrzekł:

- Takie coś prowadzi wprost do samobójstwa, o czym biedny dzieciak nie ma pojęcia.

Ja o tym wiem.

Otto wiedział, że Isaac Shinn tylko prawdę wypowiada grobowym tonem.

Rzekł, że może to i dobrze, że Wytwórnia zrezygnowała z Marilyn Monroe (absurdalny pseudonim, który trudno traktować poważnie); teraz dziewczyna mogła wrócić do normalnego życia, zdobyć wykształcenie, dostać przyzwoitą pracę, wyjść powtórnie za mąż i założyć rodzinę.

Szczęśliwe zakończenie.

Shinn odezwał się poruszony:

- Nie mów tego, na miłość boską!

Nie powinna jeszcze rezygnować z kariery filmowej.

Ma wspaniały talent, jest świetna i ciągle młoda.

Wierzę w nią, nawet jeśli ten jebaka Z w nią nie wierzy.

Otto ze zdumiewającą szczerością zauważył:

- Ale dla własnego dobra Norma Jeane powinna wydostać się z tego gówna.

Ten świat to nie tylko wytwórnie, ale donoszenie wszystkich na wszystkich, siedlisko wywrotowców i policyjnych szpiegów.

Dlaczego sama tego nie dostrzega?

Shinn, który łatwo się pocił, szarpnął za kołnierzyk szytej na miarę, białej jedwabnej koszuli.

Był karłem z garbem, dużą głową i osobowością, którą można określić jako fosforyzującą.

Kontrowersyjną, ale ogólnie szanowaną postacią hollywoodzkiego świata, człowiekiem po czterdziestce.

O Shinnie powiadało się, że właściwie nie dorobił się, pracując jako agent, tylko grając na wyścigach; był jednym z pierwszych członków lewicującego Komitetu Obrony Wolności Jednostki, założonego w 1940 roku jako przeciwwaga prawicowej Komisji do Spraw Badania Działalności Antyamerykańskiej, działającej przy kalifornijskiej legislaturze.

Zatem był odważny i uparty; Otto Osę, dawniej członek Partii Komunistycznej - póki nie otrząsnął się ze złudzeń - podziwiał go za to.

Oczy Shinna, przysłonięte gęstymi rzęsami i natarczywe, zdawały się zdradzać wewnętrzne cierpienie, stojące w sprzeczności z zabawnymi skurczami i tikami różnej części jego twarzy.

Był nie powtarzalnie brzydki, tak jak niepowtarzalnie brzydki był Otto - w każdym razie za takiego się w swojej próżności uważał.

Para.

Bliźniacy.

Pigmaliony.

Norma Jeane naszym dziełem.

Otto z ochotą sfotografowałby Shinnę w dramatycznym światłocieniu, stworzyłby Głowę hollywoodzkiego Żyda na podobieństwo portretu Rembrandta.

Tylko że Otto Osę zarabiał na fotografowaniu dziewcząt.

Wzruszywszy ramionami, Shinn powiedział:

- Uważa siebie za zbyt głupią.

Myśli, że jest kretynką, ponieważ się jąka.

Wierz mi, Otto, szczęście wystarczająco jej sprzyja.

Zrobi karierę.

Gwarantuję.

Otto przysunął bliżej statyw.

Norma Jeane uśmiechnęła się do niego mechanicznie, tak jak kobieta mogłaby się uśmiechnąć do mężczyzny, który przewiduje, że będzie się z nią kochać.

-Wspaniale, skarbie!

A teraz koniuszek języka.

Nie ruszaj się.

Robiła to, co jej kazał.

Spała z zamkniętymi oczami.

Pstryk.

Także Otto wpadł w trans.

Fotografował wiele nagich modelek, ale nigdy takiej jak Norma Jeane.

Mogło się zdawać, że poprzez akt wpatrywania się w nią, konsumował ją, ale w tym samym czasie ona konsumowała jego.

Żyję w twoich snach.

Chodź, zacznij żyć w moich.

Upozowana na tle pogniecionego aksamitu, była ponętą pralinką, którą chciałoby się ssać i ssać bez końca.

Pod wpływem jakiegoś impulsu Otto dał jej niedawno szesnastowieczny włoski tekst dotyczący anatomii i zasugerował jej, że powinna się go nauczyć na pamięć.

Ależ się starała!

Chciała tego, i to jak!

Kochaj mnie.

Pokochasz mnie?

I ocal mnie.

Trudno było uwierzyć, że ta młoda kobieta, okaz zdrowia i piękna, może się kiedyś zestarzeć, tak jak starzał się Otto Osę, z czego bardzo dobrze zdawał sobie sprawę.

Był chudy jak tyczka, a mimo to wydawało mu się, że jego ciało pod luźnymi ubraniami jest sflaczałe.

Jego głowa to czaszka obciągnięta skórą.

Nerwy - mocno naciągnięte druty.

Uśmiechnął się, widząc, jak Norma Jeane podwija palce u nóg w geście dziecinnej wstydlivosti.

Skąd się wzięła ta jej fiksacja, że nie chciała, aby sfotografował jej stopy od spodu?

Nie miał pojęcia.

- Skarbie, spróbujmy teraz inaczej.

Zejdź stamtąd.

Norma Jeane posłuchała bez wahania.

Gdyby tylko chciał, mógłby ją sfotografować z przodu, jej mały, zaokrąglony brzuch pokryty bladą, lekko połyskującą skórą; trójkąt ciemnoblonde włosów łonowych przy rozgałęzieniu nóg, wyglądający tak, jakby je (wstydliwie, przemyślnie) przystrzygła:

wydawała się tak nieskrępowana jak małe albo ślepe dziecko.

Jeden z tych niedożywionych meksykańskich dzieciaków sikających w kącie podwórza nawet bez przykucnięcia, nieskrępowany jak psiak.

Otto niczym w gorączce zdjął aksamitny materiał i rozłożył go bezpośrednio na podłodze, jakby rozkładał koc na pikniku.

Wyciągnął z kąta pokrytą pajęczynami drabinę, po czym w natchnieniu sfotografował Normę Jeane z wysokości kilku stóp, podczas gdy ona leżała na materiale.

- Skarbie, przekręć się na brzuch.

Teraz na bok.

Teraz przeciągnij się!

Jesteś dużą, lśniąca kotką, dobra?

Śliczną, dużą, lśniąca kotką.

Posłuchajmy, jak mruczysz.

Słowa Ottona wywołały natychmiastowy i zdumiewający skutek.

Norma Jeane słuchała go bez słowa sprzeciwu, tłumiąc śmiech.

Jakby była zahipnotyzowana.

Jakby była panną młodą, która wprawdzie nie ma doświadczenia w kochaniu, ale miłość zaczyna sprawiać jej przyjemność, a ciało reaguje instynktownie.

Leżała naga na pogniecionym aksamicie, zmysłowo wyciągnięta, ramiona, nogi, łuk pleców i pośladków, a Otto tylko pstryk, pstryk, wyzwał migawkę aparatu, gapiąc się przez soczewki.

Otto Osę, który się chełpił, że żadna kobieta, w każdym razie żadna naga kobieta już go nie zdziwi.

Otto Osę, którego choroba i pozbawiła, i wyleczyła z męskości.

Podczas tej sesji zdjęciowej znajdował się zaledwie kilka stóp od fotografowanego obiektu, balansował na drabinie, kierując obiektyw w dół, dzięki temu na odbitce dziewczyna będzie otoczona aksamitnym materiałem i nie zdominuje całej przestrzeni, choć została upozowana do tradycyjnego aktu, tak jak poprzednio.

Różnica była dość subtelna, lecz jednak istotna.

Wyprostowana, ponętna modelka, spoglądająca rozmarzonym wzrokiem na widza, to zaproszenie do spełnienia miłości na jej warunkach:

kobieta otwarcie daje sygnał (niewidocznemu, anonimowemu) mężczyźnie.

Lecz naga modelka leżąca na brzuchu z wyciągniętymi rękami postrzegana jest jako fizycznie mniejsza, bardziej bezbronna w swej nagości, słabsza niż widz.

Ma poddać się dominacji.

Jej uroda jest patetyczna.

To małe zwierzątko bez możliwości ucieczki, bezsilne, pochwycone przez badawcze oko aparatu.

Zgrabna krzywizna ramion, pleców, ud, wzniesienie pośladków i piersi, osobliwa zwierzęca tęsknota w uniesionej twarzy, bezbronne stopy od spodu...

- Fan-tas-tycz-nie!

Tak trzymaj!

Pstryk, pstryk!

Otto oddychał coraz szybciej.

Pot wystąpił mu na czoło i pod pachami, wywołując pieczenie niczym małe czerwone mrówki.

Zdążył już zapomnieć o tym, jak się nazywa ta śliczna modelka (jeśli w ogóle jakoś się nazywa) i nie potrafiłby powiedzieć, dla kogo robi te nadzwyczajne zdjęcia; nie bardzo umiałby też określić, ile za nie dostanie.

Dziewięćset.

Za sprzedanie jej.

Rany, czyżbym ją kochał?

To raczej dowód na to, że jej nie Kocham.

Wcześniej wypił dwie porcje rumu - z dawnym przyjacielem, człowiekiem, z którym dzielił kiedyś mieszkanie, z dawnym komunistycznym towarzyszem, Charliem Chaplinem juniorem, którego "synowska tożsamość okazała się synonimem "synowskiego przekleństwa" - aby przygotować się na sesję, wypił silne uspokajające lekarstwo w brudnych słoikach po dżemie.

Nie upił się tym rumem, lecz...

Właśnie, czym?

Oślepiającym światłem, pul sującym kolorem purpury, słodkim jak cukierek ciałem dziewczyny rozciągniętym tuż przed nim, podrygującym w ferworze stosunku seksualnego z niewidocznym kochankiem.

Nie upił się rumem, lecz grzechem, jakiego się dopuszczał, za który nie zostanie ukarany, tylko szczerze nagrodzony.

Ze swojego punktu obserwacyjnego Otto przyglądał się, jak przepływa przed nim strumień życia dziewczyny, od swych płynnych źródeł (wyznała, że jest, jak to po staroświecku określiła, dzieckiem z nieprawego łoża, a jej ojciec, który mieszkał gdzieś blisko w Hollywood, nigdy nie przyjął do wiadomości jej istnienia; Otto wiedział, że jej matka jest wariatką, cierpi na schizofrenię paranoidalną, że chciała ją, własne dziecko, utopić albo śmiertelnie poparzyć i od dziesięciu lat przebywa w Norwalk) aż po nędzny koniec (przedwczesna śmierć dziewczyny po przedawkowaniu narkotyków, alkoholu, względnie w wannie z podciętymi nadgarstkami, wchodził też w grę jakiś szalony kochanek).

Tragedia anonimowego życia dziewczyny przeszła serce Ottona Osę, który pozbawiony był serca.

Dziewczyna była w społeczeństwie stworzeniem bez ochrony, bez rodziny, bez "dziedzictwa".

Ot, kawałkiem soczystego mięsa wystawionego na sprzedaż.

Przeżywała lata rozkwitu.

A te nie będą trwały wiecznie.

Jako dwudziestotrzylatka wyglądała o sześć lat młodziej; w zdumiewający sposób nie działała na nią ani upływ czasu, ani to, jak korzystała z życia.

Ale niczym proletariusze z przemówień wielkiego mentora Ottona, Walkera Evansa - pozbawieni praw wyborczych dzierżawcy i wędrowni robotnicy na południu Ameryki w latach trzydziestych - pewnego dnia zacznie się starzeć nagle i nieodwracalnie.

Żadnej nie zmuszam.

Przychodzą do mnie wyłącznie z własnej woli. Ja, czyli Otto Osę, pomagam im się sprzedać, bo beze mnie mają na rynku mierną wartość.

Dlaczego więc eksploatował Normę Jeane?

Rzucił jej firanę ze słowami:

- Okej, skarbie.

Koniec.

Byłaś świetna.

Fan-tas-tycz-na!

Dziewczyna zamrugła, oszołomiona popatrzyła na niego, jakby przez chwilę nie wiedziała, z kim ma do czynienia.

Podobnie naćpana dziewczyna z burdelu nie rozpoznaje faceta, który ją jeszcze przed chwilą pieprzył, nie pamięta nawet samego aktu, choć to na pewno trwało dobrą chwilę.

-Już po wszystkim.

Wypadło całkiem niezłe.

Nie zależało mu wcale na tym, aby dziewczyna zorientowała się, że to naprawdę dobrze wypadło, że ta sesja w pracowni Ottona Osę była rzeczywiście fantastyczna, a może nawet historyczna.

Że akty Normy Jeane Baker znanej także jako Marilyn Monroe, które wykonał tego dnia, staną się częścią najbardziej sławnego bądź niesławnego kalendarza w historii.

Modelka zarobi na nich pięćdziesiąt dolarów, a miliony zarobią inni.

Mężczyźni.

I ukazano moje stopy od spodu.

Za postrzępionym chińskim parawanem Norma Jeane starała się szybko ubrać, ale niezbyt zręcznie jej to wychodziło.

Ostatnie półtorej godziny minęło jak w narkotycznym śnie.

Dokuczał jej pulsujący ból głowy, koszmar wyczerpania; z Hollywood Boulevard dobiegały dudniące odgłosy ruchu ulicznego.

Bolały ją piersi pełne urojonego mleka.

Och, gdybym miała dziecko z Buckym Glazerem.

Byłabym teraz bezpieczna.

Ustyszała, jak Otto z kimś rozmawia.

Najprawdopodobniej przez telefon.

Śmiał się cicho.

Światła zostały zgaszone, poszarpany na brzegach purpurowy askamit starannie złożony i wsunięty na półkę, wykorzystane rolki z filmem przygotowane do wywołania.

Normie Jeane zależało tylko na jednym: aby odejść od Ottona.

Wychodząc z sennego transu pod oślepiającymi światłami reflektorów, dostrzegła w twarzy fotografa radość satysfakcjonującego spełnienia, ale to nie miało nic wspólnego z nią.

Słyszała wesołość w jego głosie, lecz i to nie miało z nią żadnego związku.

Nie, nie odczuwałam upokorzenia, obnażywszy się przed mężczyzną, który mnie nie kocha.

Gdybym tak miała dziecko.

Musiała przyznać, że rozebrała się w pracowni Ottona Osę nie tylko dla pieniędzy, chociaż rozpaczliwie ich potrzebowała i chciała odwiedzić Gladys w tym tygodniu.

Rozebrała się i upokorzyła w nadziei, że jeśli Otto Osę ujrzy ją nagą, ujrzy jej piękne, nagie ciało i jej piękną, stęsknioną twarz, nie będzie się dłużej opierał, pokocha ją, chociaż od trzech lat skutecznie tłumił to uczucie.

Norma Jeane zastanawiała się, czy Otto Osę nie jest impotentem.

Odkryła już, czym jest w Hollywood męska niemoc.

Ale przecież nawet impotent mógł ją pokochać.

Oboje mogliby nocami całować się, przytulać, ściskać.

Najszczęśliwsza byłaby z mężczyzną impotentem.

Była tego pewna!

Zdążyła się już ubrać.

Stała w butach na średnim obcasie.

Przyjrzała się uważnie swojemu odbiciu w małym lustrze pokrytym warstewką pudru, przez który jej niebieskie oczy przebijały jak drobne rybki.

-Jeszcze tu jestem.

Roześmiała się gardłowo.

Wzbogaciła się o pięćdziesiąt dolarów.

Być może wreszcie dopisze jej szczęście, którego brakowało jej już od miesiący.

Może to być jakiś znak.

Kto wie?

- akty do kalendarza były anonimowe.

Pan Shinn miał nadzieję, że załatwi jej przesłuchanie w Metro-Goldwyn-Mayer.

Jeszcze z niej nie zrezygnował.

Uśmiechnęła się do małego lusterka trzymanego w otwartej dłoni.

- Skarbie, byłaś świetna.

Fan-tas-tycz-na.

Zamknęła klapkę puderniczki i wrzuciła pudełeczko do torebki.

Ćwiczyła w myślach, jak wyjść z pracowni z godnością: Otto pewnie sprzątał albo nalał sobie rumu do szklaneczki, do dwóch szklaneczek, a właściwie niezbyt czystych stoiczków po dżemie, aby zgodnie ze swoim zwyczajem uczcić sesję, choć wiedział, że Norma Jeane nie pije, w każdym razie nie pije o tej porze dnia.

Więc mrugnie do niej porozumiewawczo i sam wychyli drugą szklaneczkę trunku.

Ona uśmiechnie się, machnie ręką, "Otto, dzięki!

Muszę już lecieć!

", i wyjdzie, zanim mężczyzna zdąży zaprotestować.

To jasne, ponieważ już jej wręczył pieniądze, były bezpieczne w jej portfelu.

Podpisała zgodę na publikację.

Ale Otto zawołał do niej, jak zwykle, przeciągając głoski:

-Normo Jeane, serduszko, chciałbym, abys poznała mojego przyjaciela.

Starego towarzysza z okopów.

Cassa.

Norma Jeane wyszła zza parawanu, zdumiona widokiem nieznanego młodzieńca stojącego obok Ottona Osę!

Chłopca o ciemnych, gęstych włosach, czarnych oczach, znacznie niższego fotografa, dobrze zbudowanego, szczupłego, lecz już na pierwszy rzut oka silnego, tancerza albo gimnastyka.

Uśmiechał się wstydliwie do Normy Jeane.

Nie było wątpliwości, spodobał się jej!

Najprzystojniejszy chłopak, jakiego Norma Jeane kiedykolwiek widziała poza ekranem.

Te jego oczy.

KOCHANEK

Bo już się właściwie znaliśmy.

Bo już wcześniej gapił się na mnie tymi swoimi oczami, pełnymi uczucia, nawiedzonymi, pięknymi oczami - ze ściany w dawnym mieszkaniu Gladys.

Bo na mój widok powie: I ja ciebie znam.

Nie masz ojca jak ja.

Moja matka została tak samo opuszczona i poniżona jak twoja.

Bo był chłopcem, nie mężczyzną, choć miał tyle lat co ja.

Bo nie widział we mnie zdiury, dziwki, żartu, czyli Marilyn Monroe, lecz pełną entuzjazmu i nadziei Normę Jeane.

Bo on także był przeklęty.

Bo w jego przekleństwie kryło się tak wiele poezji!

Bo pokocha mnie tak, jak nie kochał mnie i jak mnie kochać nie mógł Otto Osę.

Bo pokocha mnie tak, jak nie kochali mnie i jak mnie kochać nie mogli inni mężczyźni.

Bo pokocha mnie jak brat.

Brat bliźniak.

Z całego serca.

PRZESŁUCHANIE

Wszelka gra aktorska jest agresją w obliczu unicestwienia.

Z życia aktora

Jak w końcu do tego doszło?

Ano w następujący sposób.

Pewien reżyser filmowy winien był panu Shinnowi przystugę.

Pan Shinn wskazał mu pewniaka, źrebicę o imieniu Footloose, biorącą udział w gonitwie o nagrodę Casa Grandę, i reżyser obstawił wygraną (11:1) pieniędzmi pożyczonymi w tajemnicy od żony jakiegoś bogatego producenta; reżyser opuścił tor z szesnastoma tysiącami dolarów, co pozwoliło mu spłacić pewne długi, w żadnym razie nie wszystkie, bo ów reżyser zaliczał się do nałogowych graczy i hazardzistów, zdaniem niektórych był geniuszem w swoim rzemiośle, zdaniem innych nieodpowiedzialnym, zapatrzonym w siebie sukinsynem, człowiekiem nie do opisania w tradycyjnych kategoriach za chowania, przyzwoitości, zawodowej uprzejmości, stosowności, a nawet zdrowego rozsądku - hollywoodzkim oryginałem, który nie cierpiał tego miasta, ale potrzebował go ze względu na finansowe zaplecze, niezbędne do realizacji jego specyficznych i drogich filmów.

Natomiast aktor grający główną rolę w kolejnym filmie owego reżysera winien był panu I.

E. Shinnowi jeszcze większą przystugę.

W 1947 roku, krótko po tym, jak prezydent Harry Truman podpisał historyczny dekret numer 9835, zobowiązujący wszystkich pracowników federalnych do składania przysięgi lojalności i podporządkowania się programom bezpieczeństwa - wkrótce tego samego zażąda się od pracowników przedsiębiorstw prywatnych - aktor okazał się jednym z grupy protestujących w Hollywood, zaczął podpisywać petycje i wypowiadać się w miejscach publicznych jako osoba wierząca w takie konstytucyjne wolności, jak wolność słowa i wolność zgromadzeń.

Nie minął rok, a jako wywrotowiec znalazł się pod ścisłym nadzorem HUAC, czyli Komisji Kongresu do Spraw Badania Działalności Antyamerykańskiej, ujawniającej komunistów i ich sympatyków w hollywoodzkim przemyśle filmowym.

Okazało się, że w 1945 roku ów aktor zaangażował się w negocjacje między lewicującą Gildią Aktorów Filmowych a większością wytwórni, żądając dla członków Gildii programu ochrony zdrowia i zabezpieczenia emerytalnego, lepszych warunków pracy, wyższej płacy minimalnej, honorarium autorskiego za nowe kopie filmów; Gildii Aktorów zarzucono, że w jej szeregi przeniknęli komuniści, ich sympatycy oraz naiwniacy.

Co gorsza, jacyś bezinteresowni antykomuniści donieśli w sekrecie Komisji, że aktor ten zadawał się z członkami Amerykańskiej Partii Komunistycznej, włączając w to scenarzystów Daltona Trumbo i Kinga Lardnera juniora, figurujących na czarnej liście.

Aby mu oszczędzić pozwania przed komisję i przesłuchań w Waszyngtonie, a tym samym nieprzychylnych komentarzy w mediach, bojkotu jego filmów przez Amerykański Legion, Katolicki Legion Przyzwoitości i inne patriotyczne organizacje (zwróćmy uwagę na przypadek uwielbianego nie

gdyś Charliego Chaplina, przedstawianego obecnie jako "czerwony" i "zdrajca") oraz nieuchronnego wciągnięcia na czarną listę (choć wytwórnie publicznie zaprzeczały, że istnieje jakakolwiek czarna lista), wezwano go na prywatne spotkanie z kilkoma ważnymi republikańskimi kongresmenami.

Odbłyło się ono w Bel Air, w domu pewnego hollywoodzkiego prawnika.

Oczywiście do spotkania doszło z inicjatywy pana Shinna, sprytnego małego agenta.

Podczas spotkania (w istocie był to wystawny obiad zakrapiany drogimi francuskimi winami) kongresmeni przepytali aktora całkowicie nieformalnie, ten zaś zauroczył ich wszystkich męską otwartością, miękkim głosem i patriotycznym zapałem, ponieważ mimo wszystko był weteranem II wojny światowej, żołnierzem walczącym w Niemczech w ostatnich, trudnych miesiącach walki, i jeśli nawet pociągał go rosyjski komunizm, socjalizm czy cokolwiek to było, proszę pamiętać, że Stalin, obecnie potwór, był wówczas naszym sojusznikiem; Rosja i Stany Zjednoczone nie były jeszcze ideologicznymi wrogami: ta pierwsza była milicyjnym, ateistycznym państwem, pragnącym dominować nad całym światem, jeśli nie zmierzającym do destrukcji, te drugie uchodziły za jedyną nadzieję chrześcijaństwa i demokracji wśród uciemnionych narodów świata.

Proszę zwrócić uwagę, że przed kilku laty każdy rozumiał, że porywczy młody człowiek, jak ten aktor, mógł sympatyzować z radykalną polityką w odpowiedzi na faszyzm.

Sympatię dla Rosji promowały gazety i niedzielne magazyny, takie jak na przykład "Lite"!

Aktor wyjaśnił, że nigdy nie był członkiem Partii Komunistycznej, choć uczestniczył w zebraniach, i nie bardzo pamiętał jakiegokolwiek nazwiska, które pragnęła poznać Komisja.

Republikańscy biznesmeni polubili go, uwierzyli mu i poinformowali HUAC, że ów człowiek jest czysty, w każdym razie nie wręczono mu pozwu.

Jeśli puszczono w ruch jakieś pieniądze, była to gotówka wręczona dyskretnie prawnikowi przez agenta aktora.

Możliwe, że republikańscy kongresmeni także otrzymali część tej sumy.

Aktor nie wiedział albo tylko udawał, że nie wie, o transakcji, poza tym, rzecz jasna, został oczyszczony i jego nazwisko usunięto z głównej listy Komisji.

Rola I.

E. Shinna w tych i wielu innych negocjacjach prowadzonych w czasach tajnych "czarnych list" i "oczyszczeń z zarzutów" pozostanie tajemnicą, podobnie jak on sam.

"Niby dlaczego nie mogłem tego załatwić z dobroci swego gnomiego serca?"

"

Zatem dwaj najważniejsi ludzie zaangażowani w produkcję najnowszego filmu wytwórni Metro-Goldwyn-Mayer mieli dług wdzięczności wobec I.

E. Shinna.

W dodatku każdy z nich wiedział zapewne o zobowiązaniach drugiego.

Sprytny mały agent o wybuchowym śmiechu, chłodnym, przenikliwym spojrzeniu i z nieodłącznym czerwonym goździkiem w kłapie czekał na właściwy moment niczym hazardzista, wiedząc dokładnie, kiedy zadzwonić do reżysera, na dzień przed przesłuchaniami do jedynej roli w filmie możliwej do zagrania przez jego klientkę Marilyn Monroe.

Shinn podejrzewał, że na reżyserze, hollywoodzkim indywidualiście, może wywrzeć wrażenie to, że dziewczynę wyrzucono z Wytwórni.

Shinn zadzwonił do niego, przedstawił się, a reżyser zauważył z charakterystyczną dla siebie dobroduszną ironią:

- Chodzi o jakąś dziewczynę, zgadza się?

Shinn odparł na to, jak to on, z lodowatym dystansem:

- Nie.

Chodzi o aktorkę.

O nadzwyczajny talent, który znakomicie się nadaje do roli "bratanicy" Louisa Calherna.

Reżyser jęknął, jakby na kacu bolała go głowa, i rzekł:

- Wszystkie one są nadzwyczajne, kiedy je posuwamy.

Shinn odparł zniecierpliwiony:

- Ta dziewczyna jest naprawdę wyjątkowa.

Może zostać wielką gwiazdą, ale do tego potrzebuje odpowiedniej roli.

Uważam, że Angela to rola w sam raz dla niej, sam się przekonasz, kiedy ją zobaczysz.

-Jak Hayworth?

Pierwszorzędna wieśniaczka, nie umie grać i jest gównem warta.

Dziewucha o dużych, sprężystych cyckach, z nadąsaną miną, po elektrolizie dla poprawienia linii włosów, butelkowy rudzielec albo platynowa blondynka, która chce być gwiazdą.

- Będzie gwiazdą - rzucił krótko Shinn.

- Właśnie daję ci szansę, byś to właśnie ty ją odkrył.

- Okej - westchnął reżyser.

- Przyślij ją do mnie.

Ustal godzinę z moim asystentem.

Nie powiedział Shinnowi, że już zdecydował, którą dziewczynę obsadzi w tej roli.

Na szczęście niczego jeszcze nie potwierdził, nie rozmawiał z jej agentem.

Tu także w grę wchodziła wdzięczność, więź o charakterze seksualnym, w każdym razie dziewczyna była piękną o kruczoczarnych włosach i egzotycznych rysach, znakomicie pasowała do scenariusza.

Reżyser mógł zawsze powiedzieć Shinnowi, że jego klientka nie jest w odpowiednim typie.

Wyrównałby rachunki przy innej okazji.

Jak głosi historia, następnego dnia punktualnie o czwartej Shinn pojawia się u reżysera ze swoją dziewczyną - Marilyn Monroe.

Platynową blondynką o wystrzałowej figurze, w mieniącej się białej sukience ze sztucznego jedwabiu.

Biedactwo jest tak przerażone, że mówi wyłącznie szeptem.

Reżyserowi wystarcza jedno spojrzenie na nią.

Intuicyjnie przeczuwa, że dziewczyna nie potrafi grać, zresztą pieprzyć się także nie, ale jakiś użytek może zrobić z ust.

Poza tym nadawała się do wykorzystania w charakterze dekoracji, czegoś w rodzaju figurki na dziobie luksusowego jachtu albo srebrnego ornamentu na masce rolls-roycea.

Błada, połyskująca skóra przypomina powłokę drogiej lalki, kobaltowoniebieskie oczy wyrażają panikę.

Drżące dłonie trzymają ciężki scenariusz.

Dziewczyna mówi cicho jak zdenerwowana uczennica, reżyser ledwie słyszy: przeczytała cały tekst, dziwną, nie pokojącą historię jak z powieści Dostojewskiego, gdzie człowiek współczuje postaciom i nie chce, aby zostały ukarane, choć to zbrodniarze.

Dziewczyna mówi: "Do-sty-jew-ski", akcentując każdą sylabę z osobna.

Reżyser stwierdza ze śmiechem: "O, czytałaś Do-sty-jew-skie-go, tak, słoneczko?"

" - a ona rumieni się, wiedząc, że to drwina.

Shinn stoi, wybałusza oczy, ma czerwoną twarz, ślina błyszczy na jego wydatnych ustach.

Nie sprawiała wrażenia prostytutki.

Wyglądała naprawdę nieźle.

Na dziewczynę z dobrego domu, pochodzącą, powiedzmy, z Pasadeny- wyższa klasa średnia, kiepskie wykształcenie- ale ktoś jej nieopatrznie powiedział, że nadaje się na aktorkę.

Wyglądała niemal na uczennicę ze szkoły katolickiej.

Kupa śmiechu!

Shinn kochał się w niej, żałosny sukinsyn.

Nie wiem, dlaczego wydało mi się to śmieszne, w każdym razie śmiałem się.

Miało się wrażenie, że ona góruje nad nim, ale w rzeczywistości niewiele był od niej niższy.

Później się dowiem, że miała wtedy romans z Charliem Chaplinem juniorem/Ale wtedy, tamtego dnia, ona i Shinn wyglądali na małżeństwo.

Małżeństwo typowe dla Hollywood.

Piękna i bestia, a to zawsze śmieszny, chyba że sam jesteś bestią.

Reżyser prosi, by Marilyn wygłosiła tekst.

W sali jest sześć, może osiem osób.

Sami mężczyźni.

Złożyli krzesła, pozastaniali okna przed jaskrawymi promieniami słońca.

Na podłodze nie leży dywan, tylko porozrzucone nie dopałki papierosów.

Dziewczyna wprawia wszystkich w zdumienie, bo kładzie się na tej podłodze (skrępowana w obcistej sukience ze sztucznego jedwabiu o wąskim dole, ściśnięta paskiem z materiału; spod półokrągłego kołnierzyka wystaje górna część kremowych piersi), zanim do reżysera dociera, do czego ona zmierza, i zanim ktokolwiek ma możliwość ją powstrzymać.

Leżąc na wznak z rozłożonymi ramionami, dziewczyna ze śmiertelną powagą wyjaśnia, że postać ze scenariusza w pierwszej scenie śpi na sofie, więc ona musiała się położyć na podłodze, tym bardziej że w taki właśnie sposób ćwiczyła.

Kiedy po raz pierwszy widzimy Angelę, ta śpi.

To bardzo ważne.

Widzimy ją oczami starszego mężczyzny, który jest jej "wujkiem", oczami żonatego mężczyzny, prawnika.

Widzimy ją wyłącznie jego oczami, choć potem też oczami policjantów.

Czyli tylko oczami mężczyzn.

Reżyser gapi się zdumiony na platynową blondynkę leżącą na podłodze tuż przy jego stopach.

Reżyserze, proszę mi wytłumaczyć charakter postaci.

Dziewczyna nie ma żadnych zahamowań, jak samowolne dziecko.

Agresywne dziecko.

Reżyser zapomina podpalić kubańskie cygaro, które rozpakował i wsunął sobie między zęby.

W sali panuje absolutna cisza, kiedy Marilyn Monroe zaczyna grać; zamyka oczy, leży bez ruchu, udając sen, oddycha głęboko, powoli, rytmicznie (jej klatka piersiowa i piersi podnoszą się, opadają, podnoszą, opadają) - gładkie ramiona rozłożone, tak samo nogi w nylonowych pończochach, bezwładne, swobodnie rozłożone we śnie głębokim jak hipnoza.

Ciekawe, co sobie myślą mężczyźni, gdy tak się gapią z góry na ciało ślicznej, śpiącej dziewczyny?

Oczy zamknięte, usta lekko rozchylone.

Początek sceny nie trwa dłużej niż kilka sekund, ale wydaje się znacznie dłuższy.

Reżyser myśli: Ta dziewczyna jest pierwszą aktorką z dwudziestu starających się o rolę (w tej liczbie uwzględnia też brunetkę, najbardziej prawdopodobną kandydatkę do roli), która rozumie znaczenie początku sceny, pierwszą, która poświęciła roli inteligentną myśl, rzeczywiście przeczytała cały scenariusz (tak twierdzi) i wyrobiła sobie pewien osąd na jego temat.

Dziewczyna otwiera oczy, powoli siada, mruga i szepcze:

- Och, chyba spałam.

Gra czy rzeczywiście spała?

Raptem wszyscy czują się nieswojo.

Coś tu jest nie tak.

Dziewczyna - sprytna czy naiwna?

- zwraca się do reżysera, nie do asystenta, który czyta kwestie Louisa Calherna, i w ten sposób czyni z reżysera - który nadal ma nie zapalone cygaro między zębami - swego kochanka, "wujka".

To było szczere i intymne jak jej palce na moich jajach.

Jakby się zdarzyło naprawdę.

Nie była to gra.

Ona nie potrafiła grać.

To było rzeczywiste.

Sam już nie wiem.

Jedenaście lat później ten sam reżyser będzie pracował z Marilyn Monroe nad ostatnim filmem w jej karierze i przypomni sobie tę próbę i chwilę.

Wszystko tam było, od samego początku.

Jej geniusz, trudno to inaczej określić.

Jej szaleństwo.

Przed końcem sceny reżyser odzyskuje panowanie nad sobą i wreszcie zapala cygaro.

Tak naprawdę nie sądzi, żeby młoda klientka Shinna była geniuszem.

Przygląda się jej z kamiennym wyrazem twarzy; ten sposób patrzenia opanował do perfekcji jako osoba, na którą inni ciągle patrzą, starając się odczytać jej myśli.

Nie konsultuje się z asystentami; nie zasięga niczyjej rady.

Powiada do dziewczyny:

- Dziękuję, panno Monroe.

Bardzo dobrze.

Czyżby przesłuchanie się skończyło?

Reżyser ssie cygaro, wertuje leżący na kolanach scenariusz.

To moment pełen napięcia.

Czy większym okrucieństwem będzie poprosić ją o odczytanie innej sceny, czy już teraz powinien przerwać próbę i wyjaśnić Shinnowi (który cały czas przygląda się z boku - gargulcowata twarz i szkliste oczy), że Marilyn Monroe jest z całą pewnością piękną dziewczyną, niepospolitym, godnym uwagi talentem, ale niezupełnie pasuje do roli, do której bardziej odpowiednia byłaby czarnowłosa, egzotyczna piękność, nie zaś klasyczna blondynka?

Powinien?

może?

- rozczarować Shinna, któremu winien był przysługę i który umożliwił Sterlingowi Haydenowi ucieczkę z czarnej listy?

Ciekawe, jakie układy miał Shinn w Komisji i jakie strategie stosował, żeby "oczyścić" poszczególne osoby z zarzutu dywersji bez wzywania ich do Waszyngtonu i narażania na szwank ich karier?

Nie, nie.

Nie należy wchodzić w drogę I.

E. Shinnowi, reżyser doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Zastanawia się, pogrąża w zadumie, przyzwyczajony do świadczącej o szacunku ciszy, kiedy nagle dziewczyna mówi tym swoim dziecinnym, szeleszczącym głosem:

- Och, na pewno potrafię zagrać to lepiej, spróbuję jeszcze raz, dobrze?

Proszę.

Tak go zdumiała jej bezczelność, że cygaro niemal wypadło mu z ust.

Czy pozwoliłem jej spróbować jeszcze raz?

Pewnie.

Była fascynująca.

Może jak chory umysłowo pacjent.

Żadnej gry.

Żadnej techniki.

Zasnęła i znowu pojawiła się ta inna osobowość, niby ona, ale jakby nie ona.

Ludziom to się podoba.

Łatwo zauważyć, dlaczego gra ich pociąga.

Aktorka w swojej roli zawsze wie, kim jest.

Potrafi sobie powetować wszelkie straty.

Tak więc po przesłuchaniu - jak niesie wieść - reżyser informuje I.E.

Shinna, że wkrótce zadzwoni.

Podaje mu rękę, uścisk agenta jest mocny, ale palce są lodowate, jakby odpłynęła z nich krew.

Nie ma zamiaru żegnać się z dziewczyną, lecz ona wyciąga rękę w jego kierunku; jej dłoń jest miękka, wilgotna, ciepła i zaciska się mocniej, niż się spodziewał.

Dziewczyna o żelaznej woli.

Gotowa zabić, aby dostać to, czego chce.

Tylko czego ona chce?

Jeszcze raz dziękuje jej za udział w przesłuchaniu i zapewnia, że o wyniku zostanie wkrótce zawiadomiona.

Co za ulga, kiedy nie ma już Marilyn i Shinna!

Reżyser szybciej pyka z cygara.

Nie pił niczego od lunchu zakropionego czterema martini, jest spragniony i wściekły, bo nie bardzo potrafi rozpoznać własne odczucia.

Jego asystenci czekają, kiedy wreszcie przemówi, wyda jakiś dźwięk, zażar tuje.

Zrobi jakiś gest.

Wszyscy wiedzą, że pluje na podłogę, gdy żartobliwie chce wyrazić odrazę.

Że potrafi naraz wyrzucić z siebie mnóstwo zabawnych, obscenicznych słów.

Sam jest aktorem, lubi skupiać na sobie uwagę.

Ale nie wywołując zniecierpliwienia.

Asystent reżysera odchrząkuje, ostrożnie się przysuwa.

O czym myśli reżyser?

Przestuchanie nie wypadło dobrze, prawda?

Seksowna blondynka.

Bardzo miła dziewczyna, tak na oko.

Podobna do Lany Turner, tylko za wyrazista.

Może nawet nie panuje nad sobą.

Nie nadaje się na Angelę.

A może się jednak nadaje?

Brak jej techniki, nie potrafi grać.

Albo może Angela jest tak bardzo zmieszana, że nie wie, jak grać?

Reżyser nie odzywa się.

Stoi przy oknie; wcześniej odsunął zasłonę.

Ssie cygaro.

Asystent reżysera podchodzi i staje obok, ale nie całkiem blisko.

Reżyser na pewno odrzucił dziewczynę Shinna.

A teraz zastanawia się, jak nie rozczarować agenta.

Czy nie mógłby zapewnić go, że w następnym filmie znajdzie jakąś rolę dla ślicznej Marilyn?

Bo w tym filmie to niemożliwe...

prawda?

Reżyser trąca łokciem swego asystenta w chwili, gdy Shinn i blondynka opuszczają budynek i podchodzą do krawężnika.

Wydmuchuje z trudem dym i mówi:

-Słodki Jezu, spójrz tylko na tyłek tej małej.

Tak oto rozstrzygnęła się sprawa przyszłości Normy Jeane.

NARODZINY

Narodzi się w Nowym Roku 1950.

W porze tajnych radioaktywnych eksplozji.

Gorące wiatry wiały przez słońce równiny Nevady.

Przez pustkowia zachodniego Utah.

Zaskoczone w locie ptaki spadały na ziemię jak w kreskówkach.

Umierały antylopy, kuguary, kojoty.

Przerażenie odbijało się w oczach zajęcy.

Na ranczach w Utah leżących w sąsiedztwie Great Salt Lake City umierało bydło, ginęły konie i owce.

Był to czas "defensywnej broni jądrowej" Był to czas dramatu ustawicznej czujności.

Chociaż wojna skończyła się w sierpniu 1945 roku, a teraz był rok 1950, próg nowej dekady.

Był to czas "niezidentyfikowanych obiektów latających" widywanych zwłaszcza w rejonach zachodniej Ameryki.

Ale owe płaskie, szybko poruszające się obiekty widywano też na północnym wschodzie.

Mnóstwo mrugających świateł niemal jednocześnie pojawiało się i znikало.

Każdej godziny, każdego dnia, każdej nocy, choć przeważnie nocy, mogłeś podnieść głowę i zobaczyć jedno z nich.

Mogło się zdarzyć, że oślepił cię nagły rozbłysk światła, gwałtownie zrywał się ssący podmuch, który nie pozwalał swobodnie oddychać.

Rosło poczucie zagrożenia, ale o jakimś głębokim znaczeniu.

Jak gdyby niebo się otwierało i odsłaniało to, co do tej pory było ukryte.

Gdzieś w odległej części świata, dalekiej jak księżyc, tajemniczy Sowieci odpalili ładunki nuklearne.

Byli komunistycznymi demonami zmierzającymi do zagłady chrześcijan.

Żadne układy z nimi nie wchodziły w grę, tak jak z żadnymi demonami.

Było kwestią czasu - miesięcy?

tygodni?

dni?

- kiedy zaatakują.

Będzie to czas pomsty zaintonował kochanek Normy Jeane swym aksamitnym tenorowym głosem.

Napisano bowiem: Do mnie należy pomsta.

Nalegał, aby Norma Jeane pomedytowała razem z nim nad zdjęciami.

Byli przyjaciółmi, bratem i siostrą, jak i kochankami.

Bliźniętami.

Urodzili się w tym samym roku, 1926, pod tym samym znakiem.

Bliźnięt.

Gruboziar niste odbitki tajnych zdjęć zrobionych przez siły powietrzne dostał od Ottona Osę.

Przedstawiły Hiroszimę i Nagasaki po wybuchu bomb atomowych zrzuconych 6 i 9 sierpnia 1945 roku.

Zdjęcia te były zakazane i nie znalazły się w obiegu aż do 1952 roku.

W jaki sposób Otto Osę wszedł w ich posiadanie, Cass nie wiedział.

"Skrajna pornografia" - powiedział o tych dokumentach Otto Osę.

Zgliszcza.

Wypalone szkielety domów i pojazdów.

Zamglone rumowisko, pustkowie, po którym jednak kuśtykali ludzie.

Zbliżenia, oddane w intensywnych, upiornych barwach niektórych postaci i ich zmartwiałych twarzy, unieruchomionych wskazówek zegara: 8.16 jakiegoś odległego dnia, oraz ludzkich sylwetek wpieczonych w ściany.

Cass Chaplin powiedział cicho:

- Nikt z nas nie zdawał sobie wtedy sprawy.

Z narodzin nowej cywilizacji.

Nie wiedzieliśmy o tym i o obozach śmierci.

Cass pił, wyciągnięty nago na swoim łóżku, które było w istocie łóżkiem kogoś innego, bo w czasie romansu mieszkał z Normą Jeane przeważnie pośród przedmiotów należących do kogoś innego, i wodził wrażliwymi opuszkami palców po zdjęciach (to znaczy tylko reprodukcjach) jak ślepiec odczytujący brajla.

Głos mu drżał z żalu i satysfakcji.

Jego piękne ciemno brązowe oczy błyszczały od emocji.

- Od tej chwili, Normo, filmowe fantazje nie będą wystarczająco potężne.

Ani kościoły.

Ani Bóg.

Norma Jeane, rozkojarzona przez te okropne fotografie, nie zaprzeczyła.

Rzadko sprzeciwiała się otwarcie kochankowi, w którym było coś magicznego, swej bliźniaczej jaźni, o wiele głębszej i bardziej wartościowej niż jej własna.

Synowi Charliego Chaplina!

Jego dusza wycierała przez błyszczące oczy tak samo jak dawniej przez oczy bohatera Świąteł wielkiego miasta.

Ale myślała: O nie!

Przecież ludzie muszą mieć teraz jakieś kryjówki.

Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

ANGELA 1950

"Kim jest ta blondynka?

Kim jest ta blondynka?

Ta blondynka?

"

Te głosy należały do mężczyzn.

Większą część widowni na premierowym pokazie filmu stanowili mężczyźni.

"Ta blondynka, która mówi do Calherna -wujku- - kto to taki?

"

"Ta niebrzydka blondynka, cała w bieli, jak się nazywa?

"

"Ta seksowna blondynka, któż to taki, do diabła?

"

Żadne tam pomruki, szyderstwa i kpiny w wyobraźni, lecz rzeczywiste głosy.

Gdyż na liście w obsadzie wymienionej w materiałach reklamowych wytwórni Metro-Goldwyn-Mayer zabrakło Marilyn Monroe.

Dwie krótkie scenki w długim filmie nie wydawały się dość ważne, aby to zapewnić.

Norma Jeane też się tego nie spodziewała.

Była wdzięczna za to, że w ogóle znalazła się (jako Marilyn Monroe) w napisach końcowych.

Nie było to prawdziwe imię i nazwisko rzeczywistej osoby.

To była rola, którą miałam grać, i chciałam grać ją z dumą.

Ale po pierwszym pokazie Asfaltowej dżungli pytanie się powtarzało:

"Kim jest ta blondynka?"

"

Na szczęście był tam również I.

E. Shinn i on mógł udzielić odpowiedzi:

- Ta blondynka to moja klientka.

Marilyn Monroe.

Norma Jeane drżała ze strachu.

Ukryła się w toalecie, a właściwie w kabinie, gdzie po kilku minutach niepokoju zdołała wreszcie wysikać gorącą ciecz o objętości mniej więcej połowy szklanki.

Nogi miała ściśnięte w pończochach z czystego nylonu, a jej biały satynowy pas poskręcał się i gniótł ją w brzuch.

Jedwabna, elegancka, biała koktajlowa sukienka w paski z głębokim dekoltem i dopasowaną spódnicą, wcześniej zebraną nieporadnie wokół bioder, opadła teraz na podłogę.

Norma Jeane jak kiedyś przestraszyła się, że poplami ubranie: moczem, krwią, potem.

Pociła się i drżała.

W sali kinowej musiała wyrwać lodowatą dłoń z żelaznego uścisku palców I.

E. Shinna (mały agent trzymał ją mocno, wiedząc, że denerwuje się niczym młoda klacz gotowa zerwać się do biegu) i uciec zaraz po króciutkiej scenie, w której jako Angela rozplakała się, ukryła w dłoniach swą śliczną twarz, zdradziła kochankę, "wujka Leona" i spowodowała ciąg zdarzeń prowadzących do samobójczej śmierci starszego mężczyzny w następnej scenie.

Czułam się winna i zawstydzona.

Jakbym naprawdę była Angelą i zemściła się na mężczyźnie, który mnie kochał.

Gdzie się podział Cass?

Dlaczego nie przyszedł na seans?

Normie Jeane robiło się słabo z miłości do niego, potrzebowała go.

Obiecał się zjawić, siedzieć obok niej i trzymać ją za rękę, wiedząc, jak bardzo bała się tego wieczoru, a mimo to nie przyszedł; nie po raz pierwszy Cass Chaplin obiecał Normie Jeane podarunek w postaci swej nieuchwytniej obecności w miejscu publicznym, gdzie wszyscy mogli na niego patrzeć, w pierwszej chwili rozpoznania podeksycytowani: "Czy to możliwe?", ale potem rozczarowani:

"Nie, oczywiście, że nie, to zapewne jego syn", po czym nagle zainteresowani na nowo: "Więc to jest jednak syn Chaplina!

I Małej Lity!

" - ale on się nigdy nie pojawiał.

Później nie przeprosił ani nawet nie usprawiedliwił się, gdy Norma Jeane opowie mu o swoim niepokoju i cierpieniu.

Powiedział jej kiedyś, że bycie synem Charliego Chaplina jest przekleństwem, które inni w swej głupocie uważają za błogosławieństwo: „Jakby to była jakaś bajka, w której jestem synem króla”.

Powiedział, że uwielbiany Mały Tramp jest wyjątkowo złośliwym egoistą, który gardzi dziećmi, zwłaszcza własnymi; przez cały rok nie pozwolił nastoletniej żonie nadać dziecku nazwiska, ponieważ przesądnie bał się dzielić nazwisko z kimkolwiek, nawet jeśli to był jego syn z krwi i kości!

Chaplin senior rozwiódł się z Małą Litą po dwóch latach małżeństwa, wyparł się syna i wydziedziczył go, bo zależało mu wyłącznie na pochlebstwach obcych ludzi, nie na intymnej miłości rodziny.

"Urodziłem się już jako pogrobowiec.

Bo jeśli własny ojciec nie pragnie, byś istniał, nie masz prawa istnieć”.

Norma Jeane nie oponowała.

Wiedziała: tak właśnie jest.

Chociaż jednocześnie myślała z dziecięcą logiką: Ale mnie by chyba polubił.

Gdybyśmy się kiedyś spotkali.

Babcia Delia uwielbiała Małego Trampa, tak jak Gladys.

A Norma Jeane dorastała, czując na sobie spojrzenie tych oczu z odrapanej ściany tej czy innej zapomnianej "rezydencji" swej szalonej matki.

Jego oczy.

Bratnia dusza.

Różnica wieku nieważna.

Norma Jeane niezgrabnie poprawiła ubranie i opuściła azyl kabiny w toalecie szczęśliwa, że nie było tam nikogo.

Jak dziecko, które coś zbroiło, w lustrze przyjrzała się swojej zarumienionej twarzy, nie wprost, nie en face, lecz z ukosa, obawiając się ujrzeć zwyczajną, stęsknioną twarz Normy Jeane w ślicznej, ucharakteryzowanej twarzy Marilyn Monroe.

W starannie umalowanych oczach Marilyn Monroe - wytrzeszczone, po żądliwe oczy Normy Jeane.

Zdawała się nie pamiętać, że Norma Jeane była uderzająco ładna; choć jej włosy miały barwę pomyj, chłopcy i mężczyźni oglądali się za nią na ulicy, a wszystko to zaczęło się właściwie od zdjęcia w "Stars Stripes".

Ta zachwycająca Marilyn Monroe o włosach blond była rolą do zagrania, w każdym razie wieczorami, w każdym razie publicznie, i Norma Jeane przygotowała się gruntownie do tego zadania, i I.

E. Shinn też gruntownie się przygotował, a ona nie zamierzała sprawić mu zawodu.

"Zawdzięczam mu wszystko.

Panu Shinnowi.

On jest dobrym, miłym, szczodrym człowiekiem" - powiedziała Cassowi, a on roześmiał się i rzekł z dezaprobatą: "Normo, I.

E. jest agentem.

Sprzedaje ludzkie ciało.

Utrać urodę, młodość, seksapil, a zobaczysz, Shinna przy tobie już nie będzie".

Dotknięta Norma Jeane pod wpływem nagłego impulsu chciała zapytać:

A ty, Cass.

Co z tobą?

I, E.

Shinn i Cass Chaplin nie lubili się.

Możliwe, że w przeszłości Cass był klientem pana Shinna.

(Cass był śpiewakiem-tancerzem-choreografem i miał doświadczenie aktorskie; grał wiele małych ról w hollywoodzkich filmach, między innymi w Cant Stop Louin You i Stage Door Canteen; choć Norma Jeane nie przypominała sobie jego z tych filmów, które oglądała wieki temu, trzymając się z Buckym Glazerem za ręce.) Po projekcji goście mieli uczestniczyć w prywatnym obiedzie w restauracji w Bel Air, na który Norma Jeane zaprosiła także Cassa, ale interweniował I.

E. Shinn, twierdząc, że to nie jest zbyt dobry pomysł.

- Dlaczego?

- zapytała Norma Jeane.

- Ponieważ twój przyjaciel nie ma w mieście najlepszej reputacji - odparł agent.

- Reputacji?

O co chodzi?

- wypytywała Norma Jeane, choć już się domyślała.

- Że ma lewicowe poglądy?

Jest wywrotowcem?

- Nie w tym rzecz - rzekł Shinn - chociaż dzisiaj i tyle wystarczy, aby się narazić.

Przecież wiesz, co się stało z Chaplinem seniorem?

Musiał się wynieść z tego kraju, chociaż nie za poglądy, tylko za postawę.

Jest arogantem i głupcem.

A Chaplin junior pijakiem.

Utracjuszem.

Człowiekiem przy noszącym pecha.

Jest synem Chaplina, ale nie ma jego talentu.

Norma Jeane zaprotestowała:

-Jesteś niesprawiedliwy, wiesz o tym.

Charlie Chaplin senior to geniusz.

Nie każdy aktor musi być geniuszem.

Podobny do gnoma mężczyzna nie był przyzwyczajony, aby spierały się z nim młode klientki, zwłaszcza Norma Jeane, która była nieśmiała i podatna na sugestie.

Na pewno psuł ją Cass Chaplin!

Zmartwiony Shinn zmarszczył szerokie czoło, wybałuszył oczy i znieruchomiał.

- Wszystkim winien jest jakieś pieniądze.

Podpisuje kontrakt na rolę, a potem się nie pokazuje.

Czy też zjawia się, tylko pijany.

Albo naćpany.

Pożycza samochody, rozbija je, wykorzystuje kobiety - które, do jasnej

cholery, powinny mieć odrobinę rozumu w głowie - i mężczyzn.

Nie chcę cię widzieć razem z nim w miejscach publicznych.

- W takim razie ja też nie przyjdę na ten obiad!

- zawołała Norma Jeane.

-Ależ przyjdziesz.

Szefowie wytwórni liczą na obecność Marilyn i Marilyn tam będzie.

Shinn mówił głośno.

Chwytał Normę Jeane za nadgarstek i natychmiast ją uspokoił.

Naturalnie miał rację.

Podpisała kontrakt z Metro-Goldwyn-Mayer.

Zobowiązała się nie tylko zagrać rolę Angeli, ale także wypełnić pewne obowiązki reklamowe.

Marilyn miała tam być.

W sukience za pięćdziesiąt siedem dolarów, oślepiająco białej sukience z jedwabnego szyfonu, kupionej przez pana Shinna u Bullocka w Beverly Hills, bardzo seksownej sukience z głębokim dekoltem i wąską spódnicą, która podkreślała zalety jej figury.

Pięćdziesiąt siedem dolarów za sukienkę!

Norma Jeane pod wpływem dziewczęcego impulsu chciała zadzwonić do Elsie Pirig.

Sukienka była równie wspaniała jak kostium Angeli w filmie, zapewne właśnie o to chodziło.

- Och, panie Shinn!

Nigdy nie miałam na sobie ładniejszej sukienki!

- Norma Jeane kręciła piruety przed trzema lustrami w dziale z najmodniejszą odzieżą, gdy tymczasem jej agent przyglądał się jej i palił spokojnie cygaro.

- No cóż.

W bieli ci do twarzy, moja droga.

- Shinn był zadowolony z wyglądu Normy Jeane, jak i z uwagi, jaką dziewczyna ściągała na siebie w sklepie.

Gapiły się na nią matrony z Beverly Hills, bogate, zadbane, ubrane w kosztowne rzeczy żony szefów wytwórni, zachodząc w głowę, kim jest ta młoda, urodziwa gwiazdeczka, której towarzyszy ten groźny I.

E. Shinn.

- Tak jest.

W bieli wyglądasz bardzo dobrze.

Norma Jeane znowu brała lekcje wymowy, gry aktorskiej, tańca, tym razem w Metro-Goldwyn-Mayer.

Wśród ludzi zachowywała się śmieiej, choć denerwowała się jak zawsze.

Prawie słyszała fortepianową muzykę z oddali, mimo gwaru rozmów, melodyjną muzykę taneczną; gdyby to był film, musical, I.

E. Shinn w dwurzędowej marynarce z czerwonym goździkiem w klapie byłby Fredem Astaireem, poderwał się na równe nogi, aby wziąć Normę Jeane w ramiona i tańczyć, tańczyć, tańczyć, podczas gdy przyglądałaby się temu podekscytowana publiczność złożona z ekspedientek i klientów.

Po nabyciu koktajlowej sukienki Shinn nalegał na zakup dwóch kostiumów po trzydzieści dolarów każdy, też u Bullocka.

Oba były stylowe, ze zwężanymi ku dołowi spódnicami i dopasowanymi żakietami.

Kupił też kilka par skórzanych pantofelków na wysokim obcasie.

Norma Jeane wzbraniała się, ale Shinn przerwał jej słowami:

- No cóż, to jest inwestycja w Marilyn Monroe.

Po wejściu na ekrany Asfaltowej dżungli staniesz się poszukiwanym towarem.

Wierzę w Marilyn, w przeciwieństwie do ciebie.

Pan Shinn szydził z niej czy mówił poważnie?

Zmarszczył tę swoją twarz Rumpelstiltzkina i mrugnął do niej.

Norma Jeane powiedziała bez przekonania:

-Ja też wierzę.

Tylko...

- Tylko co?

- Otto Osę powiedział, że jestem fotogeniczna.

Chyba.

A to oznacza jakiś trik, prawda?

Jakiś chwyt z soczewkami kamery albo nerwem wzrokowym?

Nie jestem wcale taka, na jaką wyglądam.

To znaczy...

Shinn parsknął z odrazą.

- Osę.

Ten nihilista.

Ten pornograf.

Mam nadzieję, że Otto Osę należy w twoim życiu do dalekiej przeszłości.

Norma Jeane czym prędzej odpowiedziała:

- Och, tak.

Nie kłamała.

Od dnia upokorzenia, gdy odbyła się naga sesja fotograficzna, nie widziała Ottona Osę; kiedy dzwonił do domu, w którym wynajmowała pokój, nie rozmawiała z nim; kiedy zostawiał dla niej wiadomości, darła je na drobniutkie kawałeczki; sama w ogóle do niego nie dzwoniła.

Nie widziała stykówek przedstawiających "Miss Złote Marzenia" i zdawała się nie pamiętać, że pozowała do kalendarza.

(Rzecz jasna nie powiedziała o niczym panu Shinnowi.

Nie powiedziała nikomu.) Od zagrania epizodycznej roli w Asfaltowej dżungli skoncentrowała się wyłącznie na aktorstwie i straciła wszelkie zainteresowanie pracą modelki, chociaż pieniądze były jej bardzo potrzebne.

- Osę i Chaplin junior.

Trzymaj się z daleka od nich i od ludzi ich pokroju - powiedział Shinn podniesionym głosem.

W takich sytuacjach, kiedy poruszał mięsistymi ustami, sprawiał wrażenie starego, niemal sędziwego człowieka; znikła cała jego wesołość.

"Ich pokroju?"

" Co to miało znaczyć?"

Norma Jeane skrzywiła się, słysząc, że jej kochanek został tak skrytykowany i w tajemniczy sposób powiązany z okrutnym fotografem o jastrzębiej twarzy, któremu ze wszechmiar brakowało delikatności i czystości serca Cassa.

-Ale ja k...kocham Cassa - szepnęła Norma Jeane.

- Mam nadzieję, że wkrótce się ze mną ożeni.

Shinn albo jej nie słuchał, albo w ogóle nic nie słyszał; dźwignął się na nogi, machając portfelem z krokodylej skóry, dwukrotnie większym od zwykłego męskiego portfela, i dał instrukcje ekspedientce.

Norma Jeane teraz wyraźnie nad nim górowała w nowych, rdzawoczerwonych skórzanych pantofelkach i z trudem panowała nad impulsem, aby się zgarbić i nie wyglądać na tak wysoką.

Zachowuj się jak księżniczka, pouczał ją głos mądrości.

A wkrótce się nią staniesz.

Szaleństwo zakupów odbyło się na dwa dni przed premierą filmu.

Pan Shinn zawiózł Normę Jeane do jej mieszkania w Buena Vista i pomógł jej wnieść do pokoju liczne paczki.

(Szczęśliwie Cassa tam nie było; albo półnagi leżał w łóżku Normy Jeane, albo zażywał kąpieli słonecznej, wylegując się w plamie słonecznego światła na maleńkim balkoniku.

Nie wielkie mieszkanko pachniało nim, jego oleista woń wisiła w powietrzu:

zapach cielesnego uniesienia, potu spod pach, gęstych, zawsze nieco wilgotnych kruczoczarnych włosów.

Jeżeli I.

E. Shinn wciągnął przez nozdrza ów zapach, to był zbyt taktowny, żeby się z tym zdradzić.) Norma Jeane pomyślała, że powinna zaproponować panu Shinnowi drinka, a nie odsyłać go od razu z powrotem, ale w kuchni nie było niczego poza alkoholem Cassa (Cass lubił whisky, gin, brandy), a ona wolała nie dotykać butelek z tymi trunkami.

Nie zaproponowała więc panu Shinnowi drinka ani nawet nie poprosiła, aby usiadł i poczekał na kawę.

Nie, nie!

Zależało jej przede wszystkim na tym, aby ten brzydki, mały mężczyzna poszedł sobie, mogłaby wtedy poparadować przed lustrem w nowych ubraniach, ćwicząc się na wejście Cassa.

Spójrz, spójrz na mnie.

Czyja ci się podobam?

Norma Jeane podziękowała I.

E. Shinnowi i odprowadziła go do drzwi.

W tęsknych oczach niskiego mężczyzny dostrzegła, że powinna zdobyć się na więcej.

Szeleszczącym głosem Marilyn powiedziała:

- Dziękuję, Tatuśku.

I pochyliła się, aby pocałować zdziwionego I.

E. Shinna w usta.

Pocałować go tak lekko, jakby chciała zdmuchnąć drobinę puchu.

Z telefonu w toalecie wykręciła numer do Cassa.

Numer był nowy, gdyż Cass od kilku tygodni mieszkał w nowej, użyczonej mu rezydencji przy Montezuma Drive w Hollywood Hills.

"Cass, proszę, podnieś słuchawkę.

Kochanie, wiesz, że cię potrzebuję.

Nie rób mi tego, proszę".

Projekcja filmu dobiegła końca; los Normy Jeane został przesądzony; z foyer dobiegał gwar rozmów.

Musiała mieć jakieś omamy słuchowe, bo słyszała powtarzane bez końca: "Kim jest ta blondynka?

Kim jest ta blondynka?

Ta blondynka?

" Trudno jej było nawet wyobrazić sobie podobne zjawisko.

A I.

E. Shinn chodził i chełpił się: "Ta blondynka jest moją klientką, oto, kim jest: panną Marilyn Monroe".

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że po tym legendarnym pokazie wytwórnia natychmiast doda Marilyn Monroe do głównych wykonawców ról w Asfaltowej dżungli - Sterlinga Haydena, Louisa Calherna, Jean Hagen i Sama Jaffe - filmu w reżyserii Johna Hustona.

Szeptła do słuchawki: "Cass, kochanie.

Proszę".

A po drugiej stronie linii telefon dzwonił i dzwonił bez końca.

Miłość od pierwszego wejrzenia.

Słaba z miłości.

Przeklęta!

Miłość wstępuje przez oczy.

Nazywał ją Normą.

Był jedynym spośród jej kochanków, który nazywał ją Normą.

Nie Normą Jeane ani Marilyn.

(Kiedy był chłopcem, przepadał za Normą Shearer.

Normą Shearer w Marii Antoninie.

Za piękną królową w najznakomitszym stroju, o włosach upiętych absurdalnie wysoko i przyozdobionych mnóstwem biżuterii, ubraną w niezliczone warstwy materiału tak sztywnego, że ledwie mogła się poruszać, skazaną na okrutną, barbarzyńską, niesprawiedliwą śmierć na gilotynie!

)

Ona nazywała go Cass.

"Cass, mój bracie, moje maleństwo".

Byli dla siebie delikatni jak dzieci, które zraniono podczas zbyt brutalnej zabawy.

Całowali się powoli, badawczo.

Kochali się bez słowa całymi godzinami, jak we śnie, zapominając, gdzie są, w którym łóżku, kiedy zaczęli, kiedy skończą i gdzie.

Przyciskali do siebie rozpalone policzki, aby znaleźć ulgę, aby patrzeć na świat jedną parą oczu.

"Kocham kocham kocham cię!

Och, Cass, kocham cię".

Trzymała mocno w ramionach chłopca o czarnych, zmierzwionych włosach, tak jakby trzymała nagrodę wyrwaną z rąk komuś zawistnemu.

Nigdy wcześniej ognista w miłości, dopiero teraz stała się namiętna.

Przysięgała: "Będę cię kochała aż do śmierci.

I dłużej".

Cass śmiał się i mówił: "Normo, wystarczy do śmierci.

Wystarczy jeden świat na jeden raz".

Nie opowie mu o dawnych czasach, o jego oczach, o wpatrzonych w nią pięknych oczach z plakatu do Świąteł wielkiego miasta.

O tym, że już dawno zakochała się w tych oczach.

A może były one tymi zamyślonymi, a jednocześnie pogodnymi oczami mężczyzny z oprawionej fotografii wiszącej na ścianie w sypialni Gladys?

Kocham cię.

Będę cię chronił.

Nigdy cię nie zawiodę: pewnego dnia przybędę po ciebie.

Jeden z największych wstrząsów w swoim życiu - które, jak przewidywał Otto Osę, nie potrwa długo, będzie powikłane, nierealne i zagadkowe jak dopasowane na siłę elementy układanki - przeżyła w chwili - w filmie towarzyszyłyby temu ekstatyczna, żywa muzyka!

- gdy wyszła z postrzępionego chińskiego parawanu w pracowni Ottona, wiedząc, że została poniżona, upodlona, upokorzona - i to wszystko za marne pięćdziesiąt dolarów!

- i ujrzała Cassa Chaplina, który się do niej uśmiechał.

"Znamy się, Normo.

Znaliśmy się od zawsze.

Uwierz we mnie".

Filmowy przeskok w czasie.

Mijają dni, tygodnie.

W końcu miesiące.

Nigdy nie zamieszkają razem (idea prowadzenia wspólnego gospodarstwa niepokoiła Cassa i wywoływała u niego duszności; na przykład mieszanie ubrań w szafie, rzeczy w łazience, szufladach, wspólne gromadzenie historii; nie mógłby oddychać!

nie mógłby przetykać!

Nie w tym rzecz, że był synem Wielkiego Dyktatora niezdolnym do osiągnięcia dojrzałości, nawiązania odpowiedzialnego związku z kobietą; nie w tym rzecz, że był okrutnym, mściwym, hedonistycznym hipokrytą jak ten Wielki Człowiek, wcale nie, chodziło tak naprawdę o symptom fizyczny; przerażona Norma Jeane mogła obserwować to zjawisko w małych mieszkaniach, gotowa przy każdej okazji dać do zrozumienia Nie przytłaczam cię, nie ograniczam!

Nie jestem tego rodzaju kobietą), ale spędzali ze sobą każdą godzinę (albo prawie każdą, w zależności od tajemniczego rozkładu prób, rewizyt, długich, medytacyjnych spacerów w deszczu i w słońcu po plaży w Santa Monica), kiedy Norma Jeane nie była w atelier M-G-M w Culver City.

To był mój pierwszy prawdziwy film.

Zaangażowałam się w niego ze wszystkich sił.

A tych sił dostarczał mi Cass.

Mężczyzna, który mnie kochał.

Bo nie byłam jedna.

Było nas dwoje.

Miałam siły dwojga.

Chciałoby się w to wierzyć.

Zresztą nie istniał powód, by nie wierzyć.

To brzmiało jak scenariusz filmowy.

Jak słowa specjalnie przygotowane.

Nie spontaniczne.

Dlatego można im było ufać.

Jak słowom ze scenariusza, jeśli znasz klucz, jeśli posiadasz sekretną mądrość.

Jak słowom z wypełnionej krzyżówki: każdy element na swoim miejscu, nie brakuje niczego.

Jak naturalnie pasowali do siebie w słodkim, otępiającym omdleniu, w delirium dręczącej fizycznej żądz, jakby dawno temu kochali się jako dzieci.

Jakby nie istniało między nimi nic takiego jak męskość i kobiecość.

Zbędna była żenująca nieporadność związana z używaniem prezerwatyw.

Cuchnących, poniżających prezerwatyw.

"Gumek", jak je nazywał Bucky Glazer, jak to on - beznamiętnie i rzeczowo.

A Frank Widdoes, czyż nie powiedział: "Włożyłbym gumkę.

Nie bój się".

Lecz Norma Jeane, patrząc z uśmiechem przez szybę, nie usłyszała tego i miała już nie usłyszeć, bo zdanie nie zostało powtórzone.

Taka otwartość nie leżała w naturze Normy Jeane.

Ona wołała styl romantyczny.

Jej kochanek był urodziwy jak dziewczyna.

Leżeli obok siebie, jedno odbiciem drugiego, oczy mieli szeroko otwarte z miłości, oboje śmiali się, całowali, mierzwili sobie nawzajem włosy i nie sposób było orzec, kto jest piękniejszy i czyje ciało wzbudza większe pożądanie.

Cass Chaplin!

Uwielbiała z nim spacerować i widzieć, jak podążają za nim spojrzenia kobiet.

(Oczy mężczyzn także!

Och, widziała.) Nie mogli znieść dzielących ich ubrań i kręcili się po mieszkaniu nago, kiedy tylko mogli.

Ożyła Magiczna Przyjaciółka Normy Jeane z.

lustra.

Kochanek był od niej zaledwie o jakiś cal wyższy, miał gładki, umięśniony tors z patyną miękkich ciemnych włosów pokrywających płaskie piersi, zaledwie odrobinę gęstszych niż meszek na przedramionach Normy Jeane.

Uwielbiała gładzić jego pierś, barki, szczupłe, sprężyste ramiona, uda, nogi, uwielbiała zaczesywać z czoła jego gęste, wilgotne, pokryte brylantyną włosy i całować, całować, całować czoło, powieki, usta, wciągać do ust jego język; jego penis powiększał się błyskawicznie, prężył gorący w jej dłoni jak żywe stworzenie.

To nie był okrutny, niegodziwy koszmar o krwawiącej ranie między nogami; to było zrządzenie losu, nie akt rozpaczy.

I te oczy!

Zakochujesz się natychmiast, jakbyś zawsze była zakochana.

Filmowy przeskok w czasie.

Clive Pearce!

Nadszedł ranek, kiedy wreszcie zrozumiała.

Podczas prób czuła się nieswojo i recytowała kwestie zupełnie bez wyrazu.

Jakaż była nieporadna, pracując ze sławnym, starszym aktorem, Louisem Calhernem, który, mogło się zdawać, nigdy nie patrzył wprost na nią!

Pogardzał nią jako niedoświadczoną młodą aktorką?

Czy otumaniała go swoją obecnością?

Na przesłuchaniu Norma Jeane wypowiadała kwestie Angeli spontanicznie, ułożywszy się naiwnie na podłodze, teraz stała sparaliżowana strachem przed ryzykiem, jakie podejmowała.

Co się stanie, jeśli zawiedziesz?

Jeśli zawiedziesz?

A zawiedziesz.

Wtedy będziesz musiała umrzeć.

Jeśli zostanie wyrzucona z filmu, będzie musiała się unicestwić, ale kochała Cassa Chaplina i miała nadzieję, że urodzi jego dziecko...

"Jakże bym mogła go zostawić?"

Miała też zobowiązania wobec Gladys przebywającej w szpitalu w Norwalk.

.Jakżebym mogła ją zostawić?

Matka nie ma nikogo prócz mnie".

Sceny z Calhernem rozgrywały się wyłącznie we wnętrzach.

Ćwiczone je i kręcono w Culver City, w studiu wytwórni M-G-M.

W filmie Angela i jej wujek Leon byli sami, ale w rzeczywistości, na planie, otaczali ich różni obcy ludzie.

Była na to rada: należało odgradzić się od innych.

Kamerzystów, asystentów.

Samego wielkiego reżysera.

Już kiedyś w sierocińcu umiała sobie poradzić - bujała się na huśtawce wysoko, bardzo wysoko, odcinając się od reszty świata.

W gwarnej jadalni zmierzała na swoje miejsce, nic nie widząc, nic nie słysząc.

To była sekretna siła, której nikt nie mógł jej pozbawić.

Wierzyła, że grana przez nią postać, Angela, to właśnie ona, oczywiście wyłączwszy niedorozwój umysłowy.

Czyli ona, Norma Jeane, miała w sobie Angelę.

A jednak Angela była zbyt ciasna, aby zmieścić w sobie Normę Jeane.

Wszystko polegało na opanowaniu rzemiosła!

W filmowej opowieści Angela jest nieokreślona.

Norma Jeane trafnie postrzegła tę dziewczynę jako fantazję wujka Leona.

(I fantazję twórców filmu, którzy byli mężczyznami.) W pięknej, pustej, blondwłosej Angeli nie winność jest tożsama z próżnością.

Nie istnieje rzeczywista motywacja wyznaczająca jej zachowanie, tylko dziecięcy egocentryzm.

Angela nie inicjuje ani jednej sceny, żadnych dramatycznych wymian zdań.

Odbiera wyłącznie bodźce, sama nie jest aktywna.

Wypowiada kwestie jak amatorka, szuka niejako po omacku, czerpie wskazówki od wujka Leona.

Sama dla siebie właściwie nie istnieje.

Każda kobieta w Asfaltowej dżungli istnieje tylko ze względu na mężczyzn.

Angela jest bierna jak staw, w którym przejrzeć się mogą inni, ale ona sama siebie nie widzi.

To nie przypadek, że poznajemy ją w scenie, w której śpi, leży skulona na sofie, a my patrzymy na nią oczami jej posiadacza, starszego kochanka.

"Och!

Chyba zasnęłam".

Chociaż przebudzona, z oczami szeroko otwartymi w ciągłym zdziwieniu, Angela jest lunaticzką.

Norma Jeane drażniła Calhema.

On nią pogardzał!

Jego postać to Alonzo Emmerich, któremu los zgotował strzał w głowę.

Angela była jego nadzieją na powtórzenie młodości i życia, nadzieją próżną.

Obwinia mnie.

Nie może mnie dotknąć.

W jego sercu jest gniew, nie miłość.

Nie potrafiła znaleźć klucza, który by do niego pasował.

Klucza do scen z ich udziałem.

Wiedziała, że jeśli nie uda im się razem dobrze zagrać, będzie musiała ją zastąpić inna aktorka.

Wręcz obsesyjnie ćwiczyła swoje sceny.

Wypowiadała zaledwie kilka linijek i to w odpowiedzi na słowa wujka Leona, potem na pytania policjantów, którzy ją przesłuchiwali.

Ćwiczyła z Cassem, kiedy tylko mógł i był w odpowiednim nastroju.

Mówił, że chce, aby odniosła sukces.

Wiedział, ile to dla niej znaczy.

("Sukces" oznaczał względnie niewiele dla niego, syna człowieka, który odniósł największy sukces aktorski wszech czasów.) Ale szybko stracił do niej cierpliwość.

Potrząsał nią jak szmacianą lalką, aby wyprowadzić ją z transu, aby przestała być Angela.

Kpił z niej, starając się mówić głosem pozbawionym gniewu.

- Normo, na miłość boską.

Twój reżyser będzie cię prowadził krok po kroku przez wszystkie sceny, na tym polega kino.

Nie na prawdziwym graniu jak w teatrze; nie musisz polegać tylko na sobie.

Po co pracować tak ciężko?

Wychodzić z siebie?

Pocisz się jak koń.

Dlaczego to znaczy dla ciebie tak wiele?

Pytanie zawisło w powietrzu.

Dlaczego to znaczy tak wiele?

Tak wiele!

Wiedziała, że wyjaśnienie, którego nie mogła wyjawić kochankowi, jest absurdalne - Bo nie chcę umierać, panicznie boję się śmierci.

Nie mogę cię zostawić.

Bo niepowodzenie w jej karierze aktorskiej równało się niepowodzeniu w życiu, jakie zdecydowała się wybrać, aby usprawiedliwić swe przyjsście na świat.

Choć była nieco wytrącona z równowagi, dobrze rozumiała niedorzeczność takiego oświadczenia.

Wytarła oczy.

Roześmiała się.

- Nie mogę się zdecydować, co jest dla mnie ważne, inaczej niż ty.

Nie mam tej siły.

Pomóż mi, chcę mieć tę siłę.

Kochanie, naucz mnie.

Normie Jeane coraz bardziej dawała się we znaki bezsenność.

W głowie słyszała wrzask i pojedyncze, mrukliwe, kpiące głosy, drwiny, śmiechy, niewyraźne, lecz mimo to znajome.

Czy to jej sędziowie, czy czekające na nią duchy potępionych?

Mogła im przeciwstawić jedynie Angelę.

Miała tylko swoją pracę - swoje osiągnięcia - swoją "sztukę".

Dlaczego to znaczy tak wiele?

Nie mogła zasnąć, kiedy była sama w swym maleńkim mieszkaniu, w mosiężnym łóżku z Armii Zbawienia, albo kiedy był z nią Cass, w tym czy innym łóżku.

(Nieuchwytny Cass Chaplin!

Śliczny chłopiec miał wielu przyjaciół w Hollywood, Beverly Hills, Santa Monica, Bel Air, Venice i Venice Beach, Pasadenie, Malibu lub gdzieś w Los Angeles, a ci przyjaciele - większości Norma Jeane

nie znała - mieli mieszkania, bungalowy, domy, posiadłości, w których Cassa witano o każdej porze dnia i nocy z otwartymi ramionami.

Wydawało się, że nie ma stałego adresu.

Jego dobytek, głównie ubrania - kosztowne podarunki - znajdowały się w różnych domach i wędrowały razem z nim w płóciennym worku i zniszczonej skórzanej walizce z zamaszystymi, złożonymi inicjałami CC.)

Wcześniej rano chodziła boso po mieszkaniu i dygotała.

Jeśli Cassa nie było, boleśnie za nim tęskniła, jeżeli był, to spał; zazdrościła mu tego snu, do którego w żaden sposób nie mogła przeniknąć i w którym chował się przed nią.

Wspominała wtedy utraconą przyjaciółkę Harriet i jej córeczkę Irinę, która była też jej dzieckiem.

Harriet powiedziała Normie Jeane, że jako dziewczyna przez długi czas także cierpiała na bezsenność, potem zaś zaszła w ciążę i zaczęła zasypiać w każdej sytuacji, a kiedy dziecko przyszło na świat i odszedł od niej mąż, spała, spała tak długo, jak tylko mogła, spokojnym snem bez marzeń i może pewnego dnia Norma Jeane dowie się, jak to jest, jeśli szczęście będzie jej sprzyjać.

Jeśli zajdzie w ciążę.

Jeśli zajdę w ciążę.

Jeśli będę miała dziecko.

Ale nie teraz.

Więc kiedy mogła sobie wyobrazić Angeli w ciąży.

Nie potrafiła sobie wyobrazić Angeli poza scenariuszem.

Wyuczyła się na pamięć kwestii Angeli, aż w końcu zatraciły dla niej znaczenie, stały się niczym powtarzane bez rozumienia słowa w obcym języku.

Podczas pierwszego tygodnia pracy na planie zaczęła tracić siły.

Nigdy wcześniej nie sądziła, że aktorstwo może do tego stopnia wyczerpywać fizycznie.

Jak dźwiganie własnego ciężaru!

Zaczynała płakać, potem śmiała się, wycierając oczy obiema dłońmi.

I oto Cass, śliczny, nagi chłopiec o zmierzwiionych włosach, zbliżał się do niej, gdy stała na maleńkim balkonie, wyciągał w jej stronę otwartą dłoń, na której leżały dwie białe kapsułki.

- Co tam masz?

- zapytała ostrożnie Norma Jeane.

- Miksturę, droga Normo, na sen.

Aby łatwiej nam było zasnąć - powiedział Cass, całując ją w wilgotną skórę karku.

- Magiczną?

- spytała.

Cass odparł:

- Nie ma magicznych mikstur.

Ale jest ta mikstura.

Norma Jeane odwróciła się z dezaprobatą.

Nie po raz pierwszy Cass oferował jej środki uspokajające.

Barbiturany, jak je nazywał.

Albo whisky, gin, rum.

Bardzo chciała się poddać.

Wiedziała, że sprawiłaby przyjemność kochankowi, który rzadko spał, nie upiwszy się wcześniej albo nie połknąwszy jakichś medykamentów.

Zwykle zmęczenie - chełpił się Cass - nie wystarcza, aby go uspokoić.

Mówił, dmuchając ciepłym powietrzem prosto do ucha Normy Jeane i jedną ręką gładząc delikatnie jej piersi:

- Był taki grecki filozof, który twierdził, że najcudowniejszy stan to być nie narodzonym.

Moim zdaniem najcudowniejszym stanem jest sen.

Niby jesteś martwy, a jednak żyjesz.

Nie istnieje przeżycie równie wyborne.

Norma Jeane odepchnęła kochanka.

Odepchnęła mocniej, niż zamierzała.

W takich chwilach nie kochała Cassa Chaplina!

Nie, kochała go, ale się go bała.

Był samym diabłem, który ją kusił.

Wiedziała, że doktor Mittelstadt to by się nie spodobało.

Szkoda wspominać o prawdach Christian Science.

O prababce Mary Baker Eddy.

- To nie jest dobre.

Dla mnie.

Jakiś sztuczny sen.

Cass roześmiał się, ale Norma Jeane odmówiła przyjęcia środka nasennego i tej nocy nie spała.

On spokojnie przespał noc i rano, gdy tymczasem ona przygotowywała się do pracy w atelier, a przez cały dzień w Culver City była rozdrażniona, nerwowa, mówiła piskliwym głosem i myliła się w każdej kwestii, której nauczyła się na pamięć; widziała, że John Huston uważnie się jej przygląda, taksuje ją oczyma mężczyzny; zastanawia się, czy on, który nigdy nie popełniał błędów co do obsady, nie pomylił się teraz w stosunku do niej.

Następnego dnia przyjęła od Cassa dwie kapsułki, chłopak położył je na jej języku uroczyście niczym komunikanty.

Jakże smacznie, jakże spokojnie Norma Jeane spała tej nocy!

Nie pamiętała, aby kiedykolwiek spała tak głęboko.

Sztuczny, ale zdrowy sen, czyż nie?

A jednak rzeczywiście była to magiczna mikstura.

Następnego dnia na planie podczas próby z Louistem Calhernem Norma Jeane doznała nagle olśnienia: Clive Pearce!

Przypisała to spostrzeżenie mocy magicznej mikstury Cassa.

Był to sen bez marzeń sennych, ale może niezupełnie.

Może właśnie we śnie ukazał się jej ten starszy mężczyzna?

Bo teraz wydawało się jej oczywiste: Louis Calhern, czyli wujek Leon, to tak naprawdę pan Pearce.

Tak jest: w roli Alonza Emmericha - pan Pearce.

Uważała sławnego Calherna za nieznanego, podczas gdy w istocie był on panem Pearceem, który do niej wrócił, miał mniej więcej tyle samo lat, mniej więcej tyle samo centymetrów w pasie i taką samą sylwetkę; czyż zniszczona, ale w sumie przystojna twarz Calherna nie była twarzą Clivea Pearcea po latach?

Ukradkowe spojrzenia, niespokojne usta, mimo to dumna postawa albo zachowująca wspomnienie dumy; ponad wszystko zaś wyćwiczony, nieco ironiczny głos.

Na pewno jakieś światło poraziło Normę Jeane.

Prąd elektryczny przepłynął przez jej prężne, żywe ciało.

Była Marilyn - nie, była Angelą - była Normą Jeane grającą Marilyn grającą Angelę - niczym rosyjska lalka, w której mniejsze laleczki znajdują się wewnątrz największej, która jest matką - skoro więc pojęła, kim jest wujek Leon, natychmiast stała się łagodna, ponętna jak naiwne i ufne dziecko.

Calhern zauważył to od razu.

Należał do aktorów o doskonałej technice, potrafił oddawać emocje, jakby je sygnalizował; nie grał w sposób naturalny, mimo to natychmiast dostrzegł zmianę w Angeli.

Od razu zauważył to reżyser.

Pod koniec próby powie - on, który rzadko chwalił aktorów i który praktycznie nie odzywał się do Normy Jeane aż do tej chwili:

- Coś się dzisiaj stało, hę?

Co to było?

Norma Jeane, teraz bardzo szczęśliwa, bez słowa potrząsnęła głową i uśmiechnęła się, jakby nie wiedziała.

Jakżeby miała wytłumaczyć coś komuś, skoro sobie nie umiała tego wytłumaczyć?

Potrafiła przyjąć wskazówkę, to była część jej geniuszu.

Potrafiła czytać w moich myślach.

Oczywiście to się mogło nie zdarzyć, wydało mi się przy padkowe, jakbym rzucił na glebę nasiona i tylko jedno z niich wzeszło.

Ich jedyny pocałunek.

Normy Jeane i Clivea Pearcea.

Nigdy nie pocałował jej prosto w usta, tak jak miał na to ochotę.

Dotykał jej skulonego z zażenowania ciała, łaskotał ją i (tak się jej wydawało) kiedy nie widziała, całował, ale nigdy w usta, a teraz topniała w jego objęciach, wzdychała, mimo wszystko jak dziecko, jak dziewczica, bo to jej dusza otwierała się na starszego mężczyznę, nie ściśnięte dziewczęce ciało.

Och!

Och, kocham cię!

nie opuszczaj mnie, wybaczy panu Pearceowi, że ją oszukał, odwożąc ją do domu dziecka i porzucając; więc kiedy teraz pan Pearce wrócił do niej jako patrycjuszowski prawnik Alonzo Emmerich, wujek Leon, natychmiast mu wybaczyła i po tym osobliwym pocałunku na bezdechu dalej tuliła się do niego, miała zamglone, nasyczone uczuciem oczy, rozchylone usta, a Louis Calhern, aktor weteran, wytrzeszczał oczy ze zdumienia.

Dziewczyna nie grała.

Była sobą.

Stała się Angelą, której pragnęła moja postać.

Której moja postać pożądała.

Od tej chwili Norma Jeane przestanie przeżywać niepokoje jako Angela.

Na planie Norma Jeane była spokojna, pełna szacunku dla innych, uważna i przenikliwa.

Kiedy wreszcie rozwiązała problem swojej roli, z uwagą obserwowała, jak inni rozwiązywali aktorskie problemy albo jak się z nimi zmagali.

Bo gra aktorska polegała na radzeniu sobie z zagadkami, z których żadna nie dawała wiedzy o następnej.

Aktor bowiem to zespół jaźni utrzymywanych razem przez oczekiwanie, że podczas gry wszystkie straty można sobie powetować.

Młoda blondynka, klientka I.

E. Shinna, Marilyn Monroe, będzie z uwagą oglądać na planie sceny z udziałem innych aktorów, próby i sam proces filmowania, nawet gdy sama nie miała tam żadnych

zajęć.

Pięta się poprzez łóżko.

Zaczęła z Z, potem był X.

Oczywiście Shinn.

I Huston, rzecz jasna.

I producenci tego filmu.

I Widmark.

Roy Baker.

Soi Siegal, Homara Hawks.

W zasadzie każdy, kto by ci przyszedł do głowy.

Norma Jeane wierzyła, że w obecności utalentowanych aktorów nasiąka mądrością.

W obecności wielkiego reżysera można się nauczyć "reżyserować" siebie.

Huston był geniuszem; od Hustona nauczyła się podstawowej prawdy filmowej, że nieważne, co się wkłada w scenę, tylko co z niej wynika.

Nieważne, kim jesteś albo kim nie jesteś, tylko jak wpływasz na film.

Film cię dopełni i przeżyje.

Na przykład Jean Hagen, która grała kochankę Sterlinga Haydena, na planie wydawała się indywidualnością i była bardzo lubiana.

Jednakże na ekranie jej postać okazała się nadmiernie uczuciowa, kapryśna, nie dość ponętna.

Norma Jeane pomyślała: Zagrałabym tę rolę spokojniej, głębiej.

Ona nie jest wystarczająco tajemnicza.

Tymczasem blondwłosa Angela, choć niby powierzchowna, otoczyła się aurą tajemnicy.

Nie mogłeś mieć pewności, czy owa powierzchowność nie zastępowała bezdennej głębi.

Czy dziewczyna manipulowała otępiałym starszym mężczyzną za pomocą niewinności?

Chciała zniszczyć swojego "wujka"?

Sygnalizująca brak odwagi pustka na jej twarzy była powierzchnią stawu, w której inni mogli się przeglądać.

Norma Jeane czuła dreszcz uniesienia, podniecenia.

Została aktorką!

Już nigdy więcej nie będzie w sobie wątpić.

Zdziwiła Johna Hustona, pytając, czy nakręciliby ponownie sceny, do których nie miał zastrzeżeń.

Kiedy chciał się dowiedzieć dlaczego, Norma Jeane odparła:

- Bo wiem, że potrafię zagrać lepiej.

Denerwowała się, ale była zdecydowana.

I uśmiechała się.

Marilyn uśmiechała się niemal bez przerwy.

Marilyn mówiła niskim, szeleszczącym, seksownym głosem.

Marilyn prawie zawsze potrafiła dopiąć celu.

Louis Calhern chyba był zadowolony ze swojej roli, ale dość chętnie zgodził się na powtórzenie niektórych ujęć, oczarowany Marilyn.

Rzeczywiście, każdy dubel polepszał jej kreację.

Ostatniego dnia zdjęć John Huston oświadczył kwaśno:

- No, no, Angelo.

Nasza malutka dziewczynka dorosła, co?

Nigdy więcej wątpliwości.

Jestem aktorką.

Mogę nią być.

I będę!

Kiedy zbliżał się dzień premiery filmu, Norma Jeane zaczęła odczuwać dawny niepokój.

Bo nie wystarczała jej satysfakcja z roli, mało jej było pochwał współpracowników.

Czekał na nią szeroki świat pełen nieznanym, którzy będą mieli własne opinie, wśród nich hollywoodzcy znawcy filmu, krytycy, którzy nic nie wiedzieli o Normie Jeane Baker, których obchodziła tyle co mrówka na chodniku, gdzie ktoś może ją przypadkowo, nieświadomie rozgnieść.

I żegnaj, mrówko!

Norma Jeane zwierzyła się Cassowi, że chyba nie przeżyje tego pokazu.

Zwłaszcza zaś późniejszego przyjęcia.

Cass wzruszył ramionami i powiedział, że powinna tam pójść.

Norma Jeane upierała się: a co się stanie, jeśli zrobi się jej niedobrze?

Jeśli zemdleje?

Cass znowu wzruszył ramionami.

Nie dało się wywnioskować, czy cieszy się wraz z nią, czy jej zazdrości; czy złości go jej praca z takim sławnym reżyserem jak Huston, czy budzi w nim szczerą podziw?

(A co z karierą Cassa Chaplina?)

Norma Jeane nie pytała go, jak mu się układa, czy dobrze wypadły wywiady, przesłuchania, rozmowy.

Wiedziała, że jest wrażliwy i bardzo zapalczywy.

Jak cierpko wyznał, można go obrazić tak samo łatwo jak Wielkiego Dyktatora.

Przyjął niewielką rolę w musicalu M-G-M i kilka dni później zmienił zdanie, kiedy się dowiedział, że inny młody tancerz, rywal, dostał w tym samym filmie większą rolę.) Norma Jeane przysunęła się do Cassa, przytuliła i oparła twarz przy jego szyi.

Teraz był dla niej bardziej bratem niż kochankiem, bratem bliźniakiem, który mógł ją obronić przed światem.

Jakżeby chciała ukryć się w jego ramionach!

W jego ramionach, na zawsze.

- Wcale tak nie myślisz, Normo - powiedział Cass, głaszcząc bezwiednie jej włosy, przeczesaując je paznokciami.

-Jesteś aktorką.

Jesteś prawdopodobnie dobrą aktorką.

Aktorka pragnie, aby na nią patrzono.

Aktorka pragnie być kochana.

Przez mnóstwo ludzi, nie tylko przez jednego mężczyznę.

Norma Jeane zaprotestowała:

- Nie, Cass, wcale tak nie jest!

Tak naprawdę pragnę tylko ciebie.

Cass roześmiał się, wodząc tępymi, obgryzionymi paznokciami po jej włosach.

Tak, ale ona nie żartowała.

Wyjdzie za niego, urodzi jego dziecko, potem będzie żyć z nim i dla niego po wsze czasy, na przykład w Venice Beach.

W małym domku zdobionym stiukami, którego okna będą wychodzić na kanał.

Ich dziecko, chłopiec z czarnymi, zmierzwionymi włosami, o pięknych, czarnych jak tarnina oczach będzie spał w kołysce tuż przy ich łóżku.

Mały księżę.

Najpiękniejsze dziecko spośród wszystkich, jakie świat widział.

Wnuczek Charliego Chaplina!

"Babciu Delio, nie uwierzysz.

Nie uwierzysz!

Moim mężem jest syn Charliego Chaplina.

Szalejemy za sobą, to była miłość od pierwszego wejrzenia.

Moje dziecko jest wnukiem Charliego Chaplina.

Twoim prawnukiem, babciu!

" Grubokoścista starsza kobieta gapiła się na Normę Jeane z niedowierzaniem.

Potem jej twarz rozjaśnił uśmiech, najpierw zwyczajny, potem szeroki od ucha do ucha.

Wreszcie roześmiała się głośno.

Normo Jeane, rzeczywiście zadziwiłaś nas wszystkich.

Najsłodsza, wszyscy jesteśmy bardzo z ciebie dumni.

Gladys zaakceptuje wnuka, choć nigdy nie życzyłaby sobie wnuczki.

Dobrze się złożyło, że utraciły Irinę.

Kiedy na ciebie wypadnie.

Przydarza się to szybko albo wcale.

Przez wąskie, przysłonięte żaluzjami okno bungalowu przy Montezuma Drive widziała drobną, gibką, nagą sylwetkę poruszającą się na tle dywanu.

Cass Chaplin, który jakby o niej zapomniał.

Pochylił się nad klawiaturą fortepianu i zagrał kilka akordów, kaskadę cicho brzmiących, płynnych nut, dźwięków pięknych jak u Debussyego albo Ravela, jego ulubionych kompozytorów, po czym ołówkiem zdawał się robić notatki albo zapisywał nuty.

Zdjęcia w Culver City dobiegały końca.

W ostatnim tygodniu pracy Normy Jeane nad filmem Cass zamknął się w tym domu, położonym na uboczu przy Olympic Boulevard, aby pracować nad kompozycją i choreografią baletu.

(Hiszpański bungalow otoczony trędownymi palmami i porośnięty splątaniem pnączem należał do pewnego scenarzysty, który znalazł się na czarnej liście i obecnie przebywał na wygnaniu w Tangerze.) Normie Jeane oświadczył, że muzyka jest jego pierwszą miłością i że chce do niej wrócić.

"Nie aktorstwo.

Nie jestem aktorem.

Nie chcę się ubierać w inne osobowości.

Wolę sferę czystej muzyki".

Kiedy miał pod ręką fortepian, siadał i grał Normie Jeane fragmenty swoich kompozycji.

Wszystkie bardzo się jej po dobały; tańczył dla niej, ale tylko dla zabawy i tylko przez kilka minut.

Teraz, stojąc na pokrytym liśćmi chodniku wiodącym do frontowych drzwi tego domu, Norma Jeane wpatrywała się przez okno w niemal nierzeczywistą sylwetkę swojego kochanka, a w głowie czuła pulsowanie krwi.

Nie mogę mu przeszkadzać.

Źle bym zrobiła.

Znienawidziłby mnie za szpiegowanie.

Nie mogę ryzykować.

Odeszła od okna i przez czterdzieści minut jak urzeczona słuchała frapujących akordów, wznoszących się i opadających sekwencji dźwięków.

Przez chwilę, która nie miała początku ni końca, która dla niej mogłaby trwać wiecznie.

Kiedy na ciebie wypadnie.

Wydawało się, że Shinn mówi prawdę.

Ściszył swój grobowy głos, aby ją poinformować, że w przeciwieństwie do tego, co usiłował jej wmówić Cass, Chaplin senior zapewnił małą fortunę eks-żonie i synowi.

Zmusili go do tego prawnicy.

- Rzecz jasna - powiedział Shinn z krzywym uśmiechem - teraz nic z tego nie zostało.

Mała Lita wydała wszystko dwadzieścia pięć lat temu.

Norma Jeane wytrzeszczyła oczy na Shinna.

Cass ją okłamał?

Źle go zrozumiała?

Zacinając się, powiedziała:

- W takim razie na jedno wychodzi.

Ojciec wydziedziczył i wyparł się go.

Cass jest samotny.

Shinn parsknął pogardliwie.

- Nie bardziej samotny niż my wszyscy.

- Z...został wyklęty przez ojca.

Wyklęty podwójnie, bo ten ojciec to nie kto inny, tylko Charie Chaplin.

Nie stać pana na współczucie, panie Shinn?

- Ależ stać!

Współczucie się ze mnie wylewa.

Kto daje więcej na cele dobroczynne?

Na fundusz kalekich dzieciaków, na Czerwony Krzyż?

Na obronę Dziesiątki Hollywoodzkiej?

Ale Cassowi Chaplinowi nie współczuję nic a nic.

- Shinn starał się mówić żartobliwie, ale jego olbrzymi nos z głębokimi owłosionymi nozdrzami poruszał się z odrazą.

- Mówiłem ci, skarbie, nie chcę, abyś pokazywała się z nim publicznie.

- A prywatnie?

- Prywatnie staraj się być ostrożna.

Dwójka takich jak on to aż za wiele.

Norma Jeane musiała pomyśleć przez chwilę, nim zrozumiała.

- Panie Shinn, to okrutne.

Okrutne i grubiańskie.

-Taki jest I.

E., nie?

Okrutny i grubiański.

Jej oczy wypełniły się łzami.

Miała ochotę uderzyć Shinna w twarz.

Ale miała również ochotę chwycić go za rękę i błagać o wybaczenie, bo co ona by bez niego zrobiła?

Nie, miała ochotę roześmiać mu się w twarz.

Prosto w tę nalaną, ziemistą twarz.

W jego zranione, dzikie oczy.

Jego kocham, nie ciebie.

Nie mogłabym cię pokochać.

Zmusz mnie tylko, abym wybierała między wami dwoma, a pożałujesz.

Norma Jeane drżała.

Była nie mniej oburzona niż Shinn i zaczynała mówić tak samo gwałtownie.

Mężczyzna złagodniał.

- Hej, zrozum, skarbie, chcę ci tylko pomóc.

Chcę być praktyczny.

Znasz mnie: jestem I.

E. Chodzi mi tylko o ciebie.

O twoje dobro i twoją karierę.

- Myślisz o Marylin, o jej karierze.

- No cóż, Marylin to mój wynalazek.

Tak, dbam o jej dobro i karierę.

Norma Jeane mruknęła coś, czego Shinn nie dosłyszał.

Poprosił, żeby powtórzyła, więc, pociągając nosem, powiedziała:

- M...Marilyn to tylko kariera, nie istnieje jej dobro.

Shinn roześmiał się, właściwie wybuchnął nienaturalnym śmiechem.

Wcześniej podniósł się z obrotowego fotela, wyszedł zza biurka i spacerował po dywanie, wyłamując serdelkowate palce.

Okna z grubymi szybami za jego plecami wychodziły na Sunset Boulevard.

Norma Jeane, która siedziała na jednym ze sławnych niskich krzeseł Shinna, też się podniosła, chociaż nie zbyt pewnie.

Przyszła do biura agenta bezpośrednio po lekcji tańca, tydki i uda tak ją bolały, jakby je ktoś stłukł młotkiem.

Szepnęła: - On wie, że nie nazywam się Marilyn.

Mówi do mnie Norma, Tylko on mnie rozumie.

-Ja ciebie rozumiem.

Norma opuściła wzrok na dywan, obgryzając paznokiec u kciuka.

-Ja cię wymyśliłem, ja cię rozumiem.

Ja mam na względzie twój najlepszy interes, uwierz mi.

- N...nie, nie wymyśliłeś mnie.

Sama to zrobiłam.

Shinn znowu się roześmiał.

- Przestań popadać w metafizykę, dobra?

Mówisz jak twój eks-przyjaciel Otto Osę.

Wiesz, ma teraz kłopot...

Znalazł się na nowej liście Komisji do Spraw Działalności Wywrotowej.

Więc trzymaj się od niego z daleka.

Norma Jeane powiedziała:

- Nie mam nic wspólnego z Ottonem Osę.

Już nie.

Co to za Komisja?

Shinn ostrzegawczo przyłożył palec do ust.

Był to gest, który on i inni ludzie w Hollywood bardzo często wykonywali, zarówno publicznie, jak i prywatnie.

Ów gest w połączeniu z poruszeniem brwi w stylu Groucho Marxa miał być komiczny, ale oczywiście to nie był żart; człowiek widział zarazem przestraszone oczy.

- Nie przejmuj się, skarbie.

Nie rozmawiamy przecież o Osę, rozmawiamy o Chaplinie juniorze.

Rozmawiamy o Marilyn.

O tobie.

Norma Jeane poczuła się niedobrze.

- Otto też jest na cz...czarnej liście?

Dlaczego?

Shinn wzruszył zniekształconymi ramionami, jakby chciał powiedzieć:

Kto wie?

Kogo to obchodzi?

Norma Jeane zawołała cicho:

- Och, dlaczego ludzie to robią?

Donoszą na siebie nawzajem.

Nawet Sterling Hayden.

Słyszałam, że podobno podał Komisji jakieś nazwiska.

A ja go podziwiałam.

Ci wszyscy biedni ludzie na czarnej liście, pozbawieni pracy...

i Dziesiątka Hollywoodzka w więzieniu!

Jakby to były nazistowskie Niemcy, nie Ameryka.

Charlie Chaplin miał odwagę odmówić niegodnej współpracy i opuścić kraj!

Podziwiam go.

Myślę, że Cass też go podziwia, ale nigdy się do tego nie przyzna.

A Otto Osę nie jest komunistą, naprawdę!

Mogę zeznawać na jego korzyść, mogę przysiąc na Biblię.

On ciągle powtarza, że komuniści mają złudzenia.

On nie jest marksistą.

Ja mogłabym być marksistką.

Gdybym rozumiała, o co Marksowi chodzi.

To przypomina chrześcijaństwo, prawda?

Och, ma rację ten Karol Marks, religia jest opium ludu.

Jak alkohol i filmy.

A komuniści są za ludem.

Co w tym złego?

Shinn słuchał w zdumieniu tego wybuchu.

Rzekł głośno:

-Wystarczy, Normo Jeane.

Dość.

- Ale panie Shinn, to nie jest w porządku!

- Chcesz, żebyśmy oboje znaleźli się na liście?

A jeśli w tym biurze jest podsłuch?

A jeśli - wskazał pokój przy swoim biurze, gdzie siedziała sekretarka - podsłuchują nas wynajęci szpiedzy?

Do jasnej cholery, przecież nie jesteś głupią blondynką, więc przestań.

- Ale to nie w porządku...

- Tak?

Życie nie jest w porządku.

Czytałaś Czechowa, co?

ONeilla?

Słyszałaś o Dachau, Auschwitz, co?

O Homo sapiens, czyli gatunku, który po żera sam siebie?

Dorośnij.

- Panie Shinn, ja już sama nie wiem.

Nie ma dorosłych ludzi, których mogłabym podziwiać lub choćby zrozumieć.

- Norma Jeane mówiła szczerze, jakby rzeczywiście był to główny temat ich rozmowy.

Wydawało się, że go błaga, chce chwycić go za rękę.

- W nocy nie mogę czasem zasnąć, taka jestem przejęta.

A Cass, on...

- Marilyn - odparł Shinn - nie musi rozumieć ani myśleć.

Chryste.

Nie.

Wystarczy, że będzie.

Zwala z nóg, ma talent, ale nikt nie chce, aby kar mić go tym całym metafizycznym gównem z tych ponętnych ust.

Uwierz mi, maleńka.

Norma Jeane krzyknęła, robiąc krok do tyłu.

Jakby ją uderzył.

Potem nie będzie pamiętała, może jednak ją uderzył.

-M...może Marilyn umrze następnym razem - rzekła.

- Może nic nie wyniknie z debiutu.

Krytycy znienawidzą mnie albo nawet w ogóle nie zauważą, jak po Scudda-Hoo!

Scooda Hay!

Zrezygnują ze mnie w M-G-M, tak samo jak zrezygnowali w Wytwórni, i może to będzie najlepsze dla nas, dla mnie i Cassa.

Norma Jeane uciekła.

Shinn pobiegł za nią, dysząc i sapiąc.

Przez pokój przyjęć, gdzie sekretarka wybałuszyła na niego oczy, i na korytarz.

Wołał za nią, poruszając nozdrzami jak rozwścieczony pies:

- Tak myślisz, tak?

Tylko poczekaj.

"Kim jest ta blondynka?"

" Tamten wieczór w styczniu 1950 roku.

Unikając w lustrze widoku swych zrozpaczonych oczu, kolejny raz wykręciła numer bungalowu przy Montezuma Drive i raz jeszcze z drugiej strony linii dobiegł do niej głuchy, melancholijny sygnał telefonu dzwoniącego w pustym domu.

Cass był na nią zły, dobrze o tym wiedziała.

Nie zazdrosny (dlaczego miałby być o nią zazdrosny syn największej filmowej gwiazdy wszech czasów?)

), tylko wściekły.

Pełen odrazy.

Wiedział, że Shinn go nie aprobuje i nie chce, aby został zaproszony na obiad u Enrica.

Dochodziła dziewiąta i w to alectie zaczynało się robić tłoczno.

Podniesione głosy, perfumy.

Kobiety przyglądały się jej.

Zerkały.

Jedna z nich uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę;

palce w pierścionkach otoczyły dłoń Normy Jeane.

-To ty jesteś Angela, kochanie?

Cudowny debiut.

Kobieta była żoną jednego z szefów M-G-M, podrzędną aktorką z lat trzydziestych.

Norma Jeane nie mogła wykrztusić słowa.

-Ojej!

Dz...dziękuję.

- Dziwny, poruszający film.

Człowiek spodziewa się czegoś zupełnie innego, prawda?

To znaczy...

mam na myśli zakończenie.

Chyba nie rozumielałam wszystkiego, a ty?

Ginie tylu mężczyzn!

Ale John Huston jest geniuszem!

- O tak!

- To wielki zaszczyt pracować z nim, prawda?

Norma Jeane ciągle ścisnęła kobiecie dłoń.

Gorliwie skinęła głową, do oczu napłynęły jej łzy wdzięczności.

Inne kobiety trzymały się z dala.

Rzucały okiem na włosy Normy Jeane,

jej biust, biodra.

Biedna mała.

Ubrali ją jak wielką lalkę; wyglądała wspaniale, seksownie, ale drżała i chowała się w toalecie, pocąc się, że aż było czuć.

Słowo daję, nie chciała puścić mojej ręki!

Chodziłaby za mną jak piesek, gdybym jej pozwoliła.

W końcu premierowa projekcja dobiegła końca.

Asfaltowa dżungla okazała się sukcesem.

W każdym razie tak mówili ludzie, powtarzali to wśród uścisków dłoni, objęć, pocałunków i wysokich kielichów szampana.

A gdzie był I.

E. Shinn w smokingu, który miał zachwalać swoją klientkę?

- Cześć, Angelo.

- Cześć.

- Świetna rola.

- Dziękuję.

- Poważnie mówię, rola była super ekstra.

- Dziękuję.
 - Znakomita kreacja.
 - Dziękuję.
 - Ktoś powiedział, że to twój debiut.
 - Owszem.
 - A ty nazywasz się...
 - M...Marilyn Monroe.
 - W takim razie moje gratulacje, Marilyn Monroe.
 - Dziękuję.
 - Mam wrażenie, że jeszcze się kiedyś spotkamy, Marilyn Monroe.
 - Dziękuję.
- Była szczęśliwa.

Nigdy nie czuła się szczęśliwsza.

W każdym razie od czasu, kiedy Ciemnowłosa Księżę wciągnął ją na zalaną światłem scenę, uniósł ją wysoko, aby ją wszyscy podziwiali i wiwatowali na jej cześć, oraz pobłogosławił ją pocałunkiem, namaściłem cię na jasnowłosą Księżniczkę, stałaś się moją panną młodą.

Szeptał jej do ucha sekretne upomnienia:

Wszystko się ułożyło, teraz czeka cię szczęście.

Zasłużyłaś sobie.

Na jakiś czas.

Dla uczczenia tego szczęścia w zatłoczonym foyer błyskały flesze fotoreporterów.

Z uśmiechami przeznaczonymi dla fotografów stała tam olśniewająca blondynka Angela i jakby trochę speszony, nałogowy palacz "wujek Leon".

Angela i odtwórca głównej roli męskiej, Sterling Hayden, z którym nie zagrała ani jednej sceny.

Angela i wielki reżyser, który był twórcą jej szczęścia.

Och, jak bym nie dziękowała, i tak zawsze to będzie za mało.

Norma Jeane roześmiała się zalotnie, dostrzegając kątem oka na skraju tłumu sępią twarz Ottona, gapiącego się przez obiektyw uniesionego aparatu; Otto Osę w czarnym workowatym ubraniu jak strach na wróble, urażony, bo miał tylko podrzędną rolę do odegrania, ten, który powinien być zostać artystą, twórcą oryginalnych, frapujących dzieł sztuki, twórcą sztuki żydowskiej, pierwszym twórcą

sztuki radykalnej i rewolucyjnej od czasów niemożliwych do opisanie tragedii pieców gazowych, ostatecznego rozwiązania, bomb atomowych.

Norma Jeane chciała zawołać do niego:

I co, widzisz?

Nie potrzebuję ciebie.

Twoich obskurnych, rozebranych fotek.

Twoich kalendarzy z aktami.

Jestem aktorką.

Nie potrzebuję ani ciebie, ani nikogo.

Mam nadzieję, że cię aresztują i wyprowadzą!

Ale kiedy przyjrzała się lepiej, stwierdziła, że nie był to wcale Otto Osę.

Ależ uśmiech na twarzy Shinna!

Niski agent wyglądał jak krokodyl.

Kołyszący ogonem beznogi krokodyl.

Do tego błyszcząca, rozpalona, nienaturalnie szeroka twarz.

Zachichotała, wyobraziwszy sobie, jak by to było kochać się z tego rodzaju stworzeniem.

Chyba tylko z zamkniętymi oczami i z wyłączonym mózgiem.

Och, nie, za mąż mogę wyjść tylko z miłości.

Nigdy nie była szczęśliwsza niż teraz.

Shinn ścisnął ją za rękę, prowadząc przez foyer.

On ją wymyślił, należała do niego.

To nieprawda, ale na razie nie będzie się sprzeciwiała.

Nie zbuntuje się, jeszcze nie teraz.

Nigdy nie była bardziej szczęśliwa niż tego magicznego wieczoru.

Wieczoru najwięk szego szczęścia.

Była Kopciuszkiem, pantofelek pasował na jej nogę.

W do datku wyglądała lepiej, bardziej seksownie, bardziej ekscytująco niż od twórczyni głównej roli kobiecej, Jean Hagen, za którą podążała mniejsza grupa fotografów; mogło się wydać żenujące, że faworyzowali nieznana, młodą, czarującą blondynkę, która przecież nie potrafiła grać, jak mówili

niektórzy, zasłaniając dłonią usta, ale Chryste, popatrzcie tylko na jej cycki, tyłek, Lana Turner niech się schowa.

Była szczęśliwa, pierwszy raz na rauszu po szampanie od nocy poślubnej.

Chociaż Cass nie podnosił słuchawki.

Chociaż wiedział, jak ją ukarać.

Zły na nią, urażony.

Ukrył się gdzieś, zasnął głęboko w luksusowym, użyczonym łóżku, w którym zaledwie wczoraj kochali się tkliwie, wydłużali rozkosz, leżąc przy sobie, ich spragnione ciała doskonale dopasowane, spragnione usta przyciśnięte do siebie, oczy przewrócone w tej samej chwili - Och!

Och, och!

Kochanie!

- i nie potrzebowała żadnych magicznych mikstur, aby zasnąć, tak jak przez wiele nocy od czasu, gdy skończyła pracę nad filmem i nabrała przekonania, że już nigdy nie będzie potrzebowała żadnych leków uspokajających, żeby zasnąć, co za ulga, co za radość.

Mimo wszystko ci ludzie polubili ją!

polubili ją ci mieszkańcy Hollywood!

pytali:

"Kim jest ta blondynka?

Dlaczego nie została wymieniona w obsadzie?

" A pan Z z Wytwórni zdziwi się i zmartwi, bezlitosny sukinsyn, bo wykorzystał ją jako młodą aktorkę i wyrzucił z pracy, ale teraz kierownictwo M-G-M doceni ją: po pierwszym oficjalnym pokazie producenci Asfaltowej dżungli umieszczą Marilyn Monroe w czołówce; zaczną się tygodnie i miesiące sławy, kiedy promieniująca seksem blond piękność Marilyn Monroe pojawi się w dziesiątkach gazet i magazynów, zostanie obdarzona takimi tytułami jak Najpiękniejsza blondynka 1951; Nowa twarz "Screen World", 1951; Najbardziej obiecująca młoda gwiazda "PhotoLifeu" 1951; Miss kociaków 1952;

Miss Bomba 1952; w Palm Springs odbierze z rąk Franka Sinatry jakąś nagrodę.

Promieniująca seksem blondwłosa piękność pojawi się na wszystkich stoiskach z prasą, nie na okładkach "Sir!"

czy "Swanka", które przerosła - podobnie wzniosła się ponad klasę fotografów, którzy pracowali dla tego rodzaju czasopism - lecz na szacownych, luksusowych okładkach "Look", "Colliers" i "Lifeu" ("Nowe twarze 1952 roku").

Do tego czasu Marilyn Monroe znowu podpisze kontrakt z Wytwórnią, a skruszony pan Z podniesie jej gażę do pięciuset dolarów tygodniowo.

"Pięćset!

W Radio Pianę nie płacili mi nawet pięćdziesięciu na tydzień".

Nigdy nie była szczęśliwsza.

Z wyjątkiem tego wieczoru w styczniu 1950 roku, kiedy to się zaczęło, kiedy przyszła na świat Marilyn Monroe.

Kiedy była chora z miłości do Cassa Chaplina, on zaś nie pojawił się ani na premierze filmu, ani później u Enrica.

Swoje szczęście musiała uczcić z tłumem elegancko ubranych nieznanym osobom, wychylając kieliszki szampana - Marilyn Monroe, olśniewająca w kupionej u Bullocka, białej jak do ślubu koktajlowej sukni z jedwabiu i szyfonu o tak głębokim dekolcie, że jej piersi były niemal gotowe wyskoczyć spod naciągniętego materiału.

Tego wieczoru sprytny agent Shinn przedstawił swą gorącą klientkę panom B, J, P i R, producentom i szefom studia, których nazwisk nie zdołała zapamiętać; każdy z tych uśmiechniętych mężczyzn ucisnął jej dłoń, albo obie, i pogratulował udanego "debiutu".

Wtedy zjawiał się V, sławny, przystojny, piegowaty gwiazdor futbolu amerykańskiego, kiedyś nawet wybrany do złotej drużyny Stanów.

Pochodził z Kansas i występował w filmach wojennych kręconych przez Paramount, między innymi w przeboju kasowym The Young Aces, na którym płakał nawet Bucky Glazer; Norma Jeane pamiętała, jak ścisnęła swego młodego męża za rękę podczas przerażających scen podniebnych walk.

Poza tym były tam tkliwe sceny miłosne z udziałem V i pięknej Maureen O'Hary, które oglądała z bijącym sercem, wyobrażając sobie siebie na miejscu Maureen, chociaż jednocześnie złościła się na głupie fantazje, niestosowne dla młodej, szczęśliwej żony, dziecinne i próżne.

A teraz, sześć lat później, zmierzał ku niej, przepychając się przez tłum, V we własnej osobie!

V cywilnym ubraniu, nie w mundurze sił powietrznych!

V tak chłopięcy, tak piegowaty, że nikt by nie zgadł, iż nie miał dwudziestu dziewięciu lat, tylko trzydzieści dziewięć; jedynie przeredzone włosy sugerowały, że nie był już impulsywnym młodym pilotem z The Young Aces, który został ze strzelony nad terytorium wroga w jednym z najdłuższych ujęć spiralnego spadania w historii filmu, tak pomyślanym, że krzycząca i mdlejąca publiczność opada razem z nim w płonącym samolocie, póki mu się nie udaje, rannemu, wyskoczyć ze spadochronem niczym w jakimś koszmarze; więc Norma Jeane gapiała się teraz, wytrzeszczając oczy, na mężczyznę wysokiego na sześć stóp, o potężnych ramionach i torsie, o bardziej masywnej szczęce, ale wciąż tak samo piegowatego, patrzącego ciepło i w skupieniu, tak jak zapamiętała.

Kiedy raz ujrzyś mężczyznę z bliska, w sytuacji bardzo intymnej, zachowasz w pamięci jego wizerunek niczym marzenie.

Kiedy wymyślisz w szczegółach scenę miłosną z mężczyzną, pielęgnujesz wspomnienie o jego pocałunkach.

- Ty!

Och, to ty?

Norma Jeane mówiła tak cicho, że w ogólnym gwarze nikt jej nie usłyszał i chyba wcale nie miał słyszeć.

Jakże gorąco pragnęła chwycić V za duże, wyćwiczone dłonie i powiedzieć mu, jak się w nim kochała, jak płakała, kiedy został ranny i wzięty do niewoli, jak płakała, kiedy w końcu spotkał się z narzeczoną; jak po seansie wracała do Verdugo Gardens, gdzie na odbiorniku radiowym czekał uśmiechnięty stary Hirohito...

Wiodłam wtedy inne życie, właściwie nie wiedziałam, kim jestem.

Ale nie chwyciła go za ręce i nic nie powiedziała o Verdugo Gardens.

Musiła jedynie podnieść głowę i uśmiechnąć się do V, kiedy on pochylił się nad nią (jakby oboje już tworzyli parę kochanków), gratulując jej filmowego debiutu.

Cóż innego mogła szepnąć Norma Jeane, która była Marilyn Monroe, poza: "Dziękuję, och, dziękuję", czerwieniąc się jak uczennica?

V zaprowadził ją do względnie spokojnego kąta restauracji, aby szczerze porozmawiać o jej filmie, omówić subtelności scenariusza, charakteryzacji i niezwykłego zakończenia.

Zapytał też, jak spodobała jej się praca z takim skrupulatnym reżyserem jak Huston?

- On sprawia, że człowiek czuje się pewniej w swoim zawodzie, prawda?

W życiu, które ludzie naszego pokroju zdecydowali się wybrać.

Zakłopotana Norma Jeane odparła:

-W,..wybrać?

Myśmy wybrali?

To znaczy aktorstwo?

Och, nigdy nie myślałam o tym w taki sposób.

V roześmiał się zaskoczony.

Norma Jeane zaczęła się zastanawiać, czy nie powiedziała czegoś niewłaściwego.

Trudno było odgadnąć, kiedy zachowuje się serio.

Weźmy to wszystko, co z niej wyskakiwało.

V, gwiazda kasowego filmu wkraczająca w wiek średni, uchodzący na co dzień za dobrego, skromnego człowieka, paskudnie traktowanego przez żonę, podrzędną aktoreczkę, która uzyskała opiekę nad ich wspólnymi dziećmi i znaczną sumkę w rozliczeniu rozwodowym zaledwie po kilku latach małżeństwa, oraz Marilyn Monroe, wspaniała młoda gwiazdeczka.

Z bliska, z perspektywy zaborczego ojca, przyglądał się im I.

E. Shinn.

Naraz do atrakcyjnej pary zbliżył się prawie tysy mężczyzna w średnim wieku o workowatych oczach żółwia i głębokich zmarszczkach wokół ust.

Miał na sobie wygnieciony gabardynowy garnitur.

Nie należał do uczestników przyjęcia, ale było jasne, że ktoś z gości go zna, tak jak V.

Zachowywał się z rezerwą, był onieśmielony, marszczył czoło.

- Przepraszam.

Przepraszam bardzo.

Czy mogę prosić o podpis?

V patrzył w inną stronę, ale Norma Jeane była rozradowana, w dobrym nastroju, przyjazna.

Mężczyzna o żółwich oczach zbliżył się niezgrabnie.

Podsunał jej przed oczy petycję.

Norma Jeane zmrużyła powieki, zauważyła, że pismo zostało przygotowane przez Narodowy Komitet Obrony Pierwszej Poprawki do Konstytucji; coś o tym słyszała albo przynajmniej tak się jej zdawało.

W rozproszonym świetle restauracji zdołała odczytać duży nagłówek: MY, NIŻEJ PODPISANI, PROTESTUJEMY PRZECIWKO BEZWZGLĘDNEMU I ANTYAMERYKAŃSKIEMU TRAKTOWANIU, niżej zaś zamieszczono dwie kolumny imion i nazwisk.

Na pierwszym miejscu lewej kolumny znalazł się Charlie Chaplin, na pierwszym miejscu prawej kolumny-Paul Robeson.

Pod kolumnami pozostało sporo wolnego miejsca, ale podpisów było nie więcej niż pół tuzina.

Mężczyzna o żółwich oczach przedstawił się z imienia i nazwiska, które Normie Jeane nic nie mówiły; dodał, że napisał scenariusz do Żołnierzy, The Young Aces oraz wielu innych filmów, póki w 1949 roku nie znalazł się na czarnej liście.

Norma Jeane, ostrzeżona przez swojego agenta, aby nie podpisywać żadnych dokumentów krążących w Hollywood, powiedziała zdecydowanie:

- Och tak, podpiszę!

Podpiszę.

- Prysnał jej beztroski nastrój.

W jednej chwili ogarnęła ją wściekłość.

Zamrugła, aby odeprzeć łzy urazy i oburzenia.

- Charlie Chaplin i Paul Robeson są wybitnymi artystami.

Nic mnie nie obchodzi, czy są komunistami, czy...

czym tam sami chcą!

To okropne, co taki wielki kraj jak Ameryka wyczynia ze swoimi n...największymi artystami!

Wzięła długopis od mężczyzny o żółtych oczach i byłaby podpisała pismo od razu, gdyby V, który teraz próbował odciągnąć ją od nieznanego mężczyzny, nie powiedział:

- Marilyn, sądzę, że nie powinnaś tego robić.

Wtedy mężczyzna o żółtych oczach powiedział głośno:

- Hej, niech cię szlag!

To sprawa pomiędzy mną i tą młodą damą.

Norma Jeane powiedziała do obydwu:

-Ale jak ja się nazywam?

Monroe...?

Zapomniałam, jak się nazywam.

- Podeszła do najbliższego stołu i tam, ku zdziwieniu gości, próbowała podpisać kłopotliwą petycję, ale położyła ją na srebrnych sztućcach.

Śmiała się, chociaż wciąż była oburzona.

- Och, tak, Marilyn Monroe.

Dwa razy podpisała się zamasyście, jako Marilyn Monroe i jako Mona Monroe.

Zacząła się podpisywać jako Norma Jeane Glazer, ale I.

E. Shinn, ziejąc przez nozdrza ogniem, odebrał jej pióro i skreślił podpisy.

-Marilyn, na miłość boską!

Jesteś pijana.

- Nie jestem!

Nikt tutaj nie jest bardziej trzeźwy ode mnie.

Tamtego wieczoru u Enrica spotkała V.

Tamtego wieczoru utraciła kochankę, Cassa.

Uciekła z przyjęcia.

Miała ich wszystkich dosyć.

Cass miał rację.

Wszyscy oni są handlarzami ludzkim ciałem.

Gdy próbowała zatrzymać taksówkę, zebrał się mały tłum.

- Kto to?

Ta blondynka.

- Lana Turner?

Nie, za młoda.

Norma Jeane roześmiała się z zakłopotaniem.

W białej, szyfonowo-jedwabnej sukience z głębokim dekoltem.

W wysokich szpilkach.

Przysadzisty, uśmiechnięty mężczyzna w plastikowym płaszczu przeciwdeszczowym zderzył się z nią, wydawało się, że umyślnie.

Znowu chodziło o petycję?

Nie, tym razem miała przed sobą książeczkę z autografami.

- Proszę podpisać!

Mruknęła:

- N...nie mogę.

Jestem nikim.

Musiała uciec!

Inny mężczyzna przyszedł jej na pomoc, otworzył tylne drzwi taksówki i pomógł jej wejść do środka.

Przelotnie ujrzała przerażającą i sponiewieraną twarz, jak gdyby ulepioną z kitu.

Nos był spłaszczony i szeroki na czubku jak kielnia; skóra wokół oczu opuchła, opadły powieki;

brwi wydawały się dorysowane; brakowało jednego ucha, jakby skorodowało.

Poczuła kwaśną woń drożdży, woń Gladys w Norwalk.

Ów zapach miał jej towarzyszyć przez resztę nocy, aż do rana, kiedy umyła się z rozpaczliwą furią.

Może to mój własny zapach.

Może tak to się zaczyna.

Shinn obraził ją.

V dyskretnie się wycofał.

Mężczyzna o żółtych oczach został wyrzucony z lokalu.

Norma Jeane przycisnęła opuszki palców do powiek, pragnąc usunąć z pamięci obraz ich wszystkich.

Wyniosła taki zwyczaj z sierocińca.

Stosowała strategię Podróżnika w Czasie, który przesunął dźwignię magicznej maszyny, aby szybko przenieść się w przyszłość.

Kiedy więc otworzyła oczy po mniej więcej piętnastu minutach, była koło bungalowu przy Montezuma Drive, wynajętego domu u stóp góry, nie na szczycie, gdzie stały domy milionerów.

Drżała przejęta, nie jadła nic od południa, jeśli nie liczyć kilku łańcuchów i bezwiednie pochłoniętych kanapek podanych na przyjęciu.

Zostawiła tam etolę z białego lisa, pożyczoną dla niej z garderoby wytwórni M-G-M, ale pan Shinn miał pokwitowanie.

Zwróci ją.

Och, jakże go nienawidziła!

Przestanie być jego klientką i jeśli to będzie oznaczało, że w Hollywood nigdy już nie dostanie pracy, to niech tak będzie.

Zabrała ze sobą małą białą portmonetkę z ponaszywanymi cekinami i koralikami, ale nie miała więcej niż pięć dolarów drobnych.

Na szczęście tyle wystarczyło kierowcy taksówki, który zapytał, czy jest pewna, że przybyli pod właściwy adres, bo okolica tonęła w mroku.

- Mam poczekać, panienko?

Może trzeba jechać w inne miejsce?

Jej natychmiastowa odpowiedź była krótka:

- Nie, nie chcę nigdzie jechać.

- Po chwili dodała jednak bardziej praktycznie: - W porządku, proszę poczekać, ale tylko chwilę.

Dziękuję.

Nie miała trudności z przejściem w szpilkach po stromym, popękany chodniku, co znaczyło, że nie upiła się szampanem, o co ją oskarżał ten bezwzględny karzeł.

Och, Cass, kocham cię, bardzo za tobą tęskniłam, to chyba był sukces, odniosłam sukces.

Choć to dopiero początek.

Podrzędna rola.

Ale zawsze jakiś początek.

Nie muszę się wstydzić.

O nic więcej nie proszę, tylko żeby się nie wstydzić.

Nie spodziewam się szczęścia.

Moje jedyne szczęście pochodzi od ciebie.

Cass...

Mały bungalow, zasłonięty chorymi drzewami palmowymi i bezlistnym, pozbawionym kwiatów pnączem, wyglądał na opuszczony, ale Norma Jeane zajrzała przez frontowe drzwi i dostrzegła przygaszone światło z tyłu budynku.

Frontowe drzwi były zamknięte.

Miała klucz, tylko gdzie on się podział - nie było go w małej białej portmonetce z koralikami.

A może jednak nie miała klucza?

Zawołała cicho:

- Cass?

Kochanie?

Przypuszczała, że śpi.

Miała nadzieję, że nie jest to ciężki sen po narkotykach, z którego nie zdoła go obudzić.

Taksówka stała na zwirowej drodze; Norma Jeane ściągnęła sandały na wysokich obcasach i po omacku ruszyła na tyły domu.

Cass nigdy nie pamiętał o zamykaniu tylnych drzwi.

W ciemności widziała pustą sadzawkę zaśmieconą palmowymi liśćmi.

Kiedy po raz pierwszy ujrzała tę brudną sadzawkę, miała dziwną wizję, halucynację: w środku brodziła mała Irina, w jasnej wodzie.

Cass zauważył, że coś się dzieje.

Widział jej pobladłą twarz, zapytał, o co chodzi, ale ona mu nie odpowiedziała.

Wiedział o pierwszym małżeństwie, rozwodzie, wiedział o Gladys, która podobno była poetką, póki nie zachorowała, wiedział o ojcu Normy Jeane, który był wybitnym hollywoodzkim producentem i nigdy nie przyznał się do córki z nieprawego łoża.

Ale nie wiedział nic więcej.

- Cass, to ja, Norma.

W środku domu unosiły się opary whisky.

Żarówka u sufitu rozjaśniała kuchnię, ale w korytarzu panowała ciemność.

Norma Jeane nie zobaczyła światła pod drzwiami sypialni, które były lekko uchylone.

Jeszcze raz za wołała cicho:

- Cass?

Śpisz?

Ja jestem bardzo śpiąca!

Nagle poczuła się jak duży, rozpieszczony kociak.

Pchnęła drzwi.

Światło z kuchni wpadło ukosem do środka.

Było tam łóżko, wspaniałe podwójne łóżko, zbyt duże jak na taki ciasny pokój, i w tym łóżku leżał Cass, nagi, jeśli nie liczyć prześcieradła okrywającego go do pasa.

Norma Jeane odkryła z niejakim zdziwieniem, że dostrzega na jego piersi ciemne, splątane włosy, których nigdy wcześniej nie zauważyła, że jej kochanek ma jakby bardziej umięśnione barki i tors, inaczej niż to zapamiętała.

- Cass?

- szepnęła, chociaż już się zorientowała, że w łóżku znajdują się dwie osoby, dwóch młodych mężczyzn.

Nieznamy pozostał w pozycji na wznak, teraz prześcieradło ledwo przy słaniało mu owłosione krocze i ramiona nad głową.

Tymczasem drugi młodzieniec, Cass, podparł się na łokciu i uśmiechnął.

Obu mężczyzn pokrywała warstwa potu.

Młode, piękne ciała połyskiwały.

Nim Norma Jeane zdołała uciec, Cass nago wyskoczył z łóżka, płynnie jak tancerz, chwycił ją za nadgarstek, a drugą ręką szarpnął za udo swojego towarzysza.

- Normo, kochanie!

Nie uciekaj.

Poznaj Eddyego G, to mój bliźniak numer dwa.

TEN OTO OŁTARZ

Sekretareczka, powiedzmy z Westwood, która wymyśliła sobie, że się trochę poduczy.

Religijna fanatyczka.

Albo córka kogoś takiego.

Typ, który spotyka się w południowej Kalifornii.

Zazwyczaj nie zwracaliśmy na nią uwagi.

Profesor Dietrich powie nam później, że aż do listopada nie opuściła ani jednej lekcji.

Ale w klasie za chowywała się tak spokojnie, jakby jej w ogóle nie było.

Co tydzień wślizgiwała się na swoje miejsce i pochylała nad książką, po raz kolejny powtarzając zadane ćwiczenie, więc kiedy zerknąłeś w jej kierunku, odbierałeś wyraźny sygnał: Nie odzywaj się do mnie, proszę, nawet na mnie nie patrz.

Zatem łatwo było jej nie zauważyć.

Była poważna, sztywna, zwykle patrzyła w dół; nie miała makijażu, a jej blada skóra lekko błyszczała, jasnopolite włosy upinała do tyłu w stylu kobiet, które podczas wojny pracowały w fabryce.

Wygląd z lat czterdziestych.

Czasami przewiązywała włosy chustką.

Nosiła najzwyczajsze spódnice, bluzki, rozpinane swetry, płaskie buty, i pończochy.

Nic z biżuterii, żadnych pierścionków na rękach.

Paznokcie bez lakieru.

Na oko miała jakieś dwadzieścia jeden lat, ale nie miała stosownego do tego wieku doświadczenia.

Zapewne mieszkała z rodzicami w jakimś niewielkim, eleganckim bungalowie.

Albo z owdowiałą matką.

W niedzielę rano obie śpiewały hymny w szarym, małym kościółku.

I z pewnością była dziewicą.

Kiedy pozdrowiłeś ją albo rzuciłeś pod jej adresem jakąś przyjacielską uwagę, co było u nas częste, kiedy wszyscy wparowywali do klasy, chętni do rozmów, żartów i wymiany wieści, szybko podnosiła niebieskie, przerażone oczy i zarazem jakby się kuliła.

Właśnie wtedy do ciebie docierało, jak po niespodziewanym kopniaku w krocze, że ta mała dziewczyna wygląda ładnie, lub wyglądałaby ładnie, gdyby o tym wiedziała.

Ale ona nie wiedziała.

Opuszczała wzrok albo odwracała się i zaczynała szukać chusteczki w torebce.

Mruknęła coś grzecznie i to wszystko.

Nawet na mnie nie patrz, proszę!

Kto by tam patrzył?

W klasie były inne dziewczęta i kobiety, w dodatku zupełnie niewstydlive.

Nawet nazywała się tak jakoś nijako.

Zapominałeś o jej imieniu i nazwisku w tej samej chwili, kiedy je usłyszałeś.

"Gladys Pirig" - przeczytał profesor Dietrich na pierwszym spotkaniu w klasie.

Odczytywał listę niskim, donośnym głosem i komentował nasze nazwiska.

Podnosił wzrok i patrzył na nas ponad oprawkami okularów, ścigał usta w grymasie, który miał być uśmiechem.

Niektórzy z nas znali profesora Dietricha z poprzednich zajęć w szkole wieczorowej i lubili go, dlatego zapisali się na następne, wiedzieliśmy więc, że jest dobrotliwym, szczodrym, optymistycznie nastawionym człowiekiem, ale surowym w ocenach nawet w szkole wieczorowej dla dorosłych.

Zwracaliśmy się do niego "profesorze Dietrich" albo po prostu "psorze".

Wiedzieliśmy z katalogu Uniwersytetu Kalifornijskiego, że właściwie nie jest profesorem, tylko adiunktem, ale i tak tytułowaliśmy go "psorze", on zaś czerwienił się trochę, lecz nie poprawiał nas.

Jakby to była jakaś gra:

my, uczniowie szkoły wieczorowej, byliśmy na tyle ważni, że zasłużyliśmy na profesora, a on nie zamierzał wyprowadzać nas z błędu.

Przedmiotem zajęć była poezja renesansowa.

W szkole wieczorowej przy Uniwersytecie Kalifornijskim, jesienią 1951 roku.

Nasze spotkania odbywały się w czwartki, między siódmą a dziewiątą wieczorem.

Zapisało się nas trzydzieści dwoje i, o dziwo, niemal wszyscy pojawiali się na większości zajęć, nawet kiedy zaczęła się pora zimowych deszczy.

Byli wśród nas weterani wojenni, którym naukę finansował rząd, emeryci, gospodynie domowe w średnim wieku, którym nie zostały do wychowania żadne dzieci, pracownicy biur, dwaj młodzi studenci seminarium teologicznego w Westwood, kilku niedoszłych poetów.

W grupie dominowało - nie licząc kilku milczących weteranów - jakieś pół dziesiątki nauczycielek, kobiet trzydziesto- i czterdziestoletnich, pragnących poprawić swoje referencje.

Większość z nas w dzień pracowała.

A były to długie dni.

Trzeba było kochać poezję i trzeba było wierzyć, że poezja jest warta twojej miłości, aby spędzać dwie godziny w klasie po pracy.

Psor Dietrich był wykładowcą pełnym pasji i energii, więc łatwo udzielał ci się jego entuzjazm, chociaż nie zawsze rozumiałeś zdania, które wygłaszał.

Przy tego rodzaju nauczycielach wystarczyło wiedzieć, że oni je rozumieją.

Tak jak w pierwszym okresie nauki, kiedy po odczytaniu listy obecności psor Dietrich stanął przed nami, założywszy masywne ręce, i powiedział:

- Poezja.

Poezja jest transcendentalnym językiem ludzkości.

Zamilkł na chwilę, a my zadrżeliśmy, dochodząc do wniosku, że cokolwiek ma on na myśli, warto było zapłacić czesne.

Nikt nie zwrócił uwagi, jak przyjęła te słowa Gladys Pirig.

Najprawdopodobniej zapisała je w notatniku, po uczniowsku, jak to miała w zwyczaju.

Zaczęliśmy semestr od czytania Roberta Herricka, Richarda Lovelacea, Andrew Marvella, Richarda Crashawa, Henryego Vaughana.

Była to rozgrzewka przed Donneem i Milionem, zapowiedział profesor Dietrich.

Grzmącym i dramatycznym głosem Lionela Barrymore wyrecytował O małych męczennikach Richarda Crashawa:

Kiedy widzę, jak mleko matek W jedno miesza się z krwią ich dzieci, Bardzo wątpię, czy zbierzesz, Boże, Róże w plonie - czy lilie może.

I Henryego Vaughana Odeszli wszyscy do jasnego świata:

Odeszli wszyscy do jasnego świata!

A ja, samotny, wciąż tu stoję!

Sama ich pamięć pasma światła wplata

W posępne dumania moje.

Analizowaliśmy te zawile wiersze.

Zawsze było w nich więcej treści, niż się człowiek spodziewał.

Jeden wers przechodził w drugi, jedno słowo zapowiadało inne, jak gdyby chodziło o zaklęcia, które w bajkach pozwalały ci otworzyć tajemne wrota i przejść dalej, coraz dalej.

Dla niektórych z nas było to objawienie.

- Poezja!

Poezja polega na zwięzłości - powiedział psor Dietrich, do strzegając dezorientację na niektórych twarzach.

Jego oczy błyszczały za niezbyt czystymi szklami okularów w drucianych oprawkach, które podczas zajęć kilkanaście razy zdejmował i zakładał z powrotem.

- Poezja jest skrótowym językiem duszy.

Alfabetem Morse'a.

- Opowiadał niezdarne dowcipy z brodą, ale wszyscyśmy się śmiali, nawet Gladys Ping, który miała piskliwy śmiech, w którym bardziej pobrzmiwało zdziwienie niż wesołość.

Psor Dietrich wygłaszał wykłady zdecydowanie lekkim tonem.

Chciał uchodzić za zabawnego, elokwentnego.

Jakby nosił w sobie jakiś ciężar, coś mrocznego i warczącego, a jego żarty były sposobem odwrócenia na szesj uwagi od tego albo od niego samego.

Miał około czterdziestu lat i zaczynał tyć - grubokościsty facet niczym niedźwiedź stojący na tylnych łapach - miał około sześciu stóp wzrostu i ważył dwieście dwadzieścia funtów.

Dobry materiał na obrońcę w drużynie baseballowej; mimo że miał wrażliwą, pryszczatą twarz, na którą często wypływał rumieniec, kobiety na kursie uważały go za przystojnego, w stylu sponiewieranego Bogarta, twierdziły, że jego oczy krótkowidza są "wrażliwe".

Nosił niedopasowane marynarki, spodnie, kamizelki i krawaty w szkocką kratę.

Z pewnych uwag, jakie bezwiednie wygłaszał na temat wojennego Londynu, odnosiłeś wrażenie, że był w nim wtedy, prawdopodobnie stacjonował tam przez jakiś czas, niemal widziałeś go w mundurze, nigdy nie mówił o sobie, nawet po lekcjach.

- Poezja to sposób wyjścia z jaźni - oświadczył nam - i sposób powrotu do jaźni.

Ale poezja nie jest jaźnią.

Zdaniem psora Dietricha, najlepszymi poetami byli twórcy renesansowi nawet jeśli nie będzie się brało pod uwagę Szekspira (Szekspir to zupełnie inna sprawa).

Psor prowadził wykłady na temat form poetyckich, zwłaszcza sonetów - sonetów angielskich, sonetów Petrarcki, sonetów włoskich.

Wspominał o "niestałości", o "próżności ludzkich pragnień", o "strachu przed starością i śmiercią".

Poezja renesansu zajmowała się tym z taką konsekwencją i uporem, że można by to nazwać "kulturową obsesją", "pandemiczną neurozą".

Jeden ze studentów teologii zapytał:

- Ale dlaczego?

Skoro ci poeci wierzyli w Boga?

Psor Dietrich roześmiał się, podciągnął spodnie i rzekł:

- No cóż, wierzyli albo i nie.

Istnieje poważna różnica między deklaracjami, w co ludzie wierzą, a tym, w co wierzą głęboko w swoich trzewiach.

Poezja jest lancetem, która rozcina martwą tkankę, by dotrzeć do prawdy.

Ktoś stwierdził, że w tamtych czasach ludzie w sumie nie żyli długo; przy odrobinie szczęścia mężczyźni dożywali czterdziestki, a kobiety często umierały młodo przy porodzie, więc to wszystko miało jakiś sens, nie?

- Ustawicznie prześladowała ich myśl o umieraniu.

To się mogło zdarzyć w każdej chwili.

Jedna z nauczycielek, wyćwiczona w mówieniu, powiedziała rzeczowo:

- Och, bzdury!

Prawdopodobnie "niestałość" to tylko kolejny temat, który w swej poezji poruszali mężczyźni, tak jak "miłość".

Chcieli być poetami i przecież musieli o czymś pisać.

Roześmialiśmy się.

Nie wszyscy się z tym zgadzali.

Zaczęliśmy rozmawiać z ożywieniem, tak jak zawsze, stęsknieni w prywatnym życiu za po ważną intelektualną konwersacją albo za tym, co uchodziło za intelektualną konwersację.

Przerywaliśmy sobie nawzajem.

- Wiersze miłosne, liryka miłosna, tak jak nasze dzisiejsze piosenki i filmy...

są na jeden temat, rozumiecie?

Jakby w życiu nie było nic ważniejszego.

Ale może jednocześnie temat to tylko...

"temat".

Może nie jest rzeczywisty.

- Ale kiedyś był rzeczywisty, prawda?

- Kto wie?

Co, do diabła, jest "rzeczywiste"?

- Mówisz, że miłość nie jest rzeczywista?

Że śmierć nie jest rzeczywista?

Tak?

- Chyba wszystko kiedyś było rzeczywiste!

Czy w przeciwnym razie mie libyśmy odpowiednie słowa na te wszystkie rzeczy?

Podczas tych kłótni, którym niczym nauczyciel gimnastyki przewodniczył psor Dietrich, zadowolony z ożywionej aktywności swych podopiecznych, lecz chyba trochę przestraszony, że coś może mu się wymknąć spod kontroli, blondynka Gladys Pirig siedziała w milczeniu i gapiała się na nas.

W trakcie wykładu robiła notatki, ale na czas dyskusji odkładała pióro.

Widać było, że słucha bardzo uważnie.

Skupiona i drżąca, prosta jak wycior, widać było, że ta dziewczyna ma skłonność do wyolbrzymiania rzeczy, jakby każda chwila była samochodem, który przejeżdża z warkotem obok niej, a ona wie, że musi go zatrzymać, i bardzo się boi, że go przegapi.

Mała urzędniczka z Westwood, którą kiedyś nauczycielka ze szkoły średniej zachęciła, by postarała się osiągnąć coś więcej, i która przy aprobacie tej nauczycielki wzięła się do pisania wierszy.

Chwalona za poetyckie próby, dalej zajmowała się poezją, w sekrecie i bez strachu, że to na nic.

Jej blade usta poruszały się bezgłośnie.

Nawet jej stopy nie tkwiły nieruchomo w miejscu.

Czasem zauważaliśmy, że bezwiednie drapie się po nogach, łydkach, jakby ją bolały mięśnie, albo porusza stopami, jak gdyby cisnęły ją buty.

(Ale chyba nikomu nie przyszłoby do głowy, że brała lekcje tańca.

Nikomu nie przyszłoby do głowy skojarzyć Gladys Pirig z jakąś aktywnością fizyczną.)

Psor Dietrich nie należał do nauczycieli nachalnych, nie wywoływał spokojnych lub wstydliwych uczniów, ale rzecz jasna był świadom obecności tej skromnej, dobrze wychowanej, okropnie nieśmiałej dziewczyny siedzącej tuż przed nim, tak samo jak był świadom naszej obecności; pewnego wieczoru zapytał, kto zechciałby przeczytać na głos Ołtarz Georgea Herberta; z pewnością dojrzał jakiś przelotny wyraz pragnienia na twarzy dziewczyny, więc zamiast poprosić kogokolwiek z nas, bo mógł wybierać z lasu podniesionych rąk, zapytał uprzejmie:

- Gladys?

Na chwilę zapadła cisza, prawie dało się słyszeć westchnienie dziewczyny, która po chwili, niczym zbierające się na odwagę, lekkomyślne, nawet uśmiechające się dziecko, szepnęła w odpowiedzi:

- Spróbuję.

Ten wiersz.

Wiersz religijny, można się było domyślić, ale wydrukowany w specyficzny sposób.

Gruba pozioma belka druku na samej górze, cieńsza kolumna i odpowiednio dopasowana gruba podstawa.

Był to wiersz "metafizyczny" (jak nam wyjaśnił nauczyciel), co zapowiadało twarde do zgryzień orzech, ale można się było wsłuchać w piękny język, tak jak się słucha muzyki.

Widzieliśmy wyraźnie, że Gladys się denerwuje.

Odwróciła się trochę w ławce, żeby było ją lepiej widać, poprawiła książkę, wzięła głęboki oddech i zaczęła czytać...

Cóż, tego się nikt nie spodziewał.

Nie chodziło tylko o chrapliwy, dramatyczny głos, który brzmiał zarazem lekko i potężnie, wydawał się uduchowiony i seksowny jak wszyscy diabli.

Piorunujące wrażenie wywarł na nas sam fakt, że w ogóle czyta, że nie odmówiła ani nie wybiegła z sali, gdy psor skierował do niej swoją prośbę.

Ołtarz stanowił na karcie książki rodzaj łamigłówki, ale kiedy ta mała blondynka przeczytała go, raptem wszystko nabrało sensu.

Ten oto ołtarz, Panie, sługa Twój muruje
Z odłamków serca, które łzami cementuje:

Lecz jego zarys Twoja ręka stwarza;

Ludzkie narzędzie nie tknęło ołtarza.

Bo serc marmury To kamień, który Cię tylko może Moc Twoja, Boże.

Każda część mego Serca twardego Tworzy zrąb trwały Dla Twojej chwały:

Nawet gdy wieczne zachowam milczenie, Wiecznie Cię będą słać te kamienie.

O, niech Twoja Ofiara będzie czynem moim, Poświęć oto ten ołtarz, aby stał się Twoim.

Kiedy Gladys skończyła, rozległ się grzmot oklasków.

Klaskaliśmy wszyscy.

Nawet nauczycielki, które można by podejrzewać o zazdrość z racji tak znakomitego występu.

Psor Dietrich gapił się na dziewczynę, którą braliśmy za pracownicę jakiegoś biura, jakby nie dowierzał własnym uszom.

Podpierał się na biurku, pochylony nad tekstem, a kiedy Gladys skończyła, przyłączył się do owacji i na koniec powiedział:

- Młoda panno, z pewnością jesteś poetką!

Zgadza się?

Gladys gwałtownie poczerwieniała, skuliła się i wymamrotała coś, czego nie dosłyszeliśmy.

Psor Dietrich ciągnął dalej, w ten swój na poły dokuczliwy, na poły życzliwy sposób, jak gdyby ów epizod także nieco wymknął mu się spod kontroli i musiał się posłużyć odpowiednio dobranymi słowami:

- Panno Pirig?

Jest pani poetką...

bardzo rzadkiego rodzaju!

Zapytał Gladys, dlaczego ten wiersz został wydrukowany w dziwnej typografii, Gladys coś odpowiedziała, ale zupełnie niedosłyszalnie, i psor rzekł: - Proszę głośniej, panno Pirig.

Wtedy Gladys odchrząknęła i powiedziała dość wyraźnie, choć wciąż cicho:

-To m...ma być ołtarz, ten wiersz ma wyglądać jak ołtarz?

Ale tym razem mówiła szybko i bezbarwnie, wydawało się, że lada moment wybiegnie z pokoju jak spłoszone zwierzę.

Psor wtrącił czym prędzej:

- Dziękuję, Gladys.

Masz rację.

Zauważyliście to wszyscy?

Ołtarz to ołtarz.

Do licha ciężkiego!

Kiedy już raz to zauważyłeś, nie dostrzegłeś już

niczego innego.

Tak jakby to była jedna z tych atramentowych plam

w teście Rorschacha.

"Bo serc marmury".

Dziewczęcy głos intonujący te słowa.

"Bo serc marmury to kamień".

Będziemy słyszeli je przez całe życie.

Wszyscy, którzy tamtego wieczoru byli w klasie.

W listopadzie 1951 roku.

Dawno temu.

Chryste!

Nie chce się myśleć, jak mało nas zostało przy życiu.

Pewnie, potem obserwowaliśmy ją bardzo uważnie.

Mówiliśmy do niej więcej albo przynajmniej bardziej się staraliśmy.

Nie była już anonimowa.

Gladys Pirig - tajemnicza i pociągająca.

Tajemniczość jest seksowna.

Te jasnopopielate włosy, ten niski, zadyszany głos.

Może niejeden z nas próbował znaleźć jej numer w książce telefonicznej, ale nie figurował tam nikt o imieniu i nazwisku Gladys Pirig.

Psor jeszcze raz czy dwa zapytał ją o coś, ona sztywniała i nie odpowiadała, ale było już za późno.

I zaczęliśmy ją rozpoznawać.

Nie wszyscy w klasie, tylko kilka osób.

Nieważne, że jej ubrania coraz bardziej przypominały strój sekretarki, że upinała falujące włosy jak Irenę Dunne i że kiedy starałeś się podjąć z nią dyskusję, wycofywała się jak wystraszony królik.

Sprawiała wrażenie - jeśli trzeba było to jakoś nazwać dziewczyny, którą w przeszłości mężczyźni potraktowali podle.

Aż w końcu nadszedł czwartkowy wieczór, kiedy ktoś z naszej klasy przyszedł wcześniej na zajęcia z egzemplarzem "Hollywood Reporter" i puścił go w obieg, a my gapiliśmy się z niedowierzaniem, choć tym razem być może nie całkiem zdumieni.

-Marilyn Monroe, Chryste.

- Czy to ona?

Ta mała dziewczyna?

- Ona nie jest jakąś tam dziewczyną, ona nie jest mała.

Zobaczcie.

Zobaczyliśmy.

Niektórzy chcieli zachować w sekrecie nasze odkrycie, ale musieliśmy to pokazać psorowi, musieliśmy zobaczyć wyraz jego twarzy, on zaś patrzył i patrzył na pierwszorzędne zdjęcie w "Hollywood Reporter".

Przyglądał się i w okularach, i bez nich.

Bo była to duża fotografia - na cztery kolumny - olśniewającej blondwłosej hollywoodzkiej aktorki, jeszcze nie gwiazdy, ale już można było dostrzec, że wkrótce nią będzie; jakby lada moment miała wyskoczyć z obszytej cekinami sukienki o bardzo głębokim dekolcie; jej twarz była ukształtowana w taki sposób, że wyglądała jak namalowana: MARILYN MONROE, NAJPIĘKNIEJSZA BLONDYNKA 1951.

Do tego fotosy z Asfaltowej dżungli i notka o filmie: Wszystko o Ewie.

Psor powiedział ochryłym głosem:

-Ta gwiazdka, Marilyn Monroe.

To Gladys?

Powiedzieliśmy mu, że tak, jesteśmy pewni.

Kiedy raz się powiązało jedno z drugim, wszystko było jasne.

- Ale przecież ja widziałem Asfaltową dżunglę.

Pamiętam tamtą dziewczynę, nasza Gladys w ogóle jej nie przypomina.

Jeden z seminarzystów, który przyglądał się zdjęciom, rzekł:

- Właśnie widziałem Wszystko o Ewie i ona w nim grała!

Niewielką rolę, ale zapamiętałem ją.

To znaczy zapamiętałem blondynkę, którą ona musiała być.

Roześmiał się.

Wszyscyśmy się roześmiali, podekscytowani i przejęci.

Niektórzy z nas przeżyli kiedyś coś, co można by nazwać "zdziwieniem wojennym": to, co wydawało ci się określone i niezmiennie, nagle i na zawsze okazuje się zupełnie inne, a twoja własna egzystencja zaczyna przy pominać pasmo pajęczyny; bieżąca chwila była podobna, było w niej zdziwienie, nieodwracalność objawienia, z tym że mieliśmy teraz do czynienia z chwilą szczęśliwą, chwilą radosną, jakbyśmy trafili wygraną na loterii i świętowali.

Ciesząc się, że jest ośrodkiem zainteresowania, seminarzysta dodał:

- Marilyn Monroe nie jest kimś, o kim można zapomnieć.

Na kolejne spotkanie w nowym semestrze więcej osób przyszło wcześniej.

Przynieśliśmy egzemplarze "Screen World", "Modern Screen", "PhotoLife" z "Najbardziej obiecującą młodą gwiazdą 1951 roku".

Inny numer "Holly wood Reporter" zawierał zdjęcie "Marilyn Monroe na premierze filmowej, w towarzystwie przystojnego młodego aktora Johnnycgo Sandsa".

Mieliśmy ze sobą dawne wydania "Swank", "Sir!

" i "Peek".

W "Look" zamieszczono dużą fotografię zrobioną zeszłej jesieni: "Sensacja o włosach blond:

MARILYN MONROE".

Właśnie przekazywaliśmy sobie czasopisma z rąk do rąk, kiedy weszła Gladys Pirig w płaszczu przeciwdeszczowym w kolorze khaki i kapeluszu - mysz, na którą nikt nie chciałby spojrzeć drugi raz.

Popatrzyła na nas, na magazyny, i od razu musiała się zorientować.

Zdradziły nas oczy!

Chcieliśmy zachować wszystko w sekrecie, ale to było tak, jakby przystawić zapaloną zapałkę do wyschniętej turzycy.

Jeden ze śmielszych facetów od razu do niej podszedł i oświadczył:

- Hej.

Wcale się nie nazywasz Gladys Pirig, prawda?

Jesteś Marilyn Monroe.

Był na tyle nieokrzesany, że trzymał w ręku "Swanka" z nią na okładce:

była w czerwonej, przezrozystej koszulce nocnej i czerwonych pantofelkach

na wysokich obcasach, włosy miała zmierzwione, błyszczące, czerwone

usta złożone jak do pocałunku.

Gladys popatrzyła na niego, jakby uderzył ją w twarz.

Czym prędzej

powiedziała:

- N...nie.

To nie ja.

To znaczy, nie jestem nią.

Na jej twarzy pojawiła się panika zmieszana z przerażeniem.

Nie, nie była hollywoodzką aktorką, tylko przestraszoną dziewczyną.

Na pewno by uciekła, ale ktoś zagrażał jej drogę, bynajmniej nie specjalnie, tak po prostu staliśmy.

Do sali napływały inne osoby.

Między innymi pododdział bystrookich nauczycielek, do których dotarły nowe wieści.

Także psor Dietrich pospieszył się z nadejściem przynajmniej o pięć minut.

A ten bardzo bezpośredni facet ciągnął:

- Marilyn, jesteś wspaniała.

Czy mogę dostać twój autograf?

Nie żartował.

Podsuwał jej do podpisania skrypt z renesansowymi tekstami.

Inny gość, jeden z weteranów wojennych, powiedział:

-To ja myślę, że jesteś wspaniała.

Nie pozwalaj tym gburowatym dupkom cię denerwować.

Inny facet sparodiował kwestię Angeli z Asfaltowej dżungli:

- Wujku Leonie, zamówiłam ci na śniadanie solone śledzie, wiem, jak za nimi przepadasz.

Ona nawet się z tego roześmiała, cicho i piskliwie.

- No, cóż.

Chyba mnie zdemaskowaliście.

Wtedy wystąpił psor Dietrich, onieśmielony, ale zarazem podekscytowany, z wypiekami na twarzy, tym razem w skromnej granatowej marynarce, w której nie brakowało żadnego guzika, w wyprasowanych spodniach i jasnym krawacie w szkocką kratę.

Z zakłopotaniem powiedział:

- Hm...

Gladys...

panno Pirig...

Dowiedziałem się...

Chyba mamy wschodzącą gwiazdę w naszym gronie.

Gratulacje, panno Monroe!

Dziewczyna uśmiechała się, albo starała się uśmiechać, i jakoś zdołała wykrztusić:

- Dz...dziękuję, profesorze Dietrich.

Powiedział jej, że widział Asfaltową dżunglę i uważa ten film za "niezwykle głęboki" jak na Hollywood, a jej rolę za "wspaniałą".

Trzeba było widzieć, jak zrobiło się jej nieswojo, gdy usłyszała te słowa z jego ust.

Trzeba było widzieć roziskrzone oczy tego potężnego mężczyzny, szeroki, entuzjastyczny uśmiech.

Gladys Pirig nie miała zamiaru jak zwykle usiąść w ławce, tylko chciała jak najszybciej od nas uciec.

Jakby ziemia drżała pod jej stopami, jakby długo łudziła się, że nie zadrży, choć to przecież południowa Kalifornia i czego innego można się było spodziewać?

Cofała się do drzwi, my tłoczyliśmy się i przepychaliśmy wokół niej, mówiąc głośno, aby ściągnąć na siebie jej uwagę, walcząc ze sobą, nawet z nauczycielkami, aby przyciągnąć jej uwagę, aż podręcznik literatury renesansowej, ciężka, duża księga, wyslizgnął się jej z palców i upadł na podłogę, ktoś z nas schylił się, podniósł tom i wręczył go jej, ale nie puścił książki, więc dziewczyna nie mogła uciec i powiedziała, a właściwie zaczęła błagać:

- Z...zostawcie mnie w spokoju, proszę.

Jestem inna, niż m...myślicie.

Och, ten wyraz jej twarzy.

Wyraz cierpienia, błagania, przerażenia i kobiecej rezygnacji.

Wszystko to niektórzy z nas ujrzą poruszeni za dwa lata, gdy w kulminacyjnej scenie Niagary wiarołomna Rosę będzie miała lada chwila zginąć, uduszona przez oszalałego męża; ów wyraz twarzy Marilyn Monroe - naszym zdaniem - widzieliśmy po raz pierwszy pewnego czwartkowego wieczoru w listopadzie 1951 roku, kiedy Gladys Pirig zdołała się wymknąć, zostawiając nam swoją książkę, a psor Dietrich wołał za nią z żalem:

- Panno Monroe!

Niech pani zostanie.

Już nie będziemy pani dokuczać, obiecujemy.

Ale nic z tego.

Odeszła.

Kilku nas odprowadziło ją do schodów.

Zerwała się do biegu i uciekła.

Pomknęła po schodach tak szybko, jak mógłby biec jakiś chłopiec albo przerażone zwierzę.

Nawet się nie obejrzała.

- Marilyn!

- wołaliśmy za nią.

- Marilyn, wracaj!

Ale ona nigdy nie wróciła.

RUMPELSTILTZKIN

Co to za zaklęcie?

Jak długo zachowuje moc?

Kto mi to zrobił?

Ani Ciemnowłosa Księżę, ani nawet jej sekretny kochanek nie poprosili

jej o rękę.

Zrobił to skrzat Rumpelstiltzkin.

Nie dostarczono jej tekstu.

Nie ośmieliła się roześmiać.

Zaprotestowała,

powiedziała miękko i cicho:

- Och, nie mówi pan tego poważnie, panie Shinn!

I. E.

Shinn uśmiechnął się - jak to kiedyś Hollywood o nim żartowało - niczym dziadek do orzechów, gdyby dziadek do orzechów mógł się uśmiechać.

Rzekł:

- Proszę cię.

Znamy się już dobrze, kochanie.

Nazywam się Isaac, nie pan Shinn.

Znasz mnie i znasz moje serce.

Nazwij mnie panem Shinnem, a rozpułnę się w mroku jak Bela Lugosi w roli hrabiego Draculi.

Norma Jeane zwilżyła usta i wyszeptała:

-Isaac.

- Czy to wszystko, czego nauczył cię dość kosztowny nauczyciel gry aktorskiej?

Spróbuj jeszcze raz.

Norma Jeane roześmiała się.

Nie chciała patrzeć w błyszczące, przenikliwe oczy Shinna.

- Isaac.

Isaac?

- Brzmiało to bardziej jak prośba, a nie odpowiedź.

W istocie groźny Rumpelstilzkin nie po raz pierwszy zaproponował Jasnowłosej Księżniczce małżeństwo, lecz ona zapomniała o tym między jedną propozycją a drugą.

Amnezja przystaniała tego rodzaju epizody jak po ranna mgła.

Scena miała wypaść romantycznie, ale przeszkadzała w tym ostra, hałaśliwa muzyka.

Ileż do przemyślenia miała Jasnowłosa Księżniczka!

Ale jej życiem rządził kalendarz ściśle zaplanowanych dni i godzin.

Żebraczka przebrana za Jasnowłosą Księżniczkę.

Zaczarowano ją, więc przynajmniej zwykłym ludziom, takim jak ona, wydawała się tak jaśniejąca blaskiem i oszałamiająca jak Jasnowłosa Księżniczka.

Granie tej roli było wyczerpujące, ale obecnie nie miała wyboru ("z twoim wyglądem, z twoim talentem"), musiała ją grać, jak cierpliwie wyjaśniał pan Shinn.

W każdej dekadzie musi się znaleźć Jasnowłosa Księżniczka, osoba wyniesiona ponad resztę; rola ta nie wymaga tylko szczególnych darów fizycznych, lecz także wewnętrznego geniuszu, co pan Shinn wyjaśniał jeszcze bardziej cierpliwie.

("Nie wierzysz, że piękno wymaga geniuszu, moja droga?

Uwierzysz pewnego dnia, gdy stracisz i jedno, i drugie".) A jednak w lustrze widziała nie Jasnowłosą Księżniczkę, którą oglądał i zachwycał się świat, lecz starą, znajomą Żebraczkę.

Wystraszone niebieskie oczy, lekko rozchylone, zalęknione usta.

Tak żywo, jakby to było w zeszłym tygodniu, pamiętała wygnanie ze sceny w Van Nuys High School.

Pamiętała sarkazm nauczyciela oraz towarzyszące temu pomruki i wybuchy wesołości.

Stan upokorzenia wydawał się jej zupełnie naturalny, stanowił potwierdzenie jej wartości.

A jednak w jakiś sposób została Jasnowłosą Księżniczką!

Co to za zaklęcie?

Jak długo zachowuje moc?

Kto mi to zrobił?

Przygotowywano ją do "gwiazdorstwa".

Była to odmiana chowu zwierząt, swoista hodowla.

Naturalnie Rumpelstiltzkin całą zastęgę przypisywał sobie, sam bowiem posiadał moc rzucania zaklęć.

Norma Jeane stopniowo zaczynała wierzyć, że to on za wszystko ponosi odpowiedzialność: I.

E. Shinn, gnom i magik, który otwarcie twierdził, że ją wielbi.

(Otto Osę już dawno zniknął z jej życia.

Rzadko o nim myślała.

Doprawdy bardzo to dziwne, że kiedyś brała Ottona Osę za Ciemnowłosego Księcia!

Nie był z niego żaden książę, raczej zaprzątnięty pornografią stręczyciel.

Patrzył na jej nagie, spragnione ciało bez czułości.

Zdradził ją.

Norma Jeane Baker nic dla niego nie znaczyła, chociaż wyciągnął ją ze śmietnika i ocalił jej życie.

Zniknął z Hollywood w marcu 1951 roku, kiedy otrzymał wezwanie do złożenia zeznań przed kalifornijską Komisją do Spraw Badania Działalności Antyamerykańskiej.) Niedawno Shinn zaprosił Normę Jeane do swojego biura przy Sunset Boulevard, gdzie rozłożył na stole promocyjny egzemplarz kolorowego magazynu przedstawiającego Marilyn Monroe w pozach, o których całkowicie zapomniała.

- Kochanie, spójrz, co robi twój sobowtór.

Ma co pokazać, nie?

To po winno zwrócić uwagę paru gości z Wytwórni.

Często telefonował do niej późno w nocy, aby się pochwalić posianą tu i ówdzie wzmianką w plotkarskiej kolumnie; śmiali się we dwoje do rozpuku jak ludzie, którzy wygrali loterię losem znalezionym na ulicy.

Nie zasłużyłaś, aby wygrać.

Ale kto tak naprawdę zasłużył?

Tego wieczoru doszło do zwykłych oświadczeń w zaskakującym wariacie: Isaac Shinn podpisał umowę przedślubną z Normą Jeane vel Marilyn Monroe, zgodnie z którą po jego śmierci cały majątek odziedziczy ona, a nie jego dzieci i inni spadkobiercy.

Firma I.

E. Shinn, Inc.

warta była miliony, a ona miała odziedziczyć wszystko!

Zaoferował jej to jak magik, z przesadnym gestem - cóż za fantasmagoryczne widowisko dla łatwowiernej publiczności.

Mimo to Norma Jeane tylko skuliła się na krześle i mruknęła z zakłopotaniem:

- Och, dziękuję, panie Shinn, to znaczy dziękuję, Isaac.

Ale przecież wiesz, że nie mogę.

Po prostu nie m...mogę.

- Ale dlaczego?

- Och, nie mogłabym, nie mogła...

No wiesz, nie mogłabym zranić twojej r...rodziny.

Prawdziwej rodziny.

- Dlaczego nie?

Wobec takiej agresji Norma Jeane nagle wybuchła śmiechem.

Potem za czerwieniła się po same uszy.

Wreszcie powiedziała, ale zupełnie przytomnie:

- K...kocham cię, ale nie...

Nie jestem w tobie zakochana.

Proszę bardzo.

Padły te słowa.

W scenie filmowej zostałyby wypowiedziane ze smutkiem, lecz i przekonaniem.

W biurze pana Shinna zostały

wplecione w niezręczną rozmowę.

Shinn odparł:

- Do diabła, mogę kochać za nas dwoje, moja droga.

Spróbuj.

Mówił żartobliwie, ale oboje wiedzieli, że jest śmiertelnie poważny.

Norma Jeane wypaliła z nieświadomym okrucieństwem:

- Och, ale...

To nadal nie wystarczy, panie Shinn.

- Trafiony!

- zażartował Shinn, przyciskając rękę do piersi, jakby miał atak serca.

Norma Jeane skrzywiła się.

To w ogóle nie było zabawne!

Ale całkowicie na miejscu w wypadku ludzi z Hollywood, grających emocje, które na prawdę odczuwali.

Czy też może emocje, które naprawdę odczuwali, mogły zostać wyrażone tylko poprzez grę?

Wszyscy wiedzieli, że I.

E. Shinn cierpi na chorobę serca.

Nie mogę wyjść za ciebie tylko po to, aby utrzymać cię przy życiu, prawda?

Czy muszę to zrobić?

Jasnowłosa Księżniczka była teraz tylko Żebraczką.

Wystarczy, że Rum pelstiltzkin klaśnie w dłonie, a ona w jednej chwili zniknie.

Podczas rozmowy ani Norma Jeane, ani Shinn nie napomknęli o jej tajemniczym kochanku, V.

Norma miała nadzieję, że go wkrótce poślubi.

Och, wkrótce!

To prawda, że Norma Jeane nie kochała V z takim desperackim oddaniem jak Cassa Chaplina.

Ale to się może dobrze składało.

Kochała V w rozsądniejszy sposób.

Kiedy tylko V się rozwiedzie.

Kiedy tylko jego ziejąca nienawiścią żona ostatecznie zdecyduje, że dość krwi z niego wysąła.

Norma Jeane nie miała pojęcia, co właściwie Shinn wie o niej i V.

Wcześniej zdradzała mu swoje sekrety jako agentowi i przyjacielowi - do pewnych granic.

(Nie przyznała się do tego, że połknęła prawie całą buteleczkę barbituranów otrzymaną od Cassa, że zrobiło jej się niedobrze i zwymiotowała je w postaci żółtawej papki.

Rankiem po nocy zdrady Cassa).

Norma Jeane miała niemiłe wrażenie, że pan Shinn wie więcej, o V i o niej, niż ona sama wiedziała, bo przecież miał swoich szpiegów, którzy dostarczali mu informacji na temat wybranych klientów.

Mimo wszystko nie wypowiadał się o V tak lekceważąco jak o Charliem Chaplinie juniorze, przeciwnie, lubił go i podziwiał jako "dobrego, skromnego obywatela Hoolywood, faceta, który wypełnia swoje zobowiązania".

V był kasową atrakcją lat czterdziestych i wciąż utrzymywał się na szczycie w latach pięćdziesiątych, przy najmniej dla niektórych.

V nie był Tyroneem Powerem ani Robertem Taylorem, z pewnością nie był też Clarkiem Gablem czy Johnem Garfieldem, lecz należał do ustabilizowanych, pewnych talentów i był dość przystojnym, piegowatym chłopcem znanym milionom kinomanów w Ameryce.

Kocham go.

Chcę za niego wyjść.

Powiedział, że mnie uwielbia.

Shinn uderzył pulchnymi dłońmi o biurko.

- Normo Jeane, jesteś rozkojarzona.

Mówię do ciebie.

- P...przepraszam.

-Rozumiem, że nie "k...kochasz" mnie, moja droga, nie w ten sposób.

Ale kochać można inaczej.

- Shinn mówił teraz łagodnie, starannie dobierając słowa.

- Dopóki będziesz mnie szanowała, tak jak sądzę, że mnie szanujesz...

- Och, panie Shinn!

Oczywiście.

- ufała mi...

- Och, tak!

-Dopóki będziesz przekonana, że na sercu leży mi twoje dobro...

- Och, tak.

- Będziemy mieli solidną podstawę małżeństwa.

A do tego umowę przed małżeńską.

Norma Jeane zawahała się.

Była jak zdezorientowana owieczka fachowo zapędzana do zagrody.

Stojąca tuż przed bramą.

- Ale ja m...mogę wyjść za mąż tylko z m...miłości.

Nie dla pieniędzy.

Shinn rzucił ostro:

- Normo Jeane!

Niech to szlag, w ogóle mnie nie słuchałaś.

Huston nie nauczył cię słuchać innych aktorów?

Koncentrować się?

Wyraz twarzy, twoja postawa sygnalizują, że tylko udajesz uczucia, wcale ich nie przeżywasz.

W takim razie jak, do diabła, można się dowiedzieć, co na prawdę czujesz?

Co za pytanie!

Shinn często uciekał się do tego rodzaju taktyki w swoich stosunkach z klientami.

Wcielał się w rolę reżysera, analizował, przypisywał motywy.

Nie można było się z nim spierać.

Jego oczy były jak gorejące węgle.

Norma Jeane poczuła, że uginają się pod nią kolana, zakręciło jej się w głowie.

Lepiej się poddać.

Zgodzić się.

Na wszystko, czego żąda.

On posiada wiedzę magiczną.

Jest twoim prawdziwym ojcem.

Norma Jeane wypytywała o prywatne życie I.

E. Shinna i wiedziała, że ożenił się dwa razy.

Jego pierwsze małżeństwo przetrwało szesnaście lat.

Rozwiódł się i dość szybko poślubił młodą aktorkę z wytwórni RKO, z którą rozwiódł się w 1944 roku.

Miał pięćdziesiąt jeden lat i dwoje dorosłych dzieci z pierwszego małżeństwa.

Norma Jeane z ulgą przyjęła wiadomość, że Shinn ma opinię dobrego, przyzwoitego ojca, który z matką swoich dzieci rozstał się w przyjaźni.

Mogłabym poślubić tylko mężczyznę, który kocha dzieci.

Który pragnie dzieci.

Shinn dziwnie patrzył na Normę Jeane.

Czyżby mówiła na głos?

Robiła miny?

- Nie jesteś religijna, moja droga, co?

Bo ja nie.

Może jestem Żydem, ale...

-Och, jesteś Żydem?

- Oczywiście.

- Shinn roześmiał się na widok wyrazu twarzy dziewczyny.

Oto miał przed sobą Angelę z krwi i kości!

- A co myślałaś?

Brałaś mnie za Irlandczyka?

Hindusa?

Członka mormońskiej starszyny?

Norma Jeane roześmiała się zażenowana.

- Ojej, wiedziałam, że coś cię łączy z Żydami, ale tak jakoś...

- Zamilkła na chwilę, potrząsnęła głową.

To była zdumiewająca rola filmowa: głupia blondynka.

I jakże zachwycająca.

- Co powiedziałaś?

Jesteś Żydem?

Shinn znowu się zaśmiał.

- A skąd się wzięło imię Isaac, moja droga?

Prosto z hebrajskiej Biblii.

Shinn trzymał Normę Jeane za rękę.

Dziewczyna pod wpływem impulsu

podniosła jego dłonie do swoich ust i pokryła je pocałunkami.

W ekstazie

samowyrzeczenia szepnęła:

- Też jestem Żydówką.

W głębi duszy.

Moja matka bardzo podziwiała Żydów.

Wspaniała rasa!

Naprawdę wydaje mi się, że rzeczywiście jestem częściowo Żydówką.

Chyba jeszcze o tym nie mówiłam, prawda?

Mary Baker Eddy była moją prababką.

Słyszałeś o pani Eddy?

Sławna z niej kobieta!

Jej matka była Żydówką.

Nie praktykowały żydowskiej religii, bo miały wizję Chrystusa Uzdrowiciela.

Jestem jej potomkiem, panie Shinn.

Ta sama krew krąży w moich żyłach.

Te słowa młodej Księżniczki miały taką wagę, że Rumpelstiltzkin nie potrafił wymyślić odpowiedzi.

TRANSAKCJA

Nie byłam sobą.

Ileż razy.

Kierowało mną przeznaczenie.

Jak kometą ściaganą ku Ziemi.

Byłam poddana konieczności jak sile ciężenia.

Nie można się temu oprzeć.

Próbujesz, lecz nie możesz.

Nareszcie W wezwał do siebie Normę Jeane.

Dopiero teraz, kiedy była Marilyn.

Po latach.

Wiedziała dlaczego.

W Wytwórni rozważano pomysł wypożyczenia jej do filmu Don't Bother to Knock.

Przyszła na próbne zdjęcia i usłyszała, że jest "świetna".

Teraz czekała.

I. E.

Shinn czekał.

W kazał jej przyjść do siebie - odtwórca głównej roli męskiej.

Dlaczego przez ostatnie czterdzieści osiem godzin obsesyjnie myślała o Debrze Mae?

To nie miało sensu.

Nie istnieje "śmierć", a martwi pozostają martwi.

Myślenie o nich niczemu nie służy.

Oni nie życzyliby sobie naszej litości.

Wcześniej zastanawiała się, czy W kazał przyjść Debrze Mae.

Czy kazali jej przyjść N, D i B.

Wiedziała o tym, że Z rzeczywiście wezwał nieżyjącą już dziewczynę.

Z kazał przyjść także jej, a ona żyje.

- Witaj, Marilyn.

Otwarcie się na nią gapił.

Uśmiechał się tym swoim krzywym uśmiechem.

Filmowe zbliżenie na żywo zawsze zadziwia.

Oto W znany z okrutnego uśmiechu psa na kobiety.

Wyobrażałaś sobie ostre kły.

Wyobrażałaś sobie gorący oddech, który może poparzyć.

Tak naprawdę mężczyzna ten miał twarz wąską jak topór i świdrujące, drwiące oczy.

Nienawidzi kobiet.

Ale ty potrafisz sprawić, że CIEBIE pokocha.

Norma Jeane wyglądała ślicznie, miło, słowem jak cukiereczek.

Ciastko z kremem.

Coś do polizania, nie do żucia i gryzienia.

Może się nad nią zlituje?

Albo może sam będzie liczył na litość?

Może nie.

W nie tracił czasu, otoczył jej drżące nagie ramię - jej skóra była kremowoblada, jego zaś znacznie ciemniejsza - silnymi palcami z plamami nikotyny.

Zadrżała, dreszcz przebiegł po jej całym ciele.

Coś zakłuło ją w dołku pod żebrami.

I pojawiła się tam jakaś wilgoć.

Mężczyźni są wrogami, ale musisz sprawić, aby cię pragnęli.

Oto mężczyzna nie tak delikatny jak V, jej tajemny kochanek.

Nie jej bliźniak jak Cass Chaplin.

- Kupę lat się nie widzieliśmy, co?

Jeśli nie liczyć gazet.

W często grał morderców.

Fetowało się go jako mordercę.

Bo zabijanie sprawiało mu przyjemność.

Przerośnięty, wychudzony chłopak o łobuzerskich oczach i krzywym, seksownym uśmiechu.

Śmiał się głupawo i piskliwie.

W debiutanckiej roli spycha ze schodów ułomną kobietę w wózku inwalidzkim.

Śmieje się, kiedy wózek stacza się po stopniach, stacza się i rozbija, kobieta krzyczy, kamera się przygląda, niby przerażona.

Do licha, przyznaj się, że zawsze chciałeś zepchnąć ze schodów starą, unieruchomioną damę; ileż to razy miałeś ochotę zepchnąć ze schodów jakąś jedzę, na przykład swoją starą matkę, i złamać jej kark?

Byli w mieszkaniu na parterze budynku opodal La Brea, niedaleko Slauson.

Poza granicami Los Angeles, tyle Norma Jeane wiedziała.

Zawstydzona i zraniona nie zapamięta tego dokładnie.

Widziała tak dużo mieszkań, bungalowów, apartamentów hotelowych, "cabanas" i posiadłości weekendowych w Malibu, że nie będzie ich wyraźnie pamiętała po tych pierwszych latach tego, co, jak przypuszczała, będzie jej karierą albo przynajmniej jej życiem.

Mężczyźni rządzą Hollywood i należało im się zjednać.

Nie była to głęboka prawda, lecz banał, czyli prawda, na której można polegać.

Jak i na tym, że nie istnieje zło, nie istnieje grzech ani śmierć.

Nie istnieje ból.

Mieszkanie z oknami, na które kładły się cienie ostrolistnych palm, zostało umeblowane skromnie, jak we śnie, w którym krawędzie nie są wypełnione.

Wynajęte mieszkanie.

Mieszkanie dla dwóch osób.

Na zniszczonej drewnianej podłodze nie było dywanów.

Kilka krzesel, samotny telefon na parapecie zasianym korpusami owadów.

Pojedyncza kartka z "Yariety" i niewyraźny tytuł ze słowami "Red Skelton" czy może "Dead Skeleton".

W zacienionym końcu pokoju stało łóżko.

Satynowy materac wyglądał na nowy, na nim leżało nierówno prześcieradło, co wskazywało na pośpiech, ale mogło też oznaczać rozmarzenie, zamyślenie.

Jakież pocieszenie znajdujemy w gorączkowych operacjach umysłu usiłującego uchwycić znaczenie i motyw.

Świat jest - zaczynała rozumieć - olbrzymim metafizycznym poematem, którego niewidzialny, wewnętrzny kształt jest identyczny z jego kształtem widzialnym i ma takie same wymiary.

Norma Jeane, w szpilkach i letniej sukience w kwiaty jakby wziętej z okładki "Family Circle", myślała, że być może prześcieradło jest czyste, ale prawdopodobnie (jeśli wyszłaś za mąż jako szesnastolatka, to w wieku lat dwudziestu sześciu musisz być realistką) nie.

W maleńkiej, cuchnącej łazience powinny być czyste ręczniki, ale najprawdopodobniej nie były czyste.

Leżały w wiklinowym koszyku, skręcone razem i zastygłe jak szczątki ślimaków.

Wiedziałaś, co zobaczysz, więc po co patrzeć?

Roześmiała się, odwróciła z czarującą niezdarnością.

-Och!

Co to...?

W miał okazję ją podtrzymać, uspokoić w geście męskiej opiekuńczości.

-Nic, nic, maleńka.

To...

No wiesz...

Robaki.

Kątem oka zauważyła rozbiegające się karaluchy, połyskujące jak kawałki czarnego plastiku.

To tylko karaluchy (miała ich mnóstwo u siebie w domu), ale jej serce забиło na alarm.

W strzelił palcami przed jej twarzą.

- Śpisz, maleńka?

Norma Jeane roześmiała się zaskoczona.

W pierwszym odruchu zawsze wybuchwała śmiechem albo uśmiechała się.

Przynajmniej miała ten swój nowy, seksowny i chrapliwy śmiech, a nie ów absurdalny pisk.

- Och...

Nie, nie, nie, nie.

- Próbowała coś wymyślić, zaimprovizować, jak na zajęciach z aktorstwa - Tak sobie właśnie pomyślałam, że nie ma tu grzechotników.

To coś, z czego zawsze można się cieszyć, naprawdę nie ma w twoim pokoju grzechotników?

Nie budzą cię w łóżku?

Brzmiało to bardziej jak pytania niż stwierdzenia.

W obecności W, tak samo jak w obecności jakiegokolwiek innego mężczyzny u władzy, niczego nie oznajmiasz, chyba że w formie pytań.

Tylko takie obyczaje uchodzą za przejaw dobrych manier, kobiecego taktu.

Została nagrodzona, W się roześmiał.

Dobrodusznie, głośno, z głębi serca.

- Niezła jesteś, Marilyn.

Czy...

Jak no tam...

Normo?

Normo...?

Pomiędzy nimi narastało seksualne napięcie.

Jego drwiące spojrzenie na jej piersiach, na jej brzuchu, nogach, szczupłych, nagich kostkach, stopach w sandałach na wysokim obcasie.

Drwiące spojrzenie na jej ustach.

W po lubił jej poczucie humoru, zauważyła to.

Często mężczyźni ze zdziwieniem odbierali osobliwe poczucie humoru Normy Jeane, nie spodziewali się tego po "Marilyn", która była głupią blondynką o inteligencji łagodnie opóźnionego w rozwoju jedenastolatka.

Ponieważ to poczucie humoru przypominało ich własne.

Było okrutne, zgrzytliwe - jakby wgryźć się w ptysia i natrafić na drobne kawałki szkła.

W z polotem opowiadał pewną historię o grzechotniku.

W sezonie grzechotnikowym każdy znał jakąś grzechotnikową opowieść.

Mężczyźni rywalizowali ze sobą.

Kobiety przeważnie tylko słuchały.

W ogóle kobiety po to były, aby słuchać.

Norma Jeane nie myślała już o Debrze Mae.

Musiała sobie radzić z obrazem grzechotnika poruszającego piękną, maczugową główką, językiem i jadowymi zębami, sunącego w kierunku tego, co się nazywa pochwą, jej pochwą, co było jedynie pustym rozcięciem, nicością, a macica - pustym balonem wymagającym napełnienia, aby spełniło się jego przeznaczenie.

Wcale nie starała się słuchać W, który będzie jej partnerem filmowym, jeśli zostanie wypożyczona.

Jeśli zostanie wypożyczona.

Usiłowała ułożyć swą piękną, lalkowatą twarz w taki wyraz, który pozwolił by temu dupkowi myśleć, że słucha i nie błądzi gdzieś daleko myślami.

Chcę grać Nell.

Jestem Nell.

Nie możesz mnie od niej oddzielić.

Wykradnę ten film sprzed twoich oczu.

W pytał, przeciągając głoski, czy pamięta, jak spotkali się u Schwaba.

Norma Jeane odpowiedziała słodko, że oczywiście pamięta.

Jakżeby mogła nie zapamiętać?

-Czy tamtego ranka była ze m...mną Debra Mae?

Tamtego czy innego?

Te słowa same jej się wymknęły.

Nie mogła ich powstrzymać.

W wzruszył ramionami.

- Kto taki?

Nie.

- Stał tak blisko, że czuła jego zapach.

Woń potu.

I tytoniu.

- Hm, więc myślisz, że moglibyśmy razem pracować?

Norma Jeane odrzekła:

- Och, tak, moglibyśmy.

Ja bym mogła.

- Widziałem cię w Asfaltowej dżungli i jeszcze w czymś?

W Ewie?

No, byłem pod wrażeniem.

Norma uśmiechała się, najwyższym wysiłkiem woli, zaczęła się jej trząść broda.

Wymienili długie spojrzenia.

Nie było muzyki, tylko odgłosy ruchu ulicznego z ulicy i ucieczki karaluchów, co brzmiało jak miniaturowe, zduszone wybuchy śmiechu.

Chyba że to wszystko sobie wyobraża?

Ale nie, wiedziała.

To się zazwyczaj wie.

To wymowne spojrzenie: Chcę cię zerznąć.

Nie jesteś puszczalska, prawda. Jedynym kasowym aktorem w filmie będzie W, a przy najmniej jedynym aktorem, który w przeszłości zdołał już zapewnić producentowi sukces kasowy.

W miał prawo dobrać sobie partnerów.

Norma Jeane dowie się od producenta D, czy podoba się W.

Wtedy W przekaże ją D.

A może nie?

Oczywiście był jeszcze reżyser N, ale on pozostawał na usługach D, więc najprawdopodobniej jego można było pominąć w rachubach.

W grę wchodził też szef studia, B.

Jeśli człowiek dowiedział się czegośkolwiek o B, to już nie chciał wiedzieć nic więcej.

Nie istnieje zło, nie istnieje grzech ani śmierć.

Nie istnieje brzydota, z wyjątkiem chwil, gdy nas oczy zawodzą.

Co będzie, jeśli pan Shinn dowie się o tym spotkaniu z W?

(Czy to możliwe, żeby I.

E. Shinn wiedział?

) Norma Jeane wstydziła się przed sobą, że odrzuciła jego oświadczenia po tym, jak zdawała się je zaakceptować.

Była szalona!

Od tamtego okropnego dnia Isaac Shinn zachowywał się dość obcesowo i zachowywał dystans, komunikując się z nią głównie przez asystentkę i telefon.

Już nigdy nie zabrał jej na obiad do Chasena albo do Brown Derby.

Nigdy też nie "wpadał" pod uroczą niewyszukanym pretekstem do jej mieszkania przy Ventura.

Och, Boże, płakał jak żaden mężczyzna w jej obecności.

Złamała mu serce.

Tylko raz możesz złamać serce mężczyźnie.

Nie zamierzała go oszukiwać, z zażenowaniem wysłuchiwała jego słów o tym, że jest Żydem.

Zrobiło się jej niedobrze na widok I.

E. Shinna pomniejszonego do łez.

Oto, co robi z ciebie miłość.

Nawet jeśli jesteś mężczyzną.

Nawet jeśli jesteś Żydem.

Mimo wszystko przysłał jej scenariusz Don t Bother to Knock.

Nadal akceptował Marilyn Monroe jako swoją klientkę.

Za najlepszy element scenariusza uznał jego tytuł.

Intryga była wydumana, melodramatyczna, występowały strasznie męczące "komiczne" interludia, ale gdyby udało się jej zdobyć rolę Nell, Marilyn po raz pierwszy wystąpiłaby jako gwiazda.

Partnerowałaoby Richardowi Widmarkowi.

Widmarkowi!

Dostałaby poważną, dramatyczną rolę.

Coś innego niż tradycyjne gównu o głupiej blondynce.

- Zagrałabyś psychotyczną opiekunkę do dziecka - oświadczył Shinn.

- Co takiego?

Kogo...?

- zapytała Norma Jeane.

- Świrniętą opiekunkę do dziecka, która niemal wyrzuca z okna małą dziewczynkę - powiedział ze śmiechem.

- Wiąże i knebluje brzdąca.

Ryzykowna sprawa.

Właściwie nie jest zainteresowana Widmarkiem, jego postać to niedołęga, ale raz zdarzy ci się go pocałować.

Jest trochę seksu i Widmark nie będzie zły.

Ta Nell, opiekunka do dziecka, usiłuje go uwieść, myli go z narzeczoną, pilotem zestrzelonym nad Pacyfikiem podczas wojny.

Sam smutek.

Banał jak jasna cholera, ale może nikt tego nie zauważy.

W końcu Nell grozi, że brzytwą poderżnie małej gardło.

Gliniarze zabierają ją do wariatkowa.

Widmark zostaje z inną kobietą.

No, ale miałabyś więcej scen niż ktokolwiek inny i sposobność, aby wreszcie grać.

Shinn starał się mówić z entuzjazmem, ale przez telefon jego głos nie brzmiał zbyt autentycznie, raczej rzeczowo, rozsądnie.

Ot, skrzekliwy głos mężczyzny w średnim wieku.

Głos przytwierdzony do szyi w swetrze rozpinanym na guziki.

Głos niepewny.

Co się stało ze zdecydowanym Rumpelstiltzkinem?

Czyżby Norma Jeane wyobraziła sobie tylko jego magiczną moc?

Co się stanie z Jasnowłosą Księżniczką - jego kreacją - jeżeli Rumpelstiltzkin traci swą moc?

Znał mnie: Żebraczka.

Wszyscy mnie znali.

Mówił pogodnie: "Możesz opuścić mnie w każdej chwili".

- Serduszko, dostaliśmy tę rolę.

I. E.

Shinn zadzwonił do niej po trzech dniach, cały dumny.

Norma Jeane ścisnęła mocno słuchawkę.

Nie czuła się dobrze.

Właśnie czytała książkę, którą zostawił jej Cass, Z życia aktora, pełną odręcznych zapisków.

DziennikNiiyńskiego.

Kiedy chciała się odezwać do Shinna, zawiódł ją głos.

Agent rzekł zniecierpliwiony:

- Nie śpisz, mała?

Dziewczyna do dziecka.

Przecież mówię ci, dostałaś główną rolę.

Widmark poprosił o ciebie.

Dostałaś tę rolę!

Jedna z książek ześlizgnęła się na podłogę.

Starannie zatemperowany ołówek poturlał się po dywanie.

Norma Jeane próbowała odchrząknąć, usunąć jakąś przeszkodę w gardle, nieważne jaką.

- To d...dobra nowina - wykrztusiła ochryple.

- Dobra nowina?

To fantastyczna nowina - oświadczył Shinn tonem oskarżyciela.

-Jest tam ktoś z tobą?

Coś nie bardzo jesteś zachwycona.

Była sama w tym wynajętym mieszkaniu.

Od kilku dni V nie dawał znaku życia.

- Ależ jestem, jestem zachwycona.

- Norma Jeane zaczęła kaszleć.

Shinn mówił w podnieceniu, kiedy ona kaszłała.

Można by pomyśleć, że zapomniał o swoim złamanym sercu.

O zranionych uczuciach.

Nie odnosiło się wrażenia, że ma pięćdziesiąt dwa lata i wkrótce umrze.

Normie Jeane udało się w końcu odchrząknąć i wypluć w chusteczkę grudkę zielonkawej flegmy.

Podobna kleista substancja piekła ją w oczy.

Od paru dni zalegała w jej zatokach, wdzierając się w szczeliny jej mózgu, twardniała między zębami.

Shinn narzekał:

- Coś nie bardzo jesteś zachwycona.

Do diabła, chciałbym wiedzieć dlaczego.

Tyłek mnie boli od siedzenia w Wytwórni i rozmów z D, a ty mówisz: "A-leż jes-tem za-chwy-co-na".

- Starał się naśladować jej głos, nosowy, jęklivy głos niemowlęcia.

Zamilkł na chwilę, z trudem tykał powietrze.

Norma Jeane zmrużyła oczy i zobaczyła go po drugiej stronie linii: oczy rozjarzone jak rubiny, wydatny nos z rozwartymi nozdrzami, bolące, jakby zmiażdżone usta.

Usta, których nie mogła pocałować.

Kiedy chciał ją pocałować, ona wzdygnęła się i odwróciła z krzykiem.

Przepraszam!

Po prostu nie mogę!

Nie mogę cię kochać!

Wybacz.

- Zrozum, Nell to będzie dynamit.

Zgoda, rola nie ma większego sensu, a zakończenie filmu jest do bani, ale to twoja pierwsza główna rola.

Poważny film z prawdziwego zdarzenia.

Nareszcie Marilyn zmierza swoją drogą.

Wątpisz we mnie, co?

W jedyne go swojego przyjaciela, Isaaca?

- Och, nie!

Nie.

- Norma Jeane znowu splunęła w chusteczkę i szybko zwinęła ją, nawet na nią nie patrząc.

- Panie Shinn, n...nigdy bym w pana nie zwątpiła.

NELL 1952

Transformacja -oto, za czym, świadomie bądź nie świadomie, tęskni natura aktora.

Michaił Czechow, O technice aktora

Znałam ją.

Byłam nią.

Właściwie to nie kochanek, lecz ojciec ją opuścił.

Powiedzieli jej, że zginął na wojnie.

Skłamali: zginął, ale tylko dla niej.

Frank Widdoes.

Detektyw z wydziału zabójstw w Culver City, Frank Widdoes!

Na pierwszej próbie do Don t Bother to Knock uświadomiła sobie, kim jest Jed Towers.

Wcale nie znanym aktorem (który nie wzbudzał w niej żadnych szczególnych emocji, nawet pogardy), tylko utraconym kochankiem Frankiem Widdoesem, którego nie widziała od jedenastu lat.

Jed To wers miał oczy detektywa Widdoesa, bezwzględne, ale stęsknione i zdradzające poczucie winy.

Ten mężczyzna nie pasował do roli gburowatego faceta o złotym sercu.

To była rola dla V, nie dla W z tym jego krzywym uśmiechem i drwiącymi oczami.

W gruncie rzeczy W był bandytą, zabójcą.

Prześladowcą seksualnym.

Mimo to wystarczyło, że dotknął Nell, by ta omdlewała w jego ramionach.

Należy użyć tego staromodnego słowa:

"omdlewała".

Ta szaleńcza pewność błyszcząca w jej szeroko otwartych oczach.

Zuchwałość ciała małej kobietki.

(Norma Jeane uparła się, żeby Nell miała na sobie obcisły stanik.

Jej piersi zmieniły kształt pod naporem sztywnego materiału.

Już niedługo znakiem rozpoznawczym Marilyn będzie chodzenie bez bielizny, ale w roli Nell bielizna była konieczna.

"Paski biustonosza powinny przebijać przez materiał, kiedy ktoś będzie patrzył na mnie od tyłu.

Ona stara się zachować rozsądek.

Stara się jak może").

Kocham cię, zrobię dla ciebie wszystko.

Nie ma mnie, jesteś tylko TY.

Będzie całowała Jeda Towersa.

Namiętnie, żarliwie.

Richard Widmark bardzo się zdziwi, że partnerka tak ochoczo rzuci mu się w ramiona.

Przestraszy się.

Czy to aktorstwo?

Czy Marilyn Monroe gra Nell, czy Marilyn Monroe tak bardzo go pożąda?

Ale czymże w ogóle jest aktorstwo?

Norma Jeane nigdy nie pocałowała Franka Widdoesa.

Nie tak, jak on chciał.

Wiedziała jak i odmówiła.

Wystraszyła się go.

Dorośli mężczyzna potrafi dostać się do twojej duszy.

Jej chłopcy byli tylko chłopcami.

A chłopak, póki jest chłopcem, nic nie potrafi.

Chłopak może cię wprawdzie zranić, ale nie ma dostępu do twojej duszy.

"Norma Jeane.

Cześć.

Wskakuj".

Nie miała wyboru, musiała zająć miejsce w jego samochodzie; jej długie, kręcone włosy kołysały się wokół głowy.

Co Widmark mógł wiedzieć o Widdoesie?

Nic a nic.

Nie miał o nim zielonego pojęcia.

Zmusił ją, by klękła przed nim, ale przecież nie kochała go.

Nie kochała jego pewności siebie, seksualnej arogancji, penisa, z którego był bardzo dumny; to nie było dla niej rzeczywiste.

Frank Widdoes głaskał ją po włosach i ta pieszczota była realna.

Mruczał jej imię.

Imię, które brzmiało magicznie w jej uszach, w jego ustach.

Słowa "Norma Jeane" nie brzmiały magicznie, chyba że wypowiadał je Frank Widdoes; wtedy wiedziała, że jest piękna i pożądana.

Być pożądana znaczy tyle samo, co być piękna.

Przecież ukrywał ją, wołał ją po imieniu, a ona wskakiwała do jego samochodu.

Do nieoznakowanego samochodu policyjnego.

Służył prawu.

Służył państwu.

Pełniąc służbę, mógł nawet zabić.

Widziała na własne oczy, jak uderzył pistoletem jakiegoś chłopca, powalił go na kolana, na splamioną krwią ulicę.

Nosił rewolwer w kaburze przytroczonej do lewego ramienia i pewnego dżdżystego, mglistego popołudnia, niedaleko kolejowego nasypu, gdzie znaleziono jakieś zwłoki, chwycił ją za rękę, za delikatną, małą dłoń i zamknął jej palce wokół nagrzanej od jego ciała lufy rewolweru.

Och, kochała go!

Dlaczego go nie pocałowała?

Dlaczego nie pozwoliła mu się rozebrać, całować do woli, jak chciał, nie pozwoliła kochać się ustami, dłońmi, ciałem?

Miał w portfelu "zabezpieczenie", w aluminiowym opakowaniu.

"Normo Jeane?

Daję słowo.

Nie będzie bolało".

Za to pozwalała mu się głaskać po włosach.

Był dla niej prawdziwym ojcem.

Dla jej dobra mógł zrobić komuś krzywdę, ale jej nie skrzywdziłby nigdy.

Straciła Franka Widdoesa.

Zniknął z jej życia tak samo jak Pirigowie, pan Haring, jej długie, kręcone włosy w kolorze ciemnoblonde i lekko krzywe przednie zęby.

Niemniej teraz miała przy sobie postać filmową, Jeda To wersa.

Ten aktor nazywał się Richard Widmark.

Nie widziałam Widmarka- który dla mnie znaczył wtedy niewiele więcej niż plakat filmowy sławnego aktora - tylko Franka Widdoesa, który wstąpił

do mojej duszy.

Ileż namiętności było w Nell!

Jej skóra płonęła, ciało pragnęło miłości!

Zachowywała się nierozważnie, nadając sygnały nieznanemu poruszeniem żaluzji.

Opiekowała się dzieckiem w wielkomijskim hotelu.

Chętnie wchodziła w świat fantazji.

Luksusowe, pożyczone ubrania, pożyczone perfumy, biżuteria, makijaż - przekształcały myszowatą, szarą Nell w powabną blondwłosą piękność, która zaczynała niepokoić Jeda To wersa swym młodym, chętnym ciałem.

Każde działanie wymaga motywacji.

Musisz znaleźć uzasadnienie dla każdego zachowania na scenie.

Nell dopiero niedawno wyszła ze szpitala dla psychicznie chorych.

Próbowwała popełnić samobójstwo.

Pozostały jej blizny na nadgarstkach.

Obawiała się wolności.

Tak samo Gladys ogarniało przerażenie na myśl o opuszczeniu Norwalk.

Dłonie Gladys zaciskały się niczym szpony.

Szczupłe ciało Gladys sztywniało, kiedy Norma Jeane prosiła: "Może przyjechałabyś do mnie na jakiś weekend?"

Niedługo Święto Dziękczynienia.

Och, Mamo".

Przybywa nieznajomy, stuka do drzwi Nell.

Jego drwiące oczy wędrują po jej ciele; bez wątpienia jego lustracja ma podłoże seksualne.

Przyniósł butelkę whisky, on także jest podekscytowany i zdenerwowany.

Drżą jej powieki, jakby ją głąskał po brzuchu; jej dziecięcy głos jest jakby niższy.

"Podoba ci się to, jak wyglądam?"

" Potem się całują.

Nell zabiera się do pocałunku jak wygłodniała żmija.

Jed Towers został zaskoczony.

Widmark został zaskoczony.

Nie dowie się już nigdy, kiedy miał do czy nienia z Marilyn, kiedy z Nell.

Widmark miał zupełnie inny styl grania.

Jako aktor był zawodowcem.

Precyzyjnie wypełniał polecenia reżysera.

Często błędził myślami gdzieś daleko.

Na pewno było coś upokarzającego w byciu aktorem, zwłaszcza aktorem mężczyzną.

W każdym aktorze jest coś z kobiety.

Makijaż, przygotowywanie kostiumu.

Nacisk na wygląd, atrakcyjność.

Bo w końcu kto by tam patrzył, jak wygląda mężczyzna?

Lecz mimo wszystko spodziewał się, że ten film będzie jego osobistym sukcesem.

To właściwie melodramat, który powinien się rozgrywać na deskach teatru, statyczny, z mnóstwem słów, ot, taka sobie jednoaktówka.

Richard Widmark był jedyną gwiazdą w obsadzie i jak sądził, od niego zależał ewentualny sukces kasowy.

Uważał za oczywiste, że zdominuje film.

Przemaszeruje przez Don't Bother to Knock jako obiekt westchnień dwóch ładnych kobiet, które się nigdy nie spotykają.

(Ta druga to Annę Bancroft w hollywoodzkim debiucie.) Każda pieprzona scena z Nell okazała się nie lada przeprawą.

Mógłby przysiąc, że dziewczyna nie grała.

Do tego stopnia utożsamiała się z odtwarzaną postacią, że nawiązanie z nią kontaktu wydawało się niemożliwe, jak z lunaticzką.

Szeroko otwarte oczy, niby widzące, ale tylko marę senną.

Oczywiście opiekunka do dziecka o imieniu Nell była przypadkiem lunaticzką; scenariusz tak ją definiował.

Niby patrzy na Jeda Towersa, ale nie widzi go, tylko nieżyjącego narzeczonego; porusza się w pułapce iluzji.

Scenariusz wcale nie wyjaśnia psychologicznych podstaw problemu, z którego rodzi się melodramat.

Gdzie kończy się sen, a zaczyna szaleństwo?

Czy cała "miłość" opiera się na iluzji?

Później Widmark będzie opowiadał historię o tym, jak ta sprytna mała suka, Marilyn Monroe, kradła mu wszystkie sceny, w których razem występowali!

Wszystkie sceny!

Z początku nie było to oczywiste, dopiero wtedy, gdy oglądali nakręcony w danym dniu materiał.

Ale nawet wówczas nie było to tak jasne, jak podczas projekcji w kinie, kiedy zobaczyli film w całości.

Tak naprawdę Marilyn Monroe udało się ukraść każdą scenę, w której występowała.

A kiedy Nell wychodziła z kadru, film zamierał.

Widmark nie znosił Jeda Towersa - samo gadanie.

Nikogo nie zabił, nie rąbnął w szczękę, nie kopnął, nie zranił;

jedynie świrnięta blondynka, to znaczy opiekunka do dziecka, miała soczyste sceny akcji.

Wiązała i kneblowała krnąbrną małą dziewczynkę, wyrzucała ją niemal z wysokiego okna.

(Podczas pokazu nawet wśród weteranów Hollywood połowa wzdychała i wołała błagalnie: "Nie, nie!

") Najgorsze zaś było to, że na planie Marilyn Monroe wydawała się sztywna z przerażenia.

Jakby miała w tyłku pogrzebaczk.

"Co za kukła.

Śliczna twarz, wspaniała figura, a ty miałeś ochotę unikać jej, jakby roznosiła zarazę.

W naszych scenach "miłosnych- miałem wrażenie, że wypruwa ze mnie flaki, a nie mam ich za dużo.

Ona albo w ogóle nie potrafi grać, albo gra bez wytchnienia.

"Całe jej życie jest grą, czymś tak dla niej naturalnym jak oddychanie".

Do białej gorączki doprowadzało Widmarka to, że Nell musiała wielokrotnie powtarzać wszystkie pieprzone sceny.

Ten w uszach lekki jak tchnienie, uparty głos: "Proszę.

Potrafię zagrać lepiej, wiem o tym".

Więc powtarzaliśmy sceny, które reżyser już wcześniej uznał za dobre.

Pewnie, powtórzona scena okazywała się lepsza, za każdym razem odrobinę lepsza, ale co z tego?

Czy mierny melodramat był tego wart?

Być może ona walczyła o życie, lecz nie on.

Dziwne.

Właśnie tego ranka uświadomiła to sobie.

Ludzie znali jedynie Marilyn Monroe, nie Normę Jeane.

Wcale nie chciałam zabić tego dziecka!

Dziewczynka wyrosła, przestała być dzieckiem.

Utraciła wszystkie wyjątkowe cechy.

Powiedziała reżyserowi:

- Dlatego chce je zabić: dziecko jest nią.

Dziecko to Nell.

Chce popełnić samobójstwo.

Nie chce dorosnąć, a jeśli nie chcesz dorosnąć, to musisz umrzeć.

Mam nadzieję, że wolno mi będzie dodać trochę tekstu od siebie!

Wiem, że poradzę sobie lepiej.

Nell jest poetką.

Nell chodziła na zajęcia z poezji i napisała wiersz o miłości i śmierci.

Śmierć zabrała jej miłość.

Dlaczego patrzy pan na mnie w ten sposób?

To wszystko jest jasne jak słońce.

Oczywiście.

Zagram Nell po swojemu.

Proszę mi tylko pozwolić.

Wiem, jak to zrobić.

Niżyński też był dzieckiem opuszczonym przez ojca, przystojnego tancerza.

Opuszczonym i cudownym.

Tańczyć, tańczyć!

Zadebiutował jako ośmiolatek, by zakończyć karierę dwadzieścia lat później.

Co możesz robić, jeśli nie tańczyć, tańczyć bez końca?

Tańczyć!

Tańczysz na rozżarzonych węglach i publiczność szaleje, ale kiedy przestaniesz, ogień cię strawi.

Jestem Bogiem, jestem śmiercią, jestem miłością, jestem Bogiem, śmiercią i miłością.

Jestem twoim bratem.

Spokojna jak nakręcana lalka.

Ale w duchu drżała.

Napięcie narastało w niej powoli i niewidocznie.

Jej blada skóra była lepka od potu (skóra Nell była lepka od potu), a jednocześnie gorąca w dotyku.

Kiedy się całowaliśmy, wessałam w siebie jego duszę jak język.

Śmiałam się.

Ależ on się mnie wystraszył była szalona (szalona była Nell), ale patrzyła przenikliwymi oczami szaleńca.

Oczywiście nie utożsamiała się z Nell, była młodą, utalentowaną aktorką, "grającą" Nell.

Tak jak ktoś mógłby "grać" na fortepianie, A jednak miała w sobie coś z Nell.

Aktor jest większy niż role, które w nim tkwią, zatem Norma Jeane była kimś więcej niż Nell.

Nell była ziarnkiem szaleństwa w jej głowie.

Nell obiecała szeptem: "Będę taka, jak zechcesz".

Na koniec, kiedy ją zabierali, szepnęła: "Ludzie, którzy się kochają..." Nell Żebraczka.

Nell bez nazwiska.

Ośmieliła się przekształcić w księżniczkę, przywłaszczyć sobie przedmioty należące do pewnej zamożnej kobiety:

czarną elegancką suknię koktajlową, diamentowe kolczyki, perfumy i szminkę.

Lecz Żebraczkę zdemaskowano i ponizono.

Udaremniono nawet jej próbę popełnienia samobójstwa.

W miejscu publicznym, w foyer hotelu.

Gapili się na nią obcy ludzie.

Nigdy nie byłam bardziej szczęśliwa niż wtedy, gdy podniosłam ostrze brzytwy do swojego gardła.

Głos Matki nalegał: .

Tnij!

Nie bądź tchórzem jak ja.

Ale Norma Jeane odpowiedziała spokojnie: We.

Jestem aktorką.

To moja praca.

Robię to, co robię, bo udaję, sama taka nie jestem.

Póki mam w sobie Nell, Nell nie ma w sobie mnie.

Był to czas samodyscypliny.

Głodowała i piła wodę z lodem.

Co rano biegała ulicami West Hollywood aż po Laurel Canyon Drive, póki jej młode ciało nie zaczęło tętnić energią.

Nie odczuwała potrzeby snu.

Nie potrzebowała magicznych mikstur na sen.

Nocami z wigorem przygotowywała się do roli albo czytała książki, w większości pożyczone lub kupione w antykwariacie.

Fascynował ją Niżyński.

W jego szaleństwie dostrzegała piękno i pewność.

Zaczęło jej się wydawać, że zna Niżyńskiego już od wielu lat.

Śniło jej się kilka jego snów.

Norma Jeane miała w sobie coś z Nell, lecz z pewnością nią nie była.

Bo Nell nie dojrzała całkowicie, cierpiała na niedorozwój emocjonalny.

Nie potrafiła żyć bez ukochanego, który by ją chronił przed szaleństwem i samozniszczeniem.

Należało ją pokonać, wygnać.

Dlaczego nie zemściła się?

Normę Jeane kusiło, aby wypchnąć z okna rozkapryszone dziecko - w pełnej napięcia, emocjonującej scenie.

Jak jej Matkę kusiło, aby upuścić niemowlę na podłogę.

Wołać potem do opiekunki: Boże, wyślizgnęła misie z rąk!

To nie moja wina.

Norma Jeane wstrzymała produkcję, zapytała reżysera N, czy nie mogłaby napisać tej sceny na nowo?

Dopisać zaledwie kilka kwestii.

- Wiem, co powiedziałyby Nell.

Tego na pewno nie.

- Ale N się nie zgodził.

Wprawiła go w osłupienie.

Co by było, gdyby każda aktorka żądała zmiany tekstu?

- Ja nie jestem każdą aktorką!

- zaprotestowała Norma Jeane.

Nie wyjaśniła N, że jest poetką i wolno jej dodawać własne słowa.

Do furii doprowadziła ją niesprawiedliwość losu Nell.

Bo szaleństwo należało ukarać w świecie, w którym nagradzano rozsądek.

Zwyczajni mścili się na wyjątkowych i nawiedzonych.

Nawet I.

E. Shinn zaczął zauważać zmiany zachowania swojej klientki.

Kilka razy zajrzał na plan filmu Don't Bother to Knock.

Trzeba było zobaczyć wyraz twarzy Rumpelstilzki.

Norma Jeane tak głęboko weszła w postać Nell, że ledwo go dostrzegała, zresztą tak samo jak innych obserwatorów.

Między ujęciami uciekała i chowała się.

Nie była towarzyska.

Unikała wywiadów.

Inni aktorzy nie rozumieli jej zachowania.

Bancroft podziwiała jej zaangażowanie, ale wystrzegała się jej.

Tak jest, to się mogło udzielić!

Widmarka pociągała seksualnie, ale stopniowo przestał Normę Jeane lubić.

Nie ufał jej.

Pan Shinn ostrzegł ją, aby się nadmiernie nie eksploatowała - aż tak nie angażowała.

Miała ochotę rozeźmiać mu się w twarz.

Daleko za sobą zostawiła Rumpelstilzki.

Niech rzuca te swoje zaklęcia.

Jak gdyby Marilyn była jego wynalazkiem.

Jego!

Był to czas samodyscypliny.

Zachowa wspomnienie tego okresu jako rzeczywistych narodzin swego aktorskiego życia.

Wtedy uświadomiła sobie, czym może być aktorstwo: powołaniem, przeznaczeniem.

Jej "kariera" została w wulgarny sposób rozreklamowana przez Wytwórnię.

I miała się nijak do jej bogatego życia wewnętrznego.

W samotności przeżywała wciąż na nowo życie Nell.

Uczyła się na pamięć jej słów.

Szukała dla niej ciała, rytmu mowy.

Nocami, zbyt podekscytowana, aby spać po intensywnie przepracowanym dniu, czytała O technice aktora Michaiła Czechowa, Prace aktora nad sobą Konstantina Stanisławskiego i książkę, którą poleciła jej nauczycielka dramatu, The Thinking Body Mabel Todd.

Ciało jest chwiejne, właśnie dlatego przetrwało.

Odbierała to jak poezję, paradoks, który jest prawdą.

Wiedziała, że gra wyłącznie intuicyjnie, a może w ogóle nie gra, i że ten wysiłek ducha wypali ją około trzydziestki.

Ostrzegał ją przed tym pan Shinn.

Norma Jeane była jak młody sportowiec, który chce bardzo szybko osiągnąć wyznaczone sobie granice i natychmiast je przekroczyć, przehandlowując młodość za oklaski i uznanie tłumu.

Coś podobnego spotkało Niżyńskiego.

Geniusz obywa się bez techniki.

Lecz technika oznacza zdrowie psychiczne.

Nauczyciele mówili, że brak jej techniki.

Czymże jest jednak ta, jeśli nie brakiem namiętności?

Do Nell dawało się dotrzeć nie za pośrednictwem techniki, lecz jedynie, zanurzając się w jej duszy.

Nell była porywcza i przekłeta.

Nell należało pokonać, zaprzeczyć jej seksualności.

Na czym polegał sekret Nell?

Norma Jeane zbliżyła się do niego, ale nie mogła go przeniknąć.

Potrafiła być Nell jedynie do pewnego stopnia.

Rozmawiała z N, który nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

Rozmawiała z V, powiedziała mu, że nigdy nie przy puszczała, że aktorstwo może czynić tak samotnym.

- Aktorstwo to najsamotniejsze zajęcie, jakie znam - powiedział V.

Nigdy jej nie wykorzystywałam, nie.

Nie naśladowałam jej.

Dostałam to od niej w prezencie.

Daję słowo!

To był dla niej bardzo ważny ranek.

Pożyczonym buickiem ze składanym dachem pojechała do stanowego szpitala w Norwalk.

Miała wolne.

Tego dnia mogła zapomnieć o Nell.

Na ten ranek nie przewidziano żadnych prób, żadnych zdjęć.

Jak zwykle Norma Jeane przywiozła Gladys prezenty: cienki tomik poezji Louise Bogan, mały wiklinowy koszyk pełen śliwek i gruszek.

Mimo że miała powody sądzić, iż Gladys rzadko czyta .

podarowane jej książki z wierszami i podejrzliwie traktuje prezenty żywnościowe.

"Ale kto by ją otruił?

Kto oprócz niej samej?

Norma Jeane jak zwykle zostawi Gladys pieniądze.

Było jej wstyd, bo nie odwiedziła Gladys od Wielkanocy, a teraz był wrzesień.

Wprawdzie wysłała matce czek na dwadzieścia pięć dolarów, jednakże nie zdążyła jej przekazać dobrej wieści o Don t Bother to Knock.

Norma Jeane tak długo nie przekazywała Gladys wieści o swoim życiu i karierze, bo myślała sobie: Może to nieprawda: Może to sen?

Może wszystko mi odbiorą?

Na odwiedzin w szpitalu włożyła stylowe białe nylonowe spodnie, czar ną bluzkę z jedwabiu, związała połyskujące platynowoblond włosy przejrystą czarną chustką, na nogi włożyła czarne pantofelki na średnim obcasie.

Poruszała się z gracją, mówiła łagodnie.

Nie okazywała żalu, zdenerwowania, rozdrażnienia; wyszła z roli Nell, zostawiła ją za sobą; Nell byłaby przerażona, gdyby musiała pójść do szpitala dla psychicznie chorych, zdrętwiałaby już przy wejściu, nie zdołałaby wejść do środka.

Jakie to oczywiste: nie jestem Nell".

Wmawiała sobie: To tylko rola.

Część filmu.

Część całości.

Nell nie istnieje, nie jest tobą.

Nie jest twoim życiem.

Nie jest nawet twoją karierą.

Nell jest chora, a ty jesteś zdrowa.

Nell to jedynie rola, ty zaś jesteś aktorką.

To prawda.

To prawda!

Tego ranka stała się Jasnowłosą Księżniczką odwiedzającą w Norwalk swoją matkę.

Cierpiącą na "zaburzenia psychiczne" matkę, którą kochała i której nie opuściła.

Matkę, Gladys Mortensen, której nie zostawi nigdy, inaczej niż mnóstwo córek, synów, sióstr i braci, którzy zapomnieli o członkach swoich rodzin przebywających w Norwalk.

Była teraz Jasnowłosą Księżniczką, której inni przyglądali się podekscytowani, z nadzieją i podziwem, oceniając dystans między nimi a nią i starając się, aby ten dystans był odpowiedni.

Była Jasnowłosą Księżniczką zobowiązaną przez Wytwórnę, tak jak wcześniej przez agencję Preene, aby w miejscach publicznych pokazywać się w nienagannym stroju i nienagannym makijażu; każdy włos musiał się znajdować na swoim miejscu, bo właśnie w takich chwilach jak ta przyglądają ci się bez przerwy - oczy i uszy całego świata skierowane są w twoją stronę.

Norma Jeane natychmiast uświadomiła sobie, że recepcjonistka i pielęgniarki przyglądają się jej z życzliwym zainteresowaniem.

Jak gdyby w tym ponurym szpitalu pojawił się jasny płomień.

Doktor K nie kazał na siebie czekać, przyszedł szybko jak nigdy dotąd.

Ze swoim kolegą, doktorem S, którego nigdy wcześniej nie widziała.

Uśmiechy, uściski dłoni!

Wszyscy chcieli zobaczyć aktorkę filmową, córkę Gladys Mortensen.

Nikt z nich nie widział Asfaltowej dżungli ani Wszystkiego o Ewie, ale widzieli, albo im się zdawało, zdjęcia czarującej gwiazdki Marilyn Monroe w gazetach i magazynach.

Nawet ci, którzy nie wiedzieli więcej o Marilyn Monroe niż o Normie Jeane Baker, chcieli rzucić na nią okiem, kiedy prowadzili ją labiryntem korytarzy do odległego skrzydła C.

("C" jak "Chroniczne przypadki"?)

)

"Jest ładna, prawda?"

Śliczna!

Te włosy!

Oczywiście sztuczne.

Spójrzcie tylko na biedną Gladys i jej włosy.

Ale są do siebie bardzo podobne, nie?

Córka i matka.

To oczywiste".

Jednak Gladys zdawała się nie poznawać Normy Jeane.

W ten swój chytry, uparty sposób odwlekała moment rozpoznania córki.

Siedziała na za padniętej sofie w mrocznym kącie cuchnącej sali i wyglądała jak worek z brudną bielizną.

Być może była to matka czekająca na wizytę córki, być może nie.

Norma Jeane poczuła ukłucie rozczarowania, zrobiło jej się przykro: Gladys miała na sobie bezkształtną, szarą sukienkę z bawełny, bardzo podobną do tej, którą włożyła w niedzielę wielkanocną, chociaż Norma Jeane zapowiedziała jej wtedy, że zjedzą śniadanie poza terenem szpitala.

Dzisiaj też miały pojechać do miasteczka.

Czyżby Gladys zapomniała?

Jej włosy wyglądały tak, jakby nie czesała ich od wielu dni.

Były wilgotne, tłuste, miały dziwny, szarobrązowy, metaliczny odcień.

Jej oczy były zapadnięte, ale czujne; wciąż piękne, lecz mniejsze od tych, które Norma Jeane zachowała w pamięci.

Tak samo jak usta Gladys były mniejsze, otoczone głębokimi zmarszczkami, które wyglądały jak nacięcia.

- Och, M...mamo!

Tu jesteś!

Ależ to głupio zabrzmiało.

Norma Jeane pocałowała Gladys w policzek, odruchowo wstrzymując oddech przed zatęchłą wonią drożdży.

Gladys podniosła na Normę Jeane twarz przypominającą maskę i powiedziała lodowato:

- Czy my się znamy, panienko?

Śmierdzisz.

Norma Jeane roześmiała się i zarumieniła.

(W pobliżu byli pracownicy szpitala.

Specjalnie kręcili się przy drzwiach.

Zachłannie przyswajali wszystko, co widzieli i słyszeli, a co dotyczyło wizyty Marylin Monroe u jej matki.) To był naturalnie żart: Gladys nie lubiła chemicznego zapachu rozjaśnionych włosów Normy Jeane zmieszanego z wonią drogich perfum marki Chanel, prezentu od V.

Zakłopotana Norma Jeane wymamrotała słowa przeprosin, a Gladys wzruszeniem ramion wyraziła przebaczenie - lub obojętność.

Zdawała się powoli wychodzić z transu.

Tak jak Nell.

Ale nie naśladowałam jej, daję słowo.

Nadeszła pora na krótki rytuał wręczania prezentów.

Norma Jeane usiadła obok Gladys na zapadniętej sofie i wręczyła jej tomik poezji oraz koszyk z owocami, mówiąc o tych darach z emfazą, jak gdyby były to rzeczy wyjątkowo wartościowe, a nie rekwizyty sceniczne, coś, czym można zająć ręce.

Gladys wykrztusiła podziękowanie.

Rzeczywiście sprawiała wrażenie, że odbieranie prezentów sprawia jej radość, choć nie miała z nich pożytku i najprawdopodobniej pozbędzie się ich, od razu gdy Norma Jeane odejdzie, albo ukradną jej wszystko inni pacjenci, a ona w ogóle nie będzie się przed tym bronić.

Nie naśladowałam tej kobiety.

Daję słowo!

Norma Jeane jak zwykle mówiła najwięcej.

Uważała, że Gladys nie może się dowiedzieć o Nell; Gladys nie powinna wiedzieć o ponurym melodramacie Dont Bother to Knock, ukazującym psychicznie chorą kobietę, która męczy małą dziewczynkę i jest bliska jej uśmiercenia.

Gladys nie powinna oglądać tego rodzaju filmów, tak jak inni pacjenci szpitala w Norwalk.

Jednak Norma Jeane nie mogła się powstrzymać i napomknęła Gladys, że ostatnio pracuje jako aktorka: "poważna, wymagająca praca"; dalej miała kontrakt z Wytwórnią; "Esquire" opublikował artykuł o niej, przedstawicielce nowej fali hollywoodzkich gwiazdek.

Gladys słuchała tego wszystkiego w swój zwykły sposób, czyli jak somnambulik, ale kiedy Norma Jeane otworzyła jedno z czasopism i pokazała jej całostronicowe zdjęcie Marilyn Monroe w białej sukience z cekinami i głębokim dekoltem, uśmiechniętej radośnie do obiektywu, Gladys zamrugła i wytrzeszczyła oczy.

Norma Jeane powiedziała na usprawiedliwienie:

-Tę sukienkę dostałam z Wytwórni.

Nie jest moja.

Gladys skrzywiła się.

- Nosisz nie swoje sukienki?

Czy ona aby jest czysta?

Czy to czysta sukienka?

Norma Jeane roześmiała się zakłopotana.

-Wiem, że to wygląda, jakby nie mnie sfotografowano.

Ludzie mówią, że Marilyn jest fotogeniczna.

- Aha - mruknęła Gladys.

- Czy twój ojciec wie?

-M...mój ojciec?

Co wie?

- O tej Marilyn.

- Skąd miałby znać mój pseudonim artystyczny?

Lecz Gladys najwyraźniej się ożywiła.

Patrzyła z dumą, macierzyńską dumą, przebudzona z wieloletniego transu, kontemplując wspaniały widok - jak dojrzewające owoce - sześciu pięknych młodych gwiazdek, z których każda mogła być jej córką.

Norma Jeane czuła się tak, jakby została skarcona.

Wykorzystałaby mnie, aby nawiązać z nim kontakt.

Oto, co dla niej znaczę.

Jego kocha, nie mnie.

Norma Jeane sprytnie zapytała:

- Gdybyś podała mi nazwisko ojca, wysłałabym mu to czasopismo.

Ojej, mogłabym kiedyś do niego...

zadzwoić.

Czy on jeszcze żyje?

Jest w Holly wood?

- Wahała się, czy powiedzieć matce, że od lat próbuje ustalić tożsamość ojca i uczynni ludzie, zwykle mężczyźni, podawali jej jakieś nazwiska, lecz żadne z nich nie okazało się właściwe.

Starają się sprawić mi przyjemność.

Wiem.

Aleja się nie poddam!

(Clark Gable?

Flirtowała z nim nerwowo, na rauszu, podczas bankietu.

Zażartowała, że mogą być spokrewnieni, ale ten sławny człowiek zupełnie nie wiedział, o co jej chodzi.) Powtórzyła: -Jeśli powiesz, jak się nazywa mój ojciec.

Jeśli...

Gladys najwidoczniej straciła entuzjazm.

Zamknęła czasopismo.

Powiedziała głucho i beznamiętnie:

- Nie.

Norma Jeane uczesała jej włosy, ułożyła je trochę, i pod wpływem impulsu zawiązała wokół jej pomarszczonej szyi przezrystą czarną chustkę, którą sama dostała od V.

Następnie wyprowadziła matkę pod rękę ze szpitala.

Ustaliła to już wcześniej z odpowiednimi osobami; Gladys Mortensen należała do pacjentek korzystających z tego rodzaju przywilejów.

To była bardzo długa panorama kamery, której w tle towarzyszyła pogodna muzyka.

Na trasie stał uśmiechnięty personel szpitalny, pielęgniarki i lekarze, w tym także doktor X.

Recepcjonistka powiedziała Gladys: Jakże pięknie pani dzisiaj wygląda, pani Mortensen!

" Z powiewającą chustką wokół szyi Gladys stała się kobietą pełną godności.

Nie dała po sobie poznać, że usłyszała tę uwagę.

Norma Jeane zabrała ją do salonu piękności w Norwalk, gdzie dużym nakładem pracy umyła i ułożyła Gladys włosy.

Gladys nie opierała się, ale też i niezbyt współpracowała.

Potem Norma Jeane zaprowadziła ją na wczesny lunch do herbaciarni.

Klientela składała się tu przeważnie z kobiet, a i tych było niewiele.

Otwarcie spoglądały na zachwycającą młodą blondynkę i towarzyszącą jej kruchą kobietę w średnim wieku, która mogła być - musiała być?

- jej matką.

Włosy Gladys wreszcie dobrze się prezentowały, a chustka przysłoniła poplamioną i wygniecioną górną część sukni.

Z dala od przytłaczającej atmosfery szpitala psychiatrycznego Gladys mogła uchodzić za zupełnie normalną.

Norma Jeane zamówiła lunch.

Pomogła matce napełnić filiżankę herbatą.

Powiedziała figlarnie:

- Co za ulga wyjść stamtąd!

Z tego okropnego miejsca!

Mogłybyśmy po prostu jechać i jechać przed siebie, prawda, Mamo?

Po prostu jechać!

Jesteś moją matką, byłoby to całkiem legalne.

Jechać wzdłuż wybrzeża do San Francisco.

Do Portland, Oregonu.

Na...

Alaskę.

- Ileż to razy Norma Jeane napomykała, że Gladys może spędzić kilka dni w jej hollywoodzkim apartamencie; spokojny weekend: "Tylko my dwie".

Teraz Norma Jeane pracowała na planie filmu po dwanaście godzin dziennie, więc nie było to zbyt realne; ale propozycja była aktualna.

Gladys wzruszyła ramionami i chrząknęła zdezorientowana.

Żuła jedzenie.

Napiła się herbaty, nie bacząc na to, że parujący napój parzy jej usta.

Norma Jeane powiedziała kokieterynie: .

- Powinnaś więcej wychodzić, Mamo.

Tak naprawdę nie dolega ci nic poważnego.

Nerwy, hm, wszyscy się denerwujemy.

W Wytwórni pracuje lekarz, który przepisuje aktorom pigułki na uspokojenie.

Ja ich nie biorę.

Wolę się denerwować.

- Norma Jeane słyszała swój prowokacyjny, dziewczęcy głos.

Głos, którego wyuczyła się do roli Nell.

Dlaczego w ogóle wypowiada te słowa?

Fascynowało ją samo słuchanie.

- Czasem przychodzi mi do głowy myśl, że ty w ogóle nie chcesz wyzdrowieć.

Ukrywasz się w tym strasznym miejscu.

Tam cuchnie.

Twarz Gladys stężała.

Głęboko osadzone oczy zdawały się zapadać.

Za drżała jej dłoń trzymająca filiżankę, odrobina herbaty mimochodem wylała się na czarną chustkę.

Norma Jeane mówiła dalej przyciszonym, dziewczęcym głosem.

Mogłyby zawiązać spisek, matka i córka!

Mogłyby zaplanować ucieczkę.

Norma Jeane nie była Nell, ale mówiła głosem Nell, jej zmrużone oczy błyszczały jak oczy Nell w tych ekstatycznych scenach, w których ujarzmiła Jeda Towersa, tak jak Marilyn Monroe ujarzmiła Widmarka.

Gladys nigdy nie spotkała Nell.

Gladys nigdy Nell nie spotka.

Byłoby to zbyt okrutne, byłoby to jak zerknięcie w zniekształcające lustro: lustro, które zmienia starzejącą się kobietę w dziewczynę promieniejącą urodą.

Norma Jeane nie była Nell, ponieważ Nell nie istniała.

Odebrali jej ukochanego, odebrali ojca, twierdzili, że jest szalona, i dlatego Nell nie istniała.

- To zagadka, której nie potrafię rozwiązać, Mamo, najtrudniejsza z zagadek - powiedziała w zamyśleniu Norma Jeane.

- Że niektórzy z nas istnieją, ale większość nie.

W starożytnej Grecji żył pewien filozof, który twierdził, że najprzyjemniejszy stan polegać będzie na nieistnieniu, ale ja się z nim nie zgadzam, a ty?

Bo wtedy brakowałoby nam wiedzy.

Urodziliśmy się, a to musi coś oznaczać.

Gdzie byliśmy wcześniej, zanim przyszliśmy na świat?

Mam przyjaciółkę, która ma na imię Nell.

Tak samo jak ja ma podpisany kontrakt z Wytwórnią.

Powiedziała mi, że w nocy leży bezsennie i zadreca się takimi pytaniami: Czym jest przyjście na świat?

Czy po śmierci wszystko będzie takie samo jak przed urodzeniem?

Czy znajdziemy się w innej odmianie nicości?

Bo może jest tam jakiś rodzaj wiedzy.

Pamięć.

Gladys poruszyła się niespokojnie na prostym krześle, ale nic nie odpowiedziała.

Gladys ssała bezkrwiste usta.

Gladys, strażniczka sekretów.

Wtedy właśnie Norma Jeane zwróciła uwagę na jej poranione dłonie.

Przypomniała sobie, że w sali odwiedzin Gladys siedziała z dłońmi złożonymi na kolanach, a potem splotła je na podołku.

Zaciskała w pięści.

Albo miała je otwarte i szczupłe palce niespokojnie ocierały się o siebie.

Złamane i pogryzione, nasiąknięte krwią paznokcie drapały się nawzajem.

Czasami palce Gladys zdawały się walczyć o dominację.

Nawet kiedy starsza kobieta okazywała obojętność lunatyczki wobec wszystkiego, co się do niej mówi, palce były świadectwem jej trwogi, poruszenia.

Dłonie stanowiły jej sekret.

I właśnie zdradziła ów sekret.

Jasnowłosa Księżniczka odprowadziła matkę do stanowego szpitala psychiatrycznego w Norwalk, do skrzydła C, w bezpieczne miejsce.

Otarła z oczu łzy, kiedy pocałowała matkę na pożegnanie.

Delikatnie odebrała starzejącej się kobiecie przejrzystą czarną chustę i przewiązała ją wokół swojej ślicznej, gładkiej szyi.

- Mamo, wybacz!

Kocham cię.

Nie miała zamiaru tego robić.

Nie będzie wykorzystywała matki.

Może tak naprawdę nie była tego świadoma.

Dłonie!

Niespokojne, poszukujące dłonie Nell.

Dłonie szaleństwa. Don't Bother to Knock pojawiła się Norma Jeane jako Nell z dłońmi Gladys Mortensen i hipnotyzującym spojrzeniem.

Dusza Gladys Mortensen w młodym ciele Normy Jeane.

Cass Chaplin oraz jego przyjaciel Eddy G zobaczyli ten film w luksusowym kinie w Brentwood, położonym niedaleko domu, którym się opiekowali.

Dom należał do pewnej "eks" jednego z szefów studia Paramount, kobiety zakochanej kiedyś po uszy w Eddym G.

Norma Jeane wypadła fantastycznie, była obłądną, szaloną, seksowną blondynką - z widocznymi pod ubraniem paskami biustonosza!

- więc wrócili na kolejny seans, jeszcze bardziej nią zauroczeni.

KONIEC jest nieuchronny jak śmierć.

Cass trąca Eddyego.

Wiesz co?

Nadal Kocham Normę.

Eddy G potrząsa głową, jakby się starał wszystko w niej ułożyć.

-Wiesz co?

To ja Kocham Normę.

ŚMIERĆ RUMPELTILTZKINA

Jednego dnia krzyczał na nią przez telefon, następnego już nie żył.

Jednego dnia owładnął nią wstyd, następnego przejął ją ból i ogarnęły wyrzuty sumienia.

Nie dosyć go kochałam.

Zdradziłam go.

Został ukarany zamiast mnie, Boże, wybacz!

Co za skandal!

Złote marzenia, zdjęcie nagiej Normy Jeane wykonane przed laty przez Ottona Osę, zostało poniewczasie, sensacyjnie, rozpoznane i zamieszczone na pierwszej stronie brukowca "Hollywood Tatler":

NAGIE ZDJĘCIE DO KALENDARZA MARILYN MONROE?

Studio wypiera się "Nic o tym nie wiedzieliśmy" - utrzymuje kierownictwo

Szokującą historią natychmiast zajęły się takie czasopisma jak "Variety", "Los Angeles Times", "Hollywood Reporter" oraz ogólnokrajowe serwisy informacyjne.

Zdjęcie reprodukowano albo zaczerniając strategiczne części ponętnego ciała modelki, albo ubierając je sugestywnie w coś, co wyglądało jak nieprzezroczysta czarna koronka.

("Och, co oni ze mną zrobili?

To jest dopiero pornografia".) Ta fotografia stanie się pożywką dla kolumn z plotkami dla audycji radiowych o wielkim świecie, nawet dla wstępniaków w gazetach.

Wytwórnice zabraniały swoim aktorkom pozowania nago do zdjęć; "pornografia" była zakazana.

Wytwórnice chciały, aby ich główny towar był "nieskażony".

Czy Norma Jeane podpisała klauzulę, że zachowa nie sprzeczne z moralnością społeczności Hollywood spowoduje zawieszenie jej kontraktu albo jego wygaśnięcie?

Bystrooki dziennikarz "Tatlera" (kolekcjonujący z upodobaniem zdjęcia nagich dziewcząt) natknął się na tę fotografię w starym kalendarzu, przyjrzał się dokładnie twarzy i doszedł do przekonania, że modelka jest wschodzącą gwiazdą, znaną jako Marilyn Monroe; przeprowadził prywatne śledztwo i dowiedział się, że w kontrakcie z 1949 roku modelka wystąpiła jako Mona Monroe.

Ale bomba!

Ale skandal!

Co za kłopot dla Wytwórnici!

"Miss Złote Marzenia" pojawiła się w kalendarzu na 1950 rok zatytułowanym Piękności na wszystkie pory roku, opublikowanym przez Ace Hollywood Calendars.

Produkt ten można było znaleźć na stacjach benzynowych, w tawernach, fabrykach, siedzibach policji, posterunkach straży pożarnej, klubach dla mężczyzn, koszarach i akademikach.

Beztronski, bezbronny uśmiech, gładkie, nagie pachy, śliczne piersi, brzuch, uda, nogi, opadające na plecy złociste włosy pojawiały się w tysiącach, dziesiątkach tysięcy męskich marzeń i w żadnym razie nie były bardziej szkodliwe niż jakikolwiek przelotny obraz wywołujący orgazm we śnie i zapominany zaraz po przebudzeniu.

Ta dziewczyna była jedną z dwunastu nagich ślicznotek, których nazwisk nie wymieniono w kalendarzu.

Tak naprawdę nie przypominała zbytnio żadnego z licznych reklamowych wizerunków Marilyn Monroe, które weszły w obieg w 1950 roku, przygotowane do rozpowszechniania przez Wytwórnę, tak jak każdy inny producent dóbr konsumpcyjnych mógł rozsyłać swoje znaki firmowe, przyciągające wzrok reklamy.

"Miss Złote Marzenia" mogłaby uchodzić za młodszą siostrę Marilyn Monroe: była mniej czarująca, mniej wystylizowana, miała słabszy makijaż i brakowało jej pieprzyka na lewym policzku.

W jaki sposób ów dziennikarz dokonał odkrycia?

Czyżby ktoś dał mu jakąś wskazówkę?

Wcześniej Norma Jeane nie widziała negatywu ani żadnych odbitek znanego teraz zdjęcia, za które Otto Osę wręczył jej pięćdziesiąt dolarów w gotówce.

Gdyby ją o to zapytać, odpowiedziałyby, że całkowicie zapomniała o tej sesji fotograficznej, tak samo jak niemal zapomniała o drapieżnym fotografii.

Nikt nie miał pojęcia, gdzie się podział Otto Osę.

Przed miesiącami, podczas przerwy w kręceniu Don't Bother to Knock, Norma Jeane pod wpływem impulsu poszła do dawnej pracowni Ottona Osę, myśląc...

Hm, może jej potrzebuje?

Może tęskni za nią?

Może potrzebuje pieniędzy?

(Sama nie miała ich teraz zbyt wiele.

Każdy czek od razu zamieniała na gotówkę, pieniądze wydawała szybko i właściwie nic jej nie zostawało.) Lecz stara, obskurna pracownia Ottona Osę już nie istniała.

W tym samym miejscu przyjmował wróżbita.

W światku Hollywood krążyła okrutna plotka, że Otto Osę zmarł z nie dożywienia i przedawkowania heroiny w brudnym hotelu w San Diego.

Albo że, zawiedziony, powrócił do miejscowości rodzinnej gdzieś w Nebrasce.

Chory, złamany, umierający.

Zaduszony przez pełne szlamu morze przeznaczenia.

Bezduszną falę Woli.

Przeciwwstawił swój kruchy ludzki statek - "przedstawienie" indywidualności - żarłocznej Woli i przegrał.

W książce Schopenhauera Świat jako wola i przedstawienie, którą jej pożyczył, na tknęła się na słowa: "Samobójca pragnie życia, niezadowolony zaś jest tylko z jego warunków, jakie przypadły mu w udziale".

Mam nadzieję, że nie żyje.

Zdradził mnie.

Nigdy mnie nie kochał.

Norma Jeane rozplakała się gorzko.

Dlaczego Otto Osę ścigał ją ze swoim obiektywem?

Dlaczego nie pozwolił jej ukryć się przed nim w Radio Pianę?

Wtedy była jeszcze dziewczyną, bardzo młodą żoną, prawie dzieckiem; wystawił ją na pokaz.

Na spojrzenia mężczyzn.

Jastrząb wbijający dziób w pierś śpiewającego ptaka.

Dla czego?

Gdyby Otto Osę nie pojawił się na jej drodze i nie zniszczył jej życia, Norma Jeane i Bucky nadal byliby małżeństwem.

Do tej pory mieliby kilkoro dzieci.

Dwóch synów, córkę!

Byliby szczęśliwi!

A pani Glazer byłaby kochającą babką.

Ależ szczęście!

Bo czyż Bucky przed podróżą do Australii nie szepnął: "Tyle dzieciaków, ile zechcesz, Normo Jeane.

Ty jesteś szefem".

Skandal w bardzo złym guście!

Wulgarnie i bezwstydnie zdarzenie obok wiadomości o rannych w Korei, obok fotografii "szpiegów od bomby atomowej", Juliusa i Ethel Rosenbergów skazanych na śmierć na krześle elektrycznym, obok doniesień o testach z bombą wodorową w Rosji.

Najpierw I.

E. Shinn zatelefonował do Normy Jeane, aby jej pogratulować kolejnych dobrych recenzji Don t Bother to Knock.

Trzeba przyznać, że agent nie oczekiwał takich reakcji, bo większość recenzji - jak rzekł - była poważna, inteligentna i pełna wyrazów uznania.

"Co do innych dupków, niech idą do diabła.

Co oni tam wiedzą?

" Norma Jeane zadrżała.

Miała ochotę jak najszybciej odłożyć słuchawkę.

Od dnia premiery czuła się jak ptak w sidłach:

narażona na uderzenie kamieniem, pociskiem.

Koliber uchwycony w celowniku karabinu.

Shinn chciał dobrze, tak jak dobrze chcieli V i inni przy jaciele, broniąc ją przed krytykami, o których nic nie wiedziała i o których niczego się nie dowie.

Shinn odczytał fragmenty recenzji z rozmaitych czasopism z całego kraju swoim szybkostrzelnym głosem ala Walter Winchell, a Norma Jeane starała się słuchać, choć w uszach jej szumiało.

"Marilyn Monroe, nowy hollywoodzki talent u progu kariery, okazuje się silną, dynamiczną osobowością w tym mrocznym i niepokojącym thrillerze, w którym gra także Richard Widmark.

Sposób, w jaki sportretowała niezrównoważoną psychicznie opiekunkę do dziecka, jest tak przejmująco prawdziwy, że widz gotowy jest wierzyć..."

Norma Jeane ścisnęła słuchawkę.

Próbowała odczuć dreszcz szczęścia.

Satysfakcji.

Och tak, była szczęśliwa...

prawda?

Wiedziała, że zagrała dobrze, a nawet bardziej niż dobrze.

Następnym razem lepiej się postara.

Niepokoїła ją tylko jedna myśl: co będzie, jeśli Gladys zobaczy Don t Bother to Knock. Co będzie, jeśli zauważy, w jaki sposób Norma Jeane przywłaszczyła sobie jej szponiaste dłonie, jej somnambuliczne maniery?

Norma Jeane przerwała agentowi:

- Och, panie Shinn!

Niech się pan na mnie nie gniewa.

Wiem, że t...to głupie, ale wydaje mi się, jakby to było rzeczywiste wspomnienie, że w tym filmie pojawiłam się nago?

- Roześmiała się z zakłopotaniem.

- Tak nie było, prawda?

Nie mogę sobie przypomnieć.

Nie wiadomo dlaczego przyszło jej do głowy, że w którejś ze scen zdjęła ubranie.

Nell musiała zdjąć koktajlową sukienkę bogatej kobiety, ponieważ nie należała do niej.

Shinn wybuchnął.

- Przestań!

Przestań pleść bzdury.

Norma Jeane powiedziała na usprawiedliwienie:

- Wiem, że to głupio brzmi.

Ja tylko tak...

pomyślałam.

Podczas premiery często zamykałam oczy.

Nie mogłam uwierzyć, że tamta dziewczyna to ja.

Ale teraz...

wie pan, w miarę upływu czasu, czas jest jak rwąca rzeka, która przez nas przepływa...

już nie jest mną, prawda?

Ale każda osoba z publiczności może sobie pomyśleć, że ja to Nell.

A potem na tym przyjęciu: Marilyn.

Shinn zapytał:

- Brałaś jakieś środki przeciwbólowe?

Masz okres?

Norma Jeane odparła:

- N...nie, nie mam.

To nie twoja sprawa!

Nie jestem na środkach przeciw bólowych, nie.

Przypomniało jej to o tej beznadziejnej rozmowie z I.

E. Shinnem, kiedy ostatni raz zwracał się do niej delikatnie, z miłością.

Teraz zaczął mówić o interesach.

W Wytwórni rozważali powierzenie jej nowej roli, miała partnerować Josephowi Cottenowi.

Tytuł filmu brzmiał Niagara, miejscem akcji rzeczywiście były okolice wodospadu Niagara; Norma Jeane miała zagrać spiskującą cudzołożnicę, niedoszłą morderczynię o imieniu Rosę.

- Maleńka, Rosę będzie cudowna, masz moje słowo.

Ten film jest o nie bo lepszy od Dont Bother, który, mogę powiedzieć ci między nami, ale mnie nie cytuj, byłby szmirą, gdyby nie ty.

Teraz mogę z tymi sukinsynami ustalić znacznie lepsze warunki...

Po kilku godzinach Shinn oddzwonił.

Krzyczał na Normę Jeane, ledwie ta podniosła słuchawkę

- ...nigdy mi o tym nie mówiłaś!

Kiedy to było, w czterdziestym dziewiątym?

Kiedy w czterdziestym dziewiątym?

Miałaś wówczas podpisany kontrakt, prawda?

Ty idiotko!

Ty kretynko!

Ci z Wytwórni najprawdopodobniej cię zawieszą i to w najgorszym momencie!

"Miss Złote Marzenia".

Co to było, soft-core porno?

Kto maczał w tym palce?

Ten skurwysyn Otto Osę?

Ażeby skonał w piekle!

- Shinn zamilkł na chwilę, aby złapać oddech, prychnął jak smok.

Potem Norma Jeane niemal dojdzie do przekonania, że Rumpelstilzkin był wtedy razem z nią w pokoju.

Stała otępiała, ściskając słuchawkę.

O czym ten człowiek mówi?

Dlaczego się wścieka?

"Miss Złote Marzenia"...

co to znaczy?

Otto Osę?

Otto nie żyje?

Shinn rzucił: - Marilyn była moja, ty głupia pindo.

Marilyn była piękna i należała do mnie; Nie miałaś prawa jej zniszczyć!

Ostatnie słowa I.

E. Shinna do Normy Jeane.

Nigdy już go nie zobaczyła, jedynie w trumnie.

- Jakbym była komuchem, prawda?

Wszystkie gazety urządziły nagonkę na mnie.

Norma Jeane próbowała zażartować.

Dlaczego to takie ważne?

Dlaczego to nie było zabawne?

Wszyscy się na nią wściekali!

Nienawidzili jej!

Jak gdyby była kryminalistką, osobą wykojejoną!

Wyjaśniła już, że pozowała nago do zdjęć jeden jedyny raz w życiu i zrobiła to jedynie dla pieniędzy.

"Byłam w rozpaczy.

Zarobiłam pięćdziesiąt dolarów!

Na moim miejscu też bylibyście w rozpaczy".

Kiedy pokazaliśmy jej kalendarz, nie rozpoznała siebie.

Wydawało się, że nie udaje.

Uśmiechała się, pociła.

Przerzuciła kilka stron, aby odnaleźć "Miss Złote Marzenia", aż ktoś z nas wskazał jej właściwe zdjęcie.

Wtedy gapiła się i gapiła, na jej twarzy zaczęła się pojawiać panika.

Jakby udawała, że rozpoznaje siebie, że sobie przypomina.

Ale tak naprawdę nie może sobie przypomnieć.

Już teraz brakowało jej I.

E. Shinna!

Nie pozwolono mu przyjść razem z nią do Wytwórni na nadzwyczajne spotkanie w biurze pana Z.

Przez całe popołudnie siedziała zamknięta z tymi wściekającymi się, oburzonymi mężczyznami.

Ani razu nie roześmiali się z jej żartów!

A zdążyła już się przyzwyczaić do mężczyzn reagujących gromkim śmiechem na każdą jej żartobliwą uwagę.

Marilyn Monroe miała zostać natchnioną komediantką.

Ale jeszcze nie teraz.

Nie z tymi ludźmi.

Był tam pan Z o twarzy nietoperza; ledwo mógł na nią patrzeć.

Był tam pan S o włosach poskręcanych jak korkociąg; gapił się na nią, jakby wcześniej nigdy nie widział kobiety do tego stopnia upadłej i zasługującej na pogardę, i nie potrafił oderwać od niej wzroku.

Był tam pan D, współproducent Don't Bother to Knock, który wezwał do siebie Normę Jeane w wiecзор poprzedzający jej spotkanie z W; na jego twarzy malowała się troska.

Był tam ponury pan F, szef działu public relations.

Byli panowie A i T, adwokaci.

Od czasu do czasu pojawiali się inni ludzie, bez wyjątku mężczyźni.

Będąca w stanie jakiegoś otępienia Norma Jeane nie zapamięta wszystkiego dokładnie.

Pan Shinn na nią wrzeszczał!

W słuchawce telefonu odzywały się inne wrzaski!

Co ona takiego zrobiła?

Pobiegła do łazienki w swoim mieszkaniu, po omacku otworzyła apteczkę i chwyciła za brzytwę, tak jak za brzytwę chwyciła Nell, ale drżały jej palce, znowu rozdzwonił się telefon, i cienkie ostrze wyśliznęło się z jej palców.

Już wcześniej zrozumiała, że przez ten kryzys musi przejść, pomagając sobie lekarskami.

Taka była jej pierwsza, intuicyjna reakcja, tak samo jak niegdyś jej pierwsza reakcja polegała na modlitwie.

Akt.

Marilyn Monroe. Zdemaskowana.

"Hollywood Tatler".

Depesze agencyjne.

Wściekłość Wytwórni.

Skandal.

Katolicki Legion Przyzwoitości, Chrześcijański Przewodnik Po Rozrywkach Rodzinnych.

Pogróżki cenzury, bojkot.

Szybko połknęła dwie tabletki kodeiny, te same, które lekarz zatrudniony w Wytwórni przepisywał jej na bóle menstruacyjne i migrenę.

Kiedy nie zadziałały na tychmiast, wpadła w panikę i połknęła trzecią tabletkę.

Teraz mogła przez teleskop przyglądać się mrugającej powiekami blondynce otoczonej przez rozwścieczonych mężczyzn.

Blondynka uśmiechała się w taki sposób, w jaki mógłby się uśmiechać ktoś stojący na pochyłej powierzchni, aby pokazać otoczeniu, że nic nie wie o przechyle.

I myślała sobie, że sytuacja jest poważna.

W filmie braci Man; byłaby to scena komediowa.

Głupia pinda.

Żałosna, szurnięta krowa.

Kierownictwo Wytwórni zamierzało handlować ciałem blondynki, lecz wyłącznie na własnych, ściśle określonych zasadach.

Na dole czekała banda dziennikarzy i fotoreporterów.

Ekipy radiowe i telewizyjne.

Otrzymali informację, że Marilyn Monroe i rzecznik Wytwórni wkrótce wydadzą oświadczenie dotyczące nagiego zdjęcia w kalendarzu.

Mężczyźni ciągle gapili się na nią.

Pośród nich pan Z, który nie zamienił z Normą Jeane ani jednego słowa od czasu, kiedy prawie przed pięcioma laty przysłała obejrzeć jego ptaszarnię.

Jakże wówczas była młoda!

W tym czasie pan Z awansował na szefa produkcji.

Pan Z, który pragnął zniweczyć karierę Marilyn Monroe, aby ją ukarać za to, że jest zdzirą i że poplamiała mu krwią piękny, biały futrzany dywan.

Chyba że to się w ogóle nie wydarzyło?

Ale czy wtedy pamiętałabym to tak wyraźnie?

Pan Z nigdy nie wybaczy Marilyn, chociaż miała podpisany kontrakt z Wytwórnią; pan Z nie mógł się jej pozbyć, bo się obawiał, że przygarnie ją jakiś konkurent.

Był rozszluszczonym ojcem, a ona skruszoną, choć zachowującą się prowokacyjnie córką.

Norma Jeane przekonywała błagalnym tonem:

-Dlaczego to jest takie ważne?

Nagie zdjęcie?

Moje nagie zdjęcie?

Nie widzieliście zdjęć nazistowskich obozów koncentracyjnych?

Hiroszimy i Na gasaki?

Stosów zwłok leżących jak kłody?

W tym dzieci i niemowlęta.

- Norma Jeane zadrżała.

Własne słowa wytrąciły ją z równowagi bardziej, niż zamierzała.

Wykroczyła już znacznie poza scenariusz, zaczynała improwizować.

- Czymś takim należy się przejmować.

Bo to dopiero jest pornografia.

A nie jakaś żalosna, głupia pinda, której rozpaczliwie zależy na pięćdziesięciu dolarach.

Dlatego nigdy jej nie ufaliśmy.

Nie potrafiła trzymać się scenariusza.

Z tych ust mogłeś usłyszeć wszystko.

Następnego ranka telefon, którego słuchawkę celowo zdjęła z widełek, wytrącił ją ze snu.

Gotowa była przysięgać, że słyszała wibracje!

Serce skoczyło jej do gardła, pomyślała, że to będzie pan Shinn, że wybaczył jej.

Czyż nie powinien był jej wybaczyć, skoro uczyniła to Wytwórnia?

Skoro Wytwórnia postanowiła nie zrywać z nią kontraktu?

Na konferencji prasowej błyskotliwie zagrała Marilyn Monroe.

Powiedziała dziennikarzom prawdę.

W 1949 roku byłam bardzo biedna, strasznie zależało mi na zarobieniu tych pięćdziesięciu dolarów.

Nie pozowałam do aktów ani wcześniej, ani później i jest mi teraz bardzo przykro, ale nie wstydzę się tego.

Nigdy nie wstydziłam się swoich czynów, to wynik mojego chrześcijańskiego wychowania.

Norma Jeane na oślep odłożyła słuchawkę, dostrzegając, że dochodzi dziesiąta rano.

Natychmiast zadzwonił telefon.

Szybko go odebrała.

- Halo, Isaac?

Ale to nie był pan Shinn, tylko jego asystentka Betty (która - Norma Jeane miała powody podejrzewać - była agentką FBI; chociaż trudno było by wskazać motyw, który by nią powodował, ani nie wydawało się to prawdopodobne, gdy wzięto się pod uwagę wielkie oddanie, z jakim po magała swojemu szefowi).

-Och, Normo Jeane!

Siedzisz?

Bo jak nie, to lepiej usiądź.

Głos Betty łamał się i rwał.

Norma Jeane leżała wyciągnięta nago na cuchnącym łóżku i myślała: Pan Shinn nie żyje.

Serce.

Jago zabiłam.

Jakiś czas później tego samego przedpołudnia Norma Jeane połknęła resztę silnych kodeinowych tabletek, w przybliżeniu piętnaście sztuk.

Popiła je lekko zatęchłą maślanką.

Naga i drżąca leżała na łóżku, czekając na śmierć, gapiła się w popękany, zacieniony sufit.

Straciliśmy już nasze Dziecko, oboje straciliśmy je.

Czy byłoby to dziecko z krzywym kręgosłupem?

Byłoby to dziecko o pięknych oczach i pięknej duszy.

Po kilku minutach zwymiotowała wszystko - szlamiastą, kredową masę, która stwardniała jak cement między jej zębami, chociaż szczotkowała je i szczotkowała, póki wrażliwe dziąsła nie zaczęły krwawić.

RATUNEK

Był kwiecień 1953 roku, kiedy Bliźnięta stały się częścią życia Normy Jeane.

Gdybym wiedziała, że opiekują się mną, byłabym silniejsza.

Działy się różne dziwne rzeczy.

I miały się dziać.

Podjechała śmieciarka wyładowana mieniącymi się bożonarodzeniowymi prezentami, których nigdy nie dostała w sierocińcu, zatrzymała się i zrzuciła swój ładunek wprost na nią.

"Och...

czy to mnie spotyka naprawdę?

Jak wytłumaczyć to, co mi się przydarza?

" Życie, które toczyło się w jej myślach, w wyobraźni dziecka ćwiczącego gamy na fortepianie, teraz ją otaczało, wydawało się wesołe jak muzyka do musicalu, o takim natężeniu, że nie słyszysz słów, jedynie strzępy melodii.

Zgiełk.

- Przeraza mnie to, wiesz?

Bo nie jestem nią.

W żadnym razie nie jestem Rosę.

- Nie jestem dziwką.

Kochałabym mężczyznę takiego jak Joseph Cotten, na pewno!

Na wojnie nabawił się urazu psychicznego.

Może też cielesnego.

Jest chyba, jak to się mówi: impotentem?

Nie wiadomo.

Tylko w tej jednej jedynej scenie...

kochamy się.

Rosę manipuluje nim, ale on się niczego nie domyśla; śmieje się, zdaje się, że szaleje za nią.

W tej scenie zagram zwyczajnie.

Tak jak Rosę by to z nim rozegrała.

Ona udaje, ale ja zagram ją w taki sposób, jak gdyby ona wcale nie udawała.

Przed wszystkim bała bym się jak wszyscy diabli oszukiwać w żywe oczy mężczyznę, który, no...

nie może...

nie jest mężczyzną.

O, właśnie tak.

Wytwórnia ("po tym, jak obciągnęłam kutasy wszystkim siedzącym wokół stołu") wybaczyła jej skandal z fotografią z kalendarza i podniosła jej gażę do tysiąca dolarów tygodniowo plus uboczne wydatki.

Norma Jeane natychmiast poczyniła starania, aby przenieść Gladys Mortensen z Norwalk do znacznie mniejszego, prywatnego szpitala w Lakewood.

Jej nowy agent (który przejął interes po śmierci I.

E. Shinna) poradził jej:

- Nie rób wokół tego żadnego szumu, maleńka, okej?

Nikt nie musi wiedzieć, że także Marilyn Monroe ma matkę, która leczy się w szpitalu dla psychicznie chorych.

Monterey, ośrodek wypoczynkowy, do którego przyjechali po sezonie.

Okna apartamentu wychodzą na Pacyfik, na klify.

Olbrzymie głazy niczym szaleństwo oplatające mózg.

Oślepiająco jaskrawy zachód słońca.

Odzywa się V:

- Przynajmniej teraz wiemy, jak wygląda piekło.

Norma Jeane, pogodna i pewna siebie jak Marilyn Monroe, dowcipkuje:

- Hola!

Raczej wiemy, co się w piekle czuje.

O to chodzi.

V śmieje się, sączy drinka.

Co tam mruczy?

Norma Jeane nie słyszy wyraźnie.

- O to też.

Kochankowie przyjechali do pensjonatu w Monterey, aby uczcić podpisanie przez Marilyn nowego kontraktu z Wytwórnią.

Uczcić to, że na afiszach figuruje jej nazwisko znalazło się nad tytułem.

I co ważniejsze: przy znanie V opieki nad jego dzieckiem.

Poza tym była jeszcze główna rola V w Philco Playhouse, za którą otrzymał przyzwoite recenzje w całym kraju.

Dlatego V mówi:

- Do licha, przecież to tylko telewizja.

Chyba jesteś zbyt łaskawa.

Norma Jeane odpowiada poważnym, ochrypłym głosem Marilyn:

- Tylko telewizja?

Rzekłabym raczej, że telewizja jest przyszłością Ameryki.

V wzdryga się.

- Chryste, oby nie.

To jarmarczne czarno-białe pudło.

- Pierwsze filmy też były czarno-białe.

Poczekaj, kochanie.

- Nie.

Kochanie nie może czekać.

Kochanie nie jest już takie młode.

Norma Jeane protestuje:

-Hola...

cooo takiego?

Jesteś młody!

Jesteś najmłodszym facetem, jakiego znam.

V kończy drinka.

Uśmiecha się do wnętrza kieliszka.

Jego szeroka, piegowata twarz wygląda, jakby była zrobiona z masy celulozowej.

-To ty jesteś młoda, maleńka.

Cóż, ja swoją karierę mam już może za sobą.

Do Hollywood wrócą o północy w niedzielę, każde do swojego mieszkania.

Te wymyślone sceny.

Zaimprovizowane już po fakcie.

Będą prześladowały ją przez resztę życia.

To znaczy dziewięć lat i pięć miesięcy.

A minuty upływają szybko.

Czy mogłaby istnieć klepsydra, w której czas biegłby w przeciwnym kierunku?

Czy Einstein odkrył, że czas może się cofnąć, jeśli da się zawrócić wiązkę światła?

- Czemu nie?

Trzeba pomyśleć.

Einstein marzył z otwartymi oczami.

Przeprowadzał "eksperymenty myślowe".

Ani trochę się to nie różni od aktorskiej improwizacji, jaką stosuje po fakcie Norma Jeane.

Właśnie dlatego Marilyn Monroe będzie się coraz bardziej spóźniała na umówione spotkania.

Nie w tym rzecz, że Normę Jeane Baker paraliżowały wstydlivość, niezdecydowanie, zwątpienie gapiące się na jej błyszczącą, lalkowatą twarz w każdym zwierciadle nadziei i rozpacz; nie - absorbowały ją wymyślone, improwizowane sceny.

Jakby był przy tym reżyser, który moim: Okej, spróbujmy zrobić to jeszcze raz, dobra?

Jeszcze raz i jeszcze, ile będzie trzeba, aby osiągnąć doskonałość.

Kiedy brakuje reżysera, sama musisz nim zostać.

Brak ci scenariusza?

- musisz stworzyć własny.

Tak oto, w sposób niezwykle prosty i jasny, zdajesz się wnikać w prawdziwe znaczenie danej sceny, co sprawia, że ulegasz złudzeniu co do jej rzeczywistości.

"Podczas tych wszystkich poszukiwań", zwraca uwagę Konstantin Stanisławski, "aktorowi nie wolno zatracić własnej tożsamości".

- Nigdy nie zostanę dziwką jak Rosę!

Co nie oznacza, że nie szanuję mężczyzn, przeciwnie, przepadam za nimi.

Kocham ich.

To, jak na mnie patrzą, mówią...

pachną.

Powiedzmy...

mężczyznę w białej koszuli z długimi rękawami, no wiesz?

- w wizytowej koszuli?

- tak, z mankietami i dziurkami do spinek.

To mnie doprowadza do szaleństwa.

Nie potrafiłabym oszukać żadnego z nich.

Zwłaszcza weterana, takiego, jakim był mąż Rosę!

Osobę "niepełnosprawną" umysłowo.

Nie istnieje nic podlejszego, okrutniejszego...

Tak, trochę się martwię, co pomyśli sobie publiczność?

Marilyn Monroe jest taką dziwką, a dopiero co grała chorą psychicznie opiekunkę do dziecka?

Ta Rosę nie tylko zdradza męża, ale oszukuje go w żywe oczy i spiskuje, żeby go zgładzić?

Jasny gwint.

Wymyślone sceny, improwizacje.

Wkrótce będą ją prześladować, nie będzie mogła przypomnieć sobie chwili, kiedy ich nie było.

-Sprawa jest prosta.

Chcesz to jak najlepiej zrozumieć.

Czy zasługujesz na to, by żyć?

Ty? Żałosna, głupia krowa.

Dziwka!

Nie powinna pytać V o radę.

Nie powinna okazywać tego rodzaju słabości, nie przy kochanku.

Ale musiała pomyśleć: Czy Nell miała z tym coś wspólnego? Nell i Gladys.

Ponieważ Gladys była Nell.

W przebraniu.

Norma Jeane przywłaszczyła sobie dłonie Gladys, nie zorientowawszy się, że Gladys za władnęła nią tak, jak demon może zawładnąć duszą.

(Jeśli jest się przesądnym.

Norma Jeane taka nie była.) Tamtego ranka w Norwalk weszła w jakąś skażoną strefę.

Mówi się, że w szpitalach roi się od (niewidocznych) zarazków, dlaczego zatem w szpitalach dla psychicznie chorych miałyby być inaczej?

Tam zarazki były jeszcze gorsze.

Bardziej śmiertelne.

Norma Jeane czytała u fryzjera Marzenia senne Zygmunta Freuda, książkę o stronach poplamionych i wyblakłych od środków utleniających włosy.

O tym, jak wiele w życiu ludzkim zależy od okresu dzieciństwa.

Mimo to trzeba się zastanowić: co z prawdziwymi zarazkami?

co z wirusami?

z rakiem?

z atakiem serca?

- one są prawdziwe.

Może po zamieszkaniu w Lakewood Gladys jej wybaczy?

Przyjęcie gdzieś w Bel Air, taras nad rozkrzyczanymi pawiami.

Ciemno (chybotliwie migoczą płomyki świec), twarze widać tylko z bliska.

Tak jak tę gumową maskę Roberta Mitchuma.

Zaspane oczy o ciężkich, opadających powiekach, krzywy uśmiech, kąciki ust skrzywione ku dołowi.

Osobliwy sposób mówienia.

Jakbyście leżeli razem w łóżku i było to jakieś zbliżenie zupełnie nie z tej ziemi.

Wysoki z niego facet, nie jakiś tam karzeł.

Norma Jeane osłupiała, widząc twarz idola filmowego, czując na uchu jego pijacki oddech; tym razem ucieszyła się, że V gdzieś od niej odszedł.

Robert Mitchum!

Świdrował ją wzrokiem.

Cieszył się w Hollywood opinią, która w wypadku kogoś innego mogłaby się przyczynić do zawieszenia kontraktu z macierzystym studiem.

Nikt nie miał pojęcia, w jaki sposób ten człowiek uniknął zainteresowania ze strony Komisji do Spraw Badania Działalności Antyamerykańskiej.

Norma Jeane niczym nagrany piosenkę będzie odtwarzała tę konwersację, która się odbyła przy akompaniamencie maniackalnego wrzasku pawi.

MITCHUM: Się masz, Normo Jeane.

Nie wstydz się, kwiatuszku, znam cię z czasów, kiedy nie byłaś Marilyn.

NORMA JEANE: Nie rozumiem.

MITCHUM: I miało jeszcze sporo czasu upłynąć, nim się nią stałaś.

Mieszkałaś w Mission Hills.

NORMA JEANE: Ty jesteś Robert M...Mitchum?

MITCHUM: Mów do mnie Bob, kwiatuszku.

NORMA JEANE: Twierdzisz, że mnie znasz?

MITCHUM: Twierdzą, że poznałem Normę Jeane Glazer na długo przed Marilyn.

W czterdziestym czwartym albo piątym.

Tak się złożyło, że pracowałem z Buckym przy taśmie produkcyjnej w Lockheed.

NORMA JEANE: B...Buckym?

Znałeś Buckyego?

MITCHUM: Nieee, nie znałem Buckyego.

Ja jedynie z nim pracowałem.

Nie podobał mi się.

NORMA JEANE: Nie podobał...

Dlaczego?

MITCHUM: Bo ten przygłupi sukinsyn przyniósł kiedyś zdjęcia swojej ślicznej żony i chełpił się nimi, póki nie dałem mu do wiwatu.

NORMA JEANE: Nie rozumiem.

MITCHUM: Do diabła, to było dawno.

Facet wypadł z obiegu, co?

NORMA JEANE: Zdjęcia?

Jakie zdjęcia?

MITCHUM: Postaw wszystko na jedną kartę, Marilyn.

Wytwórnia gówno ci płaci, posłuchaj Boba Mitchuma i odpłać im czymś jeszcze gorszym.

Powodzenia.

NORMA JEANE: Niechże pan poczeka, panie Mitchum...

Bob...

V obserwował ją.

Podchodził do niej ostrożnie.

W rozpiętej koszuli; płócienną, sportową marynarkę zapiął na jeden guzik.

V - amerykański chłopak o piegowatej twarzy, doprowadzony do ostateczności przez nazistowskiego wroga, wyrrywający bagnet z dłoni Niemca i dźgający go w brzuch przy aplauzie znakomitej amerykańskiej publiczności, jakby przyłożył mu podczas szkolnych rozgrywek.

V chwycił Normę Jeane za obnażone ramiona i zapytał, co mówił do niej Robert Mitchum, bo wyglądała na bardzo zaintrygowaną, prawie rzuciła się sukinsynowi w ramiona, na co Norma Jeane odparła, że Mitchum był niegdyś przyjacielem jej byłego męża.

"Dawno temu.

Byli chłopakami z San Fernando Valley".

Na tym przyjęciu u teksańskiego multimilionera, nafcjarza z przepaską na jednym oku, pragnącego zainwestować w Wytwórnę, na tym przyjęciu, gdzie pod gołym niebem wśród świeczników na słupkach zebrała się zdumiewająca ptasia i zwierzęca menażeria, gdzie nad palmami świecił pół przeźroczysty papierowy księżyc - goście myśleli, że na niebie pojawiły się dwa księżycy!

- na tym przyjęciu Bliźnięta (zjawily się nie zaproszone, za to przyjechały pożyczonym rollsem) przyglądały się z daleka Normie Jeane.

Widziały Mitchuma, nie słyszały jednak, co mówi.

Widziały V, lecz też go nie słyszały.

- Czasami wydaje mi się, że nie mam skóry.

Że brakuje jakiejś warstwy.

Wszystko może mnie zranić.

Jak promienie słońca.

Odkąd umarł pan Shinn.

Bardzo mi go brakuje.

Tylko on wierzył w Marilyn Monroe.

Na pewno nie wierzyli w nią szefowie studia.

Mówili o niej: "Ta dziwka".

I ja nie za bardzo wierzyłam.

Na świecie jest mnóstwo blondynek...

Kiedy umarł pan Shinn, ja też chciałam umrzeć.

Doprowadziłam go do śmierci, złamałam mu serce.

Ale wiedziałam, że muszę żyć.

Mówił, że Marilyn jest jego wynalazkiem...

Może i rzeczywiście.

Będę musiała żyć dla Marilyn.

Nie w tym rzecz, że jestem religijna.

Kiedyś byłam.

Teraz zupełnie nie wiem, kim jestem.

Nie wierzę, że ktokolwiek wie na pewno, w co wierzy.

A co mówią ludzie?

To, czego się od nich oczekuje.

Tak samo jest z deklaracjami lojalności, które musimy podpisywać.

Wszyscy musimy je podpisywać.

Komunista skłamię, prawda?

Więc, o co chodzi?

Chociaż...

Wyobrażam sobie, że istnieje pewne zobowiązanie.

Odpowiedzialność?

Ta historia H.

G. Wellsa, nazywała się...

Wehikuł czasu?

Podróżnik w Czasie dzięki maszynie, nad którą zupełnie nie panuje, przenosi się w przyszłość, przenosi się w daleką przyszłość, i oto zjawia się ta wizja: przyszłość już tam jest, całkowicie gotowa, czeka na nas.

W gwiazdach.

Nie myślę wcale o przesądnych bzdurach takich jak ta, jak jej tam, astrologia?

Wróżenie z ręki?

Niby chodzi o przewidywanie przyszłości, a zawsze wychodzą z tego tylko jakieś błahostki!

Gdybym po trafiła zajrzeć w przyszłość, zapytałabym o lekarstwo na raka.

Albo na choroby umysłowe.

Myślę, że przyszłość rozciąga się przed nami jak autostrada, którą jeszcze nie przejechał żaden samochód albo której jeszcze nie pokryto asfaltem.

To, że pozostaniesz żywa, zawdzięczasz ludziom, którzy będą twoim potomstwem, potomstwem twoich dzieci.

Którzy zapewnią narodziny kolejnych dzieci.

Czy to ma jakiś sens?

Wierzę, że tak.

Mam taki swój sen o dziecku...

Sen bardzo piękny.

Cóż, nie będę już więcej o tym mówiła, to zbyt osobiste.

Szkoda, że w tym śnie nie znajduję żadnej podpowiedzi, kto jest ojcem dziecka.

Kwiecień 1953.

Norma Jeane była sama, schowała się w toalecie, płakała.

Na zewnątrz głośna muzyka, wybuchy śmiechu.

Och, jakże ją to zabolalo.

Upokorzyło.

Teksański nafciarz dotykał jej, aby się przekonać, czy jest "prawdziwa".

Chciał z nią tańczyć boogie.

Nie miał prawa.

Nie taki taniec.

I jeśli to wszystko widział V?

A przez cały czas przyglądali się temu pan Z o twarzy nietoperza i pan D z tym swoim świdrującym wzrokiem.

Nie jestem dziwką do wynajęcia.

Jestem aktorką!

Nigdy Norma Jeane nie tęskniła za Shinnem bardziej niż właśnie w takich chwilach.

V wprowadził ją kochał, ale nie bardzo lubił.

Taka była prawda.

Poza tym ostatnio sprawiał wrażenie zazdrosnego, zwłaszcza o jej karierę!

V, który zyskał rozgłos już wówczas, kiedy Norma Jeane chodziła do szkoły średniej i w kinie gapiała się wniebowzięta na jego piegowatą, chłopięcą twarz.

A może V wcale jej nie kochał.

Może jedynie lubił się z nią pieprzyć.

Dziesięć minut zajęło jej doprowadzenie do porządku samego rozmazanego tuszu do rzęs.

Dziesięć minut, aby namówić śliczną, dziarską, blondwłosą Marilyn, duszę przyjęcia, na powrót.

"Och, w samą porę".

Elegia dla I. E. Shinna.

Fale niebiańskich mórz Są kołyską zmarłych.

Lecz my się oszukujemy, Że na zawsze odchodzą, przyznać nie chcemy!

Jedyny wiersz, jaki Norma Jeane napisała od lat.

W dodatku beznadziejny.

Czasem tuli się w łóżku do mężczyzny, którego boi się stracić.

Jej myśli skaczą to tu, to tam, jak pchły na rozgrzanej płycie!

Wzdycha, jęczy, postępuje, przesuwał palcami między jego kręconymi, ciągle gęstymi włosami.

Szczęśliwa, wplątana niczym węgorz w jego muskularne ramiona.

(Chętnie całuje tatuaż, małą amerykańską flagę na jego lewym bicepsie!)

On wtacza się na nią, namiętnie ją całuje, wsuwa język najgłębiej jak może i jeśli erekcja się utrzymuje (wstrzymujesz oddech z nadzieją, z nadzieją, z nadzieją!), kocha się z nią, dysząc, poruszając miarowo jak ramię pompy; kiedy zbliża się do finiszu, przyspiesza, wreszcie dygocze, podskakuje, skręca się i skamle - każdy mężczyzna ma swój szczególny styl uprawiania miłości w przeciwieństwie do wszystkich mężczyzn, którym trzeba obciągnąć: to zawsze bywa takie samo, nieważne, czy masz do czynienia z kutasem chudym czy grubym, krótkim czy długim, gładkim czy pokrytym sznurami żył, kutasem w kolorze smalcu czy kutasem typu krwistoczerwona kiełbaska, kutasem umyтым dokładnie mydłem czy kutasem pokryтым śluzem, kutasem letnim czy gorącym, kutasem gładkim czy pomarszczonym, kutasem młodzieńczym czy zramolałym, w sumie kutasem niezmiennie takim samym, a to jest odpychające.

Kiedy Norma Jeane kocha mężczyznę, tak jak kocha V, wtedy daje występ wart Oscara.

Prawdą jest, że zawsze miała trudności, by przy V odbierać autentyczne fizyczne wrażenia.

Takie same kłopoty miała przy Buckym Glazerze, prychającym i dyszącym jak zagoniony koń, aby wreszcie wytrysnąć na jej brzuch, co wyglądało, jakby obrzydliwie na nią nakichał, jeżeli tylko zdążył się w porę wycofać.

Och, jakże pragnęła zadowolić V!

Jak gdyby zawczasu wiedziała - zgodnie z tym, co ujawniały na swych łamach takie czasopisma jak "Screen", "PhotoLife", "Modern Screen" - że tylko miłość się liczy, prawdziwa miłość, nie kariera.

No tak, Norma Jeane już o tym wie.

To sprawa zdrowego rozsądku.

Przy V symuluje rozkosz seksualną, tak jak ją sobie wyobraża powolny, a potem szybki jak błyskawica wzlot w orgazm; wspomina tamte długie, nużące, ale przyjemne chwile z Cassem Chaplinem, kiedy otępiła z rozkoszy nie wiedziała, czy jest noc, czy dzień, ranek czy późne popołudnie, a Cass nigdy nie nosił zegarka, rzadko zaś ubranie, ciągle miał zażawione oczy i był nieobliczalny jak dzikie stworzenie; kiedy się kochali, stykały się wszystkie części ich spoconych ciał, nawet rzęsy!

paznokcie rąk i nóg!

Och, Norma Jeane kocha V bardziej, niż kiedykolwiek kochała Cassa.

Wierzy w to.

V jest mężczyzną z krwi i kości, dojrzałym obywatelem.

V był już mężem.

Dlatego Norma Jeane chce sprawić, aby V, dumny jak wszyscy mężczyźni, których miała okazję poznać, czuł się jak król tego świata.

Chce, aby czuł się jak ktoś zupełnie wyjątkowy.

Po obejrzeniu kilku filmów porno Norma Jeane zawsze czuje się głupio na myśl o dziewczętach, które mogły się bardziej postarać, aby to wyglądało autentycznie.

Czasami naprawdę przeżywa orgazm.

Albo rejestruje coś w dole brzucha.

Piskliwie drżące wrażenia wznoszące się do oszałamiającego, niewiarygodnego przesilenia, po którym następuje jakby wyłączenie światła.

Czy to jest orgazm?

Coś w tym rodzaju, zdążyła już zapomnieć.

Ale mruczy:

"Och, kochanie, kocham cię.

Kocham kocham kocham".

I to jest prawda!

Zachwycona myśli, jak kiedyś, jako młoda żona, chwyciła w kinie męża za rękę, patrząc na tego mężczyznę, jej obecnego kochanka, w roli zuchwałego asa podniebnych przestworzy: jak skoczył ze spadochronem, powoli opadał na ziemię, skąd unosił się dym i gdzie strzelano z karabinów przy wzmagającej napięcie muzyce filmowej; Norma Jeane nigdy by nie przy puszczała, że pewnego dnia będzie się kochała z tym samym mężczyzną.

Niesamowite!

"Oczywiście nie jest to ten sam mężczyzna.

Chyba.

Nigdy nie jest".

Za oślepiającymi reflektorami, schowany z tyłu w strategicznym cieniu - Snajper.

Zwinny jak jaszczurka przyczajona na murze ogrodu, ubrany w barwy nocy: zapinany na zamek błyskawiczny kombinezon surfera.

W sferze domysłów pozostaje kwestia - nawet wśród osób dobrze poinformowanych - czy na południu Kalifornii jest tylko jeden, czy kilku Snajperów?

Rozsądek (zdrowy rozsądek!)

każe skłaniać się bardziej do tezy, że to raczej pewna liczba Snajperów byłaby przypisana do określonych rejonów Stanów Zjednoczonych, koncentrując się w tradycyjnie żydowskich regionach, takich jak Nowy Jork, Chicago i Los Angeles/Hollywood.

W precyzyjnym noktowizorze dalekosiężnego karabinu Snajper spokojnie obserwuje gości naftowego multimilionera.

Na razie jest to wczesna, całkowicie niewinna era obserwacji, Snajper nie może zrozumieć poszczególnych słów, nawet tych wykrzyczanych, taka tu panuje radość.

Czy waha się, widząc wśród innych znajome twarze gwiazd?

Na widok twarzy gwiazdy człowiek zawsze odczuwa odrobinę niechęci, ukłucie rozczarowania, jakby marzenie spełniło się zbyt łatwo.

Poza tym ileż tu pięknych twarzy!

I twarzy silnych mężczyzn o tępych, wysuniętych czołach, czaszkach dużych i zaokrąglonych

na kształt kuł do kręgli, ileż błyszczących owadzych oczu.

Czarnych krawatów, smokingów.

Wykrochmalonych koszul z falbanami.

Ci wszyscy ludzie tworzą dystyngowaną, mieniącą się kolorami grupę.

Ale Snajper jest zawodowcem z krwi i kości, ma duże doświadczenie, nie wzrusza go ani piękno, ani siła.

Snajper pozostaje na usługach Stanów Zjednoczonych.

Ponadto służy Sprawiedliwości, Obyczajności, Moralności.

Można by rzec: jest na służbie u Boga.

Wietrzny, kojący wieczór przed Niedzielą Palmową, ostatnią niedzielą przed Wielkanocą w posiadłości bajecznie bogatego nafciarza, zbudowanej w normandzkim stylu na wzgórzach prestiżowego Bel Air.

Norma Jeane myśli: Dlaczego jestem tutaj, pośród obcych ludzi?, ale też: Pewnego dnia zamieszkać w takiej rezydencji.] jej nieswojo, wyczuwa, że ją obserwują.

Nieuchronnie przyciąga wzrok jak światło ćmy.

Ma na sobie czerwoną jak szminka sukienkę z głębokim dekoltem, która nie osłania zbyt wiele jej piersi, jest obcisła w biodrach i wąskiej talii.

Przypomina wyrzeźbioną lalkę, ale jednak się porusza.

Uśmiecha się, jest ożywiona i najwyraźniej szczęśliwa, że znalazła się w takim doborowym towarzystwie!

Do tego te starannie uczesane platynowe włosy, które wyglądają jak cukrowa wata.

I te półprzeźroczyste niebieskie oczy.

Snajperowi wydaje się, że widział ją już wcześniej.

Przecież to ta ponętna blondynka podpisała petycję w obronie komuchów i ich sympatyków, w obronie takich zdrajców jak Charlie Chaplin i Paul Robeson (nie dość że komuch, to jeszcze przemądrzały czarnuch);

nazwisko tej dziewczyny jest w aktach bez względu na jej liczne nazwiska i pseudonimy - państwo jest w stanie ją śledzić.

Państwo ją zna.

Snajper zatrzymuje się dłużej na Marilyn Monroe, umieszcza ją bezpośrednio w celowniku swego karabinu.

Zło może przybrać dowolną postać.

Absolutnie każdą.

Nawet postać dziecka.

Oto diabelska moc dwudziestego wieku.

Należy ją rozpoznać i usunąć jak każde źródło zarazy.

Obok wschodzącej gwiazdki Marilyn Monroe stoi V, aktor weteran, bo hater wojenny z The Young Aces i Victory Over Tokyo, filmów, za którymi Snajper przepadał w latach młodości.

Czy tych dwoje jest parą?

Gdybym naprawdę była dziwką jak Rose, pożałowałabym wszystkich tych mężczyzn.

Może nie?

W pewnej mierze przyjęcie urządzono dla uczczenia Hollywoodzkich Bohaterów.

Norma Jeane nic o tym wcześniej nie wiedziała.

Nie wiedziała, że będą tu pan Z, pan D, pan S i inni.

I że będą się do niej uśmiechać, odsłaniając zęby wściekłych hien.

Hollywoodzcy Bohaterzy: patrioci, którzy ocalili wytwórnice przed gniewem Ameryki i bankructwem.

"Życzliwi" świadkowie, którzy złożyli stosowne oświadczenia przed Komisją Kongresu do Spraw Badania Działalności Antyamerykańskiej, słusznie demaskując komunistów, ich sympatyków i innych "podżegaczy" związkowych.

W Hollywood związki zawodowe rosły w siłę, co było winą komuchów.

Pojawił się przystojny gwiazdor Robert Taylor.

Elegancki, choć niski Adolphe Menjou.

Złotousty, wiecznie uśmiechnięty Ronald Reagan.

I swojsko przystojny Humphrey Bogart, który z początku sprzeciwiał się wszelkim przesłuchaniom, ale potem nagle zmienił zdanie.

Dlaczego?

Ponieważ Bogie wie, co jest dla niego dobre, tak samo jak my wszyscy.

Donieść na przyjaciół, oto próba godna prawdziwego patrioty.

Donieść na wroga każdy może.

Norma Jeane zadrżała.

Szepnęła do V:

- Może już pójdziemy?

Boję się niektórych spośród tych ludzi.

- Boisz się?

Dlaczego?

Prześladują cię niedobre wspomnienia?

Norma Jeane roześmiała się, wsparła o V.

Mężczyźni są tacy niepoważni!

-P...

powiedziałam ci już: nie mam żadnych wspomnień.

Marilyn przyszła na świat wczoraj.

Co za wrzask!

Jakby zarzynano dzieci.

Pawie.

Wspaniałe, mieniące się, zielono-niebieskie, paradujące i potrząsające główkami szybkimi, urywanymi ruchami, jakby coś sygnalizowały alfabetem Morse'a.

Goście gdakali i gruchali do nich.

Klaskali w dłonie, aby pawie się poruszyły.

Norma Jeane dziwiła się, że rozłożone pawie ogony nie sterczą dumnie, tylko zwisają wstydliwie ku ziemi.

-Jakby im ciążyły, prawda?

Muszą nosić takie wielkie ciężkie, piękne ogony.

Z braku scenariusza cały wieczór Norma Jeane musiała słuchać beznamiętnych banałów, które sama wypowiadała.

Kiedy przychodziły jej do głowy oderwane wyrażenia takie jak "pożegnanie", "ekstaza", "ołtarz", nie potrafiła ich wypowiedzieć, bo cóż znaczyły wobec majątku bajecznie bogatego teksańskiego nafciarza?

Norma Jeane nie miała pojęcia.

A w ogólnym zgiełku V i tak prawie by jej nie słyszał.

Szli krętą ścieżką wzdłuż sztucznego strumyka.

Na drugim brzegu chodziło jeszcze więcej pawi, były też kroczące dostojnie ptaki ze zmysłowym, neonoworóżowym upierzeniem - flamingi?

Norma Jeane jeszcze nigdy z bliska nie widziała flamingów.

- Piękne ptaki!

Zdaje się, że wszystkie są żywe, prawda?

Bajecznie bogaty nafciarz był sławnym kolekcjonerem egzotycznych ptaków i innych zwierząt.

Frontowej bramy do jego posesji strzegły wypchane słonie z zakrzywionymi kłami.

Oczy miały zrobione z małych reflektorów.

Wyglądały jak żywe!

Na dachach normandzkiej rezydencji stały w rzędach wypchane afrykańskie sępy, wyglądały niczym złowieszcze, rozłożone czarne parasole.

Tutaj blisko strumienia trzymano w klatce cętkowaną pumę z Ameryki Południowej, a za obszerną drucianą siatką wyjce, mały szerokonose, jasno upierzone papugi i kakadu.

Goście podziwiali olbrzymiego boa dusiciela w szklanej klatce, który wyglądał jak długi banan.

Norma Jeane krzyknęła:

- Och, nie chciałabym, aby ten facet przytulił mnie do siebie, nie, dziękuję bardzo.

To była zachęta, aby V objął ją i przytulił.

Ale V gapił się na wielkiego węża, ignorując jej uwagę.

- Och, a to co?

Taka duża, dziwna świnia!

V rzucił okiem na tabliczkę przymocowaną do pobliskiej palmy.

- Tapir.

-Co?

- Tapir.

Należy do kopytnych, żeruje nocą, występuje w tropikach Ameryki.

- Należy do...?

- Kopytnych.

- Boże święty!

Co tutaj robi tropikalny kopytny?

Blondwłosa Norma Jeane krzychała, aby ukryć rosnący niepokój.

Ktoś ją obserwował?

Z ukrycia?

Zza niespokojnych reflektorów omiatających tłum?

Widoczna od czasu do czasu w świetle twarz V wydawała się ogorzała, pokryta pergaminową maską pełną delikatnych zmarszczek.

Na miejscu oczu były po prostu oczodoły.

Dlaczego się tutaj znaleźli?

Kropla potu z domieszką pudru stoczyła się między duże, piękne piersi Normy Jeane ubranej w obcisłą sukienkę.

Zawsze istnieje jakiś scenariusz.

Ale ty nie zawsze go znasz.

Wreszcie do niej podeszli.

Czekała na tę chwilę.

Spodziewała się jej.

Utworzyli coś na kształt kręgu hien.

Szczerzyli zęby.

George Raft!

Cichy, wyraźny głos.

- Cześć, Marilyn.

Pan Z o twarzy nietoperza, szef produkcji Wytwórni.

- Marilyn, cześć.

Pan S, pan D, pan T.

Inni, których Norma Jeane nie znała.

Oraz Teksańczyk, nafciarz multimilioner, główny sponsor Niagary.

Gargulcowate twarze w jednym kadrze z cieniami jak w jakimś niemieckim, niemym ekspresjonistycznym filmie.

V przyglądał się z bliska, jak dotykali Normy Jeane,

przesuwali kielbaskowatymi palcami po niej, po jej nagich ramionach, na gich rękach, piersiach, biodrach, brzuchu, przysuwali się i cichutko śmiali, mrugali przy tym do V.

Mieliśmy ją.

Wszyscy ją mieliśmy.

Kiedy Norma Jeane uwolniła się od nich i chciała wrócić do V, jego już nie było.

Pobiegła za nim.

Już wcześniej mieli wyjść z przyjęcia; nie było jeszcze północy.

- Poczekaj!

Och, proszę...

W panice całkowicie zapomniała, jak ma na imię.

Dogoniła go, chwyciła za ramię; odtrąciła ją, rzucając jakieś przekleństwo.

Być może mruknął coś przez ramię: "Dobranoc!

" albo: "Żegnaj!

". Norma Jeane rzekła błagalnym tonem:

- Nie byłam z żadnym z nich.

W każdym razie na poważnie.

Utknęła.

Jakąż była nędzną aktorką.

Łzy znowu zmyły jej tusz do rzęs.

Zbyt wiele wysiłku kosztowało ją być piękną, być kobietą!

Naraz poczuła, że ktoś chwyta ją za rękę.

Odwróciła się zaniepokojona i zobaczyła...

Cass Chaplin?

Poczuła, że ktoś łapie ją za drugą rękę, silne palce splatają się z jej palcami; odwróciła się, by ujrzeć...

Kochanek Cassa, Eddy G?

Przystojni, ubrani na czarno młodzi mężczyźni szybko i bezgłośnie jak pumy pokonali odległość dzielącą ich od Normy Jeane, która stała na krawędzi tarasu, kołysząc się na wysokich obcasach, otępiła od upokorzenia i bólu.

Cass mruknął jej do ucha swym miłym, chłopięcym głosem:

- Nie pasujesz do towarzystwa ludzi, którzy cię nie kochają, Normo.

Chodź z nami.

TAMTA NOC...

Tamta noc, pierwsza spośród wielu ich wspólnych nocy!

Tamta noc, pierwsza noc nowego życia Normy Jeane!

Tamtej nocy pojechali pożyczonym czarnym rolls-royceem nad ocean za Santa Monica.

Szeroka, zniszczona przez wiatr plaża, opustoszała o tej porze roku.

Na niebie jasny, perłowy księżyc, wstęgi chmur.

Krzyki i śpiew.

Było zbyt zimno, aby się rozebrać i popływać lub choćby pobrodzić w wodzie, ale oni się nie przejmowali, biegali wzdłuż brzegu, śmiejąc się i krzycząc jak zwariowane dzieciaki, obejmując się w pasie.

Jakże byli nie poradni, a mimo to ileż mieli wdzięku, troje pięknych, młodych ludzi w rozkwicie beztroskiej młodości, dwóch młodych mężczyzn w czerni i dziewczyna o blond włosach w czerwonej koktajlowej sukience - troje zakochanych ludzi?

Czy troje może się kochać równie nieszczęśliwie jak dwoje?

Norma Jeane zrzuciła z nóg pantofelki i biegła, aż jej pończochy zamieniły się w strzępy, lecz mimo to biegła dalej, trzymając mężczyzn za ręce, popychając ich, bo chcieli się zatrzymać i całować, i więcej niż całować, byli podnieceni, pobudzeni jak zdrowe, młode zwierzęta, a Norma Jeane drażniła ich, zwodziła, jakże była szybka bez butów, jakże narwana, ta urocza blondynka, śmiejąca się w delirium szczęścia.

Zdążyła zapomnieć o przyjęciu w Bel Air.

Zapomniała, jak odchodził kochanek - usuwał się z jej życia - zapomniała o jego sztywnych, nieugiętych plecach.

Zapomniała o potwornej myśli, która przemknęła jej przez głowę w ułamku sekundy:

Nigdy nie zasłużyłaś, by żyć, oto dowód.

W podnieceniu mogła pomyśleć, że ci młodzi książęta przysli po nią, uwolnili ją z zamknięcia, gdzie umieściła ją niegodziwa macocha.

A prawie nie mogła rozpoznać tych mężczyzn.

Oczywiście wiedziała, kim są: Cass Chaplin junior i Eddy G.

Robinson junior, odrzuceni synowie sławnych ojców, wygnani książęta.

Nie mieli grosza przy duszy, ale chodzili w drogich ubraniach.

Nie mieli domów, a mimo to mieszkali z klasą.

Mówiło się o nich, że zbyt wiele piją, zażywają niebezpieczne narkotyki - ale tylko na nich popatrzcie: doskonały przykład młodych amerykańskich mężczyzn.

Cass Chaplin, Eddy G - przysli po nią!

Kochali ją!

Ją, którą inni pogardzali, wykorzystywali i wyrzucali jak papierową serwetkę.

Kiedy ci dwaj mężczyźni będą opowiadać i powtarzać tę historię, szybko zrodzi się w niej przekonanie, że wtargnęli na przyjęcie wyłącznie dla niej.

Nie mogłam usiedzieć, że umożliwią mi dalsze życie.

Sprawia, że Rosę stanie się realna i wiele więcej.

Jeden z nich przewrócił ją na mokry piasek, ubity jak zwykła ziemia.

Walczyła, śmiała się.

Czerwona sukienka podarta, pas do pończoch i czarne koronkowe majteczki przekręcone.

Wiatr we włosach, oczy załzawione tak, że prawie nie widziała.

Cass opadł na jej usta, zaczął ją całować delikatnie, potem coraz mocniej, z językiem, jak od dawna jej nie całował.

Norma Jeane rozpaczliwie chwyciła go za głowę.

Eddy G zaś opadł obok nich na kolana i mocował się z jej majtkami, by wreszcie je rozerwać.

Pogłaskał ją wprawnymi palcami, potem zaś umiejętnie całował między nogami, ocierał się, trącał, zagłębiał, wszystko w rytm przypominający gigantyczne pulsowanie; Norma Jeane otoczyła nogami jego głowę i ramiona, zaczynała kołysać biodrami, dochodzić, więc Eddy czym prędzej, tak sprawnie, jakby robił to już wiele razy, przesunął się, aby nad nią przykucnąć, podczas gdy Cass już klęczał nad jej głową; wchodzili w nią obaj, szczypty penis Cassa znalazł się w jej ustach, grubszy Eddygo w pochwie, poruszały się rytmicznie, szybko, nieomylnie, póki Norma Jeane nie zaczęła krzyżeć tak, jak jeszcze nigdy dotąd nie krzyżała, krzyżała na cześć życia, ściskając kochanków w takich paroksyzmach ekstazy, że potem będą się z tego smutno śmiali.

Cass będzie pokazywał długie na trzy cale zadrapania na pośladkach, pręgi, sińce.

Parodiując plażowych kulturystów, chodząc nago, aby mogli go podziwiać, Eddy zaprezentuje śliwkowe sińce na pośladkach i udach.

- To się musiało stać, Normo.

Czekałaś na nas?

- To się musiało stać, Normo.

Tęskniłaś za nami?

Tak.

ROSE 1953

- Urodziłam się, aby zagrać Rosę.

Jestem nią od urodzenia.

Sezon nowych początków.

Była teraz Rosę Loomis z Niagary, najgłośniejszej nowej produkcji Wytwórni; poza tym była Normą, kochanką Cassa Chaplina i Eddyego G.

Nie, trudno w to uwierzyć!

I Gladys w prywatnym szpitalu.

Żeby wiedzieć, że zrobiłam choć jedną dobrą rzecz.

Chyba jej nie kocham.

Och, kocham!

Otrząsnęła się z letargu, jakby ją obudziło trzęsienie ziemi.

Ta krucha, wierzchnia warstwa południowej Kalifornii.

Nigdy nie czuła się do tego stopnia żywa.

Nigdy od czasu najszcześniejszych dni w Van Nuy High School, kiedy była gwiazdą szkolnej drużyny i biegła po gratulacje, pochwały i srebrny medal.

Żeby przekonać się, że jestem potrzebna.

Że ktoś mnie po trzebuje.

Gdy nie była z Cassem i Eddym G, marzyła o nich; kiedy nie kochała się z Cassem i Eddym G, wspominała ostatni raz, kiedy się kochali, choć od tego momentu mogło minąć zaledwie kilka godzin, a jej ciało nadal pełne było żaru i cudu seksualnej rozkoszy.

Jak po terapii wstrząsowej mózgu.

Czasem piękni chłopcy Cass Chaplin i Eddy G zaglądali do Wytwórni, aby się zobaczyć z Normą Jeane na planie.

Przynosili Rosę śliczną różę na długiej łodydze.

Jeżeli Norma Jeane miała przerwę i sprzyjały okoliczności, we trójkę przechodzili do garderoby, gdzie spędzali jakiś czas na osobności.

(Jaka to różnica, jeśli warunki nie zawsze są idealne?

)

Miała szkliste spojrzenie, jakby akurat przed chwilą skończyła się pieprzyć.

I pachniało od niej tak, że nie mogłeś mieć wątpliwości.

To była Rosę!

Teraz, gdy V zniknął z jej życia, ileż przybyło jej energii.

Teraz, kiedy zniknęła z jej życia okrutna, fałszywa nadzieja.

- Pragnę tylko wiedzieć, co jest realne.

Co jest prawdziwe.

Nikt już nie będzie mnie więcej okłamywał.

Nie był to najlepszy czas, ale symptomatyczny dla jej życia, bo to życie nabierało tempa i poszczególne zdarzenia zaczynały na siebie zachodzić:

spotkania, rozmowy telefoniczne, wywiady, zebrania.

Marilyn Monroe często nie mogła na nic zdążyć, jeśli zaś nadążała, to po upływie godzin, zadyszana i skruszona; niemniej na tydzień przed rozpoczęciem pracy nad Niagarą pozwoliła się namówić na przeprowadzkę do nowego mieszkania, bardziej przestronnego niż stare, nieco większego, w domu w hiszpańskim stylu, niedaleko Beverly Boulevard.

Wyraźny krok naprzód w stosunku do jej poprzedniego sąsiedztwa.

Choć Norma Jeane nie mogła sobie pozwolić na droższe mieszkanie (gdzie się podziewała jej gaża?

bywały tygodnie, że spóźniała się nawet z wysłaniem czeku do szpitala w Lakewood) i musiała pożyczać pieniądze na czynsz czy meble, zdecydowała się na przenosiny, ulegając namowom kochanków.

Eddy G powiedział:

- Marilyn najpewniej zostanie gwiazdą.

Marilyn zasługuje na coś lepszego.

Cass prychnął z pogardą.

- Co za miejsce!

Wiesz, czym tu cuchnie?

Ponurą miłością.

Kiedy on i Eddy zostawali na noc w starym mieszkaniu Normy Jeane, cała trójka spała skulona jak szczenięta w mosiężnym łóżku z Armii Zbawienia, mężczyźni nalegali, aby otwierać wszystkie okna i wpuścić do środka świeże powietrze, na dodatek nie godzili się na opuszczanie żaluzji.

Niech świat się przygląda, nie dbali o to.

Cass i Eddy mieli w dzieciństwie aktorskie doświadczenia, przyzwyczaili się, że ktoś na nich patrzy i nie obchodziło ich, kto to jest.

Obaj przechwalali się, że jako nastolatki występowali w filmach pornograficznych.

- Dla draki - powiedział Cass - wcale nie dla forsy.

Eddy mrugnął do Normy Jeane:

-Ja nie wybrzydzałem na kasę.

Z zasady tego nie robię.

Norma Jeane zupełnie nie wiedziała, czy ma wierzyć w tego rodzaju opowieści.

Młodzi mężczyźni byli niepoprawnymi kłamcami, choć w większości ich kłamstw zawsze tkwiło ziarno prawdy, tak samo jak słodki deser może zawierać odrobinę cyjanku; raz zachęcali cię, byś uwierzyła, innym razem, byś nie wierzyła.

(Ależ historie opowiadali o swoich sławnych nie sławnych ojcach.

Niczym rywalizujący bracia walczyli o to, który bardziej zaszokuje Normę Jeane: który mężczyzna był bardziej potworny, smutny Mały Tramp czy twardy Mały Cezar?)

W każdym razie śliczni młodzieńcy krążyli nadzy po mieszkaniu Normy Jeane, niewinni i beztroscy jak rozpieszczone dzieciaki.

Cass twierdził, że nie chodzi wcale o niechlujstwo, lecz o zasadę.

- Ludzkie ciało zostało stworzone po to, aby je pokazywać, podziwiać, pożądać, nie ukrywać jak ohydny, zaropiałą ranę.

Eddy G, bardziej próżny, bo nieco młodszy i mniej dojrzały, powiedział:

- Fakt, mnóstwo jest ciał, które wyglądają jak ropiejące rany i powinno się je zasłaniać.

Ale nie należy do nich twoje, Cass, ani moje, a już na pewno nie naszej maleńkiej Normy.

Sprawa przedstawiała się tak samo jak z Magiczną Przyjaciółką z dzieciństwa Normy Jeane.

Magiczna Przyjaciółka z lustra, jej tajemnica, wydawała się znacznie piękniejsza, gdy była naga.

Pewnego wieczoru opowiedziała Cassowi i Eddyemu G o Magicznej Przyjaciółce.

Eddy G roześmiał się i rzekł:

-Ja też kogoś takiego miałem!

Nawet w ustępie ustawiłem lustro, żeby się widzieć.

Po wszystkim, co robiłem w lustrze, słyszałem okrzyki zachwytu.

Cass rzekł:

- W naszym domu, który był z natury zaklęty, całą magią dysponował ojciec, Chaplin.

Ten wielki człowiek absorbował czary, jakby pochłaniał światło.

Nie starczało ich dla nikogo więcej.

Nowe mieszkanie Normy Jeane mieściło się na samej górze, na siódmym piętrze.

Najprawdopodobniej nikt ich tam nie obserwował.

Ale gdy Norma Jeane spędzała noc z Cassem i Eddym G gdzieś w innym miejscu, w jednej z "użyczonych" rezydencji, nie mieli pojęcia, kto mógłby się im przyglądać z zewnątrz.

Tylko wtedy gdy dom otaczały drzewa albo chroniło wysokie ogrodzenie, Norma Jeane czuła się całkowicie bezpieczna.

Jej kochankowie prowokowali ją, twierdzili, że jest pruderyjna:

- I to akurat Miss Złote Marzenia.

Norma Jeane zaprotestowała:

- Najbardziej się obawiam jednego: że ktoś robi zdjęcia.

Gdyby tylko patrzył, nie miałabym nic przeciwko temu.

Oczy i uszy świata.

Pewnego dnia będzie to jedyne miejsce twojej ucieczki, ale jeszcze nie teraz.

Mniej więcej w tym samym czasie Norma Jeane kupiła nowy samochód:

cadillaca w kolorze zielonej cytryny, kabriolet z szeroką chromowaną kratą, która wyglądała jak wyszczerzone zęby, tylnymi błotnikami w kształcie rozszerzonych płetw, anteną wysoką na sześć stóp, pokryciami przednich i tylnych siedzeń z prawdziwej skóry w kolorze żółtawobrązowym.

Zakupu dokonała za pośrednictwem przyjaciela Eddyego G i kosztowało ją to jedynie siedemset dolarów.

Przyjrzała się pojazdowi na ulicy wyglądającemu jak koszmar, tropikalny drink w szklano-metalowej mutacji chłodnym okiem Warrena Piriga.

- Dlaczego wyceniono go tak nisko?

Eddy G wyjaśnił:

- Dlaczego?

Bo Beau, mój dobry przyjaciel, podziwia z oddali Marilyn Monroe.

Powiada, że zauroczył się tobą -w Asfaltowej dżungli, ale dostrzegł cię już wcześniej, jako Miss Wyrobów Papierniczych czy coś takiego.

To ty byłaś tą szalową blondynką w papierowym stroju kąpielowym i butach na wysokim obcasie, której zapalił się kostium?

Przypominasz sobie?

Norma Jeane roześmiała się, ale pytała dalej.

(Norma Jeane potrafiła się czasem uczeplić czegoś jak zawzięty proletariusz!

Jakby wyszła prosto z Gron gniewu).

- Gdzie jest teraz ten twój przyjaciel Beau?

Dlaczego nie mogę się z nim spotkać?

Eddy G wzruszył ramionami, po czym powiedział wymijająco:

- Gdzie jest Beau?

W tej chwili?

Tam, gdzie nie czuje się społecznie zażenowany brakiem kół.

Tam, gdzie, że tak się wyrażę, uwił sobie gniazdko.

Norma Jeane miała kolejne pytania, ale Eddy G zamknął jej usta, przy wierając do nich własnymi.

Byli sami w jej nowym, skąpo umeblowanym mieszkaniu.

Rzadko się zdarzało, aby Norma Jeane była sama z jednym ze swych kochanków.

Rzadko widywało się Eddyego G bez Cassa albo Cassa bez Eddyego G.

W takich przypadkach brak jednego z nich wyczuwało się tak namacalnie jak czyjaś obecność, albo jeszcze wyraziściej, bo czekałaś z niepokojem, kiedy nieobecny wreszcie wkroczy do pokoju.

To przypominało nasłuchiwanie kroków ludzi idących po schodach - i nie wchodzących na górę.

Nasłuchiwanie cichutkiego dzwonienia, które czasem po przedza właściwy dzwonek telefonu, z tym że tym razem ten właściwy dzwonek nie nastąpił.

Eddy G objął Normę Jeane w talii i zamknął w uścisku tak mocnym, że ledwo mogła oddychać.

Język Eddyego znalazł się w ustach Normy Jeane, więc siłą rzeczy przestała protestować.

To nie było fair kochać się bez Cassa, no nie?

Jak oni mogli się nawet dotknąć, jeżeli nie było tam Cassa?

Eddy był najwyraźniej zły.

Taki autorytet rozgniewany!

Eddy G, który sabotował własną karierę aktorską, kpił z tekstów na przesłuchaniach, spóźniał się na nie i przychodził pijany, a gdy go zaangażowano, albo spóźniał się na plan, pijany, albo w ogóle nie przychodził - Eddy G rzucił się na Normę Jeane jak anioł zemsty.

Jego jasnobrązowe oczy, ciemne, sterczące włosy i blada cera wydawały się jej piękne.

Eddy G pchnął Normę Jeane na podłogę - nieważne, że podłoga była twarda - ogarnęła go zwierzęca żądza, pragnął ją mieć, i to mieć natychmiast; rozłożył jej kolana, uda, a kiedy wszedł w nią, poczuła ukłucie wstydu, żalu, urazy: kochała Cassa Chaplina, Cassa Chaplina pragnęła poślubić, Cass Chaplin miał zostać ojcem jej dziecka; tak, ale kochała także Eddyego G, sześć stóp wzrostu, sylwetka dość krępa, jak u jego sławnego ojca, twarde mięśnie, twarz rozpuszczonego chłopca, blada, skwaszona i niemal przystojna, usta mięsiste, wydęte, stworzone do ssania.

Norma Jeane bezwiednie przywarła do Eddyego.

Ramionami, nogami, boleśnie otartymi udami.

Otartymi od kochania.

Spragnionymi miłości i kochania.

I zaczęła się w środku powiększać jak ciepły, słodki balon, co wprawiło ją w zdumienie, bo zawsze była tam bardzo ciasna - gderliwa konwulsja niewłaściwych myśli, myśli, których nie wolno było wyrazić - tam w dole brzucha, w tych sekretnych miejscach, na oznaczenie których zupełnie nie pasowały takie słowa jak "pochwa", "łono", "macica", a z kolei takie słowo jak "pizda" miało komiksowe znaczenie, ukute przez wroga.

Balon się rozwinął i otworzył.

Norma Jeane wygięła ciało w łuk.

Wiła się na twardej podłodze, kręcąc głową z jednej strony na drugą, zaciskając oczy.

Oto, co uwielbia Rosę.

Rosę uwielbia się pieprzyć i uwielbia, jak się ją pieprzy.

Pod warunkiem, rzecz jasna, że mężczyzna zna się na rzeczy.

Norma Jeane krzyknęła i o mało co nie odgryzła Eddyemu kawałka dolnej wargi.

Ale na szczęście wyczuł skurcze, wiedział, jak potężne są orgazmy tej wygłodniałej dziewczyny, wiedział, że ona zaraz dojdzie, dlatego w porę uniósł głowę i uniknął pochwylenia zębami.

W żadnym razie nie da się powiedzieć, że świetnie się różnęła.

Ani że jakoś nadzwyczajnie robiła laskę; po prostu pieprzył ją w usta, a wiesz, usta miała słodkie, więc niby nie było źle, ale było trochę tak, jakbyś sam sobie dogadzał, jakbyś sobie sam trzepał.

Co wydaje się dziwne, zważywszy, kim była albo kim się stanie: symbolem seksu dwudziestego wieku!

W tamtych czasach mówiło się o niej, że tylko leży z rękoma złożonymi na piersi i pozwala, żeby to z nią robić, jakby była martwa.

Ale ze mną i Cassem było dokładnie na odwrót; niesamowicie się podniecała, doprowadzała do szaleństwa; nie było w tym żadnego rytmu; przyznała się nam, że jako dziewczynka nie masturbowała się (musieliśmy ją tego nauczyć!),

więc może dla tego jej ciało było tym cudownym stworzeniem, które widziała w lustrze, ale z którym się nie utożsamiała, i nie wiedziała, jak je obsługiwać, żeby było coś warte.

Zabawne!

Orgazm Normy Jeane był jak rzucanie się do wyjścia w panice.

Wszyscy krzyczą i jednocześnie starają się wyważyć drzwi.

Kiedy oboje obudzili się godzinę później, wybici z otępienia przez kroki Cassa, Norma Jeane już nie pamiętała, o co chciała zapytać w sprawie zielonego cadillaca, choć może wcześniej wydawało się jej to bardzo ważne.

Cass uśmiechnął się do nich.

Westchnął.

-Wy dwoje!

Tacy spokojni.

Tak wyglądałaby grupa Laokoona, gdyby węże pieprzyły się z chłopcami, a nie zadusiły ich na śmierć.

I gdyby wszyscy poszli potem spać, spleceni w uścisku.

I gdyby w ten sposób, a nie inny, stali się nieśmiertelni.

Pod przybrudzonym pokryciem tylnego siedzenia w swoim nowym samochodzie Norma Jeane miała odkryć rozproszone ciemne plamki, jakby kleiste krople deszczu.

Krew?

Pod spodem brudnej plastikowej maty na podłodze samochodu Norma Jeane miała znaleźć szarą kopertę z czterema uncjami białego, drobnego proszku.

Opium?

Zlizła z ręki kilka ziarenek.

Bez smaku.

Kiedy pokazała paczuszkę Eddyemu, szybko ją od niej odebrał.

Mrugnął do niej porozumiewawczo i rzekł:

- Dzięki, Normo!

Niech to będzie nasza tajemnica.

-Myślę, że Rosę miała dziecko.

To dziecko umarło.

Była uparta, lecz uśmiechała się.

Podczas mówienia nieświadomie (świadomie?) gładziła swoje piersi, jak gdyby ów gest był częścią myślenia, opuszczała dłoń w dół brzucha, pachwinę miała prawie zarysowaną pod obcisłymi kostiumami.

Jakby kochała się sama ze sobą na twoich oczach.

Tak się może zachowywać małe dziecko albo drapiące się zwierzę.

Na planie Wagary, jak w całym Hollywood, walczyły ze sobą sprzeczne teorie.

Pierwsza głosiła, że odtwórczyni głównej roli żeńskiej, Marilyn Monroe, nie umie grać i wcale grać nie musi, bo jako rozpustna Rosę Loomis jest tylko sobą i właśnie dlatego szefowie studia ją zaangażowali (w Hollywood wszyscy doskonale wiedzieli, że szefowie Wytwórni, od Z poczynając, po gardzali Marilyn Monroe jako dziwką, może odrobinę tylko lepszą od prostytutki albo aktorki porno); druga teoria była bardziej radykalna, wypracowana przez reżyserów i kolegów aktorów.

Według niej była urodzoną aktorką o naturalnym talencie, swego rodzaju geniuszem, cokolwiek słowo "geniusz" znaczy, a "aktorstwo" odkrywała tak, jak tonąca kobieta może odkryć umiejętność pływania - rozpaczliwie wymachując rękami, kopiąc nogami.

Pływanie "przyszło do niej" naturalnie!

Aktor wykorzystuje w swojej sztuce twarz, głos, ciało.

Nie dysponuje innymi narzędziami.

Jego sztuka to on sam.

Zaledwie po tygodniu kręcenia zdjęć reżyser H zaczął zwracać się do Normy Jeane per Rosę, jakby zapomniał o jej pseudonimie artystycznym.

To jej schlebiało, bawiło ją.

Nie było to dla niej obraźliwe.

Zarówno H, jak jej partner, Joseph Cotten, aktor dżentelmen niepewny w swojej roli, gwiazda tego samego pokolenia co V, poprzedni kochanek Normy Jeane, pod wieloma względami do niego podobny, zachowywali się, jakby byli zakochani w Rosę albo byli nią zafascynowani do tego stopnia, że nie potrafili patrzeć nigdzie indziej, tylko na nią.

Czy też tak bardzo się nią brzydzili, jej skandalicznym kobiecym ciałem i rażącą seksualnością, tak bardzo bali się jej i nienawidzili, że nie mogli patrzeć gdzie indziej?

Aktor, który grał kochanka Rosę i który całował ją w wydłużonych scenach miłosnych, był tak podniecony, że Norma Jeane musiała go wyśmiać; gdyby nie należała do Bliźniąt (jak żartobliwie nazywali siebie Cass i Eddy G), z pewnością zaprosiłaby go do swojego domu.

Albo na seks do garderoby, czemu nie?

Aktorów irytowało to, że Rosę pochłania większość światła w każdej scenie, niezależnie od najbardziej skrupulatnego oświetlenia.

Irytowało to, że bez widocznego wysiłku pochłania większość życia w każdej scenie, niezależnie od tego, jak pozostali uwydatniali swe aktorskie osobowości.

W nakręconych materiałach wszyscy inni okazywali się dwuwymiarowymi, schematycznymi postaciami, podczas gdy Rosę Loomis była żywą osobą.

Błada, połyskująca skóra, która sprawiała wrażenie rozpalonej, niesamowite, półprzezroczyste niebieskie oczy w kolorze wzburzonego oceanu zmieszanego z kawałkami lodu, powolny, somnambuliczny chód.

Kiedy przed obiektywem kamery zaczęła gładzić swoje piersi, zahipnotyzowany H miał trudności z przerwaniem sceny, choć tego rodzaju rzeczy cenzor nigdy by nie przepuścił i trzeba by je wyciąć.

W kluczowej scenie, kiedy wyśmiewała zrozpaczonego męża, kpiła z jego impotencji i oświadczyła, że będzie się kochała z pierwszym mężczyzną, którego napotka, Rosę przesunęła otwartą dłońią po kroczu w geście nie pozwalającym na domysły.

Dlaczego?

To chyba oczywiste.

Nie mógł jej dać tego, czego chciała, więc zdecydowała się dać to sobie sama.

Dziwne.

Często o tym mówiono i uznano to za dziwne.

Na planie Dont Botherto Knock- od tamtej pory nie upłynął rok - młoda blondwłosa aktorka Marilyn Monroe miała reputację osoby pruderyjnej, sztywnej, chorobliwie nieśmiałej, unikającej fizycznego kontaktu, a nawet kontaktu wzrokowego;

uciekła do garderoby i wychodziła stamtąd dopiero na wezwanie, ale też jakby niechętnie, z paniką w oczach, jak jej filmowa postać.

Na bardziej otwartym, częściej odwiedzanym i opisywanym planie Niagary ta sama blond włosa aktorka zdradzała tyle nieśmiałości, co pierwszy lepszy pawian.

Przeszłaby nago na miejsce kręcenia sceny pod prysznicem, gdyby garderobiana nie podała jej szlafroka kąpielowego; odrzuciła ręcznik, którym się owinęła po kąpeli, lecz ta sama garderobiana znów ubrała ją w szlafrok.

Norma Jeane sama rozstrzygnęła, że się rozbierze do naga w scenach łóżkowych, podczas gdy inne aktorki, nawet takie ekranowe syreny jak Rita Hayworth czy Susan Hayward, wkładały bieliznę w kolorze skóry i nie dostrzegało się jej pod białym prześcieradłem.

Norma Jeane sama, spontanicznie, zdecydowała się unieść kolana pod prześcieradłem i rozchylić nogi, zachować się nieprzyzwoicie jednoznacznie, w każdym razie bez szacunku dla "kobiecości".

Oto kobieta, która nie będzie spolegliwa i bierna w łóżku!

Podczas filmowania prześcieradło często się zsuwało, odsłaniając sutkę albo nawet całą piersią.

H nie miał wyboru, musiał zatrzymać scenę, urzeczony, jak to on.

- Rosę!

Nigdy nam się nie uda przepchnąć tego przez cenzurę.

H pełnił funkcję uważnego ojca, on ponosił moralną odpowiedzialność.

Rosę była zmienną, seksualnie nieokiełznaną córką.

Cholerna kobieta.

Taka piękna, że nie mogłeś od niej oczu oderwać.

Kiedy Cotten wreszcie ją udusił, niektórzy zareagowali spontanicznymi oklaskami.

Część Niagary sfilmowano

w Hollywood, w atelier Wytwórni; część przy wodospadzie Niagara w stanie Nowy Jork.

Właśnie w plenerze postać Rosę Loomis stała się bardziej przekonująca i nieobliczalna.

Aktorka domagała się mocniejszych kwestii.

Protestowała przeciwko używaniu pustych, wytartych zwrotów.

Sama chciała pisać dialogi; kiedy spotkała się z odmową, upierała się, że odegra niektóre sceny samym gestem, bez słów.

Nabrała przekonania, że rola Rosę Loomis została napisana schematycznie, była nieprzekonującą, nieudolną kopią kreacji Lany Turner - kelnerki, uwodzicielki, morderczyni - z filmu Listonosz dzwoni zawsze dwa razy.

Wydawało się jej, że dostała tę rolę od szefów studia, bo chciano ją upokorzyć.

Ale nie miała zamiaru się poddać, już ona im pokaże, sukinsynom.

Ciągle nalegała, żeby powtarzać poszczególne sceny.

Po sześć razy.

Po dwanaście.

"Muszą być idealne".

Wszelkie niedoskonałości sprawiały, że wpadała w panikę.

Pewnego dnia podczas przygotowań do długiej, denerwującej sceny, w której Rosę Loomis odchodzi - żwawo, lecz ponętnie - od kamery, Norma Jeane nagle odwróciła się do H i jego asystenta, po czym odezwała rzeczowo, beznamiętnie, wcale nie głosem swojej postaci:

-Przyszło mi to do głowy ostatniej nocy.

Myślę, że Rosę miała dziecko.

To dziecko umarło.

Nie uświadamiałam sobie tego do końca, ale dlatego gram Rosę w taki właśnie sposób.

Ta postać musi być bardziej skomplikowana, niż to wynika ze scenariusza; ona jest kobietą z tajemnicą.

Pamiętam, jak do tego doszło.

Reżyser zapytał bez przekonania:

- Co?

Niby do czego doszło?

Znalazł się w kłopotcie, jak niemal bez przerwy, kiedy miał do czynienia z Rosę Loomis.

Albo z Marilyn Monroe, albo...

Obojętnie, kim była!

Nie miał pojęcia, czy powinien tę kobietę traktować serio, czy ją bagatelizować.

Ona zaś mówiła, jakby nikt jej w ogóle nie przerwał.

- Dziecko.

Rosę zamknęła je w szufladzie biurka, udusiło się.

Nie tutaj, rzecz jasna.

W pokoju hotelowym.

Gdzieś na zachodzie.

Tam, gdzie kiedyś mieszkała, nim wyszła za tego mężczyznę.

Była z kimś w łóżku i nie słyszała płaczu dziecka dobiegającego z szuflady, a kiedy skończyli, nawet nie wiedzieli, że dziecko nie żyje.

- Zmrużyła oczy, patrząc gdzieś poza zalany światłem plan, gdzieś w mroczne obszary przeszłości.

- Później Rosę wyjęła dziecko z szuflady, owinęła je w ręcznik i pogrzebała w jakimś tajemniczym miejscu.

Nikt się nigdy nie dowiedział.

H roześmiał się sztucznie.

- Do licha, skąd to wiesz?

Chciał nazwać ją pokręconą blondynką.

Posłużyć się najprostszą techniką lekceważenia.

Czy bał się, że dziewczyna podkopie jego autorytet reżysera, tak jak Rosę Loomis podkopała autorytet i męską dumę swego męża?

- Hej, po prostu wiem!

- odparła Norma Jeane, zdziwiona, że H może wątpić w jej słowa.

- Dobrze znam Rosę.

Olbrzymia kobieta!

I to ona nią była.

Przy wodospadzie Niagara zaczęła mieć sny, jakich nigdy nie miała w Kalifornii.

Były to marzenia na jawie, żywe jak fragmenty filmu.

Widziała kobietę olbrzymkę, roześmianą kobietę o żółtych włosach.

Nie Normę Jeane, nie Marilyn, nie Rosę: "To ja.

Jestem w niej".

Zamiast wstydlivej, krwawiącej rany miała między nogami wybrzuszenie, jakby powiększone, opuchnięte narządy płciowe.

Ów organ pulsował pragnieniem i żądzą.

Czasami wystarczyło, by Norma Jeane przesunęła po nim dłonią albo jedynie o tym pomyślała, a prawie w tej samej chwili - gwałtownie jak zapalana zapałka - dochodziła do orgazmu i z jękiem budziła się w łóżku.

Dziwka.

Rosę dokucza mężowi, bo nie jest dla niej dobry, nie jest mężczyzną.

Życzy mu śmierci, chce, żeby zniknął z jej życia.

Nie jest mężczyzną, a kobieta potrzebuje mężczyzny.

Jeśli mężczyzna nie wypełnia powinności męża, kobieta ma prawo uwolnić się od niego.

Intryga Rosę polega na tym, że jej kochanek ma zrzucić męża do rzeki Niagara, aby spadł z wodami wodospadu.

W 1953 roku taka jest nieprzyjemna prawda: kobieta może być żoną, ale nie musi należeć do męża.

Ani duszą, ani ciałem.

Kobieta może być żoną i nie kochać męża, sama wybiera, z kim chce się kochać.

Jej życie jest jej życiem, nawet jeśli ma je roztrwonić.

Kochałam Rosę.

Może byłam jedyną kobietą wśród publiczności, ale chyba nie; film był przebojem, długie kolejki ludzi pragnęły dostać się na seans, niczym dzieciaki na niedzielny poranek filmowy.

Rosę była taka piękna i seksowna, że aż się pragnęło, aby znalazła jakieś wyjście z sytuacji.

Może wszystkie kobiety powinny znaleźć swoją drogę.

Niedobrze nam się robi od współczucia i zrozumienia.

Mamy dosyć wybaczenia.

Mamy dość bycia dobrymi!

-W każdej chwili mogę się natknąć na jakieś przesłanie.

Zrozumiem jego znaczenie albo i nie.

To zawsze było credo Normy Jeane jako czytelniczki.

Otwierasz książkę na chybił trafił, przeczucasz kilka stron i zaczynasz czytać.

Szukając znaku, prawdy, która może odmienić twoje życie.

Zabrała w plenery walizkę książek.

Błagała Cassa Chaplina i Eddyego G, aby jej towarzyszyli, a kiedy odmówili, zmusiła ich do złożenia obietnicy, że przylecą do niej w odwiedziny, wiedziała jednak, iż nie dotrzymają słowa.

Zbyt głęboko były w nich zakorzenione obyczaje Hollywood.

- Zadzwoń, Normo.

Będziemy w kontakcie.

Obiecuj,

Zdarzało się, że realizacja Wagary postępowała pomyślnie, zdarzało się, że nic im nie wychodziło, a wtedy zazwyczaj winna była Rosę Loomis, w każdym razie ją obwiniano.

Miała obsesję i była niepoprawna.

Niczego nie potrafiła zrobić od razu.

Strach przed niepowodzeniem, oto jej tajemnica.

W takich dniach Norma Jeane nie siadała do obiadu z innymi.

Ona miała ich dosyć, oni mieli dosyć jej.

Ona miała dosyć Rosę Loomis.

Brała długą kąpiel i kładła się na podwójnym łóżku w apartamencie motelu Starlite.

Nie oglądała telewizji i nie słuchała radia.

Za to ciągle czytała chaotyczny i szalony pamiętnik Niżyńskiego.

To ją zainspirowało do stworzenia poezji na wzór jego marzycielskich, magicznych linijek.

Chcę powiedzieć, że kocham cię cię Chcę powiedzieć, że kocham cię cię Chcę powiedzieć, że kocham kocham kocham.

Kocham, choć ty nie.

Ty nie kochasz kochasz.

Jestem życiem, ty jesteś śmiercią.

Jestem śmiercią, ty nie jesteś życiem.

Norma Jeane pisała gorączkowo.

Co miały znaczyć te wersy?

Nie potrafiłaby powiedzieć, czy zwracała się do Cassa Chaplina, czy do Eddyego G, do Gladys czy nieobecnego ojca.

Po raz pierwszy w życiu dzieliły ją od Kalifornii tysiące mil i uświadamiała to sobie niezwykle wyraźnie i boleśnie.

Potrzebuję cię, byś mnie kochał.

Nie mogę znieść, że mnie nie kochasz.

Przez dwa, trzy dni, kiedy jej okres się opóźniał, nabrała przekonania, że jest w ciąży.

W ciąży!

Bolały ją sutki, opuchły jej piersi; brzuch zdawał się zaokrąglony, skóra była błyszcząca i blada, utlenione włosy łonowe - sztywne, jakby naelektryzowane.

Nie miało to nic wspólnego z Rosę, która po zwoliła, aby jej bezbronne dziecko udusiło się w szufladzie, która usunęła by każdą ciążę i wszystkie przeszkody uniemożliwiające spełnienie się jej pragnień.

Łatwo sobie wyobrazić Rosę, jak wchodzi na specjalny stół, rozchyła nogi i powiada do lekarza: "Proszę zrobić to szybko.

Nie jestem sentymentalna".

Podczas seksu ci beztroscy chłopcy, Cass Chaplin i Eddy G, nigdy nie używali prezerwatyw.

Chyba że, jak twierdzili, mieli jakieś podejrzenia co do "stanu zdrowia" partnerki.

Zaplątana w sprężyste, pokryte meszkiem ramiona mężczyzn, w odrętwieniu erotycznej rozkoszy czująca się jak syte niemowlę przy piersi, myśląc o przyszłości tak samo jak to dziecko, Norma Jeane zasnęła i w snach leżała w objęciach swych kochanków, w stanie najwyższej błogości.

Co się zdarza, miało się zdarzyć.

Jedną częścią swego umysłu pragnęła mieć dziecko - byłoby to dziecko ich obu, Cassa i Eddyego G - druga zaś część, bardziej rozsądna, podpowiadała jej, że to byłaby pomyłka.

Podobnie Gladys popełniła pomyłkę, mając kolejną córkę.

Ćwiczyła rozmowę telefoniczną z Cassem i Eddym G.

"Wiecie co?

Mam dobrą nowinę!

Cass, Eddy!

Będziecie ojcami".

Cisza!

Wyraz ich twarzy!

- Norma Jeane roześmiała się, widząc swoich mężczyzn tak wyraźnie, jakby byli z nią tutaj w pokoju.

Oczywiście nie była w ciąży.

Jak w nieprzyjemnych bajkach, w których nigdy nie spełniają się prawdziwe życzenia, tylko jakieś fałszywe, nie tak łatwo jest zająć w ciążę, jeśli ciąża jest czymś, na czym ci akurat zależy.

Tak się złożyło, że w środku sceny, w której Rosę Loomis idzie do kostnicy zidentyfikować zwłoki utopionego męża, ale pokazują jej utopionego kochanka, więc mdleje i traci przytomność, Norma Jeane zaczęła krwawić.

Co za okrutne zrządzenie losu!

Rosę Loomis w spódnicy tak obcisłej, że na wysokich obcasach może iść tylko z trudem, ściśnięta paskiem w wąskiej talii.

Rosę Loomis nosząca najbardziej skąpą koronkową bieliznę, która szybko przesiąknęła krwią.

Omdlenie jest niemal autentyczne.

Trzeba jej pomóc przejść do czekającego samochodu.

Norma Jeane dostała trzy smutne dni wolnego.

Leciąca jej nieczysta, krzepnąca, cuchnąca krew, głowa pękała jej od oślepiającej migreny.

Taka jest kara Rosę!

Zatrudniony przez Wytwórnę lekarz zaopatrzył Normę Jeane w znaczną ilość kodeinowych tabletek przeciwbólowych.

"Tylko nie pij alkoholu.

Słowo?"

Zatrudniani przez wytwórnie lekarze niewiele dbali o przyszłość pacjenta, jeśli nie wykraczała ona poza najbliższe plany związane z realizacją konkretnego filmu.

Kiedy Norma Jeane leżała w łóżku, praca nad realizacją Niagary musiała trwać.

Dochodziły do niej głosy, że bez Rosę codzienne zajęcia są nudne, nieciekawe, pozbawione wyrazu.

Po raz pierwszy przyszło Normie Jeane do głowy, że w tym filmie jest osobą najważniejszą, ona właśnie, nie Joseph Cotten ani tym bardziej Jean Peters.

Także po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, ile dostają pieniędzy pozostali główni aktorzy.

W motelu Starlite czytała Niżyńskiego i Moje życie w sztuce Stanisławskiego, książkę, którą Cass Chaplin dał jej w przeddzień jej wyjazdu.

Drogie wydanie w twardej oprawie z odręcznymi adnotacjami Cassa.

Czytała Życia aktora, Freuda Marzenia senna, od czego sama robiła się senna, bo ta pozycja była niesamowicie dogmatyczna i nudna - głos autora monotony jak uderzenia metronomu.

Ale czy Freud nie był geniuszem?

Jak Einstein czy Darwin?

Otto Osę chętnie wspominał Freuda, podobnie i.

E. Shinn.

Półowa elity Hollywood poddawała się "terapii".

Freud wierzył, że sny stanowią "królewską drogę do nieświadomości", a Norma Jeane chętnie podążałaby tą drogą, aby zapanować nad emocjami.

Abym mogła się uwolnić nie od miłości, ale od potrzeby miłości.

Abym mogła uwolnić się od życzenia sobie śmierci, gdyby mnie nikt nie kochał.

Czytała Śmierć Iwana Illicza Tołstoja.

Rosę nie miałyby cierpliwości ani temperamentu do przeczytania tej noweli.

Abym potrafiła przyjrzeć się śmierci.

Niejako Rosę, tylko jako ja.

W przyszłości po Hollywood będzie krążyła historyjka o tym, jak przyszedł po Marilyn sam H, rozdrażniony i niespokojny, ponieważ nie pojawiła się na planie po kilku wezwaniach.

Zastał ją ubraną w przylegającą do skóry sukienkę; na twarzy miała krzykliwy makijaż do kulminacyjnej sceny śmierci, kiedy miała zostać uduszona przez żądnego zemsty męża.

Patrzyła w lustrze na H, jakby przez chwilę w ogóle go nie poznawała.

Jakby przez chwilę H był uosobieniem śmierci.

Ten jej nawiedzony uśmiech.

I cichy chichot!

Bo właśnie płakała nad przerażającą śmiercią Iwana Illicza, prawda?

Płakała nad śmiercią fikcyjnej postaci, dziewiętnastowiecznego urzędnika

w carskiej Rosji, który na dodatek wcale nie był specjalnie dobiym czy wartościowym człowiekiem.

Miała atramentowy ślad po tuszu do rzęs i łzach na uróżwionym policzku.

Szybko, skruszonym głosem powiedziała:

-Już idę!

Rosę jest g...gotowa umrzeć.

Umarła przerażona.

Zasłużyła sobie na taką karę.

Tyle że powinna cierpieć trochę dłużej, suka.

I powinniśmy przyglądać się jej z bliska, widzieć jej twarz w pełnym zbliżeniu.

A nie patrzeć na nią z góry.

Gra światła sprawiła, że ta śmierć była piękna jak malowidło.

Rosę na ziemi, martwa.

Ciało rozciągnięte, nieruchome.

Nagle Rosę przestała być Rosę, była tylko martwym kobiecym ciałem.

Dlaczego nie podnosicie słuchawki?

Gdzie jesteście?

Samotna w motelu Starlite w Niagara Falls, Norma Jeane okropnie tęskniła za Cassem Chaplinem i Eddym G, których rzadko zastawała pod numerami podanymi jej przy okazji jednej z ostatnich rozmów z nimi; w tajemniczych rezydencjach telefony dzwoniły, dzwoniły i dzwoniły, albo też słuchawkę podnosiły hiszpańskie czy filipińskie pokojówki, z którymi nie dało się porozumieć.

Tak strasznie za nimi tęskniła, że wreszcie "pokochała się" ze sobą, tak jak ją oni nauczyli; wyobrażając sobie Cassa i Eddyego G, obu kochanków, których reprezentowały coraz szybsze i gwałtowniejsze ruchy palców, doprowadziła się do orgazmu tak potężnego, tak wstrząsającego, że chyba straciła świadomość, a kiedy się otrząsnęła, nadal oszołomiona, na brodzie miała ślinę, serce zaś biło jej jak oszalałe.

Gdybym była Rosę, uwielbiałabym to.

Ale chyba nie jestem Rosę.

Rozpłakała się nad beznadziejnością tego wszystkiego, rozpłakała się ze wstydu.

Tak rozpaczliwie tęskniła za swoimi kochankami, że niemal wątpiła, czy w ogóle istnieją.

A jeśli istnieją, to czy naprawdę kochają swoją Normę, tak jak twierdzili.

Nie miałyby nic przeciwko temu, powiedziała sobie, gdyby Cass i Eddy związali się, razem albo pojedynczo, z innymi mężczyznami.

(Wydawało się jej, że taki był sposób życia homoseksualistów: szybki i przypadkowy seks.

Starła się o tym nie myśleć.) Ale tak, tak, byłaby zdruzgotana, gdyby wzięli sobie jakąś kochankę na jej miejsce.

Jej siła polegała na tym, że była Kobietą.

Ich dwóch było Mężczyznami, ona była Kobietą.

Tworzyli "magiczny i nierozdzielny triumwirat", .

według egzaltowanych słów Cassa- Och, przepadali za nią!

Kochali ją.

Była pewna.

Promienieli dumą i poczuciem posiadania, gdy pokazywali się z nią publicznie.

Marilyn Monroe, wynalazek Wytwórni, stała u progu sławy, a Cass i Eddy G, urodzeni w Hollywood spryciarze, wiedzieli, co to może oznaczać, nawet jeśli nie wiedziała tego ich dziewczyna.

("Och - to się nie zdarzy, nie bądźcie głupi.

Jak Jean Harlow?

Joan Crawford?

Nie jestem aż tak ważna.

Wiem, kim jestem.

Jak ciężko pracuję.

Jak bardzo się boję.

To zasługa kamery, że czasami wyglądam tak, jak wyglądam".) Nawet kiedy Cass i Eddy naśmiewali się z niej, wiedziała, że ją kochają.

Bo śmiali się tak, jak można by się wyśmiewać z młodszej, głupiutkiej siostry.

Czasem jednak...

No cóż, czasem ich śmiech wydawał się trochę okrutny.

Norma Jeane starała się nie wspominać takich chwil.

Kiedy chłopcy spiskowali przeciwko niej, można by rzec.

Kiedy kochali się z nią tak, że aż ją bolało.

W ten sposób, jakiego nie lubiła.

Bolało ją, bolało ją długo później, tak że prawie nie mogła siedzieć, a i spać musiała na brzuchu po zażyciu tabletki przeciwbólowej albo jednej z magicznych pigułek Cassa; nie mogła zrozumieć, dlaczego lubią to robić w ten sposób.

- Przecież to chyba sprzeczne z naturą, prawda?

To znaczy: na pewno.

Śmiech, śmiech.

Z małej Normy strząsającej łzy z błyszczących, niebieskich, dziecięcych oczu.

Czasami ranili uczucia Normy Jeane, rozmawiając o niej tak, jakby jej z nimi nie było.

Ona, ona, ona/Czasami zwracali się do niej per "Rybo".

Na przykład: - Hej, Rybo, pożyczysz nam dwudziestkę?

Na przykład: Cześć, Rybko, pożyczysz pięćdziesiątkę?

(Norma Jeane przypomniała sobie, że raz albo dwa Otto Osę przez telefon nazywał "rybą" ją albo inną ze swoich modelek.

Ale kiedy zapytała Cassa, co to słowo oznacza, wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju.

Zapytała więc Eddyego G, który powiedział jej wszystko bez ogródek, bo w ich trójce Eddy G był młodszym, mniej doświadczonym bratem.

- Ryba?

No cóż, jesteś rybą, Normo.

Nic na to nie poradzisz.

- Ale dlaczego?

Co znaczy słowo "ryba"?

- pytała Norma Jeane i uśmiechała się przy tym.

Eddy G też się uśmiechnął, gdy rzekł łagodnie:

- "Ryba" to znaczy: kobieta.

Lepka łuska, klasyczny zapach.

Ryba jest śluzowata, kapujesz?

Ryba jest rodzajem kobiety, choć w konkretnym przypadku może być to nawet mężczyzna, zwłaszcza gdy widzisz rybę wypatroszoną i rozłożoną, pojmujesz, o co mi chodzi?

Nie bierz tego do siebie.)

Siłą Normy Jeane była jednak kobiecość.

Jak kobiecość była siłą Marilyn Monroe i Rosę Loomis.

Bez nas nie mogą mieć dzieci.

Nie mogą mieć synów.

Bez nas świat by się skończył!

Bez kobiet.

Kolejny raz wykręcała jeden z ich hollywoodzkich numerów.

Ile jeszcze razy tego wieczoru.

Tej nocy.

Jaka to pora dnia w Los Angeles?

Trzy godziny później czy trzy godziny wcześniej?

Nigdy nie wiedziała tego od razu.

"Pierwsza tutaj, czyli dziesiąta wieczór tam?

Albo jedenasta?

" Z zapalem wykręciła numer do własnego, nowego, nadal skąpo umeblowanego mieszkania w pobliżu Beverly Boulevard.

Tym razem ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Głos należał do kobiety, młodej kobiety.

BLIŹNIĘTA

Witamy.

Byli tam, czekali na swoją ukochaną przy bramie!

Kontynentalne Linie Lotnicze, Międzynarodowy Port Lotniczy w Los Angeles.

W nowych, modnych ubraniach - marynarki, kamizelki, krawaty, jedwabne koszule z dużymi spinkami - i dopasowanych do reszty kapeluszach.

Zamyślony, ciemnooki młodzieniec o czarnych włosach, ponurym, chaplinowskim spojrzeniu kochanka i czarnych wąsach.

Obok niego odrobinę wyższy, mocniej zbudowany młody człowiek z zawadiackimi, choć nieco łagodniejszymi rysami Edwarda G.

Robinsona, mięsistymi, wydętymi ustami i o namiętym spojrzeniu.

Ten, który przypominał Chaplina, trzymał sześć długich białych róż, a ten, który przypominał Robinsona, przyniósł siedem róż, także długich, ale czerwonych.

Kiedy młoda blondynka w ciemnych okularach pojawiła się w rzędzie pasażerów opuszczających samolot, w obcisłym, błyszczącym kostiumie, wygniecionym podczas lotu w poprzek kraju, z puszystymi, białymi jak cukrowa wata włosami niemal zupełnie przykrytymi słomkowym kapeluszem, ci eleganccy mężczyźni patrzyli na nią obojętnie.

- Coś nie tak?

N...nie znacie mnie?

Norma Jeane wprowadziła do tej pełnej napięcia chwili lekkość komediowego musicalu.

Miała prawdziwy dar, talent do szalonych improwizacji.

Roześmiała się wesoło i uśmiechnęła wartym miliony dolarów uśmiechem.

Pomachała ręką przed twarzami młodzieńców, aby się przebudzili.

- Norma!

Pozostali pasażerowie patrzyli, jak młodzi mężczyźni ruszają, aby powitać Normę Jeane.

Eddy G mocno ją ścisnął i uniół w zgięciu prawego ramienia, niemal miażdżąc jej żebra.

Potem Cass z dyskretnym wdziękiem tancerza objął ją i pocałował w usta, mocno i namiętnie.

Kim byli?

Aktorami?

Modelami?

Każde z nich wyglądało niepokojąco znajomo, każde kogoś przypominało.

- Och, Cass.

Norma Jeane rozplakała się, chowając twarz w białe róże.

Przerwał im Eddy G, podszedł do niej i także pocałował namiętnie w usta.

- Moja kolej.

Norma Jeane była zbyt wstrząśnięta, aby odpowiedzieć na pocałunek albo zamknąć oczy.

Z trudem chwytła oddech.

Pokłuły ją róże.

Niektóre spadły na ziemię.

Lądowanie samolotu wystraszyło ją, nierówne lądowanie w siarkowej, kłębiącej się mgle, a to powitanie przeraziło ją jeszcze bardziej.

Cass był głęboko poruszony, wpatrywał się w jej oczy.

- Normo, jesteś taka...

taka piękna.

Chyba...

Eddy G błysnął swym chłopięcym uśmiechem.

Jak potrafił zmusić przyjaciół do niepohamowanego śmiechu, naśladując Małego Cezara, tak teraz naśladował swego ojca, sprawiając wrażenie, że w ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi; uśmiechał się kąśliwie i mówił kącikiem ust.

Eddy G robił to zawsze, kiedy chciał ukryć zażenowanie.

-Jasne!

Ha, łatwo to zapomnieć.

Jak piękna jest Marilyn.

Młodzieńcy roześmiali się.

Norma Jeane niepewnie się do nich przyłączyła.

Cass i Eddy G też się bardzo zmienili!

Norma Jeane prawie ich nie poznała.

Nie chodziło o stylowe ubrania.

(Mieli jakiegoś nowego przyjaciela, nowego, szczodrego "dobroczyńcę"?)

Jednego z tych "starszych, nieszczęśliwie zakochanych typów", którym nie mogli się oprzeć?

) Cass pozwolił, aby włosy mu zgęstniały, bardziej się poskręcały, poza tym zapuścił czarne, jedwabiste wąsy.

Przypominał Małego Trampa do tego stopnia, że musiałaś przyjrzeć mu się z bliska, aby stwierdzić, że to nie był oryginał.

Eddy G był zdenerwowany i podniecony (obecnie zażywał deksamyl, lepszy od benzedryny pod każdym względem i nie uzależniający); jego ciemne oczy błyszcząły, chociaż powieki miał lekko spuchnięte, poza tym w lewym oku pękło mu naczynie krwionośne, tworząc delikatną krwawą siateczkę.

- Normo.

Witamy z powrotem w Los Angeles.

- Boże, tęskniliśmy za tobą.

Nie opuszczaj nas już nigdy więcej.

Obiecasz nam?

Norma Jeane niosła cierniste róże, a Cass i Eddy G maszerowali obok niej, rozprawiając i śmiejąc się.

Mówili o planach na wieczór.

O planach na jutrzejszy wieczór.

O dobrych zapowiedziach dotyczących Niagary.

"Walter Winchell uważa, że to będzie bomba".

Szli przez zatłoczony terminal, barwni i pyszałkowaci jak pawie.

Norma Jeane starała się nie dostrzegać skierowanych na nich ciekawskich spojrzeń.

Nieznajomi przystawali i oglądali się za nimi.

Na czas wyjazdu Norma Jeane zostawiła kluczyki od swojego samochodu Cassowi i Eddyemu G, toteż obaj przyjechali na lotnisko zielonym cadillakiem.

Od razu zauważyła głęboką rysę na prawym tylnym błotniku.

Za głębień w chromowanej kratce.

Roześmiała się i nic na to nie powiedziała.

Eddy G prowadził.

Norma Jeane siedziała ściśnięta między kochankami na przednim siedzeniu.

Dach mieli opuszczony.

Powietrze zaprawione siarką smagało Normę Jeane w oczy.

Eddy G, mknąc ulicami miasta, chwycił jej dłoń i przycisnął sobie do nabrzmiewającej pachwiny.

Cass chwycił drugą dłoń Normy Jeane i przycisnął do nabrzmiewającej pachwiny.

Ale tak naprawdę wcale mnie nie znają.

Nie rozpoznali mnie.

Przysięga.

Nie wiadomo, jak do tego doszło: Chateau Mouton-Rothschild, rocznik 1931 wyślizgnął mu się z rąk.

To on zdobył butelkę od przyjaciela przyjaciela czyjegoś przyjaciela, którego przepastne piwnice przy Laurel Canyon Drive mogły jakoś znieść tego rodzaju tajemnicze ubytki.

I niech to szlag, butelka była jeszcze w dwóch trzecich pełna.

Szkoło trzasnęło.

Kawałki rozsypały się po podłodze jak demoniczne myśli.

Cierpki, ostry zapach drogiego wina będzie się utrzymywał miesiącami.

"Och, Boże!

Wybacz mi".

Cokolwiek to było, zostało wybaczone.

Senne i lepkie pocałunki.

Smutne oczy zakochanego.

Śmiałaś się z takich oczu, takiego piękna.

Ogarnął cię zachwyty, który trwał i trwał.

Byli młodzi, dzięki deksamylowi kochali się bez ustanku.

Uprawianie miłości było najśodsza odmianą ekstazy.

Inne jej odmiany, wewnętrzne, rodziły się w mózgu, ale miłość dzieliło się z innymi, prawda?

W każdym razie zazwyczaj.

- Och!

To boli.

Przepraszam.

N...nic nie mogę na to poradzić!

W oknach nie było żaluzji.

W oknach otwartych na niebo.

Przez zaciśnięte powieki można było określić, co było na dworze: pełnia słonecznego, południowo kalifornijskiego dnia czy niebo zasnuwane chmurami, poranek czy zmierzch, głęboka, gwiazdzista noc, noc bezgwiazdowa czy "przyływ słonecznego światła", jak zaintonował Cass, cytując Zaratustrę, swą wczesną, młodzieńczą miłość.

("Kim jest Zaratustra?

- zapytała Norma Jeane Eddyego G.

- Czy to jest ktoś, kogo powinniśmy znać?

" Eddy G wzruszył ramionami: "Pewnie, tak mi się zdaje.

To znaczy...

W końcu znasz tutaj wszystkich.

Czasem zmieniają się imiona i nazwiska, ale jak kogoś spotkałaś, to już go znasz".) W "Hollywood Tatler", "Hollywood Reporter", "L.

A. Confidential" i "Hollywood Confidential" pojawiły się zdjęcia tych wspaniałych młodych ludzi.

W plotkarskich kolumnach.

MŁODZI UTRACJUSZE

CHARLIE CHAPLINJR I EDWARD G.

ROBINSON JR ORAZ BLOND SEKSBOMBA MARILYN MONROE: TRÓJKĄT?

Wulgarne, ocenił Cass.

Tanie, ocenił Eddy G.

Marilyn jest poważną aktorką, oświadczył Cass.

Eddyemu G nie spodobało się jedno ze zdjęć, uważał, że wygląda na nim jak skończony dupek, miał usta otwarte, jakby dyszał.

Mimo wszystko wydzielali najbardziej sensacyjne zdjęcia i przyklejali je taśmą do ścian.

W tygodniu, kiedy pojawili się na okładce "Hollywood Confidential" - zdjęcie zrobiono im w chwili, gdy cała trójka tańczyła ze sobą w barze na Strip - Cass i Eddy G kupili kilkanaście egzemplarzy pisma, aby oderwać okładki i wytapetować nimi drzwi do sypialni Normy Jeane.

Ona śmiała się z nich, tacy byli próżni.

Natomiast oni drwili z niej bezlitośnie: "Czy to seksbomba?"

A to?

" Chwyтали ją przy tym za pośladki albo cipę.

Norma Jeane piszcziała i odpychała ich dłonie.

Pocieszała chłopców, kiedy potrzebowali pocieszenia, co było częstym zjawiskiem po ich długich, błazeńskich i obłądnych nocach.

Po wypadku, jaki przydarzył się Eddyemu G, gdy jechał pożyczonym jaguarem.

Albo gdy liczba płytek krwi spadła Cassowi do alarmująco niskiego poziomu i chłopak musiał przebywać w szpitalu przez trzy doprawdy piekielne dni.

Po tym jak Eddy G, obsadzony jako Horacy w inscenizacji Hamleta, bardzo chwalony przez prasę Los Angeles, obudził się pewnego popołudnia i stwierdził, że nic nie pamięta, "jakby nagle ktoś wymazał mu wszystko z pamięci".

Po tym jak Cass, obsadzony w jednym z musicali M-G-M jako tancerz, złamał nogę w kostce podczas pierwszego tygodnia prób.

"Przestańcie wciskać mi te freudowskie brednie, to był wypadek".

Norma Jeane pielęgnowała ich, Norma Jeane słuchała, co mają do powiedzenia.

Czasem nie słuchała.

Bo wypowiadali zasmucające, obraźliwe słowa.

Bo może mniejszą wagę należało przywiązywać do tego, co ludzie mówią, niż do tego, że przemawiają do ciebie poważnie i szczerze, trzymają cię za rękę i patrzą ci prosto w oczy.

- Och, Normo, chyba cię naprawdę kocham.

- To Eddy G, jego twarz rozpущzonego chłopca nagle skrzywiła się jak twarz doprowadzonego do łez niemowlęcia.

- Jestem zazdrosny o ciebie i Cassa.

Jestem zazdrosny o ciebie i wszystkich, którzy na ciebie patrzą.

Gdybym w ogóle mógł się zakochać w jakiejś kobiecie, ty byś nią była.

Cass o rozmarzonym spojrzeniu był pierwszą prawdziwą miłością Normy Jeane.

Te jego oczy.

Najpiękniejsze męskie oczy, jakie widziałam.

Pierwszy raz dostrzegła je jeszcze jako dziecko, jako dawna, nie istniejąca już Norma Jeane zdumiona wszystkim, co ją spotyka, a czego nie umie nazwać w czarującym i tajemniczym życiu swojej matki.

- Normo?

Kiedy mówisz, że mnie kochasz, kiedy patrzysz na mnie, kogo tak naprawdę widzisz?

Jego?

- Nie!

Och, nie!

Widzę tylko ciebie.

Jacyś byli elokwentni, zabawni, natchnieni, jakże błyskotliwie się wyrażali - Cass Chaplin i Eddy G - opowiadając o swoich sławnych niestawnych ojczach.

Cass, blady z nienawiści, nazywał obu Kronosami.

"Pożerającymi własne dzieci".

("Kto to: Kronos?

" - zapytała Eddyego G Norma Jeane, nie chcąc, aby Cass się dowiedział, że ma poważne braki w wykształceniu.

Eddy G odpowiedział ogólnikowo: "Zdaje się, że to jakiś król z dawnych czasów.

Albo poczekaj, to po grecku Jehowa.

Tak jest, to Bóg po grecku.

Jestem prawie pewny".) W Hollywood żyło wiele dzieci aktorskich sław, a nad większością z nich krążyło jakieś okrutne fatum.

Cass i Eddy G zdawali się znać wszystkie te dzieci.

Nosiły wspaniałe nazwiska (Flynn, Garfield, Barrymore, Swanson, Talmadge) ciężące im jak fizyczne niedołęstwo.

Okazywały się niedorozwinięte, niedojrzałe, chociaż oczy miały stare.

Już jako dzieci znały się na ironii.

Nie dziwiło ich okrucieństwo, także własne, lecz rozczulały do łez najzwyczajniejsze akty uprzejmości, szczodrości.

- Ale nie bądź dla nas miła - ostrzegł Cass.

Eddy zdecydowanie go poparł:

-Jasne!

Wyobraź sobie, że karmisz kobrę.

Sam bym siebie prał długim kijem.

Norma Jeane zauważyła:

-Wy przynajmniej macie ojców.

Wiecie, kim jesteście.

- W tym właśnie kłopot - odparł rozdrażniony Cass.

- Wiedzieliśmy, kim jesteśmy, zanim przyszliśmy na świat.

Eddy G rzekł:

- Cass i ja jesteśmy podwójnie przekłęci, jesteśmy juniorami.

Synami mężczyzn, którzy nigdy nie chcieli, byśmy przyszli na świat.

Norma Jeane odparła:

- Skąd możecie wiedzieć, że nie chcieli, abyście się urodzili?

Nie możecie mieć pewności, że matki powiedziały wam absolutną prawdę.

Kiedy miłość przemija i małżeństwo się rozpada...

Obaj, Cass i Eddy G, prychnęli z drwiną.

- Miłość!

Mówisz poważnie?

Nasza Rybka opowiada nam jakieś pieprzone bzdury o miłości.

Norma Jeane powiedziała urażona:

-Nie podoba mi się, kiedy mówicie o mnie Ryba.

Nie cierpię tego.

Cass zauważył z pasją:

- Nigdy nie znałaś swojego ojca, więc jesteś wolna.

Sama możesz się określić.

No i właśnie robisz z tego niezły użytek: Marilyn Monroe.

Eddy rzekł podniecony:

- Racja!

Jesteś wolna.

- Chwycił Normę Jeane za rękę w gorączkowy, chłopięcy sposób i niemal zgniótł jej palce.

- Nie nosisz nazwiska jebaki, który wyjechał cię do życia.

Nosisz nazwisko całkowicie wymyślone.

Marilyn Monroe.

Podoba mi się.

Jakbyś sama sobie dała życie.

Niby zwracali się do niej, ale właściwie ją ignorowali; Norma Jeane rozumiała jednak, że gdyby jej tu nie było, nie rozmawialiby tak poważnie, tylko piliby i palili trawę.

Cass oświadczył:

- Gdybym mógł sam dać sobie życie, wtedy bym się odrodził.

Byłbym oczyszczony.

Dzieci "wielkich" nie mogą zadziwić, bo wszystko, czego mogą dokonać, zostało już dokonane, i to lepiej, niż my byśmy to zrobili.

- Mówił bez goryczy w głosie, ale tonem pełnej godności rezygnacji, jakby recytował Szekspira.

- Racja!

- poparł go Eddy G.

-Jeśli mamy jakiś talent, staruszek i tak nas przerasta.

- Roześmiał się i dźgnął Cassa w zębra.

- Oczywiście mój stary przy twoim jest nikim.

Gwiazdą byle jakich filmów gangsterskich.

Każdy potrafi naśladować jego pogardliwy śmiech.

Ale Charlie Chaplin.

Był taki czas, że na dobrą sprawę ten facet był tutaj królem.

Do tego zrobił niezłą kasę.

- Prosiłem, żebyś nie mówił o moim ojcu - odparł Cass.

- Niech cię szlag.

Gównu o nim wiesz i tyle samo wiesz o mnie.

- Pieprz się, Cass, wielkie mi rzeczy!

Mój stary wydzierał się na mnie, kiedy płakałem i moczyłem się; wrzeszczał na moją matkę i kiedyś rzuciłem się na niego; miałem pięć lat i już pokręcone w głowie.

Dostałem takiego kopa, że przeleciałem przez pół pokoju.

Matka zeznawała o tym na rozprawie rozwodowej, a jej świadectwo potwierdziło szpitalne zdjęcie rentgenowskie.

-Ja musiałem sam zeznawać w sądzie na rozprawie rozwodowej.

Matka za bardzo się upiła.

- Twoja matka?

A co z moją matką?

- Twoja matka przynajmniej nie była szalona.

- iMówisz poważnie?

Gównu wiesz o mojej matce.

Kłócili się rozdrażnieni, zapalczywi, jak bracia; Norma Jeane próbowała przemówić im do rozsądku jak June Allyson w jednym z głośnych filmów z lat czterdziestych, w których rozum mógł zwyciężyć, jeżeli była piękna i wściekła.

- Cass, Eddy!

Nie rozumiem was.

Ani jednego, ani drugiego.

Eddy, jesteś wspaniałym aktorem, widziałam cię.

Inspirują cię poważne role, poetycki język: Szekspir, Czechow.

Nie film, tylko scena.

Scena jest prawdziwą aktorską próbą.

Tylko że za szybko się poddajesz.

Zbyt wiele od siebie wymagasz i poddajesz się.

A ty, Cass, jesteś wspaniałym tancerzem.

- Norma Jeane mówiła coraz szybciej, podczas gdy mężczyźni gapili się z milczącą pogardą.

Mieli twarze bez wyrazu, jak twarze kamiennych postaci na grobowcach.

Jesteś jak muzyka w ruchu, Cass!

Jak Fred Astaire.

A tańce, które skomponowałeś, są piękne.

Obaj jesteście...

Normę Jeane przeraziło puste brzmienie tych słów, choć wiedziała, że nie są one bezpodstawne.

Nie przesadzała!

W niektórych kręgach synowie Charliego Chaplina i Edwarda G.

Robinsona uchodzili za utalentowanych, lecz "przeklętych".

Sam talent niewiele znaczył bez innych przymiotów charakteru, takich jak odwaga, ambicja, upór, wiara w siebie.

Niestety, obu mężczyznom brakowało tych cech.

Eddy G prychnął: .

- Zatem mam aktorski talent?

Czymże jest aktorstwo, maleńka?

To wielkie gównno.

Oni wszyscy są do dupy.

Mój stary i jego stary, pieprzeni Barrymoreowie, pieprzona Garbo.

To tylko twarze, nic więcej.

Gówniana publika patrzy na te twarze i rodzi się jakaś gówniana magia.

Każdy, kto ma normalny kręgosłup, może grać.

- Gównno prawda, Eddy - wtrącił Cass:

- Gównno jak jasna cholera - rzekł porywczo Eddy G.

- Każdy może grać.

To oszustwo.

To żart.

Przebierasz się, reżyser cię prowadzi, wypowiadasz parę kwestii.

Każdy to może zrobić.

- No pewnie - powiedział Cass.

- Każdy może zrobić wszystko.

Ale niezbyt dobrze.

Eddy G odwrócił się nagle do Normy Jeane, na jego twarzy malowało się okrucieństwo.

- Powiedz mu, maleńka.

Jesteś aktorką, prawda?

Wszystko to bzdura, nie?

Bez stodziutkiego tyłka i cycków byłabyś nikim i dobrze o tym wiesz.

Tamto było dawniej.

Tego wieczoru witali Normę Jeane w domu po powrocie z nad wodospadu Niagara.

W tym, co było jej "nowym" mieszkaniem, zdewastowanym i cuchnącym już znacznie wcześniej, nim butelka Chateau Mouton-Rothschild rozbiła się o podłogę i, jak się okazało, niełatwo było po niej posprzątać.

Na szczęście ocalała jeszcze butelka szampana i tym razem to Cass uparł się, aby ją otworzyć.

Napełnił kieliszki po brzegi;

bąbelki pękały nad palcami.

Łaskotało!

Cass i Eddy G z galanterią unieśli kieliszki.

- Nasza Norma znów jest z nami.

Tu, gdzie jest jej miejsce.

- Nasza Marilyn, która jest niesamowita.

- która potrafi grać.

- O tak!

Jak umie się pieprzyć.

Mężczyźni roześmiali się, chociaż nie złośliwie.

Norma Jeane piła i śmiała się z nimi.

Z ich niezbyt zawołowanych aluzji wnioskowała, że jeśli chodzi o seks, nie była najlepsza.

Może większość mężczyzn wołała innych mężczyzn, lub wołałaby, gdyby miała taką możliwość; najwidoczniej mężczyzna wie, czego pragnie drugi mężczyzna, a Norma Jeane nie miała pojęcia.

Zatem śmiała się i piła.

Mądrzej było śmiać się, niż płakać.

Śmiać się, niż myśleć.

Śmiać się, niż się nie śmiać.

Mężczyźni uwielbiali, kiedy się śmiała, nawet Cass i Eddy G, którzy widzieli ją z bliska, bez makijażu.

Szampan był jej ulubionym trunkiem.

Od wina bolała ją głowa, ale szampan przewietrzył jej umysł, wzmacniał serce.

Czasami było jej tak smutno!

Chociaż tak wiele włożyła w Rosę Loomis i zdawała się wiedzieć (bez próżności, bez radości), że Niagara będzie hitem dzięki niej i że jej kariera rozwinie się, jeśli będzie tego chciała, czasem było jej bardzo smutno...

Cóż, szampana piła na swoim weselu.

Opowiedziała Cassowi i Eddyemu G o tym ślubie; słuchali jej

i śmiali się.

Byli przeciwnikami ślubów, przeciwnikami wesel; to było w nich najcudowniejsze.

Opowiedziała o pożyczonych ślubnych ubraniach z dwiema plamami.

O bólu, jaki musiała znieść podczas pierwszego stosunku.

O ochoczym młodym mężu, jego ruchach do góry i w dół, tam i z powrotem, dyszeniu, stękanii, prychaniu, pocie.

O towarzyszącym ich krótkiemu małżeństwu aptecznym zapachu kondomów.

I o uśmiechniętym starym Hirohito na obudowie radia.

"Czasem tylko z nim mogłam rozmawiać przez cały dzień".

Poza tym wyglądało na to, że Norma Jeane ma bez przerwy okres.

Biedny Bucky Glazer!

Zasłużył sobie na lepszą żonę niż Norma Jeane.

Miała nadzieję, że teraz, kiedy powtórnie się ożenił, znalazł kobietę, która nie będzie przechodziła przez poronienie przy każdym okresie.

Dlaczego wygaduję takie okropne rzeczy?

Aby rozśmieszyć mężczyzn.

Cass wyprowadził ich na balkon.

Kiedy słońce zdążyło zniknąć?

Noc była jasna, wilgotna, ale która to była noc?

Los Angeles rozciągało się poniżej.

Na północy wznosiły się góry, słabiej oświetlone.

Część nieba zasnuły skłębione chmury, część pozostała otwarta, powstała gigantyczna szpara, w którą mogłaś wpatrywać się i wpatrywać bez końca.

Norma Jeane przeczytała, że wszechświat ma miliardy lat; astrofizycy jedno wiedzieli na pewno: wiek wszechświata ciągle ocenia się na nowo, jego początek przesuwają w coraz odleglejsze czasy.

Wszechświat rozpoczął się od pojedynczej eksplozji trwającej nanosekundę, eksplozji, właśnie...

czego?

Cząstki tak małe, że oko ludzkie nie mogłoby jej dojrzeć.

A jednak, patrząc w niebo, "dostrzegasz" w gwiazdach piękno.

"Dostrzegasz" konstelacje z sylwetkami ludzi i zwierząt, jak gdyby gwiazdy, rozproszone w czasie i przestrzeni, znajdowały się na pojedynczej płaskiej powierzchni, jak komiksy.

Cass po wiedział:

-Tam są Bliźnięta.

Widzisz?

Norma i ja jesteśmy Bliźniętami.

Złączonymi przeznaczeniem bliźniakami.

- Och, gdzie?

Wskazał palcem.

Norma Jeane nie była pewna, czy dobrze widzi, ani nawet, czy ma widzieć.

Niebo było olbrzymią układanką, a jej brakowało zbyt wielu elementów.

Eddy G powiedział zniecierpliwiony:

- Nie widzę go, gdzie?

- Ich.

Ich nie widzisz.

- Co za bliźniaki?

To takie dziwaczne.

Parę miesięcy wcześniej Eddy G powiedział Normie Jeane i Cassowi, że on także jest spod znaku Bliźniąt, urodził się w czerwcu.

Pragnął być taki jak oni.

Teraz jakby o tym zapomniał.

Cass jeszcze raz wskazał trudno uchwytną konstelację i tym razem Norma Jeane i Eddy dojrzeli ją, w każdym razie tak się im wydawało.

Eddy rzekł:

- Gwiazdy!

Są przeceniane.

Takie dalekie, że trudno je traktować poważnie.

Poza tym ich światło wyczerpuje się, nim dotrze do Ziemi.

- Nie światło - poprawił go Cass.

- To same gwiazdy się wyczerpują.

- Gwiazdy są światłem.

Są tylko tym.

- Nie, gwiazdy posiadają pierwotną substancję.

Światła nie można otrzymać z niczego.

Mężczyźni nie zgadzali się ze sobą.

Eddy G nie lubił, gdy ktoś go poprawiał.

- Podobnie jest z ludzkimi gwiazdami - wtrąciła Norma Jeane.

- Muszą być kimś, nie niczym.

Muszą się składać z jakiejś substancji.

Biedna Norma Jeane popełniła gafę!

Zrobiła aluzję - choć niebezpośrednią i bez złych intencji - do potwornych ojców jej obu kochanków.

Cass odezwał się z dziką satysfakcją:

- Prawda jest taka, że gwiazdy się wypalają.

Nieważne, czy mówimy o gwiazdach niebiańskich, czy ludzkich.

Eddy zachichotał.

- Za to piję, kochanie.

Wcześniej Eddy G wyniósł na zewnątrz butelkę szampana i postawił ją ostrożnie na wąskiej poręczy.

Teraz napełnił kieliszki.

W bardziej orzeźwiający powietrzu zdawał się odżywać, co było dla niego typowe.

W tych czasach.

- O co, kurwa, chodzi z tymi Bliźniętami, Cass?

- Kwestią zasadniczą w tej sprawie jest to, że właściwie nie ma ich dwóch.

Są identycznymi bliźniakami, których łączy dziwny stosunek do śmierci.

- Zamilkł na chwilę.

Jak każdy aktor wiedział, kiedy zrobić przerwę.

Cass był bardziej wykształcony od Eddyego: został wysłany przez bliską szaleństwa matkę do jezuickiej szkoły z internatem, gdzie studiował średniowieczną teologię, łacinę, grekę.

Zrezygnował z nauki przed ukończeniem ostatniej klasy, albo został wyrzucony, albo przeżył jedno z kilku załamań nerwowych.

W czasach ich pierwszego związku, kiedy Norma Jeane kochała go z taką namiętnością, przeszukała w tajemnicy wszystkie jego rzeczy, jakie wpadły jej w ręce; odkryła w jednym z przybrudzonych bajowych worków dziennik złożony z luźnych kartek zatytułowany Bliźnięta: moje życie w części.

Zbiór składał się z kompozycji muzycznych, wierszy, uderzająco realistycznych rysunków ludzkich twarzy i postaci.

Erotycznych studiów nagich sylwetek, mężczyzn i kobiet, uprawiających ze sobą miłość, o twarzach wykrzywionych udręką lub wstydem.

Przecież to ja - pomyślała Norma Jeane.

Odkąd przed kilku laty Charlie Chaplin senior został przesłuchany przez Komisję do Spraw Badania Działalności Antyamerykańskiej, a prasa postawiła go pod pręgierzem opinii publicznej, nazywając "komunistycznym zdrajcą", odkąd musiał się udać na wygnanie do

Szwajcarii, Norma Jeane odnosiła wrażenie, że Cass stał się bardziej chaotyczny w wydatkowaniu swojej energii.

Nadmiernie się podniecał, potem zaś na długie dni popadał w depresję; cierpiał na bezsenność tak samo jak ona i aby zasnąć, musiał zażywać nembotal; więcej pił.

(Przynajmniej pod jednym względem różnił się od Eddyego G, nie palił bardzo ostatnio modnego w Hollywood haszyszu.) Minęło parę miesięcy od czasu, gdy po raz ostatni starał się o jakąś rolę.

Pisał muzykę, a potem niszczył swoją pracę.

Norma Jeane miała się o tym nie dowiedzieć, ale złośliwi znajomi, w tym jej agent, postarali się, aby dotarła do niej nowina, że Cass Chaplin został aresztowany i zatrzymany na noc przez policję z Westwood za pijackie ekscesy i zakłócanie porządku publicznego.

Czasami nie mógł kochać się z nią; w takich chwilach, jak powiadał Cass, Eddy G miał ją obsłużyć za dwóch.

Co Eddy G o niewyczerpanych - albo tylko pozornie niewyczerpanych - siłach z ochotą czynił, a jego kutas stanowił wieczne źródło zdumienia przyjaciół.

Cass ciągnął dalej:

- Bliźnięta to bracia o imionach Kastor i Polluks.

Obaj byli wojownikami.

Jeden z nich, Kastor, zginął.

Polluks tęsknił za bratem tak bardzo, że błagał Jowisza, króla bogów, aby mu pozwolił oddać własne życie w zamian za życie brata.

Jowisz poczuł litość - czasem, jeśli się wystarczająco upokorzysz i trafisz na odpowiedni humor, te boskie sukinsyny potrafią zachować się przyzwoicie - i zgodził się, by obaj bracia pozostali przy życiu, ale nie w tym samym czasie.

Kastor żył jednego dnia w niebiosach, a Polluks w Hadesie, czyli w piekle; potem Polluks przebywał jeden dzień w niebie, Kastor zaś w piekle; dzielili na zmianę życie i śmierć, ale jeden drugiego nie widział.

Eddy G prychnął z odrazą.

- Boże, co za bzdura!

Głupie to i banalne jak jasna cholera.

Bez przerwy zdarza się coś takiego.

Cass ciągnął opowieść, zwracając się do Normy Jeane:

- Potem jeszcze raz Jowiszowi zrobiło się ich żal.

W nagrodę umieścił ich obu pośród gwiazd.

Rozumiesz?

Bliźnięta.

Na zawsze.

Norma Jeane jeszcze nie rozpoznała układu gwiazd, ale podniosła do góry głowę i uśmiechnęła się.

Wystarczyło wiedzieć, że Bliźnięta tam są, prawda?

Czy naprawdę musiała je zobaczyć?

- Zatem Bliźnięta są prawdziwymi bliźniakami na niebie i są nieśmiertelne!

A ja zawsze...

Wtrącił się Eddy:

- Co to ma wspólnego ze śmiercią?

Albo z nami?

Ja czuję się cholernie śmiertelny i ludzki.

Nie jak jakaś tam pieprzona gwiazda na niebie.

Butelka z szampanem spadła z poręczy i rozbiła się.

Nie potłukła się tak doszczętnie jak butelka z winem, poza tym i tak niewiele pozostało w niej płynu.

- Chryste!

Znowu?

Cass śmiał się, Eddy G się śmiał.

Przez moment byli Abbottem i Costello.

Eddy G zebrał kilka kawałków szkła i ryknął po pijacku, radośnie:

- Przysięga krwi.

Chodźcie, złożymy śluby krwi!

Jesteśmy Bliźniętami, nasza trójka.

Jak bliźniaki, tylko że jest nas troje.

Cass powiedział z ożywieniem, choć niewyraźnie:

-Tworzymy...

Jak to się nazywa...

Trójkąta.

Trójkąta nie można podzielić na dwoje, a dwoje można.

- Nie zapominajmy o sobie, okej?

- rzekł Eddy G.

- O naszej trójce?

Kochajmy się zawsze tak jak teraz.

Cass dodał podniecony:

- I umrzyjmy za siebie, jeśli będzie trzeba!

Nim Norma Jeane zdążyła go powstrzymać, Eddy G przeciągnął sobie ostrym kawałkiem szkła po wewnętrznej stronie przedramienia.

Natychmiast trysnęła krew.

Cass odebrał od niego szkło i przeciągnął krawędzią po wewnętrznej stronie swojego przedramienia; jeszcze więcej krwi trysnęło.

Norma Jeane, głęboko poruszona, bez wahania wzięła szkło od Cassa i drżącymi palcami przeciągnęła nim po przedramieniu.

Ból trwał krótko, był ostry i dotkliwy.

- Zawsze będziemy się kochać!

- Bliźnięta na zawsze!

-W chorobie i zdrowiu...

-W biedzie i dostatku...

- Póki śmierć nas nie rozłączy.

Przycisnęli do siebie swe zakrwawione ramiona niczym pijane dzieciaki.

Brakowało im tchu, śmiali się.

Norma Jeane nie widziała nigdy równie uroczego aktu miłosnego!

- Póki śmierć?

I po śmierci nic nas nie rozłączy.

Potykali się o siebie, całowali.

Szarpali za wymięte i ubrudzone ubrania.

Podpierali się na kolanach i pewnie zaczęliby się nieporadnie kochać na balkonie, gdyby kawałek szkła nie wbił się Cassowi w udo.

- Chryste!

Podtrzymując się wzajemnie, weszli do mieszkania.

Upadli jak stęsknione, spragnione uczucia psiaki na dawno nie ścielone łóżko Normy Jeane, gdzie w delirium namiętnego uniesienia będą się kochać całą noc bez przerwy.

Wierzyłam, że tej nocy pocznie się moje Dziecko.

Ale tak się nie stało.

Ocalona.

Premiera Niagary\ Dla niektórych historyczny wieczór.

Wszyscy wiedzieli o tym jeszcze przed zaciemnieniem świateł.

Cass i ja nie mogliśmy usiąść z Normą; ona była gdzieś z przodu w towarzystwie szefów Wytwórni.

Nie znosili jej, ona też ich nie cierpiała.

Takie to były wtedy czasy w Hollywood.

Podpisali z nią kontrakt zapewniający jej gażę w wysokości tysiąca dolarów tygodniowo.

Zgodziła się, bo nie miała wyjścia, ale będzie walczyła z nimi przez lata.

W końcu szefowie zwyciężyli.

W noc premiery Niagary okrutny sukinsyn Z siedzi obok Normy, ale wstaje, żeby się przywitać z ludźmi, uścisnąć czyjeś dłonie, mruga, jakby nic nie rozumiał, jakby chciał, ale nic nie rozumiał.

Jest jak człowiek, który wie, że trzyma świńskie ucho, ale inni zachowują się tak, jakby to była jedwabna torebka!

Nie wiadomo, o co chodzi!

Wszystko dzięki karierze Marilyn Monroe, na której Wytwórnia zarobi miliony, jej zaś przypadnie z tego zaledwie drobna cząstka - ci faceci nie mogą tego pojąć.

Tej nocy Marilyn Monroe wystąpiła w czerwonej sukience z naszytymi cekinami, bez ramiączek, z głębokim dekoltem, słowem zaszyta w kostium.

Weszła do kina i szła wzdłuż rzędów siedzeń, drobiąc tymi maleńkimi, dziecięcymi kroczkami;

wszyscy wytrzeszczyli oczy i rozdziawili usta, jakby zobaczyli dziwadło.

Przed tego rodzaju wydarzeniem ludzie od makijażu spędzali przy niej minimum pięć godzin.

Jakby przygotowywali zwłoki, mawiała Norma.

Widzę, że rozgląda się za mną i Cassem (szuka nas wzrokiem na balkonie) i nie może nas znaleźć.

I jest tą zagubioną dziewczynką w stroju dziwki.

Ale i tak wygląda świetnie.

Szturchnąłem Cassa i powiedziałem: "Oto nasza Norma".

Niewykluczone, że krzyčeliśmy.

Światła gasną, rozpoczyna się Niagara - od widoku wodospadu.

Człowiek wydaje się mały i bezsilny na widok tej prącej naprzód, grzmiącej wody.

Potem następuje przeskok na Normę, to znaczy Rosę.

Jest w łóżku, gdzież by miała być?

Naga pod prześcieradłem.

Nie śpi, ale udaje że śpi.

W filmie ta Rosę Loomis robi jedno, a udaje drugie, publiczność wie, o co chodzi, ale na pewno nie ten jej złamas, mąż.

Facet jest kimś w rodzaju kombatanta i wojennego świra - wzruszający przypadek, tylko że publiczność ma go w głębokim poważaniu.

Przez cały czas wszyscy czekają, kiedy na ekranie znowu pojawi się Rosę.

Jest po prostu pociągająca i ponad wszelką miarę zła.

Znacznie bardziej niż Lana Turner.

Wspominając ten film, mógłbyś przysiąc, że była w nim przynajmniej jedna naga scena.

W 1953 roku?

Od Rosę nie można oderwać wzroku.

Niagarę obejrzymy, Cass i ja, z tuzin razy...

Bo Rosę to my.

Ona jest częstką naszych dusz.

Jesteśmy okrutni w taki sposób, w jaki ona jest.

Brak jej wartości moralnych, jak dziecku.

Zawsze przegląda się w lustrze, tak samo jak my byśmy patrzyli, gdybyśmy wyglądali jak ona.

To niesamowite, ona jest sobą, kocha się w sobie.

Jak my wszyscy!

Ale to akurat ma uchodzić za godne potępienia. Oglądając sceny łóżkowe, zachodzisz w głowę, w jaki sposób uchroniły się przed cenzurą.

Rosę ma rozchylone nogi, gotowy jesteś przysiąc, że przez prześcieradło widać jej blondwłosą cipkę.

Gapisz się jak urzeczony.

I jej twarz to osobliwa odmiana piczki.

Wilgotne, czerwone usta, język.

Kiedy Rosę umiera, także film zamiera.

Ale jej umieranie jest tak piękne, że prawie się spuściłem w spodnie.

A trzeba pamiętać, że w końcu chodzi o dziewczynę, Normę, która jest taka marna w łóżku, ty musisz włożyć w to mniej więcej dziewięćdziesiąt pięć procent pracy, ona natomiast woła te swoje "och, och, och", jakby było to ćwiczenie aktorskie, parę linijek tekstu.

Za to w filmie Marilyn wiedziała, o co chodzi.

Jakby jedynie kamera wiedziała, jak trzeba się z nią kochać, a my byliśmy urzeczonymi podglądaczami.

Mniej więcej w połowie filmu, kiedy Rosę drwi i wyśmiewa się z męża, że mu nie staje, Cass powiada: "To nie Norma.

To nie nasza maleńka Rybka".

I rzeczywiście, niech to szlag, ma rację.

Tej Rosę w ogóle nie znaleźliśmy.

Wcześniej na nikim takim nie zatrzymały się nasze spojrzenia.

Ludzie obok nas myśleli, że Marilyn Monroe gra siebie.

Podobnie bywało po każdym filmie, nieważne jak bardzo odmiennym od pozostałych.

Ludzie znajdowali sposób, by go pomniejszyć.

"Ta dupa nie potrafi grać.

Po prostu gra siebie".

Ale ona była urodzoną aktorką.

Była geniuszem, jeśli ktoś wierzy w geniusz.

Bo Norma Jeane nie miała zielonego pojęcia, kim jest, była w niej pustka.

Ilekczo wychodziła na zewnątrz, musiała wynaleźć sobie duszę.

Inni ludzie - my - są tak samo puści; może rzeczywiście dusze nas wszystkich są puste, ale Norma Jeane doskonale o tym wiedziała.

Taka była Norma Jeane, taką Normę Jeane znaleźliśmy.

Kiedy byliśmy "Bliźniętami".

Nim nas zdradziła lub może my ją zdradziliśmy.

Dawno temu, kiedy byliśmy młodzi.

Szczęście!

Nie rano po wejściu na ekrany Niagary, ale kilka ranków później.

Norma Jeane, która od miesiąca miała kłopoty ze spaniem, obudziła się po nocy głębokiego, pokrępowanego snu.

Po nocy bez magicznych tabletek Cassa.

Miała zdumiewające sny.

Kosmiczne!

W tym śnie Rosę umarła, ale żyła Norma Jeane.

"Obiecano mi, że będę żyła zawsze".

Była zdrową, żywą kobietą, wysoką, silną i szybką jak sportowiec.

Nie miała żadnego ponizającego rozcięcia między nogami, tylko osobliwy, wychodzący na zewnątrz narząd płciowy.

"Co to jest?

Kim jestem?

Jakże jestem szczęśliwa".

We śnie wolno jej było się śmiać.

Biec boso brzegiem morza i śmiać się.

(W Venice Beach?

Ale nie w Venice Beach dzisiaj, tylko w Venice Beach przed laty.) Babcia Delia też tam była, wiatr rozwiewał jej włosy.

Ależ śmiech miała babcia Delia: głośny, przeponowy, Norma Jeane prawie zapomniała.

I ta rzecz między nogami Normy Jeane, może babcia Delia też coś takiego miała?

Nie był to męski kutas ani kobieca pochwa.

Tylko po prostu to...

"Kim jestem.

Norma Jeane".

Obudziła się ze śmiechem.

Było jeszcze wcześnie: 6.20.

Tej nocy spała samotnie.

Sama we własnym łóżku.

Tęskniła za mężczyznami, póki nie zasnęła, a wówczas nie byli już jej do niczego potrzebni.

Cass i Eddy G nie wrócili do domu z...

no, skąd?

Z jakiegoś przyjęcia w Malibu albo Pacific Palisades.

Normy Jeane nie zaproszono.

Możliwe, że dostała zaproszenie, ale odmówiła.

Nie, nie, nie!

Chciała spać i to bez magicznych tabletek, spała, teraz obudziła się wcześnie, moce namiętności wypełniły jej ciało.

Jakaż była szczęśliwa!

Spryskała twarz zimną wodą i przeprowadziła rozgrzewkę jak na zajęciach aktorskich.

Potem rozgrzewkę jak przed nauką tańca.

Jej ciało było ciałem spragnionej ruchu żrebicy!

Włożyła spodnie sięgające połowy łydek, skarpety, luźną koszulkę.

Włosy związała w dwa sztywne, krótkie warkocze.

(Czy ciotka Elsie nie związała jej kiedyś włosów przed jednym z biegów w szkole w Van Nuys?

Aby długie, mocno skręcone kosmyki nie wpadały do oczu.) Wyszła pobiegać.

Wąskie uliczki obsadzone drzewami palmowymi były prawie puste, chociaż na Beverly Boulevard ruch zaczynał się wzmacniać.

Od wejścia na ekrany Niagary jej agent dzwonił do niej bez ustanku.

Ustawicznie dzwonił ktoś z Wytwórni: wywiady, sesje fotograficzne, reklamy.

W całej Ameryce pojawiły się plakaty filmowe z Rosę Loomis.

Jej zdjęcia były na okładkach w najnowszych wydaniach "PhotoLife" i "Inside Hollywood".

Przez telefon wysłuchiwała czytanych w podnieceniu recenzji, a pseudonim "Marilyn Monroe", ciągle powtarzany, zaczął brzmieć nierealnie, jak nazwisko jakiejś osoby nie z tego świata, nazwisko, z którym łączą się inne absurdalne słowa, a te słowa też nie pochodzą z tego świata.

Wystrzałowa kreacja.

Surowy, niepokojący, naturalny talent.

Kobieta prawdziwie seksowna, pozbawiona zahamowań jak żadna inna kobieta od czasów Jean Harlow.

Najpierwotniejsza moc natury.

Złożona kreacja.

Nienawidzicie Marilyn Monroe, ale ją podziwiacie.

Olśniewająca, oszłamiająca!

Seksowna, ponętna!

Lano Turner, twój czas minął!

Szokująca i prawie naga.

Wyzywająca.

Odpychająca.

Bardziej zmysłowa niż Hedy Lamarr.

ThedaBara.

Jeśli wodospad Niagara jest jednym z siedmiu cudów świata, to Marilyn Monroe jest cudem ósmym.

Słuchając tego, Norma Jeane zaczęła się niecierpliwić.

Spacerowała w kółko, trzymając słuchawkę niedbale przy uchu.

Śmiała się nerwowo.

Wolną ręką podnosiła dziesięcifuntowe hantle.

Przystawała przed lustrem, z którego patrzyła na nią nieśmiała, zdezorientowana dziewczyna z długiego, pięknego lustra o zaokrąglonych rogach w aptece Meyera.

Albo nagle pochylała się, kotysała, szybko dotykała palców u nóg, po dziesięć razy z rzędu.

Po dwadzieścia razy.

Te wszystkie pochwały!

I bez przerwy Marilyn Monroe, jak litania.

Norma Jeane czuła się nieswojo, wiedząc, że te słowa, triumfalnie powtarzane przez jej agenta i ludzi ze studia, mogą być jakimikolwiek słowami.

Owe słowa nieznanym posiadały moc określającą jej życie.

Przypominały bezlitośnie dmący wiatr.

Wiatr Santa Ana.

Jednak musiała nadejść chwila, że wiatr przestanie wiać i te słowa znikną, a potem...

Właśnie, co potem?

Norma Jeane powiedziała agentowi:

- Ale przecież nikt taki nie istnieje.

Marilyn Monroe.

Czy oni nie wiedzą?

Istniała Rosę Loomis, ale tylko na ekranie.

Teraz n...nie żyje.

I to wszystko.

Agent zazwyczaj śmiał się z naiwności Normy Jeane, jakby przyjmował, że próbuje być dowcipna.

Powiedział tonem upomnienia:

- Marilyn.

Moja droga.

To nie wszystko.

Biegła przez czterdzieści upojnych minut.

Kiedy zadyszana, z twarzą zlaną potem, skręciła na podjazd do budynku, w którym mieszkała, zauważyła dwóch mężczyzn zmierzających niepewnie do frontowych drzwi.

- Cass!

Eddy G!

Mieli wygniecione ubrania, byli nieogoleni, bladzi.

Koszula Cassa - droga jedwabna koszula w gołęzim kolorze - była do połowy rozpięta i poplamiona czymś o barwie moczu.

Włosy Eddyego G posklejały się w sterczące kędzioły.

Młodzieniec miał świeże zadrapanie za uchem, które wyglądało jak czerwony hak w ciele.

Mężczyźni patrzyli przerażeni na Normę Jeane w swetrze z emblematem Uniwersytetu Kalifornijskiego, w obcisłych spodniach do połowy łydek, z włosami zaplecionymi w warkocze, ze zdrową warstewką potu na twarzy.

Eddy G jęknął:

-Norma?

Wstałaś?

O tej godzinie?

Cass skrzywił się, jakby mu zadudniło w głowie.

Tonem reprimendy rzekł:

- Rany!

Jesteś szczęśliwa.

Norma Jeane roześmiała się, kochała ich.

Uściskała obu, ucałowała w nie ogolone policzki, ignorując paskudny zapach.

Powiedziała:

- Och, jestem szczęśliwa!

Nie macie pojęcia jak!

Zaraz serce mi pęknie z radości.

Wiecie dlaczego?

Bo teraz, kiedy istnieje Rose, ludzie zauważą, że to nie ja.

Ludzie w Hollywood.

Może powiedzą: "Stworzyła Rose, spójrzcie, jest zupełnie inna.

Jest aktorką!"

W ciąży!

Jako "Gladys Pirig" dała się zbadać ginekologowi położnikowi prowadzącemu praktykę w części Los Angeles tak dalekiej od Hollywood, że mogłoby to być inne miasto.

Kiedy jej powiedział, że tak, jest w ciąży, zaczęła płakać.

- Och, wiedziałam.

Wydawało mi się, że wiem.

Jestem taka opuchnięta.

I taka szczęśliwa.

Lekarz, który źle ją zrozumiał, chwycił jej dłoń, spojrzął i nie zobaczył obrączki.

- Moja droga.

Jesteś zdrowa.

Wszystko będzie dobrze.

Urażona Norma Jeane zabrała rękę.

- Powiedziałam, że jestem szczęśliwa!

Chcę urodzić to dziecko.

Mąż i ja s...staraliśmy się o to od lat...

Natychmiast zadzwoniła do Cassa Chaplina i Eddyego G.

Poświęciła większą część popołudnia, aby ich wytropić.

Tak bardzo była podniecona, że zapomniała o umówionym lunchu z pewnym producentem i o wywiadzie z dziennikarzem "New Yorkera", Nie wystąpi w następnym filmie, który miał być musicaliem.

Przez jakiś czas mogła zarabiać, pozując do zdjęć dla czasopism.

Ile miesięcy upłynie, zanim ciążę będzie widać?

Trzy?

Cztery?

Zgłosiła się do niej redakcja "Sir!",

blągając o zdjęcie na okładkę za bardzo przyzwoitą sumę tysiąca dolarów.

Był też "Swank" i "Esquire".

Było jeszcze to nowe czasopismo, "Playboy"; wydawca chciał mieć Marilyn na okładce pierwszego numeru.

Potem Norma Jeane pozwoli, aby włosy jej odrosły i nabrały naturalnego koloru.

"Jeśli będę je ciągle tleniła, to całkiem je zniszczę".

Przyszła jej do głowy szalona myśl: zadzwoni do państwa Glazerów!

Och, tęskniła do matki Buckyego!

Właściwie przepadała za panią Glazer, nie za Buckym.

I za Elsie Pirig.

"Ciociu Elsie, wiesz co?

Jestem w ciąży".

Ta kobieta zdradziła ją, ale Norma Jeane tęskniła za nią i już zdążyła jej wybaczyć.

"Kiedy urodzisz dziecko, stajesz się kobietą na zawsze.

Stajesz się jedną z nich, nie mogą cię odrzucić".

Myśli przelatywały przez jej głowę niczym nietoperze.

Nie potrafiła ich uporządkować.

Gotowa była uwierzyć, że nie powstają w jej umyśle.

Czy nie było jeszcze kogoś, o kim nie pamiętała?

Do kogo powinna zatelefonować?

"Ale do kogo?

Prawie widzę jej twarz".

Świętowanie.

Tego wieczoru spotkała się z Cassem i Eddym G.

w restauracji włoskiej przy Beverly Boulevard.

Rzadko rozpoznawano tutaj Marilyn Monroe.

W niedbałym ubraniu, z włosami schowanymi pod chustką, bez makijażu i w gruncie rzeczy bez brwi Norma Jeane czuła się bezpieczna.

Eddy G wślizgnął się na miejsce obok niej, pocałował ją w policzek i zrobił wielkie oczy.

- Hej, Normo, co to ma znaczyć?

Wyglądasz...

Cass natomiast usiadł na ławie po przeciwnej stronie stolika, uśmiechnął się i dokończył:

- ...na spiętą.

Norma Jeane zamierzała szepnąć im do uszu, każdemu z osobna: Nie zgadniecie!

Dobra nowina!

Będziecie ojcami.

Zamiast tego wybuchła płaczem.

Chwyliła ich bezwładne, nieruchome dłonie i ucałowała je kolejno, bez słowa.

Mężczyźni wystraszyli się, popatrzyli na siebie.

Cass powie później, że oczywiście wiedział, wiedział, że Norma musi być w ciąży, ostatnio nie miała miesiączki, a jej okresy były bardzo bolesne, dotkliwie dawały się we znaki biednej dziewczynie i przy okazji kochankowi; jasne, wiedział - albo musiał wiedzieć.

Eddy G przyzna się, że przeżył absolutny szok.

Ale...

zaskoczenie?

Jakże mógł być zaskoczony?

Po tych nieustannych igrzyskach miłosnych, zwłaszcza z tym jego niez mordowanym kutasem?

Bez wątpienia on był ojcem.

Wprawdzie nie pragnął podobnego wyróżnienia, nie na sto procent, ale poczuł dreszcz dumy, nie mógł zaprzeczyć.

Dziecko Edwarda G.

Robinsona juniora i jednej z najpiękniejszych kobiet Hollywood!

Obaj mężczyźni dobrze wiedzieli, jak Normie zależy na dziecku; to jeden z jej bardziej ujmujących rysów, odkąd ją znali, nieważne jak naiwna, jak piękna była jej wiara w odkupicielską moc "bycia matką", choć jej własna matka okazała się patentowaną świruską, która ją opuściła i (zgodnie z krążącą w Hollywood plotką) nawet usiłowała ją kiedyś zabić.

Obaj mężczyźni wiedzieli, jak bardzo Norma tęskni za tym, co w jej poczuciu było normalne.

Jeśli dziecko nie sprawi, że staniesz się normalna, to nie sprawi tego chyba już nic.

Zatem tego wieczoru, kiedy Norma zaczęła płakać i ucałowała ich dłonie, zwilżając je łzami, Cass powiedział szybko z taką dozą współczucia, na jaką go było stać:

- Och, Normo.

Myślisz, że jesteś...?

Eddy G rzekł łamiącym się głosem nastolatka:

- Czy o to chodzi, co mam na myśli?

Ooo, ludzie!

Obaj wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

Panika ścisnęła ich serca.

Nie mieli jeszcze trzydziestki, wciąż byli chłopcami.

Tak długo pozostawali bez pracy jako aktorzy, że nawet udawanie emocji wyszło im nieporadnie.

Wymienili spojrzenia, przekazali sobie informację, że z tą dziwną dziewczyną o aborcji nie może być mowy, że nie ma co liczyć na łatwe rozwiązanie.

Nie tylko dlatego, że Norma Jeane chciała mieć dziecko; wiele razy z przerażeniem mówiła o aborcji.

W głębi swej głupiej duszy pozostała wierna Christian Science.

Wierzyła w sporo tych bzdur albo też chciała w nie wierzyć.

W każdym razie aborcja nie wchodziła w grę; nie było sensu o niej wspominać.

Jeśli jej kochankowie spodziewali się, że Marilyn Monroe już wkrótce zacznie zarabiać duże pieniądze, to się przeliczyli.

W fantastycznych podróżach, w zdolnościach przewidywania.

Ale jeśli rozegrają tę partię jak na leży, to wszystko odwlecze się jedynie chwilowo.

Norma Jeane utkwiała spojrzenie swych ślicznych, wystraszonych, lśniących oczu w ich oczach.

-Jesteście sz...szczęśliwi z mojego powodu?

To znaczy: ze względu na nas?

Na Bliźnięta?

Nie mogli zrobić nic innego, tylko potwierdzić.

Pluszowy tygrysek.

Epizod, który mógłby uchodzić za sen.

Ale to się wydarzyło naprawdę.

Wydarzyło się naprawdę i uczestniczyły w tym Bliźnięta.

Norma Jeane, choć na rauszu po czerwonym winie (wypiła tylko dwa albo trzy kieliszki, podczas gdy mężczyźni opróżnili dwie butelki), będzie potem wyraźnie pamiętała te wydarzenia.

Ona, Cass i Eddy G świętowali radosną wiadomość, trzpiotowaci, podekscytowani, skłonni do łez.

Z restauracji wyszli około północy, ruszyli ulicą, skręcili na pierwszym skrzyżowaniu, mijając słabo oświetlony sklep z zabawkami, obok którego musieli przechodzić wiele razy, w ogóle go nie dostrzegając.

Norma Jeane przystanęła przed szybą wystawową i spojrzała na cudowne, ręcznie wykonane pluszowe zwierzątka, dużą rodzinę lalek, klocki z wyżłobionymi literami alfabetu, ciężarówkę, samochody.

Tak Cass, jak i Eddy G stwierdzili, że nigdy wcześniej nie widzieli tego sklepu, mogli przysiąc; co za zbieg okoliczności, zauważył Cass, co za noc, inna niż wszystkie...

-To jest film.

Coś takiego zdarza się tylko w filmach.

Alkohol nie stępił Cassowi umysłu, wyostrzył go, usprawnił; był tego pewny.

Eddy powiedział niewyraźnie, kącikiem ust:

- Film!

Wszystko, co przeżywamy, te skurwysyny mają wcześniej!

Norma Jeane, która rzadko piła i przysięgła nie pić przez okres ciąży, zachwiała się i oparła o okno.

Od jej oddechu szyba zaparowała, powstało "o" niczym usta złożone do okrzyku.

Czy to możliwe, że naprawdę widzi to, co się jej zdaje, że widzi?

- Och, ten maleńki tygrys.

Miałam kiedyś podobnego.

Bardzo dawno temu, kiedy byłam dziewczynką.

(Czyżby?

Pluszowego tygrysa, którego dostała w sierocińcu jako prezent świąteczny i zaraz go utraciła?

Może ten tygrys był większy, droższy, bardziej puchaty?

Kiedyś był jeszcze tygrysek, którego sama uszyła dla małej Iriny ze skrawków materiału kupionych w sklepie z tanimi resztkami.) Z brutalną sprawnością, z której syn Edwarda G.

Robinsona znany był w hollywoodzkim pół świątku, Eddy G uderzył pięścią w szybę, rozbił ją, a kiedy opadł deszcz szkła - Norma Jeane i Cass stali oniemiałymi - spokojnie sięgnął po zabawkę.

- Pierwsza zabawka dzieciątka.

Śliczna!

Zadośćuczynienie.

Następnego dnia późnym rankiem, ogarnięta poczuciem winy, z bólem głowy i mdłościami, Norma Jeane wróciła do sklepu z zabawkami.

"Może to był tylko sen?

Ta sytuacja nie wydawała się realna".

W torbie na ramię miała pluszowego tygrysa.

Nie chciała myśleć, że szyba w sklepie została rozbita po jej przypadkowej uwadze.

Ale nie ulegało wątpliwości, że Eddy G wręczył jej zabawkę, a ona włożyła ją sobie na noc pod poduszkę, teraz zaś tygrysek znajdował się w jej torebce.

"Co robić?

Przecież nie mogę tego tak zwyczajnie oddać".

No i oto ten sklep z zabawkami!

ZABAWKI HENRIEGO.

Mniejszymi literami: "Specjalność - zabawki wykonane ręcznie".

Sklep był prawie miniaturowy, fasada mierzyła nie więcej niż dwanaście stóp szerokości.

A w niej fatalna rana, zamiast części szyby płyta ze sklejki.

Norma Jeane zerknęła do środka i zobaczyła z niepokojem, że owszem, sklep jest otwarty.

W środku przy ladzie stał Herm.

Nieśmiało pchnęła drzwi, nad jej głową rozległ się dźwięk dzwonka.

Henri spojrzął na nią oczyma żałobnika.

W sklepie światła było mniej więcej tyle, co w komnacie starego zamku.

W powietrzu unosił się zapach zamierzchłych czasów.

W pobliżu na Beverly Boulevard panował ożywiony ruch, ale w sklepie z zabawkami Henriego było cicho i spokojnie.

- Tak, proszę pani?

Czym mogę służyć?

- Tenorowy głos, melancholijny, lecz nie oskarżycielski.

Nie będzie mnie obwiniał.

Nie będzie osądzał.

Norma Jeane była przejęta jak uczennica, jękała się.

-B...bardzo mi przykro, panie Henri!

Zdaje się, że ktoś rozbił pańskie okno?

Czyżby włamanie?

Czy to się stało ostatniej nocy?

Mieszkam niedaleko...

i wcześniej nie widziałam tu rozbitego okna.

Smutnooki Henri, mężczyzna w wieku nieokreślonym, lecz na pewno niemłody, uśmiechnął się lekko i gorzko.

- Owszem, panienko.

To było ostatniej nocy.

Nie mam alarmu.

Zawsze sobie myślałem: Kto by tam kradł zabawki?

Norma Jeane zacisnęła dłoń na torbie.

Zadrżała.

- Mam nadzieję, że dużo nie wzięli.

- Niestety, wprost przeciwnie - odparł Henri, tłumiąc gniew.

- Przykro mi.

- Tyle zabawek, ile zdążyli unieść, w dodatku te najdroższe.

Ręcznie wyrzeźbioną kolejkę, lalkę wielkości dziecka.

Ręcznie malowaną lalkę z ludzkimi włosami.

- Och!

Bardzo mi przykro.

- trochę drobniejszych przedmiotów, pluszowe zwierzątka, które szyje moja siostra.

Moja niewidoma siostra.

- Henri mówił spokojnie, ale dobitnie, zerkał na Normę Jeane, jak aktor zerka na publiczność za rzędem świateł.

- Ooo?

Niewidoma?

Ma pan niewidomą siostrę?

- Tak, utalentowaną szwaczkę, szyje zwierzątka wyłącznie na dotyk.

- także je ukradziono?

- Pięć sztuk.

Plus kilka innych drobiazgów.

Do tego dochodzi rozbita szyba.

Wyjaśniłem to wszystko policji.

Ale nie spodziewam się, że kiedykolwiek schwytają sprawców.

Tchórze!

Norma nie potrafiła rozstrzygnąć, czy Henri ma na myśli złodziei, czy policję.

Powiedziała z wahaniem:

- Ale ma pan polisę?

Henri obruszył się.

- Ano, mam nadzieję, że rzeczywiście mam coś takiego jak ubezpieczenie.

Kompletnym głupcem nie jestem.

- No to dobrze.

-Tak.

Dobrze.

Ale ona mi nie zrekompensuje urazów psychicznych u mnie i siostry ani nie odbuduje wiary w ludzką naturę.

Norma Jeane wyjęła z torby małego pasiastego tygryśka.

Starając się nie widzieć, w jaki sposób Henri na nią patrzy, powiedziała szybko:

- Znalazłam to na dróżce za moim domem.

Mieszkam tu zaraz za rogiem.

Zabawka chyba należy do pana.

-A jakże, tak...

Henri gapił się na nią, mrugając.

Twarz, dotychczas blada jak pergamin, wyraźnie pociemniała od napływu krwi.

- Z...znalazłam go.

Na ziemi.

Pomyślałam, że n...należy do pana.

Ale chciałam go kupić?

To znaczy...

jeśli nie jest zbyt drogi?

Henri gapił się na Normę Jeane przez długą chwilę, nie mówiąc przy tym ani słowa.

Nie miała pojęcia, co on myśli, tak samo jak on nie miał pojęcia, co ona myśli- Pasiasty tygrys?

- powiedział.

- Pasiaste tygryski to jedna ze specjalności siostry.

- Trochę się ubrudził.

Dlatego chciałabym go kupić.

To znaczy - Norma Jeane roześmiała się nerwowo - prawdopodobnie teraz nie będzie mógł go pan sprzedać.

A on jest taki śliczny.

Trzymała małego pasiastego tygrysa w obu dłoniach, aby Henri mógł się mu przyjrzeć.

Norma Jeane stała przed ladą, na odległość wyciągniętej ręki, ale on ani drgnął.

Poruszał tylko ustami, namyślając się.

Był niższy kilka cali od Normy Jeane, wyglądał jak posąg z czarnymi jak guziki oczami, o sterzących uszach i łokciach.

-Panienko, jest pani dobrym człowiekiem.

Ma panienska dobre serce.

Sprzedam paniencie tego tygrysa za...

- Henri zamilkł, uśmiechał się teraz jakby bardziej szczerze.

Mogło mu się wydawać, że Norma Jeane jest młodsza niż w rzeczywistości, ma mniej niż dwadzieścia pięć lat, może studiuje aktorstwo albo taniec, jest śliczną, ale nie nadzwyczajną dziewczyną o okrągłej, niewinnej twarzy, bladej twarzy bez makijażu.

Na płaskich obcasach wyglądałaby trochę na chłopca, gdyby nie duże piersi.

Do tego stopnia brakowało jej pewności siebie, prezencji, że nigdy nie zrobi kariery w showbiznesie.

- ...dziesięć dolarów.

Cena wyjściowa to piętnaście.

Na maleńkiej karteczce doczepionej do tygrysa - o czym Henry zdawał się nie pamiętać - widniała cena wypisana ołówkiem: 8,98 dol.

Norma Jeane odetchnęła z ulgą.

Szybko wyciągnęła portfel.

- Nie, panie Henri!

Dziękuję.

Musi pan wiedzieć, że ta zabawka przeznaczona jest dla mojego pierwszego dziecka, chcę za nią zapłacić pełną cenę.

WIZJA

Norma Jeane zawsze będzie to wspominała.

Udali się na jedną ze swoich nocnych przejażdżek.

Na romantyczną, nocną przejażdżkę w środku południowokalifornijskiego lata.

Zielonym cadillakiem z szerokim chromowanym uśmiechem i rowkowanymi płetwami.

Chromowana krata i przednie zderzaki przecinały fale światła i cienia jak dziób statku.

Cass Chaplin, Eddy G i Norma.

Zakochani!

Ciąża sprawiła, że Norma stała się jeszcze piękniejsza; jaśniała jej śliczna skóra, błyszcząły oczy - wyraziste, trzeźwe, inteligentne.

Jej ciąża dodała urody także mężczyznom.

Może tylko bardziej tajemniczo, dyskretnie.

Nikt nie dowie się o ich tajemnicy, póki sami nie zdecydują się na jej ujawnienie.

Póki nie zdecyduje się Norma.

Cała trójka, kontemplując mające nastąpić narodziny, przejawiała skłonność do marzycielstwa i tracenia głowy.

Śmiali się głośno, wymieniali spojrzenia.

Czy to prawda?

Tak, prawda.

Prawda, prawda, prawda.

- To nie film - ostrzegł ich Cass - ale prawdziwe życie.

Eddy G przystąpił do anonimowych alkoholików, Cass się nad tym zastanawiał.

To był poważny krok, zrezygnować z picia!

Ale gdyby tak pozostać przy narkotykach?

Czy byłoby to jakieś oszustwo?

Eddy G rozsądnie ocenił, że jeśli kiedykolwiek będzie odpowiednia chwila na porzucenie picia - jak rzucał je jego ojciec, i to nie jeden raz - to właśnie teraz nadeszła.

Z zaskoczeniem oświadczył:

- Ani trochę nie młodnieję.

I nie staję się zdrowszy.

Lekarz wyliczył, że Norma Jeane jest w piątym tygodniu ciąży; dziecko powinno się urodzić w środku kwietnia.

Jeśli w życiu cierpiała na jakieś dolegliwości, to tylko na obfite krwawienia menstruacyjne i towarzyszący temu ból, ale teraz ów problem miał zniknąć.

Co za szczęście!

"Warto chociażby dlatego.

Nic dziwnego, że taka jestem szczęśliwa".

Spała dość dobrze i nie zażywała barbituranów.

Ćwiczyła.

Z apetytem zjadała sześć lekkich posiłków dziennie, na które składały się przeważnie produkty zbożowe i owoce.

Rzadko zbierało się jej na mdłości.

Nie mogła jeść mięsa i nie znosiła tłuszczu.

Nie nazywali już jej Małą Rybką, tylko żartobliwie Małą Mamą (przynajmniej kiedy słuchała).

Tak naprawdę budziła w nich respekt!

Przepadali za nią.

Za żeńskim wierzchołkiem nierozzerwalnego trójkąta.

Wcześniej bała się.

Oczywiście, przyszło jej do głowy, że obaj młodzi kochankowie mogą ją opuścić, ale nie zrobili tego i prawdopodobnie tego nie zrobią.

Nie zdarzało się bowiem, żeby ci mężczyźni naprawdę kochali dziewczynę lub młodą kobietę, którą zapłodnili, albo uwierzyli w to, że zapłodnili; nie zdarzyło się, żeby jakaś ich znajoma dziewczyna lub kobieta odrzuciła możliwość aborcji.

Norma była inna; nie było takiej drugiej jak ona.

Może my też się jej baliśmy.

Zaczynaliśmy rozumieć, że jej nie znamy.

Cass prowadził rozkołysanego cadillaka po prawie pustych ulicach; na niebie świecił księżyc.

Norma Jeane, wciśnięta między przystojnych, młodych kochanków, była zadowolona jak nigdy przedtem.

Nigdy nie była taka szczęśliwa.

Chwyła za rękę Cassa i Eddyego G, po czym przycisnęła ich wilgotne dłonie do brzucha, gdzie dojrzewało dziecko.

- Pewnego dnia, wkrótce, wyczujemy bicie jego serca.

Tylko poczekajcie!

Mknęli na północ La Cienega.

Minęli Olympic Boulevard, Wilshire.

Norma Jeane przypuszczała, że w Beverly Cass skręci na wschód i pojedzie do domu.

Ale on pojechał dalej w stronę Sunset Boulevard.

Z radia płynęła romantyczna muzyka z lat czterdziestych.

/ Can Dream, Cant P, Ill Be Louing You Always.

Pięciominutowa przerwa na wiadomości z informacją główną o kolejnej dziewczynie, którą zamordowano na tle seksualnym, o nagich zwłokach, "dobrze zapowiadająca się aktorka i modelka" z Venice zaginęła przed kilkoma dniami i ostatnio znaleziono ją, zawiniętą w brezent na plaży za mołem w Santa Monica.

Norma Jeane struchlała.

Eddy G czym prędzej zmienił stację.

Ta wiadomość nie była nowa - weszła do obiegu poprzedniego dnia.

Norma Jeane nie znała ofiary.

Nie słyszała wcześniej jej nazwiska.

Eddy G znalazł inną stację z Perryem Como śpiewającym The Object of My Affection.

Zaczął pogwizdywać, przytulając się do ciała Normy Jeane, które wydawało mu się teraz bardzo kojące i ciepłe.

Dziwne: Norma Jeane nigdy nie opowiedziała Cassowi i Eddyemu G o zabawce Henriego.

Mimo że Bliźnięta przysięgły, że mówić będą sobie wszystko i nie będą miały przed sobą tajemnic.

- Cass, dokąd nas wieszysz?

Chcę do domu.

Maleństwo jest takie śpiące.

- Maleństwo ujrzy pewną wizję.

Już za chwilę.

Wydawało się, że Cass i Eddy G są w jakiejś zмовie.

Norma Jeane zaczynała czuć się nieswojo.

I miała ochotę zasnąć.

Jakby ją Dziecko wciągało w siebie, w swą pozbawioną światła przestrzeń, która poprzedzała wszelki czas.

Istniałam, zanim zaczął się wszechświat.

I ty ze mną.

Znaleźli się na Sunset i skręcili na wschód.

Tej części miasta Norma Jeane bała się od czasów tramwajowych podróży do Wytwórni na ćwiczenia i przesłuchania, a także od pewnego ranka, kiedy się dowiedziała, że kontrakt z nią nie zostanie przedłużony.

Na Sunset Boulevard ruch uliczny nie zamierał.

Samochody płynęły niczym łodzie po Styksie.

(Jak wymawiasz słowo Styks?)

- pytała czasem Cassa.

- Po prostu: Styks"?)

Zaczął się rząd jasno oświetlonych billboardów, migających im nad głowami.

Filmy!

Twarze gwiazd filmowych!

Wśród nich plakat inny niż pozostałe, wyższy, do filmu Niagara.

Całą jego szerokość, około trzydziestu stóp, zajmował wizerunek platynowej blondynki o zmysłowym ciele, o ślicznej, drwiącej twarzy i zmysłowo rozchylonych, błyszczących czerwienią ustach.

W Los Angeles żartowano, że w tym miejscu ruch uliczny powolnieje, a niektóre samochody wręcz się zatrzymują.

Norma Jeane oczywiście widziała plakaty do Niagary.

Unikała jednak widoku tego niesławnego billboardu.

Eddy G powiedział z przejęciem:

-Normo!

Chcesz, to patrz, nie chcesz, nie patrz, ale...

Wtrącił się Cass:

- Oto ona.

Marilyn.

MARILYN

1953-1958

Pożytek płynący z piękna nie jest jasny, konieczności jego istnienia w kulturze trudno się dopatrzeć, a jednak nie można by nie odczuć jego w niej braku.

Zygmunt Freud, Kultura jako źródło cierpień

W myślach musisz zbudować krąg, krąg światła i skupienia.

Koncentruj się tylko na nim.

Jeśli twoje skupienie osłabnie, musisz się szybko wycofać do mniejszego kręgu.

Konstantin Stanisławski, Praca aktora nad sobą

1953, nowy rok cudów.

Norma Jeane nigdy by w to nie uwierzyła.

Rok, w którym Marilyn Monroe stała się gwiazdą, rok, w którym Norma Jeane zaszła w ciążę.

-Jestem taka szczęśliwa!

Spełniły się wszystkie moje marzenia.

Uderzało to w nią jak przybrzeżna fala, która smagała ją boleśnie piaskiem na plaży w Santa Monica, kiedy była dzieckiem.

Pamiętała wszystko bardzo wyraźnie, jakby to było wczoraj.

Ale wkrótce sama zostanie matką i jej dusza ozdrowieje.

Niedługo uciszy ten miarowy głos.

Gdziekolwiek jesteś, tam i ja jestem.

Nim dotrzesz do miejsca, do którego zmierzasz, ja już tam będę na ciebie czekać.

- Nie mogę przyjąć tej roli.

Przepraszam...

Wiem, że taka okazja zdarza się raz w życiu.

Ale tak samo dzieje się ze wszystkim.

Rola Lorelei Lee w komedii muzycznej *Mężczyźni wolą blondynki* Anity Loos.

Popularny broadwayowski musical, który Wytwórnia zakupiła dla Marilyn Monroe, od czasu Niagary swej najbardziej kasowej aktorki.

- Odrzucasz taką propozycję?

z niedowierzaniem zapytał jej agent.

- Marilyn, nie wierzę ci.

Marilyn, nie wierzę ci.

Norma Jeane w ciszy smakowała te afektowane słowa.

Szkoda, że była sama, bez Cassa, bez Eddyego G, nie miała się z kim pośmiać.

Nie odpowiedziała.

Agent mówił szybko.

Był jednym z ludzi, którzy znali ją wyłącznie jako Marilyn.

Bał się jej i nie przepadał za nią.

Nie kochał jej jak pan I.

E. Shinn.

Za jego plecami nazywała go Rin Tin Tinem, bo był zapalczywy, łatwo wpadał w gniew i dosłownie warczał na ludzi, stary człowiek, choć jeszcze młody wiekiem, chorobliwie ambitny i sprytny, ale mało inteligentny.

Rin Tin Tin zachowywał się służalczo w stosunku do ludzi posiadających władzę, za to jak pan i władca zachowywał się wobec innych: kobiet w swoim biurze, urzędników, pokojówek, kierowców taksówek.

Jak do tego doszło, że odszedł potężny I.

E. Shinn i zastąpił go...

Rin Tin Tin?

Jakże mogę ci ufać?

Ty mnie nie kochasz.

Obecnie Marilyn Monroe stała się, jak to mówią, "sławna".

Norma Jeane nie mogła ufać nikomu, kto dawniej ją znał i jej nie kochał.

Cass Chaplin ostrzegł ją kiedyś, że ludzie będą ją obłazić jak wszy.

Powiedział: "Ulubione powiedzenie mojego ojca brzmi: Jeśli masz miliony dolarów, to masz także miliony przyjaciół".

Norma Jeane nigdy nie będzie miała milionów dolarów, ale sławę postrzegano jako fortunę, którą można dowolnie na życzenie dysponować.

Sława była jak pożar, którego nikt nie jest w stanie opanować, nawet szefowie studia, którzy sobie przypisywali największe zasługi.

Te bukiety kwiatów od nich!

Zaproszenia na lunch, na obiad.

Przyjęcia w ich ogromnych domach w Beverly Hills.

Ale wciąż uważają mnie za dziwkę.

Na przyjęciu po premierze Niagary Norma Jeane, która z pewnością nie była Rosę, ale wypita kilka kieliszków szampana, kpiącym szeptem Rosę odezwała się do Z, mężczyzny o twarzy nietoperza: Pamięta pan tamten dzień we wrześniu 1947 roku?

Byłam jeszcze dziewczyną.

I tak się bałam!

Jeszcze się nie nazywałam tak jak teraz.

Zaprosił mnie pan do apartamentu przy biurze, aby mi pokazać kolekcję wypchanych, martwych ptaków - "ptaszarnię".

Pamięta pan, jak zadał mi pan ból?

Pamięta pan, jak krwawiłam?

Stałam wtedy na czworakach, panie Z.

Pamięta pan, jak pan na mnie wrzeszczał?

Przed laty.

A potem zerwał kontrakt ze mną?

Pamięta pan?

Z popatrzył na Normę Jeane i zakłopotany potrząsnął głową.

Nie pamiętał.

Obliział usta; błysnęły sztuczne zęby.

Choć miał twarz nietoperza, dziwnie ziarnista powierzchnia skóry, zwłaszcza na czaszce, należała do jaszczurki.

Potrząsał głową: nie, nie.

Okrutne, żółtawe oczy były nieprzeniknione.

Nie? Nie pamięta pan?

Niestety nie, panno Monroe.

Krwi na pańskim białym futrzanym dywaniku nie pamięta pan?

Niestety nie.

Nie mam białego futzranego dywanika.

Czy zabił pan Debrę Mae?

A potem pociął jej ciało?

Ale on już się odwrócił.

Inna potężna jaszczurka przyciągnęła jego uwagę.

Nie słyszał słów Normy Jeane wypowiedzianych namiętnym, wściekłym głosem Rosę Loomis.

A przyjęcie przebiegało zbyt wesoło.

Gwar, śmiech.

Murzyńskie jazzowe combo.

Nie było teraz czasu, aby wyrównać rachunki z wrogiem.

Podchodzili inni ludzie, pragnęli pogratulować sukcesu Normie Jeane.

Niagara była.

filmem klasy B, niskobudżetowym i pośpiesznie zrealizowanym, ale miała przynieść mnóstwo pieniędzy, więc Norma Jeane zrobiłaby dobrze, gdyby przełknęła gorycz i uśmiechała się, uśmiechała ślicznie jak Marilyn.

Choć tak mocno pragnęła chwycić Z za rękaw smokingu i wyrzucić z siebie wszystko.

Tyle że usłyszała trzeźwe ostrzeżenie.

Nie/Nie rób tego.

Tak postąpiłaby Gladys.

Przy takiej okazji, przy świadkach.

Jesteś Marilyn Monroe, a Marilyn nie jest taka.

Nie jesteś chora jak ja.

W ten sposób umknęła najbardziej niebezpieczna chwila.

Norma Jeane zaczęła oddychać spokojniej.

Potem będzie wspominała zdziwienie i ulgę, że Gladys dała jej taką radę.

Z pewnością był to punkt zwrotny w ich życiu!

Wiedzieć, że życzy mi dobrze.

Wiedzieć, że podziela moje szczęście.

Stał przy niej Rin Tin Tin.

Dumny jak paw, jakby to on ją stworzył.

Rin Tin Tin był wyższy o kilka cali od Rumpelstilzki, nie miał zdeformowanych pleców, a jego gładka, wypomadowana głowa wyglądała jak głowa zwykłego mężczyzny, nie była nieproporcjonalnie duża ani lekko zniekształcona.

Miał oczy przeciętnego, skąpego człowieka; czasem okazywał uprzejmość, dobroć, ale zazwyczaj trwało to krótko jak kichnięcie, jak chłopięcy uśmiech nadziei.

Zdawało się, że boi się blondwłosej klientki, która stała się sławna niemal z dnia na dzień.

Jak wszyscy współpracownicy aktorów, którzy nagle odnieśli sukces, Rin Tin Tin obawiał się, że klientkę może mu podkraść typ taki jak on, tylko jeszcze gorszy.

Normie Jeane trudno się żyło bez I.

E. Shinna!

Przy takich publicznych okazjach jego brak docierał do niej jak zapach oskrobanych z resztek talerzy, wilgotnych śmieci z kuchni niewidocznej dla gości.

Wydawało się niemożliwe, że I.

E. od szedł na zawsze, a te inne karty żyły nadal.

Dalej żyła Norma Jeane.

Gdyby Isaac tu był, zauważyłby, że Norma Jeane czuje się coraz bardziej nieswojo, denerwuje się koniecznością szczerzenia zębów do obcych ludzi; piła zbyt dużo - z nadmiaru emocji a mnóstwo przesadnych komplementów i gratulacji wprawiało ją w zakłopotanie, bo potrzebowała raczej upomnienia, że nie zrobiła wszystkiego, na co ją było stać.

Wystrzegaj się pochlebców!

Rozmawiaj o swojej sztuce wyłącznie z tymi, którzy mówią prawdę.

Tak ostrzegał wielki Stanisławski.

A teraz otaczali ją pochlebcy.

Na to przynajmniej wyglądało.

Pan Shinn stałby z Normą Jeane w kącie, inteligentny, mądry Rumpelstilzkin.

Rozśmieszałby ją szelmowskim sarkazmem i zabawnymi komentarzami.

Przeżyłby szok, dowiadując się o ciąży, z początku wpadłby we wściekłość, bo jeśli nie cierpiało kogoś bardziej niż Cassa Chaplina, to właśnie Eddyego G.

Robinsona juniora; nie wiedział, że Bliźnięta ocaliły życie Normie Jeane; ale nie minęłoby kilka dni - Norma Jeane była tego pewna - a byłby szczęśliwy, gdyż ona była szczęśliwa.

Czego zapragnie Jasnowłosa Księżniczka, to dostanie.

- ...na linii?

Marilyn?

Norma Jeane otrząsnęła się z zamyślenia, bo rozległ się jakiś cichy głos z radia.

Nie, z telefonu.

Spoczywała na sofie w pozycji półleżącej, słuchawka leżała przy niej.

Ciepłe, wilgotne dłonie przyciskała do brzucha, gdzie spokojnie spało Dzieciątko.

Norma Jeane zmieszana podniosła słuchawkę.

- T...tak?

Słucham.

- Rin Tin Tin.

Zapomniała o nim.

Kiedy zadzwonił?

Że nująca sytuacja!

Rin Tin Tin pytał, czy coś się stało, i zwracał się do niej "Marilyn", tak jakby miał do tego prawo.

- Nic się nie stało.

Czego pan chce?

- Wysłuchaj mnie, proszę.

Jeszcze nigdy nie wystąpiłaś w komedii muzycznej, a to jest fantastyczna okazja.

Umowa jest...

- W komedii muzycznej?

Nie umiem śpiewać ani tańczyć.

Rin Tin Tin szczechnął, czyli zaśmiał się.

Czyż jego klientka nie jest za bawna?

Druga Carole Lombard.

- Brałaś lekcje, poza tym wszyscy ludzie w Wytwórni, z którymi rozmawiałem, twierdzą, że jesteś...

- zamilkł na chwilę, szukając odpowiedniego słowa - obiecująca.

Masz naturalny talent.

Mówił prawdę: zdawała się tryskać radosną energią dziecka, kiedy przestawała być sobą i dawała się ponieść muzyce.

Śpiewała, tańczyła!

Ale teraz miała inny powód do szczęścia.

- Przepraszam.

Nie mogę.

Nie teraz.

Ostre zaczerpnięcie powietrza przez wściekłego psa.

Dyszenie.

- Nie teraz?

Jak to: nie teraz?

Marilyn Monroe to obecnie najbardziej kasowa gwiazda Wytwórni.

- Ze względu na moje życie prywatne.

- Marilyn, co mówisz?

Nie dosłyszałem.

- Ze względu na moje p...prywatne życie!

Nie jestem...

nie jestem stworzona wyłącznie do filmu.

Rin Tin Tin wołał tego nie słyszeć.

(Rumpelstilzkin też stosował ten podstęp.) Rzekł z zapałem, jakby czytał głośno telegram, który właśnie mu doręczono:

- Mężczyźni wolą blondynki to film dla ciebie.

Z kupił prawa do sfilmowania musicalu z myślą o tobie.

Nie chce angażować Carol Channing z przedstawienia broadwayowskiego, chociaż dzięki niej musical stał się przebojem sezonu.

On chce, żeby ten film stał się twoją wizytówką, Marilyn.

Wizytówką!

Czego?

Zapytała od niechcienia, głaszcząc się po brzuchu tak, jakby to robiła Rose, po ledwie wyczuwalnym wybrzuszeniu, pod którym tkwiło Dziecko.

- Ile bym dostała?

Rin Tin Tin zamilkł.

- Gażę kontraktową.

Tysiąc pięćset tygodniowo.

- Przez ile tygodni?

- Mniej więcej przez dwanaście, tak to oceniają.

- A ile dostałaby Jane Russell?

Rin Tin Tin znowu nie odpowiedział od razu.

Na pewno zdziwił się, że Norma Jeane która wydawała się zagubiona, roztargniona, nieobecna, nie zainteresowana plotkami związanymi z hollywoodzkimi przetargami, która twierdziła, że nawet nie czyta większości reklamowych rewelacji na temat Marilyn Monroe - nie tylko będzie wiedziała, że Jane Russell ma wystąpić w tym filmie, ale że pytanie o jej płacę będzie dla niego niewygodne.

- Nic jeszcze nie jest przesądzone powiedział wymijająco.

Russell trzeba wypożyczyć z innego studia.

- Rozumiem, ale ile?

- Nie ma zgody co do sumy.

-Ile?

- Żądają stu tysięcy.

- Stu tysięcy!

- Norma Jeane poczuła ukłucie bólu w dole brzucha.

Dziecko także obrażono.

Ale sen Dziecka nie zostanie zakłócony.

Norma Jeane odczuła coś w rodzaju ulgi.

Powiedziała ze śmiechem:

-Jeśli realizacja filmu potrwa dwanaście tygodni, to moja gaża wyniesie osiemnaście tysięcy.

A Jane dostaje sto tysięcy?

Marilyn Monroe musi mieć swoją dumę, prawda?

To zniewaga.

Jane Russell i ja chodziłyśmy do tej samej szkoły średniej w Van Nuys.

Jest starsza ode mnie o rok, dostawała więcej ról w szkolnych przedstawieniach, ale zawsze byliśmy przyjaciółkami.

Będzie jej głupio z mojego powodu!

- Zawiesiła głos.

Wypowiadała słowa bardzo szybko; chociaż nie była wyprowadzona z równowagi, mówiła jak w gniewie: Kończę tę rozmowę.

Do widzenia.

-Marilyn, poczekaj...

- Pieprzyć Marilyn.

Tu jej nie ma.

Ktoś zadzwonił z Lakewood.

Gladys Mortensen zaginęła!

W nocy wymknęła się z pokoju, potem ze szpitala i (po dokładnym przeszukaniu wszystkiego musieli dojść do tego wniosku) w ogóle z jego terenu.

Czy Norma Jeane mogłaby przyjechać możliwie jak najszybciej?

"Och, tak.

Och, tak".

Nie powie nikomu.

Ani swojemu agentowi, ani Cassowi Chaplinowi, ani Eddyemu G.

Może uda mi się oszczędzić im tego.

To wyłącznie mój kłopot.

Obawiała się oczywistego braku zainteresowania w oczach swych kochanków, kiedy napomykała, choćby najbardziej mgliście, o swojej matce.

("Wszyscy mamy chore matki - zauważył beztrąsko Cass.

-Ja ci oszczędzę opowieści o mojej, ty zaoszczędzisz mi opowieści o twojej.

Umowa stoi?")

Norma Jeane ubrała się, włożyła jeden z kapeluszy Cassa i ciemne okulary.

Choć przez chwilę o tym myślała, ostatecznie nie zdecydowała się na połknięcie niebieskiej tabletki benzedryny ze zgromadzonych w łazience zapasów Cassa.

Sypiała po sześć godzin na dobę, głęboki, pokrzepiający sen.

Najwidoczniej ciąży jej służy, zapewnił ją lekarz, uśmiechając się szeroko niczym przyszły ojciec, aż Norma Jeane przestraszyła się, że ją rozpoznał.

Co się stanie, jeśli zrobi jej zdjęcia, kiedy ona będzie rodzić pod narkozą?

Pojechała do Lakewood rano.

Niespokojna o Gladys, bo co będzie, jeżeli matka zrobiła sobie jakąś krzywdę?

A może w jakiś sposób dowiedziała się o dziecku?

Czy to w ogóle możliwe?

Zdawała sobie sprawę, że musi się bronić przed przypisywaniem Gladys wszechwiedzy; nie była już małą dziewczynką, a Gladys nie była już silną, zorientowaną we wszystkim matką.

Ale może jakoś się tego dowiedziała.

I dlatego właśnie uciekła.

Po drodze do Lakewood Norma Jeane minęła kilka kin, w których grano Niagarę.

Na fasadzie każdego z nich widniała MARILYN MONROE o jasnej, błyszczącej skórze, MARILYN MONROE ubrana w czerwoną, głęboko wyciętą sukienkę, która ledwo mieściła krągłe piersi.

MARILYN MONROE uśmiechała się prowokacyjnie, rozchylając błyszczące, seksowne usta, na które Norma Jeane zerknęła nieśmiało.

Jasnowłosa Księżniczka!

Właściwie nigdy wcześniej Norma Jeane nie uświadamiała sobie do końca, że Jasnowłosa Księżniczka równocześnie kpiała ze swoich wielbicieli i dodawała im sił.

Ona była taka piękna, oni tacy zwyczajni.

Ona była źródłem emocji, oni tym emocjom ulegali.

Kto na nią zasługiwał, kto był Ciemnowłosym Księciem?

Owszem, jestem dumna!

Przyznaję.

Pracowałam bardzo ciężko i zamierzam pracować jeszcze ciężiej.

Nie jestem kobietą z tych plakatów.

Lecz ona jest moim dziełem.

Zasłużyłam na własne szczęście.

Zasłużyłam na dziecko.

Nadszedł mój czas!

Kiedy Norma Jeane przyjechała do prywatnego szpitala w Lakewood, okazało się że Gladys wróciła, jakby dzięki interwencji magicznych sił.

Zauważono ją w katolickim kościele przy Bellflower Boulevard, mniej niż trzy mile od szpitala.

Spała w ławce.

Speszona i zdezorientowana, ale całkowicie spokojną Gladys miejscowa policja odwiozła do szpitala.

Kiedy Norma Jeane ją ujrzała, wybuchnęła płaczem i przytuliła się do matki, od której rozchodziła się woń mokrego popiołu, wilgotnego ubrania, moczu.

Matka nie jest katoliczką.

Na Boga, dlaczego ona tam poszła?

Dyrektor szpitala przeproszał Normę Jeane ponad miarę.

Pamiętał, aby zwracać się do niej "panno Baker".

(Ścisłą tajemnicą otoczony był fakt, że Gladys Mortensen jest matką pewnej aktorki filmowej.

"Proszę mnie nie zdradzić" - poprosiła kiedyś Norma Jeane.) Twierdził, że obecność pacjentów w pokojach jest sprawdzana codziennie o dziewiątej wieczorem; kontroluje się zamknięcie drzwi i okien; służba ochrony pracuje na okrągło.

Norma Jeane zapewniła czym prędzej:

- Och, nie gniewam się.

Cieszę się tylko, że Matka jest bezpieczna.

Pozostałą część dnia Norma Jeane spędziła w Lakewood.

W końcu był to wspaniały dzień!

Rozmyślała, w jaki sposób przekazać Gladys najnowszą wieść.

Matki nie zawsze są gotowe na przyjęcie od córek radosnych nowin, ponieważ matki są najbardziej sobą, gdy matkują swoim córkom.

Obecnie jednak to Norma Jeane matkowała Gladys, która wydawała się nie w pełni panować nad ruchami swojego ciała, mrugała i zerkąła na Normę Jeane, jak gdyby nie była pewna, kim ona jest.

Kilka razy powiedziała, z troską raczej niż z pretensją:

- Masz białe włosy.

Czy jesteś stara, tak jak ja?

Norma Jeane pomogła wykąpać matkę, umyła jej posklejane włosy i starannie je rozczesała.

Przemawiała do Gladys pogodnie, mruczała i śpiewała, jakby miała doczynienia z małym dzieckiem.

- Wszyscy bardzo się o ciebie martwili, Mamo.

Już nigdy nie będziesz uciekała, prawda?

Wczesnym rankiem Gladys zdołała otworzyć kilka par drzwi (ale chyba nie zamknęto ich dokładnie, choć personel stanowczo temu zaprzeczał) i przejść niezauważenie po trawniku od frontowej strony budynku; znalazłszy się na ulicy, przeszła dwie i pół mili do kościoła św.

Elżbiety, w którym znaleziono ją następnego ranka, kiedy parafianie weszli do kościoła na poranną mszę.

Na nagim ciele miała jedynie luźną beżową sukienkę; ze szpitala wyszła w sztruksowych kapciach, ale widocznie zgubiła je w trakcie ucieczki; kościste stopy pełne były płytkich zadrapań.

Norma Jeane delikatnie umyła matce nogi i posmarowała ranki jodyną.

- Mamo, dokąd się wybierałaś?

Powinnaś porozmawiać najpierw ze mną, wiesz przecież.

Gdybyś chciała dokądś pójść.

Na przykład do kościoła.

Gladys wzruszyła ramionami.

- Wiem, dokąd szłam.

- Mogłaś zrobić sobie krzywdę.

Wpaść pod samochód albo...

zaginąć.

-Jeszcze nigdy się nie zgubiłam.

Wiem, dokąd szłam.

- Dokąd?

- Do domu.

Ostatnie słowo zawisło w powietrzu, dziwne i cudowne jak robaczek świętojański.

Wstrząśnięta Norma Jeane nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

Widziała, że Gladys się uśmiecha.

Kobieta i jej sekret.

Wiele lat temu, w innym życiu, była poetką.

Piękną kobietą, która podobała się mężczyznom, między innymi wpływowym mężczyznom z Hollywood, takim jak ojciec Normy Jeane.

Nim Norma Jeane zjawiła się w szpitalu, podano Gladys jakiś lek, "aby ukoić jej nerwy".

Starsza kobieta nie okazywała wzburzenia ani nawet wstydu, że spowodowała tyle zamieszania.

Śpiąc na twardej drewnianej ławie, zmoczyła ubranie, ale tym też się nie przejmowała.

Jest dzieckiem.

Okrutnym dzieckiem.

Zajęła miejsce Normy Jeane.

Niegdyś piękne oczy Gladys przygasły, miały tyle połysku co kamienie, a jej skóra nabrała szaro-zielonkawego odcienia; dziwne jednak, że choć właśnie odbyła nocną wędrówkę bez butów, nie wyglądała starzej niż ostatnim razem, kiedy Norma Jeane ją widziała.

Jak gdyby przed laty ktoś rzucił na nią urok: wszyscy wokół starzeli się, tylko nie Gladys.

Norma Jeane upomniała ją delikatnie:

- Kiedy tylko zechcesz, Mamo, możesz zamieszkać ze mną.

Wiesz przecież.

- Nastąpiła chwila ciszy.

Gladys wciągnęła powietrze i potarła nos.

Norma Jeane wyobraziła sobie, że słyszy szyderczy śmiech.

Dom!

Z tobą?

Gdzie?

- Nie jesteś stara.

Nie powinnaś tak o sobie mówić.

Masz dopiero pięćdziesiąt trzy lata.

- dodała podstępnie: - Chciałabyś zostać babcią?

Nareszcie.

Powiedziała to.

Babcią!

Gladys ziewnęła.

Ziewnięcie głębokie jak krater.

Norma Jeane była rozczarowana.

Powinna powtórzyć pytanie?

Pomogła matce wejść do łóżka; starsza kobieta ułożyła się w czystej bawełnianej koszuli nocnej, między czystymi bawełnianymi prześcieradłami.

Kwaśna, ponura woń moczu opuściła Gladys, ale pozostała w pokoju, choć słaba jak echo.

Prywatny pokój Gladys, za który "panna Baker" płaciła co miesiąc poważną sumkę, miał rozmiary dużej szafy ściennej, posiadał pojedyncze, mansardowe okno wychodzące na parking.

Stolik nocny, lampka, winylowe krzesło, wąskie szpitalne łóżko.

Na aluminiowym biurku wśród kosmetyków i przyborów toaletowych leżało kilkanaście książek, gromadzonych już od lat podarunków od Normy Jeane.

Większość z nich stanowiły tomiki poetyckie, ładne, cienkie książki, zapewne rzadko otwierane.

Wygodnie ułożona w łóżku Gladys wyglądała, jakby miała zapaść w sen.

Jej metalicznobrązowe włosy wyschły w poskręcane pęczki.

Powieki jej opadły, wargi obwisły.

Norma Jeane zauważyła ze smutkiem, że zniszczone, pokryte żyłami dłonie jej matki, dłonie Nell, dawniej drzące i żywe, jakby obdarzone własną wolą, teraz były bezwładne.

Ujęła je w swoje dłonie.

- Och, Mamo, masz takie zimne palce.

Będę musiała je rozgrzać.

Ale dłonie Gladys wcale się nie rozgrzewały.

Przeciwnie, to Norma Jeane zaczęła się trząść.

Próbowała wytłumaczyć, dlaczego nie przyniosła dzisiaj prezentu.

Dla czego nie pójdą do miasta, do zakładu fryzjerskiego i do przyjemnej kawiarni na lunch.

Próbowała wyjaśnić, dlaczego nie może zostawić matce pieniędzy.

- Mam teraz w portfelu osiemnaście dolarów!

Tak mi wstyd.

Płacą mi tysiąc pięćset dolarów tygodniowo, ale mam tak dużo wydatków...

Taka była prawda.

Norma Jeane często musiała pożyczać pieniądze, pięć dziesiąt, sto, dwieście dolarów od przyjaciół albo od przyjaciół przyjaciół.

Niektórzy mężczyźni bardzo chętnie pożyczali pieniądze Marilyn Monroe.

Oczywiście bez żadnych zobowiązań.

Norma Jeane dostawała też biżuterię choć raczej jej nie nosiła.

Cass Chaplin i Eddy G, praktycznie nastawieni młodzi mężczyźni, nie mieli nic przeciwko prezentom.

Jako przyszli ojcowie musieli myśleć o przyszłości, a jak można myśleć o przyszłości, nie myśląc o pieniądzach.

Każdy z nich został wydziedziczony przez ojca, więc wydawało się logiczne, iż inni starsi mężczyźni, ojcowie innych dzieci, po winni ich wspierać.

Zawsze starali się przekonać Normę Jeane, że tak samo jest w jej wypadku.

Też została pozbawiona rodzinnej schedy.

To oni wpadli na pomysł, aby na czas ciąży przenieść się do Hollywood Hills.

Gdyby nie znaleźli odpowiedniego lokum, za który nie musieliby płacić czynszu, musieliby zdobyć pieniądze na czynsz.

Oni wpadli na pomysł, że każde z nich ubezpieczy się na sto, nawet dwieście tysięcy dolarów, wskazując pozostałą dwójkę jako uprawnionych do odszkodowania.

"Tak na wszelki wypadek.

Człowiek nigdy nie jest dość przygotowany, kiedy dziecko ma przyjść na świat.

Oczywiście Bliźniętom nic się nigdy nie stanie!

" Norma Jeane nie wiedziała, jak na to zareagować.

Ubezpieczyć się?

Ta perspektywa ją przerażała, bo przypominała jej dobitnie, że pewnego dnia będzie musiała umrzeć.

Ale Marilyn nie umrze.

Była na taśmie filmowej i fotosach.

Wszędzie.

Naraz Gladys otworzyła szeroko oczy, usiłując zobaczyć wszystko wyraźnie.

Norma Jeane miała nieprzyjemne odczucie, że nie jest to reakcja na jej słowa.

Gladys powiedziała ożywiona:

- Który mamy rok?

Ile czasu zajęła nam podróż?

Norma Jeane powiedziała uspokajająco:

- Mamo, mamy maj tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku.

To ja, Norma Jeane, opiekuję się tobą.

Gladys zerknęła na nią podejrzliwie.

- Ale masz bardzo białe włosy.

Zamknęła oczy.

Ściskając jej wiotkie palce, Norma Jeane myślała, jak przekazać jej dobrą wiadomość i nie zburzyć jej spokoju.

Dziecko.

Ma już prawie sześć tygodni.

Nie jesteście szczęśliwi?

Nie wiadomo dlaczego odnosiła wrażenie, że Gladys już o tym wie - dlatego była nieuchwytna, zdecydowana uciec w sen.

Norma Jeane powiedziała z wahaniem:

- Kiedy m...mnie urodziłaś, Mamo, nie byłaś chyba mężatką?

Nie miałaś mężczyzny, który by cię wspierał.

A jednak wydałaś na świat dziecko.

To był odważny krok, Mamo!

Inna dziewczyna...

No wiesz, co by zrobiła.

Po zbyłaby się go.

Pozbyłaby się mnie.

- Norma Jeane roześmiała się głośno i piskliwie.

- Nie byłoby mnie tu, w ogóle by mnie nie było.

Nie byłoby żadnej Marilyn.

A ona robi się teraz coraz bardziej sławna.

Dostaje listy od wielbicieli!

telegramy!

kwiaty od nieznajomych!

To takie, takie...

dziwne.

Gladys nie otwierała oczu.

Jej twarz wygładziła się jak rozgrzany wosk.

Ślina błyszczała w kąciu ust.

Norma Jeane mówiła, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi.

Częścią świadomości zdawała się rozumieć, jak nieroz sądne, jak nedorzeczne są jej plany posiadania dziecka.

Dziecka, bez męża?

Gdyby tak wyszła za pana Shinna.

Gdyby tak V kochał ją odrobinę bardziej, wtedy może by ją poślubił.

To będzie koniec jej kariery.

Absolutny koniec kariery.

Nawet jeśli pospiesznie wyjdzie za jednego z Bliźnięt, zniszczy ją skandal.

Marilyn Monroe, nowa sława, balon nadmuchany przez media, zostanie z radością przez te media zniszczona.

Byłaś bardzo odważna.

Postąpiłaś słusznie.

Urodziłaś dziecko.

Urodziłaś...

mnie.

Ale Gladys nie otworzyła oczu.

Jej bezkrwiste wargi pozostały wiotkie.

Zapadła w sen jak w ciemne, tajemnicze wody, w które Norma Jeane nie mogła za nią podążyć.

Mimo że słyszała plusk fal przy łóżku.

Ze szpitala w Lakewood Norma Jeane zadzwoniła pod pewien hollywoodzki numer.

Po drugiej stronie linii aparat dzwonił i dzwonił.

Pomóżcie mi, proszę!

Bardzo potrzebuję pomocy.

Norma Jeane chętnie opuściłaby prywatny szpital jak najszybciej, bo płakała, wokół oczu miała podrażnioną i zaczerwienioną skórę.

Była Nell, była zdezorientowana i spanikowana, ale przy innych ludziach musiała zachowywać się tak, jakby wszystko było w porządku.

Jednakże dyrektor szpitala koniecznie chciał z nią porozmawiać na osobności.

Był mężczyzną w średnim wieku, o okrągłej jak ostryga twarzy w powiększających okularach, oprawionych w masywny czarny plastik.

Usłyszawszy jego podniecony głos, Norma Jeane pojęła, że widzi nie ją, córkę psychicznie chorej pacjentki Gladys Mortensen, tylko aktorkę.

Może "blondwłosą, pełną seksu aktorkę".

Czy ośmieli się poprosić o autograf?

W takiej chwili?

Norma Jeane obrzuci go wyzwiskami, jeśli to zrobi.

Rozpłacze się.

Nie zniesie tego.

Doktor Bender chciał porozmawiać o Gladys Mortensen.

W zasadzie nie było powodów do niepokoju.

Stan chorej od pierwszego dnia pobytu w Lakewood stale się polepszał.

Czasami jednak, tak jak w wypadku innych pacjentów, okresy remisji przeplatały się u niej z nawrotami choroby, wtedy Gladys zachowywała się w sposób niemożliwy do przewidzenia i niebezpieczny.

Schizofrenia paranoidalna, jak wyjaśnił doktor Bender głosem uprzejmym, jakby pochodzącym z jakiegoś urządzenia odtwarzającego nagranie, jest chorobą bardzo tajemniczą.

- Zawsze przypomina mi stwardnienie rozsiane.

Istoty tajemniczych chorób nikt nie rozumie.

To tylko zespół symptomów.

Niektórzy teoretycy wierzą, że przyczyną schizofrenii paranoidalnej są interakcje pacjenta z otoczeniem i innymi ludźmi; inni, freudyści, próbują tłumaczyć tę chorobę przeżyciami z czasów dzieciństwa; jeszcze inni natomiast utrzymują, że ma ona czysto fizjologiczne, biochemiczne pochodzenie.

Norma Jeane kiwała głową, aby pokazać, że słucha.

Uśmiechała się.

Nawet w takim momencie, kiedy była wyczerpana i przybita, z dzieckiem w obolałej macicy, kiedy zaczynała myśleć o licznych spotkaniach, na które umówiła się tego dnia w Wytwórni, a o których całkiem zapomniiała;

w dodatku nie zadzwoniła, aby je poprzekładać lub usprawiedliwić swą nieobecność - nawet w takiej właśnie chwili pamiętała o konieczności uśmiechania się.

Od kobiety oczekiwano uśmiechu, zwłaszcza zaś od niej.

Powiedziała ze smutkiem:

- Nie pytam już, czy moja matka będzie w stanie opuścić szpital.

Domyślam się, że nie nastąpi to już nigdy.

Wystarczy, że będzie b...bezpieczna i szczęśliwa, chyba na nic więcej nie możemy liczyć?

Doktor Bender odparł ponuro:

- W Lakewood nigdy nie tracimy nadziei.

Nigdy!

Ale owszem...

Jesteśmy też realistami.

- Czy to dziedziczne?

- Proszę?

- Choroba mojej matki?

Człowiek się z tym rodzi, ma to we krwi?

- We krwi?

- Doktor Bender powtórzył te słowa, jakby ich nigdy wcześniej nie słyszał.

Odparł wymijająco: W pewnych rodzinach dostrzeżono jakby pewną tendencję, zgadza się, ale w innych niczego nie stwierdzono.

Norma Jeane rzekła z nadzieją:

-Mój ojciec jest bardzo normalnym człowiekiem.

Pod każdym względem.

Znam go jedynie z fotografii.

Wiele o nim słyszałam.

Umarł w -...Hiszpanii w trzydziestym szóstym roku.

Chyba został zabity.

Na wojnie.

Kiedy Norma Jeane wstała, by odejść, doktor Bender poprosił ją o autograf.

Pospiesznie wyjaśnił, że nie należy do osób, które zabiegają o autografy, miał jednak nadzieję, że Norma Jeane nie pomyśli sobie o nim nic złego.

- To dla mojej trzynastoletniej Sashy.

Też chce być gwiazdą filmową, to znaczy myśli o tym!

Norma Jeane poczuła, że jej usta rozchylają się w serdecznym uśmiechu, jakby automatycznie.

Chociaż czuła, że zbliża się migrena.

Od zajścia w ciążę, bez okresów, nie dokuczały jej trudne do zniesienia bóle głowy, tak samo jak paraliżujące skurcze, teraz jednak najwyraźniej atakowała ją migrena.

W panice zastanawiała się, jak dowiezie do domu siebie i dziecko.

Mimo wszystko z wdziękiem odtworzyła na okładce magazynu "Photoplay" zamaszysty, wymyślony przez Wytwórnę podpis Marilyn Monroe (Jej własny, "Norma Jeane Baker", składał się z małych, pochyłych liter.) "Photoplay" przedstawiał Marilyn jako Rosę, zmysłową, seksowną, z głową przechyloną do tyłu, zmrużonymi, rozmarzonymi oczami, prowokacyjnie ułożonymi ustami.

Jej pełne piersi niemal gotowe były wyskoczyć z jaskrawoniebieskiej sukienki na ramiączkach, której - Norma Jeane mogłaby przysiąc - nigdy na sobie nie miała.

Tak naprawdę zapomniała o tej okładce.

Zapomniała o tamtej sesji zdjęciowej.

Może to się nigdy nie wydarzyło?

A jednak miała przed sobą dowód.

Mojemu Dziecku

Z tobą świat się nowy rodzi.

Przed tobą - nie było nic.

MAGOWIE

Między innymi Hedda Hopper, P.

Pukham ("Hollywood po zmroku"), G.

Belcher, Max-the-Man Mercer, Dorothy Kilgallen, H.

Salop, Skid "Dziurka od klucza" Skolsky (który polował na hollywoodzkie plotki ze swojej grzędy w antresoli u Schwaba), Gloria Grahame, V.

Venell, "Buck" Holster, Wesoły Jack, Lex Aise, Cramme, Pease, Coker, Crudloe, Gagge, Gargoie, Scudd, Chytry Goldblatt, Pett, Trott, Leviticus, BRZĘCZYK, M.

Mudd, Wali Reese, Walter Winchell, Louella Parsons i HOLLYWOODZKIE RUCHOME OKO.

Ich sensacyjne doniesienia pojawiały się w "L.A.

Times", "L.A.

Beacon", "L.A.

Confidential", "Variety", "Hollywood Reporter", "Hollywood Tatler", "Hollywood Confidential", "Hollywood Diary", "Photoplay", "PhotoLife", "Screen World", "Screen Romance", "Screen Secrets", "Modern Screen", "Screenland", "Screen Album", "Movie Stories", "Movieland", "New York Post", "Filmland Tell-All", "Scoop!

" i innych publikacjach.

Rozpowszechniali informacje przez agencje United Press i American Press.

Ich rola polegała na dystrybucji słowa.

Na poruszaniu prześcieradłami i podsycaniu ognia.

Mknęli przed siebie, rzucając w krzewy strzepy materiału nasączonego benzyną, aby przyspieszyć postęp płomieni.

Ogłaszali, zapowiadali, uderzali w werble.

Ze wzniesień dęli w fanfary, trąby i tuby.

Bili w dzwony, wołali na alarm.

Razem i osobno, chóralnie i pojedynczo proklamowali, oklaskiwali, informowali i zapowiadali.

Robili wiele hałasu.

Ujawniali i podkreślali.

Chwalili, ganili, obwieszczali, rozpowszechniali.

Byli wulkanami słów.

Wywoływali wielkie fale i powodzie słów.

Nadawali ton, wybiegali w przyszłość, reklamowali i tępili.

Wydobywali z cienia.

Stawiali w centrum zainteresowania.

Polecali, rekomendowali, próbowali cyrkowych sztuczek, poddawali pod publiczną dyskusję, zapamiętywali się w mówieniu.

Przewidywali i nie zgadzali się.

Wieszczili "chwilowy" wzlot, wieszczili "tragiczny" upadek.

Byli astronomami wyznaczającymi trajektorie gwiazd.

Bezustannie przeszukiwali nocne niebo.

Trwali na stanowiskach podczas narodzin gwiazdy i byli przy jej śmierci.

Zachwycali się ciałem i krzywili nad kośćmi.

Łakomie lizali piękną skórę i wysysali szpik.

W latach pięćdziesiątych ogłaszali wielkimi literami MARILYN MONROE MARILYN MONROE MARILYN MONROE.

Złoty medal najlepszej nowej gwiazdy czasopisma "Photoplay" .

w 1953 roku.

Dziewczyna listopada w "Playboyu" z 1953 roku.

Najpiękniejsza blondynka "Screen World", 1953 rok.

Zdjęcia w luksusowych magazynach: "Life", "Colliers", "Saturday", "Evening Post", "Esquire".

Plakat z siedzącą na wózku inwalidzkim ułomną dziewczynką, która wpatruje się w wyprostowaną, blondwłosą piękność: PAMIĘTAJ, WESPRZYJ SZCZODRZE CHORYCH.

MARILYN MONROE.

Śmiejąc się niespokojnie, powiedziała do Cassa:

- Och, ona jest naprawdę ładna.

To zdjęcie.

Ta sukienka.

Jejku!

Ale to nie jestem ja, prawda?

Co będzie, kiedy ludzie d...dowiedzą się prawdy?

Dziwna, połyskująca nieprzejrzystość niebieskich, lalkowatych oczu, z których potrafił cokolwiek odczytać jedynie w przeszłości, ale i wówczas bez absolutnej pewności.

Nie słuchał zbyt uważnie.

Normy rzadko się słuchało.

Dziewczyna mówiła do siebie, myśli kłębiły się w jej głowie i wychodziły na zewnątrz.

I to jej ściskanie własnych dłoni, wyginanie palców, bezwiedne dotykanie ust, jakby chciała sprawdzić...

No właśnie, co?

Że ma usta?

Że jej usta są młode, mięsiste, twarde?

Cass miał mnóstwo własnych smutnych myśli.

Odparł w roztargnieniu, głaszcząc dłoń Normy, którą ona jak zwykle odwróciła, aby chwycić go za rękę i ścisnąć zdumiewająco silnymi palcami:

- Do licha, malarzka: my dowiedzieliśmy się prawdy, a i tak cię kochamy.

Prawda?

Doszedł do wniosku, że ma to coś wspólnego z jej ciążą, i przestraszył się.

"NIGDY NIE MA DOŚĆ POLSKIEJ KIEŁBASY

Kochanki i kochankowie!

Z opasłego tomu akt FBI podpisanego MARILYN MONROE ALIAS NORMA JEANE BAKER.

Z, D, S oraz kilka innych osób z Wytwórni.

Komuch fotograf Otto Ose, komuch scenarzysta Dalton Trumbo, komuch aktor Robert Mitchum.

Howard Hughes, George Raft, I.

E. Shinn, Ben Hecht, John Huston, Louis Calhern, Pat O'Brien, Mickey Rooney, Richard Widmark, Ricardo Montalban, George Sanders, Eddie Fischer, Robert Fischer, Paul Robeson, Chanie Chaplin (senior), Charlie Chaplin (junior), Stewart Granger, Joseph Mankiewicz, Roy Baker, Howard Hawks, Joseph Cotten, Elisha Cook jr, Sterling Hayden, Humphrey Bogart, Hoagy Carmichael, Robert Taylor, Tyrone Power, Fred Allen, Hopalong Cassidy, Tom Mix, Otto Preminger, Cary Grant,.

Clark Gable, Skid Skolsky, Samuel Goldwyn, Edward G.

Robinson (senior), Edward G.

Robinson (junior), Van Heflin, Van Johnson, Tonto, Johnny "Tarzan" Weissmuller, Gene Autry, Bela Lugosi, Boris Karloff, Lon Chaney, Fred Astaire, Leviticus, Roy Rogers i Trigger, Groucho Marx, Harpo Marx, Chico Marx, Bud Abbott i Lou Costello, John Wayne, Charles Coburn, Rory Calhoun, Clifton Webb, Ronald Reagan, James Mason, Monty Woolley, W.

C. Fields, Red Skelton, Jimmy Durante, Errol Flynn, Keenan Wynn, Walter Pidgeon, Fredric March, Mae West, Gloria Swanson, Joan Crawford, Shelley Winters, Ava Gardner, BRZĘCZYK, Lassie, Jimmy Stewart, Dana Andrews, Frank Sinatra, Peter Lawford, Cecil B.

De Mille i wielu, wielu innych.

A to tylko do roku 1953, kiedy miała dwadzieścia siedem lat!

Największe skandale były jeszcze przed nią.

EKSSPORTOWIEC:

CELOWANIE

Chcę się z nią umówić.

Eks-Sportowiec zbliżał się do czterdziestki.

Uptęły już lata, odkąd ostatni raz machnął kijem baseballowym w głównej lidze, dobiegł do bazy i uśmiechnął się wstydliwie, kiedy siedemdziesiąt pięć tysięcy widzów eksplodowało nie kontrolowanym entuzjazmem.

W swoim czasie pobił baseballowe rekordy aż z 1922 roku.

Chętnie porównywano go do Babea Rutha.

Stał się amerykańską legendą.

Symbolem Ameryki.

Kiedyś już był żonaty, spłodził dzieci i rozwiódł się z powodztwa żony, która oskarżyła go o "okrucieństwo".

No cóż, miał charakter!

Nie można winić normalnego, pełnego wigoru mężczyzny, że ma charakter.

Prócz tego był "Włochem i zazdrośnikiem".

Był "Włochem i nigdy nie zapominał urazy, nigdy nie wybacał wrogowi".

Miał nos Włocha, śniadą cerę i dobrotliwe rysy.

Publicznie zachowywał się nienagannie.

Publicznie był spokojny, pogodnego usposobienia.

Uchodził za nieśmiałego.

Uchodził za rycerskiego.

Na nieformalne okazje ubierał się w sportowe koszule, na spotkania oficjalne przywdziewał szyte na miarę garnitury.

Urodził się w San Francisco w rodzinie rybaków.

Katolik.

Typ silnego mężczyzny.

Wielbiciel życia rodzinnego.

Tylko gdzie była ta jego rodzina?

Spotykał się z "modelkami".

Umawiał się z "gwiazdkami".

Jego nazwisko drukowano czasem wielkimi literami w kronikach towarzyskich.

Kiedy żegnał się z baseball, zarabiał sto tysięcy dolarów rocznie.

Przesyłał pieniądze rodzicom, kupował nieruchomości, inwestował.

Podobno "współpracował" z pewnymi włoskimi biznesmenami z San Francisco, Los Angeles i Las Vegas.

Nic dziwnego, że faworyzował włoskie restauracje:

cielęcina, krewetki, makaron, czasem risotto.

Risotto musiało być starannie przygotowane.

Zazwyczaj dawał duże napiwki.

Jeśli obsłużono go źle, śmiertelnie bladł na twarzy.

Nie chciałbyś obrazić tego mężczyzny, ani umyślnie, ani w żaden inny sposób.

Jeśli znalazł się na pokładzie, do niego należało dowodzenie okrętem.

W tajemnicy kobiety nazywały go "jankeską wyrzutnią".

Pił.

Palił.

Rozmyślał.

Był uzależniony od sportu.

Miał bardzo wielu przyjaciół, w tym licznych eks-sportowców, też uzależnionych od sportu.

Mimo to czuł się samotny.

Tęsknił za "normalnym życiem".

W telewizji oglądał baseball, futbol amerykański, boks.

Kiedy zasiadał na stadionie, pragnąc obejrzeć bezpośrednio rozgrywki baseballu, wszyscy zwracali na niego uwagę, zawsze spotykał się z aplauzem.

Tłum uwielbiał sposób, w jaki się podnosił i prostował - nieśmiały uśmiech, machnięcie ręką - a potem szybko siadał, czerwony na twarzy.

Spotykał się z przyjaciółmi w restauracjach i klubach nocnych.

Często zachowywali się hałaśliwie, narzekali na jedzenie i obsługę, wychodzili na samym końcu.

Ale dawali duże napiwki.

W miejscach publicznych Eks-Sportowiec chętnie rozdawał autografy, ale nie cierpiał być potrącany czy bronić się przed naporem tłumu.

Lubił mieć atrakcyjną kobietę przy swoim boku.

Uśmiechniętą, rozpromienioną.

Często stykał się z fotografami.

Lubił, kiedy kobieta tuliła się do jego ramienia, ale nie do niego.

Nie przepadał za kobietami, które "próbowały być mężczyznami".

Oburzał się i reagował odrazą na myśl o "nienormalnych" kobietach, które nie chcą mieć dzieci.

Potępiął aborcję.

Godził się na regulację urodzin, choć Kościół nie godził się na żadną z metod antykoncepcyjnych poza obserwacją cyklu.

Potępiął komunistów i ich sympatyków, "czerwonych" i "różowych".

Nie przeczytał ani jednej książki, może nawet nie otworzył ani jednej książki, od czasów nauki w szkole średniej w San Francisco.

Miał tam zresztą bardzo przeciętne wyniki.

Nim skończył dziewiętnaście lat, został zawodowym baseballistą.

Przepadał za filmami, zwłaszcza za komediami i filmami wojennymi.

Był potężnym mężczyzną, niespokojnym, zwłaszcza gdy musiał siedzieć zbyt długo w jednym miejscu.

Chodził do kościoła sporadycznie, ale zawsze wypełniał obowiązek wielkanocnej pokuty.

Kiedy na klęczkach czekał na komunię świętą, zamykał oczy, bo tak go nauczono w dzieciństwie.

Nie żuł hostii, czekał, aż rozpuści się na języku, tak jak to robił jako chłopiec.

Raczej przystąpiłby do komunii, nie wyznawszy wcześniej grzechów, niż podniósł się w trakcie mszy i obrzucił księdza wyzwiskami.

Wierzył w Boga, ale wierzył też w wolną wolę.

Przypadkiem ujrzał Marilyn Monroe na zdjęciu w "L.A.

Times".

Hollywoodzka aktorka, blondynka, wyglądała ładnie między dwoma graczami baseballu.

Początek nowego sezonu.

Do boju,!

Eks-Sportowiec patrzył przez dłuższy czas na tę fotografię.

Piłeczka do baseballu, kij, olśniewająco śliczna, promiennie uśmiechnięta dziewczyna o najśodszej z możliwych twarzy, sylwetka ukształtowana na wzór Wenus z Milo, i te włosy jak cukrowa wata.

Oto ujrzał anioła, anioła z piersiami i biodrami.

Eks-Sportowiec natychmiast skontaktował się z przyjacielem w Hollywood, właścicielem znanej w Beverly Hills restauracji.

- Ta blondynka, Marilyn Monroe.

Przyjaciel odparł:

- Słucham.

O co chodzi?

- Chcę się z nią umówić.

- Poważnie?

- roześmiał się ów przyjaciel.

- Ta damulka jest zwyczajną dziwką.

Zawsze była dziwką, jednorazówką.

Farbowana blondynka.

Wywłoka.

Nie nosi bielizny.

Zadaje się z Żydami i mieszka z dwoma pedalskimi ćpunami.

Obciągnęła gnata wszystkim w mieście i daleko poza jego granicami.

Weekendy spędza w Vegas, robiąc facetom dobrze.

Nigdy nie wychodzi z pokoju.

Nigdy nie ma dość polskiej kiełbasy.

Cisza.

Hollywoodzki przyjaciel myślał, że Eks-Sportowiec cichutko odłożył słuchawkę, bo czasami tak robił.

Ale nie.

Zamiast tego Eks-Sportowiec powiedział:

- Chcę się z nią umówić.

Musisz mi to załatwić.

CYPRYSY

W tygodniu, w którym przypadają urodziny Normy Jeane, dziecko miało już sześć tygodni.

Dwadzieścia siedem!

Niemal za stara na matkę pierwszego dziecka, jak mówiono.

To był czas niespodziewanych odkryć.

- Heeej, wiecie co?

Właśnie przyszła mi do głowy następująca myśl.

Bliźnięta, piękna trójca, wyruszyły, aby obejrzeć posiadłość do wynajęcia.

Cyprysy w Hollywood Hills, na szczycie Laurel Canyon Drive.

Szósty czy siódmy dom w wiejskim stylu, który im pokazano od początku "epickich poszukiwań".

(To słowa Cassa, który był ich mistrzem słów.) Szukali idealnego środowiska na okres ciąży Normy Jeane i na pierwsze miesiące życia dziecka.

-Jesteśmy wytworami naszego czasu i miejsca - ciągnął Cass.

- Nie jesteśmy czystymi duchami.

Powstaaliśmy z prochu i cennych metali po chodzących z odległych gwiazd.

Musimy się wznieść ponad zasnute smogiem Miasto Aniołów tak jak ponad historię...?

Hej, słuchacie mnie czy nie?

- (Tak, tak!

- Norma Jeane, dziewczyna o oczach błyszczących miłością, słuchała zawsze; Eddy G, ten wzruszy ramionami i przytaknie: pewnie.) - Poprzez narodziny każdej istoty świat odradza się na nowo.

Nie inaczej będzie z tymi narodzinami!

Przyszłość cywilizacji może zależeć od jednych jedynych narodzin.

Mesjasza.

Możecie rzec, że rachunek prawdopodobieństwa przemawia przeciwko Mesjaszowi, ale co z tego?

Kości zostały rzucone.

Kiedy Cass Chaplin wypowiadał się w sposób tak niebywale elokwentny, z takim niebywałym zacięciem, kimże była Norma Jeane, kimże był Eddy G, by w to wszystko wątpić?

Norma Jeane była Żebraczką kochaną przez dwóch gorliwych księży.

Jeden dawał jej książki do przeczytania, książki, które "dla niego wiele znaczyły", drugi dawał jej kwiaty, pojedyncze kwiaty, sądząc z wyglądu, zerwane pod wpływem nagłego impulsu i w pośpiechu, z krótką łodygą, z przekwitłymi płatkami, o liściach skropionych czarnymi plamkami.

- Śliczna Normo, Kochamy cię.

Ależ szczęśliwa.

I nigdy nie było w moim ciele tak dużo zdrowia, więc zrozumiałam, że wielbienie Boga jest wyrazem ducha Boskiego Zdrowia (albo Oздrowienia).

Nie istnieje Diabeł.

Diabeł jest chorobą umysłu.

Tamtego dnia Eddy G zawiózł ich do Hollywood Hills ponad pogrążone w smogu niegodziwe miasto.

Niebo nad ich głowami miało barwę czystego, przygaszonego błękitu.

Wiał ciepły, suchy wiatr.

Gniecione kamyki grzechotały pod kołami zielonego cadillaca prowadzonego wprawą jak zawsze ręką Eddyego, który jak zwykle sprawiał wrażenie, że dopiero przed chwilą zdołał ochłonać po jakimś wybryku, i którego najczęściej obsadzano w filmach w rolach młodych, przystojnych, pewnych siebie facetów, zmierzających ku śmierci, zwykle gwałtownej.

Norma Jeane usiadła obok Eddyego G, obok Normy Jeane usadowił się Cass Chaplin.

(Biedny Cass!

"Nie jestem dzisiaj sobą, ale kim, do diabła, jestem, pojęcia nie mam".) Norma Jeane, w rozkwicie swego młodzieńczego piękna, uśmiechała się, siedząc między kochankami Bliźniętami i trzymając prawą dłoń obronnym gestem na brzuchu.

Ciepłą, wilgotną dłoń na powiększającym się brzuchu.

Szósty tydzień dziecka.

Czy to możliwe?

Bliźnięta, piękna trójca, tego jasnego, słonecznego ranka w południowej Kalifornii jechały Laurel Canyon Drive na spotkanie z agentką obrotu nieruchomości, która potraktowała ich "epickie poszukiwania" niczym swoje własne i postanowiła możliwie najszybciej doprowadzić do zawarcia umowy.

Między sobą nazywali tę kobietę Thedą Barą, ponieważ malowała się w kretyńskim, pseudoseksownym stylu minionej ery; szkoda było kobiety (to zdanie Normy Jeane), ale chciało się też wybuchnąć śmiechem prosto w jej twarz (Cass i Eddy G).

I nagle, tak spontanicznie, że można by przy puszczać, że właśnie w tej chwili o tym pomyślał, Eddy G uderzył pięścią w kierownicę.

- Heeej, wiecie co?

Właśnie przyszła mi do głowy następująca myśl.

Norma Jeane zapytała, jaka myśl przyszła mu właśnie do głowy, Cass zaś mruknął coś niezrozumiałe (och, Cassa tak roznosiła wściekłość, że Norma Jeane niemal sama ją czuła; niedawno poczuła się z jego powodu odrobinę winna, bo stwierdził, że ze współczucia do niej też ma "poranne mdłości", a przecież ona tak naprawdę żadnych porannych mdłości nie miewała).

Eddy G ciągnął podekscytowany:

Jakby mnie olśniło, wiecie?

Musimy coś zrobić, cała nasza trójka, zanim Norma Jeane urodzi dziecko.

Każde z nas przygotowuje testament i polisę ubezpieczeniową.

Jeśli coś się komuś przydarzy, odszkodowanie odbierze pozostała dwójka oraz dziecko.

- Eddy zamilkł na chwilę.

Kipiał chłopięcym entuzjazmem, żywiołową, nieobecną w scenariuszu energią.

- Znam pewnego prawnika.

To znaczy kogoś, komu można zaufać.

Kapujecie?

No, co wy na to?

Hej, słuchacie?

W ten sposób dziecko będzie bezpieczne.

Cisza.

Norma Jeane pozostała zatopiona w myślach.

W snach z po przedniej nocy.

W halucynacyjnych, dziwnie wyrazistych marzeniach!

Flotyli marzeń, typowych dla ciąży marzeń, które opisała Cassowi, i dodała, że nigdy wcześniej takich snów nie miała, och, nigdy!

Bezsenność ją opuściła, jak gdyby nigdy jej nie dokuczała.

Wcale nie kusiło jej, by zażyć tabletki z domowych zapasów.

Rzadko miała ochotę na drinka.

Zasypiała od razu, ledwie jej głowa zetknęła się z poduszką, chociaż piękni chłopcy pieścili ją, ssali, gryźli i szturchali, śmiejąc się i walcząc ze sobą jak dzieciaki po obu stronach albo na wierzchu jej uśpionego kobiecego ciała.

Nazwali ją Śpiącą Królowną.

Przysięgali, że jej piersi wypełniły się śmietaną.

Pycha!

Mimo to rzeka nocy unosiła ją niewinnie na swojej powierzchni, rzeka ją żywiła.

Nigdy nie byłam zdrowsza, Mamo/Dlaczego nie powiedziałaś mi, że po siadanie dziecka będzie właśnie takie!

Cass odchrząknął.

Był trochę rozdrażniony, jak aktor, któremu nie bardzo odpowiada jakaś scena.

- Hej, niezła myśl, Eddy.

Aha!

Czasami martwię się o dzieciaka.

O ten Uskok Świętego Andrzeja.

- Odwrócił się do Normy Jeane i zapytał łagodnie: Jak to ci się podoba, Mała Mamusiu?

Wciąż cisza.

Norma Jeane zdawała się nie reagować na ten dialog tak, jakby sobie tego życzyły męskie Bliźnięta.

Później będzie to wspominała jako coś dziwnego: jak podczas ujęcia filmowego, widzisz, czego oczekuje od ciebie twój partner; masz się zachować w określony sposób, masz stworzyć przejście do kolejnego fragmentu dialogu, ale ty niespodziewanie się wstrzymujesz, jakiś instynkt w twojej aktorskiej duszy nakazuje ci się wstrzymać, opierać, nie podążać zgodnie z logiką.

- Normo?

Co o tym myślisz?

Eddy G otworzył przepustnicę w silniku samochodu.

Mknęli wąską drogą po dnie kanionu.

Jest wściekły, pomyślała Norma Jeane.

Eddy G gmerał przy radiu wbudowanym w tablicę rozdzielczą - niebezpieczny zwyczaj, gdy się prowadzi.

Z głośnika zabrzmiały nieprzyjemnie głośne dźwięki The Songfrom Moulin Rouge.

Droga była wąska i kręta.

Norma Jeane postanowiła nie przypominać sobie sceny z policyjną blokadą i Gladys w nocnej koszuli.

Byłam wówczas dziewczynką.

Spójrzcie na mnie teraz!

Cass przyciskał dłoń do dłoni Normy Jeane, którą ona trzymała na brzuchu nad Maleństwem.

Cass chętniej niż Eddy G okazywał serdeczność; Cass mógł uchodzić za mistrza romantycznego nastroju, nie w komicznym stylu Chaplina seniora, ale w poważnym stylu Rudolfa Yalentino, czemu niemogła się oprzeć żadna kobieta.

Od początku ciąży Eddy G częściej drażnił Normę Jeane, nerwowo z niej żartował i unikał jej dotykania.

-Najważniejsze jest to, kochanie, że dziecku należy zapewnić ochronę.

Przed złościwością losu.

Bo co będzie w razie kolejnego krachu?

A to się może zdarzyć!

Przecież pierwszego nikt się nie spodziewał.

Co będzie, jeśli kino pójdzie w odstawkę?

To też może się zdarzyć!

Wkrótce wszyscy w całych Stanach będą mieli telewizję.

"Każdy, kto żywi jakieś złudzenie, nie jest świadom, że to złudzenie", powiada Freud.

W Kalifornii samo powietrze, którym oddychamy, jest iluzją.

Więc myślę sobie, że jeśli chodzi o finanse, dobrze byłoby zapewnić Dziecku przyszłość.

Norma Jeane poruszyła się niespokojnie.

Teraz ona powinna przemówić.

To były ćwiczenia aktorskie; wcześniej przygotowana scena, w której ona musi improwizować.

To jedno z tych ćwiczeń, kiedy wyprasza cię z sali, potem wprowadzają z powrotem, aby odegrać scenę z udziałem dwóch, trzech aktorów, którzy znają scenariusz na pamięć.

Cass ocierał się policzkiem o twarz Normy Jeane.

Miał nieświeży, poranny oddech zmieszany ze słodkawą stęchlizną gnijącej wistarii.

- Nic nam się nie stanie, Mała Mamusiu.

Sami jesteśmy naszymi szczęśliwymi gwiazdami.

Nareszcie przypomniała sobie!

Ów sen, w którym bardzo się starała karmić dziecko, ale ono nie ssało.

Czy noworodek ssie automatycznie?

Odruchowo?

Musi to być instynkt, natura, jak u ptaka budującego gniazdo, pszczół zabudowujących ul.

Dziwne w tym śnie było to, że dziecko nie miało twarzy (jeszcze!

), jedynie coś w rodzaju lekko migoczącej aureoli.

Powiedziała:

- Ojej, pomyślcie tylko?

Może tak zwany Bóg jest tak naprawdę tylko instynktem?

Skąd wiecie, jak się zachować w nowej sytuacji, nie wiedząc, dlaczego to wiecie?

Jak zwierzęta wrzucone do wody, które wiedzą, jak pływać?

Nawet zupełnie małe?

Męskie Bliźnięta patrzyły przed siebie na drogę na dnie kanionu.

Theda Bara już na nich czekała.

Przy otwartej bramie do Cyprysów.

Zmuszała się do uśmiechu, wykrzywiła pomalowane ciemną szminką, użądłone przez pszczołę usta i machała radośnie ręką niczym przebojowa dziewczyna z lat dwudziestych.

Jej seksualna atrakcyjność należała do minionej ery; mogła być w każdym wieku między trzydziestym piątym a czterdziestym piątym rokiem życia, jeśli nie była starsza.

Ta ziemista skóra, na pięta i błyszcząca w okolicach oczu.

Normie Jeane zrobiło się jej szkoda.

Zarazem jednak czuła jakąś złość.

Dorośnij.

Daj spokój!

Eddy G zawołał, na pozór szczerze:

-Hej, przepraszamy!

Spóźniliśmy się?

Jaki potężny i przystojny chłopiec; choć był nie ogolony, ubrany w pogniecione spodnie koloru khaki i cuchnął czymś, co reklamy dezodorantów nazywały zapachem ciała, niemal wszystko można mu było wybaczyć.

I Cass Chaplin z nadąsaną twarzą lalki i rozwichrzonymi włosami Małego Trampa, w które kobiety pragnęły zanurzyć palce.

Wstydliva, spokojna, zamyślona blondynka, którą agentka natychmiast rozpoznała jako Marilyn Monroe, najnowsze objawienie Hollywood, ale której prywatność z pewnością zamierzała respektować.

Słynna trójca!

Oczywiście, spóźnili się po nad godzinę, Bliźnięta zawsze się spóźniały.

Zresztą cudem było, jeżeli to trio w ogóle pojawiało się gdzieś o jakiegokolwiek porze.

Theda Bara, o twarzy z mocnym, przesadnym makijażem, ubrana w błyszczący rdzawy kostium i buty na wysokich obcasach z krokodylej skóry, wymieniła z klientami energiczne uściski dłoni.

Jakże się pospieszyła, aby uspokoić tych czarujących młodych ludzi z Hoollywood.

Przyjechaliście państwo w samą porę!

Nie myślcie już o tym.

Pięknie tu, w Hills.

Cyprysy teraz są moją ulubioną posesją, chociażby z uwagi na sam widok.

W pogodny dzień wprost zapiera dech w piersiach.

Pod warunkiem, że nad Santa Monica i oceanem nie unosi się mgła czy co to tam jest.

- Zrobiła pauzę na jeszcze bardziej wymuszony uśmiech.

- Mam nadzieję, że jako młodzi ludzie nie wydacie sądu o Cyprysach nazbyt pospiesznie?

To bardzo szczególny dom.

Cass gwizdnął.

Widzę to, proszę pani.

Widzę to i jestem oszołomiony dodał Eddy G.

Oczywiście żartował, bo o tej porze dnia nie bywał jeszcze oszołomiony.

Młoda blondynka, która wcześniej przedstawiła się agentce jako Norma Jeane Baker, patrzyła teraz przez ciemne okulary na dom z zachwytem i powagą jak mała dziewczynka.

Mogło się wydawać, że nie ma makijażu, ale jej skóra błyszczała.

Platynowoblond włosy prawie zupełnie ginęły pod purpurowym turbanem w stylu tych, które nosiła Betty Gracie w latach czterdziestych.

Piersi schowane pod luźną tuniką z białego jedwabiu.

Miała białe jedwabne spodnie, wymięte w kroku, i słomkowe sandały na nagich stopach.

Jej zachrypnięty głos wyrażał niedowierzanie.

Och, piękny dom.

Jak z bajki, tylko z której?

Theda Bara uśmiechnęła się niepewnie.

Uznała, że to pytanie nie wymaga odpowiedzi.

Zaproponowała przechadzkę po okolicy.

Dzięki temu uzyskamy lepszą orientację.

- Energicznie poprowadziła ich wybrukowaną alejką, przez wyłożone kamiennymi płytami tarasy, obok basenu o kształcie nerki - na drżącej powierzchni wody unosiły się wyschnięte palmowe liście, martwe owady i kilka mniejszych ptaków.

- Basen jest czyszczony w każdy poniedziałek rano - powiedziała na usprawiedliwienie.

-Jestem pewna, że w tym tygodniu był czyszczony.

Norma Jeane odniosła wrażenie, że nad dnem dostrzega poruszające się cienie widmowych pływaków; nie chciała się wpatrywać zbyt uważnie.

Eddy G wgramolił się na trampolinę i ugiął kolana, jakby zamierzał skoczyć.

Cass zwrócił się do kobiety, cedząc słowa:

- Niech go pani nie zachęca, bardzo proszę.

Niech pani nawet nie patrzy w jego stronę.

Nie zamierzam się utopić, kiedy go będę ratował.

- Pieprz się, Żydzino odparł Eddy G.

Zaśmiał się, ale wydawał się wkurzony.

Theda Bara czym prędzej ruszyła dalej.

Norma Jeane szepnęła do Eddyego G:

- To było niegrzeczne.

A jeśli ona jest Żydówką?

- Ona wie, że tylko żartuję.

Nawet jeżeli ty nie wiesz.

Tak wysoko nad miastem ciągle wiało.

Norma Jeane zaczęła się zastanawiać, jak by się tu żyło w sezonie najsilniejszych wiatrów.

Może nie byłaby to najlepsza atmosfera dla kobiety w ciąży i niemowlęcia.

Ale Cassowi i Eddyemu G, którzy jako dzieci mieszkali w eleganckich rezydencjach, zależało na domu w górach, na czymś "egzotycznym", "szczególnym".

Pieniądze zdawały się nie stanowić dla nich problemu, ale skąd mieli je wziąć na opłacenie czynszu?

Ponadto do obsługi takiego domu jak ten należało zatrudnić służbę.

Norma Jeane nie miała prawa do zysków z Niagary, choć film okazał się kasowym przebojem; była kontraktową aktorką Wytwórni i dostała swoje honorarium.

Cass i Eddy G wiedzieli o tym!

Teraz była w ciąży, więc przez cały rok nie może zagrać w żadnym filmie.

Jeśli nie dłużej.

(Niewykluczone, że w ogóle zakończy się jej kariera.) Lecz kiedy próbowała wypytać mężczyzn, ile wynosi miesięczny czynsz, zbyli ją, oświadczając, że to kwota umiarkowana.

Podobno niepotrzebnie się martwiła.

"Coś wykombinujemy.

We trójkę damy sobie radę".

Norma Jeane przyglądała się kolejnemu pęknięciu, tym razem szczelinie w stiukowej ścianie ozdobionej piękną meksykańską mozaiką.

Wewnątrz uwijały się czarne mrówki.

Posiadłość nazwano Cyprysami ze względu na te włoskie drzewka, które zamiast palm posadzono wokół domu.

Kilka zachowało pełne, miłe dla oka kształty, ale większość skarłała w reakcji na ustawiczne wiatry i wyglądała pokracznie, jak udręczone torturami stworzenia.

Niewiele wyobraźni było trzeba, by zobaczyć, jak się wiją.

Gnomy, elfy, czarownice.

Ale Rumpelstiltzkin nie był zły.

Jedyny przyjaciel Normy Jeane.

Kochał ją bez zastrzeżeń.

Szkoda, że za niego nie wyszła!

wtedy by nie umarł.

Teraz nosiłaby w sobie dziecko I.

E. Shinna, miałaby piękny, własny dom i szanowałiby ją wszyscy w Hollywood, nawet szefowie Wytwórni.

(Ale Isaac zdradził ją, choć tak wiele mówił o miłości.

Niczego jej nie zapisał w testamencie.

Ani centa!

Związał ją z Wytwornią kontraktem na siedem filmów, czyniąc z niej niewolnicę.)

Theda Bara wprowadzała ich do domu.

Przez wielkopańskie foyer.

Wnętrze przypominało muzeum: marmurowa podłoga, mosiężno-kryształowe żyrandole, jedwabne tapety, lustrzane panele i szerokie schody.

Salon znajdował się w głębi i był tak przestronny, że Norma Jeane musiała zmrużyć oczy, aby zobaczyć przeciwległą ścianę.

Na meblach leżało białe płótno, ale parkiet nie był przykryty.

Nad olbrzymim kominkiem wisały skrzyżowane szpady.

Obok stała kompletna, chyba średniowieczna zbroja.

Cass gwizdnął.

- D. W.

Griffith.

Jeden z jego dziwaczných eposów.

Owalne lustra oprawione w misterne złote ramy odbijały w nieskończoność owalne lustra oprawione w misterne złote ramy - z wrażenia Normie Jeane zatrzepotało serce.

Tu mieszka szaleństwo.

Nie wchodź do środka!

Ale już było za późno, nie mogła zawrócić.

Doprowadziłyby Cassa i Eddyego G do szału.

Obecnym właścicielem posesji był Bank Południowej Kalifornii.

Od kilku lat nikt nie mieszkał na stałe w Cyprysach.

Poprzednią właścicielką była piękność lat trzydziestych, podrzędna aktorka, która przeżyła swego męża, zamożnego producenta, o kilka dziesięcioleci.

Kobieta ta, miejscowa legenda, nie miała własnych dzieci, ale adoptowała kilkoro sierot z Meksyku.

Parę tych dzieci umarło "śmiercią naturalną", inne zniknęły albo rozeszły się po świecie.

Kobieta ta wprowadziła do swojego domu licznych "krewnych" i "pomocników", którzy na przemian okradali ją i dręczyli.

Opowiadano szokujące historie o jej skłonności do alkoholu, narkotyków, o próbach samobójczych.

Jednak przekazywała poważne sumy lokalnym organizacjom charytatywnym, w tym Siostrzynie Nieustającego Miłosierdzia, czyli zakonowi katolickiemu, którego reguła nakazywała ścisłe posty, modlitwy i milczenie.

Norma Jeane nie chciała słuchać najgorszej z tych opowieści.

Wiedziała, że podobne opowieści mogą być zwodnicze.

Jeżeli nawet po czątek daje im prawda, ludzkie gadanie zmienia je w kłamstwa".

Serce Normy Jeane biło szybciej nad niesprawiedliwością, nad okropieństwami, które wygadywano o kobiecie mieszkającej samotnie w tym domu i w końcu znalezionej w łazience przez dozorcę.

Koroner stwierdził przypadkową śmierć na skutek niedożywienia, nadużywania barbituranów i alkoholu.

Norma Jeane szepnęła:

-To nie w porządku.

Sępy!

Z przodu Theda Bara, w szpilkach, rozmawiała i śmiała się z mężczyznami.

Miała nadzieję, że rzeczywiście wynajmą Cyprysy.

Powiedziała do Normy Jeane:

- Fantastyczny dom, prawda, moja droga?

Jest taki oryginalny, niepowtarzalny.

Pani przyjaciele mówili mi, że szukają państwo odosobnienia?

Trudno o lepsze miejsce, daję słowo.

Obchód posiadłości trwał już dość długo.

Norma Jeane zaczynała odczuwać zmęczenie.

Ten dom!

Iluzja splendoru!

Osiem sypialni, dziesięć łazienek, kilka salonów, ogromny pokój stołowy z kryształowymi żyrandolami, które drżały i kołysały się, jakby się sufit unosił; w pokoju do śniadań zasiąść mogło ćwierć setki gości.

Wszędzie trzeba było wchodzić po kilku schodkach, żeby zaraz zejść po innych.

W części położonej w głębi budynku, której okna wychodziły na basen, urządzono coś w rodzaju sali klubowej z dużym, zakrzywionym barem, stolikami, skórzanymi ławami, parkietem do tańca i szafą grającą.

Norma Jeane od razu podeszła do szafy, ale urządzenie nie tylko nie było podłączone do prądu, ciemne, ale nie zawierało płyt.

Do licha, nie ma na świecie nic bardziej żalostnego niż milcząca szafa grająca.

Odwróciła się rozdrażniona i nadąsana.

Chętnie puściłaby jakąś płytę i potańczyła.

Jitterbuga!

Od lat nie tańczyła jitterbuga.

Albo hula: świetnie byłoby zatańczyć hula, od czternastego roku życia należała do entuzjastek hula.

Teraz miała dwadzieścia siedem lat, była w ciąży i ruch dobrze by jej zrobił; niby dlaczego nie powinna tańczyć?

Gdyby Marilyn zagrała w filmie Mężczyźni wolą blondynki czego uczynić nie zamierzała - tańczyłaby we wspaniałych, drogich kostiumach, w starannie opracowanych choreograficznie numerach muzycznych, jak Ginger Rogers i Fred Astaire.

Nie przepadała za tego rodzaju rzeczami, wymyślnymi i efekciarskimi.

Wolała swobodny taniec.

Pierwsza rzecz do zrobienia, Normo: uruchomić szafę grającą - obiecał Eddy G.

Czyżby już ktoś o czymś zdecydował?

Bez jej zgody?

Theda Bara nie skończyła jeszcze ich oprowadzać.

Zalotnie śmiała się i rozmawiała z mężczyznami, którzy w stylowych, ale wygniecionych i nie zbyt czystych ubraniach wyglądali na siebie, na odrzuconych potomków hollywoodzkiego rodu królewskiego.

Norma Jeane szła za nimi, przygryzając dolną wargę.

Och, nie ufała swym kochankom!

Dziecko też im nie ufało.

Aktor to instynkt.

Bez instynktu aktor nie istnieje.

Norma Jeane usiłowała przypomnieć sobie wyrazisty, niepokojący sen, który miała tuż przed przebudzeniem się tego ranka.

Trzymała Dziecko przy nabrzmiałych, obolałych piersiach, pragnąc je nakarmić, ale chyba ktoś za nie szarpał...

Norma Jeane krzyknęła: Nie, nie!

, lecz jakieś dłonie dalej trzymały Dziecko, więc żeby uciec, musiała się obudzić.

Normo Jeane - powiedziała uprzejmie agentka - czy coś jest nie tak?

Myślałam, że pokażę państwu...

Norma Jeane osłoniła oczy przed tymi wszystkimi cholernymi zwierciadłami.

Zwierciadłami owalnymi, prostokątnymi, wysokimi, pionowymi, zwierciadlanymi panelami na prawie każdej ścianie tego domu.

Jedna z łazienek na parterze miała przymocowane do sufitu lustro z cynowymi obwódkami.

Gdziekolwiek się weszło, od razu pojawiała się twoje odbicie, twoja twarz wyłaniała się jak balon, oczy wpatrzone w oczy.

Oto, kim się stała dziewczyna z lustra u Mayera!

W purpurowym turbanie i ciemnych okularach Norma Jeane wyglądała jak cycata i długonoga statystka z filmu Road to Rio, ta, do której Bob Hope szczyrzył zęby.

Norma Jeane uważała, że istotą jej Magicznej Przyjaciółki jest egzystencja w tajemnicy.

Jeżeli stykasz się z Magiczną Przyjaciółką na co dzień, wyjątkowość znika.

Cass chyba czytał w jej myślach; powiedział, że zdejmą większość luster, jeśli Norma Jeane ich sobie nie życzy.

- Bliźnięta mogą się obyć bez luster, ponieważ "odzwierciedlają" się na wzajem, zgadza się?

- Cass, nie wiem.

Chcę wracać do domu.

Kochała go, nie ufała mu.

Nie ufała obu mężczyznom, których kochała.

Jeden z nich był ojcem maleństwa możliwe, żeby dziecko spłodzili obaj?

Tego dnia nie po raz pierwszy rozmawiali o polisach ubezpieczeniowych, nowością były zaś testamenty.

Czyżby spodziewali się, że umrze, na przykład podczas porodu?

A może liczyli na jej śmierć?

(Ale kochali ją.

To jedno wiedziała!

) Gdyby tak mogła poradzić się pana Shinna.

A może...

Eks-Sportowca, który chciał się z nią "umówić"?

Poprzedniego dnia Norma Jeane powiedziała Cassowi o sławnym eks-baseballiście.

Zrobiło to na nim chyba większe wrażenie niż z początku na Normie Jeane.

Cass oświadczył, że Eks-Sportowiec jest bohaterem dla wielu Amerykanów w takim samym albo i większym stopniu niż którakolwiek z gwiazd filmowych, więc może Norma Jeane powinna się z nim umówić.

Zaprotestowała, mówiąc, że o baseballu wie bardzo niewiele, nic ją to nie obchodzi, a poza tym jest w ciąży.

Mówi, że chce się ze mną "umówić"!

Wiemy, co to oznacza.

Potrafisz grać trudne role.

Osiągać coś dużym nakładem sił.

To wielka rola dla Marilyn.

-Jest sławny.

Musi być bogaty.

- Marilyn jest sławna.

Ale nie bogata.

Och, nie jestem sławna jak on.

Nim się wycofał, przez wiele lat odnosił sukcesy.

Wszyscy go kochają.

Dlaczego więc nie ty?

Norma Jeane zerknęła z obawą na Cassa, aby zobaczyć, czy jest zazdrosny, ale nic na to nie wskazywało.

Lecz Cassa, w przeciwieństwie do Eddyego G, trudno było przejrzeć.

Norma Jeane nie powiedziała Cassowi, że odprawiła sławnego Eks-Sportowca, ale nie osobiście, bo ten mężczyzna nie zadzwonił do niej sam, tylko przez kogoś, kto skontaktował się z jej agentem.

Co za tupet!

Jak gdyby Marilyn Monroe była towarem handlowym.

Widzisz billboard, więc dzwonisz z ofertą.

Ile kosztuje Marilyn?

Na pierwszym piętrze Cyprysów w starej, francuskiej części domu brązowe i kryształowe żyrandole bardziej rzucały się w oczy.

Słabe, złowieszcze, złociste światło wpadało do środka tak, jakby jego źródłem było coś innego niż słońce.

Unosiła się woń źle funkcjonującej kanalizacji, środków na owady, zwietrzałych perfum.

Nieustannie świszczał wiatr...

Norma Jeane miała wrażenie, że słyszy głosy, stłumiony dziecięcy śmiech.

To musiał być wiatr, grzechoczące szybki okienne albo żyrandole.

Zauważyła, że Cass jest po irytowany i także rozgląda się niespokojnie.

Pewnie też słyszy te dźwięki.

Tego ranka nie czuł się dobrze, kręciło mu się w głowie.

Kiedy wówczas na niego zerknęła, w jego oczach dostrzegła alarmującą nieobecność.

Gdy Theda Bara wyjaśniała skomplikowany system wewnętrznej komunikacji w domu, Cass stał, trąc oczy i poruszając ustami tak, jakby wpadło mu do środka coś, czego nie mógł połknąć.

Norma Jeane próbowała go objąć, ale odtrącił ją, zmieszany.

- Nie jestem twoim dzieckiem.

Przestań.

Dlaczego przyjechaliśmy do tego okropnego miejsca?

Czy szukamy jakiejś zjawy?

Theda Bara poświęciła trochę czasu na opisanie instalacji antywłamaniowej, reflektorów i systemu monitoringu.

Wszystko to musiało kosztować około miliona dolarów.

Podobno poprzednia właścicielka rezydencji "nie samowicie się bała", że ktoś się włamie do domu i zamorduje ją.

Jak moja matka - mruknął przybity Eddy G.

- To był pierwszy symptom.

Ale nie ostatni.

Norma Jeane postanowiła trochę poprawić ogólny nastrój.

-Dlaczego ktoś miałby chcieć mnie zamordować?

Zawsze o to pytam.

Bo, wiecie...

czy ktoś jest aż tak ważny?

Theda Bara uśmiechnęła się lodowato i powiedziała:

Wielu ludzi w tej części świata jest wystarczająco ważnych, by ich za mordować.

A jeszcze więcej jest bogatych.

Norma Jeane miała wrażenie, że to niegrzeczna odpowiedź, chociaż nie rozumiała jej do końca.

Zastanawiała się z uśmiechem na ustach: Co by sobie pomyślał Eks-Sportowiec, gdyby wiedział, że ona jest w ciąży?

I że kocha się nie z jednym przystojnym, seksownym młodzieńcem, tylko z dwoma?

Może jestem dziwką.

Rany, jest na to całe mnóstwo dowodów!

Właśnie wtedy zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Kiedy Eddy G zadawał kobiecie pytania.

Norma Jeane słuchała jednym uchem, a Cass w ogóle się wyłączył, popielaty na twarzy i rozdygotany.

Poruszał ustami, jakby chciał coś przełknąć.

Powietrze było tu suche, odnosiło się wrażenie, że do ust dostał się piasek.

Norma Jeane miała ochotę wziąć Cassa w ramiona, pocałować go i uspokoić.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch coś tam przemknęło, przebiegło.

Cień w locie.

Przez jedno z luster?

Ani Theda Bara, ani Eddy G niczego nie zauważyli, ale Cass wytrzeszczył oczy z przerażenia.

Jednak niczego tam nie było.

Kiedy Theda Bara wprowadziła ich do jeszcze jednej sypialni, za brokatem zastony znów coś jakby się poruszyło, przerażone.

- Och, spójrzcie - Norma Jeane powiedziała bez namysłu.

Theda Bara odparła niepewnie:

-To...

nic.

Jestem pewna.

Pracownica agencji obrotu nieruchomościami podeszłaby tam odważnie i sprawdziła, ale Cass powstrzymał ją.

- Nie.

Pieprzyć to; zamknijmy tylko drzwi.

Wyszli, zamknęli drzwi.

Norma Jeane i Eddy G wymienili zaniepokojeni spojrzenia.

Co się działo z Cassem?

On miał panować nad całą ich trójką.

Norma Jeane słyszała wcześniej stłumiony sopran, dziecięce krzyki i śmiech, choć naturalnie to był wiatr, tylko wiatr, rozbudzona wyobraźnia.

Gdy Theda Bara zaprowadziła ich do pokoju dziecinnego, Norma Jeane z ulgą stwierdziła, że jest pusty; panowała tu cisza, jeśli nie liczyć pomruków wiatru.

Dlaczego jestem taka głupia?

Nikt by tu dziecka nie zamordował.

- Śliczny p...pokój!

Norma Jeane musiała to powiedzieć.

Lecz pokój dzieciny bynajmniej nie był śliczny, tylko duży.

I długi.

Zewnętrzna ściana składała się głównie z okien z przyciemnionego szkła wychodzących na pustą przestrzeń, jakby w nieskończoność; pozostałe ściany pomalowano na różowo i ozdobiono rysunkowymi figurkami o rozmiarach dorosłego człowieka.

Były wśród nich niezwykle, staromodne postacie z bajek Babci Gąski i amerykańskich filmów rysunkowych: Myszka Miki, Kaczor Donald, Królik Bugs, Goofy.

Płaskie, puste oczy.

Ludzkie uśmiechy.

Zamiast pazurów dłonie w białych rękawiczkach.

Dlaczego te postaci są takie duże?

Norma Jeane stanęła oko w oko z Goofym i zaraz się wycofała.

Zamieniła to w żart.

- Na takim typku dziewczyna w swetrze nie zrobi wrażenia.

Gdy Cass dostał czasem zbyt mocnego kopa w głowę (zgodnie z do brotliwym określeniem jego przyjaciół od kieliszka i narkotyków) pod czas jakiegoś przyjęcia, rozpoczął krytyczną przemowę - na przykład o filozofii tomistycznej, linii uskoków geologicznych w hrabstwie Los Angeles albo sekretnej amerykańskiej skłonności do linczu, która, jego zdaniem, nie została przeniesiona do Nowego Świata ze Starego, lecz tak naprawdę czekała już na amerykańskich purytanów, kiedy przybyli i osiedlili się w tej dzicy.

Tak samo teraz - niespodziewanie, jak lunatyk budzący się z transu, Cass zaczął mówić o postaciach zwierząt w dziecięcych książkach i filmach.

-Chryste!

To byłoby przerażające, gdyby zwierzęta potrafiły mówić.

Gdyby naprawdę były nami.

Ale w dziecięcym świecie zawsze mówią.

Dlaczego?

Norma Jeane zdziwiła go, odpowiadając:

- Ponieważ zwierzęta są jak ludzie!

Nie potrafią rozmawiać tak jak my, ale z pewnością się komunikują.

Jak my mają uczucia: ból, nadzieję, strach, miłość.

Matki zwierząt...

- Ale nie zwierzęta rysunkowe, kochanie.

One nie mają miotów - wtrącił Eddy G.

Cass rzekł z zadziwiającą złośliwością:

- Nasza Norma kocha zwierzęta.

A to dlatego, że żadnego nie zna.

Ona wyobraziła sobie, że odpowiedziałyby miłością bez żadnych zastrzeżeń.

Norma Jeane odparła urażona:

- Hej, nie rozmawiajcie o mnie tak, jakby mnie tutaj nie było.

I nie poniżajcie mnie.

Mężczyźni roześmiali się.

Możliwe, że byli z niej dumni, kiedy gniewała się w ten sposób, a nawet kiedy zdejmowała okulary przeciwsłoneczne jak Bette Davis albo Joan Crawford w melodramatach, aby spojrzeć zdrajcom prosto w oczy.

- Norma Jeane mówi: "Nie poniżajcie mnie".

- Nawet Rybka ma swoją dumę.

- Zwłaszcza Rybka.

Theda Bara przenosiła wzrok kolejno od twarzy do twarzy, rozchyliła w zdumieniu opuchnięte, jakby ukąszone przez pszczołę usta.

Co się tu dzieje?

Kim są ci beztroscy młodzi ludzie?

Wyrachowani jak cios nożem w serce.

Cios nożem w brzuch.

Ona.

Norma Jeane to ona.

Nigdy nie mogła być nikim innym.

Tylko trzecim punktem Bliźniąt.

Odległym trzecim wierzchołkiem odwiecznego trójkąta, wierzchołkiem, który Cass określił jako Śmierć.

Norma Jeane uświadomiła sobie, że tym mężczyznom będzie zupełnie bez różnicy, jak bardzo ich kocha, poświęca się dla nich, jak czczona jest przez nieznanymi i jaką jest utalentowaną aktorką - zawsze będą o niej mówić ona.

Była ich Ryb ką, była Rybą.

Śmiech mężczyzn ucichł.

Zrobiło się bardzo spokojnie, tylko wiatr wiał.

Powinni już wyjść z upiornie różowego pokoju dzieciennego.

Theda Bara

odchrząknęła, aby powiedzieć na koniec kilka pogodnych słów, kiedy nagle usłyszeli szelest.

Tuż przy jej stopach, częściowo zakrytych przez kojec, poruszył się jakiś cień.

- Grzechotnik!

- krzyknęła kobieta.

Eddy G w panice wskoczył na stół.

Na plastikowy ogrodowy stolik ustawiony na maleńkiej wyspie ze sztuczną trawą i miniaturowymi palmami.

Chwytał Normę Jeane za ramię i pomógł jej stanąć obok siebie, pomógł Thedzie Barze i biednemu, roztrzęsionemu Cassowi, który pobladł śmiertelnie na twarzy; czwórka dorosłych ludzi dyszała i chwiała się.

- Wąż!

To był on - powiedział Cass.

Jego zniszczona, chłopięca i lalkowata twarz pokryła się potem, miał wybałuszone oczy.

- To moja wina.

Ja jestem winien.

Nie powinienem was tutaj przywozić.

Norma Jeane postanowiła myśleć praktycznie, ponieważ Cass najwidoczniej stracił głowę.

Powiedziała:

- Czy grzechotniki naprawdę atakują?

Człowieka?

Zdaje się, że one nas bardziej się boją.

Theda Bara pojękiwała:

-Och, och, och!

-Jak gdyby miała zemdleć; Eddy G musiał ją podtrzymywać.

- Proszę pani, wszystko będzie dobrze.

Nie widzę skurwiela.

Ktoś widzi skurwiela?

-Jeszcze nigdy nie widziałam węża - powiedziała Norma Jeane.

- Ale chyba go słyszałam.

Cass stał skulony i drżący.

- To moja wina.

Przeze mnie to się dzieje, zacząłem widzieć je w łazienkach, toaletach i nie mogę przestać.

Wszystko dlatego, że ja tutaj jestem.

Wszystko wskazywało na to, że w pokoju dziecięcym nie ma węża.

Norma Jeane i Eddy G pomogli uspokoić się Thedzie Barze, która przeżywała okropne chwile i obecnie pragnęła tylko wynieść się z tego miejsca, oddalić się od Cyprysów i Cassa, który zachowywał się jak człowiek cierpiący na zaniki pamięci.

Wypowiadał słowa bez ładu i składu, bez przerwy się obwinał.

Wszędzie ciągnął za sobą rzeczy, one go w końcu zabijają i nic nie będzie można na to poradzić.

Norma Jeane chciała zabrać Cassa do łazienki, obmyć mu twarz zimną wodą, ale Eddy G poradził jej, żeby tego nie robiła, wody nigdzie nie będzie, a jeśli będzie, to rdzawa i ciepła jak krew.

-To by go przeraziło jeszcze bardziej.

Zabierzmy go do domu.

- Wiedziacieś o tym, Eddy?

- zapytała Norma Jeane.

- O tych jego zwidach?

Eddy odpowiedział wymijająco:

- Nie byłem pewien, czyje one są.

Moje czy jego?

Z powrotem do miasta, zamyślony Eddy G przy kierownicy, obok niego Norma Jeane, drżąca i wystraszona.

Przyciskała obie dłonie do brzucha, aby uspokoić Dziecko; Cass z koszulą rozdartą, aby ułatwić mu oddychanie, leżał, pojękiwał i trzął się na tylnym siedzeniu.

Norma Jeane powiedziała szeptem do Eddyego G:

- O Boże.

Powinniśmy zabrać go do lekarza.

To nie jest delirium tremens, prawda?

Do Cedars of Lebanon.

Na pogotowie.

- Eddy potrząsnął głową.

Norma Jeane dodała błagalnie: - Nie możemy udawać, że nie jest chory, że nic mu nie dolega.

- Dlaczego nie?

- odparł Eddy G.

Kiedy wyjechali z Laurel Canyon Drive i znowu znaleźli się na Sunset Boulevard, Cass zdumiał wszystkich, bo usiadł, westchnął, uderzył się w po liczki i roześmiał zmieszany:

- Chryste.

Wybaczcie.

Nie pamiętam, co to było, ale proszę, nie mówcie mi, okej?

- Ścisnął za szyję Eddyego G, ścisnął za szyję Normę Jeane.

Dotyk miał lodowaty, ale kojący.

Zarówno Eddyego G, jak i Normę Jeane ogarnęło dziwne, nagłe pożądanie.

- Wiecie, co sobie pomyślałem?

Jak to tłumaczę?

To coś w rodzaju urojonej ciąży wynikającej z poczucia utożsamienia.

Norma Jeane jest do tego stopnia zdrowa na ciele i umyśle, że chyba nie ma rady, jedno z Bliźniąt musi się załamać?

Trudno, na ten okres mogę to być ja.

Zabrzmiało to bardzo przekonująco, jak osobliwa odmiana poematu - nie pozostawało nic innego, tylko uwierzyć.

Ten sen.

Przykucnęła przed nią piękna blondynka i niecierpliwie szarpała ją za dłonie.

Blondynka była tak urzekająco piękna, że nie mogłaś spojrzeć jej prosto w twarz.

Skuliłaś się, aby jej nie widzieć.

Właśnie wyszła z lustra.

Zamiast nóg miała nożyce, zamiast oczu - płomienie.

Włosy wyglądały niczym falujące pędy.

Oddaj mi je!

Ty żałosna, głupia krowo.

Usiłowała wyrwać zapłakane niemowlę ze słabnących dłoni Normy Jeane.

Nie.

To nie jest odpowiedni moment.

To mój czas.

Nie możesz mi odmówić!

"GDZIE SIĘ PODZIEWASZ, KIEDY ZNIKASZ?"

Życie i marzenia to kartki tej samej książki.

Arthur Schopenhauer

Dopiero rano nabrała przekonania, że wie, co zrobi.

Rankiem po wizycie w Cyprysach i Lakewood.

Rankiem po przebudzeniu się z niespokojnych snów, które niczym głązy stoczyły się na jej miękkie, bezsilne ciało.

Zadzwoniła do Z, z którym nie rozmawiała od wieczoru ostatniej premiery.

Powiedziała, jak się przedstawia jej sytuacja.

Zaczęła płakać.

Z mógł sobie pomyśleć, że ten płacz był wyćwiczony, ale może tak sobie nie po myślał.

Słuchał w milczeniu.

Prawdopodobnie wyobrażała sobie, że ta cisza oznacza, iż jest wstrząśnięty, ale tak naprawdę oznaczała jego praktyczne podejście do sprawy Z zapewne nie raz był w podobnej sytuacji, wiele krotnie wysłuchiwał podobnych słów, dobrze znanych, wyświechtanych tekstów ze scenariusza anonimowego autora.

Wiesz, co teraz zrobię, Marilyn?

Przełączę cię do Yvet.

"lii-wej": tak wymówił to imię.

Norma Jeane nigdy się z nim nie zetknęła.

- Znasz Yvet.

Ona ci pomoże.

Yvet pracowała jako asystentka i sekretarka Z.

Norma Jeane zapamiętała ją z owego skandalicznego ranka w Ptaszarni.

Tyle już lat minęło!

Nie miała wtedy jeszcze nawet imienia i nazwiska.

Czasy, zdawałoby się, tak odległe, że nie potrafiła przypomnieć sobie dziewczyny, którą sama była.

Groźne z wyglądu, wypchane ptaki z Ptaszarni wydawały się jej teraz jakby prowizoryczne; nie w tym rzecz, że ich nie widziała, nie patrzyła na nie, nie słyszała krzyków bólu i przerażenia; było tak, jakby to wszystko przytrafiło się komu innemu albo wydarzyło się w filmie, który Cass mógłby zidentyfikować: coś w reżyserii D.

W. Griffitha.

Yvet, która odwróciła oczy z wyrazem litości i pogardy.

"Za drzwiami jest toaleta".

Po drugiej stronie słuchawki odezwała się Yvet; mówiła ze współczuciem, ale rzeczowo; jej głos brzmiał dojrzalej, niż spodziewała się tego Norma Jeane.

Zwracała się do niej Marilyn.

No cóż, czemu nie?

W Wytwórni była Marilyn.

Jako Marilyn występowała w czołówkach filmów.

Yvet mówiła:

- Marilyn?

Postaram się wszystko załatwić.

I będę ci towarzyszyć.

Za planuj to sobie na jutro, ósma rano.

Zabiorę cię z domu.

Pojedziemy do Wilshire.

Jest tam klinika z prawdziwego zdarzenia, żadne tam znachorstwo.

Bezpieczne miejsce.

Zajmie się tobą lekarz o uznanej renomie.

I jego pielęgniarka.

Nie zostaniesz tam długo.

Jeśli jednak zechcesz, będziesz mogła zostać cały dzień.

Przespać się, wypocząć.

Będziesz pod narkozą.

Nie będziesz czuła...

To znaczy, nie będzie tak, że niczego nie poczujesz, coś będziesz czuła.

Kiedy narkoza przestanie działać.

Ale to będzie ból fizyczny i przejdzie, a potem poczujesz się po prostu dobrze.

Zaufaj mi.

Jesteś tam, Marilyn?

-T...tak.

- Zatem będę u ciebie o ósmej rano.

Chyba że mnie niedobrze zrozumiałaś.

Zrozumiała ją dobrze.

EKS-SPORTOWIEC I BLONDWŁOSA AKTORKA:

RANDKA

Kiedy uwierzysz, że grasz, nagle odkryjesz swą najprawdziwszą istotę.

Paradoks aktorstwa

Na pierwszą randkę Eks-Sportowiec zabrał Blondwłosą Aktorkę do Villars Steakhouse w Beverly Hills.

Pozostali tam od 20.10 do 25.00.

Wokół ich stołu krążyło migoczące światło.

Wspaniałą parę obserwowali w lustrach dyskretni goście, którzy w Villars, jednej z najbardziej ekskluzywnych restauracji w Beverly Hills, nie powinni tego robić.

Zauważono, że Eks-Sportowiec, znany tak ze swej małomówności, jak i z niesłychanego talentu do baseballa, z początku mówił względnie niewiele, lecz komunikował wszystko spojrzeniami.

W jego oczach tlił się ogień: intensywny, jak to u Włocha.

Jego dość ładna, końska twarz była dokładnie wygolona, gładka i młodzieńcza jak na jego wiek.

Niemal czarne włosy, przeredzone przy skroniach, w lustrzanych odbiciach wydawały się gęste i nieprzyprószone siwizną.

Niczym prawnik albo bankier nosił granatowy garnitur w prążki, wykrochmaloną białą koszulę i idealnie wyczyszczone, błyszczące czarne pantofle.

Niebiesko-purpurowy krawat z jedwabiu miał lekko wypukły wzór: miniaturowe kije baseballowe w kremowej bieli.

Kiedy Eks-Sportowiec składał u kelnera zamówienie dla towarzyszek i siebie, słyszało się dziwnie odmierzane słowa.

Dla pani będzie...

i dla siebie wezmę...

Pani życzy sobie...

ja poproszę...

Pani życzy sobie...

ja zjem...

Blondwłosa Aktorka była bardzo ładna, ale nerwowa.

Jak niewinna dziewczyna podczas pierwszych występów na scenie.

Czasami podczas tego wieczoru niepokoiła się tak bardzo, że jej odbicie w lustrze rozmazywało się, jakby ginęło za mgłą albo parą i wtedy jej nie widzieliśmy.

Czasami znikła całkowicie!

Innym razem, kiedy się śmiała, jej błyszczące czerwone usta jarzyły się, wtedy widzieliśmy tylko je.

Usta jak cipa.

Oto jej sekret.

Jest za głupia, aby o tym wiedzieć?

Według niektórych obserwatorów w Villars Blondwłosa Aktorka wyglądała tak samo jak na fotografiach.

Według innych "w żadnym razie" nie przypominała swego wizerunku ze zdjęć.

Blondwłosa Aktorka - co zapewne miało zaskakiwać - nie miała na sobie swojej słynnej sukienki z niezwykle głębokim dekoltem, jaskrawoczerwonej, jaskrawobiałej, względnie czarnej, tylko jedwabno-bawełnianą, koktajlową, pastelworóżową sukienkę z plisowaną, "dziewczęcą" spódnicą, staniczkiem z koralikami i kołnierzykiem pod samą szyję, za który bezwiednie szarpała starannie wypielęgnowanymi paznokciami.

Nad lewą piersią miała przypiętą kremowobiałą gardenię - niczym bukietek kwiatów na balu absolwentów - którą, uśmiechając się nieśmiało do Eks-Sportowca, co pewien czas wachała.

Jaka słodka!

Bardzo dziękuję!

Gardenie są moimi ulubionymi kwiatami".

Eks-Sportowiec zarumienił się po same uszy z radości.

Wydawało się, że coś powie, ale nie odezwał się.

Uśmiechnął się, zmarszczył brwi.

Lekko drgała mu lewa powieka.

Światło od stolika tej pary rozchodziło się w plamach i falowało jak odbite w wodzie.

Eks-Sportowiec pozostawał pod ogromnym wrażeniem urody Blondwłosej Aktorki albo był wręcz onieśmielony.

Według niektórych obserwatorów Eks-Sportowca drażniła uroda Blondwłosej Aktorki; od czasu do czasu rozglądał się z irytacją po oświetlonej płomykami świec, szemrzącej restauracji, jak gdyby wyczuwał, że patrzymy, choć w takich chwilach wszyscyśmy odwracali oczy.

Z pewnym wyjątkiem.

Ubranego po cywilnemu Snajpera, który zajął stanowisko w zacienionej alkwie między jasno oświetloną, gwarną kuchnią i biurkiem kierownika, ani razu nie odwrócił oczu i nie pozwolił sobie na dekoncentrację.

Bo dla niego obserwacja nie była formą rozrywki, tylko bardzo istotnym epizodem w narracji, której - jako zwykły agent na usługach agencji - nie miałby odwagi ani chęci nazwać.

Eks-Sportowiec właśnie dopiero się zakochiwał!

Wszystko należało do przyszłości.

Nie. Teraźniejszość była przyszłością.

Wszystko, co się ma wydarzyć, wynika z "teraz".

To prawda.

Kilka razy, wstydliwie, zarazem zdecydowanie jakby zdobywał bazę, pozwolił sobie położyć dłoń na dłoni swej partnerki.

Zaiskrzyło w oświetlonym światłem świec, szemrzącym wnętrzu.

Dało się zauważyć, że dłoń Eks-Sportowca była dwa razy większa niż dłoń Blondwłosej Aktorki.

Dało się zauważyć, że Eks-Sportowiec nie miał na palcach pierścieni i obrączek, tak samo jak Blondwłosa Aktorka.

Dało się zauważyć, że dłoń Eks-Sportowca była opalona, a dłoń Blond włosej Aktorki - blada i gładka.

Eks-Sportowiec zaczął się nieco odprężyć.

Pił szkocką, a do posiłku czerwone wino.

Blondwłosa Aktorka zachęciła go, aby powiedział jej coś o sobie.

Opowiedział jej kilka anegdot związanych z baseballlem, które najprawdopodobniej już wcześniej opowiadał różnym osobom.

Faktem jest jednak, że znana, lubiana anegdota opowiedziana w innym towarzystwie staje się odmienną anegdotą.

Mówiąc ją, stajemy się innymi ludźmi.

Blondwłosa Aktorka wydawała się urzeczona.

Słuchała z uwagą, pijąc powoli przez słomkę napój z wysokiej szklanki z ocukrzonym brzegiem - gazowany, owocowy napój stosowny dla dziewcząt na balu absolwentów; opierała łokieć na krawędzi stołu, prezentując Eks-Sportowcowi swe cudowne ciało.

Często otwierała szerzej swe smutne, niebieskie oczy.

Nie śmieję się, uwielbiałam softball!

W szkole średniej grywałam w to, jeśli tylko chłopcy mi pozwolili.

Jaka była twoja pozycja?

Chyba- obrońcy?

Kiedy mi pozwolili.

Eks-Sportowiec miał dwie odmiany śmiechu, śmiech spokojny, powstrzymywany i śmiech wybuchowy, głęboki.

Pierwszemu towarzyszył grymas, drugi, zaskakujący nawet dla niego, był wyrazem czystej wesołości.

Blond włosą Aktorkę rozbawił wybuch śmiechu człowieka tak ponurego i w zaścianku milczącego.

Och, mój tata właśnie tak się kiedyś śmiał.

Tata potrafił zarazić śmiechem każdą istotę, z którą się zetknął.

Eks-Sportowiec nie wypytywał o "Tatę".

Wystarczyło, że się dowiedział - okazał przy tym żal i współczucie - że ojciec Blondwłosej Aktorki zmarł i nie będzie mu wchodził w drogę.

Kiedy Blondwłosa Aktorka zniknęła z pola widzenia lub raczej kiedy otaczała ją aura migającego światła, także jej śmiechu nie słyszało się wyraźnie.

Według niektórych obserwatorów jej śmiech był "piskliwy, brzmiał jak dźwięczące szkło, ładnie, ale nerwowo".

Według innych brzmiał "ostro, jakby paznokciami drapać po tablicy".

Według jeszcze innych jej śmiech był "zdławionym, żalnym piskiem mordowanej myszy".

A wedle jeszcze innej opinii był "gardłowy, chrząpliwy i niezwykle seksowny".

Swobodny w stroju baseballisty, Eks-Sportowiec w ubraniu cywilnym czuł się niezręcznie.

W połowie wieczoru rozpiął marynarkę.

Drogi, szyty na miarę garnitur w prążki wydawał się bardzo dopasowany do jego ramion; może po zakończeniu kariery przytył dziesięć, piętnaście funtów w torsie i na brzuchu?

Blondwłosa Aktorka też sprawiała wrażenie zagubionej.

Marilyn Monroe istniała w filmach jako płynna, magiczna obecność.

Jak muzyka, niepowtarzalna, niewątpliwa.

W czymś, co się określa mianem "rzeczywistego życia" (jeśli wieczór w Villars Steakhouse w towarzystwie najświetniejszego byłego gracza w baseball można nazwać "rzeczywistym życiem") była dziewczynką wtłoczoną w ciało w pełni dojrzałej kobiety.

Ciężar jej dużych piersi ciągnął ją do dołu, tak że ustawicznie musiała odchyłać się do tyłu; nacisk na jej kręgosłup musiał być znaczny.

Nosiła biustonosz?

Wyglądało na to, że nie.

Ani majtek.

Za to pas do pończoch i gładkie pończochy z seksownym, ciemnym szwem.

Eks-Sportowiec łapczywie pochłaniał jedzenie z talerza.

Blondwłosa Aktorka niemrawo grzebała w swoim.

Eks-Sportowiec jadł ważący dwanaście uncji stek z polędwicy wołowej, smażoną cebulkę, pieczone ziemniaki i zieloną fasolkę.

Sprzątnął wszystko z wyjątkiem zielonej fasolki.

Zjadł dużo kawałków francuskiego chleba z masłem.

Na deser orzeszki i lody.

Blondwłosa Aktorka siedziała nad solą w lekkim sosie winnym, młodymi ziemniakami i szparagami.

Na deser zamówiła ugotowaną gruszkę.

Często podnosiła widelec do ust, często go opuszczała, słuchając uważnie Eks-Sportowca opowiadającego jedną ze swoich anegdot.

W Paradoksie aktorstwa przeczytała kiedyś:

Wszyscy aktorzy to kurwy.

Zależy im tylko na jednym: aby cię oczarować.

Pomyślała: Jeżeli jestem kurwą, to mnie tłumaczy!

Blondwłosa Aktorka uśmiechała się entuzjastycznie, słuchając historyjek Eks-Sportowca.

Śmiała się tak często, jak nadarzała się okazja.

Eks-Sportowiec stopniowo przysuwał do niej krzesło.

Jego spragnione ciało znalazło się blisko jej ciała.

Kiedy zjadł połowę soczystego steku, wstał i powiedział, że musi pójść do toalety.

Wrócił i przesunął krzesło bliżej swej towarzyszki.

Gdy szedł przez oświetlone płomieniami świec wnętrze restauracji, wydzielał intensywną woń wody toaletowej, whisky i tytoniu.

Włosy pachniały mu brylantyną, oddech - mięsem.

Przepadał za cygarami.

Kubańskimi.

Przechowywał jedno w celofanowym opakowaniu w kieszeni płaszcza.

Jego złote spinki miały kształt piłek do baseballu i jak jedwabny krawat stanowiły prezent od jakiegoś wielbiciela.

Kiedy jesteś znakomitością sportową, cały świat cię podziwia.

Jednakże tego wieczoru Eks-Sportowiec czuł się odrobinę nieswojo.

Dziwnie się uśmiechał, ściągał brwi.

Z nadmiaru emocji marszczył czoło.

Krew pulsowała w obu jego skroniach.

Stał na pozycji obrońcy, musiał patrzeć pod niegodziwe słońce.

Strasznie się bał, bo się zakochiwał w tej Marilyn Monroe.

I to tak szybko!

Wspomnienie o okropnym rozwodzie nadal tłukło się w jego głowie niczym kręgle trafione bez litośnie kulą.

Wobec kobiet, które na to zasługiwały, Eks-Sportowiec był dżentelmenem.

Jak wszyscy Włosi.

W wypadku kobiet, które dowiodły, że na nic nie zasługują, tak jak ta suka, jego eks-żona, nie można go winić za sporadyczne wypadki utraty panowania nad sobą.

Exs-Sportowiec i Blondwłosa Aktorka: Randka 431

Wykrzywiając z goiyczą usta, Eks-Sportowiec szybko opowiedział o swo im krótkim małżeństwie, rozwodzie, dziesięcioletnim synu.

Blondwłosa Aktorka natychmiast wypytała go o syna, za którym najwyraźniej Eks-Sportowiec przepadał w ów sentymentalny, zwariowany sposób rozwiedzionych tatusiów, których pozbawiono prawa opieki nad dziećmi i którym zezwalano na widzenia w ściśle określonych przez sąd terminach.

Blondwłosa Aktorka przebiegle nie wypytywała o byłą żonę Eks-Sportowca.

Myślała sobie: Jeśli ją nienawidzi, znenawidzi także następną kobietę.

Czy ja jestem jego następną kobietą?

Świetlna aura pojaśniała, zadrgała, niemal przysłaniając parę.

Eks-Sportowiec zapytał Blondwłosą Aktorkę, w jaki sposób wystartowała.

Blondwłosa Aktorka wyglądała na zakłopotaną.

Wystartowała?

Zadebiutowała.

W filmie.

Blondwłosa Aktorka spróbowała się uśmiechnąć.

Onieśmielona, niepewna, w tym momencie przedzierzgnęła się w aktorkę improwizującą.

Nie wiem.

Chyba...

ktoś mnie "odkrył".

W jaki sposób cię odkrył?

Uśmiechnęła się, a właściwie tylko skrzywiła.

Towarzysz bardziej wrażliwy niż Eks-Sportowiec nie podtrzymywałby tej linii pytań.

Blondwłosa Aktorka zaczęła mówić, najpierw powoli, z przerwami, potem z coraz większą pewnością siebie.

Grałam już w szkole średniej.

Byłam Emily w Naszym mieście i zauważył mnie pewien łowca talentów.

W Van Nuys mieliśmy znakomitego instruktora; dał mi wiarę w siebie.

Nauczył w sobie wierzyć.

Zanim Eks-Sportowiec zdołał zadać kolejne pytanie, opisała radośnie, na jednym wydechu, próby do swojej pierwszej komedii muzycznej, wysokobudżetowej produkcji Mężczyźni wolą blondynki.

Och, jakże się bała!

- oczy całego świata będą skierowane na nią.

Przygotowywała się bardzo starannie, tańczyła, śpiewała.

Znalazła się w rękach błyskotliwego choreografa.

Bardzo się cieszyła, że bierze udział w tej cudownej produkcji.

Zawsze kochałam muzykę.

Taniec.

Podnoszenie ludzi na duchu?

Pragnę, by wszyscy czuli się szczęśliwi, mieli chęć do życia.

Czasami sobie myślę, że Bóg stworzył mnie dziewczyną, a nie, och...

naukowcem?

... filozofem?

wyłącznie z tego powodu.

Eks-Sportowiec gapił się na Blondwłosą Aktorkę bez słowa.

Jeśli istniał scenariusz dla nich obojga, dla niego nie przewidziano kwestii.

Niewiele byłoby przesady w stwierdzeniu, że go całkowicie замуrowało.

A teraz Blondwłosa Aktorka narzekała ze smutkiem i nadąsaną miną na pocierane stopy, obolałe mięśnie nóg po nieustannych próbach, które od bywały się przez sześć dni w tygodniu i trwały od dziesiątej rano do osiemnastej.

Bezwiednym, dziecięcym gestem wyciągnęła kształtną nogę i zadarła spódnicę do kolana, głaszcząc się po tydce.

Ciągle mam skurcze.

Oj!

Wszyscy obecni w Villars zauważyli, że dłoń Eks-Sportowca niezgrabnie niczym zranione zwierzę przesunęła się, aby zaledwie opuszkami palców dotknąć nogi Blondwłosej Aktorki.

Że lekko zmieszany Eks-Sportowiec ze współczuciem mruknął: Może naciągnęłaś to ścięgno.

Potrzebny ci masaż.

Jakby dotknął rozgrzanego pieca, ta jej skóra; Przez gładkie nylonowe pończochy.

Drżącymi palcami Eks-Sportowiec podpalił cygaro.

Pojawił się ubrany na biało kelner, aby zabrać ich puste talerze.

Eks-Sportowiec, ośmielony po alkoholu, zaczął opowiadać o tym, jak jest na emeryturze po wypadnięciu z gry.

Blondwłosa Aktorka słuchała z taką samą uwagą jak poprzednio.

Chętniej i z większą łatwością słuchała, niż mówiła; kiedy się słucha, nie trzeba improwizować.

Siedziała pochylona, podparta na łokciach, jej piersi dokładnie wypełniały różowy staniczek ozdobiony koralikami, unosząc się i opadając zgodnie z rytmem jej oddechu, obie jej nogi zaś powróciły na poprzednie miejsce pod stołem.

Eks-Sportowiec, wypuszczając dym z cygara, opowiedział o swojej miłości do baseballu; o tym, że od dzieciństwa baseball był jego wybawieniem, rodzajem religii, a drużyna - bliską rodziną, zresztą tak jak fani.

Fani!

Fani mieli swoje kaprysy, ale zarazem byli cudowni.

Powiedział, że baseball przywrócił mu jego własną rodzinę, szacunek ojca i starszych braci.

Bo Eks -Sportowiec nie był szanowany, dopóki nie zaczął odnosić sukcesów w baseballu.

Nawet sam nie uważał się za mężczyznę.

W San Francisco mieszkali zawodowi rybacy, a on nie był zbyt dobry w łowieniu i odczuwał wstręt do łodzi, morza, umierających ryb; na szczęście miał smykałkę do sportu; zwłaszcza do baseballu, który okazał się jego przepustką do wielkiego świata i kariery.

Zaliczał się do zwycięzców w wielkiej amerykańskiej loterii, wiedział o tym i był wdzięczny losowi; nigdy nie uważał tego za oczywiste; a teraz, no cóż, przeszedł w stan spoczynku.

Przestał uprawiać sport zawodowo, ale miał jeszcze przed sobą swoje życie, całe życie, własną tożsamość.

Miał wiele do roboty - pojawianie się w miejscach publicznych, reklamowanie różnych produktów w radiu, telewizji, udział w komisjach doradczych, ale do licha, w rzeczywistości był samotny, tak, musiał przyznać, że jest samotny - mimo mnóstwa przyjaciół, cudownych przyjaciół, szczególnie w Nowym Jorku - w głębi duszy był naprawdę samotny, trzeba to przyznać.

Zbliżał się do czterdziestki i musiał się ustatkować.

Tym razem na dobre.

Blondwłosa Aktorka otarła z oczu łzy - skutek tych płynących z głębi serca słów i gryzącego dymu cygara, który płynął w jej kierunku.

Dotknęła lekko nadgarstka Eks-Sportowca.

Jego nadgarstek i wierzch dłoni porastały sztywne, ciemne włosy; zadrżała, widząc, jak kontrastują z olśniewająco białymi mankietami koszuli i złotymi spinkami.

Rzekła, jak gdyby była to odpowiednia reakcja na wszystko, z czego się jej zwierzył, i jakby nie miała nic więcej do powiedzenia: Och, ale ciągle widzę cię w czasopismach!

Nic na to nie wskazuje, że zakończyłeś karierę.

Eks-Sportowiec roześmiał się.

Pochlebilo mu to, ale i rozbawiło.

Daj spokój, nie pojawiaam się w czasopismach tak często jak ty, Marilyn.

Znowu ni to się uśmiechnęła, ni to skrzywiła, pochyliła głowę i bezwiednie szarpnęła za kołnierzyk sukienki.

Och, ja?

To kampania reklamowa Wytwórni.

Och, nie znoszę tego!

I podpisywania tych moich sztucznych wizerunków, "całusy, Marilyn".

Tych wszystkich listów, które przychodzą do Marilyn.

Tysiąc tygodniowo albo więcej.

W każdym razie potrwa to jakiś czas, póki nie zaoszczędzę trochę pieniędzy i nie dostanę propozycji zagrania poważnej roli, może na scenie?

W prawdziwym teatrze?

Mogłabym pracować z prawdziwym mistrzem dramatu.

Mogłabym pracować w teatrze stałym.

Mogłabym na nowo opracować rolę Naszym mieście.

Mogłabym zagrać Irinę w Trzech siostrach albo Maszę?

Kiedy byłam Rosę wNiagarze, wiesz, co sobie pomyślałam?

Nie śmiej się ze mnie, pomyślałam, że pewnego dnia zagram Lady Macbeth...

Blondwłosa Aktorka przerwała.

Eks-Sportowiec nie śmiał się z niej, ale chyba niewiele do niego docierało.

Patrzył na nią wzrokiem zamglonym i czułym, jakby leżeli bok przy boku na poduszkach.

Ssał koniec cygara.

Blondwłosa Aktorka, skruszona, dokończyła: W każdym razie nie będzie trwało wiecznie to, czym się zajmuję.

Ale ty, mistrz baseballu, którego wszyscy kochają - będziesz trwał wiecznie.

Eks-Sportowiec zamyślił się.

Wydawał się głęboko poruszony, ale nie bardzo wiedział, jak się ma zachować.

Wzruszył masywnymi ramionami.

Okej, powiedział.

Tak, chyba.

Była to improwizowana scena na ćwiczeniach aktorskich.

Wyczuwałaś instynktownie, że sytuacja wymaga czegoś więcej, dramatycznego zwrotu, zamknięcia.

Blond włosą Aktorka rzekła z pasją, zaczerpnąwszy gwałtownie powietrza: Och, ale na niczym nie zależy mi bardziej jak na stabilizacji.

Tak jak tobie.

Jak każdej dziewczynie.

I na rodzinie.

Och, bardzo kocham dzieci/Przepadam za nimi.

Właśnie wtedy, ni z tego, ni z owego, jakby wyskoczył z zapadni w nie mym filmie, osobnik zidentyfikowany jako M.

Classen, lat czterdzieści trzy, farmer, właściciel Eagle Bluffs w stanie Utah, podszedł do stolika tej pary.

Wszyscy obserwatorzy patrzyli.

Snajper gapił się z zaplecza restauracji, miał zmysły wyostrzone jak nóż brzytwy.

Co to było?

Kto to był?

Górował sylwetką nad Eks-Sportowcem i Blondwłosą Aktorką, która w niesamowitym zdumieniu tylko mrugała.

M. Classen otworzył portfel, aby pokazać im kolorowe zdjęcie swego jedenastoletniego syna Ikea, uśmiechniętego piegusa o kasztanowych włosach, który był "urodzonym baseballistą", póki przed

ośmioma miesiącami nie zaczął tracić na wadze i łatwo się kaleczył, zawsze był zmęczony, więc zawieźli go do lekarza w Salt Lake City, który stwierdził białaczkę.

Rak krwi.

Od rządowych prób z bronią nuklearną!

Wiemy to na pewno!

Wszyscy to wiedzą!

Po tym, jak zatruto się było.

Moje ranczo styka się ze strefą prób.

WSTĘP WZBRONIONY - WŁASNOŚĆ RZĄDU STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Posiadam sześć tysięcy akrów ziemi, mam swoje prawa.

Rząd nie zapłaci za transfuzje krwi Ikea; sukinsyny nawet nie chcą przyznać, że ponoszą odpowiedzialność.

Nie jestem komuchem, tylko stuprocentowym Amerykaninem!

Podczas ostatniej wojny służyłem w wojsku!

Proszę o wstawienie się za mną w rządzie...

Jak szybko M.

Classen się pojawił, tak szybko zniknął.

Ledwie ta upiorna scena nabrała jako takiego wyrazu w poświęceniu otaczającej parę przy stoliku, już się skończyła.

Wkrótce nadszedł z przeprosinami czerwony na twarzy kierownik sali.

Nieoczekiwanie Blondwłosa Aktorka ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Łzy skrzące się jak kamienie szlachetne potoczyły się po jej policzkach.

Eks-Sportowiec patrzył na nią, wstrząśnięty i zmieszany.

Widzieliśmy, jak bardzo chciał chwycić ją za dłonie i pocieszyć, ale był na to zbyt nie śmiały.

(Te spojrzenia dziesiątków nieznajomych!

Większość z nas przestała podglądać dyskretnie za pośrednictwem luster i teraz patrzyła otwarcie na dramat rozgrywający się przy stoliku sław.) Do twarzy Eks-Sportowca na płynęła krew.

Mężczyzna był bezradny i wściekły.

Kierownik kontynuował nieskładne przeprosiny, więc Eks-Sportowiec przerwał mu jakimś obscenicznym słowem.

Nie! Och, p...proszę!

To niczyja wina.

Blondwłosa Aktorka zwracała się błagalnym tonem do Eks-Sportowca, nie przestając płakać - chusteczka przy oczach w końcu stwierdziła, że musi pójść do toalety.

Co za scena:

szła szybkim, choć lunatycznym krokiem między stolikami, eskortowana przez roztrzęsionego kierownika sali; faliste platynowoblond włosy, kobieca sylwetka o krągłych kształtach w dopasowanej dżersejowej sukience z licznymi falującymi plisami, oczy wszystkich skoncentrowane na jej tyłku, osobliwych poruszeniach dolnej części jej ciała, niczym w filmowej panoramie, kiedy kamera z dyskretnej odległości spogląda na świat stęsknionym okiem niewidocznego i anonimowego podglądacza.

Wszystkim, którzy patrzyli nawet Snajperowi, dla którego gwiazdy filmowe i mistrzowie sportu mieli w gruncie rzeczy takie samo znaczenie jak środek tarczy strzelniczej wydawało się, że tajemnicza aura otaczająca wcześniej stolik intrygującej pary podążyła za Blondwłosą Aktorką, póki kobieta niemal nie wbiegła do damskiej toalety i nie zniknęła nam z oczu.

Blondwłosa Aktorka osuszyła oczy papierową chusteczką i doprowadziła do porządku makijaż.

Twarz jej płonęła, jak gdyby ktoś uderzył ją w policzek.

Okropna scena!

Kiedy człowiek nie jest przygotowany na wzruszenia, płacz boli.

Poza tym kołnierzyk wpijał się jej w szyję jak palce męskiej dłoni, jak palce Cassa, gdyby kiedykolwiek mógł ją chwycić.

Pociągała nosem, była podekscytowana i w pewnym momencie uświadomiła sobie, że przygląda się jej kobieta z obsługi, wytrącona z transu charakterystycznego dla tego rodzaju personelu przez stan emocjonalny Blondwłosej Aktorki.

Kobieta była kilka lat starsza od Blondwłosej Aktorki, miała ciemnooliwkową skórę.

Zacinając się lekko, zapytała:

Proszę pani?

Czy wszystko jest w porządku?

Blondwłosa Aktorka zapewniła:

- Tak, tak.

W stanie wzburzenia nie życzyła sobie, aby ktoś przyglądał się jej z bliska.

Niezgrabnie sięgnęła po obszytą koralikami torebkę.

Potrzebna jej była kolejna chusteczka, którą kobieta z obsługi dyskretnie jej wręczyła.

Dziękuję!

Wnętrze toalety utrzymane było w jasnym, schlebającym różu poprzątkowanym złotem.

Żarówki zainstalowane w niszach dawały łagodne światło.

W lustrze Blondwłosa Aktorka widziała, że oczy kobiety z obsługi spoczywają na niej; widziała jej twarz o niskim czole, włosy zaczesane do tyłu i zebrane na karku, skąpe brwi, cofniętą brodę i niewyraźny, krzywy uśmiech.

Jesteś piękna, ja jestem brzydka i nienawidzę cię.

Chociaż nie, młoda kobieta wydawała się szczerze zatroskana.

- Proszę pani, jeśli mogłabym coś zrobić...?

Blondwłosa Aktorka przyglądała się lustrzanemu odbiciu kobiety z obsługi: czy ta młoda kobieta jest kimś, kogo powinna znać?

Musiała za dużo wypić, szampan momentalnie uderzał do głowy i sprawiał, że chciało się jej płakać albo śmiać; w jej życiu z szampanem łączyło się zbyt wiele wspomnień, ale nie umiała się powstrzymać, aby się go nie napić, tak samo jak czerwonego wina, a obecność Eks-Sportowca wprowadzała jeszcze dodatkowe zamieszanie, bo oto miała do czynienia z mężczyzną, którego atrakcyjność onieśmielała ją i nie chroniła jej przed samą sobą.

Oto mężczyzna, który jest dżentelmenem, czy naprawdę liczy się coś więcej?

Właśnie wtedy Blondwłosa Aktorka uświadomiła sobie, że zna tę kobietę o oliwkowej skórze.

Jewell!

Siostra Normy Jeane z sierocińca przed piętnastu laty.

Jewell, która zabawnie wymawiała słowa, co prowokowało okrutnych chłopców do bezlitosnych kpin.

Czasami kpiła z niej też Fleece, za którą Jewell przepadała.

Jewell wpatrywała się w lustrzane odbicie Blond włosej Aktorki.

Twoje miejsce jest tutaj, razem ze mną.

Blondwłosa Aktorka już miała zawołać z uśmiechem: Och, czy to ty, Jewell?

Czy my się znamy?

Ale ostrzegł ją jakiś głos: Nie.

Lepiej nie.

Inna elegancko ubrana kobieta otworzyła drzwi do toalety.

Blondwłosa Aktorka weszła do jednej z kabin.

Aby zagłuszyć dźwięczny odgłos sikania - podczas którego od czasu Operacji (tak o tym myślała) odczuwała gorąco, pieczenie i ból - spuściła wodę jeden raz, po chwili drugi.

Ależ żenująca sytuacja!

Ciekawe, czy Jewell ją rozpoznała; czy rozpoznając Marilyn Monroe, Jewell rozpoznała równocześnie ją.

Bo jedna tkwiła w drugiej, odgrywając wynalezioną dla niej rolę.

Kiedy Cass dowiedział się o aborcji, rzekł do niej przez telefon: Daj spokój.

Nie obwiniaj jej!

Ona to też ty.

Gdy Blondwłosa Aktorka podeszła do umywalki, aby umyć dłonie, ta druga kobieta weszła do kabiny - Bogu dzięki.

Ponieważ nie było pojemnika z papierowymi ręcznikami, Blondwłosa Aktorka musiała poczekać, aż kobieta z obsługi poda jej ręcznik; podziękowała i wrzuciła pięćdziesiąt centów do stojącej na półce miseczki z monetami i banknotami.

Odwróciła się, aby odejść, kiedy młoda kobieta powiedziała ostro:

- Przepraszam panią?

Blondwłosa Aktorka uśmiechnęła się do niej, zakłopotana.

Czegoś zapomniała?

Ale przecież trzymała w ręku swoją białą torebkę.

- Tak, słucham?

Kobieta uśmiechnęła się dziwnie.

Trzymała przed sobą jakiś przedmiot zawinięty w ręcznik.

Blondwłosa Aktorka zajrzała do środka i zobaczyła pokaleczoną kulkę ludzkiego ciała wielkości gruszki, błyszczącą świeżą krwią.

Nieruchomy, miniaturowy ludzki tors bez nóg; bez twarzy, ale z za wiązkami oczu, nosa i maleńkimi ustami otwartymi do wrzasku cierpienia.

- Panno Monroe, tego pani zapomniała.

Eks-Sportowiec wyjął nowy, błyszczący skórzany portfel i rzucił go na stół.

Żyłki na jego skroniach pulsowały złowieszczo.

Piękna kobieta płakała;

jeśli jej łzy nie okrywały go hańbą, to po prostu go wzruszały.

DLA ELIZY

Zawsze musisz grać siebie.

Lecz będzie to nieskończona różnorodność.

Konstantin Stanisławski, Praca aktora nad sobą

To nie mógł być przypadek.

Bo nie istniały przypadki w tym miejscu, w którym będzie mieszkała jedynie tymczasowo przez resztę swego blondwłosego życia.

Tutaj odkryłam, że wszystko jest koniecznością, jak haczyki wędki, które tkwią mocno w ciele, choć je kaleczą.

Dla Elizy, piękna, smutna melodia.

Dla Elizy, utwór, który grała kiedyś, dawno temu, w każdym razie próbowała go grać.

Na połyskującym białym fortepianie Gladys, należącym wcześniej do Fredrica Marcha.

Kiedy mieszkały przy Highland Avenue w Hollywood.

Gladys poświęciła się, aby zapewnić Normie Jeane lekcje fortepianu i śpiewu, wiedząc, że któregoś dnia jej córka zostanie artystką.

Zawsze we mnie wierzyła.

A ja tak niewiele wiedziałam.

Pan Pearce, którego uwielbiała i zarazem się bała, uczył ją sztuki prowadzenia palców po klawiaturze.

"Normie Jeane, nie bądź głupia.

Spróbuj".

Była sama, kiedy usłyszała tę muzykę.

Rozmarzona jechała do góry na ruchomych schodach u Bullocka w Beverly Hills.

Musiał być poniedziałek, dzień wolny od prób.

Nie ubrała się jak Lorelei Lee ("Rola, dla której Marilyn Monroe się urodziła!

"), ale jak zwyczajna kobieta z Beverly Hills robiąca zakupy.

Nikt jej nie poznawał, tego była pewna.

Przyszła do Bullocka kupić prezenty dla swojego specjalisty od makijażu Whiteya, który był prawdziwym dziwakiem i często ją rozśmieszał; i dla Yvet, asystentki pana Z, która była dla niej bardzo uprzejma, pomocna, cierpliwa, a przede wszystkim dyskretna; i ładny szlafrok dla Gladys, który prześle do Lakewood z kartką:

Uściski, Twoja córka Norma Jeane.

Nosiła okulary tak ciemne, że miała kłopoty z odczytywaniem cen na etykietach, luźny lniany żakiet w kolorze piasku i lniane spodnie.

Buty z żaglowego płótna na korkowej podeszwie, aby dać odpocząć zmęczonym, obolałym stopom.

Włosy blond, nadal odrobinę splątane po nocy, związała lekko błękitną chustą, którą prawdopodobnie dostała od kogoś w prezencie albo komuś zabrała.

W obecnej fazie jej życia ludzie ciągle wciskali jej jakieś rzeczy, ubrania, nawet biżuterię i spinki do włosów, jeśli z uprzejmości albo ze zwyczajnej potrzeby powiedzenia czegośkolwiek w odpowiedzi na intymne pytanie sprzedawcy wyraziła choć by najłagodniejszy podziw wobec tychże rzeczy.

Marilyn, przymierz!

Ojej, bardzo ci w tym do twarzy!

Zatrzymaj to sobie.

Proszę.

Kiedy na ruchomych schodach wjeżdżała na pierwsze piętro domu towarowego Bullocka, usłyszała dźwięki fortepianu, chociaż w pierwszej chwili nie wiedziała, co to jest.

W jej głowie kłębiło się niczym w jakiejś zwariowanej szafie grającej mnóstwo żywych, musicalowych melodii, ostrej, synkopowanej muzyki tanecznej.

Gwałtownej, wulgarnej.

Ale tym razem była to klasyczna muzyka płynąca w dół z wyższego piętra.

Nie z taśmy ani z płyty, tego była pewna, lecz grana na żywo.

Przez pianistę z krwi i kości?

Dla Elizy Beethovena!

Dźwięki przeszywały jej serce niczym odłamki czystego szkła.

Dla Elizy, utwór, który Clive Pearce grywał dla Normy Jeane, powoli, delikatnie, ze smutkiem, na magicznym białym fortepianie, zanim zawiózł ją do sierocińca.

Jej wujek Clive.

"Ostatni raz, moja droga.

Czy mi wybaczysz?

"

Chciała mu wybaczyć!

I wybaczyła.

Sto, tysiąc razy wybaczyła im wszystkim.

W rzeczywistości Marilyn jest inna niż na zdjęciach.

Wygląda młodziej, jest śliczna, ma słodką twarz.

Nie jest piękną.

Któregoś dnia widzieliśmy ją w domu towarowym Bullocka, robiła zakupy.

Wyglądała jak wszyscy.

No, prawie.

Jak zauroczona podążała do źródła tych dźwięków na ostatnie, czwarte piętro.

Emocje wypełniały ją do tego stopnia, że nie potrafiła wyjaśnić, skąd się wzięła tu, w tym sklepie; tak naprawdę nie cierpiała robienia zakupów; obecność w miejscu publicznym niepokoiła ją.

Nawet gdy występowała w przebraniu, istniała możliwość, że czyjeś uważne, bystre oczy wypatrzą co trzeba, ponieważ był to czas informatorów, świadków.

(Nawet V, którego w czasach wojny uważano za bardzo popularną gwiazdę i stuprocentowego patriotę, przesłuchiwała niedawno stanowa komisja tropiąca komunistów i dywersantów w przemyśle rozrywkowym.

Och, a jeśli V wymienił jej nazwisko!

Czy nie powiedziała czegoś przy nim w obronie komunizmu?

Nie, V chyba jej nie zdradził, prawda?

Po tym, ile dla siebie kiedyś znaczyli?

) Dźwięki fortepianu wabiły ją, nie mogła się im oprzeć.

Do jej oczu napłynęły łzy.

Była taka szczęśliwa!

Wszystko układało się dobrze, jej życie, kariera, i miała myśleć o przyszłości, nie o przeszłości.

W Wytwórni dostała dużą garderobę, która niegdyś należała do Marleny Dietrich,

i choćby tylko dlatego nie mogła sobie pozwolić na myśli, które by ją nadmiernie podnieciły i przepełniły lękiem.

Bo ostatnio znowu cierpiała na bezsenność.

Chyba że pracowała, pracowała, pracowała, ćwiczyła i tańczyła, czytała i prowadziła dziennik.

Ale u Bullocka zabronili jej przymierzać ubrania.

W każdym dobrym sklepie.

Plamiła rzeczy.

Nie nosi bielizny.

Nie jest czysta.

Szprycuje się benzedryną, poci się.

Czwarte piętro Bullocka uchodziło za prestiżowe.

Sprzedawano tu ubrania drogich projektantów, mieścił się salon z futrami.

Na podłodze leżała ciężka wykładzina dywanowa w przygaszonym różu.

Nawet oświetlenie było niezwykłe.

Na tym poziomie Norma Jeane przymierzała ubrania pod okiem pana I.

E. Shinna; na tym poziomie dawny agent kupił jej białą koktajlową sukienkę na premierę Asfaltowej dżungli.

Jakże łatwe było jej życie jako Angeli!

Wtedy nikt niczego na Marilyn Monroe nie wymuszał;

Marilyn Monroe istniała od zaledwie trzech lat.

Wierzył w nią tylko I.

E. Shinn.

"Mój Isaac.

Mój Żyd".

A jednak zdradziła go.

To ona spowodowała jego śmierć na atak serca.

Żyli w Hollywood ludzie, bliscy krewni pana Shinna, którzy pogardzali nią jako obłudną dziwką.

Co takiego zrobiła?

Czym zawiniła?

"Nie wyszłam za niego i nie przyjmę jego pieniędzy.

Mogę wyjść za mąż wyłącznie z miłości".

Kochała Cassa Chaplina i Eddyego G, choć w zbyt gorącym okresie życia wyprowadziła się z ich wspólnego mieszkania.

Bliźnięta.

Z Bliźniętami przyszłość nie istniała; musiała uciekać.

Miała zaledwie tyle czasu, aby zabrać najważniejsze ubrania i ulubione książki.

Pozostawiła za sobą wszystko, w tym także małego pasiastego tygrysa.

Yvet nadzorowała także i tę operację.

I wynajęcie przez Normę Jeane nowego mieszkania na Fountain Avenue.

(Yvet postępowała zgodnie ze wskazówkami Z, rzecz jasna.

Obecnie Z, który kierował produkcją w Wytwórni, gorliwie angażował się w jej życie, był serdeczny i wyrozumiały dla niej, bądź co bądź inwestycji wartej miliony.) A teraz także Eks-Sportowiec twierdził, że ją kocha; nigdy tak nie kochał żadnej kobiety, i chce się z nią ożenić.

Powiedział to już na drugiej randce, jeszcze zanim zostali kochankami.

Czy to możliwe?

Człowiek taki sławny, uprzejmy, szczodry i taktowny chce się z nią ożenić?

Miała ochotę wyjawić mu, że była fatalną żoną dla Buckyego Glazera.

Ale okazała słabość i obawę przed utratą względów Eks-Sportowca: usłyszała własny, dziewczęcy głos, który oświadczył, że ona także go kocha i wkrótce za niego wyjdzie.

Miała rozczarować tego dobrego człowieka?

Złamać mu serce?

Zdaje się, że jestem dziwką...

Nie chcę nią być!

Norma Jeane zbliżała się do pianisty od tyłu.

Szła powoli i ostrożnie.

Nie chciała go rozpraszać.

Siedział przy eleganckim, koncertowym steinwayu blisko schodów, starszy pan w białym fraku i krawacie, jego palce bezbłędnie poruszały się po lśniącej klawiaturze.

Nie miał przed sobą nut; grał z pamięci.

"To on, pan Pearce!

" Oczywiście Clive Pearce znacznie się postarzał.

Minęło osiemnaście lat.

Zeszczuplał i całkiem posiwiał; skóra wokół jego inteligentnych oczu pomarszczyła się i odbarwiła; niegdyś ładna twarz pokryła się siateczką zmarszczek i obwisłe fałdy otaczały brodę.

Mimo to jakże pięknie ukazywał przeważnie obojętnym, zamożnym klientkom niepokojącą słodycz Dla Elizy, ignorując gwar rozmów ekspedientek i kupujących.

Norma Jeane chciała krzyknąć:/ możecie być tacy nieczuli?

Gra tutaj prawdziwy artysta.

Posłuchajcie!

Nikt spośród obecnych na tym piętrze nie słuchał gry Clivea Pearcea poza jego dawną uczennicą Normą Jeane, teraz już dojrzałą kobietą.

Przygryzała wargi i ocierała oczy za ciemnymi szklami okularów.

Marilyn na pewno lubi muzykę fortepianową!

Widzieliśmy, jak słuchała gry pewnego starszego gościa na ostatnim piętrze u Bullocka.

Może udawała, ale ja tak nie uważam.

Miała w oczach łzy.

Każdy by dostrzegł, że nie włożyła stanika, pod cienkim białym materiałem sterczały sutki.

W nowym, bardzo skromnie umeblowanym apartamencie przy Fountain Avenue urządziła obok łóżka panteon wielkich ludzi, których podobizny wycięła z książek albo czasopism.

Wśród innych wyróżniało się artystyczne przedstawienie Beethovena: masywne czoło, ognisty wyraz twarzy i włosy w całkowitym nieładzie.

Beethoven, geniusz muzyczny, który Dla Elizy zakwalifikował do drobiazgów, muzycznych żartów.

W panteonie znaleźli się również: Sokrates, Szekspir, Abraham Lincoln, Wacław Niżyński, Clark Gable, Albert Schweitzer oraz amerykański dramaturg, który ostatnio otrzymał nagrodę Pulitzera.

Po miniaturze Dla Elizy pianista zagrał kilka preludiów Chopina, potem marzycielski utwór Hoagiego Carmichaela Stardust.

Nie mógł to być czysty przypadek, ponieważ jedyna ładna piosenka w musicalu Mężczyźni wolą blondynki była autorstwa Carmichaela: When Love Goes Wrong, Nothing Goes Right w wykonaniu Lorelei Lee.

Norma Jeane słuchała w zauroczeniu.

Tego popołudnia spóźni się na kilka spotkań, w tym na jedno ważne, z projektantem kostiumów.

A jeszcze obiecała Eks-Sportowcowi, który przebywał w Nowym Jorku, że wróci do domu o czwartej, aby odebrać telefon od niego.

Starła się przypomnieć sobie, czy ostatnio widziała Clivea Pearcea w jakimś filmie.

Choć ów człowiek niewątpliwie miał talent, znalazł się na marginesie; jego kontrakt z Wytwórnią pewnie wygasł już przed laty.

Teraz musiał podejmować się takich zajęć!

Występować w domu towarowym.

Pomoże mu, jeśli tylko będzie mogła.

Może da się załatwić jakąś niewielką rolę w filmie Mężczyźni wolą blondynki, może mógłby grać na fortepianie.

"Tyle przynajmniej mogę zrobić.

Wiele temu człowiekowi za wdzięczam".

Wreszcie pianista zrobił sobie przerwę.

Norma Jeane, klaszcząc entuzjastycznie, podeszła, aby się przedstawić.

- Pan Pearce?

Czy pan mnie pamięta?

Norma Jeane.

Clive Pearce podniósł się ze stołka i przez dłuższą chwilę patrzył na nią zdumiony.

- Marilyn Monroe?

Czy jesteś...?

-T...tak.

Teraz tak.

Ale byłem...

Normą Jeane.

Pamięta pan?

Highland Avenue?

Gladys Mortensen?

Mieszkaliśmy po sąsiedzku?

Panu Pearceowi opadła jedna z powiek.

W obwisłych policzkach widać było sieć drobnych żyłek.

Ale artysta uśmiechał się szeroko, mrugając, jak by ostre światło padało mu prosto w twarz.

- Marilyn Monroe, jestem zaszczycony.

W przepisowym stroju, fraku, białym krawacie i lakierkach Clive Pearce wyglądał jak manekin, tylko częściowo ożywiony.

Norma Jeane serdecznie ścisnęła mu dłoń, co w ogóle robiła z coraz większą pewnością siebie;

obecnie należała do osób, których dłoń ludzie bardzo chętnie ściskali i nie spieszyli się z puszczaniem, pan Pearce natomiast ścisnął jej obie dłonie, wpatrując się w nią ze zdumieniem.

- Pan się nazywa Clive Pearce, prawda?

- Zgadza się.

Skąd mnie pani zna?

- Naprawdę nazywam się Norma Jeane Baker.

Powinnam właściwie po wiedzieć: Norma Jeane Mortensen.

Znał pan moją matkę, Gladys Mortensen, przyjaźnił się pan z nią.

To było około roku 1935.

Clive Pearce roześmiał się.

Z ust pachniało mu miedzianymi monetami trzymanymi zbyt długo w wilgotnej dłoni.

- Minęło tyle lat.

Ojej, wtedy chyba jeszcze pani nie było na tym świecie, panno Monroe.

- Z pewnością byłam, panie Pearce.

Miałam dziewięć lat.

Uczył mnie pan grać na fortepianie.

- Norma Jeane starała się nie być zbyt natarczywa.

Półświadomie zdawała sobie sprawę, że wokół zebrała się pewna liczba nieznanym, którzy przyglądali się im z dyskretnej odległości.

- Nie pamięta mnie pan?

Byłam małą dziewczynką.

Uczył mnie pan grać Dla Elizy.

- Mała dziewczynka grała Dla Elizy?

Droga pani, bardzo w to wątpię.

Pan Pearce wyglądał jak ktoś, kto podejrzewa, że jest nabijany w butelkę.

-Moją matką była...

jest...

Gladys Mortensen.

Nie pamięta jej pan?

- Gladys?

-Chyba byliście kochankami.

To znaczy, pan kochał moją m...matkę...

Ona była taka piękna i...

Srebrzystowłosy starszy dżentelmen uśmiechnął się do Normy Jeane i tylko mrugał.

Twoją matkę?

Kobietę?

Nie.

- Moja droga, chyba mylisz mnie z kimś innym.

W tym mieście blichtru wszyscy Brytyjczycy są do siebie podobni.

- Wynajmowaliśmy mieszkania w tym samym domu, panie Pearce Highland Avenue 28 w Hollywood.

Pięć minut drogi od Hollywood Bowl.

- Od Hollywood Bowl!

Tak, teraz chyba coś sobie przypominam, jakieś okropne, zrujnowane miejsce pełne karaluchów.

Dzięki Bogu mieszkałem tam bardzo krótko.

- Z matką nie było dobrze, musiała iść do szpitala.

Był pan moim wujkiem Cliveem.

Pan i cioteczka Jessie zawieźliście mnie do się...

się...siero cińca.

Pan Pearce zrobił się czujny.

Skrzywił się i nachmurzył.

- Cioteczka Jessie?

Czy ktoś twierdzi, że była moją żoną?

- Och, nie.

Tak właśnie się do was zwracałam.

To znaczy, wy chcieliście, abym tak was nazywała, pan i ona, ale ja nie mogłam.

Naprawdę pan nie pamięta?

- Dopiero teraz głos Normy Jeane zaczął brzmieć błagalnie.

Stała blisko tego starszego mężczyzny, który był niższy o kilka cali od swego pierwowzoru przechowywanego w jej pamięci, więc krąg obserwatorów nie mógł ich dobrze słyszeć.

- Uczył mnie pan gry na małym steinwayu, takim w kolorze kości słoniowej, mama dostała go od Fredrica Marcha...

W tym momencie Clive Pearce pstryknął palcami.

- Fortepian!

Oczywiście.

Mam ten fortepian w swoim posiadaniu.

- Ma pan fortepian mojej matki?

- To mój fortepian, moja droga.

- Ale...

w jaki sposób pan go dostał?

-W jaki sposób go dostałem?

Niechże no się zastanowię.

- Clive Pearce ściągnął brwi i uszczypnął się w dolną wargę.

- Zdaje się, że właściciel domu stał się właścicielem części rzeczy należących do pani matki w zamian za zaległy czynsz.

Tak, to chyba było właśnie tak.

Fortepian trochę ucierpiał w ogniu...

pamiętam jakiś pożar...

zapropnowano mi jego kupno, Naprawiłem instrument i od tamtej pory mam go u siebie.

Uroczy mały fortepian, z którym nie potrafiłbym się rozstać.

Nigdy.

- Nawet za...

wysoką cenę?

Wydawszy wargi, Clive Pearce pomyślał nad tym.

Uśmiechnął się jak kiedyś.

Norma Jeane pamiętała ten uśmiech, wywołujący u niej dreszcze, przebiegły uśmiech niegodnego zaufania wujka Clivea.

- Moja droga, śliczna Marilyn, może dla ciebie mógłbym się zgodzić na szczególne ustępstwa.

W ten oto magiczny sposób Clive Pearce dostał epizodyczną rolę w filmie *Mężczyźni wolą blondynki*.

Zagrał na fortepianie w tle sceny rozgrywającej się w luksusowym salonie na transatlantyku parowym, a pokojowy Steinway, niegdyś należący do Fredrica Marcha, przeszedł na własność Normy Jeane za tysiąc sześćset dolarów pożyczonych od Eks-Sportowca.

KRZYK.

PIOSENKA

Powinieneś sobie wyobrazić, że w tej samej przestrzeni, którą zajmujesz wraz ze swoim rzeczywistym ciałem, istnieje inna postać, wymyślone ciało twojego bohatera, którego stworzyłeś we własnej wyobraźni.

Michał Czechow, O technice aktora

Nie był to smukły, elegancki samochód Wytwórni, odpowiedni dla członków rodziny królewskiej, tylko brzydki, garbaty nash w melancholijnym kolorze wody, jaka zostaje po zmywaniu naczyń, kiedy się rozejdzie piana.

Kierowca w uniformie i czapce z daszkiem był stworzeniem o ciemnym odcieniu skóry, trochę żabą, trochę człowiekiem z ogromnymi, szklistymi i błyszczącymi oczami, których się bała.

"Och, nie patrz tak na mnie.

To nie ja".

Przełknęła piasek, w ustach pozostała suchość.

A może włożyli jej do ust bawełniany knebel, żeby nie krzyczała?

Starła się wytłumaczyć kobiecie o uśmiechu zarysowanym jaskrawą szminką, kobiecie, która dłońmi w czarnych ażurowych rękawiczkach wpychała ją na tylne siedzenie nasha, że się rozmyśliła, ale ta kobieta nie chciała jej słuchać.

Ręce miała bardzo silne, sprawne, wyćwiczone.

- Nie, proszę, ch.-.chcę wracać.

To jakieś...

Dziewczęcy głos przerażonej kobiety.

Miss Złote Marzenia?

Żabi Szofer kierował garbatym pojazdem z podziwu godną szybkością i wprawą po bijących słonecznym blaskiem ulicach Miasta z Piasku.

Nie była to noc, ale słońce raziło ją w oczy do tego stopnia, że niczego nie widziała wyraźniej niż w nocy.

- Hej!

Zmieniłam zdanie, rozumiecie?

Mam własne z...zdanie i mogę je zmieniać.

Tak!

Ziarna piasku znalazły się nie tylko w jej ustach, ale i w oczach.

Kobieta z dłońmi w ażurowych rękawiczkach zrobiła minę, którą można by określić jako marsowy uśmiech.

Nastąpiło jakieś gwałtowniejsze zatrzymanie.

Normie Jeane przyszło do głowy, że odbyli podróż w Czasie.

Każda rola dla aktora jest podróżą w Czasie.

Oddalasz się na zawsze od poprzedniej tożsamości.

Nagle krawężnik!

Betonowe schody!

Korytarz i ostry zapach medycznych chemikaliów, taki, jaki przenosił na swoich dłoniach dużego chłopca Bucky Glazer.

I niespodzianka (jak w filmie, w którym nieoczekiwanie otwierają się drzwi i głośniej rozbrzmiewa muzyka): elegancko umeblowany pokój.

Poczekalnia.

Ściany wyłożone lakierowanym drewnem, reprodukcje Normana Rockwella z "The Saturday Evening Post".

"Nowoczesne" krzesła o nogach z rur.

Szerokie, błyszczące biurko i...

czaszka?

Pożółkła czaszka z delikatnymi pęknięciami, jakby polakierowana, z niepokojącą dziurą na górze (rezultat autopsji?

wycięli ci pokrywę czaszki?),

wypełniona długopisami, ołówkami, drogimi fajkami Doktora.

Oficjalnie Doktor miał tego dnia wolne.

Później tego ranka on i jego przyjaciel Bing Crosby będą grali w golfa w Wilshire Country Club.

Teraz widziała jakąś świetlną złudę, którą brała za świetną obłudę.

O brzasku wypetlała ze swojego przepeconego łóżka, aby wziąć kilka tabletek kodeiny.

- Proszę mnie wysłuchać, zmieniłam zdanie.

Ale nie mogła niczego zmieniać.

Postanowiła się rozpoznać.

To światło sterylizuje.

Niebezpieczeństwo zakażenia się drobnoustrojami i wirusami będzie minimalne.

(Takie osobliwe i komiczne myśli często przychodziły jej do głowy na planie filmu.

Nadmiar światła, intensywność spojrzenia szklanego oka kamery, wiedza, że kiedy zaczynasz grać, kiedy wyłania się twoje filmowe "ja" - bez wysiłku, jak mrugnięcie okiem - wtedy ty i Magiczna Przyjaciółka stanowicie jedno, jesteście absolutnie bezpieczne i szczęśliwe.) Mimo wszystko dalej starała się wytłumaczyć, że popełniła błąd, że nie chce Operacji; tak, ale znajdowała się w "dobrych rękach"; pan Z obiecał.

Nie wolno ryzykować inwestycji wartej miliony dolarów.

Nic jej nie grozi.

Marilyn Monroe nigdy nic nie będzie grozić, Wytwórnia już się o to postara.

Aby jej dodać otuchy, Yvet nuciła: Te dobre ręce uleczą twój smutek, te dobre ręce wyczyszczą ci buty.

Dobre ręce od rana do nocy.

Pojąwszy, że nie wysłuchają jej błagań, Norma Jeane powiedziała głosem Lorelei Lee, słodkim, seksownym, zabawnym głosem małej dziewczynki:

- Ojej, wy wszyscy!

Wiecie co?

Wcale bym się nie zdziwiła, gdybyście zaczęli śpiewać i tańczyć.

Doktora jakoś nie rozbawiła ta uwaga, chociaż rzeczywiście się uśmiechnął.

Jego twarz kojarzyła się z grzybem, miał gruby nos ze sterczącymi włoskami.

Zwracał się do niej "Moja droga", być może po to, by zaznaczyć, że nie zna jej imienia ani nazwiska i nigdy jej nie zdradzi.

Co za ulga.

Doktor nie rozpoznał stawnej pacjentki.

Nikt z nich jej nie znał.

Drżała, naga pod cienką koszulą.

Bucky nigdy nie pozwolił jej zobaczyć trupa, ale w jakiś sposób zobaczyła go, dowiedziała się.

Szara skóra, oczy zapadnięte w oczodołach.

Naciskasz palcem gąbczastą skórę nieboszczyka, a ona nie powraca sprężystości na poprzednie miejsce.

Norma Jeane kuliła się i przy gryzała dolną wargę, aby się powstrzymać od historycznego śmiechu; przenieśli ją na stół; pod nią gniótł się i szeleścił cienki papier, zsiusiała się ze strachu, ale wytarli to bez słowa i umieścili jej nogi w kabłąkach.

Nagie stopy!

A stopy są takie wrażliwe!

- Proszę na mnie nie patrzeć?

Nie robić zdjęć?

Ciotka Elsie udzieliła jej kiedyś rady: Po prostu staraj się nie wchodzić im w drogę, to proste.

Norma Jeane zazwyczaj stosowała się do tej rady i właśnie w ten sposób się kochała: leżała bardzo spokojnie, uśmiechała się, sprawiała wrażenie szczęśliwej, wyczekującej, słodkiej, spolegliwej i pełnej nadziei, otwierała się przed kochankiem, dawała się kochankowi w prezencie; czy tego mężczyźni pragną naprawdę?

Dziwne, ale Eks-Sportowiec okazał się delikatnym, chociaż namiętym kochankiem, kochankiem w stylu starszego mężczyzny, tak jak V, sapiącym, pocącym się i wdzięcznym.

Eks-Sportowiec, który był dżentelmenem, nigdy się z niej nie śmiał, tak jak to niewybaczalnie robiły Bliźnięta.

Nagłówek do "Tatlera": SZOKUJĄCA WYPOWIEDŹ.

MARILYN, SYMBOL SEKSU ZADAJE PYTANIE: "CZY PIEPRZYĆ TO CZASOWNIK?"

" Śmiech, śmiech.

Cóż, ona także się śmiała.

A Doktor łaskotał ją gumowymi palcami.

Palcami, które wciskały się wszędzie.

Jak palce wujka Clivea, które czuła to w górze, to w dole, także w rozstępie między jej małymi pośladkami niczym małą, figlarną myszkę.

Po chwili wyszła, tak że już sama nie wiedziałaś, czy myszka tam była.

Kodeina wprawiła ją w stan odrętwienia.

Norma Jeane czuła ból jakby z daleka.

Tak jak się słyszy krzyki z sąsiedniego pokoju.

Doktor mówił: "Nie opieraj się, proszę.

Ból będzie minimalny.

Ten zastrzyk sprawi, że zapadniesz w lekki sen.

Nie chcemy robić niczego na siłę".

- Chwileczkę.

Zaszła jakaś pomyłka.

Ja...

Odsunęła czyjeś ręce.

Gumowe ręce.

Nie widziała żadnych twarzy.

Światła z góry oślepiały.

Możliwe, że zapędziła się daleko w przyszłość i słońce rozlało się, wypełniając całe niebo.

- Nie!

To nie miałam być ja!

Dzięki Bogu zdołała ześlizgnąć się ze stołu.

Krzyczeli za nią, ale uciekła.

Bosa, zdyszana.

Och, a jednak zdołała uciec!

Nie było za późno.

Pobiegła po schodach do góry, drzwi nie były zamknięte, pchnęła je.

A tam znajome twarze: Mary Pickford, Lew Ayres, Charlie Chaplin.

O, Mały Tramp!

Charlie był jej prawdziwym tatą.

Te oczy!

Z sąsiedniego pokoju dobiegł jakiś stłumiony dźwięk.

Tak, z pokoju Gladys.

Dawniej było to miejsce zakazane, niedostępne, ale teraz Gladys wyjechała.

Norma Jeane wbiegła do środka, zobaczyła biurko.

W biurku szufladę, którą musiała otworzyć.

Nie mogła dać rady.

Czy starczy jej sił?

W końcu udało jej się wysunąć szufladę; dziecko machało rozpaczliwie maleńkimi rączkami, nóżkami, krztusiło się.

Prychało i starało się zaczerpnąć powietrza, by wreszcie zapłakać.

Akurat wówczas, gdy chłodny wziernik znalazł się w jej ciele między nogami.

Gdy łyżeczkowali ją tak, jak się patroszy ryby.

Wnętrza ocierały się o brzegi narzędzia.

Rzucała głową z jednej strony na drugą, krzycząc, póki nie zacisnęły się ścięgna w jej gardle.

Dziecko krzyknęło.

Jeden jedyny raz.

- Panna Monroe?

Proszę.

Już czas.

Więcej niż czas.

Jak długo ją wołali?

Pukali delikatnie do drzwi garderoby?

Już od czterdziestu minut siedziała tu w nienagannej fryzurze, idealnej maseczce kosmetycznej, pogrążona w transie, wpatrzona nieruchomo przed siebie, we wspaniałej, podniecająco różowej sukni z jedwabiu, rękawiczkach sięgających łokci, z odstąpionym skrawkiem imponujących piersi, z połyskującą biżuterią, przyczepioną do uszu, owiniętą wokół ślicznej szyi.

Do tego połyskująca doskonałość cipowatych ust.

Czas zaśpiewać Diamonds Are a Girl's Best Friend.

Monroe nie miała słabych punktów.

Prawdziwa profesjonalistka.

Zapamiętawszy raz słowo, sylabę, nutę, rytm, bywała później precyzyjna jak szwajcarski zegarek.

Nie dało się jej sprowadzić do "postaci", " roli".

Z całą pewnością musiała posiadać umiejętność widzenia siebie w filmie, zdolność do czegoś w rodzaju animacji.

Nad tą animacją potrafiła panować od wewnątrz.

Panowała nad tym, jak owa animacja będzie postrzegana przez nieznanymi ludzi w zaciemnionej sali kinowej.

Taka właśnie była Marilyn Monroe w filmie: animowana, żywa postać, którą nieznanymi pewnego dnia ujrzą i pokochają.

Kiedy po raz pierwszy mnie po nią wysłano, zapukałem do drzwi, przyłożyłem do nich ucho i przysięgam, że usłyszałem ze środka krzyk niemowlęcia.

Krzyk niezbyt głośny, nie taki, jakby jakieś dziecko rzeczywiście było w tym pokoju, ale z pewnością był to krzyk dziecka.

Jeden jedyny krzyk.

EKS-SPORTOWIEC I BLONDWŁOSA AKTORKA:

PROPOZYCJA MAŁŻEŃSTWA

Pewni obserwatorzy, analizując z perspektywy czasu ten skazany na klęskę mariaż, tak jak można by badać anatomię ciała, będą się zastanawiać, czy to w ogóle była propozycja małżeństwa, czy raczej bezwzględne stwierdzenie faktu.

Eks-Sportowiec powiedział spokojnie do Blondwłosej Aktorki: "Kochamy się, pora się pobrać".

Chwila ciszy.

W końcu wylękniona Blondwłosa Aktorka szepnęła: "Och, tak!

Tak, kochany".

I dodała zmieszana, chichocząc piskliwie: "Chyba tak".

(Czy Eks-Sportowiec usłyszał te ostatnie, wymamrotane słowa?)

Dowody wskazują na to, że nie.

Czy Eks-Sportowiec słyszał z ust Blondwłosej Aktorki jakiegokolwiek słowa, wymamrotane lub nie, które rzuciłyby wyzwanie jego dumie?

Dowody wskazują na to, że nie.)

Pocałowali się.

I dokończyli butelkę szampana.

A potem kochali się kolejny raz, tkliwie i z dziecięcą nadzieją.

(W stosownie nazwanym Apartamencie Cesarskim w Beverly Wilshire, gdzie Wytwórnia umieściła Marilyn Monroe po uroczystym przyjęciu z udziałem pięciuset gości, którzy się zebrali, aby świętować premierę filmu Mężczyźni wolą blondynki.

Och, co za noc!

) Blondwłosa Aktorka nagle się rozplakała.

Eks-Sportowiec był tym głęboko poruszony i zrobił to, co robili kochankowie w idiotycznych romansach albo w filmach z lat czterdziestych: scałował łzy ukochanej.

Mówił: "Tak bardzo cię kocham.

Chcę tylko cię chronić przed tymi szakalami".

Mówił to z chłopięcą agresją, podpierając się na łokciu i patrząc na nią z góry, jak można spoglądać na zdradliwy krajobraz w miłym złudzeniu, że pójdzie przed siebie będzie nie tylko możliwe, lecz okaże się prawdziwą przygodą.

"Chcę cię stąd zabrać.

Chcę, żebyś była szczęśliwa".

W najważniejszym momencie film traci ostrość.

To jedyna istniejąca kopia; łatwo sobie wyobrazić jej wartość dla kolekcjonerów.

Oczywiście dźwięk nie jest najlepszy.

Ci, którzy potrafią czytać z ruchu warg (to bardzo przydatna umiejętność dla wielbiciela), mają pewną oczywistą przewagę, mimo to nie aż tak wielką, ponieważ Eks-Sportowiec nie należał do rozmownych ludzi, a kiedy mówił, to dziwnie poruszał wargami, jak gdyby mowa była czymś krępującym, tak samo jak jego nagłe i nieopanowane uczucie; natomiast Blondwłosa Aktorka, kiedy nie przemawiała specjalnie do kamery (z którą potrafiła się "komunikować" jak z żadną żywą osobą), miała denerwującą tendencję do mamrotania i potykania słów.

Chcieliśmy na nią nakrzyczeć.

Marilyn!

Spójrz na nas!

Uśmiechnij się!

Naturalnie.

Bądź szczęśliwa.

Bądź sobą!

Kiedy Eks-Sportowiec mówił o "szakalach" i o tym, że chce "zabrać stąd" Blondwłosą Aktorkę, robił aluzję do Wytwórni (wiedział, jak bardzo szefowie ją eksploatują, jak mało płacą w zamian za wiele milionów dolarów, które dla nich zarobiła), do Hollywood i być może do szerokiego świata, który - jak mu podpowiadał instynkt - mimo jego własnej sławy nie życzył jej dobrze.

(Jemu zresztą też.

Czyż kibice nie wygwizdywali Eks-Sportowca, kiedy utykając na nogę, nie spełniał ich oczekiwań?)

Jego wszechogarniająca męska niechęć obejmowała także grupę kilkunastu fanów, którzy w tym samym momencie niezmiernie czekali na wspaniałą parę na zmytym deszczem Wilshire Boulevard po przeciwnej stronie hotelu (bo przed wspaniałego wejścia usunęli ich odźwierni) - z notesami na autografy w plastikowych okładkach i tanimi aparatami Kodaka; chyba że owej grupie fanów wystarczała rozgrzewająca świadomość, że być może - choć niewidoczni i w ogóle dla nich niedostępni - przystojny Eks-Sportowiec i piękna Blond włosy Aktorka właśnie spółkują niczym Siwa i Śakti, niweczając i na nowo powołując do istnienia świat?

Tyle zaś wiadomo.

Eks-Sportowiec mówi namiętnie: "Chcę, żebyś była szczęśliwa", a Blondwłosa Aktorka uśmiecha się zmieszana i coś odpowiada, ale jej głos ginie w trzaskach.

Pewien niestrudzony mistrz czytania z warg, przestudiowawszy kilkakrotnie ten film, postawił hipotezę, że Blondwłosa Aktorka mówi: "Och, ależ ja jestem szczęśliwa, całe ż...życie byłam szczęśliwa".

Potem Eks-Sportowiec i Blondwłosa Aktorka w rozpaczliwym uścisku, między zmiętymi jedwabnymi prześcieradłami na łożu godnym faraona, skwierczą i płoną jak eksplodująca supernowa, zmieniają się w bezcielesne światło - i sam film się topi.

To fakt historyczny.

Stosowny, choć ironiczny.

Nauczyliśmy się z nim żyć, jak z każdym niepodważalnym faktem.

Chcemy natychmiast przewinąć film i odtworzyć go ponownie, mając nadzieję, że tym razem okaże się inny i wyraźniej usłyszymy słowa wypowiedziane przez jękającą się Blondwłosą Aktorkę...

Ale nie, nigdy ich nie usłyszymy.

Na hałaśliwej premierze filmu Mężczyźni wolą blondynki w odremontowanym Graumans Egyptian Theatre przy Hollywood Boulevard, w świetle silnych reflektorów i błysków fleszy, wśród gwizdów, pohukiwań i wiwatów, Yvet, asystentka pana Z, podeszła ukradkowo jak lwica, by szepnąć Blondwłosej Aktorce do ucha:

- Marilyn.

Właśnie się dowiedziałam.

Wróc sama do swojego apartamentu.

Ktoś szczególny będzie tam na ciebie czekał.

Blondwłosa Aktorka podniosła dłoń do obciążonego diamentem ucha.

- Ktoś sz...szczególny?

Och.

Och!

Szklany odłamek w sercu.

Kiedy odczuwasz cudowne podniecenie po benzedrynie, prawie każda uwaga, którą słyszysz, niesie przeznaczenie, wbija się boleśnie w serce.

Benzedryna i szampan, cóż za kombinacja!

Blond włosa Aktorka właśnie odkrywała to, o czym wiedzieli wszyscy w Hollywood.

- Czy to m...mój ojciec?

-Kto?

Ogłuszająca muzyka ze ścieżki dźwiękowej.

A Little GirlFrom LittleRock.

Hałaśliwy tłum, wzmocniony głos spikera - Yvet chyba nie dosłyszała, zresztą Blondwłosej Aktorce nie zależało, by dosłyszała.

(Benedrynowa logika podpowiadała, że jeśli owym tajemniczym gościem jest rzeczywiście ojciec Normy Jeane Baker/Marilyn Monroe, to ukrywa on swą tożsamość przed nieznanymi; ujawni ją tylko i wyłącznie Blondwłosej Aktorce.) Yvet: wąska czarna sukienka, sznur pereł, cynowe włosy, przyciemnione cynowe oczy świdrujące spojrzeniem duszę Blondwłosej Aktorki.

Znam cię.

Widziałam twoją zakrwawioną cipę.

Twoje wnętrzności wyprute z ciebie jak z ryby.

Wiem o wszystkim.

Yvet przystawiła palec wskazujący do ust.

Tajemnica!

Masz milczeć.

Blondwłosa Aktorka - która bezwiednie chwyciła starszą kobietę za nadgarstek jak przerażona nastolatka w stanie euforii - postanowiła nie czuć się dotknięta tym ostrzeżeniem i wyraziła wdzięczność, tak jak mogłaby to zrobić Lorelei Lee.

- Dziękuję!

Zatem nie przyprowadzę ze sobą mężczyzny.

Nie upiję się, nie poderwę nikogo.

Oto, co sobie myślą o Marilyn.

Eks-Sportowiec, ku najwyższemu rozczarowaniu specjalistów Wytwórni od promocji, nie towarzyszył Blondwłosej Aktorce na premierze.

Mieli ją, w jej całej blond krasie, eskortować szefowie wytwórni, jej mentorzy, pan Z i pan D.

Eks-Sportowiec przebywał na Wschodnim Wybrzeżu, pojechał tam na uroczystość wprowadzenia go do Galerii Sław Baseballa.

Czy też wybrał się łowić marliny z Papą Hemingwayem, jednym z największych jego fanów?

Może też spędzał czas w Nowym Jorku, swoim ulubionym mieście, gdzie można się poruszać prawie incognito.

Niewykluczone, iż jadł obiad z Frankiem Sinatrą w Stork Club albo siedział w restauracji Jacka Dempseya na Times Square, przy stoliku dawnego mistrza wagi ciężkiej, pijąc, paląc cygara i składając autografy u boku samego Dempseya.

"Wiesz, na czym polega sława?"

Na tym, że płacą ci za pieprzenie w bambus przez resztę twego życia".

Gdy Dempsey zdobył pierwszy tytuł w wadze ciężkiej w 1919 roku, zaraz stracił zapal do boksu.

Stracił serce do ringu, do fanów.

Nawet do zwycięstw.

"Zwycięzanie jest dla głupców".

Eks-Sportowiec podziwiał jak jasna cholera swego kumpla, eks-mistrza w sporcie bardziej męskim i niebezpiecznym - i dlatego bardziej głębokim niż baseball - tego Demp seya w wygarbowanej słoniowej skórze, grubego, mrugającego porozumiewawczo i skorego do śmiechu.

"Hej, udało mi się.

Jestem wielki Demp sey!

"

Blondwłosa Aktorka nie była zazdrosna o potrzebę Eks-Sportowca braterskiego obcowania z silnymi mężczyznami.

Sama mogłaby z nim ją dzielić.

Ileż nudnych, niemożliwych do zniesienia godzin Blondwłosa Aktorka musiała poświęcić, aby się przygotować na ten uroczysty wieczór!

Pojawiła się w Wytwórni o czternastej, czyli z godzinnym opóźnieniem, w spodniach, zakiecie, sandałach z drelichu na płaskim obcasie.

Pojawiła się w Wytwórni bez makijażu, jeśli nie liczyć szminki na ustach.

Bez brwi!

Nie połknęła jeszcze przepisanej benzedryny, więc była zgryźliwa i myślała jasno.

Z platynowoblond włosami zebranymi w koński ogon wyglądała na szesnasto letnią, ładną, ale nienadzwyczajną uczennicę szkoły średniej w południowej Kalifornii, cheerleaderkę o niezwykle dorodnym biuście.

"Dlaczego, do licha, nie mogę być sobą?

- pomyślała.

- Przynajmniej raz".

Lubiła korzystać z pomocy Wytwórni.

Lubiła śmiech pracujących tu ludzi i podobało się jej, że ją lubią.

"Marilyn jest jedną z nas.

Jest wspaniała".

Czasem dostrzegano w niej gorączkową potrzebę zdobycia przychylności fryzjerów, artystów od makijażu, garderobianych, kamerzystów, specjalistów od światła, armii pracowników Wytwórni mających jedynie krótkie przydomki: Dee-Dee, Trący, Whitey, Fats.

Jaka naprawdę jest Marilyn Monroe?

Cudowna!

" Obdarowywała ich prezentami.

Niektóre z tych prezentów na pewno sama od kogoś dostała, inne kupowała.

Dawała im bileciki z komplementami.

Pamiętała, aby zapytać o choroby ich matek, o kłopoty z wyrastaniem zębów mądrości, o szczeniaki rasy cocker-spaniel, o burzliwe życie miłosne, które wydawało się jej znacznie bardziej absorbujące niż jej własne.

Tylko nie mówcie źle o Marilyn.

Bo wepchnę wam wasze jebane zęby do waszych jebanych gardeł.

Ona jedna z nich wszystkich przypomina człowieka.

W dniu premiery Blondynek kilka wprawnych rąk zabrało się do Blond włosiej Aktorki jak do skubania martwych kurczaków.

Jej włosy zostały umyte, ułożone w trwałą, odrosty zaś rozjaśniono tak silnym barwnikiem, że musiano włączyć wentylator, aby Blondwłosa Aktorka się nie udusiła.

Po splukaniu włosy nakręcone na wyjątkowo duże, różowe plastikowe wałki zniknęły pod ryczącą suszarką, która wyglądała jak maszyna zaprojektowana do rażenia prądem.

Twarz i szyję Blondwłosej Aktorki poddano działaniu pary, potem je schłodzono i nakremowano.

Ciało po kąpieli natarto olejkiem, usunięto szpecące owłosienie.

Marylin Monroe została wypudrowana, wyperfumowana, pomalowana i odstawiona do wyschnięcia.

Paznokcie u rąk i nóg polakierowano jaskrawopurpurową emalią, która pasowała do lśniących ust.

Whitey, specjalista od makijażu, pracował już ponad godzinę, kiedy dostrzegł drobną asymetrię w linii brwi, więc wszystko usunął i zaczął od początku.

Sztuczny pieprzyk zmienił położenie o blisko cal, po czym wrócił na pierwotne miejsce.

Sztuczne rzęsy przytwierdzono klejem.

Zniecierpliwiony Whitey rzekł śpiewnym głosem: "Panno Monroe, proszę podnieść wzrok.

Proszę się nie ruszać.

Czy kiedykolwiek ukułem panią w oko?

". Koniec kredki do rzes przesuwiał się niebezpiecznie blisko oka Blondwłosej Aktorki, ale rzeczywiście ani razu go nie tknął.

Do tej pory Blondwłosa Aktorka zdążyła już zażyć tabletkę nembutalu, aby uspokoić nerwy; nie bała się premiery (po wielu pokazach przedpremierowych i pierwszych recenzjach przepowiadających filmowi sukces i uznających Marilyn Monroe za doskonałą Lorelei Lee), czuła tylko dziwną złość i niepokój.

A może tęskniła za Eks-Sportowcem?

Martwiła się, że nie bierze udziału w premierze, gdyż nie znosi, że poświęca się jej tak wiele uwagi.

Kiedy Eks-Sportowca przy niej nie było, tęskniła za nim.

Gdy przebywał w zasięgu ręki, nie miała mu wiele do powiedzenia, zresztą on jej też nie.

"Ale być może właśnie tak powinno wyglądać małżeństwo?

Dwie dusze.

Spokój".

Eks-Sportowiec promieniał dumą, kiedy widziano go w publicznych miejscach z Blondwłosą Aktorką.

Zbliżał się do czterdziestki; ona była znacznie młodsza, a wyglądała jeszcze młodziej.

Po takich wyprawach Eks-Sportowiec mógł kochać się z wigorem o połowę od siebie młodszego młodzieńca. Mimo to wpadał w gniew, kiedy inni mężczyźni patrzyli na Blondwłosą Aktorkę nazbyt natarczywie.

Albo gdy w jego obecności padały wulgarne uwagi.

Zazwyczaj nie aprobował publicznych występów Blondwłosej Aktorki, jej ego występującego jako Marilyn.

Chciał, aby się ubierała prowokacyjnie, ale dla niego, nie dla innych.

Zaszokowała go i zniesmaczyła Niagara, i film, i lubieżne i wszechobecne plakaty.

Czy kontrakt nie za pewniał jej kontroli nad tym, w jaki sposób ją promowano?

Nie przeszkadzało jej, że sprzedawali ją jak mięso?

Gdy "Miss Złote Marzenia" została wskrzeszona i znalazła się na rozkładówce "Playboya", Eks-Sportowiec wpadł w furję.

Blondwłosa Aktorka próbowała wyjaśnić, że nie panuje nad tym, co się dzieje z jej aktem; zdjęcie zostało wykupione przez magazyn od wydawcy kalendarzy bez jej zgody i bez żadnego dla niej wynagrodzenia.

Eks-Sportowiec krzyczał, że pozabija sukinsynów, wszystkich co do jednego.

Popatrzyła sobie w oczy w lustrze.

"A może i takie powinno być małżeństwo?"

Mężczyzna, który dba o mnie.

I nigdy by mnie nie wykorzystał".

Przed wyjściem do kina Blondwłosa Aktorka połknęła jedną, może dwie tabletki benzedryny, aby przeciwdziałać skutkom zażycia nembutalu.

Od nosiła wrażenie, że jej serce bije coraz wolniej.

Och, miała przemożną chęć, aby położyć się na podłodze, skulić i zasnąć.

Tego najszcześniejszego, triumfalnego wieczoru niczego bardziej nie pragnęła, tylko spać, spać, spać na wieki.

Benzedryna miała to zmienić.

Och, tak!

Mogłaś liczyć, że prochy przy spieszą rytm twojego serca i dostarczą krwi, a potem umysłowi delirycznego kopa.

Słodko-gorący prąd trafia w mózg niczym piorun z nieba.

Ale nie istniało żadne niebezpieczeństwo, bo wszystkie środki, jakie zażywała Blond włosa Aktorka, były legalne.

Uniknie podłego losu Jeanne Eagels, Normy Talmadge, Aimee Semple McPherson.

Nigdy nie odstąpi od zaleceń lekarza.

Była inteligentną, bystrą młodą kobietą, odstającą od typowego wizerunku hollywoodzkiej gwiazdy.

Ci, którzy ją dobrze znali, znali ją jako Normę Jeane Baker, dziewczynę urodzoną w Los Angeles, która wyczołgała się z rynsztoka.

Zatrudniony przez Wytwórnę lekarz dostarczał jej tylko stosowne lekarstwa.

Wiedziała, że może mu zaufać, ponieważ Wytwórnia nie narażałaby na ryzyko milionowej inwestycji.

Benzedryna, w ilości umiarkowanej, aby "rozpędzić ponure myśli", "dostarczyć cennej energii", nie zwykle potrzebnej wyczerpanej aktorce.

Nembutal, w ilości umiarkowanej, aby "ukoić nerwy", zapewnić "krzepiący, głęboki sen", niezwykle potrzebny wyczerpanej, cierpiącej na bezsenność aktorce.

Blondwłosa Aktorka zapytała z niepokojem, czy od tych środków można się uzależnić, a doktor Bob po ojcowsku położył dłoń na jej pulchnym kolanie i rzekł:

- Dziewczyno!

Uzależnieni to jesteśmy od życia.

A jednak musimy żyć.

Pięć godzin i czterdzieści trudnych do zniesienia, nudnych minut zajęło tworzenie z Blondwłosej Aktorki wiernej kopii ekranowej Lorelei Lee z filmu Mężczyźni wolą blondynki.

Na szczęście był ten wiwatujący tłum wzdłuż Hollywood Boulevard!

Skandujący "Marilyn!

Marilyn!

" I kto by się odważył powiedzieć, że nie było warto?

Właściwie zaszyto ją w sukienkę.

Sama ta czynność trwała dłużej niż godzinę.

W dopasowaną jak kaftan bezpieczeństwa sukienkę Lorelei Lee, bez ramiączek, z jaskraworóżowego jedwabiu, z dużym dekoltem odsłaniającym górną część kremowych piersi.

Poradzono jej, aby oddychała miarowo i płytko.

Na rękach miała sięgające łokci rękawiczki, obcisłe jak opaska zaciskowa.

Diamenty mieniły się w delikatnych uszach, wokół wypudrowanej szyi i na rękach (w rzeczywistości były to cyrkonie, własność Wytwórni), w platynowe wyglądające jak wata cukrowa włosy wpięty był "diamentowy" diadem, który zdobił czoło Lorelei Lee przez moment w filmie.

Na nagich ramionach etola z białego lisa.

Wysokie szpilki z satyny w żywym, różowym kolorze na obolałych nogach, tak ciasne i niestabilne, że Blondwłosa Aktorka mogła iść jedynie drobnymi, dziecięcymi kroczkami, uśmiechając się, chwytając za rękawy smokingów pana Z i pana D, dostojnych jak przedsiębiorcy pogrzebowi.

Wstrzymano ruch na Hollywood Boulevard, a tysiące gapiów - dziesiątki tysięcy?

setki tysięcy?

- zebrały się na podwyższeniach wzdłuż bulwaru i napierały hałaśliwie na policyjne za pory.

Kiedy przejeżdżał z Wytwórni konwój limuzyn, na ulicy rozrzucono świeże pąki czerwonych róż.

Tłum skandował szaleńczo: "Marilyn!

Marilyn!" I kto odważyłby się powiedzieć, że nie było warto?

Oślepiły ją punktowe reflektory, rozległy się radosne krzyki, gwizdy, podsunęto jej mikrofon.

- Marilyn!

Powiedz naszym słuchaczom: Czy nie czujesz się dzisiaj samotna?

Kiedy zamierzacie się pobrać?

Blondwłosa Aktorka odpowiedziała dowcipnie:

-Kiedy się na to zdecyduję, pan pierwszy się dowie.

- Mrugnięcie.

- Przed nim.

Śmiech, okrzyki radości, gwizdy, aplauz!

Zamieć z czerwonych płatków róży niczym nawałnica maleńkich, szalonych ptaków.

Przy boku wspaniałej ciemnowłosej Jane Russell Blondwłosa Aktorka słała całusy i machała ręką w snopie światła, jej oczy były teraz ożywione, uróżowione policzki płonęły.

Och, była szczęśliwa!

Była szczęśliwa!

BLIŹNIĘTA (film) zachowują to szczęście na wieczność.

Jeśli Cass Chaplin i Eddy G byli gdzieś w tym tłumie, patrzyli na Blondwłosą Aktorkę - nienawidzili jej, swojej Normy, swojej Małej Mamy, swojej Rybki; co za suka,

zdradziła ich; wmanewrowała w ojcostwo, które na początku wydawało się im niedorzeczne, potworne, ale w końcu jednak do przyjęcia jako nadzwyczajne, nieuchronne zrządzenie losu - cóż, nawet ci piękni chłopcy spod znaku Bliźniąt nie mogli odebrać szczęścia Blondwłosej Aktorce, która była taka nieśmiała, stawiając po raz pierwszy czoło takiemu wielkiemu tłumowi.

Wielbiciele!

Benzedrynowy kop w najczystszej postaci.

Hollywood przypadło do gustu (przynajmniej tak mówiono), że na planie filmu brunetka Jane Russell i blondynka Marilyn Monroe nie były rywalkami, tylko przyjaciółkami.

Dziewczęta chodziły do tej samej szkoły średniej!

"Co za zdumiewający zbieg okoliczności.

Coś takiego może się zdarzyć tylko w Ameryce".

W towarzystwie Jane Russell Blondwłosa Aktorka miała skłonność do sardonicznego dowcipu, była odrobinę nieprzyzwoita, podczas gdy Jane, szczerą chrześcijanką, wydawała się naiwna i łatwo się bulwersowała.

Inaczej niż w filmie.

Kiedy obie wspaniale ubrane dziewczęta stanęły na podwyższeniu, uśmiechając się promiennie i pozdrawiając tłum machaniem rąk, obie zaszyte w krępujące ruchy suknie z dużymi dekolcami, obie oddychające miarowo i płytko, Blondwłosa Aktorka odezwała się kącikiem umalowanych ust:

-Jane!

Możemy wykręcić niezły numer, wiesz jaki?

Jane zachichotała.

- Striptiz?

Blondwłosa Aktorka zerknęła na nią zalotnie z ukosa i lekko ją trąciła łokciem, tuż poniżej dużej, sterczącej piersi.

- Nie, mała.

Buziak.

Trzeba było widzieć wyraz twarzy Jane Russell!

Tego rodzaju wyborne momenty, nie znane biografom i historykom Hollywood, zachowują BLIŹNIĘTA (film).

- Czyżbym umarła?

Co się dzieje?

Bukiety kwiatów już się nie mieściły w jej garderobie.

Stosy telegramów i listów.

Nieporadnie zapakowane prezenty od wielbicieli.

Od pozbawionych twarzy, anonimowych, oddanych osobników, którzy kupowali bilety w całej Ameryce Północnej, którzy przyczyniali się do egzystencji Wytwórni i Blondwłosej Aktorki.

Z początku bardzo jej to schlebiano, rzecz jasna - w tych pierwszych, oszałamiających tygodniach sławy.

Czytała korespondencję od wielbicieli i płakała nad nią.

Och, niektóre listy były takie szczere, takie serdeczne!

Wzruszające!

Listy, które Norma Jeane mogłaby sama napisać jako dorastająca panna uwielbiająca jakąś gwiazdę filmową.

Trafiały się listy od ludzi upośledzonych, chorych, niepełnosprawnych pacjentów szpitali dla weteranów, od ludzi starszych albo pozornie starszych, i od tych, którzy podpisywali się jak poeci: "Zranione serce, "Oddany Marilyn na wieki", "Na zawsze wierny La Belle Dame Sans Merci".

Na te ostatnie Blondwłosa Aktorka odpowiadała osobiście, korzystając oczywiście z pomocy asystentek.

"Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Ci biedni, nieszczęśliwi ludzie piszą do Marilyn, jakby zwracali się do Matki Boskiej".

(Już nawet przed sukcesem Blondynek otrzymywała tyle samo korespondencji od wielbicieli, co Betty Gracie u szczytu kariery, i znacznie więcej niż postarzała Gracie otrzymywała obecnie.) To, że poświęcano jej tyle uwagi, było ekscytujące, ale zarazem kłopotliwe.

Oznaczało odpowiedzialność.

Blondwłosa Aktorka powiedziała sobie ze śmiertelną powagą: Właśnie dlatego jestem aktorką - by poruszać serca.

Podpisywała setki błyszczących fotografii, stworzonych w Wytwórni wizerunków blondwłosej Marilyn (dziewczyna w stylu bebop z włosami zaplecionymi w warkocze; atrakcyjna, czarująca dziewczyna z włosami Veroniki Lake; zabójczo seksowna Rose, niedwuznacznie głaszcząca nagie ramiona; Lorelei Lee, tancerka o twarzy dziecka) z przyklejonym do twarzy uśmiechem i wytrwałością osoby, która bez słowa skargi pracuje na ośmiogodzinnej zmianie w Radio Pianę.

Czy to także nie była pewna odmiana patriotyzmu?

Czy to także nie wymagało poświęcenia?

Już w dzieciństwie, gdy oglądała pierwsze filmy w Egyptian Theatre, zauroczona Jasnowłosą Księżniczką i Ciemnowłosym Księciem, rozumiała, że filmy są religią Ameryki.

Och, wcale nie była Matką Boską!

Nie wierzyła w Matkę Boską.

Ale mogła uwierzyć w Marilyn - do pewnego stopnia.

Chociażby ze względu na fanów.

Czasami składała na fotografii szminkowy pocałunek i zamaszty podpis, który nauczyła się powtarzać:

póki nie rozbolał jej nadgarstek i obraz przed oczami nie zaczął się rozmazywać.

Wpadała w panikę, potem uświadamiała sobie: Apetyty nieznajomych nie mają granic i nigdy nie da się ich nasycić.

Pod koniec Roku Cudów 1953 Blondwłosa Aktorka stała się sceptyczna.

Być sceptycznym oznacza tyle samo, co popaść w melancholię.

Popaść w melancholię znaczy tyle, co zabawiać publiczność.

Blondwłosa Aktorka nauczyła się niczym komik rozśmieszać swoich asystentów.

- Och, te kwiaty!

Czy jestem trupem, czy to dom pogrzebowy?

Czy trzeba mi zrobić pośmiertny makijaż!

Whitey!

Im bardziej się śmiali, tym bardziej błaznowała.

Krzyczała: "Whi-tiiiiii", przeciągając głoski jak Lou Costello wołający: "Ab-bott!"

Narzekła, wymachując rękoma, jakby odgrywała na scenie cierpienie:

-Jestem niewolnicą tej Marilyn Monroe.

Zgodziłam się na luksusowy rejs jak Lorelei Lee, a wylądowałam na pieprzonym pokładzie trzeciej klasy.

W swoich komicznych numerach Blondwłosa Aktorka przemawiała jak nigdzie indziej: dotykał jej jakiś cudowny, demoniczny płomień; potrafiła być bluźniercza, potrafiła być wulgarna; pracownicy Wytwórni byli czasami zaszokowani, ale śmiali się, śmiali, aż łzy płynęły im po policzkach.

Whitey rzekł tonem przygany niczym wiekowy wuj:

- Ależ panno Monroe.

Co pani mówi?

Jeżeli pani nie jest Marilyn, to kim?

Dee-Dee powiedziała, ocierając łzy:

- Panno Monroe!

Pani jest okrutna.

My wszyscy, wszyscy na całym tym świecie, oddalibyśmy prawe ręce, aby być panią.

I pani o tym wie.

Straciwszy rezon, Blondwłosa Aktorka wyjąkała:

-Och!

W...wiem?

Błyskawicznie zmieniała nastrój!

Nie sposób było go przewidzieć.

Jak motyl albo koliber.

Nie, to nie były narkotyki!

W każdym razie nie na początku.

Niektóre z listów zaadresowanych do Marilyn Monroe bynajmniej nie wydawały się miłe.

Były agresywne, nawet obrzydliwe, nawiązujące do cielesności aktorki.

Niektóre z nich pochodziły od osób psychicznie chorych.

Współpracownicy ukrywali je przed nią.

Kiedy się o tym dowiedziała, chciała zobaczyć te listy w pierwszej kolejności.

- Może jest w nich coś ciekawego?

Może lepiej je przeczytać?

- Nie, panno Monroe - rzekła rozsądnie Dee-Dee - podobne listy nie są o pani.

Są o osobie, za którą panią biorą nadawcy.

Jednak było coś przyjemnie rzeczywistego w tym, że nazywano ją suką, kurwą, blondwłosą dziwką.

W otępiającym świecie marzeń wszystko, co tchnęło rzeczywistością, miało ożywczą moc.

Wkrótce jednak nawet poczta z pogrózkami stała się łatwa do przewidzenia i schematyczna.

Jak zauważyła Dee-Dee, prześladowcy Blondwłosej Aktorki wyładowywali nienawiść na istocie będącej tworem ich wyobraźni.

-Jak krytycy filmowi.

Niektórzy z nich uwielbiają Marilyn, niektórzy jej nie cierpią.

Co to ma wspólnego ze mną?

Blondwłosa Aktorka nie powiedziała tego nikomu, tylko Eks-Sportowcowi, kiedy ten został jej kochankiem i (jak lubiła o tym myśleć) najlepszym przyjacielem, ponieważ Eks-Sportowiec to rozumiał: przerzucała stosy korespondencji od nieznajomych z nadzieją, że znajdzie nazwiska znajomych osób, nazwiska z przeszłości, nazwiska łączące ją z przeszłością.

Naturalnie niektórzy dawni znajomi do niej pisali, głównie kobiety, już dojrzałe, które uczyły się z nią w szkole średniej na El Centro Avenue, a nawet w szkole podstawowej w Highland ("Zawsze byłaś dobrze ubrana, wiedzieliśmy, że twoja matka pracuje w przemyśle filmowym i że pewnego dnia zostaniesz aktorką."); stare sąsiadki z Verdugo Gardens (ale, niestety, nie utracona Harriet); kobiety, które twierdziły, że umawiały się z Buckym Glazerem w tym samym czasie, kiedy on chodził z Normą Jeane - jeszcze nim wzięli ślub; ich nazwiska nic jej nie mówiły ("Nazywałaś się wtedy Norma Jeane.

Ty i Bucky stanowiliście dobraną parę, aż nie mogliśmy się nadziwić, że doszło do rozwodu.

Czy to z powodu wojny?

"). Napisała też Elsie Pirig, i to kilka razy.

Droga Normo Jeane, mam nadzieję, że mnie pamiętasz.

Chyba nie jesteś na mnie zła?

Ale raczej musisz być na mnie zła, bo nie odzywasz się już od lat, chociaż wiesz, gdzie mieszkam, a numer telefonu wcale się nie zmienił.

Blondwłosa Aktorka podarła ten list na drobniutkie kawałeczki.

Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo nienawidzi ciotki Elsie.

Kiedy nadszedł list drugi, potem trzeci, Blondwłosa Aktorka zgmiotła je triumfalnie i cisnęła na podłogę.

Dee-Dee zapytała zdziwiona.

- Co się stało, panno Monroe?

Od kogo to było, że tak się pani zdenerwowała?

Blondwłosa Aktorka często bezwiednie dotykała ust, jakby - powiadali obserwatorzy - sprawdzała, czy je ma.

Mruganiem starała się powstrzymać łzy.

- Od mojej przybranej matki.

Byłam wtedy jeszcze dziewczyną.

Sierotą.

Ona chciała zniszczyć moje życie.

Z zazdrości.

Gdy miałam piętnaście lat, wydała mnie za męża, aby się mnie pozbyć.

Jej mąż kochał się we mnie, ona była z...zazdrosna.

- Och, panno Monroe!

Ależ to smutna historia.

- To wszystko było dawno temu.

Warren Pirig oczywiście do niej nie napisał.

Tak jak detektyw Frank Widdoes.

Spośród licznych facetów, z którymi umawiała się w Van Nuys, miała wieści jedynie od Joe Santosa, Buda Skokie i od niejakiego Martina Fulmera, którego w ogóle nie pamiętała.

Nie napisał pan Haring.

Nauczyciel, za którym przepadała i który sprawiał wrażenie, że ją lubi.

"Przypuszczam, że budzę w nim niechęć.

Moje życie jest takie odległe od tego, czego mnie nauczył".

Przez rok czy dwa po opuszczeniu sierocińca Norma Jeane prowadziła korespondencję z doktor Mittelstadt.

Starsza kobieta przysyłała jej publikacje Christian Science i prezenty urodzinowe.

Potem z jakiegoś powodu przestały do siebie pisywać.

Norma jeane domyślała się, że sama była temu winna, bo wyszła za mąż:

- Ale dlaczego teraz do mnie nie pisze?

Nawet jeśli nie oglądała filmów, to na pewno widziała gdzieś Marilyn.

Czy nie rozpoznałaby mnie?

Czy ona też jest na mnie zła?

Czy też czuje do mnie odrazę?

Och, nienawidzę jej!

Kolejna osoba, która mnie zostawiła.

Zabolało ją również, że nigdy nie napisała pani Glazer.

Oczywiście nie było dnia, aby nie weszła do garderoby i nie przeglądała poczty od wielbicieli w nadziei, że: Może ojciec napisał!

Na pewno wszystko o mnie wie.

O mojej karierze.

Nie było jasne, w jaki sposób ojciec Normy Jeane miałby się dowiedzieć o jej karierze.

Albo skąd Norma Jeane wiedziała, że tak właśnie jest.

Mijały tygodnie i miesiące Roku Cudów.

Ojciec Normy Jeane nadal nie pisał.

Chociaż Marilyn Monroe stawała się bardzo sławna, jej nazwisko i zdjęcia widywało się wszędzie i zarazem byle gdzie.

W gazetach codziennych, w kronikach towarzyskich, na plakatach, afiszach.

Promocja filmu Mężczyźni wolą blondynki.

Gigantyczny billboard na Sunset Boulevard!

Kiedy "Miss Złote Marzenia 1949" pojawiła się w pierwszym wydaniu "Play boya", na rozkładówce tego śmiałego, prowokującego czasopisma dla mężczyzn, rozwiązał się worek z korespondencją i nasiliło się zainteresowanie dziennikarzy.

W wywiadach Blondwłosa Aktorka oburzała się, że nie wyraziła zgody na publikację tego zdjęcia w "Playboyu" ani w żadnym innym magazynie, ale co mogła zrobić?

Negatyw nie należał do niej.

Zrezygnowała z praw do niego.

A wszystko za pięćdziesiąt dolarów w czasach, gdy znalazła się w rozpaczliwej sytuacji, pozbawiona pieniędzy.

Leviticus, spec od kronik towarzyskich, znany z okrutnego dowcipu i skandalizujących rewelacji w "Hollywood Confidential", zadziwił czytelników otwartym listem, który się zaczynał od następujących słów:

Droga "Miss Złote Marzenia 1949",

Rzeczywiście, jesteś "Dziewczyną Miesiąca".

Każdego miesiąca.

Rzeczywiście jesteś ofiarą charakterystycznej dla naszej kultury za chłanności, która polega na eksploataowaniu kobiecej niewinności.

Jesteś szczęściarą: zrobisz oszałamiającą karierę filmową.

Wszystkiego dobrego!

Ale pamiętaj, że jesteś piękniejsza i bardziej godna pożądania niż "Miss Marilyn Monroe" - i to jest najważniejsze!

Blondwłosa Aktorka była tak głęboko poruszona czułą galanterią Leviticusa, że pod wpływem impulsu wysłała mu odbitkę kontrowersyjnej fotografii z podpisem: Twoja przyjaciółka na zawsze, Mona/Marilyn Monroe.

Wytwórnia przygotowała cały zapas tych zdjęć na podobne okazje.

"Czemu nie?"

Przecież mimo wszystko to ja na nich jestem.

Niech ci ludzie od kalendarza nas skarżą".

Pewnego dnia, na tydzień przed premierą filmu Mężczyźni wolą blondynki, Dee-Dee wręczyła Blondwłosej Aktorce list od jakiegoś wielbiciela i miała przy tym bardzo dziwny wyraz twarzy.

- Panno Monroe?

Ten list jest chyba poufny.

Blondwłosa Aktorka, wyczuwając, co to może być za list (napisany na maszynie), szybko go wzięła i przeczytała:

Droga Normo Jeane,

Chyba nigdy nie pisałem trudniejszego listu.

Właściwie nie wiem, dlaczego kontaktuję się z Tobą teraz, po tylu latach.

Nie o to chodzi, że Marilyn Monroe jest osobą taką, jaką jest.

W końcu ja mam całkowicie odmienne życie.

Własną karierę (niedawno z przyjemnością przeszedłem na emeryturę) i rodzinę.

Normo Jeane, jestem Twoim ojcem.

Okoliczności łączącej nas więzi wyjaśnię może dopiero wówczas, gdy spotkamy się twarzą w twarz.

Na razie

Moja ukochana żona, chora od lat, nie wie, że to piszę.

Gdyby się dowiedziała, bardzo by się zdenerwowała, tak

Nie widziałem jeszcze żadnego filmu z Marilyn Monroe i chyba go nie zobaczę.

Powinienem wyjaśnić, dlaczego nie oglądam filmów.

Wolę słuchać radia, wolę wyobraźnię.

W Wytwórni pracowałem krótko, zapowiadałem się na gwiazdę, ale to otworzyło mi oczy na bezdenną głupotę tego świata.

Nie, bardzo dziękuję!

Będę szczerzy, Normo Jeane.

Nie chciałem oglądać filmów z Twoim udziałem, ponieważ nie aprobuję rozpasania, jakie panuje w Hollywood.

Jestem dobrze wykształconym człowiekiem, demokratą.

Całkowicie popieram senatora McCarthyego i jego krucjatę przeciwko komunistom.

Jestem chrześcijaninem, tak jak moja żona z obu stron swojej rodziny.

Nie istnieje sensowny powód, aby Hollywood, siedlisko Żydów, tolerować tak długo, skoro gnieźdzą się w nim takie indywidualia jak Charlie Chaplin, którego filmy, muszę to ze wstydem wyznać, nie gdyś oglądałem.

A istnieją .

Będziesz się zastanawiała, Normo Jeane, dlaczego kontaktuję się z Tobą po upływie ponad dwudziestu siedmiu lat.

Prawdę powiedziawszy, przeżyłem atak serca, rozmyślałem z powagą o swoim życiu: nie ze wszystkich swoich czynów jestem dumny.

Moja żona nie wie

Twoje urodziny przypadają, zdaje się, pierwszego czerwca, moje zaś ósmego, jestem spod znaku Bliźniąt.

Jako chrześcijanin nie traktuję po ważnie tych starych pogańskich wierzeń, ale niewykluczone, że istnieje pewien rys charakteru łączący ludzi takich jak my.

Nie twierdzą, że wiem coś więcej na ten temat, bo nie czytam kobiecych magazynów.

Mam przed sobą wywiad z Marilyn Monroe w nowym numerze "Pageanta".

Kiedy go czytam, do oczu napływają mi łzy.

Powiedziałaś dziennikarzowi, że Twoja matka przebywa w szpitalu i że nie znasz ojca, ale czekasz na niego "bez przerwy".

Biedactwo, nie wiedziałem.

Wiedziałem tylko, że istniejesz.

Twoja zaborcza matka rozdzielała nas.

Upłynęły lata i byliśmy coraz bardziej od siebie oddaleni.

Wysyłałem Twojej matce czekci i przekazy pieniężne na Twoje utrzymanie.

Nie liczyłem na podziękowania ani ich nie otrzymałem.

O nie!

Wiem, że Twoja matka choruje.

Ale nawet zanim zachorowała, miała złe serce.

Usunęła mnie z Twojego życia.

Była okrutna [wiem to bardzo dobrze], bo pozwoliła Ci wierzyć, że to moja wina.

Nie powinienem dopuścić, aby to trwało tak długo.

Wybacz starzejącemu się człowiekowi.

Chociaż teraz nie jestem już chory i dochodzę do siebie, jak twierdzi mój doktor.

Był tym zdziwiony i powiedział, że biorąc pod uwagę...

Mam nadzieję, że wkrótce zobaczę się z Tobą osobiście, Normo Jeane.

Czekaj na mnie, moja droga Córko, na szczególną chwilę w Twoim życiu, kiedy Córka i Ojciec będą mogli razem pielęgnować długo uszpioną miłość.

Twój zapłakany Ojciec

Adresu zwrotnego nie było.

List nadano w Los Angeles.

Blondwłosa Aktorka szepnęła triumfalnie:

- To on.

- Rozłożyła przed sobą zapisane po amatorsku kartki listowego papieru i bezwiednie wygładziła zagięcia.

Przez kilka pełnych napięcia minut - jak dyskretnie obserwowwała Dee-Dee - powtarzała ów gest, potem jeszcze raz przeczytała list i powiedziała znowu, nie do Dee-Dee, tylko w powietrze, jakby głośno myślała: - To on.

Wiedziała.

Nigdy nie wątpiłam.

Był tutaj, blisko.

Przez wszystkie te lata.

Obserwował mnie.

Czułam to.

Wiedziała.

"Tyle szczęścia na tej ślicznej twarzy - będzie się później dziwiła Dee -Dee - niemal nie można było jej rozpoznać".

Po tym, jak Yvet wyszeptała do ucha Blondwłosej Aktorki sekretne słowa, wieczór premiery przeminął w otumanieniu wzmocnionym benzedryną i szampanem: rozkołysany krajobraz w technicolorze widziany ze zwariowanej kolejki w wesołym miasteczku.

Wróć sama do swojego apartamentu.

Ktoś szczególny będzie tam na ciebie czekał.

Mimo uwagi ojca o jego namiętności do radia i niechęci do Hollywood, Blondwłosa Aktorka była przekonana, że jednak obejrzał on premierowy pokaz filmu Mężczyźni wolą blondynki; miał znajomości w Wytwórni i mógł się postarać o darmowy bilet.

"Gdyby tylko zdradził mi, jak się nazywa, sama mogłabym go zaprosić".

Był tam gdzieś między zaproszonymi, zamożnymi gośćmi.

Och, wiedziała!

Wiedziała.

Pan w starszym wieku; ale nie tak strasznie stary, powiedzmy, po sześćdziesiątce.

Mężczyzna sześćdziesięcioletni nie jest stary!

Wystarczy spojrzeć na sławnego pana Z.

Ojciec jest zapewne przystojnym, siwowłosym dżentelmenem, samotnym i pełnym godności.

Czuje się niezbyt swobodnie w smokingu, ponieważ tego typu pretensjonalne okazje odstręczają go.

Mimo to przyszedł, dla niej: bo rzeczywiście była to doniosła chwila w życiu jego córki.

Kiedy Blondwłosą Aktorkę oglądano sobie dokładnie ze wszystkich stron - ją, którą strategicznie zaszyto w wieczorową różową suknię bez ramiączek, podkreślającą każde słodkie zaokrąglenie, każdy ponętny występ jej do skonałego ciała ssaka - ona promieniała uśmiechem niczym żarówka o dużej mocy światłem i rozglądała się w tłumie, szukając go wzrokiem.

Jeśli spotkają się ich oczy, będzie wiedziała!

Prawdopodobnie mieli identyczne oczy.

Na pewno bardziej przypominała ojca niż matkę.

Zawsze tak było.

Och, miała nadzieję, że nie będzie się wstydził córki, wystrojonej, wymalowanej i wystylizowanej na dużą, żywą lalkę.

"Niesamowita następczyni Betty Gracie.

W samą porę".

Miała nadzieję, że ojciec się nie rozmyśli i nie wycofa z odrazą.

Czyż nie powiedział, że nie widział żadnego z jej filmów i najpewniej żadnego nie zobaczy?

"Nie aprobeuje rozpasania".

Blond włosą Aktorka, przełknąwszy łyk szampana, roześmiała się, bąbelki poszły jej w nozdrza.

"Och, rozpasanie...

Szkoda, że nie mogę opowiedzieć tego Cassowi".

Cass był jedynym człowiekiem w Hollywood, któremu Blondwłosa Aktorka mogła się zwierzyć.

Tylko on znał jej "nędzną, brukową przeszłość", jak mawiał.

Przynajmniej tyle rzeczy, ile chciała mu zdradzić.

Kiedy Blondwłosa Aktorka postanowiła ostatecznie zerwać z Bliźniętami, poddać się Operacji, przyjąć rolę Lorelei Lee w filmie Mężczyźni wolą blondynki pomimo umiarkowanej gaży (nieco mniej niż jedna dziesiąta tego, co otrzymała Jane Russell), agent przysłał jej tuzin czerwonych róż i gratulacje.

MARILYN, ISAAC BYŁBY Z CIEBIE DUMNY.

I rzeczywiście.

Właściwie wszyscy byli z niej dumni.

Ci weterani Hollywood, szefowie studia, producenci, sponsorzy oraz ich bystrookie żony - uśmiechali się do Blondwłosej Aktorki, jak gdyby nareszcie stała się jedną z nich.

Podczas projekcji filmu, który Blondwłosa Aktorka widziała już w całości kilka razy, a znacznie częściej we fragmentach (nawet jako Lorelei Lee dążyła na planie do doskonałości, dawała się we znaki partnerom i reżyserowi), miała trudności z koncentracją.

Krew krążyła w niej znacznie szybciej niż normalnie!

Ze szczęścia trzepotało jej serce.

Ktoś szczególny będzie tam na ciebie czekał.

Cieszyła się, że nie ma przy niej Eks-Sportowca; ani V (który przyszedł na premierę ze swoją nową przyjaciółką, Arlene Dahl), ani pana Shinna.

Cieszyła się, że jest sama, było jej to bardzo na rękę.

Ktoś szczególny w twoim apartamencie.

Z pewnością przygotowania poczyniono za pośrednictwem Wytwórni, która opłaciła wynajęcie apartamentu; za pośrednictwem pana Z albo kogoś z jego biura, kogoś o wystarczającej władzy, aby nakazać personelowi Beveriy Wilshire wpuszczenie go ścia do apartamentu Marilyn Monroe.

Podniecała ją myśl, że Z, który jeszcze do niedawna był jej wrogiem, który wypowiadał się o niej obcesowo i nazywał zwykłą zdzirą, musiał wiedzieć o tym rychłym spotkaniu i życzył im obojgu, ojcu i córce, wszystkiego dobrego.

"To jest jak szczęśliwe zakończenie długiego, pogmatwanego filmu".

Zanim zgasły światła i zabrzmiały pierwsze dźwięki muzyki, Blondwłosa Aktorka rzekła do pana Z, który siedział obok niej:

- Rozumiem, że po dzisiejszej premierze i przyjęciu czeka mnie w hotelu wyjątkowa randka.

Przebiegły pan Z o twarzy nietoperza uśmiechnął się dyskretnie i podniósł do ust mięsisty palec, podobnie jak wcześniej Yvet.

Może wiedzieli wszyscy w Wytwórni?

Może wiedziało całe Hollywood?

Dobrze mi życzą.

Jestem jedna z nich.

Kocham ich!

Dziwne, znaleźć się znowu w Egyptian Theatre.

Jakby to także była scena z filmu: Blondwłosa Aktorka powraca do tego samego kina, w którym jako samotna dziewczynka podziwiała takie same blondwłose aktorki jak ona.

Od tamtej pory obiekt odnowiono dużym nakładem środków.

Nastała nowa era powojennej prosperity.

Serce nowego świata tętniło życiem na zgliszczach Europy, na gruzach Hiroszimy i Nagasaki.

Blondwłosa Aktorka znana jako Marilyn Monroe należała do tego świata.

Blondwłosa Aktorka ciągle się uśmiechała, ale bez wewnętrznego ciepła, sentymentu, tej złożoności duszy, którą nazywa się "głębią".

W kinie panowała serdeczna, uroczysta atmosfera.

Wszyscy wiedzieli, że Mężczyźni wolą blondynki jest filmem udanym.

Ta premiera różniła się od premier Asfaltowej dżungli, Dont Bother to Knock czy Niagary, filmów, które mogły obrażać uczucia niektórych widzów - i je obrażały.

Ten film był syntetyczny, hałaśliwy, dopieszczony i okazał się triumfem ekscytującej wulgarności, technicolorową, typowo amerykańską kreskówką o zwyciężaniu.

Niewątpliwy sukces.

Film zamówiono do natychmiastowej dystrybucji w tysiącach sal kinowych Stanów Zjednoczonych i spodziewano się, że przyniesie miliony zysku w kraju i za granicą.

"Rany, czy to ja?"

" - pisnęła Blondwłosa Aktorka, wpatrując się w olbrzymią przepiękną kobietę-lalkę mającą nad publicznością i ściskając w dziewczęcym podnieceniu dłoń panów Z i D.

Och, magiczna mikstura pulsowała w jej krwi!

Właściwie nie potrafiła określić tego, co czuje, może nawet niczego nie czuła.

Broadwayowski spektakl Mężczyźni wolą blondynki składał się z samych utworów muzycznych, nie był muzyczną komedią.

Nie istniały w nim "po stacie" ani "fabuła".

Film był tylko odrobinę bardziej spójny, ale wcale nie o spójność chodziło.

Kiedy Norma Jeane dostała scenariusz, była zaskoczona tym, jak prosta i pozbawiona wyrazu jest jej postać; zażądała więcej dialogów dla Lorelei Lee, pragnęła jakiejś przemiany swojej postaci, jakiegoś nagłego zwrotu, tła, głębi, ale rzecz jasna spotkała się z odmową.

Wolała bardziej dojrzałą, bardziej inteligentną rolę Dorothy, ale usłyszała: "Za uważ, że jesteś blondynką, Marilyn.

Jesteś Lorelei".

Uśmiech na twarzy Blondwłosej Aktorki gaś w miarę projekcji filmu.

Podobnie euforia.

Nie chciała się zastanawiać, o czym może myśleć teraz jej ojciec, jeśli jest na tej sali.

Lorelei o włosach jak guma piankowa i Dorothy, bliźniaczy przykład dorodnego ssaka, wyśpiewywały głupawe teksty piosenek i niedwuznacznie poruszały ciałami.

A Little Girl from Little Rock.

Och, co będzie, jeśli Tata wymknie się z kina, nie zamieniwszy z nią ani jednego słowa?

Co będzie, jeśli zde gustowany (i wyraźnie widać dlaczego) rozmyśli się i nie zechce się spotkać z Normą Jeane, bądź co bądź swoją córką?

"Och, Tato, ta dziewczyna na ekranie to nie ja".

Niesamowite!

Publiczność przepadała za Lorelei Lee.

Dorothy też lubiła...

Jane Russell wydawała się cudownie ciepła, atrakcyjna, wrażliwa i za bawna, ale publiczność najwyraźniej wolała Lorelei Lee.

Dlaczego?

Te za patrzona, uśmiechnięte twarze.

Marylin Monroe była mistrzynią, a któż nie kocha mistrza?

O ironio, wszyscy ci ludzie na pewno zdawali sobie sprawę, że Marilyn nie istnieje.

Nie może mi się nie powieść.

Jeśli zawiodę, umrę.

Tego sekretu Marilyn nie znał nikt inny.

To się stało po Operacji.

Po tym, jak odebrano jej Dziecko. Karą był pulsujący ból macicy.

Z początku obfite krwawienia (nie protestowała, zasłużyła na to), potem wolniejszy upływ krwi, wilgoć gorąca niczym łzy spływające z jej łona.

Nikt tego nie widział.

Kara.

Spryskała się drogimi francuskimi perfumami, które dostała od kogoś w prezencie.

Nie zdarnie zeszła z planu, aby się ukryć w garderobie, przerażona, że się wykrwawi na śmierć.

Chciała, aby sobie pomyśleli, że ma swoje humory; miały je wszystkie gwiazdy pierwszej wielkości, mężczyźni i kobiety.

Ale nie przeżywały tak wielkiego przerażenia.

Obudziła się nocą (sama, Eks-Sportowiec wyjechał), gdy kodeina przestała działać.

Stworzę Lorelei z tej dolegliwości. To było jedno z większych osiągnięć Normy Jeane, tyle że nikt spośród premierowej publiczności o tym nie wiedział ani się nawet tego nie domyślał; i nie chciałby wiedzieć.

Doktor Bob, który znał najdrobniejsze szczegóły Operacji i wiedział o historii pacjentki, która później nastąpiła, przepisał jej kodeinę na "rzeczywisty albo urojony" ból, benzedrynę na "ożywienie", nembutal na "głęboki sen bez snów (i świadomości)".

Rzekł przy tym niczym Jimmy Stewart:

"Uważaj mnie za swojego najbliższego przyjaciela, Marilyn.

W tym świecie i następnym".

Blondwłosa Aktorka roześmiała się przerażona.

Zna mnie.

Zna moje wnętrze.

Oto triumfująca Lorelei Lee zmysłowo poruszała nagimi ramionami, przechylała głowę wyćwiczonym do perfekcji ruchem i gruchała seksownym, dziecięcym głosem:

Mężczyźni chłodnieją, gdy dziewczęta się starzeją.

W końcu wszyscy tracimy nasze uroki.

Jakże uroczo Lorelei Lee śpiewała owe prymitywne teksty!

Jakże promienny był jej uśmiech!

Choć nie miała głosu, śpiewała zadziwiająco słodko i pewnie; Lorelei tańczyła, a jej ciało, które nie było przecież ciałem tancerki - zaczęła ćwiczyć zbyt późno - wydawało się zdumiewająco sprawne.

Kto wiedział o długich godzinach ćwiczeń?

O zakrwawionych palcach u nóg i bolesnym pulsowaniu w macicy?

Lorelei śpiewała jak młodsza siostra Peggy Lee.

Ale oczywiście była znacznie od niej ładniejsza.

Jestem z siebie dumna.

Nie powinnam?

"

Szeptą do pana Shinna, którego miejsce było przy niej.

Który powinien trzymać ją za rękę.

Och, jemu by ufała!

Kończyła się projekcja filmu.

Nareszcie odbyły się dwa triumfalne śluby.

Dwie śliczne panny młode, Lorelei Lee i Dorothy, w dziewiczej bieli.

(Czy te dziewczęta były dziewicami?

To szokujące, ale tak.) Natychmiastowe oklaski.

Publiczności to się podobało, każda efektowna, fałszywa chwila.

Blondwłosa Aktorka, podniesiona na nogi przez dwie ręce wystające z rękawów smokingu, płakała.

Niesamowite!

Marilyn Monroe płakała prawdziwymi łzami.

Wzruszyła się do głębi!

Gwizdy, okrzyki zachwytu, owacja na stojąco.

Po to zabiłaś swoje dziecko.

Apartament Cesarski znajdował się na ostatnim piętrze hotelu Beverly Wilshire.

Blondwłosa Aktorka, oszołomiona i podniecona, niecałą godzinę wytrzymała na bankiecie wydanym na jej cześć, powiedziała kilka słów na usprawiedliwienie i wymknęła się.

Ktoś szczególny.

Przyjdź sama.

Do hotelu dotarła po jedenastej.

Jej serce biło jak serce małego ptaka, tak szybko, że była bliska omdlenia.

W kinie, po ciepłej i hałaśliwej owacji, jaką nagrodzono ją ijane Russell, musiała ukradkiem przełknąć kilka kolejnych tabletek doktora Boba, aby nagle nie przewrócić się z wyczerpania.

Aby guma piankowa Lorelei Lee nie oklapła jak zużyty balon, zdeptany na brudnej podłodze.

"To ostatni raz.

Tylko tego wieczoru".

Obiecała to sobie!

Po omacku trafiła kluczem do zamka.

Palce miała lodowate i zdrętwiałe.

Jej głos zdradzał przestach:

- Cz...cześć?

Kto tu jest?

Siedział na aksamitnej sofie w swobodnej pozie człowieka pewnego siebie.

Niczym Fred Astaire, chociaż bez jego smokingu i sylwetki.

Na niskim stoliku stał wazon z rżniętego szkła, a w nim tuzin czerwonych róż o długich łodygach, obok srebrne wiaderko z lodem i butelka szampana.

Był tak samo podekscytowany jak ona.

Słyszała jego niespokojny oddech.

Być może pił, czekając na nią.

Etola z białego lisa opadła z jej ramion.

Jak dziecko przeraziła się, że pokaże się tylko częściowo ubrana.

Podniósł się niezdarnie - wysoka, muskularna postać o zadziwiająco ciemnych włosach.

Powiedział: "Marilyn?"

- dokładnie wtedy, kiedy Blondwłosa Aktorka zapytała: "T...tata"?

Ruszyli ku sobie.

Jej oczy zaszyły łzami.

Zachwiała się, zaczepiła szpilką o dywan, ale mężczyzna złapał ją natychmiast.

Wyciągnęła ręce; od razu je pochwycił w swoje.

Jakże silne były jego palce, jakie ciepłe.

Śmiała się przejęta.

Zaczął ją całować w usta, namiętnie.

Oczywiście był to Eks-Sportowiec.

Oczywiście ten mężczyzna był jej kochankiem.

Śmiała się i płakała.

-Jestem taka sz...szczęśliwa, kochanie.

Więc jednak przyjechałeś.

Całowali się żarliwie, gładzili swoje ramiona.

Och, oto spełniło się marzenie.

Wyjaśnił jej, że postanowił wrócić dzień wcześniej; miał nadzieję, że obejrzy premierowy pokaz, ale nie zdążył na samolot.

Stęsknił się za nią.

Powiedziała:

-Och, kochanie.

Tak mi ciebie brakowało.

Wszyscy o ciebie pytali.

Wypili szampana i zjedli późną kolację.

Eks-Sportowiec oświadczył, że nie jadł niczego od lunchu i że jest potwornie głodny.

Blondwłosa Aktorka grzebała zamyślona w swoim talerzu.

Nie przełknęłaby niczego na bankiecie, który wydano na jej cześć.

Wtedy myślała o tym, co się miało wkrótce wydarzyć; teraz, przejęta szczęściem, u boku Eks-Sportowca, także nie miała apetytu.

Jej umysł przypominał dom, w którym we wszystkich pokojach płoną światła, ale żaluzje są szczelnie zaciągnięte.

Eks-Sportowiec zamówił dla niej gotowane gruszki w brandy z cynamonem i goździkami.

Od pierwszej randki w Villars wierzył, że gotowane gruszki w brandy są ulubionym deserem Blondwłosej Aktorki.

Tak samo uważał, że szampan jest jej ulubionym alkoholem, a krwistoczerwone róże jej ulubionymi kwiatami.

Mówiła do niego "Tato".

Nazywała go "Tatą", od miesięcy, to znaczy odkąd zostali kochankami.

Eks-Sportowiec nazywał ją "Dzieciną".

Inną niespodzianką był pierścionek.

Czy to było zaplanowane od dawna?

Duży diament otoczony diamencikami.

Roześmiała się nerwowo, gdy jej pomagał włożyć pierścionek na palec.

Kiedy podjął tę decyzję?

Eks-Sportowiec mówił niskim, zduszonym głosem, jakby się kłócili:

- Kochamy się, pora się pobrać.

Musiała się zgodzić.

Usłyszała swój szept wystraszonej dziewczyny:

- Och, tak!

Tak, kochany.

- Gwałtownie uniosła jego dłonie i przytuliła do policzków - Twoje dłonie!

Twoje silne, piękne dłonie.

Kocham cię.

- To chyba była część jakiegoś scenariusza, którego nauczyła się na pamięć, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

Eks-Sportowiec spał.

Chrapał.

Chichotał do siebie.

Leżał na plecach w bokserkach (włożył je, kiedy wyszedł spod prysznicza po akcie miłosnym), z obnażonym torsem.

Należał do mężczyzn, którzy pocą się pod czas snu, wiercą, nerwowo dygoczą i zgrzytają zębami.

Teraz z dużą wprawą starał się uniknąć widmowych piątek, które zmierzały w kierunku jego głowy.

Czasem w takich chwilach Blondwłosa Aktorka uspokajała swego kochanka, ale tym razem zeszła z łóżka i przeszła nago po dywanie.

Skorzystała z łazienki, starannie zamknęła drzwi i dopiero wtedy zapaliła światło.

Oślepiając białe kafle, lustra odbijające lustra.

Magiczna Przyjaciółka patrzyła na nią, ale jej nie poznawała.

Przecież nie pozostał po tym żaden widoczny ślad.

To nie było ani wycięcie wyrostka robaczkowego, ani cesarskie cięcie.

Przeszła do sąsiedniego, przestronnego, konwencjonalnie umeblowanego pokoju, gdzie zjedli romantyczną kolację, upili się szampanem,

całowali i zaręczyli.

Aby cię bronić.

Przed tymi szakalami.

Chcę, abyś była szczęśliwa.

Uwierzyła, że to może się udać: oto był z nią mężczyzna, który kochał ją bardziej, niż ona kochała siebie.

Dla niego znaczyła więcej, niż znaczyła dla siebie.

Może mimo wszystko klucz do szczęścia nie znajduje się w twoich rękach, tylko w innych.

Za to ona będzie kluczem do szczęścia tego mężczyzny.

Eks-Sportowiec i Blondwłosa Aktorka.

"Mogę to zrobić.

I zrobię to".

Przepełniona radością stanęła przy oknie.

Przy wysokim, wąskim oknie, które przypominało drzwi z jakiegoś snu.

Zasłony uszyto z delikatnego, przejrzystego materiału.

Naga kobieta na piątym piętrze hotelu Wilshire.

Oddychała z ulgą, jakże była lekka, teraz jej życie się ułożyło!

Pobiorą się;

postanowione.

Pobiorą się w styczniu 1954 roku i rozwiodą w październiku 1954.

Ich miłość będzie głęboka, ale ślepa i bezładna.

Oboje będą sobie zadawać rany jak zwierzęta, które w rozpaczliwej determinacji machają na oślepe pazurami i gryzą.

Może wiedziała o tym wcześniej.

Być może zawczasu nauczyła się na pamięć scenariusza.

Po drugiej stronie bulwaru, naprzeciw Wilshire, wciąż czekał tłum najbardziej zagorzałych wielbicieli.

Na co czekał, na kogo?

Zbliżała się druga.

Grupa składała się z dwunastu czy piętnastu osób, w większości mężczyzn.

Płci jednej albo dwóch osób nie dało się określić.

Ruch na piątym piętrze hotelu wytrącił ich z odrętwienia.

Blondwłosa Aktorka wpatrywała się z dziecięcą ciekawością w owe płomienne twarze, zarazem znajome i nieznajome, jak twarze w snach, o których mamy powody przypuszczać, że nie są naszymi własnymi snami, lecz sennymi pejzażami, przez które bezsilni i zauroczeni jak niemowlęta podróżujemy w ramionach naszych matek.

Dokąd nas zabierają nasze matki, tam i my musimy iść.

Blondwłosa Aktorka zobaczyła wysokiego, otyłego albinosa, którego ostatniego wieczoru do strzegła na schodku przy Egyptian Theatre.

Miał na głowie czapkę zrobioną na drutach, a na jego pociągłej twarzy malował się wyraz najwyższego zachwyty.

Zauważyła niższego mężczyznę o sylwetce niczym hydrant, młodzieńczej, gładkiej twarzy i zezowatych oczach schowanych za okularami.

Trzymał coś cennego na wysokości piersi: kamerę wideo?

Dostrzegła chudą kobietę z dużą szczęką, kościstymi dłońmi i długimi, wąskimi stopami w kowbojskich butach, w dżinsach i kapeluszu z miękkim rondem; miała przy sobie bajowy worek pełen jakichś drobiazgów.

(Czy to była Fleece?

Ale Fleece podobno nie żyje.) Ci ludzie, tak jak pozostali, trzymali zeszyty w plastikowych okładkach, zeszyty na autografy, oraz aparaty fotograficzne.

Potykną się, ruszyli przed siebie, jakby nie dowierzali własnym oczom.

Gapili się na okno na piątym piętrze, gdzie Blondwłosa Aktorka rozsunęła przejrzyste zasłony.

- Marilyn!

Marilyn!

Niektórzy wyciągnęli w jej kierunku dłonie, inni gorączkowo zwalniali migawki tanich aparatów fotograficznych.

Młody mężczyzna z kamerą wideo uniósł ją wyżej nad swoją głowę.

Ale jaka kamera mogła uchwycić obraz z takiej odległości, przy takim świetle?

Cóż takiego widzieli?

Nagą kobietę, spokojną, olśniewająco piękną i nieruchomą jak pomnik?

Włosy platynowoblond zmierzwiłone po akcie miłosnym.

Usta zwilżone, lekko rozchylone.

Te jedyne w swoim rodzaju usta.

Blade, nagie piersi, ciemniejsze sutki.

Sutki niczym oczy.

I ginąca w cie niu szczelinka między udami.

- Marilyn!

W ten sposób ciągnęła się długa noc.

PO ŚLUBIE:

MONTAŻ

Ćwiczyła pantomimę: prymat ciała i jego naturalnej inteligencji.

Studiowała jogę: panowanie nad oddechem.

Czytała Autobiografię jogina.

Czytała Ścieżkę zeń, Księgę tao i pisała w dzienniku: Jestem naiwną osobą!

Każdy dzień jest najszczęśliwszy w moim życiu.

Pisała haiku:

Rzeka Nocy Płynie bez końca.

Patrzę na to.

Otwarta.

(Choć tak naprawdę bezsenność jej nie doskwierała, w każdym razie nie za bardzo.) Uczyła się gry na fortepianie.

Przez długie, senne, magiczne godziny przesiadywała przy białym steinwayu, który kupiła od Clivea Pearcea, poleciła naprawić, nastroić i przywieźć do swojego mieszkania.

Fortepian właściwie nie był już biały, miał kolor lekko odbarwionej kości słoniowej.

Wydawał tony na przemian ostre i stłumione, w zależności od tego, w którą partię klawiszy się uderzało.

Pan Pearce miał rację: nigdy nie grała Dla Elizy/Beethovena i już nigdy nie zagra.

Nie tak jak powinno się to grać.

Tak czy inaczej, lubiła siedzieć przy fortepianie, uderzać delikatnie w klawisze, przechodzić palcami do dźwięków wysokich, potem wracać do basów.

Jeśli uderzyła w klawisze basowe zbyt mocno, słyszała męski, głęboki, barytonowy głos, jakby dochodzący z wodnistych głębin; gdy uderzała klawisze z rejestru wysokiego - kłótlivy, kobiecy sopran.

Nie powiedziałaś mi, że miałaś dziecko.

Nie powiedziałaś mi, że miałaś to dziecko.

I słowa Gladys, które prześladowały Normę Jeane za każdym razem, kiedy je usłyszała: Nikt nie zaadoptuje mojego dziecka!

Dopóki żyję i mogę temu zapobiec.

Mąż, który ją kochał, trzymał ją często w ramionach.

Trzymał w silnych, muskularnych ramionach.

Silne, muskularne były jego dłonie.

Chęć nie by go narysowała, tego przystojnego, umięśnionego mężczyznę!

Tego uprzejmego tatusia.

Z ochotą by go "wyrzeźbiła".

Zajęła się jednak rysunkiem, w czwartkowe wieczory chodziła na West Hollywood Academy of Art, choć bez pełnej aprobaty męża.

Uczyła się przygotowywać włoskie potrawy: kiedy odwiedzali jego rodzinę w San Francisco, co się zdarzało często, teściowa pouczała ją, jakie są ulubione dania Eks-Sportowca, jak się przyrządza włoskie sosy i risotto.

Nie czytała codziennej prasy, w każdym razie niewiele.

Nie czytała prasy filmowej ani magazynów dla miłośników kina.

Nie czytała prasy brukowej.

Z ludźmi z Hollywood spotykała się rzadko.

Miała nowy numer telefonu oraz nowy adres.

Jakiś czas temu posłała swojemu agentowi butelkę szampana i krótki liścik:

Marilyn przeżywa nieustanny miesiąc miodowy.

Proszę jej nie szukać i nie przeszkadzać!

Czytała Nauki Nostradamusa.

Czytała Science and Health with Key to the Scriptures Mary Baker Eddy.

Cieszyła się doskonałym zdrowiem, dobrze spała i miała nadzieję, że po raz pierwszy zajdzie w ciążę, jak powiedziała Eks-Sportowcowi, który był jej mężem, który był jej Tatą i który za nią przepadał.

Wynajął dla niej przestronną hacjendę, dom położony na północ od Bel Air i na południe od zbiornika wodnego w Stone Canyon.

Dom stał za wysokim murem, gęsto porośniętym czerwonym pnączem.

Nocą słyszała dziwne odgłosy, jakby coś drapało w dach albo okna.

Przyszła jej do głowy myśl: małpy!

choć wiedziała, że w tych okolicach na pewno nie ma małp.

Jej mąż miał twardy sen i nie słyszał podobnych hałasów, zresztą innych także nie.

Spał w szortach, a nocą jego poskręcane, siwiejące włosy na piersi, brzuchu i kroczu stawały się wilgotne, lekko oleista wydzielina występowała przez pory w jego skórze.

Zapach Taty.

Uwielbiała go.

Tę jego woń!

Zapach mężczyzny.

Sama pilnowała się, aby możliwie często brać prysznic, myć włosy szamponem, moczyć się długo w leczniczych kąpielach.

Zdawała się ciągle pamiętać, że w sierocińcu, a może w domu Pirigów, musiała się kąpać w wodzie używanej wcześniej przez innych, czasem nawet po pięciu albo sześciu osobach, a teraz mogła przesiadywać w wyłącznie swojej wodzie nasyconej aromatycznymi solami, ćwicząc jogę.

Zrób głęboki wdech.

Chwilę poczekaj.

Obserwuj, jak wolno uchodzi z ciebie powietrze.

Mów do siebie JESTEM ODDECHEM.

JESTEM ODDECHEM.

Nie była Lolerei Lee i prawie już o niej zapomniała.

Film przyniósł Wytwórni miliony dolarów i miał wciąż je przynosić, tymczasem ona dostała za swój wysiłek niespełna dwadzieścia tysięcy.

Nie przygnębiało jej to, bo nie była Lorelei Lee, która żyła wyłącznie dla pieniędzy i diamentów.

Nie była Rosę, która dążyła do zamordowania kochającego męża, i nie była Nell, która usiłowała zabić niewinną dziewczynkę.

Gdyby miała wrócić do filmu, to tylko dla jakiejś poważnej roli.

Gdyby miała wrócić do aktorstwa, zapewne wybrałaby karierę teatralną.

Największym podziwem darzyła artystów sceny teatralnej, ponieważ uważała ich za jedynych prawdziwych aktorów.

Często wychodziła na spacer lub biegała wzdłuż zbiornika.

Dostrzegała, że czasami ludzie przyglądają się jej uważnie.

Sąsiedzi, którzy wiedzieli, kim jest ona, kim jest Eks-Sportowiec, jednakże nie wkraczali w ich prywatność.

Niezwykłe!

Lecz byli też inni, ludzie spacerujący z psami, przyczajeni w domach, ludzie z ukrytymi aparatami fotograficznymi.

Niektórzy byli widzialni, inni niewidzialni.

Była przekonana, że Otto Osę ciągle żyje.

Że potępia jej małżeństwo z Eks-Sportowcem.

Podobnie Bliźnięta, jej kochankowie, którzy poprzysięgli (och, wiedziała o tym!

) zemstę.

Jak gdyby nie chcieli śmierci Dziecka.

Jak gdyby ich wola nie wpłynęła na jej decyzję.

W tym okresie szczęścia zaczęła akceptować to, że życie polega na oddychaniu.

Jeden oddech następuje po drugim.

To takie proste!

Była szczęśliwa.

Inaczej niż Niżyński, który oszalał.

Wielki tancerz Niżyński, którego podziwiali wszyscy.

Niżyński, który tańczył, bo takie było jego przeznaczenie, tak samo jak przeznaczeniem jego było oszaleć; który powiedział:

Szlocham z żalu.

Szlocham, bo jestem szczęśliwy.

Bo jestem Bogiem.

Próbowała oglądać telewizję z mężem, wielkim miłośnikiem telewizyjnego sportu, ale jej myśli odpływały, widziała siebie w obcistej, obszytej cekinami, purpurowej sukni, opuszczano ją w dół z helikoptera niczym pomnik, widziała swoje uniesione do góry ramiona i włosy, najwyraźniej białe, które łopotały na wietrze.

Potem podejmowała próbę skomentowania tego, co się dzieje na ekranie telewizora, albo pytała męża, co się stało.

Wygłaszała wtedy pytanie typu: Och, o co tutaj chodzi?

Chyba coś przegapiłam.

Podczas przerwy na reklamy jej mąż wszystko wyjaśniał.

Wiadomości prawie nie oglądała; bała się, że za bardzo przygnębi ją zło tego świata.

Zakończył się holokaust w Europie, by teraz niepostrzeżenie rozprzestrzenił się na cały świat.

Naziści przenieśli się do innych krajów.

Wielu osiedliło się w Ameryce Południowej, w tym także (podobno) sam Hitler.

Nazistowscy dygnitarze żyli incognito w Argentynie, Meksyku i Kalifornii.

Plotkowano albo potwierdzano, że pewien wysokiej rangi nazista poddał się operacji plastycznej i transplantacji włosów, całkowicie zmienił tożsamość, a obecnie zajmuje się interesami w Los Angeles, bankowością i handlem międzynarodowym.

Jeden z najbardziej błyskotliwych autorów przemówień Hitlera pracował incognito dla kongresmena z Kalifornii, prowadzącego ostrą antykomunistyczną kampanię i dlatego stale pokazywanego w telewizyjnych wiadomościach.

Przy białym steinwayu, który Gladys dostała od Fredrica Marcha, Norma Jeane była po prostu Normą Jeane i grała dziecięce utwory, powoli, spokojnie.

Pan Pearce podarował jej Wieczory na wsiBe\\ Bartoka.

Do Eks-Sportowca zadzwonił jego prawnik z ostrzeżeniem, że Norma Jeane otrzyma pozew.

Nie myślała o tym.

Wiedziała, że X, Y i Z zostali przesłuchani przez polującą na komunistów komisję i podobno "podali na zwiska", a jednym z ludzi, których skrzywdzono, był dramaturg Clifford Odets, ale pan Odets nie pisał dla niej scenariuszy.

Nie myślała o polityce, lecz o oddychaniu, co było sposobem rozmyślenia o duszy i sposobem niemyślenia o polityce ani o dziecku wyskrobanym z macicy i wrzuconym do wiadra, potraktowanym jak zwykły śmieć; nie zastanawiała się nad tym, czy dziecko żyło poza jej organizmem chociażby przez jedno uderzenie serca, czy może zginęło natychmiast (jak zapewniła ją Yvet: To zawsze przychodzi natychmiast, jest miłosierne i całkowicie legalne w cywilizowanych krajach, jak na przykład w północnej Europie).

Ale zwykle nie myślała o tym wszystkim, tak samo jak nie czytała codziennych gazet i nie oglądała telewizyjnych wiadomości.

Po drugiej stronie świata oddziały Narodów Zjednoczonych okupowały Koreę, ale bynajmniej nie pragnęła poznać bolesnych szczegółów.

Wolała nie wiedzieć o rządowych próbach nuklearnych, przeprowadzanych kilkaset mil na wschód, w Nevadzie i Utah.

Być może była świadoma, że przyglądają się jej rządowi informatorzy i że jako Monroe znajduje się "na liście", lecz nie zaprzętała sobie tym głowy, bo przecież w 1954 roku istniało mnóstwo rozmaitych list i mnóstwo nazwisk na tych listach.

Nie mamy na to wpływu, musimy to ominąć w ciszy jak owe wirujące sfery Niebios.

To rzekł Nostradamus.

Czytała Braci Karamazow Dostojewskiego.

Bardzo ją poruszyła postać Gruszeńki, pulchnej, dziewczęcej, okrutnej dwudziestodwulatki, której chłopska uroda zwiędnie szybko jak kwiat, ale zajadłość będzie kipiała przez całe życie.

Och, w innym życiu Norma Jeane była Gruszeńką!

Czytała opowiadania Antoniego Czechowa, z fanatyczną pasją poświęcała na to noce, ledwie zdając sobie sprawę z tego, gdzie i kim jest; niczym ślimak bez muszli kuliła się i krzywiła, gdy ktoś jej dotknął (na przykład zniecierpliwiony mąż).

Przeczytała opowiadanie Duszka była Oleńką!

Rozpłakała się nad Kobieta z pieskiem - była młodą mężatką, która zakochuje się w żonatym mężczyźnie i której życie odmieniło się na zawsze!

Przeczytała Wotodię dużego i Wotodię małego - i stała się młodą mężatką, która najpierw zakochuje się w swoim mężu uwodzicielu, a potem się odkochuje!

Ale Sali nr 6 nie mogła skończyć.

"To najszcześniejszy dzień w moim życiu".

Zabierze do Tokio purpurową suknię na ramiączkach szerokości spaghetti, wyszywaną cekinami, i broszkę z kryształu górskiego, która będzie poruszała się na szczycie jej prawej piersi jak sutek; suknię, w której uwielbiał widzieć ją mąż, Eks-Sportowiec; ciasną jak skórka kiełbasy, sięgającą trochę poniżej kolan, sprawiającą wrażenie taniej.

Strój, zdawałoby się, w złym guście.

Wyglądała w nim na umiarkowanie drogą prostytutkę, co czasem podobało się Eks-Sportowcowi, a czasem nie.

Zabierze tę sukienkę w tajemnicy, ale nie w Tokio się w nią ubierze.

Czy na lekcjach rysunku pozują mężczyźni?

- zażartował, spoglądając na nią z ukosa, co oznaczało, że to jednak nie był żart; niech cię nie kusi pospieszna, nierozważna odpowiedź.

Zareagowała w czystym stylu Lorelei Lee, co niemal docenił; w każdym razie roześmiał się szczekliwym, głębokim śmiechem.

"Rany, Tato!

Nawet tego nie zauważyłam".

Właściwie tylko modelki fascynowały ją i przerażały.

Zdarzało się często, że gapiła się na nie i zapomniała rysować.

Kawałek węgla nieruchomiał, przestawał muskać papier.

Przynajmniej raz kruchy pręcik złamał się na pół w jej palcach!

Modelki były czasem młode, lecz częściej nie.

Jedna z nich z pewnością zbliżała się do pięćdziesiątki.

Żadna nie była ładna.

Żadnej nie dało się określić słowem "śliczna".

Nie miały makijażu; ich włosy nie były ułożone ani uczesane.

Patrzyły bez blasku w oczach, obojętne na dziesiątki uczniów w klasie, "uczniów" wchodzących dopiero w wiek dojrzały i zbliżających się do późnego wieku średniego, siedzących w kręgu wokół modelki i intensywnie w nią wpatrzonych z powagą ludzi pozbawionych talentu.

Jakby nas tutaj nie było.

A jeśli jesteśmy, nie ma to najmniejszego znaczenia".

Jedna z modelek miała wystający brzuch i obwisłe piersi, sine, nie ogolone nogi.

Inna miała twarz o ostrych rysach, pełną kantów i zmarszczek niczym dynia na Halloween, marchewkowy połysk skóry i krzaczaste włosy sterczące spod pach i z krocza.

Zdarzały się modelki o obrzydliwych stopach, o brudnych paznokciach.

Pewna modelka (która Normie Jeane przypominała Linde, zadziorną dziewczynę z sierocińca) miała upiorną szramę na lewym udzie, długą może na osiem cali.

To fascynujące, że takie nieatrakcyjne kobiety nie tylko mają czelność zdejmować ubranie w obecności nieznajomych, lecz nie okazywać przy tym choćby najdrobniejszych oznak zakłopotania.

Norma Jeane podziwiała je.

Szczerze!

Rzadko jednak któraś z modelek zdobywała się na rozmowę z kimkolwiek oprócz instruktora.

Przez cały czas unikały kontaktu wzrokowego.

Bez patrzenia na zegarek dokładnie wiedziały, kiedy wypada przerwa na odpoczynek i papierosa, wtedy błyskawicznie wślizgiwały się w mizerne, postrzępione szlafroki, szybkimi ruchami wkładały postrzępione sandały i wybiegały po wariacku z sali.

Jeżeli któraś z nich wiedziała, tak jak pozostali uczniowie, że wstydliva, poważna młoda blondynka, którą instruktor przedstawił wszystkim jako Normę Jeane, była w istocie Marilyn Monroe, absolutnie nie dawała tego po sobie poznać.

Nie robiło to na nich wrażenia!

(Aha, czasem jednak na nią zerkały.

Zauważały.

Ukradkowe, przesywające spojrzenia, którymi się nie przejmowała.

Spojrzenia tak lodowate, że Norma Jeane nie miała odwagi się uśmiechnąć.)

Pewnego wieczoru po zajęciach Norma Jeane ośmieliła się podejść do oszpeconej blizną młodej kobiety (która nie miała na imię Linda) i zapytała, czy ta nie chciałaby pójść na kawę.

- Dziękuję, ale muszę jechać do domu - mruknęła modelka, nie patrząc Normie Jeane w oczy.

Zmierziała w kierunku drzwi, trzymając w ręku zapalonego papierosa.

W takim razie może dałaby się odwieźć do domu?

Dziękuję, ale już się z kimś umówiłam.

Norma Jeane uśmiechnęła się olśniewającym uśmiechem Marilyn, który zazwyczaj przykuwał uwagę, lecz tym razem zawiódł całkowicie.

Pomyślała: Tak naprawdę to Linda.

Wie aż nadto dobrze, kim jestem.

Kim jestem i kim byłam kiedyś.

Starając się nie okazywać zniecierpliwienia ani złości, Norma Jeane powiedziała:

- Chciałam tylko powiedzieć, że szczerze cię podziwiam.

Za bycie m...modelką.

Modelka wypuściła dym.

Na jej nieprzeniknionej twarzy nie pojawił się nawet cień ironii, chociaż widać było, że zamiast dymu wypuściła z siebie najczystsza ironię.

- Tak?

To miłe.

- Bo jesteś taka odważna.

- Odważna?

Dlaczego?

Norma Jeane zawahała się, ale nie przestała się uśmiechać.

Ten odruch był u niej instynktowny - zmysłowe rozciągnięcie ust - tak naprawdę był to tylko najbardziej pierwotny, genetycznie zaprogramowany, niemowlęcy instynkt (niedawno gdzieś o tym przeczytała), uśmiech słodki, pełen na dziei, uśmiech mający zjednać sympatię.

- Ponieważ nie jesteś ładna.

Wcale.

Jesteś brzydka.

Mimo to zdejmujesz ubranie przed obcymi ludźmi.

Modelka roześmiała się.

Może Norma Jeane nie wypowiedziała tych słów na głos?

Może jednak nie była to Linda, ale podobna do niej aktorka, nie wykluczone, że uzależniona od narkotyków i bita przez kochanka?

Norma Jeane rzekła:

- Bo, och, sama nie wiem...

Ja bym chyba tak nie mogła.

Gdybym była tobą.

Modelka roześmiała się.

- Gdybyś potrzebowała pieniędzy, Normo Jeane, wtedy na pewno byś mogła.

Możesz postawić na to swoją śliczną pupę.

-To najszcześniejszy dzień w moim życiu.

Wprawiała go w zakłopotanie podczas miesiąca miodowego, wykrzykiwała owe płynące z głębi serca słowa do kelnerów, portierów, sprzedawców, a nawet meksykańskich pokojówek, które uśmiechały się do blondwłosej gringa, nie pojmując, o co jej chodzi.

"To najszcześniejszy dzień w moim życiu".

Bez wątpienia naprawdę tak myślała.

Bo przecież Biblia głosi, że każdy dzień jest dniem błogosławionym, każdy dzień jest najszcześniejszy w życiu.

Głaskała Eks-Sportowca po twarzy, która wydawała się jej piękna, nawet kiedy nie była ogolona.

Patrzyła na niego z zachwytem.

Jak nieletnia żona muskała szorstkie, siwiejące włosy na jego piersi i przedramionach, dla zabawy ścisła miękkie fałdy jego ciała wokół pasa, którymi - w swej męskiej próżności sportowca - był zażenowany.

Całowała jego dłonie, co go też wprawiało w zażenowanie.

Czasami schylała głowę między jego nogi, co z kolei szalenie go podniecało.

Grzeczne dziewczęta nie całują tam mężczyzn, wiedziała o tym.

Ale czy on wiedział, że ona wie?

Przecież mogła być po prostu naiwna/Wczesnym rankiem biegała z nim po plaży, tuż przy zielonkawych wodach oceanu.

Eks-Sportowiec dziwił się, że kobieta może biegać tak dobrze i tak długo.

"Kochanie, jestem tancerką, wiesz o tym?"

" Zawsze jednak męczyła się wcześniej niż on, przystawała i patrzyła za nim, jak biegł dalej.

Ale nie uprawiali seksu oralnego.

On nie robił podobnych rzeczy z kobietą, która była teraz jego prawowitą żoną.

Przez wiele pokoleń w Hollywood będzie się opowiadało historyjkę, jak to z korytarza przed salą ślubów w ratuszu w San Francisco, gdzie za chwilę miała nastąpić krótka uroczystość zaślubin, Norma Jeane zadzwoniła po kryjomu do swojego przyjaciela Leviticusa z nie nadającym się do druku doniesieniem: Marilyn Monroe obciągnęła ostatniego kutasa.

Z czego zdumiony dziennikarz wywnioskował, że Blondwłosa Aktorka i Eks-Sportowiec wzięli właśnie cichy ślub po trwających od miesiący spekulacjach prasowych.

Kolejny smakowity kąsek dla Leviticusa!

Śpiewała mężowi: / Wanna Be Loved by You.

Chcę, żebyś mnie kochał.

Powtarzała, że to najszczęśliwszy dzień w jej życiu, a on tak był tym poruszony, że tylko mruczał prawie niedosłyszalnie: "Mój też".

Dostała wezwanie do stawienia się przed Komisją do Spraw Kontroli Działalności Wywrotowej w Sacramento.

Eks-Sportowiec poradził jej, aby mówiła prawdę.

Odpowiedziała: Ci ludzie nie mają prawa żądać ode mnie prawdy.

Jeśli znasz komunistów, rzekł, wymień ich.

Odparła: Nie zrobię tego.

Zdziwił się: Chyba nie masz nic do ukrycia, co?

Powiedziała: To moja prywatna sprawa, co chcę ukryć, a co chcę wyjawić.

Zauważyła, że chce ją uderzyć, ale nie robi tego, bo ją kocha; nie należał do ludzi, którzy uderzyliby słabszego od siebie, zwłaszcza kobietę, bądź kobietę, którą kochał.

Norma Jeane słyszała okropną opowieść o tym, że Eks-Sportowiec bił swoją pierwszą żonę, ale przecież to było dawno temu, on był wtedy młody i popędliwy, a żona go "prowokowała".

Oświadczył spokojnie: Nie rozumiem tego i wcale mi się to nie podoba.

Na co ona odrzekła: Mnie się to także nie podoba.

Możliwe, że nazwała go Tatą.

Możliwe, że pocałowała go.

Możliwe, że ścierpiął ów pocałunek w pełnej godności ciszy.

Jednakże w rezultacie, dzięki negocjacjom prawników Wytwórni, diametralnie zmienił się charakter spotkania z Komisją.

Publiczne przesłuchanie na którymś z pięter siedziby kalifornijskiej legislatury stało się prywatną rozprawą, czyli, tak naprawdę eleganckim, obiadem w odosobnionej jadalni.

Obyło się bez przesłuchania.

Obyło się bez konfrontacji.

Obyło się bez ludzi z prasy i innych mediów.

Na zakończenie trwającego trzy godziny obiadu Blondwłosa Aktorka dała autografy członkom Komisji i podpisała tyle studyjnych fotografii Marilyn Monroe, ile od niej zażądano.

Czysta dusza.

Na zajęciach z pantomimy dowiedzieliśmy się, że ciało ma swój naturalny, subtelny, muzyczny język.

Ciało poprzedza mowę.

I często żyje niezależnie od mowy.

Polecono nam za pomocą pantomimy wyrazić najgłębsze pokłady naszych osobowości.

Młoda blondynka z początku tak się skuliła, jakby chciała zniknąć nam z oczu.

Podciągnęła nogi i objęła rękoma kolana.

Miała na sobie wypchane spodnie i męską koszulę; tlenione włosy związane starannie z tyłu głowy chustką, twarz bez makijażu (ale znaleźliśmy tę twarz).

Przykucnęła w kącie, patrzyła na niewidzialny horyzont.

Ruszyła przed siebie, nieporadnie ciągnąc za sobą nogi.

Podniosła się powoli niczym promień światła.

Rozłożyła ręce i stała na palcach, póki jej ciało nie zaczęło drżeć.

Potem przeszła bez pośpiechu po sali, wpatrując się w jeden punkt.

Zaczęła bezszelestnie tańczyć.

Mogło się wydawać, że wpadła w trans, wolno wirowała, wyginała boleśnie ciało.

Zdjęła koszulę, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

Skrzyżowała ramiona na nagich, rozkołysanych piersiach.

Niczym zaczarowana położyła się na podłodze, skuliła jak dziecko i natychmiast zasnęła albo udawała, że śpi.

Minęła długa, magiczna minuta.

Nie sposób było orzec, czy w dalszym ciągu mamy do czynienia z grą, czy z autentycznym, niespodziewanym zaśnięciem.

Oczywiście mogło się zdarzyć i jedno, i drugie.

Po upływie kolejnej minuty zaniepokojony instruktor klęknął przy niej i wymówił imiona, które nam podała: "Normo Jeane?

"

Młoda blondynka, Norma Jeane, głęboko spała.

Nie dała się łatwo obudzić.

Oczywiście wiedzieliśmy, kim naprawdę jest.

Znaliśmy jej hollywoodzki pseudonim.

Ale najgłębsze pokłady jej osobowości przedarły się na zewnątrz.

Czysta dusza.

Piękna i bezimienna.

Wszystko przez to, że tak bardzo ją kochał.

Nie mógł znieść, że pomniejszała swoją wartość.

Ponizła się i degradowała.

Szargała swoje i jego imię.

Te zdjęcia i fotosy.

Ci szakale.

A płacili jej tak niewiele, tyle tylko, ile wynikało z kontraktu.

Każdy wie, że Hollywood jest normalnym burdelem.

Ukazywali ją jak zwykłą kurwę!

Uliczną dziwkę.

Norma Jeane była teraz żoną Eks-Sportowca.

Co z jego rodziną i krewnymi w San Francisco?

Co z zażenowaniem?

Jego wielbicielami?

Ożenił się z nią z miłości, a we wszystkich gazetach podkreślano wstydlivy fakt, że został ekskomunikowany z Kościoła.

Z powodu niedawnego rozwodu.

Kościół zabrania rozwodów.

Ale zrobił to dla niej!

Z miłości.

Wystawia się na pokaz jak mięso.

Zaszyta w te swoje sukienki.

Kołysze biodrami, kiedy chodzi.

Nie mówcie, że to żart.

Jeżeli żart, to bardzo wulgarny.

Piersi prawie wyskakują z ubrania.

Bankiet po rozdaniu nagród czasopisma "Photoplay".

Rozdanie Oscarów.

Powiedziała, że nie pójdzie, ale poszła.

Tym właśnie jesteś?

Mięsem?

Wszyscy wiedzą, czym jest Hollywood.

Jej nazwisko w gazetach.

Jego zresztą też.

Nowożeńcy się kłócą?

Publicznie?

Ohydne kłamstwa.

Kłamliwa suka.

Eks-Sportowiec nigdy nie podniesie ręki na kobietę.

Jak ona śmie go prowokować.

Była naga, senna.

Środek popołudnia, a ona jeszcze nie całkiem się przebudziła.

Wczoraj na zajęciach z pantomimy (chyba że to już kilka dni temu) zapadła w głęboki sen i nie mogła się jeszcze z niego otrząsnąć.

Gdyby tylko miała te pobudzające pigułki doktora Boba - ale ich nie miała.

Rozwścieczony mąż wyrwał wszystkie z jej dłoni i wyrzucił do muszli klozetowej.

Czy tym właśnie jesteś?

Mięsem?

Tato, nie!

Wcale nie chcę taka być.

Powiedz, że się nie zgadzasz.

Na ten nowy film.

Nie podpisuj umowy.

Tato, przecież muszę pracować.

Takie jest moje życie.

Wytlumacz im, że przyjmujesz tylko dobre role.

Poważne.

Powiedz im, że rezygnujesz.

Twój mąż każe ci zrezygnować.

Dobrze.

Tak powiem.

Zaczęła płakać.

Ale nic się nie zdarzyło.

Przestraszyła się, bo nie miała w oczach łez.

Nie miała jeszcze trzydziestu lat i już wyschły jej łzy!

Za biłam moje dziecko!

Popłynęła łza, może dwie.

Moje dziecko?

Dlaczego?

Nie potrafiła płakać.

Ktoś nasypał piasku do jej oczu i ust.

Tam, gdzie miała kiedyś serce, znajdowała się klepsydra z przesypującym się piaskiem.

Naprawdę zachorowała.

Musiała się poddać operacji usunięcia wyrostka.

W panice pomyślała, że to poród; jednak urodzi dziecko.

Wściekły niemowlęcy demon kręcił i poruszał głową tak wielką, że mógł rozerwać jej łono na dwoje.

Jej mąż nie był ojcem i udusi ją swymi silnymi, pięknymi dłońmi.

Gryzło ją sumienie, bała się, przesywał ją dojmujący ból, jej skóra płonęła.

Otrząsnęła się w trwodze, by odkryć, że jest w łazience, obnażonymi pośladkami opiera się o krawędź białej porcelanowej wanny i kołysze z jednej strony na drugą w paroksyzmach cierpienia, naga, spocona i cuchnąca jak przerażone zwierzę.

Eks-Sportowiec rozpoznał te objawy.

W zasadzie zidentyfikował je z ulgą.

Jako młodzieniec przeszedł ostre zapalenie wyrostka i nawet otarł się wtedy o śmierć.

Teraz wezwał karetkę i Normę Jeane przewieziono do Cedars of Lebanon Hospital.

Z tego chaosu i zamieszania narodzi się pewna hollywoodzka opowieść, którą z ożywieniem będzie się powtarzało przez lata.

Szpitalny chirurg, dowiedziawszy się o tożsamości pacjentki, odkrył przyklejoną taśmą do jej brzucha kartkę zapisaną rozchwanymi literami.

WAŻNE!

PRZECZYTAĆ PRZED OPERACJĄ

Szanowny Doktorze,

niech Pan zrobi jak najmniejsze cięcie.

Wiem, że to się może wydać Panu próżne, ale nie o to tutaj chodzi.

Liczy się fakt, że jestem kobietą - właśnie to znaczy dla mnie tak wiele.

Pan ma dzieci i dlatego musi wiedzieć, o co mi chodzi - błagam, Doktorze - wiem, że mogę na Pana liczyć!

dziękuję - na miłość boską, drogi Panie Doktorze.

Proszę nie usuwać jajników.

I jeszcze raz proszę, niech zrobi Pan wszystko, co w Pana mocy, aby zapobiec dużym bliznom.

Z całego serca dziękuję.

Marilyn Monroe

Od dnia premiery filmu Mężczyźni wolą blondynki, kiedy postanowiła wyjść za Eks-Sportowca, nie miała wiadomości od mężczyzny, który przedstawił się jako jej ojciec.

Twój zapłakany Ojciec.

Nie powiedziała o nim nikomu.

Czekała.

Pojechała do Lakewood odwiedzić Gladys.

Nikt jej nie towarzyszył.

Miała połyskującego studebakera w kolorze śliwkowym, z rozkładanym dachem i białymi oponami.

Jej stosunki z Wytwórnią nie układały się dobrze, ponieważ nie chciała wystąpić w kolejnym filmie.

Nie mogła zatem liczyć na to, że ma w każdej chwili do dyspozycji służbowy samochód.

Eks-Sportowiec zaproponował, że pojedzie z nią, ale ona się nie zgodziła.

- Wizyta u matki podziła na ciebie przygnębiająco.

To chora kobieta.

Eks-Sportowiec nigdy nie spotkał się z Gladys Mortensen i nigdy się nie spotka.

Widział za to jej zdjęcie z grudnia 1926 roku.

Gladys z małą Normą Jeane w ramionach.

Eks-Sportowiec patrzył na eteryczną młodą kobietę o wychudłej twarzy, oczach Greta Garbo i wąskiej linii brwi, trzymającą na ręku niczym jakąś osobliwość pulchne dziecko O wilgotnych ustach i ze znakiem zapytania ze skręconych włosów na czubku głowy.

Blondwłosa Aktorka niepewnie spoglądała na męża, którego pod wieloma względami nie znała.

Bo kochać mężczyznę to nie znaczy tyle, co go znać, wprost przeciwnie.

Być kochaną przez mężczyznę to tyle samo, co stworzyć obiekt jego miłości, który nigdy nie może zostać narażony na szwank.

-Tak!

Matka i ja.

Dawno, dawno temu.

Eks-Sportowiec skrzywił się, tylko dlaczego?

Przez kilka minut studiował sepiową fotografię.

Jeśli miał chęć wypowiedzieć jakiegokolwiek słowa wyrażające litość, współczucie, zakłopotaną miłość albo nawet ból, nie mógł ich sformułować.

W Lakewood Blondwłosa Aktorka stała się Normą Jeane Baker, której pojawienie się przyjęto z takim samym jak zazwyczaj, stonowanym, pełnym szacunku aplauzem.

Miała na nogach buty na średnim obcasie i gustowny, fiołkowo-szary gabardynowy kostium z luźnym żakiem.

Nie była Marilyn Monroe - to się rzucało w oczy.

Mimo wszystko niczym zapach dobrych perfum otaczała ją blond aura Marilyn.

Pamiętała o prezencie dla personelu: dziesięciofuntowym walentynkowym pudełku ze szwajcarskimi czekoladkami.

"Och, panno Baker!

Dziękujemy", "Panno Baker, nie powinna pani!

" Spojrzenia roześmianych oczu schodzą na jej palec ze ślubną obrączką.

Bo przecież po ostatniej wizycie w Lakewood poślubiła sławnego na całym świecie Eks-Sportowca.

"Ależ śliczny mamy dzień, prawda?

Wyjdzie pani z mamą na spacer?

" "Pani pozwoli za mną, panno Baker.

Pani matka nie śpi i wręcz nie może się doczekać, kiedy panią zobaczy".

Tak naprawdę Gladys Mortensen wcale nie wyglądała na stęsknioną matkę i najprawdopodobniej nawet nie wiedziała, że Norma Jeane ma przyjechać.

Jeśli ktoś jej powiedział, to i tak zapomniała.

Norma Jeane także dla niej miała prezenty, ale raczej owoce, nie słodczy, koszynek mandarynek i błyszczące, purpurowe winogrona; egzemplarz "National Geographic", ponieważ zawierał piękne fotografie, które mogły się Gladys spodobać, do tego ostatnie wydanie "Screenlandu" z Blondwłosą Aktorką na okładce, przedstawioną w spokojnej pozie, z podpisem pod zdjęciem: MARILYN MONROE, MAŁŻEŃSTWO Z MIŁOŚCI.

Gladys zerknęła na to wszystko i zmarszczyła nos.

Czyż by spodziewała się słodczy?

Norma Jeane delikatnie objęła matkę, nie tak serdecznie, jak by chciała, ponieważ wiedziała, że wtedy Gladys natychmiast zeszywnieje.

Złożyła lekki pocałunek na policzku starszej kobiety, która najwyraźniej była w dobrej formie.

Kiedy zadzwoniła, aby uprzedzić o swej wizycie, dowiedziała się, że jej matka ostatnio nie miała się najlepiej, ale już niemal z tego wyszła.

Tego ranka umyła Gladys włosy i ubrano w ładny, różowy pikowany szlafrok, który córka kupiła dla niej u Bullocka; był trochę poplamiony, ale Norma Jeane nie chciała zwracać na to uwagi.

Dobre kolory kapcie stały pod łóżkiem.

Na ścianie obok biurka było coś nowego: wizerunek Jezusa Chrystusa z obnażonym sercem, aureolą świętości wokół przystojnej, filmowej głowy.

Katolicki obrazek?

Musiał go jej podarować jeden z pacjentów.

Norma Jeane westchnęła, jak gdyby patrzyła w otchłań, na dnie której stała maleńka postać, prawdopodobnie jej matka.

Natomiast przyjemnie się zdziwiła, zauważywszy oparte o lustro ślubne zdjęcie jej i Eks-Sportowca, które niedawno wysłała Gladys.

Panna młoda w bieli, z radosnym uśmiechem.

Przystojny pan młody o mocno zarysowanych brwiach.

Norma Jeane pomyślała: Nie wyrzuciła tego!

Na pewno mnie kocha.

Gladys zachichotała, jedząc winogrona.

- Ten mężczyzna jest twoim mężem?

Czy on wie o tobie?

-Nie.

- To dobrze.

- Gladys z powagą skinęła głową.

Norma Jeane zauważyła z ulgą, że czas jakby się zatrzymał dla Gladys.

Jeśli matka się zmieniła, to chyba na korzyść, odmłodziła.

Roztaczała wokół siebie aurę figlarniej dziewczyny.

Kiedy Norma Jeane objęła ją, wyczuła, kruche, ptasie kości.

Jakże delikatne były kości jej twarzy.

Tajemnicze oczy Garbo.

Ów eteryczny wyraz, jaki obiektyw aparatu fotograficznego uchwycił przed wielu laty.

Norma Jeane ucieszyła się, gdy Eks-Sportowiec, patrząc na zdjęcie z 1926 roku, uległ urokowi Gladys, choć tylko na moment.

A wtedy Gladys miała mniej lat niż ona teraz.

Ze starannie wyregulowanych i pomalowanych brwi Gladys pozostało kilka pojedynczych siwych włosów.

Norma Jeane dowiedziała się od personelu, że w pogodne dni Gladys bez przerwy spaceruje po terenach szpitala.

Należy do najbardziej aktywnych starszych pacjentów.

Pod względem fizycznym jest w zasadzie zdrowa.

Podczas rozmowy Norma Jeane zachwycała się pogodą ducha matki.

Może to nie miało trwać długo, może było powierzchowne i bezwiedne, ale przynajmniej Gladys nie popadała w głębokie zamyślenie tak jak kiedyś.

Norma Jeane mimochodem porównywała swoją matkę z nową teściową: niską, mocno zbudowaną Włoszką z wydatnym nosem, drobnym wąsikiem, wielkim, obwisłym biustem i krągłym, małym brzuszkiem.

Teściowa chciała, aby zwracać się do niej "mamo".

Mamo!

Drobna jak ptaszek Gladys siedziała na skraju łóżka i kołysała nagimi nogami.

Głośno smakowała winogrona i wypluwała pestki w dłoń.

Od czasu do czasu Norma Jeane wyciągała rękę z papierową chusteczką i bez słowa zabierała pestki.

Gdyby od czasu do czasu Gladys nie krzywiła twarzy i nie poruszała dziwnie oczami, można by się nie domyślić, że jest pacjentką szpitala psychiatrycznego.

Była ożywiona i uprzejma.

Tak jak ożywiona i uprzejma była Norma Jeane, wspomagana benzedryną doktorka Boba.

Gladys wspomniała coś o "wiadomościach ze świata", "problemach w Korei".

Czyżby czytała gazety?

Czyli robiła więcej niż ostatnio Norma Jeane.

Ta kobieta nie jest bardziej szalona niż ja.

Ale ukrywa się.

Pozwoliła światu się pokonać.

A to nie przytrafi się Normie Jeane.

Gladys przebrała się w spodnie i koszulę, Norma Jeane zabrała ją na spacer.

W powietrzu wisała mgła, dzień był przyjemnie chłodny.

Eks-Sportowiec mówił o takich dniach, że "są poza miejscem i czasem".

Na takie dni niczego nie planował.

Żadnych meczy baseballowych, żadnego skupiania uwagi.

Jeśli jesteś na emeryturze, masz zawieszony kontrakt, nie pracujesz, chorujesz na umyśle, to twoje życie wykracza poza miejsce i czas.

- Chyba rzucę kino.

U szczytu sławy.

Mój mąż tego chce.

Pragnie żony i matki.

To znaczy...

Matki swoich dzieci.

I ja też tego pragnę.

Być może Gladys jej słuchała, ale nie odpowiedziała nic.

Odeszła od Normy Jeane jak zniecierpliwione dziecko, które woli iść samo.

- Tędy skracam sobie drogę.

Poprowadziła Normę Jeane po rozrzuconych cegłach, dróżką zbyt wąską, aby ją nazywać alejką, między zabudowaniami szpitala.

Nad ich głowami huczały wentylatory.

Gryząca woń rozgrzanego tłuszczu opadła na nie jak cios zadany otwartą dłonią.

Przeszły z szerokiej, wysypanej żwirem ścieżki na teren porośnięty trawą.

Norma Jeane roześmiała się sztucznie, zastanawiając się, czy ktoś się im nie przygląda.

Obawiała się, że jakaś osoba z personelu, nawet lekarz, bez jej wiedzy od czasu do czasu robi zdjęcia; aby ich zadowolić, pozwoliła się sfotografować z dyrektorem szpitala w jego biurze, a potem też z innymi pracownikami, uśmiechając się promiennym uśmiechem Marilyn.

Czy to wystarczy?

Oby tak było.

Ale kiedy w zasięgu jej wzroku nie pojawiał się nikt z aparatem fotograficznym, nikt, kto by się natarczywie im przyglądał, kiedy nad głowami otwierała się szeroka przestrzeń nieba bez słońca, to czy wtedy takie chwile nie ginęły bezpowrotnie?

Nie marnowało się pulsowanie życia?

Czy większość życia nie jest poza miejscem i czasem i nie ginie nieodwracalnie, nie zarejestrowane na taśmie filmowej?

- Wytwórnia proponuje mi role z seksualnym podtekstem.

Jeśli mam mówić szczerze!

Takie one są.

Weźmy sam tytuł: Słomiany wdowiec.

Mój mąż mówi, że to wstrętne i upokarzające.

Marilyn Monroe jest gumową laleczką, którą każą mi być.

Chcą ją eksploatować, aż się zużyje; potem wyrzucą ją na śmietnik.

Ale mój mąż ich przejrzał.

Mnóstwo ludzi usiłowało go wykorzystać.

Przyznaje, że popełnił kilka błędów.

Jego zdaniem mogłabym się czegoś od niego nauczyć.

Twierdzi, że ludzie z Hollywood są szakalami.

Włączając mojego agenta i tych, którzy mówią, że stoją po mojej stronie przeciwko Wytwórni.

"Oni wszyscy chcą cię wykorzystać", mówi.

"A ja chcę cię po prostu kochać".

- Słowa te dziwnie wibrowały w powietrzu, jak wykrzywione kuranty.

Norma Jeane słyszała swój głos, który brzmiał tak, jakby Gladys zaoponowała.

- Chodzę na zajęcia z pantomimy.

Chcę zacząć od początku, od zera.

Może przeniosę się do Nowego Jorku i tam będę studiowała aktorstwo.

Poważne aktorstwo.

Na scenie, nie w filmach.

Mój mąż może nie będzie się temu sprzeciwiał.

Chcę żyć w innym świecie.

Nie w Hollywood.

Chciałabym żyć w...

Och, Czechow!

Oneill.

Anna Christie.

Mogłabym zagrać Norę w Domu lalki.

Czy Marilyn nie byłaby znakomita jako Nora?

Tylko grę na żywo można nazwać prawdziwą grą.

W filmach skleją cię po kawałku, łączą setki różnych scen.

To jak układanka, ale nie ty ją składasz.

Gladys odezwała się zupełnie nieoczekiwanie:

- Ta ławka.

Dawniej tu siadywałam.

Ale kogoś na niej zabili.

- Zabili?

-Jeśli jesteś nieposłuszna, robią ci krzywdę.

Jeśli nie połykasz trucizny, którą ci dają.

Jeśli trzymasz ją w ustach i nie chcesz połknąć.

To zabronione.

Gladys mówiła z przejęciem.

Była wyraźnie podniecona.

Och, nie.

Proszę, nie.

Zasłaniając oczy i popiskując, Gladys czym prędzej ominęła ławkę.

Tę samą ławkę, na której we dwie wiele razy siadały, ławkę przy płytkim strumyku.

Teraz Gladys mówiła o trzęsieniu ziemi.

O uskoku Świętego Andrzeja.

Rzeczywiście ostatnio w Los Angeles miały miejsce niewielkie drgania ziemi, ale trudno mówić o trzęsieniu z prawdziwego zdarzenia.

Nocą przychodzili do niej jacyś ludzie, ciągnęła Gladys.

Kręcili o niej film.

I coś jej robili instrumentami chirurgicznymi.

Innych pacjentów zachęcano, aby ją okradali.

Podczas trzęsienia ziemi tego rodzaju rzeczy zdarzają się, bo nie ma kto nad tym zapanować.

Ale Gladys miała szczęście: nikt jej nie zabił.

Nikt nie zadusił poduszką.

- Szanuję pacjentów, którzy mają rodzinę, takich jak ja.

Ja jestem tutaj bardzo ważną osobą.

Pielęgniarki zawsze gruchają: "Och, kiedy Marilyn zamierza cię odwiedzić, Gladys?"

"Odpowiadam: "Skąd mam wiedzieć?"

Je stem tylko jej matką".

Dużo wypytywały o tego baseballistę, czy Marilyn wyjdzie za niego.

W końcu powiedziałam im: "Idźcie i same ją zapytajcie, skoro to dla was takie ważne.

Może zaproponuje wam, żebyście zostały jej druhnami".

Norma Jeane niemrawo się roześmiała.

Jej matka mówiła niskim głosem, coraz szybciej, co sygnalizowało kłopoty.

Był to głos z Highland Avenue wybijający się ponad łoskot lejącej się z kranu masy wrzątku.

Mogło się zdawać, że opuszczenie cuchnącego korytarza oznacza wyjście poza zasięg wpływów władz szpitala.

- Mamo, usiądźmy.

Jest tutaj całkiem przyjemna ławka.

- Przyjemna ławka!

- prychnęła Gladys.

- Czasami, Normo Jeane, wyrażasz się jak idiotka.

Jak pozostali.

- Mamo, tak się tylko m...mówi.

- Zatem naucz się mówić mądrzej.

Nie jesteś idiotką.

W chłodnym, zamglonym powietrzu, które pachniało lekko siarką, przeszły w najodleglejszy zakątek przyszpitalnego podwórza, gdzie wznosiło się ogrodzenie wysokie na dwanaście stóp i rósł żywopłot z ligustru.

Gladys przesunęła palcami po ogrodzeniu i mocno nim potrząsnęła.

Rozumiało się samo przez się, że był to cel jej szybkiego marszu.

Normę Jeane ogarnęła panika, że obie są pacjentkami w Lakewood.

Podstępem zwabiono ją do szpitala i teraz było za późno.

Równocześnie jednak była świadoma tego, jak się rzeczy mają.

Według kalifornijskiego prawa jej mąż musiałby wyrazić na to zgodę.

A Eks-Sportowiec kochał ją, nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

Może ją zabije!

Swymi silnymi, pięknymi dłońmi.

Ale nie, nigdy by się nie posunął do takiego okrutnego, zdradzieckiego czynu.

- Mam teraz męża, który mnie kocha, mamo.

Dzięki temu świat się całkiem odmienił.

Och, mam nadzieję, że któregoś dnia będziesz mogła go zobaczyć!

Jest cudownym, serdecznym człowiekiem, który szanuje kobiety...

Gladys oddychała szybko, ożywiona pospiesznym marszem.

W ciągu kilku ostatnich lat stała się niższa o cal lub dwa od Normy Jeane, mimo to córce wydawało się, że musi spojrzeć w górę, aby napotkać chłodny, nie złomny wzrok matki.

Mocno wyciągnęła szyję.

- Nie miałaś dziecka, prawda?

Śniło mi się, że umarło.

- Umarło, mamó.

- Dziewczynka?

Powiedzieli ci?

- Poroniłam, mamó.

W szóstym tygodniu.

Byłam strasznie chora.

Gladys z-powagą skinęła głową.

Wcale nie sprawiała wrażenia zdziwionej tą rewelacją, choć wyraźnie nie wierzyła w nią.

- Moją matką była Delia, potem Delia została babcią i taka była jej nagroda.

Miała ciężkie życie, a ja przysporzyłam jej tylu cierpień.

Ale przynajmniej pod koniec była szczęśliwa.

- W oczach Gladys zapaliły się ogniki przebiegłej wiedźmy.

-Ale jeśli robisz to dla mnie, Normo Jeane, ja ci tego obiecać nie mogę.

Norma Jeane zapytała stropiona:

- Czego nie możesz mi obiecać?

Nie rozumiem.

- Nie mogę być jedną z nich.

Babcią.

Jak ona.

To dla mnie kara.

- Och, Mamó, co ty opowiadasz?

Kara za co?

- Za porzucenie moich pięknych córek.

Za to, że pozwoliłam im umrzeć.

Norma Jeane odwróciła się od matki, pchając dłońmi powietrze tak, jak by odpychała się od ściany.

To niemożliwe!

Nie da się rozmawiać z chorym psychicznie.

Z paranoidalną schizofreniczką.

Przypominało to jedną z tych onieśmialających improwizacji, podczas których instruktor objaśniał jednemu aktorowi fakty nie znane drugiemu aktorowi i ten drugi musiał potem na oślep włączyć się do sceny.

Należało zaaranżować jakąś nową scenę.

Aby zacząć nową scenę, wystarczy przejść z jednej przestrzeni do drugiej.

Samą siłą woli.

Chwyliła Gladys za żylaste, cienkie jak drut ramię i pociągnęła ją z po wrotem na ścieżkę.

Dosyć!

Norma Jeane tu zdecydowała.

Ona przekazywała szpitalowi w Lakewood wygórowane opłaty, ona była opiekunką i najbliższą krewną Gladys Mortensen.

Córki!

Istniała tylko jedna córka i była nią Norma Jeane.

Głośno powiedziała:

- Mamo, kocham cię, ale tak bardzo mnie ranisz!

Proszę, nie rób tego.

Wiem, że nie czujesz się najlepiej, jednak mogłabyś się postarać.

Spróbować być miłą.

Kiedy będę miała własne dzieci, nigdy ich nie zranię.

Będę je kochała, aby zachować je przy życiu.

Ty jesteś jak pająk w sieci.

Jeden z tych małych brązowych pająków.

Z najbardziej niebezpiecznego gatunku!

Wszyscy myślą, że Marilyn Monroe na pewno ma pieniądze, ale to nieprawda.

Ciągle muszę pożyczać.

Płacę za twój pobyt, za ten prywatny szpital, a ty sączysz we mnie truciznę.

Pożerasz moje serce.

Mój mąż i ja chcemy mieć dzieci.

On tęskni za dużą rodziną.

Tak jak ja.

Chcę mieć sześcioro dzieci.

Gladys zażartowała:

-Jak wykarmisz szóstkę dzieci?

Nawet jako Marilyn?

Norma Jeane roześmiała się, albo przynajmniej próbowała się roześmiać.

To akurat było bardzo zabawne!

W torebce miała drogocenny list od swojego ojca.

- Usiądź, Mamo.

Mam dla ciebie niespodziankę.

Muszę ci coś przeczytać i proszę, nie przerywaj mi.

Eks-Sportowiec wyjechał w interesach.

Blondwłosa Aktorka wybrała się na inscenizację sztuki współczesnego dramaturga amerykańskiego w Pasadena Playhouse.

Zabrała ją grupa przyjaciół.

Każdego wieczoru, kiedy Eks-Sportowca nie było w domu, chodziła na przedstawienia w miejscowym teatrze.

W tej fazie życia Blondwłosa Aktorka miała licznych przyjaciół w różnych kręgach.

W tym przypadku chodziło o młodszych przyjaciół, których Eks-Sportowiec nie znał: pisarzy, aktorów, tancerzy.

Jeden z nich był instruktorem Blondwłosej Aktorki na zajęciach z pantomimy.

Publiczność dyskretnie obserwowała ją.

Blondwłosa Aktorka wydawała się szczerze poruszona spektaklem.

Nie ubrała się zbyt wytwornie i nie zwracała na siebie uwagi.

Przyjaciele niczym ochrona usiedli z obu jej stron.

Będzie się opowiadać, że po zakończeniu sztuki, kiedy publiczność za częła się rozchodzić, Blondwłosa Aktorka siedziała w fotelu jak sparaliżowana.

W końcu wykrztusiła: "To prawdziwa tragedia.

Serce człowiekowi pęka".

Potem, przy drinku, rzuciła: "Wiecie co?

Wyjdę za tego dramaturga".

- Miała szalone poczucie humoru!

Wyglądała na poważne dziecko, a wygadywała rzeczy wprost niesamowite.

Kiedy widzisz nabzdryngolonego mopsa w rodzaju W.

C. Fieldsa, spodziewasz się, że facet będzie sardoniczny.

Jeśli widzisz brwi i wąsy Groucho Marxa, spodziewasz się czegoś surrealistycznego.

Ale w przypadku Marilyn żadne reguły nie obowiązywały.

U niej wszystko rodziło się spontanicznie.

Jakby jakiś wewnętrzny głos ją prowokował: "Zaszokuj sukinsynów.

Wstrząśnij nimi".

I robiła to.

Zdarzało się, że wypowiedziane przez nią słowa wracały do niej, prześladowały ją i raniły; może od początku wiedziała, że tak się stanie.

Ale co tam, do jasnej cholery?

Po powrocie do swojego pokoju w szpitalu Gladys wdrapała się na łóżko.

Pomoc Normy Jeane nie była jej potrzebna.

Umilkła, odkąd córka przeczytała jej list spokojnym, dźwięcznym, pozbawionym emocji głosem, i milczała nadal.

Norma Jeane pocałowała ją w policzek i powiedziała cicho:

- Do widzenia, Mamo.

Kocham cię.

Gladys nie odpowiedziała.

Nie spojrziała na nią.

Norma Jeane otworzyła drzwi i przystanęła, aby zobaczyć, że jej matka odwróciła się twarzą do ściany.

Patrzyła na upiorne, jaskrawe barwy Najświętszego Serca Jezusa.

Miało to coś wspólnego z Wielkanocą.

Blondwłosa Aktorka przyjechała do Miejskiego Domu Dziecka w Los Angeles czarną limuzyną z tapicerką pluszową i wspaniałą jak wyłożone poduszkami wnętrze trumny.

Za kierownicą siedział w uniformie i czapce Żabi Szofer.

Od kilku dni Blondwłosa Aktorka była podniecona i przejęta.

Jakby miał to być sceniczny debiut.

Od dawna zamierzała wrócić do sierocińca i odwiedzić doktor Mittelstadt, która zmieniła bieg jej życia.

Podziękować jej.

Być może (Blondwłosa Aktorka miała nadzieję, że to wypadnie naturalnie, w sposób całkowicie niewymuszony) razem się pomodlą w zaciszu biura doktor Mittelstadt.

Razem uklękną na dywanie!

Eks-Sportowiec zazwyczaj nie pochwalał publicznych występów Blondwłosej Aktorki.

Według jego męzowskiej oceny podobne wystąpienia były "pospolite", "poniżające", "nieprzystające do twojej godności jako mojej żony".

Tym razem jednak Eks-Sportowiec nie miał żadnych zastrzeżeń.

Przez lata, jako aktywny baseballista, ale też po ukończeniu kariery sportowej, często odwiedzał domy dla sierot, szpitale i inne instytucje.

Niektóre z tych dzieciaków, zwłaszcza chore, kalekie, mogą ci złamać serce - ostrzegł.

Ale jednocześnie dać powód do radości.

Człowiek czuje, że robi coś dobrego.

Wywiera jakiś wpływ.

Tworzy pozytywne wspomnienia.

W dawnych czasach królowie i królowe odwiedzali podobne miejsca, aby pocieszyć chorych, chromych, porzuconych, wyklętych; obecnie w Stanach Zjednoczonych jedynie takie osobistości jak Eks-Sportowiec i Blondwłosa Aktorka odgrywali ich role.

Nie pozwól się tylko osaczyć reporterom, ostrzegł Eks-Sportowiec.

Och, jasne, zgodziła się Blondwłosa Aktorka.

Wiele hollywoodzkich znakomitości zgłaszało się do podobnych rzeczy na ochotnika.

Należała do nich Blondwłosa Aktorka, choć oficjalnie była w niełasce, zawieszona przez Wytwórnę za naruszenie kontraktu.

Poprosiła, aby ją zabrano do Miejskiego Domu Dziecka przy El Centro Avenue.

"Kiedyś tam mieszkałam.

Mam stamtąd sporo wspomnień".

Głównie dobrych wspomnień.

Oczywiście.

Blondwłosa Aktorka wierzyła w dobre wspomnienia.

To prawda, że była sierotą - Jak wielu ludzi!

" - to prawda, że matka musiała ją zostawić - "Był kryzys.

Dotknął wielu ludzi!

" - ale w sierocińcu dbano o nią.

Blondwłosa Aktorka nie czuła goryczy z tego powodu, że była sierotą w kraju dobrobytu - "Hej, przecież przeżyłam.

Nie jak w niektórych krajach, takich jak Chiny, gdzie niemowlęta płci żeńskiej topią jak kocięta".

We wszystkich gazetach ogromne nagłówki.

Specjalne artykuły Louelli Parsons, Waltera Winchella, Sida Skolskyego i Leviticusa.

Główny artykuł w "Hollywood Reporter" i w "L.A.

Times Sunday Magazine".

Drobniejsze wzmianki w prasie całego kraju oraz w czasopismach "Time", "Newsweek", "Life".

Tłumy fotoreporterów, ekipy telewizyjne.

Parę zdań w wieczornych wiadomościach.

**MARILYN MONROE PO LATACH WRACA DO SIEROCIŃCA MARILYN MONROE NA NOWO
ODKRYWA SIEROCĄ PRZESZŁOŚĆ NA WIELKANOC MARILYN MONROE ZAPRZYJAŻNIA SIĘ Z SIEROTAMI**

Blondwłosa Aktorka powie Eks-Sportowcowi, że nie ma pojęcia, w jaki sposób to wydarzenie zyskało tak niesamowity rozgłos.

Innymi hollywoodzkimi sławami odwiedzającymi domy, szpitale i instytucje media w ogóle się nie interesowały!

Blondwłosa Aktorka była podniecona i wystraszona jak dziewczynka.

Ile minęło lat?

Szesnaście!

"Ale od tamtej pory nie żyłam tylko jednym życiem".

Podczas gdy Żabi Szofer umiejętnie prowadził czarną limuzynę z zamożnej dzielnicy Beverly Hills, poprzez Hollywood, na zachód, w głąb Los Angeles, Blondwłosa Aktorka zaczęła tracić zimną krew.

Lekki, pulsujący ból między jej oczami wyraźnie się wzmógł.

Połknęła aspirynę (czego się w głębi duszy wstydziła), ponieważ znacznie wykroczyła poza przepisaną przez lekarza dawkę "cudownego środka uspokajającego", demerolu, ale postanowiła, że nie weźmie już ani tabletki więcej.

Zbliżając się do doktor Mittelstadt (jakby zbliżała się do gorącego, ozdrowiającego słońca), zdawała sobie sprawę, że moc uzdrowienia może pochodzić jedynie od wewnątrz.

Nie istniał ból i w pewnym sensie nie istniało "uzdrowienie".

Boska Miłość zawsze wychodziła naprzeciw i zawsze będzie wychodzić naprzeciw każdej ludzkiej potrzebie.

Blondwłosej Aktorce towarzyszyła w osobnym samochodzie grupa po mocników.

Furgon z ładunkiem wielkanocnych koszyków - owiniętych w kolorowy papier z czekoladowymi zajacami, ślazowymi kogucikami, barwnymi galaretkami, pieczoną szynką z Wirginii i świeżymi ananasami, które przyleciały wprost z Hawajów.

Blondwłosa Aktorka wyłożyła pięćset dolarów z własnych pieniędzy (czy może z zasobów Eks-Sportowca?

), za tem mogła wręczyć czek doktor Mittelstadt "w geście wdzięczności".

Swoją drogą, czy dyrektorka sierocińca nie zdradziła w jakiś sposób Normy Jeane?

Przestała pisać do niej listy po upływie jakichś paru lat.

Blond włosa Aktorka odepchnęła tę myśl.

"To zapracowana kobieta.

Tak samo jak ja".

Żabi Szofer skręcił na podwórze sierocińca i Blondwłosa Aktorka zaczęła się trząść.

Och, ale to chyba jakieś inne miejsce, czyż nie?

Brudna ceglana fasada została oczyszczona i wyglądała teraz jak surowe mięso po zdarciu skóry.

Tam, gdzie kiedyś był otwarty teren, teraz stały brzydkie domki.

Tam, gdzie kiedyś był mizerny plac zabaw, teraz urządzono asfaltowy parking.

Żabi Szofer podjechał bezgłośnie pod wejście, gdzie zgromadziła się nieokiełznana banda reporterów, fotografów i kamerzystów.

Blondwłosa Aktorka miała spotkać się z nimi później, ale oczywiście oni chcieli zadać pytania już teraz, krzyczeli do niej, kiedy w pośpiechu prowadzono ją do wnętrza budynku, aparaty fotograficzne strzelały niczym karabiny maszynowe.

W środku wymieniła uściski dłoni z jakimiś obcymi ludźmi.

Doktor Mittelstadt nigdzie nie było.

Co się stało z foyer?

Co to za miejsce?

Mężczyzna w średnim wieku o wygolonej twarzy prosiaczka Porkyego zaprowadził Blondwłosą Aktorkę do sali odwiedzin, mówiąc szybko i radośnie.

-Ale gdzie jest doktor M...Mittelstadt?

- zapytała Blondwłosa Aktorka.

Wydawało się, że nikt jej nie słyszy.

Grupa pomocników wносиła do budynku wielkanocne koszyki, szynki i ananasy w kartonach.

Testowano system nagłaśniający.

Blondwłosa Aktorka nie widziała wyraźnie przez ciemne szkła okularów, ale nie chciała ich zdjąć, aby ci ożywieni nieznajomi nie dostrzegli w jej oczach paniki.

Kilka razy zawołała z olśniewającym uśmiechem:

- Ojej, być tutaj to dla mnie wielki zaszczyt!

Wielkanoc to takie szczególne święto.

Dziękuję za zaproszenie.

Jakże się cieszę, że tu jestem!

Cała uroczystość zbiła się w niewyraźną plamę, choć bynajmniej nie minęła szybko.

Zanim rozpoczęła się właściwa ceremonia, Blondwłosej Aktorce zrobiono zdjęcia do "archiwum" sierocińca.

Z promieniejącym uśmiechem prosiaczkiem Porkym, który przed aparatem zdjął okulary.

Z przedstawicielami personelu i kilkorgiem dzieci.

Jedna z dziewcząt była bardzo podobna do Debry Mae w wieku dziesięciu, jedenastu lat...

Blondwłosa Aktorka miała ochotę pogłaskać dziewczynkę po niesfornych, marchewkowych włosach.

-Jak ci na imię, kochanie?

zapytała.

Dziewczynka z oporem wymamrotała parę sylab.

Blondwłosa Aktorka nie usłyszała ich dokładnie.

Donna?

Dunna?

Ceremonia odbyła się w jadalni.

Blondwłosa Aktorka pamiętała, że było to bardzo nieprzyjemne miejsce.

Dzieci weszły do środka parami i usiadły przy stołach.

Patrzyły stamtąd na nią, jakby była animowaną postacią z filmów Disneya.

Kiedy Blondwłosa Aktorka stała przy mikrofonie i wygłaszała przygotowaną mowę, równocześnie rozglądała się po sali w poszukiwaniu znajomych twarzy.

Gdzie się podziała Debra Mae?

Gdzie jest Norma Jeane?

Czy to może Fleece?

Chude, posępne dziecko - nie, to jakiś chłopiec.

Będzie się potem mówiło, że Blondwłosa Aktorka, w przeciwieństwie do tego, czego spodziewała się większość personelu, okazała się "słodką, miłą, uprzejmą" kobietą.

Wielu twierdziło, że zachowywała się "niemal jak prawdziwa dama".

"Nie była olśniewająca, ale bardzo ładna.

I jak zbudowana".

Zauważono, że jest "trochę nerwowa, chyba się nawet jąkała.

(Mieliśmy nadzieję, że nie słyszała, jak niektóre dzieciaki ją przedrzeźniają!)

"Wzbudziła podziw okazaną cierpliwością: dzieci nie mogły się doczekać rozdania prezentów, kręciły się i hałasowały, "zwłaszcza dzieci latynoskie, które nie znają angielskiego".

Starsi chłopcy rzucali znaczące spojrzenia, poruszając wulgarnie językiem.

Blondwłosa Aktorka, jak wierzono, "bardzo mądrze ich zignorowała.

A może to się jej podobało, kto wie".

Mimo pulsującego w głowie bólu Blondwłosa Aktorka odczuwała radość, wręczając wielkanocne koszyki dzieciom, które kolejno do niej podchodziły.

Nieskończoność sierot.

Wieczność sierot.

Och, mogła to robić przez wieki!

Weź magiczny środek doktora Boba i wszystko możesz robić bez końca!

Będziesz w tym lepsza niż w seksie.

(Zresztą wszystko jest lepsze od seksu.

Ha, ha, żartuję tylko!

) Och, to było satysfakcjonujące, odprężające i radosne doświadczenie, co Blondwłosa Aktorka ogłosi światu na wypadek, gdyby ktoś wątpił.

A ludzie rzecz jasna będą wątpili.

Będą pytali w wywiadach.

Każda wypowiedziana przez nią sylaba warta była notki w prasie lub migawki w telewizji.

Nie powie im jednak, że osierocone dziewczęta interesowały ją bardziej niż osieroceni chłopcy.

Chłopcy jej nie potrzebowali.

Im mogła pomóc każda kobieta, każde kobiece ciało - jeśli pragnęli określić się jako mężczy i dlatego lepsi - wszystkie ciała są podobne.

Ale osierocone dziewczęta wpatrywały się w nią, zapamiętywały ją, będą ją wspominać.

Osierocone dziewczęta, tak zranione jak Norma Jeane.

Dostrzegą to.

Potrzebowały dotyku, pogłaskania po głowie i policzku, pocałunku.

Słów: "Ależ jesteś urocza!

Bardzo mi się podobają twoje warkoczki".

Jak ci na imię?

Och, jak ładnie!

" Powiedziała im cicho, jakby zdradzała sekret:

- Kiedy tutaj mieszkałam, nazywałam się Norma Jeane.

Jedna z dziewcząt odparła:

- Ojej, szkoda, że ja się nie nazywam Norma Jeane.

Blondwłosa Aktorka ujęła twarzyczkę dziewczynki w obie dłonie i ku zdumieniu wszystkich wybuchnęła płaczem.

Zapyta później o imię i nazwisko tej dziewczynki.

Wyśle czek do sierocińca na "ubrania i książki" dla tej dziewczynki.

Nie dowie się nigdy, czy czek na dwieście dolarów rzeczywiście został wykorzystany na określone przez nią cele, czy rozpułnął się w budżecie domu dziecka.

Bo o wszystkim zapomni.

To zła, ale zarazem dobra strona Sławy: tak wiele się zapomina.

A co z czekiem na pięćset dolarów, który pod wpływem impulsu wypisała dla doktor Mittelstadt?

Nawet go nie wyciągnie z torebki.

Nowym dyrektorem był nie kto inny, tylko ów mężczyzna w średnim wieku o-twarzy prosiaczka Porkyego.

Człowiek miły, lecz zanadto gadatliwy i zarozumiały.

Blondwłosa Aktorka słuchała go cierpliwie przez kilka minut, po czym mu przerwała, aby zapytać, tym razem stanowczo, co się stało z doktor Mittelstadt.

Zobaczyła trzepoczące rzęsy i wydęte usta.

- Doktor Mittelstadt była moją poprzedniczką - odparł prosiaczek Porky obojętnym głosem.

- W ogóle nie miałem z nią do czynienia.

Nigdy nie wypowiadam uwag na temat moich poprzedników.

Wierzę, że wszyscy staraliśmy się jak najlepiej.

Nie bawię się w osądzanie innych.

Blondwłosa Aktorka odszukała jakąś starszą opiekunkę, znajomą twarz.

Dawniej młodą kobietę, teraz raczej otyłą, z obwisłym podbródkiem, lecz mimo wszystko szczerze uśmiechniętą.

- Norma Jeane.

Pewnie, że pamiętam!

Najbardziej nieśmiała, najstodsza dziewczynka.

Coś ci dolegało...

Alergia?

Astma?

Nie.

Miałaś polio i kuląłeś?

Nie?

(Oczywiście, teraz już nie utykasz.

W tym ostatnim filmie tańczyłaś jak Ginger Rogers!

) Przyjaźniłaś się z tą zwariowaną Fleece?

Prawda?

Doktor Mittelstadt bardzo cię lubiła.

Należałaś do jej kręgu.

Kobieta chichotała i kręciła głową.

Była to scena z jakiegoś filmu, Blond włosy Aktorka powraca do sierocińca, w którym była więziona przez sporą część swojego dzieciństwa, i odsłania rozmaite rewelacje, jakby odkrywała karty; nie mogła się tylko zdecydować, jaki nastrój ma mieć podkład muzyczny.

Podczas ceremonii rozdawania wielkanocnych koszyków puszczono w jadalni Raster Paradę Binga Crosbyego.

Teraz jednak nie było słychać żadnej muzyki.

- A doktor Mittelstadt?

Chyba odeszła na emeryturę?

-Tak, na emeryturę.

Spłoszone spojrzenie opiekunki.

Lepiej nie pytać.

gdzie ona jest?

Spojrzenie pełne smutku.

- Niestety, biedna pani Edith nie żyje.

- Nie żyje!

- Edith Mittelstadt była moją przyjaciółką.

Pracowałam z nią dwadzieścia sześć lat.

Nigdy nikogo nie szanowałam bardziej.

Nigdy nie próbowała mi narzucać swojej religii.

Była dobrą, troskliwą kobietą.

- Wydatne usta wygięły się w podkówkę.

- Nie tak jak ci z młodszego pokolenia.

Obchodzi ich tylko budżet.

Wydają nam rozkazy jak gestapo.

-W jaki s...sposób doktor Mittelstadt umarła?

- Na raka piersi.

Tak nam powiedziano.

Oczy kobiety powilgotniały.

Jeśli to scena filmowa, a przecież inaczej być nie mogło, to była ona bardzo realistyczna, przejmująca; Blondwłosa Aktorka będzie musiała polecić Żabiemu Szoferowi, aby się zatrzymał przy aptece na El Centro, czym prędzej wpadnie do środka i poprosi aptekarza, żeby pozwolił jej zadzwonić do doktora Boba i wydał jej awaryjną kapsułkę demerolu, którą ona od razu połknie.

Takie to było realistyczne, z muzyką czy bez niej.

Blondwłosa Aktorka skrzywiła się.

- Och, jakże mi przykro.

Na raka piersi.

O Boże.

Bezwiednie skrzyżowała ręce.

Na sławnych, sterczących piersiach Marilyn Monroe.

Tego dnia w sierocińcu oczywiście nie prezentowała swoich piersi w jakikolwiek podejrzany sposób.

Miała na sobie stonowany kostium w dobrym guście, a na głowie wielkanocny kapelusz z bławatkami i woalką.

Przypiętą do klapy konwalię.

Doktor Mittelstadt miała większe piersi od niej, ale rzecz jasna były one innego rodzaju, bo piersi Blondwłosej Aktorki były, lub stały się, dziełami sztuki.

Na moim nagrobku, żartowała Blond włosą Aktorka, powinny zostać wryte moje wymiary: 38-24-38.

- Biedna Edith!

Wiedzieliśmy, że jest chora, bardzo traciła na wadze.

Wyobraź sobie szczupłą doktor Mittelstadt.

Biedaczka straciła pięćdziesiąt funtów jeszcze w sierocińcu.

A skórę miała jak wosk.

Cienie pod oczami.

Nalegaliśmy, aby poszła do lekarza.

Ale wiesz, jaka była uparta i jaka dzielna.

"Nie mam po co iść do lekarza".

Bała się, lecz nigdy się do tego nie przyznała.

Wiesz chyba, że kiedy wyznawcy Christian Science są chorzy, proszą znajomych, aby się za nich modlili.

Choć oczywiście oni nigdy o sobie nie myślą, że są "chorzy".

Ci znajomi się modlą i oni się modlą.

Jeżeli wierzą, to zostaną uzdrowieni.

I tak samo było z Edith.

Kiedy wreszcie zrozumieliśmy, w jakim znajduje się stanie, niewiele zostało jej czasu i wtedy dopiero poszła na zwolnienie lekarskie.

Nie godziła się na pobyt w szpitalu aż do końca.

Nawet wówczas tego nie chciała.

Tragedia polegała na tym, że Edith uważała swoją wiarę za zbyt słabą.

Rak pożerał jej ciało, pożerał kości, a ta biedna kobieta nadal myślała, że to jej wina.

Słowo "rak" nigdy nie wyszło z jej ust.

- Opiekunka wzięła głęboki oddech, wytarła chusteczką oczy.

- Oni nie wierzą w śmierć, rozumiesz.

Ci z Christian Science.

Więc kiedy śmierć po nich przychodzi, myślą, że to wyłącznie ich wina.

Blondwłosa Aktorka zdobyła się na odwagę i zapytała:

- A Fleece?

Co się z nią stało?

Kobieta uśmiechnęła się.

- Och, ta Fleece.

Słyszeliśmy, że poszła do wojska.

Chciała zostać co najmniej sierżantem.

- Och, Tato.

Obejmij mnie.

Tkwiła w jego silnych ramionach.

Był zaskoczony, czuł się odrobinę nieswojo, ale na pewno ją kochał.

Szalał za nią.

Teraz jeszcze bardziej niż na początku.

-Jestem taka...

słaba.

Och, Tato!

Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

Mruknął:

- Co ci jest, Marilyn?

Nic nie rozumiem.

Drżała i tuliła się do niego.

Czuł, że jej serce bije szybko jak u ptaka.

Jak ją zrozumieć?

Ta wspaniała, seksowna kobieta, która publicznie wypowiadała się znacznie lepiej od niego, jedna z najślawniejszych kobiet w Stanach Zjednoczonych, ba, może na całym świecie...

szukała schronienia w ramionach męża?

Kochał ją, to pewne.

Dbął o nią.

Oczywiście.

Choć zaskakiwało go takie zachowanie, które powtarzało się coraz częściej.

- Kochanie, o co chodzi?

Nic nie rozumiem.

Czytała mu fragmenty Biblii.

Podniosłym, stęsknionym głosem.

Domyślał się, że był to jej dziewczęcy głos.

Rzadko miał okazję go słyszeć.

- "To powiedziawszy, splunął na ziemię, uczynił błoto ze śliny i nałożył je na oczy niewidomego, który przejrzał".

- Spojrzała na niego, jej oczy płonęły dziwnym blaskiem.

Co miał powiedzieć?

Co, do licha?

Przeczytała mu kilka swoich wierszy.

Napisała je dla niego.

Tak powiedziała.

Z zapałem, dziewczęcym głosem pełnym entuzjazmu.

Od jakiegoś czasu przeziębiona, miała podrażnione, zaczerwienione nozdrza i pociągała nosem; z typową dla dziecka otwartością otarła nos palcami, dysząc tak dziwnie, jakby stała nad krawędzią przepaści.

Z tobą

świat się nowy rodzi.

Podwójny.

Przed tobą

był tylko jeden.

Co miał powiedzieć?

Co, do licha?

Uczyła się robić sosy.

Sosy!

Puttanesca(

sardelami), carbonarą).

boczkiem, jajkami, gęstą śmietaną), bolognese z siekaną wołowiną i wieprzowiną, grzybami, śmietaną), gorgonzolą, gałka muszkatołowa, śmietana).

Poznała makarony, słowa, które brzmiały jak poezja i skłaniały ją do uśmiechu: ravioli, penne, fettuccine, linguine, fusilli, conchigli, bucatini, tagliatelle.

Och, była szczęśliwa!

Czy to się jej śniło?

A jeśli tak, czy to był dobry sen, czy nie?

Sen tego rodzaju, który niepostrzeżenie przechodzi w koszmar?

Popychasz nie domknięte drzwi windy i wpadasz do głębokiego szybu?

Weszła do nagrzanej, obcej kuchni.

Strumyczki lepkiego potu na jej twarzy, między piersiami.

Nieporadnie siekała cebulę, podczas gdy ktoś bez przerwy do niej trajkotał.

Oczy szczypały ją i łzały.

Wyciągnęła z kredensu dużą patelnię.

Dzieci biegały z wrzaskiem tam i z powrotem po kuchni:

bratankowie i bratanice, siostrzeńcy i siostrzenice jej męża.

Nie mogła zapamiętać ich twarzy ani imion.

Posiekany czosnek i olej dymiły na patelni!

Nastawiła zbyt duży ogień.

Albo zbłądziła myślami pod niebo za oknem i nie patrzyła na kuchenkę.

Czosnek!

Tyle czosnku.

Ich jedzenie było nim przesycone.

Zapach czosnku wydzielali z oddechem jej teściowie.

Jej teściowa.

Z zepsutymi zębami.

Mama pochylała się ku niej.

Mama była wszechobecna.

Niska, nieustannie dreptająca kobieta, która przypominała parówkę.

Miała nos czarownicy i mocny podbródek.

Piersi opadające na brzuch.

Nosiła czarne sukienki z kołnierzykami.

W przekłutych uszach obowiązkowo kolczyki.

Wokół krótkiej szyi - złoty krzyżyk na złotym łańcuszku.

Zawsze nosiła pończochy.

Bawełniane, jak babcia Delia.

Blondwłosa Aktorka widziała zdjęcia teściowej jako młodej kobiety we Włoszech, nie pięknej, ale dość ładnej, o seksualnym wdzięku Cyganki.

Już jako dziewczyna była krępa.

Ile dzieci wydało na świat to gumiate, małe ciało?

Teraz zajmowała się wyłącznie przygotowaniem jedzenia.

Które pochłaniali mężczyźni.

Och, jak je pochłaniali!

Ta kobieta stała się jedzeniem i sama uwielbiała jeść!

W kuchni pani Glazer, przed wielu laty, była szczęśliwa.

Norma Jeane Glazer.

Żona Buckyego.

Rodzina Glazerów przyjęła ją jak córkę.

Norma Jeane przepadała za matką Buckyego i poślubiła jej syna, by zyskać jednocześnie męża i matkę.

Och, kiedy to było?

Złamano jej serce, ale jakoś to przeżyła.

Teraz była dojrzała i nie potrzebowała matki.

Nie takiej matki!

Niedługo miała skończyć dwadzieścia osiem lat i już nie była sierotą.

Eks-Sportowiec pragnął, aby wypełniała rolę żony i synowej.

Pragnął, aby publicznie była olśniewającą kobietą, oczywiście u jego boku, w żadnym razie bez niego, bez jego ścisłego nadzoru.

Ale przecież była dorosła; miała własną karierę, jeśli nie tożsamość; chyba że Marilyn Monroe była jej całą karierą.

W dodatku ta kariera najprawdopodobniej nie miała potrwać długo.

Zdarzały się dni, które upływały straszliwie wolno (na przykład podczas pobytu w San Francisco, w domu rodziny męża), jednak całe lata mijały szybko jak krajobraz za oknem mknącego samochodu.

Nikt, żaden mężczyzna nie miał prawa jej poślubić i zmuszać, aby się zmieniała!

Jak gdyby twierdzenie "Kocham cię" znaczyło tyle samo, co "Mam prawo cię zmienić".

"Czy ja się różnię od niego, gdy był u szczytu kariery?

Gdy był sportowcem?

Mamy tak mało czasu".

Zobaczyła, że nóż wymyka się z jej wilgotnych palców i spada na podłogę.

"Och, przepraszam, Mamo".

Kobiety w kuchni gapiły się na nią.

Czy one myślą, że chciała pokaleczyć im stopy?

Tłuste kostki?

Przez chwilę przytrzymała nóż pod strumieniem bieżącej wody, wytarła go ściereczką i wróciła do siekania.

Och, ależ była znudzona!

Jej dusza Gruszeńki umierała z nudów.

Pora smażenia drobiowych wątróbek.

Intensywny zapach, który ją przy prawiał o mdłości.

Zazdrościła jej każda dziewczyna i każda kobieta w Stanach!

Tak samo jak każdy mężczyzna zazdrościł Pałkarzowi Yankeesów.

W Pasadena Playhouse uświadomiła sobie, że zetknęła się z talentem wielkiej miary.

Z Dramaturgiem, którego sztuka wniknęła głęboko do jej serca.

Który miał wizję tragicznego, ludzkiego cierpienia.

Zwyczajnego życia.

Podaruj serce światu, to wszystko, co masz.

Potem i tego już nie będzie.

Owe słowa wypowiedziane nad grobem na samym końcu inscenizacji, na scenie skąpanej w upiornym, niebieskawym świetle, które powoli gasło, prześladowały Blondwłosą Aktorkę od tygodni.

"Mogłabym zagrać w jego sztukach.

Tylko że nie ma tam ról dla Marilyn".

Uśmiechnęła się.

Roześmiała.

"To dobrze.

W takim razie będę dla niego kimś innym".

Kobiety patrzyły na nią, smażąc drobiowe wątróbki.

Ostatnio z jej winy kuchnia o mało co nie stanęła w ogniu.

Mówiła do siebie?

Uśmiechała się?

Była jak trzylatek pogrążona we własnym świecie.

Niemal nie chciało się jej przeszkadzać.

Jeśli się przestraszy, upuści rozgrzany widelec na stopę.

Odkąd przestała zażywać leki przepisane jej przez doktora Boba, czuła się rozgorączkowana i ociężała.

Przysięgła sobie, że już nigdy nie weźmie do ust niczego silniejszego od aspiryny; raz nie można jej było dobudzić, obudziła się po piętnastu godzinach letargu, kiedy jej zdesperowany mąż był już bliski wezwania karetki; zmusił ją wtedy do złożenia obietnicy:

nigdy więcej!

Zgodziła się i zamierzała tej obietnicy dotrzymać.

Eks-Sportowiec przekona się, że jest osobą poważną.

Nie tylko odmawia Wytwórni, nie tylko nie zgadza się na kolejne seks-filmy z Marilyn Monroe, ale jest też oddaną żoną i dobrą kobietą.

Eks-Sportowiec zobaczy, jak dobrze się spisze w ten weekend.

Nawet poszła z nimi na mszę.

Z kobietami.

Och, Najświętsze Serce Jezusa!

Na bocznym ołtarzu przepastnego, pachnącego kadzidłem, starego kościoła.

Nieprzyjemnie obnażone serce niczym część ciała, której nie powinno się oglądać.

Weźcie moje serce i zjedzcie je.

Eks-Sportowiec, znakomity baseballista, został ekskomunikowany za poślubienie Blondwłosej Aktorki, lecz arcybiskup San Francisco był przyjacielem rodziny i miłośnikiem baseballu, więc "może, w jakiś sposób" sprawy dałyby się naprawić.

(Jak?

Poprzez unieważnienie tego małżeństwa?)

Poszła na mszę z kobietami.

Chyba były zadowolone, że mają ją przy sobie, śliczną Marilyn.

Jedyną blondynkę w grupie czarnowłosych ludzi o oliwkowej cerze.

Wyższą o głowę od Mamy.

Nie miała odpowiedniego kapelusza, więc Mama dała jej czarną koronkową mantylę do okrycia głowy.

Wiele gorących spojrzeń ciemnych włoskich oczu wędrowało ku niej i zatrzymywało się, choć nie miała na sobie nic prowokującego, właściwie ubrała się jak zakonnica.

Och, nudno było w tym kościele!

Mszę odprawiano po łacinie, wysoki głos księdza brzmiał monotennie, od czasu do czasu dźwięczały dzwonki (żebyś się obudziła?

), no i trwało to niezwykle długo.

Ale miała się dobrze spisać, mąż to docenia.

Przygotowywała w kuchni gigantyczne posiłki i sprzątała po nich, podczas gdy on pływał łodzią z braćmi albo grał w baseball w starej szkole z facetami z sąsiedztwa, bo musiał udawać, że oni wszyscy są jego kumplami.

Rozdawał autografy dzieciom albo ich ojcom, uśmiechał się przy tym nieśmiało, wstydliwie, w sposób, który sprawiał, że się go kochało, choć ów uśmiech wydawał się zbyt znany, wcale nie taki spontaniczny, za jaki mógłby uchodzić.

W filmie albo przedstawieniu teatralnym być może powiedziałaby: Wiem, że jest ci ciężko, kochanie.

Moja rodzina potrafi być apodyktyczna.

Zwłaszcza matka.

Mógłby rzucić po prostu: Dzięki.

Kocham cię. Nie oczekiwanie od mężczyzny, który jest twoim mężem, podobnych wypowiedzi, świadczy tylko o braku realizmu.

Brakowało mu właściwych słów, nigdy na nie nie wpadnie, a ona zaś nie miała odwagi mu ich dostarczyć.

"Nie zachowuj się wobec mnie protekcyjnie!

" Któregoś dnia odwrócił się do niej z furią, aż się skuliła.

Ale jakże był pociągający, kiedy się wściekał.

Och, kochała go!

Z miłości do niego gotowa była oszaleć.

Chciała urodzić mu dzieci, pragnęła być szczęśliwa z nim i dla niego.

Obiecał, że ją uszczęśliwi.

Chciała mu wierzyć.

Nie miała klucza do własnego szczęścia, on go miał.

Bo co by się stało, gdyby przestał ją kochać?

Zapach smażonych wątróbek przyprawiał ją o zawroty głowy.

Wcześniej zaczesła włosy do tyłu, aby je odsunąć od spoconej twarzy.

Wyczuwała, że teściowa i pozostałe starsze kobiety z rodziny patrzą na nią z aprobatą.

Uczy się/ - mówiły po włosku, jest dobrą dziewczyną, dobrą żoną.

Była to scena z takiego filmu, który nieuchronnie zmierza do szczęśliwego zakończenia.

Wiele razy oglądała ten film.

W tym domu, wśród licznych członków rodziny męża, nie była Blondwłosą Aktorką i z pewnością nie była Marilyn Monroe, po nieważ nikt nie może być Marilyn bez włączonej kamery.

Nie była też Normą Jeane.

Była tylko żoną Eks-Sportowca.

Nie w tajemnicy zapakowała purpurową sukienkę z cekinami na podróż do Tokio, choć on ją o to oskarżył.

Przysięgała, że nie!

Jeśli tak było, jeśli celowo ją przed nim schowała, to tylko dlatego, że chciała mu sprawić przyjemność.

To samo dotyczyło srebrnych pantofelków na szpilkach, z odkrytą piętą i odkrytymi palcami.

I kilku sztuk czarnej koronkowej bielizny, które jej kupił.

Zabierze też blond perukę, niemal kopię jej platynowoblond włosów wyglądających jak wata cukrowa, ale pozbędzie się jej w pierwszy wieczór po przylocie do Tokio.

Och, skąd miała wiedzieć, że zostanie poproszona przez pułkownika armii Stanów Zjednoczonych o "podniesienie morale żołnierzy amerykańskich stacjonujących w Korei"?

Przysięgłaby, że wtedy nawet nie miała pojęcia, gdzie leży ów nieszczęsny kraj.

W swoim egzemplarzu klasycznego Paradoксу aktorstwa, który dostała od kogoś w prezencie, podkreśliła czerwonym atramentem następujące słowa:

Tak jak wieczność jest sferą, której centrum znajduje się wszędzie, a otoczenie nigdzie, tak prawdziwy aktor odkrywa, że scena jest zarazem wszędzie i nigdzie.

W przeddzień ich odlotu do Japonii.

Eks-Sportowiec niewiele mówił, więc w pewnym sensie także był mimem.

Na ostatnich zajęciach z pantomimy (tylko ona wiedziała, że są ostatnie) sportretowała starą kobietę na łożu śmierci.

Inni uczniowie byli oczarowani jej boleśnie realistyczną kreacją, tak odmienną od ich pogodnych, stylizowanych pantomim.

Blondwłosa Aktorka położyła się na plecach, odziana w czarną, sięgającą kostek szatę, bosa, i przeszła kolejno męczarnię, zwątpienie, rozpacz, w końcu zaś akceptację swego losu i wreszcie radosne przebudzenie do...

Śmierci?

Podnosiła się, podnosiła, aż w końcu stanęła na drżących czubkach palców, wyciągnąwszy do góry ręce.

Przez długą, ekstatyczną chwilę utrzymała tę pozę, cała rozdygotana.

Widziałeś, jak bije jej serce.

Jak uderza o mostek.

Widać było pulsujące w środku życie, które miało za chwilę ulecieć.

Niektórzy przysięgali, że jej skóra była przezroczysta!

Nie chodzi o to, że kochałem tę kobietę, bo nie jestem pewien, czyja kiedykolwiek kochałem.

Nie powiedział jej jednego: nie mógł jej wybaczyć, że znudziła ją jego rodzina.

Jego rodzina!

Dławiło go to.

To, czego nie powiedział.

Nie powiedział i nie wybaczył.

Jego żonę nudziła jego rodzina i nudził on.

Czy uważa się za lepszą od nich?

Ona?

Pojechali tam na Boże Narodzenie.

Była spokojna, uważna, życzliwa, uprzejma.

Prawie nic nie mówiła.

Śmiała się tylko wtedy, gdy śmiali się inni.

Była kobietą o twarzy dziecka, której mężczyźni i kobiety opowiadali rozmaite historie, a ona zdawała się ich słuchać z otwartymi szeroko oczami, poruszona, lecz on, mąż, znał ją lepiej, dostrzegał, że jej uwaga jest wymuszona, uśmiech gaśnie, pozostawiając jedynie bruzdy wokół ust.

Wiedziała, że trzeba zgadzać się z jego ojcem i starszymi krewnymi płci męskiej.

Wiedziała, że trzeba się zgadzać z jego matką i starszymi krewnymi płci żeńskiej.

Wiedziała, że dużo uwagi należy poświęcać dzieciom i prawić komplementy ich matkom.

"Pewnie jesteś bardzo szczęśliwa!

I taka dumna".

Grała bez zarzutu, tylko że on dostrzegał jej aktorstwo i to doprowadzało go do szału.

Brała do ust kilka kęsów drobiowej wątróbki, nerkówki, marynowanego łososia w cienkich plasterkach, pasty sardelowej i niemal ze łzami w oczach mówiła, że jej smakuje, ale akurat teraz nie jest zbyt głodna.

W jej oczach pojawiała się panika wywołana krzykami, śmiechem, kręceniem się ludzi, przepychankami, bieganiem dzieci tam i z powrotem, meczami piłki nożnej w telewizorze nastawionym tak głośno, że nawet mężczyźni z trudem siebie słyszeli.

Potem przeproszała go, tuliła się do niego i mówiła, że jako osoba dorosła właściwie nie miała prawdziwej gwiazdki.

Jak gdyby na tym polegał problem.

- Chyba muszę się jeszcze dużo nauczyć, Tatusiu?

Prawda?

Po ślubie, kiedy należało oczekiwać, że nie będzie taka spięta wobec jego rodziny, odwiedzi ją z radością, ułożyło się inaczej.

Oczywiście na pozór wszystko było w porządku, przynajmniej się starała, aby tak było.

Lecz on, mąż - sportowiec nauczony odczytywać wyraz twarzy przeciwników, wyćwiczony nie tylko w odszyfrowywaniu każdego drżenia policzka miotacza, ale także w jednoczesnym rejestrowaniu dokładnej pozycji wszystkich graczy wrogiej drużyny w stosunku do jego kolegów w bazie (jeśli tam byli) i do niego samego - dostrzegał takie rzeczy.

Czy ona myślała, że jest ślepy?

Czy myślała, że jest takim dupkiem jak ci, z którymi się umawiała od czasów szkoły średniej?

Czy myślała, że obojętnie potraktuje jej niby to żartobliwe opowieści o tym, jak to całą noc wymiotowała po maratonie treściwych dań jego matki?

Wiedziała, zawsze go o tym zapewniała, że jego rodzina "trochę" ją obwinia za usunięcie go z łona Kościoła.

Jasne, rozwiódł się, a Kościół tego nie przyjął do wiadomości, dopiero jednak powtórne małżeństwo (z rozwiedzioną kobietą!)

stanowiło naruszenie prawa kanonicznego i musiało wywołać reakcję w postaci ekskomuniki.

Musiała im to jakoś wynagrodzić, jeżeli w nią wątpili.

Jeśli wątpili w jej szczerość.

Jej uczciwość.

Powagę w odniesieniu do spraw życia i religii.

"Może się na wrócić?

Na katolicyzm?

Zgodziłbyś się, Tato?

Moja m...matka jest swego rodzaju katoliczką".

Zatem poszła z nimi na mszę.

Z kobietami.

Z jego matką, babką i ciotkami.

I dziećmi.

Matka i ciotka narzekały, że "ciągle wyciągała szyję", "uśmiechała się".

Nikt tak się nie zachowuje w kościele.

Tam nie ma nic zabawnego.

Pokazała na jakąś figurkę przy bocznym ołtarzu i szepnęła: "Dlaczego to serce znajduje się na zewnątrz ciała?"

"I uśmiechnęła się, jakby wszystko było żartem.

"Ojciec powiada, że to nerwowy uśmiech, ona zaś jest małym, wystraszonego ptakiem.

Zatem jest nerwowa?

Ludzie patrzą na nią.

Bo patrzą.

Wiedzą, że jest twoją żoną, wiedzą, kim jest.

Przysłoniła głowę szalem, który ciągle się zsuwał, jakby przypadkowo, i podczas mszy przeraźliwie ziewała, myślałyśmy, że pęknie jej szczeka.

Potem była komunia, a ona się szykuje, żeby iść z nami!

Nie powinnam?

- zapytała.

Powiedziałyśmy, że nie, nie jesteś katoliczką, prawda, Marilyn?

A ona zrobiła minkę urażonego dziecka: - Och, przecież wiecie, że nie jestem.

- Musiała zdawać sobie sprawę, że patrzą na nią mężczyźni.

Ten jej sposób chodzenia.

I głowę trzymała niby opuszczoną, ale strzelała oczami na wszystkie strony.

Kiedy wracałyśmy do domu, powiedziała w samochodzie, że nabożeństwo było bardzo interesujące, jakbyśmy znały słowo "nabożeństwo".

I jeszcze wypowiada to słowo: "kat-ol-i-cyzm", jakby wszyscy wiedzieli, co to jest.

Chichocze bez troski i mówi: - Och, trochę długo to trwało, prawda?

- Dzieciaki śmieją się z niej - Długo?

Dlatego jeździmy na mszę o dziewiątej: ten ksiądz jest najszybszy.

- Długo?

Poczekaj, jeszcze cię zabierzemy na jakąś uroczystą mszę, wtedy to dopiero będzie długo.

- Albo na mszę żałobną!

- I znowu wszyscy się z niej śmieją, szalik zsuwa się jej z włosów, które są tak śliskie i błyszczące jak u manekina w domu towarowym, dlatego szalik się nie trzyma.

W kuchni naprawdę bardzo się starała.

Miała dobre intencje, ale była niezdarna.

Znacznie lepiej było za nią zrobić to, do czego się wzięła, niż pozwolić jej skończyć.

Stawała się nerwowa, jeśli ktoś do niej podchodził.

Jeżeli się jej nie przypilnowało, rozgotowywała makaron.

Bez przerwy upuszczała różne przedmioty, na przykład duży nóż.

Nie potrafiła przyrządzić risotta, bo ciągle błędziła gdzieś myślami.

Kosztowała czegoś, lecz nie wiedziała, jak to smakuje.

- Czy nie za dużo w tym soli?

Powinam dosolić?

- Nie odróżniała cebuli od czosnku!

Myślała, że oliwa z oliwek niczym się nie różni od roztopionego masła!

Powiedziała: -To ludzie robią makaron?

To znaczy...

nie kupuje się go w sklepie?

- Twoja ciotka podaje jej ugotowane na twardo jajko z lodówki, a ona mówi: - Och, to się je?

Takie...

całe?

"

Eks-Sportowiec cierpliwie wysłuchiwał utyskiwań matki, całej litanii poprzetykanej refrenem: "No cóż, wprawdzie to nie jest moja sprawa".

Słuchał i sam nie mówił ani słowa.

Tylko twarz mu ciemniała od napływu krwi, gapił się w podłogę, a kiedy Mama skończyła, wyszedł z pokoju, słysząc za sobą włoskie słowa pełne urazy: Widzicie?

On uważa, że to moja mina.

Jeszcze bardziej obrażało go, a raczej obrażało jego kawalerskie poczucie przyzwoitości, że jego żona pozostawiała w każdym pokoju, w którym mieszkała, wprost niewyobrażalny bałagan.

Nie sprzątała po sobie, a tym bardziej nie sprzątała po nim.

Nawet w domu jego rodziców.

Przysięgłby, że nie była taka roztargniona, zanim się pobrali.

Przeciwnie, wydawała się schludna, czysta i rozkosznie zawstydzona, kiedy się miała rozebrać w jego obecności.

Teraz natykał się na jej ubrania i nie był pewny, czy rzeczywiście do niej należą, a tym bardziej, czy miała je ostatnio na sobie.

Serwetki ubrudzone szminką!

W umywalce były okropne plamy po kosmetykach,

tubka z pastą do zębów nie miała nakrętki, jasne włosy zostawały w grzebieniach i szczotkach, w wannie osad.

Po to chyba, żeby Mama sama to odkryła, choć czasem zdążył wszystko posprzątać.

Niech to licho!

Zdarzało się, że zapominała spuścić wodę w toalecie.

Nie brała leków, był pewien.

Usunął jej zapasy i postawił ultimatum.

Dała słowo, że już nigdy nie połknie żadnej pigułki.

"Och Tato!

Uwierz mi".

Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć: skoro nie kręciła filmu, dlaczego po trzebowała zastrzyku dodatkowej energii lub odwagi?

Mogło się zdawać, że najbardziej ją przytłacza codzienne życie.

Podobnie bywało w przypadku niektórych jego kolegów z drużyny, dobrych podczas gry, ale beznadziejnych pierdołów poza boiskiem.

Tak poważnie mówiła: "Tato, to takie straszne.

Dlaczego scena z rzeczywistymi ludźmi trwa i trwa bez końca?

Jak w autobusie?

Jak to zatrzymać?

" I ten smutny, dziewczęcy wyraz jej twarzy: "Przychodzi ci czasem do głowy, Tato, jak trudno sobie wyobrazić, co ludzie myślą, kiedy najpewniej niczego nie myślą?"

Inaczej niż w scenariuszu.

Albo pojąć sens jakiegoś zdarzenia, kiedy nie ma ono sensu, po prostu się zdarza?

Jak pogoda?

" Potrząsnął głową, nie wiedząc, co, do licha ciężkiego, odpowiedzieć.

Umawiał się na randki z aktorkami, modelkami, dziewczynami do towarzystwa i byłby przysięgł, że zna ten typ osobowości, ale Marilyn była kimś zupełnie innym.

To samo mówili jego kumple, trącając go porozumiewawczo łokciem w żebra i wywołując rumieniec na jego twarzy: "Z Marilyn jest zupełnie inaczej, co?"

" Dupki, nie znali nawet połowy prawdy.

Czasami przerażała go.

W pewnym sensie.

Jak gdyby prawdziwa lalka otworzyła niebieskie, szklane oczy, ty spodziewasz się dziecięcego szczebiotu, a ona mówi coś tak niesamowitego, tak głębokiego, na przykład jedną z tych zagadek zeń, że nie mogłeś tego pojąć.

I powiedziała to, używając słownictwa dziesięcioletniego dziecka.

Zapewniał, że ją mniej więcej rozumie.

"Posłuchaj, Marilyn, przez dziesięć lat kręciłaś filmy, pracowałaś bez przerwy, tak jak ja, jesteś zawodowcem; teraz odpoczywasz, masz martwy sezon, tak jak ja przeszedłem na emeryturę, prawda?"

" Ale tym razem stracił wątek, zapomniał, do czego zmierzał.

Nie był zbyt dobry we wstawianiu kitu.

Mógł jedynie wskazać podobieństwa między nimi.

Kiedy jesteś zawodowym sportowcem u szczytu kariery i spoczywają na tobie oczy świata, terminarz jest wypełniony, liga i baraże, wtedy w ogóle nie masz wolnej chwili, aby się dobrze rozejrzeć dookoła siebie, pomyśleć o czymś, a tym bardziej coś zrobić.

Mecz pochłania godziny jak nic innego, chyba że ewentualnie walka na śmierć i życie w prawdziwej wojnie.

"Podczas walki bokserskiej często się mówi: O, to napewno zwróciło jego uwagę.

Rozumiesz, kiedy facet mocno oberwał".

Chciał, aby to zabrzmiało przyjaźnie, ale ona spojrzała na niego i uśmiechnęła się tak, jakby mówił obcym językiem.

"Mówię o zwracaniu uwagi - rzekł po przerwie.

- O koncentracji.

Jeżeli tego nie masz..." Jego słowa uleciały jak dziecięcy balon, znacznie lżejszy od powietrza.

Pewnego razu natknął się na nią w sypialni ich mieszkania w Bel Air.

Gorączkowo sprzątała porozrzucane po całym pokoju ubrania, chociaż pokojówka (którą on wynajął) miała się pojawić za kilka godzin.

Wcześniej wzięła prysznic i była całkiem naga, jedynie na głowie miała turban z ręcznika.

Ujrawszy męża, stanęła skruszona i wyjąkała: "N...nie mam pojęcia, jak to się stało, że ten pokój tak wygląda.

Chyba byłam chora".

Pomyślał, że składają się na nią dwie osoby: pierwsza niemal zaślepiona, zaabsorbowana sobą, zostawiała za sobą niesamowity bałagan; druga zaś była czujną, inteligentną, natchnioną kobietą, niemal dziewczyną.

Patrzyła na niego, jakby oboje byli tak naprawdę dziećmi w tarapatkach, mieli może po piętnaście lat i obudzili się ze świadomością, że są małżeństwem.

W tamtym momencie jej ciało wcale nie wydało mu się ciałem ponętnej, pięknej kobiety, tylko odpowiedzialnością, której oboje musieli podjąć, czymś w rodzaju olbrzymiego niemowlęcia.

Lecz w domu jego rodziców na Beach Street w San Francisco nie czuł się z nią związany.

Nawet wówczas, kiedy patrzyła na niego ze smutną miną winowajczyni.

Nawet kiedy, poza zasięgiem wzroku członków rodziny, czepiała się go palcami.

Pomóż mi.

Ja tonę.

Nie wiadomo dlaczego, ale to jeszcze bardziej zniechęcało go do niej.

Jego pierwsza żona dobrze sobie radziła z tą rodziną, w każdym razie umiarkowanie dobrze.

Marilyn była dziewczyną z marzeń, którą należało adorować.

Mimo to trzymała buzię na kłódkę, jeśli ktoś wypytywał ją o życie "gwiazdy filmowej", jak gdyby pierwszy raz o czymś takim usłyszała.

Rumieniła się i jąkała, gdy ktoś wspominał, że widział jej filmy.

Jakby się ich wstydziła i pewnie zresztą tak było.

Zanie mówiła, kiedy jedna z siostrzenic Eks-Sportowca zapytała niewinnie: "Czy twoje włosy są prawdziwe?"

". Chwilę później dostrzegł dzikość w jej twarzy:

była to Rosę, ta suka.

Niedostępna.

Wyniosła.

Cóż, Rosę była tylko kelnerką w tym marnym filmie.

I dziwką.

A Marilyn Monroe - modelką z okładek i plakatów, gwiazdką i Bóg wie kim jeszcze.

Miał ochotę wyłoić jej skórę pasem.

Co ona sobie myśli?

Że może w taki sposób patrzeć na jego rodzinę?

Tego oczywiście nigdy jej nie powiedział: bliski był odwołania ich pierwszej randki, kiedy jeden z przyjaciół powiedział mu, że Monroe zaangażowała się kiedyś w związek z Bobem Mitchumem, znanym konsumentem koki i podejrzanym komuchem; podobno zaszła w ciążę, a rozwścieczony Mitchum stłukł ją tak, że poroniła.

(Czy to była prawda?)

Znał mechanizm plotki, wiedział, jak ludzie potrafią kłamać.

Wynajął prywatnego detektywa poleconego mu przez przyjaciela, Franka Sinatrę, który korzystał z jego usług do szpiegowania swej ukochanej Avy Gardner, lecz poza wydatkiem w kwocie sześciuset dolarów nic z tego nie wynikło.)

Jedno było pewne.

Wiele lat przed tym, zanim ją poznał, pozowała nago do zdjęć.

Mówiło się też, że przed ukończeniem dwudziestu lat Marilyn Monroe nakręciła kilka filmów pornograficznych, ale nikt ich nigdy nie widział.

Wkrótce po ślubie z Eks-Sportowcem skontaktował się ktoś przedstawiający się jako "handlarz fotografii" i oświadczył, że ma negatywy, które, jak mu się wydaje, "mąż pani Monroe zechciałby nabyć".

Eks-Sportowiec zadzwonił do niego i zapytał wprost, czy to szantaż.

Wymuszenie?

Handlarz zaprotestował, twierdząc, że to tylko zwyczajny interes.

- Ty płacisz, Pałkarzu.

Ja dostarczam towar.

Eks-Sportowiec zapytał o cenę.

Handlarz podał sumę.

- Nic nie jest warte takich pieniędzy.

-Jeśli kochasz swoją panią, będziesz innego zdania.

Eks-Sportowiec rzekł spokojnie:

- Mogę cię skrzywdzić, ty skurwysynie.

- No, no.

To nie jest odpowiednia postawa.

- Eks-Sportowiec nie odpowiedział.

Handlarz czym prędzej dodał: - Jestem po twojej stronie.

Podziwiam cię od dawna.

Twoją panią również.

Ma dziewczyna klasę, co prawda, to prawda.

Nie znam drugiej z takim charakterem.

Drugiej kobiety, rzecz jasna.

- Zamilkł na chwilę.

Eks-Sportowiec słyszał jego oddech.

- Odnoszę wrażenie, że te negatywy nie powinny wchodzić na rynek, bo łatwo mogą się znaleźć w nieodpowiednich rękach.

Doszło do spotkania.

Eks-Sportowiec poszedł na nie sam.

Długo oglądał odbitki.

Jakże była wtedy młoda!

Wyglądała bardziej na dziewczynę niż kobietę.

Były to akty zrobione do kalendarza, do tej właśnie serii należała Miss Złote Marzenia 1949, którą widział już w "Playboyu".

Niektóre zdjęcia, wykonane od przodu, ukazywały trochę więcej.

Kępkę ciemnoblonde włosów łonowych, delikatne spody nagich stóp.

Jej stóp!

Zaprażył całować te stopy.

Ujrzał kobietę, którą kochał, zanim stała się tą inną kobietą.

Wtedy nie była jeszcze Marilyn Monroe.

Jej włosy nie miały barwy platynowoblonde, tylko złocistobrązową, układały się w fale i sięgały ramion.

Ufna, dziewczęca twarz.

Nawet jej piersi wyglądały inaczej.

Nos, oczy.

Kształt głowy.

Nie nauczyła się jeszcze być Marilyn Monroe.

Tak, uświadomił sobie, że to jest dziewczyna, którą naprawdę kochał.

Za tą drugą, Marilyn, szalał albo przepadał, ale ufać jej nie mógł.

Eks-Sportowiec kupił odbitki i negatywy, zapłacił handlarzowi gotówką, z taką odrazą, że prawie nie mógł spojrzeć kontrahentowi w oczy.

Nie o to chodziło, że Eks-Sportowiec był mężem tej dziewczyny, tylko o to, że był człowiekiem prawym.

Powszechna wiedza o nim, jego męskości, dumie, a nawet małomówności, odpowiadała prawdzie.

-Dzięki, Pałkarzu.

Postąpiłeś właściwie.

Usłyszawszy tę uwagę, Eks-Sportowiec szybko podniósł głowę, niczym bokser wyćwiczony w ataku z kontry, i spojrzał swemu dręczycielowi prosto w oczy.

Ujrzał mięczakowatą, aryjską twarz mężczyzny w nieokreślonym wieku, przetłuszczone włosy, rząd odsłoniętych w uśmiechu, przykrytych koronkami zębów.

Bez jednego słowa zacisnął palce w pięść i wyprowadził cios między te zęby, cios z ramienia, cholernie dobry cios jak na faceta bliskiego czterdziestki, który bynajmniej nie był już w szczytowej kondycji, w zasadzie dobronudszego i wcale nie boksera.

Handlarz zatoczył się i runął na podłogę.

Wszystko odbyło się szybko i gładko jak podczas ostatecznego wybiecia w baseballu.

Nawet odgłos ciosu wypadł pięknie.

Eks-Sportowiec, dysząc, rozcierając zranione kostki, nadal nie mówiąc ani słowa, czym prędzej wyszedł z lokalu.

Zniszczył dowody.

Odbitki, negatywy.

Puścił je z dymem.

Miss Złote Marzenia 1949.

Gdybym cię wtedy spotkał.

Ten epizod Eks-Sportowiec ciągle odtwarzał w głowie jak film.

To był wyłącznie jego film, nikt więcej o nim nie wiedział.

Nie powiedział o niczym Blondwłosej Aktorce.

Kiedy obserwował ją wśród członków swojej rodziny, jej wymuszone, gasnące uśmiechy, wyraz znużenia w oczach, zmuszony był uznać, że jego wspaniałomyślność, zdolność do wybaczenia, serdeczność rodziny, wysiłek matki nie zostały przez nią docenione.

Być może nie była pod wpływem narkotyków, ale mimo to wydawała się cholernie zaabsorbowana sobą, samolubna.

Przed końcem niedzielnego obiadu znowu zniknęła.

Gdzie, do licha?

Eks-Sportowiec czuł na sobie spojrzenia rodziny, kiedy wstał od stołu, aby jej poszukać.

Słyszał za sobą cichy gwar włoskich słów, gdy wychodził z pokoju.

To sprawa między nim i nią, nikomu nic do tego.

Myślicie, że może być w ciąży?

Wykonywała w sypialni jakieś ćwiczenia taneczne.

Podnosiła nogi, ciągnęła za palce u nóg.

Miała na sobie jedwabną sukienkę w pomarańczowym kolorze, którą kupiła w Nowym Jorku i która nie nadawała się zbyt na kostium do tego rodzaju ćwiczeń.

W jej rajstopach pojawiły się liczne dziury i oczka.

Na nie załamanym łóżku, krzesłach, nawet na dywanie, leżały części ich garderoby, wilgotne ręczniki, książki - do licha, miał dość jej książek, jedna z walizek była ich pełna, musiał dźwigać ten ciężar i zupełnie mu się to nie podobało.

W Hollywood żartowano, że Marilyn Monroe uważa się za intelektualistkę, choć nigdy nie ukończyła nawet szkoły średniej, w dodatku co drugie słowo wymawiała niepoprawnie.

- Czemu tak szybko uciekaś?

Co robisz?

Odwrociła się z promiennym, nieszczerym, aktorskim uśmiechem.

Uderzył ją szybko w szczękę.

Nie pięścią.

Otwartą dłonią.

- Och!

Proszę.

Zatoczyła się i usiadła sztywno na łóżku.

Poza ustami, pomalowanymi szminką na czerwono, jej twarz była śmiertelnie blada i wyglądała jak po wierzchnia porcelanowego naczynia tuż przed rozsypaniem się na drobne kawałeczki.

Pojedyncza łza stoczyła się po jej policzku.

Doskoczył do niej, objął ją.

- Nie, Tato.

To moja wina.

Och, Tato, przepraszam.

- Rozpłakała się, on ją tulił, a po chwili zaczęli się kochać, w każdym razie usiłowali to robić, bo zza okna, zza zamkniętych drzwi, dobiegały do niej stłumione głosy, niczym chłupot przybrzeżnej fali.

W końcu dali spokój i tylko się obejmowali.

- Tato, wybaczysz mi?

Już nigdy tego nie zrobię.

To Eks-Sportowiec otrzymał oficjalne zaproszenie do Japonii, aby dokonać tam otwarcia sezonu baseballowego 1954.

Ale dziennikarze, fotoreporterzy i ekipy telewizyjne pragnęli ujrzeć przede wszystkim Blondwłosą Aktorkę.

Ogromne tłumy pragnęły ją ujrzeć.

Na lotnisku w Tokio policja powstrzymywała napór setek dziwnie milczących, nie zdradzających żadnych uczuć Japończyków.

Jedynie kilku z nich krzyczało, w niesamowity sposób skandowało: Monczan!

Monczan!

Młodzi wielbicielowie ośmielili się rzucić kwiaty, które upadły na brudny beton niczym zestrzelone ptaki.

Blond włosy Aktorka, która nigdy wcześniej nie była za granicą, tym bardziej na antypodach, trzymała się ramienia Eks-Sportowca.

Ochrona czym prędzej odprowadziła ich do limuzyny.

Wtedy jeszcze nie dotarło do Blondwłosej Aktorki, choć przeczuwał to urażony Eks-Sportowiec, że tłumy pojawiły się ze względu na nią.

"Co to jest mon-czan?"

" - zapytała, a ktoś z eskorty zachichotał i odpowiedział nieśmiało, że to ona.

Ja? Przecież to mojego męża zaprosił wasz kraj, nie mnie".

Ogarnęła ją złość; obrażona chwyciła go za rękę.

Po drugiej stronie wjazdu na lotnisko zebrał się jeszcze większy tłum Japończyków, którzy chcieli na własne oczy zobaczyć monczan siedzącą sztywno na tylnym siedzeniu samochodu za ciemną ochronną szybą.

Machali do niej z większym wigorem niż Japończycy z terminalu i energiczniej rzucali kwiaty, więcej kwiatów, większe kwiaty, które z dudnieniem opadały na dach i przednią szybę pojazdu.

Niesamowicie, niemal unisono skandowali niczym roboty: "Mon -czan!"

Mon-czan!

Mon-czan!

"

Blondwłosa Aktorka roześmiała się nerwowo.

Czy oni starali się powiedzieć "Marilyn"?

Czy słowo "Marilyn" tak właśnie brzmi po japońsku?

Na ulicy w pobliżu eleganckiego hotelu Imperial zebrały się jeszcze większe tłumy.

Ruch uliczny został sparaliżowany.

Nad głowami ludzi huczał helikopter.

"Och, czego oni chcą?"

" - szepnęła Blondwłosa Aktorka.

Była to szalona scena z filmu Charliego Chaplina.

Z niemej komedii.

Z tym jednak wyjątkiem, że tłum nie był cichy, tylko zniecierpliwiony, rozwrzeszczany.

Blondwłosa Aktorka chciała protestować; bo czy Japończycy nie uchodzili powszechnie za ludzi powściągliwych?

Podporządkowanych tradycji i wyjątkowo uprzejmych?

Poza czasem wojny, o czym Blondwłosa Aktorka przy pomniała sobie z przerażeniem, och, Pearl Harbour!

japońskie obozy jenieckie!

japońskie okrucieństwa!

Myślała też o czasce starego Hirohito na obudowie radia.

O tych pustych oczodołach wpatrujących się w jej oczy, gdy zachowywała się zbyt beztrosko.

"Mon-CZAN!

Mon-CZAN!

" brzmiało niczym dudnienie nadciągającej burzy.

Blondwłosa Aktorka i Eks-Sportowiec, oboje wyraźnie rozdygotani, przeszli pod eskortą do hotelu, podczas gdy setki tokijskich policjantów starały się wytrzymać napór kłębiącego się tłumu.

"Och, czego ci ludzie ode mnie chcą?

Myślałam, że ich cywilizacja przewyższa naszą.

Miałam nadzieję".

Blondwłosa Aktorka powiedziała to z najwyższą powagą, ale nikt jej nie słyszał.

Nikt jej nie słuchał.

Twarz Eks-Sportowca, nabiegła krwią, nabrała ponurego wyrazu.

Ocieniał ją zarost, bo podróż trwała długo.

Pospiesznie załatwiono formalności w holu hotelu i w luksusowym apartamencie na siódmym piętrze, zarezerwowanym dla Eks-Sportowca i jego żony.

Najpierw uroczyście powitał ich jeden zespół gospodarzy, potem drugi.

Przez cały ten czas skandowanie Mon-czan!

Mon-czan!

Mon-czan!

za oknami było coraz głośniejsze.

Wzmagalo się jak przybrzeżne fale, poruszone nagłym podmuchem wiatru.

Blondwłosa Aktorka próbowała porozmawiać z przedstawicielem gospodarzy o poezji zeń, o "spokoju w samym sercu poruszenia", ale mężczyzna uśmiechnął się do niej i pokiwał głową z takim zapałem, mrużąc coś potakująco, że szybko zrezygnowała.

Kusiło ją, aby wyrzucić przez okno, ale nie miała odwagi.

Eks-Sportowiec ignorował tłum za oknem tak samo jak ją.

Czy znaleźli się w potrzasku?

W jaki sposób zdołają wyjść na ulicę?

Teraz zaczęła się moja kara.

Pozwoliłam zabić moje dziecko.

Przywędrowało tu za mną.

Chce mnie zniszczyć.

Była jedyną kobietą w pokoju.

Nagle roześmiała się, pobiegła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

Jakiś czas później wyszła stamtąd woniejąca wymiocinami, rozdygotana i blada, tylko usta miała pomalowane czerwoną szminką.

Eks-Sportowiec, który w intymnych chwilach był Tatą, ale teraz nim nie był, rozmawiał z nią spokojnie, obejmował ją w pasie.

Japońscy gospodarze zasugerowali mu przez tłumacza, że gdyby jego żona zgodziła się wyjść na balkon choćby na kilka sekund, aby uznać obecność wielbicieli i przyjąć ich hołd, tłum się uspokoi i prawdopodobnie rozejdzie.

Blondwłosa Aktorka zadrżała.

- Nie m...mogę tego zrobić.

Eks-Sportowiec, wielce zakłopotany, chwycił ją mocniej w pasie.

Powiedział z wahaniem, że wyjdzie z nią.

Szef tokijskiej policji pokaże się pierwszy i przez megafon wyjaśni zgromadzonemu, że pani Marilyn Monroe jest bardzo zmęczona po podróży i obecnie nie może z nimi dłużej porozmawiać, ale dziękuję im za przybycie.

Szef policji doda, że pani Monroe czuje się zaszczycona okazją odwiedzenia ich ojczyzny.

Wtedy ona spokojnie wyjdzie na kilka sekund, powie parę słów, uśmiechnie się i pomacha przyjaźnie, ale oficjalnie, na czym się cała sprawa zakończy.

- Och, Tato, nie zmuszaj mnie do tego - powiedziała Blondwłosa Aktorka, pociągając nosem.

- Nie każ mi tam iść.

Eks-Sportowiec zapewnił ją, że będzie przy niej.

Nie potrwa to dłużej niż minutę.

- Pozwól im zachować twarz.

Pójdą sobie do domu, a my zjemy obiad.

Wiesz, ile to dla nich znaczy "zachować twarz"?

Blondwłosa Aktorka wyswobodziła się z objęć męża.

- Czyją twarz?

- zapytała.

Eks-Sportowiec roześmiał się, jakby to miało jakiś sens i było zabawne.

Powoli zrelacjonował propozycje Japończyków.

Blondwłosa Aktorka patrzyła na niego, jakby była głucha i ślepa, więc rzekł z większym naciskiem:

- Posłuchaj.

Stanę bardzo blisko ciebie.

Zrozum, na tym polega japoński protokół.

Marilyn Monroe ich tutaj przywiodła i tylko Marilyn Monroe może sprawić, że się stąd ruszą.

Wreszcie chyba go usłyszała i w końcu zgodziła się.

Eks-Sportowiec, z twarzą wykrzywioną ze wstydu, podziękował jej.

Wycofała się do łazienki, aby zmienić strój, i zdziwiła męża, pojawiając już po chwili w szytym na miarę wełnianym kostiumie i szalu owiniętym wokół szyi.

Wtarła w policzki trochę różu, przypudrowała twarz i zrobiła coś z włosami, aby wyglądały na bardziej puszyste i błyszczące niż wcześniej, kiedy były zgniecione i po targane po długim locie samolotem.

Tymczasem tłum nie ustawał w żałobnym zawodzeniu: "Mon-czan!

Mon-czan!

" Wyły syreny.

Wysoko łopotały śmigła helikopterów.

Z korytarza przed ich apartamentem dobiegał odgłos kroków, ktoś podniesionym głosem wydawał rozkazy.

Czyżby ten hotel okupowała armia cesarstwa japońskiego?

Ale chyba japońska armia już nie istniała, rozbili ją alianci?

Blondwłosa Aktorka nie czekała, aż ktoś ją wyprowadzi na balkon, tylko sama ruszyła do przodu, za nią podążył Eks-Sportowiec.

Siedem pięter niżej przed hotelem Imperial, zajmwszy uprzywilejowaną pozycję na wybrukowanym placu, zgromadzili się fotoreporterzy, ekipa telewizyjna rejestrowała tę scenę dla potomności.

Z ciemności reflektory raziły oślepiającym blaskiem niczym zwariowane księżycy.

Szef tokijskiej policji zwrócił się przez megafon do tłumu, który postusznie ucichł.

Wtedy wystąpiła Blond włosy Aktorka, eskortowana przez Eks-Sportowca.

Nieśmiało podniosła rękę.

Przez zgromadzenie przetoczył się szmer.

Ludzie znowu zaczęli skandować, teraz bardziej melodyjnie, z uczuciem: "Mon-czan, mon-czan".

Uśmiechnąwszy się, przejęta zaprawionym goryczą szczęściem, chwyciła obiema dłońmi za barierkę i spojrzała w dół.

Tam, gdzie nie widać twarzy, jest Bóg.

Tłum rozciągał się daleko jak okiem sięgnąć - wielka wielogłowa bestia, urzeczona i wyczekująca.

-Jestem mon-czan.

Kocham was.

- Wiatr porwał i poniósł gdzieś jej słowa, mimo to tłum słuchał w milczeniu i ciszy.

- Jestem mon-czan.

Wybaczcie nam Nagasaki!

Hiroszimę!

Kocham was.

- Nie mówiła przez megafon, zatem jej zmysłowy szept nie był słyszalny.

Po chwili wszystko zagłuszył helikopter, przelatując zaledwie kilka jardów ponad dachem.

Widowiskowym gestem Blondwłosa Aktorka podniosła obie dłonie do włosów, chwyciła za wspianą platynowoblond perukę, zdjęła ją z głowy (odslaniając naturalne włosy, gładko zaczesane do tyłu i spięte) i cisnęła w powietrze.

- Mon-czan kocha was!

I was!

I was!

W dole zachwycone twarze Japończyków, oniemiałe z powodu włosów jasnoblonde wirujących na wietrze przez dobrych parę sekund - a był to zimny północny wiatr - które następnie zaczęły opadać, dryfować spiralnie, wreszcie pikowały jak sokół i ostatecznie zniknęły w chaosie uniesionych rąk.

Tamtej nocy, kiedy wreszcie zostali sami, Blondwłosa Aktorka odwróciła się plecami do Eks-Sportowca, gdy ten jej dotknął.

Powiedziała z goryczą:

- Nie odpowiedziałeś mi...

Czyją twarz?

Wśród zapisków z Tokio ta krótka notatka.

Japończycy mają dla mnie imię.

Imię to brzmi monczan.

"Droga, mała dziewczynka", właśnie tak.

Kiedy uleciała ze mnie moja dusza.

Nie chciał na to pozwolić.

Uważał, że w tym momencie to nie jest najlepszy pomysł.

Zapytała, co to znaczy "w tym momencie".

Czym różni się "ten moment" od innych.

Nie potrafił jej odpowiedzieć.

Jego smutna twarz przypominała jego po kryte bliznami kostki u rąk.

Potem Blondwłosa Aktorka będzie powtarzała: To był czysty przypadek, nieprawdaż?

Czyż mogła to być jej wina?

Że na przyjęciu w ambasadzie amerykańskiej w Tokio spotka tego pułkownika amerykańskiej armii.

Szarmanckiego!

Z mnóstwem przyczepionych do munduru medali!

Pułkownik krążył w pobliżu Blondwłosej Aktorki jak każdy obecny tam mężczyzna.

Zapytał, czy nie zechciałaby odwiedzić oddziałów wojskowych stacjonujących w Korei?

Od dawien dawna pielęgnowano w armii amerykańskiej zwyczaj "podnoszenia morale" żołnierzy.

Od dawien dawna pielęgnowano zwyczaj, że hollywoodzkie gwiazdy występują za darmo przed olbrzymią publicznością złożoną z żołnierzy; potem zdjęcia z tych występów zamieszcza się w "Lifeu".

Jakże Blondwłosa Aktorka mogła odmówić?

Podniecona przypominała sobie kroniki filmowe z lat czterdziestych: olśniewająca Rita Hayworth, Betty Gracie, Marlena Dietrich, Bob Hope, Bing Crosby i Dorothy Lamour bawiący oddziały wojskowe za granicą.

Blondwłosa Aktorka odpowiedziała więc swym głosem małej dziewczynki: "Och, tak, proszę pana, dziękuję!

Przynajmniej tyle mogę zrobić".

Tylko nie bardzo wiedziała, dlaczego oddziały amerykańskie stacjonują w Korei.

Czy w ubiegłym roku nie doszło tam do zawieszenia broni?

(Na czym właściwie polegało "zawieszenie broni"?)

Blondwłosa Aktorka oświadczyła pułkownikowi, że nie pochwała imperialistycznej interwencji militarnej Ameryki w obcych krajach, rozumie jednak, co czują żołnierze z dala od domu, z dala od rodzin i narzeczonych, jacy są okropnie samotni.

Nie odpowiadają za politykę.

Ja także nie odpowiadam!

Na szczęście zabrała ze sobą obszytą cekinami, purpurową sukienkę na ramiączkach, tę samą, w której bardzo się podobała Eks-Sportowcowi.

I srebrne pantofelki na szpilkach, z odkrytą piętą.

Na szczęście potrafiła śpiewać z pamięci, niczym ożywiona lalka, piosenki z filmu Mężczyźni wolą blondynki.

Ileż to razy śpiewała Diamonds Are a Girls Best Friend, When Love Goes Wrong, A Little Girl from Little Rock.

Miała w zanadru niepokojący, buchający erotyzmem Kiss z Niagary.

Oraz / Wanna Be Loved by You, wreszcie My Heart Belongs to Daddy.

Istniały znakomite nagrania, dokonane przez nią jako Marilyn Monroe, na które składały się fragmenty pochodzące z dwudziestu pięciu różnych sesji, opracowanych następnie przez zdolnego

realizatora, który powycinał kawałki taśmy magnetofonowej i tak je zmontował, że powstało dzieło jednolite i doskonałe.

Wszystko to przemknęło przez głowę Blondwłosej Aktorki w chwili, gdy pułkownik mówił.

I pomyślała jeszcze, że chociaż był to jej miodowy miesiąc, może mąż pokochałby ją bardziej, gdyby przestała bez przerwy grzać ławę.

Z kamiennym wyrazem twarzy powiedziała do pułkownika: "Och, wie pan co?"

Mogę zaprezentować kilka szekspirowskich monologów.

A także pantomimę!

Stara kobieta na łożu śmierci, którą grałam w zeszłym miesiącu.

Jak pan to widzi?" .

Pułkownik zrobił niewyraźną minę.

Blondwłosa Aktorka uściśnęła mu dłoń, gotowa niemal go ucałować.

Już dobrze, dobrze, żartowałam".

W ten sposób wyszło na to, że Eks-Sportowiec miał zostać w Japonii sam.

W zasadzie był z Blondwłosą Aktorką w podróży poślubnej, lecz istniały ponadto pewne zawodowe obowiązki - wyjaśnił cholernym reporterom podążającym za nim jak cienie we wszystkich miejscach publicznych - którym muszą sprostać.

Eks-Sportowiec podróżował w Japonii od miasta do miasta i brał udział w grach pokazowych.

Nie towarzyszyła mu żona, tylko osobista świta.

Wysoki, uprzejmy, wszędzie był przyjmowany z honorami jako Wielki Amerykański Baseballista.

Dzień po dniu podejmowano go uroczystym lunchem, wydawano na jego cześć trwające bez końca sute bankiety.

(Gotowy byłby przysiąc, że niektóre z odrażających przysmaków, które miał ponoć zjeść, wyraźnie się ruszają.

Chryste, jakże tęsknił za po czciwym hamburgerem z frytkami, spaghetti i mielonymi, nawet za kleistym risottem!

) A może pijacki wieczór z gejszami?

Przynajmniej na tyle zasługuje mężczyzna w Japonii.

Mężczyzna podróżujący bez żony, z temperamentem kawalera, wściekły na żonę, o którą wszyscy pytali, jakby się zmówili: Gdzie jest Marilyn?

Przecież to jego, Eks-Sportowca, zaproszono do Japonii.

Ilekczo o tym myślał, wściekał się na nią jeszcze bardziej.

Uciekła i zostawiła go.

Wcześniej, nim się pobrali, tylko udawała, że lubi baseball!

Przeżył wstrząs, kiedy podsłuchał, jak mówi któremuś z japońskich dziennikarzy:

"Každy baseballowy mecz do złudzenia przypomina inny, zachodzą jedynie drobne zmiany.

Tak samo jest z pogodą?

Tak samo jeden dzień różni się od drugiego?

"

Nie, nigdy jej nie wybaczy.

Musiałyby bardzo, ale to bardzo się postarać.

Wraz z rozgorączkowanymi fotoreporterami i ekipami telewizyjnymi Blond włosy Aktorka odbyła pod eskortą wojska niezbyt wygodny lot do Seulu, stolicy Korei Południowej, a następnie w jeszcze gorszych warunkach poleciała helikopterem do obozów wojskowych marynarzy i żołnierzy piechoty stacjonujących w terenie.

Miała na sobie szaro-zielonkawe wojskowe kalesony, spodnie, koszulę, wiatrówkę i ciężkie, sznurowane buty.

Ostoniła głowę przed lodowatym wiatrem, wkładając wojskową czapkę i zapinając pasek pod brodą.

(Wprawdzie był kwiecień, ale nie było to Los Angeles!

) Przypominałyby dwunastoletnią dziewczynkę, gdyby nie długie, wywinięte rzęsy dookoła szeroko otwartych niebieskich oczu i umalowane czerwona szminką usta.

Czy Marilyn się bała?

Do licha, nie.

Wcale się nie bała.

Może nigdy nie słyszała, że helikoptery ulegają wypadkom, zwłaszcza przy silnym wietrze,

a właśnie taki wiał.

Prawdopodobnie uważała nawet, że póki znajduje się w helikopterze, to maszyna nie może się rozbić.

Albo, jak nas zapewniła tym swoim zabójczym głosem małej dziewczynki: Jeśli wypadnie na mnie, to wypadnie.

Jeśli nie, to nie.

Pewien kapral, reporter "Stars Stripes", został wyznaczony do towarzyszenia Marilyn Monroe w obozowisku.

W głównym artykule numeru opisze, jak Blondwłosa Aktorka zdumiała wszystkich obecnych w helikopterze - szczególnie zaś pilota!

- pytając, czy przed wylądowaniem nie mogliby zatoczyć kręgu nad obozem, możliwie nisko, tak aby mogła z powietrza pomachać na powitanie żołnierzom.

Pilot więc leci nad obozem, a Blond włosa Aktorka opiera się o szybę, macha energicznie niczym mała dziewczynka do kilku stojących to tu, to tam żołnierzy, którzy przypadkiem znaleźli się na dworze, popatrzyli w górę i rozpoznali ją.

(Oczywiście wszyscy w obozie wiedzieli, że odwiedzi ich Marilyn Monroe.

Nie wiedzieli tylko kiedy.)

Jeszcze raz, błaga Blondwłosa Aktorka, proszę.

Pilot śmieje się jak dzieciak i helikopter zawraca nad obozem niczym wahadełko, wiatr uderza w maszynę, a Blondwłosa Aktorka znów macha do mężczyzn, ale teraz jest ich więcej i tym razem sami odpowiadają machaniem i coś krzyczą, zaczynają biec za helikopterem jak podekscytowane dzieciaki.

Myślimy sobie: Teraz na pewno wylądujemy, ale Blondwłosa Aktorka zadziwia nas jeszcze bardziej.

Powiada: Co nam szkodzi, zrobmy im niespodziankę, dobrze?

Otworzyście drzwi i będziecie mnie trzymać. Nie mogliśmy uwierzyć, że szalowa, zwariowana dziewczyna chce to zrobić, ale wymyśliła sobie, że musi to zrobić, jak gdyby była to scena z filmu; potrafiła wyobrazić sobie, jak to będzie się rozgrywać; jak będą wyglądały ujęcia z ziemi i z powietrza, jak potoczy się trzymająca w napięciu scena; kładzie się więc na podłodze helikoptera i każe nam chwycić za jej nogi; naraz wszyscy gramy w tym filmie; odsuwamy częściowo drzwi, wiatr nami kołysze, ale Marilyn już podjęła decyzję, już nawet zdjęła czapkę - aby nikt nie miał wątpliwości, kim jest!

Wychyla się na zewnątrz, prawie wypada, wcale się nie boi, śmieje się z nas, bo my mamy pełne spodnie strachu, trzymamy ją za nogi tak mocno, że na pewno będzie miała sińce, to musiało ją boleć, do tego ten lodowaty wiatr, co tu dużo mówić, smaga jej włosy, ale pilot wykonuje wszystkimi jej polecenia, bo pewnie dochodzi do przekonania, tak samo jak my wszyscy, że co ma być, to będzie, na kogo wypadnie, na tego wypadnie.

No więc gramy sobie w tę ruletkę, krążymy nad obozem z Marilyn Monroe, która wychyla się z maszyny, macha rękami, posyła żołnierzom całusy, woła: Och, Kocham was, amerykańscy żołnierze!

\ to wszystko nie raz, nie dwa razy, tylko trzy!

Trzy razy!

Wreszcie chyba już nikt nie został w namiocie: ani oficerowie, ani komendant; wszyscy powychodzili.

Faceci z kuchni, faceci z lazaretu, w piżamach, faceci z latryn, podtrzymujący spodnie.

Każdy woła: Marilyn!

Marilyn!

Chłopaki wspinają się na dachy i cysterny z wodą, niektórzy spadają i łamią sobie kości, biedaczyska.

Jeden gość z lazaretu potyka się, upada, inni po nim depczą.

Niesamowita scena.

Pora karmienia małp w zoo.

Bardziej beztroskich żołnierzy żandarmeria musi przemocą zepchnąć z lądowiska.

Helikopter osiada na ziemi, Marilyn wyskakuje na zewnątrz, my stajemy po obu stronach; wyglądamy, jakby nas poraził prąd elektryczny.

Ona ma blade, odmrożone policzki, odmrożony nos i te wielkie, jasne, niebieskie oczy z długimi rzęsami, włosy posklejane w kępki, włosy, które widywaliśmy jedynie w kinie, człowiek gotowy był myśleć, że nie są prawdziwe, ale nie, są prawdziwe, najprawdziwsze.

Z oczu Marilyn spływają łzy, Marilyn płacze.

Och!

och!

to n...najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

I gdybyśmy jej nie powstrzymali, pobiegłaby przed siebie ściskać chłopakom ręce, które do niej wyciągali, obejmowałaby ich i całowała, jak gdyby była narzeczoną, która po dalekiej podróży z rodzinnego kraju przybyła wreszcie do każdego z nich w odwiedziny.

Tłum rozerwałby ją na kawałki z uwielbienia, a już napewno powyrywałby jej włosy z głowy, całkowicie oszalały na punkcie Marilyn, więc musieliśmy ją powstrzymać, ale nie walczyła z nami, tylko powtarzała, jakby to była głęboka prawda żeń, którą dostała mocno między oczy: To jest najszczęśliwszy dzień mojego życia, och, dziękuję!

Mówiła poważnie, nie było żadnych wątpliwości.

AMERYKAŃSKA BOGINI MIŁOŚCI NA KRACIE OD WENTYLATORA

NOWY JORK, 1954

- Oooch!

Dziewczyna o bujnych kształtach, w kwiecie urody.

Ma na sobie letnią sukienkę z żorzęty w kolorze kości słoniowej, góra trzyma się na ramiączkach i osłania piersi dwiema łagodnymi fałdami materiału.

Dziewczyna stoi, rozstawiwszy obnażone nogi, na kracie wentylatora nowojorskiego metra.

Podniosła głowę w zachwycie, pęd powietrza unosi wysoko brzeg łopoczącej spódnicy, odstaniając białe bawełniane majteczki.

Białe majteczki!

Sukienka z żorzęty kłębi się, wypełnia powietrzem, jest zwiewna i mglista jak magia.

Magiczna jest sukienka.

Bez sukienki dziewczyna wyglądałaby na kawał kobiecego mięsa, surowego i wystawionego na pokaz.

Ona niczego podobnego nie myśli!

Nie ona.

Jest amerykańską dziewczyną, zdrową i czystą jak plaster opatrunkowy.

Nie ma zdrożnych, mrocznych myśli.

W ogóle nie poddaje się melancholii.

Brzydzi się okrucieństwem.

Nie ulega rozpacz.

Myśli zawsze po amerykańsku.

W cienkiej jak papier, letniej sukience jest pielęgniarzką o delikatnych dłoniach.

Pielęgniarzką o soczystych ustach.

O masywnych udach, wydatnych piersiach, pulchnych, dziecięcych wałeczkach tłuszczu przy ramionach.

Śmieje się i piszczy jak czterolatka - kolejny podmuch unosi jej sukienkę.

Widać kolana z dołkami, silne nogi tancerki.

Zdrowa dziewucha o ochrypłym głosie.

Ramiona, ręce, piersi należą do dojrzałej kobiety, lecz twarz do młodej dziewczyny.

Jest środek lata w Nowym Jorku, a ona drży, kiedy strumień powietrza z metra unosi jej sukienkę niczym przyspieszony oddech kochanka.

- Oooch!

Noc. Manhattan, Lexington Avenue przy Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy.

Białe światła wydzielają ciepło południa.

Bogini miłości od kilku godzin stała z rozstawionymi nogami w pantofelkach na szpilkach, tak wysokich i ciasnych, że na trwałe zdeformowały jej małe stopy.

Piszcziała i śmiała się, więc bolała ją usta.

Za jej głową rozciąga się czarna jak smoła kałuża ciemności. Włosy na jej głowie i łonie płoną po porannej porcji perhydrolu.

Oto Dziewczyna bez Imienia.

Dziewczyna nad Wentylatorem.

Dziewczyna Twoich Marzeń.

Druga czterdzieści w nocy, oślepiająco blade światło reflektorów skupione na niej, tylko na niej, na blond pisku, blond śmiechu, blond Wenus, blond bezsenności, gładko ogolonych, rozstawionych blond nogach, blond rękach trzepoczących w daremnej próbie powstrzymania spódnicy, aby ciągle nie wędrowała do góry i nie odślaniała białych bawełnianych majteczek amerykańskiej dziewczyny i cienia, zaledwie cienia tlenionego krocza.

- Ooch.

Teraz podtrzymywała swe duże, bujne piersi.

Trzepotała rzęsami.

Między nogami, można jej ufać, jest czysta.

Nie należy do brudnych dziewcząt, nie ma w niej nic obcego ani egzotycznego.

Amerykańska szczelina.

Ta pustka.

Gwarantowana.

Dała się wyłyżczkować, całkowicie wysterylizować, żadna niepotrzebna tkanka nie popsuje ci przyjemności.

Ani żadna woń.

Zwłaszcza woń.

Dziewczyna bez Imienia, Dziewczyna bez Wspomnień.

Nie żyła długo i długo nie pożyje.

Kochaj mnie!

Nie bij.

Poza krawędzią białych świateł jak poza granicą cywilizacji zgromadził się tłum złożony przeważnie z mężczyzn, tłum niespokojny i podniecony jak narowisty słoń, zgromadzony za zaporami ustawionymi przez nowojorską policję, bo zdjęcia rozpoczęły się o 22.30.

Wstrzymano ruch uliczny, można by pomyśleć, że chodzi o jakąś sprawę oficjalną: Co takiego?

Film kręcą?

Z Marilyn Monroe?

Wśród innych mężczyzn, anonimowy jak oni, stoi Eks-Sportowiec, mąż.

Przygląda się tak jak inni.

Podnieceni, zagapieni mężczyźni.

Mężczyźni w stadzie.

Mężczyźni, których ogarnia masowe pożądanie, przechodzi po nich niczym fala po przepłynięciu statku.

Coś się w nich gotuje.

Gdzieś rodzi się złość.

Chęć, by wyrządzić krzywdę.

Złapać, pozdzierać co się da, zerznąć.

Wszystkim udziela się świąteczny nastrój, taki jakiś uroczysty.

Wszyscy coś piją!

On, mąż, jest jednym z nich.

W głowie gorączka.

W rozporoku to samo- Złość, smutek i ogień.

Zwłaszcza gdy się wie, jak ta kobieta potrafi dotykać, całować i gładzić palcami.

Jej łagodny, zmysłowy głos winowajczyni: Oooch, Tato, ojej, przepraszam, że kazałam ci czekać tak długo, dlaczego nie czekałeś na mnie w hotelu, ojej, dlaczego?

Póki nie zgasną jaskrawe światła i nie znikną mężczyźni bez twarzy, a oni jak po filmowym cięciu nie znajdują się sami w apartamencie Waldorf-Astории z drżą cymi żyrandolami pod sufitem i gwarancją prywatności; wtedy skuli się przed nim i będzie błagała.

Będzie oddychała jak dziecko.

W oczach lalki pojawi się błysk przerażenia.

Nie, Tato, nie.

Nie rozumiesz, że ja pracuję?

Jutro?

Wszyscy się dowiedzą, jeśli...

Ale jego dłoń, mężowska dłoń, poruszy się.

Poruszą się obie dłonie, porośnięte delikatnymi, czarnymi włosami.

Zwiną się w pięści.

Bo mu się opierała.

Prowokowała.

Ostaniała twarz przed jego słusznymi ciosami.

Dziwka!

Jesteś z siebie dumna?

Z wystawiania ludziom na pokaz, na ulicy!

i to moja żona!

rzucił z mocą ostatniego ciosu, po którym Dziewczyna bez Imienia zatrzymała się na ścianie wytapetowanej jedwabiem, co było równie cudowne jak osiągnięcie ostatniej bazy.

"MOJA PIĘKNA, UTRACONA CÓRKO"

Nim ją otworzy, przez dłuższą chwilę będzie ją trzymała w drżącej dłoni.

Kartkę z czerwoną różą wytłoczoną na okładce i słowami WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI URODZIN.

Wewnątrz pojedyncza kartka papieru, zapisana pismem maszynowym.

1 czerwca, 1955 r.

Moja Droga Córkó Normo Jeane,

piszę do Ciebie w dniu Twoich urodzin, aby życzyć ci szczęścia i wyjaśnić, że chorowałem, ale bez przerwy o Tobie myślę.

Obchodzisz dwudzieste dziewiąte urodziny!

Jesteś już dorosłą kobietą, już nie dziewczyną.

Kariera Marilyn Monroe nie potrwa długo.

Skończy się chyba niedługo po trzydziestce?

Nie widziałem Twojego "nowego filmu" - wulgarny tytuł, reklamy, gigantyczne billboardy i plakaty, Twoja ordynarna podobizna z sukienką zadartą po to, żeby cały świat mógł zobaczyć intymne części twojego ciała, nie zachęciły mnie do kupna biletu.

Ale nie będę Cię krytykował, Normo Jeane, bo przecież masz własne życie.

Należysz do pokolenia powojennego.

Udało Ci się przetrwać klątwę chorej matki, aby samej zrobić karierę, należy Cię za to pochwalić.

Przyznam, że miałem nadzieję, iż poznam twego męża!

Podziwiam go od wielu lat.

Chociaż nie należę do zagorzałych wielbicieli base ballu jak niektórzy.

Normo Jeane, byłem bardzo rozczarowany (ale nie zdziwiłem się zbyt), że Twoje małżeństwo z gwiazdą sportu skończyło się rozwodem i niesmacznym rozgłosem.

Na szczęście nie macie dzieci, które musiałyby się za was wstydzić.

Nadal mam nadzieję, że doczekam się wnuka.

Pewnego dnia!

Za nim będzie za późno.

Mówi się, że Marilyn Monroe przesłuchiowano z powodu jej kontaktów z komunistami i ich sympatykami.

Pokładam nadzieję w Bogu,

"Moja piękna, utracona Córko" moja droga Córko, że w Twojej przeszłości nie można się doszukać niczego obciążającego.

Twoje życie w Hollywood z pewnością za wiera wiele chwil pozostających w mroku.

"Obalenie amerykańskiego rządu" jest poważną groźbą.

Jeśli Czerwoni Komuniści dokonają uderzenia nuklearnego, zanim zdołamy użyć naszej broni, to w jaki sposób przetrwa nasza cywilizacja?

Żydowscy szpiedzy tacy jak Rosenbergowie sprzedają nas wrogowi i na pewno zasługują na krzesło elektryczne.

Nie należy bronić "wolności słowa", tak jak Ty to robiłaś, nie wiedząc nic o twardych realiach życia.

Wszyscy byli świadkami, jak się zachowywali podobni zdrajcy, niegdyś uznani za ludzi "wielkich" - Charlie Chaplin i czarnuch Paul Robeson są przykładami - kiedy ich przyparto do muru.

Ale dosyć, już ani słowa o tym!

Córko moja, kiedy porozmawiamy osobiście, może zdołam Cię namówić do porzucenia głupoty.

Już wkrótce skontaktuję się z Tobą, obiecuję.

Zbyt wiele lat zdążyło upłynąć.

Nawet Twoja matka zaczyna mi się jawić jako osoba bardziej chora niż zła.

Po mojej ostatniej chorobie zacząłem rozumieć, że powinienem jej wybaczyć.

I muszę się z Tobą zobaczyć, moja piękna, utracona Córko Normo.

Zanim "udam się w długą podróż" za morze.

Twój zapłakany Ojciec .

PO ROZWODZIE

-Jeden bilet.

Sprzedawca biletów w budce przy Sepulveda Theater w Van Nuys żuł miętową gumę - krępy blondyn z jednym zezowatym okiem, jak u lalki, którą ktoś żartobliwie potrząsnął.

Pchnął bilet w stronę Normy Jeane i drugi raz nawet na nią nie spojrzął.

- Ten film ma chyba powodzenie, prawda?

Żując miętową gumę, chłopak zdawkowo skinął głową.

- Marilyn Monroe mieszkała w Van Nuys, nie?

Ktoś mi mówił.

Chodziła do tutejszej szkoły?

Sprzedawca biletów, nie przestając żuć gumy, wzruszył ramionami.

Od parł znudzony:

- Na to wygląda.

Sam zdałem maturę w 1953 roku.

Ona jest dużo starsza

ode mnie.

Wieczór, lipiec 1955.

Podmiejskie kino, gdzie czternaście lat temu, w czasach utraconej młodości, umówiła się z Buckym Glazerem na pierwszą randkę.

Trzymali się za spocone ręce i całowali w ostatnim rzędzie, a wokół nich rozchodził się zapach brylantyny i lakieru do włosów.

Gdzie Norma Jeane i Elsie Pirig wygrały złożony z dwunastu części serwis obiadowy z zielonego plastiku i salaterki w delikatne lilie.

Ależ przeżyły szok, kiedy się okazało, że mają szczęśliwy los!

Weszły na scenę i wszyscy bili brawo.

"I co, nie mówiłam, maleńka?

To nasz szczęśliwy wieczór".

Ciotka Elsie tak się wówczas przejęła, że objęła Normę Jeane i zostawiła na jej policzku ślad szminki, ale obie już nigdy razem do kina nie poszły.

Złamałaś moje serce.

Żaden mąż nie skrzywdził mnie równie mocno.

Ile to razy w tym samym kinie sama albo w towarzystwie patrzyła za uroczona na Jasnowłosą Księżniczkę i Ciemnowłosego Księcia.

Jej serce wyrywało się do tej pięknej, dotkniętej przez los pary.

Pragnęła się utożsamić z nimi.

Ale równocześnie być przez nich kochaną.

Znaleźć się w ich idealnym świecie.

Kąpać się w ich pięknie i miłości; w tym świecie nigdy nie panowała cisza, tylko rozbrzmiewała nastrojowa muzyka; nigdy nie trzeba było machać rękoma jak w spienionym morzu i obawiać się utonięcia.

Nad wejściem do kina, na wysokim na dziesięć stóp plakacie przyklejonym do gipsowej płyty majaczyła Marilyn Monroe w sławnej pozie ze Słomianego wdowca.

Roześmiana blondwłosa Marilyn stała na rozstawionych nogach, jej plisowana spódnica unosiła się, odsłaniając nogi, uda, białe bawełniane majteczki.

"Wystarczy na ciebie spojrzeć!

Krowa.

Wszystkich kłujesz w oczy tymi swoimi cycami i cipą".

Nawet Norma Jeane zerknęła na plakat.

W tej samej chwili widziała go i nie widziała.

"Nie jesteś moją żoną.

Słyszysz?

" Słyszała.

Dzwoniło jej w uchu, w które ją uderzył, i to dzwonienie, nikłe, słyszała nadal.

Zmieszane z nierównym pulsowaniem krwi.

Ale już mnie więcej nie uderzy.

Nikt mnie nie będzie bił.

To był dobry okres dla niej.

Ten miesiąc.

Poprzedni nie był zbyt dobry, tak samo jak wcześniejsze.

Od separacji i rozwodu w październiku.

Kilka razy się przeprowadziła.

Jeszcze częściej zmieniała numer telefonu.

Dawny mąż groził jej.

Śledził ją.

Telefonował.

Nikommu o tym nie mówiła.

Nie mogła go zdradzać jeszcze bardziej.

ROZCZAROWANIE DZIEWIĘCIOMIESIĘCZNYM MAŁŻEŃSTWEM.

PRAWDZIWA HISTORIA MARILYN.

Nikommu nie opowiedziała, jak było naprawdę.

Nie posiadała prawa do prawdziwej historii.

RELACJA NAOCZNEGO ŚWIADKA: CIĘŻKO POBITA MARILYN W NOWOJORSKIM SZPITALU.

Nie było żadnych naocznych świadków.

Nawet dotkniętej przez los pary.

Nie zabrano jej do nowojorskiego szpitala ani nigdzie indziej.

Opatrzył ją hotelowy lekarz.

Półtorej godziny później, o piątej rano, Whitey wszedł cicho do luksusowego apartamentu, z którego Eks-Sportowiec zdążył się już wynieść, i swymi magicznymi dłońmi zamaskował sińce, a nawet ukrył opuchliznę nad lewym okiem.

Z wdzięczności ucałowała Whiteyowi dłonie.

Kiedy w lustrze ujrzała odzyskaną blond urodę.

Jeśli nie w sercu, to w lustrze.

A oto jej Magiczna Przyjaciółka o blond włosach, triumfalnie górująca nad wejściem do Sepulveda Theater, roześmiana, jak gdyby nic strasznego się nie wydarzyło i nigdy nie miało się wydarzyć.

- ...chodziła do Van Nuys High School.

Matura 1947.

-Jest pani pewna?

Słyszałem, że to było później.

Ale nie zdałam matury.

Wyszłam za męża.

Przeszła przez foyer, może zerkano na nią, ale mimo wszystko uchodziła za nieznajomą; Van Nuys było małym miastem, lecz nikt jej nie rozpoznał i nie rozpozna.

Nikt nie rozpoznawał Normy Jeane, jeśli sobie tego nie życzyła, czasami nawet nie wkładała peruki, bo gdy nie była Marilyn, to nią nie była i już.

Tego dnia jednak nałożyła perukę z czarnych, jak u pudła silnie skręconych włosów, przeciwsloneczne okulary w różowych plastikowych oprawkach; nie robiła sobie makijażu, a nawet nie pomalowała ust;

miała na sobie granatową sukienkę ze sztucznego jedwabiu, w stylu gospodyni domowej - z płóciennym paskiem i guzikami - nagie stopy w tanich słomkowych pantofelkach.

Szła, napinając pośladki, jakby przed chwilą dostała zastrzyk z nowokainy.

Nie rozpoznał jej żaden z kinomanów, którzy gapili się na Marilyn Monroe na licznych plakatach i fotosach w foyer, którzy rozmawiali o niej, uczniicy Van Nuys High School w połowie lat czterdziestych.

- Tak, zgadza się, ale nie nazywała się wtedy Marilyn Monroe, tylko jak?

- Adoptowało ją jedno małżeństwo.

Facet prowadzi złomowisko na Reseda.

Pisig?

Ale uciekła z domu.

Pisig chyba ją zgwałcił, ale wszystko zatuszowano.

Norma Jeane miała ochotę odwrócić się do tych nieznajomych i zaprotestować: Nie wiecie nic ani o mnie, ani o panu Pirigu.

Zostawcie nas w spokoju!

W gruncie rzeczy Normie Jeane nic nie było do tego, o czym rozmawiali nieznajomi.

Nie bardziej niż do tego, co mówili o kimkolwiek czy czymkolwiek.

Foyer w Sepulveda prawie się nie zmieniło.

Doskonale pamiętała niby aksamitne ściany, lustro w złożonych ramach, czerwone chodniki na posadzce, brudną plastikową wykładzinę rozłożoną od wejścia do kasy.

Tablice "program bieżący" i "wkrótce" z fotosami i plakatami znajdowały się w tym samym miejscu co dawniej.

Zdarzało się kiedyś, że Norma Jeane wchodziła do foyer tylko po to, aby jedynie przestudiować fotosy zapowiedzi.

Świat wydawał się taki obiecujący!

Zawsze nowe filmy, zawsze seans.

Jeśli film nie był olbrzymim przebojem (jak Słomiany wdowiec), w każdy czwartek wprowadzano nową pozycję.

Było na co czekać.

Nigdy byś nie pomyślała o samobójstwie!

Bilety sprawdzał ubrany w mundur przyszczaty, nastoletni chłopak o smutnym spojrzeniu.

Normie Jeane zrobiło się go żal: żadna dziewczyna nie zechce go pocałować.

- Spory ruch jak na powszedni dzień, co?

- powiedziała z uśmiechem.

Bileter wzruszył ramionami, przedał bilet na dwie części i oddał jej od cinek.

Mruknął w odpowiedzi coś w rodzaju:

- No.

Chyba tak.

Pracował w kinie.

Wiele razy obejrzał Słomianego wdowca.

Film leciał tu od połowy czerwca.

Zerknąwszy na Normę Jeane, zobaczył kobietę, która, jak mu się wydawało, mogła być jego matką.

Niby dlaczego miałyby się poczuć dotknięta jego obojętnością?

Nie było żadnego powodu.

Była szczęśliwa!

Odczuła ulgę.

Bo nikt jej nie rozpoznał.

Bo mogła się poruszać samotnie w tym świecie.

Jako kobieta niezamężna.

Kobieta samotna.

Na lewej dłoni nie miała pierścionków.

Zniknęły ślady po pierścionku zaręczynowym i obrączka z jej serdecznego palca.

Jedno i drugie zdjęła tamtej nocy w hotelu Waldorf-Astoria za pomocą kremu.

Tak długo kręciła pierścionkiem i obrączką, aż zdołała je przeciągnąć przez kostkę.

Palce spuchły jak jej twarz.

Jakby dostała alergii.

Hotelowy lekarz wstrzyknął jej dawkę seconalu "na uspokojenie", bo zachowywała się histerycznie, krzyczała, że robi sobie krzywdę.

Wczesnym popołudniem następnego dnia drogi doktor Bob zaaplikował jej kolejną dawkę seconalu.

Od tamtej pory upłynęło parę miesięcy.

Od listopada nie wstrzykiwano już jej seconalu.

Nie potrzebowała leków!

No, może czasem, aby zasnąć.

Przeżywała dobre chwile.

Zaczynała rozumieć, że w życiu zawsze muszą się pojawić dobre chwile dla zrównoważenia złych.

A teraz miała w życiu dobry okres, bo wreszcie osiadła na stałe w wynajętym domu na południowo-wschodnim krańcu Westwood.

Miała przyjaciół (nie związanych z filmem), którym na niej zależało i którym mogła ufać.

Och, wierzyła w to!

Kierownictwo Wytwórni znowu odnosiło się do niej z uznaniem.

Wybaczyli jej.

Nowy film zarobił dla nich więcej pieniędzy niż Mężczyźni wolą blondynki.

Lecz jej gaża zatrzymała się na poziomie tysiąca pięciuset dolarów.

Na razie przyjdzie się jej z tym pogodzić.

Na razie cieszyła się, że żyje.

"Może powinienem zabić nas oboje.

Tak byłoby lepiej".

Nie zabił jej i nie zabije.

Uwolniła się od niego.

Kochała go, ale była od niego wolna.

Nie zaszła z nim w ciążę.

Niczego się nie dowiedział o Dziecku.

Nie dowiedział się, nawet jeśli płakała przez sen.

Trzymał ją w ramionach, ona nazywała go Tata, uspokajał ją, ale nigdy się nie dowiedział.

W październiku nareszcie przystał na warunki rozwodu, zobowiązał się, że nie będzie jej niepokoił, ale miała powody podejrzewać, że czasem ją śledzi.

Obserwował jej dom w Westwood.

Albo w tym celu kogoś wynajął.

Może nawet dwie osoby.

Chyba że miała jakieś przywidzenia!

Na pewno jednak nie wyobraziła sobie mężczyzny bez twarzy, siedzącego w metalicznym czarnym chevrolecie coupe, jadącego za nią przez dzielnicę domów mieszkalnych w Westwood, który potem, na Wilshire, przyspieszył, aby nadal ją mieć w zasięgu wzroku, ona zaś starała się zachować spokój, oddychała głęboko i liczyła oddechy, manewrując w ruchu ulicznym, wreszcie dostrzegła okazję i wjechała w wolne miejsce na parkingu przed jakimś bankiem, a kilka sekund później gwałtownie zawróciła w bocznej uliczce, przycisnęła pedał gazu i już po chwili nie dostrzegała metalicznego chevroleta we wstecznym lusterku, przemknęła przez skrzyżowanie w chwili, kiedy światła zmieniały się z żółtych na czerwone, potem ze śmiechem, uradowana jak mała dziewczynka, po mknęła na północ obwodnicą San Diego w stronę Van Nuys.

"Nie złapiecie mnie.

Żaden z was".

Do Van Nuys dojechała w stanie radosnego uniesienia.

Zjechała z obwodnicy, przejechała niedaleko Van Nuys High School, rozbudowanej po wojnie, ale nie poczuła nic szczególnego, żadnych emocji, może odrobinę żalu, że pan Haring nie skontaktował się z nią od czasu, gdy opuściła szkołę.

Często wyobrażała sobie, że nauczyciel angielskiego przybywa do domu Pirigów i pyta zdumioną Elsie, czy mógłby porozmawiać z Normą Jeane, po czym surowo upomina dziewczynę, chce wiedzieć, dlaczego odeszła ze szkoły bez słowa?

taka młoda?

taka obiecująca: Jedna z najlepszych uczennic w całej mojej nauczycielskiej karierze".

Ale pan Haring nie przybył jej ocalić.

Nie napisał do niej, kiedy stała się Marilyn Monroe.

Nie był z niej dumny?

A może wstydził się jej tak samo jak jej były mąż?

"Kochałam pana, panie Haring.

Zdaje się jednak, że bez wzajemności!"

Ta scena filmowa nie była ani oryginalna, ani przekonująca, ponieważ brakowało w niej właściwych słów, a Norma Jeane w młodzieńczej rozpaczy nie potrafiła ich odkryć.

Pojechała dalej.

Otarła z oczu łzy; serce biło jej mocno.

Van Nuys.

Miasteczko wyglądało lepiej niż w czasach wojny, przybyło tu zabudowań mieszkalnych, zakładów usługowych, przedsiębiorstw - na Van Nuys Boulevard i Burbank - apteka Mayera otrzymała nową fasadę z białych płytek (ciekawe, czy w środku nadal było słynne lustro ze zdobieniami w rogach?

). Wreszcie, niespokojna i wystraszona, przejechała obok domu Pirigów - tego domu!

- obłożonego teraz tynkiem, który miał przypominać surową cegłę, lecz poza tym nie zmienionego.

U góry okno pokoju na poddaszu, tam mieszkała Norma Jeane!

Była ciekawa, czy Pirigowie opiekowali się dalej sierotami.

Pochwyliła w nozdrza znajomy zapach; w po wietrze rozchodziła się woń palonej gumy.

Unosiła się lekka mgiełka.

Uśmiechnęła się, widząc, że złomowisko Piriga rozrosło się, zajmowało część sąsiedniego podwórza.

Rozbite samochody, furgon i trzy motocykle NA SPRZEDAŻ.

Norma Jeane uważała, że Pirigowie też ją opuścili, lecz tak naprawdę Elsie pisała do niej na adres Wytwórni, ale listy od niej, podarte w złości i gniewie na drobne kawałeczki, niezmiennie lądowały w koszu.

Zemsta jest słodka.

"Przejeżdżam obok waszego ohydnego domu.

Nazywam się teraz Marilyn Monroe.

Wy siedzicie w środku, jecie kolację, a ja wcale nie mam ochoty na odwiedziny u was.

Chętnie byście się ze mną spotkali, na pewno!

Teraz byś na mnie spojrział, Warren, prawda?

Sięgnął byś do lodówki i zaproponował piwo, jak dorosły dorosłemu.

Okazałbyś szacunek.

Poprosiłbyś uprzejmie, żebym usiadła, i gapił się na mnie, a ja bym zapytała: Nie kochałeś mnie, Warren?

Ani trochę?

Pewnie zauważyłeś, jak bardzo cię kochałam.

Dla Elsie również byłabym uprzejma.

Wspaniałomyślna!

Słodka jak Dziewczyna z Góry w Słomianym wdowcu.

Jakby między nami nic nie było.

Nie zostałambym długo.

Powiedziałabym, że spieszę się na umówione spotkanie.

Na koniec obiecałabym przysłać wam bilety na najbliższą premierę w Hollywood i już bym się do was nie odezwała.

Zemsta!

" Ale wybuchnęła płaczem.

Łzy wsiąkły w granatową sukienkę ze sztucznego jedwabiu, w strój gospodyni domowej.

Aktorka czerpie ze wszystkich swoich przeżyć.

Z doświadczeń całego życia.

Choć przecież nie pamięta się dzieciństwa.

Ma się wrażenie, że się pamięta, ale to nieprawda!

Nie pamięta się nawet okresu dojrzewania.

Większość wspomnień to, jak sądzę, marzenia.

Improwizacja.

Powroty do przeszłości, by ją zmienić.

Ależ tak!

Byłam szczęśliwa.

Ludzie byli dla mnie dobrzy.

Nawet moja matka, która zachorowała i nie mogła być dla mnie matką, i przybrana matka w Van Nuys.

Pewnego dnia, kiedy zostanę poważną aktorką grającą w sztukach Clifforda Odetsa, Tennessee Williamsa, Arthura Millera, złożę hołd tym ludziom.

Ich człowieczeństwu.

-Och.

To jestem ja?

Niespodzianką było to, że Słomiany wdowiec okazał się niezwykle za bawny.

Dziewczyna z Góry, letnia fantazja Toma Ewella, była zabawna.

Norma Jeane zaczęła się odprężyć.

Przycisnęła palce do ust i śmiała się.

Ojej, a tak się bała, bała się o swój wygląd, a tu prawdziwa rewelacja: ludzie z Hollywood i krytycy mówili prawdę.

Marilyn Monroe jest naturalną aktorką komediową.

Jak Jean Harlow w rolach eksponujących jej seksapil.

Jak mała dziewczynka Mae West.

Słomianego wdowca widziała po raz pierwszy od czerwca, czyli od dnia hollywoodzkiej premiery.

Wtedy jednak wpadła w panikę jeszcze przed projekcją.

Zresztą, kto wie, może uległa melancholii, mieszaninie nembutalu, szampana i stresu związanego z rozwodem; olbrzymi ekran w technicolorze wydawał się jej przymglony, jakby był pod wodą, śmiech ludzi słyszała jako jednolite buczenie, musiała walczyć z sennością narastającą w jej cudownym ciele zaszytym w wieczorową suknię bez ramiączek i tak obcisłą, że mogła oddychać tylko z najwyższym trudem, do jej mózgu nie docierał tlen, oczy błyszczały wewnątrz ceramicznej maski Marilyn, którą Whitey wyrzeźbił na jej chorej, żółtawej skórze i okaleczonej duszy.

Po zakończonym seansie musiała się podnieść.

Ona i jej partner, Tom Ewell, mrugali i uśmiechali się do wiwatującej publiczności.

Jakoś zdołała utrzymać się na nogach i nie zemdlą, ale niewiele zapamiętała z całego wieczoru poza tym, że jakoś przez to przeszła.

Podczas kręcenia zdjęć w Nowym Jorku, potem zaś w hollywoodzkim studio, nie chodziła oglądać materiałów z kolejnych dni, obawiając się, że ujrzy coś, co uniemożliwi jej dalszą grę.

Wszystko przez gorzkie słowa Eks-Sportowca, które dźwięczały jej w uszach: "Żeby się tak pokazywać.

Swoje ciało.

Obiecałaś, że ten film będzie inny.

Jesteś wstrętna".

Ale nie!

Dziewczyna z Góry nie była wstrętna.

Nie był wstrętny Tom Ewell.

Ich udawana historia miłosna była jedynie...

komedią.

Czymże jest komedia, jeśli nie życiem rozumianym jako zabawa, nie łyż?

Czymże jest komedia, jeśli nie powstrzymaniem się od płaczu i śmiechem?

Czy śmiech ma być zawsze gorszy od łez?

Czy komedia zawsze ma ustępować przed tragedią?

Może już jestem aktorką?

Aktorką komediową?

Widząc Marilyn na ekranie w tym szampańskim filmie, nie możesz powstrzymać myśli, że masz do czynienia ze znakomitą aktorką, panującą całkowicie nad rolą, przykuwającą uwagę w większości scen szeleszczącym, dziecięcym głosem, poruszeniami ponętnego ciała, twarzyczką niewinnej nastoletniej dziewczyny.

Dziewczynę z Góry postrzegamy tęsknymi oczami Toma Ewella, więc śmiejemy się z jego nieudacznym, chłopięcym wizji Dziewczyny, zdobywszy niby łatwej, a jednak trudnej; pozornie gotowej na przygodę, a jednak nie uchwytnej.

I to było zabawne!

Hamowanie pożądania u dorosłego mężczyzny, żonatego mężczyzny, niedoszłego cudzołożnika, było zabawne.

Publiczność Sepulveda Theater się śmiała, śmiała się Norma Jeane.

Jakże dobrze śmiać się z innymi.

To nas wspólnie ucłowiecza.

Nie chcę być sama.

Norma Jeane czuła niemal dreszcz dumy.

To jej blondwłose aktorskie wcielenie bawiło nieznanym, skłaniało ich do śmiechu, pomagało im dobrze przyjmować ludzkie szaleństwo i siebie.

Dlaczego jej były mąż odnosił się z pogardą do jej talentu?

I do niej?

Mylił się.

Wcale nie jestem wstrętna.

To jest komedia.

To jest sztuka.

Mimo to nie wszyscy widzowie się śmiali.

Tu i ówdzie siedzieli samotni mężczyźni, patrzyli w ekran z wyszczerzonymi zębami.

Jeden z nich, w średnim wieku, grubawy, fałda tłuszczu na jego karku wyglądała jak przesunięta broda, wbił się w fotel obok Normy Jeane i zerkał na nią, choć koncentrował uwagę na filmie i Marilyn Monroe; nie poznawał jej, może nawet jej nie widział, dostrzegał jedynie młodą kobietę siedzącą po sąsiedzku zaledwie kilka stóp od niego w ciemnej sali kinowej.

Wprowadza mnie do swojej fantazji o Marilyn.

Chce, abym zobaczyła, co robi ze swoimi dłońmi.

Norma Jeane czym prędzej wstała i usiadła w innym fotelu, kilka rzędów za samotnym mężczyzną.

W pobliżu młodej pary, która śmiała się z filmu.

Och, czuła się zdruzgotana!

Rzeczywiście to było wstrętne.

Albo po prostu żałosne.

Samotny mężczyzna o grubym karku nie odwrócił się do Normy Jeane, tylko dalej zajmował się tym samym, chytrze, ukradkiem, skulony w fotelu.

Norma Jeane zignorowała go i skupiła uwagę na filmie.

Starła się przywołać poprzednie odczucia: dumy?

sukcesu?

Może w pozytywnych recenzjach nie było przesady, Marilyn Monroe rzeczywiście jest utalentowaną aktorką komediową?

Może nie jestem nieudacznikiem.

Nie ma powodu się poddawać.

Ani karać.

Ale nawet kiedy się uśmiechała do Dziewczyny z Góry, obserwowanej przez spragnionego seksu Toma Ewella, słomianego wdowca, nie mogła się skoncentrować.

Myślała o tym, jak w czasach szkolnych.

gdy była w kinie sama, często musiała się przesiadać.

Kiedy patrzyła zachwycona na Jasnowłosą Księżniczkę i Ciemnowłosego Księcia, co pewien czas uświadamiała sobie, że gapią się na nią samotni mężczyźni.

Tutaj, w Sepulve da Theater, i gdzie indziej.

Och, najgorzej było w Egyptian Theatre przy Hollywood Boulevard!

Gdy jako mała dziewczynka mieszkała na Highland Avenue.

Samotni mężczyźni na popołudniowym seansie wyławiali ją w ciemności pożądliwym wzrokiem.

Jak gdyby nie mogli uwierzyć własnemu szczęściu: samotna dziewczynka w kinie.

Gladys ostrzegała ją, aby nie siadała w kinie "zbyt blisko" mężczyzn; problem polegał na tym, że to nie ona, tylko mężczyźni przesiadali się, aby być bliżej niej.

Ile razy jako dziecko mogła zmienić miejsce?

Pewnego razu w Egyptian Theatre bileter oświetlił jej twarz latarką i złapał ją.

Gladys ostrzegała, aby nigdy nie rozmawiać z mężczyznami, ale co miała robić, jeżeli to mężczyźni zaczęli rozmowę?

Pouczała ją, żeby w drodze powrotnej do domu szła blisko krawężnika.

Wzdłuż lamp ulicznych.

Abym była widoczna.

Gdyby ktoś próbował mnie pochwycić.

O to chodziło?

Norma Jeane oswoiła się z nowym miejscem, śmiała się z resztą publiczności, chociaż uświadomiła sobie obecność innego samotnego mężczyzny, oddalonego od niej o dwa fotele.

Jak to się stało, że nie dostrzegła go wcześniej, zanim tu usiadła?

Naraz mężczyzna wychylił się, aby na nią po patrzeć.

Osobnik raczej w średnim wieku, w okrągłych przyciemnionych okularach i z cofniętą brodą.

Miał młodzieńcze rysy i przypominał jej...

pana Haringa?

Nauczyciela angielskiego?

Tylko że stracił większość swych miękkich, jasnych włosów.

Norma Jeane nie miała odwagi przyglądać mu się zbyt natarczywie.

Jeśli to był pan Haring, rozpoznają się przed wyjściem z kina, jeśli nie, to nie.

Norma Jeane zmusiła się do uśmiechu w oczekiwaniu na kolejną scenę.

Najstydniejszą scenę filmu.

Dziewczyna z Góry idzie ulicą w letniej sukience w kolorze kości słoniowej - obcisła góra na pasku wokół szyi, nagie stopy, buciki na wysokich obcasach - wchodzi na kratę szybu wentylacyjnego metra przy Lexington Avenue, podmuch powietrza unosi spódnicę i ruch uliczny niemal zamiera.

Jednakże owa scena z filmu bardzo się różni od fotosów reklamowych.

Aby nie narażać się Katolickiemu Legionowi Przyzwoitości, Wytwórnia ocenzurowała scenę.

Spódnica dziewczyny unosi się zaledwie do poziomu kolan i nie widać sławetnych białych majteczek.

Na tę jedną scenę czekała publiczność w każdym kinie.

Kto nie widział publikowanych na całym świecie sensacyjnych fotografii falującej na wietrze spódnicy, głowy blondynki odrzuconej w bok, uśmiechu szczęścia na jej ekstatycznie rozmarzonej twarzy, jakby pieścił ją prąd powietrza albo - jej dłonie znikają pod fałdami materiału - robiła to sobie sama?

Kto nie widział tej pozy w ujęciu z przodu, z boku, z tyłu, z trzech czwartych profilu, pod każdym kątem, jakby z każdego miejsca spoglądały na Marylin Monroe jakieś oczy?

Norma Jeane czekała na tę scenę, nie zapominając o samotnym mężczyźnie siedzącym blisko niej.

Czy mógł to być pan Haring?

Ale czy pan Haring nie był żonaty?

(Może się rozwiódł i mieszkał samotnie w Van Nuys?

) Czy ją rozpozna?

Na pewno rozpoznaje Marilyn w filmie, swoją dawną uczennicę, ale czy pozna ją?

Minęło tyle lat.

Nie była już dziewczyną.

Dziwne!

Dziewczyna z Góry była istotą niezależną od straszliwie zmartwionej, wystraszonej aktorki, która ją sportretowała.

Norma Jeane pamiętała noce nie przespane nawet po zażyciu nembutalu.

A doktor Bob przepisywał jej benzedrynę na przebudzenie.

Zamartwiała się swoim małżeństwem.

Eks-Sportowiec chciał koniecznie przebywać na planie, chociaż nie znosił kręcenia filmów, monotonii całego procesu, co wyrażał z rozbijającą do słownością: "Ależ to sztuczne".

Czy wcześniej uważał, że filmy są rzeczywiste?

Że aktorzy spontanicznie wypowiadają własne kwestie i nie korzystają ze scenariusza?

Norma Jeane nie chciała myśleć, że prawdopodobnie wyszła za ignoranta, zresztą nie tylko ignoranta i człowieka niedoinformowanego, ale za kompletnego głupca; nie, szczerze kochała męża i on na pewno też ją kochał.

Stanowiła centrum jego uczuciowego życia.

Poczucie męskości także budował wokół jej osoby.

Zatem musiała grać Dziewczynę, musiała odgrywać komedię szampańską i błyskotliwą, nawet gdy jej mąż stał w pobliżu i gapił się na nią w milczeniu, ciskając oczami pioruny.

Sprawił, że wszyscy czuli się nieswojo.

Na dodatek rzadko opuszczał dzień zdjęciowy, chociaż niby powinien mieć dużo pracy jako promotor baseballu i tak zwany doradca producentów sprzętu sportowego.

Nerwowa w jego obecności Marilyn ciągle prosiła o powtórzenie kolejnych ujęć.

"Chcę, aby to wypadło jak należy.

Wiem, że mogę to zrobić lepiej".

Reżyser miał jej czasami dość, ale z reguły ustępował.

Choćby scena wypadła dobrze, to czy nie można zawsze czegoś poprawić?

Owszem!

Eks-Sportowiec gapił się na wszystko z wyrazem dezaprobaty na ponurej twarzy - niczym stary Hirohito na obudowie odbiornika radiowego.

Zgrzytał zębami na myśl o rodzinie z San Francisco, o ukochanej Mamie, gdy będzie to oglądała.

"Te śmieci!

Te świńskie śmieci!

Po tym filmie już nigdy więcej, słyszysz?

"

Do białej gorączki rozpalą go łatwość, z jaką Marilyn i jej partner Ewell nawiązali przyjazne stosunki.

Śmiali się razem!

Kiedy Eks-Sportowiec i Marilyn byli sam na sam, ona wcale nie była zabawna; rzadko się śmiała; on się rzadko śmiał; próbowała z nim rozmawiać, potem poddawała się i siedzieli, na przykład przy obiedzie, w milczeniu.

Czasami nawet pytała, czy może poczytać scenariusz albo książkę!

Zachęcała go do oglądania telewizji, programów i wiadomości sportowych.

Och, nigdy jej nie wybaczył, że zostawiła go w Japonii, aby dostarczyć rozrywki żołnierzom w Korei.

Zainteresowanie mediów jej obecnością w Korei było tak wielkie, że przyćmiło doniesienia o wszystkim, co robił Eks-Sportowiec w Japonii.

Przyciągał wprawdzie tłumy, ale nie mogły one się równać z masami, które wiwatowały na cześć Marilyn Monroe.

W sumie więcej niż sto tysięcy amerykańskich żołnierzy widziało jej występ, gdy ubrana w purpurową, mieniącą się cekinami sukienkę i pantofelki na wysokich obcasach śpiewała Diamonds Are a Girls Best Friend i / Wanna Be Loved by You w przenikliwym chłodzie, wydychając parę.

Podejrzewał ją o przelotny romans z młodym kapralem ze "Stars Stripes", który towarzyszył jej w Korei.

Podejrzewał ją o jeszcze krótszy romans lub tylko jednorazowe pieprzonko z młodym japońskim tłumaczem z uniwersytetu w Tokio, który według Eks-Sportowca wyglądał jak wyprostowany węgorz.

Na planie filmu w Nowym Jorku miał podstawy przypuszczać, że Marilyn i Tom Ewell wymykali się ukradkiem w przerwach, aby kochać się w jego garderobie.

Ta para utworzyła radosny związek seksualny!

Eks-Sportowiec nie był zazdrosny, ale wiedzieli o tym wszyscy na planie, jeśli nie całe Hollywood.

Śmiali się z niego, z oszukanego męża!

Ojciec i bracia byli z nim szczerzy.

Nie możesz nad nią zapanować?

Co to jest za małżeństwo, ty i ona?

W końcu nie mógł już jej kochać.

Kochać się z nią.

Jako mężczyzna.

Jako mężczyzna był...

Pałkarzem Yankeesów.

Za to też jej nienawdził.

Przede wszystkim za to.

"Obciążasz facetom jak należy.

A w środku jesteś martwa.

Nie jesteś normalną kobietą.

Mam nadzieję, że nigdy nie urodzisz dzieci".

Kłóciła się z nim.

Dlaczego nienawdzi Marilyn, skoro wcześniej ją kochał?

Dlaczego nienawdzi Dziewczyny z Góry?

Dziewczyna wydawała się taka urocza, serdeczna, uprzejma, miła.

Oczywiście była jedynie wymysłem mężczyzny, jego seksualną fantazją, seksualnym aniołem, w końcu chodziło jedynie o zabawę, prawda?

Czy seks nie jest zabawny?

Jeśli cię nie zabija?

Dziewczyna z Góry zapraszała cię do śmiechu.

Śmiałeś się z niej i z nią, ale nie był to śmiech okrutny.

Lubią mnie, bo nie jestem ironiczna.

Nikt mnie nie uraził, więc i ja nie mogę nikogo zranić.

Dorosły człowiek uczy się ironii tak samo, jak uczy się cierpienia, rozczarowania i wstydu, ale Dziewczyna z Góry potrafi wymazać tę wiedzę.

Jasnowłosa Księżniczka jako nowojorska dziewczyna sukcesu połowy lat pięćdziesiątych.

Jasnowłosa Księżniczka bez Ciemnowłosego Księcia.

Bo żaden mężczyzna jej nie dorównuje.

Jasnowłosa Księżniczka reklamująca pastę do zębów, szampon, dobra konsumpcyjne.

To zabawne, nie tragiczne, że śliczne dziewczyny wykorzystuje się do zwiększenia sprzedaży towarów: dlaczego Otto Osę nie potrafił dostrzec w tym komizmu?

"Nie wszystko jest holocaustem".

W samej rzeczy doszło tu (jak powiedziała panu Wilderowi, reżyserowi) do cudownego odwrócenia: w Słomianym wdowcu, dzięki wymyślonej osobie - Marilyn Monroe - Norma Jeane powinna mieć okazję przeżycia na nowo pewnych upokorzeń z młodości nie jako tragedii, lecz komedii.

Teraz nastąpiła scena z uniesioną pędem powietrza spódnicą!

Ponad cztery godziny filmowania na nowojorskiej ulicy, z czego nie wykorzystano nawet sekundy.

Ostatecznie scenę nakręcono w zaciszu hollywoodzkiego studia.

Bez ciekawskich mężczyzn tłoczących się za policyjnymi zaporami.

Scena ze spódnicą okazała się krótka i zaledwie zabawna.

W żaden sposób nie szokowała.

Nie ekscytowała.

Eks-Sportowiec nigdy nie zobaczył tej sceny w filmie.

Dziewczyna piszczy, śmieje się, stara się utrzymać brzeg spódnicy w dole, majteczek w ogóle nie widać...

i to wszystko.

- Proszę pani, proszę pani!

- Samotny mężczyzna siedzący w pobliżu Normy Jeane szeptał do niej natarczywie, wychyliwszy się z fotela.

Norma Jeane wiedziała, że powinna go zignorować, ale musiała popatrzeć w jego kierunku niemal wbrew sobie, bo przypuszczała chyba, że to jednak pan Haring, choć zarazem zdawała sobie sprawę - widząc młodzieńcze, osobliwie wytrawione rysy, powilgotniałe, mrugające oczy za okrągłymi szklami okularów, pokryte oleistym potem czoło - że nie zna tego mężczyzny.

- Proszę pani, proszę pani!

Dyszał podniecony.

Uniósł dolną część ciała i obiema dłońmi manipulował przy kroczu przysłoniętym częściowo płócienną torbą albo zwiniętą marynarką, a kiedy Norma Jeane popatrzyła na niego wstrząśnięta i zniesmaczona, jęknął cicho i przewrócił oczami, odsłaniając białka, a cały rząd siedzeń zadygotał, jakby ktoś je kopnął.

Norma Jeane siedziała zdrętwiała z zażenowania.

Czy coś podobnego nie przydarzyło się jej w przeszłości, dawno temu?

Albo nawet nie raz?

I myślała: Czy to on?

Pan Haring?

Och, czy to prawda?

Skulony w fotelu niczym gnom, ośmielił się pokazać jej dłoń z kleistą mazią na drżących palcach.

Norma Jeane wydała cichy okrzyk bólu i obrzydzenia.

Poderwała się i już szła w stronę wyjścia, a mężczyzna podobny do pana Haringa spokojnie się śmiał, co brzmiało jak grzechot drobnych kamyków na tle głośniejszego śmiechu reszty publiczności.

Bileter z pryszczami na policzkach, który w niedbałej pozie siedział z tyłu sali, na widok Normy Jeane pomaszerował do wyjścia, spojrzał jej w twarz i powiedział zdziwiony:

- Proszę pani, czy wszystko w porządku?

Norma Jeane minęła go, nawet na niego nie zerknąwszy.

- Tak.

Zrobiło się późno.

TOPIELICA

Czyżby trafiła na Venice Beach?

Nawet nie patrząc, wiedziała, że tak.

Coś było nie tak z jej oczami.

Tarła je dłońmi zwiniętymi w pięści.

Miała w oczach pełno piasku.

Poranne niebo pękało na drobne kawałeczki niczym puzzle.

Raz rozsypane, już nigdy nie da się poskładać.

Dlaczego krew pulsowała w niej tak mocno!

tak mocno!

tak mocno tłukło serce!

mogłaby je chwycić w dłoń jak kolibra.

Nie chciałam umrzeć, jedynie prowokowałam śmierć.

Nie otrułam się.

Bóg umiera, jeśli go nie kochamy, aleja nie umarłam, choć nikt mnie nie kochał.

Venice Beach, falbanki ubitego piasku, wstęgi mgły jak firany, wodorosty niczym śnięte węgorze.

Gapił się na nią jeden z uprawiających surfing mężczyzn, jakiś dziwny, milczący; ociekał wodą i wyglądał jak morski stwór.

Miała rozerwany przód wiśniowej szyfonowej sukienki, jej piersi były niczym nie osłonięte.

Sutki twarde jak kamyki.

Włosy splecione, usta opuchnięte, rozchylone w niby-uśmiechu, oleisty, benzedrynowy pot na całym ciele.

Cześć, jak się nazywasz?

Ja jestem Miss Złote Marzenia.

Myślisz, że jestem ładna?

pociągająca?

miła?

Jak sądzisz, mógłbyś mnie pokochać?

Wiem, że ja bym ciebie mogła.

Najpierw pojechała na molo w Santa Monica.

Parę godzin temu.

W szyfonach, bez butów i majtek.

Odbyła przejażdżkę na diabelskim młynie.

Kupiła bilet jakiemuś dziecku i zabrała ze sobą małą dziewczynkę; jej rodzice, uśmiechnięci i zakłopotani, zdawali się ją rozpoznawać, choć nie byli do końca pewni, kim jest (w Hollywood roiło się od blondynek); rozbujała wózek, a dziewczynka piszczła w jej ramionach: Och!

och!

och!

, kiedy szybowały ku niebu.

Nie była pijana.

Oddech miała świeży, można rzec słodki, cytrusowy!

Jeśli na jej rękach pozostały ślady po ukłuciu, ślady w miękkim ciele po wewnętrznej stronie łokcia, to nie były one jej dziełem.

Niektóre części jej ciała zwiotczały i obumarły.

Miejsca, gdzie ścisnął ją silny eks-mąż: nadgarstek, ramię, szyja.

Pięknymi palcami.

Dawno temu знаła mężczyznę, który mógł się kochać jedynie z jej piersiami, poruszał sterczącym penisem między nimi i gniótł je w drżących dłoniach, póki ze szlochaniem cierpienia nie doszedł do orgazmu, pryskając na nią nasieniem, ale Normy Jeane tak naprawdę tam nie było, patrzyła, ale nic nie widziała, jakby zamiast oczu miała kamienie.

To nie boli.

Szybko jest po wszystkim.

Wystarczy chwila i już o tym nie pamiętasz.

Zapytała, czy śliczna mała dziewczynka nie zamieszkałaby z nią na jakiś czas.

Usiłowała wytłumaczyć rodzicom, którzy po przejażdżce diabelskim młynem sprawiali wrażenie zdenerwowanych, że oni też mogą swoją córkę odwiedzić.

Dlaczego operator diabelskiego koła się wściekał?

Przecież nikomu nic się nie stało.

Tylko żartowała!

Dała mężczyźnie dwudziestodolarowy banknot, co go na tychmiast uspokoiło.

A dziewczynka trzymała za rękę ładną, blondwłosą kobietę i ani myślała odejść.

Tak samo jak niegdyś inna dziewczynka trzymała ją za rękę.

Wypchany tygrysek, którego uszyłam dla Iriny.

Zniknął razem z nią.

Gdzie w hrabstwie Los Angeles ciągle dochodziło do jakichś morderstw, w zeszłym miesiącu zabito "rudowłosą modelkę", jak o niej napisano w gazetach, zaledwie siedemnastolatkę.

Zdarzało się, że morderca grzebał ofiarę w "płytkim grobie" i deszcz zmywał piaszczystą ziemię, odsłaniając ciało lub to, co z niego zostało.

Ale nic się nigdy nie przydarzyło Normie Jeane.

Każdą z tych ośmiu, dziewięciu, względnie dziesięciu zgwałconych i okaleczonych dziewcząt albo znała, albo mogłaby znać, bo były jej bliźniaczymi gwiazdkami w Wytwórni, modelkami w agencji Preene, względnie modelkami u Ottona Osę, lecz nigdy morderca nie trafił na nią.

Cóż to miało znaczyć?

Czyżby było jej pisane dłuższe życie?

Życie trwające więcej niż trzydzieści lat i dłużej niż życie Marilyn?

Przyjechała do Santa Monica z zamożnego Bel Air, ze wzgórz pełnych reprezentacyjnych rezydencji.

Z bajkowego domu położonego w pobliżu klubu golfowego.

Zaproponował, że pokryje koszty jej rozvodu z Eks-Sportowcem.

"Psychiczne znęcanie się".

"Niezgodność charakterów".

"Niedopasowanie".

Topielica

Wybrała się w podróż butelkowitzelonym bentleyem, lekko porysowanym na lewym przednim błotniku, którym otarła się o barierkę na Santa Monica Freeway.

Czy Gladys właśnie poddawano terapii elektrowstrząsowej?

Bo sama czuła się tak, jakby jej głowa była poraniona, po szarpana.

Często nie panowała nad myślami.

Możesz się śmiać z Dziewczyny z Góry.

Ale ona przynajmniej miała scenariusz i nigdy nie błędziła.

To ona wywoływała wybuchy wesołości.

Terapia elektrowstrząsowa, tak to się nazywa.

Zapytali Normę Jeane, najbliższą krewną, prawną opiekunkę chorej kobiety, o pozwolenie na przeprowadzenie leukotomii.

Odmówiła.

Lekarz zapewnił ją, że leukotomia czasem przynosi zbawienne skutki, zwłaszcza u pacjentów niezrównoważonych i cierpiących na halucynacje.

Nie, nie w wypadku mojej matki.

Ona jest poetką, inteligentną, skomplikowaną istotą.

Tak, matka jest postacią tragiczną, tak samo jak ja!

Zatem Gladys została poddana jedynie elektrowstrząsom.

Och, ale to przecież wydarzyło się przed laty w Norwalk.

Nie w znacznie miłszym Lakewood, gdzie Gladys obecnie przebywała.

Mamo, on chce cię zobaczyć!

Już niedługo.

Mówi, że ci wybaczy.

Kocha nas obie.

Coś w tym musi być, że ojciec nazwał ją "Normą".

Na początku zwracał się do niej "Normo Jeane", ale pod sam koniec listu napisał "Normo".

Tak będzie ją nazywał, kiedy się spotkają i później.

Nie "Normą Jeane", nie "Marilyn".

No i rzecz jasna: "Córką".

W końcu wzięła kluczyki do bentleya i odjechała.

Ale on nie zawiadomi policji.

Jego słabość polegała na tym, że ją kochał.

Płaszczący się, pomrukujący prosiaczek Porky, mały mężczyzna u jej stóp.

U bosych stóp Marilyn.

Ssał jej brudne palce u nóg!

Piszcziała, tak ją łaskotało.

Był dobrym człowiekiem, taktownym, bogatym.

Miał udziały w 20th Century Fox.

Nie tylko pragnął zapłacić za jej rozwód, ale ponadto chciał wynająć twardego detektywa (tak naprawdę dorabiającego na boku policjanta z wydziału zabójstw z pewną liczbą "usprawiedliwionych" morderstw na koncie), aby odstraszyć detektywa zatrudnionego przez Eks-Sportowca.

Chciał przedstawić ją zaprzyjaźnionemu prawnikowi, aby pomóc jej założyć prywatną firmę.

Marilyn Monroe Productions, Inc.

Dzięki temu ucieknie z Wytwórni i pozbędzie się krępujących więzów.

Postąpi tak, jak przed kilku laty Olivia De Havilland, która odważyła się zerwać kontrakt z inną wytwórnią i wygrała sprawę w sądzie.

Podarował jej parę szafirowych kolczyków z Madrytu; powiedziała, że nie nosi drogiej biżuterii!

To wina mojego marnego pochodzenia, przyznała.

Będzie przechowywała szafirowe kolczyki i pozostałą część cennej biżuterii w noskach kapci i butów.

Po jej śmierci znajdą je w szafie wśród kulek kurzu.

Ale niezbyt szybko.

Jeszcze długo nie zamierzała umierać!

Jestem Miss Złote Marzenia.

Czy chciałbyś mnie pocałować?

Wszędzie?

Oto jestem, czekam.

Kochały mnie już setki tysięcy mężczyzn.

A moje panowanie dopiero się rozpoczyna!

Tego wieczoru obejrzała Słomianego wdowca w Sepulveda Theatre.

Buckyemu na pewno spodobałby się ten film, śmiałby się i trzymał Normę Jeane za rękę.

A potem kazałby jej ubrać jedną z seksownych koronkowych koszulek i kochałby się z nią naprawdę, tak jak przystało na zdrowego, młodego, żonatego faceta, który jest napalony jak wszyscy diabli.

Tylko że już do przeszłości należała ta istota z ekranu, która nie jest mną.

Postanowiła zniknąć.

Jak Harriet z Iriną.

To się może stać w ciągu godziny.

W ciągu minuty!

Zniknie z Hollywood, spod nadzoru Eks-Sportowca, przeniesie się do Nowego Jorku i zamieszka samotnie w wynajętym mieszkaniu.

Będzie studiowała aktorstwo.

Na to jeszcze nie jest za późno!

Nikt jej nie pozna.

Zacznie od nowa, z pokorą, jako studentka.

Będzie studiowała grę na scenie.

W prawdziwym teatrze.

Zagra Czechowa, Ibsena, Oneilla.

Filmy są martwym medium, żywym jedynie z punktu widzenia publiczności.

Uwielbianym wyłącznie przez publiczność, która składa się przeważnie z ignorantów o określonych pragnieniach.

Ale przecież Jasnowłosa Księżniczka nie istniała, prawda?

Nie istniał Ciemnowłosa Książę, który mógłby cię ocalić.

Później pojechała na Venice Beach.

Będzie pamiętała nagą stopę na pedale gazu i szukanie hamulca.

Gdzie się podziało sprzęgło?

Porzuciła odrapanego i przegrzanego bentleya przy Venice Boulevard, zostawiwszy kluczyki w stacyjce.

Potem już pieszo.

Boso.

Biegła.

Nie bała się.

Biegając, czuła radość.

Przód jej ślicznej sukni został rozdarty.

Szorstkimi dłońmi brodatego odludka.

Teraz, o świcie, ów pas plaży był jej domem.

Bo babcia Delia mieszkała niedaleko stąd.

Niedaleko znajdował się jej grób.

Wraz z Normą Jeane spacerowała wzdłuż plaży, osłaniała oczy przed mieniącymi się, jasnymi falami.

Oczywiście babcia Delia byłaby z niej dumna; ale po wiedziałyby: Sama podejmuj decyzje, kochanie.

Jeśli ci zbrzydni życie.

Mewy, ptaki wodne.

Z krzykiem krążyły nad jej głową.

Wbiegła w falę, pierwszą z fal, niezmiennie dziwi cię jej siła, jej chłód.

Woda jest taka rozrzedzona, przelewa się przez palce, skąd więc bierze się jej siła, jej niszcząca moc?

Ależ to dziwne.

Daleko na falach zauważyła coś żywego, jakąś bezbronną istotę; musiała ją ocalić.

Och, wiedziała, że coś było nie tak: to się jej śniło, miała jakieś halucynacje albo ktoś niegodziwy rzucił na nią zły urok, niby wiedziała o tym, ale w jakiś niezrozumiały sposób nie czuła, że wie, zatem musiała działać szybko.

Czyżby to...

Dziecko?

Albo dziecko innej kobiety?

Żywa, bezbronna istota, tylko Norma Jeane ją widziała, tylko ona mogła ją ocalić.

Potykając się i zataczając, wbiegła do wody, fale uderzały w jej tydki, uda, brzuch.

Nie były to pieszczoty kochanka, lecz silne ciosy.

Trafiające w głębokie rozcięcie między jej nogami- Straciła równowagę, przewróciła się i zaraz niezgrabnie podniosła.

Widziała to małe, bezbronne stworzenie.

Uniosło się wysoko na szczycie spienionej fali, wpadło na mieliznę; uniosło się z powrotem, znowu runęło w dół.

Trzepotało małymi kończynami!

Zaczęła się dusić.

Brakowało jej powietrza.

Potykała wodę.

Miała wodę w nosie.

Jakaś dłoń zacisnęła się na jej szyi.

Piękne, silne dłonie.

Będzie lepiej, jeśli zginiemy oboje.

A mimo to pozwolił jej odejść:

dlaczego?

Zawsze pozwalał jej odejść, na tym polegała słabość tego mężczyzny: on ją kochał.

Od utonięcia uratowali ją mężczyźni, którzy pływali na deskach surfingowych.

I zachowali ten fakt w tajemnicy, bo ich o to poprosiła.

Miała szczęście.

Znalazła się na skrawku Venice Beach, gdzie kręciło się

kilku amatorów surfingu.

Niektórzy z nas nawet sypiali na plaży, bo noce były bardzo ciepłe.

Nikt wtedy nie spał, sunęliśmy po wodzie, ujarzmiając dość duże, ostre fale.

Naraz na brzegu pojawiła się ta rozkojarzona blondynka w podartej sukience.

Potykała się.

Szła bosą, wiatr rozwiewał jej włosy.

Z początku przyszło nam do głowy, że ktoś ją goni, ale nie, była sama.

Nagle weszła do oceanu!

A bujało dosyć ostro.

Przypominała jasnowłosą lalkę wrzuconą do wody i targaną falami.

Utonęłaby w ciągu kilku minut, ale jeden z chłopaków dotarł do niej w samą porę, zeskoczył z deski, wyciągnął ją na piasek, ułożył na wznak i zrobił jej sztuczne oddychanie, tak jak się tego nauczył w drużynie skautów; dosyć szybko zaczęła kaszleć, krztusić się, wymiotować i z powrotem normalnie oddychać; wróciła do życia, na całe szczęście nie połknęła więcej wody ani nie wciągnęła jej do płuc.

Nastąpiła kapitalna scena filmowa, którą mieliśmy zapamiętać na całe życie: blondynka otwiera zdziwione oczy - szklistoniebieskie, nabiegłe krwią - i widzi kilku facetów, którzy się na nią gapią, rozpoznają ją albo przynajmniej podejrzewają, kim jest.

Och, dlaczego?

-mówi tym nawiedzonym, cichym głosikiem.

Ale też stara się uśmiechnąć.

I znowu wymiotuje, a chłopak, który ją uratował, gładkolicy student collegeu w Oxnard, szybko ociera jej usta wierzchem dłoni, delikatnym tkliwym gestem, którego z niczym nie można porównać w całym jego krótkim, dziesiętnastoletnim życiu, zresztą także w późniejszym; chyba na resztę życia zapamięta, jak niedoszła topielica, słynna blondwłosa aktorka chwyta go za rękę i próbuje ją pocałować, szepcząc coś, co brzmiało jak "Dziękuję!"

", ale szlocha zbyt głośno, żeby być tego pewnym, poza tym morze też szumi hałaśliwie, a chłopak z Oxnard klęczy obok niej na mokrym piasku i zachodzi w głowę, czy dobrze postąpił.

Jakby chciała umrzeć.

A ja jej przeszkodziłem.

Ale gdybym tego nie zrobił, pomógłby jej któryś z pozostałych chłopaków, zgadza się?

Nie, to nie moja wina".

DRAMATURG I BLONDWŁOSA AKTORKA:

UWIEDZENIE

W procesie tworzenia istnieje ojciec, czyli autor sztuki; matka - aktor brzemienny rolą; oraz dziecko - rola do urodzenia.

Konstantin Stanisławski, Praca aktora nad sobą

Nigdy nie będziesz pisać o mnie, prawda?

O nas.

Kochanie!

Oczywiście, że nie.

Bo jesteśmy nadzwyczajni, prawda?

Tak bardzo się kochamy.

Nigdy byś nie mógł sprawić, aby ktokolwiek zrozumiał...

jak to jest między nami.

Kochanie, nawet bym nie próbował.

Napisał sztukę i ta sztuka stała się jego życiem.

Nie była to dobra rzecz.

Dramaturg miał tego świadomość.

Twór ze słów, naczynie czystego języka, w jakiś sposób owinięte jego trzewiami, doprawione arteriami jego żywego ciała.

Obojętnym głosem powiedział o tym swoim nowym dziele, pierwszym od kilku lat:

-Wiele się po nim spodziewam.

Ale praca jeszcze nie jest skończona.

Wiele się spodziewam.

Praca jeszcze nie jest skończona.

Wiedział to!

Żadna sztuka nie jest życiem autora, jak żadna książka nie jest życiem pisarza.

Są jedynie przerwy w życiu, jak plusk, jak fala, jak drzenie przebiegające przez taki żywioł, jak woda, która się wprawdzie porusza, lecz wcale nie zmienia.

Wiedział o tym.

Ale mimo to tyle lat pracował nad Dziewczyną o włosach jak len.

Zaczął już w collegeu, wtedy to powstała pierwotna, najbardziej niedojrzała, "epicka" wersja dzieła.

Potem zarzucił pracę nad nim w rozpaczy i uniesieniach pierwszej miłości, następnie napisał kilka innych sztuk i w powojennych latach czterdziestych został Dramaturgiem!

Dopiero jako dorosły mężczyzna odkurzył pierwsze próby, przenosząc Dziewczynę o włosach jak len odręczne notatki, koślawe zapiski, nieudane sceny, przydługie sceny, zbyt rozwlekłe opisy postaci, powyginane, coraz bardziej pożółkłe fotografie z lat dwudziestych; a przede wszystkim przenosząc chimeryczną odmianę nadziei - z jednego życia do drugiego, z pojedynczych pokoi i ciasnych mieszkań w New Brunswick, New Jersey, Brooklynie, Nowym Jorku, do swojego obecnego, sześciopokojowego mieszkania w domu z piaskowca, położonego przy Siedemdziesiątej Drugiej Zachodniej Ulicy w pobliżu Central Parku, i do letnich domków w Adirondacks i na wybrzeżu Maine, nawet do Rzymu, Paryża, Amsterdamu, Maroka.

Przeniósł ją z kawalerskiego życia do życia skomplikowanego w sposób zupełnie nieoczekiwany przez małżeństwo i dzieci, życia rodzinnego, którym z początku bardzo się cieszył, traktując je jako antidotum na obsesyjny świat wnętrza swojej głowy; przeniósł ją z żywiołowej, odkrywczej seksualności młodzieńca do gasnącej i niepewnej seksualności piątej dekady życia.

Bohaterka Dziewczyny o włosach jak len była jego pierwszą miłością, nigdy nie skonsumowaną.

Nie ujawnioną nawet.

Teraz miał czterdzieści osiem lat.

Dziewczyna, gdyby jeszcze żyła, miała by ich czterdzieści kilka.

Śliczna Magda w średnim wieku!

Nie widział jej od przeszło dwudziestu lat.

Napisał sztukę i ta sztuka stała się jego życiem.

Zniknę!

Wycofała zaoszczędzone pieniądze z trzech rachunków w trzech bankach.

Zamknęła wynajęty dom i zostawiła wiadomość zaledwie dla kilku osób z wyjaśnieniem, że znika z Hollywood, i prośbą, aby za nią nie tęsknili.

I nie szukali jej.

Nawet oszołomionemu agentowi nie pozostawiła żadnego adresu, ponieważ podczas przelotu żadnego adresu nie miała.

Książki, gazety i trochę ubrań spakowała pośpiesznie w pudła i wysłała do Nowego Jorku na poste restante.

Babcia Delia powiedziała, żebym sama podjęła decyzję, jeśli mi zbrzydnie życie.

Ale to nie życie mi zbrzydło.

Sen o Powrocie.

Ostatniej nocy przed poznaniem Blondwłosej Aktorki w Nowym Jorku, wczesną zimą 1955 roku, Dramaturg miał jeden ze swoich powtarzających się snów o upokorzeniu.

Jeden z tych snów, o których nie opowiadał nikomu.

Snów, które starał się wymazać z pamięci zaraz po przebudzeniu!

W sztuce- myśli Dramaturg - sny mają głębokie znaczenie, odmieniają życie, często bywają piękne.

Wżyciu sny nie znaczą więcej niż rozmazany widok Rahway w stanie New Jersey, oglądanego przez pokryte kroplami deszczu szyby autobusu dalekobieżnego, wypuszczającego spaliny na drodze nr 1.

Dramaturg urodził się w rodzinie robotniczej w Rahway, w północno-wschodniej części New Jersey.

W grudniu 1908 roku.

Jego rodzice byli niemieckimi Żydami z Berlina, którzy pod koniec lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku wyemigrowali z nadzieją zasymilowania się w Stanach Zjednoczonych, amerykanizując specyficzne żydowskie nazwisko, wykorzeniając ślady żydowskiego pochodzenia.

Byli Żydami, którym za brakło cierpliwości do bycia Żydami, nawet jeśli z goryczą uświadamiali sobie, że są przedmiotem pogardy ze strony nie-Żydów, z których większość była, ich zdaniem, gorsza od nich.

W Ameryce ojciec Dramaturga znajdzie pracę przy taśmie produkcyjnej w Nowym Jorku wśród innych cudzoziemców, znajdzie pracę w sklepie rzeźniczym w Hoboken i jako sprzedawca butów w Rahway, wreszcie zaś w najśmielszym czynie swych lat dojrzałych nabędzie prawo sprzedaży pralek i suszarek marki Kelvinator w sklepie przy Main Street w Rahway; sklep stanie się jego własnością w 1925 roku i będzie przynosił coraz większe zyski aż do bankructwa w 1931 roku, kiedy to Dramaturg skończy studia na Rutgers University w pobliskim New Brunswick.

Bankructwo!

Nędza!

Rodzina Dramaturga straci swój wiktoriański dom w zamożnej dzielnicy i zamieszka nad sklepem, w którym sprzedawano pralki oraz suszarki, nieruchomości położonej w wymarłej części Rahway.

Ojciec Dramaturga będzie cierpieł na nadciśnienie, zapalenie okrężnicy, choroby serca i "nerwy" przez resztę swojego długiego życia (wytrwa do 1961 roku); matka Dramaturga najpierw zacznie pracować w restauracji, a potem jako dietetyk w szkole publicznej, aż do roku cudów 1949, kiedy jej syn Dramaturg odniesie na Broadwayu pierwszy sukces, zdobędzie pierwszą nagrodę Pulitzera i na zawsze zabierze rodziców z Rahway.

To baśniowa opowieść ze szczęśliwym zakończeniem.

Sen Dramaturga dotyczy tamtych lat w Rahway.

Mężczyzna otwiera oczy i z przerażeniem stwierdza, że jest w kuchni ciasnego mieszkania nad sklepem przy Main Street.

W jakiś sposób kuchnia też jest częścią sklepu.

Stoją tu pralki.

Nie wiadomo, jakie to czasy.

Nie jest jasne, czy Dramaturg jest chłopcem wystarczająco dojrzałym, aby wstydzić się swojej rodziny, czy może rozpoczął już studia i marzy mu się zostanie drugim Eugeneem Oneillem, czy też ma czterdzieści osiem lat, jego młodość w tajemniczy sposób przeminęła, jego zaś ogarnia przerażenie, że niedługo skończy lat pięćdziesiąt i od blisko dekady nie udało mu się stworzyć żadnej przejmującej, elektryzującej sztuki.

W tym śnie gapi się w kuchni na rząd hałaśliwie pracujących pralek.

W każdej z nich pieni się brudna woda.

Towarzyszy temu zapach ścieków i kanalizacji.

Dramaturgowi robi się niedobrze.

Domyśla się, że to sen.

Równocześnie jednak wszystko przedstawia się tak realistycznie, że będzie przekonany - rozdygotany - iż to się musiało naprawdę zdarzyć w życiu.

Zapiski handlowe ojca i jego własne pisma pomieszały się i leżą beztrosko na podłodze pod pralkami, woda wylewa się na papiery.

Dramaturg powinien je stamtąd zabrać.

O tym prostym zadaniu myśli z odrazą i strachem.

Choć istnieje w tym perwersyjna duma, bo każdy syn musi przecież pomagać słabemu, cierpiącemu ojcu.

Pochyla się, usiłuje powstrzymać wymioty.

Stara się nie oddychać.

Widzi swoją rękę sięgającą po plik kartek, po tekturową teczkę.

Zanim podniesie papier do światła, dostrzega, że wszystko jest przesiąknięte wodą, zasmarowane atramentem, słowem dokumenty są niszczone.

Czy wśród nich znajduje się Dziewczyna o włosach jak len?

"Och, Boże, pomocy".

To nie modlitwa - Dramaturg nie jest człowiekiem religijnym - to przekleństwo.

Naraz Dramaturg budzi się.

Ze snu wytrącił go własny chrapliwy oddech.

Zaschło mu w gardle, czuje w ustach kwaśny smak, zaciska zęby z żalu i napięcia.

Cieszy się, że śpi samotnie we własnym łóżku, we własnym mieszkaniu w budynku z piaskowca przy Siedemdziesiątej Drugiej Zachodniej, a nie w Rahway, stan New Jersey.

Jego żona jest w Miami, w odwiedzinach u krewnych.

Przez cały dzień będzie go prześladował sen o Powrocie.

Jak niesmaczny, nie strawiony pokarm.

Znałam tę dziewczynę/Magdę.

Ona nie była mną, ale była we mnie.

Jak Nell, tyle że była silniejsza niż Nell.

Urodziłaby dziecko; nikt by jej nie zdeprawował.

Urodziłaby dziecko na nagiej podłodze w nie ogrzewanym pokoju i zduśła własny krzyk jakąś szmatą.

Tą samą szmatą zatamowałaby upływ krwi.

Potem zajęłaby się karmieniem.

Miała piersi duże, nabrzmiące jak u krowy, ciepłe i tryskające mlekiem.

Dramaturg podszedł do biurka i przejrzał papiery.

Oczywiście Dziewczyna o włosach jak len była dokładnie tam, gdzie ją zostawił.

Ponad trzysta stron odręcznego tekstu, poprawek, notatek.

Kiedy wziął wszystko do ręki, .

ze środka wypadła jedna z pożółkłych fotografii.

Magda, czerwiec 1930.

Czarno-białe zdjęcie przedstawiające atrakcyjną blondynkę o dużych oczach zmrużonych w promieniach słońca, gęstych włosach zaplecionych w war kocz i owiniętych wokół głowy.

Magda miała dziecko, ale nie z nim.

Jednak w sztuce dziecko jest jego.

z zapalem młodego kochanka, choć przecież nie był już młody, Dramaturg w pośpiechu pokonał cztery kondygnacje stromych, metalowych, za chlapanych farbą schodów dzielących go od

nawiedzanego przeciągami pomieszczenia, gdzie odbywały się próby; róg Jedenastej Alei i Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy.

Podeksytowany!

zdyszany!

Jakże niespokojny!

Kiedy wszedł na poddasze w szmer głosów, w mgłę twarzy, musiał się zatrzymać, aby dać sercu odpocząć.

Uspokoić się.

Nie miał siły wbiegać po schodach tak jak kiedyś.

Bałam się.

Nie byłam przygotowana.

Prawie całą noc nie spałam.

Ciągle chodziłam robić siku!

Nie brałam narkotyków, tylko aspirynę.

I tabletkę antyhistaminową, którą dostałam od asystenta pana Pearlmana na ból gardła.

Byłam przekonana, że Dramaturg tylko raz spojrzy na mnie, porozmawia z panem Pearlmanem i na tym się skończy, będę wyłączona z obsady.

Nie zasłużyłam sobie, aby w niej być, wiedziałam.

Chyba wiedziałam o tym zawczasu.

Widziałam siebie, jak schodzę po schodach.

Trzymałam scenariusz i próbowałam czytać zdania, które zaznaczyłam na czerwono, ale miałam wrażenie, że nigdy ich wcześniej nie widziałam.

Pogłowie krążyła mi jedna wyraźna myś: Jeśli teraz zawiodę...

Jest zima, mróz.

Nie byłoby trudno umrzeć, prawda?

Dramaturg nie będzie zadowolony, wszyscy to wiedzieli.

Tylko on nie wiedział.

Z Blondwłosej Aktorki, która na próbie została obsadzona jako Magda.

Jego Magda.

Owszem, podano mu nazwisko.

Niewyraźnie.

Przez telefon.

Podał je dyrektor artystyczny, Max Pearlman, który powiedział w typowym dla siebie pośpiechu, że Dramaturg zna wszystkich z obsady, "może z wyjątkiem aktorki czytającej rolę Magdy.

Niedawno wstąpiła do Zespołu.

W ogóle dopiero od niedawna jest w Nowym Jorku.

Nigdy jej wcześniej nie widziałem, pierwszy raz dopiero przed paroma tygodniami, kiedy weszła do mojego biura.

Wystąpiła w kilku filmach, ale przejadł się jej ten hollywoodzki chłm, zapragnęła uczyć się prawdziwego aktorstwa, no i zaczęła studiować z nami".

Pearlman na chwilę zawiesił głos.

W teatralnym stylu, gdzie pauzy mają takie samo znaczenie jak dla pisarza znaki przestankowe.

"Wiesz, nie jest zła".

Dramaturg, który i tak miał zbyt wiele na głowie, bo myśli o upokarzającym śnie o Powrocie mocno zaciążyły na jego nastroju, nie poprosił o powtórzenie nazwiska tej kobiety ani o dodatkowe informacje na jej temat.

W końcu chodziło jedynie o odczytanie sztuki w Nowojorskim Zespole Artystów Teatralnych, z którym Dramaturg był związany od dwudziestu lat; czytanie miało się odbyć bez udziału publiczności i nie na scenie.

Za proszono jedynie członków Zespołu.

Nie zezwalano na oklaski.

Dlaczego zatem Dramaturg miałby prosić starego przyjaciela Pearlmana, który budził w nim niewiele serdecznych uczuć, ale któremu jednak bezgranicznie ufał we wszystkich sprawach związanych z teatrem, aby powtórzył nazwisko mało znanej aktorki?

Zwłaszcza aktorki, która nie mieszkała w Nowym Jorku?

Dramaturg znał jedynie miejscowe środowisko.

Zbyt wiele miał na głowie!

Chmara komarów, chmara komarowych myśli brzęczała wokół głowy Dramaturga tak na jawie, jak i poza nią.

W wielu swoich snach nadal pracował.

Praca, praca!

Żadna kobieta nie mogła z tym konkurować.

Paru kobietom udało się zdobyć jego ciało, lecz w żadnym razie duszę.

Jego żona przestała już być zazdrosna.

Prawie nie zauważył spadku jej uczuciowego zaangażowania, tak jak tylko przelotnie dostrzegł, że często przebywa poza domem i odwiedza krewnych.

W obsesyjnych snach o pracy Dramaturg wystukiwał palcami słowa nie napisane jeszcze na przenośnej maszynie olivetti; w snach nadstawiał uszu, by usłyszeć niezwykle piękny i poruszający dialog, nie wyartykułowany jeszcze w rzeczywistych dźwiękach.

Jego życie polegało na pracy, ponieważ tylko praca uzasadniała istnienie; w każdej godzinie życia przyczyniał się, choć może częściej wcale mu to nie wychodziło, do ukończenia swej pracy.

Sumienie Ameryki połowy stulecia.

Ameryki merkantylno-konsumpcyjnej.

Ameryki tragicznej.

Bowiem podkopy Tragedii sięgają głębiej niż tanie, szybkie zastrzyki Komедii.

Na poddaszu rozpoczęło się czytanie sztuki.

Szóstka aktorów siedziała na składanych krzesłach na podwyższeniu, w półkolu pod światłem nagich żarówek.

W pobliskiej toalecie bez przerwy kapłała woda.

W powietrzu wisiał papierosowy dym, bo niektórzy aktorzy palili, tak samo jak wielu ludzi spośród czterdziestoosobowej publiczności.

Wszyscy aktorzy wyraźnie zdradzali zdenerwowanie, z wyjątkiem dwóch najstarszych, weteranów Zespołu i sztuk autorstwa Dramaturga.

Mimo intelektualnej, kapłańskiej rezerwy Dramaturg znany był z krytycznego nastawienia do aktorów, denerwowały go ich ograniczenia.

Pamiętano jego słynne zdanie, które wypowiedział więcej niż raz: "Nie próbujcie zrozumieć mnie zbyt szybko".

Dramaturg usiadł w pierwszym rzędzie, zaledwie kilka metrów od aktorów.

Natychmiast zaczął się gapić na Blondwłosą Aktorkę.

Przez dość długą pierwszą scenę, w której Blondwłosa Aktorka jako Magda nie odzywała się ani razu, gapił się na nią i teraz już ją rozpoznał, na jego policzki wystąpił silny rumieniec.

Marilyn Monroe?

Tutaj, w Nowym Jorku?

Pod opieką sprytnego promotora, zwłaszcza własnej osoby, Pearlmana?

To wyjaśniało podekscytowane pomruki wśród publiczności, które rozlegały się, zanim jeszcze zaczęło się czytanie; Dramaturg nie ośmielał się sądzić, że atmosfera pełnego napięcia oczekiwania miała coś wspólnego z jego osobą.

I właśnie sobie przypomniał, że niedawno w rubryce Waltera Winchella przeczytał o "tajemniczym zniknięciu" Marilyn Monroe.

Blondwłosa Aktorka uciekła z Hollywood i naruszyła kontrakt zobowiązujący ją do rozpoczęcia pracy nad kolejnym filmem.

Pod zamieszczoną tam fotografią Monroe znalazł się podpis: PRZEPROWADZIŁA SIĘ DO NOWEGO JORKU?

Zdjęcie przypominało reklamowe logo, ludzką twarz zredukowaną do dominujących rysów, wyrazistych, ciężkich powiek i ust rozchylonych w parodii erotycznego błagania.

Ona? Moją Magdą?

Ale Blondwłosa Aktorka, która trzymała w drżących dłoniach tekst sztuki Dramaturga, nie bardzo przypominała Marilyn Monroe.

Minęło kilka chwil i ucichł gwar zainteresowania, wygasło ekscytujące wrażenie nowości.

Członkowie Zespołu byli aktorami i ludźmi związanymi zawodowo z teatrem, dla nich sława była czymś powszednim.

Podobnie talent, nawet geniusz.

Ich osąd miał być bezstronny i pozbawiony sentymentów.

Blondwłosa Aktorka siedziała w centrum półkola, jak gdyby Pearlman umieścił ją tam ze względu na bezpieczeństwo.

Dało się zauważyć, że w przeciwieństwie do starszych, bardziej doświadczonych aktorów scenicznych, zachowywała się nienaturalnie spokojnie, plecy miała wyprostowane, głowę, która wydawała się trochę zbyt duża w porównaniu do szczupłej sylwetki, trzymała wysuniętą do przodu.

Denerwowała się, bezwiednie oblizywała usta.

W oczach błyszczały powstrzymywane łzy.

Jej twarz była twarzą dziewczyny; miała wyjątkowo bladą cerę i cienie pod oczami, podkreślone padającym z góry światłem.

Ubrała się w robiony na drutach sweter, pozbawiony wszelkich barw przez jaskrawe żarówki, i ciemne wełniane spodnie z nogawkami wpuszczonymi w sięgające kostek buty.

Włosy blond zaplotła w krótki warkocz.

Nie nosiła biżuterii ani nie miała makijażu.

Można by jej nie poznać.

Była nikim.

Dramaturg poczuł się urażony:

Pearlman ośmielił się obsadzić Blondwłosą Aktorkę w jego sztuce bez konsultacji.

W jego sztuce!

Tak osobistej sztuce.

A Blondwłosa Aktorka - nieważne czy to dobrze, czy źle - przyciągnie uwagę całej publiczności.

Lecz kiedy Blondwłosa Aktorka wreszcie przemówiła jako Magda, zaraz na początku drugiej sceny, ostrożnie, jakby na próbę, natychmiast stało się jasne, że nie dysponuje odpowiednio silnym głosem jak na tę przestrzeń.

To nie było hollywoodzkie atelier z mikrofonami, wzmacniaczami, zbliżeniami.

Publiczność dała się zahipnotyzować jej podnieceniem, jej przerażeniem, jak gdyby ukazała im się nago.

Pomyłka, nie pasuje do tej roli- po myślał Dramaturg.

Nie nadaje się na moją Magdę.

Ogarnęła go wściekłość na Pearlmana, który stał niedaleko oparty o ścianę, żuł koniuszek nie podpalonego cygara i obserwował scenę z wyrazem zachwyty na twarzy.

Kocha się w niej.

Sukinsyn.

Jednak Blondwłosa Aktorka w roli Magdy była niezwykle ponętna!

Jej głos drżał niczym płomień świecy na wietrze.

Każdy niepewny gest sprawiał, że się jej głęboko współczuło: w jej położeniu jako Magdy, dziesięcioletniej córki węgierskich imigrantów, zatrudnionych około roku 1926 w New Jersey do pracy w podmiejskim gospodarstwie domowym pewnych Żydów; i w jej położeniu jako Blondwłosej Aktorki, tworu Hollywood, po śmiewiska całej Ameryki, stawiającej czoło nowojorskim aktorom teatralnym w otoczeniu, w którym nie mogła liczyć na litość.

- Och, przepraszam?

Panie Pearlman?

Cz...czy mogłabym spróbować jeszcze raz?

Proszę.

Poprosiła w naiwności i rozpaczy.

Jej głos drżał.

Nawet Dramaturg się skrzywił, choć do spraw teatru podchodził zazwyczaj ze stoickim spokojem.

Bo w Zespole żadnemu aktorowi nawet nie przyszło do głowy, aby przerwać scenę i zwrócić się do Pearlmana czy kogokolwiek innego; jedynie reżyser miał prawo się wtrącać, prawo, z którego korzystał powściągliwie jak król.

Tylko że Blondwłosa Aktorka nie miała pojęcia o obowiązującym protokole.

Jej koledzy i koleżanki z nowojorskiej grupy przyglądali się jej tak, jak widzowie w zoo mogliby patrzeć na jakiś rzadki, wspaniały, prymitywny okaz małego przodka, obdarzonego wprawdzie zdolnością mowy, lecz pozbawionego inteligencji, by mówić, poprawnie.

Wszyscy poczuli się nieswojo.

W ciszy Blondwłosa Aktorka zerknęła na Pearlmana, skrzywiła się, co miało wyglądać jak uśmiech, zatrzepotała powiekami, jak pewnie sądziła, uwodzicielsko, i powiedziała zdyszany, lekko chrypliwym głosem: .

-Och, wiem, że potrafię to zrobić lepiej.

Och, proszę!

Ta prośba zabrzmiała tak surowo, tak szczerze, jakby ją wypowiedziała sama Magda.

Kobiety siedzące wśród publiczności, które studiowały aktorstwo u Pearlmana, nierozważnie kochały się w nim i czasem pozwalały mu się "kochać", choć krótko i sporadycznie, w tym momencie nie czuły się rywalkami Blondwłosej Aktorki, współczuły jej i obawiały się o nią, osobę tak bezbronną, ryzykującą publiczne upomnienie; mężczyźni zdrętwieli z zażenowania.

Pearlman wsunął cygaro głębiej do ust i zacisnął szczęki.

Pozostali aktorzy patrzyli na swoje teksty.

Kto widział, ten może potwierdzić, że Pearlman już był gotów powiedzieć coś druzgoczącego, lodowato, szybko jak żmija wysuwająca język.

A mimo to mruknął tylko:

- Pewnie.

Pearlman!

Dramaturg od ćwierć wiecza znał kontrowersyjnego założyciela Nowojorskiego Zespołu Aktorów Teatralnych i zawsze w głębi duszy się go obawiał.

Otóż jeśli Pearlman darzył kogoś najwyższym szacunkiem, podziwem i zainteresowaniem w danym dniu, tygodniu, sezonie, to tylko dramaturgów już nieżyjących i "klasycznych".

Na jego konto należało zapisać wprowadzenie do artystycznego obiegu w powojennym Nowym Jorku radykalnych, upolitycznionych inscenizacji Domu Bernardy Alba Garcii Lorki, Życie jest snem Calderona, Budowniczego Solnessa i Gdy wstaniemy z martwych Ibsena.

Nie tylko reżyserował, ale także tłumaczył dzieła Czechowa i miał odwagę prezentować je zgodnie z życzeniami autora, nie w żałobnych tonach tragedii, lecz jako słodko-gorzkie komedie.

Twierdził, że "odkrył" Dramaturga, choć obaj należeli do tego samego pokolenia i obaj wywodzili się z imigracyjnego środowiska niemieckich Żydów.

W wywiadach, które najbardziej drażniły Dramaturga, Pearlman wypowiadał się o "tajemniczym i mistycznym" procesie współtworzenia teatru, gdy talenty wyłaniają się, splatają, odrzucają i - w sposób zgodny z darwinowską teorią ewolucji - poprzez modyfikacje kreują niepowtarzalne dzieło sztuki.

"Jakbym bez niego nie mógł napisać dramatu".

Jednakże prawdą było to, że wczesne sztuki Dramaturga zostały wystawione przez Zespół, a Pearlman wyreżyserował premierową inscenizację najambitniejszego dzieła Dramaturga, tego, które przyniosło mu sławę i z którym jego nazwisko miało być związane już na zawsze.

Pearlman ogłosił się duchowym bratem Dramaturga, nie rywalem; składał Dramaturgowi gratulacje z okazji otrzymania przez niego każdej nagrody, z okazji każdego zaszczytu, jakiego Dramaturg dostępował, zarazem jednak rzucał jakąś tajemniczą uwagę

gdzieś na stronie, ale w zasięgu słuchu Dramaturga: "Geniusz jest tym, co pozostaje, kiedy zginie sława".

Nieoczekiwanie, bo sam był miernym aktorem, Pearlman okazał się najbardziej błyskotliwy jako nauczyciel.

Nowojorski Zespół Artystów Teatralnych zyskał międzynarodową sławę dzięki pearlmanowskim, intymnym warsztatom i ćwiczeniom; uczył zarówno początkujących aktorów, jeśli mieli dość talentu, jak i aktorów z pewnym dorobkiem.

Zespół stał się szybko przystanią dla wziętych aktorów broadwayowskich i telewizyjnych, którzy albo chcieli wrócić do swoich korzeni, albo pragnęli je w ogóle mieć.

Tania w utrzymaniu siedziba Zespołu, położona poza centrum miasta, stała się miejscem ucieczki, wcale nie tak odmiennym od religijnych miejsc odosobnienia.

Kontakt z Pearlmanem zmienił losy wielu aktorów i ożywił ich kariery, choć nie zawsze pod względem komercyjnym.

Pearlman obiecywał: "Tu, w moim teatrze, człowiek sukcesu może zawieść.

Człowiek sukcesu może paść na twarz, na tyłek i żaden dziennikarz tego nie zauważy.

Człowiek sukcesu może przyznać, że gówno wie o swoim zawodzie.

Może zacząć od zera.

Może mieć dwanaście lat lub cztery.

Może być niemowlakiem.

Jeśli nie potrafisz pętać, przyjacielu, to nie potrafisz iść.

Jeśli nie nauczysz się chodzić, nie pobiegiesz.

Jeśli nie pobiegiesz, to i nie poszybujesz.

Zacznij od rzeczy podstawowych.

W teatrze chodzi o to, aby złamać widzowi serce, nie aby go zabawić.

Od zabawy jest telewizja, od zabawy są brukowce.

Teatr ma widza zmieniać.

Jeśli nie potrafisz zmieść widza, to daj sobie spokój.

Teatr ma - co pierwszy stwierdził Arystoteles, w dodatku najlepiej - wywołać najgłębsze przeżycia i w ten sposób oczyścić duszę, dokonać katharsis.

Gdzie nie ma katharsis, tam nie ma teatru.

W Zespole nikogo nie rozpieszczamy, ale możesz liczyć na nasz szacunek.

Jeżeli pokażesz nam, że potrafisz sobie otworzyć żyły, będziemy cię szanowali.

Jeżeli pragniesz więcej bełkotliwych pochwał ze strony dupkowatych krytyków i dziennikarzy, to znaczy, że znalazłeś się w niewłaściwym miejscu.

Nie wymagam wiele od swoich aktorów: tyle jedynie, żeby dali z siebie wszystko".

Dla Pearlmana najbardziej tragicznym ze wszystkich wykonawców był odmieniec, który jak Niżyński osiąga szczyt geniuszu przed osiągnięciem dojrzałości i jest tak samo skazany na przedwczesny schyłek kariery.

"Prawdziwy aktor - powiedział Pearlman - będzie coraz lepszy, aż do dnia swojej śmierci.

Śmierć jest po prostu ostatnią sceną ostatniego aktu.

A my odbywamy próby!

"

Dramaturg, który miał mnóstwo własnych wątpliwości, dotknięty innym rodzajem próżności niż Pearlman, musiał podziwiać tego mężczyznę.

Ileż energii!

Co za ogromna pewność siebie!

Pearlman przypominał Dramaturgowi matadora.

Był niski, niespełna pięć stóp i siedem cali wzrostu; niezbyt przystojny dandys, dobrze wychowany, dobrze ubrany; miał szorstką skórę i pocił się, jakby miał gorączkę; zaczesywał gładko na bok rzadkie, rude włosy wyrastające z rumianej skóry; tuż po czterdziestce nieoczekiwanie przykrył koronkami pociemniałe przednie zęby, więc teraz jarzył się w uśmiechu jak reflektor.

Pearlman był znany z tego, że przetrzymywał aktorów na próbach jeszcze długo po północy, zwłaszcza nim zaczęły obowiązywać porozumienia ze związkami zawodowymi; niemniej darzono go podziwem albo przynajmniej szacunkiem, bo nigdy nie wymagał od innych więcej niż od samego siebie.

Pracował po dwanaście, piętnaście godzin dziennie.

Bez żenady przyznawał, że ma obsesję; chełpił się, że jest "pozytywnie psychotyczny".

Był trzykrotnie żonaty i z tych związków miał pięcioro dzieci.

Przeżył wiele romansów, w tym kilka (jak głosiła plotka) z młodymi mężczyznami; najbardziej pociągała go "ta iskra w środku", nie zależna od wyglądu.

(Upierał się zatem w wywiadach, że jego zainteresowanie Blondwłosą Aktorką nie miało nic wspólnego z jej urodą, lecz wyłącznie z jej "darem duchowym".) Pewni uznani aktorzy Pearlmana mieli twarze, które można określić jako "specyficzne"; tylko on jeden spośród sławnych amerykańskich reżyserów teatralnych miał odwagę obsadzać w swoich produkcjach zwalistych mężczyzn i przysadziste kobiety, jeśli tylko miały kwalifikacje; zyskał sobie pewien podziw, ale głównie naraził się na drwiny za obsadzenie potężnej Heddy Gabler, sześć stóp wzrostu, w sztuce Ibsena.

"Według mojej koncepcji Hedda jest samotną Amazonką w świecie mężczyzn pigmejów".

Można było szydzić z Pearlmana, lecz Pearlman nigdy się nie mylił.

"To prawda.

Wiele mu zawdzięczam.

Ale na pewno nie wszystko".

Dramaturg był wysokim, kościstym, bocianowatym mężczyzną.

W życiu zachowywał się przezornie, z rezerwą, patrzył na wszystko obojętnie i nie był skory do uśmiechu.

W teatralnym świecie Nowego Jorku nie był żadną "osobowością", tylko "obywatelem".

Człowiekiem ciężkiej pracy, uczciwym i odpowiedzialnym.

Może nie poetą (jak jego rywal Tennessee Williams), ale rzemieślnikiem.

Do nielicznych jego dziwactw należało przychodzenie na próby w białej koszuli i krawacie, jak gdyby próby były pracą od dziewiątej do piątej, taką samą, jaką wykonywał jego ojciec, sprzedawca pralek firmy Kelvinator w Rahway.

W przeciwieństwie do niego Max Pearlman był niski, beczułkowaty i gadatliwy, ubierał się niechlujnie w swetry i spodnie bez paska, na głowie nosił czapkę greckiego rybaka albo wesołą fedorę, zimą zaś swój firmowy, astrachański kapelusz z wełny, który dodawał mu kilka cali wzrostu.

Na próbach albo po czytaniu ról Dramaturg rozdawał aktorom skrupulatnie spisane uwagi, natomiast Pearlman angażował się w godzinne monologi, w równej mierze fascynując i wyczerpując słuchaczy.

Dramaturg miał pociągłą, surową twarz jak zwietrzały rzymski posąg, twarz,

którą niektóre kobiety uważały za atrakcyjną, twarzy Pearlmana zaś - nalanej, o pękatym nosie i takich samych ustach - nawet jego kochanki nie mogły nazwać ładną.

Wszystkie te braki rekompensowały czujne, rozumne oczy!

Dramaturg śmiał się łagodnie i cicho, jak gdyby był chłopcem, a za bawna sytuacja zaskoczyła go w jakimś miejscu (szkole, synagodze?

), gdzie śmiać się nie wypada, tymczasem Pearlman śmiał się na całe gardło, jakby śmiech miał taką samą wartość terapeutyczną jak zdrowe kichnięcie.

Śmiech Pearlmana!

Dał się słyszeć przez ściany.

Na hałaśliwej ulicy.

Aktorzy przepadali za Pearlmanem, bo śmiał się z ich komicznych kwestii, choć słyszał je może z setką razy; podczas spektaklu Pearlman miał w zwyczaju stać długo na tyłach teatru niczym wszyscy pełni poświęcenia, monomaniakalni reżyserzy, i tak bardzo przejmował się występami swoich aktorów, że jego twarz i ciało reagowały skurczami, odczuwał to samo co oni i śmiał się najgłośniejszym, najbardziej zaraźliwym śmiechem w całym budynku.

Pearlman mówił o teatrze tak, jak się mówi o Bogu.

Albo jeszcze poważniej, bo teatr jest czymś, w czym uczestniczysz i czym żyjesz.

"Umrzyjcie dla niego!

Dla talentu!

Pokażcie, jacy jesteście naprawdę!

Bądźcie surowi dla siebie, zniesiecie to.

Scena, moi przyjaciele, to sprawa życia i śmierci.

Jeśli tak nie jest, to jest niczym".

To właśnie w nim podziwiałam.

Och, on potrafił dotrzeć tam, gdzie trzeba...

Ale cię wykorzystał, prawda?

Jako kobietę.

Jako kobietę?

Co ja siebie obchodzę jako kobieta?

Nigdy nie...

Przyjechałam do Nowego Jorku, aby się uczyć aktorstwa.

Dlaczego darzysz Pearlmana tak dużym zaufaniem?

Nie mogę ścierpieć, kiedy w wywiadach wyolbrzymiasz jego rolę w swoim życiu.

On się tym karmi, to dla niego wielka reklama.

Och, ale to przecież prawda...

nie?

Chcesz po prostu odwrócić uwagę od siebie.

Tak postępują kobiety.

Pod porządkowują się silniejszym.

Wiedziałaś, jak grać, kiedy się tu przeniosłaś.

Wiedziałam?

Nie.

Pewnie że tak.

I tego też nie cierpię: sposobu, w jaki się oszukujesz.

Doprawdy?

Ojej...

Byłaś doskonałą aktorką, kiedy przeniosłaś się do Nowego Jorku.

On ciebie nie stworzył.

Ty mnie stworzyłeś.

Nikt cię nie stworzył, zawsze byłaś sobą.

Hm, chyba...

coś wiedziałam.

Kiedy grałam w filmach.

Czytałam Stanisławskiego.

[pamiętniki tego...

Niżyńskiego.

NiŻYŃskiego.

NiŻYŃskiego.

Nie wiedziałam, co wiem.

W praktyce.

To się...

po prostu działa, kiedy musiałam występować.

Musiałam improwizować.

To jakby

zapalić zapałkę...

Do diabła z tym.

Od początku byłaś urodzoną, naturalną aktorką.

Hola!

Dlaczego się wściekasz.

Tatuśku?

Nie rozumiem.

Mówię tylko, kochanie, że przysłaś na świat z wrodzonym talentem.

Jesteś swego rodzaju geniuszem.

Niepotrzebna ci teoria.

Zapomnij o Stanisławskim!

Niżyńskim!

I o nim.

W ogóle o nim nie myślę.

On cię psuje...

twój umysł, talent...

tak jakby ktoś złapał motyla, rozgnatał go kciukiem i obrywał skrzydełka.

Hej, nie jestem żadnym motylem.

Dotknij moich mięśni.

Dotknij mojej nogi, o, tu.

Jestem tancerką.

Bzdurna teoria potrzebna jest komuś takiemu jak on: nie potrafi grać,

nie potrafi pisać.

Buzi, buzi.

Tatuśku?

No chodź.

Hej, posłuchaj: pan Pearlman naprawdę nie był moim kochankiem.

Co to znaczy: naprawdę?

Och, może coś tam robił, ale to nie było...

Nie patrz tak na mnie, Tatuśku.

To mnie przeraża.

Co robił?

Nic poważnego.

Dotknął cię?

Chyba tak.

Ale co masz na myśli?

Chodzi mi o to, czy dotknął cię tak, jak mężczyzna dotyka kobietę.

Mmmmm!

W ten sposób...?

Na przykład tak?

... Albo tak?

Ale Tatuśku, tak jak powiedziałam: to nie było nic poważnego, rozumiesz?

To znaczy...?

Coś w jego biurze?

Jakby...

chciałam mu dać coś w rodzaju prezentu.

Zaprosił mnie na rozmowę.

Mnie!

Jak oświadczył, podszedł do tego sceptycznie.

Niby dlaczego sławna gwiazda filmowa chce się uczyć w jego teatrze?

Sądził, że chodzi mi o coś w rodzaju...

reklamy?

Jakby kogoś obchodziło, gdzie się podziewam, co robię?

Teraz, gdy skończyłam z filmem?

Za dawał mi mnóstwo pytań.

Wydawał się podejrzliwy, nieufny, nie winie go za to.

Chyba płakałam.

Spodziewał się, że Marilyn Monroe jest kimś rzeczywistym?

Jej oczekiwał, tymczasem zjawiłam sieja.

Jakie pytania ci zadawał?

Pytał o...

moją motywację.

I co mu powiedziałaś?

Że...

nie chcę umrzeć.

Co?

Nie chcę umrzeć.

Trzymać się...

Nie cierpię, kiedy mówisz takie rzeczy.

Ranisz moje serce.

Och, wcale tego nie chcę!

Przepraszam!

Kochał się z tobą.

Ile razy?

To nie było k...

kochanie!

Nie wiem.

Tatuśku, rany, czy ty wiesz, jak ja się czuję?

Złóścisz się na mnie.

Skarbie, nie złościsz się.

Po prostu staram się zrozumieć.

Niby co zrozumieć?

Ciebie jeszcze nie znałam.

Byłam...

po rozwodzie.

Gdzie się spotykaliście, ty i Pearlman?

Chyba nie zawsze w jego cuchnącym biurze.

Och, głównie tam!

Późno, po zajęciach.

Myślałam...

hmm...

schlebiało mi to.

Tyle książek!

Niektóre, jak zauważyłam, miały tytuły po niemiecku?

Rosyjsku?

Zauważyłam fotografię pana Pearlmana z Eugeneem O'Neillem.

Z tymi wszystkimi znakomitymi aktorami: Marianem Brando, Rodem Steigerem...

Zauważyłam książkę w języku niemieckim, którą czytałam po angielsku - to znaczy zobaczyłam nazwisko "Schopenhauer" - zdjęłam ją z półki i udałam, że czytam.

Powiedziałam: Lepiej czyta mi się Schopenhauera, kiedy pisze po angielsku.

I co ci odpowiedział?

Poprawił moją wymowę: Schopenhauer.

Nie uwierzył, że przeczytałam tę książkę.

W jakimkolwiek języku.

Ale ja ją przeczytałam.

Podarował mi ją pewien fotograf, którego kiedyś znałam.

Świat jako wola i przedstawienie.

Czytałam ją, póki nie zrobiło mi się zbyt smutno.

Pearlman ciągle opowiadał, jak bardzo go zadziwiłaś.

O tym, jaka na prawdę jesteś.

Ale...

co mówił?

Jaka naprawdę jestem?

Jesteś po prostu sobą.

Ale to nie wystarczy, prawda?

Wystarczy w zupełności.

Nie, nigdy.

O co ci chodzi?

Jesteś pisarzem, bo nie wystarcza ci być sobą.

Muszę być aktorką, ponieważ nie wystarcza mi bycie sobą.

Hej, nigdy nie opowiesz o tym ludziom,

prawda?

Nigdy o tobie nie opowiem.

To byłoby coś w rodzaju samobiczowania.

I nie będziesz o mnie pisał...

prawda, Tatuśku?

Oczywiście, że nie!

To...

no wiesz, z panem Pearlmanem...

po prostu się stało.

Chciałam mu podziękować, podarować coś...

Jako...

Marilyn Monroe?

Przez parę chwil?

Pozwoliłaś Pearlmanowi kochać się z Marilyn Monroe.

Chyba można to tak określić...

Och, nie spodobałoby mu się to!

Że ci mówię.

Co dokładnie robił?

Głównie...

całował.

W rozmaite miejsca.

Miałaś na sobie ubranie czy nie?

Większość miałam.

Nie wiem.

A on?

Miał na sobie ubranie?

Tatuśku, nie wiem.

Nie patrzyłam.

Czy wzbudził w tobie...

jakąś seksualną reakcję?

Raczej nie.

Rzadko coś czuje...

Chyba że jestem z kimś, kogo Kocham.

Tak jak Ciebie.

Mnie do tego nie mieszaj!

Ta sprawa dotyczy Ciebie i tej świni.

On nie był świnią!

Tylko po prostu mężczyzną.

Jednym z wielu, co?

Jednym z wielu mężczyzn Marilyn.

Słuchaj, przepraszam.

Staram się tylko jakoś sobie z tym poradzić.

Tatusiu, już sobie przypomniałam!

Myślałam o Magdzie.

z Twojej sztuki.

To był prezent, który dał mi pan Pearlman.

Pozwolił mi przeczytać Twoją sztukę...

z prawdziwymi aktorami teatralnymi.

To był prezent, który ty mi dałeś.

On nie konsultuje się ze mną w sprawie obsady.

Nigdy nie wiem, co mu przyjdzie do głowy.

Kiedy reżyseruje, sam decyduje o obsadzie.

No tak, nic mi o Tobie nie powiedział!

Nie masz pojęcia, jak się bałam...

darzyłam cię takim szacunkiem.

Powiedział: Zaufaj mi.

Znalazłem już twoją Magdę.

Zaufałeś mu?

Tak.

Dlaczego nie potrafię wszystkiego lepiej zapamiętywać, zawsze skupiam się tylko na roli, nad którą pracuję...

jakbym znajdowała się w dwóch miejscach naraz?

Niby z innymi ludźmi...

ale bez nich.

Dlatego lubię grać.

Nawet kiedy jestem sama, to właściwie sama nie jestem.

Masz naturalny talent, ty nie grasz.

Niepotrzebna ci technika.

Jakbyś za paląca zapalną.

Nagle pojawia się płomień....

Ale ja bardzo lubię czytać, Tatuśku.

W szkole miałam dobre oceny.

Lubię...

myśleć.

To tak jakbym z kimś rozmawiała.

W Hollywood, na planie, musiałam chować książkę, jeżeli akurat czytałam...

Ludzie myśleli, że jestem dziwna.

Łatwo zbić cię z tropu.

Łatwo na ciebie wpłynąć.

Tylko ludzie, którym ufam, wpływają na mnie.

Wiele razy widziałem to biuro.

Sofę...

Brudna jest, co?

Cuchnie brylantyną, dymem z papierosów, wędzoną wołowiną...

Plugastwo tworzy atmosferę, w której Pearlman rozkwita, plugastwo stanowi składnik jego wizerunku.

Na broadwayowskim targu tępoty i ignorancji.

"Bezkompromisowy".

" Nieprzekupny".

Och...

naprawdę?

Myślałam, że jesteś jego p..

.przyjacielem.

Kiedy wezwano nas na przesłuchanie-przed Komisją do spraw Badania Działalności Antyamerykańskiej w 1953 roku- wynajął drogiego prawnika po Harwardzie.

Nie Żyda.

Natomiast ja zatrudniłem pewnego gościa stąd, przyjaciela.

Mówiło się o nim "obrońca komuchów".

Byłem więc idealistą.

Pearlman okazał się pragmatykiem.

Miałem cholerne szczęście, że nie wylądowałem w więzieniu.

Och, Tatuśku!

To się drugi raz nie zdarzy.

Mamy rok 1956.

Poszliśmy z postępem.

No więc, jak tam było z jego reakcją seksualną?

Dlaczego jego nie zapytasz?

Od dawna jest już twoim przyjacielem.

Pearlman nie jest moim przyjacielem.

Od samego początku czegoś mi zazdrości.

Wydawało mi się, że Pearlman umożliwił ci s..

.start.

Jakbym nie mógł zrobić kariery bez niego?

Mówi coś takiego?

Bzdury.

Nie wiem, co mówi.

Właściwie nie znam Pearlmana.

Wiem, że w Nowym Jorku ma setki przyjaciół...

Wy wszyscy znacie go lepiej ode mnie.

A czy teraz się z nim spotykasz?

Co takiego?

Och, Tatuśku.

Ty i on, jesteście razem...

on patrzy na ciebie.

Widziałem.

I ty patrzysz na niego.

Patrzę?

W ten swój sposób.

Jaki sposób?

Sposób Marilyn.

Może to...

objaw nerwowości.

Nie musisz mi mówić, kochanie, jeśli to jest zbyt bolesne.

Mówić...

co?

Ile razy...

ty i on.

Tatuśku, nie wiem.

Nie mam w głowie...

maszyny liczącej.

Chciałaś okazać mu wdzięczność.

O to chodziło?

Prawdopodobnie.

Zanim się poznaliśmy.

Och, Tatuśku!

Tak.

No więc.

Ile to było razy?

Pięć, sześć?

Dwadzieścia?

Pięćdziesiąt?

Co?

Wiesz co.

Ile? Ze cztery...

albo pięć.

Stałam się Magdą.

Mnie tam nie było.

Jest żonaty.

Chyba tak.

Do diabła.

Też jestem żonaty, nie?

Czy kiedyś doszłaś?

Nie rozumiem.

Czy miałaś orgazm? Z nim?

Czy miałam...

o rany, przecież wtedy ciebie jeszcze nie znałam.

To znaczy osobiście.

Znałam twoje sztuki.

Szanowałam cię.

Czy kiedykolwiek przeżyłaś orgazm z Pearlmanem?

Kiedy on cię "całował".

Och, Tatuśku, gdybym kiedykolwiek miała ten...

no wiesz...

to tylko dlatego, że jest potrzebny w scenie.

Ale każda scena się kończy.

Jesteś na mnie zły?

Nie kochasz mnie?

Kocham.

Nie kochasz!

Nie mnie.

Ależ ciebie, rzecz jasna.

Chciałbym cię ocalić przed samą sobą, nic więcej.

Żebyś odpowiednio się ceniła.

Och, ależ ja już jestem ocalona.

W tej chwili mam nowe życie z tobą.

Och, Tatuśku, nie napiszesz o mnie, prawda?

O tym, jak rozmawiamy w ten sposób?

Kiedy...

kiedy nie będziesz mnie już kochał?

Kochanie, nie opowiadaj takich rzeczy.

Powinnaś wiedzieć, że zawsze cię będę kochał.

Ta sztuka była jego życiem.

Ale czytając rolę Magdy swoim zdyszczanym, cichym, beznamiętnym głosem, Blondwłosa Aktorka stała się częścią tej sztuki i jego życia.

Blondwłosa Aktorka ofiarowała swoje przerażenie Magdzie i dosłownie ożywiła postać.

Kiedy Magda rozmawiała z rodzicami Isaaca, jąkała się i zacinała, ledwie słyszało się jej głos, człowiek czuł się zażenowany, sądził, że Blondwłosa Aktorka nie sprosta wyzwaniu i lada chwila podda się; ale już po chwili, w następnej scenie, kiedy Magda przemawiała z większą pewnością, uświadamiałeś sobie, że Blondwłosa Aktorka po prostu gra i to gra w natchnieniu - była to tak intensywna mimesis życia, że doświadczałeś tego do głębi, właśnie jako życia.

W scenach z Isaakiem Magda ożywiła się, a nawet podniecała;

co było rzadkie w tej obskurnej sali prób, Blondwłosa Aktorka niespodziewanie zaczęła emanować jakąś seksualną energią, która zdumiała zarówno publiczność, jak i innych aktorów.

Z całą pewnością zdziwiony był Isaac.

Młody aktor, którego Dramaturg lubił - utalentowany, bystry przystojniak o oliwkowej cerze, w okularach, w roli młodego Żyda - nie bardzo wiedział, w jaki sposób grać przy Magdzie w wykonaniu Blondwłosej Aktorki;

wkrótce zaczął reagować jak Isaac, był niezręczny i podniecony jak niedorostek w podobnych okolicznościach.

Czuło się, jakby między tą parą miała przeskoczyć iskra elektryczna, między praktyczną, wiejską dziewczyną, nie małą bez żadnego wykształcenia, a żydowskim chłopcem z przedmieścia, który miał wkrótce wyjechać do college'u.

Publiczność odprężyła się i zaczęła śmiać, bo scena była subtelnie komiczna w sposób, jakiego Dramaturg, znany i szanowany ze względu na powagę, nigdy by się nie spodziewał.

Ta scena skończyła się srebrzystym śmiechem Magdy.

Dramaturg także się śmiał, poruszony i mile zaskoczony.

Przestał robić notatki na swoim egzemplarzu scenariusza.

Wydawało się, że odebrano mu sztukę, jego sztukę.

Że Magda, Magda Blondwłosej Aktorki, prowadzi ją we własnym kierunku.

Ale czy na pewno?

Czytanie objęło trzy akty.

Isaac i Magda szybko i dramatycznie przenieśli się w dorosłość i każde wiodło osobne życie.

Dramaturg myślał sobie, co za ironia!

lecz z drugiej strony znakomicie!

węgierską dziewczynę o włosach jak len, tę ze wspomnień, zastąpiła wrażliwa i krucha Magda z warkoczem platynowoblond włosów i niebieskimi oczami.

Magda tak bezbronna, tak bezradna, że cały czas niepokoileś się, że ktoś może ją skrzywdzić.

Że ktoś może ją wykorzystać.

Isaac i jego rodzice, Żydzi z New Jersey, uprzywilejowani i zamożni, w przeciwieństwie do ubogiej rodziny Magdy, nie okazali się tak współczujący, jak to zamierzał Dramaturg.

I cała bajkowa intryga, którą Dramaturg wymyślił, aby ukazać dystans między światami Isaaca i Magdy - Magda zachodzi w ciążę z Isaakiem; Magda ukrywa swój sekret przed Isaakiem i jego rodzicami; Isaac wyjeżdża do collegeu, zaczyna błyskotliwą karierę; Magda wychodzi za mąż za farmera, wychowuje dziecko Isaaca i kolejne swoje dzieci; Isaac zostaje pisarzem, odnosi sukces jeszcze przed trzydziestką; Isaac i Magda widują się od czasu do czasu, w końcu spotykają się na pogrzebie ojca Isaaca; Isaac, choć pozornie błyskotliwy, w ogóle nie wpada na to, co Magda przed nim ukryła - ta intryga wydała mu się teraz niezbyt satysfakcjonująca, niekompletna.

Ostatnie słowa sztuki należą do Isaaca.

Wypowiada je, zwrócony twarzą do Magdy stojącej po drugiej stronie grobu jego ojca.

"Nigdy o tobie nie zapomnę, Magdo".

Postaci nieruchomieją, światła bledną, wreszcie gasną...

Zakończenie, które dawniej wydawało się odpowiednie, teraz sprawiało wrażenie niewłaściwego, niekompletnego, bo niby co nas obchodzi, że Isaac nigdy nie zapomni Magdy?

Próba dobiegła końca.

Dla wszystkich było to wydarzenie ogromnie wyczerpujące.

Wiele osób pogwałciło zasady obowiązujące w Zespole i nie mogło się powstrzymać od oklasków.

Kilku widzów wstało.

Dramaturgowi składano gratulacje.

Co za głupota!

Zdjął okulary i otarł oczy rękawem, stropiony, oszołomiony, uśmiechnięty, zażenowany i zdjęty paniką.

Przecież nie udało się.

Dlaczego klaszczą?

Kpią sobie?

Bez okularów widział poddasze jako wir pulsujących świateł z kosmosu, zamazany ruch i plamy ciemności.

Nie widział twarzy, nie rozpoznawał żadnej z nich.

Ustyszał głos Pearlmana.

Reżyser wypowiadał jego imię.

Dramaturg odwrócił się.

Musiał uciekać!

Mruknął kilka słów na pożegnanie, na usprawiedliwienie.

Nie mógł z nikim rozmawiać, Ani nawet podziękować aktorom.

Ani nawet podziękować jej.

Uciekł.

Szybko zbiegł po stalowych schodach.

W uderzający chłód Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy.

Pobiegł na Jedenastą Aleję do metra.

Musiał uciec!

Musiał iść do domu.

Gdziekolwiek.

Gdzie nikt go nie znał.

"Ale kochałem ją.

Wspomnienie o niej.

Moją Magdę!"

Uciekłeś ode mnie!

Kiedy już cię pokochałam.

Kiedy przebyłam taki szmat drogi.

Dla ciebie.

Kiedy moje życie należało już do ciebie.

Gdybyś tylko chciał.

jakże więc później mogłam ci zaufać?

Mimo to pokochałam cię.

A dopiero potem zaczęłam nienawidzić.

Spotkanie wyznaczyli na wieczór następnego dnia.

W restauracji przy Siedemdziesiątej Zachodniej na Broadwayu.

Propozycję złożyła Blondwłosa Aktorka.

Zdawał sobie sprawę!

Żonaty mężczyzna.

Żonaty, ale w małżeństwie niezbyt szczęśliwy.

I już (wstydił się o tym myśleć, ale taka była prawda) zaczął się w niej zakochiwać.

Moja Magda.

Jakoś zdołał dojść do siebie po szoku doznany poprzedniego wieczoru.

Obojętnym głosem powiedział:

- Ta sztuka.

Stała się dla mnie zbyt ważna.

Stała się moim życiem.

To fatalna sprawa dla artysty.

Blondwłosa Aktorka słuchała uważnie.

Zachowywała powagę.

Trzymała w rezerwie swój olśniewający uśmiech?

Przyszła, aby pocieszyć zaszępionego Dramaturga- Oto blond obietnica bezgranicznej otuchy.

Tyle że on był starszym, żonatym mężczyzną.

Wrakiem!

Włosy na głowie miał słabe i przerzedzone, wokół oczu fakturę postrzępionego materiału, na policzkach zmarszczki głębokie niczym blizny po nacięciach nożem.

Jego wstydlivy sekret był taki, że Magda nigdy nie głaskała tych policzków.

Nigdy ich nie pocałowała.

Tym bardziej nigdy go nie uwodziła.

Miał dwanaście lat, kiedy Magda, pełna blond wigoru i zdrowia siedemnastolatka, przyszła pracować do domu jego rodziców; nim wyjechał do Rutgers, Magda zdążyła już odejść, wyjść za mąż i przeprowadzić się.

Wszystko rozegrało się w młodszej fantazji Dramaturga o dziewczynie z włosami jak len tak różniącej się od niego samego i jego bliskich, jak gdyby należała do innego gatunku.

A teraz, po upływie ponad trzydziestu lat, Magda w osobie Blondwłosej Aktorki siedziała ponuro po drugiej stronie stolika w restauracji na Manhattanie i upomniwała go z powagą:

- Nie powinieneś mówić takich rzeczy!

O swojej pięknej sztuce.

Nie widziałeś, że ludzie płakali?

To musiało być twoje życie.

Inaczej nie byłbyś do tego tak przywiązany.

Nawet jeśli cię to niszczy...

Blondwłosa Aktorka zamilkła.

Powiedziała tak wiele!

Dramaturg zauważył, jak sprawnie pracuje jej umysł.

Zastanawiała się, czy należy do mężczyzn, którzy nienawidzą wypowiadających się mądrze kobiet.

Albo w ogóle takich, które dużo mówią?

- Po prostu wydaje mi się, że w ogóle tej sztuki nie skończę.

Niektóre z tych scen napisałem pół wieku temu.

Niemalże zanim przyszłaś na świat.

Wypowiedział te słowa lekko i na pewno bez cienia przygany.

Lecz Blondwłosa Aktorka naprawdę wyglądała niepokojąco młodo.

A jej reakcje psychiczne, sposób bycia, samoświadomość też wydawały się młode, nawet dziecięce.

Zatem świat nie skrzywdził jej tak bardzo, jak to mogło się zdarzyć.

Dramaturg szybko obliczył, że jest o dwadzieścia lat starszy od tej kobiety i na tyle wygląda.

- Magda jest dla mnie żywą postacią, ale dla publiczności z pewnością niezbyt spójną.

A Isaac, to prawda, ma trochę ze mnie.

W istocie niewiele.

Cały materiał jest zbyt autobiograficzny.

Rodzice...

- Dramaturg potarł bolące oczy.

Nie spał dobrze tej nocy.

Rozmyślał o głupocie swoich długotrwałych wysiłków i niedorzeczności ostatniego sukcesu.

Brakuje mi talentu.

Mam zapal konia pociągowego.

Ale nawet koń pociągowy w końcu się męczy.

Podczas próby, kiedy podniósł się i szykował do ucieczki, dostrzegł, że Blondwłosa Aktorka patrzy na niego tęsknym wzrokiem.

Miał ochotę krzyknąć: Dajcie mi wszyscy święty spokój!

Już za późno!

Blondwłosa Aktorka mówiła niepewnie:

-Mam kilka pomysłów dotyczących M...Magdy?

Gdybyś był zainteresowany?

Pomysły?

Od aktorki?

Dramaturg roześmiał się.

Ze zdumieniem i z wdzięcznością.

- Oczywiście, jestem zainteresowany.

To miłe, że poświęciłaś temu trochę uwagi.

Dramaturg nie zorganizowałby tego spotkania.

A spotkanie okazało się romantyczne, obie strony były podekscytowane, spięte i nieco przerażone.

Siedzieli w słabo oświetlonym, zadymionym barze.

Murzyńskie combo grało Mood Indigo.

Smutek barwy indygo.

Właśnie.

Muzyka doskonale odpowiadała nastrojowi Dramaturga.

Nim poszedł na spotkanie z Blondwłosą Aktorką, odebrał telefon od żony z Miami.

Właśnie wyszedł spod prysznic, broda przyjemnie piekła go po goleniu.

Rzucił się w pośpiechu, aby podnieść słuchawkę, bo spodziewał się, że...

Że Blondwłosa Aktorka odwoła randkę?

Choć przecież umówili się dopiero przed kilkoma godzinami?

Żona Dramaturga zdawała się dzwonić z samego krańca świata, jej głos brzmiał niewyraźnie, zniekształcony przez trzaski.

Niemal go nie rozpoznał.

Co miał z nim wspólnego ten głos, zawsze pełen wyrzutów?

Blondwłosa Aktorka nadal miała włosy zaplecione w warkocz z tyłu głowy.

Nigdy wcześniej nie widział jej, na żadnej fotografii, z zaplecionymi w warkocz włosami.

Zatem to była Magda!

Jej Magda.

Jego Magda miała o wiele dłuższe włosy, zaplatała je w warkocze i układała w staromodny sposób wokół głowy, dlatego wyglądała dojrzalej niż na swoje lata i znacznie skromniej.

Włosy jego Magdy były szorstkie niczym końska grzywa.

Włosy tej Magdy były jak syntetyczna, delikatna przędza, jak włosy lalki;

mężczyzna w naturalny sposób miał ochotę przytulić twarz do szyi tej kobiety; objąć tę kobietę mocno, i...

chronić ją?

Przed kim?

Przed sobą?

Wydawała się taka bezbronna, podatna na zranienie.

Rzykowała, że zostanie odrzucona przez Dramaturga.

Tak jak ostatniego wieczoru rzykowała, że zostanie publicznie odrzucona przez Pearlmana.

Dramaturg słyszał, że Blond włosą Aktorka "chodziła wszędzie sama" w Nowym Jorku.

Uważano to za ekscentryczne, jeśli nie ryzykowne.

Mimo wszystko ze schowanymi włosami, w przeciwsłonecznych okularach, w zwyczajnym ubraniu właściwie nie narażała się na rozpoznanie.

Tego wieczoru miała na sobie luźny sweter z angory, szyte na miarę spodnie, buty na średnim obcasie; na głowie męski kapelusz przysłaniający większą część jej twarzy przed wzrokiem ciekawskich nieznanomych.

Dramaturg dostrzegł ją, kiedy weszła do zatłoczonego baru i zobaczyła go siedzącego z tyłu sali; uśmiechnęła się, zdjęła okulary w rogowych oprawkach i wsunęła je do torebki.

Została w kapeluszu, póki kelner nie przyjął od nich zamówienia.

Wydawała się radosna, pełna nadziei.

Czy ta blondynka to Marilyn Monroe?

Czy tylko przypominała, niczym młodsza, niedoświadczona siostra, ową sławną/niesławną hollywoodzką aktorkę?

Kiedy Dramaturg pozna lepiej Blondwłosą Aktorkę, zdziwi się, jak rzadko ją rozpoznawano, gdy nie chciała być rozpoznana, bo Marilyn Monroe była zaledwie jedną z jej ról, w dodatku wcale nie najbardziej absorbującą.

Tymczasem on, Dramaturg, zawsze i wiecznie był sobą.

Nie, nie mógłby zorganizować tego spotkania.

Nie postarałby się o numer telefonu Blondwłosej Aktorki, tak jak ona postarała się o numer do niego i zadzwoniła.

Wiedział o jej małżeństwie z Eks-Sportowcem.

Cały świat o tym wiedział, w każdym razie o sprawach podstawowych.

O bajkowym małżeństwie, które trwało krócej niż rok.

Upadek tego związku skrupulatnie odnotowała prasa.

Dramaturg przypomniał sobie, że widział w jednym z czasopism zadziwiające zdjęcie, zrobione z okna jakiegoś budynku, zdjęcie przedstawiające tłum w Tokio, tysiące fanów kłębiących się na placu w nadziei ujżenia sylwetki Blondwłosej Aktorki.

Nigdy by nie przypuszczał, że Japończycy cokolwiek wiedzą o Marilyn Monroe albo że im na niej zależy.

Czyżby to była jakaś nowa, szokująca tendencja w rozwoju ludzkości?

Powszechna histeria w obecności osoby uznanej za sławę?

Marks w swoim sławnym stwierdzeniu uznał religię za opium ludu, współcześnie to Sława była tym opium; tyle że Kościół Sławy nie obiecuje ani zbawienia, ani nieba.

Jego panteonem jest salon krzywych zwierciadeł.

Blondwłosa Aktorka uśmiechnęła się nieśmiało.

Och, była śliczna!

Ta jej uroda amerykańskiej dziewczyny podbiła mu serce.

Z jaką powagą mówiła Dramaturgowi, że podziwia jego dzieła.

I jaki to dla niej zaszczyt spotykać się z nim, czytać rolę Magdy.

Widywała jego sztuki w Los Angeles.

Czytała je.

Dramaturga mile łechtały jej słowa, ale czuł się nieswojo.

Pił szkocką i słuchał.

W karnawałowych, barowych lustrach widział swoje odbicie, postać wysokiego upiora.

Osobę dystygowaną, ale zranioną i przybitą, co zdradzał wyraz twarzy.

O szczupłych, spadzistych ramionach.

Urodzony w New Jersey, większość swojego życia przeżył w Nowym Jorku i mimo wszystko sprawiał wrażenie, że pochodzi z Zachodu.

Wyglądał jak mężczyzna samotny: bez rodziny, bez rodziców.

Mężczyzna niemłody, stateczny.

o toporowatej twarzy poprzecinanej głębokimi zmarszczkami, z cofniętą linią włosów i czujnym spojrzeniem.

Rzadko się uśmiechał.

Wtedy wydawał się chłopięcy!

Przyjazny.

Mężczyzna skłonny do głębokiej refleksji, lecz zarazem taki, któremu można zaufać.

Prawdopodobnie.

Z dużej torebki Blondwłosa Aktorka wyjęła egzemplarz Dziewczyny o włosach jak len i położyła go na stoliku między nimi jak talizman.

- Magda przypomina jedną dziewczynę z Trzech sióstr.

Tę, która wychodzi za brata?

- Dramaturg spojrział na nią, wtedy dodała niepewnie: - Śmieją się z niej?

Szarfa jej sukienki ma nieodpowiedni kolor?

Tyle że w wypadku Magdy chodzi o to, jak ona mówi po angielsku.

- Kto ci to powiedział?

-Co?

- O Trzech siostrach i o mojej sztuce.

- Nikt.

- Pearlman?

Że stąd pochodziła inspiracja?

- Och, nie, sama cz...czytałam tę sztukę Czechowa.

Dawno temu.

Chciałam występować na scenie, ale potrzebowałam pieniędzy, dlatego zajęłam się filmami.

Zawsze mi się wydawało, że mogłabym zagrać Nataszę?

To znaczy, że ktoś taki jak ja mógłby ją zagrać.

Bo ona nie należy do porządnej rodziny i ludzie się z niej śmieją.

Dramaturg nic nie powiedział.

Jego obrażone serce biło mocniej.

Naraz, zorientowawszy się w jego reakcji, spróbowała naprawić błąd, mówiąc z zapalem uczennicy:

- Myślałam, że to, co Czechow robi z Nataszą, jest doprawdy dziwne, bo ona okazuje się bardzo silna i przebiegła.

I okrutna.

A Magda, przecież wiesz, Magda jest zawsze dobra.

Czy byłaby taka w rzeczywistości?

To znaczy przez cały czas?

To znaczy...

- Dramaturg widział wyraźnie, jak Blond włosy Aktorka wchodzi w scenę: uduchowiona twarz, zmrużone oczy.

- Gdybym ja była na jej miejscu, była taką, no, pomywaczką, zresztą w sierocińcu zajmowałam się praniem, zmywaniem, czyszczeniem toalet, byłabym na pewno urażona, zła, że życie jest tak niesprawiedliwe, różne dla różnych ludzi.

Twoja Magda...

niewiele się zmienia.

Jest dobra.

- Zgadza się.

Magda jest dobra.

Była dobra.

W rzeczywistości.

Nie potrafiła się gniewać.

- Czyżby?

Wypowiadał krótkie zdania, lecz musiał się za stanawiać.

- Ona i jej rodzina byli wdzięczni, że mają pracę.

Płaca wynosiła niewiele, ale zawsze była.

Upomniana, Blondwłosa Aktorka mogła się tylko zgodzić.

Och, teraz wszystko było jasne!

Po prostu Magda była od niej lepsza, stanowiła wyższą formę jej samej.

Och, tak.

Dramaturg gestem wezwał kelnera i zamówił szkocką dla siebie i wodę sodową dla niej.

Nie był pewien, czy w ogóle nie pije, czy nie miała odwagi.

Słyszał plotki...

W niezręcznej ciszy, próbując ukryć ironię, Dramaturg zapytał:

- A jakie są inne twoje przemyślenia na temat Magdy?

Blondwłosa Aktorka siedziała skromnie, dotykając ust.

Wydawało się, że już ma coś powiedzieć, ale zawahała się.

Wiedziała, że Dramaturg jest na nią zły i że w mgnieniu oka doszedł do wniosku, iż ma jej dość.

Jeśli wcześniej pociągała go seksualnie, teraz to musiało przerodzić się w gniew.

Wiedziała to!

Była doświadczona (co Dramaturg wyczuwał) jak prostytutka, która od dziecka stoi na ulicy i jest wrażliwa na najdrobniejsze wahania nastrojowi pragnień mężczyzn.

Bo od tego zależy jej życie.

Jej życie kobiety.

- Wydaje mi się...

Powiedziałam coś nie tak?

O Nataszy?

- W żadnym razie.

To mi pomoże.

- Twoja sztuka w ogóle nie przypomina...

tamtej.

- Nie przypomina.

Nigdy nie byłem nadmiernie przywiązany do Czechowa.

Dramaturg wypowiadał się ostrożnie.

Zmusił się do uśmiechu.

Uśmiechał się!

Musiał stawić czoło kobiecemu uporowi, jak w wypadku swojej żony, jak - dawno temu - matki.

Kobiety, które znał, ulegały pojedynczym, prostym ideom, które tkwiły w ich mózgach niczym kulki i nie można ich było usunąć, posługując się argumentacją, zdrowym rozsądkiem, logiką.

Jestem zupełnie inny niż ten poeta Czechow.

Jestem rzemieślnikiem ze szkoły Ibsena.

Stoję pewnie na ziemi.

A ziemia pod moimi stopami jest twarda.

Ale o jednym Blondwłosa Aktorka musi powiedzieć.

Tylko czy starczy jej odwagi?

Roześmiała się nerwowo i pochyliła w kierunku Dramaturga, jakby chciała mu powierzyć jakąś tajemnicę.

Patrzył na jej usta.

Nie mógł nie myśleć, jakich beznadziejnie plugawych czynów dokonywała tymi ustami.

- Coś mi nie daje spokoju.

Magda nie umie czytać, prawda?

Isaac pokazuje jej w...wiersz, który dla niej napisał, a ona udaje, że go rozumie?

Dramaturg poczuł w skroniach pulsowanie krwi.

Właśnie!

Magda była niepiśmienna.

Rzeczywista Magda prawdopodobnie nie była analfabatką.

No pewnie.

Dramaturg czym prędzej powiedział z uśmiechem:

- Nie musimy przecież rozmawiać o mojej sztuce, Marilyn.

Powiedz mi coś o sobie, proszę.

- Blondwłosa Aktorka uśmiechnęła się nieśmiało.

Jak by pomyślała: "O którym wcieleniu?"

- Będę do ciebie mówił Marilyn, dobrze?

Czy może to tylko twój pseudonim?

- Nazywaj mnie Normą.

Tak się naprawdę nazywam.

Dramaturg zastanowił się chwilę.

- Nie wiem dlaczego, ale Norma jakoś do ciebie nie pasuje.

Blondwłosa Aktorka wydawała się dotknięta.

- Nie pasuje?

- Norma to imię starszej kobiety, z minionych czasów.

Norma Talmadge.

Norma Shearer.

Blondwłosa Aktorka rozpromieniła się.

- Norma Shearer jest moją matką chrzestną!

Moja matka była jej bliską przyjaciółką.

Natomiast ojciec przyjaźnił się z panem Thalbergiem.

Byłam jeszcze małą dziewczynką, kiedy zmarł, ale pamiętam jego pogrzeb.

Jechaliśmy jedną z limuzyn, z rodziną.

Nie było większego pogrzebu w historii Hollywood.

Dramaturg niewiele wiedział o pochodzeniu Blondwłosej Aktorki, ale to, co usłyszał, nie brzmiało zbyt wiarygodnie.

Czy przed chwilą nie powiedziała, że była sierotą, że mieszkała w domu dziecka?

Postanowił, że nie będzie jej wypytywał.

Uśmiechała się z taką dumą.

- Irving Thalberg!

Żydowski chłopak, geniusz z Nowego Jorku.

Blondwłosa Aktorka uśmiechnęła się niepewnie.

To jakiś żart?

Czy w ten sposób Żydzi mówią o innych Żydach, familiarnie, serdecznie, nawet z po gardą, tak jak nie-Żydzi nie mają śmiałości?

Na widok jej zmieszania Dramaturg dodał:

- Thalberg to żywa legenda.

Cudowne dziecko.

Młody nawet w chwili swojej śmierci.

-Och, czyżby?

W chwili ś...śmierci?

- Na pewno dziecku nie wydałby się młody.

Ale owszem, dla świata był młody.

Blondwłosa Aktorka rzekła z zapałem:

- Pogrzeb odbył się w pięknej synagodze...

świątyni?

... na Wilshire Boulevard. Jako dziecko niewiele z tego rozumiałam.

Mówiono po...

hebrajsku?

To było takie dziwne i piękne.

Może mi się wydawało, że słyszę głos Boga.

Nigdy tam nie wróciłam.

To znaczy, nie byłam w żadnej synagodze.

Dramaturg poruszył niespokojnie ramionami.

Religia niewiele znaczyła w jego życiu.

Chyba że jako odmiana szacunku dla przodków, a i to przyjmował z rezerwą.

Nie należał do Żydów, którzy wierzyli, że holocaust był początkiem albo końcem historii, ani że holocaust "zdefiniował" Żydów.

Był liberałem, socjalistą i racjonalistą.

Ale nie syjonistą.

Prywatnie rzeczywiście uważał, że Żydzi są najbardziej oświeconymi, najbardziej utalentowanymi, najlepiej wykształconymi i najbardziej pokojowymi ludźmi wśród światowej kłótniwej tłuszczy, ale do tej wiary nie odnosił się z żadnym szczególnym sentymentem ani pietyzmem; to była sprawa zdrowego rozsądku.

- Nie mam skłonności do mistycyzmu.

Hebrajski nie brzmi w moich uszach jak głos Boga.

- Och, naprawdę?

- Co innego grzmot piorunu.

Trzęsienie ziemi, fala przyływu.

Głos Boga nie ograniczony zasadami składni.

Blondwłosa Aktorka gapiła się na Dramaturga szeroko otwartymi oczami.

Pięknymi oczami o długich rzęsach.

Jeśli raz w nie wpadłeś, mogłeś lecieć, lecieć bez końca.

Dramaturg poprosił o kolejnego drinka, dla siebie.

Myślał sobie, że jak większość aktorów i aktorek, Blondwłosa Aktorka w rzeczywistości wygląda młodziej niż na zdjęciach.

I jest niższa.

A jej głowa, jej piękna, kształtna głowa wydaje się za duża.

Tego rodzaju wybryki natury dobrze wychodziły na zdjęciach; na ekranie takie osoby wyglądały na bogów, nie wiadomo dlaczego.

Piękno jest sprawą optyki.

Wizja iluzji.

Nie chciał kochać tej kobiety.

Powiedział sobie, że nie może się angażować w związek z aktorką.

Aktorką!

Hollywoodzką aktorką!

Inaczej niż aktorzy teatralni, którzy skrupulatnie uczą się swego rzemiosła i muszą zapamiętać swoje kwestie, aktorzy filmowi nie zadają sobie wiele trudu - krótkie próby, przeprowadzane przez pobłażliwych reżyserów, żeby wypowiedzieć kilka linijek tekstu, które i tak można powtarzać i powtarzać bez końca - mogą czytać swoje kwestie z tablic umieszczonych poza kadrem.

I niektórzy z tych "aktorów" dostają Oscary.

Ależ to kpiny ze sztuki aktorskiej!

A to ich życie prywatne.

Dramaturg przypomniał sobie, że słyszał jakieś plotki na temat Blondwłosej Aktorki, o jej rozwiązłości w okresie poprzedzającym jej burzliwe małżeństwo (i podczas niego?),

o nadużywaniu narkotyków, o próbie samobójczej (albo próbach), o jej związku z typami z dekadentckiego marginesu Holly wood, w tym z alkoholikiem i heroinistą, synem wpisanego na czarną listę Charliego Chaplina.

Teraz, kiedy spotkał Blondwłosą Aktorkę, w nic z tego już nie wierzył.

Teraz, kiedy wreszcie spotkał swoją Magdę, nie będzie wierzył w nic na jej temat, czego sam nie odkryje.

Niczym uczennica zdradzająca sekret Blondwłosa Aktorka mówiła nie śmiało:

- Najbardziej podoba mi się w Magdzie to, że urodziła dziecko, bo je kochała.

Kochała, nim się jeszcze urodziło!

Mówi o tym w jednej króciutkiej scenie, w monologu...

Isaac o niczym nie wie, nikt nie wie.

Magda znajduje sobie kandydata na męża, aby dziecko mogło się urodzić...

nie zostało porzucone, nie żyło w pogardzie.

Inna dziewczyna urodziłaby dziecko w jakimś odosobnieniu i zabiła je.

Wiesz, kiedyś tak właśnie załatwiały tego rodzaju sprawy dziewczęta biedne i niezamężne.

Na przykład moja najlepsza przyjaciółka z sierocińca...

jej matka próbowała ją zabić...

utopić.

We wnętrzu.

Dziewczynce na rękach, od góry do dołu, zostały blizny, które wyglądały jak koronkowe łuski.

Do oczu Blondwłosej Aktorki napłynęły łzy.

Dramaturg instynktownie dotknął jej ręki, grzbietu dłoni.

Od nowa napiszę tę historię.

Mam dość siły.

Blondwłosa Aktorka otarła oczy, wydmuchała nos i powiedziała:

- Mama nadała mi imiona: Norma Jeane.

To znaczy mama i tata mi je nadali.

Czy to ci się bardziej podoba niż Norma?

Dramaturg uśmiechnął się.

- Nieco bardziej.

Wcześniej puścił jej rękę.

Teraz jednak pragnął chwycić ją znowu, po chylić się nad stolikiem i pocałować.

Ta scena filmowa nie była oryginalna, jednak stanowiła wyzwanie!

Gdyby przechylił się nad stołem, młoda blondynka podniosłaby głowę, spojrzała wyczekująco szeroko otwartymi oczami, a on, kochanek, otoczył jej twarz dłońmi i przycisnął usta do jej ust.

Oto początek wszystkiego.

Koniec jego długiego małżeństwa.

Blondwłosa Aktorka rzekła jakby na usprawiedliwienie:

- Nie przepadam za M...Marilyn.

Ale mogę się podporządkować.

Większość ludzi tak się do mnie teraz zwraca.

Ci, którzy mnie nie znają.

- Mogę mówić do ciebie Norma Jeane, jeśli wolisz.

Mógłbym nazywać cię...

- w tym momencie głos Dramaturga zadrżał ze względu na śmiałość słów, które chciał wypowiedzieć:

- ...moją Magdą.

- Och, byłoby miło.

- Moją Tajemniczą Magdą.

-Tak!

- Ale może przy innych niech będzie Marilyn.

Żeby nie było nieporozumień.

- Nieważne, jak mnie będziesz nazywał przy innych.

Możesz na mnie gwizdać.

Możesz wołać: "Hej, ty!

" - Blondwłosa Aktorka roześmiała się, odsłaniając piękne białe zęby.

Był poruszony do głębi, że tak szybko zdołał ją uszczęśliwić.

- Hej, ty.

-Hej, ty.

Roześmiali się jak rozradowane dzieci.

Nagle zawstydzone i wystraszone.

Jeszcze się właściwie nie dotknęli.

Ot, jedynie otarli dłońmi.

Nie pocałowali.

Wydą z baru o północy, Dramaturg odprowadzi Blondwłosą Aktorkę do taksówki i wtedy się pocałują, szybko, namiętnie, ale zarazem skromnie, ścisną się za ręce i popatrzą na siebie tęsknie.

I nic więcej.

Nie tej nocy.

W delirium emocji Dramaturg piechotą pokona odległość do tonącego w mroku mieszkania.

Szczęśliwy, bo zakochany, i szczęśliwy, bo sam.

Dziewczyna z ludu, tak samo jak moja Magda.

Nie ma blizn na ramionach.

Nie ma blizn na ciele.

Z nią rozpocznie się moje nowe życie.

Życie Isaaca!

Chłopaka, któremu świat wydaje się nowy.

Sprzed historii i holocaustu, nowy.

Nawet jak już zostaną kochankami, Dramaturg rzadko będzie publicznie nazywał Blondwłosą Aktorkę Marilyn, ponieważ pod tym imieniem znał ją świat; a on, jej kochanek i obrońca, nie był światem.

Na osobności nie nazywał jej Magdą ani Moją Magdą.

Zamiast tego zwracał się do niej: kochanie, moja droga, najdroższa, ukochana.

Bowiem tych tkliwych słów świat nie miał prawa wobec niej używać.

Tylko on miał prawo.

Kiedy byli sami, ona nazywała go Tatuśkiem.

Z początku dla żartu, może aby się z nim podręczyć (w porządku, był od niej starszy prawie o dwadzieścia lat, niby dlaczego nie zrobić z tego żartu?),

potem na serio i z szacunkiem widocznym w jej oczach.

Przy obcych zwracała się do niego "kochanie", czasem zaś "mój drogi".

Rzadko nazywała go po imieniu, a nigdy zdrobniale.

Bo z kolei pod tym imieniem znał go cały świat.

Wymyślamy nasz prywatny język, zawsze, kiedy się kochamy.

Skodyfikowaną mowę kochankóiu.

Och, ale Tatuśku!

nigdy nie będziesz o mnie opowiadał, prawda?

Nikomui.

Nigdy.

Ani o mnie nie napiszesz?

Tatuśku?

Kochanie, nigdy.

Jeszcze ci nie mówiłem?

Amerykańska epopeja.

W końcu Pearlman zadzwonił.

Wyczuwał, że coś musi być nie w porządku (bo jego stary przyjaciel Dramaturg unikał go od dnia czytanej próby), ale postanowił, że nie da tego po sobie poznać.

Mówił całą godzinę bez przerwy, chwając i analizując Dziewczynę o włosach jak len; wyraził nadzieję, że w przyszłym sezonie Zespół wystawi tę sztukę, ale potem jakby trochę stracił pewność siebie (tak jak przewidywał Dramaturg w tej scenie) i rzekł:

- A co z moją Magdą?

Co o niej myślisz?

Nieźła jest, nie?

Dramaturg zadygotał ze złości.

Zdobył się jednak tylko na zdawkowe potwierdzenie.

Pearlman kontynuował: -Jak na hollywoodzką aktorkę.

Klasyczną głupią blondynkę bez scenicznego doświadczenia.

Niezwykłe, jak sądzę.

-Tak jest, niezwykle.

Cisza.

Scena była improwizowana, ale Dramaturg jakoś nie chciał się podjąć swojej roli.

Pearlman odezwał się teraz tak, jakby się kłócili.

-Mogłoby powstać z tego arcydzieło, przyjacielu.

Jeśli się obaj do tego weźmiemy.

- Kolejna przerwa.

Chwila krępującej ciszy.

- Gdyby...

Marilyn mogła zagrać Magdę.

- Słowo "Marilyn" wymówił delikatnie, tkliwie.

- Za uważyleś, jak jest przerażona.

Boi się "aktorstwa na żywo", jak to sama określa.

Obawia się, że zapomni tekstu.

Że będzie bezbronna na scenie, wystawiona na widok jak zwierzę w klatce.

Wszystko jest dla niej sprawą życia i śmierci.

Musi się jej udać.

Porażka oznacza dla niej śmierć.

Szanuję takie podejście, bo jestem taki sam, albo byłbym taki, tyle że jestem najbardziej praktycznym człowiekiem na świecie.

Uczysz się na swoich błędach, Marilyn, powiedziałem, a ona odparła: Ludzie czekają na moje błędy, żeby się ze mnie śmiać.

Tak się bała przed naszą próbą tamtego popołudnia, że musiała ciągle wychodzić do toalety.

Powiedziałem: Marilyn, moja droga, zainstalujemy nocnik pod twoim krzesłem, i to ją rozbawiło; trochę się odprężyła.

Mieliśmy dwie próby.

Dwie!

W naszym mniemaniu to niewiele, ale według niej dużo.

"Powinnam się poprawić - powtarzała.

- Mój głos powinien brzmieć głośniej".

Co prawda, to prawda, rzeczywiście ma cichy głos.

W każdym teatrze jest więcej niż sto pięćdziesiąt miejsc, powinno być ją słyszeć z najodleglejszego kąta.

Ale możemy popracować nad tym głosem.

Możemy popracować nad nią.

Cały ten interes ja prowadzę, oświadczyłem jej.

Podaruj mi swój talent, jestem jak Herkules.

Podaruj mi rzadki talent, jestem Jehową.

"Ale autor będzie tam obecny, usłyszy mnie" - powtarzała.

O to chodzi, Marilyn, powiedziałem.

Na tym polegają współczesne sztuki:

dramaturg pracuje z tobą nad rolą.

Dzięki nam ta kobieta uświadomi sobie swój prawdziwy talent.

W twojej sztuce, w tej roli.

Jest dla niej stworzona.

Ona jest kobietą z ludu jak Magda.

Jest kimś więcej niż gwiazdą filmową.

To urodzona aktorka sceniczna.

Nie przypomina nikogo, z kim pracowałem, poza może Marlonem Brando, oboje są do siebie w głębi duszy podobni.

Nasza Magda, hm?

Co za zbieg okoliczności?

No, co powiesz?

Dramaturg dawno przestał słuchać.

Stał w swojej pracowni na drugim piętrze i gapił się przez okno na przykryte chmurami zimowe niebo.

Środek tygodnia.

Dzień niezdecydowania.

Niby tak, ale przecież podjął decyzję, prawda?

Nie mógł zranić swojej żony ani jej upokorzyć.

Swojej rodziny.

Nie mógł być cudzołóżnikiem.

Ze względu na moje własne dobro.

I zę względu na jej dobro.

Tak samo przed pięcioma dniami Dramaturg był jedną z osób, które spokojnie odmówiły pomocy Komisji Kongresu do Spraw Badania Działalności Antyamerykańskiej w ściganiu komunistów, ich sympatyków oraz politycznych odszczepieńców.

Nie mógł donieść na znajomych, z którymi tak naprawdę się nie zgadzał, na ludzi beztroskich i skłonnych do samozniszczenia, sympatyków stalinizmu, którzy wieścili nadejście krwawej apokalipsy.

Nie potrafił donieść na znajomych, którzy będąc na jego miejscu (och, nie chciał o tym myśleć!),

prawdopodobnie dopuściliby się zdrady.

Bo reprezentował bezkompromisowość ascetów, mnichów, uparciuchów i męczenników.

Także Pearlman spotkał się z Komisją.

On również zachował się godnie.

Należało mu ufać.

Pieprzyłeś ją, Max?

Czy masz to jeszcze w planach?

Taki jest podtekst?

-Jeśli zrobimy tę sztukę, Marilyn będzie sensacją.

W razie potrzeby przez parę miesięcy mógłbym z nią prywatnie popracować.

Już teraz podczas zwykłych zajęć zaczyna reagować jak należy.

Dziewczyna, jak każdy z nas, wytworzyła wokół siebie pewną skorupę i trzeba ją pokonać; wewnątrz bulgocze wrząca lava.

Wszyscy w mieście powtarzaliby, jakie to ryzyko dla naszego teatru, dla reputacji Pearlmana, ale w razie czego Pearlman im pokaże, Marilyn im pokaże, byłby to sceniczny debiut stulecia.

- Mistrzowskie posunięcie - rzekł ironicznie Dramaturg.

- Oczywiście - ciągnął Pearlman - może wrócić do Hollywood.

- Skarży ją Wytwórnia.

Ona nie chce o tym rozmawiać, ale zadzwoniłem do jej agenta i facet okazał się dość otwarty i szczerzy: Marilyn naruszyła postanowienia kontraktu.

Powinna nakręcić dla Wytwórni jeszcze ze cztery, pięć filmów, zawieszono ją bez prawa do pensji, a ona nie ma żadnych oszczędności.

Zapytałem go, czy Marilyn może pracować dla mnie, facet roześmiał się i powiedział: "Może, jeżeli chce i stać ją na to.

Chyba że pan wyłoży pieniądze".

Pytam więc: "O jakiej kwocie rozmawiamy?"

Sto tysięcy?

Dwieście?

" I słyszę: "Więcej niż milion.

To jest Hollywood, a nie Great White Way".

Skurwysyn.

Wydawał się młody, młodszy ode mnie, śmiał się.

Odłożyłem słuchawkę.

Dramaturg znowu nie odpowiedział.

Poczuł lekki przyptyw pogardy.

Od tamtego pierwszego wieczoru dwukrotnie spotkał się z Blondwłosą Aktorką.

Rozmawiali ze sobą szczerze.

Zgadza się, trzymali się za ręce.

Dramaturg musiał jeszcze powiedzieć: Kocham cię, uwielbiam.

I jeszcze musiał dodać: Nie mogę się z tobą spotykać.

Blondwłosa Aktorka miała tyle do powiedzenia, ale nie o hollywoodzkiej przeszłości czy obecnych kłopotach finansowych.

Mimo to Dramaturg wiedział albo przeczytał, że Marilyn Monroe została pozwana przez Wytwórnię.

Jak niewiele ta osoba, ta obecność, musi mieć z nią wspólnego.

Albo z nami.

Great White Way - teatralne centrum Broadwayu

Max Pearlman mówił jeszcze przez dziesięć minut, jego nastrój od ekstazy i optymizmu opadł ku przejęciu i zwątpieniu.

Dramaturg bez trudu wyobrażał sobie starego przyjaciela: wyciągnięty w starym obrotowym fotelu unosi grube, umięśnione ramiona i drapie się po owłosionym brzuchu, a brzeg jego poplamionego swetra sięga torsu; na ścianie zagraconego i cuchnącego biura wiszą fotografie takich związanych z Zespołem aktorów jak Marlon Brando, Rod Steiger, Geraldine Page, Kim Stanley, Julie Harris, Montgomery Clift, James Dean, Paul Newman, Shelley Winters, Viveca Lindfors i Eli Waliach, którzy uśmiechali się z nadzieją do swojego Maxa Pearlmana; wkrótce wśród tych zdjęć zawisnie wizerunek ślicznej twarzy Marilyn Monroe, najcenniejsze z jego trofeów.

Wreszcie Pearlman rzekł:

- Zabierasz swoją sztukę do innego teatru, tak?

O to chodzi?

Dramaturg odparł:

- Nie, Max.

Nie mam takiego zamiaru.

Uważam tylko, że jej nie skończyłem, nie nadaje się jeszcze do wystawienia, to wszystko.

Pearlman wybuchnął:

-Pieprzysz!

Skończmy ją razem, popracujmy obaj, na miłość boską, ty i ja, i nadajmy temu realny kształt przed końcem tego roku.

Dla niej.

Dramaturg powiedział cicho:

- Max, dobranoc.

Potem szybko odłożył słuchawkę.

I zaraz zdjął ją z widełek.

Pearlman często dzwonił ponownie i wtedy pozwalał brzęczeć telefonowi bez końca.

Oszustwo.

Ona także do niego dzwoniła.

Znajomy dzwonek dźwięczał niczym ostrze noża w sercu.

Cześć/ To ja.

Twoja Magda?

Jakby rzeczywiście musiała się przedstawiać.

Pewnego popołudnia podniósł słuchawkę w oczekiwaniu na cudownie niski, gardłowy, kobiecy głos i bez zapowiedzi usłyszał piosenkę w jej wykonaniu:

Nie jesteś smutna

Nie nie nie

Nie jesteś smutna

Jeśli nie jest to smutek w kolorze indygo

Jego żona, Esther, wróciła, skąd miała wrócić.

Z Miami.

Dostrzegła to w wyrazie jego twarzy, w oczach pełnych cierpienia i po czucia winy.

Żenująca, improwizowana scena: słowa Blondwłosej Aktorki wibrujące w jego uszach, w kroczu, duszy, zapamiętany zapach, zapowiedź i obietnica, jej sekret - w komicznym zderzeniu z marsową twarzą Esther i jej walizką dudniącą w przedpokoju, przedpokoju niezwykle ciasnym, bo mnóstwo postrzępionych książek stało tu na sosnowych półkach, zresztą jak w całym mieszkaniu, nie wyłączając łazienek; do tego przedpokoju wkroczył Dramaturg, aby przenieść walizki, i z jakiegoś powodu wokół jego stóp rozsypała się zawartość torby reklamowej z napisem Neiman-Marcus.

"Och, nie zdara!

Spójrz, co narobiłeś".

Fakt!

Był niezdara.

Nie miał w sobie uroku.

Nie był typem romantyka.

Ani kochanka.

Zaczął się do niej zwracać: Moja droga..Jeszcze nie: Kochanie.

Och, jeszcze nie!

Trzymali się i ściskali za ręce.

Na randce w mroku klubu jazzowego.

Gdzie nikt ich nie rozpoznał.

(Czyżby?

Naprawdę nikt?

Wysokiego bociana w okularach i atrakcyjnej młodej kobiety patrzącej na niego z uwielbieniem?)

Wymienili kilka pocałunków.

Wśród nich ani jednego namiętnego i żarliwego.

Żadnego pocałunku, który był wstępem do miłosnego aktu.

Proszę, zrozum: nie dysponuję swoim życiem.

Mam żonę, dzieci, rodzinę.

Mógłbym kogoś zranić, kochając cię.

Ale nie wolno mi ranić innych!

Wolę zranić siebie.

Blondwłosa Aktorka uśmiechnęła się, westchnęła i bardzo pięknie zaimprovizowała swoją część sceny.

O, rany.

Chyba rozumiem!

Jego żona mówiła pogodnie:

- Tęskniłeś za mną?

- Naturalnie.

- Aha.

- Roześmiała się.

- Właśnie widzę.

Od dnia czytanej próby, kiedy Dramaturg zdał sobie sprawę ze swojej głupoty i daremności swoich wysiłków, nie mógł się skoncentrować na pracy.

Z trudem udawało mu się spokojnie wysiedzieć.

Rankami wychodził na długie spacery, a właściwie kąpiele powietrzne, szedł na skraj parku i z powrotem; był rozgorączkowany i chłód dobrze mu robił.

Wędrował po pełnych przeciągów korytarzach Muzeum Historii Naturalnej, gdzie jako chłopiec w typie Isaaca oddawał się marzeniom, rozmyślał i gubił w surowej, bezosobowej przeszłości.

Niesamowite, że świat wyprzedza nas, rodzi, przez krótką chwilę zdaje się nas pieścić, a potem pozbywa się nas jak zbyt dużej skóry.

Koniec!

Pomyślał z pasją: Chcę coś tutaj po sobie zostawić.

Coś, o czym warto pamiętać.

Dramaturg rozumiał, że Blondwłosa Aktorka nie chce być jego równorzędną partnerką.

Domyślił się, że wskrzesza rolę, którą niegdyś grała, może nawet niejedną, i była za nią nagradzana; grała małą dziewczynkę, on miał być starszym mentorem.

Ale czy chciał być mentorem/ojcem tej kobiety, czy może chciał zostać jej kochankiem?

Dla niej prawdopodobnie jedno nie różniło się od drugiego.

Dla Dramaturga było coś perwersyjnego w obu tych rolach.

Ona może kochać wyłącznie mężczyznę, którego uważa za lepszego od siebie.

Czy rzeczywiście jestem tym mężczyzną. Znał swoje słabości!

Był najsurowszym ze swoich krytyków.

Przecież sam wiedział najlepiej, z jakim trudem przychodzi mu tworzenie; jak bardzo brakuje mu poetyckiego talentu, błyskotliwego, magicznego, bezwiednego.

Czechowowskich chwil tworzonych z pozornej pospolitości, z niczego.

Z nagłego wybuchu śmiechu, chrapania starszego mężczyzny, śmiertelnego smrodu dłoni Solonego.

Odgłosu pękniętej struny, której dźwięk smętnie zamiera.

Nie umiałby stworzyć Nataszy Czechowa.

Nie, nie potrafiłby pojąć, że jego "dziewczyna z ludu" jest zbyt dobra i dlatego niewiarygodna, co Blond włosy Aktorka zauważyła instynktownie.

W jego wypracowanych sztukach nie było błysków geniuszu Czechowa, bo wyobraźnia Dramaturga była dosłowna, czasem nieporadna; tak, przyznawał się do nieporadności, co było formą uczciwości.

Dramaturg nie przekręcał prawdy nawet w służbie sztuki!

Mimo wszystko nagradzano go za jego pracę; otrzymał nagrodę Pulitzera (co sprawiło, że jego żona jednocześnie była z niego dumna i go nienawidziła) i inne nagrody; zostanie uznany za jednego z czołowych amerykańskich dramatopisarzy.

Jego dzieła poruszały serca, podobnie jak dzieła Czechowa.

Jak dzieła Ibsena, Oneilla, Williamsa.

Być może ich prostota i brak wdzięku tak silnie oddziaływały na Amerykanów.

Kiedy Dramaturg odczuwał przyływ nadziei, mówił sobie, że jest uczciwym rzemieślnikiem, który buduje mocne, zdatne do żeglugi statki.

Lżejsze, zgrabiejsze, bardziej olśniewające twory innych dramatopisarzy wprowadzie wyprzedzają te statki, ale one i tak ostatecznie zawijają do tego samego portu.

Wierzył w to.

Chciał w to wierzyć!

"Twoje cudowne sztuki.

Twoje cudowne sztuki.

Jestem nimi zachwycona!"

Słyszał te słowa od pięknej młodej kobiety.

Wypowiadała je szczerze, z powagą, jakby powtarzała oczywistą prawdę.

Podobno poszła do antykwariatu, aby kupić jego dramaty, których jeszcze, w "starym życiu", nie przeczytała, a których nakład już się wyczerpał.

Mieszkała w Village.

Podnajmowała mieszkanie na Jedenastej Wschodniej Ulicy.

Od przyjaciółki Maxa Pearlmana.

Nigdy nie mówiła o swoim "starym życiu".

Dramaturg chętnie by zapytał: Cierpiałś, kiedy rozpadło się twoje małżeństwo?

Kiedy nagle wygasła twoja miłość?

Czy może miłość nigdy nie wygasa nagle?

Szanuję małżeństwo.

Więź między mężczyzną i kobietą.

Wierzę, że to rzecz święta.

Nigdy bym czegoś takiego nie pogwałciła.

I patrzyła na niego z tęsknym uśmiechem w oczach.

Poruszyła go niczym zagubione dziecko.

Dziecko opuszczone.

W ponętym ciele.

Jej ciele!

Kiedy zaczynałeś poznawać Normę Jeane (jak Dramaturg chętnie o niej myślał, choć rzadko tak się do niej zwracał: w jakiś sposób nie było to jego przywilejem), dostrzegałeś, że dla tej kobiety jej własne ciało jest przedmiotem ciekawości.

Czasem sprawiała wrażenie, że próbuje wciągnąć Dramaturga w jakiś sekretny układ, dojść z nim do porozumienia.

Innych mężczyzn pociągała seksualnie, bo dostrzegali wyłącznie jej ciało; on, Dramaturg, człowiek z piedestału, znał ją z innej strony i nie dałby się zwieść.

Mówiła poważnie?

Dramaturg roześmiał się, nie za głośno.

- Na pewno wiesz, że jesteś uroczą kobietą.

A to trudno uznać za debet.

- Co takiego?

- Debet.

Niedobór, strata.

Blondwłosa Aktorka trąciła go łokciem.

-Nie musisz mi schlebiać.

- Schlebiam ci, sugerując, z całą szczerością, że jesteś piękną kobietą?

I że to nie stawia cię w niekorzystnej sytuacji?

- Dramaturg roześmiał się, pragnąc ścisnąć ją za ramię, za nadgarstek; pragnąc, aby się odrobinę skrzywiła, potwierdziła prostą prawdę zawartą w jego słowach.

Przecież na pewno nie chciałyby, żeby nie był sobą, mężczyzną!

Choć przedstawiała mu się w określony sposób - sprawiała wrażenie dziecinnej, stęsknionej, zasępionej, kuszącej - najwyraźniej starała się go podniecić seksualnie.

Chyba że sobie to wyobrażał.

Jej kampanię, aby ją pokochał.

Odszedł od żony i ją pokochał.

Z nią się ożenił.

Czy Blondwłosa Aktorka nie powiedziała, że żyje dla swojej pracy, żyje dla miłości?

A obecnie nie ma pracy.

Nie ma w jej życiu miłości.

(Opuściła głowę, trzepocząc powiekami.

Och, ale bardzo jej na miłości zależało!)

Z poruszającą powagą powiedziała:

- Prawdziwym sensem życia jest c...coś więcej niż to, kim jesteś?

W swojej głowie?

W swoim szkielecie?

W swojej historii?

Dzięki pracy zostawiasz światu coś z siebie; poprzez miłość wznosisz się na wyższy poziom istnienia, już nie jesteś tylko tobą.

Mówiła tak żarliwie, że Dramaturg zaczął się zastanawiać, czy nie nauczyła się tych słów na pamięć.

Ależ naiwność, jakież idealizm.

Może powtarzała za jedną z postaci Czechowa, za którąś z jego obdarzonych przenikliwą inteligencją, choć fatalnie oszukanych kobiet.

Za Niną z MewyYoo Iriną z Trzech sióstr?

A może cytowała z bliższego źródła, tekst, który sam Dramaturg napisał przed wielu laty?

Ale nie było powodu wątpić w jej szczerość.

Siedzieli przy stoliku, w mroku klubu jazzowego przy Szóstej Alei w West Willage, i trzymali się za ręce.

Dramaturg był nieco wstawiony, a Blondwłosa Aktorka wypita dwa kieliszki czerwonego wina, choć w ogóle rzadko piła.

Jej oczy wypełniły się łzami.

Najwidoczniej z powodu kryzysu, który nieuchronnie się zbliżał, gdyż następnego dnia żona Dramaturga wracała do domu.

-Jeśli jesteś kobietą i kochasz mężczyznę, chcesz temu mężczyźnie urodzić dziecko.

A dziecko oznacza...

Och, jesteś ojcem, wiesz, co znaczy dziecko!

Już nie jesteś tylko tobą.

- Zgadza się, ale dziecko też nie jest tobą.

Blondwłosa Aktorka była do tego stopnia zmieszana i urażona, jakby ktoś ją złajał, że Dramaturg otoczył ją ramieniem i przytulił, bo oboje zajęli miejsce po tej samej stronie stolika; nie pozwalali, aby dzielił ich ten bez duszny przedmiot.

Dramaturg pragnął trzymać ją w ramionach.

Ona oprze głowę na jego torsie, wtuli twarz w jego ramię, on będzie ją pocieszał i chronił.

Będzie ją bronił przed jej własnymi iluzjami.

Czym bowiem jest iluzja, jeśli nie wstępem do rozczarowania i cierpienia?

Czym jest cierpienie, jeśli nie wstępem do gniewu?

Wiedział jako ojciec, że dziecko może wkroczyć w twoje życie i rozdzielić je na dwoje, a nie dopełnić go; wiedział jako mężczyzna, że dziecko może okazać się intruzem w pozornie szczęśliwym małżeństwie, dziecko może zmienić lub nawet nieodwracalnie zniszczyć miłość między mężczyzną i kobietą; jako człowiek dorosły wiedział, że tak w rodzicielstwie, jak i macierzyństwie próżno by szukać romantyzmu, jedynie podkreślenia sensu życia.

Kiedy zostajesz rodzicem, nadal jesteś sobą, tyle że teraz dźwigasz przerażające brzemię rodzicielstwa.

Miał ochotę pocałować powieki tej ślicznej młodej kobiety, kobiety magicznej, ulotnej, i powiedzieć: Oczywiście, że cię kocham.

Moja Magdo.

Moja Normo Jeane.

Jak jakiś mężczyzna mógłby cię nie kochać?

Ja bym nie mógł...

Nie mogę dać ci tego, czego potrzebujesz.

Nie jestem mężczyzną, którego szukasz.

Jestem mężczyzną ułomnym, mężczyzną, którego ojcostwo prawie nie zmieniło; mężczyzną drżącym z obawy przed cierpieniem, upokorzeniem, gniewem mojej żony.

Nie ocalę twoich marzeń, nie jestem księciem.

Blondwłosa Aktorka zaprotestowała:

-Matka i ja, kiedy byłam małą, stanowiłyśmy prawie jedną osobę...

Nie musiałyśmy nawet ze sobą rozmawiać.

Po prostu niemal wysyłała mi swoje myśli.

Nigdy nie byłam sama.

Taka już jest miłość matki i dziecka.

Przestajesz być sobą, naprawdę.

Wiem, że byłabym dobrą matką, bo...

nie śmieję się ze mnie...

bo kiedy widzę niemowlę w wózku, nie mogę się powstrzymać, aby go nie pocałować!

"O rany!

- wołam - czy mogę potrzymać pani dziecko?

Och, jakie śliczne!

" I natychmiast zaczynam płakać.

Nic na to nie mogę poradzić.

Śmiejesz się ze mnie?

Taka już jestem.

Zawsze uwielbiałam dzieci.

Kiedy przebywałam w rodzinach zastępczych, opiekowałam się maluchami.

Śpiewałam im piosenki i kołysałam je, wiesz?

Póki nie zasnąły.

Była tam taka mała dziewczynka, której matka nie kochała, często się nią zajmowałam, wozila ją w wózku na spacer do parku.

Miała wtedy może z szesnaście lat, gdy z resztek materiału uszyła jej tygryską, tak ją kochałam.

Ale sama chciałabym mieć chłopca, wiesz dlaczego?

Dramaturg usłyszał własny głos:

- Dlaczego?

- Bo przypominałby ojca.

I szalałabym za nim jak za jego ojcem.

Możesz być pewien.

Nie zakochuję się w byle kim, wiesz?

- Blondwłosa Aktorka roześmiała się.

- O większości mężczyzn nie mogę nawet powiedzieć, że ich lubię.

Gdybyś był kobietą, czułbyś to samo na moim miejscu.

Roześmiali się razem.

Dramaturg płonął z pożądania.

Znowu jakby z zewnątrz usłyszał własny głos:

- Byłabyś cudowną matką.

Urodzoną matką.

Dlaczego, dlaczego to mówisz?

W tej improwowanej scenie samochód mknął naprzód z zawrotną szybkością i nie miał kto chwycić za kierownicę.

Jazda po pijanemu!

Lekko, ale kusząco Blondwłosa Aktorka pocałowała Dramaturga w usta.

Fala radosnego podniecenia wypełniła jego krocze, dół brzucha, całe ciało.

I znowu usłyszał własny głos:

- Dziękuję.

Moja ukochana.

Wiarołomny mąż.

Nie chciał wykorzystywać Blondwłosej Aktorki.

Było z niej ufnie dziecko.

Chciał ją ostrzec: Uważaj na nas!

Nie kochaj mnie.

Mówiąc "nas", miał na myśli siebie i Maxa Pearlmana.

Całą społeczność teatralną Nowego Jorku.

Blondwłosa Aktorka przyjechała tutaj jak do świątyni, aby odrodzić się poprzez sztukę.

Poświęcić się dla sztuki.

Dramaturg miał nadzieję, że nie przywędrowała tutaj, aby się poświęcić dla niego.

Trudność polegała na tym, że nie przestał kochać żony.

Nie ożenił się przypadkowo, jak wielu jego znajomych.

Mężczyzn z tego samego pokolenia co on, pochodzących z żydowskiego, liberalnego, prorodzinnego środowiska.

Nie podobały mu się beztroskie, lekkie romanse Pearlmana; nie podobało mu się, że kobiety, które traktował tak podle, chętnie i szybko mu wybaczały, nie wyłączając jego atrakcyjnej, choć już niemłodej żony.

Dramaturg nie zdradził Esther ani razu.

Nawet gdy po 1948 roku stał się względnie sławny.

Kiedy ku swojemu zdumieniu, rozdrażnieniu, zażenowaniu doświadczył wzmożonego zainteresowania ze strony kobiet: intelektualistek, dam z towarzystwa, rozwódek, a nawet żon przyjaciół z teatralnego kręgu.

Na uniwersytetach, gdzie gościnnie wykładał, w lokalnych teatrach, gdzie wystawiano jego sztuki, nie odmiennie pojawiały się te kobiety, rozpromienione, żywe, atrakcyjne, wykształcone, Żydówki i nie-żydówki, wykładowczynie, literatki, żony za możnych biznesmenów, wiele w średnim wieku, wzruszone albo zachwycone męskim geniuszem.

Możliwe, że niektóre z tych kobiet pociągały go - z nudy, samotności albo z typowej dla niego frustracji własną pracą - lecz nigdy żony nie zdradził; wszystko przez to, że w pewnym sensie miał charakter księgowego i wielką wagę przykładął do faktów.

Nie zdradził Esther, z pewnością musiało to coś dla niej znaczyć?

Moja drogocenna wierność.

Co za hipokryzja!

Nie przestał kochać Esther i wierzył, mimo jej gniewu i niechęci, że ona także nie przestała go kochać.

Rzeczywiście, nie przeżywali już burzy na miętności.

Nawet wzmożonego zainteresowania sobą!

Już od lat.

Dramaturg wiódł prawdziwe życie w myślach, ludzie z krwi i kości czasem wydawali mu się nierzeczywiści.

Im bardziej bliscy, tym bardziej nierzeczywiści.

Żona, dzieci.

Dorośle dzieci.

Dorośle, dalekie dzieci.

I żona, na którą - naprawdę!

- zdarzało mu się nie spojrzeć podczas rozmowy ani razu.

("Tęskniłeś za mną?

" "Naturalnie".

"Aha.

Właśnie widzę".) Życiem Dramaturga były słowa, z trudem dobierane słowa, a jeśli nie słowa - pisane szybkimi uderzeniami palców wskazujących na przenośnej maszynie marki Olivetti - to spotkania z producentami, reżyserami i aktorami, przesłuchania, próby czytane, warsztaty, próby zwykłe (na końcu kostiumowe i "techniczne"), spektakle przedpremierowe i premiery, dobre recenzje, niezbyt dobre recenzje, sukcesy kasowe, brak sukcesów kasowych, nagrody i rozczarowania, chaotyczne zestawienie ciągłych kryzysów niczym zygzakowaty kurs narciarza sunącego w dół po nieznanym terenie, po śniegu między skałami.

I albo urodziłeś się do takiego życia, ono cię podnieca, choć zarazem wyczerpuje, albo nie urodziłeś się do takiego życia, masz wszystkiego dość i w końcu nie chcesz już nic odczuwać.

Dramaturg nie chciał żenić się z aktorką ani pisarką, ani w ogóle z kobietą o artystycznych ambicjach, zatem ożenił się z ładną, energiczną, łagodną młodą kobietą, pochodzącą z rodziny podobnej do jego rodziny, absolwentką Columbia Teachers College.

Kiedy się poznali, Esther od niedawna uczyła matematyki w młodszych klasach szkoły średniej.

Pobrali się bez szczególnego entuzjazmu;

ona pragnęła szybko wyjść za mąż i mieć dzieci.

Wszystko to we wczesnych latach trzydziestych, słowem dawno temu.

Obecnie Dramaturg był człowiekiem wybitnym, a Esther była jedną z owych żon ludzi wybitnych, o których bezstronni obserwatorzy mówią: Dlaczego?

Co on w ogóle w niej widział?

Na spotkaniach towarzyskich Dramaturg i jego żona na pewno nie zeszliby się razem i nie zaczęli rozmawiać, być może zerknęliby na siebie, uśmiechnęli się i poszli dalej.

Nikt z ich wspólnych przyjaciół nie przedstawiłby ich sobie.

To nie była tragedia!

Jedynie, jak chciał wierzyć Dramaturg, zwyczajne życie.

Żadne tam życie udratyzowane na scenie.

Dramaturg nie próbował przypomnieć sobie, ile czasu minęło, odkąd on i jego żona ostatni raz kochali się lub choćby pocałowali.

Gdzie nie ma Erosa, pocałunek jest najdziwniejszym z gestów: usta się dotykają, przyciskają do siebie, ale po co?

Dramaturg wiedział, że gdyby objął Esther, ona natychmiast by zeszywniała i powiedziała: "Dlaczego?"

Dlaczego akurat teraz?

"

Przecież nie mógł odpowiedzieć: Bo zakochuję się w innej kobiecie.

Po mój mi!

Mimo wszystko wierzył, że ich miłość nie wygaśa, lecz tylko przyblakła.

Jak obwoluta pierwszej książki Dramaturga, cienkiego zbioru wierszy, który wydał w wieku dwudziestu czterech lat; otrzymał pochwalne i przychylne recenzje, sprzedał 640 egzemplarzy.

Niejasno pamiętał, że okładka The Liberation miała piękną, kobaltowoniebieską barwę, a litery - żywy, kanarkowy kolor.

Tak naprawdę jednak od czasu do czasu spostrzegał ze zdziwieniem, że pod wpływem słońca obwoluta zrobiła się niemal całkiem biała, a liter prawie się nie dało odczytać.

Jest półka z książkami w wyobraźni i półka z książkami kilka stóp od biurka Dramaturga.

Można dowodzić, że obie są realne.

Tylko że istnieją w różnych czasach.

Dramaturg powiedział ostrożnie do kobiety, z którą mieszkał w ładnym starym domu z piaskowca przy Siedemdziesiątej Drugiej Zachodniej wśród półek pełnych książek:

- Nie rozmawiamy już zbyt wiele, moja droga.

Mam nadzieję, że teraz, gdy...

- A kiedy dużo rozmawialiśmy?

Głównie ty mówiłeś.

Nie, to nie było w porządku.

To nieprawda.

Ale Dramaturg postanowił pominąć to milczeniem.

Innego dnia zapytał:

-Jak było w Petersburgu?

Esther popatrzyła na niego, jakby mówił szyfrem.

Na scenie język jest szyfrem.

Prawdziwe znaczenie tekstu kryje się pod warstwą bezpośrednich znaczeń.

A w życiu?

Dramaturg w głębokim poczuciu winy zadzwonił do Blondwłosej Aktorki, aby odwołać spotkanie zaplanowane na najbliższe popołudnie.

Po raz pierwszy miał zobaczyć jej mieszkanie w Village.

W pamięci odtwarzał sobie te niesamowite, półpornograficzne sceny z Niagary.

Rozchylone nogi blondynki, wyraźne V łona niemal widocznego przez podciągnięte na wysokość piersi prześcieradło.

W jaki sposób filmowcom udało się przemycić takie sceny przez cenzurę?

Oszukać Legion Przyzwoitości?

Dramaturg samotnie obejrzał Niagarę w kinie przy Times Square.

Chciał zaspokoić ciekawość.

Nie widział filmu Mężczyźni wolą blondynki ani Słomianego wdowca.

Nie miał ochoty oglądać Marilyn Monroe w rolach komediowych.

Nie po Niagarze.

Wyjaśnił Blondwłosej Aktorce, że przez jakiś czas nie może się z nią widywać.

Może dopiero za tydzień, dwa.

Prosił o wyrozumiałość.

Ochryplym, pogodnym głosem Magdy Blondwłosa Aktorka odparła, że tak, wszystko rozumie.

Sonata widm.

Dramaturg i Esther poszli na premierę Sonaty widm Strindberga w Circle in the Square przy Blecker Street.

Wśród publiczności znaleźli się przyjaciele, znajomi i współpracownicy Dramaturga; reżyser przedstawienia należał do jego starych przyjaciół.

W teatrze było około dwustu miejsc.

Ledwie zgasty światła, w sali dało się słyszeć pomruk ekscytacji.

Dramaturg odwrócił się i ujrzał Blondwłosą Aktorkę schodzącą środkowym przejściem między fotelami.

Z początku pomyślał, że jest sama, bo zawsze mu się wydawało, iż ta kobieta jest sama, taką ją zapamiętał.

Bił od niej blask samotności, uśmiechała się tajemniczo i niepewnie, powieki jej drżały, sprawiała wrażenie, że zjawiała się tu przypadkowo.

Potem dostrzegł, że przyszła z Maxem Pearlmanem i jego żoną oraz ich przyjacielem, Marlonem Brando; Brando pełnił funkcję jej partnera, rozmawiał z nią i śmiał się, kiedy zajmowali miejsca w drugim rzędzie.

Co za widok: Marilyn Monroe i Marlon Brando.

Oboje nie mieli na sobie strojów wizytowych.

Brando, w znoszonej skórzanej kurtce i spodniach koloru khaki, był nie ogolony, niesforne włosy zasłaniały mu uszy; Blondwłosa Aktorka owinęła się w wełniany płaszcz, kupiony w sklepie z artykułami wojskowymi na Broadwayu.

Przyszła z gołą głową; jej platynowe włosy błyszcząły, ale widać było ciemne odrosty.

Dramaturg, wysoki na sześć stóp i dwa cale, skulił się w fotelu, mając nadzieję, że go nie widać.

Żona trąciła go łokciem w bok i powiedziała:

- Czy to Marilyn Monroe?

Przedstawisz mi ją?

POŚLANIEC

Bliźnięta powiedziały, że tęsknią za swoją Normą i dzieckiem.

W wannie z mosiężną armaturą, na nóżkach w kształcie łap z pazurami - Ciemnowłosego Księżę.

Nagi.

W parującej kąpiel z obfitym dodatkiem aromatycznych soli.

Taką kąpiel przygotowuje się bogom.

Chciała godnie przyjąć Ciemnowłosego Księcia.

Odpowiednio go uhonorować.

Kocham kogoś, zwierzyła mu się nagle.

Pierwszy raz w życiu jestem tak bardzo zakochana.

Czasem mam ochotę umrzeć!

Nie, chcę żyć.

Ciemnowłosego Księżę pocałował ją delikatnie w czoło.

Nie jako kochanek.

Ciemnowłosego Księżę nie mógłby się z nią kochać.

Kochał zbyt wiele kobiet i miał już dość ich miłości, nie chciał ich nawet dotykać.

Wierzyła, że tym pocałunkiem dał jej swoje błogosławieństwo.

Po prostu żyć ciągnęła - i wiedzieć, że on też żyje.

Że pewnego dnia być może będziemy się kochać jak mąż i żona.

Ciemnowłosego Księżę z zasady nie ufał kobietom typu aryjskiego, ale nazywał ją Aniołem.

Od początku tak się do niej zwracał.

Inne imiona nawet nie wchodziły w grę.

Teraz mówił do niej, niewyraźnie wypowiadając słowa, patrząc z bliska prosto w jej oczy: Aniele, nie mówisz chyba, że wierzysz w miłość?

Jak w życie po życiu?

Zbita z tropu, odpowiedziała szybko: Ach, nie wiesz, że Żydzi nie wierzą w życie po życiu jak chrześcijanie?

Ja dowiedziałam się o tym dopiero dzisiaj.

Ciemnowłosego Księżę rzekł: Twój ukochany jest Żydem, tak?

co czym prędzej odparła: Nie jesteśmy kochankami.

Kochamy się na odległość.

Ciemnowłosy Księżę wybuchnął śmiechem.

Powiedział: Zachowaj ten dystans, Aniele.

I zachowaj waszą miłość.

Stwierdziła z powagą: Chcę zostać wielką aktorką.

Dla niego.

Aby mógł być ze mnie dumny.

Ciemnowłosy Księżę zakołysał się na stopach.

Szarpnął za przepoconą koszulę.

Wcześniej zdjął zniszczoną skórzaną kurtkę i upuścił ją na podłogę jej mieszkania przy Jedenastej Wschodniej Ulicy.

Ciemnowłosy Księżę chyba nie wiedział dokładnie gdzie.

Należał do gatunku ludzi, o których dbają inni, pokojówki i służący.

Manipulował na oślep przy pasku i rozporoku, który był już częściowo rozpięty.

Muszę wziąć kąpiel, oświadczył.

Muszę się umyć.

Nieoczekiwanie i nagle, ale była przygotowana na nieoczekiwane i nagłe wymagania mężczyzn.

Pomogła mu przejść do łazienki położonej na tyłach mieszkania, od kręciła błyszczące mosiężne kurki i nasypała soli kąpielowych do wanny i parującej wody, tryskającej silnym strumieniem - aby go powitać jak należy, aby go uhonorować.

Ciemnowłosy Księżę był postaćem z przeszłości.

Bała się wiadomości, którą prawdopodobnie przyniósł.

Bo pierwszy raz spotkała się z nim dawno temu, kiedy była jeszcze Normą mieszkającą z Bliźniętami, zanim wystąpiła w Niagarze i stała się Marilyn Monroe; o tej erze nawet nie chciała myśleć albo nie mogła jasno myśleć, szczebiotała do Ciemnowłosego Księcia, jak to czynią czasem kobiety, aby stworzyć swoistą muzykę filmową dla rozproszenia swych obaw.

Kiedy się odwróciła, ze zdumieniem stwierdziła, że Ciemnowłosy Księżę rozebrał się nieporadnie do naga.

Nie zdjął jedynie skarpetek.

Dyszał po tym wysiłku.

Pił od wielu godzin i palił pergaminowe papierosy, wydmuchując gryzący, słodkawy dym - częstował ją nimi (odmawiała) - a teraz dyszał i miał zamglony wzrok.

Spodnie, brudne slipy i przepoconą koszulę kopnął na bok.

Uśmiechnęła się wystraszona.

Tego się nie spodziewała.

Ciało Ciemno włosy Księcia było takie...

mocne!

Osiem znaczących filmów, w których wystąpił, najbardziej ceniony aktor epoki, ukazało je tylko częściowo, na zachętę: cudownie wyrzeźbione męskie ciało z wyraźnie zaznaczonymi mięśniami klatki piersiowej, doskonale ukształtowanymi męskimi piersiami i brodawkami jak miniaturowe winogrona, podobne do sierści owłosienie, układające się w wir na torsie, bardziej gęste w okolicach krocza.

Ciemno włosy Książę miał trzydzieści dwa lata i przeżywał szczyt swojej męskiej urody: w ciągu kilku najbliższych lat jego skóra straci swój arogancki blask, ciało sflacza; po upływie dekady nabierze nadwagi, pojawi się wydatny brzuch i dodatkowy podbródek; kiedy miną dwie dekady, będzie znanym tłuściochem.

W przyszłości Ciemnowłosy Książę będzie gruby niczym gumowy manekin nadmuchany motocyklową pompką, świadome szyderstwo z jego młodzieńczego wizerunku.

Patrząc na niego, myślała: Gdybym tylko mogła go kochać/ Gdybym mogła.

Możemy się kochać i ocalić siebie.

Penis Ciemnowłosy Księcia bujał się gruby i posępny wśród kędzierzawych włosów krocza, w półerekcji, pobudzony; na jego koniuszku błyszczała pojedyncza kropla wilgoci.

Ciemnowłosy Książę potknął się, zatoczył do tyłu i uderzył w wieszak z ręcznikami.

Z kranów silnym strumieniem leciała woda, z parą rozchodził się aromatyczny zapach.

Ona nadal się uśmiechała, ale już w panice.

Znała scenariusz, z którego pochodziła ta scena.

Będzie chciał, żeby mu to obcałować.

Na tym im zależy.

Chwyci mnie za kark.

Bo gdzie jest jej Matka?

W pokoju.

W łóżku.

Śpi i pojękuje przez sen.

Tutaj jest tylko Norma Jeane i ten pijany, chwiejący się mężczyzna ze sterczącym, drgającym penisem, o dobrotliwie zmrużonych oczach i stworzonych do całowania ustach; jak to zauważyła Gladys z krzywym uśmiechem: Póki dostaje to, o co mu chodzi, wtedy tak, owszem, jest jak książę.

Ale Ciemnowłosa Książę na nic nie czekał.

Przecisnął się obok Normy Jeane i oparł nagimi pośladkami o brzeg wanny.

W wonnych oparach rozkapryszony i bezradny jak dziecko.

Aniele, możesz mi pomóc z tymi pierdolonymi...

Chodziło mu o skarpety, nie mógł się schylić, aby je zdjąć.

(Tego rodzaju żalosne epizody będzie rejestrował Snajper.

Snajper nie będzie wdawał się w moralne oceny, sporządzając bardzo drobiazgowo raporty, bo to się absolutnie nie mieściło w zakresie zadań Snajpera.

Pełnił służbę w Agencji.

Rozpracowywał podejrzaną działalność wywrotową i za grożenia bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych.

Bo niewinni obywatele nie będą mieli nic do ukrycia.

Nie będzie winowajców.

Wszyscy będą informatorami i zawodowi Snajperzy i w ogóle nie będą potrzebni.)

Była jego Magdą!

Zadzwoń do kochanka.

Będzie płakała do słuchawki:

Proszę, przyjedź do mnie, natychmiast, teraz w nocy.

Żyją starożytnym ludem wędrownym, błogosławionym i przeklętym przez Boga.

Mimo wszystko ich historia jest historią boskich ludzi: Adama, Noego, Abrahama, ojca wszystkich.

Rodu mężczyzn.

Mężczyzn, którzy rozumieli słabości kobiet i umieli wybaczać.

Wybaczam ci!

Tchórzostwo.

Że nie masz odwagi kochać mnie tak mocno, jak ja cię kocham.

Och tak, widziała Dramaturga w teatrze przy Bleecker Street.

Pewnie, że go widziała.

Wiedziała wcześniej, że tam będzie.

Bo wiedziała dużo jak na nową kobietę w tym mieście; dowiadywała się wszystkiego od swych nowych przyjaciół; iluż nieznajomych pragnęło się z nią zaprzyjaźnić; przy zwoitych mężczyzn i kobiet, mających ochotę przejść się publicznie u boku Marilyn Monroe i dać się z nią sfotografować.

Tak, widziałam cię.

Widziałam, jak patrzyłeś w drugą stronę i udawałeś, że nie masz nic wspólnego ze swoją Magdą.

W małym, zatęchłym teatrze przy Bleecker Street siedział sztywno po chylony obok żony.

Taka kobieta jest jego żoną!

A ja jestem Miss Złote Marzenia.

Ten mężczyzna zasługuje na mnie.

Nigdy nie zadzwoni do kochanka!

Nie do Dramaturga, którego podziwiała najbardziej ze wszystkich mężczyzn.

On był jej Abrahamem: zaprowadzi ją do Ziemi Obiecanej.

Została wprowadzie ochrzczona, ale się odchrzci i zostanie żydówką.

W głębi duszy jestem żydówką.

Wędrowcem szukającym prawdziwego domu.

Dramaturg przekona się, jaka jest poważna, jaka oddana swej profesji.

Ponieważ gra aktorska jest jednocześnie sztuką i rzemiosłem, zamierzała po mistrzowsku opanować jedno i drugie.

Była inteligentną młodą kobietą, dumną i rozsądną.

Gdyby było inaczej, Dramaturg by jej nie kochał.

Proszę, jaka zrównoważona była jego Magda, daleka od rozgoryczenia i kobiecej hysterii, no więc spokojnie przebrała się w pikowany szlafrok i kiedy Ciemnowłosa Księżę kąpał się na tyłach jej mieszkania w wiekowej porcelanowej wannie z błyszczącymi mosiężnymi dodatkami, ona skuliła się na sofie, aby przepisać do swojego dziennika strofy Pieśni nad pieśniami.

W antykwariacie kupiła hebrajską Biblię, potem zaś ze zdziwieniem i ulgą stwierdziła, że to Stary Testament, tylko pod inną nazwą.

Niech mnie ucałuje pocałunkami swych ust!

Bo miłość twa przedniejsza od wina.

O jak piękna jesteś, przyjaciółko moja, jak piękna, oczy twe jak gołębice!

Cicho!

Ukochany mój!

Oto on!

Oto nadchodzi.

Biegnie przez góry, skacze po pagórkach.

Bo oto minęła już zima, deszcz ustał i przeszedł.

Na ziemi widać już kwiaty; i głos synogarlicy już słychać w naszej krainie.

Ja śpię, lecz serce me czuwa: Cicho!

Oto miły mój puka!

"Otwórz mi, siostrze moja, przyjaciółko moja, gołąbko moja, ty moja nieskalana..."

Otworzyłam ukochanemu memu, lecz ukochany mój już odszedł i znikł; życie mię odeszło, iż się oddalił.

Szukałam go, lecz nie znalazłam; wołałam go, lecz mi nie odpowiedział.

Chyba zasnęła.

Głowę miała ciężką!

Wszystko było jeszcze przed nią, wysiłek reszty jej życia.

Tak, wróci do Hollywood; podpisze kontrakt na następny film.

Nie mogła tego uniknąć, nie miała pieniędzy, potrzebowała ich na rozwód Dramaturga i na wspólne życie, a najłatwiej mogła je zdobyć jako Marilyn Monroe.

Zatem jako Marilyn wróci do Miasta z Piasku.

Wiedziała o tym od samego początku.

Wiedziała, choć nie wiedziała, że wiem.

A jednak wróci, wiedząc o sztuce aktorskiej więcej niż kiedyś.

Po miesiącach ćwiczeń u Maxa Pearlmana, surowego nauczyciela.

Gdy pracowała pokorna i pełna zapału jak dziecko, które uczy się podstaw czytania, pisania i mówienia.

Zapowiadasz się na wielką aktorkę, powiedział.

Jeśli to nie była prawda, ona sprawi, że to będzie prawda.

Ciemnowłosy Książę był największym amerykańskim aktorem swoich czasów, tak jak Laurence Olivier - brytyjskim.

Dla Ciemnowłosego Księcia jego geniusz zdawał się znaczyć bardzo niewiele; sukces budził w nim pogardę, nie wdzięczność.

Ja taka nie będę.

Odpowiem błogosławieństwem na błogosławieństwo.

Chyba spała, bo teraz nagle się przebudziła.

Ogarnął ją chorobliwy lęk.

Trzecia czterdzieści.

Coś było nie tak.

Ciemnowłosy Książę!

Nie wyszedł z kąpieli od wielu godzin.

Leżał w wannie w letniej wodzie, trzymając bezwładną głowę na porcelanowej krawędzi; Ciemnowłosy Książę o obwisłych ustach, ze śliną na brodzie, spod przymkniętych powiek wyłaniały się półkola szarości, niczym śluz.

Włosy mokre i gładkie jak u foki.

Ciało, które zaledwie przed kilkoma godzinami wydawało się jej doskonale ukształtowane, teraz było dziwnie powykrzywiane - ramiona okrągłe, pierś zapadnięta, na wysokości pasa walek, skurczony, zwrócony ku górze penis kołysał się luźno w pianistej wodzie.

Och, Ciemnowłosy Książę wymiotował do wody!

Rzygowiny unosiły się na powierzchni.

Mimo wszystko oddychał, żył.

To było dla mnie najważniejsze.

Zdołała go obudzić.

Odrzącił jej ręce i sklął ją.

Dźwignął się na nogi, wylewając wodę na wyłożoną terakotą podłogę; przeklął znowu i stracił równowagę; byłby się wyrzucił w porcelanowej wannie, gdyby nie zdążyła go podtrzymać i uratować

przed rozbiciem głowy; z wysiłku drżały jej ramiona; Ciemnowłosa Księżę był ciężkim mężczyzną, niewysokim, ale masywnym i umięśnionym.

Błagała go, prosiła, aby uważał; nazwał ją "piz dą" (choć skoro jej nie znał, może wcale nie miał zamiaru jej obrazić), lecz mimo wszystko przytrzymał się jej mocno i po kilku minutach dał się wyprowadzić z wanny; znowu siedział na porcelanowym brzegu, kołysał się i coś mamrotał, choć oczy miał zamknięte; zanurzyła gąbkę w zimnej wodzie i delikatnie wytarła mu twarz, po czym zrobiła wszystko, co się dało, aby z ciała usunąć pozostałości wymiocin; ciągle się jednak bała, że znowu dostanie torsji, że się przewróci i umrze, tak nierówno oddychał, usta miał obwisłe, sflaczałe.

Zdawał się nie wiedzieć, gdzie się znajduje; po kilkakrotnym przejechaniu myjką ożywił się do pewnego stopnia i dźwignął na nogi; owinęła go ręcznikiem i podtrzymując w pasie, zaprowadziła do sypialni;

po jego owłosionych, bladych nogach i stopach ściekała woda; śmiała się cicho, aby go upewnić, że wszystko jest w porządku, że jest z nią bezpieczny, ona się nim opiekuje; potknął się i znowu ją wyzwał: "pizda!

głupia pizda!"

Runął bokiem na łóżko, aż sprężyny głośno jęknęły, wystraszyła się, że zniszczył łóżko, które do niej nie należało, zgrabne, stare mosiężne łóżko zamożnej przyjaciółki Maxa Pearlmana, która przebywała w Paryżu.

Po tem podniosła jego nogi, nogi ciężkie jak betonowe cegły, i poprawiła na poduszce wilgotną głowę, cały czas szepcząc coś do niego, pocieszając, tak jak to robiła kiedyś z Eks-Sportowcem i innymi obywatelami Miasta z Piasku.

Czuła się teraz znacznie lepiej, miała w sobie więcej optymizmu, Norma Jeane Baker była optymistką z natury, czyż nie przysięgała sobie, że będzie zawsze zachowywała optymizm - wówczas, gdy siadywała w kucki na dachu sierocińca i patrzyła w stronę Hollywood, na oświetloną wieżę RKO, Błagam/Obiecuję!

Przysięgam!

Nigdy się nie poddam. Dotarło do niej, że obecna haniebna scena tak naprawdę pochodzi z filmu; jej ogólne zarysy, jeśli już nie szczegóły, wydawały się znajome i miały romantyczną otoczkę; ona była Claudette Colbert, on Clarkiem Gablem; nie, ona była Carole Lombard, on Clarkiem Gablem; ta sytuacja była w scenariuszu, nawet jeśli oboje go nie znali, to przecież jako utalentowani aktorzy mogli improwizować.

Ciemnowłosa Księżę w moim łóżku.

Och, mój bliski przyjaciel.

Kazał się nazywać Carlo.

Ale czy byliśmy kochankami?

Nie sądzę.

Byliśmy?

Natychmiast zaczął chrapać.

Przykryła go prześcieradłem i sama skuliła się obok.

Reszta tej koszmarnej nocy stała pod znakiem gwałtownych skurczów mięśni i przewracania się z boku na bok.

Wyczerpało ją życie w Nowym Jorku, wypełnione nadziejami i ciężką pracą.

Życie, które dawniej wyobrażała sobie jako wyzwolenie.

Pięciogodzinne zajęcia w Zespole i jeszcze wiele godzin prywatnych lekcji z Maxem Pearlmanem lub jednym z jego agresywnych asystentów; miłość do Dramaturga i obawa, że jej ukochany od niej ucieknie, a ona będzie musiała umrzeć; tego rodzaju porażka mogłaby skazać ją na śmierć, bo czyż babcia Delia nie powtarzała podobnych rzeczy swojej córce Gladys, która nie zdołała zatrzymać przy sobie męża ani nawet zdobyć podtatusiałego kochanka jako źródła finansowego wsparcia?

Delia sapała i śmiała się: Co w tym dobrego, że jesteś kobietą upadłą i dziwką, jeśli w wieku trzydziestu lat nie dorobiłaś się niczego?

A za kilka miesięcy Norma Jeane skończy trzydziestkę.

Ostrożnie położyła głowę na ramieniu Ciemnowłosego Księcia.

Nie odepchnął jej.

Spał niespokojnie, lecz głęboko, jak to mężczyźni.

Zgrzytał zębami, dygotał, kopał i pocił się, aż tuż przed świtem zmoczył się i zaczął cuchnąć, jakby się w ogóle nie kąpał.

Norma Jeane uśmiechnęła się i pomyślała o Buckym Glazerze, o jego bagnistych pachach i stopach okrytych pajęczynami brudu.

Tym razem, kiedy będzie miała nowego męża, nie popełni żadnego z błędów, które popełniała w przeszłości.

Sprawi, że Dramaturg będzie dumny z niej jako aktorki i tym bardziej pokocha ją jako żonę.

Będą mieli dzieci.

Już teraz bardzo łatwo wyobrażała sobie siebie w ciąży.

W spokoju tej nocy, tuż przed świtem, Maleństwo znowu przyszło i wybaczyło mi.

Otto Osę cynicznie przewidział dla niej śmierć ćpunka w Hollywood, ale z pewnością nie takie było jej przeznaczenie.

Rankiem obudziła się, ubrała możliwie najciszej - Ciemnowłosa Książę wciąż spał - i poszła do sklepu spożywczego przy Piątej Alei po świeże jajka, płatki, owoce i kawę w ziarnach, a kiedy wróciła,

Ciemnowłosy Księżę właśnie się budził; skrzywił się, kiedy światło uderzyło w jego przekrwione oczy, ale poza tym był w stosunkowo dobrej formie, zadziwił ją humorem, dowcipem; powiedział, że odór własnego ciała budzi w nim wstręt, więc musi wziąć prysznic; idąc chwiejnym krokiem do łazienki, roześmiał się po raz drugi z jej przejęcią; stanęła przy drzwiach, nasłuchując, czy nie dojdzie do następnej katastrofy, ale usłyszała tylko pac\ mydła, które Ciemnowłosy Księżę wypuścił kilka razy z nieporadnych dłoni.

Potem, osuszając ręcznikiem włosy, przejrzał zawartość jej szafy i komody w poszukiwaniu męskich ubrań, bielizny czy chociaż skarpet.

Nie znalazł niczego.

W kuchni przyjął od niej jedynie szklankę wody z lodem, którą opróżnił ostrożnie niczym człowiek idący po linie bez siatki zabezpieczającej.

Nie chciał niczego zjeść.

Norma Jeane była rozczarowana.

Nie dawał jej szansy!

Bucky Glazer i Eks-Sportowiec należeli do wybitnych pożeraczy śniadań.

Sama wypita tylko filiżankę kawy dla pobudzenia nerwów.

Ależ Ciemnowłosy Księżę był przystojny, nawet z przekrwionymi oczami, wykrzywiającym twarz bólem głowy i tym, co nazywał "grypą jelitową";

w brudnym ubraniu z poprzedniego dnia, nie ogolony, z niedbale zaczesanymi do tyłu wilgotnymi włosami.

Nazywał ją często Aniołem i dziękował jej.

Głaskał ją po grzbiecie dłoni i smutno się uśmiechał, rozprawiając z fałszywym zapalem, niczym któraś z postaci w sztuce Odetsa, że pewnego dnia zrobią sztukę pod auspicjami Pearlmana lub może film, jeżeli tylko uda im się zdobyć odpowiedni scenariusz (on także gardził światkiem Hollywood, ale cóż, potrzebował hollywoodzkich pieniędzy); myślała: jaka to ironia, że ani on, ani ona nie będą wyraźnie pamiętać niczego z poprzedniego wieczoru, tyle tylko, że okazali sobie odrobinę czułości.

Niewykluczone, że ocaliła mu życie; a może on jej ocalił życie?

Oto połączyli się, choć tylko jak brat i siostra, na całe życie.

Po mojej śmierci Brando nie udzielił żadnego wywiadu na mój temat.

Jako jedyny spośród hollywoodzkich szakali.

Dopiero gdy zabierał się do odejścia, przypomniał sobie o wiadomości, którą miał jej przekazać.

-Aniele, posłuchaj.

Ostatnio zupełnie przypadkiem spotkałem Cassa Chaplina.

- Norma Jeane uśmiechnęła się niewyraźnie.

Nic nie powiedziała. Drżała, ale miała nadzieję, że jej przyjaciel tego nie zauważy.

- Nie widziałem go ani Eddyego G może od roku.

Tylko co nieco o nich słyszałem, wiesz?

A tu nagle wpadłem na Cassa w czyimś domu i on powiedział mi, żebym przy najbliższej okazji przekazał ci pewną wiadomość.

Norma Jeane nic nie odpowiedziała.

Pewnie powinna rozsądnie zauważyć: Jeśli Cass ma dla mnie jakąś wiadomość, to dlaczego sam mi jej nie przekaże?

- Powiedział: Przekaż jej, że Bliźnięta tęsknią za swoją Normą i dzieckiem.

- Ciemnowłosy Księżę dostrzegł wyraz jej twarzy i rzekł: - Może nie powinienem był przekazywać ci tej wiadomości?

Od tego skurwiela.

Norma Jeane pożegnała go i czym prędzej wyszła do innego pokoju.

Słyszała, jak towarzysz jej ostatniej nocy woła za nią, choć bez większego przekonania:

- Hej, Aniele?

Ale nie ruszył za nią.

Wiedział tak samo jak ona, że ta scena się skończyła.

Brando i ja nigdy nie nakręciliśmy filmu.

Był zbyt potężnym aktorem dla Monroe.

Pęklaby przy nim jak tania lalka.

A jednak jej scena z Ciemnowłosym Księżem jeszcze się nie skończyła.

Późnym popołudniem wróci z zajęć w Zespole, wejdzie do mieszkania i stanie jak wryta na widok czegoś, co wyda się jej grobowcem pełnym kwiatów.

Kilka układow, głównie białych kwiatów: lilii, róż, goździków, gardenii.

Śliczne!

I tak ich dużo.

Zapach gardenii dominował.

Do jej oczu napłynęły łzy.

Zaczęło jej się robić niedobrze.

Wolała myśleć, że kwiaty dostała od Dramaturga, od kochanka błagającego o przebaczenie.

Wiedziała jednak, że nie były od niego.

Dostała je, rzecz jasna, od Ciemnowłosego Księcia.

Od kochanka, który nie mógł jej kochać.

Który na kartce w kształcie serca starannie wypisał czerwonym atramentem:

ANIELE,

MAM NADZIEJĘ, ŻE JEŚLI UDA SIĘ KOMUŚ Z NAS, BĘDZIESZ TO TY.

TWÓJ PRZYJACIEL CARLO

DANCING IN THE DARK

Starzejący się, podniszczony płaszcz na kiju.

Boże, do tego doszło, że sobą pogardzał!

A jednak: zaciskając pięści, gapił się na przyprószone śnieżnym pyłem lodowisko.

Tam, jak w komedii muzycznej, w której dominuje dźwięk, kolor i ruch, Blondwłosa Aktorka jeździła na łyżwach w towarzystwie młodego aktora z Zespołu.

Właściwie był to aktor, który grał jego Isaaca.

Isaac, jeżdżący po lodzie z jego Magdą.

Czyli więcej, niż jakikolwiek dramatopisarz mógłby znieść.

A jeśli się pocałują?

Na jego oczach?

Jakby tego było mało, krążyły plotki o niej i o Marlonie Brando.

Ale o tym nawet nie pozwalał sobie myśleć.

Miała tak wielu mężczyzn.

Tak wielu mężczyzn ją miało.

Od wspólnych przyjaciół Dramaturg dowiedział się, że Blondwłosa Aktorka wkrótce opuści Nowy Jork i wróci do Los Angeles; silniejsza po miesiącach intensywnej pracy w Zespole, wróci do kariery aktorki filmowej.

Oczywiście nie na starych warunkach.

Wytwórnia nie tylko wybaczyła Marilyn Monroe, ale uwzględniła szereg jej żądań.

Wszystko to przejdzie do historii Hollywood.

Marilyn Monroe, tak długo lekceważona przez przemysł filmowy, wreszcie pokonała Wytwórnię!

Ma prawo do akceptacji projektu, scenariusza, reżysera.

Podniesiono jej gażę do 100 000 dolarów za film.

Dlaczego?

Bo nie istniała żadna blondynka, która by mogła zająć jej miejsce.

Która zarobiła dla nich tyle milionów dolarów tak niskim kosztem.

Nie był zazdrosny o Blondwłosą Aktorkę, życzył jej jak najlepiej.

Ów głęboki smutek w jej oczach.

Taki sam dostrzegał przed trzydziestu laty w oczach Magdy, ale wówczas jako zadurzony chłopak jeszcze nie potrafił tego zrozumieć.

Na lodowisku w Central Parku między tuzinami barw nie odzianych łyżwiarzy w każdym wieku jeździła Blondwłosa Aktorka - w ciemnych okularach, białej czapce z angory naciągniętej ciasno na uszy, aby ukryć każde pasemko włosów, i białym szaliku wokół szyi.

Podobno wcześniej nigdy nie jeździła na łyżwach, jedynie na wrotkach, jeszcze jako dziewczyna, w południowej Kalifornii.

Tam, skąd pochodzi, wyjaśniła Blondwłosa Aktorka, trzepocząc powiekami, nie ma lodu.

Nigdy.

Dostrzegał jednak, że na łyżwach zachowuje się ostrożnie.

Tymczasem inni, bardziej doświadczeni łyżwiarze mknęli obok niej jak wiatr.

Miała słabe kostki; co rusz bliska była utraty równowagi.

Machała rękami, śmiała się, kołysała i niemal przewracała, ale za każdym razem jej towarzysz - ręka wokół jej pasa - ratował ją z opresji.

Raz albo dwa, mimo całej jego galanterii, wylądowała twardo na lodzie, ale roześmiała się tylko i przy jego pomocy podnosiła się znowu.

Otrzepywała siedzenie ze śniegu i jeździła dalej.

Łyżwiarze kręcili się wokół niej; jeśli ktoś na nią zerknął, widział tylko śliczną dziewczynę o bladej cerze prawie bez makijażu i w bardzo ciemnych okularach.

Może w ogóle nie zrobiła sobie makijażu.

Ubrała się w zrobiony na drutach sweter, ciemne spodnie z ciepłego aksamitu, których Dramaturg wcześniej nie widział, i białe buty łyżwiarskie.

Jeśli był to debiut tej dziewczyny na lodzie, to należało przyznać, że ma naturalny talent, może taneczny.

Ta gibkość.

Ta energia!

W jednej chwili błaznowała, udawała nieporadność, zaraz potem nabierała wdzięku, poruszając się ramię w ramię ze swoim towarzyszem.

Młody mężczyzna był dobrym łyżwiarzem, odbijał się długimi, sprężystymi nogami i pewnie utrzymywał równowagę; nosił okulary w drucianych oprawkach, które nadawały mu, tak jak Dramaturgowi, gdy był w jego wieku, wygląd młodego żydowskiego studenta, na swój tajemniczy sposób atrakcyjnego.

Na głowie miał tylko nauszniki.

Marzec w Nowym Jorku był w tym roku wyjątkowo chłodny.

Pod oślepiająco błękitnym niebem wiał północno-wschodni wiatr.

Dramaturg, zrozpaczony, chory z miłości, przyglądał się im uważnie.

Nie potrafił trzymać się z daleka.

Nie mógł wysiedzieć w pracowni przy biurku.

Był chory z tęsknoty.

(Czy miał prawo wplątać Blondwłosą Aktorkę w swoje życie?)

Znowu przesłuchiwała go Komisja Kongresu do Spraw Badania Działalności Antyamerykańskiej; może nie tyle chodziło tu o przesłuchanie, ile o prześladowanie, dręczenie; musiał wynająć prawnika i ponieść koszty sądowe, które były równoznaczne z grzywną; nowy przewodniczący komisji czuł szczególną niechęć do Dramaturga, odkąd obejrzał jego sztukę, rzekomo "krytykującą amerykańskie społeczeństwo i kapitalizm".

Nie było tajemnicą, że FBI gromadziło przeciwko Dramaturgowi materiały obciążające.

Dramaturg należał do "nowojorskich intelektualistów o poglądach lewicowych".)

Blondwłosa Aktorka jeździła na łyżwach, a Dramaturg patrzył.

Nie próbował się chować, bo uważał to za niehonorowe.

Nie należał do kategorii ludzi, którzy się ukrywają.

Poza tym, czy ukrywanie się miało jakiś sens?

Siedemdziesiąta Druga Ulica biegła niedaleko, tuż-tuż, często tędy przechodził; spacerował po śniegu, pragnąc dotlenić i rozjaśnić umysł, zwłaszcza że w parku było pustawo.

Widok łyżwiarzy wywołał na jego twarzy uśmiech.

Jako chłopiec uwielbiał łyżwy.

I jeździł na nich zadziwiająco dobrze.

Jako młody ojciec mieszkający w mieście nauczył dzieci jeździć na łyżwach wiele lat temu, na tym samym lodowisku.

Naraz wydało mu się, że wcale nie było to bardzo dawno temu.

Na mieniącym się w świetle lodzie roześmiana i błyszcząca w słońcu jeździła Blondwłosa Aktorka.

Blondwłosa Aktorka, która kochała go tak, jak nie kochała go nigdy żadna inna kobieta.

Którą on kochał tak, jak nie kochał żadnej innej kobiety.

Monroe!

Nimfomanka.

Kto tak mówi?

Słyszałem, że robi to dla pieniędzy.

Jest w rozpaczliwej sytuacji.

Jest oziębła, nie znosi mężczyzn.

To lesba.

Ale owszem, robi to za pieniądze, kiedy dostaje tyle, ile chce.

Dramaturg spoglądał z uśmiechem na swoją Magdę na lodzie i na ściskającego jej dłoń Isaaca.

Serce zabiło mu mocniej z dumy.

Dziwił się, że pozostali łyżwiarze i gromada gapiów nie rozpoznali jej.

Nie gapili się, nie pokazywali jej palcami i nie bili brawa.

Sam miał ochotę podnieść ręce i bić brawo.

Czy już go zauważyła?

Czy dostrzegł go Isaac?

Dramaturg stał na widoku, był znajomą postacią dla nich obojga.

Dramaturg, który ich stworzył.

Magdę, Isaaca.

Ona była dziewczyną z ludu; on - młodym europejskim Żydem, który pragnął zostać obywatelem świata, pragnął wymazać wszelkie sny o Powrocie.

Może tak naprawdę Dramaturg uratował się od holocaustu.

Może ocaleli od holocaustu wszyscy żyjący Żydzi.

Dramaturg jednak nie chciał o tym myśleć w olśniewających promieniach popołudniowego słońca w takim miejscu jak Central Park.

Stał wysoki jak indiański totem przy skraju tarasu z piaskowca, obok którego ślizgali się łyżwiarze, zataczając kręgi po lodzie.

Ożywione figurki z pozytywki!

Dramaturg, którego na Manhattanie często rozpoznawali nie znajomi ludzie.

W ciężkim płaszczu przeciwdeszczowym, w ciemnym kapeluszu z lamiej wełny.

W okularach o grubych szklach.

Kiedy Blondwłosa Aktorka i jej towarzysz przejeżdżali obok niego, roześmiani i zajęci rozmową, Dramaturg nie odwracał się, nie uciekał wzrokiem.

Na tym tarasie znajdowała się kawiarenka, którą Dramaturg często odwiedzał wczesnym popołudniem, kiedy robił sobie przerwę w pracy.

Na zimę nie chowano stolików i krzeseł z giętego metalu.

Przeniósłby krzesło na skraj tarasu i usiadł, ale na to był zbyt niespokojny.

Ta muzyka!

Walc łyżwiarza.

A jednak ożeni się z nią.

Jeżeli tylko ona go zechce.

Nie może pozwolić jej odejść.

Rozwiedzie się.

W głębi duszy już rozstał się z żoną.

Już nigdy jej nie dotknie, nie pocałuje.

Myśl o porytym zmarszczkami ciele tej kobiety odstręczała go.

Odstępowały oczy, w których płonęła złość, skrzywione usta wyrażające pretensję.

Przy niej umarła jego męskość, ale teraz się odrodzi.

Podzieli swoje życie na dwie części dla Blondwłosej Aktorki.

Napiszę na nowo historię naszego życia.

Nie będzie to tragedia, ale amerykański epos!

Wierzę, że starczy mi sił.

Wypożyczył tyżwy!

To łatwe.

Wsunął stopy w buty, mocno związał sznurowadła.

I stanął na lodzie.

Z początku czuł słabość w kostkach, sztywność w kolanach, ale dawne umiejętności szybko wróciły; poczuł dreszcz chłapięcej radości z najprostszego fizycznego wysiłku.

Jechał śmiało pod prąd, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara.

Sprawiał wrażenie człowieka, który dobrze wie, co robi, nie starszego, zagubionego mężczyzny, który macha rękami, aby utrzymać równowagę.

Z głośników płynął utwór Dancing in the Dark.

Piosenka napisana przez Żyda, ale niezwykle amerykańska, jak zresztą wszystkie wielkie melodie z Tin Pan Alley.

Piosenka o romansie i tajemnicy, jeżeli wsłuchać się uważnie w słowa.

Jadąc w kierunku Blondwłosej Aktorki, Dramaturg uśmiechał się radośnie.

Nie miał wątpliwości.

Podobnej sceny Dramaturg nie napisałby dawniej tylko ze względu na to, że nie było w niej ironii i wyrafinowania.

Ta kobieta wyciągnęła go z ciasnego, dusznego gabinetu przy Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy.

Przyciągała go.

Nie miał wyboru.

Uśmiechał się jak mężczyzna obudzony przez promień światła, który zasnął wcześniej w mroku.

-Ojej!

Och, popatrz.

Blondwłosa Aktorka właśnie go zauważyła i już sunęła ku niemu rozpromieniona.

Pierwszy raz od czasów, kiedy był młodym ojcem i dzieci witały go z takim wyrazem zachwyty, jakby nigdy nie widziały nikogo równie wspaniałego i nieoczekiwanego, poczuł się aż tak uprzywilejowany i aż tak szczęśliwy.

Blondwłosa Aktorka byłaby się z nim zderzyła, gdyby jej nie złapał i nie podtrzymał.

Ślizgali się razem po skrzącym się lodzie.

Kochankowie.

Trzymali się za ręce i śmiali radośnie.

Młody Aktor, który grał rolę Isaaca, trzymał się dyskretnie z tyłu, ponury, ale też i uśmiechnięty.

Wiedział, że jego przywilej polega na możliwości obserwowania tego spotkania, a potem przedstawienia innym swoich spostrzeżeń, opowiadania i po wtwarzania historyjki o Dramaturgu i Blondwłosej Aktorce, publicznie afiszujących się ze swoją miłością na lodowisku w Central Parku tamtego marcowego dnia.

- Och!

Kocham cię.

-Najdroższa, i ja cię kocham.

Blondwłosa Aktorka brawurowo i śmiało stanęła na czubkach łyżew i po całowała Dramaturga prosto w usta.

Tej nocy w mieszkaniu na Jedenastej Wschodniej Ulicy naga Blondwłosa Aktorka, rozdygotana po akcie miłosnym - policzki błyszczące od łez - chwyciła obie dłonie Dramaturga, pogłaskała je, uniosła do ust i obsypała pocałunkami.

Dramaturg był głęboko poruszony, przejęty do głębi.

Pobiorą się w czerwcu, krótko po jego rozwodzie i po trzydziestych urodzinach Blondwłosej Aktorki.

TAJEMNICA.

NIEPRYZWOITOŚĆ

Skrzyżowanie indywidualnej patologii i nienasyconego apetytu kapitalistyczno-konsumpcyjnej kultury.

Jak pojąć tę tajemnicę?

Tę nieprzyzwoitość.

Słowa te napisze pewnego dnia zasmucony Dramaturg.

Ale nie wcześniej niż za jakieś dziesięć lat.

CHERIE 1956

Uwielbiam Cherie!

Cherie jest taka dzielna.

Cherie nigdy nie pije, gdy się boi.

Nie połyka pigułek.

Kiedy Cherie coś zaczyna, wie od razu, jak to się skończy.

I gdzie się skończy.

Cherie pochodzi z miejsca, do którego śmiertelnie boi się wrócić.

Za mknęłam oczy i zobaczyłam piaszczysty brzeg, płytki, bagnisty strumyk i rachityczne drzewo z odsłoniętymi korzeniami, które wyglądały jak żyły.

Cała rodzina mieszkała w starej zniszczonej przyczepie, w kopcu zardzewiałych puszek i kłujących pnączy.

Cherie, jej bracia i siostry.

Cherie była "małą mamą".

Śpiewała dzieciakom, bawiła się z nimi.

Musiała zrezygnować ze szkoły, gdy miała piętnaście lat, aby pomóc w domu.

Być może miała sympatię, starszego faceta, dwudziestokilkuletniego.

Który złamał jej serce, ale nie dumę.

Nie ducha.

Cherie szyje zabawki dla braci i sióstr, ceruje ubrania.

Widok jej kostiumów do tańca złamałby ci serce, tak nie zdarnie były pocerowane.

Nawet czarne pończochy miały łaty!

Cherie nie była platynową blondynką, jej włosy miały kolor pomyj.

Kiedyś miała zdrową cerę, teraz jednak jej skóra zrobiła się chorobliwie blada.

Blada jak księżyc.

Może anemiczna?

Wystarczy, że kowboj Bo raz tylko rzuci na nią wzrokiem i już wie, że ona jest jego Aniołem.

Jego Aniołem!

Być może zawsze miała skłonność do anemii, tak samo jak bracia i siostry.

Brak witamin.

Jeden z braci był opóźniony w rozwoju.

Jedna z sióstr urodziła się z rozszczepionym podniebieniem, a nie było pieniędzy, żeby ten błąd na tury poprawić.

Cherie często słuchała radia.

Śpiewała z radiem.

Przeważnie piosenki country.

Czasami płakała, bo wzruszał ją własny śpiew.

Widziałam ją, jak podnosiła dziecko z mokrą pieluchą i niosła do przyczepy, by je przewinąć.

Jej matka oglądała telewizję, kiedy działał odbiornik.

Matka była ociężałą, czterdziestokilkuletnią kobietą o niezdrowej, żółtawej cerze, pijaczką o twarzy opuchniętej jak surowy pączek.

Ojciec Cherie gdzieś zniknął.

Nikt nie wiedział gdzie.

Cherie pojechała autostopem do Memphis.

Była tam stacja radiowa, której Cherie słuchała, i właśnie pragnęła poznać jednego z dyskdżokejów.

Miała do przejechania dwieście mil.

Chciała zaoszczędzić pieniądze, jadąc ciężarówką, nie autobusem.

Kierowca powiedział, że jest piękną dziewczyną.

Najładniejszą spośród tych, które kiedykolwiek weszły do jego kabiny.

Cherie udawała, że jest głucha, głupia, opóźniona w rozwoju.

W rękę ścisnęła Biblię.

Spojrzał na nią tak jakoś dziwnie, wystraszyła się i zaczęła śpiewać biblijne pieśni.

To go otrzeźwiło, szybko i skutecznie.

Nie wiadomo, jak doszło do tego, że Cherie obchodzi trzydzieste urodziny w arizońskim barze, fałszując Old Black Magie kowbojom, którzy i tak jej nie słuchają.

Ścigana przez pewnego kowboja, który zwariował na jej punkcie.

Który uważał ją za swojego anioła.

Przez kowboja ryczącego, niezgrabnego jak młody byk.

I choć bała się go, pokocha go, wyjdzie za niego.

Urodzi mu dzieci, którym będzie śpiewała, z którymi będzie się bawiła.

Uszyje im trochę zabawek i ubranek.

Tatuśku, tęsknię za tobą.

Jestem tak daleko od ciebie.

Kochanie, w przyszłym tygodniu przylecę do ciebie.

Mam nadzieję, że ci się tam podoba?

Góry...

Boję się gór.

Nie mówiłaś, że są piękne?

Coś się stało, Tatuśku.

Kochanie, co?

Co się stało?

Nie...

nie wiem.

Coś na planie?

Chodzi o reżysera, aktorów?

Nie.

Kochanie, niepokoisz mnie.

Dobrze się czujesz?

Nie wiem.

Nie pamiętam...

co znaczy czuć się dobrze.

Kochana Normo, najdroższa dziewczyno, powiedz, co się stało?

Kochanie, płaczesz?

O co chodzi?

Brak mi słów.

Tatuśku.

Szkoda, że cię tu nie ma.

Ktoś zrobił ci krzywdę?

W czym rzecz?

Szkoda, że nie jesteśmy małżeństwem.

Szkoda, że cię tu nie ma.

Już wkrótce tam będę, kochanie.

Nie możesz mi powiedzieć, co się stało?

Chyba...

Boję się.

Boisz się, czego?

Kochanie, nie masz pojęcia, jak się denerwuję.

Tak cię kocham.

Chciał bym ci pomóc.

Pomagasz, Tatuśku.

Wystarczy, że jesteś przy mnie.

Chyba nie...

zażywasz zbyt wielu lekarstw, co?

Nie.

Bo lepiej trochę pocierpieć na bezsenność niż...

Wiem/Już mi to mówiłeś, Tatuśku.

Na pewno nikt cię nie skrzywdził?

Nie obraził?

Nie, ja...

ja się tylko boję.

Czasem serce mi bije tak mocno.

Jesteś podekscytowana, kochanie.

Właśnie dlatego jesteś też znakomitą aktorką.

Bardzo się zanurzasz w rolę.

Szkoda, że się jeszcze nie pobraliśmy!

Mógłbyś mnie pocieszać.

Kochanie, łamiesz mi serce.

Co mogę dla ciebie zrobić?

Czego się obawiasz, kochana moja?

Czegoś konkretnego?

Nigdy niczego o mnie nie napiszesz, prawda?

Kochanie, oczywiście, że nie.

Dlaczego miałbym zrobić coś takiego?

Ludzie czasem to robią.

Pisarze.

Ja to nie ludzie.

Ty i ja nie jesteśmy zwykłymi ludźmi.

Wiem, że nie jesteśmy, Tatuśku.

Ale czasem bardzo się boję.

Nie chcę zasnąć...

Nie pijesz, prawda?

Nie.

Pytam, bo ty nie tolerujesz alkoholu, kochanie.

Jesteś zbyt wrażliwa.

Twój metabolizm, nerwy...

Nie piję.

Tylko szampana, od święta.

Wkrótce będziemy świętować, kochanie.

Mamy tak wiele do uczczenia.

Szkoda, że nie jesteśmy jeszcze małżeństwem.

Gdybyśmy byli, pewnie bym się nie bała.

Ale czego się boisz, kochanie?

Spróbuj mi powiedzieć.

BO

Nie słyszę cię, kochanie.

Proszę.

Chyba...

boję się Cherie.

Co takiego?

Cherie?

Boję się jej.

Kochanie, myślałem, że lubisz tę rolę.

Bo lubię/Kocham Cherie.

Cherie...

to ja.

Kochanie, Cherie może być częścią ciebie, ale tylko częścią.

Jesteś osobą pod każdym względem bardziej złożoną, niż Cherie w ogóle mogłaby być.

ja...

Mówisz poważnie?

Ja tak nie myślę.

Nie bądź śmieszna.

Cherie to postać komiczna i żałosna.

Jest słodką i naiwną dziewczyną z Ozark.

Całkowicie pozbawioną talentu.

Śpiewa, choć nie umie śpiewać, tańczy, choć nie umie tańczyć.

Jest ode mnie znacznie odważniejsza.

Tatuśku.

Nie rozpacza.

Kochanie, co ty mówisz?

Przecież nie rozpaczasz!

Należysz do najszcześniejszych ludzi, jakich znam.

Naprawdę, Tatuśku?

Z całą pewnością.

Potrafię cię rozbawić, co?

I innych ludzi.

Z całą pewnością.

Pewnego dnia wszyscy poznają się na tobie jako wspaniałej aktorce komediowej.

Poznają się.

Na pewno.

Lubiłeś mnie jako Magdę, prawda?

Rozśmieszałam cię i może doprowadzałam do płaczu?

Nie zepsułam tamtej roli.

Kochanie, byłeś znakomita jako Magda.

Znacznie ją wzbogaciłeś w stosunku do pierwowzoru, który ja stworzyłem.

A Cherie będzie jeszcze znakomitszą kreacją.

Czasami nie wiem, co znaczy "kreacja".

Jesteś doskonałą aktorką, kreujesz postać.

Tak jak tancerka tańczy na scenie i odchodzi.

Jak występuje pianista, mówca.

Zawsze jesteś większa niż twoje role.

Ludzie śmieją się z Cherie.

Nie rozumieją.

Śmieją się, bo jesteś zabawna.

Twoja Cherie jest zabawna.

Ten śmiech nie boli, nie jest okrutny, tylko sympatyczny.

Oni przeglądają się w tobie.

Ich śmiech nie jest okrutny?

A może jest.

Ale nie wtedy, kiedy wykonawca go kontroluje.

Jesteś wykonawcą i panujesz nad wszystkim.

Ale Cherie nie wie, że jest zabawna.

Wydaje się jej, że zostanie gwiazdą.

Właśnie dlatego jest zabawna.

Bo jest...

nieświadoma.

Czy to wypada śmiać się z Cherie, ponieważ ona jest nieświadoma?

Kochanie, o co my się kłócimy?

Dlaczego tak się przejmujesz?

Oczywiście, Cherie jest zabawna, ale też wzruszająca. Przystanek autobusowy to sztuka zabawna i wzruszająca.

Ale to komedia, nie tragedia.

Zakończenie...

Zakończenie jest szczęśliwe, nieprawdaż?

Pobierają się.

Cherie nie ma wyboru.

Nikt inny jej nie kocha.

Kochanie.

Cherie jest postacią w pewnej sztuce!

Autorstwa Williama Ingea!

Nie.

Nie rozumiem.

Jak to: nie?

Cherie, Magda...

inne.

To nie są tylko role.

Ależ są.

One są we mnie.

Ja jestem nimi.

Są rzeczywistymi ludźmi.

O czym ty mówisz, kochanie?

Wiem, że sama w to wszystko nie wierzysz.

Gdyby nie istniały gdzieś naprawdę, nie pisalibyście o nich.

I nikt by ich nie rozpoznawał.

Nawet gdyby wyglądały inaczej.

Kochanie, w porządku.

Chyba już wiem, o co ci chodzi.

Masz wrażliwość poety.

Czy to znaczy, że jestem głupią blondynką?

Głupią cizią?

Kochanie, proszę!

Ktoś mnie nazwał głupią pizdą.

Kochanie...

Kocham Cherie!

Nie kocham Marilyn.

Kochanie, rozmawialiśmy już o tym.

Nie denerwuj się.

Ludzie śmieją się z Cherie, jakby mieli rację.

Bo jest kiepska.

Nie umie śpiewać, nie umie tańczyć.

Nie dlatego, że jest kiepska.

Bo ma aspiracje.

Żyje nadzieją.

Kochanie, nie powinniśmy rozmawiać w ten sposób.

Jesteśmy od siebie tak daleko.

Gdybym tam był...

Śmiejecie się z Cherie, ludzie tacy jak ty.

Bo żyła nadzieją i nie miała talentu.

Bo była kiepska.

...lepiej bym ci to wytłumaczył.

Tak bardzo cię kocham, nie mogę znieść, kiedy się nie rozumiemy.

Chodzi o to, że kocham Cherie i chcę jej bronić.

Przed kobietą podobną do Marilyn, do której będą ją porównywać, wiesz?

Tak się właśnie dzieje, kiedy ludzie się śmieją.

Kochanie, Marilyn to twoje imię sceniczne, zawodowe, nie osoba.

Mówisz, jak gdyby...

Czasami w nocy, kiedy nie mogę zasnąć, to jest dla mnie jasne.

Gdzie popełniłam pierwszy błąd.

Na czym polegał.

Jaki błąd?

Kiedy?

Księżyc świeci tu tak jasno, aż razi w oczy.

Powietrze jest zimne.

Chociaż opuszczę żaluzje i zasłonię oczy, wiem, że jestem w dziwnej okolicy, nawet w nocy.

Chciałabyś, żebym przyleciał wcześniej, kochanie?

Mogę to zrobić.

Mówiłam ci, że pojechaliśmy do Sedony?

Na północ od Phoenix.

Tak mógł by wyglądać początek świata.

Te czerwone góry.

Tak tam pusto.

I spokojnie.

Albo może koniec świata.

Byliśmy podróżnikami w czasie, zapędziliśmy się i nie mogliśmy wrócić.

Powiedziałaś, że było pięknie...

Koniec świata musi być piękny.

Słońce będzie całe czerwone i przysłoni większą część nieba, jak mówią.

Mówiłaś coś o biedzie...

Nieważne, Tatuśku.

Wtedy cię jeszcze nie znałam.

Każdemu zdarzają się biedy, kochanie.

Ale liczy się tylko to, co robimy dobrze.

Wierz mi, skarbie, już wiele, bardzo wiele rzeczy zrobiłaś dobrze.

Naprawdę, Tatuśku?

Oczywiście.

Jesteś sławna, to musi coś znaczyć.

Co to znaczy, Tatuśku?

Że jestem dobrą aktorką?

Tak sędzę.

A teraz jestem lepszą aktorką.

Od powrotu z Nowego Jorku.

Tak. Zgadza się.

I powinnam być z siebie dumna?

Uważam, że powinnaś być z siebie dumna, owszem.

A czy ty jesteś z siebie dumny.

Tatuśku?

Ze swoich sztuk?

Tak. Czasami.

Staram się.

I ja się staram.

Tatuśku, staram się!

Wiem, kochanie.

Nie ma w tym nic złego.

Wprost przeciwnie.

Tylko że wszyscy mnie obserwują, czekają, kiedy się pomylę.

Kiedyś tego nie robili.

Ale wtedy byłam nikim.

Teraz jestem Marilyn i oni czekają.

Jak w Nowym Jorku...

Kochanie, w Nowym Jorku wypadłaś nieźle.

Po raz pierwszy wystąpiłaś przed prawdziwą publicznością, zrobiłaś wrażenie na wszystkich.

Przyjęli cię entuzjastycznie.

Wiesz przecież.

Tak się bałam.

Och, Boże, jak ja się bałam.

Miałaś tremę.

Wszyscy przeżywamy czasem coś takiego.

Nie sędzę, abym mogła z tym żyć.

Bardzo mnie to męczy.

Przed występem na scenie ćwiczę się tygodniami.

Co najmniej sześć tygodni.

Nie da się tego porównać do zwykłego czytania roli.

Tatuśku, wolałabym spać w nocy...

ale boję się koszmarów.

Księżyc świeci tak jasno.

I gwiazdy.

Przywykłam do miasta.

Gdybym była na twoim miejscu, Tatuśku, mogłabym spać, dobrze wiem!

Mogłabym kochać kochać kochać ciebie!

I spać.

Już wkrótce, kochanie, wkrótce tam będę.

Może bym się nigdy nie obudziła, zasnęłabym tak głęboko.

Chyba nie mówisz poważnie, kochanie?

Nie, nie mówię, bo nie mogę cię zostawić.

Kiedy się pobierzemy, nigdy nie zechcę spędzić nocy bez ciebie.

Nie będziesz musiała.

Już ja tego dopilnuję.

Tatuśku, mówiłam ci już, że w filmie jest ta scena na rodeo?

Cherie stoi wśród widowni.

Ma bardzo bladą skórę.

Wybieliliśmy ją.

Zastosowaliśmy specjalny, kredowobialy makijaż, nie tylko na twarz, ale także na wszystko, co widać.

Tylko ona w całym tłumie wygląda jak...

dziwne, smutne, blade jak księżyc stworzenie.

Kobieta.

Inne kobiety miały na sobie normalne spodnie albo dżinsy, jak mężczyźni.

Dobrze się bawiły.

Cherie dobrze się bawiła?

Ona jest dziwolągiem, nie może się dobrze bawić.

Wspinałam się po tych stopniach, słońce świeciło tak jasno, zrobiło mi się niedobrze i zaczęłam wymiotować.

Nie przed kamerą!

Boli cię żołądek?

Kochanie, jesteś chora?

To Cherie, żyje v napięciu.

Wie, że ludzie śmieją się z niej, nawet jeśli - tak jak powiedziałaś - jest "nieświadoma".

Nie użyłem słowa "nieświadoma" w negatywnym sensie, kochanie.

Staralem się jedynie wyjaśnić...

Nie chcę czuć się winna przez całe życie.

Są ludzie, którzy się ze mnie śmieją...

Do diabła z nimi.

Co za ludzie?

Z Hollywood.

Zewsząd.

Posłuchaj, na miłość boską, "Time" przygotowuje wielki artykuł o Marilyn Monroe.

Ile aktorek, ilu aktorów było na okładce "Timea"?

Tatuśku, dlaczego to mówisz?

Co? Coś nie tak?

Och, powiedziałam im, że to za szybko.

Powiedziałam!

Jeszcze tego nie chcę.

Nie jestem jeszcze taka stara...

Pewnie, że nie.

W ogóle nie jesteś stara.

...przyjdzie na to czas, kiedy będę gotowa.

Kiedy sobie zasłużę.

Kochanie, potraktuj to jako wyróżnienie.

Nie bierz tego zbyt poważnie.

Wiesz, czym jest reklama.

To reklama Przystanku autobusowego.

Twojego powrotu do Hollywood.

To może tylko pomóc, nie zaszkodzić.

Tatuśku, dlaczego zacząłeś o tym mówić?

Nie chcę teraz o tym myśleć.

Przeczytam ten artykuł przed tobą, obiecuję.

Nie musisz nawet oglądać okładki, jeśli nie chcesz.

Ale ludzie będą ją oglądać.

Na całym świecie.

Moją twarz na okładce!

Zobaczy ją moja matka; och, a co będzie, jeśli dziennikarz napisze o mnie coś paskudnego?

O mojej rodzinie?

O...

o tobie?

Kochanie, zapewniam cię, że nic takiego się nie wydarzy.

To będzie po chwalny artykuł: "Powrót Marilyn Monroe do Hollywood".

Tatuśku, tak się boję!

Szkoda, że mi o tym powiedziałaś.

Kochanie, przepraszam.

Wybacz.

Wiesz, jak za tobą przepadam.

Teraz nie zasnę.

Tak się boję.

Kochanie, przylecę najszybciej, jak tylko się da.

Jutro rano postaram się wszystko załatwić.

Teraz jest gorzej.

Gorzej niż było.

Za sześć godzin znowu będę Cherie.

Kończmy już, Tatuśku.

Och, kocham cię!

Kochanie, poczekaj...

Wzywała doktora Fella do pokoju hotelowego.

O każdej porze nocy.

Doktor zjawiał się z podręczną torbą lekarską.

I uśmiechał się.

Czerwony, pustynny krajobraz.

Za dnia prześwietlona fotografia.

Nocą niebo skropione światełkami niczym krzykami z oddali.

Zamiast zakryć oczy, chciało się przycisnąć dłonie do uszu.

To, co się działo w Arizonie podczas zdjęć do Przystanku autobusowego, co się wydarzyło wcześniej w Los Angeles, czego nie mogła powiedzieć kochankowi, było dziwne i zbyt nieuchwytnie, aby ująć to w słowa.

Zaczęło się od długiego lotu na zachód.

Po tym, jak na lotnisku La Guardia pożegnała się z Dramaturgiem i całowała, całowała, całowała go, póki oboje nie poranili sobie warg.

Głównym jego zadaniem był rozwód.

Ona miała powrócić do Marilyn

Monroe.

Ale zaczęło się podczas długiego lotu na zachód.

Samolot leciał, wyprzedzając słońce.

Kilka razy zapytała stewardesę podającą drinki, która godzina jest w Los Angeles, kiedy przybędą na miejsce i jak ma przestawić zegarek?

Chyba nie zaprzętała sobie głowy myślami, czy podróżują w czasie do przyszłości, czy do przeszłości.

Studiowała scenariusz Przystanku autobusowego z licznymi poprawkami, wstawkami i skreśleniami.

Tę sztukę widziała na Broadwayu z Kim Stanley w roli głównej i skrycie wierzyła, że w roli Cherie sama okaże się znacznie bardziej przekonująca.

Ale jeśli zawiodę.

Oni czekają.

Miała ze sobą także nabytą w antykwariacie, ogromną, ilustrowaną wersję O powstawaniu gatunków Charlesa Darwina.

Znalazła w tym dziele szereg głębokich prawd!

Pragnęła się uczyć.

Zadziwiła Dramaturga znajomością książek, lecz czasem dostrzegała na jego twarzy uśmiech, który świadczył o tym, że powiedziała coś nie tak albo błędnie wymówiła jakieś słowo.

Ale skąd miała wiedzieć, jak brzmią słowa, chyba nie z samego czytania?

Imiona i nazwiska z dzieł Dostojewskiego!

Czechowa!

Brzmią tak dostojnie, gdy wymawia się je litera po literze.

Była Jasnowłosą Księżniczką powracającą do okrutnego królestwa, które skazało ją na wygnanie.

Naturalnie jako Jasnowłosa Księżniczka wszystko wybaczyła.

"Bardzo szczęśliwa.

Bardzo wdzięczna.

Nadeszła pora, by Marilyn wróciła do pracy".

"Jaka wojna?

Och, nie może być mowy o wojnie!

Kocham Hollywood i mam nadzieję, że z wzajemnością".

"Jednostka, tak samo jak gatunek, musi się zaadaptować albo zginąć.

Zadaptować się do zmieniającego się środowiska.

Bo środowisko stale się zmienia!

W demokracji takiej jak nasza...

ile jest odkryć choćby w samej nauce.

Pewnego dnia, wkrótce, człowiek znajdzie się na Księżycu".

Roześmiała się, zabrakło jej tchu, bo pytano ją o wszystko, podsunęto jej gąszcz mikrofonów.

"Pewnego dnia odkryją tajemnicę tajemnic, źródło życia.

Dla tego jestem z natury optymistką".

"Och tak, jak Cherie, postać filmowa, którą gram.

Uroczą piosenkarką country, która utknęła na Dzikim Zachodzie.

Urodzona optymistka.

Urodzona Amerykanka.

Uwielbiam ją!

" Międzynarodowe lotnisko w Los Angeles.

Może wpadła w panikę i nie chciała wyjść z samolotu.

Na pokład weszli wystawcy Wytwórci.

Na przybycie Marilyn czekało mnóstwo ludzi: fotografowie, reporterzy, ekipy telewizyjne, wielbiciele.

Ryk tłumu dźwięczał w jej uszach jak grzmot wodospadu.

Jak w Honolulu, jak w Tokio.

Miną dwie godziny i czterdzieści minut, zanim w ogóle da się zaprowadzić Blondwłosą Aktorkę do limuzyny i w pośpiechu odjechać.

Z tyłu, między stłoczonymi ludźmi, za policyjnymi zaporami, migną zdziwione twarze zwyczajnych podróżnych.

Trzęsienie ziemi?

Wypadek samolotowy?

Bomba atomowa?

To jakieś kpiny, pomyślała.

W porannych gazetach na pierwszych stronach pojawiły się zdjęcia, artykuły.

MARILYN MONROE POWRACA DO HOLLYWOOD TŁUMY NA LOTNISKU MARILYN MONROE
WRACA DO KINA MARILYN "ZNOWU W DOMU, SZCZĘŚLIWA"

Zdjęcia przedstawiały Blondwłosą Aktorkę w rozmaitych ujęciach.

Wyglądała jak figurka odbita wielekroć w mnóstwie zwierciadełek.

Od przodu, z profilu, z lewej, z prawej, uśmiechnięta, bardziej promiennie uśmiechnięta, przesyłająca całusy, z ustami złożonymi do całusa.

W obu rękach olbrzymi bukiet kwiatów.

Na pierwszej stronie "Los Angeles Times" znalazły się też artykuły donoszące o spotkaniu brytyjskiego premiera Anthonyego Edena i sowieckiego premiera Mikołaja Bułganina oraz o spotkaniu prezydenta Eisenhowera z przedstawicielami powstałej niedawno Niemieckiej Republiki Federalnej.

Wydrukowano także materiał o rodzinach najwybitniejszych naukowców zaangażowanych w ostatnie próby z bombą wodorową (ekwiwalent dziesięciu milionów ton trotylu!

) na atolu Bikini na południowym Pacyfiku.

Lawiny błota w Malibu pochłonęły trzy ofiary.

Wielebny Martin Luther King przeprowadził pokojową pikietę w Pasadenie.

Kpią sobie ze mnie, pomyślała.

Z tego, kim jestem.

Marilyn Monroe miała nowego agenta, Bixa Holyroda ze Swanson Agency.

Do swej dyspozycji miała zespół prawników.

Miała buchaltera.

Z zaliczki otrzymanej po podpisaniu kontraktu na Przystanek autobusowy wpłaciła pierwszą ratę funduszu powierniczego na rzecz swojej matki Gladys Mortensen, który z czasem urośnie do kwoty 100 000 dolarów.

Miała wynajętą przez Wytwórnę rzeczniczkę prasową.

Kosmetyczkę, fryzjera, manikiurzystkę, eksperta od zdrowej skóry i włosów (z dyplomem Uniwersytetu Kalifornijskiego), masażystę, specjalistę od kostiumów, kierowcę i osobistą asystentkę.

Na razie zamieszkała w Bel Air Towers przy Beverly Boulevard, gdzie często będzie się błąkać, nie mogąc odnaleźć wejścia do budynku B.

Miała kłopoty z kluczami, które często jej się myliły.

W oddanym do jej dyspozycji umeblowanym apartamencie pełniła służbę gospodyni oraz niepełnoetatowy kucharz, który nabożnym szeptem nazywał ją "panią Monroe".

Mimo zapachu kwiatów (w apartamencie zawsze stało kilka kompozycji) wyczuwało się subtelną woń stęchlizny.

Nie stawiała kwiatów w sypialni, bo wiedziała, że nocą zużywają tlen.

Zainstalowano w apartamencie kilka telefonów, ale rzadko się któryś odzywał.

Nie można się z nią było połączyć bezpośrednio.

Kiedy podnosiła słuchawkę, aby zadzwonić do miasta, często linia była głucha albo słyszało się trzaski, co oznaczało (jak jej wyjaśnił Dramaturg), że podłączono podsłuch.

Pamiętała, żeby opuszczać żaluzje we wszystkich oknach.

Apartament znajdował się na drugim piętrze, więc nie wydawał się bezpieczny.

Poprosiła gospodynię o przysycie do wszystkich jej ubrań etykietek i prowadzenie szczegółowego rejestru rzeczy oddawanych do pralni, ponieważ dowiedziała się (od Bixa Holyroda, według którego było to zabawne), że istniał lukratywny czarny rynek jej bielizny.

Chodziła na obiady i kolacje wydawane na jej cześć.

Wymykała się z nich pod jakimś pretekstem, aby zadzwonić do nowego, nowojorskiego mieszkańca Dramaturga w wysokim budynku bez windy.

Gospodarzem jednego z obfitszych obiadów był pan Z, który w Bel Air miał teraz nową, wspaniałą, śródziemnomorską posiadłość oraz nową, młodą żonę o kasztanowych włosach i piersiach niczym przód zbroi.

Pan Z zestarzał się zadziwiająco korzystnie.

Tak naprawdę wydawał się młodszy niż mężczyzna, którego zapamiętała.

Choć niższy od Marilyn ("Marilyn, mój najcenniejszy skarb") o kilka cali, z małym garbem między łopatkami, pan Z rozprawiał teraz z dumą, poruszając siwymi włosami przypominającymi lwią grzywę, a jego oczy były oczami starego mędrca.

Pan Z był hollywoodzkim pionierem, żyjącym "kawałem historii".

Jak zwykle pan Z i Marilyn Monroe wdali się w zabawną konwersację, podczas gdy reszta słuchała zazdrośnie.

- Nadal ma pan Ptaszarnię, panie Z?

Owe nieszczęsne martwe ptaki?

- Zbieram antyki, moja droga.

Chyba pomyliłaś mnie z kimś innym.

-Wypychał pan ptaki, panie Z.

Wielu z nas drżało ze strachu przed pańskimi dłońmi.

- Posiadam niezwykle wyszukaną kolekcję rzymskich popiersi i głów.

Mam ci pokazać?

Limuzyna wozila ją na podobne kolacje w bogatych rezydencjach oraz na spotkania za dnia.

Na wywiady, sesje zdjęciowe, narady w Wytwórni.

Ze zdumieniem zorientowała się, że jej kierowcą jest Żabi Szofer.

Zatem nie wymyśliłam go sobie.

Wszystko działo się naprawdę.

Żabi Szofer też jakby wcale się nie postarzał.

Ta sama sztywna, doskonała postawa, ta sama po marszczona, poznaczona cętkami ciemnawa skóra, błyszczące, wybałuszone oczy.

Oczy nieprzeniknione.

Czapka naciśnięta na czoło, ciemnozielony uniform ze złotymi guzikami jak u Johnnycgo od Philipa Morrisa.

Inaczej niż tamten szelmowski Johnny, który przez ćwierć wieku wysokim falsetem zwracał się do milionów uzależnionych od nikotyny Amerykanów, Żabi Szofer był milczkiem.

Blondwłosa Aktorka uśmiechnęła się do niego szczerze.

"Hej, jak się masz!

Pamiętasz mnie?

" Drżała, ale postanowiła być po godna i bezpośrednia, bo przecież wszyscy życzymy sobie, aby po naszej śmierci tacy osobnicy jak Żabi Szofer mówili o nas dobrze.

"Pewnego razu zawiozłeś mnie do domu dziecka.

Co to był za dzień!

I jeszcze do innych miejsc".

Za ciemną szybą na tylnym siedzeniu limuzyny Blondwłosa Aktorka jechała po Mieście z Piasku, podczas gdy moje serce było w Nowym Jorku z ukochanym, wkrótce moim mężem, autorem prawdziwej historii mojego życia, w której będę zwykłą, amerykańską dziewczyną z ludu, bohaterką.

W tym samym czasie, lekko wstawiona (Marilyn Monroe piła tylko szampana i tylko Dom Perignona), uśmiechnęła się do swoich myśli: Pewnego razu żył sobie przystojny młody książę zaklęty w żabę.

Tylko wtedy, gdy księżniczka o jasnych włosach pocałuje go, okrutny czar pryśnie, a przystojny młody książę i księżniczka pobiorą się, po czym będą żyli długo i szczęśliwie.

W oparach takich bajkowych opowieści zasypiała.

Na miejscu przeznaczenia Żabi Szofer stukał w szklaną przegrodę, aby ją obudzić, zawsze niechętny, by wypowiedzieć choćby jedno słowo.

- Pani Monroe?

Jesteśmy.

Najczęściej przywoził ją do Wytwórni.

Do olbrzymiego imperium za murami; za strzeżoną przez wartowników bramą.

Gdzie zaledwie przed dekadą narodziła się Marilyn Monroe.

Gdzie wykuto los Marilyn Monroe.

Gdzie przed kilkoma dziesiątkami lat przypuszczalnie spotkali się przeznaczeni sobie kochankowie, rodzice Marilyn Monroe.

Matka, Gladys Mortensen, pracownica laboratorium, lecz wyjątkowo atrakcyjna młoda kobieta.

I ojciec...

(Blondwłosa Aktorka z całym przekonaniem opowiadała dziennikarzom, którzy uparcie pytali o jej tajemniczego ojca, że ów człowiek nadal żyje, tak; utrzymuje z nią kontakt, tak; ona zna jego tożsamość, tak; ale on nie życzyłby sobie, aby dowiedział się o tym świat, "a ja szanuję jego życzenia".)

Dawna jej garderoba - niegdyś należąca do Marleny Dietrich - była gotowa na jej przybycie.

Czekały bukiety kwiatów.

Stosy listów, telegramów, wzruszające małe podarunki.

Otworzyła drzwi i zamknęła je, czując przyływ torsji.

Doktor Bob nie pracował już w Wytwórni.

Zniknął, jakby nigdy nie istniał.

Podobno odsiadywał wyrok w San Ouentin za nieumyślne spowodowanie śmierci.

("Pewna dziewczyna zmarła za jego sprawą, a on nie chciał pozbyć się jej ciała, tak jak mu kazano".) Jego gabinet zajął nowy lekarz, doktor Fell.

Doktor Fell był wysoki, miał ostro zarysowane brwi, urodę Caryego Granta i emanował lekarskim autorytetem.

Imponował pacjentom znajomością Freuda; ze znanstwem rozprawiał o libido, powstrzymywaniu dziecięcej agresji i rozczarowaniu kulturą: "Wszyscy podtrzymujemy jej istnienie i z jej powodu cierpimy".

Doktor Fell będzie czuwał na planie Przy stanku autobusowego i później poleci do Arizony w plener.

Często w jasne, księżycowe, bezsenne noce Cherie będzie wzywała doktora Fella - w piżamie i szlafroku Caryego Granta - do swego pokoju w motelu, gdyż rozpaczliwie pragnęła zasnąć.

Tylko ten jeden raz.

Ten kolejny raz.

Nie przyzwyczaję się, daję słowo/Doktor Fell był kapłanem, który w razie potrzeby mógł wstrzyknąć płynny nembotal bezpośrednio do żyły; już sam dotyk doktora, jego kciuk szukający żyły w delikatnym przedramieniu Cherie, przynosił ulgę.

Och, Boże/Dziękuję.

Z początku na planie Przystanku autobusowego panowała magiczna atmosfera dobrej woli.

Norma Jeane była Marilyn, która była Cherie po same koniuszki palców.

Była aktorką wyszkoloną w Nowojorskim Zespole, zwolenniczką Metody, ucieleśnieniem sztuki scenicznego i mądrości Stanisławskiego- Zawsze musisz grać siebie.

Postać wytopiona w piecu pamięci.

Znała Cherie od podszewki, znała każdą łatę i każde rozdarcie w jej żalonych, niby-olśniewających kostiumach szansonistki.

Znała Cherie tak dobrze, jak znała Normę Jeane Baker z agencji Preene, Miss Produktów Aluminiowych 1945, Miss Produktów Mlecznych Południowej Kalifornii 1945, Miss Gościnności za dziesięć dolarów dziennie, ciągle uśmiechnięta, próbująca się przypodobać.

Och, spójrz na mnie!

Wynajmij mnie!

Rola Cherie odpowiadała jej jak żadna inna.

Bo nigdy wcześniej nie mogła sobie wybrać roli.

Jak dziewczyna w burdelu, która musi przyjąć każdego klienta, bo inaczej zostanie pobita, musiała przyjmować każdą bez wyjątku rolę narzucaną jej przez Wytwórnę.

Do teraz.

Sprawię, że pokochacie Cherie.

Cherie złamie wam serca.

Wierzyła w siebie, była skupiona jak nigdy wcześniej.

Uwagi Pearlmana dźwięczały jej w uszach jak nakazy Jehowy.

Głębiej!

Za nurz się głębiej.

Sięgnij do samych korzeni motywacji.

Do wspomnień ukrytych jak skarb. W jej uszach brzmiał uprzejmy, zdecydowany, ojcowski głos Dramaturga.

Nie możesz wątpić w swój talent, kochanie.

Twój olśniewający dar.

Nie możesz wątpić w moją miłość do ciebie.

Och, nie wątpiła.

Reżyser był artystą wybitnym, którego Wytwórnia zaangażowała, ponieważ ona sobie tego zażyczyła.

Nie był byle jakim wyrobnikiem.

Był twórcą teatralnym, wysoko cenionym przez Dramaturga, nieco dziwacznym i nie zależnie myślącym.

Wysłuchał uważnie propozycji swojej gwiazdy.

Wywarła na nim niemałe wrażenie inteligencją, psychologiczną wnikliwością i aktorskim doświadczeniem, gdy przeanalizowała obszernie postać Cherie.

Mówiła o kostiumach, oświetleniu, makijażu, włosach, odcieniu skóry.

("Myślałam o pelagrze, o nieziemskiej bladości.

Taka moja mała sugestia.

To musi być subtelne jak wiersz".) Oczywiście reżyser zawdzięczał jej pracę i to może złagodziło jego nastawienie; nie spojrzał w bok z uśmiechem ani nie zbył dowcipem jej uwag, jak robili to inni reżyserzy.

A jednak jego grzeczność była niepokojąca.

Wydawał się jej zbyt uprzejmy; za bardzo ją szanował albo za bardzo się jej bał.

Ten sposób, w jaki na nią patrzył, kiedy pojawiła się na planie jako Cherie, w stroju tancerki, z odsłoniętymi częściowo piersiami, z nogami w czarnych pończochach - jak rozmarzony mężczyzna.

Miała nadzieję, że się w niej nie kocha.

Jednak miała trochę szczęścia!

Więcej, niż zasłużyła.

Artykuł w "Timesie" dotyczył wyłącznie Marilyn, nie jej.

Chryste, nie miałem pojęcia, że Marilyn jest taka...

charyzmatyczna.

Ta kobieta fascynowała jak tańczący płomień.

Na planie i poza nim.

Czasami gapiłem się na nią i nie wiedziałem, gdzie, do licha, jestem.

Od dawna już reżyseruję i myślałem, że jestem odporny na kobiecą urodę, a już z pewnością na seksualne wdzięki, ale Monroe to była całkowicie odmienna sprawa, wykraczająca poza urodę i seks.

Bywały dni, że eksplodowała talentem.

Miała w sobie gwałtowny ogień, szukający ujścia.

Wiedziałaś, że obcujesz z geniuszem; być może geniusz przechodzi w szaleństwo, jeśli nie znajdzie ujścia; i tak się w końcu stanie, w ostatnich latach życia w ogóle nie będzie się mogła pozbierać.

Aleja miałem Monroe u szczytu jej możliwości.

Była jedyna w swoim rodzaju.

Wszystko, co robiła jako postać filmowa, było na tchnione.

Brakowało jej pewności siebie do tego stopnia, że prosiła o powtarzanie danej sceny tak długo, aż zrobiła ją doskonale.

Kiedy zagrała doskonale, sama o tym wiedziała.

Uśmiechała się do mnie i ja już wiedziałem.

Czasami ogarniała ją takie przerażenie, że spóźniała się z wyjściem na plan o kilka godzin.

Albo w ogóle nie potrafiła sobie z tym poradzić.

Chorowała dosłownie na wszystko: grypę, anginę, zapalenie gardła, bronchit.

Znacznie przekroczyliśmy budżet.

Moim zdaniem warto było wydać każdego centa.

Kiedy Monroe była w swoim żywiole, przypominała nurka opadającego na samo dno morza; gdyby zatrzymała się dla zaczerpnięcia oddechu, utopiłaby się.

Chyba się w niej kochałem.

Naprawdę, szalałem za nią.

Przeżyłem prawdziwy wstrząs, bo myślałem, że okaże się prymitywną, głupią cizią z rozbujanymi cycami i tyłkiem.

A tu wpada anioł, Marilyn Monroe, chwyta mnie za rękę i mówi, że ten cały scenariusz nie jest najlepszy:

efekciarski, płytki i oklepany, ona postanowiła naprawić, co się tylko da, pewnie złamię mi serce i, na Boga, rzeczywiście złamała.

Tamtego roku nawet nie otrzymała nominacji do Oscara.

Wszyscy wiedzieli, że w pełni na nią zasłużyła za Przystanek autobusowy.

Skurwysyny!

Coś się dzieje, oświadczyła kochankowi, ale nie miała odwagi powiedzieć mu, że coraz dłużej i dłużej trwa każdego ranka wywołanie z lustra Magicznej Przyjaciółki.

Dawniej wystarczyło, że tylko zerknęła w szklaną głębinę, a pojawiała się ślicznie uśmiechnięta Przyjaciółka z Lustra, spragniona, by ją objąć i po całować.

Dawniej, gdy była modelką, wystarczyło, że przybrała odpowiednią pozę.

Wchodziła w trans, a wtedy od razu wyłaniała się Magiczna Przyjaciółka.

Dawniej, gdy już była aktorką filmową, wystarczyło, że pojawiła się na planie, weszła do garderoby i przygotowała się, a przed kamerami dochodziło do niewytłumaczalnej, magicznej przemiany, krew zaczynała w niej krążyć gwałtowniej niż podczas seksu.

Kiedy wypowiadała tekst, który za pamiętywała bez wysiłku, często nawet nie wiedząc, że go zapamiętuje, podniecona i przestraszona zaczynała żyć w wypożyczonym ciele, była Angelą, Nell, Rosę, Lorelei Lee, Dziewczyną z Góry.

Nawet stojąc na kracie wentylatora - Eks-Sportowiec świadkiem jej degradacji - była całkowicie i bez reszty Dziewczyną z Góry, rozkoszującą się swym istnieniem.

Spójrz cie na mnie!

Jestem, kim jestem.

To takie dziwne, że w chwili, kiedy miała zagrać rolę życia, rozpocząć nowy rozdział w karierze jako poważna aktorka filmowa, ogarnęły ją wątpliwości.

Bała się.

Zwlekała się z łóżka dopiero wtedy, gdy dobijano się do jej drzwi, kiedy już była spóźniona na poranne zdjęcie.

Gapiała się na swoje odbicie w lustrze i widziała Normę Jeane, nie Marilyn.

Żółtawą skórę, przekrwione oczy i coś tragicznie podpuchniętego wokół ust.

Dlaczego tutaj jesteś?

Kim jesteś Usłyszała cichy, zduszony chichot.

Szyderczy śmiech mężczyzny.

Ty żałosna, chora krowo.

Coraz dłużej trwało wywołanie z lustra Marilyn.

Cherie 196 599

Wyznała Whiteyowi, specjaliście od makijażu, któiy znał ją bliżej niż jakikolwiek kochanek czy mąż:

- Straciłam odwagę.

Odwagę bycia młodą.

Whitey odpowiedział na to z wyrzutem:

- Pani Monroe!

Pani jest młodą, młodą kobietą.

- Z takimi oczami?

Nie, Whitey, już nie.

Whitey popatrzył na lustrzane odbicie jej oczu i lekko wzruszył ramionami.

- Kiedy skończę swoją pracę, pani Monroe, wtedy zobaczymy.

Czasem sztuczki Whiteya działały i było dobrze.

Czasem zaś nie.

Z początku na planie Przystanku autobusowego Blondwłosa Aktorka potrzebowała niewiele więcej czasu, niż to się mieściło w granicach rozsądku, aby przygotować się do wyjścia przed kamerę.

Ta młoda kobieta była piękna w sposób naturalny, miała lekko błyszczącą skórę, przenikliwe spojrzenie; by mogła stanąć przed kamerą, wystarczyło użyć odrobiny pudru, szminki, różu.

Potem stopniowo potrzebowała na to coraz więcej czasu.

Czyżby Whitey tracił talent?

Jeżeli ze skórą aktorki coś było nie w porządku, należało za pomocą kremu delikatnie usunąć makijaż i zrobić nowy.

Czasem coś było nie tak z włosami.

(Co może być nie tak z włosami?)

Musiały być zwilżone, ułożone na nowo i wysuszone ręczną suszarką.

Tymczasem Norma Jeane siedziała bez ruchu przed lustrem, z oczami opuszczonymi do modlitwy.

Proszę, przyjdź.

Proszę!

Nie opuszczaj mnie.

Proszę!

Ta właśnie kobieta, którą pogardzała.

Marilyn, z której szydziła.

Dramaturg przyleciał do niej do Arizony.

Mimo że jego życie było w rozsypce.

Mimo że (bał się jej to powiedzieć) znowu otrzymał wezwanie do stawienia się w Waszyngtonie, gdzie miał się wytłumaczyć z młodzieńczego zaangażowania w "wywrotową" i "tajną" działalność polityczną.

Nie spodziewał się, że znajdzie Blondwłosą Aktorkę w takim stanie, taką rozkojarzoną, taką... zupełnie do siebie niepodobną.

Teraz już nie było w niej ani odrobiny dziewczyny o włosach jak len i dźwięcznym śmiechu.

Och, pomóż mi.

Pomożesz mi?

Najdroższa, co się dzieje?

Kocham cię.

Nie wiem.

Tak bardzo pragnę, żeby Cherie żyła.

Nie chcę, żeby umarła.

Serce przepętniała mu miłość do niej.

Przecież była jeszcze dzieckiem!

Była od niego zależna jak przed laty jego własne dzieci.

Nawet bardziej zależna, bo dzieci miały również Esther, a Esther zawsze była im bliższa.

W zacienionym pokoju godzinami leżeli w łóżku.

Szeptali, całowali się i kochali.

Wzajemnie się pocieszali.

Ona też go pocieszała, bo bez niej cierpiała jego dusza, on też bał się świata.

Godzinami potrafili leżeć w sennym odrętwieniu.

Wyobrażali sobie (ale może to nie była wyobraźnia), że wchodzą nawzajem do swoich snów, tak jakby wkraczali w swoje dusze.

Przytul mnie.

Kochaj.

Nie puszczaj mnie.

Wokół surrealistyczny, pustynny pejzaż, czerwone skaliste góry i grzbiety jak księżycowe kratery.

Nocne niebo, niezmierne, przytłaczające, a jednocześnie upajające, tak jak opisała je Blondwłosa Aktorka.

Wydaje mi się, że przy tobie wszystko by się ułożyło.

Gdybyś był tu ze mną.

Gdybyśmy byli małżeństwem.

Och, kiedy będziemy małżeństwem!

Boję się, że coś nam przeszkodzi.

Otoczył ją ramieniem, opowiedział o nocnym niebie.

O tym, co przyszło mu do głowy.

O równoległym świecie, gdzie już byli małżeństwem i mieli dwanaścioro dzieci.

Rozbawił ją.

Ucałował jej powieki.

Pocałował piersi.

Podniósł jej dłoń do swoich ust i pocałował palce.

Powiedział jej wszystko, co wiedział na temat konstelacji Bliźniąt - bo wcześniej powiedziała mu, że taki jest jej znak zodiaku - te Bliźnięta nie walczą, tylko kochają się, są lojalne i sobie oddane.

Nawet po śmierci.

Nie uszedł uwagi otoczenia fakt, że nie minął dzień od przybycia Dramaturga, a Blondwłosa Aktorka zaczęła wracać do życia.

Dramaturg, dla niektórych już wcześniej bohater, stał się teraz bohaterem jeszcze większym.

Jakby Blondwłosa Aktorka przeszła transfuzję krwi.

A jednak Dramaturg nie utracił wszystkich sił, też sprawiał wrażenie ożywionego, odmłodzonego.

Cud!

Byli w sobie bardzo zakochani.

Trzeba ich było widzieć...

Jak ona trzymała się jego ramienia, jak na niego patrzyła.

Jak on na nią patrzył.

Na czym polegał jego sekret?

Dramaturg potrafił rozmawiać z Blondwłosą Aktorką jak nikt inny.

Owszem, przytulał ją i pocieszał; owszem, niańczył ją jak inni mężczyźni; ale prócz tego rozmawiał z nią szczerze i otwarcie.

Jej to odpowiadało!

Oświadczył surowo, że powinna patrzeć na świat realistycznie.

Musiała być profesjonalistką.

Była jedną z najlepiej opłacanych aktorek na świecie i podjęła się wykonania pewnej pracy.

Co mają do tego emocje?

Co mają do tego wątpliwości?

"Jesteś odpowiedzialnym, dorosłym człowiekiem, Normo.

Musisz się odpowiedzialnie zachowywać".

W odpowiedzi pocałowała go w usta.

Och, tak.

Miał rację.

Niemal żałowała, że nie chwycił jej za ramię i nie potrząsnął.

Tak jak by to zrobił Eks-Sportowiec.

Dramaturg podjął swój ulubiony temat.

Karierę rozpoczął od pisania monologów i uważał monolog za najbardziej naturalną formę wypowiedzi.

Czyż nie ostrzegał jej przed nadmiarem teorii?

- Zawsze uważałem, że jesteś urodzoną aktorką.

Intelektualizowanie może cię tylko sparaliżować.

W Nowym Jorku przygotowywałaś się do zajęć i po paru tygodniach byłaś wyczerpana.

To charakterystyczne dla amatora.

Nie sądzę, aby akurat w tym przejawiał się talent.

Moim zdaniem znacznie korzystniejsze dla aktora jest pozostawienie w postaci marginesu czegoś surowego, niezbadanego.

Na tym polega tajemnica Johna Barrymorea.

Przyjaźnisz się z Brando?

Brando także to robi.

Można nawet nie znać do końca swego tekstu, improwizować w stylu swojej postaci.

Znakomity aktor sceniczny nigdy nie zagra tak samo dwa razy.

Nie recytuje tekstu, tylko tak go wypowiada, jakby go wcześniej nie znał.

Tej rady powinien cię udzielić Pearlman, ale przecież znasz Maxa: ta jego pretensjonalna Metoda Stanisławskiego.

Mówiąc wprost, to bzdura.

Czy koliber poleci, jeżeli stanie się świadomy własnych skrzydeł, toru lotu?

Czy przemówimy, jeśli staniemy się świadomi każdego wypowiedzanego słowa?

Zapomnij o Pearlmanie.

Zapomnij o Stanisławskim.

Zapomnij o tej bzdurnej teorii.

Aktor jednego tylko może się obawiać: że się zmęczy nadmiarem prób i wypali.

Pamiętam inscenizacje moich sztuk, przy których reżyser zmuszał aktorów do nadmiernego wysiłku; szczyt ich możliwości przypadł na wiele dni przed premierą, tracili zapał i wypadali blado.

To się zdarzyło Pearlmanowi.

Ludzie go chwala, mówią, że w sali po jego próbach zostaje krew...

kolejne bzdury.

Powtarzasz, kochanie, że poznałaś Cherie od środka?

Jak siostrę?

Może to wcale nie jest dobre.

Może to nawet nie jest prawda.

Powinnaś założyć, że nie znasz Cherie.

O, kiedyś mi powiedziałaś, że Magda jest kimś więcej, niż mi się wydaje.

Dlaczego nie pozwolić Cherie odetchnąć?

Przyjmij, że Cherie może cię zaskoczyć.

Kolejny raz, bez słowa, drżąc z wdzięczności, Blondwłosa Aktorka podniosła się na palcach, aby pocałować Dramaturga w usta.

Och, tak.

Dzięki Bogu.

Miał rację.

Następnego dnia rano pelagrowoblada, platynowoblond Cherie pojawiła się na planie, ubrana w czarną koronkową bluzkę, obcisłą, czarną satynową spódnicę z czarnym paskiem, czarne siatkowe pończochy, czarne sandały na wysokim obcasie.

Miała podkrążone oczy, przesłodzone, dziecięce usta, drżące i skruszone.

Marylin przybyła punktualnie!

Nie, nie Marilyn - Cherie.

Patrzyliśmy na tę niesamowitą kobietę, obgryzającą paznokcie kciuka jak uczennica w szkole aktorskiej albo jak rzeczywista, prosta dziewczyna, która doskonale wie, że jest zła, i spodziewa się nagany.

Przyciągnęła po podłodze sponiewierane boa tak jak Cherie.

Mówiła jak Cherie, z najprawdziwszym akcentem dziewczyny z Ozark.

Tak cicho, że ledwie ją słyszeliśmy:

- Rany, przepraszam.

Błagam was o wybaczenie.

Zrobiłam coś, czego Cherie by nie zrobiła, wpadłam w rozpacz.

Nie byłam odpowiedzialnym członkiem tego zespołu.

Nie macie pojęcia, jak bardzo jest mi wstyd.

O, do diabła.

W jednej chwili zapomnieliśmy o naszych urazach, gniewie, kłopotach, jakie z nią mieliśmy.

Zaczęliśmy spontanicznie klaskać.

Kochaliśmy naszą Marilyn.

Po pewnych zawirowaniach na starcie teraz wszystko się jakoś po układało.

Tytuł nowego filmu brzmi: Przystanek autobusowy.

Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Miała zwyczaj wysyłania kartek pocztowych do Lakewood, do Gladys.

Wysyłała kartki z Nowego Jorku.

Kocham to miasto.

Bo to jest prawdziwe miasto, nie Miasto z Piasku.

Gdybyś miała ochotę odwiedzić mnie, Mamo, mogłabym to załatwić.

Samoloty bez przerwy latają tam i z powrotem.

Czuła się nieswojo, kiedy zadzwoniła do Gladys po wyjeździe z Los Angeles.

Myślała, że Gladys ma do niej pretensje, iż została sama.

Jednakże w rozmowie telefonicznej nie odniosła takiego wrażenia.

Norma Jeane za dzwoniła do niej z Nowego Jorku, kiedy zakochała się w Dramaturgu i wiedziała już, że za niego wyjdzie i że to on zostanie ojcem jej dzieci.

Mam nowych, wspaniałych przyjaciół; jeden z nich jest znanym w świecie nauczycielem gry aktorskiej, drugi - wybitnym amerykańskim dramaturgiem, zdobywcą nagrody Pulitzera.

Spotkałam znajomego z Hollywood, Mariana Brando.

Opowiedziała Gladys o kupowaniu książek w antykwariacie.

Szukała tytułów, które kiedyś miała Gladys, ale ich nie znalazła.

Skarbczyk poezji amerykańskiej.

Tak to chyba się nazywało.

Przepadała za tą książką!

Uwielbiała chwile, kiedy Gladys czytała jej wiersze.

Teraz sama czytała wiersze, ale głosem Gladys.

Na podobne uwagi Gladys odpowiadała niemal bez głośnie: To miło, kochanie.

Zatem już więcej nie zadzwoniła do Gladys, z Arizony wysyłała jedynie pocztówki.

Pewnego dnia, kiedy będę bogata, razem tu przyjedziemy.

To, z całą pewnością, koniec świata!

Norma Jeane tak bardzo się bała oglądania nakręconego materiału, przerażona, iż Marilyn ją zdradziła, że w ogóle przestała się orientować, jaki kształt przybiera Przystanek autobusowy - nie licząc scen, w których występowała.

A jej sceny powtarzano tyle razy, w obawie o swoją rolę Norma Jeane żyła w takim napięciu, serce waliło jej w piersi tak mocno, że nie miała pojęcia, jak mogły one wypaść w oczach neutralnego obserwatora.

Niczym Cherie parła do przodu, ślepa i pełna wiary.

Zaufała instynktowi, tak jak jej doradził kochanek.

Norma Jeane nie widziała więc całego Przystanku autobusowego, od hałaśliwego, komicznego wstępu po sentymentalno-romantyczne zakończenie, aż do pierwszego pokazu w Wytwórni na początku września.

Nie zobaczy, jak wyśmienicie sportretowała Cherie, aż do tamtego dnia.

Będzie już wtedy kobietą zamężną.

W salce kinowej Wytwórni usiądzie obok męża w pierwszym rzędzie pluszowych foteli; w mroku oboje będą trzymali się za ręce.

Nieco odurzona działaniem miltownu i szampana Dom Perignon.

Norma Jeane była Marilyn, ale bardzo spokojną.

Kryzys, jaki przeszła wio sną w Arizonie, wydawał się tak odległy, jakby dotyczył kogoś całkiem innego.

Nie spodziewała się, że Przystanek autobusowy wypadnie tak dobrze.

Zagrała najbardziej porywającą rolę w swojej karierze.

Na początku była przerażona, ale zdobyła się na wyczyn, którego nie musiała się wstydzić; mogła być z niego dumna.

A jednak ów sukces wydawał się jej przewrotnym zwycięstwem, czuła się jak pływak, któremu ledwo udało się po końcu rwący nurt rzeki.

Pływak z trudem wydostaje się na brzeg; publiczność, która nic nie ryzykuje, wiwatuje, bije brawo.

Tak samo publiczność na pokazie wiwatowała, biła brawo.

Dramaturg objął ją obronnym gestem; czuł drżenie jej ramion.

- Kochanie, dlaczego płaczesz?

- szepnął.

- Byłaś cudowna.

Jesteś cudowna.

Posłuchaj ich.

Hollywood cię uwielbia.

Dlaczego płakałam?

Może dlatego, że w prawdziwym życiu Cherie piła by dużo.

Brakowałoby jej połowy zębów.

Musiałyby sypiać z najgorszymi typami.

Przecież bez sensu jest sądzić, że mogłaby tego uniknąć.

Po prostu scenariusz był sentymentalny i sztampowy.

W 1956 roku nie można było ryzykować śmiałych scen ze względu na Legion Przyzwoitości.

W prawdziwym życiu Cherie została by pobita i prawdopodobnie zgwałcona.

Przechodziłaby z rąk do rąk.

Tylko mi nie mówcie, że na Dzikim Zachodzie jest inaczej, znam mężczyzn.

Wykorzystyaliby ją, póki ktoś by jej nie zmajstrował dzieciaka albo póki by nie zbrzydła, albo jedno i drugie.

Nie byłoby żadnego przystojnego kowboja Bo, który by ją przerzucił przez ramię i zabrał na swoje ranczo o powierzchni dziesięciu tysięcy akrów.

Piłaby i brała narkotyki, aby przetrwać dzień, aż wreszcie nie mogłaby zwlec się z łóżka ani nawet otworzyć oczu, a potem by umarła.

(AMERYKAŃSKA) AKTORECZKA 1957

Pani Monroe!

Po raz pierwszy jest pani w Anglii.

Jakie są pani wrażenia?

Królestwo Śmierci.

Jego mieszkańcy snują się bezgłośnie niczym duchy.

Twarze blade jak opalizujące niebo i mgliste powietrze bez cieni.

Między nimi ona, (amerykańska) Blondwłosa Aktorka, pod tym samym urokiem.

Na tych wyspach na Morzu Północnym równie dobrze mogła być zima, jak i wiosna.

Nie dało się przewidzieć kolejnego dnia na podstawie poprzedniego.

Krokusy i żonkile kwitły w śmiałych barwach, chociaż było przenikliwie zimno.

Na zamglonym niebie słońce było widoczne jako nikły sierp.

Szybko przestaje ci na czymkolwiek zależeć.

- Kochanie, co się stało?

Chodź do mnie.

- Och, Tatuśku.

Nawet nie wiesz, jak tęsknię za domem.

Księżę i aktoreczka.

Za partnera miała słynnego angielskiego aktora O.

Była (amerykańską) aktoreczką występującą w wędrowniej grupie w mitycznym kraju na Bałkanach.

Piersiastą, kręcącą tyłeczkiem w połyskujących satynach.

Kiedy po raz pierwszy widzimy, jak Aktoreczka staje w szeregu, aby się uklonić Wielkiemu Księciu z monoklem, jedno z jej ramiączek pęka i niemal odslania cudowne, sterczące piersi.

- To tandeta.

Wodewil.

Bracia Mara.

- Kochanie, to komedia.

Blondwłosa Aktorka była dzielną Amerykanką irlandzkiego pochodzenia, dziewczyną z Milwaukee w stanie Wisconsin.

Była Kopciuszkiem, Żebraczką.

Której nieprawdopodobna znajomość niemieckiego komplikuje mizerną intrygę.

On natomiast był pedantycznym Księciem Regentem.

Sławny brytyjski aktor grał go z temperamentem i wyrafinowaniem nakręcanej zabawki.

- Co to jest?

Jak on gra?

To parodia?

Nie rozumiem.

- Nie sędzę, żeby mu chodziło o parodię.

Interpretuje scenariusz jako salonową komedię, co oznacza sceniczny styl z pewną dozą sztuczności.

Nie należy do zwolenników Metody...

- Sabotuje film?

Ale dlaczego?

Przecież jest reżyserem!

- Kochanie, nie "sabotuje" tego filmu.

Po prostu stosuje inną technikę niż twoja.

Historia jest bajkowa, a mocą scenariusza Księżę i Aktoreczka mają się w sobie zakochać.

Tyle że owo uczucie nie jest bardziej wiarygodne niż miłość między dużymi lalkami.

- Odnosi się z lekceważeniem do swojej roli.

I do mnie.

- Nie bardzo w to wierzę.

- Przyjrzyj się!

Zwłaszcza jego oczom.

Zmuszona była spojrzeć na siebie matowym, przysłoniętym monoklem okiem O: wiecznie roztrzęsiona, cycata amerykańska aktorka o delikatnych, platynowoblond włosach przypominających watę cukrową, o błyszczących czerwonych ustach.

Aktoreczka była otwartą młodą kobietą z (amerykańskiego) ludu, Księżę - powściągliwym, przywiązanym do (europejskiej) tradycji arystokratą.

Poza planem O demonstrował chłodną uprzejmość, czasem łaskawość, lecz na planie, przed kamerami, gardził nią.

Wydawała się nie na miejscu wśród tych wykształconych w Akademii, szekspirowskich aktorów, tak samo jak by to mogło być w podobnej sytuacji z biedną szansonistką Cherie.

Marilyn Monroe była (amerykańską) dojną krową w brytyjskiej fantazji po zdobyciu bogactwa v Hollywood.

Pogarda O dla Hollywood i dla Marilyn cuchnęła do tego stopnia, że nawet jej perfumy rozpaczy nie mogły tego zamaskować.

Sposób, w jaki O wymawiał "Marilyn".

O jako reżyser skazanego na porażkę filmu i jako odtwórca głównej roli.

Jego angielski akcent był jak nóż uderzający w porcelanę.

Zwracał się do niej jak do opóźnionego w rozwoju dziecka.

Tyle że się nie uśmiechał.

- Mari-lyn.

Moja droga, czy mogłabyś mówić wyraźniej?

Bardziej zrozumiale?

Często nie odpowiadała.

Równie dobrze mógłby się nad nią pochylić i napluć jej w twarz.

Była Normą Jeane Baker unieruchomioną w sukience odstaniającej znaczną część jej piersi, głowa piekła ją po zabiegu tlenienia włosów, umysł pracował wolno jak mechanizm tradycyjnego budzika.

Nagle pogrążyła się w jakimś śnie.

Cztery godziny i czterdzieści minut spóźnienia tego dnia.

Kaszlała, więc sceny trzeba było powtarzać.

Myliła się; nie mogła zapamiętać najprostszyc dialogów.

Dawniej uczyła się ich z nie zwykłą łatwością.

Dawniej pamiętała także dialogi innych aktorów.

Z porów na jej czole i nosie poprzez naleśnikowaty makijaż wydzielał się tłuszcz.

O gapił się na nią przez monokl.

Zdjął go i skrzywił się w uśmiechu.

Widać było, że chce być dowcipny.

W salonowym stylu.

- Mari-lyn, moja droga.

Bądź seksowna.

W zeszłym tygodniu bolał ją żołądek.

Całą noc wymiotowała.

Roli pielęgniarki podjął się Dramaturg, oddany, wiecznie niespokojny mąż.

Straciła na wadze sześć funtów.

Kostiumy należało poprawić i dopasować.

Ze szczupłała na twarzy.

Czy sceny, które już nakręcili, zostaną powtórzone?

Na siedem dni tygodnia w pełni przepracowała tylko jeden, od rana do późnego popołudnia.

Pozostali aktorzy traktowali ją z ostrożną sympatią.

Jak gdyby mogli się ode mnie zarazić.

Och, zależało mi, aby mnie polubili!

Zemsta była wyborna.

Zemsta amerykańskiej dziewczyny.

Sławny brytyjski aktor O spodziewał się emocjonalnych wybuchów, prymitywnej hysterii; ostrzeżono go, że Blondwłosa Aktorka jest "trudna".

Nie spodziewał się zemsty tak pasywnej i zabójczej.

Myślał sobie, że jestem głupią blondynką Desdemoną.

Oto moja tajemnica: Marilyn to Jago!

Odpęzła, żeby się ukryć.

Roześmiała się.

Nie, wściekła się, zraniona i zmieszana.

- Choruję przez O.

Musiał rzucić na mnie jakiś zły urok.

-Nie myśl tak, kochanie.

On cię naprawdę podziwia...

- Kiedy musi mnie dotknąć, dostaje gęsiej skórki.

Porusza nozdrzami.

Dostrzegam to.

-Normo, przesadzasz.

Musisz wiedzieć...

- Powiedz, czy ja śmierdzę?

O co chodzi?

To prawda, Marilyn, że spotkałaś faceta, który cię nie pożąda.

Faceta, którego nie uwiodłaś.

Który wolałby wydymać krowę niż ciebie.

Mężczyzna jeden na milion.

Dramaturg!

Co miał myśleć, co miał robić?

Ta kobieta była jego żoną.

Blondwłosa Aktorka była jego żoną.

W Anglii zaczął pojmować naturę zadania, które musiał wykonać.

Jak pieszy zdobywca, który - gdy teren wznosi się i nagle odłania się widok, który zapiera dech w piersiach - zaczyna pojmować skalę wyzwania, jakiemu musi sprostać.

I tak oto szybko został jej pielęgniarzem.

Jedynym jej przyjacielem.

Choć przyjaźnił się także z O.

Od dawna podziwiał O.

Nie pisał sztuk stosownych dla aktora o doświadczeniu i umiejętnościach O; jednakże szanował O i chętnie przebywał w jego towarzystwie.

Przypuszczał, że pierwotnie O zgodził się zrealizować ten projekt głównie dla pieniędzy; wierzył jednak, że O jest zawodowcem, osobą zbyt uczciwą, by nie pokazać maksimum swoich możliwości.

Jako człowiek teatru Dramaturg był przygotowany, by ulec fascynacji procesem kręcenia filmu i nauczyć się wszystkiego, czego było można.

Tak naprawdę zaczął już pisać swój pierwszy scenariusz filmowy.

Scenariusz dla żony, Blondwłosej Aktorki.

Ale praca nad filmem zaszokowała go i wprawiła w zakłopotanie.

Nie był przygotowany na taki ruch, nieustanną krzątaninę.

Tyle ludzi!

Jasno oświetlona przestrzeń, w której występują aktorzy, jest otoczona gromadą techników, operatorów, asystentów reżysera.

Rozpoczyna się kręcenie sceny, przerywa ją, rozpoczyna znowu, przerywa i znowu rozpoczyna; kręci się raz, potem powtarza.

Włosy i makijaż traktuje się z fanatyczną uwagą;

w całym przedsięwzięciu istniała pewna sztuczna, nierzeczywista jakość, prymitywizm i tandeta ducha, która głęboko go obrażała.

Zaczął rozumieć, dlaczego O, wykształcony jako aktor teatralny, przed kamerą gra tak dziwnie, archaicznie.

Książę był całkowicie sztuczny, podczas gdy Aktoreczka była naturalna.

Czasami wydawało się, że tych dwoje mówi zupełnie innymi językami albo że połączono ze sobą dwa skrajnie odmienne gatunki, komedię salonową i pewien rodzaj realizmu.

W istocie spośród całej obsady jedynie Blondwłosa Aktorka wiedziała, jak grać do kamery i jednocześnie tak się zachowywać, jakby się grało z innymi aktorami; ale jej pewnością siebie zachwiano już na samym początku produkcji, jej dziewczęcy entuzjazm zgasł w chłódzie O; ona także zaczęła się gubić.

-Tatuśku, nie rozumiesz.

Przecież to nie teatr.

To...

Blondwłosa Aktorka zamilkła.

Bo niby co chciała powiedzieć?

Później tamtego wieczoru przyszła do niego i pociągnęła go za ramię, jakby wcześniej przygotowywała tę kwestię do wygłoszenia.

- Tatuśku, posłuchaj!

Wiesz, co ja robię?

Mówię sobie, że jestem sama.

I że jest ze mną jakaś inna osoba, może więcej niż jedna?

Nie wiem, kim one są, ale istnieje pewien cel.

Tego, że tam jesteśmy.

Istnieje pewna logika w tym, że jesteśmy w miejscu, które ma być pokojem, albo na dworze, albo w samochodzie?

Zaczynamy rozumieć, dlaczego tam jesteśmy i co znaczymy dla siebie, grając tę scenę.

- Uśmiechnęła się niespokojnie.

Jakże jej zależało, aby ją zrozumiał; wzruszyła go.

Pogładził jej rozpalony policzek.

- Widzisz, Tatuśku, tak jak teraz ty i ja?

Jesteśmy tu sami i tworzymy sens tej sytuacji.

Zakochaliśmy się w sobie...

i zeszliliśmy się razem, aby znaleźć w tym sens.

Niczego nie wiemy z góry.

Niczego nie możemy wiedzieć z góry!

Znajdujemy się w kręgu światła, poza nami jest mrok; ty i ja na oceanie ciemności, jakby w łodzi, rozumiesz?

Bylibyśmy przerażeni, ale jest w tym logika.

Jest!

Więc nawet kiedy jestem przerażona, tak jak mi się zdaje, że jestem przerażona tutaj, w Anglii, wśród ludzi, którzy mnie nienawidzą...

Stanisławski mówi: "Oto jest samotność wśród ludzi".

Dramaturga zdumiały pełne pasji słowa żony, choć niewiele zrozumiał z tego, co powiedziała.

Mocno ją przytulił.

Rano utleniła odrosty włosów, teraz unosił się od nich ostry, mdlący zapach chemikaliów, który drażnił Dramaturga w nozdrza.

Tego zapachu Blondwłosa Aktorka nie wyczuwała już od dawna.

W Królestwie Śmierci zaczęła tonąć.

Szpik jej kości zamienił się w ołów.

W tym podwodnym królestwie, gdzie mieszkały ryby, które były jej wstrętne.

Nienawidzą mnie.

Te ich oczy!

Dramaturg był emisariuszem O, tak samo jak był, albo tylko chciał być, jego przyjacielem.

Zarówno Dramaturg, jak i O, słynny brytyjski aktor, ożenili się z kapryśnymi aktorkami.

Usłyszała szyderczy śmiech.

Dramaturg oświadczył jak jakiś jedyny po ważny mężczyzna w filmie braci Mara:

- Kochanie, to nic.

Coś w rurach.

W rurach!

Musiała się roześmiać.

- Kochanie, co się dzieje?

Zaczynam się o ciebie bać.

Blondwłosa Aktorka śniła o ołowianych pytonach budzących się do życia tuż przy jej łóżku.

W tym okazałym mieszkaniu w starym kamiennym domu w królestwie bezustannej wilgoci.

Wiekowe rzeczywiście rury stękały, spazmowały, prychały.

Szyderczy śmiech dochodził przez rury jak przez tubę reżysera.

Dramaturg na przemian niepokoił się, starał się żonie schlebiać, okazywał niecierpliwość, okazywał cierpliwość, niemal rozpaczliwie błagał.

Normo, kochanie samochód czeka na ciebie już od godziny Dlaczego nie wstajesz. Weź prysznic i ubierz się. Czy mam ci pomóc? kochanie proszę obudź się.

Odepchnęła go z jękiem.

Nie otworzyła powiek.

Głos dochodził do niej zduszony, jakby przez wypełnienie kołdry.

Głos, który - o ile pamięta - niegdyś kochała.

W podobny sposób, słuchając starego nagrania, przypominasz sobie tajemnicze emocje, które to nagranie dawniej w tobie budziło.

Później, w miarę jak upływało popołudnie, głos stawał się bardziej natarczywy: Kochanie sprawa jest poważna, niepokoisz mnie, wszyscy na ciebie liczą. Chyba nie chcesz ich zawieść.

Zatopiona we śnie.

Och, już przestała się niepokoić!

Nowe lekarstwo przeniknęło do kości i wzmocniło ją.

Dramaturg był rozgorączkowany: Co robić?

Co robić?

W tym chłodnym, niegościnnym miejscu z dala od domu.

W tym wynajętym, starym kamiennym domu, gdzie instalacja wodociągowa piszczy, a po oknach ciągle spływa wilgoć.

Te łatwe do rozpoznania objawy: szkliste, przekrwione oczy.

Kiedy od słońcia kciukiem jedną z powiek, przekonał się, że ona nic nie widzi.

Po kciuku pozostało wgłębienie, które się powoli wypełniało.

Jak w ciele nie boszczyka.

Gdy wreszcie zdołała podnieść się z łóżka, poruszała się niezgrabnie i nie mogła złapać równowagi.

Pociła się, chociaż dygotała, jakby jej było zimno.

Jej oddech pachniał jak miedziane monety rozgrzane w dłoni.

Dlaczego w panice myślał o umieraniu pani Bovary?

O ohydnej, długiej agonii.

Wystający język, kobieta o ślicznej, bladej skórze, poskręcana w objęciach śmierci.

Kiedy umarła, czarna ciecz wypłynęła z jej ust.

Dramaturg wstydził się samego siebie, że takie myśli przychodzą mu do głowy.

Dlaczego się z nią ożeniłem?

Dlaczego myślałem, że wystarczy mi siły?

Dramaturg wstydził się samego siebie, że takie myśli przychodzą mu do głowy.

Tak bardzo kocham tę kobietę.

Muszę jej pomóc.

Wstydząc się samego siebie, zaglądał kolejno do przegródek jej kosmetyczki w poszukiwaniu pigułek.

Tych jej dodatkowych pigułek.

Ów mały arsenał, o którym miał się nie dowiedzieć, przeszmygowała do Anglii w sekrecie.

Kopnęła go z furją.

Płakała.

Dlaczego nie zostawi jej samej, na miłość boską?

Pozwól mi umrzeć!

Przecież wszyscy tego chcecie, prawda?

Z najdrobniejszych spraw robisz testy na moją lojalność.

Naszą miłość.

Z najdrobniejszych spraw/Nie bronięś mnie przed tym sukinsynem.

Nie zawsze wiadomo, kto się myli.

On gardzi Marilyn!

Nie. To ty gardzisz Marilyn.

Gdyby mogła zająć w ciążę z Tatuśkiem, pokochałaby go jeszcze raz.

Niczego nie pragnęła bardziej niż dziecka.

W jej najśodszych snach zwinięta poduszka była dzieckiem, miękkim i miłym.

Jej piersi, pełne mleka, obrzmiewały boleśnie.

Dziecko znajdowało się tuż za kręgiem światła.

Dziecko miało błyszczące oczy.

Dziecko uśmiechało się, rozpoznając matkę.

Dziecko potrzebowało jej miłości, tylko jej miłości.

Przed laty popełniła błąd.

Straciła Dziecko.

Straciła też Irinę.

Nie ocaliła Iriny przed jej Matką Śmiercią.

Żadnej z tych rzeczy nie potrafiła wyjaśnić mężowi ani jakiemukolwiek innemu mężczyźnie.

Ile to razy kuliła się w ramionach męża, zdjąwszy mu okulary (jak w scenie z filmu, z Carym Grantem), potem całowała go, przytulała się, z dziewczęcą zuchwałością głaskała go przez spodnie, aby stwardniał bardziej niż przy jakiegokolwiek innej dziewczynie (czy to możliwe?

) w tej samej sytuacji.

Och, Tatuśku/Och...

Tak, gdyby zaszła w ciążę, mogłaby mu wybaczyć.

Wyszła za niego, bo chciała zająć w ciążę, urodzić jego dziecko, syna amerykańskiego Dramaturga, którego szanowała.

(Opublikowane sztuki jego autorstwa stały w księgarniach na półkach.

Nawet w Londynie!

Jakże go kiedyś kochała.

Była z niego dumna.

Z szeroko otwartymi oczami pytała, co człowiek czuje, kiedy widzi swoje nazwisko na obwolucie?

Gdy zerka na półkę w księgarni, nie oczekując, że zobaczy swoje nazwisko na grzbiecie książki, a potem je ujrzy; co wtedy czuje?

Wiem, że ja czułabym dumę i już nigdy w życiu nie byłabym nieszczęśliwa, nie myślałabym, że nie jestem nic warta.)

Tak, wybaczyłaby mu.

To, że był po stronie Angola O, który jej nienawidził, i całej tej cholernej gromady angolskich aktorów, którzy patrzyli na nią z góry.

Nie przestawał jednak błagać.

Tłumaczyć.

Jak gdyby była to kwestia logiki.

Kochanie masz gorączkę nie jadłś Kochanie zadzwonię po lekarza

Zatem wróciła na plan.

W końcu to była jej praca.

Taki miała obowiązek, takie zobowiązanie, taką pokutę.

Kiedy weszła - cisza!

Jak po katastrofie albo w oczekiwaniu na kataklizm.

Gdzieś z tyłu ktoś zaczął klaskać, opryskliwie, z ironią.

Jakże długo, jakże boleśnie długo trwało wywołanie z lustra czarującej Marilyn, nie jedną godzinę, lecz dwie.

Wprawne, magiczne ręce Whiteya w końcu dokonały cudu.

Rzeczywiście nas zadziwiła.

Ta niby słaba, niepewna osoba.

My wszyscy byliśmy tacy silni, a ona nie miała nic poza swoim wyglądem.

Potem, oglądając nakręcony materiał, oglądając gotowy film, zobaczyliśmy kogoś całkiem innego.

Skóra Monroe, oczy, włosy, ekspresja twarzy, ciało, wszystko takie żywe...

Uczyniła z Aktoreczki żyjącą osobę, a przecież scenariusz za wierał tak niewiele wskazówek.

Ona jedyna spośród nas miała doświadczenie w tej pracy, przy niej byliśmy niedołęgami.

Krawieckimi manekinami wypowiadającymi z doskonałą dykcją doskonałe puste angielskie kwestie.

Och tak, z pewnością nie cierpieliśmy Marilyn wtedy, kiedy z nią byliśmy, ale potem, widząc film, nie mogliśmy jej nie kochać.

Nawet O musiał przyznać, że się kompletnie co do niej pomylił.

Praktycznie przyćmiła go w każdej scenie, w której wystąpili razem!

Monroe ocaliła absurdalny film, a po myśleć, sądziliśmy, że doprowadzi do jego klapy.

Czy to nie ironia losu?

Czy to nie dziwne?

Znowu przekłęte wnętrze salonu.

Prawdziwe piekło dla niej, ta scenografia.

Zarozumiały Książę i Aktoreczka są w końcu sami i zarozumiały Książę ma nadzieję, że uwiedzie Aktoreczkę, ale Aktoreczka broni się przed tym, no i są te cholernie kręte schody, po których trzeba wchodzić, schodzić, wchodzić i znowu schodzić w obcistej satynowej sukience z dużym dekoltem.

W takim stroju wystąpiła w większości scen tej dość smutnej bajkowej opowieści, którą znienawidziła.

Aktoreczka jako Żebraczka.

Aktoreczka jako Kobięce Ciało.

A najgorsze, że Aktoreczce nie pozwolono tańczyć!

Dlaczego?

- scenariusz tego nie przewidywał.

Dlaczego?

- naucz się najlepiej swojej roli, Marilyn.

Dlaczego?

- w oryginalnej sztuce też nie było tańca.

Dlaczego?

- za późno już, koszty byłyby zbyt duże.

Dlaczego?

- przygotowanie tych scen zajęłoby ci wieczność, Marilyn.

Dlaczego?

- bo cię nie lubimy.

Dlaczego?

- bo chcemy twoich amerykańskich pieniędzy.

W tym Królestwie Śmierci, gdzie rzucono na nią urok.

Tęsknię za domem!

Chcę wrócić do domu.

Naraz Aktoreczka przewróciła się na schodach.

Zaczepiła pantofelkiem na wysokim obcasie o brzeg sukni.

Jęknęła.

Tego dnia połknęła kilka tabletek benzedryny, aby zrównoważyć działanie nembutalu i miltownu, wypiła też dżin w gorącej herbacie, o czym Dramaturg nie wiedział (jak będzie później utrzymywał).

Przewróciła się na krętych schodach, ludzie zaczęli krzyczeć i na pomoc ruszył jej młody kamerzysta.

Dramaturg, który przez cały czas obserwował ją z niepokojem, też ruszył na pomoc i w udręce miłości przyklęknął nad nią.

Puls!

Gdzie jest jej puls?

Na schodach, kilka jardów wyżej, stał przemądrzały Książę i gapił się przez monokl.

- To narkotyki.

Zróbcie jej płukanie żołądka.

Nigdy mu tego nie wybaczą.

KRÓLESTWO NAD BRZEGIEM MORZA

Zabrał ją na zaczarowaną wyspę, do Galapagos Cove na wybrzeżu stanu Maine, czterdzieści mil na północ od Brunswick.

Wprawdzie już od ponad roku byli małżeństwem i mieszkali w wielu miejscach, nadal jednak zachowywała się jak panna młoda.

Do końca jeszcze nie zdobyta.

Kochał to w niej, ową nerwową aurę, gdy coś odkrywała, dziwiła się, cieszyła.

Nie obawiał się jej nastrojów, bo stał się ich mistrzem.

Kiedy oglądała dom, który dla nich wynajął na lato, i okolice, w tym widok na morze, cieszyła się jak dziecko.

"Och!

Jakże tu pięknie.

Och, Tatuśku, chcę tu zostać na zawsze".

W jej głosie pobrzmiwał dziwny, dziecinny błagalny ton.

Objęła go i mocno pocałowała.

Czuł w niej gorące pragnienie życia, tak samo jak przed laty wyczuwał je w swoich dzieciach, gdy tulił je do siebie.

Czasem miłość stawała się tak silna, poczucie odpowiedzialności tak duże, że był rozdygotany.

Wydawało mu się, że zatracą własną tożsamość.

Stał wyprostowany i dumnie się uśmiechał nad skalistym brzegiem poniżej klifu i nad otwartymi wodami Atlantyku, jak gdyby wszystko to do niego należało.

Dał to żonie w prezencie.

Przyjęła ten dar, zagarnęła jako miłosną ofiarę.

Tego popołudnia silny wiatr wzburzył morskie fale.

Światło odbijało się od powierzchni jak od metalu.

Woda to miała barwę ciemno szarą, a to brudnoniebieską, a to ciemnozieloną, ciągle rozkołysana, niosła wodorosty i szumowiny.

Powietrze było rześkie, słonawe i wilgotne, takie je zapamiętał, niebo miało kolor przygasłego błękitu, akwareli z plamami szybko mknących, mglistych chmur.

Tak, było pięknie; to jego zasługa;

jego serce rozpiekało szczęście i radość oczekiwania.

Drżeli w chłodnym czerwcowym wietrze znad oceanu, obejmując się w pasie.

Nad ich głowami krążyły mewy, trzepocząc skrzydłami i przeraźliwie wrzeszcząc, jakby ogarnęła je wściekłość, że ktoś wkroczył na ich terytorium.

Mewy z czarnym paskiem na dziobach.

Mewy z Galapagos Cove niczym stare myśli.

-Och, kocham cię.

Powiedziała te słowa z całą mocą, uśmiechając się do niego, do swego męża.

Można by pomyśleć, że wypowiedziała je po raz pierwszy.

- Oboje cię kochamy.

Chwyliła go za rękę i przyłożyła ją sobie do brzucha.

Do ciepłego, zaokrąglonego brzucha; zaczęła przybierać na wadze.

Dziecko w jej łonie miało dwa miesiące i sześć dni.

W łóżku pogłaskał i pocałował jej nagi brzuch, przyłożył do niego policzek.

Był zdumiony, że jej blada skóra jest tak napięta, choć ciąża nie trwała długo.

Jakaż była zdrowa, jaka pełna życia!

Miała zamiar dobrze karmić Dziecko w swoim łonie, przestrzegać ścisłej diety.

Nie przyjmowała żadnych tabletek prócz witamin.

Zawiesiła karierę "w świecie" (jak mówiła bez pogardy, żalu i gniewu, ale rzeczowo, tak jak zakonnica mogłaby mówić o swoim dawnym, świadomie odrzuconym świeckim życiu - "w świecie"), aby kultywować życie małżeńskie i macierzyństwo.

Pocałował ją, udał, że słyszy Dziecko, złudne bicie serca.

Nie?

Tak?

Wodził dłonią po jej brzuchu, dotknął lekko blizny pozostałej po operacji usunięcia wyrostka, którą przeszła kilka lat temu.

A ile miała aborcji!

Plotki podają niesamowite liczby!

Nie chciałem ich słuchać, nawet nim się w niej zakochałem.

Słowo.

Musi ją chronić, a to oznacza, że musi ją chronić także przed jej własnymi wspomnieniami, przed przeszłością poplątaną, beztroską, bezładną, a mimo to nie winną jak przeszłość krnąbrnego dziecka.

Zatracił się w transie zachwyty nad pięknem jej ciała.

Ta kobieta jego żoną. Jego!

Cudownie sprężysta skóra, żywa koperta jej piękna.

To piękno zmieniało się ustawicznie jak morze.

Jak światło, jak stopnie jasności.

Albo przyciąganie grawitacyjne księżyca.

Jej dusza, tajemnicza i nie pokojąca, była jak kula balansująca niepewnie na powierzchni rwącego strumienia wody: drżała, nieustannie poruszała się, podnosiła, zapadała, znowu podnosiła...

W Anglii chciała umrzeć.

Gdyby nie wezwał lekarza, więcej niż raz...

Kiedy się przewróciła, zaraz po ukończeniu filmu, była wychudzona, wyniszczona, wyglądała na swoje lata i jeszcze więcej; ale w Stanach doszła do siebie w ciągu kilku tygodni.

Obecnie zaś, po dwóch miesiącach ciąży, wyglądała wprost znakomicie, jeszcze jej takiej nie widział.

Nawet poranne mdłości nie psuły jej humoru.

Jaka była normalna!

Jak to dobrze, że jest normalna!

Cechowała ją prostota i bezpośredniość; coś podobnego zaobserwował u niej tylko raz: kiedy czytała rolę Magdy w jego sztuce.

Z dala od miasta.

Z dala od cudzych oczekiwań.

Nieustannego zainteresowania innych.

Ze swoim maleństwem.

Uczyliłem to dla niej.

Przywróciłem ją do życia.

Żeby tylko teraz sam jakoś sobie z tym poradził.

Znowu zostać ojcem, po tylu latach.

Dobiegając pięćdziesiątki.

Dawniej Dramaturg często odwiedzał latem Galapagos Cove.

Z inną kobietą.

Z pierwszą żoną.

Kiedy był młodszy.

Zmarszczył brwi, przypominając sobie tamte czasy.

Ale co sobie przypomniał?

Niewiele.

Jakby przerzucał stare, pożółkłe kartki, szkice sztuk, które zapisał szybko w gorączce na tchnienia, a potem je odłożył i zapomniał o nich.

Pisząc w takim uniesieniu, zwykle nie wierzysz, że kiedykolwiek będziesz czuł się inaczej albo że o wszystkim zapomnisz.

Westchnął.

Zrobiło mu się trochę nieswojo.

Zadrżał w podmuchach wilgotnego morskiego powietrza.

Nie - był szczęśliwy.

Jego młoda żona schodziła na kamienisty brzeg, lekko i płynnie, choć odrobinę beztrosko, jak sprytne dziecko.

Nigdy nie był szczęśliwszy, wiedział na pewno.

Krzyki mew.

Co pobudziło w nim te niechciane myśli?

- Tatuśku, chodź tutaj!

Zeszła w dół klifu między śliskie, omszałe skały i morskie odpadki.

Podniecona jak mała dziewczynka.

Na plaży było więcej kamieni niż piasku.

Spienione fale załamywały się u jej stóp.

W ogóle nie przejmowała się, że ma mokre nogi.

Zmoczyła nogawki spodni w kolorze khaki i ubrudziła je błotem.

Wiatr smagał jej jasne włosy.

Na jej policzkach błyszcząły łzy; jej wrażliwe oczy często łzawiły.

- Tatuśku, hej!

- W tym hałasie prawie nie było słychać jej słów.

Nie spodobało mu się, że zeszła na brzeg, ale wolał jej nie przestrzegać.

Wolał nie przywracać niezdrowych więzi między nimi, nie wracać do jej masochistycznych, upartych zachowań i własnych ojcowskich reprimend, pogróżek, niepokojów.

Nigdy więcej!

Na to Dramaturg był zbyt sprytny.

Roześmiał się i ruszył za nią.

Mokre, śliskie skały były zdradliwe.

Wiatr uderzał go w twarz wodnym pyłem; okulary zaszyły warstwą wilgoci.

Klif wznosił się na wysokość około piętnastu stóp, nie był wysoki, ale niełatwy do pokonania.

Dziwił się, że ona zeszła na dół tak szybko, zwinnie jak małpka.

Pomyślał: Chyba jej nie znam/Ta, myśl nawiedzała go nagle i niespodziewanie kilkanaście razy w ciągu dnia, także w nocy, kiedy zdarzyło mu się obudzić i słyszeć jej ciche jęki, popiskiwanie, nawet śmiech, wszystko to przez sen.

Miał zeszywniałe kolana i prawie zwicznął nadgarstek, próbując się utrzymać po straceniu równowagi.

Dyszał., serce tłukło jak oszalałe w jego piersi, ale uśmiechał się radośnie.

On także był sprawny jak na swój wiek.

W Galapagos Cove ludzie będą ich brali za ojca i córkę, oczywiście póki ich nie rozpoznają.

W Whalers Inn położonej na północy, gdzie zabierze ją tego wieczoru na kolację.

I gdzie przy płomykach świec będą trzymali się za ręce.

ładna blondynka o delikatnych rysach, ubrana w białą letnią sukienkę; wysoki, starszy mężczyzna o spadzistych ramionach, pobrużdżonej twarzy, uprzejmy, dość cichy.

Topora.

Kobieta wygląda jakoś znajomo...

Zeskoczył tuż przy niej, obcasy utonęły w piasku.

Ryk morza był ogłuszający.

Objęła go mocno w pasie; wsunęła dłonie pod sweter i koszulę, dotknęła jego skóry.

Oboje mieli na sobie identyczne, zrobione na drutach swetry, które ona zamówiła z jakiegoś katalogu L.

L. Beana.

Dyszeli i śmiali się, czując osobliwą ulgę, jak gdyby każde z nich ledwie uniknęło szkody:

ale jakiej szkody?

Podniosła się na palcach i pocałowała go mocno w usta.

Tatuśku!

Dziękuję!

To najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

Z całą pewnością.

Było po niej widać, że mówi szczerze.

Budynek znano w okolicy jako Dom Kapitana, czasem zaś jako Dom Yeagera.

Wybudowano go w 1790 roku na samym szczycie klifu nad oceanem dla pewnego kapitana żeglugi.

Wysoki lilakowy żywopłot osłaniał dom od strony zatłoczonej latem drogi szybkiego ruchu numer 130.

Dom Kapitana był starą, nowoangielską solniczką ze zwietrzałego drewna i zwietrzałych kamieni, o stromym dachu, oknach dzielonych kamiennymi słupkami, o dziwnie ciasnych, niskich, prostokątnych pomieszczeniach; po pokojach na górze hulał wiatr; były tam ceglane piece i kamienne kominki, wewnątrz których można było swobodnie stanąć; na surowych deskach podłogi leżały obszyte sznurem chodniki, uroczo stare i spłowiałe, jakby stanowiły świadectwo upływu czasu.

Listwy przy podłodze i poręcze przy schodach zostały wykonane ręcznie.

Na wyposażenie składały się osiemnastowieczne, nowoangielskie, ręcznie wykonane krzesła, stoły i komody - płaskie powierzchnie, proste, zwyczajne brzegi - zgodne z duchem protestanckiej oszczędności i powściągliwości.

W pomieszczeniach na dole wisały obrazy marynistyczne, portrety mężczyzn i kobiet tak nieudolne, że musiały być dziełem amatora; były tu ręcznie szyte kołdry i wyszywane poduszki.

Stało mnóstwo antycznych zegarów: duże szafkowe, okrętowe, obudowane szkłem, wykończone porcelaną i zmatowiałą od starości czarną emalią.

("Och, zobacz!

Każdy zatrzymał się o innej porze" - zauważyła Norma Jeane.) Kuchnia, łazienka i instalacja elektryczna należały do nowych czasów, gdyż posesję wiele razy odnawiano i to niemałym nakładem kosztów; lecz Dom Kapitana nadal pachniał starością, zniszczeniami i mądrością Czasu.

Zwłaszcza niska, pozbawiona okien piwnica.

Schodziłeś do niej po drewnianych stopniach, które chwiały się pod tobą, a światło latarki ginęło wśród firan pajęczyn.

Był tam piec olejowy, na szczęście bezużyteczny podczas letnich miesięcy.

W powietrzu unosił się silny zapach czegoś słodkiego i wilgotnego, jakby zgnitych jabłek.

Ale po co w ogóle schodzić do piwnicy?

Nie schodzili.

Posiedzieli przez chwilę na osłoniętej werandzie z widokiem na niedaleki ocean; pili wodę sodową z cytryną, trzymali się za ręce i rozmawiali o najbliższych miesiącach.

W domu panował spokój: telefonu jeszcze nie podłączono, więc fantazjowali, że nie mają telefonu.

"Po co?

Dla innych ludzi pragnących do nas zadzwonić?

" Ale oczywiście będą mieli telefon.

Telefonu nie mogli uniknąć:

Dramaturg bardzo poważnie traktował swoją karierę.

Potem poszli na górę i rozpakowali swoje rzeczy w największej, najbardziej przestronnej sypialni z kamiennym kominkiem, niedawno przeczyszczonym ceglany piecem, z wyglądającą na nową tapetą w kwiaty i widokiem na ocean ponad wierzchołkami jałowców.

Łoże zdobiły cztery kolumny i rzeźbione wezgłowie z drzewa orzechowego.

W krawieckim, owalnym lustrze uśmiechnięte twarze.

Jego czoło, nos, policzki opaliły się w promieniach słońca; jej twarz była blada, ponieważ wrażliwą skórę osłaniał słomkowy kapelusz z szerokim rondem.

Delikatnie wtarła noxzemę w przedramiona.

Czy on też opalił sobie ręce?

Wtarła noxzemę w jego przedramiona i pocałowała grzbiety jego dłoni.

Wskazała ich twarze w owalnym lustrze i roześmiała się.

Są szczęśliwą parą.

Wiesz dlaczego?

Mają pewną tajemnicę.

- Miała na myśli Dziecko.

W rzeczywistości Dziecko nie było całkowitą tajemnicą.

Dramaturg po wiedział o nim rodzicom i kilku starym przyjaciołom z Manhattanu.

Starł się, by nie pobrzmiwała w jego głosie nuta dumy; tak samo jak nuta zaniepokojenia i zażenowania.

Wiedział, co ludzie będą mówili, nawet ci, którzy go lubią i życzą mu wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia.

Dziecko!

W jego wieku!

To ci dopiero mężczyzna.

Mężczyzna z cudowną, młodą żoną.

Norma Jeane nie powiedziała jeszcze nikomu.

Jakby uważała tę wiadomość za zbyt cenną, by się nią dzielić.

Możliwe, że była przesądna.

("Od pukaj w niemalowane" - powtarzała często z nerwowym uśmiechem.)

Norma powiedziała, że wkrótce powiadomi o wszystkim matkę w Los Angeles.

I może Gladys będzie mogła wkrótce ich odwiedzić.

W późniejszym okresie ciąży albo kiedy Dziecko się urodzi.

Dramaturg nigdy jeszcze nie widział teściowej.

Czuł się onieśmielony, widząc w wyobraźni kobietę niewiele starszą od siebie.

Późnym popołudniem położyli się w ubraniach na wiekowym łożu; zdjęli tylko buty.

Leżeli w ulubionej pozycji: jego lewa ręka pod jej ramionami i jej głowa na jego ramieniu.

Często leżeli w ten sposób, kiedy Norma Jeane czuła się słaba, samotna lub była spragniona czułości.

Czasem zasypiali, czasem kochali się, czasem i zasypiali, i kochali się.

Teraz leżeli wsłuchani w spokój domu, spokój, który wydawał się im wielowarstwowy, złożony, tajemniczy i cichy; spokój, który zaczynał się w brudnej piwnicy, gdzie pachniało zgnitymi jabłkami, i unosił się między deskami podłogi poprzez różne pomieszczenia domu, sięgając wykończonego częściowo poddasza nad ich głowami, wyłożonego dziwnie metaliczną izolacją przypominającą ozdobny papier do zawijania prezentów na święta.

Dramaturg wyobraził sobie, że kiedy Czas unosi się z ziemi, staje się bardziej zwiewny, mniej nieprzyjazny.

Poza tajemniczym spokojem Domu Kapitana, który należał do nich aż do początku września, fale uderzały miarowo, niczym olbrzymie serce.

Czasami gdzieś w oddali przejechał samochód.

Myślał, że zasnęła, ale nagle odezwała się głosem całkowicie trzeźwym i podekscytowanym:

-Wiesz co, Tatuśku?

Chcę urodzić dziecko tutaj.

W tym domu.

Uśmiechnął się.

Dziecko powinno się urodzić w połowie grudnia, kiedy

będą na Manhattanie w wynajętym domu przy Dwunastej Zachodniej Ulicy.

Ale nie chciał się jej sprzeciwić.

Odrzekła, jakby wypowiedział te myśli na głos:

- Nie będę się bała.

Ból fizyczny mnie nie przeraża.

Czasami myślę, że on tak naprawdę nie istnieje, tylko my się go spodziewamy, stajemy się spięci i przerażeni.

Możemy wynająć akuszerkę.

Mówię poważnie.

- Akuszerkę?

- Nie znoszę szpitali.

Nie chcę umrzeć w szpitalu, Tatuśku!

Odwrocił głowę, aby na nią popatrzeć, jakoś tak dziwnie.

Co ona powiedziała?

Tak, ale zabiłaś Dziecko.

Nie, nie zabiła!

Nie chciała.

Owszem, chciałaś je zabić.

Ty podjęłaś decyzję.

Ale to było inne dziecko.

Nie to dziecko...

To byłem ja.

Zawsze to jestem ja.

Wiedziała, że musi unikać piwnicy, gdzie nie było posadzki i gdzie unosił się zapach zgniłych jabłek.

Dziecko już tam było, czekało na nią.

Jaka była szczęśliwa!

Jaka zdrowa.

W Domu Kapitana Dramaturg nabrał otuchy.

W tym letnim domu nad morzem kochał żonę bardziej niż kiedy kolwiek wcześniej.

Był wdzięczny losowi.

-Jest cudowna.

Ciąża jej służy.

Nawet poranne mdłości przyjmuje po godnie.

Mówi: "Zdaje się, że tak powinno być!

" - Roześmiał się.

Przepadał za żoną do tego stopnia, że nabrał skłonności do naśladowania jej lekkiego, wesołego, lirycznego głosu.

Był Dramaturgiem: subtelne i niesubtelne różnice między głosami bardzo go fascynowały.

-Jeśli czegoś żałuję, to tylko jednego: czas ucieka zbyt szybko.

Rozmawiał przez telefon.

W innym pokoju przestronnego domu, albo z tyłu na podwórzu, ona śpiewała do siebie, całkowicie pogrążona we własnym świecie; niczego nie mogła słyszeć.

Oczywiście martwił się.

Jeśli nie martwił, to "niepokoił".

Jej emocjami, nastrojami.

Kruchością.

Obawami przed wyśmianiem.

Obawami, że ktoś będzie ją śledził, że sfotografuje ją bez jej wiedzy i zgody.

Jej zachowanie w Anglii było dla niego koszmarem.

Zachowanie, którego się nie spodziewał, na które był tak nieprzygotowany, jak badacz Antarktydy wyposażony na letni spacer w Central Parku.

Naprawdę blisko znał zaledwie kilka kobiet: matkę, pierwszą żonę i dorosłą córkę.

Oczywiście wszystkim przeżywały od czasu do czasu emocjonalne kryzysy, ale ich zachowanie zamykało się w pewnych granicach, które określić można mianem fair play albo zdrowego rozsądku.

Norma była całkowicie inna, jakby należała do odmiennego gatunku.

Atakowała Dramaturga na oślepa, ale potrafiła go zranić.

Pozwól mi umrzeć!

Tego wszyscy chcecie, prawda?

Dramaturg będzie się zastanawiał, w jakim stopniu prawdziwie tego rodzaju oskarżenia zabrzmiałyby w sztuce.

Nawet jeśli oskarżenie zostanie stanowczo zakwestionowane, publiczność zrozumie.

Tak, zgadza się.

Do codziennego życia nie da się zastosować strategii dramatu.

Gdy się przeżywa skrajne emocje, padają słowa okropne, ale nieprawdziwe i nikt ich nawet nie wypowiada na serio; one tylko wyrażają urazę, wściekłość, zmieszanie, strach; przelotne, nie odwieczne prawdy.

Został głęboko zraniony i musiał się zastanowić: czy Norma naprawdę wierzy, że ktoś życzył

by jej śmierci?

Czy wierzy, że on, jej mąż, mógłby jej życzyć śmierci?

Czy chce w to wierzyć?

Oburzał się, gdy myślał, że jego żona, którą kochał nad życie, mogła albo chciała posądzać go o coś takiego.

Jednakże tutaj, na Galapagos Cove, daleko od Anglii, owe okropne wspomnienia nie powracały.

Rzadko rozmawiali o karierze Normy.

O Marilyn.

Tutaj była Norma, i pod tym imieniem będzie znana w okolicy.

Nie widział jej szczęśliwszej i w lepszej formie niż teraz; nie chciał jej denerwować rozmowami o finansach, interesach, Hollywood i pracy.

Zadziwiła go, że miała siłę, aby całkowicie odciąć się od tej części swojego życia.

Nie wierzył, że jakkolwiek mężczyzna na jej miejscu byłby zdolny do tego samego bądź w ogóle coś takiego rozważał.

Rzecz jasna, on też by się na to nie zdobył.

Oczywiście Dramaturg nie miał powodu, żeby się bać o własną karierę.

Był zadowolony z publicznego wizerunku swojej osoby.

Odczuwał dumę ze swojej pracy i z nadzieją patrzył w przyszłość.

Mimo całej rezerwy, całej ironii, przyznawał, że jest osobą ambitną.

Owszem, gotowy był także przyznać z uśmiechem, że bez trudu przyzwyczałby się do większej sławy i nie co większych pieniędzy.

W minionym roku dzięki sztuce na Broadwayu i regionalnym inscenizacjom jego wcześniejszych sztuk zarobił niecałe 40 000 dolarów.

Przed odliczeniem podatku.

Podczas ostatniego przesłuchania przed Komisją Kongresu do Spraw Badania Działalności Antyamerykańskiej nie chciał udzielać odpowiedzi na żadne pytania.

Nie chciał się zgodzić, aby Marilyn Monroe sfotografowała się z przewodniczącym komisji.

(Chociaż powiedziano mu, że komisja go traktuje "łagodnie", jeżeli do takiej sesji zdjęciowej dojdzie.

Co za szantaż!)

Uznano go za winnego obrazy Kongresu i skazano na rok więzienia i grzywnę w wysokości 1000 dolarów; złożył apelację i spodziewał się - zgodnie z opinią adwokatów - wygranej; tymczasem musiał ponieść pewne koszty procesu i końca sprawy nie było widać.

Komisja nękała go już od sześciu lat.

Nieprzypadkowo Izba Skarbowa sprawdzała jego finanse.

Musiał też wypłacać Esther alimenty, a chciał uchodzić za przyzwoitego, szczodrego eks-małżonka.

Nawet po uwzględnieniu dochodów Marilyn Monroe nie mieli dużo pieniędzy.

Musieli ponosić wydatki na lekarza, a w związku z ciężką i rychłym przyjściem na świat dziecka należało się spodziewać na stępnych kosztów.

- Cóż, taki jest chyba motyw przewodni moich sztuk, prawda?

"Ekonomia jest przeznaczeniem ludzkości".

Rzeczywiście wyglądało na to, że Norma zrezygnowała z kariery.

Może i ma talent do aktorstwa, powiedziała, lecz brakuje jej temperamentu i nerwów.

Po ukończeniu Księcia i aktoreczki nawet nie chciała myśleć o kolejnym filmie.

Wyszła z tego z życiem, oświadczyła - "ale chyba przez przy padek".

Koszmar pobytu w Anglii obróciła w żart.

Chytrze, eliptycznie, sprawiając wrażenie, że nie rozpamiętuje albo nie dopuszcza do świadomości powagi tego, co się naprawdę stało.

Zrobiono jej płukanie żołądka.

We krwi krążyła śmiertelna dawka środków farmaceutycznych.

Angielski doktor wypytywał go, czy jego żona nie chciała popełnić samobójstwa.

Nie, Norma nie zrobiła tego świadomie.

A on ani nie miał serca, ani odwagi, aby jej o tym powiedzieć.

Bał się, że przeszkodzi jej w powrocie do zdrowia.

Zniszczy jej nowe szczęście.

Kiedy się dowiedziała, że jest w ciąży, wróciła od lekarza, odszukała męża (w jego gabinecie, w domu, gdzie pracował przez większość dni) i szepnęła mu do ucha: "Tatuśku, stało się.

Nareszcie się stało.

Będę miała dziecko".

Przytuliła się do niego, szlochając.

Z radości; bo poczuła ogromną ulgę.

Był wstrząśnięty, a jednak szczęśliwy.

Ze względu na nią.

Oczywiście, że ze względu na nią.

Dziecko!

Jego trzecie dziecko, w pięćdziesiątym roku życia; urodzone akurat w takim momencie jego kariery, kiedy czuł, że utknął, nie miał natchnienia...

Ale oczywiście był szczęśliwy.

Nigdy by nie pozwolił podejrzewać żonie, że nie jest tak szczęśliwy jak ona.

Norma tak bardzo się starała zajść w ciążę.

O niczym innym prawie nie mówiła; jak zauroczona patrzyła na niemowlęta i małe dzieci, które mijają na ulicy;

niemal zaczął się nad nią licować i bać jej frenetycznego seksu.

Ale wszystko ułożyło się dobrze, prawda?

Jak w starannie skonstruowanej sztuce o życiu rodzinnym.

Przynajmniej według stanu na koniec drugiego aktu.

Jako żona i przyszła matka, Norma odnalazła swoją najpiękniejszą rolę.

Nie była to rola nieziemskiej Marilyn Monroe.

Była to jednak rola, do której wydawała się, fizycznie, wręcz przeznaczona.

Chodziła po mieszkaniu naga i chępiła się, że jej piersi stają się jeszcze większe i twardsze.

Puchła z dumy, że jej brzuch robi się duży "jak melon".

Od przyjazdu do Maine śmiała się szczerze bez żadnego szczególnego powodu poza jednym: była szczęśliwa.

Większość posiłków przygotowywała dla siebie w domu.

Późnym rankiem zanosila Dramaturgowi świeżo zaparzoną kawę i pojedynczą różę w wazonie, na piętro Domu Kapitana, do sypialni z widokiem na morze, w której pracował.

W towarzystwie jego przyjaciół, którzy go od wiedzali, zachowywała się z wdziękiem, a nawet z dziwną wstydlivością;

słuchała z niezwykłą uwagą kobiet opowiadających o własnych ciążach i doświadczeniach związanych z porodem, którymi dzieliły się z ochotą i nie szczędziły szczegółów; Dramaturg usłyszał, jak jego żona powiedziała do jednej z tych kobiet, że jej matka bardzo sobie chwaliła okres ciąży, że to jedyny okres, kiedy kobieta czuje się swojsko we własnym ciele i w świecie...

"Czy to prawda?

" Dramaturg nie czekał na odpowiedź; cóż takie rewelacje mogły znaczyć dla mężczyzny?

Czyż nigdy nie czujemy się swojsko w naszych ciałach?

W świecie?

Z wyjątkiem aktu seksualnego, gdy przekazujemy kobiecie nasienie?

Była to ponura, okrojona tożsamość!

Ani przez chwilę nie wierzył w taki upiorny mistycyzm seksualny.

Norma była najbardziej oddaną matką dla Dziecka, które jeszcze nie przyszło na świat.

Nikommu nie pozwoli palić w jego pobliżu.

Zawsze podrywała się, aby otworzyć okna albo je zamknąć, gdy zrobił się przeciąg.

Śmiała się z siebie, ale to było silniejsze od niej.

"Dziecko pokazuje, co jest dla niego dobre.

Norma jest tylko narzędziem".

Wierzyła w to?

Walcząc z mdłościami, jadła sześć albo siedem razy dziennie niewielkie, ale pożywne posiłki.

Starannie przeżuwała kęsy pokarmu na miazgę.

Piła dużo mleka, którego dawniej podobno nie znosiła.

Miała apetyt na owsiankę z nierafinowanym, brązowym cukrem, gruboziarnisty chleb, krwiste steki, surowe jajka, surową marchew, surowe ostrygi, kantalupy, które zjadała z twardą skórką.

Pochłaniała tłuczone ziemniaki z kawałkami zmrożonego, niesolonego masła - dużą łyżką prosto z misy do mieszania.

Podczas posiłków zjadała do czysta swoją, a czasami i jego porcję.

-Jestem grzeczną dziewczynką, Tatuśku?

- pytała ze smutkiem.

Śmiał się i całował ją.

Przypomniało mu się, jak dawniej całował córkę za opróżnienie talerza.

Kiedy jego córka miała dwa, trzy latka.

Jesteś grzeczną dziewczynką, kochanie.

Moją jedyną miłością.

Mniej mu się podobało, choć te uczucia zachował dla siebie,, że Norma wypożyczyła z czytelni Christian Science przy Piątej Alei na Manhattanie mnóstwo materiałów, między innymi książki Mary Baker Eddy oraz pismo "The Sentinel", w której wierni członkowie Kościoła dzielili się doświadczeniami związanymi z uzdrawianiem poprzez modlitwę.

Jako racjonalista, liberał i żydowski polemista, Dramaturg czuł wyłącznie pogardę dla takiej "religii", pozostawała mu tylko nadzieja, że Norma potraktuje to lekko;

w podobny sposób wertowała słowniki, encyklopedie, książki z antykwariatu, a nawet katalogi odzieżowe i rolnicze, jakby szukała...

czego?

Jakiejś konkretnej mądrości, która mogłaby się przyczynić do pomyślności dziecka?

Szczególnie poruszały go długie listy słówek Normy, które często znajdował w bardzo dziwnych miejscach, takich jak łazienka, spękany porcelanowy brzeg starej wanny, lodówka, pierwszy schodek do piwnicy; słowa absurdalne, czasem archaiczne, starannie wypisane uczniowskim pismem:

obelisk, obligacja, obliteracja, obłapiać, obol, obskurant.

("Nie ukończyłam szkoły średniej, Tatuśku, tak jak ty i twoi znajomi!

Nie wspomnę o studiach.

To, co robię, można potraktować jako...

coś w rodzaju przygotowań do głównego egzaminu").

Pisała wiersze, skulona i zamyślona, siedząc długimi godzinami na ławie pod oknem Domu Kapitana.

Bez jej pozwolenia nie wolno mu będzie nawet rzucić na nie okiem.

(Choć zachodził w głowę, co jego Norma, jego ledwie piśmienna Magda, mogła tam wypisywać!

)

Jego Norma, jego Magda, jego czarująca żona.

Syntetyczne włosy Marilyn odrastały od cebulek; jej prawdziwe włosy miały miodowobrzązową barwę i układały się w fale.

I te jej wspaniałe piersi o dużych sutkach, powiększone do karmienia dziecka.

Gorączka pocałunków i dłonie pieszczące go, mężczyznę, ojca dziecka, w ekstazie wdzięczności.

Przez ubranie pod spodem.

Dłonie wędrujące w górę pod jego koszulą, w dół pod spodniami, gdy całowała go pochylona.

"Och, Tatuśku, och".

Była jego gejszą.

("Widziałam je raz w Tokio, te gejsze.

Mają klasę!

")

Była jego szyksą.

(W jej ustach to słowo brzmiało niepewnie i zarazem lubieżnie.

"Chyba dlatego mnie kochasz, Tatuśku?

Bo jestem twoją blondwłosą szyk-stą?

")

On, jej mąż, był jednocześnie uprzywilejowany i przytłoczony.

Błogostawiony i przestraszony.

Od pierwszego dotyku, od ich pierwszego, niewątpliwie seksualnego dotyku, pierwszego prawdziwego pocałunku, czuł, że w tej kobiecie drzemie potężna siła szukająca ujścia.

Była jego Magdą, jego natchnieniem, ale i kimś więcej...

o wiele więcej!

Potężna jak błyskawica!

Mogła usprawiedliwić jego istnienie jako dramaturga, jako mężczyzny, albo go zniszczyć.

Pewnego ranka pod koniec czerwca, po trzech idyllicznych tygodniach w Domu Kapitana, Dramaturg zszedł znacznie wcześniej niż zazwyczaj.

O świcie, obudzony burzą z piorunami, która wstrząsnęła domem.

Ale już po kilku minutach wydawało się, że najgorsze minęło; okna zalało jaśniejsze, przymglone światło znad oceanu.

Norma już wcześniej zsunęła się z łoża o czterech kolumnach.

Na prześcieradłach pozostał jedynie jej zapach.

Kilka błyszczących włosów.

Ciąża sprawiała, że senność ogarniała ją o rozmaitych, najmniej oczekiwanych porach; drzemała jak kot tam, gdzie zaskoczył ją sen; ale zawsze budziła się o świcie, a nawet wcześniej, kiedy ptaki rozpocynały śpiew, pobudzona do działania przez Dziecko.

"Wiesz co?"

Dziecko jest głodne.

Chce, żeby mamusia coś zjadła".

Dramaturg zszedł po schodach starego domu.

Nagie stopy na nagich deskach podłogi.

"Kochanie, gdzie jesteś?"

" Człowiek z miasta, przyzwyczajony do zepsutego miejskiego powietrza i nieustannego miejskiego gwaru Manhattanu, odetchnął z satysfakcją i głęboką radością właściciela rzeźkim, oceanicznym powietrzem.

Oto Ocean Atlantycki!

Jego ocean.

Był pierwszą osobą (tak sądził), która pokazała Normie Atlantyk.

Ile to razy szeptała mu do ucha, kiedy byli złączeni w najbardziej intymnym uścisku, a jej po policzki były mokre od łez: Och, Tatuśku.

Przed tobą byłam nikim.

Nie narodziłam się!

Gdzie była teraz?

Przystanął w salonie, długim, wąskim pomieszczeniu o dziwnie nierównej podłodze, i spojrzął na jaśniejsze niebo.

Podobne widoki musiały potężnie oddziaływać na człowieka pierwotnego, któremu mogło się zdawać, że za chwilę pojawi się jakiś bóg, pokaże się ludzkości.

Niebo o świcie, nad brzegiem oceanu.

Blask niesamowitego światła.

Ognistego i złocistego, przechodzącego na północno-zachodnim krańcu nieba w siny mrok burzowych chmur.

Ale chmury rozwiewał wiatr.

Dramaturg nie mógł oderwać oczu od tego widoku, zastanawiał się tylko, czy Norma też zwróciła na niego uwagę.

Poczuł przyływ dumy, że on, mąż, mógł jej zaoferować tego rodzaju dary.

Zdaje się, że nie miała własnych pomysłów, gdzie pojechać.

Takich chmur o poranku nie było na Manhattanie.

Takich chmur o poranku nie było w Rahway ani w New Jersey, ani nawet w niewinności dzieciństwa.

Po przejściu przez zachlapane deszczem szyby światło rozchodziło się we wnętrzu, tworząc wstęgi i spirale rozproszonego ognia.

Jakby światło było życiem; jakby żyło.

Jedyny zegar, który udało się Normie uruchomić - duży, szafkowy, z rzeźbionego mahoni - tykał cicho, duże i gładkie złote wahadło poruszało się wolno i miarowo.

Dom Kapitana był przytulnym statkiem utrzymującym się na trawiastozielonym morzu, a Dramaturg, człowiek miasta, pełnił funkcję Kapitana.

Zawijam z rodziną do bezpiecznego portu.

Nareszcie!

Dramaturg w niewinności męskiej próżności.

Oślepiiony nadzieją.

Czuł się w tej chwili, jak gdyby udało mu się przeniknąć nieprzejrzyste warstwy Czasu, by uświadomić sobie jedność z pokoleniami mężczyzn, którzy przez dziesięciolecia mieszkali w tym domu, mężami i ojcami takimi jak on sam.

- Normo, kochanie?

Gdzie jesteś?

Niewyraźna myśl, że poszła do kuchni; wcześniej wydawało mu się, że słyszy odgłos otwierania i zamykania drzwi lodówki.

Nie zastał jej tam.

Była na dworze?

Wyszedł na taras, podłogowa mata z plecionego bambusa była mokra; kropelki wody błyszcząły jak diamenty na zielonych ogrodowych meblach.

Wyszła tak wcześnie?

Na chłód i wiatr?

Burzowe chmury opuściły niebo na północy.

Większa część nieba miała teraz jaskrawą, brązowozłocistą barwę i była pokryta pajęczyną ognistej, pomarańczowej czerwieni.

Och, a był "człowiekiem pióra", dlaczego nie artystą malarzem?

Fotografikiem?

Kimś, kto składa hołd pięknu naturalnego świata, nie tym, kto kręci się i krząta wokół ludzkiej głupoty i kruchości.

Dlaczego jako wierzący w ludzkość liberał zawsze eksponował ludzkie słabości, oskarżając rządy i "kapitalizm" za zło tkwiące w duszy człowieka?

Ale w naturze nie istnieje żadne zło, nie istnieje brzydota.

Norma to czysta natura.

Nie ma w niej zła ani brzydoty.

"Normo?

Chodź, popatrz.

Niebo...!

" Wrócił do ciemnej kuchni.

Przez kuchnię i pralnię przeszedł w stronę garażu, przed drzwiami do garażu znajdowało się wejście do piwnicy, otwarte na oścież; jakaś kobieca postać w bieli siedziała na najwyższym stopniu; światło włączane przyciskiem słabo rozpraszało mrok; idąc do piwnicy, powinien zabrać latarkę.

Ale Norma nie miała latarki i najwidoczniej nie chciała wchodzić do piwnicy.

Rozmawiała tam z kimś?

Mówiła do siebie?

Miała na sobie przezroczystą białą koszulę nocną, a jej włosy, ciemne przy skórze głowy, były w nieładzie.

Już otworzył usta, aby znowu wypowiedzieć jej imię, ale zawahał się, nie chciał jej wystraszyć, i w tej samej chwili ona odwróciła się do niego, szeroko otworzyła lazurowe oczy, choć źrenice miała rozszerzone, niewidzące.

Zauważył, że w dłoniach trzyma talerz, a na talerzu leży kawałek surowego, ociekającego krwią steku; jadła stek z talerzyka niczym kot i zlizywała krew.

Zobaczyła patrzącego na nią męża.

Roześmiała się.

- Och, Tatuśku!

Wystraszyłeś mnie.

Dziecko znajdowało się w jej łonie od bez mała trzech miesięcy.

Ależ była podniecona!

Wkrótce mieli przyjechać goście.

Grupa jego przyjaciół, intelektualistów z Manhattanu: pisarze, dramaturgowie, reżyserzy, znawcy teatru, poeci, wydawcy.

Czuła (och, chyba było to głupie!

), że sama obecność znakomitych ludzi będzie miała dobroczynny wpływ na dziecko w jej łonie.

Jak recytowanie z pełną powagą słów, które zamierzała zapamiętać.

Fragmentów z Czechowa, Dostojewskiego, Darwina, Freuda.

(W antykwariacie w Galapagos Cove, to znaczy w czyjejś zagraconej, zatęchłej piwnicy, znalazła i kupiła za pięćdziesiąt centów tanie wydanie Kultury jako źródła cierpień Freuda.

"Och, to jakiś cud.

Właśnie tego szukałam".) Istniała strawa dla ciała, lecz istniała także strawa dla ducha i intelektu.

Matka wychowała ją w atmosferze literatury, muzyki, nietuzinkowych ludzi, choć byli to jedynie niezbyt dobrze zarabiający pracownicy Wytwórni, ludzie tacy jak ciotka Jess albo wujek Clive; jej własne dziecko otrzyma znacznie lepszą strawę, już ona tego dopilnuje.

"Poślubiłam człowieka genialnego.

Dziecko odziedziczy ten geniusz.

Dożyje dwudziestego pierwszego wieku, bez wspomnień o wojnie".

Dom Kapitana, postawiony na dwóch akrach ziemi nad oceanem.

Dom na miesiąc miodowy.

Wiedziała, że tak na pewno nie będzie, lecz fantazjowała, iż dziecko urodzi się w tym domu, w łóżu o czterech kolumnach, a Norma nie krzyknie ani razu.

Drzemało w jej głowie niezbyt przyjemne wspomnienie (powiedziała o tym jedynie Carlowi, który chyba jej uwierzył, bo wspomniał, że sam przeżył coś podobnego) matki, która krzyczy, krzyczy w udręce porodu, przeżywa fizyczny horror jak walczące ze sobą oszalałe pytony; chciała oszczędzić Dziecku takiego doświadczenia, okropnego wspomnienia, z którym musiałoby żyć.

Wkrótce mieli przybyć goście.

Na weekend!

Norma Jeane stała się domatorką; bardzo się z tego cieszyła; nigdy podobnej roli nie grała, ale była do niej stworzona.

Była lepszą gospodynią domową niż pierwsza żona Dramaturga (tak jej powiedział).

Podobało jej się to, co go pozytywnie zaskoczyło.

Poślubił znaną z kaprysów aktorkę, co za ryzyko!

Blondwłosą seksbombę i dziewczynę z okładek - co za ryzyko!

Chciała, żeby zrozumiał, że o ryzyku nie może być mowy, i z satysfakcją stwierdziła, że zaczął to rozumieć.

Wiedziała, że jego przyjaciele odciągają go na bok i mówią: "Nie ma co, Marilyn jest urocza!

Marilyn jest godna podziwu.

I w ogóle jest inna, niż można by oczekiwać".

Niektórzy piali z zachwytem: "Nie ma co, Marilyn jest inteligentna.

I czytana.

Właśnie z nią rozmawiałem o..." Bywało, że nazywali ją teraz Normą, nie Marilyn.

"Popatrzcie, Norma jest naprawdę czytana!

Przeczytała nawet moją ostatnią książkę".

Przepadała za nimi, za przyjaciółmi męża.

Rzadko z nimi rozmawiała, chyba że oni odzywali się do niej pierwsi i zachęcili ją.

Mówiła cicho, z wahaniem, czasem nie wiedziała, jak wymówić najprostsze słowa!

Za wstydzona, milcząca, jakby była zdjeta tremą.

Może była trochę wystraszona i spięta.

Na dodatek Dziecko w jej łonie ścisnęło ją mocno.

Tym razem nie sprawisz mi przykrości.

Nie zrobisz tego, co ostatnio?

Stała bosą na trawniku.

W niezbyt czystych spodniach z płótna żaglowego i jednej z mężowskich koszul związanej ciasno poniżej piersi nad obnażonym brzuchem; jej słomkowy kapelusz przytrzymywała przeciągnięta pod brodą tasiemka.

Miała dziwne, niepokojące wrażenie, że (być może) ktoś ją obserwuje.

Fikcyjny strzelec, z pierwszego piętra Domu Kapitana.

Z pracowni Dramaturga, który ustawił biurko przy oknie.

Kocha mnie.

Naprawdę.

Dla mnie oddałby swoje życie.

Tak powiedział.

Nawet się jej podobało, że mąż ją obserwuje, ale wcale się jej nie podobało, że mógłby o niej pisać, co uzasadniała następująco: Pisarz najpierw patrzy, a potem pisze.

Jak pająk pustelnik wstrzykuje jad, bo taka jego natura.

Ścinała kwiaty do wazonu.

Ostrożnie stąpała bosymi stopami, aby nie natrafić przypadkiem na jakieś przedmioty w wysokiej trawie: części dziecięcych zabawek, kawałki plastiku albo metalu.

Właściciele Domu Kapitana byli dobrymi, uprzejmymi ludźmi - starsze małżeństwo mieszkające w Bostonie wynajmowało swój dom, ale poprzedni lokatorzy byli beztroscy, niechlujni, może nawet złośliwi - z werandy rzucali kości wprost na trawnik, bosonoga Norma niejedną raz boleśnie na nie nastąpiła.

Mimo wszystko uwielbiała to miejsce!

Stary dom, niczym budowla z jakiejś powieści, wznosił się teraz nad nią wysoko, bo z kolei trawnik stromo opadał; posesja sięgała skraju klifu, ciągnęła się po kamienistą plażę.

Uwielbiała panujący tu spokój.

Słyszało się fale oceanu, słyszało ruch uliczny od frontu, ale wszystkie te dźwięki były stłumione, jakby dochodziły spoza jakiejś bariery ochronnej.

Nie panowała tu ani surowa, ani oślepiająco biała cisza.

Jak w szpitalu, kiedy odzyskała przytomność w tamtej Krainie Śmierci tysiące mil stąd.

A lekarz, Brytyjczyk w białym fartuchu, człowiek obcy, wpatrywał się w nią, jakby była kawałkiem mięsa na kromce chleba.

Potem zapyta ją niezwykle spokojnym głosem, czy jest świadoma tego, co się stało, czy przypomina sobie, jaką dawkę barbituranów połknęła; czy naprawdę zamierzała wyrządzić sobie krzywdę.

Będzie się zwracał do niej "pani Monroe".

Zdobędzie się na uwagę, że podobały mu się "niektóre jej filmy".

W milczeniu potrząsnęła głową.

Nie nie nie.

Jakżeby miała umrzeć, nie urodziwszy dziecka, nie dopełniwszy życia.

Kiedy ostatni raz rozmawiał z nią przez telefon, Carlo wymusił na niej obietnicę, że zadzwoni do niego, tak jak on zadzwoniłby do niej.

Gdyby któreś z nich poważnie myślało o tym, co Carlo nazywał "wielkim, dziecinnym krokiem w Nieznane".

Carlo!

Jedyny mężczyzna, który naprawdę ją rozśmieszył.

Odkąd zniknęli z jej życia Cass i Eddy G.

(Nie, Carlo nie był kochankiem Normy.

Chociaż hollywoodzcy dziennikarze próbowali ich łączyć i zamieszczali zdjęcia, na których uśmiechali się razem i trzymali za ręce.

Monroe i Brando: Najbardziej oryginalna para Hollywood?

czy "najwyklesza para przyjaciół" kochali się tamtej nocy w łóżku Normy, ale owo zaniedbanie miało charakter czysto techniczny, tak jakby przed nadaniem listu zapomniało się zakleić kopertę.)

Norma przyniosła motykę z garażu i okropnie zardzewiała, oblepiony pajęczynami sekator, który wisiał w piwnicy na haku.

Goście mieli się pojawić dopiero wczesnym wieczorem.

Jeszcze nie było południa, zatem miała mnóstwo czasu.

Kiedy przenieśli się do Domu Kapitana, postanowiła, że utrzyma klomby w doskonałym stanie, ale, do licha!

- chwasty tak szybko rosły.

Podczas rytmicznej pracy w jej głowie dojrzał wiersz, błyskawiczny jak chwast.

CHWASTY AMERYKI

My, chwasty Ameryki, nie umrzemy łopiany trawy osty mleczne NIE UMRZEMY, gdy nas wyrwą z korzeniami NIE UMRZEMY, gdy nas wytrują

NIE UMRZEMY, gdy nas przeklną Chwasty Ameryki, wiecie co?

MY JESTEŚMY AMERYKĄ!

Roześmiała się.

Maleństwu spodobałby się ten wiersz.

Prosty i błahy.

Siądzie do fortepianu i ułoży do niego melodię.

Na pozarastanych klombach rośło kilka kwitnących hortensji.

Ulubionych kwiatów Normy Jeane!

Jak żywo pamiętała hortensje kwitnące na podwórzu za domem Glazerów.

Bładoniebieskie, takie jak te, ale także różowe i białe.

I panią Glazer, która mawiała z taką osobliwą powagą, z jaką powszechnie mówimy, tak jakby banalność naszych słów miała świadczyć o naszej autentyczności i sprawić, by przetrwały dłużej niż nasze kruche, zawodne życie: "Hortensje to najładniejsze kwiaty, Normo Jeane".

Nic nie jest tak dramatyczne jak duch.

Dramaturg od niepamiętnych czasów zastanawiał się, co T.

S. Eliot miał na myśli.

Raczej nie podobała mu się ta uwaga, w jego sztukach bowiem nie było duchów.

Przyglądał się Normie ścinającej sekatorem kwiaty na trawniku z tyłu budynku.

Swojej pięknej, brzemiennej żonie.

Kilka razy dziennie zatapiał się w rozmyślaniach na jej temat.

Istniała Norma, która z nim rozmawiała, i Norma, która znajdowała się w pewnej odległości od niego.

Pierwsza była przedmiotem emocji, druga - estetycznego podziwu.

Co naturalnie też jest odmianą emocji i to nie mniej intensywną.

Moja piękna, brzemienna żona.

Miała na głowie słomkowy kapelusz z szerokim rondem, który chronił jej wrażliwą skórę przed słońcem, spodnie i jego koszulę, ale nie włożyła butów, co mu się nie podobało, ani rękawic ogrodniczych, co mu się także nie podobało.

Na jej gładkich rękach pojawią się odciski!

Dramaturg nie przyglądał się jedynie Normie.

Patrzył na ocean, niebo wybrukowane chmurami o rozmaitych stopniach przejrzystości; był mile podekscytowany pracą, oderwanymi scenami i szkicami nowej sztuki, które być może mogłyby też przerodzić się w scenariusz filmowy (dotychczas nigdy nie próbował napisać scenariusza), powstały jakby specjalnie dla jego żony.

Norma pojawiła się na dole, na trawniku.

Z motyką i sekatorem.

Pracowała nieporadnie, ale metodycznie.

Praca pochłonęła ją całkowicie.

Zawsze tak było.

Tak samo była zaabsorbowana ciężą; pewność szczęścia przeniknęła jej ciało jak potężne wewnętrzne światło.

Bał się, że coś się może przydarzyć jej albo dziecku.

Nie mógł znieść samej myśli o takiej możliwości.

Wyglądała na wyjątkowo zdrową, niczym któraś z kobiet z obrazów Renoira przeżywająca rozkwit swej kobiecej urody.

Ale tak naprawdę wcale nie była silna: łatwo łapała infekcje, miewała kłopoty z oddychaniem, do kuczała jej okropna migrena i często cierpiała na rozstrój żołądka.

I te nerwy!

"Ale nie tutaj, Tatuśku.

Tutaj czuję się bardzo dobrze".

"Tak, kochanie.

Ja też".

Przyglądał się jej, podpierając się na łokciach.

Na scenie każdy jej nieporadny, rozbrajający gest miałby jakieś znaczenie; poza sceną podobne gesty idą w zapomnienie, ponieważ nie ma publiczności.

Jak długo Norma mogła wytrzymać jako nieaktorka?

Zrezygnowała z hollywoodzkich filmów, ale pozostawała jeszcze scena, a do niej miała wrodzony talent; a i słowo "geniusz" byłoby chyba na miejscu.

("Nie zmuszaj mnie do powrotu.

Tatuśku - prosiła, przytulając się do jego ramienia, naga u jego boku w łóżku.

-Już nigdy nią nie będę".)

Dramaturga od dawna fascynowała dziwna, zmienna natura Aktora.

Co to jest "aktorstwo" i dlaczego na "wspaniałe aktorstwo" reagujemy tak, jak reagujemy?

Wiemy, że aktor "gra", a mimo to...

chętnie zapominamy, że aktor "gra", a w wypadku utalentowanych aktorów zapominamy o tym bardzo szybko.

To tajemnica, zagadka.

Jak możemy zapomnieć, że aktor "gra"?

Czy aktor "gra" w naszym imieniu?

Czy podtekstem "aktorstwa" jest zawsze i wyłącznie nasze własne, ukryte (i tłumione) "aktorstwo"?

Wśród licznych książek, które Norma Jeane zabrała ze sobą z Kalifornii, było dziełko Z życia aktora (Dramaturg nigdy wcześniej o nim nie słyszał), a każda strona tego osobliwego kompendium z pozoru anonimowych epigramatów i aforyzmów została zaopatrzona w komentarze Normy Jeane.

Najwyraźniej ta książka była Biblią Normy!

Poszczególne strony miały pozaginane rogi, były poplamione, wypadały z obwoluty.

Data publikacji: 1948, nie znane wydawnictwo z Los Angeles.

Norma dostała tę książkę od kogoś o imieniu "Cass": Pięknej Bliźniaczce Normie z promienną, wieczną miłością.

Na stronie tytułowej znajdował się przepisany przez Normę, teraz już wyblakły aforyzm.

Aktor jest najszczęśliwszy jedynie w świętym dla siebie miejscu: na scenie.

Czy to prawda?

Czy to prawda w wypadku Normy?

Taka prawda byłaby gorzkim objawieniem dla kochanka.

Byłaby gorzkim objawieniem dla męża.

"Ale prawda o aktorze jest zaledwie prawdą o ulotnej chwili.

Prawdą o aktorze jest dialog".

Dramaturg był pewny, że tak jest.

Norma skończyła ścinanie kwiatów i ruszyła do domu.

Był ciekaw, czy spojrzy do góry i zauważy go, nastąpiła jedna, krótka chwila, kiedy mógł jeszcze zniknąć z pola widzenia, ale tak, ona spojrzała do góry, pomachała, on uśmiechnął się i pomachał w odpowiedzi.

"Moja kochana".

Dziwne, że przyszła mu do głowy ta uwaga T.

S. Eliota.

Nic nie jest tak dramatyczne jak duch.

"W naszym życiu nie ma duchów".

Dramaturg od czasu pobytu w Anglii zastanawiał się, jaka będzie przyszłość Normy.

Odrzuciła aktorstwo, ale: jak długo bez tego wytrzyma?

Jako gospodyni domowa, matka, na marginesie życia?

Przy swoim talencie nie mogła się zadowolić prywatnym życiem, tyle wiedział.

Był tego pewien.

Mimo to uważał, że nie powinna wracać do Marilyn Monroe; pewnego dnia Marilyn ją zabije.

A jednak pisał scenariusz.

Dla niej.

I potrzebowali pieniędzy.

Albo będą ich potrzebowali.

Niedługo.

Zszedł na dół, aby jej pomóc w kuchni.

Właśnie układała bukiet; na twarzy miała warstwę potu.

Wybrała bladoniebieską hortensję i kilka łądyg czerwonych, pnących róż - z liśćmi skropionymi czarnym grzybicowym nalotem.

- Zobacz, Tatuśku!

Zobacz, co mam.

Grupa jego przyjaciół z Manhattanu przyjeżdżała z wizytą.

Drinki na werandzie, potem późny obiad w Whalers Inn.

Skromna, wdzięczna żona Dramaturga porozstawia po domu wazony z kwiatami, nie zapominając o pokojach gości.

- Kwiaty sprawiają, że ludzie czują się serdecznie witani.

Nalewał wody do wazonów, Norma układała kwiaty, tyle że coś było nie tak, hortensje wpadły do naczyń.

- Kochanie, łądygi są trochę za krótkie.

Rozumiesz?

- Nie upominał jej, na pewno nie krytykował, ale przygasła od razu.

Straciła dobry nastrój.

- Och, co ja zrobiłam...

Co?

- Spójrz, chyba możemy naprawić szkodę, o tak.

Do diabła!

Nie powinien był używać słowa "szkoda".

To przybiło ją jeszcze bardziej, skuliła się jak uderzone dziecko.

Dramaturg poukładał kwiaty w płytkich misach.

Główki kwiatów pływały.

(Nie były już świeże.

Przetrwają może jeden dzień.

Ale Norma jakby tego nie zauważyła.) Pnące róże bez liści umieścił między hortensjami.

- Kochanie, wypadło prawie tak samo pięknie.

Takie to trochę japońskie.

Norma w milczeniu przyglądała się zręcznym dłoniom męża.

Głaskała

się po brzuchu, przygryzając dolną wargę.

Dyszała i zdawała się nie słyszeć

jego słów.

W końcu powiedziała z wahaniem:

- Uważasz, że to jest w porządku, tak jak teraz?

Takie kwiaty?

Takie krótkie?

Nikt nie będzie się z tego s...śmiał?

Dramaturg odwrócił się do niej.

- Śmiał?

Kto miałby się śmiać?

Patrzył z niedowierzaniem.

Ktoś miałby się śmiać ze mnie?

Będzie jej szukał we wnęce kuchennej, gdzie się czasami chowała.

Jeśli nie w kuchni, to w garażu.

Jeśli nie w garażu, to na schodkach do piwnicy.

(Też miejsce na kryjówkę!

Wilgotne i cuchnące.

Chociaż Norma nie przyzna, że tam się chowa.)

- Kochanie, nie zamierzasz się do nas przyłączyć?

Jesteśmy na werandzie.

Dlaczego tu siedzisz?

- Och, już idę, Tatuśku!

Ja tylko...

Przywitała się z gośćmi i czym prędzej zostawiła go z nimi samego.

Jak dzika kotka.

Czyżby to była jakaś trema?

Nie będzie mówił: Normo, nie daj im powodu, aby nas obgadywali!

Mając na myśli: By ciebie obgadywali.

Nie, był miły, wyrozumiały, uśmiechnięty, sprawny w roli gospodarza.

Słynną nieśmiałość Marilyn zamienił w delikatny, swojski żart.

Znalazł ją we wnęce kuchennej, zajętą składaniem toreb do pakowania zakupów.

Goście oglądali dom, właśnie wychodzili na werandę.

Dramaturg pocałował żonę w czoło, aby ją uspokoić.

Nikły zapach chemikaliów unosił się z jej włosów, kiedy się pociła, choć nie rozjaśniała włosów już od miesięcy.

Starał się mówić łagodnie.

Nie krytykować.

Dialog, który prowadzili, brzmiał w jego uszach tak, jakby on sam go napisał.

- Kochanie, nie musisz się tak przejmować tą wizytą.

Jesteś chyba bardzo niespokojna.

Znasz Rudyego i Jean, mówiłaś, że ich lubisz...

- Ale oni mnie nie lubią, Tatuśku.

Przyjechali zobaczyć się z tobą.

- Normo, nie wygłupiaj się.

Przyjechali zobaczyć się z nami.

(Nie: musiał usunąć z głosu tony niedowierzania.)

Musiał przemawiać do tej kobiety tak, jak przed wielu laty mówił do swych bardzo małych, bardzo bezbronnych dzieci, które tatę podziwiała, ale też się go bały.)

- Och, nie winie ich za to!

Nie winie ich.

Przecież jesteś ich przyjacielem.

- Oczywiście, znam ich dłużej niż ty, właściwie już połowę mojego życia.

Ale...

Roześmiała się, potrząsając głową.

Podniosła ręce, rozłożyła dłonie.

W geś cie błagania i bezsilności.

- Och, ale...

dlaczego ci ludzie, ci twoi eleganccy przyjaciele, on pisarz, ona wydawca, dlaczego mieliby ochotę spotkać się ze mną?

- Kochanie, po prostu chodź, dobrze?

Oni czekają.

Znowu potrząsnęła głową.

Roześmiała się.

Popatrzyła na niego z ukosa.

Jak wystraszona kotka, wystraszona bez widocznej przyczyny, gotowa czmychnąć; ale i niebezpieczna.

Dramaturg nie miał zamiaru potwierdzać jej absurdalnych podejrzeń i poprosił ją spokojnie, uprzejmie, gładząc kciukiem jej czoło, pochylając się, aby spojrzeć jej w oczy w sposób, który czasami działał na nią jakby hipnotycznie:

- Kochanie, po prostu chodź ze mną, dobrze?

Wyglądasz bardzo pięknie.

Była piękną kobietą, przerażoną własną urodą.

Była oburzona tym, że jej uroda może mieć coś wspólnego z kimś takim jak ona.

Ale równocześnie nie znał kobiety bardziej niespokojnej o swój wygląd, gdy w grę wchodziło spotkanie z nieznanymi.

Norma Jeane słuchała i rozważała coś w myślach.

W końcu zadygotała, roześmiała się, potarła czołem o jego brodę, zdjęła z lodówki dużą paterę ze świeżymi warzywami, ułożonymi geometrycznie wedle koloru, i dip z kwaśnej śmietany, który sama przygotowała.

Patera wyglądała imponująco i po wiedział jej o tym.

Dramaturg wziął tacę z drinkami.

Naraz znowu wszystko było w porządku.

Znowu zmierzało ku dobremu.

Jak na planie Przystanku autobusowego, kiedy widział, jak wpadła w panikę, zamarła, wycofała się, ale po jakimś czasie powróciła, jako Cherie pełniejsza, żywsza, ognistsza i bardziej przekonująca niż kiedykolwiek wcześniej.

Ich przyjaciele, Rudy i Jean, podziwiali widok oceanu, teraz zaś odwrócili się, by zobaczyć, że zbliża się do nich przystojna para.

Dramaturg i Blondwłosa Aktorka.

Kobieta, która życzyła sobie, aby zwracać się do niej "Norma", była porażająco piękna (trudno uniknąć wyświechtanych określeń, jak oboje później powiedzą), miała świeżą, przejrzystą kremową cerę charakterystyczną dla pierwszych miesięcy ciąży; ciemnoblonde włosy błyszcząły i układały się w fale; nosiła letnią sukienkę w duże pomarańczowe maki, rozkloszowaną przy biodrach, z dużym dekoltem odsłaniającym górną część wierzbranych piersi; na stopach miała lekkie pantofelki na szpilkach; uśmiechnęła się, jakby nagle oślepiło ją sztuczne światło żarówek, i w tej samej chwili potknęła się na dość wysokim stopniu, po którym schodziło się na werandę; patera wyslizgnęła się jej z rąk i uderzyła o podłogę, do góry podskoczyły warzywa, dip i potłuczona porcelana.

Z drobiazgów robiłaś testy na moją lojalność.

Na naszą miłość.

Z drobiazgów!

Te drobiazgi to moje życie.

Twoje życie też stało się problemem.

Szantażem.

Nie broniłeś mnie, mój panie.

Nie broniłeś mnie przed tymi sukinsynami.

To nie było takie oczywiste, kto potrzebuje obrony.

Zawsze ty?

Pogardzali mną!

Ci tak zwani twoi przyjaciele.

Nie. To ty sama pogardzasz sobą.

Przepadała za jego rodzicami.

Ku jego zdziwieniu rodzice też za nią przepadali.

Podczas pierwszego spotkania na Manhattanie matka Dramaturga, Miriam, odciągnęła go na bok, ścisnęła za nadgarstek i szepnęła mu triumfalnie do ucha:

Ta dziewczyna jest zupełnie taka sama jak ja, gdy byłam w jej wieku.

Taka pełna nadziei.

Ta dziewczyna!

Marilyn Monroe!

Okaze się - ku zdziwieniu i ku spóźnionemu żalowi Dramaturga - że żadne z jego rodziców nigdy nie przepadało za Esther.

Ponad dwadzieścia lat życia z biedną Esther, która dała im ukochane wnuki.

Esther, która była Żydówką i pochodziła z takiego samego środowiska jak oni.

Tymczasem Norma - Marilyn Monroe - była typową, blondwłosą szyksą.

Tylko że teraz był rok 1956, nie 1926.

W tym okresie wiele się zmieniło w żydowskiej kulturze i na świecie.

Dramaturg zauważył, podobnie jak Max Pearlman, że kobiety traktują Normę serdecznie, zupełnie inaczej, niż można się było spodziewać.

Zamiast oczekiwanej zazdrości, zawiści, niechęci, odczuwały osobliwą więź z Normą albo Marilyn; czy to możliwe, że patrzyły na nią i widziały siebie?

Wyidealizowaną własną postać?

Mężczyzna skwitowałby uśmiechem tego rodzaju nieporozumienie.

Iluzję czy też pomieszanie.

Ale co tam wiedzą mężczyźni?

Jeśli ktokolwiek odrzucał Normę, to najprawdopodobniej pewnego rodzaju mężczyzna; mężczyzna, którego seksualnie pociągała, lecz który miał dość rozumu, aby przewidzieć, że go odrąci.

Dramaturg doskonale wiedział, jakie zjadliwe strategie zrodzić się mogą z urażonej męskiej dumy.

Czy nie było prawdą, że gdyby dawniej Blondwłosa Aktorka nie okazywała tak jawnie swojej fascynacji jego osobą, to Dramaturg mógłby mówić o niej z lekceważeniem?

Nieźła jako aktorka filmowa.

Ale zbyt kiepska na prawdziwej scenie.

W każdym razie matka Dramaturga przepadała za jego drugą żoną.

Bo nieśmiało uśmiechająca się Norma, dziewczyna najwyraźniej dość młoda,

a wyglądająca na jeszcze młodszą budziła w siedemdziesięcioletniej kobiecie nostalgiczne wspomnienia o własnej młodości.

Dramaturg słyszał, jak jego matka zwierza się Normie, że w jej wieku miała identyczne włosy jak ona.

"Miały dokładnie taki sam odcień i tak samo się układały".

Słyszał, jak zwierza się Normie, że podczas swojej pierwszej ciąży też "czuła się jak królowa; och, jeden jedyny raz!"

Norma nigdy się nie martwiła, że jej teściowie, którzy nie byli intelektualistami, będą się z niej śmiali.

W kuchni na Manhattanie i w Domu Kapitana.

Miriam trajkotała, a Norma mruczała na znak zgody.

Miriam poinstruowała Normę, jak się przygotowuje rosół z kulkami macy i siekaną wątróbkę z cebulą.

Dramaturg nie bardzo tęsknił za chałwą i łososiem po żydowsku, ale te jego "ulubione" potrawy często się pojawiały na sobotnich lunchach.

I barszcz.

Miriam przyrządzała barszcz z buraczków, a czasem z kapusty.

Miriam przygotowywała własny bulion wołowy.

Twierdziła przy tym, że jest to "tak samo proste" jak otworzenie tuzina puszek z zupami Campbella.

Miriam podawała barszcz na gorąco lub na zimno.

W zależności od pory roku.

Miriam знаła przepis na "błyskawiczny barszcz", do którego potrzebne były przetarte buraczki dla dzieci z puszek Gerbera.

"Trochę cukru.

Sok z cytryny.

Ocet.

Kto się zorientuje?

"

Ich barszcz smakował równie dobrze jak każdy inny barszcz.

OCEAN

Stłukłam lustro, A kawałeczki Popłynęły do Chin.

Żegnajcie!

Nadszedł ten okropny lipcowy wieczór, kiedy Norma wróciła z wyprawy do miasta i on, jej mąż, zamiast niej ujrzał Rosę.

Rosę, wiarołomną żonę z Niagary.

Oczywiście on tylko to sobie wyobrażał!

Pojechała furgonetką do Galapagos Cove, czy też może do Brunswicku.

Zamierzała kupić coś do jedzenia, między innymi świeże owoce, i parę rzeczy w aptece.

Witaminy.

Tran w kapsułkach.

Na wzmocnienie białych ciałek we krwi.

O ile pamiętała, właśnie tak się wyraziła.

Ustawicznie mówiła o swoim stanie; w pewnym sensie właściwie nie poruszała innych tematów.

Wzrastanie dziecka w łonie.

Przygotowanie do porodu.

Co za szczęście!

W Brunswicku prowadził praktykę lekarz położnik, znajomy jej lekarza z Manhattanu.

Odwiedzała go raz na dwa tygodnie.

Albo może pojechała "zrobić" sobie włosy albo paznokcie.

Rzadko chodziła po sklepach (na Manhattanie zawsze ją rozpoznawano i wtedy wolała uciekać), teraz jednak jej ciąża coraz bardziej rzucała się w oczy i Norma mówiła ze smutkiem, że potrzebuje trochę nowych ubrań.

Luźnych koszul, sukienek.

"Boję się, że nie będziesz mnie kochał, Tatuśku, jeżeli przestanę ładnie wyglądać.

Prawda?

" Przygotowała dla niego lunch, potem wyjechała i do trzeciej nie wróciła.

Dramaturg, pochłonięty pisaniem, w transie tworzenia (on, który rzadko pisał dziennie więcej niż jedną stronę dialogu, w dodatku i tak tylko prowizorycznie) prawie nie dostrzegał nieobecności żony, póki nie zadzwonił telefon.

-Tatuśku?

Wiem, że się s...spóźniłam.

Ale już wracam.

- Wydawała się skruszona i pełna poczucia winy.

Brakowało jej tchu.

Nie spiesz się, najdroższa.

Oczywiście trochę się o ciebie martwiłem.

Ale jedź ostrożnie.

Droga wzdłuż wybrzeża była wąska, kręta, nawet w ciągu dnia czasem snuły się po niej leniwie pasma mgły.

Gdyby akurat teraz Norma miała wypadek!

O ile Dramaturg się orientował, należała do ostrożnych kierowców.

Za kierownicą starego plymoutha (który wydawał się jej duży i trudny do prowadzenia jak autobus) pochylała się do przodu, marszczyła czoło i przygryzała dolną wargę.

Zbyt szybko i gwałtownie naciskała pedał hamulca.

Zbyt przejmowała się obecnością innych samochodów na drodze.

Zanim dojechała do skrzyżowania, zatrzymywała się daleko przed światłami, jakby bała się, że potrąci przechodniów nawet wtedy, gdy jej samochód stoi w miejscu.

Nigdy nie przekraczała szybkości czterdziestu mil na godzinę, nawet na autostradzie; inaczej niż Dramaturg, który prowadził znacznie szybciej, z nowojorską brawurą, rozmawiając podczas jazdy, czasem unosząc ręce znad kierownicy i gestykując.

Wierzył jednak, że Norma zasługuje na większe zaufanie jako kierowca niż on!

Teraz zaczął na nią czekać zupełnie świadomie.

Nie potrafił już wrócić do pracy.

Będzie czekał przez kolejne dwie godziny i dwadzieścia minut.

Jazda z Galapagos Cove do Domu Kapitana zajmuje nie więcej niż dziesięć minut.

Ale czy Norma dzwoniła z Brunswicku?

W całym tym zamieszaniu nie mógł sobie przypomnieć.

Kilka razy wydawało mu się, że słyszy samochód na ostrym, wysypanym żwirem podjeździe do domu.

Wjeżdżanie do garażu, w ten jej bardzo ostrożny sposób.

Chrzęst żwiru.

Zatrzaskiwanie drzwi.

Kroki.

Szept.

Głos odbity od podłogi: "Tatuśku?

Wróciłam".

Nie mógł się powstrzymać.

Zbiegł po schodach i sprawdził garaż.

Oczywiście samochodu w nim nie było.

W drodze powrotnej minął szeroko otwarte drzwi do piwnicy.

Zatrzasnął je gwałtownie.

Dlaczego te cholerne drzwi są zawsze otwarte?

Klamka trzyma dobrze.

Pewnie Norma zapomniała je zamknąć.

Z piwnicy unosiła się intensywna, mdława woń zgnilizny; ziemi, rozkładu i Czasu.

Zadrzał.

Norma oświadczyła, że nie cierpi piwnicy: Jest taka wstrętna".

Tylko tej jednej rzeczy nie lubiła w Domu Kapitana.

Jednak Dramaturg już dawniej odniósł wrażenie, że obejrzała ją dokładnie, z latarką, jak dziecko zdecydowane zbadać to, co je przeraża.

Tylko że Norma była kobietą trzydziestodwuletnią.

Po co więc napędzała sobie strachu?

W jej stanie.

Nie wybaczy jej, myślał.

Jeśli zniweczy ich szczęście.

W końcu po szóstej telefon zadzwonił ponownie.

Natychmiast sięgnął po słuchawkę.

Ten sam słaby, zadyszany głos:

- Och, Tatuśku.

Jesteś na mnie w...wściekły?

- Normo, co się dzieje?

Gdzie jesteś?

Nie panował nad swoim głosem.

Nie mógł ukryć niepokoju.

- Miałam pewien kłopot z tymi ludźmi...?

- Z jakimi ludźmi?

Gdzie?

- Właściwie to żaden kłopot, Tatuśku.

Tylko, no sama nie wiem...

- Ktoś coś do niej mówił, i ona odpowiedziała, przykrywając dłonią mikrofon.

Roztrzęsiony Dramaturg słyszał w tle podniesione głosy.

I głośne dudnienie rock and rola.

Po chwili Norma znowu się odezwała: - Oooj, prawdziwe szaleństwo.

Ale to są naprawdę mili ludzie, Tatuśku.

Mówią, zdaje się, po francusku.

Dwie dziewczyny?

Siostry?

Identyczne bliźniaczki.

- Normo, co mówisz?

Nie słyszę cię.

Bliźniaczki?

-Ale teraz już wracam.

Zrobię kolację.

Słowo!

- Normo...

- Tatuśku, kochasz mnie, co?

Nie jesteś na mnie wściekły?

- Normo, na miłość boską...

W końcu o szóstej czterdzieści Norma wjechała na podjazd.

Machając do niego przez szybę.

Czekał na nią, aż mu twarz stężała od tego czekania.

Będzie mu się wydawało, że czekał cały dzień.

Ale niebo było jeszcze jasne, letnie.

Tylko na wschodzie, powyżej linii horyzontu, na dalekiej krawędzi oceanu zaczynał się zmierzch niczym ciemna plama przechodząca w gruby trójkąt chmur.

Nadeszła Norma.

Dziewczyna z Góry.

Albo Rosę przebrana za Dziewczynę z Góry.

W słomkowym kapeluszu o szerokim rondzie, zawiązanym skromnie pod brodą.

W luźnej bluzce z wyszytymi różowymi pączkami róż i białych, trochę przybrudzonych krótkich spodenkach.

Objęła Dramaturga za szyję i pocałowała go namiętnie i głęboko w usta.

- O rany, Tatuśku.

Przepraszam.

Wyczuł coś słodkiego i cierpkiego.

W kącikach ust miała maleńkie plamki.

Piła coś?

Sięgnęła do tyłu samochodu po zakupy.

Dramaturg bez słowa odebrał od niej torby.

Serce tłukło mu w piersi ze złości, co było w istocie pokłosiem niepokoju.

Jeśli tylko Normie coś się stało!

I dziecku!

Stała się ośrodkiem jego życia, a on nawet o tym nie wiedział.

Ależ był otumaniony, pełen współczucia.

Kiedy wysłuchał opowieści o poprzednim mężu Normy.

O Eks-Sportowcu, który wynajął prywatnych detektywów, aby ją śledzili.

Ale teraz była w domu, nic się jej nie stało, roześmiana, skruszona.

Kątem oka patrzyła na niego, na swego męża stojącego z pochmurną miną.

Bez ładu i składu opowiadała mu jakąś historię, której zapewne nie mógł rozwikłać, o podwiezieniu dwóch autostopowiczek do Galapagos Cove, a potem do czyjegoś domu, gdzie te bliźniaczki namówiły ją, aby tam na chwilę została.

Wiesz, one wiedziały, kim jestem, mówiły do mnie Marilyn, ale ja po wtarzałam: "Nie, nie, ja nią nie jestem, nazywam się Norma".

Jakby to była zabawa, gra, śmiałyśmy się...

Jakbym się znalazła wśród koleżanek ze szkoły w Van Nuys, za którymi tęsknię.

- Te siostry bliźniaczki były "naprawdę ładne" i mieszkały ze swoją rozwiedzioną matką w "smutnej, rozklekotanej starej przyczepie" gdzieś na wsi, a jedna z nich, Janice, miała trzymiesięczne dziecko o imieniu Cody.

- Ojciec, marynarz na statku handlowym, nie chciał się z nią ożenić, po prostu odplynął w siną dal.

- Norma spędziła trochę czasu w przyczepie, później zaś wszystkie pojechały gdzieś furgonetką, a potem...

- Tatuśku, wiesz co?

Pojechałyśmy do sklepu Safaway, wiesz?

My wszystkie i dziecko.

Nie masz pojęcia, ile potrzebowały rzeczy, to znaczy tylko do jedzenia.

Wydałam wszystko do ostatniego centa.

- Opowiadała tę historię z pokorą; a jednak zachowywała się wyzywająco.

Była skruszoną dziewczynką, ale tak naprawdę wcale nie była skruszona, raczej dumna ze swojej małej eskapady.

Nie mówiła: To były pieniądze Marilyn.

Mogłam z nimi zrobić, co mi się podoba.

Westchnęła tylko, jakby nie mogła wyjść z podziwu.

-Wydałam wszystko do ostatniego centa.

Rany!

Dramaturg uświadomił sobie, jak głęboko i beznadziejnie jest zakochany w tej kobiecie.

W tej dziwnej, zmiennej kobiecie.

Teraz nosiła w łonie jego dziecko.

W głębi duszy wcale nie pragnął kolejnego dziecka.

Na Manhattanie, w Zespole i w teatralnych kręgach miał wrażenie, że ją zna; teraz już nie był pewny.

Na początku ich związku zdawała się kochać go bardziej, niż on gotowy był kochać ją; poziom uczucia po obu stronach chyba się wyrównał; kochali się z przerażającą łańczywością.

Ale dopiero dzisiaj, po raz pierwszy przyszło Dramaturgowi do głowy, że może teraz kocha Normę bardziej, niż ona kocha jego.

Jak mógłby to znieść!

Rozstawiając w kuchni naczynia, Norma obserwowała go z ukosa.

W sztuce, tak jak w filmie, podobna scena zawiera silny podtekst.

Ale życie rzadko dopasowuje się do sztuki, zwłaszcza do jej form i konwencji.

Choć Norma boleśnie przypominała mu Rosę z Niagary, wodzącą za nos otępiełego męża Josepha Cottena.

(Lub za inną część jego męskiej anatomii.)

Norma opowiedziała swoją wersję wydarzeń, jej łagodny głos drżał z emocji.

Kłamała?

Nie sądził.

Historyjka była niewinna, nie zawierała nic obciążającego.

A jednak okazywała takie emocje, że równie dobrze mogłaby kłamać.

Mogła tak samo to przeżywać.

Nie jest mi wierna.

Wykroczyła poza granice małżeństwa.

Nagle z przerażeniem zauważył, że jej białe szorty są poplamione, wymazane...

chyba krwią menstruacyjną?

Och, Boże, czy to początek poronienia?

- a Norma niczego nie wie?

- ale dostrzegłszy wyraz jego twarzy, spojrzała w dół i roześmiała się zażenowana.

- O, rany!

Jedliśmy maliny.

Poplamiliśmy się jak prosiaki.

Dramaturg jeszcze się nie otrząsnął.

Jego szczupła, ogorzała od słońca twarz spopieliała.

Okulary o grubych szklach zsunęły się na nos.

Norma wyjęła z torby słoik z malinami i teraz podała kilka owoców Dramaturgowi prosto do ust.

-Och, Tatuśku, nie patrz tak na mnie, tylko spróbuj.

Są wyśmienite, prawda?

Miała rację.

Maliny były wyśmienite.

Nie wystarczyło, że Norma podkreśliła owe prorocze słowa w książce Kultura jako źródło cierpień.

Musiała je jeszcze przepisać do notatnika.

Nigdy nie jesteśmy bardziej bezbronni wobec cierpienia niż wtedy, kiedy kochamy; nigdy nie jesteśmy bardziej nieszczęśliwi niż wtedy, kiedy utraciliśmy ukochanego człowieka lub jego miłość.

W Królestwie nad Brzegiem Morza.

Żebraczka młodziutka żyła.

W Księżniczkę o jasnych włosach Okrutna ją moc zmieniła.

Jakaż to straszna klątwa!"

- Żebraczka zapłakała.

"Początek wielkiej udręki" - Zła wróżka z niej się śmiała.

Raz Księżę ujrzał Księżniczkę, Gdy wyszła na spacer z rana.

"Czy czujesz się samotna Czy pragniesz mieć kompana?"

"

Księżę rozpoczął zaloty.

Od jego miłości trudno zbiec.

Pokochała go Księżniczka, Lecz cóż mu mogła rzec?

"Nie jestem żadną Księżniczką, Lecz Żebraczką, nikim więcej.

"Czy wciąż mnie będziesz kochał?"

" On chwyta ją za ręce...

Skulona we wnęce okiennej w pokoju dziecięcym na piętrze, rozmarzona, szczęśliwa, ocierała z oczu łzy.

Nad nią przepastne niebo, pod nią piwnica o brudnej podłodze, tak daleko, że nie słyszała jej szemrzącej, stłumionej mowy.

Norma Jeane starała się, och, jakże się starała!

- ale już nigdy nie poprawiła rymów.

Pokój dziecięcy.

Wiedziała, rzecz jasna, że dziecko urodzi się na Manhattanie.

W Columbia Presbyterian Hospital.

Pod warunkiem, że wszystko się ułoży bez niespodzianek.

(Magiczna data: 4 grudnia!)

Tu, w Domu Kapitana, w pobliżu Galapagos Cove w stanie Maine, było latem tyle samotności i sennego poczucia szczęścia, pewnie dlatego urządziła baśniowy pokój dziecinny, w którym umieszczała przedmioty kupowane w miejscowych sklepach z antykami i na ulicznych pchlich targach.

Wiklinową kołyskę na biegunach, kremowobiałą, przybraną wspaniałym, porannym błękitem.

(Czy kołyska, którą Gladys nabyła dla niej, nie była przypadkiem prawie identyczna?)

) Małe, ręcznie szyte pluszowe zabawki.

Dziecięcą grzechotkę.

Stare książki dla dzieci, bajki, Babcie Gąskę, gadające zwierzęta, których jak nawiedzona mogła słuchać godzinami.

Dawno, dawno temu...

W pokoju dziecięcym Norma Jeane siedziała skulona we wnęce okiennej i marzyła o życiu.

On napisze dla mnie piękne sztuki.

Zagram w nich.

Dojrzeję do tych ról.

Ludzie będą mnie szanowali.

Kiedy umrę, nikt się nie będzie śmiał.

Czasami słyszała pukanie do drzwi.

Nie miała wyjścia, musiała pozwolić mu wejść.

Zresztą i tak otwierał drzwi i zaglądał do środka.

Uśmiechał się.

Ileż miłości w tych oczach!

To mój mąż.

W pokoju dziecięcym pisała w uczniowskim dzienniku, co było częścią jej sekretnego życia.

Robiła notatki, zapisywała fragmenty wierszy, listy słówek.

W pokoju dziecięcym Norma Jeane siedziała skulona pod oknem i czytała Science and Health Mary Baker Eddy, fascynujące (jeżeli prawdziwe!

) świadectwa zamieszczone w "The Sentinel", książki, które zabrała do Maine z Manhattanu, chociaż wiedziała, że Dramaturgowi nie wszystkie się podobają.

Dramaturg wierzył, że umysł Normy Jeane (otwarty, wrażliwy, podatny na wpływy) jest jak studnia.

Pełna cennej, czystej wody.

Nie powinno się jej zanieczyszczać trującą substancją.

W żadnym razie!

Pukał do drzwi i od razu je otwierał, uśmiechając się do niej, ale ten uśmiech gasł, kiedy Dramaturg widział (nie miała odwagi tego ukrywać), co czyta.

Pewnego popołudnia była to Hańba Europy: historia europejskich Żydów.

(Przynajmniej nie była to jedna z publikacji Christian Science, do których odnosił się ze szczerą odrazą!)

Reakcja Dramaturga na takie książki, jej "żydowskie" książki, była złożona.

Wykrzywił twarz w bezwiednym uśmiechu, w grymasie niepokoju.

W uśmiechu zniecierpliwienia.

Bólu.

Jak gdyby niechcący (och, nie miała takiego zamiaru!

było jej bardzo przykro) kopnęła go w brzuch.

Przykleknie przy niej, aby przekartkować książkę, zatrzyma się przy niektórych fotografiach.

Jej serce będzie biło szybko, znacznie szybciej niż zwykle.

W twarzach zmarłych na zdjęciach dostrzegała rysy swojego żyjącego męża;

czasem nawet jego spojrzenie kpiarza.

Cokolwiek czuł ten mężczyzna, czego w ogóle nie potrafiła sobie wyobrazić (co czułaby w takich sytuacjach, gdyby była Żydówką?

- chyba nie mogłaby tego znieść), będzie to przed nią ukrywał.

To prawda, że jego głos może drżeć.

Drżeć mogą jego dłonie.

Ale Dramaturg przemówi do niej tonem mężczyzny, który ją kocha i jak najlepiej życzy jej oraz ich dziecku.

Powie:

- Normo, sądzisz, że w twoim stanie dobrze jest denerwować się tymi okropnościami?

Będzie protestowała, ale bez przekonania.

- Och, ale ja chcę w...wiedzieć, Tatuśku.

Czy to źle?

Całując ją, powie:

- Kochanie, oczywiście nie ma nic złego w zdobywaniu wiedzy.

Ale przecież ty to wszystko wiesz.

Słyszałaś o holocauście, o pogromach i wiesz co nieco o nasiąkniętej krwią ziemi "cywilizowanej", chrześcijańskiej Europy.

Słyszałaś o nazistowskich Niemcach, a nawet o obojętności Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych wobec kwestii ocalenia Żydów.

Wiesz o tym, choć nie znasz wszystkich szczegółów.

Ty już to wszystko wiesz, Normo.

Prawda?

Prawda.

Dramaturg był mistrzem słowa.

Kiedy tu wchodził, natychmiast przyciągał słowa jak magnes opiłki żelaza.

Norma Jeane, jękając się i płacząc, nie miała szans.

Potem mógł wspomnieć o "makabrycznej pornografii".

Powiedzieć coś o "pławieniu się w cierpieniu", "pławieniu się w smutku".

Z pewną dozą okrucieństwa nadmienić o "pławieniu się w smutku innych".

Och, aleja też jestem Żydówką.

Czyja nie mogę być Żydówką?

W głębi duszy?

Czy to tylko kwestia urodzenia?

Słuchała.

Słuchała z powagą.

Nigdy się nie wtrącała.

Gdyby to były zajęcia z aktorstwa, trzymałaby gorszą książkę przyciśniętą do piersi i bijącego szybciej serca; nie były to zajęcia z aktorstwa, ale przecież i tak mogła trzymać tę książkę przyciśniętą do piersi i bijącego szybciej serca; albo inaczej - mogła zamknąć książkę i odsunąć ją od siebie po wytartej, pluszowej wyściółce podokiennego siedzenia.

Pokorna, dotknięta, ale nie urażona, bo przecież wiedziała, że nie ma prawa być urażona.

Nie, chyba nie

jestem Żydówką.

Wszystko przez to, że mąż ją kochał.

Bardziej niż kochał.

Uwielbiał ją.

Bał się o nią.

Coraz bardziej starał się zawładnąć jej emocjami.

Zapanować nad jej wrażliwością.

(Pamiętasz, do czego niemal doszło w Anglii?

) Był od niej starszy o osiemnaście lat i oczywiście powinien ją chronić.

W takich chwilach ujmowała go potęga własnych uczuć.

Dostrzegał łzy błyszczące w jej ślicznych, szaroniebieskich oczach.

Drżenie jej ust.

Nawet w tej intymnej chwili nie zapominał, jak reżysera Przystanku autobusowego, który się w niej kochał, zdumiewała zdolność Marilyn Monroe do spontanicznego płaczu.

Monroe nigdy nie prosi o glicerynę.

czy zawsze tam są.

Dosyć szybko scena ta stała się improwizacją.

Norma mówiła, jękając się:

-Ale...

Tatuśku...

jeśli nikt tego nie robi?

To znaczy w tej chwili?

Czy wtedy nie powinnam?

- Czego nie powinnaś?

- Wiedzieć o tym?

Myśleć o tym.

W taki ładny, letni dzień?

Tutaj, nad oceanem?

Nie powinni tego robić ludzie tacy jak my?

Nie powinnam przynajmniej p...patrzeć na zdjęcia?

- Nie bądź śmieszna, Normo.

Niczego nie musisz robić.

- Myślę, że ciągle ktoś powinien patrzeć na te zdjęcia, wiesz?

Ktoś na tym świecie.

Bez przerwy, w każdej minucie.

Bo co się stanie, jeśli...

się o nich zapomni?

- Kochanie, holocaust nie może być zapomniany.

Nie na tobie spoczywa odpowiedzialność, aby o tym pamiętać.

Roześmiał się chrapliwie.

Twarz mu płonęła.

- Och, wiem!

To brzmi beznadziejnie.

Chcę powiedzieć - przepraszała i jednocześnie nie przepraszała - chyba chcę powiedzieć...

Co powiedział Freud?

"Nikt, kto żywi iluzję, nie postrzega jej jako iluzji"?

Możesz mieć złudzenie, że inni ludzie robią to, co ty powinieneś robić, więc ty nie potrzebujesz tego robić?

Akurat teraz?

Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Nie, nie rozumiem.

Pławisz się w cudzym smutku, co więcej dodać?

- Tak to widzisz?

-Jest w tym coś upiornego, kochanie.

Znam mnóstwo Żydów, którzy się w tym pławiają.

Dziadowski los, pech historii w kosmologicznym wirze.

Bzdury!

Ale ja nie ożeniłem się z upiorem.

- Podekscytowany bardziej, niżby się o to podejrzewał, Dramaturg nagle wyszczerzył zęby w okropnym uśmiechu.

- Nie ożeniłem się z upiorem, ożeniłem się z dziewczyną.

Norma Jeane roześmiała się.

- Z dziewczyną, nie z upiorem.

- Z ładną dziewczyną, nie z upiorem.

- Och...

czy upiór nie może być ładny?

- Nie.

Upiór nie może być ładny.

Tylko dziewczyna.

-Tylko dziewczyna.

Okej!

Podniosła twarz w oczekiwaniu na pocałunek.

W idealne usta.

Podczas improwizacji nie wiesz, dokąd zmierzasz.

Ale czasem na dobre to wychodzi.

"Nie kocha mnie.

Kocha jakieś stworzenie o blond włosach, które sobie wymyślił.

Nie mnie".

Tak naprawdę to odpetzła jak kopnięty pies.

Dziecko w jej łonie skuliło się ze wstydu do wielkości kciuka.

Potem zawsze rekompensowali sobie te chwile.

Parę godzin później w łóżu z czterema kolumnami.

Na dziwnie twardym materacu z końskiego włosia, skrzypiących sprężynach.

Były to cudowne chwile, które Dramaturg będzie wspominał przez resztę swojego życia, oszołomiony potęgą fizycznej miłości, seksualnej rozkoszy, rozedrganej jeszcze długo po tym, jak osoby, które wytworzyły tę miłość w swych spragnionych, udręczonych ciałach, odeszły z tego świata.

Będzie dla niego Rosę, jeśli sobie jej życzy.

Och, była jego żoną, więc mogła być kimkolwiek!

Dla niego.

Całowała go, całowała, całowała do utraty tchu.

Wessała jego język głęboko do swoich ust.

Wędrowała dłońmi po jego ciele, po jego szczupłym, kanciastym ciele, które zaczynało flaczeć w okolicach brzucha.

Całowała zuchwale jego tors, poskręcane włosy, całowała i ssała brodawki, śmiała się, łaskotała go i mocno gładziła.

Wprawnymi dłońmi.

Wyćwiczonymi (podniecało go myślenie o tym, nieważne, czy to była prawda) jak u pianisty wirtuoza, który przebiega palcami po klawiaturze, grając gamy.

Była Rosę z Niagary.

Wiarołomną żoną, żoną morderczynią.

Blondynką o nie zrównanej urodzie i seksualnych wdziękach, które zauważył przed laty, znacznie wcześniej, niż mieli okazję się poznać.

Niesamowita sprawa, wyobrazić sobie, że ją znał!

Kiedy już się utożsamiał ze zdradzonym, dotkniętym impotencją mężem Josephem Cottenem.

Nawet pod koniec filmu utożsamiał się z Cottenem.

Kiedy Cotten dusi Rosę.

Co za upiorna scena, niczym żywcem wyjęta z koszmaru: bezgłośnie uduszenie.

Taniec śmierci.

Wyraz nieskazitelnej twarzy Monroe, kiedy sobie uświadamia najgorsze.

Zaraz umrze!

Jej mąż był Śmiercią!

Nigdy żaden film bardziej nie poruszył Dramaturga, który w ciszy przyglądał się migającym na ekranie obrazom.

(O filmie jako medium wypowiadał się zazwyczaj z lekceważeniem.) Nigdy nie widział kobiety podobnej do Rosę.

Obejrzał ten film samotnie w kinie przy Times Square i nabrał przekonania, że wśród publiczności nie znajdzie się ani jeden mężczyzna, który by czuł coś innego niż on.

Żaden mężczyzna nie może jej sprostać.

Ona musi umrzeć.

W łóżu, w letnim domu nad oceanem, w Galapagos Cove, ona leżała na nim, jego żona, jego ciężarna żona, i dopasowywała się do niego.

Ten jej słodki, dziecięcy oddech.

Jej słodkie, ostre, zduszone krzyki: "Och, Tatuśku!

Och, Boże!

" Nie będzie wiedział, czy były prawdziwe, czy udawane.

Nigdy się nie dowie.

Pchnął drzwi od łazienki, nie wiedząc, że jest w środku.

Stała naga, z włosami owiniętymi ręcznikiem, sterczącym brzuchem.

Od wróciła się, zaskoczona.

"Och, hej!

" W jednej dłoni miała kilka tabletek, w drugiej plastikowy kubek.

Szybko wrzuciła tabletki do ust, popiła je wodą.

Powiedział:

- Kochanie, sądziłem, że jednak niczego nie bierzesz?

Że już nie bierzesz?

Na co odparła:

- Tatuśku, to witaminy.

I kapsułki z tranem.

Zadzwoił telefon.

Mało kto wiedział, jaki jest numer ich telefonu w Galapagos Cove.

Dzwonek telefonu nieprzyjemnie zaskakiwał.

Norma podniosła słuchawkę.

Przejęta twarz.

Milczenie.

Podąa słuchawkę Dramaturgowi i szybko wyszła z pokoju.

Dzwonił Holyrod, hollywoodzki agent Normy.

Przepraszał, że dzwoni.

Wie, stwierdził, że Marilyn nie myśli obecnie o kręceniu filmów.

Jednakże tym razem chodziło o coś specjalnego!

Tytuł: Pół żartem, pół serio, zwariowana komedia o mężczyznach przebranych za kobiety, z główną kobiecą rolą napisaną specjalnie dla Marilyn Monroe.

Wytwórnia gotowa była sfinansować projekt i zapłaciłaby Marilyn minimum 100 000 dolarów...

- Dziękuję.

Ale czy nie wspominaliśmy przypadkiem, że obecnie moją żonę Hollywood nie interesuje?

Oczekujemy w grudniu naszego pierwszego dziecka.

Ileż rozkoszy w tych słowach.

Dramaturg uśmiechnął się.

Nasze pierwsze dziecko.

Nasze!

Czysta rozkosz, choć niedługo pieniądze będą im bardzo potrzebne.

POŻĄDANIE

Ponieważ mnie pożądasz Nie jestem .

Pokazała to nieśmiało mężowi, bo często powtarzał, że chętnie zobaczył by jej poezję.

Przeczytał ów krótki wiersz raz, potem drugi, wreszcie uśmiechnął się zakłopotany, ponieważ spodziewał się czegoś zupełnie innego.

Czegoś z rymem zapewne!

Co miał teraz powiedzieć?

Chciał ją natchnąć otuchą;

wiedział, jak bardzo jest wrażliwa, jak łatwo zranić jej uczucia.

-Kochanie, to mocny, dramatyczny początek.

Bardzo...

obietujący.

Ale co będzie dalej?

Norma szybko pokiwała głową, jak gdyby spodziewała się tego rodzaju krytyki.

Nie, to nie była krytyka, rzecz jasna, to była zachęta.

Wzięła od niego wiersz, złożyła w mały prostokąt i roześmiała się w stylu Dziewczyny z Góry.

- Co będzie dalej?

Och, Tatuśku.

Masz całkowitą rację.

Chyba zagadka naszego życia!

Gdzieś blisko, może spod podłogi tego starego domu, dochodziły nikłe, żalosne dźwięki, coś jak miauczenie, popiskiwanie.

Słowa: Pomocy!

Po móźcie mi.

"Niczego tam nie ma.

Niczego nie słyszę.

Przecież wiem".

Koniec lipca, późne popołudnie.

Dramaturga odwiedził przyjaciel z miasta i obaj wybrali się na połów wążłuszy.

Norma została sama w Domu Kapitana.

Sama z Maleństwem: tylko my dwoje.

Nastrój jej dopisywał, nigdy nie czuła się lepiej, nigdy nie czuła się silniejsza.

Od wielu dni nie chodziła do piwnicy ani nawet nie patrzyła w jej kierunku.

Niczego tam nie ma.

Jestem pewna!

"Wszystko przez to, że tam, skąd pochodzę, nie ma piwnic.

Nie są potrzebne".

Kiedy zostawała w domu sama, mówiła na głos.

Właściwie zwracała się do Dziecka.

Najbliższego przyjaciela!

Oto, czego brakowało Nell, opiekunce do dziecka: dziecka.

"Dlatego chciała wypchnąć z okna tę małą dziewczynkę.

Gdyby miała własne dziecko..." (Ale co się stało z Nell?

Nie udało się jej poderżnąć sobie gardła.

Zabrali ją do więzienia.

Poddała się bez oporu.)

Koniec lipca, późne popołudnie.

Ciepły, duszny dzień.

Bezwietrznie.

Norma Jeane weszła do gabinetu Dramaturga, czuła dreszcz emocji, jakby dopuszczała się przestępstwa.

Przecież na pewno by nie zabronił jej skorzystać z maszyny do pisania.

Dlaczego miałby się na to nie zgodzić?

Ta scena nie należała do improwizowanych, bo została zaplanowana.

Norma chciała napisać przez kalkę list do Gladys.

Tę rana obudziła się z silnym poczuciem, że Gladys bardzo za nią tęskni!

Tak długo była tutaj, na wschodzie Stanów.

Zaprosi Gladys do Galapagos Cove!

Była przekonana, że Gladys na tyle dobrze się czuje, że może podróżować, jeżeli tylko ma na to ochotę.

Tę opinię przedstawiła mężowi, uważając, że brzmi to rozsądnie.

Dramaturg stwierdził, że to dobry pomysł, że chciałby zobaczyć jej matkę.

Norma Jeane napisze dwa listy, każdy w dwóch egzemplarzach.

Jeden do Gladys, drugi do dyrektora szpitala w Lakewood.

Oczywiście tylko matce powie, że w grudniu spodziewa się przyjścia na świat dziecka.

"Wreszcie będziesz babcią.

Och, nie mogę się doczekać".

Norma Jeane usiadła przy biurku Dramaturga - kamera będzie ją ukazywała z góry.

Uwielbiała starą maszynę marki Olivetti z postrzępioną taśmą.

Kartki papieru leżały porozrzucone na biurku tak realistycznie, jak gdyby były rozproszonymi myślami Dramaturga.

Chyba były to notatki, szkice?

Fragmenty dialogu?

Dramaturg rzadko mówił o postępach w pracy.

Przesąd?

Ale Norma Jeane wiedziała, że eksperymentował jednocześnie z dwoma, trzema projektami, w tym także z pierwszym swoim scenariuszem.

(Dla niego mogła to zrobić, była taka zadowolona i dumna.) Rozglądała się za czystą kartką papieru, kiedy przypadkiem jej wzrok zatrzymał się na...

Wiesz co, Tatuśku?

Chcę, żeby Dziecko urodziło się tutaj.

W tym domu.

y.: Ależ kochanie, ustaliliśmy...

x.: Przecież możemy zatrudnić akuszerkę!

Mówię poważnie.

(x.: jest podekscytowana, ma szeroko otwarte oczy; trzyma ręce na brzuchu, jak gdyby już się powiększył)

Na drugiej stronie z licznymi poprawkami:

X.(gniewnie): Nie bronieś mnie!

Nigdy.

Y.: Nie było jasne, kto się myli.

X.: On mną pogardzał!

Y.: Nie.

To ty sobą pogardzasz.

X.: Nie.

To ty sobą pogardzasz.

(X. nie może znieść, że mężczyźni mogą patrzeć na nią bez pożądania.

Ma 32 lata i boi się, że jej młodość przemija) .

Gdzie się podziewasz, kiedy znikasz Słuchał tych dźwięków w piwnicy.

Powiedziała mu to, uciekając spojrzeniem w bok, wiedząc, że jej nie wierzy, że nie chce jej wierzyć.

Dotknął jej, by się uspokoiła, ale ona w jednej chwili zeszywniała.

"Normo, o co chodzi?"

" Nie mogła mówić.

Poszedł sprawdzić, z latarką, lecz nie znalazł nic.

Mimo to ona nadal słyszała dźwięki.

Żałosne miauczenie, skomlenie.

Czasami kroki.

Czasami odgłos drapania, jakby coś się ruszało.

Przypominała sobie (czy to był sen?

scena z filmu?

) jakiś pojedynczy krzyk dziecka.

Wcześniej rano, ale także w ciągu dnia, kiedy była sama na parterze, i często w środku w zasadzie spokojnej nocy, kiedy budziła się spocona i natychmiast musiała iść do łazienki.

Przyszło jej do głowy, że może to zabłąkany kot albo szop...

Jakieś uwięzione stworzenie.

Które zdycha z głodu".

Przerażała ją myśl, że jakieś zwierzę mogłoby utknąć w tej ohydnej piwnicy jak w potrzasku.

Dramaturg widział, że jest naprawdę wstrząśnięta, i chciał ją uspokoić.

Wolał, aby sama nie myszkowała w piwnicy, w tym przygnębiającym, mrocznym miejscu.

"Za braniem ci tam chodzić, kochanie!

" Odkrył, że żartowanie z żoną było najsprytniejszą strategią; w ten sposób przeciwstawiał jej zdroworozsądkową jaźń Normy irracjonalnej jaźni Marilyn.

Zatkawszy nos przed smrodem (nie była to już przede wszystkim woń gnijących jabłek, raczej zepsutego mięsa zmieszana z zapachami ziemi i Czasu), znowu szedł do piwnicy i skierował snop światła kolejno we wszystkie kąty pomieszczenia, do żony wrócił poirytowany, zadyszany (jak na wybrzeże stanu Maine dzień był nieprzyzwoicie gorący i duszny), z pajęczynami na twarzy, ale mimo to uprzejmy;

nie, niczego tam nie było, niczego nie odkrył; nie słyszał żadnych dźwięków, o których wspominała.

Norma sprawiała wrażenie uspokojonej jego słowami.

Jakby zrzuciła z serca dokuczliwy ciężar.

Impulsywnie podniosła do ust jego rękę i ucałowała ją, wprawiając go w zakłopotanie.

Rękę miał niezbyt czystą!

- Och, Tatuśku.

Chyba powinieneś zaspokajać zachcianki kobiety w ciąży, co?

Tak naprawdę już od drugiego tygodnia pobytu w tym miejscu Norma dokarmiła zdziczałe koty.

Wbrew pogładowi Dramaturga.

Z początku tylko jednego kota, chudego, czarnego kocura z pogryzionymi uszami; potem także drugiego, który przyłączył się do tamtego, właściwie rudawą, brzemienną kotkę; wkrótce co najmniej pół tuzina kotów czekało cierpliwie na posiłek przy tylnych drzwiach.

Zachowywały się dziwnie cicho.

Siedziały każdy osobno; trzymały się z dala, gdy Norma rozstawiała miski, potem szybko podbiegały do jedzenia, chyże jak małe maszyny, i ledwie kończyły posiłek, odchodziły dumnym krokiem, nie oglądając się za siebie.

Z początku Norma usiłowała zaprzyjaźnić się z nimi, a nawet je głaskać, ale syczały na nią, stroszyły sierść i odstaniały zęby.

Ponieważ od podwórza można było wejść do piwnicy, sensowne było przypuszczenie, że któryś z kotów dostał się do środka i znalazł się w pułapce.

Jeśli tak, stworzenie zdołało ukryć się przed Dramaturgiem, który przybył mu na ratunek.

- Kochanie, może powinnaś przestać dokarmiać te koty - zasugerował Dramaturg.

- Och, przestanę!

Już niedługo.

- Będzie się ich pojawiało coraz więcej.

Nie możesz karmić kotów z całego wybrzeża.

-Wiem, Tatuśku.

Masz rację.

Ale karmiła je nadal, tak jak się spodziewała.

Nie chciał wiedzieć, ile wychudłych, głodujących kotów pojawia się każdego ranka w oczekiwaniu na posiłek.

Jej dziwny upór.

Potężna wola.

Ten mężczyzna zdawał sobie sprawę, że ona go wymazała z pamięci w najbardziej podstawowych sprawach.

Triumfował jedynie na powierzchni rzeczy.

Siedział na górze, pisząc te słowa lub słowa bardzo do nich podobne, kiedy usłyszał krzyk.

"Wiedziałem.

Wiedziałem, co to będzie".

Zbiegł na dół, leżała przy najniższym stopniu schodów do piwnicy; jęczała i wiła się z bólu.

Latarka wypadła jej z ręki; snop światła ginął w głębinach pomieszczenia, w zapomnieniu bezkształtnej, nieokreślonej ciemności.

Wołała o pomoc.

Prosiła, aby ratował dziecko.

Kiedy się nad nią pochylał, chwyciła go kurczowo za dłonie i pociągnęła do siebie.

Jak gdyby chciała, żeby odebrał poród.

Zadzwoił po ambulans.

Zabrano ją do szpitala w Brunswicku.

Poronienie w piętnastym tygodniu ciąży.

1 sierpnia.

POŻEGNANIE

Wtedy zaczęliśmy umierać, prawda?

Uważasz, że to moja wina?

Nie.

Nie twoja.

Ponieważ nie udało mi się ocalić ciebie i dziecka.

Nie twoja.

Ponieważ nie ja cierpiałem.

Nie ja krwawiłem.

Nie twoja.

To moja wina.

Na wszystko zasłużyłam.

Już raz zabiłam Dziecko.

Ono już było martwe.

Całkowicie przybita, została w szpitalu przez tydzień.

W sali zabiegowej dostała tak silnego krwotoku, że otarła się prawie o śmierć.

Miała matową, woskowobiałą skórę, duże sińce pod oczami, zadrapania i skaleczenia na twarzy i ramionach, rękę wykręconą w nadgarstku.

Wstrząs mózgu.

Kilka złamanych żeber.

Widać było kilka wyraźnych, płtykich linii obok nieruchomych oczu i wiotkich ust.

Kiedy przerażony mąż pierwszy raz ujrzał ją na noszach w izbie pogotowia, przyszło mu do głowy, że na pewno jest martwa; że widzi trupa.

Teraz, w szpitalnej sali, zamkniętej przed wszystkimi poza nim, wsparta na poduszkach w oślepiającej bieli - rurka przy każdej ręce, przewód z tlenem i maseczka przy ustach - wyglądała jak ktoś wydobyty z gruzów po trzęsieniu ziemi, po nalocie bombowym.

Wyglądała jak ktoś ocalały z katastrofy, komu brakuje słów, aby opisać to, co przeżył.

Postarzała się.

Jej młodość w końcu przygaśa.

Pozostawała "pod obserwacją", ponieważ - poinformowano Dramaturga - w delirium ciągle powtarzała, że się zabije.

Jakżeż odświętnie wyglądał pokój tej pacjentki!

Wszędzie stały kwiaty.

Chociaż przebywała tu pod przybranym nazwiskiem.

Pod nazwiskiem niepodobnym do żadnego, pod którym kiedykolwiek występowała.

Takich pięknych bukietów personel szpitala nigdy w życiu nie widział.

Nie mieściły się w sali pacjentki, znalazły się więc także w pokoju wizyt i w gabinecie pielęgniarek.

Oczywiście szpital w Brunswicku pierwszy raz miał okazję zajmować się hollywoodzką gwiazdą.

Oczywiście dziennikarze i fotoreporterzy nie mogli tam wchodzić.

Mimo to zdjęcie Marilyn Monroe ukaże się na okładce "The National Enquirer", zdjęcie chorej kobiety w szpitalnym łóżku, widzianej z odległości około piętnastu stóp.

MARILYN MONROE PORONIŁA W CZWARTYM MIESIĄCU CIĄŻY.

GROŻBA SAMOBÓJSTWA.

Podobna fotografia pojawiła się w "Hollywood Tatler" razem z "udzielonym specjalnie dla pisma wywiadem telefonicznym" z Monroe, pod którym dziennikarz podpisał się pseudonimem Keyhole - "Dziurka od klucza".

Tych i innych okropieństw Dramaturg jej nie pokaże.

Podczas telefonicznych rozmów z nowojorskimi przyjaciółmi będzie po wtargał jak w gorączce:

- Bagatelizowałem strach Normy.

Tego nie mogę sobie wybaczyć.

Nie, to nie dotyczyło ciąży: w ogóle nie bała się porodu.

Mówię o fascynacji holocaustem, "byciem Żydem".

Fascynacji historią.

Teraz wiem, że ten strach nie był ani wymyślony, ani przesadzony.

Jej strach jest inteligentną obawą o...

- Umilkł, zmieszany.

Oddychał szybko, nie mogąc znaleźć właściwego słowa, bliski załamania, bliski płaczu, którego kilka razy po tej katastrofie nie zdołał powstrzymać.

W tym samym czasie Dramaturg, mistrz słowa, stracił swą moc; postrzegał siebie jako małe dziecko, które z trudem wyraża idee krążące w jego głowie jak wielkie, błyszczące balony - kiedy po nie sięgasz, okazują się złudzeniem.

- Niektórzy z nas nauczyli się ignorować ten strach.

Ten tragiczny sens historii.

Jesteśmy powierzchowni, jesteśmy ocaleni!

Ale Marilyn...

To znaczy Norma...

Och, Boże, o czym on właściwie mówi?

W szpitalu przeważnie panowała cisza.

Norma leżała z przymkniętymi, podkrążonymi oczami, jakby unosiła się tuż pod powierzchnią wody.

Tajemnicza mikstura sączyła się po kropelce do jej żyły, z żyły zaś wędrowała do serca.

Norma oddychała tak płytko, że nie był pewien, czy w ogóle oddycha, a gdy zapadał w lekką, hipnotyczną drzemkę, welon bieli zasnuwał jego umysł, ponieważ Dramaturg był wyczerpanym mężczyzną.

Mężczyzną niemłodym, mężczyzną, który straci większość z dodatkowych piętnastu funtów, bo tyle przytył podczas małżeństwa.

Budził się w strachu, że jego żona przestała oddychać.

Chwytał i głaskał jej bezwładne, uległe ręce.

Jej biedne, pokaleczone dłonie!

Z przerażeniem zauważył, że jej dłonie są małe i żylaste, pospolite, z połamanymi, brudnymi paznokciami.

Jej włosy, jej sławne włosy, ciemniejsze przy skórze głowy, suche i kruche, zaczynały rzednąć.

Cicho mruknął, jakby siedział przy dziecięcej kołysce: "Kocham cię.

Normo, kochanie.

Kocham cię".

I wiedział na pewno, że ona go słyszy.

Na pewno i ona go kocha.

Wybaczy mu.

A potem, niespodziewanie, wieczorem trzeciego dnia, zaczęła się do niego uśmiechać.

Chwyliła go za rękę.

Jakby naraz odżyła.

Geniusz aktora!

Zaczerpnąć energii z niewypowiedzianej głębi duszy.

Nie możemy cię pojąć.

Nic dziwnego, że się ciebie boimy.

Stoimy na odległym brzegu i z podziwem wyciągamy ku tobie ramiona.

Spróbujemy jeszcze raz, prawda, Tatuśku?

A potem jeszcze raz i jeszcze.

- Zaczęła mówić szybko, po kilku dniach milczenia.

Była rozgorączkowana i bezlitosna.

Chore oczy płonęły.

On, jej mąż, miał ochotę uciec od niej wzrokiem.

- Nigdy się nie poddamy, Tatuśku?

Prawda?

Nigdy?

Obiecujesz?

ŻYCIE PO ŻYCIU

1959-1962

Śmierć przyszła nieoczekiwanie, bo jej pragnąłem.

Wacław Niżyński, Dziennik .

WYRAZY WSPÓŁCZUCIA

Moja piękna, utracona Córko...

Dowiedziawszy się o Twojej tragedii, pragnę Ci złożyć najszczersze kondolencje.

Śmierć nie narodzonej duszy odczuwamy bardziej boleśniej niż jakąkolwiek inną śmierć, bo niewinność jest nieskazitelna.

Droga Normo, dowiedziałem się o Twoim ostatnim smutku, kiedy sam opłakuję odejście mojej ukochanej żony.

Muszę trochę odetchnąć, nim zdecyduję, jak pokierować swoim życiem.

Nie jestem już młody (ani zdrowy).

Prawdopodobnie sprzedam dom i resztę nieruchomości (zbyt dużo tego jak na samotnego, dobiegającego siedemdziesiątki wdowca o bardzo skromnych potrzebach).

Mieszkam niedaleko Griffith Park, skąd mam widok na cmentarz Forest Lawn, miejsce pochówku mojej ukochanej Agnes, a pewnego dnia także i mojego.

Zbyt smutno i samotnie

Droga Córko, przyszła mi do głowy taka myśl: Może twoje życie zmieniło się do tego stopnia, że chciałabyś zamieszkać ze mną.

Zapewniam Cię, mam przestronny dom.

Pośrednicy w sprzedaży nieruchomości nazywają go rezydencją.

Dowiedziałem się o twoim cierpieniu w dość wulgarny sposób, niestety.

Z kroniki towarzyskiej w "Hollywood Tatler".

(U fryzjera.) Oczywiście prasa podjęła wątek.

No i zainteresowała się Twoim ostatnim "małżeńskim kryzysem".

Zdaje się, że jednak masz większy talent do ekranu, droga Córko, niż do życia.

Twoja nieszczęśliwa matka, o której zacząłem sądzić, że nosi truciznę w lędźwiach jak brązowy pająk

Ale wysyłam tę kartkę, aby wyrazić współczucie, a nie upominać Cię.

Wybacz, moja droga!

Niech Cię Bóg błogosławi.

Nie oglądam Twoich filmów, często jednak widzę Twoją piękną buzię i dziwię się, że wydajesz się taka niewinna, ale jak sądzę, często nie widzi się duszy, patrząc tylko na twarz.

Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy, droga Normo.

Wybacz starzejącemu się mężczyźnie uparte powracanie do zadawnionych urazów.

Twój skruszony i kochający Ojciec .

SIGAR KANE 1959

Chcę, byś mnie kochał nikt inny, tylko ty chcę, byś mnie kochał nikt inny, tylko ty chcę, byś mnie kochał nikt inny, tylko ty wpadła w te sidła!

wpadła w chcę, byś mnie kochał nikt inny, tylko ty chcę, byś mnie kochał tylko ty tonęła!

dusiła się!

była Sugar Kane Kowalczyk z ze społu swingowego Słodkiej Sue była olśniewającą blondwłosą dziewczyną Sugar Kane grającą na ukulele była kobiecym ciałem kobiecymi pośladkami piersiami była Sugar Kane olśniewającą dziewczyną o blond włosach grającą na ukulele, umykającą saksofonistom za jej ukulele bie gały męskie saksofony nie będzie się im mogła oprzeć!

znowu, jak zawsze, kochali ją za to chcę, byś mnie kochał tylko ty znowu to się działo, zdarzało się teraz i na wieki chcę, byś mnie kochał nikt inny, tylko ty gruchała i uśmiechała się do publiczności, przebierając palcami po strunach ukulele zdumiewająco sprawnie jak na kogoś tak naćpanego, tak przerażonego, poruszając ułożonymi do pocałunku, wspaniałymi ustami, jękając się chcę!

chcę!

chcę, byś mnie kochał!

po prostu kolejny wariant żalostnej, chorej krowy, ale wielbili ją, na ekranie zaś zakochiwał się w niej pewien facet chcę, byś mnie całował tylko ty ale czy to było zabawne?

było zabawne?

było zabawne?

dlaczego było zabawne?

dlaczego zabawna była Sugar Kane?

dlaczego zabawni byli mężczyźni przebrani za kobiety?

dlaczego zabawni byli mężczyźni umalowani jak kobiety?

dla czego zabawna była Sugar Kane?

czy ucieleśniała doskonałą kobiecość?

czy to było zabawne?

dlaczego to było zabawne?

dlaczego kobiecość jest zabawna?

dlaczego ludzie chcą się śmiać z Sugar Kane i zakochują się w Sugar Kane?

znowu?

dlaczego Sugar Kane Kowalczyk, ukulelistka, za pewni filmowi tak wielki sukces kasowy w Ameryce?

dlaczego sukces od niesie Sugar Kane Kowalczyk, olśniewająca blondynka, ukulelistka i alkoholiczka?

dlaczego Pół żartem, pół serio okaże się arcydziełem?

arcydziełem Marilyn Monroe?

najbardziej komercyjnym filmem Monroe?

dlaczego ją kochano?

dlaczego właśnie teraz, gdy jej życie było w strzępach jak rozdarty jedwab?

dlaczego teraz, gdy jej życie było w kawałeczkach jak rozbite szkło?

gdy w głębi duszy krwawiła?

gdy jej wnętrzości wytyżeczowano?

gdy w łonie nosiła truciznę?

gdy głowa pękała jej z bólu?

gdy jej usta piekły jak po ukąszeniu czerwonych mrówek?

gdy na planie znienawidzili ją prawie wszyscy?

gardzili nią?

dlaczego akurat teraz, gdy tonęła na ich oczach?

chcę, byś mnie kochał pup!

puppidu!

dlaczego Sugar Kane z zespołu Słodkiej Sue była taka ponętna?

Chcę, byś mnie całował nikt inny, tylko ty chcę!

chcę!

chcę!

chcę, byś mnie kochał tylko ty ale dlaczego?

dlaczego Marilyn była taka zabawna?

dlaczego świat ją uwielbiał?

choć pogardzała sobą?

właśnie dlatego?

dlaczego świat pokochał Marilyn?

dlaczego teraz, gdy zabiła swoje dziecko?

zabiła swoje dzieci?

dlaczego świat chciał zerznąć Marilyn?

dlaczego świat chciał zerznąć zerznąć zerznąć Marilyn?

dlaczego świat chciał wbić w nią aż po zakrwawioną rękojeść swój wielki, nabrzmiewający miecz?

to jakaś zagadka?

ostrzeżenie?

kolejny żart?

chcę, byś mnie kochał pu puppi du nikt inny, tylko ty nikt inny, tylko ty nikt inny

Przekleństwo przymusu!

To kara żebraczki.

Na planie podniósł się spontaniczny aplauz.

Marilyn po raz pierwszy przepracowała cały dzień.

Wcześniej chorowała, była nieobecna i krążyły plotki, że wszędzie chodzi z nią mąż, wysoki mężczyzna w okularach, który wygląda jak żałobnik.

Mimo wszystko tak zaśpiewała Chcę, byś mnie kochał, że podbiła ich serca, kochali swoją Marilyn, nie ma co.

Pragnęli kochać Marilyn!

Aplauz zainicjował W, co było jego przywilejem jako reżysera; inni przyłączyli się, chwalili z zapałem Blondwłosą Aktorkę, która wbiła wzrok w podłogę, przygryzała dolną wargę prawie do krwi, jej nie mrawe serce biło jednak mocno i starało się odkryć, czy ci ludzie celowo ją oszukują, czy też dali się zwieść w swej naiwności, w końcu po ustaniu oklasków powiedziała spokojnie:

"Nie.

Chcę spróbować jeszcze raz".

I znowu to absurdalne, małe ukulele, instrument-zabawka, symbol jej życia zabawki.

Znowu zmysłowe i ponętne ruchy dużej lalki, coś jak niesamowite połączenie Mae West i sierotki Marysi.

Kamera była jak podglądacz podziwiający tłustawe ciało Sugar Kane, na pewno istnieje jakieś porozumienie między kamerą i publicznością, które opiera się na tym, że Sugar Kane jest zbyt głupia, aby pojąć żart na swój temat, Sugar Kane musi to wszystko odgrywać poważnie aż do śmierci chcę, byś mnie kochał nikt inny, tylko ty chcę, byś mnie kochał widzi wybałuszzone, wszechwiedzące oczy

Żabiego Szofera w lusterku służbowej limuzyny, tego, który był krewnym żebaczki i dobrze ją znał
chęć, byś mnie kochał nikt inny, tylko ty chęć, byś mnie kochał chęć, byś mnie kochał, chęć pup puppi
du!

pup puppi du!

chęć

"Nie.

Chcę spróbować jeszcze raz".

I stopniowo Sugar Kane nabrała wyrazu; Marilyn musiała wyczuwać, że stopniowo ulepsza
rolę, chociaż postać była zaledwie seksowną karykaturą w kolejnej seksownej farsie wymyślonej
przez mężczyzn dla dobrej zabawy mężczyzn Sugar Kane, "galaretki na sprężynkach" ta rola to obraza
i głębokie upokorzenie dla Monroe, a jednak Sugar Kane została wymyślona dla niej, w końcu kimże
jest Sugar Kane, jeśli nie Blondwłosą Aktorką?

"Nie.

Chcę spróbować jeszcze raz".

Chcę, byś mnie kochał kochał kochał Nie ostro!

Nie mówiła ostro, była pewna.

Fryzjerka i Whitey byli świadkami.

Słuchała siebie i słyszała gardłowy szept Marilyn jakby z oddali, jak przez telefon i wiedziała, że nie
odezwała się ostro do W, trzymała "ostrość" w rezerwie.

Owszem, pojawiła się groźba "ostrości".

Odkąd Marilyn wróciła do Wytwórni, tak głośno plotka.

Obietnica "ostrości".

Jak błyszczące, nieskazitelnie czyste ostrze jest obietnicą i groźbą "ostrości".

Powiedziała do W, wybitnego reżysera, którego Wytwórnia wynajęła, aby ją zadowolić:

- Słuchaj pan.

Masz Marilyn Monroe w tym idiotycznym filmie i możesz to wykorzystać, ale nie spierdol tego.

I nie próbuj z nią zadzierać.

Jakby umarła i wróciła do nas jako ta inna osoba.

Ludzie mówią, że straciła dziecko, chłopca.

I że próbowała się zabić.

Utopić w Atlantyku!

Monroe zawsze miała charakter.

Po nie chcianym i denerwującym aplauzie nastąpiło nieszczęście, zapomniała tekstu i zagrała kilka fałszywych nut na ukulele; rozplakała się, ale w jej oczach nie pojawiły się łzy, uderzyła pięściami w uda przystońnięte jedwabnym kostiumem Sugar Kane (tak obcisłym, że na planie nie mogła nawet usiąść, jedynie "odpocząć" w specjalnym urządzeniu wymyślonym na tę okoliczność) i zaczęła krzyżeć jak mordowane zwierzę, wydierać sobie z głowy świeżo utlenione, starannie ułożone, kruche jak wata szklana włosy, i zdrapałaby paznokciami swoją kosmetyczną maskę słodkiego dziecka, gdyby W osobiście jej nie powstrzymał.

"Nie!

Marilyn, na miłość boską!"

Dostrzegł w jej szalonych oczach przebłysk własnego losu.

Wezwano doktora Fella, zatrudnionego przez Wytwórnę lekarza, który zawsze dyżurował gdzieś w pobliżu Monroe; pojawił się dosyć szybko i przy pomocy pielęgniarki zabrał rozhisteryzowaną pacjentkę z planu.

Nie wiadomo, jaki magiczny środek zaaplikował jej w zaciszu garderoby, należącej niegdyś do Marleny Dietrich.

Obecnie żyję dla pracy.

Żyję dla pracy.

Żyję tylko dla mojej pracy.

Pewnego dnia będę pracowała na miarę swojego talentu i swoich pragnień.

Pewnego dnia.

Daję słowo.

Przysięgam.

Chcę, byś kochał mnie ze względu na moją pracę.

Nie mogę pracować, jeśli mnie nie kochasz.

Proszę więc, kochaj mnie!

Jestem uwięziona/Jestem uwięziona w tym blondwłosym manekinie z żywą twarzą.

Mogę oddychać tylko tą twarzą!

Przez te nozdrza!

Przez te usta!

Pomóż mi w osiągnięciu doskonałości.

Gdyby był w nas Bóg, bylibyśmy doskonali.

Nie ma w nas Boga, wiemy o tym, bo nie jesteśmy doskonali.

Nie zależy mi na pieniądzach i sławie, chcę być tylko doskonałą.

Blondwłosy manekin Monroe to ja i nie ja.

Ona nie jest mną.

Ja ją urodziłam.

Tak, chcę, byś ją pokochał.

Wtedy będziesz kochał mnie.

Och, chcę ciebie kochać!

Gdzie jesteś?

Patrzę, patrzę, i nikogo nie widzę.

Pożyczonym samochodem pojechała Ventura Freeway do Griffith Park i na cmentarz Forest Lawn (pochowano tam I.

E. Shinna, ale ku swojemu za wstydzieniu zapomniała, w którym miejscu!

), zniknęła na wiele godzin, nie zawiadamiając nikogo, dokuczał jej niesamowity ból głowy, ciągle jechała przed siebie, mijając dzielnice pełne okazałych rezydencji, myślała:

Tylu ludzi!

tak ich dużo!

dłaczego Bóg tylu ich stworzył!

nie wiedząc do kładnie, czego szukała, kogo szukała, ale była pewna, że rozpozna ojca, jeśli go tylko zobaczy.

Widzisz?

Ten mężczyzna jest twoim ojcem.

Normo Jeane.

Bardziej wyrazisty w jej umyśle - który ślizgał się i podskakiwał jak kostki losu rzucone na gładką podłogę - niż jakakolwiek osoba z jej obecnego życia: ojciec.

Nie dopuszczała do siebie myśli, że może on ją dręczy.

Że jego listy nie są wyrazem miłości, tylko okrucieństwa; że bawi się jej uczuciami.

Moja piękna, utracona Córko.

Twój skruszony i kochający Ojciec.

Że bawi się z Normą Jeane, jak - czemu się przyglądała z przerażeniem przez okno Domu Kapitana - chuda, choć ciężarna, rudowłosa kotka bawiła się na trawniku z młodym zajęcem; pozwalała oszołomionemu, krwawiącemu zwierzęciu przeczołgać się odrobinę w trawie, a potem rzucała się na nie, szarpała i gryzła zębami drapieżnika; potem znowu pozwoliła ogłupiałemu, krwawiącemu zwierzęciu przepęznąć kilka cali, by następnie po nownie się na nie rzucić; wreszcie z zajęcą pozostał tylko fragment korpusu i drgające nogi.

(Mąż nie pozwolił jej się wtrącić.

Taka jest natura.

Natura kota.

To tylko ją zdenerwuje.

I tak było już za późno, zajęc zdychał.) Nie, nie - nie mogła znieść tej myśli.

Nie będzie myślała w taki sposób.

"Ojciec jest starzejącym się, schorowanym człowiekiem.

Wcale nie chce być okrutny.

Wstydzi się, że mnie opuścił, kiedy byłam dzieckiem.

Zostawił z Gladys.

Chce naprawić swój błąd.

Mogłabym zamieszkać z nim i dotrzymywać mu towarzystwa.

Dystyngowany starszy pan.

Siwowłosy.

Dobrze sytuowany, jak sędzę; ale w razie czego mogłabym utrzymywać nas oboje.

MARILYN MONROE I JEJ OJCIEC Chodziłby ze mną na premiery.

Tylko dlaczego się nie ujawnia?

Na co czeka?

"

Miała trzydzieści trzy lata!

Przemknęło jej przez myśl, że ojciec wstydzi się Marilyn Monroe i nie ma ochoty przyznać się publicznie, jaka łączy ich więź.

Nazywa ją wyłącznie Normą.

Twierdzi, że nie ogląda filmów Monroe.

Przemknęło jej przez myśl, że może ojciec czeka na śmierć Gladys.

"Nie mogę wybierać między nimi!

Oboje kocham".

Od dnia powrotu do Los Angeles i rozpoczęcia pracy nad Pół żartem, pół serio tylko raz odwiedziła matkę.

Gladys przypuszczalnie wiedziała o ciąży, ale Norma Jeane jej nie powiedziała o poronieniu.

Zresztą Gladys o nic nie pytała.

Podczas wizyty przeważnie spacerowały po szpitalnym podwórzu do ogrodzenia i z powrotem.

"Muszę być lojalna wobec Matki.

Ale moje serce jest z nim".

W takim stanie zgubiła się pośród wzgórz niedaleko miasta.

Zgubiła się na cmentarzu Forest Lawn i zgubiła w Griffith Park, na koniec zgubiła się w Glendale, i nawet kiedy wróciła do Hollywood i Beverly Hills, nie pamiętała dokładnie, gdzie mieszka.

Mieszkanie zawdzięczała uprzejmości pana Z i Wytwórni.

Miły, umeblowany domek położony niedaleko Wytwórni, tylko gdzie?

Z drogerii w Glendale (gdzie ją rozpoznano, nie miała wątpliwości, te wymowne spojrzenia, szepty, szczerzenie zębów, a ona była wyczerpana, niedbale ubrana, bez makijażu, z przekrwionymi oczami za ciemnymi okularami) zadzwoniła do biura pana Z i głosem Sugar Kane poprosiła, aby przyjechał kierowca i zabrał ją do domu, którego z początku nie rozpoznała, przy Whittier Drive, porośniętego ognistym pnączem, otoczonego palmowymi drzewami.

Kierowca musiał ją podprowadzić do drzwi, które otworzyły się gwałtownie, stanął w nich mężczyzna w średnim wieku, wysoki, wystraszony, o poranej zmarszczkami twarzy, w grubych okularach.

-Kochanie, na miłość boską.

Jestem twoim mężem.

Trzydzieści siedem dubli Chcę, byś mnie kochał, nim Monroe uznała, że nie zaśpiewa tego już lepiej.

Pewna liczba ujęć była zdaniem W prawie identyczna, jednakże według Monroe istniały małe różnice i te małe różnice były ponoć najistotniejsze, jak gdyby od tego zależało jej życie, jak gdyby sprzeciwianie się jej było równoznaczne z zamachem na nią, ta kobieta mogła zareagować paniką i wybuchem wściekłości.

Wszyscy byli wykończeni.

I ona była wyczerpana, ale zadowolona, uśmiechała się.

W ją po chwalił.

Bardzo ostrożnie.

Swoją Sugar Kane!

Delikatnie wziął ją za rękę, podziękował jej, jak to często robił podczas kręcenia Słomianego wdowca, ona zaś wówczas odpowiadała uśmiechami i chichotami wdzięczności; tym razem jednak Monroe zeszywniała i cofnęła się jak kotka, nie chciała, żeby ją w tym momencie dotykać, albo nie chciała, by akurat on ją dotknął.

Oddychała szybko i płytko.

W będzie utrzymywał, że jej oddech był łatwo palny!

W, wybitny hollywoodzki reżyser, w 1955 roku nakręcił komedię z udziałem tej trudnej aktorki, film, który spotkał się z uznaniem widzów i krytyki.

Dziewczyna z Góry okazała się udaną i zabawną rolą, ale Monroe wciąż mu nie ufała.

W ciągu zaledwie trzech lat zmieniła się do tego stopnia, że W już jej nie poznawał.

Nie była już teraz Dziewczyną.

Nie patrzyła w jego stronę, oczekując pochwały bądź uznania.

Nie była już żoną Eks-Sportowca, nie ukrywała siniaków; pewnego razu w Nowym Jorku rozkleiła się całkowicie i wyłakała na ramieniu reżysera; W trzymał ją jak ojciec trzyma dziecko i nigdy nie zapomniał tamtej chwili - jej bezradności, tkliwości - ale Monroe najwidoczniej zapomniała.

Prawda była taka, że teraz nie ufała nikomu.

Bo jakże bym mogła?

Przecież jest tylko jedna Monroe?

Ludzie nie mogą się doczekać, kiedy zostanie upokorzona.

Czasem zasypiała w garderobie; zamknąwszy drzwi i wywiesiwszy tabliczkę z napisem NIE PRZESZKADZĄĆ; na straży stawał ktoś spośród jej wielbicieli, często Whitey; spała tylko w majteczkach, piersi miała nagie, była zlana potem, cuchnęła po napadach paniki, wyczerpana po wymiotach, potężna dawka płynnego nembutalu pulsowała w jej sercu.

Chroniła się w błotnistym, pozbawionym marzeń śnie, kojącym i łagodzącym przerażający napór paniki; muszę zaakceptować ryzyko, że pewnego dnia moje serce się zatrzyma; jej postrzępiona dusza dochodziła do siebie podczas snu, który trwał czasem czternaście godzin, czasem tylko dwie lub trzy; tyle że potem Norma Jeane budziła się zdezorientowana i przestraszona, nie wiedziała, gdzie jest, wcale nie w garderobie w Wytwórni, tylko w dziecięcym pokoju w letnim domu, do którego już nigdy

nie weszła po poronieniu, albo w jakimś nieznanym pokoju w czyimś domu lub hotelu; była Normą Jeane, która się otrząsa ze snu na zdewastowanej scenie, dziele nieznanym kobiety, która pozrywała na podłogę słoiczki i tubki, puder i talk, pozrywała z wieszaków kostiumy, czasami powywracała jej ulubione książki, powyrywała z nich niektóre strony, stłukła lustro - najprawdopodobniej uderzeniem pięści (zgadza się, pięść Normy Jeane bywała posiniaczona); raz całe lustro zostało zasmarowane szminką; Norma Jeane czuła tylko, że musi uprzątnąć zniszczenia, nie chciała, aby inni to widzieli, co za wstyd, wstyd bycia Normą Jeane, córką matki odesłanej do Norwalg; wstyd, gdyby się wszyscy dowiedzieli, gdyby dowiedziały się inne dzieci, ta trwoga i litość w ich oczach.

W zamkniętej łazience na tyłach domu przy Whittier Drive pewien mężczyzna mówił czule: Normo, wiesz przecież, jak bardzo mi na tobie zależy.

Odpowiedziała: Wiem - ale jej myśli krążyły wokół Sugar Kane i zdjęć zaplanowanych na następnego dnia, wokół sceny miłosnej między Sugar Kane i mężczyzną, który się w niej kochał (w filmie), granym przez C, który (w życiu) zaczął gardzić Marilyn Monroe.

Z powodu jej samolubnego za chowania, niepunktualnego przychodzenia na plan, niezdolności do zapamiętywania tekstu, czego przyczyną mogły być złośliwość, głupota albo środki narkotyczne niszczące jej mózg.

C wraz z innymi musiał uczestniczyć w nieustannych dublach i czuł, że z każdym dniem wypada coraz gorzej, a przy montażu reżyser W będzie faworyzował Monroe, ponieważ ona była największą atrakcją, chora suka.

Zatem gardził nią i podczas kulminacyjnej sceny pocałunku z ochotą naplułby w sztuczną, prostacką twarz Sugar Kane, bo w tym czasie już samo dotknięcie legendarnej skóry Marilyn Monroe było dla niego obrzydliwe.

C pozostanie jej wrogiem do końca jej życia, po jej śmierci będzie o niej opowiadał niesamowite historie!

Zatem następnego dnia rano ta para musiała się całować przed kamerą i udawać namiętność, a nawet serdeczność, publiczność miała w to uwierzyć i właśnie o tym Norma Jeane rozmyślała wówczas, gdy ten mężczyzna mówił:

Co mogę zrobić, aby ci pomóc, kochanie?

Wystarczy, że mi powiesz.

Przypomniała sobie z pewnym poczuciem winy, że ten spokojny, skromny, tysiejący mężczyzna jest jej mężem.

Co mogę zrobić, aby ci pomóc, kochanie?

Tylko mi powiedz.

Próbowała się odezwać, ale miała w ustach bawełnianą watę.

Mówił, głaszcząc ją po ramieniu: Z każdym dniem po powrocie z Maine oddalamy się od siebie.

Mruknęła coś niewyraźnie w odpowiedzi, więc dodał z udręką w głosie: Tak się o ciebie martwię, kochanie.

O twoje zdrowie.

Te wszystkie leki.

Chcesz siebie zniszczyć, Normo?

Co ty wyrabiasz ze swoim życiem?

W końcu odepchnęła go i powiedziała lodowato: Moje życie to nie twój interes.

Kimże ty jesteś?

Trema.

Przekleństwo Żebraczki!

Powtarzanie, powtarzanie, jąkanie się i powtarzanie, zaczynanie od początku, jąkanie i powtarzanie i zamykanie się w garderobie, wracanie, by powtarzać i powtarzać, osiągnąć doskonałość, osiągnąć doskonałość, której nie sposób doskonale powtórzyć, i po wtórzyć, póki nie zostanie powtórzone bez zarzutu, kiedy więc będą się śmiać, śmiać się będą z doskonałego komicznego występu, nie z Normy Jeane, zapomną, że jakaś Norma Jeane w ogóle istnieje.

Trema.Ta.

najpierwotniejsza panika.

Koszmar aktora.

Adrenalina wydziela się w takiej ilości, że może cię zbić z nóg; i serce tłucze ci jak zwariowane; tak dużo krwi musi przepompować, że się obawiasz, czy ci nie pęknie, a palce u twoich rąk i nóg nie zamienią się w lód; nie masz siły ustać na nogach, język ci drętwieje, tracisz głos.

Aktor to tyle co jego głos, nie ma głosu, nie ma aktora.

Często następują wymioty.

Nie do powstrzymania, spazmatyczne.

Trema jest tajemniczym zjawiskiem, który może dopaść aktora w każdej chwili.

Nawet aktora doświadczonego, weterana.

Sławę.

Na przykład Laurencea Oliviera.

U szczytu kariery Olivier przez pięć lat nie mógł wystąpić na scenie.

Olivier!

A Monroe: sparaliżowana trema jako trzydziestolatka, naprawdę sparaliżowana, w dodatku przed obiektywem kamery, a nie przed żywą publicznością.

Dlaczego?

Najczęściej powiada się, że trema jest zwykłym strachem przed śmiercią i unicestwieniem, ale dla czego?

dlaczego taki powszechny strach uderza nagle i przypadkowo?

dla czego dotyka zwłaszcza aktorów?

dlaczego tak paraliżuje?

skąd ta panika i to w tym momencie, dlaczego?

rozszarpią cię na kawałki, dlaczego?

wyłupią oczy, dlaczego?

przebiją brzuch, dlaczego?

jesteś dzieckiem, niemowlęciem skazanym na pożarcie, dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Trema.

Bo nie potrafiła wyrazić gniewu.

Bo mogła wyrazić pięknie i subtelnie wszelkie uczucia z wyjątkiem gniewu.

Bo potrafiła wyrazić cierpienie, zakłopotanie, lęk i ból, ale nie mogła przekonująco wywoływać podobnych reakcji u innych.

Nie na scenie.

Jej słabość, jej drżący głos, gdy unosiła się gniewem.

Gdy protestowała, gdy się złościła.

Nie potrafiła wyrazić gniewu!

Ktoś wołał podczas prób z widowni (na Manhattanie, w Nowojorskim Zespole; nie mówiła do mikrofonu): Przepraszam, Marilyn, ale cię nie słyszę.

Mężczyzna, który był jej kochankiem lub który chciał być jej kochankiem jak wszyscy jej kochankowie był pewien, że zna rozwiązanie łamigłówki, zagadki, sekret kłątwy wiszącej nad Monroe - powiedział, że musi się nauczyć wyrażać wściekłość jako aktorka, wtedy zostanie naprawdę wielką aktorką lub przynajmniej będzie miała szansę zostać wielką aktorką, a on pokieruje jej karierą, wybierze dla niej role, poprowadzi ją, przemieni w wybitną aktorkę teatralną; drażnił i krytykował ją, nawet wtedy, kiedy się z nią kochał (w osobliwy, powolny, otępiały, niemal abstrakcyjny sposób, nie przestając mówić nawet na chwilę, chyba że w samym momencie szczytowania, ale i to na krótko, jakby w nawiasie), utrzymywał, że wie, dlaczego ona nie potrafi wyrazić gniewu, bo nie potrafi, prawda?

potrząsnęła głową bez słowa: nie, nie potrafi; a on rzekł: Ponieważ żądasz od nas, byśmy cię kochali, Marilyn, chcesz, aby świat cię kochał, a nie zniszczył, jakbyś ty sama pragnęła zniszczyć świat; boisz się nas, boisz się, że poznamy twój sekret, prawda?

uciekła od niego i kochała jego przyjaciela Dramaturga; poślubi Dramaturga, który znał ją jako Magdę, który w ogóle jej nie pozna.

Trema.

Kiedy się przewróciła, uderzając brzuchem w stopnie, kiedy za częło się krwawienie i skurcze macicy, kiedy leżała głową w dół ze skręconymi nogami, krzycząc z bólu i przerażenia, a jej przechwałki o braku obaw przed fizycznym bólem okazały się lekkomyślnymi przechwałkami niedouczonego i przeklętego dziecka, jej niegodziwość została ukarana stratą Dziecka, które kochała, och, kochała bardziej niż siebie, tylko nie miała dość siły, aby je ocalić.

O tym sobie przypomina Sugar Kane i nieruchomieje w środku komicznej sceny rozpoznania, całowana przez kobiece wcielenie C na oczach kawiarnianej publiczności.

Zamierała schodziła z planu, potykając się jak pijana, czasem tak mocno potrząsała rękoma w nadgarstkach, jak gdyby była zranionym ptakiem, który próbuje się poderwać do lotu nie pozwalając się dotknąć nikomu z nas, a jeśli mąż był w pobliżu, nie pozwalając się dotykać także jemu biedna pinda zaszyta w tę błyszczącą, prawie przezroczystą sukienkę, aby uwydatnić te jej mamucie cycki i bliźniacze policzki fantastycznego tyłka, w sukienkę tak głęboko wyciętą z tyłu, że ukazywała praktycznie całe plecy aż po kość ogonową. W jakiś sposób z Sugar Kane wyłaniała się ta tragicznie przerażona kobieta jak gdyby się stopiła maska z cukru, odsłaniając twarz Medei to był otrzeźwiający widok Monroe. Przyciskała ręce do brzucha, czasami do głowy, uszu, jakby jej mózg miał eksplodować. Wcześniej powiedziała mi, że obawia się krwotoku. Latem poroniła, w Maine, powiedziała wtedy: Wiesz, że istnieje taka sieć żył?

tętnic?

i dzięki niej żyjemy?

co się może zdarzyć, kiedy zaczną pękać i krwawić?

Na ekranie pojawiała się jako całkiem inna osoba prawdziwa Monroe, dla której przeznaczona była rola Sugar Kane. Gdyby pozwoliła sobie być po prostu Marilyn, wszystko byłoby w porządku. Tak jest, nie znośm jej wtedy w wyobraźni dusiłem sukę jak w Niagarze, ale z perspektywy czasu mam inne odczucia. Po tych wszystkich latach reżyserowania dochodzę do wniosku, że nigdy nie pracowałem z kimś takim jak Marilyn była zagadką, której nie potrafiłem rozwiązać nie wiem, ale w jakiś sposób potrafiła nawiązać kontakt z kamerą, nie z nami. Patrzyła przez nas, jakbyśmy byli duchami może Sugar Kane dlatego stała się wyjątkowa, że pod spodem była Monroe. Ona musiała przejść przez Monroe, aby dotrzeć do Sugar Kane. Może taką powierzchowność osiąga się przez wniknięcie głęboko dając się ranić i raniąc innych.

Krążyła plotka, że Marilyn i doktor Fell kręcili ze sobą.

Usłyszeliśmy chichot w garderobie, potem drzwi się zatrzasnęły.

NIE PRZESZKADZĄĆ

Krążyła plotka, że Marilyn i W kręcili ze sobą i coś się nie udało.

Słyszeliśmy, jak W wyzywa ją, nie w jej obecności, ale za jej plecami.

Próbował się do niej dodzwonić, kiedy spóźniała się do pracy albo nie przychodziła na plan, ale nic z tego nie wychodziło; spóźniała się czasem o pięć godzin, o sześć, czasem nie przychodziła wcale.

Problemy W z Pół żartem, pół serio przerodziły się w spazmy.

Jednego z nas, asystentów W, posłano po nią do przyczepy (byliśmy w plenerze na Coronado Beach, gdzie kręciliśmy sekwencje z "Florydą"); Sugar Kane była umalowana, ubrana w kostium kąpielowy; gotowa od godziny albo dłużej; po prostu stała w tej swojej dziwnej, niespokojnej pozie i czytała chyba książkę science fiction pod tytułem O powstawaniu gatunków, asystent powiedział: "Pani Monroe?

W czeka", Ona zaś wypaliła natychmiast, bez zastanowienia: "Powiedz W, żeby poszedł się pieprzyć".

Początki kariery.

Monroe była sprytna i praktyczna.

Rozdziałała liczne recepty (benzedryna, deksedryna, miltown, deksamyl, seconal, nembutal itd.) pomiędzy kilka aptek w Hollywood i Beverly Hills, tak samo jak jednocześnie odwiedzała kilku lekarzy, którzy nic o tym nie wiedzieli ani nawet tego nie podejrzewali (w każdym razie tak będą twierdzili po jej śmierci).

Lecz jej ulubioną apteką, tak powtarzała w wywiadach, pozostanie drugstore Schwaba.

"Gdzie Marilyn zaczęła karierę z Richardem Widmarkiem, który gapił się na jej tyłek".

Nie słodka Sugar Kane, lecz ta wywłoka Rose leżała bezwładnie bez ubrania na łóżku, między rozrzebanymi prześcieradłami w motelu Sunset Honeymoon, niedaleko Ventura Freeway.

Rosę ziewała i odsuwała z czoła tlenione, platynowoblond włosy.

Na twarzy miała ów rozmarzony wyraz kobiety, która była z mężczyzną, nieważne, co ten mężczyzna jej zrobił lub z nią zrobił, nieważne, co rzeczywiście z nim czuła albo co udawała, że czuje, albo co mogła czuć po upływie kilku godzin gdzieś w swoim łóżku, wspominając przez sen tamte chwile.

W łazience za lekko uchylonymi drzwiami mężczyzna, także nagi, sikał hałaśliwie do muszli klozetowej.

Ale Rosę włączyła wcześniej telewizor i teraz patrzyła na podobiznę uśmiechniętej blondynki, dwudziestodwuletniej modelki mieszkającej w West Hollywood; jej ciało znaleziono w przepuście niedaleko linii kolejowej we wschodniej części Los Angeles; została zgwałcona i okaleczona, usunięto jej pewne części ciała.

Rosę patrzyła na uśmiechniętą blondynkę i sama się uśmiechnęła.

Kiedy Rosę miała powód do zdenerwowania czy zmieszania, uśmiechała się.

To daje czas na myślenie.

Wprowadza faceta w błąd.

Ale co to?

Jakiś ohydny żart?

Ta blondynka to Norma Jeane.

Kiedy miała dwadzieścia dwa lata.

Otto Osę musiał im dać zdjęcie Normy Jeane.

Powiedzieli, że ta martwa dziewczyna ma inne imię i nazwisko.

Norma Jeane nigdy pod takim imieniem i nazwiskiem nie występowała.

- Och, Boże, ratunku.

A jednak ta myśl przyszła jej do głowy.

Wiedziała już, kim teraz jest.

Ciałem w kostnicy.

Z sikającym mężczyzną, kimkolwiek on był, nie chciała się podzielić ani wiadomością o morderstwie, ani o swoim objawieniu.

Poderwała go u Schwaba w porze śniadania, z powodów całkowicie sentymentalnych, choć mimo tej twarzy i potężnej sylwetki nie był aktorem.

Nie wiedziała, jak się nazywa.

Nie rozpoznał w niej Rosę Loomis ani nawet Monroe, ale tego dnia rzeczywiście nie była Monroe.

Stał teraz nad umywalką, puściwszy wodę z obu kranów, i mówił coś do niej głośno niczym ktoś w telewizji.

Nie słuchała.

To była część pustego dialogu filmowego, sposób doprowadzenia sceny do końca.

Albo też już rozstała się z tym facetem, a łazienkowe odgłosy dochodziły z sąsiedniego pomieszczenia.

Nie, nadal tam był, barczysty, piegi na jego plecach przypominały plamy suchego piasku.

Zapyta o jego imię, on jej powie, ona zapomni i zmieszana zapyta go o to następnym razem; nie będzie mogła sobie przypomnieć, czy mu powiedziała: Nazywam się Rosę Loomis, czy też może Norma Jeane, albo nawet Elsie Pirig.

To ostatnie nazwisko brzmiało według niej komicznie, ale jeszcze żaden mężczyzna się nie roześmiał.

Martwa dziewczyna mogła być Moną Monroe.

W samochodzie zauważył u niej obrączkę ślubną, wypowiedział jakąś smętną uwagę, ona zaś szybko wyjaśniła, że poślubiła Wytwórnę, pracuje w laboratorium, co mu zaimponowało, więc zapytał, czy w związku z pracą miała kontakt z jakimiś "gwiazdami filmowymi";

odpowiedziała, że nie, nigdy; tylko z obrazkami na celuloidowej taśmie, tnie i klei film.

Trochę później.

Mężczyzna z piegami zniknął.

Na ekranie telewizora pojawiły się krzywe, migające pasy, a kiedy zmieniły się w ludzkie twarze, zniknęła już Mona Monroe, a zaczął się właśnie jakiś hałaśliwy teleturniej.

"Może to się jeszcze nie zdarzyło?"

"

Nagle poczuła się znowu szczęśliwa i pełna nadziei.

Skrzywdzony mąż.

Wróciła do niego wczesnym wieczorem, nieważne, kim był ten mężczyzna, z jej cipy wypływało nasienie tamtego, w jej włosach zachował się zapach dymu papierosowego (camele) - sama nie paliła - gdyby to była scena filmowa, mogłaby się spodziewać - w tle złowieszczą muzyka - że nastąpi dramatyczna wymiana zdań, konfrontacja; a za czasów Eks-Sportowca - bestialskie lanie albo może coś jeszcze gorszego.

Ale to nie był film.

Nic z tego nie przypominało filmu.

To był zaledwie wynajęty dom z okiennicami pozamykanymi przed bezlitosnymi promieniami słońca i milcząca, zraniona postać z twarzą wyrzeźbioną w drewnie, osoba, którą dawniej tak bardzo podziwiała, teraz jednak z trudem tolerowała, człowiek tak samo nie pasujący do południowej Kalifornii jak nowojorski Żyd do Krainy Oz; partner w jakiejś przydługiej scenie zasługujący na tyle samo uwagi, co każdy inny aktor w każdej podobnej scenie, która musiała trwać i umożliwić przejście do kolejnej sceny, bardziej ekscytującej: w tym wypadku chodziło o długą kąpiel w gorącej, parującej wodzie za drzwiami zamkniętymi przed mężem, bo była okropnie zmęczona, taka zmęczona!

przeszła obok niego z odwróconą twarzą, pragnąc tylko omdleć w marmurowej wannie, sącząc gin (z piersiówki Sugar Kane, którą przyniosła do domu); wykręciła domowy numer Carla (ale Carlo kręcił gdzieś w plenerze nowy film, no i znowu był zakochany), bez powodzenia, potem popadła w zamyślenie, szukając wizji, która by ją skłoniła do uśmiechu, do śmiechu, bo była Miss Złote Marzenia, bo była niezdolna do chorobliwych myśli, gdyż nie pasowały one do amerykańskiej dziewczyny; myślała też o tym, jak tego ranka w Wytwórni czekali na nią - na Marilyn Monroe - jak zwykle dzwonili gorączkowo, aż w pewnym momencie stało się jasne, nawet dla największych optymistów,

że Marilyn Monroe nie pojawi się tego dnia, aby udawać kogoś innego i poniżyć się; W będzie musiał nakręcić z nią sceny następnym razem.

W, który ośmiela się dawać jej wskazówki!

Och, to było zabawne!

Roześmiała się w głos, wyobraziwszy sobie udręki ślicznego chłopca z Brooklynu, czyli C, który nie ukrywał, że z całego serca nienawidzi Monroe, zmuszonego do chodzenia w makijażu, w butach na wysokim obcasie, kobiecych ciuchach, prawdziwe skrzyżowanie Frankensteina z Joan Crawford; a jeśli skrzywdzony mąż krążący niespokojnie po drugiej stronie drzwi usłyszy ów przenikliwy, dziewczęcy śmiech, być może zinterpretuje go jako objaw szczęścia?

Skrzywdzony mąż.

"Niczego innego nie pragnąłem, tylko jej ocalenia.

Nie myślałem wtedy o sobie.

Nie liczyła się moja duma".

Magiczna Przyjaciółka.

W Wytwórni, mniej więcej w odległości trzech mil, rozpoczynało się kolejne czekanie na Monroe, która zapewniła za pośrednictwem agenta, że z całą pewnością tego dnia przyjdzie do pracy.

Wprawdzie cierpiała na jakąś "dolegliwość wirusową", ale już prawie doszła do siebie; początek zdjęć planowano dopiero na dziesiątą, nie wcześniej, ze względu na Monroe, która nie sypiała po nocach i często zapadała w sen po czwartej albo nawet po piątej rano; minęła jedenasta, zbliżało się południe; oślepiające słońce zawisło nad domkiem z zamkniętymi żaluzjami, zaczął dzwonić telefon, ale słuchawka pozostała na widełkach; w sypialni na tyłach domu aktorka wstała, usiadła, przeszła się, popatrzyła w lustro, oczekując na Magiczną Przyjaciółkę; nie miała w sobie aż tyle dumy, by nie szepnąć: "Przyjdź.

Proszę, przyjdź".

Już o ósmej zaczęła na nią czekać, budziła się to otepiąca, to trzeźwa, nie pamiętała wyraźnie wydarzeń z poprzedniego dnia, pobytu w motelu z gazobetonu, zdecydowana się poprawić; z początku była cierpliwa, wcale nie zaniepokojona ani za trwożona, spokojnie oczyściła twarz mleczkiem i wklepała krem nawilżający.

"Proszę, przyjdź.

Proszę".

Minuty mijały, a Magiczna Przyjaciółka się nie pojawiała.

Wkrótce będzie godzinę spóźniona, wkrótce będzie dwie godziny spóźniona, minuty upływały bezlitośnie, tak samo tykał duży zegar szafkowy w Domu Kapitana, wybijając kwadranse, nawet kiedy jej żywe dziecko wypłynęło z niej w postaci grud i skrzepów jak częściowo przetrawiony pokarm; znała prawdę: miała zniszczoną macicę, zniszczoną duszę.

Wiedziała, że nie zasługuje na życie, tak jak zasługują inni, i chociaż się starała, nie udało się jej znaleźć sensu; mimo to musi próbować, ponieważ w sercu była pełna nadziei, chciała być dobra!

podpisała kontrakt, miała zagrać Sugar Kane i wykona swoją pracę cholernie dobrze!

Mniej więcej koło południa wpadła w popłoch i w końcu ustalono telefonicznie, że Whitey, jej osobisty charakteryzator, przyjedzie do jej domu przy Whittier Drive i wykona wstępny makijaż, nim aktorka opuści święte zacisze swojego domu, skoro nie można inaczej; co za ulga widzieć Whiteya w tym miejscu nieładu i beznadziei; niewiele brakowało, a chwyciłaby Whiteya za ręce i ucałowała je, wiedziała jednak, że wierny krąg personelu Monroe woli, gdy ich pani utrzymuje wobec nich dystans, niczym ktoś słusznie od nich lepszy.

Widząc jej rozpacz i brak wszelkiej magii na jej zmęczonej, żółtawej, przerażonej twarzy, Whitey mruknął: "Pani Monroe, niech się pani nie martwi.

Wszystko będzie dobrze, daję słowo".

Mówiło się na planie, że Marilyn czasami miała kłopoty z jasnym wypowiedaniem się, jakby słowa wprawiały ją w zakłopotanie; Whitey słyszał teraz, jak jego pani z trudem mówi:

"Och, Whitey!

Muszę, Sugar Kane chce się tam znaleźć, to jest ważniejsze niż życie!"

- i wiedział dokładnie, co jego pani ma na myśli; kazał jej położyć się na zasłanym łóżku i zacząć ćwiczenia oddechowe (Whitey też praktykował jogę, jej odmianę zwaną hatha-jogą), następnie polecił jej całkowicie rozluźnić mięśnie twarzy, ciała; przyrzekł, że w ciągu godziny wyczaruje Marilyn; z zapalem wzięli się do dzieła, ale Norma Jeane uznała, że jest jej niewygodnie na łóżku z pogniecionymi prześcieradłami, pachnącymi paniką pod ciężką, brokatową narzutą, za bardzo przypominało jej to rytuał śmierci, jakby umarła i balsamista wyposażony w maści, pudry, kredki, tubki z farbą przygotowywał ją do pochówku; kochanek balsamista, jej pierwszy mąż, który złamał jej serce, nie chciał dać jej Dziecka, dlatego więc wini się ją za to, że Dziecko odeszło; łzy zaczęły wypływać z kącików jej oczu i Whitey cmoknął: "Pst!

Pani Monroe".

Miała okropne wrażenie, że jej skóra całkowicie zwiotczała, policzki są z gumy i zapadają się pod wpływem ciężenia - Otto Osę kiedyś żartował, że Norma Jeane ma pozbawioną kości, owalną twarz dziecka, której skóra wkrótce zacznie obwisać - i w końcu sam Whitey przyznał, że jego magia nie działa, jeszcze nie.

Zaprowadził więc roztrzęsioną Żebraczkę do toaletki z triumwiratem luster, białymi światłami; skuliła się w czarnym, koronkowym biustonoszu i czarnych, jedwabnych majteczkach niczym w błagalnej modlitwie; Whitey delikatnie, ale sprawnie usunął nieudany makijaż płatkami bawełny i specjalnym mleczkiem, zastosował ciepłe, wilgotne okłady z gazy, aby dać odpocząć skórze, która zaróżowiła się i zrobiła chropawa, jakby w wyniku jakiegoś okrutnego kaprysu po ostatniej nocy (albo winny był potężny, piegowaty kochanek, olbrzymi troll, który podrapał jej wrażliwą skórę nie ogoloną brodą?);

Whitney beznamiętnie i bez pośpiechu ponownie rozpoczął swój rytuał, stosując środki ściągające, nawilżacz, podkład, róż, puder, cień do oczu, ołówki do oczu, tusz, niebiesko-czerwoną szminkę wymyśloną specjalnie dla Sugar Kane, choć film był czarno-biały, więc nie mógł ukazać pełnego efektu; w miarę upływu czasu z luster zaczęła się wyłaniać znana, choć nieuchwytna istota, z początku był to zaledwie błysk mrugających oczu, potem ściągnięcie ust w tym kuszącym, seksownym uśmiechu; pieprzyk powstał już nie w lewym kącie pomalowanych warg, ale mniej więcej cał niżej; bo tak wymyślono twarz Sugar Kane, aby się nieco różniła od twarzy Monroe w innych filmach; zarówno pani, jak i sługa zaczęli odczuwać dreszcz emocji.

"Zbliża się!

Już prawie tu jest!

Marilyn!"

Coś podobnego do napięcia przed burzą albo po trzęsieniu ziemi, gdy w każdej chwili może nastąpić kolejny wstrząs; kiedy wreszcie Whitey starannie usunął i ponownie wykonał łukowate brwi, kontrastujące śmiało z jasnymi włosami, wyłoniła się rozbawiona obawami Żebraczki najpiękniejsza twarz, jaką aktorka kiedykolwiek widziała, cudowna twarz Jasnowłosej Księżniczki.

Legendarnemu Whiteyowi Monroe wręczy mnóstwo prezentów, z których najcenniejsza będzie złota spinka do krawatu w kształcie serca z wrytym napisem:

WHITEYOWI Z WYRAZAMI SYMPATII PÓKI JESZCZE JESTEM GORAÇA!

MARILYN

Jak muchy pełzają po czymś słodkim i kleistym, tak oczy kobiet pełzały po C.

Bardzo przystojny aktor, przebrany za kobietę do Pół żartem, pół serio, nadal wyglądał atrakcyjnie, nie szokująco, nie idiotycznie, jak mógłbyś się spodziewać.

Nadąsany C, nemezis Sugar Kane.

C miał zbyt wiele kobiet.

Przejadły mu się, rzygać mu się chciało.

Monroe stanowiła dla niego nie większą pokusę niż kałuża świeżych wymiocin.

Gdy C pocałował Monroe, jego usta miały smak gorzkich migdałów, więc ona wyrwała się z jego objęć w panice i uciekła z planu, oskarżając go o posmarowanie ust trucizną!

- tak będzie brzmiała plotka.

C opowie ponurą historię o tym, jak podczas pierwszych prób żartował i przekomarzał się z Monroe na temat czekających ich scen miłosnych, których przewidywano wiele; chodziło zwłaszcza o długą scenę na pokładzie jachtu, w której C miał leżeć na wznak, symulując impotencję, podczas gdy Sugar Kane miała położyć się na nim, całować go i pieścić w próbie "wyleczenia"; scenę, która mogła przejść przez cenzurę pod pretekstem, że jest zabawna i groteskowa; wówczas C jeszcze lubił Monroe i w ogóle nie przypuszczał, co za bieda go czeka.

Jedną ze wspólnych scen, nie tak skomplikowaną, będą powtarzać sześćdziesiąt pięć razy.

Dzień po dniu C i inni będą godzinami czekać na pojawienie się Monroe, a ona czasem wcale się nie pojawi.

Dzień zdjęciowy miał się rozpoczynać o dziesiątej rano, a rozpoczynał się o czwartej i szóstej po południu.

C był człowiekiem dumnym, ambitnym, dbał o swoją karierę, nie mógł sobie pozwolić na rezygnację z tej perełki wśród ról (w filmie, który okaże się jego najlepszym dziełem i przyniesie mu najwięcej pieniędzy); stąd jego wściekłość na Monroe.

Owszem, mógł się zgodzić, że Monroe jest rozkojarzona i trochę szalona (poroniła, jej małżeństwo się rozpadło), ale co to miało wspólnego z nim, człowiekiem walczącym o życie?

Z kobietą taką jak ona można tylko prowadzić wojnę- wyznałby jej mężowi, gdyby obaj panowie byli przyjaciółmi.

C ze szczególnym okrucieństwem małpował sposób wystawiania się Monroe, jej jąkanie i przekręcanie słów; gdy pewnego dnia po pięciogodzinnym oczekiwaniu pięć godzinnym!

- Monroe się w końcu pojawiła, drżąca, zadyszana i bez słowa usprawiedliwienia, odwróciła się do niego i W z gorzkim uśmiechem i powiedziała: "Teraz już wiecie, jak to kobietą!

Wyśmiewaną".

Zawsze będą pytali W, jak mu się pracowało z Monroe w tym ostatnim okresie jej krótkiej kariery, a W będzie po prostu odpowiadał: "W życiu ta kobieta tworzyła piekło w piekle; na ekranie była boska.

Między jednym a drugim nie było żadnego związku.

Oto cała tajemnica".

Tego dnia Sugar Kane przybyła na plan triumfalnie, spóźniając się nie więcej niż cztery godziny; oto Sugar Kane słodka, zadyszana, tym razem skłonna do przeprosin, skruszona, błagająca, aby jej wybaczyli, zwłaszcza C, którego dłonie ścisnęła palcami tak lodowatymi, że aktor musiał po wstrzymać dygot; nieoczekiwanie Sugar Kane przez cztery albo pięć stron tekstu nie zająknie się ani razu; podczas tej szczególnej, długiej i zenująco intymnej sceny na jachcie.

Z tyłoma pocałunkami!

Sugar Kane w najbardziej zmysłowej, przejrzystej sukience, wyciętej z tyłu tak głęboko i tak luźnej, że widać było górną część pośladków aktorki.

Gruchająca, szczerząca zęby laleczka leżała na C i wiła się; C był bardzo zdziwiony, że ta trudna scena z aktorami, którzy się nienawidzą, da się odegrać przekonująco i gładko;

nie mógł uwierzyć, kiedy na koniec Monroe nie powiedziała: "Nie.

Chcę spróbować jeszcze raz".

Zamiast tego uśmiechnęła się.

Uśmiechnęła!

Tej sceny nie będzie się poprawiać, nakręcono ją za pierwszym razem!

Po koszmarze dubli z poprzedniego dnia i minionych tygodni!

C będzie zachodził w głowę, czy ten cud należy potraktować jako sygnał, że Monroe z dnia na dzień wyzdrowiała z jakiejś poważnej choroby; czy też, co bardziej prawdopodobne, odegrała tę scenę błyskotliwie, w jednym ujęciu, aby dowieść, że owszem, może czegoś podobnego dokonać.

Jeśli chce.

Nawet C i inni, którzy nie cierpieli Monroe, musieli przyznać, że tego dnia była niesamowita.

Biliśmy brawo, wdzięczni, że wróciła, choćby na krótką chwilę.

Uwielbialiśmy ją i tęskniliśmy do niej.

Do naszej Marilyn!

Ciągle mnie śledziłeś.

Tchórz!

Po wypisaniu jej ze szpitala w Brunswicku przewiózł ją do Domu Kapitana, który nie był ich domem.

Już nigdy nie weszła do pokoju dziecięcego.

Drogocenne przedmioty Małej dostała Janice dla swojego dziecka.

Już nigdy nie przejdzie obok otwartych drzwi do piwnicy, ale będzie uporczywie powtarzała, że czuje się dobrze, że nic jej nie jest, doszła do siebie i nie ma już chorobliwych myśli; uwierzył jej tak samo, jak zapewne ona uwierzyła własnym, stanowczym zapewnieniom;

pewnej parnej nocy w sierpniu obudził go ze snu odgłos płynącej wody w tym starym domu; jego młodej żony nie było w łóżku ani w sąsiedniej łazience; zastał ją w łazience na górze - do wanny lała się niemal wrząca woda; ona przykucnęła obok naga i drżąca - muskularne biodra i pośladki, błyszczące oczy - musiał chwycić ją w ramiona i przytrzymać, bo inaczej wskoczyłaby do tej wody, wody tak gorącej, że para skraplała się na lustrach i metalowych częściach; walczyła z nim, tłumaczyła, że lekarz ze szpitala w Brunswicku kazał jej brać "gorące tusze" dla oczyszczenia się i właś nie to zamierzała zrobić; widział w jej oczach błysk szaleństwa, nie poznawał jej i znowu wdali się w walkę, jakże silna była ta kobieta, nawet osłabiona, jego Magda!

Oczywiście nie była jego Magdą, była kimś, kogo nie znał.

Później powie do niego z goryczą: "Tego chcesz, prawda?"

Żebyś odeszła", wtedy on, jej mąż, zaprotestuje, a ona wzruszy ramionami i roześmieje się: "Ojej, Tatuśku - po poronieniu ten czuły zwrot zabrzmiał w jej ustach jak kpina - czemu przynajmniej raz nie powiesz mi prawdy?"

"

Nie da się poznać najprostszycy prawd.

Poza jedną: śmierć nie jest rozwiązaniem zagadki życia.

(Napisał te słowa i będzie je pisał; słowa na pocieszenie i słowa w charakterze skruchy; w swoim czasie słowa egzorcyzmów; już nigdy nie będzie żądała, patrząc na niego błagalnie: Tatuśku, nie napiszesz o mnie, prawda?

Już nigdy.)

Wieczór premiery/Mądrość zeń dotarła do niej w przesłodzonych kadencjach Sugar Kane, zaprawionych Dom Perignonem.

"O mój Boże.

Och, rozumiem!

Te koty!

To one".

Nie przed premierą Pół żartem, pół serio.

Nie wcześniej, niż upłynęły bezsenne, narkotyczne noce; dni i tygodnie świadomości postrzępionej i brudnej jak papierowy ręcznik w rozbitym pojemniku na śmieci; po udarze serca (na Coronado Beach, gdzie dostała ataku i to C, który nie znośił nawet dotykać skóry MM, właśnie on podniósł ją z nagrzanego piasku).

W eleganckim, czarnym, błyszczącym cadillacu z panem Z, legendarnym hollywoodzkim pionierem filmu i filantropem, siedzącym po jej prawej stronie i wychudłym mężczyzną z porytym zmarszczkami czołem, który był jej mężem, po lewej.

"Te koty, które k...karmiłam, och!

" Mówiła głośno, lecz nikt jej nie słuchał.

Weszła w taką fazę życia, że często mówiła i nikt nie słuchał.

Makijaż i włożenie kostiumu trwało sześć godzin i czterdzieści minut.

Do Wytwórni dowieziono ją o jedenastej, półprzytomną.

Doktor Fell zajął się nią w zaciszu garderoby; piski, zduszone okrzyki bólu brzmiały zwyczajnie, ale osoby obce mogły je brać za odgłosy radości, wesołej zabawy.

Zamknęła oczy, a długa, ostra igła wbiła się w tętnicę po wewnętrznej stronie ramienia; czasami była to wewnętrzna strona uda, czasami tętnica pod uchem, przystońięta puszystymi platynowymi włosami;

czasami, co było połączone z większym ryzykiem, tętnica nad sercem.

"Panno Monroe, proszę się tylko nie ruszać.

Dobrze".

Przyjazny, sokoli wzrok, nos niczym dziób.

Doktor Fell.

W kolejnym filmie doktor Fell będzie adoratorem Marilyn i w końcu jej mężem; w tym filmie doktor Fell był rywalem jej prawdziwego męża, który nieugięcie potępiał używanie przez nią narkotyków i nie wiedział nic, albo bardzo mało, o rywalu.

Doktor Fell był jednym z tych ludzi, którzy jak Whitey z zapałem angażowali się w publiczne prezentacje MARILYN MONROE i przypuszczalnie byli hojnie opłacani przez Wytwórnę.

Ona bała się go - tak jak nigdy nie będzie się bała Whiteya - bo nad swoimi pacjentami miał władzę życia i śmierci.

"Pewnego dnia, już niedługo, zerwę z nim.

Zerwę z wami wszystkimi, daję słowo".

Taki był jej najszerszy zamiar.

Zapisała go w dzienniku Normy Jeane.

Ta wspaniała hollywoodzka premiera!

Na miarę cudownego, złotego wieku Hollywood!

Wytwórnia nie szczędziła grosza, by uhonorować Pół żartem, pół serio, film, który - ku zdumieniu wszystkich osób w przemyśle - osiągnął sukces.

Mówiono, że dzięki MARYLIN MONROE Wytwórnia wypuściła kolejny wielki przebój.

Bardzo się podobał publiczności na po kazach przedpremierowych.

Podobał się recenzentom.

Walczyli o niego dystrybutorzy w całych Stanach Zjednoczonych.

Jednak Blondwłosa Aktorka zapamiętała ten film niczym sen, który jej ciągle przerywano.

Żadna kwestia Sugar Kane nie zachowała się w jej pamięci poza, co za ironia, tą jedyną, z którą nie mogła sobie poradzić przez sześćdziesiąt pięć legendarnych dubli.

"To ja, Sugar".

Przerabiała to na: "To, Sugar, ja", "Sugar to ja".

"S...Sugar, to ja?"

", "Sugar!

To ja", "To Sugar, ja" "To j...ja?

Sugar?"

Teraz wszystko poszło w niepamięć.

Wszyscy pragnęli kochać swoją Marilyn i Marilyn znowu była kochana.

Po trzech latach z dala od Hollywood MARILYN MONROE WRÓCIŁA!

Magowie już od miesiący zapowiadali szumnie jej powrót.

TRAGEDIA I TRIUMF.

PORONIENIE W MAINE.

(W południowej Kalifornii poronienie w Maine rzeczywiście robiło wrażenie.) TRIUMF W HOLLYWOOD.

(Hollywood to miejsce triumfów!

). Pytana, jak się czuje, Marilyn odpowiadała słodkim, seksownym szeptem: "Och, czuję się taka zaszczycona?

Że żyję?

"

Było to jej najszczerze przekonanie.

Zapisała je w dzienniku Normy Jeane.

Wzdłuż jasno oświetlonego bulwaru procesja błyszczących czarnych limuzyn.

Kawalkada samochodów hollywoodzkiego królestwa.

Policjanci na koniach.

Policyjne zapory, błyski fleszów, światło odbite od szkła lornetek, a nawet teleskopów wycelowanych w jej stronę.

Pomiędzy nimi Snajper, niewidoczny w czarnej koszuli, spodniach i marynarce, skulony cierpliwie za oknem wynajętego pokoju w budynku o stiukowej fasadzie, na usługach Agencji, obserwujący ją.

(i jej męża komucha) przez celownik swego karabinu o dużym zasięgu, o czym, w swym radosnym nastroju, zdecydowanie nie zamierzała myśleć.

Dlaczego?

"Niektóre rzeczy tkwią wyłącznie w twojej wyobraźni.

Coś takiego nazywa się paranoją.

Och, przecież wiesz".

Tę mądrość zapisała w dzienniku Normy Jeane.

Tysiące ludzi stało wzdłuż bulwaru tego łagodnego dnia w południowej Kalifornii, napierało na policyjne zapory, aby popatrzeć w zdumieniu na kawalkadę samochodów!

kotłując się, pomrukując i wiwatując w ekstatycznych porywach!

Czekali na sławne twarze, najbardziej zaś na twarz (i ciało) MARILYN MONROE.

"Mari-lyn!

Mari-lyn!

Mari-LYN!

- skandował tłum.

Gdyby tylko limuzyna miała otwarty dach, Blondwłosa Aktorka mogłaby stać, widziana wyraźnie przez tysiące, setki tysięcy wielbicieli!

Ale wychudły mężczyzna o pooranym zmarszczkami czole, który wciąż był jej mężem, nie pozwoliłby na taką głupotę, nie pozwoliłby chyba na nią nawet pan Z, jak i inni szefowie Wytwórni, obawiając się zagrożenia swojej kruchej własności.

Monroe nie utrzyma się na szczycie zbyt długo.

To oczywiste.

Grabie przetrwała dwadzieścia lat, Monroe nie przetrwa dziesięciu.

Kurwa mać!

Patrzyła na wielbicieli zdumiona.

Tak ich dużo!

Człowiekowi do głowy by nie przyszło, że Bóg tylu ich stworzył.

Nagle ujrzała pyszczki zdziczałych kotów, szczerzących ostre zęby.

Za darte kocie nosy i sterczące, spiczaste uszy.

Te koty!

Z Domu Kapitana.

Ogarnęło ją przerażenie.

"To one, one chciały śmierci Maleństwa.

Te same koty, które karmiłam".

Odwróciła się do wychudzonego mężczyzny z porytym zmarszczkami czołem, który czuł się nieswojo we fraku, i może powiedziała mu o swoim odkryciu, lecz nie potrafiła się zdecydować, w jaki sposób to wyrazić.

Przecież on pozostał mistrzem słów.

Ona była intruzem w jego wyobraźni.

Jest na mnie zły.

Gniewa się na mnie i jednocześnie kocha.

Biedny frajer.

Roześmiała się.

Sugar Kane była dziewczyną grającą na ukulele, dziewczyną śpiewającą, a jej prostota na ekranie przynosiła radość, podczas gdy w "prawdziwym życiu" taka prostota byłaby objawem upośledzenia umysłowego; o ileż bardziej by cię kochali, gdybyś była Sugar Kane zupełnie pozbawioną ironii.

"Mogę to zrobić.

Popatrzcie.

Oto Sugar Kane pozbawiona ironii.

Marilyn bez łez".

Mężczyzna o pooranym zmarszczkami czołem, uwięziony we fraku, nachylił się do niej, dając do zrozumienia, że nie usłyszał, co powiedziała wśród tych krzyków, wiwatów, odgłosów policyjnych megafonów, wobec tego szybko mruknęła coś, co zrozumiał jako: Nie mówiłam do ciebie.

Już nie zwracała się do tego mężczyzny którego żoną była od tak dawna, że właściwie nie pamiętała już, ile to lat minęło "Tatuśku!"

I wciąż wydawała się niezdolna do wymyślenia dla niego innego imienia.

Bywały takie chwile, kiedy nie mogła sobie przypomnieć, jak on się nazywa; zaczynała przywoływać w pamięci "żydowskie" imiona, ale bez powodzenia.

Teraz znacznie rzadziej on zwracał się do niej per "najdroższa", "moja droga", "kochanie", a jej najprawdziwsze imię brzmiało w jego ustach obco - "Norma".

Zdarzało się jej podsłuchać, jak w rozmowie telefonicznej mówi o niej z troską "Marilyn"; rozumiała to, dla niego stała się Marilyn; nic nie zostało z Normy; możliwe, że zawsze była dla niego Marilyn.

"Mari-lyn!

" "Mari-lyn!

" "Mari-LYN!

" Oto jej krewniacy!

Och, Boże, tak ciasno została zaszyta w suknię Sugar Kane, że ledwo mogła oddychać, ściśnięta niczym kiełbaska we flaku, jej piersi sterczały, jakby zaraz miało z nich trysnąć mleko; jej poduchowate pośladki opierały się na krawędzi siedzenia limuzyny, na której została umieszczona (nie mogła usiąść zwyczajnie, jak mężczyźni, bo cała sukienka popękałaby na biodrach).

Tego dnia nie mogła nic zjeść, toteż niczego nie zjadła, wypła tylko czarną kawę, przełknęła lekarstwa i kilka łyków szampana przemyconego do limuzyny.

"Całkiem jak Sugar Kane, co?

Ot, mała słabostka".

Czuła się teraz dobrze.

Lekka i pełna życia.

Jeszcze długo nie zamierzała umierać.

Obiecała to Carlowi, Carlo obiecał jej.

Jeśli kiedykolwiek pomyślisz o tym zupełnie serio.

Zadzwoń do mnie natychmiast.

Zapamiętała domowy numer Brando.

Nie będzie mogła zapamiętać żadnego numeru telefonicznego, nawet własnego, ale do końca życia zapamięta numer do Brando.

"Tylko Carlo mnie rozumie.

łączy nas pokrewieństwo dusz".

Jednakże nie spodobało się jej, że Brando został emisariuszem Bliźnięt.

Nie spodobało się jej, że Carlo należał w Hollywood do ich zwariowanego kręgu.

Cass Chaplin!

Eddy G junior.

Było coś złowieszczonego w tym, że nie wiedziała, co się z nimi dzieje.

Nikt w jej obecności o nich nie wspominał.

Iludzi wie?

O Bliźniętach.

O Dziecku.

Ale po co myśleć o tych okropnych sprawach?

Jej mąż, intelektualista i Żyd, radził jej, żeby nie była upiorem.

Żeby nie była upiorem, tylko dziewczyną!

A teraz nadeszła pora świętowania.

Noc triumfu Sugar Kane.

Noc zemsty Sugar Kane.

Tłumy nie zebrały się przy Hollywood Boulevard, żeby patrzeć na męskich partnerów Marilyn, C i L, z podziwem godnym ich występu w filmie; nie, zebrały się tutaj, aby zobaczyć MARILYN.

W miarę jak limuzyny zbliżały się do Egyptian Theatre, miejsca premiery, w powietrzu wyczuwało się coraz szybsze pulsowanie, hałas stawał się ogłuszający, mocniej biło gigantyczne serce tłumu.

Tu i tam zaczęła odróżniać poszczególne osoby.

Trolle, owe stworzenia spod ziemi.

Garbate gnomy i żebraczki; bezdomne kobiety o szalonych oczach i włosach jak słoma.

Tych spośród nas, których skrzywdziło życie.

Zniekształcone twarze, nie w pełni rozwinięte kończyny, wybałuszone, błyszczące oczy, otwory zamiast ust.

Dostrzegła wielkiego, zwalistego albinosa w zrobionej na drutach, mocno naciągniętej na prostokątną głowę czapce; dostrzegła niższego, brodatego mężczyznę z młodzieńczą twarzą, w mieniących się okularach, trzymającego w drżących, wyciągniętych rękach kamerę.

Przy krawężniku zauważyła niewyrośniętą kobietę w szykownej sukience - o unoszących się na wietrze marchewkowych włosach, wodnistych, wyłupiastych oczach - która robiła zdjęcia aparatem skrzynkowym.

Tuż obok twarz wymodelowana byle jak z gliny albo kitu, krzywa, z płytkimi wgłębieniami na miejscu oczu i małymi, haczykowatymi ustami.

Mnóstwo ludzi!

I nagle, ni z tego, ni z owego, kobieta trzydziestokilkuletnia, która uśmiechnęła się tak jakoś znajomo, chuda, atrakcyjna, ubrana po męsku, z błyszczącymi oczami w kolorze agatu, kręconymi brązowymi włosami pod kowbojskim kapeluszem, zaczęła do niej energicznie machać.

Czyżby to była...

Fleece?

Po tylu latach, Fleece?

Żywa?

Norma Jeane natychmiast otrzeźwiała.

"Fleece?"

Och, Fleece!

Poczekaj..." Szarpnęła za drzwi, które były zamknięte; spróbowała opuścić szybę, choć pan Z protestował.

W gorączce otarła się o kościste kolana Z.

"Fleece!"

Fleece.

Znajdź mnie w kinie..." Ale limuzyna już przejechała.

Przewieziono ją na premierę wzdłuż bulwaru jak członka rodziny królewskiej.

Do miejsca, gdzie na jej powitanie rozbłysł kataklizm światła.

Gdzie na chodniku rozłożono purpurowy dywan.

Oklaski brzmiały jak przybrzeżne fale w sztormowy dzień, kiedy machając ręką, wyszła z limuzyny.

Uśmiechała się, aż w policzkach zrobiły się jej dołki.

Tłum skandował coraz głośniejsze: "Mari-lyn!"

Mari-lyn!

" Uwielbiali ją!

Swoją Jasnowłosą Księżniczkę, która pewnego dnia dla nich umrze.

- Och, hej!

Och, kocham was!

Kocham, kocham, kocham was wszystkich!

W sali kina aplauz był jeszcze większy, Marilyn machała dłonią i rozsyłała pocałunki.

Nie opierała się na ramieniu ochroniarza, szła w szpilkach, za szyta w dopasowaną do ciała sukienkę Sugar Kane.

Pan Z we fraku i w po łyskujących butach z jaszczurczej skóry obserwował rozradowaną blondynkę i był pozytywnie zaskoczony; wysoki, wychudły mężczyzna o poranej zmarszczkami twarzy, który pozostawał jej mężem, patrzył na nią z trwogą.

Gdzie się podziała spięta, nieobecna, głęboko nieszczęśliwa kobieta, o którą wszyscy tak bardzo się martwili?

O której w Hollywood rozpowiadano tak dużo plotek?

Zniknęła!

Pojawiła się Sugar Kane, esencja Marilyn.

W i C i inni członkowie zespołu wyczerpanego nieustanną wojną przy produkcji filmu patrzyli ze zdumieniem, jak aktorka wymienia uściski dłoni, przytula się, pozwala całować, uśmiecha się słodko i radośnie, wdaje się we względnie spójne rozmowy, bo oto mieli przed oczami Marilyn Monroe, jakiej, gotowi byli przysiąc, ani razu nie widzieli podczas kręcenia filmu.

Chryste, czyż ta kobieta nie była słodka/ i wspaniała!

A ja, stary głupiec, całowałem kogoś zupełnie innego.

Film widziała jak przez mgłę.

Chociaż reagowano nań entuzjastycznie, ciągłymi wybuchami śmiechu.

Od zwariowanego początku w stylu Keystone Cops do ostatniej, legendarnej kwestii Joe E.

Browna: "Nikt nie jest doskonały".

Publiczności spodobało się Pół żartem, pół serio i to, że MARILYN MONROE wróciła do nich w najlepszym stylu (tak, na to wyglądało!

wbrew plotkom).

Widzowie gotowi byli wszystko wybaczyć swojej kapryśnej gwiazdzie, tak samo jak MARILYN MONROE pragnęła wybaczenia.

Na zakończenie filmu wybuchł kolejny aplauz.

W dużej sali Egyptian Theatre burza wiwatów.

Cherie, tej poważnej szansonistki, nigdy nie przyjmowano takimi brawami.

W, wybitny reżyser (jak się zdawało, wyczerpany, ale jednocześnie rozpromieniony) i troje jego wybitnych aktorów zostali przez tłum uhonorowani oklaskami, ale najbardziej MARILYN MONROE.

Prawda była taka, że nie spojrzaleś już na nikogo więcej, jeśli mogłeś patrzeć na Monroe.

Aktorka podniosła się z radością i przyjęła aplauz z wdziękiem, jak gdyby to były obmywające ją fale.

-Och, to takie c...cudowne.

Ojej, dziękuję!

Czy to się jeszcze nie zdarzyło?

Wciąż żyję.

Oczywiście, to my wymyśliliśmy MARILYN MONROE.

Platynowe włosy były pomysłem Wytwórni.

Inicjały Mmmm!

Debilny szczebiot małej dziewczynki.

Pewnego dnia zobaczyłem na planie gwiazdkę wyglądającą jak mała prostytutka.

Brak jakiegokolwiek stylu, ale Boże, jak ona była zbudowana!

Twarz nie była doskonała, musieliśmy trochę poprawić zęby nos.

Z nosem coś było nie tak.

Może też miała nierówną linię włosów i trzeba było zastosować elektrolizę, chyba że myłę ją z Hayworth.

MARILYN MONROE była robotem zaprojektowanym przez Wytwórnę.

Niedobrze, kurwa, że nie mogliśmy tego opatentować.

- Gratulacje.

- Marilyn, gratulacje.

-Marilyn, maleńka!

Gra-tu-la-cje!

Zapamiętała Pół żartem, pół serio tak, jak morski stwór - który zamiast oczu ma wrażliwe na światło wypustki - mógłby zapamiętać dno morza, po którym błyskawicznie się przemieszcza, gnany rozpaczliwym pragnieniem.

Jestem tu.

Wciąż żyję.

Śmiała się tak radośnie, ludzie nieruchomieli, patrzyli na nią, uśmiechali się.

Jej mąż patrzył z powagą.

Blondwłosa Aktorka przełknęła tyle szampana, że trochę wypłynęło jej nosem.

Och, jakże była szczęśliwa!

Później tego samego wieczoru ludzie zauważą, że rozmawia z Clarkiem Gable, przystojnym i "dojrzałym" we fraku, śmiejącym się za zastoną dżentelmena z jej dziewczęcego jąkania:

- Och, panie G."Gable.

Tak się wstydzę.

Widział pan film?

Tę grubawą blondynę na ekranie.

To nie byłam ja.

Następnym razem, daję słowo, lepiej się postaram.

SZCZURZA PIĘKNOŚĆ

Tryskająca energią ślicznotka o urodzie młodej szczurzy.

Nie było drugiej takiej w całym Hollywood.

Och, Boże.

Blondwłosa Aktorka nie mogła się napatrzeć.

Esencja Brunetki.

Nie musiała farbować włosów łonowych, co?

Ciemno włos siostra Blondwłosej Aktorki.

A jednak w jej obecności Blondwłosa Aktorka czuła się niepewnie.

To Brunetka podeszła do niej z uśmiechem, taka...

powabna.

Obie kobiety przyszły na przyjęcie (w domu o wyglądzie weneckiego pałacu z oknami wychodzącymi na jakiś kanion w Bel Air; w pobliżu unosiły się mgły Shangri-La) bez mężczyzn.

(Obie były mężatkami, ale czy miało to jakieś znaczenie?

) Energiczna szczurza piękność z zapadłej Karoliny Północnej.

Urodzona w Los Angeles prosta, beżowa ślicznotka.

Pierwsza rozmawiała, paliła papierosy i śmiała się z głębi trzewi jak mężczyzna; druga chichotała cicho i lekko, jak gdyby w ogóle nie wiedziała, co robi i co to znaczy.

Och, Blondwłosa Aktorka wysławiała się z trudem, jąkała się i była zbyt wysoka; cięższa od Brunetki o dwadzieścia funtów.

Ale ze mnie żałosna, tłusta krowa.

Stały na balkonie.

Noc, świeże powietrze, mgła.

Brunetka mówiła:

- Dlaczego traktować to tak poważnie?

Aktorstwo.

Czy o tym właśnie rozmawiały?

To znaczy o czym?

Blondwłosa Aktorka nie była pewna.

Upiła się?

W ciągu długiego obiadu wzniesiono mnóstwo toastów, bo Pół żartem, pół serio okazało się przebojem.

Kolejnym przebojem z udziałem MM.

Arcydziełem MM i najlepszą kreacją.

Nie była pijana, chociaż tego wieczoru piła szampana (ile kieliszków?

). I chyba przed obiadem, w czyimś domu?

Nie zażywała leków, to pamiętała.

W każdym razie nie od tego ostatniego razu w czyimś samochodzie.

Brunetka osiągnęła szczyt uznania i sławy, zanim jeszcze rozpoczęła karierę Marilyn Monroe, ale była niewiele od niej starsza.

Mówiła:

- Aktorstwo, filmy, wszystko to przeważnie gównno.

Blondwłosa Aktorka zaprotestowała:

- Och, ale to przecież...

m...moje życie.

Brunetka stwierdziła z drwiną:

- Bzdury, Marilyn.

Twoim życiem jest tylko twoje życie...

Nie ujdzie uwagi Blondwłosej Aktorki, że jej ciemnowłosa siostra pojawiła się jako emisariusz, aby przekazać jej jakąś głęboką prawdę; nie była to wszakże prawda, którą Blondwłosa Aktorka gotowa była zaakceptować.

Skrzywiła się i powiedziała niemal błagalnie:

- Proszę, nie nazywaj mnie M...Marilyn?

Kpisz sobie ze mnie?

Brunetka patrzyła na nią uważnie, jakby to był jakiś wzruszający fragment filmu, jakby myślała: Czy ona nie popada w obłąd?

a może jest tylko pijana?

Różne plotki o MM krążyły w Hollywood.

W końcu odezwała się:

- Dlaczego zapytałaś, czy kpię z ciebie?

Nie rozumiem.

Blondwłosa Aktorka szybko odparła:

- Mów do mnie "Norma".

Mogłybyśmy się zaprzyjaźnić.

- Ileż smutku w jej głosie.

- Pewnie, że mogłybyśmy.

Ale Norma to imię, które przynosi pecha.

(A to w związku z Normą Talmadge, która niedawno umarła po przedawkowaniu narkotyków.)

Blondwłosa Aktorka urażona powiedziała:

- Myślę, że to ładne imię.

Po Normie Shearer, która była moją matką chrzestną.

Tak się nazywam.

- W porządku, Norma.

Jak sobie życzysz.

- Ale naprawdę tak mam na imię.

- Rozumiem.

Tak masz na imię.

Przez cały wieczór spoglądały na siebie przy kolacji, oceniały się.

Gospodarz, bajecznie bogaty producent, posadził je po przeciwnych stronach stołu - dla ozdoby i urozmaicenia.

Blondwłosa Aktorka w seksownej jedwabnej sukience z dekoltem po sam pępek i Brunetka spowita w elegancką purpurę.

Blondwłosa Aktorka powściągliwa, Brunetka gadatliwa niczym mężczyzna.

Gdyby nie drobna budowa, figura i twarz, byłaby mężczyzną.

Och, Boże.

W Hollywood mówiono, że ta aktorka pieprzyła się jak mężczyzna.

Uprawiała seks, gdzie i kiedy jej przyszła na to ochota, jak mężczyzna.

(Tylko który mężczyzna?)

Wyszła za mąż bardzo młodo, rozwiodła się, po nownie wyszła za mąż, ponownie się rozwiodła; wychodziła za bogatych, sławnych ludzi i porzucała życie małżeńskie, jakby bez większego trudu wymykała się z domu tylnym wyjściem, bez żalu, nie oglądając się wstecz.

Kobiety nie zachowują się w taki sposób!

Spekulowano, ile miała aborcji.

Chełpiła się, że nie ma instynktu macierzyńskiego.

Czyżby skrycie była lesbijką?

- a może wcale nie skrycie.

Stała się jedną z najlepiej opłacanych aktorek w historii kina, choć lubiła szokować, twierdząc otwarcie: "Wiecie co, prawdę mówiąc, gównie wiem o aktorstwie.

Niczego nie wniosłam do tego fachu.

Nie szanuję go.

Dostaję forszę, to się liczy.

Człowiek nie musi się zniżać i wchodzić w prawdziwe bagno pornosów albo za forszę robić numerki".

Opowiadano o Brunetce, że pracuje nad filmami, odgrywając scenę za sceną w takim porządku, jaki ustali reżyser, z niewieloma dublami.

To, co odpowiadało reżyserowi, i jej odpowiadało.

Rzadko czytała cały scenariusz, rzadko znała role partnerów i właściwie niewiele ją one obchodziły.

Uczyła się tekstu na pamięć, kiedy robiono jej makijaż i wkładano kostium.

Uwielbiała hazard i miała do niego smykałkę.

Miała też doskonałe ciało, piersi nie tak duże i sterczące jak u Blondwłosej Aktorki i nie tak odstający tyłek, idealną twarz z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi, subtelnym zarysem podbródka w kształcie serca, błyszczące, przejrzyste, ciemne oczy.

Taka twarz przywodziła na myśl Botticellego.

Klasyczne greckie po sągi.

Z pewnością nie Hollywood w roku 1960, a tym bardziej nie Grabtown z wczesnych lat dwudziestych.

Gdybym tak mogła być tą kobietą/ Ale wgłębi ducha pozostać sobą.

Blondwłosa Aktorka usłyszała własny, chropawy głos niedojrzałej dziewczyny.

- Widzisz, jestem aktorką?

To moje życie!

Dlatego staram się, jak mogę.

Aktorką jest najlepsza część mojej osoby.

Brunetka powoli niedbale podpałała papierosa, tak jakby to mógł zrobić mężczyzna, jedną ręką, nie używając zapalniczki, tylko zapalanej z wprawą zapałki; wypuściła dym tak, że w oczach Blondwłosej Aktorki pojawiły się łzy, i rzekła, nie siląc się na uprzejmość, niczym starsza siostra:

- Dla kogo się starasz, Normo?

Dla wielbicieli?

Dla szefów Wytwórni?

Dla Hollywood?

Blondwłosa Aktorka odpowiedziała:

- Nie!

Dla...

-Dla swata.

Dla czasu.

Chcę przeżyć siebie.

Urwała, szerzej otworzyła powieki, zmieszana.

- Dla...

Piękne, ocienione długimi rzęsami oczy Brunetki były w nią tak wpatrzone, tak kuszące.

Hipnotyzujące.

Blondwłosa Aktorka drżała i w ogóle nie mogła myśleć.

W nagłym przypiływie wspomnień, wraz z uderzeniem benzedryny, zobaczyła mroczne spojrzenie Harriet, wstążki papierosowego dymu unoszące się przed tamtą twarzą.

Moja ciemnowłosa, kusząca siostra.

Moja szcurza siostra.

Brunetka rzekła:

- Dlaczego jesteś tak przejęta?

Jesteś MONROE.

Wszystko, co robisz, to MONROE.

Każdy film, który jeszcze nakręcisz, może zrobić klapę, ale do końca życia będziesz MONROE.

Będziesz MONROE po życiu.

Hej.

- Za uważała wyraz twarzy Blondwłosej Aktorki.

Aleja żyję.

Jestem żywą kobietą.

- Nikt nie potrafi tak zagrać blondynki jak ty.

Zawsze jest jakaś blondynka.

Była Harlow, była

Lombard, była Turner i była Gracie; teraz jest Monroe.

Może będziesz ostatnia?

Blondwłosa Aktorka zmieszala się.

Krył się w tym jakiś podtekst?

Czy żadnego podtekstu nie było?

Czasem wieczorem, kiedy długo nie mogła zasnąć - jej mąż dramaturg (gdy Hollywood już zaakceptowało tego tajemniczego mężczyznę, poszło z nim na ustępstwa) na jej usilną prośbę wyjechał do Nowego Jorku i znowu mieszkała sama w Hollywood jak ktoś dryfujący na górze lodowej pośrodku wzburzonego, lodowatego morza - mieszały się jej nie tyle wypowiedziane słowa, lecz raczej myśli.

Czuła wręcz, jak te myśli pękają i rozpadają się.

Udręka spowodowana nieustannym myśleniem, obwinianiem się, zrodziła antidotum - dezintegrację, szaleństwo, jasne, niszczące spojrzenie Gladys Mortensen; Norma Jeane jednocześnie o tym wiedziała i nie przyjmowała tego do wiadomości; na tym polegał tajemniczy podtekst jej życia.

Brunetka czegoś się może domyślała.

Brunetka czuła niezwykłą sympatię dla Blondwłosej Aktorki.

Wychowana na mizernej farmie w Karolinie Północnej, zawsze darzyła sympatią upośledzone zwierzęta; kurczaka, dawniej pięknie upierzonego, potem pozbawionego piór, podziobanego, skrwawionego i żalosego, bo w jakiś tajemniczy sposób wzbudził wściekłość innych kurczaków; najmniejsze prosię, niezdolne do przeżycia, bo nie mogło przecisnąć się do matki, tratowane, odpychane, a nawet pogryzione przez inne świnie...

I wiele innych, podobnie skrzywdzonych stworzeń.

Chciałaś ocalić je wszystkie.

Jako dziecko chciałaś ocalić je wszystkie.

- Hollywood płaci - powiedziała Brunetka.

- Dlatego tu jesteśmy.

Jesteśmy dziwkami z klasą.

Dziwka nie widzi niczego romantycznego w swoim zajęciu.

Kiedy zaoszczędzi wystarczająco dużo, przechodzi na emeryturę.

Kino to nie operacja na otwartym mózgu, moja droga.

Ani rodzenie dzieci.

Dzieci?

Co mają z tym wspólnego dzieci?

Blondwłosa Aktorka wyjąkała zmieszana:

- Och, ja bym się...

ja bym się wstydziła mówić w ten sposób.

Brunetka roześmiała się.

- Mnie niewiele rzeczy może zawstydzić.

Ale Blondwłosa Aktorka ciągnęła:

-Aktorstwo to samo ż...życie.

Tego się nie robi tylko dla pieniędzy.

Aktorstwo jest...

wiesz, sztuką.

Czuła się zażenowana, że przemawia z taką pasją.

Brunetka odparła ostro:

- Bzdury.

Aktorstwo to tylko aktorstwo.

Aleja chce być wielką aktorką.

Będę wielką aktorką!

Może Brunetce było jej szkoda.

To było widać w jej oczach.

Zmieniła temat, zaczęła mówić o mężczyznach.

Dowcipnie i bez sentymentów.

Znały tych samych mężczyzn.

Szefów wytwórni, producentów.

Aktorów, reżyserów, scenarzystów, agentów, tajemnicze, zjawiskowe postaci kultury marginesu.

Jasne, pieprzyła się z Z "na początku kariery.

Kto tego nie robił?" .

Pieprzyła się, dawno temu, "z tym seksownym żydowskim pokurczem Shinnem" i nawet teraz za nim tęskniła.

Z Chaplinem.

Prawda, był Charlie senior i był Charlie junior.

Z Edwardem G.

Robinsonem.

To znaczy z Edwardem G.

Robinsonem seniorem i Edwardem G.

Robinsonem juniorem.

"Ci dwaj, Cass i Eddy G, byli twoimi kumplami, co, Norma?

" Z Sinatrą, przez parę wyboistych lat była nawet jego żoną.

Frankie stracił jej szacunek po tym, jak próbował popełnić samobójstwo, zażywając tabletki nasenne.

- Z miłości.

Przeze mnie.

Ktoś wezwał karetkę, nie ja, odratowali go.

Powiedziałam mu: "Ty idioto.

To kobiety łykają pigułki nasenne.

Mężczyźni się wieszają albo strzelają sobie w głowę".

Nigdy mi nie wybaczył, ale innym kobietom nie wybaczy tym bardziej.

Blondwłosa Aktorka powiedziała z wahaniem, że uwielbia śpiew Sinatry.

Brunetka wzruszyła ramionami.

- Frankie jest niezły.

Jeśli podoba ci się jękliwe zawroźnienie białasów.

Mnie znacznie bardziej kręci nieprzyzwoita muzyka Murzynów, jazz i rock.

W łóżku Frankie był okej.

Jeżeli nie był pijany ani naćpany.

Silny, żylasty facet.

Drżący szkielet z rozpalonym kutasem.

Ale to naprawdę nic w porównaniu z jego kumplem, makaroniarzem, jak mu tam...

Normo, przez jakiś czas byłaś jego żoną.

W każdej gazecie można było znaleźć coś o was obojgu.

- Trafiła Blondwłosą Aktorkę łokciem w bok i mrugnęła.

- Pałkarz Yankees, lubił, kiedy tak się do niego zwracałam.

Trzeba oddać makaroniarzom, że znają się na rzeczy, co?

Przynajmniej są mężczyznami.

Ten wyraz twarzy Blondwłosej Aktorki.

Wszystko to z pewnego dystansu obserwowano i rejestrowano.

Wszystko to pewnego dnia zostanie odtworzone w klasycznych, czarno-białych barwach.

Seksowna, szczerza piękność, Brunetka w purpurowych jedwabkach śmieje się, ujmuje w dłoń zaskoczoną, dziewczęcą twarz Blondwłosej Aktorki i całuje ją mocno w usta.

Esencja Brunetki, esencja Blondynki.

Monroe chciała być artystką.

Spotkałam w życiu bardzo niewielu ludzi, którzy traktowali poważnie ten chłam.

Właściwie to ją zabito, nic innego.

Chciała zdobyć uznanie jako wielka aktorka i być kochana jak dziecko, a naprawdę nie możesz mieć jednocześnie jednego i drugiego.

Musisz wybrać, na czym ci najbardziej zależy.

Ja nie wybrałam niczego.

MARILYN MONROE DZIEŁA ZEBRANE

SEKS to NATURA, a ja z całego serca jestem za NATURĄ Jestem MARILYN Jestem MISS ZŁOTE MARZENIA Uważam, że SEKS oparty na MIŁOŚCI nie jest niczym złym SEKS oparty na SZACUNKU nie jest niczym złym SEKS oparty na SEKSIE nie jest niczym złym od RAKA nie nabawicie się SEKSU to znaczy

od SEKSU nie nabawicie się RAKA Ciało ludzkie, nagie ciało, jest PIĘKNE Nigdy nie wstydziałam się pozować NAGO Ludzie próbowali mnie zawstydzić, ale ja się nie wstydzę i nie będę się

wstydziła

Kiedy zdejmowałam ubranie, przestawałam się bać opuszczał mnie wstyd Z pewnością wiecie, jaka jest MARILYN kiedy MARILYN zdejmuje ubranie Szkoda, że nie mogę biegać nago po kościele przed Bogiem i ludźmi Widzicie, nie mogłabym się wstydzić, skoro Bóg stworzył mnie taką, jaka

jestem

Bóg stworzył nas takimi, jacy JESTEŚMY

Widzę, jak patrzycie na moje doskonałe ciało. Widzę, jak uwielbiacie moje ciało jakby należało do was. Przychodzi mi do głowy, że we mnie kochacie swoje IDEALNE CIAŁO że po to MARILYN przyszła na ten świat że dlatego MARILYN istnieje

Jestem Miss Złote Marzenia najsławniejsze zdjęcie w Historii Ludzkości

muszę przyznać, że to jest pewien zaszczyt uwielbiam, jak na mnie patrzycie mam nadzieję, że nigdy nie przestaniecie wierzyć, że ludzkie ciało jest PIĘKNE nie ma się czego wstydzić w każdym razie póki jesteś piękną, godną pożądania kobietą i MŁODĄ

Jestem Miss Złote Marzenia a ty jak się nazywasz?

Jestem Miss Złote Marzenia powiedziałaabym, że to poniekąd zobowiązuje, no nie

Jestem Miss Złote Marzenia powiedzcie, co lubicie najbardziej i ja to zrobię zachowam każdy wasz sekret będę was wielbiła kochajcie mnie tylko i czasem pomyślcie o MARILYN?

obiecujecie?

żałosna, chora krowa, kawał mięsa, pizda, martwa w środku .

Nie jestem zgorzkniała. Ludzie mówią, że jestem częścią HISTORII.

Nie bylibyście zgorzkniali, gdybyście się stali częścią HISTORII nikt z was. MĘŻCZYZNA nie czułby goryczy, gdyby przechodził do Historii!

więc KOBIETA też nie powinna.

Lepiej złamcie mi serce niż nos (wy sukinsyny)

Zemsta jest SŁODKA (i muszę poznać jej smak)

Och, hej!

proszę, BĄDŹMY SZCZĘŚLIWI RAZEM po to ISTNIEJEMY

Miałam taką wizję, że właśnie dlatego ISTNIEJEMY

SEKS to NATURA, a ja z całego serca jestem za NATURĄ a wy nie

To prawda, że nie możecie nabawić się seksu od raka

to znaczy nie możecie umrzeć od raka

to znaczy umrzeć od seksu nie MOŻECIE inaczej tacy jacy jesteśmy bylibyśmy tworzeni w piekle NATURA jest jedynym Bogiem taka jaka jestem, zostałam stworzona przez NATURĘ zostałam ukształtowana stworzona ztworzona ztfożona stfożona jako MARILYN od początku Czasu nie mogłabym być nikim innym wierzę w NATURĘ To znaczy wierzę, że jestem NATURĄ Wszyscy jesteśmy NATURĄ I wy też jesteście MARILYN, jeśli jesteście NATURĄ Wierzę w to Dlatego też możemy z całym zaufaniem patrzeć w bardzo odległą przyszłość bo DOBÓR NATURALNY działa tylko dla dobra każdej istoty żywej, wszelkie dalsze cielesne i duchowe przymioty dążyć będą do doskonałości z tak prostego początku zdołał się rozwinąć i wciąż się jeszcze rozwija nieskończony szereg form najpiękniejszych i najbardziej godnych podziwu

Wiodę teraz tak wspaniałe życie, że chyba powinna mnie spotkać jakaś kara!

SNAJPER

Sekretne znaczenie postępu cywilizacji jest już jasne dla tych, którzy poświęcili się walce Dobra ze Złem; instynktu Życia z instynktem Śmierci; walce, która się toczy wewnątrz gatunku ludzkiego.

Zatem przysięgajmy!

Przedmowa, Księga amerykańskiego patrioty

Tak brzmiała pionierska mądrość mojego Taty: Zawsze istnieje jakiś powód, żeby zginąć z ręki prawego człowieka.

Kiedy miałem jedenaście lat, Ojciec po raz pierwszy zabrał mnie ze sobą na polowanie na mięsojady.

Właśnie wtedy zacząłem szanować broń i wtedy narodził się we mnie talent Snajpera.

Mięsojadami Ojciec nazywał jastrzębie, sokoły, kondory kalifornijskie (teraz już niemal wytrzebione) i orły przednie (to samo), które zestrzeliwaliśmy z nieba.

Podobnie, chociaż były to stworzenia padlinożerne (nie drapieżniki zagrażające ptactwu domowemu i owcom), Tata traktował sępy;

uważał je za ptaki nieczyste, odstręczające - nie było usprawiedliwienia dla ich istnienia; także te niezgrabne ptaszyska strącaliśmy z drzew i z ogrodzeń, na których tkwiły niczym stare parasole.

Tata nie był dobrym człowiekiem - czego się spodziewać po człowieku, który stracił lewe oko i "pięćdziesiąt jardów" (jak mawiał) owrzodziałej okężnicy w wyniku odniesionych na wojnie ran - dlatego aż kipiał ze złości, że wszystkie te drapieżniki uderzają z powietrza na nasz żywy inwentarz niczym latające diabły.

Zabijaliśmy też wrony.

Tysiące wron krakało i wrzeszczało, przesłaniając niebo w lotach migracyjnych.

Nie ma dość pocisków, aby zestrzelić wszystkie cele, które na to zasługu ją, oto kolejne ze zdecydowanych przekonań Taty.

Przejąłem je wszystkie oraz jego patriotyczną dumę.

W tamtych latach utrzymywaliśmy się z tego, co zostało z naszej owczej farmy.

Z pięćdziesięciu akrów przeważnie zakrzaczonej ziemi w San Joaquin Valley, w połowie drogi między Salinas na zachodzie i Bakersfield na południu.

Tata, jego starszy brat okulały na wojnie, choć nie na wojnie Taty, i ja.

Inni nas opuścili.

Nigdy o nich nie rozmawialiśmy.

Godzinami jeździliśmy naszym fordem pikapem.

Czasami konno.

Tata podarował mi swój karabin, remington kaliber .22, i nauczył, jak go ładować i jak bezpiecznie strzelać, nigdy w pośpiechu.

Przez długi czas jako chłopiec strzelałem do celów nieruchomych.

Tata ostrzegał, że cele żywe i ruchome to całkiem inna para kaloszy.

Wymierz bardzo ostrożnie, nim pociągniesz za spust, pamiętaj, że któregoś dnia trafi się cel, który - jeśli chybisz - strzeli do ciebie bez litości.

Mądrości Taty pielęgnuję w swoim sercu.

Niektórzy myślą, że jestem zbyt ostrożny jak na Snajpera.

Jednak uważam, że jeśli chodzi o cel, to druga okazja może ci się nie trafić.

Ptactwo domowe, kury, perliczki i młode owieczki, oto, co z upodobaniem atakowały mięsojady.

Były też inne drapieżniki, kojoty, zdziczałe psy i rzadziej pумы, ale najgorsze z powodu liczby i szybkości ataku były mięsojady.

Mimo wszystko trzeba przyznać, że były pięknymi ptakami.

Sokoły z czerwonymi ogonami, jastrzębie, orły.

Wzbijały się, płynęły na wietrze, pikowały i wreszcie rzucały się do ataku jak pociski, by chwycić w szpony małe stworzenie i ponieść je w górę, żywe, krzyżące, walczące.

Mięsojady atakowały i kaleczyły pasące się, śpiące zwierzęta.

Owce beczały.

Widziałem ich ścierwa w trawie.

Wydtubane oczy, wnętrzności rozwłócone po ziemi jak lśniące, mokre wstążki.

Wskazywały je roje much.

Strzelaj!

Zabij skurwysyna!

Tata wydawał komendy i w tym samym momencie obaj strzelaliśmy.

Chwalili mnie.

Wszyscy, którzy mnie znali.

Zwłaszcza ze względu na młody wiek.

Wołali na mnie Snajper, czasem zaś Mały Żołnierz.

Trudno dziś spotkać orła przedniego i kondora kalifornijskiego, ale w okresie mojego dzieciństwa zestrzeliliśmy ich niemało, a martwe korpusy wieszaliśmy na postrach!

Teraz wiesz.

Jesteś kawałkiem mięsa z piórami, jesteś niczym.

Ale w powietrzu te potężne stworzenia wyglądały pięknie, z tym twierdzeniem musiałbym się zgodzić.

Zwalenie orła na ziemię, jak powiadał Tata, jest zadaniem godnym mężczyzny - tak samo jak przyjrzenie się z bliska jego złocistym piórom na szyi.

(Do dzisiaj na pamiątkę dzieciństwa noszę przy sercu sześciocalowe orle pióro.) Kondor jest nawet większym ptakiem, sprawia wrażenie, że ma dwie pary skrzydeł, bo pióra na wierzchu są czarne (kiedyś zmierzyliliśmy ich rozpiętość i wyszło dziesięć stóp), pod spodem białe.

A jak wrzeszczą te wielkie ptaszyska!

Szybują, zataczają obszerne kręgi, przechylają się z jednej strony na drugą; najdziwniejsze, że podczas uczyty dołączają do nich inne osobniki, pojawiają się szybko, wyłaniając się spoza zasięgu wzroku człowieka.

Pośród mięsojadów w dzieciństwie najwięcej zestrzeliłem jastrzębi gołębiarzy.

Bo występowały najliczniej, a kiedy w naszym sąsiedztwie ich liczba zmniejszyła się, musiałem odchodzić od domu coraz dalej i dalej.

Potem zacząłem jeździć po okolicy, najpierw konno.

Kiedy dostałem prawo jazdy, a cena benzyny nie była zbyt wysoka, jeździłem samochodem.

Jastrzęb jest szary i niebieski, jego pióra są jak para, więc unosząc się na tle przymglonego nieba, znikają, pojawiają się, znowu znikają i pojawiają się, co mnie bardzo podniecało, bo wiedziałem, że trafić muszę nie tylko cel ruchomy, ale na dodatek niezbyt widoczny, i robiłem to instynktownie, czasem pudłowałem (przynaję), ale często pocisk sięgał celu i strącał z nieba wzbijającego się ptaka, jakbym trzymał w ręku przywiązaną do niego linkę i miał nad nim taką potężną władzę - o której nie wiedział i której nie przeczuwał - że w jednej chwili mogłem go strącić na ziemię.

Leżały nieruchome na ziemi - piękne pióra skąpane we krwi, oczy otwarte - jakby nigdy nie były żywe.

"No i co, mięsojadzie, teraz już wiesz" - mówiłem do nich spokojnie.

"No i co, mięsojadzie, teraz już wiesz, kto ma nad tobą władzę, ten, który nie umie latać tak jak ty".

Nigdy się nie chełpiłem, w moich słowach brzmiał niemal smutek i żal.

Na co się komu zda melancholia Snajpera, kiedy jego śliczna ofiara leży skulona u jego stóp?

Jeszcze żaden poeta się o tym nie wypowiedział;

i obawiam się, że nie wypowie.

Owe czasy.

Mieszkałem tam i całymi dniami tłukłem się pikapem po okolicy, często spałem w samochodzie, gnany jakimś nieuchwytnym pragnieniem, zapędzałem się aż w San Bernardino Mountains i na pustynne tereny Nevady.

Byłem żołnierzem, który szuka swojej armii.

Snajperem, który szuka powołania.

We wstecznym lusterku pikapu chmura jasnego pyłu, przede mną wodniste miraż, które wzywały i kusily.

Twoje przeznaczenie!

Tam jest twoje przeznaczenie.

Obok mnie na siedzeniu pasażera karabin, czasami dwa karabiny i dwururka, załadowana, gotowa do strzału.

Czasem na pustynnym pustkowiu jeździłem z młodzieńczą brawurą, z karabinem opartym o kierownicę, abym mógł strzelić przez przednią szybę, gdyby zaszła taka potrzeba.

(Oczywiście, nigdy bym nie zrobił czegoś, co obróciłoby się przeciwko mnie!)

Często nie wracałem przez kilka dni, kilka tygodni, Tata już wtedy nie żył, wuj chorował, nikt się mną nie interesował.

Polowałem nie tylko na mięsojady, ale także na inne ptaki, najpierw wrony, bo było ich zbyt dużo, na takie dzikie ptaki jak bażanty, przepiórki i gęsi, do których strzelałem, ale nie szukałem potem ich martwych korpusów.

Strzelałem czasem do jeleni i innych zwierząt, ale nie jako myśliwy.

Snajper nie jest myśliwym.

Obserwowałem przez lornetkę okolicę, pustynię, szukałem życia i ruchu.

Pewnego razu na zboczu wzniesienia w Big Maria Mountains (w pobliżu granicy z Arizoną) zobaczyłem coś, co wyglądało jak twarz - twarz kobiety: włosy ufarbowane na blond, nienaturalnie czerwone usta ułożone do ponętnego pocałunku - i chociaż starałem się nie zatrzymywać na niej wzroku, nic z tego nie wyszło, serce zaczęło mi bić szybciej, krew pulsowała w skroniach; usiłowałem wytłumaczyć sobie, że to tylko billboard, że to nie jest prawdziwa twarz, a jednak ten wizerunek drażnił, kusił, kpił, w końcu już nie mogłem wytrzymać, powoli podniosłem karabin, wycełowałem i wystrzeliłem kilka razy, aż okropne napięcie ustąpiło i mogłem pojechać dalej; nikt tego nie widział.

No i co, teraz już wiesz.

Teraz już wiesz.

Teraz już wiesz.

Wkrótce to wszystko przestało mi wystarczać.

Podniecenie kazało mi strzelać do owiec i bydła, a raz nawet do pasącego się konia - pod warunkiem że nie było żadnych świadków.

Pociągnąć za spust, to takie łatwe - powiedzą mi pewnego dnia w Agencji.

Jest w tym jakaś głęboka i święta mądrość, mądrość pionierska, jak sądzę.

Tam, dokąd leci kula, cel umiera.

To subtelne jak poezja: Nieważne, co jest celem, ważne, gdzie cel się znajduje.

Czasami w oddali na drodze widziałem samochód, drobinę, która szybko się powiększała i jeśli nie było świadków - na pustkowiach Nevady o to nietrudno - unosiłem karabin i celowałem przez opuszczone okno, biorąc pod uwagę przypuszczalną prędkość obu pojazdów, i w strategicznym

momencie pociągałem za spust; niezwykle opanowany, jak na Snajpera przystało, nawet nie mrugnąłem powieką, chociaż, zdarzało się, że ten drugi kierowca przejeżdżał tak blisko, że mogłem zobaczyć wyraz jego (jej) twarzy; jechałem dalej, nie zmniejszając szybkości ani jej nie zwiększając, obserwując spokojnie we wstecznym lusterku, jak namierzony pojazd zjeżdża z drogi i rozbija się na poboczu.

Jeśli trafili się świadkowie, to cóż, mogli być jedynie mięsojadami gapiącymi się na podobny spektakl z wyżyn swego lotu; mięsojady, choć wzrok mają przenikliwy, nie mogą być świadkami.

To nie były akty osobistej zemsty, to był tylko instynkt Snajpera.

Strzelaj!

Zabij skurwysynów!

Tata wydawał komendy, a co ma począć syn, jak nie posłuchać.

W 1946 roku znajdę się na usługach Agencji.

Wcześniej byłem zbyt młody, aby służyć krajowi na wojnie, mogłem mu służyć teraz, w okresie udawanego pokoju.

Bo w Ameryce załęgło się Zło.

Już nie można przypisać go Europie ani nawet wyłącznie Sowietom; przybyło na nasz kontynent, aby osłabić i zniszczyć amerykańskie dziedzictwo.

Komunistyczny Wróg jest zarazem obcy i bliski jak każdy sąsiad.

Wrogiem rzeczywiście może być sąsiad.

"Zło znaczy tyle samo, co cel" - mawiano w Agencji.

- "Zło jest tym, co rozumiemy przez cel".

ROSLYN 1961

Nie mogę nauczyć się na pamięć samych słów.

Muszę zapamiętać uczucia.

Z życia aktora

Skłócenie z życiem to ostatni film Blondwłosej Aktorki.

Są tacy, którzy twierdzą, że musiała o tym wiedzieć, że można to wyczytać z jej twarzy.

Roslyn Tabor będzie najbardziej wyrazistą z jej ekranowych postaci.

Żadną tam blondyneczką!

Nareszcie kobietą.

Roslyn zwierza się przyjaciółce, że zawsze kończy w tym miejscu swojego życia, w którym zaczęła; Roslyn opowiada ze smutkiem o matce, której "już nie ma", o ojcu, którego "już nie ma", o przystojnym mężu, którego "już nie ma"; Roslyn, która jest dorosłą kobietą po trzydziestce, już nie dziewczyną, zwierza się niemal ze łzami w oczach: Tęsknię za matką i wiemy, że to mówi Blondwłosa Aktorka.

Opowiada o tym, że nie ma dzieci, i wiemy, że to mówi Blondwłosa Aktorka.

Nigdy nie skończyła szkoły średniej.

Karmi wygłodniałego psa i karmi głodnych mężczyzn.

Pielegnuje mężczyzn.

Okaleczonych, starzejących się, cierpiących.

Roni łzy za mężczyzn, którzy sami nie potrafią płakać.

Na pustyni Nevada krzyczy na mężczyzn: Kłamcy!

Mordercy/Przekonuje ich, aby wypuścili dzikie konie, które złapali na łąso.

Dzikie mustangi, jakimi sami są - zranionymi męskimi duszami.

Och, Roslyn, ich promienna madonna.

Silna, zadyszana, rzucająca się w oczy jak ktoś stojący na skraju przepaści.

Mówi: Wszyscy umieramy, prawda?

Ale nie uczymy się nawzajem tego, co wiemy.

Roslyn jest dziełem Blondwłosej Aktorki, wystawia się jak w życiu prywatnym Blondwłosa Aktorka i jeśli mąż dramaturg, autor scenariusza, który zawłaszczył jej sposób wystawiania się i wykorzystał pewne bo lesne fakty z jej życia, zechce jeszcze zawłaszczyć jej duszę, Blondwłosa Aktorka nie będzie miała nic przeciwko temu: Nie.

Istniejemy dla siebie nawzajem i w sobie nawzajem.

Roslyn jest twoim podarunkiem dla mnie, tak jak Roslyn jest moim podarunkiem dla ciebie.

Teraz, kiedy już go nie kochała.

Teraz, kiedy łączyła ich tylko poezja.

Poezja mowy czy - bardziej wymowna - poezja gestu.

Zdradzała go, domyślał się tego.

Nie będzie chciał wiedzieć z kim, ile razy, gdzie, kiedy, z jakim natężeniem emocji, namiętności czy nawet szczerości.

Był teraz mężem stróżem, pielęgniarzem sławnej aktorki.

(Tak, wyczuwał tę ironię: w Skłóconych z życiem promienna Roslyn opiekowała się wszystkimi.) Nie narzekał, za chowywał stoicki spokój, był pełen rezygnacji, a gdy już nie mógł sobie pomóc, miał jeszcze nadzieję.

Tyle zostało z jego młodzieńczej, ambitnej osobowości.

Będzie wierny żonie, póki ona całkowicie go nie odrąci.

Będzie ją kochał jeszcze bardzo długo.

Bo czy nie nosiła w sobie jego dziecka, nie byli złączeni ze sobą na całe życie w sposób zbyt głęboki, znaczący, święty, aby to się dało opisać słowami?

Już nie była jego Magdą, nie była jego Roslyn, tyle wiedział!

- ale będzie się o nią troszczył, wybaczy jej (jeśli oczekiwała wybaczenia; to nie było pewne).

Na wszelki wypadek zapytał:

Jesteś pewna, że zależy ci na tym filmie, Normo?

Masz dość siły?

" Miał na myśli to, czy tym razem nie będzie brała narkotyków, nie będzie chciała się zabić, a on nie będzie musiał na to bezradnie patrzeć.

Odpowiedziała mu z złością: "Zawsze jestem dość silna.

Nikt z was mnie nie zna".

Bieźmy bez troski w przepaść, pomieściwszy przed sobą coś, co nam nie pozwala jej spostrzec.

Te słowa znalazły się w dzienniku Normy Jeane.

Nie była pewna, czy je rozumie.

Czyżby Carlo uważał, że odnoszą się do niej?

Podarował jej Myśli Pascala, nim wyjechała do Reno, na zdjęcia plenerowe do Skłóconych zżyciem.

- Moja mała Angela, ale wyrośaś, co?

Któż to został reżyserem Skłóconych z życiem, jak nie H!

H, wybitny reżyser Asfaltowej dżungli.

Blondwłosa Aktorka ceniła H, którego nie widziała od lat.

Zapoczątkował moją karierę.

Dał mi szansę.

Zamierzała uściskać starszego mężczyznę, gdy się spotkają, lecz teraz zniechęciła ją jego pomarszczona twarz, odór whisky z ust i wielki brzuch; oczy, wpatrujące się zwykle bezczelnie w rozmówcę, były bardziej przekrwione niż jej własne.

H obserwował rozwój kariery Blondwłosej Aktorki ze sceptycznym zainteresowaniem, jak ojciec mógłby obserwować z pewnego dystansu życie nieślubnej córki albo syna: potomstwa, za które nie musiał ponosić rodzicielskiej odpowiedzialności, choć czuł się z nim związany w trudny do określenia sposób.

Podczas wstępnego spotkania w Hollywood Blondwłosa Aktorka nie czuła się zbyt pewnie i chyba się nawet wzdrygnęła, gdy H chwycił ją za obie dłonie i mocno je ścisnął.

Pogodny, zachrypnięty głos, zachowanie, nie wiadomo, serdeczne czy kpiące, a może jedno i drugie?

Aby mu okazać szacunek, będzie się zwracała do niego per "pan".

On będzie mówił do niej "kochanie", jakby nie mógł sobie przypomnieć jej imienia.

Z większym szacunkiem potraktuje jej męża dramaturga.

Blondwłosa Aktorka poczuje się nieswojo, gdy będzie na nią znacząco zerkał, jako człowiek bywały w świecie, znany z umiejętności oceny koni i kobiet.

Wprawi ją w jeszcze większe zakłopotanie, przypominając casting do Asfaltowej dżungli: "Zostałaś Angelą, bo miałaś najlepsze wyjście".

Blondwłosa Aktorka zapytała, co to właściwie znaczy, przecież miała przesłuchanie tak jak konkurentki, tyle że mówiła kwestię Angeli, leżąc na podłodze, gdyż w tej scenie Angela miała spoczywać na sofie; H roześmiał się, mrugnął do Z (byli w bogato umeblowanym biurze Z, podpisywali kontrakt) i powtórzył: "Nie, kochanie.

Zostałaś Angelą, bo miałaś najlepsze wyjście".

Fala upokorzenia zalała Blondwłosą Aktorkę.

Ma na myśli mój tyłek.

Sukinsyn.

Blondwłosa Aktorka nie mogła sobie w tej chwili wyraźnie przypomnieć postaci Angeli.

Aby to zrobić, będzie musiała najpierw przypomnieć sobie pana Shinna, którego zdradziła, chyba że to on ją zdradził.

Aby to zrobić, będzie musiała przypomnieć sobie Cassa Chaplina z czasów, kiedy zostali młodymi kochankami.

Cass nazywał ją bratnią duszą.

Śliczną bliźniaczką.

Zrezygnuje z sięgania pamięcią do czasów sprzed Angeli, gdy jako bezimienna gwiazdka poszła do pana Z obejrzeć Ptaszarnię.

Biuro Z mieściło się teraz w innym budynku na terenie Wytwórni.

Wyposażenie było azjatyckie: grube chińskie dywaniki, obite brokatem sofy i krzesła, na ścianach pergaminy i akwarele znakomicie przedstawiające sceny z natury.

Z znano w przemyśle jako człowieka, który wykreował MARILYN MONROE.

W wywiadach ze spokojem opowiadał, jak to podpisał ze "swoją dziewczyną" kontrakt, podczas gdy inni szefowie, w tym również ówczesny prezes kompanii, chcieli ją zwolnić.

("Dlaczego?

Nie uwierzycie: uważali, że nie potrafi grać; uważali, że nie jest pociągająca".)

Blondwłosa Aktorka usłyszała swój śmiech, uwodzicielski i przyjazny.

Tego dnia czuła się doskonale.

Był to jeden z jej dobrych dni.

I wyglądała dobrze.

Gorąco wierzyła, że Skłócenie z życiem staną się wybitnym, klasycznym filmem i że rola Roslyn stanie się jej wybawieniem.

Ludzie zapomną o Sugar Kane, o Dziewczynie z Góry, o Lorelei Lee i innych.

Żadna tam blondyneczka!

Nareszcie kobieta.

- Cóż.

Nie jestem już Angela, panie H.

Nie jestem też Marilyn Monroe, nie w tym filmie.

- Nie?

A wyglądasz całkiem jak Marilyn Monroe, kochanie.

-Jestem Roslyn Tabor.

To była dobra odpowiedź.

Widziała, że przypadła H do gustu.

Jest taki rodzaj konia, może nawet czystej krwi, którego trzeba smagać batem, aby dał z siebie wszystko.

To właśnie ja.

Tkwiłem po uszy w długach, potrzebowałem poręczyciela, pojawił się ten interes, a Marilyn była jego częścią.

Nie cenię jej jako aktorki.

Nie widziałem większości jej filmów.

Nie sądzę, abym mógł jej zaufać albo ją polubić.

Nigdy nie miałem dość cierpliwości do neurotyków o skłonnościach samobójczych.

Zabij się, jeśli masz chęć, tylko nie knoć życia innym ludziom.

Taki jest mój pogląd.

Ludzie mówili, że szalałem za nią; mówili też, że źle ją traktuję i że załamała się przeze mnie.

Do diabła z tym.

Spojrzelibyście jej w oczy, a poznalibyście prawdę.

Wiecznie przekrwione białka, popękane żyłki.

Nie mogliśmy nakręcić Skłóconych z życiem w kolorze, jak zamierzaliśmy.

Reno.

Stan Nevada.

Film jest czarno-biały jak pamięć.

Film o latach czterdziestych, nie sześćdziesiątych.

Z martwymi aktorami!

Pogrobowcami już w samej opowieści.

Blondwłosa Aktorka powiedziała sobie: Będę profesjonalistką w każdym calu.

Blondwłosa Aktorka i jej mąż dramaturg, którego już nie kochała, a który mimo to uparcie (co zauważą świadkowie) ją kochał, mieszkali w Reno w czymś, co stanie się "piekłem skłóconych z życiem", w apartamencie na dziewiątym (najwyższym) piętrze hotelu Zephyr, nazwanego tak z powodu zatoczki o tej samej nazwie.

Pierwszego dnia Blondwłosa Aktorka miała się pojawić na planie o dziesiątej, ale już przed dziewiątą zamknęła się w łazience, bo nie mogła spojrzeć na własne odbicie w lustrze; nie wpuści do środka nawet wiernego Whiteya, który błagał panią Monroe, aby pozwoliła mu chociaż spróbować.

Całkowicie poddała się emocjom.

Była kłębką nerwów.

W jej umyśle nie rodziła się żadna spójna myśl!

W nocy nie spała;

jeśli od czasu do czasu spała, to spała także teraz, jej otępiały od barbituranów umysł spał nadal, choć oczy miała szeroko otwarte; jakoś zdołała zwlec się z łóżka i dotrzeć do łazienki.

Nie chciała otworzyć drzwi.

Mąż dramaturg błagał.

Mąż dramaturg groził, że zadzwoni na recepcję i poprosi o wyważenie drzwi.

Blondwłosa Aktorka krzyknęła, żeby sobie poszli i zostawili ją; a kilka przecznic dalej, przybywszy na plan o 11.15, mąż dramaturg starał się żonę usprawiedliwić - Marilyn ma migrenę Marilyn ma temperaturę Marilyn pojawi się po południu, obiecuje- wybitny reżyser H chrząknął i nic nie powiedział, tyle tylko, że miał tu rano kręcić scenę z Roslyn; w rozmowie prywatnej wyraził nadzieję, że jeśli Monroe ma zwariować, to lepiej niech to się stanie wcześniej.

Zamknięta w pokoju hotelu Zephyr w Reno.

Z widokiem na zalane słońcem ulice i neonowe szyldy kasyna - S - w oddali łańcuch górski Virginias, lekko przykurzony jak wyblakłe teatralne rekwizyty.

Były to czasy, kiedy Reno w stanie Nevada pełniło funkcję rozwodowej stolicy Stanów Zjednoczonych, więc nic dziwnego, że Roslyn znalazła się tu i rozwiedzie się - "uwolni" - w tym pustynnym mieście.

Och, była Roslyn!

Będzie Roslyn do szpiku kości.

To rola mojego życia.

Teraz wszyscy się przekonają, na co mnie stać.

Lecz na razie była roztrzęsiona.

Próbowała czytać scenariusz, ale widziała wszystko jak przez mgłę.

Już było południe, a ona powinna stawić się na planie o dziesiątej; wierzyła, że może się przygotować, aby pojawić się tam po południu, a w każdym razie przed wieczorem, i miała nadzieję, że H to zrozumie.

Na pewno, lubi mnie!

Jest dla mnie jak ojciec.

Jemu za wdzięczam początek kariery.

W prażącym bezlitośnie słońcu chodziła wszędzie w ciemnych okularach, starając się unikać fotografów i reporterów, którzy czaili się jak sępy w holu hotelu lub na ulicy.

Na plan nie mieli wstępu, ale to nie dotyczyło miejsc publicznych.

H narzekał, że Monroe ciągnie za sobą sforę psów niczym suka w rui i że im mniej im daje, tym więcej od niej chcieli, niepokojąc innych, w tym także jego.

Jak się ma Marilyn?

Co się dzieje z jej małżeństwem?

Drobne linie pojawiły się w kącikach jej oczu i wokół ust, a owe oczy, dawniej takie niebieskie, były teraz siecią popękanych żyłek, gałki oczne straciły żywą barwę jakby na skutek żółtaczki, czego nawet dwunastogodzinny sen by nie uleczył.

Całe szczęście, że nie kręcimy tego filmu w technicolorze, co?

Nie łatwiej dało się przewidzieć, co wyjdzie z ponętnych ust Marilyn, niż odgadnąć, choćby w przybliżeniu, wszystko, co do nich weszło.

Już na początku oświadczyła H i reszcie, samym mężczyznom, że jest Roslyn Tabor.

"Znam Roslyn.

Kocham ją".

Była to prawda i nieprawda.

Bo mężczyźni widzieli jedynie Roslyn.

A co z Roslyn, której mężczyźni nigdy nie widzieli?

Powiedziała H, że dialogi Roslyn są poetyckie i piękne, jednakże wolałaby, żeby Roslyn miała w filmie coś więcej do roboty niż tylko pocieszanie mężczyzn i wycieranie im nosów, dbanie o to, by czuli się podziwiani i kochani; dlaczego Roslyn nie mogła być pierwszą osobą, którą publiczność zobaczy w filmie; Roslyn wychodzi z pociągu, Roslyn wjeżdża samochodem do Reno, Roslyn w ruchu, aktywna - nie, jak to było przewidziane, prawie niewidoczna za oknem na piętrze, kiedy jakiś mężczyzna, który jej szuka, spogląda do góry; zaraz w następnej scenie Roslyn z obawą patrzy w lustro, nakłada makijaż.

"Do diabła z oknami, z lustrami.

Makijażem!

Pokażmy Marilyn, to znaczy R...Roslyn".

Im więcej o tym myślała, tym bardziej zależało jej na usunięciu kilku banalnych kwestii Roslyn, nieważne, że napisał je zdobywca nagrody Pulitzera.

Chciała mieć nowe dialogi.

No i dlaczego pod koniec filmu Roslyn nie mogła sama uwolnić schwytych koni?

"Roslyn mogła to zrobić równie dobrze jak kowboj.

Monroe, nie Gable.

Albo oboje, Monroe i Gable?

Co?" Podniecała się coraz bardziej, usiłując wytłumaczyć rozsądnie i zgodnie z logiką filmu, dlaczego ostatecznie Jasnowłosa Księżniczka i Ciemnowłosa Księżę zjednoczą się, aby uwolnić mustangi; oczywiście, Gable może sam uwolnić ogiera, ona wypuści pozostałe konie.

"Do diabła, dlaczego nie?"

"H patrzył na nią jak na wariatkę, ale powiedział do niej "kochanie", aby ją uspokoić.

- Po prostu dajcie Roslyn więcej do roboty - poprosiła.

Zdezorientowani mężczyźni milczeli.

Do prasy dotarł przeciek, że Marilyn już "stwarza problemy", choć realizacja Skłóconych z życiem jeszcze się nie rozpoczęła.

Marilyn "jak zawsze wysuwa niezwykle żądania".

Nikt jej nie odbierze Roslyn i najlepszej kreacji w karierze.

Roslyn była starszą siostrą Sugar Kane, oczywiście, nie mogło być mowy o zwariowanej komedii, o rozedrganych numerach muzycznych.

Żadnego ukulele, żadnych ckliwych scen miłosnych.

Roslyn niepokoiła, bo była "prawdziwa", choć zarazem (jak szybko się zorientuje kobieca publiczność) była jedynie "prawdziwym marzeniem" (marzeniem mężczyzny).

Aby stać się Roslyn, Norma Jeane nie mogła pozostać Normą Jeane; Norma Jeane była bystrzejsza, sprytniejsza, bardziej doświadczona niż Roslyn; lepiej wykształcona, choć wykształciła się sama.

Kochanek Roslyn, Gay Langland, chwali ją: "Nie lubię wykształconych kobiet; miło spotkać kobietę, która szanuje mężczyznę".

Norma Jeane roześmiałaby mu się na to prosto w twarz, ale Roslyn słucha i to, co słyszy, pochlebia jej.

Och, to męskie gadanie, wszystko po to, by schlebić Roslyn, uwieść, zmieszać!

"Roslyn, masz talent do życia".

"Roslyn, wypijmy za twoje życie, mam nadzieję, że nie skończy się nigdy".

"Roslyn, czemu jesteś taka smutna?"

"Roslyn, jaśniejiesz w moich oczach".

"Roslyn, musisz przestać myśleć, że coś możesz zmienić".

Och, oczywiście, że mogę coś zmienić.

Przyglądajcie się uważnie!

Dzwonił telefon.

Niedoczekanie, żeby podniosła słuchawkę.

Umyje twarz i skropi powieki zimną wodą, tyknie tabletkę przeciwbólową albo dwie, zrobi makijaż, włoży bluzkę, spodnie, ciemne okulary, wyjdzie z hotelu tylnym wyjściem przez kuchnię; miała jakąś przyjaciółkę w kuchni (była dziewczyną, która zawsze miała przyjaciółkę w hotelowej kuchni); zupełnie nieoczekiwanie pojawi się na planie o trzeciej dwadzieścia, bo czuła się teraz znacznie lepiej; powróciły jej siły, gdy wyobraziła sobie miny, jakie zrobią na jej widok, sukinsyny.

(Nie miała tu na myśli Clarka Gablea, jego szanowała.) Stanie się Roslyn ze świeżo umyтыми i ułożonymi, błyszczącymi blond włosami, makijażem akcentującym jej księżycowoblądą twarz, w obcisłej sukience z dużym dekoltem, ozdobionej wisienkami.

Będzie Jasnowłosą Księżniczką w pustynnym mieście stanu Nevada!

Ku zaskoczeniu ekipy realizującej Skłóconych z życiem zjawi się na tych parę godzin, które pozostały do końca dnia zdjęciowego, i będzie żądała tyle dubli, ile będzie trzeba, do swej początkowej sceny (smutna rozmowa o rychłym rozwodzie, którą prowadziła przy toaletce z pewną starszą kobietą), czyli póki nie odrzuci ostatniego elementu powierzchowności Normy Jeane i nie wcieli się organicznie w wystraszoną, drżącą, skłonną do wybaczenia Roslyn.

Zaskoczy H, wyrzeze na nim korzystne wrażenie, a przecież nie należał on do ludzi, którzy łatwo ulegają wrażeniom; H, który przed dziesięciu laty patrzył na nią z góry, H, który jej nie szanował, H - uznany reżyser, który miał nadzieję, wiedziała o tym cholernie dobrze, że Marilyn załamie się w miarę wcześniej, aby mógł zaangażować na jej miejsce mniej kłopotliwą aktorkę.

"Ale Monroe jest tylko jedna.

Ten skurwiel musi o tym wiedzieć".

Czasem następował cud.

Brzmi to jak frazes, ale tak było.

Monroe zjawiała się spóźniona o parę godzin, mogła już nawet krążyć plotka, że przebywa w szpitalu (bo wczorajszego wieczoru usiłowała się zabić!),

ale gdy wreszcie się pokazywała, słodka, zawstydzona, ze słowami przeprosin, rozlegały się oklaski i okrzyki radości, chociaż wcześniej przeklinaliśmy sukę na czym świat stoi.

Patrzyłeś na Monroe i nie widziałeś suki, tylko siłę natury, jakby silny wiatr albo burzę z piorunami, dostrzegałeś, że ona znajduje się w mocy tej siły i miałeś chęć jej wybaczyć; nawet jej partner Gable, chory na serce, mówił, że nic nie może poradzić, nie podoba mu się to, lecz to rozumie.

Whitey i ekipa Monroe przystępowali do pracy nad nią, jakby ożywiali trupa, i przekształcali kobietę o blond włosach, której praktycznie mogeś nie poznać, w anielską piękność Roslyn; tak będzie wiele

razy podczas kręcenia filmu, może nawet zbyt wiele; i nie zawsze zabrzmiały oklaski, nie zawsze suka zamieni się w anioła, lecz zazwyczaj tak.

Monroe wyrażała się poprzez kamerę - nikt z nas nie mógł tego zrozumieć.

Widzieliśmy wiele aktorów i aktorek, ale nigdy nikogo takiego jak Monroe.

Bywały dni, że wydawała się zupełnie bezbarwna i niemal pospolita, jeśli nie liczyć księżycowobladej skóry; przerywała scenę, prosząc jak amatorka o jej po wtórzenie; zresztą większość scen i tak powtarzano po dwanaście, dwadzieścia, trzydzieści razy, dostrzegałeś jedynie niewielkie zmiany między jednym ujęciem a drugim, ale one w jakiś dziwny sposób nakładały się na siebie, Monroe wyraźnie się rozwijała, robiła postępy, podczas gdy jej partnerzy słabli; Clark Gable nie był już młody, miał nadciśnienie i słabe serce, ale Monroe była nieczuła na podobne wyczerpanie; była nieczuła na innych ludzi; była nieczuła na H, który jej nie cierpiał; albo wierzyła, być może Marilyn zawsze w to wierzyła, że wszyscy muszą ją kochać, bo jest bardzo ładna; że takiego rozbitka życiowego, sierotę, musisz bezwzględnie pokochać.

Marilyn zaraziła nas sloganem, który często powtarzała: Jeśli wypadnie na ciebie, to wypadnie, jeśli nie, to nie.

Dobrze to brzmiało tu, w Reno, myśleliśmy.

Zatem nieważne, jak późno Monroe przychodziła do pracy, jak bardzo była rozkojarzona i otępiała, wystarczyło, że wyszła z garderoby, ubrana w kostium, umalowana, a natychmiast zaczynałeś wierzyć, że wstąpiła w nią inna osoba, że stała się Roslyn, a jak mogłeś winić Roslyn za coś, co zrobiła Monroe?

Nie mogłeś.

Nawet nie chciałeś.

Bez względu na to, jak zachowywała się na planie, patrzyłeś na gotowy materiał filmowy z niedowierzaniem, myśląc: Kto to jest, do jasnej cholery?

Kim jest ta nieznajoma?

Nie ma wątpliwości, Monroe była jedyna w swoim rodzaju.

To było przedtem.

Co się miało wydarzyć, jeszcze się nie wydarzyło.

W śnie na jawie, podniecona i pełna nadziei, ślizgała się po podłodze na piętrze Domu Kapitana.

Niedopasowane deski, krzywe okna, za nimi niebo zasnutę nieprzejrzystą mgłą.

Wiedziała, że to się jeszcze nie stało, ponieważ Dziecko mieszkało sobie spokojnie pod jej sercem.

W specjalnej otoczce - worku?

- pod sercem.

Dziecko jeszcze nie odeszło.

Pewnego dnia (wyobraziła to sobie ze wszystkimi szczegółami!)

Dziecko zostanie aktorem;

wyruszy w tajemnicze aktorskie podróże, przestanie być tym, kim było wcześniej, ale to była odległa przyszłość, a ten sen miał ją pocieszyć, nie prawdaż?

Dziecko jeszcze nie odeszło w postaci grud i zakrzepłej krwi.

Było wielkości średniego kantalupa; z upodobaniem głąskała się po za okrągłym brzuchu.

W jakiś sposób łączyło się to z moimi dobrymi uczuciami związanymi z Roslyn i tym filmem; teraz, kiedy byliśmy w trzecim tygodniu zdjęć.

I możliwe (trudno się w tym połapać), że był to sen Dziecka, nie jej własny (bo dzieci także śnią w łonie kobiety; Norma Jeane wyśniła kiedyś całe swoje życie w łonie Gladys!);

oto weszła bosą do wąskiej, chłodnej pracowni mężczyzny, z którym mieszkała, mężczyzny, za którego wyszła, najprawdopodobniej ojca Dziecka, i zobaczyła papiery rozrzucone w nieładzie na blacie biurka; wiedziała - wiedziała!

- że nie powinna ich przeglądać, zakazano jej tego; mimo to jak krnąbrne, nieposłuszne dziecko wzięła je do ręki i przeczytała; w jej śnie te słowa nie były widoczne, wypowiadały je męskie głosy.

LEKARZ: Panie wieści.

obawiam się, że nie mam dla pana dobrych

Y: Co...

się stało?

LEKARZ: Pańska żona dojdzie do siebie po poronieniu, chociaż od czasu do czasu może odczuwać ból i krwawić.

Ale...

Y (usiłując zachować spokój): Tak, panie doktorze?

LEKARZ: Obawiam się, że jej organy reprodukcyjne macica jest za bardzo uszkodzona.

Miała zbyt wiele aborcji...

Y: Aborcji?

LEKARZ (zakłopotany, szczerzy): Pańska żona...

wielokrotnie poddawała się prymitywnym aborcjom.

Były to pewnie czerwone mrówki z pustyń Nevady.

Ugryzły, pozbyły się trucizny i odeszły.

Później Whitey zapytał z troską w głosie: "Panno Monroe, czy coś się stało?",

bo podczas charakteryzacji Blondwłosa Aktorka skrzywiła się, kiedy wypła łyk gorącej czarnej kawy z rozpuszczonymi w niej paroma tabletkami kodeiny; szepnęła do Whiteya tak cicho, że niemal jej nie słyszał, do Whiteya, który mógł usłyszeć ochryple słowa swej pani nie tylko z drugiego końca pokoju, ale z odległości wielu mil, a potem nawet lat:

- Och, Whitey, n...nie wiem.

Roześmiała się, a następnie bez ostrzeżenia zaczęła płakać.

Chwilę potem przestała.

Zabrakło jej łez!

Łzy jej wyschły jak piasek!

Ostrożnie włożyła palce do ust i dotknęła piekących ranek.

Niektóre były twarde, inne pokryte bąblami.

- Panno Monroe, proszę otworzyć usta - powiedział surowo Whitey.

- Niech spojrzę.

Posłuchała.

Whitey popatrzył.

Dziesiątka stuwatowych żarówek dookoła lustra sprawiła, że było jasno jak na planie filmowym.

Biedny Whitey!

Należał do plemienia trolli zatrudnionych przez Wytwórnę, istot żyjących pod ziemią, ale osiągnął niezwykle jak na trolla wzrost ponad sześciu stóp; miał masywne ramiona i barki, miłą, mięsistą twarz.

Białawy puch pokrywał jego głowę w kształcie futbolówki.

Cierpiał na krótkowzroczność, ale jego bezbarwne oczy były żywe i ruchliwe, dodawały otuchy.

Gdyby nie te oczy, nie pomyślałbyś, że Whitey jest artystą.

Z błota i kolorowych cieni potrafił wymodelować twarz.

Czasami.

W służbie Blondwłosej Aktorki ten znakomity fachowiec od makijażu nauczył się cierpliwości; zawsze był dżentelmenem, ukrywał przed nią troskę, każdy objaw zaniepokojenia, trwogi, potępienia.

Tym razem rzekł spokojnie:

- Panno Monroe, musi panią obejrzeć lekarz.

-Nie.

- Tak, panno Monroe.

Zadzwoń po doktora Fella.

- Nie chcę Fella!

Ja się go boję.

-No to po innego lekarza.

Nie ma wyjścia, panno Monroe.

- Czy...

wyglądają okropnie?

Moje usta?

Whitey potrząsnął głową w milczeniu.

- Coś pogryzło moje usta.

Od środka.

Chyba wtedy, gdy spałam!

Whitey potrząsnął głową w milczeniu.

- Czy może coś się dzieje z moją krwią?

Alergia?

Reakcja na lekarstwa?

Whitey stał w milczeniu, spuścił głowę.

Nie podniósł oczu, by w jasno oświetlonym lustrze nie napotkać wzroku swej pani.

- Od dawna nikt mnie nie całował.

W każdym razie nie głęboko, nie jak

kochanek.

Nie mogę nikogo podejrzewać, że mnie ktoś otruił pocałunkiem,

prawda?

- Roześmiała się.

Potała oczy pięściami, choć nie było w nich ani

jednej łzy.

Whitey wymknął się po cichu, aby przyprowadzić doktora Fella.

Kiedy mężczyźni wrócili, Blondwłosa Aktorka trzymała głowę opartą na

złożonych ramionach.

Siedziała pochylona do przodu, jakby bez świadomości, oddychała płytko.

Srebrzyste włosy miała umyte i uczesane na Roslyn.

Nie zdążyła jeszcze włożyć kostiumu, była w przybrudzonym fartuchu i spodniach, jej umięśnione białe nogi tancerki były pod nią jakoś dziwnie wygięte.

Tak płytki i nierówny był jej oddech, że doktor Fell przeżyje chwilę paniki.

Ona umiera.

Oskarżą mnie.

Ale na szczęście mógł ją ożywić;

zbada jej usta, złaja ją za mieszanie leków wbrew jego wyraźnym zaleceniom i za zdradzanie go z innymi lekarzami, potem poda jej lekarstwo na bolesne ranki, które być może były objawem ustępującej choroby.

Następnie powróci do pracy Whitey.

Usunie poprzedni makijaż, delikatnie zmyje twarz i zacznie całą operację od początku.

Będzie ją upominał: "Panno Monroe!

" - kiedy zauważy, że Blondwłosa Aktorka nie patrzy trzeźwo albo rozluźnia wargi, które on malował jasną szminką.

Na planie czekali na Marilyn od dwóch godzin i czterdziestu minut.

H uparcie, z masochistyczną złością, wysłał asystenta do garderoby Blondwłosej Aktorki, aby doniósł mu, jak długo to jeszcze potrwa.

Whitey mruknął dyplomatycznie: "Wkrótce.

Nie możemy tego przyspieszyć, wiesz".

Najbliższa scena była bardziej skomplikowana od poprzednich, ponieważ wymagała wielu zabezpieczeń, brała w niej udział czwórka aktorów, pojawiał się taniec i muzyka.

Mężczyźni mieli patrzeć na Roslyn, trawieni intensywną namiętnością zrodzoną z frustracji, niedoli, złości; kamera uchwyci oddanie, nadzieję, miłość błyszczącą w jej oczach jak światła reflektorów.

Ta scena należała do Roslyn.

Roslyn wypije zbyt dużo i będzie tańczyła sama, prezentując piękne, ale osieroczone ciało, wybiegnie z sali w romantyczną ciemność i w "poetyckim" momencie obejmie drzewo, a Ciemnowłosa Księżę oświadczy:

Roslyn, tkwi w tobie prawdziwy dar życia, wypijmy za twoje życie, niech trwa wiecznie.

Mąż w separacji.

-Wiesz co, facet?

Nikt nie lubi być szpiegowany.

Kochać ją było zadaniem jego życia, ale w tym słonecznym, pustynnym mieście zaczął odczuwać, że być może, mimo wysiłku i poświęcenia, nie sprosta temu zadaniu.

Skłóceni z życiem mieli być walentynkowym podarunkiem dla niej, a stali się grobowcem ich małżeństwa.

Pragnął uwiecznić jej promienną urodę w Roslyn i nie rozumiał, na czym polegał błąd albo dlaczego musi ponieść porażkę; traciła przy nim cierpliwość i odnosiła się do niego coraz bardziej opryskliwie, w miarę jak pogłębiała się jej współpraca z ekranowym kochankiem, Gablem.

Czy ja jestem zazdrosny?

Jeśli tylko o to chodzi, o uczucie tak niegodziwe, może mógłbym z tym żyć.

Jednak w dalszym ciągu brała narkotyki.

Zbyt wiele narkotyków.

Ciągle go okłamywała, kłamała prosto w oczy.

Zapewniła sobie tolerancję otoczenia, mogła wziąć do ust i połknąć tabletki kodeiny, nawet kiedy rozmawiała i śmiała się, "odgrywała Marilyn" w towarzystwie innych osób.

Mówili: "Marilyn jest taka...

żywa!

" Tymczasem on, trzeźwy mąż, mąż od czterech lat, mąż, który wydawał się dla Marilyn zbyt stary, mąż cenzor, stał z boku i przyglądał się.

-Kurwa, już ci mówiłam: nie lubię być szpiegowana.

Myślisz, facet, że jesteś doskonały.

Spójrz w lustro.

Jej umysł rozsypywał się jak mechanizm taniego budzika, ale rozpaczliwie próbowała się poprawić.

Rozpaczliwie!

Nie tylko O powstawaniu gatunków czytywała miesiącami, robiąc przy tym notatki.

Teraz także tę książkę, którą podarował jej Carlo.

Och, Pascal naprawdę ją poruszał!

Tyle lat temu, takie myśli, to się wydawało niemożliwe, O powstawaniu gatunków opowiadało o postępie, ulepszaniu rzeczy, większym wyrafinowaniu w miarę upływu czasu, "rozmnażaniu i modyfikacji"; ale Pascal!

W siedemnastym wieku!

Chory człowiek, który umrze młodo, w wieku trzydziestu dziewięciu lat.

Spisał swoje najgłębsze myśli, których ona nie potrafiłaby wyrazić nawet w najbardziej prymitywnej formie.

Natura nasza jest w ruchu; zupełny odpoczynek to śmierć.

(...) Słodycz chwały jest tak wielka, że do jakiegokolwiek przedmiotu się ją przywiąże, nawet do śmierci, kocha się ją.

Owe słowa Pascala zostały zapisane czerwonym atramentem w dzienniku Normy Jeane.

Carlo napisał w książeczce dedykację: Aniołowi z wyrazami miłości od Carla.

Jeśli uda się komuś z nas...

"Może któregoś dnia mogłabym urodzić jego dziecko?"

Marlona Brando?

"

Roześmiała się.

Myśl była szalona, ale...

czemu nie?

Nie muszą brać ślubu.

Gladys nie była mężatką.

Ciemnowłosemu Księciu lepiej się wiodło, kiedy nie był żonaty.

Miała trzydzieści cztery lata.

Jeszcze przez dwa, trzy lata może mieć dzieci.

Kochankowie pocałowali się!

Roslyn i kowboj Gay Langland.

- Nie.

Chcę spróbować jeszcze raz.

Kochankowie znowu się pocałowali.

Roslyn i kowboj Gay Langland.

- Nie.

Chcę spróbować jeszcze raz.

Kochankowie znowu się pocałowali.

Roslyn i kowboj Gay Langland.

- Nie.

Chcę spróbować jeszcze raz.

Byli nowymi kochankami.

Clark Gable, który był Gayem Langlandem, który nie był młody, i Marilyn Monroe, która była Roslyn, która była starzejącą się rozwódką.

Dawno temu w zaciemnionej sali kinowej.

Byłam dzieckiem, uwielbiałam cię.

Ciemnowłosego Księcia w MusisAa.

tylko zamknąć oczy i już była jak kiedyś w kinie przy Highland Avenue, do którego zawsze chodziła po szkole, płaciła za jeden bilet; Gladys ostrzegła ją: "Nie siadaj"!

Podeksytowana Norma Jeane podnosiła wzrok na ekran, aby ujrzeć Ciemnowłosego Księcia; był tym samym mężczyzną, którego całowała teraz, którego całowała tak namiętnie, że zapomniała o bolących ustach; tego przystojnego, ciemnowłosego mężczyznę z cienkim, przystrzyżonym wąsikiem, teraz już po sześćdziesiątce, teraz z twarzą pełną zmarszczek, rzadzącymi włosami i oczami śmiertelnika.

Kiedyś wierzyłam, że jesteś moim ojcem.

Och, powiedz mi, powiedz, że jesteś moim ojcem\

Ten film, który jest jej życiem.

Byli nowymi kochankami; łączyło ich uczucie delikatne i ulotne jak pajęcza sieć.

Roslyn spała w łóżku, jej piękne ciało przykryte było prześcieradłem; Gay pochylił się ostrożnie, aby ją obudzić pocałunkiem, Roslyn szybko się podniosła, objęła go za szyję nagim ramieniem, pocałowała w odpowiedzi tak namiętnie, że przez chwilę zapomniała o okropnym bólu ust, o strachu, o niedoli swego życia.

Och, kocham cię!

Zawsze cię kochałam!

Znowu zobaczyła oprawioną fotografię przystojnego mężczyzny, wiszącą na ścianie w sypialni Gladys.

Tyle lat minęło, ale ten obraz nadal był bardzo wyraźny!

Budynek nazywał się Hacjenda.

Ulica: La Mesa.

Szóste urodziny Normy Jeane.

"Normo Jeane, widzisz?"

Ten mężczyzna jest twoim ojcem".

Roslyn była naga pod prześcieradłem, Gay miał na sobie ubranie.

Być nagą na ekranie i na tle pofałdowanego, purpurowego aksamitu, jeśli masz przy tym odkryte spody stóp - to wielki wstyd.

Towarzyszy mu mroczny, erotyczny dreszcz.

Kiedy się pocałowali, Roslyn zadrżała; trzeba było widzieć, jak jej blada skóra pokrywa się gęsią skórką.

Jadowite czerwone mrówki!

Małeńkie wrzody mogły popłynąć żyłami do mózgu i tam się rozwinąć, zniszczyć ją pewnego dnia, ale jeszcze nie teraz.

Pocałunek powinien boleć.

Uwielbiam twoje pocałunki, które bolą.

Monroe była przesądna i rzadko oglądała materiał nakręcony danego dnia, ale tego wieczoru przyszła z Gableem; byliśmy zdumieni ich sceną.

H wziął Monroe na stronę, pochylił się, chwycił ją za dłonie i podziękował za pracę tego dnia.

Chryste, to było dobre, powiedział.

Niezwykle subtelne.

Wykraczało poza seks.

Monroe była w tej scenie prawdziwą kobietą, a Gable mężczyzną z krwi i kości.

Dzięki nim przeżyliśmy coś głębokiego.

Nie był to zwykły, filmowy szajs.

H wypił trochę więcej whisky i był skruszony, ponieważ od dawna przeklinał Monroe za jej plecami i rozbawiał nas opisami, w jaki sposób dokona na niej mordy.

-Jeśli kiedykolwiek jeszcze raz w ciebie zwątpię, kochanie, kopnij mnie porządnie w tyłek, dobrze?

Monroe roześmiała się figlarnie.

- A nie wolałbyś przypadkiem porządnego kopa w jaja?

Jesteś moją przyjaciółką, Fleece - prawda?

Normo Jeane, przecież wiesz, kim jestem.

Z jakiegoś powodu wróciłaś do mojego życia.

Zawsze cię rozumiałam.

Pewnie!

Tak cię kocham.

I ja cię kocham, Myszko.

Miałyśmy uciec razem, Fleece.

Uciekłyśmy!

Nie pamiętasz?

Bałam się.

Ale ufałam ci.

Och, Myszko, nie powinnaś mi ufać.

Nigdy nie byłam dobra.

Ależ byłaś, Fleece, byłaś!

Może dla ciebie.

Ale nie w głębi serca.

Byłaś dla mnie miła.

Nigdy o tym nie zapomniałam.

Dlatego teraz chcę ci coś podarować.

I uwzględnić cię w moim testamencie.

Hej, nie mów tak.

Nie lubię, kurwa, takich gadek.

Trochę realizmu, Fleece.

W filmie, w którym teraz występuję, pewien kowboj mówi do mnie: Wszyscy musimy kiedyś odejść.

Cholera!

Niby dlaczego to jest zabawne?

Nie chciałam się śmiać, Fleece.

Czasami śmieję się...

ale nie chcę.

Nie chwytam, dlaczego to jest zabawne.

Widujesz martwych ludzi?

Ja tak.

Widziałam ich z bliska.

Czułam ich zapach.

Oni nie są zabawni, Normo Jeane.

Och, Fleece, wiem.

Wszyscy musimy kiedyś odejść to taki frazes.

Co?

Coś, co zostało już powiedziane.

Mnóstwo razy.

Dlaczego jest to zabawne?

Tak naprawdę to się nie śmiałam, Fleece.

Nie wściekaj się.

Wszystko już ktoś wcześniej powiedział, ale to nie znaczy, że można się z tego śmiać.

Fleece, przepraszam.

Byłaś najsmutniejszym dzieckiem w sierocińcu.

Każdej nocy płakałaś, jakby pękło ci serce, i sikałaś do łóżka.

Wcale nie.

Dziewczęta, które sikały do łóżka, musiały mieć ceratę zamiast prześcieradła.

Nie pachniało to najlepiej.

Taka była nasza mała Myszka.

Fleece, to nieprawda!

Cholera, byłam wobec ciebie złośliwa.

Niepotrzebnie.

Fleece, nie byłaś wobec mnie złośliwa.

Opiekowałaś się mną.

Opiekowałam się tobą.

Ale byłam wobec ciebie złośliwa.

Lubiłam rozśmieszać inne dziewczęta.

Mnie rozśmieszałaś.

Bardzo mi głupio, Normo Jeane.

Zabrałam twój gwiazdkowy prezent, a ty płakałaś.

Nie.

Tak, to byłam ja.

Urwałam mu cholerny ogon.

Chyba dlatego, że zazdrościłam ci tego prezentu.

Nie wierzę ci, Fleece.

Urwałam ogon temu pasiastemu tygryskowi.

Schowałam go na jakiś czas w swoim łóżku, a potem wyrzuciłam.

Chyba mi było wstyd.

Och, Fleece, myślałam, że mnie l.-.lubisz.

Lubiłam, bardzo cię lubiłam.

Byłaś moją Myszką.

Tak mi przykro, że cię opuściłam.

Nie miałam wyjścia.

Czy twoja matka wciąż żyje?

Och, tak!

Dużo płakałaś.

Matka cię porzuciła.

Moja matka była chora.

Była wariatką, a ty jej nienawidziłaś.

Pamiętasz, miałyśmy zamiar ją zabić w tym jej szpitalu w Norwalk.

Fleece, to nieprawda!

Jak możesz coś takiego mówić!

Miałyśmy spalić ten szpital.

Naprawdę.

Wcale nie!

Nie pozwalała na twoją adopcję.

Dlatego jej nienawidziłaś.

Nie nienawidziłam matki.

K...kochałam ją.

Nie martw się, Marilyn- Nikomu o tym nie powiem.

To nasza tajemnica.

To nie jest nasza tajemnica, Fleece.

To nieprawda.

Zawsze kochałam matkę.

Nienawidziłaś jej, bo nie pozwalała na twoją adopcję.

Pamiętasz?

Stara wiedźma nie chciała podpisać dokumentów.

Fleece, nigdy nie chciałam, aby mnie adoptowano!

Miałam m...matkę.

Hej, sama byłam w Norwolk przez jakiś czas.

W Norwolk?

Dlaczego?

Jak myślisz, świrusko?

Byłaś...

chora?

Ich zapytaj.

Robią, co im się, kurwa, podoba, nie dasz rady ich powstrzymać.

Skurwysyny.

Byłaś w...

Norwolk?

Kiedy?

A skąd do diabła mam wiedzieć?

Dawno temu.

Była wojna, wstąpiłam do kobiecego korpusu.

Szkoliłam się w San Diego.

Wysłano mnie do Anglii.

Wyobraź sobie, ja, Fleece, w Anglii!

Ale zachorowałam.

Musiałam wracać do Stanów.

Fleece, jakże mi przykro.

Do diabła tam.

Nie oglądam się wstecz.

Ubierałam się jak mężczyzna, nikt mnie specjalnie nie dręczył.

Póki coś się nie spierdoliło.

ładnie wyglądasz.

Podoba mi się, Fleece.

Od razu zauważyłam cię w tym tłumie.

Mogłabyś być przystojnym facetem.

Podobasz mi się, naprawdę.

Mhm, tylko nie mam kutasa, widzisz?

Jeżeli masz cipę, a nie kutasa, to musisz robić to, czego chce kutas.

Załatwiłabym ich nożem, gdybym mogła.

Nie jestem nieśmiała.

Dawniej nie bałam się tylu rzeczy, co teraz.

Zależało mi na pięknie w moim życiu.

Mieszkałam w Monterey, w San Diego, w Los Angeles.

Śledziłam twoją karierę.

Miałam taką nadzieję.

Ty i wszystkie dziewczęta.

Poznałam cię od razu.

Marilyn.

Widziałam Dont Botber to Knock i chciałam, żebyś zepchnęła tego bachora z okna.

Nie cierpię dzieci!

Kiedy oglądałam Niagarę, byłam zaskoczona, że tak wyrostaś, wyładniałaś.

Ale podniecił mnie moment, kiedy on cię dusi.

Fleece!

Daj spokój.

Przestań wygadywać takie rzeczy.

Ja tylko mówię prawdę, Normo Jeane.

Znasz Fleece.

Dlatego cię kocham, Fleece.

Potrzebuję cię.

Rozumiesz?

Mogłybyśmy pogadać od czasu do czasu.

Mogę być twoim kierowcą.

Umiem prowadzić samochód.

Teraz jestem Roslyn.

Kobietą z filmu, w którym występuję.

Nie jestem aktorką, tylko po prostu kobietą.

Próbuję być dobra.

Mężczyźni mnie zranili.

Rozwiodłam się.

Ale nie jestem zgorzkniała.

Znajdę sposób na życie.

Mieszkam w Reno, to znaczy jako Roslyn.

Ale nie grywam w kasynie, gdybym grała, na pewno bym przegrywała.

Powiedziałam, że mogłabym być twoim kierowcą.

Wytwórnia zatrudnia już kierowcę.

Mogę być ochroniarzem Marilyn.

Ochroniarzem?

Myślisz może, że nie jestem silna?

Jestem.

Nie doceniasz mnie, Normo

Jeane.

Niedobrze.

Wcale nie...

Nóż. Noszę ze sobą nóż.

Jestem bezpieczna.

Nic mi nie zrobi żaden skurwysyn, który się do mnie dopieprza.

Och, Fleece.

Co? To cię niepokoi?

Och, Fleece, po prostu nie lubię noży.

To jest mój nóż.

Moja ochrona.

Fleece, powinnaś go odłożyć.

Tak? A gdzie?

Gdzie mam go odłożyć?

Do...

tam, skąd go wyjęłaś.

Ostrze?

Gdzie powinnam umieścić ostrze, gdzie?

Fleece, nie strasz mnie.

N...nigdy nie myślałam...

Wyglądasz na wystraszoną, Marilyn.

Chryste.

Nie. Nie wystraszyłam się.

Tylko...

Jakbym mogła cię skrzywdzić?

Normo Jeane, ciebie?

Nigdy nie zrobiła bym ci krzywdy.

Och, wiem.

Fleece.

Mam nadzieję.

Nie boję się tego użyć, aby obronić siebie.

Mogłabym chronić ciebie.

Wiem.

Doceniam to.

Załóżmy, że ktoś podchodzi do Marilyn, mówi coś obraźliwego, popycha.

Będę twoim ochroniarzem.

Sama nie wiem, Fleece.

Są ludzie, którzy chcą skrzywdzić Marilyn.

Mogę ją chronić.

Nie wiem, Fleece.

Do diabła, nie wiesz, nie wiesz!

Właśnie mówiłaś, że chcesz mieć mnie przy sobie.

Fleece, proszę...

Okej, chowam nóż.

Okej, nie ma noża.

Nigdy go nie było.

Widzisz?

Dziękuję, Fleece.

Zawsze cię rozumiałam, Normo Jeane.

Nigdy o tobie nie zapomniałam.

Wiedziałam, że stałaś się Marilyn za nas wszystkie.

Pocałunek z Fleece - czy ośmieliłam się ją pocałować, czy może mi się śniło, że ją całuję; kiedy Fleece mnie pocałowała (ugryzła!),

rozbolały i spuchły mi usta.

Pocałować się z Fleece to jak zaciągnąć się eterem.

Tak intensywnie pachniała pomarańczami.

I serce mało co mi nie pękło.

Och, dzięki Ci, Boże.

Rocznica.

Ich czwarta rocznica.

Przeminęła bez fanfar.

Mąż w separacji.

Odkrył, że nie tylko Gable ją oczarował (i prawdopodobnie pieprzył), ale także bardziej enigmatyczny Montgomery Clift.

Alkoholik, mężczyzna czarująco obłąkany, o niebrzydkiej twarzy pełnej blizn po wypadku motocyklowym, w którym niemal zginął przed rokiem; ćpun zażywający benzedrynę/amital (dożylnie?);

samotnik w przyczepie pustelni, świadomie nieobecny Dionizos, ukrywający się z nieodłącznym drinkiem (wódka plus sok grapefruitowy), młody, zuchwały kochanek, niechętnie udzielający wywiadów i wychodzący na "upiorne" słońce Nevady przed zmierzchem.

Wielu członków ekipy pracującej nad Skłóconymi z życiem poszłoby o zakład, że Clift nie dokończy filmu i stanowi większe ryzyko niż Monroe.

"Wiesz, dlaczego kocham Montyego Clifta?

On jest Bliźniakiem".

"Kim?

" "Bliźniakiem, tak jak ja".

Mąż nie będzie zazdrosny o dotkniętego przez fatum homoseksualistę, był na to zbyt dumny.

Dostrzegła ból w jego oczach i dotknęła jego ramienia.

(Po raz pierwszy od wielu dni.) Nagle stała się Roslyn, uzdrawiającą pięknnością o nieco rozmytych na ekranie rysach.

"Hej, oto, co miałam na myśli: Nie wiem, czy Monty urodził się pod tym samym znakiem co ja, sądzę tylko, że jest jak mój brat bliźniak?

Spotyka się czasem ludzi, którzy mogliby być twoimi bliźniakami?

Dla mnie takim bliźniakiem jest Montgomery Clift".

Mąż już od dawna uważał Clifta za większą zagadkę niż jego żona, której samobójcze skłonności wiązały się prawdopodobnie z utratą dziecka.

Tamten okropny dzień w Maine na zawsze zmienił ich życie.

Nie ustępowała jej wyczerpująca rozpacz.

Kobieta to macica, prawda?

Jeśli nie macicą, to czym jest kobieta?

Od powrotu z Maine ich życie diametralnie się zmieniło.

Od przyjazdu do Nevady nie przyjmowała go w swoim łóżku.

Wiedział jednak, że pragnęła dziecka rozpaczliwie jak zawsze; może nawet bardziej rozpaczliwie, bo miała coraz więcej lat i jej zdrowie coraz bardziej szwankowało.

Jak przewidział lekarz, miała częste bóle macicy, które ją przerażały.

Krwawienia miesięczne miała jak zawsze bolesne i nieregularne.

Oczywiście nigdy jej nie powtórzył tego, co powiedział lekarz.

O pokrytej bliznami macicy.

O prymitywnych aborcjach.

Pozostanie to jego tajemnicą.

Że wie i że ona mogła nie wiedzieć, że on wie.

Jeśli nie macicą, to czym jest kobieta?

W szczęśliwym finale Skłóconych z życiem Roslyn i kowboj Gay Langland rozmawiają o przyszłych dzieciach.

(Nieważne, że między nimi jest znaczna różnica wieku.) Po urazach związanych ze schwytanymi i w końcu uwolnionymi mustangami jadą do "domu".

Prowadzi ich "gwiazda polarna".

Gdybym nie mógł cię obdarzyć dzieckiem wżyciu, Normo, podaruję ci je w tym marzeniu o tobie.

Czy miało jakiegokolwiek znaczenie, że Blondwłosa Aktorka odnosiła się do niego, mistrza słowa, z pogardą?

Na taśmie filmowej Roslyn promieniowała wrażliwością.

Ci, których Blondwłosa Aktorka odstręczała, dali się uwieść Roslyn.

Okaże się, że Roslyn jest najbardziej wyrafinowaną, najbardziej złożoną, najbardziej błyskotliwą spośród filmowych kreacji Marilyn Monroe;

prawdę tę poznano już podczas realizacji, która odbywała się w atmosferze ciągłego zagrożenia klęską.

Roslyn była niczym piękny wazon, który się kiedyś stłukł, ale dzięki ludzkiej cierpliwości, talentowi, umiejętnościom został dokładnie odtworzony, kawałek po kawałeczku, fragment po fragmencie, za pomocą pesety i kleju; teraz widzisz tylko efekt i nie znasz losów wazonu, nie wiesz, ile wysiłku kosztowało nadanie mu obecnego wyglądu.

Iluzja spójności, piękna.

Złudzenie?

Tracę ją.

Muszę ją ocalić.

Zniechęcony mąż nawet przed sobą by się nie przyznał, że porzucił karierę dramaturga.

Porzucił istotę swej jaźni.

Życie w Nowym Jorku wśród przyjaciół związanych z teatrem, których cenił tak, jak nie mógł cenić filmowców.

Uważał H za swoistego geniusza.

Sam potrzebował samotności, zatopienia się w sobie, myślowych eksperymentów, nie agresywnej aktywności.

Tu, na zachodzie Stanów, był na usługach nie tylko Blondwłosej Aktorki, która niszczyła członków swego personelu z zawziętością wiecznie głodnego drapieżnika, lecz także Wytwórni; on także był na liście płac, także "do wynajęcia".

Powiedział sobie, że to tylko na pewien czas.

Powiedział sobie, że Skłócenie z życiem będą arcydziełem, które zrekompensuje mu wszystko.

Aktem męzowskiej miłości, który ocali jego małżeństwo.

Jednakże sercem był gdzie indziej: na wschodzie.

Tęsknił za wypełnionymi książkami, ciepłym mieszkaniem przy Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, tęsknił za codziennymi spacerami do Central Parku, tęsknił za towarzystwem kłótliwego Pearlmana.

Tęsknił za swoim młodszym ego!

Dziwne, nadal grali jego sztuki, ale napisane przed laty; nie uczestniczył w ich przy gotowaniu i nawet nie miałby na to czasu, gdyby go poproszono.

Stał się żyjącym klasykiem: alarmujący układ zdarzeń.

Marilyn Monroe idealizowały miliony nieznanym ludzi nawet wtedy, kiedy ta kobieta wymiotowała w łazience, przy drzwiach szeroko otwartych, tak że on, rozpaczony mąż, wstrząśnięty mąż, musiał to słyszeć i jeszcze nie mógł nic powiedzieć.

"Nikt nie lubi być szpiegowany, facet, jasne?"

"

Innym razem zastał ją w zaparowanej łazience, goliła sobie nogi; ręce drżały jej tak bardzo, tak źle widziała, że pozacinała się i pokaleczyła; śmiertelnie białe nogi, szczupłe, śliczne nogi krwawiły z tuzina miniaturowych ranek.

Wściekła się na widok troski, samego wyrazu jego twarzy, zaczęła szlochać.

- Wynoś się!

Kto cię tu prosił!

Idź do diabła!

Taka jestem ohydna?

Taka odstręczająca?

Żydzi gardzą kobietami, ale to już twój problem, nie mój, szanowny panie.

Wyszedł, słysząc za sobą jej krzyki.

Zamknął drzwi.

Może rzeczywiście zobaczyła na jego twarzy coś więcej niż tylko mężowską troskę.

Od tamtej pory obserwował ją ukradkiem, bez żadnych komentarzy.

Chciałby jej powiedzieć: Nie będę cię osądzał.

Chcę cię jedynie uratować.

Na trwałe porzucił pracę dramaturga.

Wszystko, co mu zostało po latach pisania, to fragmenty, szkice.

Sceny, które zaczynały się i kończyły na pojedynczej kartce papieru.

Zostawił Dziewczynę o włosach jak len.

Już nie miał przekonania do swojej naiwnej wizji Magdy, "dziewczyny z ludu".

Jak Blondwłosa Aktorka słusznie zauważyła, Magda miała w sobie więcej gniewu, niż mu się wydawało.

Ale nie potrafił nakreślić jej obrazu z tą poprawką.

Nie potrafił nakreślić młodocianego Isaaca.

Dawno opuścił go sen o Powrocie.

Powrót oznaczał niegdyś emocjonalny niepokój, inspirację do pisania; od dnia ślubu z Blondwłosą Aktorką niewiele pozostało z jego poprzedniego życia.

Rahway w stanie New Jersey wydawało mu się bardziej odległe niż londyńskie niedole podczas kręcenia Księcia i aktoreczki, kiedy zrezygnował nawet z prób pisania, aby się zaopiekować coraz bardziej niezrównoważoną żoną.

(Nie mógł jej pozazdrościć zadziwiająco udanej roli Marilyn w tym kojarzącym się z muzeum figur woskowych filmie.

Krytycy chwalili ją.

Dostała nawet nagrodę włoskiego przemysłu filmowego!

On nie dostał nawet nagrody pocieszenia.) Na dodatek nie wolno mu było pisać o niej ani o ich małżeństwie.

Chyba że dla celów prywatnych, w tajemnicy.

Nigdy bym jej nie zdemaskował.

Nie zdradził.

Nigdy tego nie zrobię.

Nadal ją kochał.

Czekał na odpowiedni czas, aby ją znowu kochać.

Nawet gdyby go publicznie odrzuciła.

Nawet gdyby złożyła pozew o rozwód.

Ukradkiem ją obserwował, niczego nie komentując, niczego nie osądzając.

Oszukiwała siebie.

Nie była Roslyn.

Walczyła ze wszystkich sił, aby odebrać ten film partnerom.

Rywalom.

Blondwłosa Aktorka uważała się i uważana była za ofiarę świata, jednakże w głębi serca była zachłanna, bezlitosna.

Widział, że czyta O powstawaniu gatunków Darwin tak chciwie, jakby czytała o własnej przyszłości.

Marilyn Monroe czyta Darwina!

Nikt by w to nie uwierzył.

Teraz czytała Myśli Pascala.

Pascal!

(Skąd ona wzięła tę książkę?

Ze zdumieniem przyglądał się, jak z chaosu walizki wyjmuje tomik, przerzuca kilka stron i zaczyna czytać tam, gdzie wcześniej skończyła, marszcząc brwi i poruszając ustami.) Ale teraz rzadko

rozmawiała z nim na temat swoich lektur, a jeśli napisała wiersz, już mu go nie dawała do przeczytania.

Nie czytała materiałów Christian Science.

Książki dotyczące historii Żydów i holocaustu zostawiła w Domu Kapitana.

Krwawa miazga wsiąkająca w klepisko piwnicy.

W Reno jej najpoważniejszym rywalem był H.

Ponieważ H należał do mężczyzn, którzy najwyraźniej nie pożądali Marilyn Monroe.

Wypowiedziała pod jego adresem następującą uwagę:

- Wszyscy mówią, że jest geniuszem.

Też mi geniusz!

Jego największą pasją są konie i hazard.

Znalazł się tutaj dla pieniędzy.

Nie szanuje aktorów.

Mąż dramaturg zapytał:

- A z jakiego powodu my tu jesteśmy?

- Ty być może dla pieniędzy.

Ja walczę o życie.

Na aktorze ciąży przekleństwo: nieustanne poszukiwanie publiczności.

A kiedy publiczność zauważy twoje pragnienie, to jakby zwietrzyła krew.

Zaczyna być okrutna.

H pewnego dnia zawołał: "Marilyn, spójrz na mnie".

Nie posłuchała.

"Spójrz na mnie".

Byli poza Reno, w plenerze na pustyni, gdzie mieli nakręcić scenę rodeo.

W jasny, upalny dzień.

H opuchnięty, spocony, miał wytrzeszczone oczy szalonego Nerona, wyrzeźbionego przez zdezorientowanego artystę z szacunkiem zaprawionym szyderstwem.

Dźwignął się z krzesła, poderwał do biegu jak młody wół i na naszych oczach chwycił ją za nadgarstek; chętnie byśmy zobaczyli, jak Monroe ląduje na rozgrzanym piasku, tak nam dała do wiwatu przez te

wszystkie dni, dni w piekle prażącego słońca (późny październik), ale ona po prostu się odwróciła i rzuciła na niego z pazurami jak kotka.

H powie później: Ta kobieta wścieka się jak zwierzę!

Przez nią miałem pełne gacie strachu.

Był od Monroe cięższy o jakieś sto funtów, ale nie mógł się z nią równać.

Wyrwała się, uciekła, zatrzasnęła drzwi do swojej przyczepy (z klimatyzacją); potem, po paru minutach, zdumiała nas, wróciła - makijaż poprawiony, włosy uczesane, bo Whitey i cały personel zawsze byli do dyspozycji; pojawiła się Roslyn, uśmiechnięta jak kociak, który najadł się śmietanki.

Udowodniła mi, że nie jest Roslyn.

Nie miała nic wspólnego z Roslyn.

Roslyn, która kochała tych mężczyzn, rozbitków życiowych, która o nich dbała.

Potrafiła zagrać Roslyn jak wirtuoz.

Nic więcej.

Chciała, żebym o tym wiedział.

Dopiero wtedy mogła dokończyć tę scenę.

Fleece!

Wiedziała, że może popełnia błąd, ale co tam, to tak jak patrzeć na swoją dłoń wyrzucającą parę przegrzewających kostek.

Po prostu musisz na to patrzeć.

Kupiła dla Fleece najtańsze bilety lotnicze.

Chciała, aby dawna przyjaciółka została w hotelu Zephyr przez tydzień, dotrzymywała jej towarzystwa w tym trudnym dla niej okresie i mogła popatrzeć na realizację Skłóconych z życiem.

Wymienić uścisk dłoni z legendarnym Clarkiem Gablem!

Montgomerym Cliftem!

Jej mąż wyraził dezaprobatę.

Fleece jest "niezrównoważona", powiedział, to się rzuca w oczy już z odległości trzydziestu stóp;

a ona na to:

- Czy ja jestem zrównoważona?

Czy Marilyn jest zrównoważona?

- Nie rozmawiamy o tobie - odparł.

- Rozmawiamy o osobie, którą nazywasz "Flee".

- Fleece!

(Miał okazję zobaczyć Fleece w Hollywood, na chodniku.

Posępna Fleece w przybrudzonym zamszowym kowbojskim kapeluszu, jaskrawej koszuli z niebieskiej satyny, obcisłych dżinsach, ukazujących trójkąt jej chudego krocza, i butach ze sztucznej skóry.

Potrząsnęła dłonią dramaturga z przesadną kurtuazją i zwróciła się do niego per "sir".) Norma Jeane oświadczyła: - Fleece jest jedyną osobą, która mnie naprawdę zna.

Która pamięta Normę Jeane jeszcze z sierocińca.

Mąż powiedział spokojnie:

- Ale dlaczego to ma być dobrze, kochanie?

Norma Jeane utkwiała w nim wzrok, niezdolna wyrzucić słowa.

Kochanie.

Czy jeszcze nie zabiła miłości tego mężczyzny?

Fleece nie mogła się doczekać, kiedy przybędzie do Reno jako specjalny gość Marilyn Monroe.

Ale zwróciła bilet lotniczy i odbyła podróż linią autobusową.

W hotelu Zephyr w ciągu trzech dni nabije rachunek w wysokości ponad trzystu dolarów, przeważnie za alkohol- Zapłami dywan, powypala dziury niedopałkami; zaśnie w wannie z odkręconą wodą, zaleje podłogę w swoim pokoju i pokój piętro niżej.

(Za te szkody zapłaci Norma Jeane.) Zastawi złoty zegarek marki Bulova, który Norma Jeane podaruje jej pod wpływem impulsu, zdjawszy go z własnego nadgarstka.

(Prezent od Z z inskrypcją Dla mojej SugarKane).

Zastawi kilka przedmiotów zabranych z hotelowego pokoju, w tym mosiężną lampę w kształcie konia stojącego dęba, przeszmurowaną w zasłonce spod prysznic.

Straci w kasynach studolarową pulę, w którą zaopatrzy ją Norma Jeane.

Nie przyjdzie na plan Skłucanych z życiem ani razu.

Pocałuje Normę Jeane namiętnie w usta na oczach jej męża dramaturga, który sam będzie nieco pijany albo będzie takiego udawał.

Zostawi tę małżeńską parę w restauracji w Reno podczas obiadu i następnego dnia rano zostanie aresztowana w barze przy kasynie za zakłócanie porządku oraz zranienie nożem krupiera rozdającego karty do gry w oczko i ochroniarza; zamkną ją w areszcie pod kilkoma zarzutami, w tym za czynną

napaść z użyciem szczególnie niebezpiecznego narzędzia, aż Marilyn Monroe - ktoś inny (w "National Enquirer" opublikują sensacyjną wiadomość i duże zdjęcie przedstawiające oszołomioną Marilyn w ciemnych okularach, z rozmazaną szminką, usiłującą zastonić oczy przed błyskami fleszy) - przyjdzie złożyć tysiąc dolarową kaucję.

Wkrótce potem Fleece zniknie z Reno, prawdopodobnie tą samą linią autobusową, którą przyjechała, zostawiwszy pod drzwiami pokoju Normy Jeane zapisaną kartkę.

DROGA MYSZKO ŻYJ NAM WIECZNIE JAKO MARILYN!

FLEECE KOCHA CIĘ

Mąż w separacji.

Usłyszał drapanie do drzwi.

W nocy.

Byli w różnych pomieszczeniach apartamentu, on na sofie, ona w sypialni, nie zmrużywszy oka, popijała Dom Perignon, czytała, zapisywała drżącą ręką w dzienniku:

Między nami, niebem i piekłem jest tylko życie, najbardziej krucha rzecz na świecie, póki obraz przed jej oczami nie stał się zbyt rozmazany; później będzie chciała zejść z łóżka, ale łóżko okaże się wysokie, jej nogi słabe;

zatem będzie musiała jak dziecko podpełznąć do drzwi, ale jak się okaże nie będą to właściwe drzwi, nie drzwi do łazienki; znajdzie ją nagą (zawsze spała nago), pojękującą, drapiącą paznokciami w drewno; ku swemu przerażeniu i obrzydzeniu odkryje, że zanieczyściła siebie i dywan.

Nie po raz pierwszy zresztą.

Być może wszystko, co się naprawdę w życiu liczy, jest dopiero przede mną

Tym razem na wyprawę po barach i kasynach Marilyn poszła z nami sama.

W Horseshoe Casino przy stoliku do gry w kości siedział H; przywołał nas do siebie.

H był namiętym graczem, więc nie tyle bał się przegranej, ile wypadnięcia z gry, konieczności opuszczenia kasyna i samotnego powrotu do hotelu.

H sporo już wypił i zdążył wpaść w rzewny nastrój - zdjęcia w plenerze do Skłóconych z życiem miały potrwać jeszcze tylko około tygodnia, a on powtarzał sobie, że ten film może być albo arcydziełem, albo całkowitą klapą.

H podniósł do ust dłoń Marilyn i pocałował ją.

Co za para!

Na planie zażarcie ze sobą walczyli, a teraz żaden z nas nie mógł sobie przypomnieć, czyje było tego dnia na wierzchu, kto komu winien był przeprosiny albo czy może choć raz wypadło po równo.

H był parę setek do przodu po grze w kości, więc dał Monroe pięćdziesiąt dolców, Monroe powiedziała tym swoim dziecięcym głosem, że w ogóle nie gra, bo zawsze przegrywa, wie, że większe szansę są po stronie krupiera, wtedy H jej przerwał, jak to reżyser - nawet nie zauważył, że jest opryskliwy: "Kochanie, po prostu rzuć tymi pieprzonymi kośćmi".

Monroe za chichotała cicho, nerwowo, piskliwie, jak gdyby od tego pojedynczego rzutu kośćmi zależało jej życie, rzuciła i wygrała; trzeba jej było wyjaśnić, dlaczego wygrała (ta gra jest dość zawiła); Monroe uśmiechnęła się do ludzi, którzy zaczęli bić jej brawo, ale powiedziała H, że chce przestać, póki wygrywa, bo jeśli spróbuje znowu, na pewno przegra; H spojrzął na nią zdziwiony: "Kochanie, to do Marilyn niepodobne.

Nie do Marilyn, którą znam.

Przecież dopiero zaczynamy poznawać, na czym polega duch tej żalosnej gry".

Monroe wyglądała na wystraszoną.

(Mnóstwo ludzi się gapiło, niektórzy pstrykali zdjęcia, ale nie tych ludzi się bała.

Wgapieni w nią nieznajomi szepczący między sobą To jest Marilyn Monroe!

sprawiali, że czuła się bezpieczna, chroniona.) Odparła: "Co?

Pan gra, póki nie przegra?

Nie podoba mi się to".

A na to H: "Zgadza się, kochanie.

Grasz do momentu, gdy nie masz już nic do stracenia".

Oto, co robili wówczas oboje, ta para, tej nocy, w Horseshoe Casino, Reno, Nevada, na tydzień przed zakończeniem zdjęć.

Mąż w separacji.

Wypowie te słowa, pozwoli - zrozpaczony, dlatego niebaczny - żeby je cytowano: "Dałem jej Skłóconych zżyciem, a ona i tak ode mnie odeszła, kocham ją i nic nie rozumiem".

Bajka.

Kręcisz filmy i o niektórych zapominasz już wówczas, kiedy je kręcisz, nie chcesz nawet oglądać zdjęć przed montażem; są też filmy takie, które bardzo cię niepokoją, nigdy ich nie zapomnisz, będziesz je oglądał mnóstwo razy, pokochasz je i przekonasz sam siebie, że w przeszłości podobała ci się każda godzina poświęcona ich tworzeniu - tak jak u progu śmierci mógłbyś siebie przekonywać, że cieszyła cię każda godzina twego tajemniczego życia.

Zatem pokochaliśmy bajkowych Skłóconych zżyciem.

Pokochaliśmy kochających się Monroe i Gablea.

Jasnowłosa Księżniczka i Ciemnowłosa Księżę przechadzali się w pustynnym mroku, szepcząc i śmiejąc się.

Monroe trzymała się mocno ramienia Gablea.

Była śmiałą, małą dziewczynką, przytulała się do niego.

On dobiegał sześćdziesiątki, ale okazał się twardy.

Miał szeroką, dużą twarz, poprzecinaną zmarszczkami i pełną występów niczym zwietrzała skała.

Cienki wąsik.

Figlarny uśmiech.

Myśleliście, że Gable jest nie z tego świata?

Że Gable nie może umrzeć jak każdy z nas, na atak serca po upływie kilku tygodni?

Monroe wkroczyła w trzydziesty piąty rok życia, rozumiałeś, że już nigdy nie będzie Tą Dziewczyną, jej włosy wydawały się przedwcześnie siwe, poprzetykane białymi pasemkami; jej oczy były nadal piękne, bez przerwy łzawiły, sprawiały wrażenie nieco rozbieganych (tego kamera nie ujawniła;

kamera zawsze była Marilyn życzliwa), jakby w trakcie rozmowy z tobą Monroe w ogóle cię nie dostrzegała, jakbyś dla niej nie istniał, niczym we śnie, w którym poszczególne obrazy nakładają się na inne, blakną, giną, nie zaznaczając się w pamięci; a jednak przez większość czasu Monroe mogła udzielać spójnych odpowiedzi, często odgrywała dowcipną, pogodną Marilyn, abyś się zwyczajnie uśmiechnął.

W tej scenie Jasnowłosa Księżniczka, w koszuli, spodniach i butach, oraz Ciemnowłosa Księżę, w kowbojskim ubraniu i kapeluszu, spacerowali wśród wonnej bylicy.

Noc była jasna, bezchmurna.

Muzyka filmowa wyciszona, prawie jej nie słyszysz.

W oddali widzisz łunę nad Reno niczym jakąś dziwną, podwodną poświatę.

- Zabawne, jak kończymy!

- mówiła ona.

- Kochanie, daj spokój - on na to.

-Jeszcze dużo ci zostało do końca.

- Chodzi mi o to miejsce.

Pustynię Nevada, panie Gable...

- Czy nie mówiłem, żebyś nazywała mnie "Clark", Marilyn.

Ile to już razy?

- C...Clark!

Kiedy moja matka była małą dziewczynką, lubiła udawać, że jesteś moim ojcem - powiedziała z przejęciem i uświadomiła sobie, że się przejęczyła.

- To znaczy, kiedy ja byłam małą dziewczynką, matka udawała, że jesteś moim ojcem.

Gable parsknął śmiechem, który wydawał się szczery.

- Tak dawno temu!

- powiedział.

- Wcale nie - zaprotestowała, ciągnąc go za ramię.

- Małą dziewczynką byłam całkiem niedawno, Clark.

Dobrodusznie przyznał:

- Do licha, Marilyn, jestem starym człowiekiem.

Wiesz o tym dobrze.

- Och, panie G...Gable, pan nigdy nie będzie stary.

Inni przychodzą i od chodzą.

Ja jestem tylko blondynką.

Na świecie istnieje mnóstwo blondynek.

Ale pan, panie Gable, pan będzie wieczny.

Mówiła błagalnym tonem, więc Clark Gable jako dżentelmen nie wdał się w spór.

- Kochanie, jeśli tak mówisz.

Kilka wcześniejszych ataków serca dostatecznie wyraźnie przypomniało mu, że jest śmiertelny, ale nie protestował tak jak inni przeciwko opóźnieniom w kręceniu filmu i ciągłemu napięciu, wywoływanemu nieprzewidywalnym zachowaniem Monroe.

Ona nie jest zdrowa.

Byłaby zdrowa, gdyby to od niej zależało.

Nie będzie narzekał na pracę w skrajnie wysokich temperaturach i jako Gay Langland zdecyduje się na osobisty udział w niebezpiecznych scenach; pewnego razu samochód będzie go włókł przypadkowo za sobą, jadąc z szybkością trzydziestu pięciu mil na godzinę.

Och, Gable doskonale wiedział, że jest śmiertelny!

Ale miał młodą żonę w ciąży.

Czyż to nie oznaczało, że będzie żył jeszcze wiele lat, aby zobaczyć, jak dorasta jego dziecko?

Będzie żył, w starym Hollywood.

Bajka.

Blondwłosa Aktorka sama zacznie wierzyć w tę bajkę, którą pewien mężczyzna napisał z miłości dla niej.

Uwierz nie tyle w to, że promienna Roslyn może uratować stado dzikich mustangów, ile raczej, że dzikie mustangi można ocalić.

Konie, sześć spośród wielu setek, i jeden źrebak.

Źrebak galopujący niespokojnie przy matce.

Schwytane na lasso, spętane przez zdesperowanych mężczyzn konie mogą uniknąć śmierci.

Uniknąć rzeźnickiego noża i przerobienia na konserwy dla psów.

To nie romans o Dzikim Zachodzie ani nawet o męskich ideałach i odwadze, tylko melancholijny "realizm", drażniący oczy amerykańskiej publiczności!

Roslyn samotnie uwolni mustangi, ogarnięta długo narastającą furią.

Roslyn samotnie pobiegnie na pustynię, działając zgodnie z planem obmyślonym starannie przez nią i reżysera, który pozwolił jej wyrazić, jak mogła najgłośniejszą, złość na męskie okrucieństwo.

("Ale nie życzę sobie zbliżeń.

Nie w chwili, kiedy krzyczę".) Będzie wrzeszczała do mężczyzn: Kłamcy!

Mordercy!

Dlaczego siebie nie zabijecie?

Będzie wrzeszczała w pustynną próżnię, aż zedrze sobie gardło.

Aż wewnątrz podrażnionych ust odezwie się pulsujący ból.

Aż więcej żyłek pęknie w jej napiętych oczach.

Aż serce będzie się tłukło w jej piersi tak szybko, że niemal pęknie.

Nienawidzę was.

Dlaczego wy nie umrzecie?

"być może krzyczała na tych wszystkich mężczyzn swego życia, których twarze zachowała w pamięci, albo może krzyczała na owych mężczyzn bez twarzy, składających się na szeroki świat poza granicami purpurowego aksamitnego tła i oślepiającego światła fotograficznych reflektorów.

Może krzyczała na H, który nie uległ jej urokom.

Może krzyczała do lustra.

Powiedziała doktorowi Fellowi, że tego dnia nie będzie potrzebowała żadnych lekarstw (mimo utrzymujących się po nocy skutków otępieńczego działania fenobarbitalu); ogarnięta litością, przerażeniem, wściekłością na widok spętanych koni, nie potrzebowała dodatkowego pobudzenia.

Wierzyła, że już nigdy nie będzie potrzebowała żadnych lekarstw.

Co za siła!

jaka radość!

Wróci do Hollywood sama, kupi dom, swój pierwszy dom i zamieszka w nim samotnie, będzie robiła tylko to, na co jej przyjdzie ochota; będzie wielką aktorką, którą miała obecnie szansę zostać; już nigdy nie da się oszukiwać mężczyznom; już zawsze będzie tylko sobą.

Blondwłosa Aktorka wyrażała gniew, wściekłość.

Nareszcie.

Tylko że (wszyscy świadkowie potwierdzą) nie był to symulowany gniew, wściekłość, lecz najprawdziwsza pasja, wstrząsająca ciałem tej kobiety niczym prąd elektryczny.

"Kłamcy!

Mordercy!

Nienawidzę was".

Harmonogram wydłużony o kilka tygodni.

Budżet przekroczony o setki tysięcy dolarów.

Najdroższy czarno-biały film fabularny, jaki kiedykolwiek nakręcono.

"To wszystko zawdzięczamy naszej Marilyn.

Wielkie dzięki".

Tym razem film Monroe nie będzie miał wystawnej premiery.

Iście królewska kawalkada samochodów nie przetoczy się po Hollywood Boulevard, mijając tysiące wrzeszczących wielbicieli.

Nie odbędzie się uroczysta gala w Egyptian Theatre.

Dom Perignon nie spieni się zanadto i nie zwilży nagich ramion Blondwłosej Aktorki.

Kiedy film wejdzie do rozpowszechniania, Clarka Gablea od kilku miesięcy nie będzie już na tym świecie.

Mniej więcej tyle samo czasu upłynie od rozvodu Marilyn.

Skłóceni z życiem będą finansową klapą.

Film źle przyjęła Wytwórnia, która go wyprodukowała, ale autorzy wyważonych, inteligentnych recenzji docenią kreacje Gablea, Monroe i Clifta.

Film przypadnie jako "artystyczny".

Konsekwentnie spójny.

Postacie przypominały załamanych psychicznie aktorów, którzy je grali.

Niby znajome twarze, ale jakby nieznajome.

Patrzyłeś na

Roslyn 1961

713

Gaya Langlanda i myślałeś: Czy to nie jest przypadkiem Clark Gable? Patrzyłeś na blondwłosą Roslyn i myślałeś: Czy to nie jest przypadkiem Marilyn Monroe?

Patrzyłeś na kowboja z rodeo Percea Howlanda i myślałeś: Mój Boże!

Przecież to dawny Montgomery Clift.

Byli to ludzie, których znałeś jako dziecko.

Gay Langland był twoim wujkiem; Roslyn Tabor była przyjaciółką twojej matki, rozwódką z małego miasteczka.

Prowincjonalna posępność i utracony blask.

Możliwe, że twój ojciec kochał się w Roslyn Tabor!

Kto wie?

Mistrz rodeo był chudym włóczęgą, miał smutne oczy i zniszczoną twarz.

Widywałeś go wczesnym wieczorem za przystankiem autobusowym, gdzie palił papierosa i zerkał od czasu do czasu w twoim kierunku.

Hej, czy my się znamy?

Byli to zwyczajni Amerykanie z lat pięćdziesiątych, może trochę owiani tajemnicą, bo znałeś ich od dawna, znałeś ich w czasach, gdy świat był tajemniczy; nawet twoja twarz widziana w lustrze - na przykład wbudowanym w automat z papierosami przy tym samym przystanku autobusowym albo

wiszącym nad zlewem w toalecie i spryskanym wodą - także była tajemnicą, która nigdy nie zostanie wyjaśniona.

Mieszkając w domu na 12305 Fifth Helena Drive w Brentwood, Norma Jeane uświadomi sobie pewnego dnia: "Ta Roslyn była całym moim życiem".

KLUB ZUMA

Hej? Co takiego?

Ze zdumieniem dostrzega Magiczną Przyjaciółkę na scenie, tańczącą przed lustrami.

Pośród błyskających, wirujących świateł.

Chcę, byś mnie kochał.

MARILYN MONROE w białej letniej sukience bez ramion i szyi.

Wiruje plisowana spódnica, widać białe majteczki spod materiału uniesionego podmuchem powietrza.

Publiczność wyje.

Marilyn rozchyła nogi, z radosnym piskiem wygina się, tłum gwizdże, wiwatuje, dudni pięściami i stopami we mgle błękitnego dymu; rozbrzmiewa ogłuszająca muzyka.

Och, dlaczego mnie tu przyprowadzili?

Nie chcę tu być.

Połyskujące platynowe włosy podskakują na głowie tancerki.

Sobowtór MARILYN MONROE, tyle że jej biała jak u klauna twarz jest bardziej pociągła, szczęka bardziej wystająca i nos większy.

Ale czerwone, soczyste usta i ocienione na niebiesko oczy mienią się jak kryształ górski.

Duże piersi.

Tancerka zaczyna krążyć, stąpać, podrygiwać na wysokich obcasach, kręcić dużymi cyckami i tyłkiem.

Mari-lyn!

Mari-lyn!

Tłum ją uwielbia.

Och, proszę, nie powinniście tego robić.

Jesteśmy czymś więcej niż śmiechu godnym mięsem.

Ten wieczór pachnie jaśminem i wodą kolońską Jockey Club; Norma Jeane kuli się; ma ciemne okulary, zakrywający włosy biały jedwabny turban, białe jedwabne spodnie i męską marynarkę w paski, należącą do Carla.

Och, dlaczego on to zrobił.

Dlaczego mnie tu przyprowadził?

Myślałam, że mnie kocha.

Tancerka zna się na rzeczy, nadaje swemu samiczemu ciału przyspieszony rytm kopulacji.

Jej biodra są niczym hydrauliczny młot.

Wilgotny koniuszek języka między zębami.

Sapanie, dyszenie, jęki.

Pieści duże, podskakujące piersi.

Publiczność za tym przepada!

Nie ma dość!

Och, dlaczego?

Dlaczego się z nas śmieją. Tancerka ma w sobie kokę po same dziurki w nosie, widać jej białe gałki oczne, pot błyszczący na piersi, który żłobi w makijażu korytarze przypominające odsłonięte nerwy.

Poddaje się ryt mowi!

Tłum jest nienasycony.

Wielkie rżnięcie.

Rytm rozwija się, porywa.

Tancerka w lustrach ściąga sięgające łokci rękawiczki, ciska je w rozgorączkowany tłum.

Chcę, byś mnie kochał, mnie kochał, nikt inny, tylko ty.

Zdejmuje pończochy i je także rzuca w tłum.

Zdejmuje górę sukienki - OoooooA!

- tłum w klubie Zuma ogarnia całkowite szaleństwo.

Klub Zuma tonie w niebieskawej, papierosowej mgle.

To marokańskie papierosy Carla.

Carlo śmieje się jak cała reszta.

Tancerka krąży w spiralach dymu przy dźwiękach ogłuszającej muzyki, trzyma w dłoniach piersi, podrygujące jak guma piankowa; neonowe, różowe sutki są wielkości winogron, po chwili plisowana spódnica zostaje zerwana i odrzucona; tancerka trzęsie pulchnym tyłkiem, odwraca się do rozwrzeszczanej publiczności, pochyla się i rozwiera po śladki - Oooooohf- publiczność wyje i stęka; teraz nagość tancerki podkreśla warstwa oleistobiałego potu na krostowatych plecach - wreszcie striptizerka odwraca się, by triumfalnie pokazać publiczności długi, smukły penis przyklejony taśmą w kolorze skóry do wygolonego podbrzusza, i tę taśmę zrywa ze słowami chcę, byś mnie kochał, mnie

kochał, mnie kochał i teraz tłum w klubie Zuma naprawdę oszalał, wrzeszcząc do tancerza z penisem
w północy

MARI-LYN!

MARI-LYN!

MARI-LYN!

ROZWÓD (DUBEL)

Jeśli rola została dopracowana we wszystkich szczegółach (...), to aktor zawsze odegra ją właściwie, nawet jeśli zabraknie mu natchnienia.

Michaił Czechow, O technice aktora

- Przepraszam.

Wybaczcie!

N...nie mogę powiedzieć nic więcej.

W tej migawce znanej jako "Rozwodowa konferencja prasowa", Blondwłosa Aktorka, ubrana ze smakiem w czerń, jest blada jak gejsza.

Wydaje się bardziej blada niż otaczający ją ludzie, jak Cherie w Przystanku autobusowym, jak manekin lub klaun.

Usta ma podkreślone purpurowoczerwoną obwódka, aby wydawały się większe, pełniejsze.

Oczy, chyba zaczerwienione od płaczu, zostały starannie podmalowane błękitnym cieniem i ciemnobrązowym tuszem do rzęs pasującym do brwi.

Włosy platynowoblond jak zwykle bardzo błyszczą.

To MARILYN MONROE, ale też zraniona, zagubiona kobieta.

Wydaje się wzburzona i jednocześnie chętna do ugody.

Jak by pragnęła powiedzieć coś ważnego, aby mogły ją nagrać dziesiątki dziennikarzy, ale zapomniała tekstu.

Zapomniała, kim jest: MARILYN MONROE.

Miała na sobie elegancki czarny kostium ze zrobionym na drutach przejrzystym szalikiem wokół szyi, na nogach ciemne pończochy i czarne buty na wysokim obcasie.

Żadnej biżuterii.

Żadnych pierścionków: podejrzane, nie miała na dłoniach pierścionków.

(Tak: wrzuciła obrączkę do rzeki Truckee w Reno, jak rozwódka Roslyn Tabor.

Zgodnie ze starym, szacownym obyczajem Reno!)

Poruszający jest widok Marilyn, która wydaje się krucha i wcale nie obdarzona dużym biustem; zgromadzonych dziennikarzy poinformowano, że w ostatnim czasie aktorka straciła na wadze przynajmniej dziesięć funtów.

"Przeżywa kryzys psychiczny", którego przyczyną jest po pierwsze, rozwód w Meksyku, po czterech latach małżeństwa, z mężem dramaturgiem, po drugie zaś "tragiczna śmierć" przyjaciela i ekranowego partnera, Clarka Gablea.

Jak wdowa.

Chciałaś, aby ci cynicy odnieśli wrażenie, że widzą wdowę, która przeżywa nieopisaną stratę, nie rozwódkę oddychającą z ulgą po zrzuceniu jarzma martwego małżeństwa.

Choć potrafi wyjąkać mniej lub bardziej spójne odpowiedzi na pytania do tyczące Clarka Gablea - jak zażyte stosunki ich łączyły, co może powiedzieć na temat wysuwanych przez wdowę po aktorze oskarżeń, że MARILYN MONROE bezpośrednio odpowiada za atak serca Gablea, bo przedłużała i komplikowała realizację Skłóconych z życiem, wywoływała stres itd.

- ale nie chce rozmawiać o byłym mężu.

O żadnym ze swoich byłych mężów.

O Dramaturgu i Eks-Sportowcu.

Wspomni tylko szeptem tak słabym, że jej słowa będzie musiał powtórzyć adwokat zaangażowany do sprawy rozwodowej, na którego ramieniu się wspierała, iż "bezgranicznie ich szanuje".

Bądź naturalna.

Mów to, co czujesz.

Jeśli niczego nie czujesz, mów to, co, jak sądzisz, czułabyś, gdybyś nie zażyła demerolu.

- Są w...wspaniałymi ludźmi, wspaniałymi Amerykanami.

Szanuję ich jako mężczyzn cieszących się zasłużoną sławą, mężczyzn wybitnych w swoich dziedzinach, choć jako kobieta n...nie mogłam być dłużej ich żoną.

- Za czyną płakać.

Ściska w dłoni białą chusteczkę do nosa, podnosi ją do oczu.

Pewna siebie reporterka z jakiegoś brukowca ośmiela się zapytać, czy MARILYN MONROE ma wrażenie, że "poniosła porażkę jako żona, kobieta, matka"; wywołuje westchnienie oburzenia na taką bezczelność (choć przecież wszyscy pragnęli o to zapytać!);

marszczy brwi adwokat Blondwłosej Aktorki, marszczy brwi rzecznik prasowy Wytwórni, najwidoczniej Blondwłosa Aktorka nie musi odpowiadać na podobne pytania; ale śmiało, podniósłszy zasmucony wzrok na dziennikarkę, odpowiada:

- Całe życie s...starłam się nie popełnić błędu.

Tak, bardzo się starałam!

Zależało mi, aby ktoś mnie zabrał z sierocińca i adoptował.

Z domu dziecka przy El Centro Avenue.

Staralam się być najlepsza na zajęciach sportowych w szkole średniej.

Staralam się być dobrą żoną dla mojego pierwszego męża, który mnie zostawił, gdy miałam siedemnaście lat.

Bardzo się starałam być dobrą aktorką, nie tylko kolejną blondynką.

Och, wiecie przecież, że się starałam, prawda?

Marilyn Monroe była dziewczyną z rozkładówek, p...pamiętacie, że pozowałam do kalendarza, miałam wtedy dziewiętnaście lat, za Miss Złote Marzenia zapłacono mi pięćdziesiąt dolarów, i to później niemal zrujnowało moją karierę, podobno nie było nigdy lepiej sprzedającego się kalendarza, a modelka otrzymała mizerne pięćdziesiąt dolarów, wtedy, w 1949 roku, ale ja nie czuję ż...żału.

Jestem chyba zdenerwowana, ale ż...żału nie czuję, nie czuję złości...

Och, pan Gable zmarł, a Marilyn Monroe również o to jest obwiniana!

Chociaż kochałam go...

jako przyjaciela, chociaż miał już wcześniej ataki serca, och, bardzo mi go brakuje, brakuje mi go bardziej niż mojego małżeństwa...

moich małżeństw...

Dosyć.

Zależy nam na nastroju elegijnym, nie melodramatycznym.

Tragedia przywodzi na myśl grecką klasykę: krwawe jatki rozgrywają się poza sceną, widoczne są jedynie odbicia.

Przepraszam.

Wybaczcie.

N...nie mogę powiedzieć nic więcej.

Naprawdę płacze.

Zasłania twarz.

Lampy aparatów fotograficznych błyskały ustawicznie podczas konferencji prasowej, teraz jednocześnie błyskają ich dziesiątki - coś jak miniaturowa bomba atomowa.

Dwóch mężczyzn eskortuje Blondwłosą Aktorkę w drodze do limuzyny ("Rozwodowa konferencja prasowa" odbyła się na trawniku w Beverly Hills, przed rezydencją, w której Blondwłosa Aktorka teraz mieszka, dzięki uprzejmości jej agenta Holyroda, Z albo jakiegoś "miłośnika filmów Marilyn"), a zebrani, rozczarowani zdawkowością konferencji, ruszają bez opamiętania naprzód jak wściekłe psy: sfora dziennikarzy, felietonistów, radiowców, fotografów, ekip telewizyjnych, ich ilość znacznie

przekracza szczupłe grono osób specjalnie zaproszonych na tę wyjątkową okazję; słychać rozgorączkowane głosy: "Pani Monroe, jeszcze jedno pytanie!

" "Marilyn, poczekaj!

" "Marilyn, powiedz naszym słuchaczom przed odbiornikami: czy następny będzie Marlon Brando?

" - i choć kilku ochroniarzy z Wytwórni próbuje powstrzymać tłum, jednemu sprytnemu dziennikarzowi o uszach satyra i wyglądzie Włocha udaje się prześlizgnąć pod ramieniem prawnika i z taką siłą machnąć mikrofonem w kierunku twarzy Blondwłosej Aktorki, że trafia ją w usta (ukruszony przedni siekacz!

- do naprawienia przez dentystę Wytwórni), krzyżąc przy tym fatalną angielszczyzną: "Marilyn?

Czy prawda, że już wielokrotnie próbowała samobójstwo?"

Inny zuchwały osobnik, dziennikarz najwyraźniej bez uczciwych zamiarów, silny, błyszczący od potu, o sterczących włosach i twarzy, która na taśmie filmowej będzie wyglądać jak ugotowana, przedziera się w stronę wystraszonej Blondwłosej Aktorki i daje jej kopertę zaadresowaną czerwonym atramentem: PANI MARILYN MONROE, i ozdobioną walentynkowymi serduszkami.

W końcu Blondwłosa Aktorka jest już w limuzynie.

Zamykają się tylne drzwi.

Szyby są ciemne.

Nie da się przez nie zajrzeć do środka.

Towarzyszący jej mężczyźni przemawiają zdecydowanie do tłumy: "Dajcie dziewczynie odetchnąć, dobrze?

Nie widzicie, że cierpi?",

po czym wskakują do limuzyny, która odjeżdża, z początku powoli, bo fotoreporterzy blokują ulicę, potem szybciej, i już jej nie ma.

Tłum nadal domaga się uwagi, nadal błyskają flesze, wreszcie film się kończy.

R... rozwiodłam się?

Już po wszystkim?

Marilyn, rozwiedliście się przed tygodniem.

Nie pamiętasz?

W Meksyku.

Razem tam poleciliśmy.

- Och, rozumiem.

Zatem już po wszystkim?

Po wszystkim, kochanie.

Na razie.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem, jakby Blondwłosa Aktorka wypowiedziała jakąś bardzo zabawną kwestię.

Siedzieli z tyłu pędzącej limuzyny, ukryci za ciemnymi szybami.

Z dala od obiektywów kamer i aparatów fotograficznych.

Prawdopodobnie to wszystko działo się naprawdę, ale nie wydawało się realne.

Wcale nie było teraz łatwiej oddychać ani nie widziało się wyraźniej.

Bolały ją przednie zęby, uderzone jakimś twardym przedmiotem, ale powiedziała sobie, że to był wypadek, reporter nie chciał zrobić jej krzywdy.

Adwokat - nie mogła w tej chwili sobie przypomnieć, jak się nazywa - i specjalista Wytwórni od public relations, Roifo Freund, pogratulowali jej; wypadła naprawdę doskonale w stresującej sytuacji.

To było moje prawdziwe życie.

Lecz tak, oczywiście, również przedstawienie.

Przepraszam?

Czy już jestem r...

rozwidziona?

Poznała po wyrazie ich twarzy, że już o to pytała i że zna odpowiedź.

- Pytam o to, czy będę musiała podpisywać jeszcze jakieś papiery?

Zawsze było wiele dokumentów do podpisania.

W obecności notariusza.

MARILYN MONROE podpisywała podobne dokumenty, odwracając wzrok.

Lepiej nic nie wiedzieć!

Siedziała w pędzącej limuzynie, która była czymś w rodzaju Wehikułu Czasu.

Już zapomniała, gdzie przed chwilą była.

Nie miała pojęcia, dokąd ją zabierają.

Niewykluczone, że chodziło o jakąś promocję Skłóconych z życiem.

Roifo Freund to tak naprawdę Otto Osę, być może nadal fotografuje dziewczynki?

Była zbyt zmęczona, aby to wszystko jakoś uporządkować.

Sięgnęła po omacku do torebki po tabletkę benzedryny, chciała dojść do siebie, jednakże nie znalazła ani jednej.

Albo jej palce były zbyt niezgrabne.

Och, brakowało jej doktora Fella, teraz, gdy odszedł z jej życia!

(Doktor Fell, lekarz Wytwórni, nagle zniknął.

Lekarz, który go zastąpił, przypominał Mickeya Rooneya.

W Hollywood krążyła plotka, że podobno doktora Fella znaleziono martwego w jego własnym domu bungalowu w Topanga Canyon siedział na sedesie, miał spodnie opuszczone do kostek i strzykawkę w pokłutym ramieniu; w niektórych wersjach opowieści umarł po przedawkowaniu morfiny, w innych wersjach po przedawkowaniu heroiny.

Tragiczny koniec jak na lekarza, który przypominał zdrowego jak ryba Caryego Granta!

)

Trzymała w ręku walentynkową kopertę.

Od miesięcy czekała niecierpliwie na kolejny list od ojca, ale akurat ten na niego nie wyglądał.

-Jestem taka samotna.

Nie rozumiem, dlaczego jestem taka samotna, skoro kocham tak wielu ludzi.

Kochałam dziewczęta w sierocińcu, moje siostry!

... jedyne przyjaciółki.

Straciłam je.

Matka zdaje się mnie ledwie poznawać.

Ojciec wprawdzie pisze, ale trzyma się z daleka.

Jestem trędowata, wyklęta?

Jakieś ze mnie straszycie?

Kocham zwierzęta, zwłaszcza konie.

Pomagam pewnym ludziom w Reno stworzyć fundusz ochrony dzikich mustangów, żyjących na południowym zachodzie.

Szkoda, że zwierzęta muszą umierać.

Chyba że śmiercią naturalną!

Jeden z mężczyzn odchrząknął i rzekł:

-Już po wywiadzie.

Spróbuj się odprężyć, Marilyn.

Starła się wytłumaczyć, jak niesłuszne, jak niesprawiedliwe było obarczanie jej winą za śmierć Clarka Gablea.

- Kochałam go.

Tak bardzo!

Nigdy żadnego mężczyzny nie podziwiałam tak jak jego.

Moja m...matka, Gladys Mortensen, знаła pana Gablea dawno temu, kiedy oboje byli młodzi, dopiero co przyjechali do Hollywood.

Kolejny raz usłyszała:

-Już po wywiadzie, Marilyn.

Powiedziała, jakby o coś błagała:

- To tajemnica, dlaczego miłość wciąż się psuje.

Nie ja wymyśliłam tę tajemnicę, prawda?

Dlaczego mnie się obwinia?

Wiem, że należy rzucać kośćmi, póki nie straci się wszystkiego.

Ludzie oczekują, że będziesz dzielna, będziesz wygrywać.

Postaram się.

Następnym razem będę lepszą aktorką, obiecuję.

Fascynowała ich ta sławna aktorka.

Z bliska jej twarz była twarzą niewinnej dziewczyny pod skorupą teatralnego makijażu.

Podobny makijaż jest idealny do zdjęć, ale drażni nieuzbrojone oko.

Mężczyźni zauważyli, jak kurczowo ścisną walentynkową kopertę, tak jakby przesłanie od anonimowego wielbiciela, deklaracja miłości ze strony nieznanego, mogło ocalić jej życie.

- Proszę, nie gapcie się na mnie!

Nie jestem dziwolągiem.

Nie obchodzi mnie, że zostanę zapamiętana jako przedmiot anegdot.

I nie chcę już podpisywać kolejnych dokumentów.

Z wyjątkiem papierów dotyczących funduszu powierniczego mojej matki.

Aby miała środki na utrzymanie w Lakewood, gdy mnie już...

Zamilkła zmieszana: co chciała powiedzieć?

- Gdyby przydarzyło mi się coś nieoczekiwanego.

- Roześmiała się.

- Albo oczekiwanego.

Obaj mężczyźni szybko zaprotestowali.

Nie powinna mówić takich rzeczy.

MARILYN MONROE ciągle była młodą kobietą i będzie żyła długo, bardzo długo.

Dziwna sprawa!

Szkoda, że nie mogę komuś o tym powiedzieć.

Roifo Freund, wynajęty przez Wytwórnę rzecznik prasowy i specjalista do spraw promocji, do którego zadań należała opieka nad MARILYN MONROE, to nie był nikt inny, tylko Otto Osę!

Wrócił do niej po ponad dziesięciu latach.

Jednakże ów mężczyzna nie chciał przyznać, że dawniej nazywał się Otto Osę.

Twierdził, że urodził się jako Roifo Freund w Nowym Jorku, przeprowadził do Los Angeles pod koniec lat pięćdziesiątych i był jednym z pierwszych konsultantów do spraw kontaktów z mediami.

W ciągu kilku lat tak szeroko rozwinął skrzydła, że wytwórnie filmowe rywalizowały o jego usługi.

Megagwiazdy (takie jak MARILYN MONROE), które zawsze wplątywały się w sensacyjne wydarzenia i skandale, były skłonne do samodestrukcji, nie mogły się obyć bez kogoś takiego.

Otto Osę, czy też Roifo Freund, był tak wysoki i posępny, jak zapamiętała go Norma Jeane, miał pociągłą, jastrzębią twarz, dziobatą cerę, opadającą lewą powiekę, której zawdzięczał ironiczne spojrzenie, i owe osobliwe blizny na czole, jakby po skaleczeniu cierniami.

Jego korona cierniowa.

Jego, Judasza. Niegdyś czarne włosy wyblakły, przybrały barwę zleżalej wełny i okrywały teraz jego kościstą czaszkę niczym tłusty puch.

Z pewnością już dawno przekroczył pięćdziesiątkę.

Nie tyle się postarzał, ile zakonserwował, stężał.

Patrzył na ciebie tymi swoimi szklistymi, czujnymi oczkami z za beznamiętnej gipsowej maski.

Na zębach miał doskonałe koronki, jak na Hollywood przystało.

Najbrzydszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałam.

A jednak żył!

Roito Freund jeździł butelkowiezielonym jaguarem i nosił drogie, stalowoszare garnitury, szyte na miarę przez (jak się chełpił) "mojego krawca z Bond Street w Londynie".

Owe garnitury tak ciasno opinały jego ciało, że musiał siedzieć sztywny jak ołówek, w postawie doskonale znanej Blondwłosej Aktorce, zaszywanej w ciasne, przypominające kaftan bezpieczeństwa sukienki.

Kiedy ich sobie przedstawiono, była bystrą Normą Jeane, nie rozkosznie krótkowzroczną i zatopioną w sobie Blondwłosą Aktorką; na tychmiast rozpoznała Ottona Osę, chociaż zapuścił kozią bródkę, na nosie miał okulary w stalowych, wysadzanych bursztynami oprawkach, a na sobie jeden z uszytych na miarę garniturów.

Zdumiona wytrzeszczyła oczy na tego mężczyznę.

Wyjąkała:

- Czy my się nie znamy?

Otto Osę?

Jestem Norma Jeane, pamiętasz?

Roito Freund, jak każdy doświadczony kłamca albo aktor, przyjął tę uwagę ze spokojem.

Nie należał do ludzi, którzy tracą kontrolę nad sytuacją.

Uśmiechnął się uprzejmie do wyraźnie zmieszanej kobiety.

- Oż?

Przykro mi, ale chyba nie znam żadnego Oza.

Musiała mnie pani z kimś pomylić, pani Monroe.

Norma Jeane roześmiała się.

-Och, Otto, daj spokój.

Nie mów do mnie "pani Monroe".

Znasz mnie.

Nazywam się Norma Jeane.

Jesteś fotografem, który zrobił mi zdjęcie do "Stars Stripes" i stworzył Miss Złote Marzenia.

Zapłaciłeś mi pięćdziesiąt dolarów!

Nie zmieniłeś się do tego stopnia, żebym cię nie mogła rozpoznać.

Musiałyby ci się przydarzyć coś więcej niż śmierć, wtedy może bym cię nie poznała.

- Otto Osę, czy też Roiło Freund, roześmiał się w głos, jakby Blondwłosa Aktorka rzuciła jedno ze swoich dowcipnych powiedzonek.

Powtórzyła błagalnym tonem: - Proszę, Otto.

Na pewno pamiętasz.

Wtedy byłam panią Glazer, żoną Buckyego Glazera.

Była wojna.

Odkryłeś mnie i zmieniłeś moje ż...życie.

- Zrujnowałeś moje życie, sukinsynu.

Ale Otto Osę alias Roiło Freund, jak uparcie kazał się nazywać, był zbyt sprytny, aby go uwiodła nawet Blondwłosa Aktorka.

Podziwiała go.

Co za charakter!

Był rok 1961 i w Hollywood, tak jak w całych Stanach, nie uchodzili już za zdrajców ludzie, którzy byli Żydami lub na nich wyglądali.

Skończyła się era antysemityzmu napędzanego strachem przed komunizmem; nienawiść do Żydów zesłała do podziemia i została subtelnie przytłumiona, stała się kwestią członkostwa w elitarnych klubach, restrykcji sąsiedzkich, a nie kwestią czarnych list i prześladowania komuchów; Rosenbergowie już dawno zginęli na krześle elektrycznym, a ich martyrologiczny zapach w popiół się obrócił; senator Joe McCarthy, "Attyła prawicy", zmarł i diabli go zaciągnęli prosto do katolickiego piekła, które chciał urządzić dla innych na ziemi.

Otto czy Roiło nie ukrywał żydowskiego pochodzenia; mówił z nowojorskim akcentem, który w uszach Normy Jeane, mieszkającej w Nowym Jorku przez cztery lata, nie brzmiał całkowicie przekonująco.

Gdy jednak byli sam na sam, Otto, czy też nieustraszony Roiło, nie przyznał, że mają wspólne wspomnienia.

Norma Jeane powiedziała:

- Rozumiem.

Otto Osę znalazł się na czarnej liście, więc zmieniłeś nazwisko?

Mężczyzna nadal potrząsał głową, jakby nic nie rozumiał.

- Urodziłem się jako Roiło Freund.

Gdybym miał przy sobie metrykę, tobym ją pani pokazał, pani Monroe.

Zawsze zwracał się do niej "pani Monroe" albo, po pewnym czasie "Marilyn".

Jedno i drugie brzmiało w jego ustach jak kpina.

Ale czy nie oskarżył jej swego czasu o sprzedawanie siebie?

Czy nie przewidywał, że zginie w samotności śmiercią ćpunkki?

Czy nie powiedział, że ciało kobiety jest żartem?

Nie znosił kobiet.

Mimo to zapoznał ją z pismami Schopenhauera, dawał jej do przeczytania "The Daily Worker".

Poznał ją z Cassem Chaplinem, który uczynił z niej na pewien czas szczęśliwą osobę.

- Och, Otto, to znaczy Roifo.

Nie będę cię dręczyć.

Będę Marilyn.

Była pełna uznania dla niego za talent, z jakim zorganizował konferencję prasową dotyczącą rozwodu, za wyreżyserowanie jej w wynajętym domu.

Starannie opracował nie tylko wszystkie poczynania MARILYN MONROE po wyjściu z domu do dziennikarzy, ale także prawnika i własne.

Przeszkoleni zostali nawet ochroniarze.

"Postaramy się nie wpaść w melodramatyczne tony.

Ubierzesz się w czarną płócienną sukienkę.

Właśnie zamówiłem dla ciebie idealny kostium.

Będziesz w nim wyglądała jak wdowa.

Pokażesz się tym cynikom jako wdowa cierpiąca z powodu nieodwracalnej straty, nie jako rozwódka, szczęśliwa, że uwolniła się od martwego małżeństwa".

Roifo Freund wystąpił z tą przemową w biurze Z.

Blondwłosa Aktorka wypłała trochę wódki i roześmiała się swoim nowym śmiechem z głębi trzewi, śmiechem dziewczyny wychowanej na farmie w Karolinie Południowej, która miała w dupie przemysł filmowy, własną urodę i talent.

"Ty to powiedziałaś, Roifo.

Martwe małżeństwo.

Nudne, stare martwe małżeństwo z nudnym, starym i martwym (choć uprzejmym, skromnym i utalentowanym) mężem.

Pomocy!

" Kiedy Blondwłosa Aktorka zaczęła jeden ze swoich riffów, niczym Fred Allen, Groucho Marx, nieżyjący W.

C. Fields, nieco zaszokowani świadkowie wytrzeszczyli na nią oczy.

Roilo Freund i towarzyszący mu mężczyźni roześmiali się nerwowo.

MARILYN MONROE często bywała jedyną kobietą na takich spotkaniach, jeśli nie liczyć sekretarek i "asystentek"; jak sama mówiła, jedyną "rzeczywiście pracującą pochwą"; mężczyźni starali się nie zachęcać jej do włączania się do rozmów, chociaż z pewnością przyglądali się jej uważnie, zapamiętywali i gromadzili anegdoty; czy to prawda, że MARILYN MONROE nigdy nie nosi bielizny?

(prawda!

wystarczy się przyjrzeć!);

że po kilka dni z rzędu w ogóle się nie kąpie?

(prawda!

czuło się jej pot zmieszany z talkiem); ale mężczyźni nigdy nie śmiali się zbyt długo.

Nie wolno prowokować Monroe.

Historyczka może wybuchnąć niemal w każdej chwili.

Podchodź do niej w rękawiczkach.

Nigdy nie zapominaj, że ta śliczna, puszysta kotka ma pazury.

Tamtego popołudnia siedziała na sofie Z; pochylona do przodu, obejmowała rękoma skrzyżowane kolana.

Zachowywała się jak poważna uczennica, czyli gwiazdka związana z Wytwórnią kontraktem.

Mówiła spokojnie.

- Kiedy ja się zgodziłam na "rozwodową konferencję prasową"?

Rozwód nie jest chyba tragedią, najwyżej osobistym smutkiem.

Po czterech latach małżeństwa nie mogę...

- Urwała, usiłując myśleć.

Czego nie może?

Nie może sobie przypomnieć, dlaczego, do diabła, w ogóle wyszła za tego dramaturga?

Za człowieka, który mógł być jej ojcem, a gdy weźmiemy pod uwagę temperament, to może i dziadkiem?

Nie za rubasznego, pogodnego Żyda (jak Max Pearlman, którego podziwiała), ale za Żyda jajogłowego?

Który w ogóle nie był w jej typie?

Nie może przypomnieć sobie jego nazwiska?

Nie mogę zrozumieć, gdzie p...popęniłam błąd.

Jak mam go drugi raz nie popełnić?

Pewien francuski filozof mówi: Serce, instynkt, zasady.

Czy nie powinnam kierować się własnym sercem, własnym instynktem, własnymi zasadami?

Jestem poważnym człowiekiem.

Dlaczego tego nie odwołamy?

Jestem taka smutna i, sama nie wiem, zamknięta w sobie.

Z i pozostali mężczyźni wytrzeszczyli oczy na Blondwłosą Aktorkę, jak gdyby przemówiła językiem demonów, którego ich uszy nie znały.

Roilo rzekł, na pozór pojednawczo: .

Odczuwa pani prawdziwe emocje, pani Monroe.

Dlatego jest pani znakomitą aktorką.

Dlatego ludzie widzą w pani wyolbrzymiony obraz siebie.

To naturalnie złudzenie, ale oczywiście szczęście karmi się złudzeniami!

Żyje pani w naszej amerykańskiej duszy.

Proszę się nie uśmiechać, pani Monroe.

Mówię poważnie.

Mówię mianowicie, że jest pani inteligentną kobietą, wcale nie wyłącznie kobietą uczuć; jest pani artystką i jak wszyscy artyści wie pani, że życie jest materią, z której powstaje sztuka.

Życie przemija, ale sztuka pozostaje.

Pani emocje, pani cierpienie wywołane rozwodem lub śmiercią pana Gablea, czymkolwiek...

W szerokim, kolistym geście zniecierpliwienia ujął cały świat, w którym żyła od trzydziestu pięciu lat i który nawet potrafiła sobie wyobrazić: obraz holocaustu ukształtowany na podstawie zniszczonych od częstego kartkowania książek przyniesionych z antykwariatu; składnice żydowskiego hartu, cierpienia i elokwencji nawet w cierpieniu; zatęchły, kwaśny odór szpitali dla psychicznie chorych, które więziły jej matkę; jakby wszystkie te wspomnienia z jej życia nie znaczyły więcej niż byle scenariusz.

Może pani równie dobrze zobaczyć swój ból jako fragment kroniki filmowej, bo inni tak właśnie je zobaczą.

Kroniki?

Jakiej kroniki?

Konferencja prasowa będzie filmowana.

Nie przez nas, tylko oczywiście przez media.

Część z tego będzie wielokrotnie pokazywana.

To będzie cenny dokument.

- Widząc, że Blondwłosa Aktorka potrząsa głową, Roifo Freund dodał z większym naciskiem: Pani Monroe.

Równie dobrze może pani ulec skrajnym formom swych bolesnych uczuć.

Prawdziwe życie jest tylko sposobem przyjęcia formy.

Norma Jeane była zbyt roztrzęsiona, aby protestować.

Patrzyła na starego przyjaciela Ottona, który nigdy nie był jej kochankiem ani, tak naprawdę, przyjacielem.

Poza nim nic już jej nie zostało z lat młodości.

Głosem Marilyn, miękkim, cichym, ledwie słyszalnym powiedziała:

Och.

No cóż.

Pana argumentacja jest taka przekonująca.

Zgoda.

A co zawierała walentynkowa koperta?

Na widok struchlałej twarzy Marilyn Roifo Freund szybko odebrał jej kopertę.

-Och, pani Monroe.

Tak mi przykro.

Na prostokątnym kawałku białego papieru toaletowego ktoś napisał, najwyraźniej prawdziwymi ekskrementami:

KURWA

MÓJ DOM.

MOJA PODRÓŻ

Scena musi być właściwie oświetlona.

Poza nią jest tylko nierozpoznany mrok.

Z życia aktora

12305 Fifth Helena Drive, Brentwood, Kalifornia Dzień św.

Walentego, 1962 r.

Droga Mamo,

Właśnie przeprowadziłam się do własnego domu!

Teraz go urządzam i jestem TAKA SZCZĘŚLIWA.

To mały dom w meksykańskim stylu.

I taki czarujący.

Położony nieco na uboczu przy samym końcu ulicy, ogrodzony częściowo murem.

Ma stropy z drewnianych belek, duży salon (z kamiennym kominkiem).

Kuchnia nie jest zbyt nowoczesna, ale znasz mnie, na pewno nie zostanę mistrzynią domowych wypieków!

Można się bardzo zdziwić, bo za moim domem jest basen.

Duży.

Kiedy mieszkaliśmy w Hacjendzie, na Highland Avenue, nigdy byśmy nie uwierzyły, że pewnego dnia będziemy miały w Brentwood dom z basenem.

Rozwiodłam się.

Nie zapytałaś o dziecko.

Niestety, straciłam je.

Powinnam raczej powiedzieć, że mi je odebrano.

Miałam chyba wypadek

Nie było ze mną najlepiej i straciłam kontakt z ludźmi.

Teraz czuję się BARDZO DOBRZE.

Mam nadzieję, że wkrótce odwiedzisz mnie tutaj, wtedy sobie pogawędzimy.

Uciekam od życia.

Pewien francuski filozof mówi, że nieszczęście ludzi polega na tym, iż nie są w stanie przebywać w jednym małym pokoju.

Ja chodzę przez te pokoje i śpiewam!

Musiałam pożyczyć trochę , aby kupić ten dom.

Przyznaję.

Płakałam, kiedy podpisywałam dokumenty.

Bo byłam TAKA SZCZĘŚLIWA.

Miałam nareszcie swój pierwszy własny dom.

Szkoda, że po tylu latach pracy nie uzbierało mi się więcej .

Zaczęłam występować w filmach w 1948 roku, a od tamtej pory udało mi się zaoszczędzić zaledwie 5000.

Wstyd mi, bo inni ludzie zarobili na Marilyn tak dużo.

Pośrednik obrotu nieruchomościami, który sprzedawał mi dom, był zdziwiony, zauważyłam to.

Hej, oczywiście wcale nie jestem rozgoryczona!

To nie w moim stylu.

Mamo, nie mogę się doczekać, kiedy zobaczysz niespodziankę, jaką mam dla ciebie.

Nasz fortepian!

Nasz biały, gabinetowy steinway, pamiętasz?

Należał kiedyś do Fredrica Marcha.

Kiedyś, po rozpadzie mojego pierwszego małżeństwa, oddałam go na przechowanie, ale teraz jest tutaj.

W salonie.

Próbuję grać, codziennie, ale palce mam sztywne.

Wkrótce zagram ci Dla Elizy.

Jest tutaj jeden pokój dla ciebie, Mamo.

Czeka.

Myślę, że musi nadejść chwila Myślę o wyposażeniu domu w prawdziwe meksykańskie rzeczy, także w kafelki.

Niedługo pojedę do Meksyku z pewnym przyjacielem.

Może z Tobą, Mamo?

Mam także inną wiadomość.

Mam nadzieję, że się nie zdenerwujesz.

Jestem w kontakcie z Ojcem.

Wyobraź sobie, po tych wszystkich latach.

Sama jestem najbardziej zdziwiona.

Ojciec mieszka niedaleko Griffith Park.

Jeszcze nie widziałam jego domu, ale to się już wkrótce stanie, mam nadzieję.

Od lat śledzi moją karierę i podziwia to, co robię, zwłaszcza ostatnią rolę w Skłóconych z życiem.

Ojciec jest teraz wdowcem.

Mówi o sprzedaniu swego dużego domu.

Kto wie, jak się ułoży nasza przyszłość!

Czasami mam wrażenie, że jestem wdową.

Dziwne, matkę, która straciła dziecko, powinno się określać jakimś specjalnym słowem.

W angielskim nie ma takiego słowa.

(A w łacinie?)

Ta strata jest na pewno poważniejsza niż rozwód.

Czasami mam wrażenie, że podróżuję Wehikułem Czasu, tobie się to nie zdarza?

Pamiętam tę przerażającą opowieść, którą mi czytałaś.

Och, Mamo, nie chciałabym Cię krytykować, ale...

Czasem trudno z tobą rozmawiać.

Myślę o telefonie.

Nie starasz się mówić głośniejszym głosem, abym mogła Cię słyszeć.

Chyba w tym tkwi problem?

W ostatnią niedzielę zraniłaś moje uczucia; odłożyłaś słuchawkę i poszłaś sobie.

Pielęgniarka przeproszała.

Powiedziałam jej, żeby przestała, bo ja się tylko martwię, czy nie jesteś na mnie zła i czy nie czujesz się gorzej.

Pamiętaj, Mamo, że możesz tu zostać, jak długo zechcesz.

Dzięki lekom, wiele można zrobić.

Mam tu nowego lekarza i nowe lekarstwa.

Dostaję "wodzian chloralu" na nerwy i dobry sen.

i kiedy słyszę głosy

Ten lekarz mówi, że istnieją cudowne środki, które rozpraszają "smutki".

Powiedziałam: Och, jeśli smutki odejdą, to co się stanie ze smutną muzyką?

Zapytał, czy muzyka warta jest udręki, na co odparłam, że to zależy od muzyki, a on stwierdził, że życie jest cenniejsze od muzyki, gdy jakaś osoba popada w depresję zagrażającą jej życiu, a ja na to, że musi być jakaś droga pośrednia i że odnajdę tę drogę.

W tym domu na Helena Drive zamieszkają pewnego dnia Twoje wnuki, Mamo, obiecuję.

Będę taka jak inni Amerykanie!

Ludzie z "Lifeu" zapytali mnie, czy mogliby sfotografować MARILYN MONROE w jej nowym domu, ale nie zgodziłam się, jeszcze nie teraz, powiedziałam, jeszcze nie w pełni dotarło do mnie, że ten dom jest mój.

Mam niespodzianki dla was wszystkich!

(Kto wie, może Ojciec się do nas przyłączy.

Mam takie sekretne marzenie.

Cóż, "życie jest piękne", jak mówią.)

Mamo, jestem TAKA SZCZĘŚLIWA.

Czasami płaczę, jestem samotna i taka szczęśliwa.

Myślę o wszystkich, którzy kiedykolwiek mnie skrzywdzili, i wybaczam im.

Na płytce po zewnętrznej stronie drzwi znajduje się łaciński napis CURSUM PERFICIO (co można przetłumaczyć jako: "Kończę swoją podróż").

Mamo, kocham Cię,

Twoja kochająca córka .

PREZYDENCKI STRĘCZYCIEL

Pewnie, że był stręczycielem.

Ale nie takim zwykłym stręczycielem.

Nie on!

Był stręczycielem par excellence.

Stręczycielem wybitnym.

Stręczycielem suigeneris.

Stręczycielem z garderobą i klasą.

Stręczycielem ze znakomitym brytyjskim akcentem.

Przyszłość uczci go jako Prezydenckiego Stręczyciela.

Człowiek honoru, człowiek dużego formatu: Prezydencki Stręczyciel.

Na ranczo Mirage w Palm Springs, w marcu 1962 roku, Prezydent szturchnął go łokciem między żebra i cicho gwizdnął.

Ta blondynka.

To Marilyn Monroe?

Potwierdził.

Monroe, przyjaciółka jego przyjaciółki.

Niezła, co?

Ale trochę wariatka.

Prezydent zapytał zamyślony.

- Czy ja się już z nią nie spotykałem?

Prezydent był dowcipny.

Żartowniś.

Miał talent.

Z dala od Białego Domu i wymogów urzędu Prezydent uwielbiał się bawić.

-Jeżeli nie, to wszystko przygotuj.

Migiem.

Prezydencki Stręczyciel roześmiał się niepewnie.

Oczywiście nie był je dynym stręczycielem Prezydenta, ale miał powody przypuszczać, że był jego stręczycielem ulubionym.

A z całą pewnością był stręczycielem najlepiej poinformowanym.

Czym prędzej uświadomił krewkiemu Prezydentowi, że z tą seksowną blondynką raczej nie należy ryzykować trwalszego związku.

Znana jest z tego...

Kto mówi o związku?

Chodzi o randkę pod jakąś budą.

Jeżeli będzie czas, to dwie randki.

Zażenowany, świadomy, że kiedy tak spacerowali obok basenu i palili poobiednie papierosy, obserwoowało ich z podziwem wiele par oczu, Prezydencki Stręczyciel ściszone głoŝem poinformował Prezydenta - tak jak poinformowałoby go FBI, bo ich akta na temat MARILYN MONROE, znanej teŝ jako NORMA JEANE BAKER, pękały w szwach - że Monroe miała dziesiątki aborcji, wciągała nosem kokę, wstrzykiwała sobie doŝylnie benzedrynę i fenobarbital; kilkanaście razy płucono jej zoładek w samym tylko szpitalu Cedars of Lebanon.

Wszyscy o tym wiedzieli.

Pisały o tym brukowce.

W Nowym Jorku przewieziono ją na noszach do Bellevue z podciętymi ŝyłami na obu rękach, nagą i majaczącą.

Moŝna było o tym przeczytać w artykule Winchella.

W Maine poroniła przed kilku laty albo próbowała sama pozbyć się płodu i się jej nie udało, w kaŝdym razie wyłowili ją z Atlantyku zespół ratowników.

Poza tym zadawała się ze znanymi i podejrzanymi komuchami.

Dlatego nie należy ryzykować z nią związku.

- Dobrze ją znasz, co?

- Prezydent był pod wrażeniem.

Cóż mógł zrobić Prezydencki Stręczyciel?

Skinął z powagą głową.

W filmowym stylu szarpnął za kołnierzyk koszuli, aby pokazać, że poci się ze zdenerwowania, co zresztą było zgodne z prawdą.

Ulubiony stręczyciel Prezydenta był jednocześnie jego szwagrem, żona mogła mu zrobić piekło w domu i ograniczyć dostęp do pieniędzy, jeśli ośmieli się przedstawić Prezydenta bogini seksu Marilyn Monroe, narkomance, ninfomance, samobójczyni i świrusce.

Ale tylko pośrednio, szefie.

Kto by tam chciał mieć z nią bliski kontakt?

Monroe utrzymywała stosunki z każdym hollywoodzkim Żydem.

Wyszła z rysztoła przez łóżko.

Żyła z dwoma ćpuńskimi pedałami i obsługiwała ich bogatych znajomych.

To za sprawą Monroe narodził się żart o polskiej kiełbasie, wiesz o tym, szefie?

Ale Prezydent o twarzy piegowatego chłopca, najmłodszy i najbardziej męski w historii tego kraju, ledwo słuchał.

Gapił się na kobietę znaną jako Marilyn Monroe, która krążyła po tarasie niepewnie jak lunatyczka, niewyraźnie się uśmiechała, wytwarzała wokół siebie aurę skrajnej bezbronności, oderwania, do tego stopnia, że inni też zachowywali wobec niej dystans, przyglądali się jej z dala.

Chyba że to jest mój sen, który oni widzą?

W świetle księżyca Blondwłosa Aktorka kołysała się na tarasie tuż przy mieniącej się powierzchni wody - oczy miała zamknięte - nuciła piosenkę Sinatry Ali the Way.

Platynowe włosy błyszcząły jak fosfor.

Pomalowane na czerwono usta układały się w doskonałe, ssące O.

Miała na sobie kusząco krótki, mocno ściągnięty w pasie szlafrok kąpielowy, pożyczony od gospodyni, której nazwiska prawdopodobnie nie pamiętała, wyglądało na to, że jest pod spodem naga.

Jej nogi, szczupłe i umięśnione, były nogami tancerki, ale w górnej części ud zaczynały się pojawiać nieprzyjemne białe paski.

Jej skóra była biała, bezkrwista jak u zabalsamowanych zwłok.

Mimo to Prezydent uparcie krążył za nią, a wyraz jego oczu mówił wszystko.

Wyglądał jak chłopiec z katolickiej szkoły, który zamierza coś zbroić.

Czarujący irlandzki buldog rodem z Bostonu.

Całkowicie lojalny wobec rodziny i przyjaciół, nieustępliwy wobec wrogów i wszystkich, którzy wchodzili mu w drogę.

Prezydent odgrywał główną rolę w każdej scenie, był aktorem znającym scenariusz; pozostali improwizowali pływanię bądź to nięcie.

Prezydencki Stręczyciel mógł jedynie powiedzieć, porywczo i błagalnie:

Monroe!

Pieprzyła się z Sinatrą, Mitchumem, Brando, Jimmym Hoffą, Skinny DAmato, Mickeyem Cohenem, Johnnym Rosellim, tym komuchem "Księżciem" Sukarno...

Z Sukarno?

Teraz Prezydent znów był pod wrażeniem.

Prezydencki Stręczyciel nie miał wątpliwości, że sprawy zaszły zbyt daleko, aby jakakolwiek interwencja przyniosła skutek.

Często tak bywało.

Co mógł zrobić?

Jedynie pokręcić głową i mruknąć, niezbyt zresztą elegancko, że jeżeli Prezydent zada się z Monroe, rozsądnie będzie się zabezpieczyć, ponieważ ta kobieta podobno zaraziła się najgorszą z chorób wenerycznych, gdy pragnąc zdjąć męża z haczyka komisji badającej działalność antyamerykańską, poleciała do Waszyngtonu dymać się z McCarthym; pisały o tym wszystkie brukowce...

Prezydencki Stręczyciel sam był przystojnym mężczyzną w średnim wieku, o skroniach przyprószonych siwizną, inteligentnych, choć patrzących z rezerwą oczach i nalanych policzkach.

Jego twarz wyglądała, jakby została wyparzona w gęstym sosie.

Na uczcie u Trymalchiona odgrywałby Bachusa Biesiadnika wieniec z latorośli i pnączy dookoła głowy, głupawy uśmieszek na twarzy chociaż właściwie na tę rolę (wiedział o tym) był już trochę za stary.

Po upływie najbliższych dziesięciu lat będzie miał przekrwione oczy ćpuna, jego ręce będą drżały jak u chorego na parkinsonizm, ale jeszcze nie teraz.

Och, ulubiony Prezydencki Stręczyciel miał swoją dumę!

Nie zniży się do kłamstwa nawet z obawy przed własną żoną.

Co do kwestii, czy umówić się z nią, czy nie, szefie, doradzałbym nie umawiać się.

W tym momencie, jakby na zawołanie, Marilyn Monroe zerknęła nerwowo w ich kierunku.

Nieśmiało jak dziewczyna, która nie wie, czy ją lubią - uśmiechnęła się.

Ta anielska twarz!

Prezydent, wstrząśnięty, zaczął się niecierpliwić, szepnął Stręczycielowi do ucha:

Załatw wszystko, mówiłem już.

Migiem.

Migiem!

W języku Białego Domu znaczy to: w ciągu godziny.

KSIĄŻĘ I ŻEBRACZKA

Czy wciąż mnie będziesz kochał?

On chwytają za ręce...

I mówi, że wie.

Wie, co to znaczy być biednym!

Być biednym aż do bólu i drzeć z obawy przed przyszłością!

- oczywiście nie z własnego doświadczenia, jego rodzina jest zamożna, wszyscy o tym wiedzą, lecz z doświadczenia jego irlandzkich przodków, którzy cierpieli ucisk ze strony angielskich najeźdźców.

Zmuszali nas do pracy jak zwierzęta pociągowe, powiedział.

Głodzili na śmierć.

Głos mu drżał.

Tuliłam się do niego mocno.

Cudowna chwila.

Szepnął: Piękna Marilyn!

W głębi serca jesteśmy tacy sami.

Jego skóra jest chropawa, piegowata, gorąca pod moimi palcami, jakby spalona na słońcu.

Moja skóra jest gładka, cienka, blada i zsiniała tam, gdzie w chwili uniesienia ścisnie mnie mężczyzna.

Te sińce będę nosiła z dumą niczym zgniecione płatki róży.

Nasz sekret.

Nigdy nie zdradzę imienia mojego kochanka.

Zapewnił, że wie, co znaczy być samotnym.

W jego licznej rodzinie narasta samotność.

Płakałam na myśl, że mnie rozumie!

Bo mnie rozumiał.

On. Człowiek o takim nazwisku.

Z rodu szczęściarzy.

Powiedziałam mu, że bardzo go szanuję i nigdy go o nic nie poproszę po tej nocy, poza jednym:

żeby czasem pomyślał o mnie dobrze.

Pomyślał o MARILYN z uśmiechem.

Dodałam, że szanuję jego rodzinę.

Tak, i żonę, ładną, spokojną, pełną wdzięku.

Roześmiał się ze smutkiem i powiedział: Ale ona nie potrafi otworzyć serca tak jak ty, Marilyn.

Nie umie się śmiać, nie ma w niej takiego ciepła, jakie jest w tobie, droga Marilyn.

Tak szybko zakochaliśmy się w sobie!

Czasami tak bywa.

Nie trzeba wielu słów.

Powiedziałam: Możesz nazywać mnie Normą Jeane.

Odparł: Ale dla mnie jesteś MARILYN.

Zapytałam: Och, znasz MARILYN?

Odpowiedział: Już od dawna chciałem ją poznać.

Tuliliśmy się do siebie na ręcznikach kąpielowych - wilgotnych i pachnących chlorem - rozłożonych wprost na posadzce w przebieralni.

Śmialiśmy się jak psocące dzieci.

Mieliśmy butelkę whisky, którą przyniósł tutaj ze sobą.

Przyjęcie odbywało się też na tarasie, tuż przy basenie, kilka jardów od nas.

Ależ byłam szczęśliwa!

a zaledwie przed godziną trawił mnie wielki smutek!

żałowałam, że dałam się namówić na to weekendowe przy jęcie, zamiast zostać w domu, który uwielbiam, w moim meksykańskim domu przy Fifth Helena Drive.

Teraz przepełniało mnie szczęście i chichotałam jak mała dziewczynka.

On jest mężczyzną, przy którym kobieta czuje się jak prawdziwa kobieta.

Nie przypomina żadnego z mężczyzn, z którymi miałam do czynienia.

Jest człowiekiem, który przejdzie do Historii.

Kochałam się z nim, z moim Księciem.

Szybkim, twardym, podnieconym jak chłopak.

Chociaż, przyznał, coś nie było w porządku z jego plecami, miewał od czasu do czasu bóle karku, och, ale jesteś bohaterem wojennym, powiedziałam, och, Boże, nie wyobrażasz sobie, jak bardzo cię podziwiam!

Mój Księżciu.

Piliśmy, on podnosił butelkę do moich ust i chociaż wiedziałam, że ze względu na to, że biorę leki, nie powinnam pić, nie mogłam się oprzeć, tak jak nie mogłam nie ulec jego pocałunkom; jaka kobieta mogłaby się oprzeć temu mężczyźnie, wielkiemu człowiekowi, bohaterowi wojennemu, postaci historycznej.

Księżciu.

I jego natarczywym dłoniom!

Znowu za częliśmy się kochać.

Potem znowu.

Ogarnęło mnie jakieś szaleństwo.

Na prawdę coś czułam, namiastkę rozkoszy: płomień, który rozbłyska, gdy potrzeć zapałką o draskę, krótkotrwały, ulotny, przygasający niemal na tychmiast, ale ty wiesz, że on tam jest i może wrócić.

Nie mam pojęcia, jak długo ukrywaliśmy się w przebieralni.

Nie wiem, czy ktoś zauważył, że ulotniliśmy się z przyjęcia.

Przedstawił nas sobie szwagier Prezydenta; Marilyn, powiedział, chciałbym ci przedstawić twojego wielbiciela; i zobaczyłam go, mojego Księżcia, wpatrywał się we mnie z uśmiechem, mężczyzna, za którym kobiety przepadały, którego namiętność rozpałały, gasiły, rozpałały, gasiły.

Roześmiałam się; nagle stałam się Dziewczyną z Góry.

Nie byłam Roslyn Tabor, nie byłam rozwódką.

Nie byłam wdową.

Nie byłam po grążoną w żalu matką, która straciła dziecko po upadku z piwnicznych schodów.

Dawno już nie byłam Dziewczyną z Góry, ale w szlafroku kąpie lowym i z nagimi nogami znowu stałam się Dziewczyną z Góry stojącą na kracie wentylacyjnej nad metrem.

(Nie, nie chciałabym, aby Prezydent do wiedział się, ile naprawdę mam lat: niedługo trzydzieści

Nie jestem dziewczyną.) Skrzywił się, bolały go plecy.

Udałam, że tego nie zauważam, po prostu go dosiadłam, dopasowałam się do niego moją lekko obolałą dziurką, moją pustą macicą, którą mógł wypełnić ten mężczyzna, jego penis taki twardy i spragniony; zachowywałam się najdelikatniej jak mogłam, ale pod koniec on chwycił mnie za biodra i

tak na mnie napierał, jęcząc i stękając, prawie tracąc panowanie nad sobą, że się wystraszyłam, bo sam sobie mógł sprawić ból, coś sobie zrobić w plecy, zresztą mnie też bolało;

ściskał moje biodra, a ja szeptałam: Tak, tak, właśnie tak, strumyczki potu spływały mi po twarzy i piersiach, a on przygryzał moje piersi, kąsał sutki;

Rozpustna dziewczyno - mówił, jęczał, rozpustna cipo, kocham cię, rozpustna cipo-, po chwili było już po wszystkim, brakowało mi tchu, bolało mnie i próbowałam się roześmiać, bo oczywiście Dziewczyna z Góry by się roześmiała, bez dwóch zdań, i usłyszałam własny głos: Oooj!

Nieźle mnie wystraszyłeś!

słowa, których mężczyźni lubią słuchać; odetchnęłam głęboko i powiedziałam: Gdybym była Castro, oooch!

ależ bym się ciebie bała;

mówiłam w stylu głupiej blondynki: Hej, gdzie się podziali twoi ludzie z ubezpieczeń społecznych, którzy ciągle się wokół ciebie kręcą?

(bo nagle uświadomiłam sobie, że ci ludzie, ubrani po cywilnemu funkcjonariusze, muszą być niedaleko, pilnować wejścia do przebieralni, i zalała mnie fala wstydu; miałam tylko nadzieję, że nie podsłuchiwali nas ani, co gorsza, nie prowadzili obserwacji za pomocą jakiegoś szpiegowskiego urządzenia; czasem nawet w domu z pozastłanianymi oknami, w sypialni za gęstym, grubym materiałem odnosiłam wrażenie, że ktoś mnie szpieguje i mam aparat telefoniczny na podsłuch), on się roześmiał i powiedział: Mówisz o ludziach z tajnych służb, z Secret Service, MARILYN, i oboje wybuchnęliśmy śmiechem; śmiechem po whisky; byłam dziewczyną z Karoliny Południowej, która niczym się nie przejmuje i śmieje się pełną piersią jak mężczyzna.

Och, coś wspaniałego.

Nerwowe chwile nie trwały długo, przeminęły, jakby ich w ogóle nie było, już zaczynałam zapominać o jego wyzwickach, okropnych słowach, jakimi mnie nazywał mój Książę, wkrótce zapomnę, że zapomniałam o wszystkim i do następnego ranka będę pamiętała tylko pocałunki, zapalczany błysk rozkoszy seksualnej, obietnicę przyszłości.

Mój Książę mówił: Marilyn, ty jesteś naprawdę zabawną kobietą, słyszałem, że jesteś bystra błyskotliwa inteligentna fan-tas-tycz-na (dotykał językiem moich piersi, łaskotał mnie), a ja na to: Och, panie Prezydencie, pewnie pan jeszcze nie wie?

Piszę też własne kwestie.

Mruknął: Mmmm!

To jest najlepsza poezja w showbiznesie, MARILYN.

Pogłaskałam go po gęstych włosach i powiedziałam: Możesz zwracać się do mnie "Normo Jeane", tak mnie nazywają ci, którzy mnie znają, na co on rzekł: Maleńka, będę zwracać się do ciebie, ilekroć będę miał okazję.

Migiem!

Odparłam: Mój Migiem!

Tak chyba powinno brzmieć twoje imię.

W przebieralni paliło się pojedyncze światło.

Zawilgocone, cuchnące miejsce.

Przez żaluzję w małym oknie widziałam pod ostrym kątem pustynny księżyc.

Albo jakieś rozmazane światło między drzewami za basenem.

Pustynna noc!

Jakbym znowu się znalazła w Nevadzie, była Roslyn Tabor zakochaną w Clarku Gableu, który miał wkrótce umrzeć, i doskwierało mi poczucie winy, że nadal jestem żoną mężczyzny, którego nie kocham.

Nie byłam pijana, ale nie umiałabym określić, gdzie dokładnie jestem.

Gdzie będę spała w nocy i z kim.

Albo czy będę sama?

I w jaki sposób wrócę do domu.

Do Los Angeles, Miasta z Piasku, na 12305 Fifth Helena Drive.

Bo zawsze prześladuje cię okropny strach, jak wrócić do domu?

nawet jeśli wiesz, gdzie ten dom jest.

Księżę energicznie wycierał się ręcznikiem między nogami i mówił, że może niedługo, taką ma nadzieję, znowu się ze mną zobaczy, wyjeżdża z Palm Springs migiem rano, wraca do Waszyngtonu, ale będzie w kontakcie, zapytałam: Czy dać panu zastrzeżony numer mojego telefonu, panie Prezydencie?

on się roześmiał i powiedział: Nie istnieją zastrzeżone numery telefonów, MARILYN, wówczas ja cicho, szeptem, jak nieśmiała uczennica zaproponowałam, że polecę na wschód, jeśli on tego zapragnie, pańskie życzenie jest dla mnie rozkazem, panie Prezydencie, powiedziałam żartem, całując jego zarumienioną twarz i to mu się spodobało, zauważyłam; odparł, że w odpowiednim czasie dostanę bilet pierwszej klasy i będziemy mogli się spotkać w pewnym hotelu na Manhattanie; poza tym miał przylecieć do Kalifornii na spotkanie z założycielami jakiegoś funduszu i tak dalej, jego siostra i szwagier mieli dom przy plaży w Malibu.

Powiedziałam: Tak, byłoby m...miło.

A raczej bardzo miło.

Słowa mojego Księcia pozostaną tajemnicą, której nie zdradzę nikomu.

Ujął moją twarz w swoje dłonie, och, mam nadzieję, że byłam dla niego piękna, nie spocona, z rozmazanym makijażem, włosami przyklejonymi do czoła; ale mówił szczerze, od serca, tak samo jak czasami wypowiadał się publicznie, a my wszyscy uwielbialiśmy go za to: Jest w tobie coś, czego żadna z nich nie ma, MARILYN.

Żadna kobieta, którą znam.

Urodziłaś się po to, by cię dotykać.

By tobą oddychać.

Nawet by cię ranić!

To do ciebie podobne, wystawiać się na zranienie, żadna kobieta nie jest taka jak ty, MARILYN.

Żadna postać na ekranie, żadna fotografia nie ukaże twojej duszy, MARILYN, nie ukaże tego, co widziałem tej nocy.

Ostatni pocałunek i mój Księżę odszedł.

Księżę wyjdzie z przebieralni całkowicie ubrany.

Blondwłosa Żebraczka, z którą spędził sporo czasu, zgodnie z jego sugestią pozostała w środku dziesięć minut, ale jego ochroniarze nie czekali na nią, czekał jedynie Prezydencki Stręczyciel, stojąc w dyskretnej odległości po drugiej stronie basenu; kiedy wreszcie wyszła, wyglądała na otępiałą, potykała się, szlafrok kąpielowy niedbale przewiązała paskiem; Prezydencki Stręczyciel podszedł do niej z gracją i powiedział z uśmiechem: "Pani Monroe!

Prezydent życzył sobie, aby przyjęła pani ten niewielki wyraz uznania".

Różę ze srebrnej folii (którą Stręczyciel znalazł porzuconą na stole; dekoracyjny element na butelce wina, który zabrał i umieścił w klapie swojej marynarki).

Później będzie się opowiadać, jak znana na całym świecie MARILYN MONROE zamrugła oszołomiona, wzięła sztuczną różę z dłoni Prezydenckiego Stręczyciela i uśmiechnęła się.

"Och, jest piękna".

Wciągnęła w nozdrza metaliczny zapach i była szczęśliwa.

ZAKOCHANA ŻEBRACZKA

A jeśli Księżę nie zadzwoni, jak obiecał?

Jeżeli będzie czekała, czekała bez końca, a on nie zadzwoni?

Będą dzwonili inni w tym jej poplątanym i zamglonym życiu, nigdy zaś on?

Wreszcie, kiedy prawie straciła nadzieję, w słuchawce odezwał się jakiś tajemniczy (nazwisko, które nic jej nie mówiło) z (jak skłonna była przypuszczać) samego Białego Domu.

(Jeden z asystentów Prezydenta?)

) Wkrótce potem szwagier Prezydenta, który mieszkał w Malibu, zadzwonił, aby zaprosić ją na weekend.

Kameralne spotkanie w gronie paru osób, Marilyn.

Sama elita.

Zaufani ludzie.

Zapytała ostrożnie:

A on...

czy on tam będzie?

Przystojny, elegancki szwagier Prezydenta odpowiedział, także ostrożnie:

Hmm.

Mówi, że spróbuje stanąć na głowie.

Marilyn roześmiała się podekscytowana.

Och, wiem, co to oznacza.

Wiem, że miał wiele kobiet.

Jest człowiekiem doświadczonym.

Ja jestem doświadczoną kobietą.

Nie jestem dzieckiem!

Nadszedł weekend, zawirował, minął.

Zapamiętała tylko fragmenty, jak w kolażu filmowym.

Czy to mi się przydarza?

Albo przydarzyło?

Inaczej niż w filmach, w życiu nie było dubli.

Miało się tylko jedną szansę.

W tych rozkołysanych czasach dzwonił aparat telefoniczny, podłączony do jej osobistej, nieoficjalnej linii; tajemniczy ===- (w Waszyngtonie) pytał, czy będzie w domu o dziesiątej dwadzieścia pięć wieczorem, aby odebrać telefon?

Odpowiadała śmiechem, musiała usiąść, czuła się taka słaba.

"Czy b...będę w domu?"

Hmm!

" Była naiwną, zabawną Dziewczyną.

Czarującą, słodką, dowcipną Dziewczyną z Góry, która sama napisała swoje kwestie.

"Skąd mam wiedzieć, póki nie będzie dziesiątej dwadzieścia pięć?

"

Z drugiej strony pomruk zdziwienia.

(Czy może jej się zdawało?)

A potem będzie czekała, czekała.

Ale nie było to czekanie, które wyczerpywało, było to czekanie z dreszczem emocji.

Czekanie, które sprawia, że czujesz się szczęśliwa, radosna, chce ci się uśmiechać, śpiewać i tańczyć cały dzień.

Punktualnie o dziesiątej dwadzieścia pięć dzwonił telefon, podnosiła słuchawkę, aby powiedzieć zadyszany głos dziecka: Halo?

Słyszała niski, głęboki głos, nie było wątpliwości.

Jej Księżę.

Halo?

Marilyn?

Myślałem o tobie.

I ja myślałam o tobie, panie M-jak-Migiem!

Rozbawiła go.

Boże, jak dobrze słyszeć śmiech mężczyzny.

Potęga kobiety nie tkwi w seksie, tylko w umiejętności sprawiania, by mężczyzna się śmiał.

Gdybym tam mógł być z tobą, najdroższa, jak sądzisz, co bym robił?

Oooh.

Nie wiem.

A co?

Czasem szwagier Prezydenta telefonował z propozycją, że wpadnie do niej na drinka, względnie zabierze ją na drinka albo na obiad; mieli "poufne sprawy do omówienia", mówił; odmawiała szybko, prawie bez namysłu.

Pamiętała spojrzenie tego mężczyzny z Palm Springs, to taksujące spojrzenie.

To nie jest najlepszy pomysł, odpowiedziała teraz.

Szwagier Prezydenta odrzekł uprzejmym tonem człowieka, dla którego seksualne podboje i odmowy mają mniej więcej tę samą wagę emocjonalną: W takim razie może innym razem, kochanie.

Tego wieczoru nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

Słyszała, że wymieniają się kobietami.

Albo należałoby powiedzieć bardziej ściśle: przekazują je w dół.

Modelki, gwiazdki.

Które wędrują od Księcia/Prezydenta do jego kilku braci, szwagrów i przyjaciół.

Myślała sobie: Nie ze mną.

Ze mną tak nie postąpi.

Kiedy zadzwonił ostatnim razem - krótka, pospieszna rozmowa; jego głos był zaspany i seksowny - powtórzył tamte magiczne słowa - a już nie była pewna, czy wyobraziła je sobie, czy usłyszała w jakimś dawno zapomnianym filmie.

Jest w tobie coś, czego żadna z nich nie ma.

Żadna kobieta.

Urodziłaś się po to, by cię dotykać.

By tobą oddychać.

Żadna kobieta, którą znam, nie jest taka jak ty, Marilyn.

Wierzyła, że to może być prawda.

Och, wierzyła też, że on naprawdę tak myśli!

Jakby powiedział, że mnie kocha.

Tylko innymi słowami.

Żebraczka czekała.

Wiernie czekała.

Dowiedziała się, że podobno Cass Chaplin trafił do szpitala.

Przechodzi detoksykację w jednej z klinik w Los Angeles.

Przez godzinę biła się z myślami, skłonna zadzwonić, aby się upewnić.

Wpadła w panikę.

Myślała: Nie.

Nie mogę.

Nie mogę się w to mieszać.

Nie teraz.

Zastanawiała się, czy Cass i Eddy G nadal byli kochankami.

Boże, tęskniła za nimi.

Za Bliźniętami.

Po dwóch nudnych małżeństwach z dobrymi, przyzwoitymi heteroseksualistami.

Piękni chłopcy, Cass i Eddy G!

Była ich Normą, ich dziewczyną.

Robiła to, co jej kazali.

Może ją hipnotyzowali.

A gdyby z nimi została i urodziła im dziecko?

Mogłaby nadal robić karierę jako Marilyn Monroe.

Ale to było dawno temu.

Dziecko miałoby osiem lat.

Nasze dziecko.

Tyle że przekłęte.

Nie mogła sobie dokładnie przypomnieć, dlaczego Malarstwo umarło, dla czego musiało umrzeć, dlaczego Marilyn je zabiła.

Przed kilkoma miesiącami zobaczyła zdjęcie Cassa Chaplina w "Tatlerze" i przeżyła szok - jakże postarzał się jej dawny kochanek, oczy miał podpuchnięte, zmarszczki po obu stronach ust.

Zniszczona uroda.

Flesz aparatu uchwycił go w chwili gniewu: uniesiona pięść, obscenicznie wykrzywione usta.

Teraz mam godziwego kochanka.

Mężczyznę, który docenia moją wartość.

Prawdziwą bratnią duszę.

Och, nawet jeśli to były irlandzkie pochlebstwa, a na dziewięćdziesiąt procent sądziła, że nie, to i tak były to pochlebstwa Księcia, a nie hollywoodzkiego narkomana.

Dziwne!

W odpowiedzi na napisany z uczuciem list do Gladys otrzymała parę napisanych pismem maszynowym słów pośrodku wielokrotnie złożonej kartki.

Czy się nie wstydzisz Normo Jeane, przeczytałam o Clarku Gableu napisali, że zabiłaś go, przyczyniłaś się do "śmiertelnego ataku serca".

Nawet pielęgniarki są tutaj oburzone.

Od nich się tego dowiedziałam.

Pewnego dnia, kiedy zostanie zaproszona do Białego Domu.

Matka mogłaby pojechać ze mną.

Na pewno zależałoby jej na tym, jak każdej amerykańskiej matce.

Chodziła do psychiatry.

Chodziła do psychoanalityka.

Spotykała się z "do radcą do spraw zdrowia psychicznego".

Znowu ćwiczyła jogę.

Czasami, podczas tych długich, nie kończących się nocy, kiedy nie pozwalała sobie na połknięcie dostatecznej ilości wodzianu chloralu, aby zasnąć choćby na kilka godzin, wzywała masażystę, który mieszkał w Venice Beach.

Wyobrażała sobie, że jest jednym z tamtych chłopców na plaży, którzy uratowali Normę Jeane od utonięcia.

Umięśniony olbrzym.

Ale miły.

Tak samo jak Whitey, Nieco adorował ją, ale jej nie pożądał; jej ciało było dla niego jedynie materiałem, czymś w rodzaju gliny do ugniatania, czymś do obsługi za opłatą.

- Żałuję, że jednego nie mogę zrobić, Nico, wiesz czego?

Że nie mogę zostawić z tobą swojego ciała, a sama polecieć...

och, sama nie wiem gdzie!

Wciągnęła w nozdrza metaliczny zapach i była szczęśliwa.

Wróciła z Palm Springs do Brentwood, do stojącej na uboczu hacjendy przy Fifth Helena Drive (dziwna nazwa!

kiedyś zapytała pośrednika obrotu nieruchomości, co oznacza, ale nie uzyskała odpowiedzi),
umieściła srebrzystą różę w kryształowym wazonie, a wazon ustawiła na białym fortepianie, gdzie
sztuczny kwiat błyszczał nawet w mroku.

Róża.

Od niego!

Ponieważ została zrobiona ze srebrzystej folii, nie zwiędnie nigdy, nigdy nie umrze;

zatrzyma ją jako świadectwo uczucia tego wielkiego człowieka.

Oczywiście on nigdy nie opuści swojej żony.

Wychował się w katolickiej rodzinie.

Otrzymał katolickie wychowanie.

Nie powinnam się tego spodziewać.

On jest po stacją, która przejdzie do historii.

Uznany przywódca wolnego świata.

Inicjator wojny w Wietnamie.

(Tak blisko Korei!

Tam doszło do sławetnego spotkania Marilyn Monroe z oddziałami amerykańskich żołnierzy.) Bliski
inwazji na komunistyczną Kubę.

Och, Prezydent jako wróg był niebezpiecznym człowiekiem.

Była z niego dumna, była przejęta.

Bez przerwy pisała o nim prasa i pokazywano go w telewizji.

Żył w męskim świecie historii i polityki, w świecie nieustannych konfliktów.

I radości z tych konfliktów.

Czymże jest polityka, jak nie wojną prowadzoną innymi środkami.

Celem jest pokonanie wroga.

Przetrwanie najlepiej przystosowanych.

Do bór naturalny.

Miłość jest ludzką słabością.

Blondwłosa Aktorka chciała zapewnić swego Migiem, że hej, rozumiała.

Podeszła do fortepianu, przyciągnęła ją srebrzysta róża.

Usiadła przy klawiaturze w cichym domu, osłonięta przed bezlitosnym słońcem.

Przyciskała klawisze niepewnie, wstydliwie.

Jak ktoś, kto boi się zagrać po długiej przerwie, bo wie, że jego skromne umiejętności zaczęły zanikać.

Właściwie nigdy nie zagrała całego utworu Dla Elizy i już go nigdy nie zagra.

Jeszcze bardziej się bała, że opuszkami palców uruchomi strumień wspomnień o utraconym czasie, o chwilach zbyt bolesnych, by je teraz wywoływać.

Mamo?

Czy chciałaś ode mnie czegoś, czego nigdy nie mogłam ci dać?

Gdzie popełniłam błąd?

Tak bardzo się starałam.

Zastanawiała się, czy gdyby lepiej grała na fortepianie u pana Pearcea i lepiej śpiewała dla biednej Jess Flynn, to jej dzieciństwo okazałoby się inne.

Może to, że nie miała talentu, było tak bolesne dla Gladys Mortensen, że przyczyniło się do jej szaleństwa.

Może po prostu coś w Gladys pękło.

Ale wydawało się teraz, że Gladys przestała ją winić.

Nikt się na świat nie prosi, prawda?

Mimo wszystko czuła się optymistką.

W tym domu, jej pierwszym domu, znowu zacznie grać na fortepianie.

Wkrótce weźmie parę lekcji.

Kiedy w jej życiu zapanuje większy ład.

Czekała na wezwanie od Księcia.

Cóż, czemu nie?

Niemal nie wiedząc, co czyni, jakby działała pod wpływem jakiegoś impulsu, zgodziła się na nowy film.

Wytwórnia naciskała.

Naciskał agent.

A mniej więcej w okresie załatwiania spraw rozwodowych rozmawiała z Maxem Pearlmanem o możliwości występu w sztuce wystawianej przez Nowojorski Zespół, nie będzie to już Dziewczyna o włosach jak len, ale raczej Dom lalek Ibsena albo Wujaszek Wania Czechowa.

Ku rozczarowaniu Pearlmana wyglądało na to, że nie może podać żadnego dogodnego terminu.

Do całej sprawy podchodziła na pozór z entuzjazmem młodej dziewczyny, mówiła o niej z zapałem, ale tygodnie upływały i ani ona, ani Holyrod nie dawali znaku życia; jeśli Pearlman telefonował, rzadko oddzwaniali z jakąś propozycją.

Projekt wygaś.

Za bardzo się boję.

Nie mam odwagi na spotkanie z żywą publicznością.

Gdy w snach grała na scenie, strach paraliżował ją do tego stopnia, że traciła kontrolę nad pęcherzem i budziła się w zmoczonym łóżku.

"Och, mój Boże, tylko nie to".

Pamiętała odór moczu z materaca Gladys w Lakewood.

I będzie sobie przypominała, jakby to się zdarzyło naprawdę, chwilę, kiedy się zmoczyła w nowojorskiej sali prób.

"Rany, w...wstałam, a cały tył sukienki miałam mokry, kleił mi się do nóg.

Och".

Tej historii o Dziewczynie nie opowie w Białym Domu.

Schadzka.

To takie romantyczne: Nie w Kalifornii, ale w Nowym Jorku, kiedy Prezydent będzie tam z wizytą.

W największej tajemnicy, jak rozumiała.

Tak, ale musiała pracować.

Nigdy nie poślubiła zamożnego człowieka, wychodziła za mąż z miłości.

W każdym przypadku z miłości.

Ale nie tracę nadziei.

Och, tak, spróbuję ponownie!

Musiała pracować i w obecnej sytuacji nie do niej należało dyktowanie warunków.

Po klęsce kasowej Skłóconych zżyciem nie mogła przebierać w scenariuszach.

Agentowi powiedziała: "Och, Roslyn Tabor to mimo wszystko moja najlepsza rola, no nie?

Wszyscy są tego zdania".

Rin Tin Tin zaczął na nią warczeć w taki sposób, że gdybyś nie znał Hollywood, wzięłbyś to za objaw rozbawienia, lecz po chwili oświadczył rozsądnie: "Zgoda, Marilyn.

Wszyscy to potwierdzają".

Więc zapytała: "Ale ty tak nie uważasz?

Nie uważasz?

" Na co odparł w stylu, jakim posługiwał się coraz częściej po Skłóconych z życiem: Jakie ma znaczenie to, co ja myślę?

Ważne, co myślą miliony Amerykanów, którzy tłoczą się jak barany w kolejce do kasy, żeby kupić bilety na przebój.

Albo się nie tłoczą".

Poczuła się urażona jego słowami.

"Ale Skłócenie z życiem nie wypadli źle, prawda?

Wiesz, kto obejrzał ten film?

I komu bardzo się s...spodobał?

Prezydent Stanów Zjednoczonych!

Tylko sobie wyobraź".

Rin Tin Tin mruknął: "Prezydent powinien być zabrać ze sobą paru przyjaciół".

Odrzekła: "O co ci chodzi?

O czym m...mówisz?

" Rin Tin Tin złagodniał, jego głos zaczął brzmieć mniej więcej po ludzku.

"Droga Marilyn, Skłócenie z życiem nie wypadli źle.

Nie.

Jak na film bez Marilyn Monroe, wypadliby zupełnie przyzwoicie".

Już nie zapytała: O co ci chodzi?

, bo doskonale wiedziała o co.

Jej policzki płonęły, zaczęła obgryzać paznokcie u kciuka.

"Zatem to nie ma znaczenia, tak?

Potrafię grać i ludzie już to zauważyli.

Ale to nie ma znaczenia.

Przez te wszystkie lata gardzili Marilyn, bo była głupią, seksowną blondynką i nie umiała grać; teraz gardzą Marilyn, bo nie zrobiła tłoku przed kasą, co?

Teraz Marilyn odstrasza od kasy".

Zaalarmowany Rin Tin Tin wtrącił czym prędzej: "Marilyn, nie.

Oczywiście, że nie.

Nie opowiadaj takich rzeczy, bo ktoś może podsłuchać".

(Rozmawiali przez telefon.

Marilyn siedziała w swojej ustronnej hacjendzie, wszystkie żaluzje miała pozaciągane.) "Marilyn Monroe nikogo od kasy nie odstrasza".

Rin Tin Tin od czekał chwilę i usłyszał wibrujący sygnał przerwane połączenia.

Jeszcze nie.

Na kominku w ciemnym pokoju stały dwie smukłe statuetki.

Jedna od francuskiego przemysłu filmowego, druga od włoskiego.

Nagrody dla MARILYN MONROE za wybitną kreację w Księżciu i aktoreczce.

("Och, dlaczego nagradzają mnie akurat za to.

Dlaczego nie za Przystanek autobusowy Cholera!

") Nigdy nie otrzymała żadnej nagrody w Stanach Zjednoczonych, nie dostała nawet nominacji do Oscara za Przystanek autobusowy za Pół żartem, pół serio.

Wytwórnia żądała rzeczy rozsądnej (jak wyjaśnił Rin Tin Tin, chyba że był to nietoperzowaty pan Z), mianowicie powrotu do przesiąkniętych erotyką komedii z MARILYN MONROE, takich jak Pół żartem, pół serio albo Słomiany wdowiec, bo niby dlaczego Amerykanie mieliby wysuptywać ciężko zarobione pieniądze, aby zobaczyć drętwy film, który ich przygnębia?

Film taki jak to ich całe popieprzone życie?

Czy serdeczny, szczery śmiech to coś złego?

Albo poruszenie w spodniach?

Co? Do tego wystarczy cudowna blondynka, sceny, w których ubranie opada na podłogę, podmuchy powietrza unoszące spódniczkę do wysokości bioder?

W nowym, cudownym filmie, Somethings Got to Give, będą obcisłe kostiumy i beztroska blondynka, którą pokażą nagą w basenie.

Fan-tas-tycz-nie!

Hej, uwielbiam grać.

Aktorstwo jest naprawdę moim żywiołem!

Żyjąc zwyczajnie, nie bywam taka szczęśliwa jak wtedy, gdy gram.

Och, co to ja chciałam powiedzieć?

Cóż, wiesz, co mam na myśli.

(Dlaczego więc tak się boję?

nie będę się bała.)

Przyjęła więc tę rolę.

Wytwórnia natychmiast podała tę wiadomość do wszystkich gazet.

Niesamowicie, Marilyn Monroe wraca, znowu będzie pracowała.

I dopiero wówczas przeczytała scenariusz Somethings Got to Give, dostarczony przez spoconego, wąsatego chłopca na rowerze.

Usiadła przy basenie (w którym pływały palmowe liście, owadzie pancerzyki i coś, co wyglądało jak nitki ludzkiej spermy), przeczytała tekst, ale już po godzinie nie mogła sobie przypomnieć ani słowa.

Znalazła masę banałów, wyświechtanych frazesów.

I zupełnie idiotyczne dialogi.

Nie bardzo wiedziała, która rola należy do niej.

Nazwisko zmieniało się co parę stron.

"Chyba M...Marilyn ma posłużyć za dojną krowę?

Zachętę dla inwestorów?

" Rozmawiała teraz z Rin Tin Tinem osobiście, agent niedawno wkroczył w średni wiek, miał brzuszek, obwisłe, rybie policzki i patrzył, tak jak ona, mrużąc oczy.

Pouczył ją, że powinna jedynie przychodzić na plan, wypowiadać dostarczane jej kwestie, zapomnieć o wszelkich przygotowaniach, nie doprowadzać się do szaleństwa i nie robić innym piekła z życia.

"Pokaż się tylko, bądź seksowna i zabawna, bądź typową Marilyn, zabaw się trochę dla od miany, czy jest w tym coś złego?

" Usłyszała swój bezkrompromisowy głos:

"Ach, tak?

Przecież to jest gównno, którego nawet Marilyn nie zje".

Następnego ranka, po wykręceniu numeru agenta, usłyszała swój głos:

"No cóż, zgoda.

Chyba potrzebuję pieniędzy?

"

Ten film nigdy nie wyda się jej realny.

Ostatni film, z którym będzie kojarzona MARILYN MONROE.

PREZYDENT I BLONDWŁOSA AKTORKA; SCHADZKA

W pierwszym tygodniu po Wielkanocy 1962 roku przyszło wezwanie!

"Czy wątpiłam w niego?"

Nie".

Proszę się ubrać w sposób nie zwracający uwagi, pani Monroe.

Jakiś męski głos w słuchawce.

Tych wiadomości była cała seria, niektóre bezpośrednie, inne zakodowane.

Przeczuwała, że rozpoczyna się najbardziej ekscytująca i istotna przygoda jej życia jako kobiety.

Do tego doświadczenia przygotowywała się osobiście.

Musiała się obyć bez profesjonalnego makijażu, bez pomocy garderobianego.

Kupiła nowe ubrania (na kredyt, w Saks Beverly Hills) w skromnych kremowo-wrzosowych barwach;

platynowe włosy, niedawno rozjaśnione, częściowo ukryła pod stylowym, kloszowym kapeluszem.

Tylko szminka była jaskrawa, ale czyż nie takie mają być szminki?

Wyglądała w sumie jak Lorelei Lee, tylko że zachowywać się miała z wdziękiem i powściągliwie, jak na przyjaciółkę prezydenta przy stało, prezydenta i osobę z wyższych sfer.

Mimo to ludzie z Secret Service stanowiący jej eskortę spojrzeli na nią najpierw ze zdziwieniem i dezaprobatą, potem z pogardą i wyraźną niechęcią.

"Spodziewaliście się może Matki Teresy?"

Była Dziewczyną, która pisze własne kwestie.

Czasami nikt się nie śmiał ani nawet nie udawał, że ją słyszy.

Agentami Secret Service byli Dick Trący i taki drobny mężczyzna, jak on się nazywał, jego żona miała na imię Maggie...

Och, tak: Jiggs.

Osobliwa eskorta, która towarzyszyła jej do miejsca tajnej schadzki w eleganckim hotelu C przy Fifth Avenue na Manhattanie!

Spokojnie tłumaczyła sobie: Ci ludzie oddali do dyspozycji Prezydenta swoje życie.

Gdyby było trzeba, osłoniliby sobą jego ciało przed pociskami.

Kilkugodzinny lot z Los Angeles do Nowego Jorku oznaczał gwałtowny postęp w czasie.

Jednakże przybywając na miejsce, odniosła wrażenie, że cofnęła się w przeszłość.

O całe lata?

Moje życie na Manhattanie.

Życie małżeńskie.

Kiedy to było?

Nigdy nie myślała o Dramaturgu.

O mężczyźnie, z którym żyła przez pięć lat.

Kiedys agent przysłał jej kartkę wyrwaną z "Variety" - pozytywną, ale dość powściągliwą recenzję Dziewczyny o włosach jak len.

Doczytała ją do słów: "n...na pewno zabrakło w tej poważnej inscenizacji jednego, mianowicie prawdziwie urzekającej Magdy.

Aby ta rola wypadła wiarygodnie, należałoby..."

Na Manhattanie miórzęby stały w pękach, przy Park Avenue pięknie kwitły tulipany i żonkile, chociaż było bardzo zimno!

Blondwłosa Aktorka odczuła wstrząs, przybywszy z gorącej Kalifornii; nie zabrała ze sobą ciepłych ubrań.

Nawet światło wyglądało tu inaczej.

Czuła się niepewnie, była zdezorientowana.

Ale wiosna to kwiecień, prawda?

Uzmysłowiła sobie, że pokręciła składnię: To znaczy, kwiecień to wiosna, prawda?

Bezgłośnie jechali na północ Park Avenue kuloodporną limuzyną i ten większy z dwójki mężczyzn, ten o kanciastej szczęce, pozbawiony poczucia humoru, którego nazywała w myśli Dick Trący, mruknął: "To jest wiosna, pani Monroe".

Czyżby mówiła na głos?

Wcale nie chciała.

Drugi mężczyzna z eskorty, przysadzisty, blady, o twarzy jak ziemniak, o pustych białych oczach, wykapany Jiggs, ssał dolną wargę i gapił się po nuro przed siebie.

Byli zwykłymi funkcjonariuszami w cywilu.

Prawdopodobnie nie bardzo im się podobało zadanie, jakie mieli do wykonania dla Prezydenta.

Blondwłosa Aktorka miała ochotę się wytłumaczyć: "Nie chodzi o seks.

Między Prezydentem i mną.

W każdym razie ma to niewiele wspólnego z seksem.

To spotkanie naszych dusz".

Kierowca limuzyny na pewno też pracował w ochronie, miał ponurą twarz jak pozostali, na głowie kapelusz.

Na lotnisku ledwie raczył skinąć głową w stronę pani Monroe.

Dziwnie przypominał Jugheada, postać z komiksów.

Rany, to czasem przeraża. Komiksowi ludzie zaludniają świat.

Poprzedniego dnia specjalny kurier, posłaniec na rowerze, dostarczył Blondwłosej Aktorce bilety lotnicze pierwszej klasy (kupione oficjalnie dla "P.

Belle", czyli dla - dowiedziała się o tym od szwagra Prezydenta - "Prezydenckiej ślicznotki"), a podczas lotu z Zachodniego na Wschodnie Wybrzeże miała powody podejrzewać, że pilot i załoga wiedzieli coś o jej związku z Białym Domem.

"Tym razem nie o to chodzi, że jestem Marilyn.

To dla nich szczególny dzień, szczególny lot".

Czuła się szczęśliwa i jakby na przekór wydawało się jej, że samolot musi się rozbić!

Ale się nie rozbił.

Kilka razy wpadł w turbulencje, lecz poza tym nic szczególnego się nie wydarzyło.

Och, jest Dom Perignon, proszę, panno Belle.

Specjalnie dla pani, panno Belle.

Miała dla siebie dwa miejsca z przodu kabiny pierwszej klasy.

Traktowano ją jak członka rodziny królewskiej.

Żebraczka występowała tu jako Jasnowłosa Księżniczka.

Och, była poruszona do głębi.

Opiekowała się nią jedna ze stewardes, dbała, aby nikt Blondwłosej Aktorce nie przeszkadzał, aby pozostając incognito, mogła zatopić się w marzeniach o schadzce.

Jedynie trzy razy rozmawiali przez telefon, ale i tak bardzo krótko.

Gdyby nie podobizny Prezydenta w prasie i w telewizji (którą oglądała nocami), prawdopodobnie już by nie pamiętała, jak on wygląda; w słabym świetle przebieralni (u Binga Crosbyego w Palm Springs, niedaleko pola golfowego - czy nie tam się spotkali?)

mógłby być każdym mężczyzną w średnim wieku, o temperamencie młodzieńca, ładnej twarzy amerykańskiego chłopca i potężnym, nienasyconym popędie seksualnym.

Tamtego ranka połknęła w rozsądnych dawkach miltown, amytal i kodeinę (jedną tabletkę, bo chyba miała lekką gorączkę).

W tym okresie swego życia - gotowa była przysiąc, że to stan przejściowy - odwiedzała dwóch, trzech, może czterech lekarzy i każdy z nich, nie wiedząc o innych, wystawiał jej recepty na leki.

Żebym tylko mogła zasnąć, doktorze!

Och, że bym tylko mogła się przebudzić.

I uspokoić nerwy, które są jak poszarpany jedwab.

Doktorze, ależ nie, oczywiście nie piję.

Nie jem czerwonego mięsa; mój żołądek miałby kłopoty z jego strawieniem.

Na lotnisku La Guardia pierwsza stanęła do wyjścia, na drżących nogach.

"Panno Belle?

Odprowadzę panią".

Stewardesa przeprowadziła ją wąskim tunelem od samolotu do bramy, gdzie czekało dwóch ponurych mężczyzn w popielatych garniturach i kapeluszach.

Na chwilę ogarnęła ją panika.

Jestem aresztowana?

Co się ze mną stanie?

Była Dziewczyną, która głupio się uśmiechała.

Trzęsły się jej dłonie, niemal upuściła niewielki bagaż, ale większy z agentów odebrał go jej.

Zwracali się do niej "pani Monroe", względnie "proszę pani", jakby byli zawstydzeni i udręczeni, że słyszy ich nawet ona, ich podopieczna.

Znacząco odwrócili policyjny wzrok od jej ust w kolorze fuksji, od obfitych piersi, które im się nie podobały, zimnokrwistym skubańcom.

Nie jesteście przypadkiem zazdrośni?

O swego szefa.

Bo jest normalnym facetem, nie?

Ale postanowiła być dla nich słodka.

Szczebiotąła pogodnie, przyjaźnie, jak na Dziewczynę przystało, podczas gdy milczący mężczyźni przeprowadzili ją sprawnie przez lotnisko (ściągając na siebie kilka zdumionych spojrzeń, ale nie zwalniając) do podstawionej limuzyny.

Pojazd był smukły, czarny, błyszczący i mógłby pomieścić z tuzin osób.

"Ooo, mam nadzieję, że jest kuloodporny".

Roześmiała się nerwowo.

Usiadła z tyłu na pluszowym siedzeniu, obciągnęła brzeg spódnicy poniżej kolan, rozsiewając zapach ekscytujących kobiecych perfum, a eskortujący ją mężczyźni zajęli miejsca po bokach, przy oknach.

Czy Prezydent poinstruował ich, że mają także ją osłaniać przed pociskami?

Czy automatycznie było to związane z wezwaniami Prezydenta?

"Rany, czuję się jak RIP".

Roze śmiała się nerwowo w reakcji na milczenie mężczyzn.

"Nie, to znaczy jak VIP.

O to mi chodzi?

"

Mężczyzna o ziemistej cerze, czyli Jiggs, mruknął coś pod nosem.

Był rozbawiony?

Chyba nie.

Dick Trący, widziany z profilu, nie zdradzał żadnych oznak, że w ogóle słucha.

Pomyślała: Ci mężczyźni.

Ta trójka.

Noszą pistolety!

Cóż, poczuła się urażona.

Odrobinę.

Najwidoczniej nie podobał im się jej kremowo-wrzosowy kostium z dzianiny, kupiony w Saks Beverly Hills - duży dekol, sterczące piersi, kształtne biodra.

Nogi tancerki.

Stopy w od krytych pantofelkach z krokodylej skóry i obcasy wysokie na cztery cale.

Paznokcie u nóg i rąk pomalowała na gustowny, matowy kolor.

Usta w kolorze fuksji, włosy blond i - bez wątpienia - blask Marilyn odwracały uwagę od jej nienaturalnie białej skóry, która wyglądała niczym pomalowany na biało stiuk w tropikalnym upale.

Ci mężczyźni odrzucali ją jako kobietę, jako osobę, jako historyczny fakt.

Miała nadzieję, że nie popełni błędu, a oni nie wyciągną pistoletów i nie zabiją jej.

Jakże fatalnie działali na Blondwłosą Aktorkę w trzydziestym siódmym roku życia, kobietę u szczytu sławy, mężczyźni, którzy patrzyli na nią bez pożądania.

Dlaczego?

Bo ja potrafiłam tak was kochać.

Dick Trący, odwróciwszy od niej wzrok z wyrazem ponurej, kołtuńskiej satysfakcji, mówił Blondwłosej Aktorce, że plany Prezydenta niespodziewanie się zmieniły, zmieniają się zatem także jej plany.

Pewna nie cierpiąca zwłoki sprawa wzywała go z powrotem do Białego Domu, w związku z czym ona odleci samolotem jeszcze tego popołudnia.

Nie spędzi nocy w Nowym Jorku.

"Oto pani bilety na powrót do Los Angeles na dzisiejszy wieczór.

Z hotelu do La Guardia pojedzie pani taksówką".

Mimo szumu w uszach Blondwłosa Aktorka myślała z zadziwiającą jasnością, pocieszała się: Mój kochanek nie jest zwyczajną osobą, jest postacią z Historii.

Głośno mruknęła: "Och, rozumiem".

Nie mogła ukryć, że jest zdziwiona, urażona.

Rozczarowana.

Dziewczyna była tylko człowiekiem, jak wszyscy, prawda?

Ale nie chciała dać satysfakcji Dickowi Trący, nie chciała zapytać, o jakiej pilnej sprawie mowa, by nie otrzymać odpowiedzi, że to informacja ściśle tajna.

Samochód skręcił w boczną uliczkę.

Jechał w stronę Central Parku.

Usłyszała swój dziecięcy głos i pytanie:

- R...raczej nie może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

Co to za pilna sprawa?

Mam nadzieję, że nie chodzi o wojnę n...nuklearną!

Ani o nic okropnego w Związku Radzieckim!

I jakby na zawołanie, chociaż spokojnie, nie okazując satysfakcji, Dick Trący odparł:

- Pani Monroe.

Przykro mi.

To informacja ściśle tajna.

Kolejne rozczarowanie: limuzyna nie podjechała od frontu do słynnego starego hotelu C przy Fifth Avenue, tylko wąską uliczką pod tylne wejście do tego charakterystycznego, masywnego budynku.

Blondwłosa Aktorka dostała płaszcz przeciwdeszczowy, czarną plastikową pelerynę z kapturem .

co miało przypominać znajomą scenę z filmu, z łagodnej slapstickowej komedii, w której każda scena nie trwa dłużej niż kilka minut.

Och, z jakim zapałem miała uciec tym zimnokrwistym mężczyznom i rzucić się w ramiona kochanka!

Po chwili Jiggs ośmielił się wręczyć jej papierową chusteczkę i poprosić, aby uprzejmie zechciała zetrzeć z ust "czerwoną szminkę", ale ona się oburzyła i odmówiła.

- Proszę pani, może się pani umalować jeszcze raz w środku.

Jeśli będzie pani chciała.

- Nie zrobię tego - odparła.

- Proszę mnie wypuścić z samochodu.

Wyjęła z torebki bardzo ciemne okulary i przystonięła nimi połowę twarzy.

Jiggs i Dick Trący poszeptali między sobą i zapewne uznali, że została odpowiednio przygotowana do pokonania incognito odległości około dwudziestu stóp, bo wreszcie otworzyli drzwi limuzyny, wyszli ostrożnie na zewnątrz i wprowadzili Blondwłosą Aktorkę - w absurdalnym płaszczu z kapturem - przez tylne wejście w powiew nieświeżych, kuchennych zapachów i czym prędzej do skrzypiącej windy towarowej, którą pojechali na szesnastą, ostatnią kondygnację budynku; tam drzwi się otworzyły, a oni ponagliłi ją do szybszego wyjścia.

- Pani Monroe...

proszę mi podać rękę.

Odparła:

- Sama potrafię chodzić.

Nie jestem kulawa.

- Chociaż potykała się trochę w swoich pantofelkach na wysokim obcasie.

Produkcji włoskiej, najdroższych butach, jakie kiedykolwiek miała, z noskami w kształcie litery V.

Agenci zapukali do drzwi ze stosownym napisem: Apartament Prezydencki.

Blondwłosa Aktorka raptem poczuła się nieswojo.

Czy ja jestem towarem, żeńskim mięsem, żeby mnie tak dostarczać?

Co to niby jest?

Obsługa hotelowa?

Ale zdjęta pelerynę i wręczyła ją eskorcie; scena komediowa dobiegła końca.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich kolejny ponury funkcjonariusz Secret Service, który ledwie skinął głową w kierunku Blondwłosej Aktorki i bąknął: "Psze pani!

" Od tego momentu wszystko będzie się kołysać, jakby scenę kręcono kamerą, którą ciągle ktoś trąca.

Blondwłosej Aktorce pozwolono skorzystać z łazienki: "Gdyby miała pani ochotę się odświeżyć, pani Monroe".

W małym, wyłożonym marmurem pomieszczeniu sprawdziła makijaż, który zachował się zdumiewająco dobrze, i oczy, duże, kryształowoniebieskie, z wyrazem szczerego zdziwienia; białka nadal były trochę przebarwione od mnóstwa popękanych mikroskopijnych naczyń, które wolno się goiły; miała nadzieję, że w łagodnym świetle sypialni białe linie wokół jej oczu ujdą uwagi kochanka.

29 maja 1962 roku Prezydent miał skończyć czterdzieści pięć lat, ona zaś, 1 czerwca 1962 roku, trzydzieści sześć; jak dla niego była nieco za stara, ale może on o tym nie wiedział?

Bo Marilyn wyglądała doskonale!

znakomicie pasowała do roli!

Wyperfumowana, wystrojona, wygolona, ze świeżo utlenionymi włosami na głowie i wzgórków tonowym - purpurowa pasta nieprzyjemnie podrażniła jej wrażliwą skórę - więc na pewno była do roli przygotowana: Marilyn, laleczka o platynowych włosach, sekretna kochanka Prezydenta.

(Chociaż na pokładzie samolotu przeżyła trudne chwile.

Wymiotowała w miniaturowej toalecie, mimo że od dwudziestu czterech godzin nie mogła nic zjeść.

I drżącymi dłońmi przy słabym świetle poprawiła makijaż.) Tak, musiała przyznać, że "czuła się trochę smutna" po tym, jak jej powiedziano dość obcesowo, iż jej schadzka z Prezydentem zostanie drastycznie skrócona;

przecież ich randka miała trwać całą noc i cały dzień.

Blondwłosa Aktorka połknęła tabletkę miltown na uspokojenie oraz benzedrynę, aby nabrać energii i odwagi.

Skorzystała z toalety i umyła się między nogami (w Palm Springs roznamiętniony prezydent nie szczędził jej tam pocałunków, zresztą całował ją chyba wszędzie); nie zwróci uwagi na zgniecione

wilgotne kawałki papieru toaletowego w koszu przy umywalce, na chusteczki po plamione szykowną szminką w śliwkowym kolorze.

Nie!

Nie zwróci uwagi.

- Tędy, proszę pani.

- Agent, którego wcześniej nie widziała, z górną szczęką wystającą jeszcze bardziej niż u Królika Bugsa, poruszający się równie sprężystym krokiem jak owa postać z kreskówki, poprowadził ją długim korytarzem.

- Tutaj, proszę pani.

Z zapartym tchem Blondwłosa Aktorka weszła do przestronnego, ale słabo oświetlonego pokoju, którego ściany tonęły w mroku.

Ten pokój był tak samo duży jak jej salon w Brentwood i umeblowany, jeśli potrafiła to trafnie ocenić, autentycznymi francuskimi antykami.

W każdym razie jakimiś tam antykami.

Ależ luksus!

Ale romantycznie!

Pod stopami miała gruby orientalny dywan.

Ciężkie zasłony z brokatu wisały w wysokich, wąskich oknach, chroniąc pomieszczenie przed ostrymi promieniami kwietniowego słońca, tak jak zasłony w oknach jej sypialni nie wpuszczały do środka jeszcze cieplejszych promieni kalifornijskiego słońca.

W powietrzu unosiła się mieszanka zapachów: papierosowego dymu, przypalonych tostów, nie świeżej bielizny, ciał.

Na łożu pod baldachimem spoczywał nagi Prezydent, mówił coś szybko do słuchawki, trzymając aparat na torsie; leżał w zmiętej pościeli, między rozrzuconymi bezładnie poduchami, jej Księżę, nadąsany, zarumieniony, jakże przystojny!

Jak to możliwe, że Pierwsza Dama była wobec niego oziębła?

Blondwłosa Aktorka wchodziła na scenę, gdzie czekał na nią jedyny partner, z którym miała zagrać.

Nie było wiadomo, gdzie za czynają się kulisy, a gdzie znajdowała się publiczność.

Wchodzę do Historii!

Z tym tylko, że sztuka już się rozpoczęła.

Obok Prezydenta, na łóżku, stała srebrna taca z porcelanowymi talerzykami, ubrudzonymi stężalym żółtkiem i okruchami tostów, z filiżankami, kieliszkami do wina i napoczętą butelką burgunda.

Prezydent: nad jednym okiem loczek siwiejących włosów.

Atrakcyjne męskie ciało pokryte błyszczącym, brązowym runem, bardziej gęstym na torsie i nogach; mogło się zdawać, że włożył kamizelkę.

Kartki "New York Timesa" i "Washington Post" leżały porzucane po całym prawdziwie królewskim łożu; otwarta butelka szkockiej kołysała się niebezpiecznie na ustawionej pionowo poduszce.

Ujrawszy Blondwłosą Aktorkę, zjawisko w kremowych odcieniach i promiennym uśmiechu w kolorze fuksji, Prezydent ciężko przełknął ślinę, uśmiechnął się promiennie i skinął głową, aby podeszła do niego, choć nadal trzymał przy uchu słuchawkę.

W uznaniu dla jej urody nawet jego penis poruszył się wśród płataniny sztywnych włosów, niczym duży, przyjaźnie nastawiony ślimak, który bez trudu potrafi się powiększać.

Oto było powitanie warte pielgrzymki na odległość trzech tysięcy mil.

- Migiem.

Się masz.

Blondwłosa Aktorka zdjęła kapelusz w kształcie klosza, potrząsnęła platynowymi włosami i roześmiała się radośnie.

Och, to była scena!

Czuła, że się odprężyła, że strach ją opuszcza.

Jeśli była tu jakaś publiczność, to niewidoczna.

Pokój kołysał się w mroku; oświetlona przestrzeń należała wyłącznie do niej i Prezydenta.

Najbardziej zadziwiająca była atmosfera - zabawnego, śmiesznego, wolnego od napięć spotkania; erotycznej schadzki tak swobodnej, że postronny obserwator byłby skłonny wierzyć, że Blondwłosa Aktorka i Prezydent wiele razy spotykali się w podobnych okolicznościach, że od lat byli kochankami.

Blondwłosa Aktorka, która niemal nie odczuwała seksualnego pożądania, drzemiącego w jej zmysłowym ciele jak dziecko wtłoczone w manekina, patrzyła w zdumieniu na Prezydenta.

Najbardziej atrakcyjny mężczyzna spośród tych, których kochałam!

Może z wyjątkiem Carla.

Pochyliłaby się z gracją, aby pocałować Prezydenta na powitanie, tylko że mężczyzna trzymał przy ustach ten cholerny mikrofon i mruczał:

"Aha!

No. Jasne.

Okej.

Cholera".

Gestem pokazał, aby usiadła przy nim na łóżku, co też zrobiła; z wyrazem twarzy przerażonego niedorostka żartobliwie objął ją obnażoną, umięśnioną nogą i wolną ręką pogładził jej włosy, ramiona, piersi, kształtną krągłość biodra.

Szepnął, na poły boleśnie:

- Marilyn.

To ty.

Witaj.

Szepnęła w odpowiedzi:

- Migiem.

Witaj.

Jęknął cicho:

- Miło cię widzieć, maleńka.

Mówię ci, co ja mam dzisiaj za dzień.

Odparła z pasją, jakiej, nie miała wątpliwości, Pierwsza Dama nie mogłaby powtórzyć:

- O rany, właśnie się dowiedziałam.

Jak mogę ci pomóc?

Wyszczierzony w uśmiechu Prezydent chwycił jej dłoń, którą muskała jego nie ogoloną szczękę, i zamknął jej palce wokół sterczącego pionowo członka; był to dość nagły ruch, ale nie zaskakujący; w Palm Springs była nieco zaszokowana śmiałością tego mężczyzny, choć istniało coś kojącego w podobnie nagłej zażyłości, na pewno; wiele się wyzbywasz, lecz w zamian otrzymujesz równie dużo i to bardzo szybko.

Blondwłosa Aktorka zaczęła ochoczo głaskać penis Prezydenta, jakby głaskała urocze, choć nie sferne zwierzątko na oczach dumnego właściciela.

Jednakże, ku jej irytacji, Prezydent nie odłożył słuchawki.

Rozmowa nie tylko trwała, ale stała się znacznie poważniejsza; pewnie po drugiej stronie linii podeszła do telefonu inna osoba, argumentująca z większym przekonaniem - jakiś doradca Białego Domu albo członek gabinetu (Rusk?

McNamara?

). Przedmiotem dyskusji była Kuba.

Padło na zwisko Castro, wspaniałego rywala Prezydenta!

Blondwłosa Aktorka po czuła dreszcz wyzwania, chociaż nie znała faktów.

Pamiętała przystojnego, brodatego kubańskiego rewolucjonistę ze zdjęcia zamieszczonego jakieś dziesięć lat temu na okładce "Timea"; dawniej, dla wielu obywateli amerykańskich, Castro był prawdziwym bohaterem.

Oczywiście od tego czasu jego wizerunek zmienił się radykalnie i Castro należał obecnie do komunistycznych wrogów.

Dziewięćdziesiąt mil od terytorium Stanów!

Zarówno młody Prezydent, jak i jeszcze młodszy Castro byli aktorami w romantycznym, heroicznym stylu; obaj sami zapewnili sobie start jako "ludzie z ludu", próżni, efektowni, bezlitośni dla przeciwników, wielbieni przez zwolenników, którzy wybaczyliby im wszystko; jeden z nich, amerykański prezydent, obiecał globalną obronę "demokracji"; drugi, kubański dyktator, poświęcił się owej skrajnej formie politycznej i ekonomicznej demokracji zwanej komunizmem, który był tak naprawdę totalitaryzmem.

Każdy pochodził z zamożnej rodziny, jednakże publicznie swoje losy związał z "ludem"; jeden z nich będzie elokwentnie krytykował "republikańskie układy gospodarcze", drugi przeprowadzi krwawą rewoltę przeciwko kapitalizmowi, w tym przeciwko kapitalizmowi amerykańskiemu.

Częścią legendy Castro było to, że pewny siebie Kubańczyk, w znoszonym wojskowym mundurze i butach, lekcewał środki bezpieczeństwa, choć ciągle wisiała nad nim groźba zamachu, często uciekał ochronie, mieszając się z rozentuzjasmowanymi "masami".

Amerykański Prezydent pragnął być równie odważny albo przynajmniej tak samo postrzegany!

Obaj mężczyźni zostali wychowani w tradycyjnej wierze katolickiej, wyćwiczeni przez jezuitów i może od lat chłopięcych nasiąkali jezuickim poczuciem bycia ponad prawem, może nie ponad boskim, ale ludzkim, a jeśli Bóg nie istnieje, to cóż jest warte ludzkie prawo?

Przystojna twarz Prezydenta zmieniła się nie do poznania, stała się odstręczająca.

Prezydent obrzucił obelgami Castro w sposób szokujący dla Blondwłosej Aktorki: czy wolno jej jako zwykłej obywatelce i lojalnej demokratce słuchać takich uwag?

Czy może one tak brzmiały, ponieważ ich słuchała?

Scena pulsowała seksem.

Blondwłosa Aktorka stopniowo przestała pieścić Prezydenta, uświadomiwszy sobie, że w ogóle nie zaprzęta jego myśli.

Tylko Castro.

Jego rywal.

Z przerażeniem zauważyła brudne talerze i śliwkową szminkę na poduszce.

Czym prędzej zaczęła sprzątać.

Marilyn stała się kociakiem w stylu June Allyson.

Odstawiła tacę, starając się nie przyglądać zbyt dokładnie kieliszkom.

Przeniosła butelkę ze szkocką na nocny stół i zanim zdążyła się zastanowić, co robi - choć w głowie dzwoniło jej od mieszanki Dom Perignon i leków - wypła duży łyk whisky.

Zaczęła ją palić w przełyku!

Co za okropny smak!

Zakrzuszyła się, prychnęła.

I pociągnęła drugi łyk.

Minęła trzecia!

- wkrótce Prezydent będzie musiał zakończyć schadzki.

Nikt jej nie powiedział dokładnie, o której godzinie.

Rozmowa telefoniczna trwała w najlepsze.

Blondwłosa Aktorka zrozumiała, że Rosjanie i Kubańczycy wspólnie coś knują.

"Rewanż za Zatokę Świń, co?

Zobaczmy!"

Blondwłosa Aktorka zaczęła się w głębi duszy trząść, ponieważ Prezydent mówił o...

pociskach nuklearnych?

O sowieckich pociskach?

Na Kubie?

Miała ochotę zakryć sobie uszy.

Nie chciała podsłuchiwać; nie chciała narażać się na gniew Prezydenta; zorientowała się, że Prezydent jest porywczy jak Eks-Sportowiec, podobnie reaguje.

Gniew pobudzał go seksualnie i sprawiał mu przyjemność.

Zauważył, że ona patrzy na niego - jego penis kołysał się jak głowa w gniewie - i rzucił: "Chodź, maleńka".

Chwytał ją za włosy, przyciągnął i gwałtownie pocałował, mimo że cały czas trzymał słuchawkę między ramieniem a uchem.

Z wnętrza plastikowej słuchawki dobiegał zminiaturyzowany męski głos.

"Nie wstydz się" - szepnął Prezydent.

Jak w pospiesznie wyćwiczonej scenie Blondwłosa Aktorka pocałowała go, delikatnie pogłaskała i pogładziła włosy; chociaż dobrze wiedziała, czego się od niej oczekuje, czego żąda od niej scenariusz, nie podporządkowała się.

"Kochanie...?"

" Z początku łagodnie, potem z determinacją człowieka przyzwyczajonego do osiągnięcia wyznaczonych celów, Prezydent chwycił Blondwłosą Aktorkę za kark i skierował jej głowę do swojego kroczka.

Nie chcę.

Nie jestem dziewczyną na telefon.

Jestem...

Tak naprawdę była Normą Jeane, zażenowaną i wystraszoną.

Nie mogła sobie przypomnieć, w jaki sposób znalazła się w tym miejscu, kto ją tu przyprowadził.

Czy to Marilyn?

Ale dlaczego Marilyn robiła takie rzeczy?

Czego Marilyn chciała?

Czy to była scena z filmu?

Soft porno?

Odrzucała konsekwentnie wszystkie oferty, ale może to był znowu rok 1948, nie miała pracy, wyrzucili ją z Wytwórni.

Zamknęła oczy, próbując wyobrazić sobie pokój hotelowy, w którym się znajdowała; luksusowy pokój, grała w nim rolę sławnej blondwłosej aktorki spotykającej się z mężczyzną o chłopięcej urodzie, przywódcą świata, Prezydentem Stanów Zjednoczonych na romantycznej randce.

Była Dziewczyna z Góry w filmie porno, ten jeden raz, czemu nie?

Po omacku poszukała butelki z whisky, Prezydent litościwie pozwolił jej przełknąć trunek.

Ognisty napój palił w środku, ale też i uspokajał.

Każdą scenę (na tyle długą, że jest sceną, nie życiem) można odegrać.

Odegrać lepiej albo gorzej.

I nie potrwa to dłużej niż kilka minut.

Żadnych kłótni!

Kochankowie nigdy się nie kłócą.

Blondwłosa Aktorka leżała nago w objęciach mężczyzny.

Nareszcie mogła oddychać.

W jakiś sposób zdołała powstrzymać potężną falę mdłości.

Przerażała ją myśl, że mogłaby zwymiotować, krztusić się - nie ma nic gorszego - akurat w tym łóżku!
w ramionach tego mężczyzny.

Przeprosiła, że kaszle, ale wyglądało na to, że nie może przestać.

Potykanie nasienia mężczyzny jest wyrazem hołdu, ale za każdym razem wydaje się bardziej obrzydliwe; no tak, ale czy powinno takie być, jeśli mężczyznę kochasz?

kochasz jego kutasa?

jego nasienie?

Bolały ją szczęki, szyja, za którą ją trzymał, trzymał tak mocno, podrygując biodrami, iż pod koniec obawiała się, że złamie jej kark.

Rozpustna dziewczyna.

Rozpustna cipa.

Och, maleńka.

Jesteś fan-tas-tycz-na.

W filmach soft porno poszczególne sceny są złożone bez ładu i składu, nikt się nie troszczy o ciągłość, o narracyjną logikę, lecz w prawdziwym życiu scena erotyczna przechodzi w inną płynnie i naturalnie; teraz było już po rozmowie telefonicznej z Białym Domem, słuchawka leżała na widełkach; teraz Prezydent mógł mówić do Blondwłosej Aktorki i ona oczekiwała, że Prezydent odezwie się do niej, a kiedy tego nie zrobił, kiedy po prostu leżał i dyszał, zakrywając ramieniem spocone czoło, usłyszała własny głos, choć przecież brakowało jej tekstu, rozpaczliwie brakowało jej jakiegokolwiek tekstu.

- C...Castro?

Jest dyktatorem?

Ale, Migiem, czy powinno się karać kubański lud?

To embargo?

Rany, czy przez to nie znienawidzą nas jeszcze bardziej?

A potem...

- Zaskakujące słowa, wypowiedziane na sejsmicznym wypiętrzeniu królewskiego łoża.

Prezydent nie dał po sobie poznać, że ich słucha, tak samo jak nie dał po sobie poznać, że słyszy odgłosy z wiekowej instalacji kanalizacyjnej, na przykład szum wody spuszczonej w toalecie.

Po gwałtownym orgazmie Prezydent nie dotknął Blondwłosej Aktorki; jego zwiotczały penis leżał w szczeciniastym runie krocza i wyglądał jak stary ślimak; twarz Prezydenta przybrała wyraz ponurej dojrzałości; nie był już amerykańskim chłopcem, ale patrycjuszowskim patriarchą; ponieważ jednak nadal był nagi, ona pozostanie Dziewczyną.

Znowu próbowała coś powiedzieć, może usprawiedliwić się, że wyraziła nieuzasadnioną opinię, a może w kokieteryjnym, dziewczęcym stylu po wtórzyć tych parę zdań, gdy nagle ujrzała siebie na ruchomych schodach, .

niespodziewanie leciała w dół.

Albo niewykluczone, że to on uciskał jej tchawicę.

Słona dłoń przysłaniała jej usta, łokieć gniótł kark.

Nie miała siły, aby się opierać.

Straciła świadomość, a kiedy oprzytomniała jakiś czas później (oceniła, że mniej więcej po dwudziestu minutach; kleista substancja na prześcieradle zdążyła stężeć), dobierał się do niej ochoczo inny mężczyzna, nieznamy; dosiadał jej jak dżokej młodą klacz; mężczyzna w białej koszuli pachnącej krochmalem; mężczyzna nagi poniżej pasa; jego penis uderzał w nią na oślep, czasem do środka, w rozcięcie między nogami, w pustkę między jej nogami, skąd rozchodził się ból; odepchnęła go słabo, próbowała powiedzieć: Nie!

proszę!

to nie w porządku.

Kochała Prezydenta, a nie kogoś innego, nie powinno się tak wykorzystywać jej miłości.

Mężczyzna wiercił się w niej, a ona nie mogła się obudzić (czy to możliwe, że był to gładko wygolony Prezydent?

), wdzierał się w nią uporczywie, z niepojętą zawziętością człowieka kopiącego twardo ubity piasek.

Znowu upłynęło trochę czasu i teraz ktoś starał się jej pomóc wrócić do przytomności.

Potrząsał nią.

Głowa kiwała się jej bezwładnie na boki.

Przekrwione oczy obracały do wnętrza czaszki.

Gdzieś zabrzmiał lodowaty głos jej rozwścieżonego kochanka:

-Na miłość boską, zabierzcie ją stąd.

Znowu upłynęło trochę czasu.

Bogato zdobiony, mały zegar wybijał czwartą trzydzieści.

Nad jej głową głosy: "Pani Monroe.

Tędy.

Czy potrzebuje pani pomocy?

" Nie potrzebowała!

Cholera jasna, czuła się dobrze.

Nie pewnie trzymała się na nogach, to prawda, ubranie miała w nieładzie, ale czuła się dobrze, może była trochę oszołomiona, ale odtrąciła od siebie niepożądane ręce.

W złocistomarmurowej łazience.

W lustrze tak błyszczącym od światła, że aż bolały ją oczy.

Tak, to Magiczna Przyjaciółka.

Zmęczona, o żółtawej skórze, z zaschniętymi wymiocinami wokół ust.

Pochyliła się, by opłukać twarz, prawie zaczęła mdleć, ale ożywiła ją zimna woda.

Teraz mogła się wysikać.

Płynący mocz palił ją gorącym płomieniem, jęknęła tak głośno, że natychmiast rozległo się pukanie do drzwi.

"Proszę pani?

" Czym prędzej odpowiedziała, że wszystko jest w porządku, proszę nie wchodzić.

Z tych drzwi usunięto zamek, ale po co?

Na półce pod ścianą dostrzegła torebkę i podręczny bagaż.

Drżącymi dłońmi zdjęła poplamione ubranie, w które wcześniej pośpiesznie się wbiła, sądząc, że wyprowadzą ją od razu na ulicę, i przebrała się w jedwabną sukienkę w odcieniu intensywnej, królewskiej purpury, podobną do tej, w której Ciemnowłosa Aktorka z Karoliny Południowej wyglądała tak elegancko.

Pończochami postanowiła się nie martwić.

Pewnie pas zostawiła w sypialni.

Co tam, najważniejsze, że miała swoje drogie włoskie buty z ostrymi noskami.

Szybko zrobiła sobie makijaż, pomalowała opuchnięte usta szminką w kolorze płatków fuksji, wyciągnęła kapelusz w kształcie kosza i nacisnęła go na głowę, aby schować zbite włosy.

Dziewczyna głupawa jak Sugar Kane zasługuje na lanie.

Kiedy wychodziła z apartamentu bocznym wyjściem - Dick Trący z lewej strony, Królik Bugs z prawej, obaj mężczyźni trzymali ją za ramiona - przez uchylone drzwi zobaczyła Prezydenta!

swego kochanka!

a miała powody przypuszczać, że już opuścił apartament.

Był ubrany w doskonale skrojony garnitur z materiału w prążki, białą koszulę, stalowy krawat w paski; miał świeżo ogoloną twarz i włosy jeszcze mokre po kąpieli; rozmawiał i śmiał się do młodej dziewczyny o rudych włosach, ubranej w coś, co wyglądało na bryczesy; czyż nie tak się nazywa strój do konnej jazdy - bryczesy?

Prezydent i ruda dziewczyna mówili z identycznym bostońskim akcentem, Blondwłosa Aktorka gapiała się na nich, jej serce tłukło się w piersi.

Och, chyba nie była zazdrosna!

Ta dziewczyna mogła być jego krewną, przyjaciółką rodziny.

Blondwłosa Aktorka zawołała cicho: "Och, przepraszam!

", pragnęła wślizgnąć się do po koju, pożegnać z Prezydentem i poznać rudowłosą dziewczynę, ale Dick Trący i Królik Bugs nie pozwolili na to.

Gwałtownie ją szarpnęli; przestraszyła się, że wyrwali jej ręce ze stawów.

Prezydent spojrział w jej stronę.

Podszedł do drzwi i zamknął je tuż przed jej twarzą.

Próbowała bronić się przed prześladowcami.

Jeden z nich potrząsnął nią, drugi uderzył ją otwartą dłonią w twarz, usta zaczęły jej krwawić.

"Och, moja nowa sukienka".

To był Dick Trący z wykrzywioną, kanciastą szczęką.

"Nie jest pani ranna.

To jedynie czerwona szminka z ust".

Zaczęła krzyczeć.

Krwawiła przez palce.

Jeden z nich wcisnął jej do ręki - z odrazą - papier toaletowy.

Nie dali się jej zatrzymać.

Krzyczała, groziła, że powie, jak ją traktują, powie Prezydentowi, Prezydent każe ich zwolnić, wtedy pojawił się jiggs o ziemistej cerze, o wpatrzonych w nią oczach, które już nie wydawały się wygasłe ani pozbawione źrenic, i powiedział ostrzegawczo, pogardliwie: "Nikt nie będzie groził prezydentowi Stanów Zjednoczonych, droga pani.

To zdrada stanu".

Obudzi się, kiedy samolot wyląduje na międzynarodowym lotnisku w Los Angeles.

Pomyśli: Przynajmniej mnie nie zastrzelili.

Przynajmniej.

OPOWIEŚCI WHITEYA

Widziała w lustrze, Whitey płakał!

Wyjąkała:

-Whitey, o co...

chodzi?

Czuła się winna, wiedziała, że musi mu być jej żal.

Jej charakteryzator płakał, bo było mu jej żal.

Zrobiło się późno.

Był kwietniowy ranek, chyba że majowy.

W trzecim tygodniu pracy nad filmem.

Nie, to musiało być później, parę tygodni później.

Z początku myślała, że ma dzień wolny, potem uświadomiła sobie swój błąd, kiedy dzielny Whitey przybył punktualnie o siódmej trzydzieści, jak najprawdopodobniej zaplanowali.

Masażysta Nico odszedł nieco wcześniej.

Przypadek, albo może żaden przypadek, zważywszy, że obaj byli spod znaku Bliźniąt; masażysta Nico też cierpiał na bezsenność.

Nico nocą, Whitey o świcie.

Nigdy ich nie poprosi: Nie zdradzajcie moich tajemnic, proszę?

Znali ją nagą, ale nie gołą.

Teraz Whitey płakał, och, dlaczego?

Och, to była jej wina - na pewno.

Wiedziała.

Było późno!

Późno jak zawsze.

Wiedziała, nie patrząc na zegarek.

Chociaż zasłony były zaciągnięte, przymocowane do parapetu, nie dopuszczały słońca.

Krzyczałaby w udręce, gdyby odpłynąwszy wreszcie w namiastkę snu, musiała znieść choćby jeden promyk słonecznego światła, który by się jakoś przedarł do sypialni, kłuł ją w oczy jak igiełki, zbudził ją i przyspieszył bicie jej serca.

Nico odchodził w mrok, dobroduszny i trochę nieporadny;

Whitey, którego przybycie sygnalizowało koniec nocy, zapalał słabą żarówkę przy nocnej lampce, oczywiście po uzyskaniu pozwolenia swej pani.

Najwcześniejszym świtem Whitey przynosił swój zestaw do jej łóżka i delikatnie rozpoczął przygotowania (środek ściągający, nawilżający, maści), tymczasem ona leżała płasko na plecach, z zamkniętymi oczami, zatopiona w sennym mroku.

Tym razem nie był to chyba jeden z jej złych poranków.

A jednak Whitey płakał.

Chociaż zupełnie spokojnie, tak jak płaczą mężczyźni; starał się nie krzywić, nie robić grymasów, jedynie tży toczyły się po jego policzkach i zdradzały wewnętrzny smutek.

- Whitey?

Co się s...

stało?

- Pani Monroe, to nic.

Wcale nie płaczę.

-Och, Whitey...

oszukujesz.

Płaczysz.

-Nie, pani Monroe.

Nie płaczę.

Whitey, taki uparty.

Whitey, nieustraszony charakteryzator.

Nie mogła sobie przypomnieć, jak dawno temu rozpoczął pracę, wiedziała tylko, że minęły przynajmniej dwie godziny, ponieważ zdążyła wypić sześć filiżanek gorącej kawy zaprawionej środkiem przeciwbólowym i odrobiną dżinu (zwyczaj nabyty w Anglii podczas kręcenia kolejnego marnego filmu), a sam Whitey wypił już około litra soku grapefruitowego (jak to Whitey, pijackim sposobem bezpośrednio z butelki).

Whitey, który nigdy nie zapyta swojej pani: Pani Monroe, co się z panią stało, od czasu pani podróży do Nowego Jorku w kwietniu?

Och, co się stało?

Whitey, który niewiele mówił o sobie, niewiele mówił o innych.

Wprawne dłonie Whiteya i płatki bawełniane nasączone środkiem ściągającym.

Kojące maści, wałki, pesety, szczoteczki, kredki, pasty, róże - to wszystko pozwalało osiągnąć magiczny skutek.

W każdym razie prawie pozwalało.

Tego ranka Whitey pracował godzinami i nie przywołał w lustrze pełnej MARILYN MONROE.

W takie fatalne dni nie mogła wyjść z domu, nie ośmielała się opuszczać bezpiecznej sypialni, póki nie pojawiła się MARILYN MONROE.

Nie musiała to być koniecznie MARILYN MONROE doskonała, lecz chociaż MARILYN MONROE rozpoznawalna i w miarę po rządna.

Kobieta, o której przypadkowy przechodzień na ulicy nie będzie mógł powiedzieć oszołomiony: O Boże, to naprawdę jest Marilyn Monroe?

Nie poznałem jej!

Aktorka miała gorączkę i cierpiała na infekcję wirusową.

Czuła się tak, jakby głowę wypełniał jej hel.

Zażyła dużo silnych lekarstw, mimo to gorączka się utrzymywała.

Może miała malarię?

Może zaraziła się od Prezydenta jakąś rzadką chorobą?

(Może była w ciąży?)

Jeden z lekarzy w Brentwood oświadczył, że powinna położyć się do szpitala - ma za mało białych ciałek krwi - więc przestała do niego chodzić.

Wolała psychiatrów, którzy nigdy jej nie badali, jedynie przepisywali leki: ich interpretacja problemu miała charakter teoretyczny, freudowski.

To znaczy mityczny, legendarny.

Osoba tak piękna jak pani, pani Monroe, niema najmniejszego po wodu do zmartwień.

Osoba, która ma taki talent.

Sądzę, że pani o tym wie, prawda?

Przez dwa dni minionego tygodnia i kolejno przez trzy dni w tym tygodniu Whitey dzwonił do Wytwórni, aby poinformować reżysera C, że pani Monroe jest chora i nie może przybyć do pracy; w inne dni pojawiała się spóźniona o kilka godzin, kaszląca, z zaczerwienionymi oczyma i katarem, albo, co zadziwiająco, jako promiennie piękna MARILYN MONROE.

Sam widok MARILYN MONROE na planie wywoływał kiedyś w ekipie filmowej uczucie ulgi, aplauz, okrzyki radości.

Ostatnio jednak witała ją martwa cisza.

C, szanowany hollywoodzki wyrobnik.

C, który pogardzał MARILYN MONROE i bał się jej.

C, który podpisał kontrakt z pełną świadomością tego, w co się pakuje, lecz bardzo potrzebował tej pracy, tych pieniędzy.

Nie bez podstaw Norma Jeane będzie twierdziła, że C karał ją nieustannym usuwaniem scen, wyrzucaniem całych części z banalnego scenariusza Somethings Got to Give i żądaniem natychmiastowych przeróbek.

Za każdym razem, kiedy MARILYN MONROE była przygotowana do sceny, dostawała na powitanie nowy dialog.

Zmieniało się imię jej filmowej postaci, od Roxanne, poprzez Phyllis i Ouinnie, do Roxanne.

Powiedziała któregoś razu do C z drżącym chichotem MARILYN (wtedy jeszcze rozmawiali ze sobą): "O, rany!

Wiecie, do czego to jest cholernie podobne?

Do życia".

Tego ranka MARILYN pojawiła się w lustrze tylko na chwilę i natychmiast wycofała się niczym rozbawione dziecko.

Pojawiła się i cofnęła.

Zakręciła się i uciekła.

Mieszkała gdzieś w szklanych głębinach lustra i należało ją zwabić.

Magiczna Przyjaciółka Normy Jeane, ta sama, którą kiedyś podziwiała, lecz której teraz nie mogła ufać.

Nie mógł jej zaufać biedny Whitey.

Whitey, który był znacznie bardziej cierpliwy niż Norma Jeane i nie znie chciał się tak łatwo.

Bo gdy Whitey malował jej rzęsy, mogła się nagle pojawić figlarna MARILYN o oczach skrzących się życiem, która śmiała się i mrugała do nich obojga; jednak po kilku minutach, po ataku kaszlu, oczy MARILYN zniknęły.

Norma Jeane patrzyła na to z niepokojem i odrazą.

"Och, Whitey.

Dajmy spokój".

Whitey ignorował tego typu uwagi jako niegodne ani jego, ani jej.

Norma Jeane zawsze starała się ukrywać rozpacz.

Tyle mogła zrobić dla Whiteya, który ją kochał.

Biedny Whitey, w ciężkiej służbie u MARYLIN MONROE przytył, poszarzał i posiwiał.

Jego obojnacze, miękkie ciało miało kształt gruszki, głowa, kształtna głowa o szlachetnych rysach, była nieproporcjonalnie mała, ustawiona na masywnych, spadzistych ramionach.

Jego oczy coraz bardziej przypominały oczy jego pani, oczy starego dziecka.

Należał do plemienia trolli, był dumny, uparty i lojalny.

Jeśli czasem potknął się o coś leżącego na podłodze (zastanej niczym plaża po sztormie ubraniami, ręcznikami, papierowymi talerzykami, pojemnikami z jedzeniem, książkami, gazetami i nie chcianymi scenariuszami, które przysyłał agent), słyszała, jak klnie cicho do siebie - nie inaczej niż normalna osoba - ale nigdy jej nie upominał, i jak sądziła, nie oceniał.

(Normę Jeane z czasem zmęczyło ciągłe sprzątanie po Marilyn. Jej fatalne nawyki były najwidoczniej podstawowymi wadami charakteru; nie do usunięcia!

Wytwórnia zaangażowała sprzątaczkę do dbania o dom pani Monroe i o panią Monroe, inwestycję Wytwórni, ale Norma Jeane poprosiła tę kobietę, żeby wróciła najwcześniej za tydzień.

"Możesz nadal dostawać pensję.

Ale ja potrzebuję samotności".

Odkryła, że kobieta zagląda do jej szaf i szuflad, czyta jej dziennik, ogląda srebrzystą różę stojącą w wazonie na fortepianie.) Whitey był jej przyjacielem, droższym jej sercu niż nocny Nico.

Zostawiała Whiteyowi niespodziankę w swoim testamencie: procent od przyszłych tantiem Monroe, gdyby w przyszłości były jakieś tantiemy.

A jednak z oczu Whiteya nadal płynęły łzy.

To był niepokojący widok.

- Whitey, co się dzieje?

Proszę, powiedz?

- Pani Monroe.

Proszę spojrzeć na sufit.

Uparty Whitey pochylił się nad jej twarzą, marszcząc brwi.

Malował na powiece ciemnobrązową kreskę zdradliwie ostrym ołówkiem, szczoteczką nakładał tusz na podwinięte rzęsy.

Miał oddech pachnący owocami, ciepły jak u dziecka.

Kiedy w końcu skończył niezwykle absorbujące zadanie, wyprostował się i przyjrzał się swojej pracy z pewnej odległości od lustra.

- Pani Monroe, proszę mi wybaczyć moją słabość, ale ostatniej nocy zmarła moja kotka, Marigold.

- Och, Whitey.

Jakże mi przykro.

Marigold?

- Miała siedemnaście lat, pani Monroe.

Była stara jak na kota, wiem o tym, ale nigdy nie wyglądała staro!

Dopiero w godzinie swojej śmierci, na moich rękach.

Miała długą, jedwabiście gładką sierść, łaciatą.

Była przybłądą, pewnego razu pojawiła się przy tylnych drzwiach mojego domu osierocona, opuszczona i głodna.

Marigold większość nocy przesypiała na mojej piersi, towarzyszyła mi zawsze, kiedy byłem w domu.

Miała taką właśnie ujmującą cechę charakteru, pani Monroe.

A jak miło mruczała!

Nie wiem, jak będę bez niej żył.

Ta długa przemowa Whiteya, który rzadko wypowiadał więcej niż kilka słów, zdziwiła Normę Jeane.

Pod makijażem Marilyn Monroe i platynowymi włosami poczuła wstyd.

Chwytałaby Whiteya za ręce, gdyby mężczyzna nie odsunął się i nie schował twarzy w dłoniach.

- Odeszła tak nagle.

Już jej nie ma.

Nie mogę w to uwierzyć.

A jeszcze rok nie minął, jak umarła moja matka.

Norma Jeane widziała odwróconą twarz Whiteya w lustrze.

Za bardzo się zdziwiła, aby zareagować.

Matka?

Matka Whiteya?

Nie wiedziała, że Whiteyowi zmarła matka; nie wiedziała nawet, że Whitey miał matkę.

Norma Jeane pochlebiała sobie, że troszczy się o swoich asystentów.

Pamiętała, kiedy przypadały ich urodziny, dawała im prezenty i słuchała ich opowieści.

Niewiele one znaczyły dla szerokiego świata, ale dla niej znaczyły więcej niż jej własne, które zresztą ten szeroki świat skwapliwie wyolbrzymiało.

Jakże miała teraz zareagować na cierpienie Whiteya?

Najwidoczniej śmierć Marigold zaprzętała większość jego myśli; spał z Marigold, opłakiwał Marigold; jednakże Norma Jeane musiała porozmawiać o jego matce.

Dziwne, że wtedy Whitey nie wspomniął o tym ani słowem.

Ani słowem.

Nic a nic!

W ogóle nigdy nic nie powiedział o swojej matce, dopiero teraz.

Współczuć mu teraz z powodu obu śmierci znaczyło trywializować śmierć jego matki.

Lecz mimo wszystko Whitey płakał właśnie po śmierci Marigold.

W końcu Norma Jeane powiedziała ogólnikowo:

- Och, Whitey.

Nawet nie wiesz, jak mi przykro.

- Tyle musiało wystarczyć w obu wypadkach.

- Pani Monroe oświadczył Whitey obiecuję, że to się więcej nie po wtórzy.

Wytał twarz i wrócił do pracy.

Wreszcie sprawi, że oszałamiająca, młoda Marilyn Monroe pojawi się na planie przeklętego filmu *Some Things Got to Give*, wprowadzie z kilkugodzinnym opóźnieniem, ale pojawi się!

Kiedy sprawnie kończył pudrowanie i nadawał ostatni szlif fryzurze, Norma Jeane myślała zaniepokojona: Była już taka historia.

To rosyjska opowieść.

Woźnica zaczyna płakać, bo umarł mu syn, a nikt nie chce słuchać?

Och, dla czego nie mogę sobie przypomnieć. Oświeciło ją, że od kiedy jej rozszoszczony kochanek zamknął jej drzwi przed nosem, zapomniała tak wiele.

Inna opowieść Whiteya.

Któregoś dnia Whitey zrobił swojej pani maseczkę.

Na terenie Wytwórni, a dokładniej w garderobie.

Szlam na maseczkę pachniał okropnie nawozem, rowem z nieczystościami, ale ona lubiła ten zapach, uważała, że pasuje do Normy Jeane.

Kiedy maseczka schła, ściągając skórę, działało to na nią kojąco, hipnotyzująco i uspokajająco.

Leżała na wyściełanej kanapce, przykryta ręcznikami, na oczach miała wilgotne płatki bawełny.

Tego dnia dotarła do Wytwórni osłabiona i spokojna.

Oddano ją pod opiekę asystentów jak inwalidkę, bo tak naprawdę MARILYN MONROE właśnie opuściła szpital Cedars of Lebanon (zapalenie pęcherza, zapalenie płuc, wyczerpanie, anemia?)

i tego dnia planowano wykonanie w Wytwórni zdjęć dla prasy - żadnych tekstów, żadnego grania, żadnego powodu do obaw.

Zatem leżała na plecach, a Whitey nakładał szlam na jej twarz; szybko odpłynęła w sen, jak ktoś, kogo pozbawiono kłopotliwych zmysłów; do dziewczynki, która za dużo widzi, przyleci wrona i wydziobie jej oczy; do dziewczynki, która za dużo słyszy, przyjdzie na ogonie duża ryba i pożre jej uszy, po chwili jednak obudziła się, usiadła podniecona i zmieszana, zdjęła z oczu płatki bawełny, zobaczyła siebie w lustrze - twarz w szlamie, szeroko otwarte oczy - i przeraźliwie wrzasnęła.

Whitey podbiegł czym prędzej z ręką na sercu, zapytał, co się stało, pani Monroe, a ona roześmiała się: "Rany, myślałam, że nie żyję.

Przez krótką chwilę".

Śmiali się więc oboje, bo mieli z czego.

Wśród mnóstwa prezentów w tej garderobie MARILYN MONROE, dawniej należącej do Marleny Dietrich, stała otwarta butelka z likierem czekoladowo-wiśniowym; wypili po kilka łyków i znowu zaczęli się śmiać, do łez, bo kobieta w maseczce z borowiny to widok naprawdę komiczny, usta i oczy bez szlamu, ale otoczone szlamem, i naraz Norma Jeane powiedziała drżącym głosem Marilyn, a to oznaczało, że mówi poważnie, nie żartuje i nie flirtuje, i zależy jej, aby tego nie powtarzać:

-Whitey?

Musisz mi obiecać jedno.

Kiedy...

- zawahała się, czy powiedzieć "umrę" czy "odejdę", przez wzgląd na Whiteya - Czy zrobisz Marilyn makijaż?

Ostatni raz?

Whitey odparł:

- Tak, pani Monroe.

HAPPY BIRTHDAY, MR. PRESIDENT

Śniła się jej, że jest w ciąży, ma dziecko z Prezydentem, ale z tym dzieckiem coś było nie tak, oskarżają ją o zabójstwo, bo narkotyki, które przyjmowała, zniekształciły płód, nie większy niż konik morski unoszący się w płynnej ciemności, w każdym razie Prezydent, choć wierny katolik, choć aborcja przerażała go tak samo jak antykoncepcja, pragnął zapobiec narodowemu skandalowi i dlatego płód miał zostać usunięty chirurgicznie, Hej, wiem, że to zwariowany sen, budziła się co pół godziny, rozdygotana i spocona, serce tłukło się jej ze strachu, że jeden z nich (Dick Trący, Jiggs, Królik Bugs, Snajper) dostał się po kryjomu do jej domu, aby ją uśpić chloroformem (tak jak ją uśpili w hotelu C i pogrążoną we śnie, przykrytą pogniecionym czarnym płaszczem przeciwdeszczowym z kapturem, do starczyli do samolotu na lot powrotny do Los Angeles), więc wykręcała numer do Carla, choć wiedziała, że Carlo nie podniesie słuchawki, cóż, samo wykręcanie numeru do Carla uspokajało jak modlitwa, duma nie po zwoli jej zastanawiać się, czy dużo kobiet - i mężczyzn - dzwoni do Carla ze strachu zbyt banalnego, by go jednoznacznie określić, ale później tego dnia, kiedy całkowicie się obudziła, wiedziała, gdzie się znajduje: To jest prawdziwe życie!

Nie scena, zadzwonił telefon, a kiedy podniosła słuchawkę, mówiąc głosem Dziewczyny, jakby z zadyszką: "Cześć!

Halo?

Kto mówi?"

(miała zastrzeżony numer, znały go tylko osoby drogie jej sercu albo związane z jej karierą), usłyszała trzaski, które oznaczały, że telefon jest na podsłuchu; samochód z odpowiednim wyposażeniem stał gdzieś dyskretnie na sąsiednim podjeździe, ale oczywiście nie miała na to żadnych dowodów, nie chciała przesadzać, bo zdawała sobie sprawę, że narkotyki pogarszają stan nerwów, nasilają podejrzliwość, wywołują biegunkę, beztróskę, wymioty, paranoiczne myśli i emocje.

Ale przecież to, co przedstawia wyobraźnia, mogło się już wydarzyć.

Dzień później, kiedy pod niebem w akwarelowo-apokaliptycznych barwach mrok łagodził zarysy przedmiotów, leżała na plastikowym fotelu przy basenie (w którym nigdy nie będzie pływała) i podniosła wzrok, aby go ujrzeć, nie Prezydenta, ale jego szwagra, który Prezydenta przypominał - zresztą obaj wyglądali, jakby byli blisko spokrewnieni - i który powiedział: "Marilyn.

Znowu się spotykamy".

Ten genialny, obłudny eks-aktor, którego (jak się ku swemu zażenowaniu dowiedziała) w pewnych kręgach znano z sympatią, w innych z pogardą, jako Prezydenckiego Stręczyciela.

To diabeł.

Ale przecież nie wierzę w diabła?

Tego dnia łatwo ją było zranić.

Czytała Trzy siostry Czechowa i wyobrażała sobie, że może zagrać Maszę; niedawno skontaktował się z nią pewien bardzo ceniony reżyser z Nowego Jorku i zapytał wprost, czy nie wystąpiłaby w przedstawieniu o ograniczonym do sześciu tygodni okresie wystawiania.

Usłyszała w sobie głos optymistki:

Czemu nie?

Umiem gwizdać jak Masza, ponieważ dojrzała do Maszy, dojrzała do tragedii; dusza pesymistki przemawiała innym głosem: Znowu ci się nie powiedzie, nie ryzykuj.

Sukces MARILYN MONROE miał smak nie powodzenia w jej ustach, smak wilgotnego popiołu, ale tu nagle stanął nad nią wysłannik Prezydenta i "pożerał ją oczami", MARILYN MONROE w czarnym bikini, czytając Dramaty wybrane Czechowa, co na pewno byłoby jeszcze bardziej zabawne, gdyby miał przy sobie aparat fotograficzny, Chryste!

Bez trudu potrafił sobie wyobrazić, co przeżył z nią Prezydent, jego kumpel od kieliszka i jebania.

Poprosił Marilyn o drinka i poszła, aby mu go przygotować (boso, jej tyłeczek podrygiwał przykryty cieniutką czarną skórą, a cycki, no cóż, były najbardziej niesamowite spośród tych, które w życiu widział u samicy Homo sapiens), a kiedy wróciła, wyskoczył z niespodzianką: zapraszano MARILYN MONROE do zaśpiewania Prezydentowi Happy Birthday na.

uroczystej gali urodzinowej, która odbędzie się w Madison Square Garden pod koniec tego miesiąca, a przy tej okazji Partia Demokratyczna, partia ludu, przeprowadzi największą akcję zbierania funduszy w historii, zbierze około miliona dolarów od piętnastu tysięcy płacących za bilety gości, sumę potrzebną na listopadowe wybory; zapraszano wyłącznie specjalnych, wybitnie utalentowanych artystów i tylko dobrych przyjaciół Prezydenta, w tym MARILYN MONROE.

Wytrzeszczyła oczy.

Twarz bez makijażu, zwyczajna i ładna, włosy zaplecione w dwa warkocze - w żadnym razie nie wyglądała na swoje prawie trzydzieści sześć lat; była smutna, bliska płaczu, jakby zawstydzona:

- Och, ale on już mnie chyba nie l...lubi?

Prezydent?

Szwagier Prezydenta wydawał się zdumiony.

-Nie lubi cię?

Mówisz serio, Marilyn?

- Ponieważ nie odpowiedziała, obgryzała postrzępiony paznokieć u kciuka, zaprotestował: - Kochanie, musisz wiedzieć, że wszyscy za tobą przepadamy.

Za Marilyn.

Niepewnie, jak gdyby myślała, że jest oszukiwana, zapytała:

-Ty...

ty też?

- Bezwzględnie.

Nawet Pierwsza Dama, Królowa Śniegu, jak ją pieszczotliwie nazywają.

Uwielbia twoje filmy.

- Naprawdę.

O, rany!

Roześmiał się, dopił drinka, szkocką z wodą sodową, przygotowanego tak nieumiejętnie, że tylko dziecko mogłoby coś takiego przyrządzić, rodzaj naczynia też nie był odpowiedni, w dodatku z wyszczerbionym brzegiem.

"Nie widzieć niczego złego, nie słyszeć niczego złego.

To także moja strategia".

Powiedziała, że nie może polecieć do Nowego Jorku podczas realizacji filmu.

Wyjaśniła, że i tak niewiele brakuje do odsunięcia jej od tego projektu.

Och, było jej przykro, wiedziała, że to zaszczyt, honor, okazja jedyna na całe życie, ale nie mogła ryzykować zwolnienia i naprawdę nie mogła sobie na to pozwolić.

Nie była Elizabeth Taylor, która na swoich filmach zarobiła milion dolarów; jej udało się zarobić zaledwie sto tysięcy, a z tego, po odliczeniu wydatków, udziału agenta i Bóg jeden wie czego jeszcze zostało jej bardzo niewiele.

Och, prawie było jej wstyd, że nie ma zbyt dużo pieniędzy.

Może zechciałby ją wytłumaczyć przed Prezydentem?

Ten dom, za którym przepadała, też trochę ją kosztował, właściwie nie było jej na niego stać.

A bilety lotnicze, wydatki hotelowe, nowa sukienka, o rany, przecież musiałaby włożyć jakąś specjalną sukienkę na tę okazję, a to znowu koszt kilku tysięcy dolarów; gdyby zaś poleciała do Nowego Jorku i naruszyła postanowienia kontraktu, wtedy Wytwórnia z pewnością nie zapłaciłaby za sukienkę i nie pokryła jej wydatków; byłaby zdana wyłącznie na siebie; nie, nie może sobie na to pozwolić, spotkał ją ogromny zaszczyt, ale nie.

I tak wiem, że on mnie nienawidzi.

Nie szanuje mnie.

Dlaczego ma mnie eksploatować ta banda!

Prezydencki Stręczyciel pocałował ją w rękę.

- Marilyn.

Do zobaczenia.

Będzie kosztować pięć tysięcy dolarów.

Nie miała pięciu tysięcy dolarów, ale (zgodnie z obietnicą!)

organizatorzy urodzinowej fety Prezydenta pokryją wydatki, w tym cenę sukienki, więc chodziła do miary, podekscytowana, zdenerwowana, oszołomiona niczym amerykańska uczennica szykująca sukienkę na bal maturalny.

I to jaką sukienkę!

Z cienkiego jak pajęczyna materiału w kolorze cielistym, pokrytego magicznie setkami - tysiącami?

- kryształków, zatem MARILYN MONROE będzie błyszczała, jarzyła się, mieniła, zdawała eksplodować w delirycznie wirujących światłach reflektorów Madison Square Garden.

Rzecz jasna pod sukienką nie będzie miała nic.

Absolutnie nic.

MARILYN MONROE to gwarantuje.

Starannie zgoliła włosy na całym ciele, stała się gładka jak laleczka.

Och, jak tamta łysa lalka o wiotkich nogach z jej dzieciństwa!

Z tym że u MARILYN MONROE nic nie było zwiotczałe, jeszcze nie.

Wiwatujący tłum będzie gapił się na nią, na nakręcaną sekslale Prezydenta, na nadmuchiwaną platynowoblond lalę, jaką się wydawała; wszyscy będą się gapili i wyobrażali sobie to, czego w istocie nie będą mogli zobaczyć, ocienioną cipę!

ocienioną szparę!

ocienione wcięcie między ponętymi kremowobiałymi udami tej kobiety!

jak gdyby ów cień był sakramentem.

Tak się złożyło, że mistrzem ceremonii został nie kto inny, tylko przystojny szwagier Prezydenta, zwany wśród bliskich Stręczycielem; ubrany w smoking, jowialny, uśmiechnięty od ucha do ucha sprawił, że rozgrzana do czerwoności publiczność ryczała, gwizdała, tupała i klaskała, wyrażając entuzjazm dla MARILYN MONROE, dziwki Prezydenta.

Była tak pijana, że mistrz ceremonii musiał ją odnaleźć za sceną, chwycić pod ramiona i ani na chwilę nie przestając się uśmiechać, wypchnąć do mikrofonu.

W butach na wysokim obcasie i zaszyta ciasno w sukienkę, ledwo mogła iść, stawiała drobne, dziecięce kroki.

Była taka przerażona, choć miała w sobie narkotyki i alkohol po same dziurki w nosie, że niemal nie widziała na oczy.

Co za spektakl.

Co za widowisko.

Publiczność złożona z piętnastu tysięcy wpływowych demokratów rykiem wyraziła swoją aprobatę.

Chyba że się tylko dobrodusznie wyśmiewała.

Mari-lyn!

Mari-lyn!

Występ tej niesamowitej kobiety stanowił wielki finał urodzinowej fety i wydarzenie, na które warto było czekać.

Otrząsnął się nawet Prezydent, który wcześniej przespał niektóre popisy, w tym pieśni gospels odśpiewane a cappella przez murzyński chór mieszany z Alabamy.

Prezydent siedział sobie wygodnie w łoży nad sceną - czarny krawat, nogi na poręczu, między zębami duże cygaro (kubańskie, najlepsze).

Co za piękne, mlecznobiałe, mocne zęby.

Patrzył w dół na MARILYN MONROE, widowisko w ciele kobiety, na mieniącą się, "nagą" sukienkę.

Czy Marilyn miała czas, aby się zastanowić, czy Prezydent przyjedzie do Los Angeles na skromną uroczystość jej urodzin pierwszego czerwca, nie, chyba nie miała czasu, bo nagle znalazła się przed mikrofonem, oślepiona, z tępych uśmiechem na twarzy; oblizywała nerwowo usta, jakby rozpaczliwie usiłowała sobie przy pomnieć, gdzie się znajduje, co tu się dzieje; jej oczy błyszczały, chwiała się w butach na wysokim obcasie i w końcu, po niepokojąco długiej przerwie, zaczęła śpiewać słabym, zadyszczanym, gardłowym i seksownym głosem MARILYN:

HAP py birth day to YOU Happy birth dayyyy to YOU H-bap py bir th day mis ter PRES i dent Happy BIRTH day TO YOU

Te wysapane sylaby jakoś pojawiły się, mimo okropnej suchości w jej ustach, ryku w uszach i oślepiających, wirujących reflektorów; trzymała mikrofon, trzymała go kurczowo, aby nie upaść, za nią stał mistrz ceremonii, klaskał energicznie w dłonie i uśmiechał się jak lis, zerkając na jej po śladki w mieniącej się sukience; znajdą się tacy wśród obecnych, którzy będą twierdzić, że MARILYN rzuciła tęskne spojrzenie w stronę Prezydenta, rozpartego niczym zepsuty młody książę w łoży u góry, że wyłącznie on był adresatem tej ni to kołysanki, ni to miłosnej piosenki, ale Prezydent nie był w nastroju sentymentalnym, raczej w towarzyskim, otoczony przez gromadę najbliższych towarzyszy, w tym przez rywalizujących z nim braci, natomiast Pierwsza Dama - co znaczące - nie zaszczyciła swoją obecnością tej wulgarniej uroczystości w Madison Square Garden, bo z reguły lekceważyła hałaśliwe imprezy, bardziej ceniła ludzi łagodniejszego usposobienia niż ten tłum działaczy partyjnych, banda prymitywów!

Kiedy Prezydent patrzył na MARILYN MONROE gruchającą do niego zmysłowo, jeden z jego sąsiadów trącił go łokciem: "Mam nadzieję, że lepiej się pieprzy, niż śpiewa, Pręż", na co dowcipny Pręż odparł, nie wyjmując cygara spomiędzy zębów: "Nie, ale jak ją pieprzysz, to nie musisz słuchać, jak śpiewa" - czym wywołał wybuch wesołości w łoży.

Tak naprawdę Marilyn udało się jakoś przebrnąć nie tylko przez jedną, ale nawet przez dwie zwrotki Happy Birthday, chociaż wszyscy ją obserwowali tak uważnie, jak publiczność lino skoczka, który

nagle dostał zawrotów głowy i wszyscy w śmiertelnej ciszy czekają, kiedy spadnie; a jednak zaśpiewała, nie myląc się ani razu (jak się zdawało), nie jękając się i nie gubiąc; w końcu skłoniła tłum, by w radosnym finale przyłączył się do niej.

Tej nocy Marilyn była niesamowita, to fantastyczna artystka, nikt inny nie miałby dość odwagi, aby stanąć przed gromadą piętnastu tysięcy ludzi, wiedząc, że nie ma talentu, przy tym wyglądała na pijaną, choć piękną w ten swój trupioblady sposób, wyglądała na zwłoki unoszące się tuż pod powierzchnią wody, była taka słodka, że tej nocy wszyscy zakochaliśmy się w niej znowu, w Marilyn zaszytej w prze dziwną, lśniąca sukienkę, nie ubranej, raczej zaszytej jak kiełbasa i jedno nas zdziwiło, ona niemal potrafiła śpiewać tym smętnym głosem ducha.

I naraz już było po wszystkim.

Popatrzyła na nich spod zmrużonych powiek, na tych nieznajomych, którzy ją wielbili.

Klaskali, domagali się bisu.

Z ożywieniem klaskał Prezydent oraz jego kompani.

Śmiali się i klaskali.

Och, lubili ją!

Szanowali.

Nie przyjechała chora i przerażona na darmo.

To jest najszczęśliwszy dzień mojego życia - próbowała im wyjaśnić - teraz mogę umrzeć szczęśliwa, taka jestem szczęśliwa, och, dziękuję. Próbowała to wyjaśnić, ale roześmiany mistrz ceremonii w smokingu ponaglił ją do odejścia: "Dziękuję, dziękuję, pani Monroe".

- Ktoś z obsługi wyszedł zza kulis, aby pomóc jej zejść ze sceny.

Biedna, otępiła kobieta wsparła się na ramieniu nieznajomego Widać było, że jest chora, wyczerpana, dała z siebie wszystko, co miała, przykro było na nią patrzeć, wspierała się na ramieniu nieznajomego i prawdopodobnie osunęłaby się na podłogę, zasnęła, gdyby nie powiedział do niej łagodnie: Pani Monroe?

przecież nie chce pani tutaj leżeć i oto ciężko oddychała, trzymała się framugi, potem pochyliła nad półką w łazience, była sama, walczyła z napadami mdłości, w swojej łazience przy 12305 Helena Drive, gapiąc się na jędzowatą twarz w lustrze, w ogóle nie opuszczała domu?

nie poleciała do Nowego Jorku, aby zaśpiewać Prezydentowi Happy Birth day?

poleciała, tylko że od tamtej pory minęło kilka dni, wyrzucili ją z Wytwórni i wezwali do zapłacenia miliona dolarów odszkodowania (według "Variety"), ale miała swój moment w historii, w szafie wisiała niezwykła, "naga" sukienka z mnóstwem kryształków, taka piękna sukienka nie powinna wisieć na wieszaku metalowym, tylko obszytym materiałem, ale nie było takiego w domu, jeśli zaś był, to nie wiadomo gdzie, och, Boże, co przeżyła, widząc, że wiele kryształków odpadło, poza tym ta sukienka kosztowała tak dużo, a "zwrotu" wydatku nie należało się spodziewać.

Och, wiedziała to!

PRZESYŁKA SPECJALNA

3 SIERPNI 1962

Przybyła Śmierć, pędząc do niej, choć nie mogła wiedzieć, w jakiej formie i kiedy.

Wieczorem tego dnia, kiedy nadeszła wiadomość o śmierci Cassa Chaplina.

Odłożywszy w odrętwieniu słuchawkę telefonu, siedziała długo bez ruchu, czując w ustach coś słonawego i chłodnego.

Cass nie żyje!

Nie pożegnaliśmy się.

Miał trzydzieści sześć lat, tyle samo co ona.

Jej brat bliźniak.

Wzmianki pośmiertne w prasie nie będą życzliwe dla Charliego Chaplina juniora, syna Małego Trampa.

"Czy to moja wina?

Tyle minęło lat".

Mieć teraz poczucie winy byłoby luksusem.

Mieć poczucie, że się żyje!

Zadzwoił Eddy G, jak się zdawało podпиты i rozdrażniony.

Rozpoznała go natychmiast.

W pierwszej chwili chciała zażądać wyjaśnień, w jaki sposób zdobył jej numer, ale przypomniała sobie słowa Prezydenta, że nie istnieją zastrzeżone numery.

Słuchała jak sparaliżowana, wiedząc, że Eddy G zadzwoniłby tylko w jednym celu - aby donieść o śmierci Cassa Chaplina, tak samo jak Cass zadzwoniłby jedynie po to, aby jej donieść o śmierci Eddyego G.

A więc to Cass jest pierwszym z nas, Bliźniąt!

Zawsze uważała Cassa za ojca Maleństwa, chociaż nigdy nie mówiła o tym głośno.

Ponieważ kochała go bardziej, niż mogła pokochać Eddyego G.

Ponieważ wkroczył w jej życie przed Marilyn.

Kiedy została Miss Złote Marzenia i świat się przed nią otworzył.

Czy to moja wina?

Wszyscy chcieliśmy śmierci Maleństwa.

Cass zmarł, mówił Eddy G, wcześniej rano.

Zdaniem lekarza, pomiędzy trzecią a piątą nad ranem.

Gdzieś przy Topanga Drive, gdzie czasowo mieszkał i gdzie odwiedzał go Eddy G.

Zmarł śmiercią mordercy, nie ćpuna, usłyszała.

Norma Jeane ciężko przełknęła ślinę.

Och, wcale nie chciała tego wiedzieć!

Eddy G ciągnął opowieść drżącym głosem; można było sobie wyobrazić aktora docierającego do tkwiących w nim głęboko emocji, do gniewu; początek spokojny, choć to zdradliwy spokój, potem zaciskanie szczęk, na pięcie w głosie.

- Leżał na wznak w łóżku, zimny, wcześniej pił wódkę, jadł jajka, bułkę i jakąś chińszczyznę, zaczął rzygać, nie miał dość siły, aby się odwrócić na bok, nikogo przy tym nie było, zadławił się wymiocinami i udusił.

Klasyczna śmierć drinkera, co?

Zaszedłem tam i znalazłem go około południa.

Norma Jeane słuchała.

Ale nie była pewna tego, co usłyszała.

Siedziała teraz skulona, trzymając pięść w otwartych ustach.

Z chłopięcym zapalem Eddy G.

powiedział (jakby właśnie dlatego za dzwonił, nie po to, aby ją zranić czy zdenerwować):

- Cass zostawił ci pamiątkę, Normo.

Większość rzeczy mnie przypadnie, rozumiesz, byliśmy dobrymi kumplami, nigdy go nie opuściłem, no więc większość rzeczy została dla mnie, prócz tej pamiątki.

"Pewnego dnia od dasz to Normie", powiedział.

Wiele to musiało dla niego znaczyć.

"Moje serce zawsze należało do niej", mówił.

- Nie - szepnęła Norma.

- Co: nie?

-Wcale (...tego nie chcę, Eddy.

- Skąd wiesz, że tego nie chcesz, Normo?

Jeżeli nie wiesz, co to jest?

Nie odpowiedziała.

- Okej, maleńka.

Wyślę to.

Spodziewaj się przesyłki specjalnej.

Przybyła Śmierć, pędząc do niej, wreszcie w gasnącym świetle tego (jak przypuszczała, bo ani nie podchodziła do drzwi, ani nie odsłaniała większości okien) upalnego dnia Śmierć dzwoniła do drzwi, kończyła się udręka czekania albo wkrótce się skończy.

Śmierć odsłaniająca w uśmiechu białe, pieńkowate zęby, rękawem ocierająca z potu czoło - wysoki, wychudły latynoski chłopak w bawełnianej koszulce z napisem Cal Tech.

"Psze pani?

Paczka".

Miał brzydki, odrapany rower, jeździł nim po zatłoczonych ulicach, omijał korki; uśmiechnęła się na myśl o tym nieznanym chłopcu, który dostarczył jej Śmierć i nie miał pojęcia, co przywiózł.

Pracował w "Hollywoodzkich Usługach Kurierskich", uśmiechał się, licząc na suty napiwek pod tym adresem w Brentwood, a ona nie chciała go rozczarować.

Odebrała od niego lekką paczuszkę, zawiniętą w barwną bibułę z satynową kokardą.

"MM" ZAMIESZKAŁA 12305 FIFTH HELENA DRIVE BRENTWOOD, KALIFORNIA USA PLANETA ZIEMIA .

Usłyszała swój śmiech.

Na dowodzie doręczenia napisała "MM".

Posłaniec nie zapytał: tak się pani nazywa?

tak dziwnie?

Najwidoczniej nie rozpoznał "MM".

"MM" w ubraniu czystym, ale nie wyprasowanym, boso, z zaniedbanymi paznokciami u nóg, z których tu i ówdzie złuszczył się różowy lakier, ze zbitymi włosami z ciemnymi odroślami przy skórze, ukrytymi pod turbanem z ręcznika.

W bardzo ciemnych okularach przeciwsłonecznych, których szkła pozbawiały świat barw jak negatyw.

Powiedziała:

- Proszę poczekać.

Jedną ch...

chwileczkę.

Poszła poszukać torebki, znalazła ją, ale gdzie jest portfel, och, gdzie go zostawiła; miała nadzieję, że nikt go nie ukradł, tak wiele w życiu jej odebrano, tyle zgubiła, źle ulokowała, zniszczyła; nosiła ze sobą paczuszkę z satynową kokardą, jakby nie było to nic nadzwyczajnego, ot, przesyłka, której nadejścia się spodziewała, której zawartość znała; przygryzała dolną wargę, zaczęła się pocić, szukała tego przeklętego portfela wśród rozmaitych przedmiotów w zacienionym salonie: koło abażuru leżącego na sofie, z którego jeszcze nie zdjęła celofanu, wśród wzorzystych, meksykańskich zasłon kupionych tego lata, a jeszcze nie powieszonych, wśród ceramicznych wazonów w barwach ziemi, och, gdzież był jej portfel?

z prawem jazdy stanu Kalifornia, z kartami kredytowymi, z resztą gotówki; szukała w sypialni, gdzie unosił się ostry zapach medykamentów, perfum, rozsypanego talku, zgniętego ogryzka jabłka, który musiał się niedawno potoczyć pod łóżko, i w końcu znalazła to, czego szukała, w kuchni; przeszukała drogi portfel, prezent od zapomnianego przyjaciela, znalazła ostatni bank not i pobiegła z powrotem do frontowych drzwi, ale...

- Och, przepraszam.

Latynoski młodzian zniknął na swoim odrapanym rowerze.

Została z dwudziestodolarowym banknotem w dłoni.

Mały pasiasty tygrysek.

Dziecięca pluszowa zabawka.

Ta sama, którą kiedyś Eddy ukradł dla Dziecka.

- Och, mój Boże.

Tyle minęło lat!

Kiedy z początku drżącymi palcami ściągnęła papier, pomyślała - och, to była szaleńcza myśl - że tego tygryska ukradziono jej w sierocińcu, wprawdzie Fleece przyznała się do kradzieży, ale może (może!)

Fleece kłamała; potem pomyślała, że to jest tygrysek, którego sama uszyła dla Iriny z resztek materiałów, a Harriet nigdy jej za to nie po dziękowała; ale oczywiście wiedziała, że to był ten tygrysek, którego Eddy G ukradł z wystawy w sklepie.

Pamiętała ten sklep bardzo dokładnie:

ZABAWKI HENRIEGO.

SPECJALNOŚĆ ZABAWKI WYKONANE RĘCZNIE.

Eddy G przestraszył ją, rozbijając szybę i kradnąc małego pasiastego tygryska, kiedy Norma Jeane wspomniła, że chciałyby go mieć dla siebie i Dziecka.

Kiedy patrzyła na tę zabawkę, serce biło jej w piersi tak mocno, że całe jej ciało drżało.

Dlaczego Cass chciał, aby to do niej trafiło?

Choć minęło dziesięć lat, tygrysek wyglądał jak nowy.

Nigdy nie poszarpało go ani nie ubrudziło żadne dziecko.

Pewnie Cass wrzucił zabawkę do szuflady jako pamiątkę po Normie i Maleństwie, ale nigdy o niej nie zapomniał.

- Ale ty też życzyłeś Maleństwu śmierci.

Wiesz, że tak.

Przyjrzała się kartce, którą Eddy G dołączył do zabawki.

Chyba że były to słowa, które Cass napisał na wypadek swojej śmierci.

DLA MM ZA JEJ ŻYCIA - TWÓJ ZAPŁAKANY OJCIEC

"ODESZLI WSZYSCY DO JASNEGO ŚWIATA"

Fortepian widmo.

Potrafiła działać szybko, kiedy zaszła taka potrzeba.

Kiedy czas uciekał.

Dwie czy trzy rozmowy telefoniczne wystarczyły, aby Steinwaya dostarczono do szpitala w Lakewood, do sali odwiedzin na nazwisko GLADYS MORTENSEN.

Gladys wydawała się zakłopotana, kiedy jej wytłumaczono, jaki spotkał ją zaszczyt, ale w tej nowej fazie swego życia (miała sześćdziesiąt dwa lata, nie próbowała uciekać ze szpitala, nie niepokoiła innych pacjentów ani personelu, już od lat nie próbowała się zabić, stała się wzorową, ustabilizowaną pacjentką) pragnęła być szczęśliwa albo przynajmniej stwarzała takie pozory, jak dziecko, które reaguje uśmiechem na oczekiwania dorosłych; mimo zachęt nie chciała usiąść za klawiaturą, wstydliwie dotknęła klawiszy i zagrała kilka akordów w poważny, nabożny sposób, jak to zwykła czynić jej córka.

Norma Jeane wyjaśniła Dyrektorowi i patrzącemu z podziwem personelowi, że to cenny instrument, który starałam się utrzymywać w jak najlepszym stanie, czyż nie ma pięknego tonu?

więc zapewnili ją, że rzeczywiście, dźwięk jest doprawdy piękny i że to doceniają.

Ta scena została odegrana bez jakichkolwiek wcześniejszych prób, ale wypadła całkiem dobrze.

Zadziwiająco dobrze.

Dyrektor wyraził wdzięczność, a reszta personelu i kilkoro przyjaciół Gladys, uśmiechniętych i dość przytomnych, gapiała się na swojego gościa o blond włosach, którego otwarcie nazywali "pani Monroe"; Norma Jeane uznała, że upieranie się przy prawdziwym nazwisku nie ma sensu i byłoby po prostu niemądre.

W sali odwiedzin mały fortepian błyszczał upiornie między ciężkimi meblami jak fortepian ze wspomnień.

Powiedziała: Muzyka jest ważna dla dusz wrażliwych i samotnych, och, muzyka tyle dla mnie znaczyła banalne i dodające otuchy słowa, Dyrektor z sympatią chwycił ją za rękę po raz drugi czy trzeci, najwyraźniej nie chcąc, aby jego wspinały gość już ich opuścił.

Ale była umówiona, jak wyjaśniła, miała w planach inne spotkanie, pożegnała się z matką, pocałowała ją, lecz Gladys nie odpowiedziała ani pocałunkiem, ani uściskiem, uśmiechała się tylko, pozwalając córce całować i ścisnąć - Tak się czasem matka zachowuje, wiem - tak, prawdopodobnie pod wpływem leku, jednak o ileż bardziej litościwe i ludzkie jest stosowanie tych silnych środków uspokajających w porównaniu z lobotomią czy elektrowstrząsami, o ileż korzystniejsze w odniesieniu do pierwotnych, bezpośrednich emocji; Norma Jeane obiecała zadzwonić wkrótce, następnym razem zostać dłużej, i szybko odeszła, włożywszy z powrotem ciemne okulary, więc nie mogli zobaczyć jej oczu, ale jedna z młodszych pielęgniarek ośmieliła się pójść z nią aż na parking, blondynka o nerwowym uśmiechu, podobna do młodej June Haver, zbyt nieśmiała, aby porozmawiać o Marilyn

Monroe, ale powiedziała, że przez pięć lat uczyła się grać na fortepianie i że będzie dawała lekcje pacjentom.

Biały fortepian, rany!

Myślałam, że takie instrumenty można zobaczyć tylko w kinie.

Norma Jeane powiedziała: To pamiątka rodowa.

Ten fortepian na leżał kiedyś do Fredrica Marcha, młoda pielęgniarka zmarszczyła nos i zapytała: Do kogo?

Kominek.

Nienawidził jej, więc przyjmie jego nienawiść tak, jak kiedyś przyjęła jego miłość, będzie się w niej pławiała.

Zdradziła go i dlatego rozumiała, że to było sprawiedliwe, może należało w tym dostrzec kpinę, żart, ale gdyby niezyczliwi ludzie dowiedzieli się o tym, mieliby powód do śmiechu: Cass Chaplin pisał do Monroe dziwaczne listy i udawał, że jest jej ojczulkiem, a ona mu uwierzyła; trwało to latami.

Te listy, tak jej drogie, trzymała w sejfie, zabezpieczone przed ogniem, powodzią, trzęsieniem ziemi i zębem czasu.

Nie spojrzawszy na nie już ani razu więcej, na te listy pisane na maszynie i podpisane Twój zapłakany Ojciec, spaliła je w kamiennym kominku w domu na 12305 Fifth Helena Drive.

Taki użytek, pierwszy i ostatni, zrobi Marilyn ze swego kominka.

Plac zabaw.

W istocie było to kilka placów zabaw, jeden położony zupełnie niedaleko w Brentwood, inne w West Hollywood i w centrum Los Angeles, ponieważ nie chciała, żeby ktoś ją zauważył, ktoś ją obserwował i rozpoznawał, jak to się zdarzyło dawno temu w Washington Square Park na Manhattanie, kiedy przyglądała się dzieciom pochłoniętym zabawą, roześmianym, pytała o ich imiona; wówczas wszystko było w porządku, było to przed wyprawą do Galapagos Cove i upadkiem ze schodów w piwnicy;

teraz jednak trochę wody w rzekach upłynęło, teraz była mądra i przezorna, rzadko wracała na plac zabaw częściej niż raz na dwa tygodnie czy dziesięć dni.

Do dzieci, które rozpoznawała, choć nie przyglądała im się zbyt natarczywie.

Miała ze sobą książkę, czasopismo albo swój dziennik.

Siadała przy karuzeli, naprzeciwko zjeżdżalni, drabinek.

Godziła się na to, gdy ktoś ją z bliska obserwował (nie matka, nie niania), ćwiczył na niej swój wzrok, dyskretnie ją fotografował albo filmował, Snajper lub jakiś prywatny detektyw (wynajęty przez nadal zakochanego w niej i zazdrosnego Eks-Sportowca?),

nie potrafiła się bronić, chyba że schowałaby się na zawsze w domu, lecz tego nie chciała.

Przyciągały ją placy zabaw, dzieci.

Uwielbiała ich podniecone krzyki, śmiechy, imiona ustawicznie powtarzane przez ich matki, tak jak my wymawiamy imiona ukochanych, aby tylko usłyszeć ich brzmienie; jeśli się zdarzyło, że ktoś niespodziewanie się do niej odezwał, dziecko przebiegło tuż obok, piłka potoczyła blisko niej, podnosiła głowę i uśmiechała się; nie chciała jednak nawiązywać kontaktu, nawet wzrokowego, z żadnym dorosłym, nawet jeśli ze strachu występowała w przebraniu.

Ta kobieta wygląda całkiem jak Marilyn Monroe, daję słowo, tylko jest starsza, chudsza i wydaje się samotna!

Jeśli w sprzyjających okolicznościach dziecko podbiegło bliżej, matka czy niania znajdowała się w bezpiecznej odległości, mówiła niekiedy: Cześć!

Jak masz na imię?

czasem dziecko zatrzymywało się, żeby jej odpowiedzieć, ponieważ niektóre dzieci są ufne i lgną do ludzi, za to inne boją się ich jak małe myszki.

Nie podaruje nikomu pasiastego tygrysa.

Nie podejdzie do matki, niani, opiekunki i nie powie: Proszę mi wybaczyć, on należał do pewnej małej dziewczynki, która już dorosła, może pani chciałaby go wziąć?

Jest czysty!

nieskazitelnie czysty, uszyty ręcznie.

Nie powie nawet w gorączkowym śnie: Przepraszam, ta zabawka należała do małej dziewczynki, która umarła, czy chciałaby pani to sobie wziąć?

Och, proszę go wziąć.

Była zbyt dumna i bała się, że zostanie zignorowana.

Nie potrafiłaby tego znieść.

Zatem pojechała na plac zabaw do Los Angeles, gdzie biegały dzieci latynoskie, murzyńskie i białe, zostawiła tygrysa na stoliku, niedaleko piaskownicy, w której bawiły się najmłodsze dzieci, i odeszła, nie oglądając się za siebie, czując niesamowitą ulgę, oddychała swobodnie, głęboko, uśmiechała się na myśl, że jakaś mała dziewczynka znajdzie zabawkę...

Mamo, popatrz!

a matka odpowie: Ale czyje to jest, ta zabawka do kogoś należy, dziewczynka zawoła.: Ja go znalazłam, mamo, jest mój, matka zapyta wszystkich wokoło: Czy to twoje?

Czy to należy do ciebie?

czyli ta scena rozegra się tak, jak rozgrywają się podobne sceny pod naszą nieobecność.

Podróżnik w Czasie.

Był to czas dyscypliny.

Był to czas, którego nie mogła powtórzyć, czas święty we wszystkich szczegółach.

Pisała w dzienniku wiersz i bajkę.

Jej uczniowski notatnik zapełnił się już dawno temu, mały, czerwony diariusz, który dostała od kochającej ją kobiety, każda strona pokryta była pismem Normy Jeane, a kolejne, luźne kartki wkładała do środka.

Na jednej z tych nowych kartek starannie napisała, kopiując wyblakły tekst ze starszej strony: Tak podróżowałem, zatrzymując się w wielkich odstępach czasu, przeskakując po tysiąc i więcej lat, pchany naprzód żądzą zbadania tajemniczego losu Ziemi, wpatrując się ze szczególnym oczarowaniem, jak na zachodzie rośnie coraz większe i posępniejsze słońce- jak na starej Ziemi opada fala życia.

Wreszcie, w więcej niż trzydzieści milionów lat od dzisiejszych czasów, ogromna, do czerwoności rozżarzona kopała Słońca zajmowała już blisko dziesiątą część nieba.

(...) Przejęło mnie ostre zimno.

Mimo wszystko żyła.

Chloroform.

To był sen, nie rzeczywistość.

Tyle wiedziała.

Jedyny jej dowód.

Nie miała halucynacji.

Wodzian chloralu był bezpiecznym środkiem.

Nie była w tym stanie umysłu.

Odstawiła telefon tak, jakby chciała odsunąć pokusę.

Zamknęła aparat w szufladzie komody.

Jego dzwonek przypominał płacz dziecka.

Nie kusiło jej, żeby podnieść słuchawkę, ponieważ z nikim nie chciałyby rozmawiać prócz niego, ale on nigdy do niej nie zadzwoni.

A była zbyt dumna, aby zadzwonić pod pewien numer, skoro obiecała, że nigdy tego nie zrobi.

Do połowy czerwca nie miała miesiączki, ale przyczyna tego była na pewno inna i ona musiała tę przyczynę poznać.

Zbadała piersi: były/nie były to piersi kobiety w pierwszym okresie ciąży.

Takie piersi kojarzyły jej się z zapachem Atlantyku.

Wspomnienia z Galapagos Cove żywe, odległe jak film, który obejrzała dawno temu w stanie niepokoju, podniecenia.

Poszła do lekarza, który jej powiedział.

Będziemy musieli zrobić badanie okolic miednicy, pani Monroe, i oczywiście przeprowadzić próbę ciążową, jego słowa brzmiały tak poważnie, że szybko odpowiedziała: "Och, ale dzisiaj nie mam na to czasu".

Nigdy do niego nie wróciła.

(Bała się tych wszystkich lekarzy i psychologów!

Pewnego dnia zdradzą mnie.

Swoją pacjentkę.

Zdradzą sekrety Marilyn Monroe, a jeśli czegoś nie będą wiedzieć, to sobie wymyślą.)

Wiedziała, co to jest menopauza, i rozmyślała o tym z kliniczną fascynacją.

Zaczęło się?

Tak prędko?

Mylili jej wiek (trzydzieści sześć lat) z wiekiem jej matki (sześćdziesiąt dwa lata).

Z początku mógłbyś pomyśleć, że jedna liczba jest połową drugiej, ale tak nie było.

Obie urodziły się pod znakiem Bliźniąt, fatalny związek.

A tej nocy przyszedł ktoś, musiało ich być więcej, chociaż tylko jednego widziała na pewno, ten mężczyzna wszedł do domu tylnym wejściem i kiedy leżała naga w łóżku pod pojedynczym prześcieradłem, nie mogąc poruszyć mięśniami, sparaliżowana zwierzęcym strachem, przyłożył jej do nosa i ust szmatkę nasączoną chloroformem; nie mogła nic zrobić, aby się oswobodzić czy uratować, nie mogła nabrać powietrza do płuc, krzyknąć; wyniesiono ją z domu do stojącego w pobliżu samochodu, odtransportowano do sali operacyjnej, gdzie jakiś chirurg usunął dziecko Prezydenta (pod pretekstem, że było zdeformowane i mogło nie przeżyć), kiedy obudziła się wyczerpana piętnaście godzin później, czuła w dole brzucha bolesne skurcze, leciała jej z macicy gęsta, brudna krew, która wsiąkała w prześcieradło i materac.

Pomyślała sobie: Och, Chryste, co za upiorny sen, potem zaś przyszło jej do głowy: To równie dobrze mógł być sen.

I tak nikt by mi nie uwierzył.

Biały strójkąpielowy, 1941.

"Biedny, słodki dzieciak.

Oczywiście wszyscy ją znaleźliśmy.

Miała nowy strój kąpielowy, biały, naprawdę świetny, jednoczęściowy, z paskami na krzyż z przodu i bez pleców; ta dziewczyna miała pyszną figurę, kręcone włosy, które opadały jej na plecy, a strój uszyto z taniego materiału, więc kiedy weszła do wody (było to na Will Rogers Beach), strój zrobił się całkiem przezroczysty, wszyscy widzieliśmy jej włosy łonowe, sutki, a ona zdawała się tego w ogóle nie dostrzegać, skakała przez fale i piszczła, aż Buckyemu krew napłynęła do twarzy, facet zrobił się purpurowoczerwony i w końcu musiał jej coś powiedzieć, bo przygasała, obwiązała się ręcznikiem w pasie i włożyła jedną z jego koszul, która na wietrze wypełniała się powietrzem niczym namiot.

Była zażenowana i tego dnia nie powiedziała już ani jednego słowa.

Nigdy nie śmialiśmy się jej w twarz, ale naprawdę się z niej śmialiśmy; kiedy nie było w pobliżu Buckyego i jego dziewczyny Normy Jeane, śmialiśmy się dosłownie jak hieny".

Wiersz.

Rzeka Nocy

Patrzę na to.

Otwarta.

U Schwaba.

Od miesiący nie zażywała nembutalu.

Przyjmowała umiarkowane ilości wodzianu chloralu przepisywanego jej przez dwóch lekarzy i miała go w domu spory zapas, przynajmniej pięćdziesiąt kapsułek.

Na nembutal miała nową receptę od nowego lekarza; zabrała ją tego wieczoru do Schwaba i kiedy czekała na odbiór leku, siedemdziesiąt pięć tabletek - zamierzała wyjechać na kilka tygodni - chodziła niespokojnie po jasno oświetlonym pomieszczeniu, omijając kontuar z prasą i upiorną wystawą ze "Screen World", "Hollywood Tatler", "Movie Romance", "Photoplay", "Cue", "Swank", "Sir"! "Peek", "Paradę" i tak dalej, w których MARILYN MONROE wiodła swoje komiksowe życie; młoda kasjerka będzie wspominała: Pewnie, wszyscy znaleźliśmy panią Monroe.

Przyszła późnym wieczorem.

Powiedziała, że Schwab to jej ulubione miejsce na zakupy, tutaj zaczynała karierę, zapytała: wiesz jak?

Więc zapytałam jak, wtedy powiedziała: Niektórzy mężczyźni zwracali uwagę na mój tyłek, jakże inaczej?

i roześmiała się.

Nie była jak inne gwiazdy, których nigdy nie widzisz, które wysyłają służbę.

Przychodziła osobiście i zawsze sama.

Bez makijażu można jej było nie poznać.

Nie znałam nigdy bardziej samotnej osoby.

Wtedy brakowało półtorej godziny do północy.

Zapłaciła gotówką, wyjąwszy banknoty i drobne z portfela.

Zawsze się do mnie uśmiechała i miała coś miłego do powiedzenia, jakbyśmy obie były dziewczętami, a ta noc nie była wyjątkiem.

Masażysta.

O północy przyszedł Nico; prawie o nim zapomniała; otworzyła mu drzwi i przeprosiła, że wcześniej nie zadzwoniła, ale nie będzie go potrzebowała tej nocy, nalegała, by przyjął zapłatę, garść banknotów, które przeliczy później i ku swojemu zdziwieniu odkryje, że było to prawie sto dolarów, więcej niż zwykła zapłata za usługę, zapytał jeszcze, czy ma przyjść następnego dnia, odparła, że raczej nie, nie, przez jakiś czas nie; zapytał dlaczego, na co odpowiedziała: Och, Nico, sprawiłeś, że moje ciało jest w doskonałym stanie.

Eliksir.

Z tych tajemniczych proszków i płynów przyrządziła sobie eliksir tak wyborny jak Dom Perignon, i równie upajający.

Bajka.

PŁONAÇA KSIĘŻNICZKA

Ciemnowłosy Księżę wziął Żebraczkę za rękę i rozkazał: Chodź ze mną!

Żebraczka musiała posłuchać, oszołomiona pięknem czerwonego słońca jaśniejącego ponad wodami świata.

Zaufaj mi!

- powiedział Ciemnowłosy Księżę, więc mu zaufała.

Słuchaj mnie!

- powiedział Ciemnowłosy Księżę, więc go słuchała.

Kochaj mnie - powiedział Ciemnowłosy Księżę,

więc go kochała.

Idź za mną - powiedział Ciemnowłosy Księżę,

więc za nim poszłam.

Z zapalem, choć boję się wysokości,

wspięłam się po sławetnej drabinie,

która ma 1001 szczebli,

A wokół każdego z nich strzelały płomienie.

Stań przy mnie!

- powiedział Ciemnowłosy Księżę,

więc stanęłam przy nim,

choć teraz już się bałam

i żałowałam, że nie zostałam w domu.

Na platformie rozkołysanej na wietrze,

wysoko nad wiwatującym tłumem,

Ciemnowłosy Księżę podniósł czarodziejską różdżkę

Impresaria.

Zapytałam: Kim jesteś?

Odrzekł: Twoim ukochanym.

Wykąpałam się w perfumowanych wodach,

wszelkie nieczystości spłynęły ze mnie,

zakamarki mego ciała były czyste.

Tlenione włosy na głowie delikatne jak jedwab,

włosy na całym ciele usunięte,

ciało me namaszczone wonnym olejkiem, bym miała siłę

znieść ból, którego inni znieść by nie zdołali.

To magiczny olejek, obiecał Impresario.

Roztarty na skórze zmiesza się z olejem ciała,

utworzy warstwę niewrażliwości podobną do skorupki,

cienką jak przezroczysta powłoczka jajka,

wypali się, wypali i nie sprawi bólu.

Rzekł Impresario: Oto jest Elixir, należy go wypić.

Podniosłam puchar w drżącej dłoni.

Zawahałam się wysoko nad wiwatującym tłumem.

Ciemnowłosa Księżę rozkazał: Pij!

Zadrżałam ze strachu.

Próbowałam coś powiedzieć, ale wiatr porwał słowa z mych ust.

Tutaj.

Na krawędzi tej platformy - rzekł Impresario.

Wypij Elixir, rozkazuję ci.

Chcę wrócić, powiedziałam.

Wiatr zwał słowa z mych ust.

Wypij, a staniesz się Jasnowłosą Księżniczką!

Wypij, a staniesz się nieśmiertelna.

Wypiłam Elixir.

Był gorzki, zaczęłam się krztusić, Do dna - powiedział Impresario.

Do ostatniej kropli.

Zatem wypić Elixir do ostatniej kropli.

Teraz zanurkujesz - powiedział Impresario.

Teraz jesteś Jasnowłosą Księżniczką i jesteś nieśmiertelna.

Impresario doprowadził tłum do szaleństwa.

Daleko w dole stał zbiornik z wodą, do którego miałam skoczyć.

Daleko w dole grała orkiestra cyrkowa.

Tłum zaczynał się niecierpliwic.

Impresario zapalił pochodnię.

Impresario doprowadził tłum do szaleństwa.

Nie poczujesz bólu - powiedział.

Zahipnotyzowały mnie płomienie.

Nie mogłam oderwać od nich wzroku.

Impresario podniósł pochodnię do mojej głowy i moje włosy natychmiast stanęły w ogniu, zapaliło się moje nagie ciało.

Podniosłam ręce, głowę w płomieniach, spirale ognia.

Tłum umilkł,

wielka bestia się gapiała.

Czułam ból tak ogromny, że większego czuć bym już nie mogła.

Co za ból!

Włosy w ogniu, brzuch w ogniu, oczy w ogniu,

zostawię za sobą swe płonące ciało.

Skacz do wody!

rozkazał Impresario.

Posłuchaj mnie!

Skoczyłam do odległego zbiornika z wodą,

byłam płonącym kamieniem, kometą zmierzającą ku ziemi,

płonącą Księżniczką, nieśmiertelną.

Skoczyłam w ciemność, w noc.

Na koniec usłyszałam jedynie wrzask tłumu.

Biegłam boso wzdłuż plaży i moje włosy smagał wiatr.

Po Venice Beach wczesnym rankiem; byłam sama, płonąca Księżniczka umarła.

A ja żyłam.

Snajper.

W ciemnym ubraniu, z maską na twarzy, Snajper wszedł tylnymi drzwiami do odosobnionego domku przy 12305 Fifth Helena Drive, zbudowanego w meksykańskim stylu.

Miał klucz, który dostał od R.F., informatora.

Snajper wykonywał rozkazy, które wynikały z konkretnych faktów i dowodów.

Nie do niego należała interpretacja.

Nie silił się na rozumienie własnych zadań.

Działał beznamiętnie, bez żalu.

Przesuwał się bezszelestnie po tonącym w mroku domu jak mięsojad w powietrzu.

W lustrze nie dostrzeże swego odbicia.

Snop jego małej latarki nie był szerszy od ołówka, za to silny.

Zło jest słowem oznaczającym cel.

Zło jest tym, co rozumiemy przez cel.

Snajper nie dowie się, czy Agencja zleciła mu tę misję, aby uwolnić Prezydenta od jego blondwłosej dziwki, która mu zagraża, a przez to rzecz jasna zagraża także "bezpieczeństwu narodowemu"; czy może tej nocy podejmuje działanie, które - po ujawnieniu - zniszczy Prezydenta ze względu na jego związek z tą blondwłosą dziewczyną.

Prezydent i Agencja nie zawsze byli sojusznikami; prezydentura to potęga efemeryczna, Agencja - wieczna.

Snajper wiedział o długotrwałych powiązaniach tej kobiety z wywrotowymi organizacjami w Ameryce i poza nią, o jej małżeństwie z żydowskim wywrotowcem, o romansie z indonezyjskim komunistą Sukarno (spotkanie w hotelu Beverly Hills, kwiecień 1956) oraz o jej publicznej obronie chociażby takich komunistycznych dyktatorów jak Castro; wiedział, co doprowadziłoby go do białej gorączki, gdyby był człowiekiem skłonny do gwałtownych reakcji, nie do chłodnej kalkulacji, że ta kobieta podpisywała wszelkie możliwe petycje wymierzone w Państwo, któremu po wierzyła własne życie.

Ale nie, nie będzie się nad tym zastanawiał.

Schowa dowody do walizki i dostarczy je do przejrzenia, ewentualnie do zniszczenia swoim mordercą.

Sam nie zniszczy niczego.

Chodziło o zapiski w dzienniku, dokumenty i materiały nadające się do ewentualnego (lub faktycznego) szantażu, o których znaczeniu Snajper niczego się nie dowie.

Pierwszym z tych przedmiotów była pokryta warstwą kurzu srebrzysta róża, stojąca dotychczas w wazonie w salonie.

Snajper włożył ją do walizki.

Drugim był dziennik czy pamiętnik z wsuniętymi do środka licznymi kartkami papieru, znaleziony w salonie na małym stoliku wśród książek, scenariuszy, gazet, brudnych filiżanek, kieliszków i talerzy.

Przerzucił szybko dziennik, wiedząc, że jako potencjalny dowód musi być skonfiskowany.

Słowa były rozmieszczone na papierze jak "poezja", zapisane staranną, uczniowską ręką-

Był sobie ptak, co się wzbił tak wysoko, że "To jest niebo" już nie mógł rzec.

Jeśli ślepiec widzieć może To co mogę ja, niebożę?

Dla mojego Dziecka

Z tobą świat się nowy rodzi.

Przed tobą nie było nic.

Dziecko!

To brzmi dla kogoś niebezpiecznie.

Japończycy mają dla mnie imię.

Imię to brzmi monczan.

"Droga, mała dziewczynka", właśnie tak.

Kiedy uleciała ze mnie moja dusza.

Japonce!

Wcale go to nie zdziwiło.

Pomocy, pomocy!

Pomocy, czuję, że zbliża się Życie.

Uśmiechnął się.

Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni kurtki, by dotknąć sześciocalowego orlego pióra, które nosił na sercu.

Następnie natknął się w dzienniku na listy słówek, najwidoczniej użytych do szyfrowania wiadomości, zapisanych takim samym starannym, uczniowskim piemem.

Konfuzja, zgiełk, oporność, odcieleśnienie, palingeneza/metempsychoza.

Te materiały Snajper umieścił starannie w walizce, eksperci to później rozszyfrują, przeanalizują i w odpowiednim czasie zniszczą.

Ponieważ wszystko, co trafiało do Agencji jako dowód, ostatecznie ginęło zmielone w niszczarce albo spalone w piecu.

(Czy ta zasada miała zastosowanie także w odniesieniu do agentów, czy pewnego dnia znikną po nich wszelkie ślady w aktach?)

Hm, niezbyt patriotyczne pytanie.)

Z tego wszystkiego w aktach pozostaną jedynie tajemnicze, zdawkowe zapisy, których większość agentów nie będzie nawet mogła zrozumieć.

Snajper przeszedł do położonej w głębi budynku ciemnej sypialni.

Tutaj leżał w łóżku obiekt zainteresowania Agencji, pogrążony w czymś, co wyglądało na głęboki.

Chrapliwy i regularny oddech kobiety dawał Snajperowi pewność, że daleko jej do stanu świadomości.

R. R, informator, zapewniał, że ta blondwłosa aktorka co noc zapada w narkotyczny sen i nie budzi się tak łatwo.

Choć w sierpniu 1962 roku Snajper był już doświadczonym, okrzepłym profesjonalistą, zupełnie nie przypominającym chłopaka wożącego strzelbę w pikapie ojca, to na widok ofiary poczuł jednak przyływ podniecenia.

Na widok tej ofiary, sławnej Blondwłosej Aktorki.

Bo wszystkie ofiary, tak jak i ta, zawsze były "nieprzytomne": nieświadome i niezorientowane.

Cel nie ma nic wspólnego z twoimi sprawami osobistymi.

Po dobnie jak zło. Prezydencka dziwka była ćpunką i alkoholizką, a w Hollywood i okolicy nikogo nie dziwiła śmierć ćpuna czy alkoholika.

Na stoliku nocnym przy łóżku stała ohydna bateria buteleczek, fiolek, szklanka częściowo wypełniona ciemną cieczą.

Zamontowany pod oknem klimatyzator buczał i dygotał, ale nie mógł w pełni oczyścić powietrza z obrzydliwego zapachu: pudru, perfum, brudnych ręczników, prześcieradeł, jakichś leków, których smród wyciskał z oczu łzy; na coś przydała się Snajperowi maska z gęstej dzianiny, przysłaniająca usta i nos.

Obiekt nie będzie stawiał oporu.

Potwierdzały się słowa R.

F. Kobieta leżała nago pod białym prześcieradłem, jakby już spoczywała na stole u koronera.

Prześcieradło przylegało do jej rozpalonego ciała, okrywając brzuch, biodra i piersi w sposób zarazem ekscytujący i nieprzyjemny.

Pod prześcieradłem lubieżnie rozchylone nogi, jedno kolano trochę podniesione.

Uniesione kolano w stężeniu pośmiertnym!

Jedna z piersi, lewa, była niemal odsłonięta.

Snajper wolałby ją zakryć.

Na tle białej poduszki prawie nie było widać platynowych włosów, zbitych jak u lalki.

Skóra wydawała się upiornie blada.

Snajper wiele razy widział tę kobietę i zawsze uderzała go biel i nadnaturalna gładkość jej skóry.

I to, co świat nazywał poddańczo i z ogromnym podziwem "pięknem".

Ale nawet wspaniałe ptaki - orły, jastrzębie i inne - choć piękne w locie, mogą się stać zwykłym mięsem, ścierwem do powieszenia na żerdziach.

Teraz wiesz, czym jesteś.

Teraz pojmujesz siłę Snajpera.

Jakby usłyszała jego myśli, zaczęła trzepotać powiekami, ale Snajper nie czuł prawdziwego strachu; w takim stanie obiekt mógł wprawdzie otworzyć oczy, ale nic nie widzieć; otaczały go sny i trzymał się z daleka od świata.

Kobieta miała rozluźnione usta - wyglądały jak głęboka rana w twarzy - mięśnie policzków kurczyły się, jakby chciała coś powiedzieć.

Rzeczywiście nawet cicho jęknęła.

Zadygotała.

Leżała, trzymając lewą rękę nad głową, otaczając nią głowę.

Widać było jej pachę; miękkie, kręcone ciemnoblonde włosy błyszczały w świetle latarki.

Odrażające.

Snajper wyjął z walizki strzykawkę.

Przygotował ją dla niego lekarz z Agencji.

Zawierała płynny nembutal.

Snajper naciągnął rękawiczki, cienkie rękawiczki chirurgiczne.

Bez pośpiechu obszedł łóżko, rozmyślając, w które miejsce uderzyć.

Musiał trafić szybko i bezbłędnie, według instrukcji.

Najlepiej byłoby usiąść okrakiem na ofierze.

Ale nie mógł ryzykować, że ją obudzi.

W końcu pochylił się nad nieprzytomną kobietą z jej lewej strony i kiedy brała głęboki oddech, kiedy uniosła się jej klatka piersiowa, wbił sześciocalową igłę prosto w jej serce.

Hacjenda.

Zaciemniona sala kinowa!

Najszczęśliwsze chwile.

Rozpoznała Graumans Egyptian Theatre z czasów, kiedy była małą dziewczynką.

Popołudniami - gdy Matka była w pracy - nie czuła się samotna, bo siedziała w kinie na podwójnym seansie filmowym i starała się jak najwięcej zapamiętać, żeby potem opowiedzieć wszystko Matce, a Matka jak urzeczona słuchała jej relacji o Ciemnowłosym Księżciu i czasami prosiła, aby opowiedzieć jej jeszcze więcej.

W kinie nie wolno było Normie Jeane siadać obok mężczyzn.

Samotnych mężczyzn.

Tamtego popołudnia, siedząc przy dwóch starszych kobietach z torbami na zakupy, wiedziała, że jest bezpieczna.

I jakże szczęśliwa!

Chociaż film kończył się sceną śmierci Jasnowłosej Księżniczki - złociste włosy rozsypane na poduszce, Ciemnowłosej Księżkę zasmucony, z pochyloną głową.

Kiedy zapaliły się światła, kobiety wycierały oczy i ona też otarła oczy, otarła dłońią nos, chociaż nikt już piękna i martwa twarz Jasnowłosej Księżniczki - obraz na ekranie bardziej ulotny niż trzepotanie skrzydeł kolibra.

Z kina wyszła szybko, aby nikt nie próbował jej zagadnąć, jak się czasami zdarzało, zapadał zmierzch, paliły się uliczne lampy, było zadziwiająco wietrznie i wilgotno, miała na sobie lekkie ubranie - nogi nagie i nie osłonięte - bawełnianą bluzkę z krótkimi rękawkami, jak gdyby ubrała się albo ją ubrano na inną porę roku.

Szła blisko krawężnika, tak jak jej przykazała Matka.

Niewiele pojazdów jeździło po ulicach; hałaśliwie przejechał tramwaj, ale wydawało się, że w środku nie ma nikogo.

Nie mogła zablądzić, znała drogę.

Gdy dotarła do budynku, w którym mieszkała Matka, zorientowała się, że to na pewno jest HACJENDA, nic innego; wiedziała też, że z czasem się w tym wszystkim pogubi.

Nie była to Mesa Street, tylko Highland Avenue; a jednak była to Mesa Street, bo budynek miał stiukowe ozdoby w hiszpańskim stylu, zielone markizy, które, jak mówiła Gladys, aż kłuły w oczy, i zardzewiałe schody przeciwpożarowe, które, jak się śmiała, załamałyby się pod czymkolwiek ciężarem.

HACJENDA z tarasem od frontu oświetlonym jasno jak plan filmowy i otoczeniem tonącym w mroku.

Nagle Norma Jeane się wystraszyła.

Skup się Normo Jeane skoncentruj krąg światła należy do ciebie schowasz się w tym kręgu zabierzesz go ze sobą, gdziekolwiek się udasz. Norma Jeane stała na schodach, Gladys wyszła jej na spotkanie, uśmiechała się, cieszyła.

Uśmiechnęła usta na czerwono, na policzkach zrobiła sobie sztuczne rumieńce, pachniała kwiatami.

Zatem Gladys była młodsza.

A co się miało zdarzyć, jeszcze się nie zdarzyło.

Gladys i Norma Jeane chichotały jak rozbawione dziewczęta.

Były podekscytowane!

Szczęśliwe.

W mieszkaniu na Normę Jeane czekała niespodzianka.

Serce w jej piersi biło tak szybko, jak szybko uderza skrzydełkami trzymany w dłoni, spragniony wolności koliber.

Na ścianach w kuchni plakaty.

Charlie Chaplin w Świątłach wielkiego miasta.

Piękne, wymowne oczy wpatrzone w Normę Jeane.

Ale niespodzianka Gladys znajduje się w sypialni; Gladys ciągnie Normę Jeane za rękę; podnosi ją do góry, aby dziewczynka mogła popatrzeć na przystojnego mężczyznę na zdjęciu oprawionym w ramkę, który właśnie w tej chwili zdawał się do niej uśmiechać.

- Normo Jeane, widzisz?

Ten mężczyzna jest twoim ojcem.

SPIS TREŚCI

OD AUTORKI

PROLOG, 3 SIERPNIA 1962

Przesyłka specjalna

DZIECKO 1932-1938

Pocałunek

Kąpiel

Miasto z Piasku

Ciotka Jess i wuj Clive

Opuszczona

Dobrodzieje z prezentami

Sierota

Klątwa

DZIEWCZYNA 1942-1947

Rekin

"Pora wyjść za mąż"

Chłopak balsamisty

Żonka

Wojna

Ślicznotka z okładki, 1945

Do wynajęcia

Córka i matka

Dziwadło

Koliber

KOBIETA 1949-1953

Ciemnowłosa Księżę

"Miss Złote Marzenia" 1949

Kochanek

Przesłuchanie

Narodziny

Angela 1950

Ten oto ołtarz

Rumpelstiltzkin

Transakcja

Nell 1952

Śmierć Rumpelstiltzkina

Ratunek

Tamta noc...

Rosę 1953

Bliźnięta

Wizja

MARILYN 1953-1958

"Sławna"

Magowie

"Nigdy nie ma dość polskiej kiełbasy"

Eks-Sportowiec:

Celowanie

Cyprysy

"Gdzie się podziewasz, kiedy znikasz?"

Eks-Sportowiec i Blondwłosa Aktorka: Randka

Dla Elizy

Krzyk.

Piosenka

Eks-Sportowiec i Blondwłosa Aktorka: Propozycja małżeństwa

Po ślubie: Montaż

Amerykańska bogini miłości na kracie od wentylatora

"Moja piękna, utracona Córko"

Po rozwodzie

Topielica

Dramaturg i Blondwłosa Aktorka: Uwiedzenie

Posłaniec

Dancing in the Dark

Tajemnica. Nieprzyzwoitość

Cherie 1956

(Amerykańska) aktoreczka 1957

Królestwo nad brzegiem morza

Pożegnanie

ŻYCIE PO ŻYCIU 1959-1962

Wyrazy współczucia

Sugar Kane 1959

Szczurza piękność

Marilyn Monroe dzieła zebrane

Snajper

Roslyn 1961

Klub Zuma

Rozwód (dubel)

Mój dom.

Moja podróż

Prezydencki Stręczyciel

Księżę i Żebraczka

Zakochana Żebraczka

Prezydent i Blondwłosa Aktorka: Schadzka

Opowieści Whiteya

Happy Birthday, Mr. Prezydent

Przesyłka specjalna, 3 sierpnia 1962

"Odeszli wszyscy do jasnego świata"